



TEODOR DOSTOJEWSKI

DZIEŁA

Serja 2. Tom III

POD REDAKCJĄ
MELCHJORA WAŃKOWICZA
POPRZEDZONE STUDJUM
ANDRZEJA STRUGA

TEODOR DOSTOJEWSKI

IDJOTA



1928

Towarzystwo Wydawnicze „Rój"

PRZEŁOŻYŁA Z ORYGINAŁU
HELENA GROTOWSKA

Drukarnia „Rola" J. Buriana, Warszawa, Mazowiecka 11

CZĘŚĆ PIERWSZA

I

W końcu listopada, w odwilż, o godzinie 9 rano, pociąg drogi petersbursko-warszawskiej całą siłą pary podchodził do stolicy. Była taka wilgoć i mgła, że z trudnością świtało; o dziesięć kroków na prawo i na lewo od toru kolejowego niesposób było cośkolwiek bądź dojrzeć z okien wagonu. Między pasażerami było paru powracających z zagranicy; przedziały klasy III były najbardziej zapchane ludem, jak zawsze, prostym, trudniącym się interesami, ludem z pobliskich okolic. Wszyscy, jak zwykle, pomęczeni, ze znużonemi przez noc oczyma, zziębnięci. Twarze przybrały we mgle kolor bladożółty.

W jednym z wagonów III klasy od świtu siedzieli naprzeciw siebie koło okna dwaj pasażerowie, obaj ludzie młodzi, obaj niezbyt elegancko, trochę może za lekko ubrani, obaj o dość niepospolitych twarzach i obaj skłonni do zawiązania rozmowy. Gdyby wiedzieli jeden o drugim, przez co w danej chwili są godni uwagi, zdziwiliby się, rzecz prosta, że przypadek tak dziwnie umieścił ich naprzeciw siebie w wagonie klasy III, petersbursko-warszawskiej drogi żelaznej. Jeden z nich, niewielkiego wzrostu, wyglądał na lat 27, kędzierzawy, prawie brunet, o malutkich, szarych, ale ognistych oczach, nos szeroki i spłaszczony, twarz ściągła, cienkie wargi układały mu się bezustanku do jakiegoś zuchwałego, drwiącego, a nawet złego uśmiechu; zato wysokie, pięknie zarysowane czoło zdobiło prostaczą dolną część twarzy. Szczególnie zwracała uwagę trupia bladość tej twarzy, nadającej całej fizjognomji młodego człowieka znamię wycieńczenia, nie licującego z dość silną budową ciała, z tem wszystkiem jednak, coś nad wyraz namiętnego, aż do bólu, coś, co na tej twarzy nie licowało z aroganckim

i ordynarnym uśmiechem, z szorstkiem, zadowolonem z siebie spojrzeniem. Ubrany był ciepło w szeroki, barankowy, czarny kożuch; dzięki temu nie marzł w nocy, jak jego sąsiad, który, dygocąc na całem ciele, odczuł najzupełniej słodycz rosyjskiej, wilgotnej, listopadowej nocy, do której widocznie nie był przygotowanym, mając na sobie dość szeroki, gruby płaszcz bez rękawów, z olbrzymim kapturem, jota w jotę taki sam, jaki używają często podróżni zimową porą gdzieś zagranicą, naprzykład w Szwajcarji, albo w północnych Włoszech, nie przewidując, rzecz prosta, takich celów podróży, jak Ejdkuny albo Petersburg. Co jednak dostateczne i odpowiednie było w Szwajcarji, to okazało się całkiem nieodpowiedniem w Rosji. Właściciel płaszcza z kapturem był człowiekiem młodym, liczył również niewięcej, jak lat 27, był więcej niż średniego wzrostu, bardzo jasny blondyn, o bujnym zaroście, zapadłych policzkach, z delikatną, prawie zupełnie białą bródką. Oczy duże, niebieskie, zapatrzone wdal: w wyrazie ich było coś cichego, lecz i przygnębiającego, coś, po czem, niektórzy na pierwszy rzut oka poznają epileptyka. Zresztą twarz młodego człowieka była dość przyjemna, delikatna, sucha, bez kolorów, a w danej chwili nawet sina ze zziębnięcia. W rękach huśtał mu się mizerny tobołek, ze starego, wypłowiałego fularu, cały prawdopodobnie podróżny majątek. Obuwie ze sztylpami, o grubych podeszwach... nic a nic rosyjskiego.

Ciemnowłosy sąsiad w kożuchu zdążył to wszystko już zaobserwować z braku lepszego zajęcia. Nareszcie, uśmiechając się niezbyt delikatnie, w ten sposób, w jaki wyraża się czasem bez ceremonji, niedbale, ludzkie zadowolenie z niepowodzeń bliźniego... zdobył się na pytanie:

— Zimno?

I wzruszył ramionami.

— Bardzo — odrzekł sąsiad z nadzwyczajną uprzejmością — i niech pan zwróci uwagę, że takie zimno w odwilż. Coby to było podczas mrozu? Nawet mi na myśl nie przyszło, że u nas tak chłodno. Odzwyczaiłem się.

— Widocznie z zagranicy?

— Tak, ze Szwajcarji.

— A niechże... pana!...

Ciemnowłosy aż zaświstał i zachichotał.

Wszczęła się rozmowa. Gotowość do dawania odpowiedzi na wszelkie, choćby najbardziej niedbałe, nie na miejscu i próżne pytania, stawiane przez sąsiada-bruneta, ochoczość, wykazana przez jasnowłosego, młodego człowieka, była zadziwiająca i nie zdradzająca ani cienia nieufności. Mówił, że istotnie dawno już nie był w Rosji, przeszło cztery lata, że wysłany był zagranicę z powodu choroby nerwowej, dziwnej jakiejś choroby, czegoś w rodzaju epilepsji, czy też choroby św. Wita, jakichś drgawek i konwulsyj. Słuchając tych słów, brunet się uśmiechał, a najbardziej zaśmiał się, kiedy na pytanie „i cóż wyleczyli pana"... blondyn odrzekł: „nie, nie wyleczyli".

— He! Pieniędzy pewnoś pan wyrzucił sporo i napróżno... A my im wciąż jeszcze wierzymy.

— Najświętsza prawda! — wtrącił się do rozmowy siedzący obok, czterdziestoletni jegomość, kiepsko ubrany, wyglądający na urzędnika zatęchłego w kancelarjach, jegomość z czerwonym nosem, silnej budowy i z wągrowatą twarzą — najświętsza prawda, oni tylko rosyjskie pieniądze za nic potrafią do siebie ściągać!

— O, jeżeli chodzi o mnie, to pan jesteś w błędzie — pośpieszył z odpowiedzią szwajcarski pacjent cichym i pojednawczym głosem — wprawdzie spierać się nie mogę, bo nie wiem o wszystkiem, ale mój doktór oddał mi na drogę ostatni grosz, a prócz tego dwa lata prawie utrzymywał mnie na swój koszt.

— Płacić nie miał kto? czy jak? — spytał brunet.

— Tak, pan Pawliszczew, który na mnie łożył, umarł dwa lata temu; potem pisałem do mojej dalekiej kuzynki, jenerałowej Jepanczyn, ale nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Przyjechałem tutaj bez jej pomocy.

— To jest dokąd... tutaj?

— Gdzie się zatrzymam? Chce pan spytać. Jeszcze nie wiem, doprawdy... tak jakoś...

— Nie zdecydował się pan jeszcze?

I obaj słuchacze parsknęli głośnym śmiechem.

— Oho! — a cały majątek, to pewno w tym woreczku? — zapytał brunet.

— Założyłbym się, że nieinaczej — podchwycił z niezmiernie zadowoloną miną czerwononosy urzędnik — i że w wagonie bagażowym też nic niema; stwierdźmy jednak, że bieda nie hańbi.

Okazało się, że i tym razem było nieinaczej: młody blondyn natychmiast, w sposób niezwykle uprzedzający, nie omieszkał przyznać się do tego.

— Zawiniątko pańskie, bądź co bądź, ma pewne znaczenie — ciągnął urzędnik, uśmiawszy się dosyta (rzecz ciekawa, że i właściciel zawiniątka zaczął się śmiać, patrząc na nich, co jeszcze bardziej zwiększało ich wesołość) — i chociaż można się założyć, że nie zawiera ono w sobie zagranicznych złotych rulonów z luidorąmi, na co wskazują choćby sztylpy, opinające zagraniczne obuwie pańskie, to jednak, gdy się oprócz zawiniątka przyjmie pod uwagę na ten przykład taką jenerałową Jepanczyn, niby krewną szanownego pana, to i zawiniątko nabierze nieco innego znaczenia, ma się rozumieć, wtedy tylko, jeśli jenerałowa Jepanczyn jest rzeczywiście krewną pańską i jeżeli się pan przez roztargnienie nie pomylił, co zresztą bardzo a bardzo... jest właściwe człowiekowi... z nadmiaru wyobraźni chociażby...

— Ach tak, znowu pan zgadł — pośpieszył młody blondyn — doprawdy, omal że się nie pomyliłem, w istocie, prawie że nie krewna; tak dalece, że nie dziwiło mnie to nawet wtedy, iż nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Byłem na to przygotowany.

— Wydatek niepotrzebny na marki. Hm... no, ale przynajmniej prostota i szczerość... Chwali się to! Hm... Co do jenerała Jepanczyna, to mam przyjemność... ponieważ osobistość powszechnie znana. A pana Pawliszczewa, co to w Szwajcarji łożył na utrzymanie pańskie, miałem przyjemność również... o ile był to Mikołaj Andrejewicz Pawliszczew, bo jest dwóch ciotecznych braci. Drugi dotychczas na Krymie; nieboszczyk Mikołaj Andrejewicz był osobą szanowną, ustosunkowaną i w swoim czasie posiadaczem czterech tysięcy dusz.

— Tak, tak. Nazwisko jego Mikołaj Andrejewicz Pawliszczew — odpowiedziawszy, przyjrzał się młody człowiek uważnie i badawczo wszystko wiedzącemu panu.

Takich wszechwiedzących panów można niekiedy spotkać, nawet dosyć często, w pewnych sferach towarzyskich. Wiedzą oni o wszystkiem, badawczość nieposkromiona ich umysłu i zdolności skierowane są bezustanku w jednym kierunku... w braku, rzecz prosta, o wiele ważniejszych poglądów i zagadnień życiowych, jakby powiedział myśliciel współczesny. Przez słowa: „wiedzą oni o wszystkiem"... rozumieć należy dziedzinę zresztą dosyć zamkniętą: w jakiej instytucji pracuje, kogo zna, jaki ma majątek, gdzie był gubernatorem, z kim ożeniony, co wziął za żoną, kto jest jego ciotecznym bratem, kto kuzynem i t. d., i t. d. w tym rodzaju. Zazwyczaj ci wszystkowiedze mają dziury na łokciach i pobierają 17 rubli pensji miesięcznej. Ludzie, o których wiedzą oni najdokładniejsze szczegóły, nie byliby w stanie, rzecz prosta, wskazać co za wyrachowanie kieruje nimi, a tymczasem wielu z nich osiąga dzięki tej wiedzy, równającej się całej nauce, radość najzupełniejszą, dochodzą do samoszacunku, a nawet wyższego zadowolenia duchowego. Pociągająca nauka! Widziałem uczonych, literatów, poetów, działaczy politycznych, którzy szukali i znaleźli w tej nauce swe najwyższe zadowolenia i cele... i nawet na tem jedynie zrobili karjerę.

Wciągu całej tej rozmowy młody brunet ziewał, patrzył bezmyślnie w okno i z niecierpliwością wyglądał końca podróży. Roztargniony, może nawet zanadto roztargniony, omal że nie strwożony, stawał się czasem aż dziwnym; to słuchał i nie słuchał, to patrzył i nie patrzył, to znów śmiał się, nie wiedząc z czego.

— Przepraszam, a z kim mam zaszczyt... — ni stąd, ni zowąd zagadnął wągrowaty jegomość młodego blondyna z zawiniątkiem.

— Książę Leon Mikołajewicz Myszkin — odpowiedział z całą uprzejmością młody człowiek.

— Książę Myszkin? Leon Mikołajewicz? Nie mam przyjemności. Nie zdarzało się nawet spotkać... — odpowiedział w zamyśleniu urzędnik — chciałem powiedzieć... to jest nie miałem na myśli nazwiska. Nazwisko historyczne. W historji Karamzina można i powinno się z niem spotkać...

a ja o osóbce... coś... jakoś tych książąt Myszkinów się nie spotyka. Ani słychu, ani dychu o czemś podobnem.

— Ma się rozumieć — natychmiast odrzekł książę. — Książąt Myszkinów zupełnie już obecnie niema, wyjąwszy mnie; zdaje mi się, iż jestem ostatnim. Co się tyczy ojców i dziadów, to niektórzy z nich pracowali i na roli: szlachta zagonowa!... Ojciec wprawdzie był podporucznikiem w armji... z junkrów. Ot, jenerałowa Jepanczyn też z książąt Myszkinów. Nie wiem nawet jakim cudem. Też ostatnia w swoim rodzaju.

— Ostatni w swoim rodzaju, he, he, to się panu udało — zachichotał urzędnik.

Uśmiechnął się również i brunet.

Blondyn zdziwił się nieco, że mu się udał zresztą dość marny kalambur.

— Niech pan sobie wyobrazi, mnie to tak od niechcenia... powiedziałem zupełnie bez myśli... — objaśniał zdziwiony.

— No, tak, tak, rozumie się — wesoło potakiwał urzędnik.

— Czy książę tam może się czego uczył u tego profesora? — zapytał nagle brunet.

— Tak... studjowałem...

— A ja nigdy się niczego nie uczyłem.

— No, ja też przecież cokolwiek, tak, aby... — dodał książę, jakby na swoje usprawiedliwienie. — Uznali za niemożliwe z powodu choroby uczyć mię czegokolwiek systematycznie.

— Rogożynych pan zna? — spytał szybko brunet.

— Nie, nie mam przyjemności. Ja w Rosji przecież mało kogo znam. A czy pan jest Rogożyn?

— Tak, Rogożyn, Parfen.

— Parfen? Czy to aby nie z tych samych Rogożynów... — rozpoczął z robioną powagą urzędnik.

— Z tych samych, z tych samych — przerwał mu szybko z niecierpliwością i niegrzecznie brunet, który ani razu zresztą nie zwracał się do wągrowatego urzędnika, a od samego początku zwracał się tylko do księcia.

— A więc jakże to? — zdębiał urzędnik, oczy o ma-

ło mu nawierzch nie wylazły i twarz poczeła się w mgnieniu oka układać w jakiś wyraz pokory i służalstwa a nawet przestrachu — więc to tego samego Siemiona Parfenowicza Rogożyna, który zmarł z miesiąc temu, tego samego dziedzicznego szlachcica honorowego, co zostawił po sobie dwa i pół miljona kapitału?

— A ty skąd o tem wiesz, że zostawił dwa i pół miljona czystego kapitału? — przerwał mu brunet, nie darząc go i tym razem spojrzeniem — widzisz go... — mrugnął do księcia, wskazując urzędnika — i co mu z tego przyjdzie, że się czepia jak rzep psiego ogona... A to, że ojciec mój umarł... to prawda. A ja dopiero po miesiącu, omal że bez butów pędzę z Pskowa do domu. Ani brat szubrawiec, ani nawet matka pieniędzy ni zawiadomienia nie przysłali. Nic, nic. Jak z psem. Przez cały miesiąc trząsłem się w gorączce w Pskowie.

— A teraz za jednym zamachem cały miljonik się sprzątnie... i to co najmniej, o, Boże — klasnął w ręce urzędnik.

— Czego on, no niech pan powie? — ze złością i niechęcią kiwnął na niego znów Rogożyn — przecież ani grosza nie dostaniesz, choćbyś tu przede mną na łbie stawał.

— I będę, będę stawał.

— To ci dopiero nie dam, nie dam, choćbyś ty tu cały tydzień tańcował.

— Nie dawaj. Nic mi się nie należy, nie dawaj! Ale tańczyć będę. Żonę i małe dzieci rzucę, a przed tobą tańczyć będę. Pochwal tylko!...

— Tfu!... — splunął brunet. — Pięć tygodni temu ja tak, jak i pan — zwrócił się do księcia — z jednem zawiniątkiem tylko, uciekłem od ojca do Pskowa, do ciotki, tam gorączka zwaliła mię z nóg, a on tymczasem beze mnie umarł. Ospa go zdusiła. Niech mu ziemia lekką będzie, ale o mały włos, byłby mię na śmierć zatłukł. Czy książę uwierzy? Dalibóg! Żebym nie uciekł, byłby mnie zatłukł.

— Czy go pan czem obraził? — odezwał się książę z pewną jemu właściwą ciekawością, przypatrując się miljonerowi w kożuchu. I jakkolwiek i w miljonie i w dziedziczeniu spadku mogło być coś godnego uwagi, to jednak księ-

cia interesowało jeszcze coś innego; zresztą i Rogożyn upatrzył sobie z jakiegoś powodu w księciu swego powiernika, jakkolwiek powiernik był mu potrzebny raczej mechanicznie, niż moralnie, bardziej przez roztargnienie, niż przez prostoduszność; z trwogi, ze wzruszenia, aby móc patrzeć na kogokolwiek i mleć o czem bądź językiem. Zdawało się, że dotychczas ma on jeszcze gorączkę, a co najmniej febrę.

Tymczasem urzędnik zawisł niemal nad Rogożynem, nie śmiał złapać tchu, chwytał i ważył każde słowo, jakby poszukiwał brylantu.

— Że się rozgniewał, to rozgniewał, było może i o co — odpowiadał Rogożyn — ale brat dopiekł mi najbardziej. O matce niema co mówić, kobieta stara, *Czetji-Minieji* czyta, z babami siedzi, a co braciszek Sienka powie, tak być musi. Czemuż to on nie dał mi znać na czas? Wiemy o co chodzi! I to prawda, żem był wtedy bez przytomności. Mówią, że depeszowali. Ale depesza do ciotki przyszła. Trzydzieści lat, jak jest wdową, od rana do nocy siedzi z bigotkami, o zbawieniu duszy myślącemi. Mniszka nie mniszka, albo jeszcze co gorszego. Depeszy się zlękła i nierozpieczętowaną oddała na policję, leżała tam aż dotąd. Tylko Koniew Wasyl Wasylewicz wydobył mnie z kłopotu... opisał wszystko. Z całunu złotogłowego na grobie ojca braciszek frendzle złotolite poobrzynał, niby że, patrzcie jakie pieniądze kosztują. Za to jedno może pójść na Sybir, niech tylko zechcę, ot przecież świętokradztwo. Hej ty czupiradło — zwrócił się do urzędnika. — Co, według prawa, świętokradztwo?...

— Tak, tak, świętokradztwo! — powtarzał urzędnik.

— Za to na Sybir?

— Na Sybir, na Sybir! Odrazu na Sybir!

— Oni myślą wszyscy, że ja jeszcze chory — ciągnął dalej Rogożyn, zwracając się do księcia — a ja, nic nie mówiąc, cichutko, jeszcze niezdrów, do wagonu... i jazda; otwieraj wrota, bracie, bracie Siemionie Siemionyczu! On mnie przed ojcem obgadywał, wiem. A że istotnie przez Nastazję Filipownę wtedym ojca rozgniewał, to prawda. Tu rzeczywiście moja tylko wina. Straciłem rozum.

— Przez Nastazję Filipownę? — niewolniczo wtrącił urzędnik, coś kombinując.

— Toć nie wiesz przecież o kim mowa! — krzyknął na niego niecierpliwy Rogożyn.

— A właśnie, że wiem! — zwycięsko odrzekł urzędnik.

— Patrzcie go! Toć mało Nastazyj Filipowien! I jakie z ciebie natrętne bydlę. Czuła moja dusza, że uczepi się mnie, ot taki bydlak! — zwrócił się do księcia.

— Wiedzieć może i wiem — naprzykrzał się urzędnik. — Lebiediew wie! Jaśnie oświecony raczy mi robić wyrzuty, a co, jeśli dowiodę? Ta właśnie Nastazja Filipowna, za którą ojciec o mało pana nie wyłoił kalinowym kijem, nazywa się Baraszkowa i jest, że tak powiem, wielką damą i też księżną w swoim rodzaju, a zna się z jednym tylko, z pewnym Atanazym Iwanowiczem Tockim, z obywatelem i kapitalistą wielkim, członkiem, akcjonarjuszem wielu towarzystw i z tego powodu przyjacielem jenerała Jepanczyna.

— He, he, patrzajno, jak on to wszystko... — zdziwił się ostatecznie Rogożyn — tfu, niech go djabli, toć naprawdę wie.

— O wszystkiem wie. Lebiediew wie o wszystkiem! Ja, jaśnie oświecony, i z Olesiem Lichaczowym jeździłem dwa miesiące i też po śmierci ojca, i wszystkie kąty i zakątki znam i doszło nawet do tego, że bez Lebiediewa ani kroku. Pracuję w kancelarji dłużników, gdzie miało się sposobność poznać i Armansównę i Koralję i księżnę Packą i Nastazję Filipownę, i kogo wogóle nie miało się sposobności poznać!

— Nastazję Filipownę? Jakto, czyż ona z Lichaczowem... — wrogo spojrzał na niego Rogożyn, wargi mu zsiniały i drgnęły.

— Nic a nic! Ani troszkę! — spostrzegł się i dodał pośpiesznie urzędnik. — Za żadne skarby nie udało się Lichaczowowi! O nie, to nie Armansówna. Tu jeden tylko Tocki. Wieczorem w Wielkim albo Francuskim siedzi we własnej loży. Oficerowie, co to między sobą Bóg wie o czem gadają, a tu niczego nie mogą dowieść, nic powiedzieć: „oto właśnie ta Nastazja Filipowna"... i tyle; poza tem nic, bo i niema nic poza tem.

— To wszystko tak — ponuro i zpodełba przytakiwał

Rogożyn — to samo mówił mi Zależew. Biegłem raz w trzyletnim ojcowskim kaszkiecie po Newskim, a ona wychodzi ze sklepu i siada do karety. Jakby mnie kto obuchem. Spotykam Zależewa; ani mi się umywać do niego, chodzi jak fryzjer, szkło w oko... a my tymczasem u ojca w butach wyszuwaksowanych i na nieokraszonym barszczu paradowaliśmy. Powiada: nie dla ciebie para: to księżna, zwie się Nastazja Filipowna Baraszkowa, żyje z Tockim. Tocki nie wie, jak odczepić się od niej, bo już całkiem... to jest pięćdziesiątka stuknęła i żenić się chce z najpierwszą pięknością w całym Petersburgu. Jednocześnie powiada, że mogę ją spotkać dziś w teatrze Wielkim na balecie, w loży. Niechnoby który z nas u ojca spróbował pójść na balet: awantura, zabiłby. Ja jednak pokryjomu wyrwałem się na godzinkę i znów zobaczyłem Nastazję Filipowną: całą noc nie spałem. Rano daje mi ojciec dwa papiery procentowe, po pięć tysięcy każdy, idź, powiada, i sprzedaj: siedm tysięcy pięćset zaniesiesz do Andrejewych do kantoru, a resztę przyniesiesz tu, nigdzie nie zachodząc, i oddasz mnie. Będę na ciebie czekał. Papiery sprzedałem, ale do Andrejewych już nie chodziłem, poszedłem, nie zwracając na nic uwagi, do angielskiego jubilera i za wszystko, com miał, sprawiłem dwa kolczyki, po brylanciku jak orzech w każdym. Czterysta rubli zostałem jeszcze dłużny. Wymieniłem nazwisko. Uwierzyli. Z kolczykami do Zależewa. Mówię: tak i tak, chodź do Nastazji Filipowny. Co pod nogami, co przede mną, co z boku, nic nie wiem, nie pamiętam. Weszliśmy wprost do salonu, wyszła sama do nas. Nie powiedziałem nawet jakoś wtedy, że to ja sam, a że „od Parfena Rogożyna na pamiątkę wczorajszego spotkania — powiada Zależew — zechce pani łaskawie przyjąć“. Otworzyła, spojrzała, uśmiechnęła się: „Niech pan podziękuje przyjacielowi swemu, panu Rogożynowi, za jego uprzejmość“. Kiwnęła głową i wyszła. Ach, czemużem tam wtedy nie umarł na miejscu. Poszedłem wtedy, bom myślał: „Wszystko jedno, już nie wrócę żywy!“ A najbardziej dotknęło mię to, że ta bestja Zależew przywłaszczył wszystko sobie. Mały, ubrany jak andrus, stoję, milczę, oczy na nią wybałuszam, bo mi wstyd, a on modnie ubrany, wypomadowany, ufryzowany, rumiany, krawat

w kratkę... cholewki smali, szasta się, przegina się... napewno wzięła go za mnie! Jakeśmy wyszli, powiadam: „A ty nie waż mi się nawet myśli do głowy dopuszczać, rozumiesz!" Roześmiał się. „Ciekawe, jak to ty teraz będziesz ojcu zdawał sprawę?" Wolałbym wtedy, coprawda, odrazu do wody, ale myślę sobie, co tam, wszystko jedno... i wróciłem do domu jak opętany.

— Ech! Uch! — stękał urzędnik, czując lekki dreszczyk po skórze — a trzeba wiedzieć, że nieboszczyk nie za dziesięć tysięcy, ale za dziesięć rubeljansów doprowadzać umiał ludzi do światłości wiekuistej — rzucił księciu.

Książę z ciekawością przyglądał się Rogożynowi; zdawało się, że był on jeszcze bledszy w tej chwili.

— Ale, do światłości wiekuistej! — wymówił Rogożyn — a ty skąd wiesz? I natychmiast — mówił dalej do księcia — o wszystkiem się dowiedział, zresztą i Załeżew każdemu, kto się nawinął, o wszystkiem plótł. Zamknął mnie ojciec na górze i całą godzinę prawił: „Teraz cię tylko tak przygotuję, a na dobranoc przyjdę jeszcze pożegnać się z tobą". Wyobraźcie sobie! Pojechał stary do Nastazji Filipownej, kłaniał się do ziemi, błagał i płakał; wyniosła mu pudełko, skoczyła i powiada: „Masz, stary pryku, swoje kolczyki, teraz stały mi się one dziesięć razy droższe, kiedy z takim strachem dobywał je Parfen. Kłaniaj się — powiada— i podziękuj ode mnie Parfenowi Siemionyczowi". Ja tymczasem z błogosławieństwem matki dostałem dwadzieścia rubli od Sierjożki Protuszyna i jazda pociągiem do Pskowa i przyjechałem z febrą; baby zaczęły tam zamawiać chorobę różańcem, ja siedzę pijany, potem za resztę, co mi się została, włóczyłem się po szynkach i bez zmysłów tarzałem się gdzieś w rynsztoku. Nad ranem już gorączka, a tymczasem w nocy psy mnie w dodatku obgryzły. Ledwom do siebie przyszedł.

— No, no, ale to teraz zaśpiewa Nastazja Filipowna— zacierając ręce, chichotał urzędnik — co tam kolczyki! Teraz się sprawi takie kolczyki!

— Słuchaj, jeżeli ty mi raz jeszcze słowo o Nastazji Filipownie powiesz, to Bóg mi świadkiem, że cię spiorę, pomimo to, żeś z Lichaczowem jeździł — krzyknął Rogożyn, chwytając go mocno za rękę.

— A jak spierzesz, to tem samem nie odrzucisz! Bij! Spierzesz i tem samem zatwierdzisz!... Otóż przyjechaliśmy!

Rzeczywiście wjeżdżano na dworzec. Chociaż Rogożyn mówił, że wyjechał pocichutku, czekało już na niego parę osób. Krzyczeli i machali czapkami.

— Patrzcie, jest i Zależew! — mruczał Rogożyn, patrząc na nich z triumfującym i nawet jakby złym uśmiechem; nagle odwrócił się do księcia: — Książę, nie wiem, za com cię polubił. Może dlatego, żem cię w takiej chwili spotkał, ale przecież i jego spotkałem (wskazał na Lebiediewa), a nie pokochałem. Zajdź do mnie, książę. Zdejmiemy z ciebie te kamaszki, ubiorę cię w futro z kuny, w najlepsze; frak ci sprawię najprzedniejszy, kamizelkę białą, albo jaką chcesz, pieniędzy napcham ci pełne kieszenie i... pojedziemy do Nastazji Filipowny. Przyjdziesz, czy nie?

— Uważaj, książę Leonie Mikołajewiczu! — poważnie i z namaszczeniem podchwycił Lebiediew. — Nie wypuszczaj sposobności!...

Książę Myszkin wstał, podał uprzejmie rękę Rogożynowi i powiedział jak najuprzejmiej:

— Z największą przyjemnością przyjdę i bardzo jestem panu wdzięczny za to, że mnie pan pokochał. Może nawet dziś zajdę, jeśli zdążę. Powiem panu szczerze, że i pan bardzo mi się spodobał, a szczególnie, jak sam opowiadał o tych brylantowych kolczykach. Nawet i przed kolczykami mi się pan podobał, chociaż ma pan twarz ponurą. Dziękuję panu za obiecane futro i ubranie, niezadługo mi się przydadzą. A i pieniędzy w chwili obecnej nie mam ani grosza prawie.

— Pieniądze będą, do wieczora będą, przyjdź tylko!

— Będą, będą — wtrącił urzędnik — jeszcze przed wieczorem, przed zachodem słońca!

— A płci pięknej jesteś książę amatorem? Mów odrazu!

— Ja n-n-nie! Ja przecież... Pan pewno nie wie, że ja z powodu choroby zupełnie kobiet nie znam.

— Kiedy tak — krzyknął Rogożyn — wychodzi na to, że jesteś książę, pomylony, a takich Bóg kocha.

— Tak, takich Bóg miłuje — wtrącił urzędnik.

— A ty, pieniaczu, chodź ze mną — zwrócił się Rogożyn do Lebiediewa i wszyscy wyszli z wagonu.

Skończyło się na tem, że Lebiediew dopiął swego. Wkrótce hałaśliwa banda skierowała się w stronę Woznieseńskiego. Książę musiał zawrócić na Litiejną. Wilgotno było i mokro; książę wybadywał przechodniów; okazało się, że ma ze trzy wiorsty drogi. Postanowił jechać dorożką.

II

Jenerał Jepanczyn mieszkał we własnym domu, nieco w bok od Litiejnej w stronę kościoła Przemienienia Pańskiego. Oprócz tego (wspaniałego) domu, którego pięć szóstych odnajmował, miał jenerał Jepanczyn inny olbrzymi dom, przynoszący mu również nadzwyczajny dochód. Poza temi dwiema nieruchomościami, miał pod samym Petersburgiem duży i wygodny majątek ziemski, a w petersburskim powiecie... fabrykę. Przedtem, jak wszystkim wiadomo, jenerał Jepanczyn brał udział w dzierżawie monopolu wódczanego. Teraz uczestniczył i był bardzo wpływowym członkiem w pewnych solidnych akcyjnych towarzystwach. słynął jako człowiek z wielkim majątkiem, z wielkiemi zajęciami i z wielkiemi stosunkami. Na niektórych stanowiskach potrafił się stać niezbędnym, między innemi i w swoim urzędzie. A tymczasem wszyscy wiedzieli, że Jan Teodorowicz Jepanczyn był synem prostego żołnierza i nie otrzymał żadnego wykształcenia. To ostatnie mogło bezwątpienia przynosić mu tylko zaszczyt, ale jenerał, choć mądry, miał też swoje maleńkie, łatwe do przebaczenia słabostki i nie lubił pewnych przytyków. Ale mądrym i zręcznym był bez zaprzeczenia. Miał, naprzykład, zwyczaj nie wysuwania się naprzód tam, gdzie wypadało nie zwracać na siebie uwagi i wielu ceniło go właśnie za jego prostotę, właśnie za to, że był zawsze na swojem miejscu. Gdyby jednak ci sędziowie wiedzieli, co się nieraz działo w duszy Jana Teodorowicza, tak zręcznie umiejącego zawsze być na swojem miejscu! Cho-

ciaż rzeczywiście miał i praktykę i doświadczenie w sprawach życiowych i pewne, bardzo nawet duże zdolności, lubił jednakże przedewszystkiem podawać się za wykonawcę cudzych pomysłów raczej, jak za człowieka samodzielnego, za człowieka „oddanego bez pochlebstwa" i... cóż to za czasy nadeszły... nawet za serdecznego i prawdziwego Rosjanina. W tym względzie zdarzyło się z nim parę zabawnych przypadków, ale jenerał nigdy nie tracił dobrej miny, nawet przy najzabawniejszych przypadkach; przytem wiodło mu się i w grze w karty, a grał niezwykle drogo i celowo, nietylko nie chciał ukrywać swej małej słabostki do karciąt, tak istotnie i w wielu przypadkach mu dogadzającej, lecz popisywał się nią. Bywał w towarzystwie mieszanem, ale w każdym razie, ma się rozumieć, że tylko w towarzystwie grubych ryb. Wszystko wszakże należało do przyszłości, czas był cierpliwy, czas był bardzo cierpliwy i wszystko musiało przyjść w swoim czasie i we właściwym porządku. I co do wieku był jenerał Jepanczyn, jak się to mówi, w kwiecie lat, miał bowiem pięćdziesiąt sześć lat i ani dnia więcej, co w każdym razie stanowi wiek męski, wiek w którym istotnie rozpoczyna się prawdziwe życie. Zdrowie, cera, silne, chociaż czarne zęby, krępa i silna budowa ciała, fizjognomja w biurze podczas dni zaaferowana, wieczorem zaś przy kartach u jego ekscelencji promienna... wszystko dopomagało do obecnych i późniejszych powodzeń i wyściełało różami życie dygnitarza.

Rodzinka generalska kwitła. Aczkolwiek nie stanowiły jej same róże, ale też było dużo i czegoś takiego, na czem oddawna już zaczęły się skupiać poważnie i serdecznie największe nadzieje i plany jego ekscelencji. I rzeczywiście, jakiż może być w życiu rodziców cel świętszy i ważniejszy? Do czego się przywiązać, jeśli nie do rodziny? Rodzina jenerała składała się z żony i trzech dorosłych córek. Ożenił się jenerał wcześnie, jeszcze jako porucznik, z panną mniej więcej tego samego co i on wieku, nie posiadającą ani urody, ani wykształcenia, za którą wziął wszystkiego tylko pięćdziesiąt dusz... prawda, że to posłużyło jako podstawa jego późniejszego majątku. Jednakże jenerał nigdy nie biadał na swój wczesny ożenek, nigdy go nie traktował jako wybryk nieroz-

ważnej młodości, a żonę do tego stopnia cenił i tak się jej nieraz lękał, że nawet ją kochał. Jenerałowa pochodziła z książęcego rodu Myszkinów, rodziny niebardzo świetnej, ale niesłychanie starożytnej i bardzo ceniła to swoje pochodzenie. Ktoś z ówczesnych wpływowych osób, jeden z tych opiekunów, których *notabene* opieka nic nie kosztuje, zgodził się zainteresować małżeństwem młodej księżniczki. Otworzył furtkę młodemu oficerowi i pchnął go w odpowiednim kierunku; tam nie potrzebował on już pchnięcia, dosyć było spojrzeć... nie zginąłby marnie. Z małemi wyjątkami małżonkowie przeżyli cały długi czas do srebrnego wesela zgodnie. Jeszcze będąc młodą, jenerałowa jako z pochodzenia księżniczka i ostatnia z rodu, a może i wskutek osobistych zalet, umiała znaleźć bardzo wysokich opiekunów. Później, kiedy wzrastała zamożność i stanowisko męża, zaczęła się z tem wyższem towarzystwem trochę oswajać.

W ostatnich latach podrosły i dojrzały trzy córki jenerała, Aleksandra, Adelajda i Agłaja. Prawda, że były to tylko Jepanczynówny, ale po matce z rodu książęcego, z niemałym posagiem, córki człowieka ubiegającego się, być może później, o bardzo wysokie stanowiska i co również dosyć ważne... wszystkie trzy bardzo przystojne, nie wyłączając najstarszej Aleksandry, która miała dwadzieścia pięć lat. Średnia miała dwadzieścia trzy lata, a najmłodsza Agłaja, skończyła właśnie dwudziesty rok życia. Z najmłodszej była nawet skończona piękność i w świecie zaczynała już zwracać na siebie ogólną uwagę. Ale i to jeszcze nie wszystko, wszystkie trzy były wykształcone, inteligentne i utalentowane. Wszystkim było wiadomo, do jakiego stopnia się między sobą kochają i jak jedna drugą zawsze brała w obronę. Mówiono nawet o pewnych jakoby ofiarach, które poniosły dwie starsze siostry na rzecz młodszej... bóstwa całego domu. W towarzystwie nietylko nie lubiły wysuwać się naprzód, ale nawet były zbyt skromne. Nikt nie mógł im zarzucić pychy i zapalczywości, a tymczasem wszyscy wiedzieli, że są dumne i wartość swoją znają. Najstarsza była bardzo muzykalna, artystka, średnia zaś znakomita malarka, ale o tem nikt nic przez długie lata nie wiedział i wyszło na jaw dopiero w ostatnich czasach i to przypadkiem. Jednem słowem

mówiono o nich niezwykle pochlebnie. Byli jednak i nieżyczliwi. Z przerażeniem mówiono o tem, ile książek przeczytały. Wyjść zamąż nie było im pilno i chociaż dbały o bywanie w pewnej sferze towarzyskiej, ale też nie za bardzo. Było to tem dziwniejsze, że wszyscy znali kierunek, charakter, zamiary i pragnienia rodziców.

Było już około godziny jedenastej, gdy książę zadzwonił do mieszkania jenerała. Jenerał mieszkał na drugiem piętrze i zajmował lokal możliwie skromny, chociaż odpowiedni do jego stanowiska. Otworzył księciu lokaj w liberji i długo musiał książę tłumaczyć się przed tym człowiekiem, podejrzliwie przyglądającym się od samego początku jemu i jego tobołkowi. Wkońcu, po niejednokrotnem i dokładnem objaśnieniu, że jest rzeczywiście księciem Myszkinem i że bezwarunkowo musi się widzieć z jenerałem w sprawie niecierpiącej zwłoki, zdziwiony sługa zaprowadził go obok do maleńkiego przedpokoju przed samą poczekalnią koło gabinetu i oddał go w ręce drugiego służącego, który dyżurował co rano w przedpokoju i meldował jenerałowi gości. Ów drugi był we fraku, miał przeszło czterdzieści lat i zamyślony wyraz twarzy; był to specjalny sługa i prawa ręka jego ekscelencji, wskutek czego znał swoją wartość.

— Niech pan się zatrzyma w poczekalni, a zawiniątko proszę tu zostawić — rzekł bez pośpiechu, siadając z godnością na swojem krześle i patrząc z surowem zdziwieniem na księcia, który usiadł obok niego na krześle ze swoim tobołkiem w ręku.

— Jeżeli można — odpowiedział książę — jabym wolał tutaj razem z panem, bo tam jakoś samemu?...

— W przepokoju nie wypada czekać. Interesant, to przecież tak, jak gość. Do samego jenerała?

Nie mógł się widocznie lokaj zgodzić z myślą wpuszczenia takiego gościa i postanowił raz jeszcze go wybadać.

— Tak, mam interes... — zaczął książę.

— Nie pytam, jaki mianowicie pan ma interes, moja rzecz meldować, a bez sekretarza, jak już powiedziałem, meldować pana nie pójdę.

Podejrzliwość tego człowieka najwidoczniej coraz bardziej wzrastała; bo też książę zbyt już był niepodobny do

codziennych gości i chociaż jenerał dosyć często, niemal codziennie, o pewnej godzinie, musiał przyjmować, zwłaszcza w interesie, nieraz nawet bardzo różnych gości, jednak pomimo zwyczaju i instrukcji dosyć szczegółowej, kamerdyner miał poważne wątpliwości; pośrednictwo sekretarza w zameldowaniu było tutaj niezbędne.

— Pan naprawdę... z zagranicy? — zapytał wkońcu jakby nieumyślnie i stropił się; chciał może zapytać: „czy pan rzeczywiście książę Myszkin?"

— Tak, wprost z wagonu. Zdaje mi się, że chciał pan zapytać, czy rzeczywiście jestem księciem Myszkinem i tylko przez grzeczność pan nie zapytał.

— Hm... — mruknął zdziwiony lokaj.

— Zapewniam pana, żem nie skłamał i że odpowiadać za mnie pan nie będzie. A że sobie tak przyszedłem i z zawiniątkiem, niema się czemu dziwić; obecnie moje interesy nie stoją świetnie.

— Hm... Ja się tego nie boję, widzi pan. Zameldować muszę i wyjdzie do pana sekretarz, chyba, że pan... Bo, o to właśnie idzie, że chyba... Pan nie o zapomogę idzie prosić jenerała, pozwolę sobie zapytać, jeśli można?

— O nie, proszę być tego zupełnie pewnym. Inny mam interes.

— Wybaczy pan, ja tak, patrząc na pana, spytałem. Niech pan czeka na sekretarza, jenerał teraz zajęty z pułkownikiem, a potem przyjdzie i sekretarz...

— A więc, jeśli długo wypadnie czekać, to czy nie mógłbym gdzie tutaj popalić? Mam przy sobie tytoń i fajeczkę.

— Palić? — z pogardliwem niedowierzaniem otworzył szeroko na niego oczy kamerdyner, jakby nie wierząc własnym uszom — palić? Nie, tu pan nie może palić, a co więcej, powinien się pan wstydzić nawet myśleć o tem. He... dobry sobie!

— O, przecież ja nie w tym pokoju chciałem; przecież ja wiem; wyszedłbym gdziekolwiek bądź, tam, gdzieby mi pan wskazał, bo przyzwyczaiłem się, a od trzech godzin już nie paliłem. Zresztą, jak pan chce, i wie pan, jest przysłowie, że do cudzego klasztoru...

— No, jakże ja takiego człowieka zamelduję — mruknął prawie mimowoli kamerdyner. — Po pierwsze, nawet nie wypada, aby pan tu był, powinien pan siedzieć w poczekalni, pan jest w randze klienta, a raczej gościa i ja będę odpowiadał... A cóż to, czy pan u nas mieszkać zamierza? — dodał, spojrzawszy raz jeszcze zpodełba na tobołek księcia, widocznie nie dający mu spokoju.

— Nie, nie myślę! Nawet gdyby mnie zaproszono, nie zostanę. Poprostu przyjechałem, aby się zaznajomić i nic więcej.

— Co? Zaznajomić się? — zapytał kamerdyner ze zdziwieniem i ze zwiększoną jeszcze podejrzliwością — mówił pan przedtem, że za interesem!

— O! cóż to za interes! Właściwie, jeśli pan chce, jest pewien interes, tak tylko prosić o radę, ale głównie chcę się przedstawić, ponieważ jestem księciem Myszkinem, a jenerałowa Jepanczyn też ostatnia z książąt Myszkinów i prócz mnie i niej więcej Myszkinów niema.

— To i krewny jeszcze? — zawołał lokaj już prawie zupełnie wystraszony.

— I to prawie że nie. Zresztą, jeśli koniecznie naciągnąć, zapewne krewni, ale tak dalecy, że Bogiem a prawdą i w rachubę brać nie można. Pisałem raz z zagranicy do jenerałowej, ale mi nie odpowiedziała. Ja jednakże uznałem za właściwe po powrocie nawiązać stosunki. Tłumaczę panu to wszystko, aby pan nie miał wątpliwości, bo widzę, że pan się jeszcze niepokoi; zamelduje pan, że jest książę Myszkin i już w samem zameldowaniu powód moich odwiedzin będzie jasny. Przyjmą... dobrze, nie przyjmą... to może nawet i lepiej. Zdaje się jednak, że nie mogą nie przyjąć. Jenerałowa napewno będzie chciała widzieć jedynego przedstawiciela swego rodu, a ona swój ród wysoko ceni, jakem to z pewnego źródła słyszał.

Zdawało się, że rozmowa była zupełnie zwyczajną, ale im była zwyczajniejszą, tem stawała się w danym wypadku bezsensowniejszą, i doświadczony kamerdyner nie mógł nie odczuć czegoś, co jest stosowne w rozmowie człowieka z człowiekiem i zupełnie niestosowne w rozmowie gościa z „człowiekiem“. A ponieważ „ludzie“ są daleko mądrzejsi,

aniżeli zwykle wyobrażają sobie ich panowie, więc kamerdynerowi przyszło do głowy, że tutaj mogą zachodzić dwa przypadki: albo książę jest jakimś włóczęgą i przyszedł prosić o jałmużnę, albo, że jest on wprost niespełna rozumu, i nie ma ambicji, bo czyżby mądry, mający ambicję książę, siedział w przedpokoju i z lokajem mówił o swoich interesach; czy więc w jednym lub drugim przypadku nie będzie się za niego odpowiadało?

— A możeby tak do poczekalni — zauważył, o ile możności bardziej nalegająco.

— Gdybym tam siedział, tobym panu tego wszystkiego nie wytłumaczył — wesoło zaśmiał się książę — i pan byłby w dalszym ciągu niespokojny, patrząc na mój płaszcz i węzełek. A teraz może pan już nie potrzebuje czekać na sekretarza, a iść wprost i zameldować.

— Takiego gościa, jak pan, bez sekretarza nie mogę meldować, przytem sam pan zakazał przeszkadzać, dopóki tam jest pułkownik, a Gabrjel Ardaljonowicz wchodzi bez meldowania.

— Urzędnik?

— Gabrjel Ardałjonowicz? Nie... On służy w Towarzystwie. Niech pan chociaż ten tobołek tam położy.

— Myślałem już o tem; jeżeli pan pozwoli. Wie pan, zdejmę chyba płaszcz?

— Rozumie się, nie wejdzie pan przecież w płaszczu.

Książę wstał, zdjął czemprędzej płaszcz i został w dosyć przyzwoitej i zgrabnie skrojonej, chociaż już znoszonej marynarce. Na kamizelce wisiał stalowy łańcuszek. Na łańcuszku genewski, srebrny zegarek.

Chociaż książę był niespełna rozumu... tak już lokaj zdecydował... jednak wkońcu wydało się jeneralskiemu kamerdynerowi niestosownem prowadzić dalej rozmowę z gościem, pomimo że książę podobał mu się, Bóg raczy wiedzieć dlaczego, no i rozumie się, tylko pod pewnemi względami. Z innego punktu widzenia budził w nim stanowcze i głębokie oburzenie.

— A jenerałowa kiedy przyjmuje? — zapytał książę, siadając na poprzedniem miejscu.

— A to już rzecz nie moja. Rozmaicie przyjmuje, jak kogo. Krawcową i o jedenastej przyjmie. Gabrjela Ardaljonowicza też wcześniej niż innych przyjmie, bywa nawet do pierwszego śniadania dopuszczany.

— Tu w mieszkaniu cieplej w zimie, niż zagranicą — zauważył książę — a zato tam na ulicach cieplej, niż u nas, a w domach zimową porą... trudno nieprzyzwyczajonemu Rosjaninowi wytrzymać.

— Nie palą?

— Tak, a i domy inaczej urządzone, to jest piece i okna.

— Hm! A długo to pan raczył jeździć?

— Tak, cztery lata. Zresztą, prawie cały czas przesiedziałem na jednem miejscu, na wsi.

— Od tutejszego odwykł pan?

— I to prawda. Czy pan da wiarę, mnie samemu dziwnie, że po rosyjsku mówić nie zapomniałem. Ot, teraz rozmawiam z panem i wciąż sobie myślę: „a przecież ja dobrze mówię". Być może dlatego tak dużo mówię. Słowo daję, od wczoraj ciągle się chce po rosyjsku mówić.

— He! he! A przedtem pan mieszkał w Petersburgu? (Pomimo wszelkich wysiłków nie mógł lokaj nie podtrzymywać tak przyzwoitej i grzecznej rozmowy).

— W Petersburgu? Prawie że nie, tak tylko, w przejeździe. I przedtem tu nic nie znałem, a teraz słyszę tyle nowego, że jak mówią, kto cokolwiek bądź znał, teraz musi na nowo wszystko poznawać. Dużo tu teraz mówią o sądach.

— Hm!... O sądach. Tak, to prawda, mówią o sądach. A jakże tam, sprawiedliwiej w sądach, czy nie?

— Nie wiem. Dużo dobrego o naszych słyszałem. Ot i kary śmierci u nas znów niema...

— A tam jest kara śmierci?

— A jakże. Widziałem we Francji, w Lugdunie. Zabrał mnie tam ze sobą Schneider.

— Wieszają?

— Nie, we Francji wciąż głowy ścinają.

— Cóż, krzyczy?

— Gdzie tam. W jednej chwili. Kładą człowieka i spada taki szeroki nóż w maszynie, gilotynie, ciężko, silnie...

Głowa tak odskoczy, że nie zdąży okiem mrugnąć. Przygotowania przykre. Kiedy ogłaszają wyrok, ubierają, wiążą, prowadzą na szafot, wtenczas straszno! Zbiega się lud, nawet kobiety, chociaż tam nie lubią, żeby kobiety patrzały.

— Nie babska rzecz.

— Rozumie się. Taką męczarnię!... Przestępca był to człowiek mądry, nieustraszony, silny, trochę już starszy, nazywał się Legro. No, słowo panu daję, chcesz pan... wierz, nie chcesz... nie wierz, na szafot wchodził i płakał, biały, jak płótno. Nie do wiary! Czy to nie straszne? No, któż płacze ze strachu? Przez myśl mi nie przeszło, że może płakać ze strachu nie dziecko, a człowiek, który nigdy nie płakał, czterdziesto-pięcioletni człowiek. Co się w takich chwilach dzieje z duszą, do jakich spazmów ją doprowadzają? Znęcanie się nad duszą i nic więcej! Powiedziane jest: „nie zabijaj", więc za to, że zabił i jego zabijają? Nie, tak nie można. Miesiąc temu widziałem to, a do dziś dnia stoi mi to przed oczyma. Z pięć razy już mi się śniło.

Książę ożywił się mówiąc, lekki rumieniec wystąpił na jego bladej twarzy, chociaż tak jak i przedtem mowa jego była cicha. Kamerdyner chłonął słowa gościa z życzliwem zainteresowaniem; może był on również człowiekiem z nieco bujniejszą wyobraźnią i pretensjami do myślenia.

— Całe szczęście, że niedużo męczarni — zauważył — gdy głowa odpada.

— Wie pan co? — podchwycił książę gorąco — pan to zauważył i wszyscy to z pewnością także zauważają tak jak pan, i poto wymyślona ta maszyna, gilotyna. A mnie wtenczas taka przyszła myśl do głowy: a co, jeśli to nawet i gorzej? Pana to śmieszy, wydaje się to panu dzikiem, a przy pewnej wyobraźni nawet taka myśl wskoczy człowiekowi do głowy. Pomyśl pan: weźmy np. tortury; przy tem cierpienia i rany, męka cielesna i to wszystko prawdopodobnie odciąga od duchowej męki, tak, że człowiek męczy się tylko samemi ranami, dopóki i nie umrze. A przecież główny, najsilniejszy ból może nie od ran, a od tego, że wiesz napewno, że za godzinę, potem za dziesięć minut, potem za pół minuty, potem teraz zaraz... dusza wyleci z ciała i że już nigdy człowiekiem nie będziesz, i że to już napewno; przedewszystkiem to, że

napewno. Kiedy głowę kładziesz pod sam nóż i słyszysz, jak zsuwa się nad głową, ta właśnie ćwierć sekundy najstraszniejsza. Wie pan, to nie mój pomysł, wielu ludzi tak mówiło. Ja do tego stopnia w to wierzę, że powiem panu wprost, co o tem myślę. Zabijać za zabójstwo, to bezporównania cięższa kara, niż sama zbrodnia. Zabójstwo wskutek wyroku jest bezporównania straszniejsze, niż zabójstwo rozbójnicze. Ten, którego zabijają rozbójnicy, zamordowują w nocy, w lesie, czy jak tam, z pewnością ma nadzieję wyratowania się aż do ostatniej chwili. Bywały przykłady, że już gardło poderznięte, a on ciągle ma nadzieję, albo ucieka, albo prosi. A tutaj całą tę ostatnią nadzieję, z którą umierać jest dziesięć razy lżej, odbierają n a p e w n o; tu jest wyrok i w tem, że napewno się go nie uniknie, siedzi cała straszna męczarnia i od tej męczarni niema nic na świecie silniejszego. Niech pan przyprowadzi i postawi żołnierza naprzeciwko armaty w bitwie i niech pan strzela w niego, on ciągle będzie miał nadzieję, ale niech pan przeczyta temu samemu żołnierzowi wyrok, a zwarjuje, albo się rozpłacze. Któż powiedział, że natura ludzka jest w stanie znieść to bez obłąkania? Pocóż takie znęcanie się dzikie, niepotrzebne, zbyteczne? Możebne, że jest na świecie człowiek, któremu przeczytano wyrok, pozwolili pomęczyć się, a potem powiedzieli: „idź, ułaskawiają cię". Ten człowiek, być może, mógłby opowiedzieć. O tej męce i o tym strachu i Chrystus mówił. Nie, z człowiekiem tak nie można postępować.

Chociaż kamerdyner nie mógłby wyrazić tego wszystkiego tak, jak książę, jednak, choć może nie wszystko, zawsze co główniejsze zrozumiał, co nawet było widocznem na jego twarzy, która przybrała wyraz rozczulenia.

— Jeżeli pan już tak chce — powiedział — popalić trochę, to możeby się i dało, byle trochę prędzej. Bo może zawołać, a tu pana niema. O tam, pod schodkami, widzi pan, drzwi. Wejdzie pan w drzwi, na prawo jest komórka; tam można, tylko otworzy pan lufcik, bo, widzi pan, nieporządek...

Ale książę nie zdążył pójść palić. Do przedpokoju wszedł nagle młody człowiek z papierami w ręku. Kamerdy-

ner zdjął z niego futro. Młody człowiek spojrzał zezem na księcia.

— To, Gabrjelu Ardałjonowiczu — zaczął konfidencjonalnie i prawie poufale kamerdyner — melduje się, że jest książę Myszkin i pani krewny, przyjechał pociągiem z zagranicy i tylko zawiniątko w ręku...

Dalszego ciągu książę nie usłyszał, gdyż kamerdyner zaczął szeptać. Gabrjel Ardałjonowicz słuchał uważnie i spoglądał na księcia z wielką ciekawością, wkońcu przestał słuchać i niecierpliwie zbliżył się do niego.

— Pan jest książę Myszkin? — zapytał nadzwyczaj uprzejmie i grzecznie.

Był to bardzo piękny młody człowiek, lat dwudziestu ośmiu, wysoki blondyn, wzrostu średniego, z maleńką hiszpanką, z rozumną i bardzo piękną twarzą. Tylko uśmiech jego przy całej swej uprzejmości był cokolwiek sprytny; zęby prezentowały się przy nim cokolwiek za perłowo-równe; spojrzenie, pomimo całej swej wesołości i widocznej prostoty, było coś zanadto przenikliwe i badawcze.

„On chyba, jak jest sam, nie tak patrzy i może nigdy się nie śmieje", uczuł jakoś książę.

Książę objaśnił wszystko, co mógł, naprędce, prawie to samo, co przedtem tłumaczył kamerdynerowi, a jeszcze przedtem Rogożynowi. Gabrjel Ardałjonowicz tymczasem jakby sobie coś przypominał.

— Czy to nie pan — zapytał — był łaskaw z rok temu, czy nawet później, pisać, zdaje się z Szwajcarji, do Elżbiety Prokofjewny?

— Tak jest.

— To pana tu znają i z pewnością pamiętają. Pan do jego ekscelencji? W tej chwili zamelduję... Zaraz będzie wolny. Tylko, żeby pan... możeby pan tymczasem do poczekalni... Dlaczegoś nie prosił? — zwrócił się surowo do kamerdynera.

— Przecież mówię, że sam nie chciał...

W tej samej chwili otworzyły się drzwi gabinetu i wyszedł jakiś wojskowy z teką w ręku, głośno rozmawiając i kłaniając się.

— Ganiu, ty tu? — zawołał głos z gabinetu — chodźże tutaj!

Gabrjel Ardaljonowicz kiwnął księciu głową i poszedł prędko do gabinetu.

Po dwóch minutach znów się drzwi otworzyły i dał się słyszeć dźwięczny i zapraszający głos Ardaljonowicza.

— Niech książę będzie łaskaw.

III

Jenerał Jan Teodorowicz Jepanczyn stał na środku swego gabinetu i patrzał z nadzwyczajną ciekawością na wchodzącego księcia, podszedł nawet dwa kroki ku niemu. Książę zbliżył się i przedstawił.

— Tak — odpowiedział jenerał — czemże mogę służyć?

— Interesu niecierpiącego zwłoki nie mam żadnego; poprostu miałem zamiar zapoznać się z panem. Nie chciałbym przeszkadzać, a nie wiem, kiedy pan przyjmuje, ani jakie pana zwyczaje... Ale ja sam dopiero co z wagonu... przyjechałem z Szwajcarji...

Jenerał o mało się nie uśmiechnął, ale pomyślał chwilkę i dał spokój; potem znów pomyślał, przymrużył oczy, obejrzał raz jeszcze swego gościa od stóp do głowy, następnie wskazał mu krzesło, sam usiadł cokolwiek zboku i zwrócił się do księcia z niecierpliwem wyczekiwaniem. Gania stał w kącie gabinetu i przeglądał papiery.

— Wogóle mało mam czasu na znajomości — ale ponieważ pan ma, rozumie się, jakiś interes, więc...

— Przeczuwałem — przerwał książę — że pan bezwątpienia będzie upatrywał w mojem przyjściu jakiś specjalny zamiar. Ale naprawdę, prócz przyjemności zaznajomienia się, nie mam żadnego osobistego interesu.

— Przyjemność, rozumie się, i dla mnie nadzwyczajna, ale nie same w życiu przyjemności, czasem, rozumie pan, zdarza się i interes... Poza tem nie jestem w stanie dotychczas zauważyć między nami czegoś wspólnego... że tak powiem, przyczyny...

— Przyczyny, bez kwestji, niema i wspólnego też, rozumie się, mało mamy... Ponieważ, jeżeli ja jestem księciem Myszkinem i pańska małżonka do naszego rodu należy, to, rozumie się, nie jest przyczyna. A jednak cała moja przyczyna na tem tylko polega. Nie byłem już cztery lata w Rosji, dłużej nawet, i w jakim stanie wyjeżdżałem: prawie obłąkany! Wtenczas o niczem nie wiedziałem, a teraz tem bardziej. Potrzeba mi dobrych ludzi, nawet mam pewien interes, a nie wiem dokąd się skierować. Jeszcze w Berlinie pomyślałem: „to są prawie krewni, zacznę od nich; być może, że się sobie na coś przydamy, oni mnie, ja im... jeżeli oni są dobrymi ludźmi“. A słyszałem, że państwo są dobrzy ludzie.

— Wielce obowiązany — dziwił się jenerał — pozwalam sobie zapytać, gdzie się pan zatrzymał?

— Jeszcze nigdzie się nie zatrzymałem.

— Więc wprost z wagonu do mnie? I... z bagażem?

— No, całego bagażu mam jedno małe zawiniątko z bielizną i nic więcej; noszę je zwykle w ręku. Zdążę i wieczorem numer w hotelu zająć.

— Więc pan trwa w zamiarze zajęcia numeru?

— O, tak, ma się rozumieć.

— Sądząc z pańskich słów, przypuszczałem, że pan tak wprost do mnie.

— Mogło to mieć miejsce, ale nieinaczej, jak wskutek pańskiego zaproszenia. Ja zresztą, przyznam się, nie zostałbym pomimo to; nie z jakiegokolwiek powodu, a tak... wskutek charakteru.

— No, więc dobrze się stało, że pana nie zaprosiłem i nie zapraszam. Pozwoli książę, że odrazu wszystko wyjaśnimy: ponieważ dogadaliśmy się, że co do pokrewieństwa między nami nawet mowy być nie może... chociaż mnie, ma się rozumieć, bardzoby to pochlebiło... zatem...

— Zatem wstać i wynosić się? — powstał książę, nawet jakoś wesoło się roześmiawszy, pomimo widocznej niedogodności swego położenia. — I słowo daję, jenerale, choć najmniejszego pojęcia nie mam o tutejszych obyczajach, ani wogóle jak tu ludzie żyją, odrazu pomyślałem, że między nami tak się sprawa skończy. Cóż, może to i lepiej... A i wte-

dy odpowiedzi na swój list nie dostałem... No, do widzenia i przepraszam, żem przeszkodził.

Spojrzenie księcia było w tej chwili do tego stopnia uprzejme i uśmiech jego tak był bez cienia choćby jakiegokolwiekbądź ukrytego nieprzychylnego uczucia, że jenerał nagle przystanął i jakoś inaczej spojrzał na swego gościa: cała ta zmiana spojrzenia odbyła się w jedno mgnienie oka.

— A wiesz, książę, co? — rzekł zupełnie innym głosem — przecież ja pana jednakowoż nie znam, a Elżbieta Prokofjewna może zechce przyjrzeć się swemu imiennikowi... Może książę poczeka, jeśli ma czas.

— O, ja mam czas; mój czas do mnie należy — książę położył swój miękki, okrągły kapelusz na stole. — I przyznam się, liczyłem na to, że może Elżbieta Prokofjewna przypomni sobie, że do niej pisałem. Dopiero co pański służący, gdy tam na pana czekałem, podejrzewał, że przychodzę prosić o jałmużnę; zauważyłem to, oraz że surowe muszą być u pana co do tego instrukcje; a ja doprawdy nie dlatego, ale poto, ażeby się z ludźmi zejść. Tylko zdaje mi się, że panu przeszkodziłem i to mnie niepokoi.

— Otóż to, książę — odezwał się jenerał z wesołym uśmiechem — jeśliś pan istotnie takim, na jakiego wyglądasz, to przyjemnie będzie, zapewne, z panem się zaznajomić; tylko, widzi pan, ja jestem człowiekiem zajętym i zaraz siądę, aby cokolwiek przejrzeć i podpisać, a potem wybiorę się do jego ekscelencji, a potem na służbę, więc chociaż chętnie widzę ludzi... dobrych, ma się rozumieć... ale... Zresztą, tak jestem przekonany o pańskiem dobrem wychowaniu, że... A ile książę ma lat?

— Dwadzieścia sześć.

— Och! A ja myślałem, że dużo mniej.

— Tak, mówią, że młodo wyglądam. A nie przeszkadzać panu nauczę się prędko, gdyż sam bardzo nie lubię przeszkadzać... I zdaje mi się, że na pierwszy rzut oka tak jesteśmy różni... z wielu względów, że pomiędzy nami nie może, zdaje się, być wielu punktów wspólnych, a one są... pochodzi to z lenistwa ludzkiego, że ludzie tak różniczkują się między sobą powierzchownie i nic nie mogą znaleźć... Zresztą, być może, nudnie zacząłem? Pan, zdaje się...

— Dwa słowa: czy pan posiada jakikolwiek majątek? Lub, może zamierza się poświęcić jakim zajęciom? Wybaczy pan, że ja tak...

— Ale cóż znowu, zupełnie rozumiem i oceniam pańskie pytanie. Żadnego majątku dotychczas nie posiadam, ani też nie mam dotychczas żadnego zajęcia, a trzebaby... Pieniądze teraz miałem cudze, dał mi je na drogę Schneider, mój profesor, u którego się leczyłem i uczyłem w Szwajcarji i dał właśnie tyle, żeby wystarczyło, tak, że naprzykład teraz zostało mi się wszystkiego kilkanaście kopiejek. Mam pewien interes, coprawda i potrzebuję rady, ale...

— No więc, z czego pan chce obecnie żyć i jakie pan miał zamiary? — przerwał jenerał.

— Chciałem w jakikolwiek sposób pracować.

— O, to z pana filozof, zresztą... czy pan posiada jakie zdolności, takie, które pozwalają zarobić na chleb powszedni? Niech pan wybaczy...

— O, niech się pan nie tłumaczy. Nie, sądzę, że nie mam żadnych specjalnych zdolności; nawet przeciwnie, ponieważ jestem człowiekiem chorym i nie uczyłem się systematycznie. Co się tyczy chleba, to, zdaje mi się...

Jenerał znów przerwał i znów zaczął się wypytywać. Książę opowiedział na nowo wszystko, co już przedtem opowiedział. Okazało się, że jenerał słyszał o nieboszczyku Pawliszczewie i nawet znał go osobiście. Dlaczego Pawliszczew interesował się jego wychowaniem, tego sam książę nie mógł wytłumaczyć; zapewne wskutek starej przyjaźni z nieboszczykiem jego ojcem. Po śmierci rodziców, książę jako małe dziecko całe życie przepędzał po wsiach, gdyż i zdrowie jego wymagało wiejskiego powietrza. Pawliszczew powierzył go pewnym starym obywatelkom, swoim krewnym; z początku zajmowała się nim guwernantka, potem guwerner; wyznał zresztą, że chociaż wszystko pamięta, niewiele może objaśnić w sposób zadawalający, gdyż z wielu rzeczy nie zdawał sobie sprawy. Częste paroksyzmy choroby zrobiły z niego idjotę (tak się książę wyraził: idjotę). Opowiedział wkońcu, że Pawliszczew spotkał się raz w Berlinie z profesorem Schneidrem, Szwajcarem, który właśnie zajmuje się temi chorobami, ma zakład w Szwajcarji w kantonie *Valais*, leczy

według swojej metody zimną wodą, gimnastyką, leczy i idjotyzm i pomieszanie zmysłów, przytem uczy i zajmuje się wogóle rozwijaniem umysłowem; że Pawliszczew wysłał go do niego, do Szwajcarji, mniej więcej przed pięciu laty, a sam umarł dwa lata temu nagle, nie wydawszy rozporządzeń; że Schneider trzymał go i prowadził dalej kurację jeszcze przez dwa lata, że go nie wyleczył, ale mu dużo pomógł; i że wkońcu, na jego własne żądanie i wskutek pewnej okoliczności, wysłał go teraz do Rosji.

Jenerał bardzo był zdziwiony.

— I pan w Rosji nie ma nikogo, absolutnie nikogo? — zapytał.

— Teraz nikogo, ale mam nadzieję... przytem dostałem list...

— Przynajmniej — przerwał jenerał, nie dosłyszawszy o liście — uczył się pan czegoś i choroba nie przeszkodzi panu zająć jakiekolwiek, naprzykład niezbyt uciążliwe stanowisko; w jakimkolwiek urzędzie?

— O, napewno nie przeszkodzi. I co się tyczy miejsca, bardzobym nawet pragnął, gdyż sam chciałbym zobaczyć, do czego jestem zdolny. Uczyłem się całe cztery lata bez przerwy, choć niezupełnie prawidłowo, a tak jakoś, podług jego własnego systemu i przytem dużo rosyjskich książek udało mi się przeczytać.

— Rosyjskich książek? A więc pan umie czytać i może pan pisać bez błędu?

— O, z zupełną łatwością.

— Ślicznie; a charakter pisma?

— Charakter pisma doskonały. Pod tym względem, proszę pana, jestem wprost utalentowany; piszę, jak kaligraf. Niech pan pozwoli; napiszę cokolwiek dla próby — powiedział książę z ogniem.

— Bądź pan łaskaw. I to potrzebne... Bardzo lubię tę pańską ochoczość, książę, jesteś pan doprawdy bardzo miły.

— Pan ma takie śliczne przybory piśmienne, ile tu u pana ołówków, ile piór, jaki gruby, znakomity papier... I jaki wspaniały pana gabinet! Ten krajobraz znam, to widok z Szwajcarji. Pewien jestem, że widziałem to miejsce; to w kantonie Uri...

— Bardzo być może, chociaż kupione tutaj. Ganiu, daj księciu papier; oto są pióra i papier, niech książę będzie łaskaw na tym stoliku. Co to takiego? — zwrócił się jenerał do Gani, który tymczasem wyjął ze swego pugilaresu i podał mu gabinetową fotografję.

— Oho! Nastazja Filipowna! Jakto, sama, sama ci przysłała, sama? — z ożywieniem i z wielką ciekawością wypytywał jenerał Ganię.

— Dała mi teraz, kiedy byłem z powinszowaniem. Już dawno prosiłem. Nie wiem, czy to nie przymówka z jej strony, że przyjechałem z pustemi rękami, bez podarunku, w taki dzień — dodał Gania, nieprzyjemnie się uśmiechając.

— No, nie — przerwał jenerał z przekonaniem — co ci za dziwne myśli do głowy przychodzą! Skądże ma się przymawiać; zupełnie nie jest interesowna. I przytem, co ty możesz ofiarować, przecież tu potrzeba tysięcy! Czy dasz fotografję? No cóż, nie prosiła cię jeszcze o fotografję?

— Nie, jeszcze nie prosiła; i może być, że nigdy nie poprosi. Pamięta pan, Janie Teodorowiczu, o dzisiejszym wieczorze? Pan jest przecież specjalnie zaproszony.

— Pamiętam, pamiętam, rozumie się, będę! Jeszczeby też, w dniu urodzin, dwadzieścia pięć lat. Hm... A wiesz co, Ganiu, to ci już chyba powiem, przygotuj się. Obiecała mnie i Atanazemu Iwanowiczowi, że dziś u siebie wieczorem powie ostatnie słowo: być, czy nie być? A więc, żebyś wiedział.

Gania zmieszał się nagle do tego stopnia, że nawet zbladł trochę.

— Naprawdę tak powiedziała? — zapytał i głos jego jakby zadrżał.

— Onegdaj dała słowo. Takeśmy obaj nalegali, żeśmy wymogli. Prosiła tylko, aby tobie tymczasem nic nie mówić.

Jenerał badawczo przyglądał się Gani, którego zmieszanie widocznie mu się nie podobało.

— Niech pan sobie przypomni, Janie Teodorowiczu — odezwał się Gania lękliwie i niepewnie — że dała mi zupełną swobodę decyzji do chwili, dopóki sama nic nie postanowi, a i wtedy jeszcze ostatnie słowo do mnie należy...

— Czybyś ty... czybyś ty... — przeląkł się jenerał.

— Ja, nic.

— Zlituj się, jakże ty nas chcesz wykierować?

— Przecież nie wzbraniam się. Może się źle wyraziłem?...

— Jeszczebyś się wzbraniał! — zawołał z gniewem jenerał, nie pragnąc nawet ukryć gniewu. — Tu, bracie, nie idzie już o to, że ty się nie wzbraniasz, a idzie o twoją gotowość, o przyjemność, radość, z jaką przyjmiesz jej słowa... A co się w domu u ciebie wyprawia?

— No cóż w domu? W domu wszystko się dzieje podług mojej woli, tylko ojciec, jak zwykle, udaje głupiego, ale on zrobił się już zupełnie nieprzyzwoity; gdyby nie wzgląd na matkę, wskazałbym mu drzwi. Matka, ma się rozumieć, bezustannie płacze, siostra się złości, aż im wreszcie wprost powiedziałem, że jestem panem swego losu i wymagam, aby mnie w domu... słuchano. Siostrze przynajmniej rąbnąłem to wszystko w obecności matki.

— A ja, bratku, w dalszym ciągu nie pojmuję — zauważył zamyślony jenerał, wzruszając ramionami i zakładając ręce. — Nina Aleksandrowna także przed kilku dniami, wtedy, kiedy tu była, pamiętasz? jęczała i wzdychała. „Co pani?“, pytam. Okazuje się, że jakoby dla niej hańba, niech mi kto powie? Kto może cośkolwiekbądź Nastazji Filipownie zarzucić, lub coś przeciwko niej udowodnić? Czyżby to, że żyła z Tockim? Ależ to taki nonsens, zwłaszcza wobec wiadomych okoliczności. „Pan“, mówi, „nie puści jej do swoich córek?“ Masz tobie! Ach ta Nina Aleksandrowna. Jakże można tego nie rozumieć, jak można nie rozumieć...

— Swego położenia? — podpowiedział Gania zakłopotanemu jenerałowi — ona je rozumie, niech się pan na nią nie gniewa. Ja zresztą także jej zmyłem głowę, żeby się do cudzych spraw nie wtrącała. A jednak dotychczas u nas w domu wszystko się jako tako trzyma tylko dzięki temu, że nie powiedziano ostatniego słowa, ale burza będzie. Jeżeli się dziś to ostatnie słowo powie, no to się powie ostatecznie i bez reszty.

Książę słyszał całą tę rozmowę, siedząc w kącie nad swoją próbą kaligrafji. Skończył, podszedł do stołu i podał swój arkusz.

— A więc to jest Nastazja Filipowna? — powiedział, uważnie i ciekawie oglądając fotografję — zadziwiająco ładna! — dorzucił zaraz z ogniem.

Fotografja wyobrażała kobietę niezwykłej rzeczywiście piękności. Była ona fotografowana w czarnej, jedwabnej sukni, skromnej ale wykwintnej; włosy, o ile się zdawało, ciemno-blond, były z prostotą, po domowemu uczesane; oczy ciemne, głęboko osadzone, czoło zamyślone; wyraz twarzy namiętny i jakby pogardliwy. Twarz miała pociągłą i zdaje się, bladą... Gania i jenerał ze zdumieniem spojrzeli na księcia...

— Jakto Nastazja Filipowna? Czyż pan już zna i Nastazję Filipownę? — zapytał jenerał.

— Tak! jestem dopiero w Rosji od dwudziestu czterech godzin, a już znam taką piękność — odparł książę i zaraz opowiedział o swem spotkaniu z Rogożynem i wszystko to, co od niego usłyszał.

— Coś nowego! — przeląkł się znów jenerał, wysłuchawszy opowiadania niezwykle uważnie i spojrzał badawczo na Ganię.

— Prawdopodobnie, poprostu warjactwo — mruknął też trochę zmieszany Gania — kupczyk się bawi. Ja już coś niecoś o nim słyszałem.

— Tak, i ja, bracie, słyszałem—podchwycił jenerał.— Wtedy, zaraz po kolczykach, opowiadała Nastazja Filipowna o tej hecy. Ale przecież teraz, to zupełnie co innego. Na dnie tego może rzeczywiście jest miljonik i... namiętność, przypuśćmy nawet, że szkaradna namiętność, ale zawsze namiętnością mi to pachnie, a przecież wiadomo, do czego ci panowie są zdolni... gdy sobie podpiją! Hm!... Żeby tu aby jaka historja z tego nie wynikła! — dodał jenerał w zamyśleniu.

— Miljona się pan boi? — uśmiechnął się Gania.

— A ty się, naturalnie, nie boisz?

— Książę, jak się panu wydało? — zwrócił się nagle do niego Gania — co to za jeden, czy to człowiek poważny, czy też taki tylko szubrawczyna? Osobiste pana zdanie?

Coś osobliwego działo się z Ganią w chwili, gdy zadawał to pytanie. Jakby nowy jakiś i szczególny pomysł uro-

dził się w jego mózgu i niecierpliwie gorzał w jego oczach. Jenerał zaś, który się szczerze i serdecznie zaniepokoił, spojrzał również zezem na księcia, ale jakby się niewiele spodziewając po jego odpowiedzi.

— Nie wiem sam, jak panu powiedzieć — odpowiedział książę — ale wydało mi się, że w nim jest dużo namiętności, nawet jakiejś chorej namiętności. Zresztą on sam zupełnie jakby był jeszcze chory. Bardzo być może, że zaraz w pierwszych dniach w Petersburgu znów się położy, zwłaszcza, jeśli zacznie hulać.

— Tak? Takie pan miał wrażenie? — uczepił się jenerał tej myśli.

— Tak, tak mi się wydało.

— Jednakowoż tego rodzaju historje mogą mieć miejsce nie za parę dni, a może jeszcze dzisiaj wieczorem coś może wypaść — uśmiechnął się Gania do jenerała.

— Hm! Zapewne! A wtedy, to już będzie wszystko zależało od tego, co jej do głowy strzeli — powiedział jenerał.

— A przecież pan wie, jaka ona czasem bywa!

— Co przez to rozumiesz? — oburzył się znów jenerał, doprowadzony do niezwykłego rozdrażnienia. — Posłuchaj, Ganiu, nie kontruj jej dzisiaj zanadto i postaraj się być, wiesz, no tak... jednem słowem... bądź serdeczny... Hm!.... Cóż się tak wykrzywiasz?... Słuchaj, Gabrjelu Ardaljonowiczu, *à propos*, zupełnie *à propos* należy ustalić: z jakiej racji my się staramy? Rozumiesz, że ja, co do mojej osobistej korzyści, o którą mi tu idzie, dawno się już zabezpieczyłem; w ten, czy w inny sposób, zawsze na swoją korzyść sprawę zdecyduję. Tocki powziął stanowcze postanowienie, a więc i ja jestem zupełnie spokojny. Dlatego też, jeśli teraz czego pragnę, to tylko twojej korzyści. Osądź sam; cóż to, nie wierzysz mi, czy co? Przytem jesteś człowiekiem... człowiekiem... no, jednem słowem, człowiekiem rozumnym i ja na ciebie liczyłem... a to, w danym przypadku, to... to...

— To główne — dorzucił Gania, powtórnie przychodząc z pomocą zakłopotanemu jenerałowi i złożył usta do jak najbardziej jadowitego uśmiechu, którego już nie chciał ukryć. Patrzał rozgorzałym wzrokiem prosto w oczy jenera-

łowi, jakby nawet pragnął, żeby tamten wyczytał w jego wzroku całą jego myśl. Jenerał zaczerwienił się i uniósł się.

— No tak, rozum to główna rzecz! — potaknął, patrząc ostro na Ganię — zabawny z ciebie człowiek, Gabrjelu Ardałjonowiczu!... Ty przecież, jak widzę, najwidoczniej jesteś uradowany z tego kupczyka, jako z wybawiciela dla siebie. A tu właśnie rozumem trzeba było dojść od samego początku; tu właśnie trzeba rozumieć i postąpić z obu stron uczciwie i szczerze, a nie... uprzedzić wcześniej, aby innych nie kompromitować, tem bardziej, że i czasu było dość i teraz jest go jeszcze dość (jenerał znacząco podniósł brwi), pomimo to, że zostaje już tylko kilka godzin... Zrozumiałeś? Zrozumiałeś? Czy ty rzeczywiście chcesz, czy nie? Jeśli nie chcesz, powiedz... i proszę bardzo. Nikt cię, Gabrjelu Ardałjonowiczu, nie trzyma, nikt gwałtem w sidła nie pcha, jeśli *nota bene* widzisz tu jakie sidła.

— Chcę — półgłosem, lecz stanowczo wymówił Gania, spuścił oczy i ponuro zamilkł.

Jenerał był zadowolony. Jenerał uniósł się, ale już widocznie żałował, że za daleko zaszedł. Odwrócił się nagle do księcia i zdawało się, że po twarzy jego przeszła niepokojąca myśl, że przecież tu książę był i wszystko słyszał. Ale w jednej chwili się uspokoił: po jednem spojrzeniu na księcia można się było zupełnie uspokoić.

— Oho! — zawołał jenerał, patrząc na wzorek kaligrafji, podany mu przez księcia — a przecież to wzór do kaligrafji! I to rzadki wzór! Popatrz, Ganiu, jaki to talent!

Na ćwiartce grubego, welinowego papieru napisał książę średniowieczną rosyjską pisownią zdanie:

„Pokorny opat Pafnucy przyłożył rękę".

— Oto — objaśniał książę z nadzwyczajną radością i ożywieniem — oto własnoręczny podpis Pafnucego, z autografu XIV wieku. Oni się znakomicie podpisywali wszyscy ci nasi starzy opaci i metropolici i z jakim nieraz smakiem, jak starannie? Czy nie ma pan chociażby wydania Pogodina? Potem napisałem tutaj innem pismem: to okrągłe, duże, francuskie pismo z przeszłego stulecia, niektóre litery inaczej nawet pisano, pismo publicznych pisarzów, zapożyczone z ich wzorów (miałem jeden)... zgodzi się pan, że jest ono bez

zalet. Niech pan spojrzy na te okrągłe *d*, *a*. Przeniosłem francuski charakter pisma do liter rosyjskich; bardzo to trudne, a udało się. Oto jeszcze piękne i oryginalne pismo, to oto zdanie: „staraniem wszystko przezwyciężysz". To pismo rosyjskie, pisarczyków, lub, jeśli pan woli, pisarzy wojskowych. Tak się pisze urzędowy papier do znakomitej osoby, to samo okrągłe pismo, wspaniałe, czarne pismo, czarno pisane, a z nadzwyczajnym smakiem. Kaligraf nie pozwoliłby sobie na te wykrętasy, albo raczej na te próby wykrętasów, o, tych niedokończonych ogonków... uważa pan... a w całości, niech pan spojrzy, przecież to ma pewien charakter i doprawdy cała dusza pisarczyka wojskowego stąd wygląda: chciałoby się rozmachnąć i talent się tego domaga, ale kołnierz wojskowy ciasno zapięty, na haftkę, dyscyplina i na piśmie się odbiła, śliczna rzecz! Niedawno uderzył mnie taki jeden wzorek, przypadkiem znalazłem i w dodatku gdzie? w Szwajcarji! To oto jest proste, zwyczajne, najczystsze pismo angielskie; dalej już wykwint iść nie może: to cała perełka, rzecz wykończona; a oto odmiana i znów francuska, zapożyczyłem ją od jednego podróżującego francuskiego *commis:* to samo angielskie pismo, ale czarna linja o kropelkę czarniejsza i grubsza, aniżeli w angielskiem... ot i proporcja światła naruszona; proszę zauważyć: owal zmieniony, troszeczkę okrąglejszy i w dodatku pozwolono sobie na zakrętas, a zakrętas to niebezpieczna rzecz! Zakrętas wymaga niezwykłego smaku, ale jeżeli tylko się udał, jeżeli jest znaleziona proporcja, to takiego pisma z niczem nie można porównać, tak, że nawet można się w niem zakochać.

— Oho! w jakie to subtelności się pan wdaje — śmiał się jenerał — ależ z kochanego pana nie zwyczajny kaligraf, lecz artysta. Cóż, Ganiu?

— Zdumiewające — powiedział Gania — i nawet z poczuciem własnego powołania — dodał, śmiejąc się drwiąco.

— Śmiej się, śmiej, a ja ci mówię, że tu jest karjera — rzekł jenerał. — Wiesz, książę, do kogo my ci teraz listy do pisania damy? Ależ panu można odrazu trzydzieści pięć rubli miesięcznie ofiarować. Jednak już pół do pierwszej — dodał, patrząc na zegarek — do rzeczy, książę, bo muszę się

śpieszyć, a może się już dziś z panem nie zobaczę. Niech pan spocznie chwilkę; mówiłem już panu, że często pana przyjmować nie jestem w stanie, ale pomóc panu odrobinkę serdecznie pragnę... odrobinkę, ma się rozumieć, to jest tyle, ile koniecznie potrzeba, a poza tem, to już jak się panu będzie podobało. Malutkie miejsce w kancelarji już tam dla pana znajdę, nie uciążliwe, ale wymaga dokładności. Teraz co do spraw dalszych: w domu, to jest w rodzinie Gabrjela Ardałjonowicza Iwołgina, tego właśnie mego młodego przyjaciela, z którym proszę się zaznajomić, mama jego i siostrzyczka urządziły w swem mieszkaniu dwa, czy trzy umeblowane pokoje i wynajmują je doskonale poleconym lokatorom wraz z życiem i usługą. Pewien jestem, że Nina Aleksandrowna przyjmie moje polecenie. Dla pana zaś, to więcej, niż skarb, a że tak powiem, na łonie rodziny; podług mnie nie może pan od pierwszej chwili znaleźć się sam w takiem mieście, jak Petersburg. Nina Aleksandrowna... mama i Barbara Ardałjonowna... siostra Gabrjela Ardałjonowicza... panie, które niezmiernie poważam. Nina Aleksandrowna, małżonka Ardałjona Aleksandrowicza, dymisjonowanego jenerała, mego byłego kolegi w początkach mej służby, ale z którym wskutek pewnych okoliczności przerwałem stosunki, co mi zresztą nie przeszkadza cenić go do pewnego stopnia. Wszystko to, książę, tłumaczę, abyś pan zrozumiał, iż ja, że tak powiem, osobiście pana polecam, a zatem niejako odpowiadam za pana. Zapłata jak najbardziej umiarkowana i mam nadzieję, że wkrótce pensja pańska zupełnie na to wystarczy. Prawda, że człowiekowi potrzebne są i kieszonkowe pieniądze, choćby jakiekolwiek, ale nie rozgniewasz się na mnie, książę, jeśli ci zrobię uwagę, że lepiej, abyś unikał kieszonkowych pieniędzy i wogóle pieniędzy w kieszeni. Tak mówię, patrząc na pana. Ale że teraz woreczek pański zupełnie pusty, to na początek pozwól pan sobie ofiarować te oto dwadzieścia pięć rubli. Obliczymy się, ma się rozumieć, i jeśli pan jesteś tak szczerym i serdecznym człowiekiem, na jakiego ze słów swych wyglądasz, to między nami żadne nieporozumienia zajść nie mogą. Jeżeli ja tak się panem interesuję, to dlatego, że mam nawet co do pana pewne zamiary; później dowiesz się pan o nich. Widzi pan, jestem z panem zupełnie szczery; mam nadzieję,

Ganiu, że nic nie masz przeciw umieszczeniu księcia w waszem mieszkaniu?

— O, przeciwnie! I mama bardzo będzie rada — uprzedzająco grzecznie potwierdził Gania.

— U państwa, zdaje się, dopiero jeden pokój wynajęty. Ten, jakże on, Fierd... Fier...

— Fierdyszczenko.

— No tak; nie podoba mi się ten wasz Fierdyszczenko: ordynarny jakiś błazen. I nie rozumiem, dlaczego Nastazja Filipowna tak go popiera. Czy to rzeczywiście jej krewny?

— O nie, to tylko żarty! Cienia pokrewieństwa nawet niema.

— No, niech go djabli! Jakże książę, zadowolony pan jesteś, czy nie?

— Dziękuję panu, postąpił pan ze mną, jak niezwykle dobry człowiek, tem bardziej, że nawet o to nie prosiłem: nie z dumy to mówię; doprawdy, nie wiedziałem dokąd się udać. Prawda, dopiero co zaprosił mnie Rogożyn.

— Rogożyn? No, nie; już jabym panu poradził po ojcowsku, lub, jeśli pan woli, po przyjacielsku, abyś zapomniał o panu Rogożynie. I wogóle radziłbym panu trzymać się rodziny, do której pan wejdzie.

— Jeżeli już pan tak łaskaw — zaczął książę — to ja mam interes. Dostałem zawiadomienie.

— Przepraszam — przerwał jenerał — teraz nie mam już ani chwili czasu. Zaraz powiem o panu Elżbiecie Prokofjewnie: jeśli zechce teraz pana przyjąć (postaram się w odpowiedni sposób pana przedstawić), to radzę skorzystać ze sposobności i spodobać się, gdyż Elżbieta Prokofjewna może być panu pomocną, jesteście przecież z jednej rodziny. Jeśli nie zechce, niech pan nie ma żalu; wtedy, to już innym razem. A ty, Ganiu, tymczasem rzuć okiem na te rachunki, przed chwilą łamaliśmy sobie głowę nad niemi z Fiedosjewym. Trzeba nie zapomnieć je wciągnąć.

Jenerał wyszedł i książę nie zdążył opowiedzieć o swoim interesie, o którym już chyba po raz czwarty mówić zaczynał. Gania zapalił papierosa i drugiego ofiarował księciu; książę przyjął, ale nic się nie odzywał, nie chcąc przeszkadzać i zaczął oglądać gabinet. Gania jednak zaledwie spoj-

rzał na arkusz papieru zapisany cyframi, wskazany mu przez jenerała. Był roztargniony: uśmiech, spojrzenie, zamyślenie Gani wydały się jeszcze bardziej ciężkie z chwilą, gdy zostali sami. Nagle podszedł do księcia, który stał przed fotografją Nastazji Filipowny i przyglądał się.

— Tak się panu ta kobieta podoba? — zapytał nagle, badawczo na niego patrząc, jakby miał jakieś nadzwyczajne zamiary.

— Dziwna twarz! — odpowiedział książę — i pewien jestem, że losy jej nie są zwykłe. Twarz wesoła, a przecież ona okropnie cierpiała, prawda? Mówią o tem oczy, te oto dwie kosteczki, dwa punkty pod oczami, na początku szczęk. To dumna twarz, strasznie dumna i doprawdy nie wiem, czy ona jest dobra. Ach, gdyby była dobrą! Wszystko byłoby uratowane.

— A czyby się pan ożenił z taką kobietą? — mówił dalej Gania, nie odrywając od niego rozpalonych oczu.

— Ja z nikim żenić się nie mogę, jestem niezdrów — rzekł książę.

— A Rogożyn ożeniłby się? Jak pan sądzi?

— Cóż, zdaje mi się, że ożenić się można, choćby jutro; ożeniłby się, a za tydzień, być może, zamordowałby ją.

Gdy książę wymówił te słowa, Gania tak się nagle zatrząsł, że książę o mało nie krzyknął.

— Co panu? — powiedział, chwytając go za rękę.

— Jaśnie oświecony książę! Jego ekscelencja prosi pana do siebie — oznajmił lokaj, stając we drzwiach.

Książę poszedł za lokajem.

IV

Wszystkie trzy Jepanczynówny były to panny słuszne, zdrowe, z zadziwiającemi ramionami, o silnej piersi, z mocnemi, prawie jak u mężczyzn rękami i, rzecz prosta, wskutek swej siły i zdrowia lubiły nieraz dobrze zjeść, czego wcale nie chciały ukrywać. Ich matka, jenerałowa Elżbieta Prokofjewna, patrzyła nieraz krzywo na ich apetyt, ale ponieważ inne jej poglądy, pomimo całego pozornego poszano-

wania, z jakiem przyjmowane były przez córki, w rzeczywistości dawno już utraciły dla nich pierwotny i niezaprzeczony autorytet i to do tego stopnia, że założone zgodnie konklawe trzech panien ciągle zaczynało przeważać, to i jenerałowa, mając na względzie swą własną potęgę, uznała za właściwe nie sprzeczać się i ustąpić. Prawda, że usposobienie jej bardzo często nie słuchało i nie poddawało się postanowieniom rozsądku; Elżbieta Prokofjewna stawała się z każdym rokiem coraz kapryśniejszą i niecierpliwszą, zrobiła się z niej nawet jakaś dziwaczka, ale że był zawsze pod ręką pokorny i przyuczony mąż, więc to, co było niepotrzebne, spadało zwykle na jego głowę, a potem w rodzinie znów się tworzyła harmonja, i wszystko szło tak dobrze, że nie trzeba lepiej.

Jenerałowa zresztą sama niezły miała apetyt i zwykle zasiadała razem z córkami o wpół do pierwszej do obfitego śniadania, podobnego nieomal do obiadu. Po filiżance kawy wypijały panie jeszcze wcześniej, punkt o godzinie dziesiątej, w łóżku, zaraz po przebudzeniu. Tak im się podobało i postanowiły to raz na zawsze. O wpół do pierwszej zaś nakrywano stół w małej jadalni, blisko maminych pokoi, a na to familijne śniadanie zjawiał się czasem i jenerał, jeśli mu tylko czas pozwalał. Oprócz herbaty, kawy, sera, miodu, masła, specjalnych placków, ulubionych przez samą jenerałową, kotletów i t. p., podawano mocny, gorący buljon. Tego rana, o dktórego zaczęło się nasze opowiadanie, cała rodzina zebrała się w jadalni, wyczekując jenerała, który o wpół do pierwszej obiecał się zjawić. Gdyby się spóźnił choć minutkę, natychmiast posłanoby po niego, ale przyszedł punktualnie. Podchodząc, aby przywitać się z małżonką, i pocałować ją w rękę, zauważył na jej twarzy tym razem coś zbyt osobliwego. I chociaż jeszcze w przeddzień przeczuwał, że dzisiaj właśnie tak będzie wskutek pewnej „anegdoty" (jak się według zwyczaju wyrażał),i już wczoraj zasypiając tem się niepokoił, jednak teraz przeląkł się. Córki zbliżyły się, aby go uściskać; tutaj, chociaż nie gniewano się na niego, jednakże i tu było coś niezwykłego. Prawda, że jenerał z powodu pewnych okoliczności stał się zbyt podejrzliwy; ale ponieważ był ojcem

i małżonkiem doświadczonym i zręcznym, przedsięwziął zaraz środki ostrożności.

Może nie zaszkodzimy zbyt plastyczności naszego opowiadania, jeśli się tu zatrzymamy i uciekniemy się do pomocy pewnych wyjaśnień dla prostego i dokładnego przedstawienia tych stosunków i okoliczności, w jakich znajdujemy rodzinę jenerała Jepanczyna na początku naszej powieści. Powiedzieliśmy przed chwilą, że sam jenerał, chociaż był człowiekiem niezbyt wykształconym, a przeciwnie, jak sam o sobie mówił, „samoukiem", był jednak doświadczonym mężem i sprytnym ojcem. Między innemi przyjął za zasadę nie spieszyć się z wydaniem córek za mąż, to jest, „nie stać nad niemi, jak kat nad dobrą duszą" i nie nudzić ich zbytnio męczącą rodzicielską miłością i troskliwością o ich szczęście, jak to ma miejsce nawet w najrozumniejszych rodzinach, w których jest dużo dorosłych córek. Doszedł do tego, że przekonał Elżbietę Prokofjewnę do swego systemu, chociaż to była sprawa trudna, dlatego, że nie naturalna, ale argumenty jenerała były niezwykle poważne, opierały się na namacalnych faktach. Panny, pozostawione w zupełności swej własnej woli i swoim postanowieniom, będą zmuszone pójść same po rozum do głowy i wtedy już sprawa pójdzie, bo wezmą się do rzeczy chętnie, odłożywszy na bok kaprysy i zbyteczne przebredzanie; do rodziców należałoby jedynie starannie i jak tylko można najbardziej nieznacznie obserwować, żeby nie miał miejsca jaki dziwny wybór, lub nienaturalna skłonność, a potem, znajdując odpowiednią chwilę, odrazu pomóc wszelkiemi siłami i pokierować sprawą całym swym wpływem. Wreszcie, choćby naprzykład tylko to, że z każdym rokiem rosły w postępie geometrycznym ich majątek i położenie towarzyskie, a zatem im później, tem więcej wygrywały córki, nawet jako narzeczone. Ale wśród tych wszystkich niezbitych faktów, zaszedł jeszcze jeden: starsza córka, Aleksandra, nagle i prawie zupełnie niespodzianie (jak to zawsze bywa) skończyła dwadzieścia pięć lat. Prawie jednocześnie i Atanazy Iwanowicz Tocki, człowiek z wyższego świata, z wyższemi stosunkami i niezwykle bogaty, objawił znów swe dawniejsze życzenie ożenienia się. Był to człowiek lat pięćdziesięciu pięciu,

mający wytworny charakter i niezwykle subtelny smak. Chciał się ożenić dobrze; znawcą urody był nadzwyczajnym. Ponieważ od pewnego czasu był z jenerałem Jepanczynem w wielkiej przyjaźni, wzmocnionej zwłaszcza wzajemnym współudziałem w pewnych finansowych przedsiębiorstwach, przeto zwierzył mu się, prosząc niejako o przyjacielską radę i kierunek: czy miałby szanse jego zamiar małżeństwa z jedną z jego córek? W cichym i pięknym biegu rodzinnego życia jenerała Jepanczyna nastał widoczny przewrót.

Niema dwóch zdań, że najpiękniejszą z rodziny była, jak już mówiłem, najmłodsza, Agłaja. Ale nawet Tocki, człowiek o niebywałym egoizmie, zrozumiał, że nie tędy jego droga i że Agłaja nie dla niego przeznaczona. Być może, że nieco ślepa miłość i zbyt gorąca przyjaźń siostrzana przesadzały rzecz całą, ale los Agłai był już przez nie wymarzony; miał to nie być zwykły los, lecz ideał raju na ziemi. Przyszły mąż Agłai powinien posiadać wszystkie doskonałości, nie mówiąc już o majątku. Siostry mówiły nawet między sobą o możebności zrobienia w razie potrzeby ofiary na rzecz Agłai: posag dla Agłai przeznaczono olbrzymi i zupełnie niezwykły. Rodzice wiedzieli o tej zgodzie dwóch starszych córek i dlatego też, kiedy Tocki poprosił o radę, ani przez chwilę nie wątpili, że jedna ze starszych sióstr zgodzi się napewno spełnić ich życzenie, tem bardziej, że Atanazy Iwanowicz nie mógł robić trudności co do posagu. Prośbę Tockiego sam jenerał ocenił natychmiast z właściwą mu znajomością życia bardzo wysoko. Ponieważ sam Tocki zachowywał tymczasem na każdym kroku z powodu pewnych okoliczności nadzwyczajną ostrożność, i tylko badał sprawę, więc i rodzice przedstawili córkom jak najbardziej ogólnikowo zamiary. W odpowiedzi na to dostali, chociaż też niezupełnie określone, lecz przynajmniej uspakajające zapewnienie, że najstarsza, Aleksandra, może i nie odmówi. Była to panienka o silnym charakterze, ale dobra, rozumna i nadzwyczajnie zgodna w pożyciu; mogła, nawet chętnie, wyjść za Tockiego i gdyby dała słowo, dotrzymałaby go uczciwie. Nie lubiła zbytku i nietylko nie sprawiłaby kłopotu, ani żadnych przewrotów w domu męża, lecz mogłaby nawet osłodzić życie i uczynić je spokojnem. Była

ładniutka, chociaż uroda jej była cicha i nienarzucająca się. Cóż mogło być lepszego dla Tockiego?

Cała sprawa szła jednak w dalszym ciągu poomacku. Między sobą, po przyjacielsku, uchwalili Tocki i jenerał unikać przez jakiś czas oficjalnego i ostatecznego kroku. Nawet rodzice w dalszym ciągu nie zaczynali z córkami zupełnie otwartej rozmowy; powstawał nawet jakby dysonans; jenerałowa Jepanczyn, matka rodziny, zaczynała być z czegoś niezadowoloną, a to było bardzo ważne. Przeszkodą tutaj była pewna okoliczność, pewien zawikłany i przykry przypadek, dzięki któremu cała sprawa mogła się rozbić.

Ten zawikłany i kłopotliwy „przypadek" (jak go nazywał sam Tocki), zaczął się bardzo dawno, mniej więcej przed osiemnastu laty. W sąsiedztwie jednego z największych majątków Atanazego Iwanowicza, w jednej ze środkowych gubernij, klepał biedę na małym mająteczku bardzo biedny obywatel ziemski. Był to człowiek godny uwagi ze względu na ciągłe i wprost anegdotyczne niepowodzenia... pewien dymisjowany oficer, z dobrej szlacheckiej rodziny i nawet pod tym względem wyżej stojący od Tockiego, niejaki Filip Aleksandrowicz Baraszkow. Siedząc po uszy w długach, doszedł nareszcie, pracując jak skazaniec lub chłop, do tego, że jako tako urządził swoje gospodarstwo. Przy najmniejszem powodzeniu na nowo odzyskiwał ducha. Uspokojony i pełen różowych nadziei, wyjechał na kilka dni do swego powiatowego miasteczka, żeby zobaczyć się i, o ile to będzie możliwe, porozumieć ostatecznie z jednym z najgłówniejszych swoich wierzycieli. Na trzeci dzień po jego przyjeździe do miasta, zjawił się u niego sołtys z jego wsi z poparzoną szczęką i opaloną brodą i oświadczył mu, że „ojcowizna spalona" wczoraj, w samo południe, przyczem „spaliła się i małżonka, a dzieciny ocalały". Tej niespodzianki nawet Baraszkow, przyzwyczajony do „sińców losu", nie mógł znieść; zwarjował i po miesiącu umarł w gorączce. Spalony majątek, z chłopami, którzy się po całym świecie rozleźli, sprzedano za długi; dwie zaś małe dziewczynki, sześcio i siedmioletnie dzieci Baraszkowa, wziął wspaniałomyślnie na wyżywienie i wychowanie Atanazy

Iwanowicz Tocki. Wychowywały się one razem z dziećmi plenipotenta Atanazego Iwanowicza, dymisjonowanego urzędnika, obarczonego liczną rodziną i w dodatku Niemca. Wkrótce została jedna tylko dziewczynka, Nastia, a młodsza umarła na koklusz; Tocki zaś wkrótce zapomniał o nich zupełnie, mieszkając zagranicą. W pięć lat potem zachciało się pewnego razu Atanazemu Iwanowiczowi zajrzeć w przejeździe do swego majątku i nagle zauważył w swym wiejskim domu, w rodzinie owego Niemca, prześliczne dziecko, dwunastoletnią dziewczynkę, żywą, miłą, rozwiniętą i rokującą wielką urodę: pod tym względem Atanazy Iwanowicz był niezwykłym znawcą. Przepędził wtedy w majątku tylko kilkanaście dni, zdążył jednak wydać polecenia: przyjęto szanowną i starszą guwernantkę, znającą się na dobrem wychowaniu panien, Szwajcarkę, wykształconą i wykładającą poza francuskim językiem i różne inne nauki. Zamieszkała w wiejskim domu i wychowanie małej Nastazji przybrało niezwykłe rozmiary. Po czterech latach skończyło się to wychowanie, guwernantka wyjechała, a po Nastię przyjechała pewna pani, również jakaś obywatelka ziemska i sąsiadka Tockiego, ale już z innej i oddalonej gubernji, wzięła Nastię ze sobą na skutek zlecenia i pełnomocnictwa, otrzymanego od Atanazego Iwanowicza. W majątku tym był wybudowany niewielki dwór, umeblowany bardzo wykwintnie, a w dodatku, jakby naumyślnie, wieś nazywała się „Rozkoszna". Pani owa przywiozła Nastię wprost do tego cichego dworku i ponieważ ona sama, wdowa bezdzietna, mieszkała zaledwie o wiorstę, przeniosła się do Nasti. Zjawiła się staruszka szafarka i młoda doświadczona panna służąca. W domu były instrumenty muzyczne, wykwintna panieńska bibljoteka, obrazy, szkice, ołówki, pendzle, farby, zadziwiająca charciczka, a po dwóch tygodniach przybył Atanazy Iwanowicz... Odtąd bardzo jakoś polubił tę odległą, stepową wieś, przyjeżdżał do niej co lato, bawił dwa, a nawet trzy miesiące i tak upłynęło dosyć dużo czasu, cztery lata, spokojnie i szczęśliwie.

Pewnego razu zdarzyło się, że jakoś na początku zimy, w cztery miesiące po jednym z letnich przyjazdów do „Rozkosznej" Atanazego Iwanowicza, mającego bawić tym ra-

zem wszystkiego dwa tygodnie, rozeszła się wieść, albo raczej doszła do Nastazji Filipówny wieść, że Atanazy Filipowicz żeni się w Petersburgu z panną piękną, bogatą, ze znakomitej rodziny... jednem słowem robi wspaniałą i solidną partję. Wieść ta okazała się później nie we wszystkich szczegółach prawdziwą: małżeństwo i wtedy było jeszcze tylko projektem i wszystko było bardzo niewyraźne, ale w losach Nastazji Filipownej nastał jednak od tej pory nadzwyczajny przewrót. Okazała nagle niezwykłą stanowczość i zupełnie niespodziewane cechy charakteru. Niewiele myśląc, rzuciła swój wiejski dom i nagle zjawiła się w Petersburgu, u Tockiego, samiuteńka jedna. Ten zdziwił się, zaczął coś mówić, ale zrozumiał prędko, prawie przy pierwszych słowach, że trzeba zupełnie zmienić język, ton głosu, poprzednie tematy miłych i wykwintnych rozmów, używane dotychczas z takim powodzeniem, logikę... wszystko, wszystko, wszystko! Przed nim siedziała zupełnie inna kobieta, niepodobna w niczem do tej, którą znał dotychczas i zostawił w lipcu w wiosce „Rozkosznej".

Ta nowa kobieta, jak się okazało, niezwykle dużo wiedziała i rozumiała... tak dużo, że wprost trzeba było się dziwić, skąd ona mogła zdobyć takie wiadomości i wypracować w sobie tak dokładne pojęcia. (Czyżby ze swej panieńskiej bibljoteki?). Nadto orjentowała się świetnie w zagadnieniach prawnych i miała dokładne pojęcie, jeśli nie o świecie, to przynajmniej o tem, jak idą niektóre sprawy na świecie; po drugie był to nie ten sam charakter, co przedtem; to jest, nie coś nieśmiałego, pensjonarsko nieokreślonego, czasem czarującego swą oryginalną żywością i naiwnością, czasem smutnego i zamyślonego, zadziwionego, niedowierzającego, płaczącego i niespokojnego.

Nie: tu śmiało się przed nim i kłuło go jak najbardziej jadowitemi sarkazmami owo stworzenie niezwykłe i niespodziewane, oznajmiające mu wprost, że nigdy nic w swem sercu dla niego nie miało, prócz niezgłębionej pogardy, pogardy aż do obrzydliwości, która obudziła się w niem zaraz po pierwszem zdziwieniu. Ta nowa kobieta oznajmiała, że jej będzie absolutnie wszystko jedno, jeśli on się zaraz ożeni i z kim mu się podoba, lecz że przyjechała,

aby mu nie pozwolić na to małżeństwo i nie pozwolić ze złości, jedynie dlatego, że jej się tak podoba i że zatem tak być musi... „choćby poto, abym z ciebie naśmiać się mogła dowoli, bo teraz nareszcie i ja chcę się śmiać!"

Tak się przynajmnej wyrażała; bardzo być może, że wszystkiego tego, o czem myślała, nie wypowiedziała. Ale podczas, gdy nowa Nastazja Filipowna śmiała się i wszystko to wyjaśniała, Atanazy Iwanowicz rozmyślał nad całą tą sprawą i o ile mógł, porządkował swe rozrzucone myśli. To rozmyślanie trwało dosyć długo; zastanowił się i szukał ostatecznej decyzji prawie całe dwa tygodnie; ale po dwóch tygodniach postanowienie było powzięte. Trzeba wiedzieć, że Atanazy Iwanowicz miał już wtedy około pięćdziesięciu lat i był człowiekiem w wysokim stopniu solidnym i statecznym. Stanowisko jego w świecie i w społeczeństwie ugruntowało się od dawien dawna na jak najtrwalszych podstawach. Siebie, swój spokój i wygodę cenił więcej, niż wszystko na świecie, jak przystało na porządnego człowieka. Najmniejszego zboczenia, ani najmniejszego wahania nie mogło być w tem, co przez całe życie było montowane i co przyjęło tak piękne kształty. Z drugiej strony doświadczenie i głęboki pogląd na rzeczy dowiodły Tockiemu bardzo prędko i niezwykle prawdziwie, że ma teraz do czynienia z istotą zupełnie niezwykłą, że to właśnie taka istota, która nietylko grozi, lecz bezwarunkowo spełni i co najważniejsze, przed niczem się nie cofnie, tem bardziej, że właściwie nic na świecie nie jest dla niej drogie i przekupić jej nie można. Tu najwidoczniej zachodziło coś innego, trzeba się było domyślać jakiejś duchowej i sercowej sprawy, czegoś w rodzaju romantycznego oburzenia, Bóg wie za co i na kogo; jakiegoś nienasyconego uczucia pogardy, wychodzącego poza granice przyzwoitości. Jednem słowem było to coś w wysokim stopniu śmiesznego i niedopuszczalnego w porządnem towarzystwie i z czem mieć do czynienia było dla każdego przyzwoitego człowieka prawdziwą karą Boską. Rzecz prosta, przy bogactwie i stosunkach Tockiego można było natychmiast zrobić jakieś małe i zupełnie niewinne świństwo, ażeby uwolnić się od nieprzyjemności. Z drugiej strony było jasnem, że i sama Nastazja Fili-

powna nie jest prawie w stanie uczynić coś szkodliwego, naprzykład w znaczeniu prawnem; nawet skandalu dużego nie mogłaby wywołać, gdyż zawsze bardzo łatwo można ją było unieszkodliwić. Ale to wszystko w tym wypadku, gdyby Nastazja Filipowna zdecydowała się postąpić, jak wszyscy i jak wogóle postępuje się w podobnych przypadkach, nie wychodząc zbyt ekscentrycznie poza wszelkie granice. Ale i tu przydała się Tockiemu jego wprawa w przenikaniu ludzi: umiał odgadnąć, że Nastazja Filipowna sama doskonale rozumie, do jakiego stopnia jest ona w znaczeniu prawnem nieszkodliwa, ale coś innego sobie układała i... coś innego tkwiło w błyszczących jej oczach. Nie dbając o nic na świecie, a tem bardziej o siebie (potrzeba było bardzo dużo rozumu i przenikliwości, aby się w danej chwili domyślić, że już oddawna przestała dbać o siebie i żeby on, sceptyk i znany cynik, w to uwierzył), Nastazja Filipowna była w stanie zgubić samą siebie, bezpowrotnie i bez sensu, narazić się na Sybir i katorgę, byleby się znęcać nad człowiekiem, do którego czuła taki nieludzki wstręt. Atanazy Iwanowicz nie ukrywał tego, że był nieco tchórzem, lub raczej w wyższym stopniu zachowawcą. Gdyby, naprzykład, wiedział, że go zabiją przed ołtarzem, lub też, że zajdzie coś w tym rodzaju bardzo nieprzyzwoitego, śmiesznego i nieprzyjętego w towarzystwie, to napewnoby się przestraszył, ale nie tyle tego, że go zabiją, lub też, że do krwi pokaleczą, lub pluną publicznie w twarz i t. p., i t. p., lecz tego, że się to odbędzie w tak nienaturalnej i nieprzyzwoitej formie. A przecież Nastazja Filipowna to właśnie przepowiadała, choć jeszcze nic o tem nie mówiła; wiedział, że ona go w wysokim stopniu poznała i rozumiała, a więc wiedziała, gdzie go uderzyć. A ponieważ małżeństwo było rzeczywiście jeszcze tylko w projekcie, Atanazy Iwanowicz ukorzył się i ustąpił Nastazji Filipownie.

Do tego postanowienia dopomogła mu jeszcze jedna okoliczność: trudno było sobie wystawić, do jakiego stopnia ta nowa Nastazja Filipowna nie była podobną z twarzy do poprzedniej. Przedtem było to tylko ładniutkie dziewczę, a teraz... Tocki nie mógł sobie darować, że przez cztery lata patrzał i nie dopatrzył. Prawda, że i to dużo znaczy,

gdy z obu stron zajdzie nagle wewnętrzny przewrót. Zresztą, przypominał sobie, że i dawniej były takie chwile, kiedy czasem dziwne myśli przychodziły mu do głowy, gdy patrzył naprzykład na jej oczy: przeczuć w nich można było głębie niezgruntowanej zagadki. To jej spojrzenie patrzało... jakby zadawało do rozwiązania pytanie. Podczas ostatnich dwóch lat dziwiła go często zmiana koloru twarzy Nastazji Filipowny; strasznie bladła i... rzecz dziwna... nawet ładniała wtedy. Tocki, który, jak wszyscy dżentelmeni, którzy użyli życia, z pogardą myślał nieraz, jak łatwo dostał tę duszę, która nigdy nie żyła, w ostatnich czasach zwątpił w swój pogląd. W każdym razie postanowił jeszcze przeszłej zimy, prędko, znakomicie i bogato wydać za mąż Nastazję Filipownę za jakiegokolwiek bądź rozsądnego i porządnego człowieka, mającego posadę w sąsiedniej gubernji. (O, jak strasznie i złośliwie wyśmiewała to teraz Nastazja Filipowna!). Teraz jednak Atanazemu Iwanowiczowi, zachwyconemu nowością, przyszło nawet na myśl, że mógłby znów wyzyskać tę kobietę. Postanowił osiedlić Nastazję Filipowną w Petersburgu i otoczyć ją niesłychanym zbytkiem. A jeśli nie, to możnaby pochwalić się Nastazją Filipowną i nawet chełpić się nią w pewnem kółku. Atanazy Iwanowicz tak cenił swą sławę pod tym względem!

Upłynęło już pięć lat zamieszkiwania w Petersburgu, i, ma się rozumieć, przez taki przeciąg czasu dużo się wyjaśniło. Położenie Atanazego Iwanowicza nie było pocieszające; co zaś było najgorsze, to, że stchórzywszy raz, w żaden sposób później nie mógł się uspokoić. Bał się... i nawet sam nie wiedział czego... poprostu bał się Nastazji Filipowny. Przez pewien czas, przez pierwsze dwa lata podejrzewał, że Nastazja Filipowna sama chce się za niego wydać, lecz milczy wskutek niezwykłej próżności i wyczekuje uporczywie jego oświadczyn. Dziwne byłyby te roszczenia. Atanazy Iwanowicz marszczył brwi i wpadał w głęboką zadumę. Wdodatku ku wielkiemu i (takiem jest serce człowiecze!) ku nieco nieprzyjemnemu swemu zdziwieniu, przekonał się nagle, przy pewnej okoliczności, że gdyby się nawet oświadczył, nie byłby przyjęty! Długo nie mógł tego zrozumieć. Jedno tylko objaśnienie wydało mu się możebne,

a mianowicie, że duma „obrażonej fantastyczki“ dochodzi już do takiej ostateczności, że jest jej przyjemniej wyrazić raz swą pogardę odmowę, aniżeli raz na zawsze określić swoje stanowisko i stanąć na niedostępnych wyżynach. Najprzykrzejsze było to, że Nastazja Filipowna za bardzo była górą. Na interes wziąć się nie dała, nawet na duży, i chociaż przyjęła ofiarowany sobie dostatek, żyła bardzo skromnie i przez te pięć lat nic prawie nie zaoszczędziła. Atanazy Iwanowicz puszczał się na bardzo sprytne sposoby, żeby zerwać swoje kajdany: zaczął ją nieznacznie i umiejętnie nęcić, używając zręcznych środków, różnemi, jak najidealniejszemi ponętami; jednak uosobione ideały: książęta, huzarzy, sekretarze poselstw, poeci, powieściopisarze, nawet socjaliści, nic nie wywarło wrażenia na Nastazji Filpownie, jakby miała kamień, nie serce, a uczucia jej wyschły i wymarły na zawsze. Żyła bardzo samotnie, czytała, uczyła się nawet, lubiła muzykę. Znajomych miała mało; widywała ciągle jakieś biedne i dziwne urzędniczki, znała jakieś dwie aktorki, jakieś staruszki, lubiła bardzo liczną rodzinę pewnego szanownego nauczyciela i w tej rodzinie również ją bardzo lubiano, a chętnie przyjmowano. Wieczorami zbierało się u niej dosyć często pięć lub sześć osób, nie więcej. Tocki zjawiał się bardzo często i regularnie. W ostatnich czasach zapoznał się nie bez trudu z Nastazją Filipowną jenerał Jepanczyn. W tym samym czasie zupełnie łatwo i bez żadnych trudności zapoznał się z nią również pewien młody urzędnik, niejaki Fierdyszczenko, bardzo nieprzyzwoity i pieprzny błazen, pozujący na wesołość, i pijaczyna. Znała też młodego i dziwnego człowieka, nazwiskiem Pticyn; był to skromny, solidny, wymuskany młody człowiek, pochodzący z ubogiej rodziny i zajmujący się lichwiarstwem. Zapoznał się z nią wreszcie i Gabrjel Ardałjonowicz... Skończyło się na tem, że Nastazja Filipowna dziwną miała opinję: wszyscy wiedzieli o jej piękności, ale i tylko tyle; nikt się niczem nie mógł pochwalić, nikt nic nie mógł opowiedzieć. Podobna reputacja, jej wykształcenie, wspaniałe ułożenie, dowcip, wszystko to ostatecznie utwierdziło Atanazego Iwanowicza w pewnym planie. Tutaj właśnie zaczy-

na się chwila, od której przyjął w tej sprawie taki czynny i nadzwyczajny udział sam jenerał Jepanczyn.

Gdy Tocki tak uprzejmie zwrócił się do niego po przyjacielską radę co do jednej z jego córek, wtedy uczynił przed nim w sposób bardzo wzniosły, dokładną i szczerą spowiedź. Oznajmił, że postanowił nie cofać się przed żadnemi środkami, aby otrzymać wolność; że nie uspokoiłby się nawet, gdyby Nastazja Filipowna sama mu oznajmiła, że mu odtąd da święty spokój, że mu nie wystarczą słowa, że potrzebuje najzupełniejszej rękojmi. Porozumieli się i postanowili działać wspólnie. Z początku postanowiono wypróbować środków łagodnych i dotknąć jedynie „szlachetnych strun serca". Przyjechali obaj do Nastazji Filipownej i Tocki prościuteńko zaczął od tego, że jej oznajmił o niewypowiedzianym tragizmie swego położenia; we wszystkiem oskarżył siebie; powiedział otwarcie, że nie może żałować pierwotnego z nią postępowania, gdyż jest zatwardziałym rozpustnikiem i nad sobą nie panuje, ale że teraz chce się żenić, że losy tego w wyższym stopniu przyzwoitego i arystokratycznego małżeństwa w jej leżą rękach; jednem słowem, że zdaje się we wszystkiem na jej szlachetne serce. Następnie zaczął mówić w roli ojca jenerał i mówił rozsądnie, unikał wzruszających wyrażeń, wspomniał jedynie, że zupełnie uznaje jej prawo decydowania o losie Atanazego Iwanowicza, zręcznie wysunął własną pokorę, zwracając uwagę, że los jego córki, a może i dwóch pozostałych, zależy teraz od jej decyzji. Na pytanie Nastazji Filipownej: „Czego właściwie od niej chcą?", Tocki przyznał się z poprzednią zupełnie nagą otwartością, że go tak nastraszyła przed pięciu laty,że nie może nawet teraz zupełnie się uspokoić, dopóki Nastazja Filipowna sama nie wyjdzie zamąż. Dodał natychmiast, że prośba ta byłaby, rozumie się, zupełnie bez sensu z jego strony, gdyby nie miał do niej pewnych danych. Bardzo dobrze zauważył i na pewno wie, że młody człowiek z bardzo dobrej rodziny, mianowicie Gabrjel Ardaljonowicz Iwołgin, którego ona zna i u siebie przyjmuje, oddawna ją kocha całą potęgą namiętności i, rozumie się, oddałby pół życia za cień choćby nadziei, że pozyska jej przychylność. Wszystko to wyznał Atanazemu Iwanowiczowi sam Gabrjel

Ardałjonowicz już dość dawno, po przyjacielsku, pod wpływem swego młodego, czystego serca i że o tem dawno już wie Jan Teodorowicz, opiekujący się młodym człowiekiem. Wreszcie, o ile tylko on, Atanazy Iwanowicz się nie myli, Nastazja Filipowna oddawna już wie o miłości młodego człowieka i pobłażliwie patrzy na to uczucie. Rzecz prosta, że jemu trudniej, niż innym, o tem mówić, ale jeżeliby Nastazja Filipowna przyznała, że w nim, Tockim, oprócz egoizmu i chęci wygodnego urządzenia sobie życia, jest jeszcze choć trochę przychylności i dla niej, to zrozumiałaby, że dla niego jest dziwną i nawet przykrą rzeczą widok jej osamotnienia; że tutaj jest tylko nieokreślony mrok, zupełna niewiara w możność innego życia, któreby tak pięknie mogło zmartwychwstać w miłości i w rodzinie i posiąść w ten sposób nowy cel; że tu jest marnowanie zdolności, być może, bardzo dużych, dobrowolne męczenie się swoją melancholją, jednem słowem, do pewnego stopnia romantyzm, niegodny ani zdrowego rozsądku, ani szlachetnego serca Nastazji Filipównej. Powiedziawszy raz jeszcze, że jemu trudniej o tem mówić, niż komu innemu, dodał, że nie może wyrzec się nadziei, że Nastazja Filipowna nie odpowie mu pogardą, jeżeli on wyrazi swoją szczerą chęć zabezpieczenia jej przyszłego losu i ofiaruje jej siedemdziesiąt pięć tysięcy rubli. Powiedział jezcze jako wyjaśnienie, że zresztą suma ta przeznaczona już jest dla niej w jego testamencie; że, jednem słowem, nie jest to jakieś wynagrodzenie... że wreszcie, dlaczegóżby nie można mu wybaczyć ludzkiej chęci zmniejszenia choć w czemkolwiek ciężaru gniotącego jego sumienie i t. d., i t. d., wszystko to, co mówi się w podobnych przypadkach na ten temat. Atanazy Iwanowicz mówił długo i wymownie, dodając, że tak powiem mimochodem, bardzo ciekawy szczegół, że o tych siedemdziesięciu pięciu tysiącach wygadał się dopiero po raz pierwszy i że o nich nie wiedział nawet Jan Teodorowicz, który tu oto siedzi: jednem słowem, nie wie n i k t.

Odpowiedź Nastazji Filipownej zdziwiła obu przyjaciół.

Nietylko nie było w niej znać choćby cienia poprzedniego szyderstwa, poprzedniej nieprzyjaźni i nienawiści, po-

przedniego śmiechu, od którego, na samo wspomnienie, dreszcz przebiegał ciało Tockiego, ale przeciwnie, ucieszyła się niejako, że nareszcie może z kimś porozmawiać otwarcie i po przyjacielsku. Przyznała się, że sama już oddawna chciała zasięgnąć przyjacielskiej rady, że przeszkadzała jej tylko duma, lecz, że teraz, skoro już pękły lody, nie mogło się stać lepiej. Z początku ze smutnym uśmiechem, a potem wesoło i swawolnie się rozśmiawszy, powiedziała, że poprzednia burza w żaden sposób miejsca już mieć nie mogła; że ona już oddawna zmieniła poczęści swój pogląd na rzeczy i że chociaż w głębi serca nic się nie zmieniło, jednak musiała na bardzo dużo rzeczy się zgodzić wobec faktów dokonanych; co się stało, to się stało, co przeszło, to przeszło, tak, że się nawet dziwi, że Anastazy Iwanowicz w dalszym ciągu taki jest wystraszony. Następnie zwróciła się do Jana Teodorowicza i z wyrazem najgłębszego poważania, oznajmiła mu, że dawno już słyszała dużo dobrego o jego córkach i przywykła głęboko i szczerze je poważać. Sama myśl o tem, że mogłaby im być w czemkolwiek pożyteczną, napełniłaby ją szczęściem i dumą. Prawda, że jest jej teraz ciężko i szaro, Atanazy Iwanowicz odgadł jej myśli; chciałaby odżyć, jeśli już nie w miłości, to w rodzinie, uświadomiwszy sobie nowy cel w życiu, lecz o Gabrjelu Ardaljonowiczu nic prawie powiedzieć nie może. Może i prawda, że on ją kocha, czuje, że i ona mogłaby go polubić, gdyby mogła uwierzyć w stałość jego uczucia, ale on bardzo młody, jeśli nawet jest szczery; trudno tu coś postanowić. Najbardziej jej się zresztą to podoba, że on pracuje i sam jeden utrzymuje całą rodzinę. Słyszała, że jest człowiekiem energicznym, dumnym, chce karjery, chce się wybić. Słyszała również, że Nina Aleksandrowna Iwołgina, matka Gabrjela Ardaljonowicza, jest dzielną i w najwyższym stopniu czcigodną kobietą, że jego siostra, Barbara Ardaljonowna, jest bardzo niepospolitą i energiczną panienką; słyszała o niej dużo od Pticyna. Słyszała, że znoszą mężnie swoje nieszczęście; chciałaby bardzo zaznajomić się z niemi, ale jeszcze pytanie, czy one ją z radością do rodziny swej przyjmą? Wogóle nic nie ma przeciwko możliwości tego małżeństwa, ale nad tem trzeba jeszcze dobrze pomyśleć:

chciałaby, by jej nie naglono. Co zaś do siedmdziesięciu pięciu tysięcy... niepotrzebnie wahał się Anastazy Iwanowicz, czy jej o tem powiedzieć. Ona rozumie wartość pieniędzy i bezwarunkowo je przyjmie. Dziękuje Atanazemu Iwanowiczowi za jego delikatność, za to, że nawet jenerałowi o tem nie mówił, a tem bardziej Gabrjelowi Ardałjonowiczowi, ale z drugiej strony dlaczegoby on o tem nie miał wiedzieć? Nie ma żadnego powodu wstydzić się tych pieniędzy, wchodząc do jego rodziny. W każdym razie nie ma najmniejszego zamiaru prosić kogokolwiek o przebaczenie i chciałaby, aby o tem wiedziano. Nie wyjdzie za Gabrjela Ardałjonowicza, dopóki się nie przekona, że ani on, ani jego rodzina nie mają w stosunku do niej żadnej ukrytej myśli. W każdym razie nie poczuwa się do żadnej winy i lepiej byłoby, gdyby się Gabrjel Ardałjonowicz dowiedział, w jakim charakterze mieszkała przez te pięć lat w Petersburgu, w jakim stosunku pozostawała do Atanazego Iwanowicza i ile zebrała pieniędzy. Wreszcie, jeżeli teraz przyjmuje pieniądze, to wcale nie jako zapłatę za swoją hańbę, której ona nie jest winną, ale wprost jako wynagrodzenie za złamane życie.

Wypowiadając to wszystko, tak się przejęła i zdenerwowała (co zresztą było tak naturalne), że jenerał Jepanczyn był bardzo zadowolony i uważał sprawę za skończoną; ale Tocki, który się już raz wystraszył, i tym razem nie zupełnie uwierzył i długo się obawiał, czy i tu pod kwiatami nie kryje się żmija. Układy jednak się zaczęły; punkt, na którym był oparty cały plan dwóch przyjaciół, mianowicie możliwość, aby Nastazja Filipowna zajęła się Ganią, zaczął powoli się wyjaśniać i sprawdzać do tego stopnia, że nawet Tocki zaczynał niekiedy wierzyć w możliwość powodzenia. Tymczasem Nastazja Filipowna rozmówiła się z Ganią: słów wypowiedziała mało, jakgdyby jej dziewiczość na tem cierpiała. Zgadzała się jednak i pozwalała mu na jego miłość, ale stanowczo oświadczyła, że niczem wiązać się nie chce, że do samego ślubu (jeśli ślub się odbędzie) zachowuje sobie prawo powiedzenia „nie“, choćby w ostatniej chwili; zupełnie to samo prawo przyznaje Gani. Wkrótce dowiedział się Gania z dobrego źródła,

dzięki usłużnym okolicznościom, że niechęć całej rodziny do tego małżeństwa i osobiście do Nastazji Filipownej, niechęć, objawiająca się w scenach domowych, jest znana Nastazji Filipownie ze wszystkiemi szczegółami; z nim nigdy o tem nie mówiła, choć on codziennie się tego spodziewał. Zresztą możnaby opowiedzieć dużo jeszcze rozmaitych rzeczy, które wypłynęły dzięki tym swatom i układom, lecz i tak za bardzo wyprzedziliśmy wypadki, tem bardziej, że niektóre opowieści krążyły jeszcze w postaci zbyt nieokreślonych pogłosek. Naprzykład, jakoby się Tocki skądś dowiedział, że Nastazja Filipowna zawiązała w tajemnicy przed wszystkiemi jakieś nieokreślone stosunki z pannami Jepanczyn... wiadomość zupełnie nieprawdopodobna. Zato innej pogłosce mimowoli wierzył i bał się strasznie; słyszał, że Nastazja Filipowna zupełnie dokładnie wie, że Gania żeni się jedynie dla pieniędzy, że jest to charakter czarny, że jest on chciwy, niecierpliwy, zawistny i nieproporcjonalnie olbrzymio samolubny, że chociaż rzeczywiście przedtem namiętnie pragnął zwycięstwa nad Nastazją Filipowną, to jednak gdy przyjaciele chcieli tę namiętność, powstającą z obydwóch stron, wyzyskać na swoją korzyść i kupić Ganię, sprzedając mu Nastazję Filipownę, to wtedy znienawidził ją jak zmorę. Że jakoby w jego duszy dziwnie się zlała namiętność z nienawiścią i że chociaż po wahaniach zgodził się wreszcie pojąć za żonę „obrzydliwą kobietę", to jednak poprzysiągł sobie w duszy, że się za to na niej zemści, i że jej potem „doskwarzy", jak się podobno sam wyraził. Że jakoby o tem wszystkiem wiedziała Nastazja Filipowna i coś w tajemnicy obmyślała. Tocki do tego stopnia lękał się, że nawet Jepanczynowi przestał mówić o swoim niepokoju; ale bywały chwile, kiedy i on, jak każdy słaby człowiek, nabierał odwagi i odzyskiwał ducha: nabrał odwagi naprzykład, kiedy Nastazja Filipowna dała wreszcie słowo obu przyjaciołom, że wieczorem, w dniu swych urodzin, zdecyduje się ostatecznie. Zato najdziwniejsza i najnieprawdziwsza pogłoska, tycząca się czcigodnego Jana Teodorowicza, stawała się niestety coraz prawdziwszą.

Tutaj na pierwszy rzut oka wszystko wydało się niedorzecznością. Trudno było uwierzyć, żeby Jan Teodoro-

wicz u schyłku swych szanownych dni, przy swoim wybitnym rozumie i bezwarunkowej znajomości życia i t. p. i t. p. sam się zadurzył w Nastazji Filipownie, ale tak i do takiego stopnia, że kaprys ten dochodził prawie do namiętności. Czego się w tym przypadku spodziewał... trudno sobie wyobrazić; być może, że liczył na pomoc samego Gani. Tocki podejrzewał właśnie coś w tym rodzaju, podejrzewał istnienie jakiejś prawie milczącej umowy, polegającej na wzajemnem porozumieniu między Ganią i jenerałem. Zresztą, wiadoma rzecz, że człowiek zbytnio pochłonięty przez namiętność, zwłaszcza, jeśli już jest w pewnym wieku, zupełnie ślepnie i gotów jest żywić nadzieje tam, gdzie jej wcale niema; nietylko traci rozsądek i postępuje jak głupi dzieciak, choćby był mądry, jak sam Salomon. Wszyscy wiedzieli, że jenerał przygotował na dzień urodzin Nastazji Filipowny, jako prezent od siebie, wspaniałą perłę, olbrzymiej wartości i wielce się tym podarunkiem przejmował, choć wiedział, że Nastazja Filipowna nie jest kobietą chciwą. W przeddzień urodzin Nastazji Filipowny był jak w gorączce, chociaż zręcznie się maskował. O tej to właśnie perle dowiedziała się jenerałowa Jepanczyn. Prawda, że Elżbieta Prokofjewna oddawna już zaczęła odczuwać lekkomyślność swego małżonka, nawet się poczęści do niej przyzwyczaiła; ale przecież nie można było puścić płazem takiej sposobności: pogłoski o perle niezwykle ją obeszły. Jenerał spostrzegł to zawczasu: już poprzedniego dnia były rzucane pewne słówka: przeczuwał ważną rozmowę i bał się jej. Oto, dlaczego strasznie mu się nie chciało tego rana, w które rozpoczęliśmy opowiadanie, iść jeść śniadanie na łonie rodziny. Jeszcze przed widzeniem się z księciem postanowił wymówić się interesami i uciec. Uciec, znaczyło czasem dla jenerała rzeczywiście wprost uciec. Chciał choćby o ten jeden dzień, a zwłaszcza o dzisiejszy wieczór odwlec nieprzyjemności. I nagle tak w samą porę przyszedł książę. — „Chyba go Bóg zesłał!“ — pomyślał jenerał, podchodząc do swej małżonki.

V

Jenerałowa była zazdrosna o swoje pochodzenie. Czemże więc dla niej było dowiedzieć się nagle i bez przygotowania, że ten ostatni z rodu książę Myszkin, o którym już coś niecoś słyszała, to wprost godny politowania idjota, niemal nędzarz i przyjmuje jałmużnę. Jenerał starał się właśnie o pewien efekt, ażeby odrazu zainteresować i w jakikolwiek bądź sposób odwrócić uwagę w inną stronę.

W nadzwyczajnych przypadkach jenerałowa zwykle wytrzeszczała oczy i przechyliwszy się nieco ciałem wtył, patrzała wprost przed siebie ,ani słowa nie mówiąc. Była to kobieta wysoka, w równym wieku z mężem, z ciemnemi, mocno już siwiejącemi włosami, z nieco garbatym nosem, chuda, z żółtemi, zapadniętemi policzkami i cienkiemi wargami. Czoło miała wysokie, ale wąskie; szare, dosyć duże oczy miały czasem dziwny wyraz. Kiedyś przez prostą słabostkę uwierzyła, że jej spojrzenie jest niezwykle efektowne; to przekonanie nigdy się w niej nie zatarło.

— Przyjąć? Mówisz, żeby go przyjąć, teraz, zaraz? — i jenerałowa wytrzeszczała ze wszystkich sił oczy na zakłopotanego Jana Teodorowicza.

— O, w tym przypadku można bez wszelkiej ceremonji, jeśli tylko tobie, duszko, podoba się go widzieć, — tłumaczył jenerał. — Zupełne dziecko i w dodatku taki godny pożałowania; miewa jakieś chorobliwe paroksyzmy, przyjeżdża ze Szwajcarji, przyszedł wprost z wagonu, ubrany dziwnie, jakoś z niemiecka, i w dodatku nie ma ani kopiejki, w ścisłem tego słowa znaczeniu, mało nie płacze. Dałem mu dwadzieścia pięć rubli i chcę się wystarać dla niego o miejsce w kancelarji. A was, *mesdames*, proszę, abyście go ugościły, bo zdaje się, że on i głodny.

— Zdumiewasz mnie — mówiła dalej jenerałowa tym samym tonem, co i przedtem — głodny i paroksyzmy. Jakie paroksyzmy?

— O, tak się znów często nie powtarzają i przytem on prawie jak dziecko, zresztą wykształcony. Chciałbym was, *mesdames* — zwrócił się znów do córek — chciałbym was

prosić, abyście go dobrze wyegzaminowały aby jednak wiedzieć, do czego on jest zdolny.

— Wy-e-gza-mi-no-wa-ły? — wymówiła przeciągle jenerałowa i z jak największem zdumieniem zaczęła wodzić oczami od córek do męża i odwrotnie.

— Ach, moja duszko, nie bierz tak dosłownie... zresztą, jak ci się podoba; miałem zamiar przyjąć go uprzejmie i wprowadzić do nas, bo to byłby prawie dobry uczynek.

— Wprowadzić do nas? Z Szwajcarji?

— Szwajcarja tu nic nie przeszkadza; a zresztą, powtarzam, jak chcesz, Ja przecież tylko dlatego, że to, po pierwsze nasz imiennik i może nawet krewny, a po drugie, nie wie, gdzie głowę skłonić. Myślałem nawet, że cię on trochę zainteresuje, bo przecież nosi jednak nasze nazwisko.

— Ma się rozumieć, *maman*, jeśli z nim można się nie krępować; przytem on z drogi, głodny, dlaczegoby go nie nakarmić, jeśli on nie wie, gdzie się podziać? — powiedziała najstarsza, Aleksandra.

— I w dodatku zupełne dziecko, z nim można jeszcze grać w ciuciubabkę.

— Grać w ciuciubabkę? Jakto?

— Ach, *maman*, niechże mama z łaski swojej przestanie udawać — przerwała gniewnie Agłaja.

Średnia Adelajda, skłonna do śmiechu, nie wytrzymała i roześmiała się.

— Niech go papa zawoła, mama pozwala — zdecydowała Agłaja.

Jenerał zadzwonił i kazał wezwać księcia.

— Ale pod tym warunkiem, żeby mu bezwarunkowo zawiązać serwetę na szyi, gdy tylko usiądzie do stołu — zdecydowała jenerałowa — i zawołać Teodora, lub Maurycego... żeby stał za nim i uważał, gdy będzie jadł. Czy on aby spokojny podczas paroksyzmów? Nie robi jakich ruchów?

— Przeciwnie, bardzo nawet dobrze wychowany i z doskonałem ułożeniem. Czasem trochę za bardzo głupkowaty... Zresztą, otóż i on! Oto, przedstawiam ostatniego z rodu księcia Myszkina, imiennik i może nawet krewny. Przyjmijcie go uprzejmie. Zaraz będzie śniadanie, książę,

więc prosimy bardzo. Co do mnie, to pan wybaczy, śpieszę się...

— Już ja wiem, dokąd ci pilno — powiedziała poważnie jenerałowa.

— Pilno mi, duszko, pilno, jestem spóźniony! A dajcie mu wasze albumy, *mesdames*, niech on w nich co napisze, taki kaligraf, to rzadka rzecz! Prawdziwy talent, napisał tam u mnie starem pismem: „Opat Pafnucy rękę przyłożył"... No, do widzenia.

— Pafnucy? Opat? Ależ stój, poczekaj, dokąd pędzisz i co to za Pafnucy? — nalegająco z gniewem i prawie ze strachem krzyczała jenerałowa za odchodzącym małżonkiem.

— Tak, tak, duszko, to taki dawnemi czasy był opat... idę do hrabiego, czeka oddawna, sam wyznaczył godzinę. Książę, do widzenia.

Jenerał oddalił się pośpiesznie.

— Wiem, co to za hrabia! — powiedziała uszczypliwie Elżbieta Prokofjewna i rozdrażniona, przeniosła oczy na księcia. — Cóż tam znowu? — zaczęła ze wstrętem i z gniewem, przypominając sobie — no, cóż tam! Ach tak: no, cóż to za opat?

— *Maman* — zaczęła mówić Aleksandra, a Agłaja nawet tupnęła nóżką.

— Nie przeszkadzaj mi, Aleksandro, — odcięła się jej jenerałowa — i ja też chcę wiedzieć.

— Niech książę tu oto usiądzie, tu, na tem krześle, naprzeciwko; nie, tutaj, do słońca, do światła, przysuń się książę bliżej, ażebym mogła widzieć. No, cóż to za opat?

— Opat Pafnucy — odpowiedział książę z szacunkiem i poważnie.

— Pafnucy? A to ciekawe; cóż to za jeden?

Jenerałowa wypytywała niecierpliwie, prędko, szorstko, nie spuszczając oczu z księcia, a gdy książę odpowiadał, kiwała głową przy każdem jego słowie.

— Opat Pafnucy, z czternastego stulecia — zaczął książę —zarządzał pustelnią na Wołdze, w dzisiejszej naszej kostromskiej gubernji, słynął ze świętobliwego życia, jeździł do Tatarów, pomagał załatwiać ówczesne sprawy i podpisał

się pod jednym listem, a ja widziałem kopję tego podpisu. Podobał mi się ten podpis i nauczyłem się go. Kiedy przed chwilą jenerał chciał zobaczyć, jak ja piszę, ażeby się zdecydować co do mej posady ,napisałem kilka zdań różnemi pismami i między innemi: „Opat Pafnucy rękę przyłożył"... własnem pismem opata. Jenerałowi spodobało się bardzo i teraz o tem wspominał.

— Agłaja — powiedziała jenerałowa — zapamiętaj: Pafnucy, albo lepiej zapisz, bo ja zawsze zapominam. Myślałam, coprawda, że będzie coś bardziej zajmującego. Gdzież jest ten podpis?

— Zdaję się, że został w gabinecie jenerała, na stole.

— Trzeba zaraz posłać i kazać przynieść.

— To już ja może jeszcze raz pani napiszę, jeśli sobie pani życzy.

— Naturalnie, *maman* — powiedziała Aleksandra — lepiejby teraz zabrać się do śniadania; nam się chce jeść.

— Masz rację — potwierdziła jenerałowa. — Chodźmy, książę; bardzo się panu chce jeść?

— Tak, bardzo mi się teraz jeść zachciało i bardzo pani jestem wdzięczny.

— To bardzo dobrze, że pan jest grzeczny i uważam, że z pana wcale nie taki... dziwak, za jakiego pana podali. Chodźmy. Niech pan usiądzie tutaj, naprzeciwko mnie — mówiła, sadzając księcia, gdy weszli do stołowego pokoju — chcę na pana patrzeć. Aleksandro, Adelajdo, poczęstujcie księcia. Prawda, że on wcale nie taki... chory? Może i serwety nie potrzeba?... Książę, czy panu przy jedzeniu zawiązywano serwetę?

— Dawniej, kiedy miałem siedem lat pewno zawiązywano, a teraz kładę zwykle przy jedzeniu serwetę na kolanach.

— Tak być powinno. A paroksyzmy?

— Paroksyzmy? — zdziwił się nieco książę — ja teraz dosyć rzadko miewam paroksyzmy. Zresztą nie wiem; mówią, że tutejszy klimat będzie mi szkodził.

— Dobrze mówi — zauważyła jenerałowa, zwracając się do córek i kiwając w dalszym ciągu głową za każdem słowem księcia — nawet nie przypuszczałam. Widocz-

nie wszystko głupstwo i nieprawda, jak zwykle. Jedz, książę i opowiadaj: gdzie się pan urodził, gdzie wychowywał? Chcę wszystko wiedzieć; pan mnie niezwykle interesuje.

Książę podziękował i, zajadając z wielkim apetytem, zaczął znowu opowiadać wszystko to, o czem już nieraz musiał mówić tego rana. Jenerałowa była coraz bardziej zadowolona. Panny też dosyć uważnie słuchały. Porozumiano się co do krewnych, okazało się, że książę zna dość dobrze swój rodowód, ale jakkolwiek kombinowali, nie znalazło się między nim a jenerałową żadne pokrewieństwo. Dziadkowie i babki mogli się jeszcze uważać za dalekich krewnych. Ten suchy przedmiot szczególniej spodobał się jenerałowej, której pomimo jej życzenia, nigdy się prawie nie udawało, mówić o swoim rodowodzie, tak, że wstała od stołu podniecona.

— Chodźmy wszyscy do salonu — powiedziała — tam nam podadzą kawę. Mamy tam wspólny pokój — zwróciła się do księcia, prowadząc go — poprostu mój mały salonik, w którym zbieramy się, gdy jesteśmy same i każda się zajmuje swoją robotą. Aleksandra, ta oto, najstarsza moja córka, gra na fortepianie, czyta, lub szyje. Adelajda... rysuje portrety i pejzaże (i nigdy ich skończyć nie może), a Agłaja siedzi i nic nie robi. Mnie także wszystko z rąk wypada i nic mi się nie udaje. Ale oto jesteśmy; niech książę usiądzie tu, przy kominku i proszę opowiadać. Chcę wiedzieć, jak pan opowiada. Chcę się dokładnie przekonać i gdy się zobaczę ze starą księżną Biełokońską, wszystko jej o panu opowiem. Chcę, żeby się oni wszyscy panem zainteresowali. No, niechże pan mówi.

— *Maman*, przecież to okropnie dziwnie tak opowiadać — zauważyła Adelajda, która tymczasem poprawiła swoje stalugi, pendzle, paletę i zabrała się do kopjowania z ryciny dawno już zaczętego pejzażu. Aleksandra i Agłaja usiadły razem na małej kanapce i złożywszy ręce, przygotowały się do słuchania opowiadania.

Książę spostrzegł, że ze wszystkich stron zwrócono na niego szczególną uwagę.

— Ja nicbym nie opowiedziała, gdyby mi to tak nakazywano — zauważyła Agłaja.

— Dlaczego? Co tu dziwnego? Dlaczego niema opowiadać? Język przecież ma. Chcę wiedzieć, jak on umie mówić. O czemkolwiek bądź. Niech pan opowie, jak się panu spodobała Szwajcarja, pierwsze wrażenie. No, zobaczycie, zaraz zacznie i doskonale zacznie.

— Wrażenie było silne... — zaczął książę.

— A co — podchwyciła niecierpliwie Elżbieta Prokofjewna — już zaczął.

— Niechże mu *maman* przynajmniej pozwoli mówić — przerwała Aleksandra. — Ten książę to może wielki oszust, ale wcale nie idjota — szepnęła do Agłai.

— To prawda, widzę to już oddawna — odpowiedziała Agłaja. — I to podłe z jego strony grać komedję. Cóż, to, czy on chce na tem co skorzystać?...

— Pierwsze wrażenie było bardzo silne — powtórzył książę. — Kiedy jechałem z Rosji przez różne niemieckie miasta, patrzałem tylko w milczeniu i pamiętam, że nawet o nic nie pytałem. Było to po całym szergu silnych i męczących paroksyzmów mojej choroby, a ja zawsze, kiedy się choroba wzmacniała i paroksyzmy się powtarzały kilka razy zrzędu, wpadałem w zupełne ogłupienie, traciłem pamięć, a chociaż rozum pracował, logiczny związek myśli zupełnie się przerywał. Więcej, niż dwóch, lub trzech myśli nie mogłem powiązać. Tak mi się zdaje. Kiedy zaś paroksyzmy mijały, znów czułem się zdrów i silny, tak jak i teraz. Pamiętam, przygniatał mnie nieznośny smutek; zbierało mi się nawet na płacz; dziwiło mnie to i niepokoiło: straszne na mnie robiło wrażenie, że to wszystko o b c e; to zrozumiałem. Obcość mnie zabijała. Ocknąłem się zupełnie z tego mroku, pamiętam, wieczorem, w Bazylei, wjeżdżając do Szwajcarji, rozbudził mnie krzyk osła na rynku miejskim. Osioł straszne zrobił na mnie wrażenie i, nie wiem dlaczego, niezwykle mi się podobał, a jednocześnie w mojej głowie wszystko się jakoś rozjaśniło.

— Osioł? To dziwne — zauważyła jenerałowa. — A zresztą, nic w tem dziwnego, niejedna z nas zakocha się w ośle — rzuciła, spojrzawszy z gniewem na śmiejące się panny. — To się wie jeszcze z mitologji. Niech książę mówi dalej.

— Od tej pory strasznie lubię osły. Mam do nich nawet pewną słabość. Zacząłem się o nie wypytywać, bo przedtem ich nie widywałem i wtedy sam się przekonałem, że to najpożyteczniejsze ze zwierząt, pracowite, silne, cierpliwe, tanie, wytrzymałe i dzięki temu osłu cała Szwajcarja zaczęła mi się podobać, tak, że mi zupełnie przeszedł poprzedni smutek.

— Wszystko to bardzo dziwne, ale o ośle można opuścić; przejdźmy na inny temat. Czego ty się ciągle śmiejesz, Agłaja? I ty, Adelajdo? Książę ślicznie opowiedział o ośle. On go sam widział, a ty, cóżeś widziała? Zagranicą nie byłaś.

— Widziałam osła, *maman* — powiedziała Adelajda.

— A ja go nawet słyszałam — podchwyciła Agłaja.

Wszystkie trzy znów się roześmiały. Roześmiał się także i książę.

— To bardzo głupio z waszej strony — zauważyła jenerałowa — niech im książę wybaczy, bo to dobre dziewczęta. Wiecznie je łaję, ale je kocham. Trzpioty, lekkomyślne warjatki.

— Dlaczego? — śmiał się książę — i jabym na ich miejscu nie opuścił sposobności. A ja się jednak wstawiam za osłem: osioł, to dobry i pożyteczny człowiek.

— A książę dobry? Pytam przez ciekawość — zapytała jenerałowa.

Znów się wszyscy roześmieli.

— I znów ten przeklęty osioł mi się nawinął, nawet o nim nie pomyślałam! — zawołała jenerałowa. — Wierzaj mi, książę, że ja bez najmniejszej...

— Aluzji? O, wierzę, bez najmniejszej wątpliwości.

I książę śmiał się serdecznie.

— To bardzo dobrze, że się pan śmieje. Widzę, że z pana bardzo dobry młody człowiek — powiedziała jenerałowa.

— Czasem niedobry — odpowiedział książę.

— A ja jestem dobra — wtrąciła jenerałowa zupełnie niespodzianie — i jeśli pan chce, jestem zawsze dobra i jest to moja jedyna wada, gdyż nie trzeba być zawsze dobrą. Złoszczę się bardzo często, to na nie, to zwłaszcza na Jana

Teodorowicza, ale co jest szkaradne, to to, że jestem najlepszą wtedy, kiedy się złoszczę. Przed chwilą, zanim pan przyszedł, rozgniewałam się i udawałam, że nic nie rozumiem i pojąć nie mogę. Bywa tak ze mną; zupełnie, jak z dzieckiem. Agłaja dała mi naukę; dziękuję ci, Agłaja. Zresztą, wszystko głupstwo. Jeszcze nie jestem tak głupia, na jaką wyglądam i jaką mnie chcą córeczki przedstawić. Mam charakter i nie jestem bardzo wstydliwa. Zresztą, mówię to bez złości. Chodź tutaj, Agłaja, pocałuj mnie... no i dosyć czułości — zauważyła, gdy Agłaja pocałowała ją gorąco w usta i w rękę. — Niech książę mówi dalej. Może też pan wspomni o czemś bardziej zajmującem od osła.

— A ja znów nie pojmuję, jak to można tak wprost opowiadać — zauważyła Adelajda — jabym sobie nigdy nie dała rady.

— A książę da sobie radę, gdyż książę jest niezwykle mądry i mądrzejszy od ciebie przynajmniej dziesięć, a może i dwanaście razy. Niech je książę o tem przekona i mówi dalej. Osła można rzeczywiście wkońcu opuścić. No, cóż pan prócz osła widział jeszcze zagranicą?

— Ależ i o ośle było mądre — zauważyła Aleksandra — książę opowiedział w sposób bardzo zajmujący szczegóły ze swej choroby i jak wszystko mu się podobało, dzięki jednemu zewnętrznemu impulsowi. Zawsze mnie to zajmowało, jak ludzie tracą zmysły, a potem wracają do zdrowia. Zwłaszcza, jeśli się to dzieje nagle.

— Prawda? Prawda? — uniosła się jenerałowa — widzę, że i ty bywasz czasem rozumna: ale dosyć śmiechu! Zdaje mi się, że książę zatrzymał się na szwajcarskiej naturze, cóż dalej?

— Przyjechaliśmy do Lucerny i pływałem po jeziorze. Odczuwałem, jak jest piękne, ale przytem bardzo mi było ciężko — powiedział książę.

— Dlaczego? — zapytała Aleksandra.

— Nie rozumiem. Zawsze mi jest ciężko patrzeć na taką przyrodę po raz pierwszy i budzi to we mnie niepokój: dobrze mi jest, ale nie mam spokoju; zresztą, wszystko to było jeszcze podczas choroby.

— No nie, ja chciałabym bardzo to widzieć — powiedziała Adelajda. — I nie rozumiem, kiedy my się wybierzemy zagranicę. Od dwóch lat nie mogę znaleźć tematu do obrazu. Niech mi książę znajdzie temat do obrazu.

— Ja się na tem zupełnie nie znam. Zdaje mi się, że wystarczy spojrzeć i rysować.

— Nie umiem spojrzeć.

— Cóż to za zagadki układacie? Nic nie rozumiem!— przerwała jenerałowa — co to znaczy: nie umiem spojrzeć? Masz oczy i patrz. Nie umiesz tutaj patrzeć to się i zagranicą nie nauczysz. Lepiej niech książę, opowie, jak sam patrzał.

— Tak, to będzie lepiej — dodała Adelajda. — Książę zagranicą nauczył się patrzeć.

— Nie wiem; ja tam tylko poprawiłem sobie zdrowie; nie wiem, czy się nauczyłem patrzeć. Zresztą, prawie cały czas bardzo byłem szczęśliwy.

— Szczęśliwy? Pan umie być szczęśliwy? — krzyknęła, mocno tem zaciekawiona, Agłaja — więc jakże pan może powiedzieć, że się pan nie nauczył patrzeć. Jeszcze pan nas nauczy.

— Niech pan nauczy — śmiała się Adelajda.

— Niczego nie mogę nauczyć — śmiał się również książę — prawie cały czas pobytu mego zagranicą spędziłem w szwajcarskiej wsi; rzadko z niej wyjeżdżałem i to do pobliskich miejscowości; czegoż ja panie nauczę? Z początku tyle tylko, że się nie nudziłem; wracałem prędko do zdrowia; później, każdy dzień stawał się dla mnie drogi, i im później, tem był droższy, do tego stopnia, że zacząłem to zauważać. Szedłem spać z uczuciem zadowolenia, a wstawałem jeszcze szczęśliwszy. A dlaczego tak było... to dosyć trudno opowiedzieć.

— Tak, że nigdzie się panu iść nie chciało, nigdzie pana nie ciągnęło? — zapytała Aleksandra.

— Z początku, z samego początku, owszem, ciągnęło mnie i wpadłem w wielki niepokój. Myślałem ciągle o tem, jak ja będę żył; chciałem zbadać swe losy i zwłaszcza w pewnych chwilach bywałem niespokojny. Wiedzą panie, takie chwile zdarzają się, zwłaszcza w samotności. Mieliśmy tam wodospad, nieduży, spadał z wysokiej góry bardzo wąskim

strumieniem, prawie prostopadle... biały, burzliwy, pieniący się; spadał z wysoka, a zdawało się, że był nisko, był odległy o pół wiorsty, a zdawało się, że jest do niego pięćdziesiąt kroków. Lubiłem po nocach słuchać jego szmeru; i w takich właśnie chwilach dochodziłem czasem do wielkiego niepokoju. Nieraz też w południe, gdy się zajdzie gdziekolwiek bądź w góry i stanie się samotnie pośrodku, dokoła sosny stare, wielkie, smoliste, na górze, na skale, stary zamek średniowieczny, ruiny; nasza wioska daleko, na dole, ledwie dostrzegalna, słońce jaskrawe, niebo błękitne, cisza przejmująca. I tu zdarzyło się, że wszystko gdzieś nawoływało i zdawało mi się, że gdybym poszedł prosto, szedł długo, długo i zaszedł za tę linję, za tę właśnie na której niebo z ziemią się spotyka, to tam byłoby rozwiązanie zagadki i natychmiast ujrzałbym nowe życie, tysiąc razy silniejsze, niż nasze; majaczyło mi się miasto tak wielkie, jak Neapol, a w niem same pałace, gwar, huk, życie... O czem to się nie marzyło! A później przekonałem się, że i w więzieniu można znaleźć olbrzymie życie.

— Ostatnią myśl godną uznania czytałam w moich wypisach, mając dwanaście lat — powiedziała Agłaja.

— Wszystko to filozofja — zauważyła Adelajda — pan jesteś filozofem i przyjechałeś nas uczyć.

— Może panie i mają słuszność — uśmiechnął się książę — jestem rzeczywiście filozofem i kto wie, może istotnie mam zamiar uczyć... Być może, doprawdy, być może.

— I filozofja pańska zupełnie jest podobna do filozofji Jewłampji Mikołajewny — podchwyciła znów Agłaja — to urzędniczka, wdowa, przychodzi do nas jakby w charakterze rezydentki. Całem zadaniem jej życia... taniość; aby tylko jak najtaniej zamieszkać, mówi tylko o kopiejkach, a trzeba wiedzieć, że pieniądze ma; to filutka. Tak i pańskie olbrzymie życie w więzieniu, a może i pańskie czteroletnie szczęście na wsi, za które pan sprzedał swój Neapol, i to zdaje się, z zyskiem, pomimo że sprzedał go pan za grosze.

— Co do życia w więzieniu możnaby się zgodzić — powiedział książę — słyszałem opowiadanie człowieka, który przesiedział w więzieniu lat dwanaście; był to jeden z cho-

rych pacjentów mego profesora: leczył się. Miewał ataki, był czasem niespokojny, płakał i raz nawet próbował się zabić. Życie jego w więzieniu było bardzo smutne, zaręczam paniom; w każdym razie jednak było więcej warte niż grosz. A ze znajomych miał pająka i drzewo, które pod oknem wyrosło... Ale lepiej opowiem paniom o innem mojem spotkaniu w zeszłym roku, z innym człowiekiem. Była tam pewna, bardzo dziwna okoliczność; dziwna głównie dlatego, że ten wypadek rzadko miewa miejsce. Człowiek ten raz był wprowadzony razem z innymi na szafot i przeczytano mu wyrok, skazujący na śmierć przez rozstrzelanie za polityczne przestępstwo. Po dwudziestu minutach przeczytano ułaskawienie i naznaczono inny stopień kary; jednakże przeciąg czasu pomiędzy dwoma wyrokami, dwadzieścia minut, lub przynajmniej kwadrans, przeżył w głębokiem przekonaniu, że za kilka minut umrze. Straszną miałem ochotę słuchać, gdy sobie czasem przypominał swoje ówczesne wrażenia i kilka razy zaczynałem go na nowo wypytywać. Pamiętał wszystko ze zdumiewającą jasnością i mówił, że nigdy nic z tych chwil nie zapomni. W odległości dwudziestu kroków od szafotu, otoczonego przez lud i żołnierzy, wbito trzy słupy, ponieważ przestępców było kilku. Przyprowadzono trzech pierwszych, przywiązano ich do słupów, odziano ich w śmiertelne ubranie (białe, długie, płócienne koszule), a na oczy nasunięto im białe czapki, żeby nie widzieli strzelb; następnie przed każdym sformował się oddział z kilku żołnierzy. Mój znajomy był ósmym zkolei, a więc wypadało, aby poszedł do słupów w trzecim rzędzie. Ksiądz z krzyżem obszedł wszystkich. Pozostawało pięć minut życia, nie więcej. Mówił, że te pięć minut wydawały mu się nieskończonym terminem, olbrzymiem bogactwem; zdawało mu się, że przez te pięć minut przeżyje tyle żyć, że teraz nie było jeszcze warto myśleć o chwili ostatniej, do tego stopnia, że zrobił sobie rozmaite postanowienia; wyliczył sobie czas, aby się pożegnać z towarzyszami, przeznaczył na to dwie minuty, potem przeznaczył jeszcze dwie minuty na to, ażeby po raz ostatni pomyśleć o sobie, a następnie, aby po raz ostatni dokoła rzucić okiem. Pamiętał bardzo dobrze, że te trzy właśnie rzeczy sobie postanowił i właśnie w ten sposób podzielił

czas. Umierał, mając lat dwadzieścia siedem, zdrów i silny, pamiętał, że gdy się żegnał z towarzyszami, zadał jednemu z nich dosyć obojętne pytanie i nawet był ciekaw odpowiedzi. Potem, gdy się już pożegnał, nadeszły te dwie minuty, które przeznaczył dla siebie, aby myśleć o sobie; wiedział zawczasu, o czem będzie myślał; chciał wyobrazić sobie jak najprędzej i jak najjaśniej, że jakże to być może... teraz jest i żyje, a za trzy minuty już będzie czemś, lub kimś, lecz kim? i gdzie? myślał, że rozwiąże to wszystko przez te dwie minuty. Wpobliżu stała cerkiew i wierzchołek soboru z pozłacanym dachem błyszczał od jaskrawego słońca. Pamiętał, że patrzał bardzo uporczywie na ten dach i na promienie odbijające się od niego; oczu nie mógł od tych promieni oderwać; wydawało mu się, że te promienie, to jakaś nowa jego natura, że on za trzy minuty w jakiś sposób zleje się z niemi... Nieświadomość i wstręt do tego czegoś nowego, które będzie i zaraz nadejdzie, były straszne; ale on mówił, że nic nie było straszniejszego nad nieustającą myśl: „A gdyby tak można nie umrzeć! A gdyby tak zacząć życie od początku... co za nieskończoność! I wszystko to byłoby mojem! Zamieniłbym wtedy każdą chwilę życia na całe stulecie, nicbym nie utracił, liczyłbym każdą chwilę, jużby wtedy żadna nie była bezużytecznie stracona!" Mówił, że wkońcu myśl ta przeszła w nim w taką złość, że pragnął być czem prędzej rozstrzelany.

Książę umilkł nagle: wszyscy myśleli, że będzie mówił dalej i wyciągnie wniosek.

— Skończył pan? — zapytała Agłaja.

— Co? Skończyłem — powiedział książę, budząc się z chwilowego zamyślenia.

— A poco pan to opowiadał?

— Tak... przypomniało mi się... tak w rozmowie... — odrzekł książę.

— Pan bardzo lubi urywać — zauważyła Aleksandra — chciał książę pewno dowieść, że ani jednej chwili nie trzeba obliczać na grosze i że czasem pięć minut droższe jest od skarbu. Wszystko to bardzo chwalebne, ale proszę pana, jakże to się skończyło z tym przyjacielem, który panu takie straszne rzeczy opowiadał... przecież zmieniono mu karę,

więc darowano mu to „nieskończone życie?“ No, cóż on potem zrobił z tem bogactwem? Czy żył tak, jakby liczył każdą minutę?

— O nie, mówił mi sam... pytałem go już o to... wcale tak nie żył i stracił dużo minut.

— A więc ma pan próbę; widocznie nie można żyć „licząc każdą minutę“. Jest powód, dla którego nie można.

— Tak, jest powód, dla którego nie można—powtórzył książę — i mnie się tak zdawało... A jednak nie chce się jakoś uwierzyć...

— To znaczy, że panu się zdaje, że pan mądrzej, niż wszyscy, żyć będzie? — powiedziała Agłaja.

— Tak, i o tem się czasem myślało.

— I myśli?

— I myśli — odpowiedział książę ze skromnym i nawet nieśmiałym uśmiechem, patrząc na Agłaję; ale zaraz znów się roześmiał i spojrzał na nią wesoło.

— Przynajmniej skromność! — odezwała się Agłaja prawie z rozdrażnieniem.

— Jakież panie jednak odważne, śmiejecie się, a na mnie wszystko to w jego opowiadaniu takie zrobiło wrażenie, że później we śnie widziałem właśnie te pięć minut...

Badawczo i poważnie obrzucił raz jeszcze spojrzeniem swe słuchaczki.

— Czy się panie za co na mnie nie gniewają? — zapytał nagle, jakby zmieszany, ale patrząc wszystkim prosto w oczy.

— Za co? — zawołały trzy panny ze zdumieniem.

— A no tak, że wyglądam, jakgdybym ciągle uczył.

Roześmiały się.

— Jeśli się nie gniewacie, to się i nie gniewajcie—powiedział — ja przecież sam wiem, że żyłem krócej od innych i mniej od wszystkim rozumiem życie. Być może, że czasem mówię bardzo dziwnie...

Zmieszał się już ostatecznie.

— Skoro pan mówi, że pan był szczęśliwy, to widocznie nie żył pan mniej, lecz więcej; czemuż więc pan gra komedję i usprawiedliwia się? — surowo zaczęła mówić Agłaja — i niech się pan nie boi, że nas pan poucza, tu żadnego

triumfu z pańskiej strony niema. Z pańskim kwietyzmem można i sto lat życia szczęściem zapełnić. Pokazać panu karę śmierci i pokazać panu mały paluszek, pan z jednego, jak i z drugiego myśl chwalebną wyprowadzi i jeszcze będzie się pan z tego cieszył. Tak to można żyć.

— Czego ty się ciągle złościsz, nie rozumiem — podchwyciła jenerałowa, obserwująca oddawna twarze mówiących — i o czem wy mówicie, też pojąć nie mogę. Jaki paluszek, co to za głupstwa? Książę mówi prześlicznie, tylko trochę smutno. Czemu go onieśmielasz? Śmiał się, kiedy zaczął mówić, a teraz zupełnie osowiał.

— Nic, nie szkodzi, *maman*. A szkoda, że książę nie widział kary śmierci, zapytałabym pana o jedną rzecz.

— Widziałem karę śmierci — odpowiedział książę.

— Widział pan? — zawołał Agłaja — powinnam się tego domyślić! To jest koroną wszystkiego. Jeżeli pan widział, jakże pan może powiedzieć, że pan był cały czas szczęśliwy? No, co? Czy nie miałam słuszności?

— A czy w pańskiej wsi jest kara śmierci? — zapytała Adelajda.

— Widziałem to w Lugdunie, jeździłem tam ze Schneidrem, wziął mnie z sobą.

— Cóż, bardzo się panu spodobało? Dużo pouczającego? Pożytecznego? — wypytywała Agłaja.

— Wcale mi się to nie podobało i trochę byłem potem chory, ale przyznam się, że patrzałem jak przykuty, oczu oderwać nie mogłem.

— Ja teżbym oczu oderwać nie mogła — powiedziała Agłaja.

— Tam bardzo nie lubią, kiedy kobiety chodzą patrzeć, nawet piszą potem w dziennikach o tych kobietach.

— A zatem, jeśli uważają, że to nie kobieca sprawa, chcą przez to samo powiedzieć (a zapewne usprawiedliwić), że jest to rzecz męska. Winszuję logiki. I pan, ma się rozumieć, tak samo myśli.

— Niech pan opowie o karze śmierci — przerwała Adelajda.

— Tak nie mam teraz ochoty... — zmieszał się i jakby zasępił książę.

— Widocznie panu żal nam to opowiadać — ukłuła go Agłaja.

— Nie, tylko, że ja dopiero co opowiadałem o tej karze śmierci.

— Komu pan opowiadał?

— Kamerdynerowi... czekając...

— Jakiemu kamerdynerowi? — dało się słyszeć ze wszystkich stron.

— A temu, co siedzi w przedpokoju, taki siwawy, z czerwoną twarzą; siedziałem w przedpokoju, chcąc wejść do Jana Teodorowicza.

— Dziwne — zauważyła jenerałowa.

— Książę... demokrata — odcięła Agłaja — no, jeśli pan Aleksemu opowiadał, nam pan odmówić nie może.

— Chciałabym koniecznie posłuchać — powtórzyła Adelajda.

— Przed chwilą, rzeczywiście — zwrócił się do niej książę, trochę się znów ożywiając (ożywiał się on bardzo szybko i ufnie) — rzeczywiście myślałem o tem, kiedy mnie pani prosiła o temat do obrazu, aby dać pani pewien temat; wymalować twarz skazańca, na chwilę przed uderzeniem gilotyny, kiedy jeszcze stoi na szafocie przed położeniem się na tej desce.

— Jakto twarz? Samą twarz? — zapytała Adelajda — dziwny będzie temat i cóż to za obraz?

— Nie wiem, a to dlaczego? — gorąco nalegał książe — w Bazylei widziałem niedawno taki obraz. Mam wielką ochotę pani opowiedzieć... Opowiem kiedykolwiek... duże zrobił na mnie wrażenie.

— O obrazie w Bazylei musi pan również opowiedzieć, ale później — powiedziała Adelajda — a teraz niech mi pan wytłumaczy obraz, przedstawiający to stracenie. Może pan to tak opowiedzieć, jak to sobie pan sam wyobraża. Sama twarz? Cóż to za twarz?

— To na minutkę przed śmiercią — chętnie zaczął mówić książę, poddając się wspomnieniom i natychmiast zapominając o wszystkiem innem — w chwili, kiedy wszedł po schodkach i dopiero co stanął na szafocie. Wtedy spojrzał w moją stronę; widziałem jego twarz i wszystko zro-

zumiałem. Zresztą, jakże to opowiedzieć! Chciałbym strasznie, strasznie, żeby pani, lub ktokolwiek bądź to narysował! Lepiej, żeby to pani! Przyszło mi wtedy na myśl, że byłby to pożyteczny obraz. Wie pani, trzeba tam wyobrazić wszystko, co było przedtem, wszystko... wszystko... Był w więzieniu i oczekiwał stracenia przynajmniej dopiero za tydzień; liczył na zwykłe formalności; myślał, że papier musi jeszcze gdzieś być wysłany i wróci dopiero za tydzień. A tu nagle z jakiegoś tam powodu sprawę skrócono. O piątej rano spał. Było to pod koniec października; o godzinie piątej chłodno jeszcze i ciemno. Wszedł komisarz więzienny, pocichu, ze strażą i dotknął ostrożnie jego ramienia; on podniósł się, oparł się na łokciu, widzi światło: „Co takiego?..." „O godzinie dziesiątej stracenie". Narazie, ze snu, nie uwierzył, zaczął się spierać, że papier przyjdzie dopiero za tydzień, ale gdy się zupełnie rozbudził, przestał i umilkł... tak opowiadano... potem powiedział: „Jednak to ciężko tak nagle..." i znów umilkł i nic więcej mówić nie chciał. Następne trzy do czterech godzin upływają na znanych sprawach: ksiądz, śniadanie, do którego podają mu wino, kawę i pieczeń (no, czy to nie kpiny? Przychodzi na myśl, że to okrucieństwo, ale z drugiej strony, Boże drogi, ci ludzie robią tak z dobrego serca i są przekonani, że to miłość bliźniego) potem tualeta (panie wiedzą, jaka jest tualeta przestępcy?) nareszcie wiozą przez miasto na szafot... Przypuszczam, że i teraz, dopóki wiozą, ma się wrażenie, iż pozostaje jeszcze życie długie, bez końca. Zdaje mi się, że on na pewno myślał w drodze: „Jeszcze długo, jeszcze przez trzy ulice będę żył; oto przejadę tą, potem zostanie jeszcze ta, na której jest po prawej stronie piekarz... zanim jeszcze dojedziemy do piekarza!" dokoła lud, krzyk, hałas, dziesięć tysięcy par oczu... wszystko to trzeba znieść, a przedewszystkiem tę myśl: „oto ich jest dziesięć tysięcy, a nikogo z nich nie stracą, a mnie stracą!" Ale wszystko to... rzeczy przedwstępne. Na szafot prowadzą schodki; tu przed schodkami nagle rozpłakał się, a był to człowiek silny i odważny, był to, jak mówiono, wielki zbrodniarz. Przez cały czas był przy nim kapłan, na wózku jechał i ciągle do niego mówił... ale czy on słyszał: już zacznie słuchać, ale trzeciego słowa nic już nie rozumiał. Tak

to być musi. Wreszcie zaczął wstępować na schodki; nogi ma związane, więc idzie maleńkiemi krokami. Kapłan, widocznie człowiek rozumny, przestał mówić, dawał mu ciągle krzyż do całowania. Wchodząc na schodki, był bardzo blady, a gdy wszedł na górę, na szafot, stał się nagle biały jak papier, zupełnie jak biały papier do pisania. Nogi jego musiały słabnąć i kostnieć i dusił się, jakgdyby go coś dławiło w gardle i łaskotało... czuły to panie kiedykolwiek w strachu, lub w chwilach bardzo strasznych, kiedy się jest zupełnie przytomnym, a rozum już nie ma żadnej władzy? Zdaje mi się, że jeśli się naprzykład stoi wobec nieuniknionej zagłady, dom się wali, wtedy chciałoby się usiąść, zamknąć oczy i czekać... niech się co chce, dzieje!... Otóż tutaj, gdy nadchodziła taka chwila słabości, kapłan czem prędzej, prędkim ruchem i w milczeniu, podsuwał mu krzyż do samych ust, taki maleńki krzyżyk, srebrny, czteroramienny... podsuwał mu go często, co chwila. I jak tylko ustami dotykał krzyża, otwierał oczy i znów na parę sekund jakby się ożywiał i nogi niosły go dalej. Całował krzyż chciwie, całował z pośpiechem, widocznie śpieszył się, aby zdobyć coś na drogę, na wszelki przypadek, ale wątpię, czy on w tej samej chwili odczuwał coś religijnego. Tak było aż do samej deski... Dziwna rzecz ,że w tych ostatnich chwilach rzadko ludzie mdleją! Przeciwnie, głowa strasznie żyje i pracuje, i to pewno mocno, mocno, mocno, jak maszyna puszczona w ruch; wyobrażam sobie, że tak się walą różne myśli, wszystkie niedopowiedziane, a może i śmieszne, takie obojętne myśli: „oto ten patrzy... na czole ma brodawkę, oto zardzewiał dolny guzik przy ubraniu kata“... a tymczasem człowiek wszystko wie i wszystko rozumie; jest pewien taki punkcik, którego w żaden sposób zapomnieć nie można i zemdleć nie można i wszystko do tego punktu wraca i koło niego się kręci. I pomyśleć, że to tak do ostatniej ćwierci sekundy, kiedy już głowa leży na rusztowaniu i czeka... i wie, że nagle usłyszy nad sobą jak zgrzytnęło żelazo! To się na pewno usłyszy! Gdybym ja tak leżał, słuchałbym umyślnie i usłyszałbym! Chodzi tu, być może, o jedną dziesiątą cząsteczkę chwili, ale na pewno się usłyszy. I niech sobie panie wyobrażą, że ludzie dotychczas jeszcze dowodzą, że, gdy

już głowa odpadnie, wie może jeszcze przez sekundę, o tem, że odpadła... co za uczucie! A jeżeli przez pięć sekund!... Niech pani narysuje szafot w ten sposób, żeby było widać jasno i blisko jeden tylko ostatni schodek; przestępca wszedł na ten stopień; głowa twarz blada jak płótno, kapłan podaje krzyż, on chciwie wysuwa swe zsiniałe usta i patrzy i... wszystko wie. Krzyż i głowa, oto obraz, twarz kapłana, kata, jego dwóch pomocników i kilka głów i oczu poniżej... wszystko to można narysować, jakby na trzecim planie, zamglone, jako akcesorja... Oto jest obraz.

Książę zamilkł i spojrzał dokoła.

— To bezwarunkowo nie wygląda na kwietyzm — powiedziała sama do siebie Aleksandra.

— No, teraz niech pan opowie o tem, jak pan był zakochany — powiedziała Adelajda.

Książę spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Niech pan posłucha — mówiła, jakby śpiesząc się, Adelajda — należy nam się opowiadanie pana o bazylejskim obrazie, ale teraz chcę posłuchać o tem, jak pan był zakochany. Przytem, jak tylko pan zacznie opowiadać, przestaje pan być filozofem.

— Jak tylko pan skończy swe opowiadanie, zaraz się pan wstydzi tego, co pan opowiedział — zauważyła nagle Agłaja. — Dlaczego?

— Jakież to wkońcu głupie — palnęła jenerałowa, patrząc z oburzeniem na Agłaję.

— Niemądre — powiedziała Aleksandra.

— Niech jej książę nie wierzy — zwróciła się do niego jenerałowa — ona to robi umyślnie, przez jakąś złośliwość; ona nie jest wcale tak źle wychowana; niech pan o nich czego złego nie pomyśli, że one się panu tak naprzykrzają. Z pewnością już coś umyśliły, ale one pana lubią. Już ja ich twarze znam.

— I ja ich twarze znam — powiedział książę, szczególnie jakoś podkreślając te słowa.

— A to w jaki sposób? — zapytała Adelajda z ciekawością.

— Co pan wie o naszych twarzach? — zaciekawiły się tamte dwie.

Ale książę milczał i był poważny; wszyscy czekali na jego odpowiedź.

— Powiem paniom później — powiedział cicho i poważnie.

— Stanowczo chce nas pan zainteresować — zawołała Agłaja — i to jak uroczyście.

— No, dobrze — pośpieszyła się znów Adelajda — jeżeli już z pana taki znawca twarzy, to na pewno też się pan kochał; widocznie zgadłam. Niechże pan opowiada.

— Nie kochałem się — odpowiedział książę cicho i poważnie — byłem... w inny sposób szczęśliwy.

— Jakto, jak?

— Dobrze, opowiem to paniom — powiedział książę, jakgdyby po głębokim namyśle.

VI

— Oto teraz panie — zaczął mówić książę — patrzą na mnie z taką ciekawością, że gdybym jej nie zaspokoił, panieby się na mnie rozgniewały. Nie, żartuję — dodał czem prędzej z uśmiechem. — Tam... tam były same dzieci i byłem cały czas z niemi, z samemi dziećmi. Były one z tej wsi, cała gromada, która się w szkole uczyła. Ja ich nie uczyłem; o nie, był tam nauczyciel szkolny, Jules Tibo; uczyłem je coprawda, ale raczej tylko z niemi przestawałem i tak przez cztery lata. Niczego więcej nie potrzebowałem. Mówiłem im wszystko, nic przed niemi nie ukrywałem. Rodzice ich i krewni wszyscy zagniewali się na mnie, gdyż wkońcu dzieci obejść się beze mnie nie mogły i ciągle dokoła mnie się gromadziły, a nauczyciel szkoły stał się nawet moim najzaciętszym wrogiem. Dużo sobie tam narobiłem nieprzyjaciół z powodu dzieci. Nawet Schneider się mnie wstydził. I czego oni się tak bali? Dziecku można wszystko mówić... wszystko; uderzało mnie to zawsze, jak dorośli źle znają dzieci, nawet ojcowie i matki swoje własne dzieci. Przed dziećmi nic nie trzeba ukrywać, pod pozorem, że są małe i że za wcześnie, aby wiele wiedziały. Cóż to za smutny i nieszczęśliwy pomysł! I jak doskonale dzieci zdają sobie sa-

me sprawę z tego, że ojcowie uważają je za zbyt małe i nic nie rozumiejące, podczas gdy one wszystko rozumieją. Dorośli nie wiedzą, że dziecko w najtrudniejszej nawet sprawie może dać nadzwyczaj ważną radę. Ach Boże! kiedy na człowieka patrzy ta milutka ptaszyna, z zaufaniem i ze szczęściem, wstyd przecież ją oszukać! Nazywam je ptaszkami, bo nic niema na świecie milszego od ptasząt. Zresztą oni wszyscy we wsi rozgniewali się na mnie głównie z jednego powodu... a Tibo wprost mi zazdrościł; z początku kręcił wciąż głową i dziwił się, że dzieci przy mnie wszystko rozumieją, a przy nim prawie nic, później zaś zaczął mnie wyśmiewać, gdy mu powiedziałem, że obaj niczego ich nie nauczymy, prędzej one nas nauczą. I jakże on mógł mi zazdrościć i obmawiać, kiedy sam przestawał z dziećmi! Dzieci leczą duszę... W zakładzie Schneidra był pewien chory, bardzo nieszczęśliwy człowiek. Było to tak straszne nieszczęście, że chyba nie może być równie wielkiego. Miał się leczyć na pomieszanie zmysłów; podług mnie, to nie był warjat, lecz człowiek strasznie cierpiący... to cała jego choroba. I żeby panie wiedziały, czem się wkońcu stały dla niego nasze dzieci... Ale o tym chorym opowiem paniom później, teraz opowiem, jak się to wszystko zaczęło. Dzieci mnie z początku nie lubiły. Byłem taki duży, wyglądam zawsze niedźwiedziowato; wiem też, że jestem brzydki... wreszcie byłem cudzoziemcem. Z początku śmiały się ze mnie, a potem zaczęły na mnie rzucać kamieniami, gdy raz podpatrzyły, że pocałowałem Marie. A ja wszystkiego raz tylko jeden ją pocałowałem... Nie, niech się panie nie śmieją — wstrzymał książę czem prędzej uśmiechy swoich słuchaczek — tu nie było mowy o miłości. Gdyby panie wiedziały, jakie to było nieszczęśliwe stworzenie, toby i paniom było jej żal, tak jak i mnie. Pochodziła z naszej wsi. Jej matka była to sędziwa staruszka i w ich maleńkim, ubożutkim domku o dwóch oknach było za pozwoleniem wiejskiej władzy odgrodzone jedno z tych okien; w tem okienku wolno jej było sprzedawać sznurki, nici, tytoń, mydło, wszystkiego razem za parę groszy i z tego się utrzymywała. Była chora, nogi jej wciąż puchły i nie mogła chodzić. Marie była to jej córka, dwudziestoletnia, słaba i chudziutka; miała już

oddawna początki suchot, a wciąż jeszcze chodziła po domach na dniówki, do ciężkiej pracy... szorowała podłogi, prała bieliznę, zamiatała podwórza, oporządzała bydło. Jakiś przejezdny francuski *commis* uwiódł ją i zabrał ze sobą, a po tygodniu rzucił samą na drodze i pokryjomu wyjechał. Przyszła do domu, skradając się, cała powalana, w łachmanach, z podartemi trzewikami; szła pieszo przez cały tydzień, nocowała w polu i bardzo się przeziębiła; nogi miała pokryte ranami, ręce popuchły i popękały. I przedtem nie była zresztą bardzo ładna; oczy tylko miała spokojne, dobre, niewinne. Strasznie była milcząca. Kiedyś, jeszcze przedtem, zaśpiewała nagle przy robocie i pamiętam, że się wszyscy dziwili i zaczęli się śmiać: „Marie zaśpiewała! Jakto? Marie zaśpiewała!“... okropnie się zawstydziła i zupełnie zamilkła. Wtedy ją jeszcze pieszczono, ale kiedy wróciła chora i umęczona, nikt już dla niej nie miał współczucia! Jacy oni byli okrutni! Jakie oni mają na te rzeczy straszne poglądy! Matka, pierwsza, przyjęła ją ze złością i ze wzgardą: „Tyś mnie teraz zhańbiła“. Ona też pierwsza wydała ją na pośmiewisko; gdy się we wsi dowiedzieli, że Marie wróciła, wszyscy pobiegli na nią popatrzeć i prawie cała wieś zleciała się do izby staruszki: starcy, dzieci dziewczęta, wszyscy, cała skwapliwa i chciwa gromada. Marie leżała na podłodze, u nóg staruszki, głodna, w łachmanach i płakała. Kiedy się wszyscy zbiegli, przykryła się swemi rozczochranemi włosami i leżała dalej twarzą do ziemi. Wszyscy dokoła patrzyli na nią, jak na gada; starcy potępiali ją i złorzeczyli jej, młodzi śmieli się nawet, kobiety wymyślały jej, potępiały, patrzały z takim wstrętem, jak na jakiego pająka. Matka na to wszystko pozwoliła, siedziała przy tem, kiwała głową i przytakiwała. Matka była już wtedy bardzo chora i prawie umierająca; dwa miesiące później istotnie umarła; wiedziała, że umiera, a jednak z córką do samej śmierci pogodzić się nie chciała, ust nawet do niej nie otwierała, kazała spać w sieni, prawie jej nawet nie żywiła. Musiała często moczyć swoje chore nogi w gorącej wodzie; Marie codziennie obmywała jej nogi i pielęgnowała ją; staruszka przyjmowała w milczeniu jej usługi i ani jednego dobrego słowa jej nie powiedziała. Marie

wszystko znosiła i potem, kiedy się z nią zaznajomiłem, zauważyłem, że nie buntuje się i ma się sama za ostatnią z ostatnich. Kiedy się staruszka na dobre już położyła, przyszły ją doglądać kolejno różne baby ze wsi, tak jak tam jest we zwyczaju. Wtedy przestali już zupełnie żywić Marie, a we wsi wszyscy ją wypędzali i nawet nikt nie chciał jej dać roboty, tak jak przedtem. Wszyscy, jakby na nią pluli, a mężczyźni przestali ją nawet uważać za kobietę i wciąż jej mówili różne sprosności. Czasem, bardzo rzadko, kiedy pijacy dobrze sobie w niedzielę podpili, rzucali jej parę groszy, tak wprost na ziemię; Marie podnosiła je w milczeniu. Już wtedy zaczęła pluć krwią. Wkońcu jej gałgany stały się już zupełnemi łachmanami, tak że wstyd było pokazywać się we wsi; boso zaś chodziła od chwili powrotu. Wtedy to, zwłaszcza dzieci, całą gromadą... było ich czterdzieścioro samych uczniaków... zaczęły znęcać się nad nią, a nawet obrzucać ją błotem. Prosiła pastucha, aby jej pozwolił paść krowy, ale pastuch ją przepędził. Wtedy zaczęła sama, bez pozwolenia, wychodzić z bydłem na cały dzień z domu. Ponieważ była dla pastucha bardzo pożyteczną, i on to zauważył, już jej nie wypędzał i czasem dawał jej resztki ze swego obiadu, kawałki sera i chleba. Uważał to za wielkie miłosierdzie ze swej strony. Kiedy zaś matka umarła, pastor nie powstydził się zniesławić Marie publicznie, w kościele. Marie stała przy trumnie w swoich łachmanach i płakała. Zebrało się mnóstwo ludzi, aby patrzeć, jak będzie płakała i jak będzie szła za trumną; wówczas pastor... był to jeszcze człowiek młody, który miał ambicję stać się wielkim kaznodzieją... zwrócił się do wszystkich, wskazując na Marie: „Oto, kto był powodem śmierci tej czcigodnej kobiety" (co było nieprawdą, gdyż od dwóch lat była już chorą), „oto stoi ona przed wami i nie śmie oczu podnieść, gdyż tknął ją palec Boży; oto jest bosa i w łachmanach... żywy obraz tych, którzy tracą cnotę! Co to za jedna? To jej córka!..." i tak dalej w tym samym stylu. I niech sobie panie wyobrażą, że ta podłość prawie wszystkim się spodobała, ale... wtedy zdarzyła się dziwna rzecz; oto wystąpiły dzieci, gdyż wtedy były już wszystkie po mojej stronie i zaczynały lubić Marie. Oto jak się to

stało. Przyszło mi na myśl, aby coś zrobić dla Marie; gwałtownie potrzebowała pieniędzy, ale ja tam nigdy nie miałam ani grosza. Miałem małą, brylantową szpilkę i sprzedałem ją pewnemu przekupniowi; jeździł po wsiach i handlował starą odzieżą. Dał mi osiem franków, chociaż szpilka napewno była warta ze czterdzieści. Długo starałem się spotkać Marie samą; wkońcu spotkaliśmy się za wsią, przy płocie, na bocznej ścieżynce, idącej na górę, za drzewem. Wtedy dałem jej osiem franków i powiedziałem, aby ich pilnowała, bo więcej już mieć nie będę, następnie pocałowałem ją i prosiłem, aby nie myślała, że mam jakie złe zamiary i że ją całuję nie dlatego, żebym w niej był zakochany, lecz dlatego, że mi jej bardzo żal i od samego początku zupełnie jej nie uważałem za winną, a tylko za nieszczęśliwą. Miałem wielką ochotę przytem pocieszyć ją i przekonać, że nie powinna się tak przed wszystkimi poniżać, ale ona mnie widocznie nie zrozumiała. Zaraz to zauważyłem, chociaż prawie cały czas milczała, spuściwszy oczy i była strasznie zawstydzona. Kiedy przestałem mówić, pocałowała mnie w rękę, wtedy ja wziąłem jej rękę i chciałem pocałować, ale czem prędzej ją wyrwała. Nagle, w tej samej chwili, podpatrywały nas dzieci, cała ich gromada; dowiedziałem się później, że oddawna mnie już podpatrywały. Zaczęły gwizdać, klaskać w ręce i śmiać się, a Marie uciekła. Chciałem do nich przemówić, ale zaczęły mnie obrzucać kamieniami. Tego samego dnia dowiedzieli się wszyscy, cała wieś; wszystko znów spadło na Marie: jeszcze bardziej zaczęli jej nie lubić. Słyszałem nawet, że mieli ją skazać na jakąś karę, ale chwała Bogu jakoś to przeszło; zato dzieci nie dawały jej przejść spokojnie, znęcały się nad nią jeszcze więcej, niż przedtem, rzucały na nią błotem; nieraz, gonią ją, ucieka od nich ze swemi słabemi piersiami, dech jej zaprze, one pędzą za nią, krzyczą, wymyślają. Raz chciałem nawet pobić się z niemi. Potem zacząłem do nich mówić, mówiłem dzień w dzień, kiedy tylko mogłem. Dzieci zatrzymywały się niekiedy i słuchały, chociaż ciągle wymyślały. Opowiedziałem im, jak bardzo Marie jest nieszczęśliwa; wkrótce przestały wymyślać i odchodziły w milczeniu. Powoli zaczęliśmy rozmawiać, nic przed niemi nie ukrywałem, wszystko im opowiedziałem.

Słuchały z wielką ciekawością i wkrótce zaczęły się litować nad Marie. Niektóre z nich, spotykając Marie, witały ją grzecznie; tam jest zwyczaj, przy spotkaniu, czy to z osobą znajomą, czy z nieznajomą, ukłonić się i mówić: „dzień dobry!“ Wystawiam sobie, jak się Marie dziwiła. Pewnego razu dwie dziewczynki dostały coś do jedzenia, zaniosły jej, przyszły i powiedziały mi to. Mówiły, że się Marie rozpłakała i że one ją bardzo teraz lubią. Wkrótce wszystkie dzieci ją polubiły, a jednocześnie i mnie nagle polubiły. Odtąd często do mnie przychodziły i prosiły, abym im co opowiadał: zdaje mi się, że dobrze opowiadałem, gdyż bardzo lubiły mnie słuchać. Później uczyłem się sam i czytałem wszystko dlatego, żeby im opowiedzieć i potem przez całe trzy lata im opowiadałem. Gdy mi później wszyscy zarzucali... Schneider również... czemu ja z niemi mówię jak z dorosłymi i nic przed niemi nie ukrywam, odpowiedziałem, że to wstyd przed niemi kłamać, że one i tak wszystko wiedzą, żeby nie wiem jak ukrywać, i dowiedzą się z pewnością w formie obrzydliwej, a ode mnie nie obrzydliwie. Niech sobie tylko każdy przypomni, kiedy był dzieckiem. Nie zgodzili się ze mną... Pocałowałem Marie dwa tygodnie przed śmiercią jej matki, ale podczas mowy pastora wszystkie dzieci były już po mojej stronie. Opowiedziałem im wtedy i wytłumaczyłem postępowanie pastora; rozgniewały się wszystkie na niego, niektóre do tego stopnia, że mu kamieniami szyby powybijały. Uspokoiłem je, bo to już było brzydko, ale we wsi odrazu się o wszystkiem dowiedzieli i zaraz mi zarzucili, że psuję dzieci. Później dowiedzieli się wszyscy, że dzieci lubią Marie i okropnie się przestraszyli, ale Marie już była szczęśliwa. Zabronili nawet dzieciom się z nią widywać, ale biegały do niej cichaczem, do stada, dosyć daleko, prawie pół wiorsty za wsią; nosiły jej podarunki, a niektóre przybiegały wprost poto, żeby ją uściskać, pocałować, powiedzieć: *Je vous aime Marie!* i potem co tchu biec zpowrotem. Marie o mało pomieszania zmysłów nie dostała wobec tak niespodziewanego szczęścia; nawet o niem nigdy nie marzyła; wstydziła się i cieszyła; dzieci, zwłaszcza dziewczynki, biegały do niej głównie poto, aby jej powiedzieć, że ją kocham i bardzo im dużo o niej mówię. Powiedziały

jej, że ja im wszystko opowiedziałem, że ją teraz kochają i litują się nad nią i zawsze ją kochać i żałować będą. Następnie przybiegały do mnie i z radosnemi i zakłopotanemi twarzyczkami oznajmiały mi, że dopiero co widziały Marie i że Marie każe mi się kłaniać. Wieczorem chodziłem do wodospadu; było tam miejsce zupełnie zakryte od strony wsi, dokoła rosły topole; tutaj właśnie zbiegały się do mnie wieczorami, niektóre przychodziły nawet ukradkiem. Zdaje mi się, że moja miłość do Marie sprawiła im wielką rozkosz i w tej jednej rzeczy, przez cały czas mego tam pobytu, oszukiwałem je. Nie przekonywałem, że wcale nie kocham Marie, to jest, że nie jestem w niej zakochany, że mi jej tylko bardzo było żal; widziałem, że one o wiele wolały, ażeby było tak, jak im się zdawało i jak to między sobą ułożyły, dlatego też milczałem i udawałem, że zgadły. I do takiego stopnia były delikatne i czułe te małe serduszka: między innemi wydało im się niemożliwe, że ich dobry Leon tak kocha Marie, a Marie tak źle odziana i bez trzewików. Niech sobie panie wyobrażą, wynalazły dla niej i trzewiki, i pończochy, i bieliznę, i nawet jakąś suknię; jak one do tego doszły, nie rozumiem; cała gromada pracowała. Kiedy je wypytywałem, śmiały się tylko wesoło, a dziewczynki klaskały w rączki i całowały mnie. Czasem chodziłem także cichaczem zobaczyć się z Marie. Była już coraz bardziej chora i ledwo chodziła: wkońcu przestała zupełnie służyć u pastucha, ale zawsze co rano wychodziła z bydłem. Siadała z boku; tam pod jedną prawie prostopadłą skałą był występ; siadała w kącie najbardziej zakrytym, na kamieniu i siedziała bez ruchu przez cały dzień, od rana, aż do chwili, kiedy stado wracało do obór. Była już wskutek suchot tak słabą, że po większej części siedziała z zamkniętemi oczami, z głową opartą o skałę i drzemała, ciężko oddychając; twarz jej wychudła, jak u trupa, pot występował na czole i na skroniach. Tak ją zawsze znajdowałem. Przychodziłem na chwilę; również nie chciałem, żeby mnie widziano. Skoro tylko się pokazywałem, Marie w tej chwili budziła się, otwierała oczy i całowała moje ręce. Nie broniłem się już, gdyż dla niej to było szczęściem; przez cały czas mojej bytności u niej drżała i płakała, kilka razy zaczynała mówić, ale nawet

zrozumieć ją było trudno. Zachowywała się jak warjatka, strasznie zmieszana i podniecona. Czasami dzieci przychodziły ze mną. W tym przypadku stawały gdzieś niedaleko i strzegły nas przed kimś, czy przed czemś, i to sprawiało im przyjemność. Kiedyśmy odchodzili, Marie znów zostawała sama i, tak jak przedtem bez ruchu, z zamkniętemi oczyma i z głową opartą o skałę; być może, że o czemś marzyła. Pewnego dnia z rana nie mogła już wyjść ze stadem i została u siebie, w pustym swym domu. Dzieci zaraz się o tem dowiedziały i prawie wszystkie ją odwiedziły; leżała w łóżku sama, samiuteńka. Przez dwa dni opiekowały się nią tylko dzieci, zachodząc do niej kolejno, później jednak, kiedy się we wsi dowiedziano, że Marie rzeczywiście umiera, zaczęły się schodzić do niej stare baby. We wsi, zdaje się, zaczęto się litować nad Marie, przynajmniej nie zatrzymywano dzieci i nie wymyślano im tak jak przedtem. Marie ciągle drzemała; miała niespokojne sny, strasznie kaszlała. Baby odpędzały dzieci, ale one przybiegały do okna, czasem tylko na minutę, tyle tylko, żeby zdążyć powiedzieć: *Bonjour notre bonne Marie.* A ona, kiedy je zobaczyła, lub usłyszała, odrazu się ożywiała i nie zwracając uwagi na baby, starała się podnieść na łokciu, kiwała głową, dziękowała. Tak jak przedtem przynosiły jej podarunki, ale ona prawie nic nie jadła. Ręczę paniom, że dzięki nim, umarła szczęśliwa. Dzięki nim, zapomniała o swej strasznej nędzy, jakgdyby one udzieliły jej przebaczenia, gdyż do samego końca uważała się za wielką zbrodniarkę. Jak ptaszęta uderzały skrzydełkami w jej okna i krzyczały jej co rano: *Nous t'aimons, Marie.* Wkrótce potem umarła. Myślałem, że dużo dłużej żyć będzie. W przeddzień jej śmierci zaszedłem do niej przed zachodem słońca, zdaje mi się, że mnie poznała i po raz ostatni uścisnąłem jej rękę; jakże wyschła jej ręka! A tu nagle rano przychodzą i mówią mi, że Marie umarła. Wtedy już dzieci nie można było utrzymać: przystroiły całą jej trumnę kwiatami i włożyły jej wianek na głowę. Pastor w kościele już nie hańbił umarłej, a na pogrzebie bardzo było mało osób, tak tylko z ciekawości zaszli niektórzy; kiedy jednak trzeba było nieść trumnę, rzuciły się dzieci wszystkie razem, chcąc same ją nieść. Nie mogąc same dać rady, pomagały, biegły

wszystkie za trumną i wszystkie płakały. Od tej pory mogiłka Marie stała się przedmiotem ciągłej opieki dzieci: co rok zdobią ją kwiatami, obsadziły dokoła różami. Ale zato od dnia pogrzebu zaczęła się naganka całej wsi na mnie. Podżegali głównie pastor i nauczyciel szkoły. Dzieciom stanowczo zabroniono nawet widywać się ze mną, a Schneider zobowiązał się tego pilnować. Widywaliśmy się jednakże i porozumiewaliśmy się na migi. Przysyłały mi maleńkie bileciki. Później się to wszystko ułożyło, ale wtedy bardzo było dobrze: zbliżyłem się nawet z dziećmi wskutek tej naganki. W ostatnim roku prawie się pogodziłem z Tibo i z pastorem. Schneider zaś dużo mówił i spierał się ze mną co do mego szkodliwego „systemu" z dziećmi. A czyż ja miałem jaki system?! Wkońcu wypowiedział mi Schneider pewną bardzo dziwną swoją myśl... było to już przed samym moim odjazdem... powiedział mi, że doszedł do przekonania, że ze mnie dziecko, zupełne dziecko, że ja tylko ze wzrostu i twarzy wyglądam na dorosłego, ale że co do rozwoju duszy, charakteru, a może nawet i rozumu nie jestem dorosłym i takim już zostanę, choćbym i sześćdziesiąt lat przeżył. Uśmiałem się serdecznie: on, ma się rozumieć, nie ma słuszności, bo cóż tam ze mnie za dziecko? To jedno tylko jest prawdą, że ja rzeczywiście nie lubię przestawać z dorosłymi... to już oddawna zauważyłem... nie lubię, bo nie umiem. O czemkolwiekby ze mną mówili, jakkolwiek byliby dla mnie dobrzy, mnie jednak z nimi jakoś ciężko i strasznie się cieszę, gdy mogę czem prędzej uciec do moich towarzyszów, a towarzyszami mymi zawsze były dzieci i to nie dlatego, żebym ja sam był dzieckiem, a dlatego, że mnie wprost ciągnęło do dzieci. Kiedy ja, jeszcze z samego początku mego mieszkania na wsi... wtedy, kiedy chodziłem sam tęsknić po górach... łażąc samotnie spotykałem niekiedy, zwłaszcza w południe, gdy wypuszczano ze szkoły całą tę hałaśliwą gromadę, biegnącą, ze swemi woreczkami i z tabliczkami, z krzykiem, ze śmiechem i z uciechą, wtedy cała moja dusza zaczynała nagle rwać się ku nim. Nie wiem dlaczego, zacząłem doznawać silnego wrażenia szczęścia przy każdem z niemi spotkaniu. Stawałem i śmiałem się ze szczęścia, patrząc na ich maleńkie, migające i wiecznie ruchliwe nóżki, na chłopczyków i dziewczynki

biegnących razem, na śmiech i łzy (gdyż wiele z nich zdążyło się pokłócić ,rozpłakać, znów pogodzić i pobawić, zanim ze szkoły do domu dobiegły) i wtedy zapominałem o całej mojej tęsknocie. Potem przez całe te trzy lata zrozumieć nawet nie mogłem, jak się ludzie smucą i za czem tęsknią? Oddałem im całe moje życie. Nigdy nie miałem zamiaru opuścić tej wsi i na myśl mi nie przychodziło, że przyjadę kiedy tutaj, do Rosji. Zdawało mi się, że ja tam zawsze będę, ale wkońcu spostrzegłem, że Schneider nie mógł mnie utrzymywać, a przytem zaszła sprawa na tyle widocznie ważna, że Schneider sam przynaglił mnie do odjazdu i za mnie odpowiedział. Zobaczę co to takiego i muszę się z kimś naradzić. Być może, że los mój zupełnie się zmieni, ale to nie o to chodzi, to nie jest główną rzeczą. Głównem jest to, że się zmieniło całe moje życie. Zostawiłem tam dużo, za dużo. Wszystko zniknęło. Siedziałem w wagonie i myślałem: „Idę teraz do ludzi; nic może nie wiem, ale nadeszło nowe życie". Postanowiłem spełnić moje zadanie uczciwie i stanowczo. Być może, że będzie mi z ludźmi nudno i ciężko. Na początek postanowiłem sobie być ze wszystkimi grzeczny i szczery, przecież nikt ode mnie więcej nie wymaga. Może i tutaj uważać mnie będą za dziecko... a niech tam! Mnie wszyscy, nie wiem dlaczego, uważają za idjotę; rzeczywiście, byłem kiedyś tak chory, że wyglądałem na idjotę, ale teraz, cóż ze mnie za idjota, kiedy ja sam rozumiem, że mnie mają za idjotę? Wchodzę i myślę: „Oto mają mnie za idjotę, ja jednak jestem mądry, a oni się tego nie domyślają..." Często przychodzi mi to na myśl. Kiedy dostałem w Berlinie stamtąd parę maleńkich liścików, które dzieci zdążyły do mnie napisać, dopiero wtedy zrozumiałem, jak je kochałem. Bardzo ciężko odbierać pierwszy list. Jakie one były smutne, odprowadzając mnie. Już miesiąc przedtem zaczęły mnie żegnać: *Lèon s'en va, Lèon s'en va pour toujours!* Co wieczór spotykaliśmy się, tak jak dawniej, przy wodospadzie i rozmawialiśmy ciągle o naszem rozstaniu. Czasem bywało równie wesoło jak i przedtem; tylko kiedyśmy już rozstawali się na noc, ściskały mnie mocno i gorąco, czego nie było przedtem. Niektóre zabiegały do mnie w tajemnicy przed wszystkimi, po jednemu, poto jedynie, żeby mnie uściskać i poca-

łować na osobności, nie przy wszystkich. Kiedy się już wybierałem w drogę, wszystkie, całą gromadą, odprowadzały mnie na dworzec. Dworzec drogi żelaznej był odległy od naszej wsi mniej więcej o wiorstę. Wstrzymywały się od płaczu, ale wiele z nich nie mogło się powstrzymać i płakało głośno, zwłaszcza dziewczynki. Śpieszyliśmy się, żeby się nie spóźnić, ale ciągle ktoś z tłumu rzucał się nagle na mnie na środku drogi, obejmował mnie swemi małemi rączkami, całował i zatrzymywał całą gromadę; my zaś, chociażeśmy się śpieszyli, stawaliśmy i czekali, aż się pożegna. Gdy wsiadłem do wagonu i pociąg ruszył, krzyknęły wszystkie *hurra!* i długo stały na miejscu, dopóki nie straciły z oczu wagonu. I ja również patrzałem... Wiedzą panie, kiedy przed chwilą tu wszedłem i spojrzałem na wasze miłe twarzyczki... ja teraz bardzo wpatruję się w twarze... i usłyszałem pierwsze wasze słowa, wtedy po raz pierwszy od tej pory zrobiło mi się lekko na sercu. Już dawniej myślałem, że może rzeczywiście należę do rzędu ludzi szczęśliwych; przecież wiem, że się nie często spotyka ludzi, którychby się odrazu polubiło, a ja panie spotkałem zaraz po wyjściu z wagonu. Wiem bardzo dobrze, że wszyscy się wstydzą mówić o swoich uczuciach, a ja paniom o tem mówię i nie wstydzę się. Nie jestem człowiekiem towarzyskim, więc może nie prędko do pań przyjdę. Niech panie tego tylko ze złej strony nie wezmą; nie powiedziałem tego dlatego, żebym pań nie cenił i niech panie nie myślą, że się o coś obraziłem. Pytały panie o swoje twarze i co ja mianowicie w nich zauważyłem? Powiem z całą przyjemnością. Pani, Adelajdo Iwanowno, ma twarz szczęśliwą, najsympatyczniejszą ze wszystkich trzech. To, poza tem, że pani jest przystojną, widzi się, kiedy się na panią patrzy: „ona ma twarz dobrej siostry". Pani zwraca się do człowieka wesoło i z prostotą i umie pani prędko zgłębić serce. Tak mi się przedstawia twarz pani. Pani, Aleksandro Iwanowno, ma twarz równie ładną i bardzo miłą; ale być może, że pani ma jakiś ukryty ból; dusza pani jest bezwątpienia bardzo dobra, ale pani nie jest wesoła. Pani ma szczególny odcień twarzy, coś podobnego jak Madonna Holbeina w Dreznie. Oto co się tyczy pani twarzy; czy dobrze zgadłem? Same panie przecież uważają, że dobrze zgaduję. Ale

co się tyczy twarzy pani, Elżbieto Prokofjewno — zwrócił się nagle do generałowej — to już nie zdaje mi się, ale wprost jestem pewien, że pani jest zupełnem dzieckiem, we wszystkiem; we wszystkiem dobrem i we wszystkiem złem, pomimo to, że jest już pani w podeszłym wieku. Pani przecież się na mnie nie gniewa, że ja tak mówię? Pani przecież wie, jak ja się na dzieci zapatruję. I niech panie nie myślą, że ja z głupoty tak wszystko szczerze mówiłem o twarzach pań; o nie, zupełnie nie! Być może, iż miałem w tem swój cel.

VII

Gdy książę umilkł, patrzały wszystkie na niego wesoło; nawet i Agłaja, ale przedewszystkiem Elżbieta Prokofjewna.

— Toście go wyegzaminowały! — zawołała. — No cóż, szanowne panie, myślałyście, że wy będziecie się nim opiekowały jak jakim biedakiem, a on sam ledwo raczył was wybrać i to jeszcze z zastrzeżeniem, że przychodzić będzie bardzo rzadko. Wystrychnięto nas na dudków, ale ja się z tego cieszę; najgorzej wyszedł Jan Teodorowicz. Brawo, książę, kazano nam przedtem pana wyegzaminować. A to, co pan o mojej twarzy powiedział, to zupełna prawda: jestem dzieckiem i wiem o tem. Jeszcze przed panem o tem wiedziałam; pan właśnie wyraził moją myśl w jednem słowie. Uważam pański charakter za zupełnie odpowiadający mojemu i bardzo się z tego cieszę: jesteśmy jak dwie krople wody. Tylko pan jest mężczyzną, a ja kobietą i w Szwajcarji nie byłam, to cała różnica.

— Nie śpiesz się, *Maman* — zawołała Agłaja — książę mówi ,że on we wszystkich swych wyznaniach ma swój cel i nie mówił tak odniechcenia.

— Tak, tak — śmiały się inne.

— Nie żartujcie, moje drogie, bardzo być może, że on jest jeszcze sprytniejszy od was wszystkich trzech razem. Zobaczycie. Ale cóż to, nic książę nie powiedział o Agłai? Agłaja czeka i ja czekam.

— Nic teraz nie mogę powiedzieć, później powiem.

— Dlaczego? Zdaje się, że wpada w oko.

— O tak, wpada; pani jest niezwykle piękna, Agłajo Iwanowno. Pani jest tak piękna, że człowiek boi się na panią patrzeć.

— I tylko tyle? A charakter? — nalegała jenerałowa.

— Trudno jest sądzić piękno; nie jestem jeszcze przygotowany. Piękno, to zagadka.

— To znaczy, że pan dał Agłaji do rozwiązania zagadkę — powiedziała Adelajda — zgadnijże, Agłajo. Prawda, że jest piękna, książę, prawda?

— Nad wszelki wyraz! — odpowiedział książę z zapałem ,spojrzawszy z zachwytem na Agłaję — prawie tak jak Nastazja Filipowna, chociaż twarz zupełnie inna!...

Wszyscy spojrzeli na siebie ze zdziwieniem.

— Jak kto-o-o? — zawołała przeciągle jenerałowa — jak Nastazja Filipowna? Gdzie pan widział Nastazję Filipownę? Co za Nastazja Filipowna?

— Gabrjel Ardałjonowicz pokazywał dopiero co jej fotografję Janowi Teodorowiczowi.

— Jakto, przyniósł fotografję Janowi Teodorowiczowi?

— Dla pokazania. Nastazja Filipowna dała dziś swoją fotografję Gabrjelowi Ardałjonowiczowi, a on ją przyniósł dla pokazania.

— Chcę zobaczyć! — rzuciła się jenerałowa — gdzie jest ta fotografja? Jeśli mu ją dała, to on musi ją mieć, a z pewnością jest jeszcze w gabinecie. W środy zawsze przychodzi pracować i nigdy przed czwartą nie wychodzi. Albo nie, nie bardzo mam ochotę go widzieć. Niech książę będzie tak dobry, zajdzie do gabinetu, weźmie fotografję i przyniesie ją tutaj. Niech pan powie, że chcemy tylko obejrzeć. Niech pan będzie łaskaw.

— Miły, ale za bardzo jakiś dobroduszny — powiedziała Adelajda, gdy książę wyszedł.

— Tak, za bardzo — potwierdziła Aleksandra — nawet jest trochę śmieszny.

I jedna i druga jakby nie wypowiadały całej swojej myśli.

— Zresztą, dobrze się wykręcił z naszemi twarzami — powiedziała Agłaja — wszystkim pochlebił, nawet *maman.*

— Nie dowcipkuj, proszę cię — krzyknęła jenerałowa. — On nie pochlebiał, ale ja się czuję pochlebiona.

— Myślisz, że się wykręcał? — spytała Adelajda.

— Zdaje mi się, że nie jest on tak bardzo dobroduszny.

— No, już język rozpuściła — rozgniewała się jenerałowa — podług mnie jesteście jeszcze śmieszniejsze od niego. Choć dobroduszny, ma swó rozum, rzecz prosta, w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu. Zupełnie tak, jak ja.

„Oczywiście fatalnie się stało, żem się wygadał o fotografji" — rozmyślał książę, wchodząc do gabinetu. — „Ale być może, iż z drugiej strony dobrze się stało, żem się wygadał..." — Zaczynała powstawać w jego głowie pewna dziwna myśl, niezupełnie jeszcze jasna..

Gabrjel Ardaljonowicz siedział jeszcze w gabinecie, pogrążony w swoich papierach. Widocznie, nie brał darmo pensji od towarzystwa akcyjnego. Zmieszał się bardzo, gdy książę poprosił go o fotografję i opowiedział, w jaki sposób dowiedziano się o fotografji.

— E-e-ech! I pocóż pan gadał! — krzyknął gniewnie — nic pan nie rozumie... Idjota! — mruknął pod nosem.

— Przepraszam, zupełnie przypadkowo, tak się jakoś zgadało. Powiedziałem, że Agłaja jest prawie tak ładna, jak Nastazja Filipowna.

Gania poprosił o wszelkie szczegóły rozmowy, książę je opowiedział. Gania znów szyderczo popatrzył na niego.

— A to zajechała panu w głowę Nastazja Filipowna... — mruknął, ale nie skończył i zamyślił się. Widać było, że był niespokojny.

Książę przypomniał o fotografji.

— Mam do księcia wielką prośbę — powiedział nagle Gania, jakgdyby nowa myśl przyszła mu do głowy — ale doprawdy, nie wiem...

Zmieszał się i nie dopowiedział; na coś się decydował i jakby walczył sam ze sobą. Książę czekał w milczeniu. Gania rzucił na niego jeszcze jedno badawcze, przenikliwe spojrzenie.

— Książę — zaczął znowu — tam teraz na mnie... wskutek pewnej dziwnej okoliczności... bardzo śmiesznej, której nic winien nie jestem... jednem słowem, to zbyteczne... tam na mnie, zdaje się, trochę się gniewają, tak, że przez pewien czas nie chcę tam chodzić niewołany. Chciałbym strasznie pomówić teraz z Agłają Iwanowną.. Na wszelki wypadek napisałem parę słów (w jego rękach znalazł się mały, złożony papierek) i nie wiem jak oddać. Czyby się pan nie podjął oddać Agłaji Iwanownie zaraz teraz, ale samej Agłaji Iwanownie, to jest, żeby nikt nie widział, rozumie pan? To nie jest żadna Bóg wie jaka tajemnica, tam niema nic takiego... ale... zrobi pan?

— Niebardzo mi będzie przyjemnie — odpowiedział książę.

— Ach, książę, tak mi na tem zależy! — zaczął prosić Gania — może mi ona odpowie... Niech mi pan wierzy, że zwracam się tylko przyciśnięty ostatecznością... Przez kogo mam posłać? To jest bardzo ważne... strasznie dla mnie ważne...

Gania bał się okropnie, że książę nie zgodzi się i z nieśmiałą prośbą patrzył mu w oczy.

— Zresztą, oddam.

— Ale tak, żeby nikt nie widział — błagał dalej uradowany Gania — i liczę, książę, na pańskie słowo honoru.

— Nie pokażę nikomu — powiedział książę.

— Koperta nie jest zaklejona, ale... — wygadał się, za bardzo już przejęty Gania i przerwał zmieszany.

— O, nie przeczytam — z zupełną prostotą odpowiedział książę, wziął fotografję i wyszedł pośpiesznie z gabinetu.

Gania po wyjściu księcia złapał się za głowę.

— Jedno jej słowo i... i, naprawdę zerwę!

Był tak wzburzony, że nie mógł już zająć się papierami i zaczął chodzić po gabinecie z kąta w kąt.

Książę szedł zamyślony; nieprzyjemnie go uderzyło polecenie, nieprzyjemnie go uderzyła myśl o bileciku Gani do Agłaji. Ale zanim doszedł do salonu, zatrzymał się nagle, jakgdyby coś sobie przypominał, obejrzał się dokoła, pod-

szedł do okna, bliżej światła i zaczął się przyglądać fotografji Nastazji Filipownej.

Chciał odgadnąć to, co było ukryte w tej twarzy i co go dawniej uderzyło. Poprzednie wrażenie go nie opuszczało i teraz jakgdyby coś pośpiesznie sprawdzał. Ta twarz, niezwykła dzięki swej piękności i dzięki jeszcze czemuś innemu, jeszcze bardziej go teraz uderzyła. Była w tej twarzy jakby jakaś olbrzymia duma i pogarda, a jednocześnie coś ufnego, coś zadziwiająco dobrodusznego; te dwa kontrasty budziły, gdy się patrzało na te rysy, pewną nawet jakby litość. Ta oślepiająca piękność była nie do zniesienia, piękność bladej twarzy, troszeczkę zapadniętych policzków i palących oczu; dziwna piękność! Książę patrzył przez chwilę, potem nagle opamiętał się, obejrzał się dokoła, szybko zbliżył fotografję do ust i pocałował ją. Kiedy po chwili wchodził do salonu, twarz jego była zupełnie spokojna.

Ale zaledwie wszedł do jadalni (oddzielał ją jeszcze jeden pokój od salonu) spotkał prawie w samych drzwiach wychodzącą Agłaję. Była sama.

— Gabrjel Ardaljonowicz prosił, żebym pani oddał— powiedział książę, oddając bilet.

Agłaja zatrzymała się, wzięła bilecik i jakoś dziwnie spojrzała na księcia. W jej spojrzeniu nie było żadnego zmieszania, chyba pewne zdziwienie i to, zdaje się, dotyczące tylko księcia. Agłaja swojem spojrzeniem żądała od niego odpowiedzi... w jaki sposób znalazł się w tej sprawie razem z Ganią?... żądała dumnie i spokojnie. Stali tak naprzeciwko siebie dwie, lub trzy sekundy; wkońcu coś szyderczego, ledwie dostrzegalnego ukazało się na jej twarzy; uśmiechnęła się zlekka i odeszła.

Jenerałowa przyglądała się jakiś czas w milczeniu i z pewnym odcieniem lekceważenia fotografji Nastazji Filipownej, którą trzymała w wyciągniętej ręce, nadmiernie odsunąwszy ją od oczów.

— Tak, przystojna — powiedziała wkońcu — nawet bardzo przystojna. Widziałam ją dwa razy, ale zdaleka. Więc panu się taka uroda podoba — zwróciła się nagle do księcia.

— Tak... taka... — odpowiedział książę z pewnym wysiłkiem.

— To jest, właśnie taka?

— Właśnie taka.

— Dlaczego?

— W tej twarzy... dużo cierpienia... — powiedział książę jakby nienaumyślnie, jakby mówiąc do siebie i nie odpowiadając na pytanie.

— Może pan bredzi, poprostu — zdecydowała jenerałowa i dumnym ruchem rzuciła na stół fotografję.

W tej chwili Agłaja wróciła znów do salonu.

— Co za potęga! — zawołała nagle Adelajda, chciwie wpatrując się w fotografję z poza pleców siostry.

— Gdzie? Jaka potęga? — zapytała ostro Elżbieta Prokofjewna.

— Taka piękność... to potęga — gorąco powiedziała Adelajda — mając taką urodę, można świat przewrócić!

Zamyślona podeszła do swoich sztalug. Agłaja spojrzała na fotografję tylko mimochodem, zmrużyła oczy, wysunęła dolną wargę i usiadła na boku, ze złożonemi rękami.

Jenerałowa zadwoniła.

— Zawołać Gabrjela Ardaljonowicza, jest w gabinecie — rozkazała służącemu.

— *Maman!* — znacząco krzyknęła Aleksandra.

— Chcę mu parę słów powiedzieć... no, dosyć! — odpaliła prędko jenerałowa, przerywając w ten sposób dalsze uwagi. Była najwidoczniej rozdrażniona.

— W naszym domu, książę, są teraz ciągle jakieś tajemnice. Ciągle tajemnice. Wymaga tego jakaś głupia etykieta. I to w takiej sprawie, w której potrzeba jak najwięcej szczerości, jasności, uczciwości. Układają się jakieś małżeństwa, mnie się te małżeństwa nie podobają...

— *Maman*, cóż *maman* znów? — powtórnie starała się ją powstrzymać Aleksandra.

— Czego chcesz, córeczko! A czy tobie się podobają? A że książę słucha? to przecież jesteśmy przyjaciółmi. Przynajmniej ja i on. Bóg szuka ludzi, rozumie się, dobrych, złych i kapryśnych nie potrzebuje; szczególnie kapryśnych, co to dzisiaj zdecydują się na jedno, a jutro mówią co inne-

go. Rozumiesz, Aleksandro Iwanowno? One, książę, mówią, że ja jestem dziwaczką, a ja umiem rozróżnić. Główna rzecz serce, reszta głupstwo. Rozum też jest potrzebny, naturalnie... być może, że rozum jest główną rzeczą. Nie uśmiechaj się, Agłajo, nie przeczę sobie: głupiec z sercem i bez rozumu jest równie nieszczęśliwy, jak głupiec z rozumem i bez serca. Stara prawda. Ot, ja jestem głupia z sercem i bez rozumu, a ty głupia z rozumem i bez serca; obie jesteśmy nieszczęśliwe, obie cierpimy.

— Skądże znów *maman* taka nieszczęśliwa! — nie wytrzymała Adelajda, która, zdaje się, jedna jedyna z całego towarzystwa nie straciła dobrego humoru.

— Przedewszystkiem dlatego, że mam mądre córki — odcięła się jenerałowa — ponieważ już to jedno wystarcza, to o reszcie niema co mówić. Dosyć było gadaniny. Zobaczymy, jak to wy obiedwie (Agłai nie liczę) z waszym rozumem i wymową się wykręcicie i czy będziesz, szanowna Aleksandro Iwanowno, szczęśliwa ze swoim szanownym panem? A!... — krzyknęła na widok wchodzącego Gani — oto idzie jeszcze jeden związek małżeński. Dzień dobry! — odpowiedziała na ukłon Gani, nie prosząc go, aby usiadł. — Wstępuje pan w związek małżeński?

— W związek?... Jakto?... Jaki związek? — bełkotał oszołomiony Gabrjel Ardaljonowicz. Był strasznie zmieszany.

— Pan się żeni? pytam, jeżeli pan woli to wyrażenie?

— N-nie... ja... n-nie—skłamał Gabrjel Ardaljonowicz i rumieniec wstydu oblał jego twarz. Spojrzał na siedzącą z boku Agłaję i prędko odwrócił oczy. Agłaja patrzyła na niego spokojnie, badawczo, nie spuszczając oczu i obserwowała jego zmieszanie.

— Nie? Powiedział pan: nie? — badała nieubłagana Elżbieta Prokofjewna; dosyć, będę pamiętała, że pan dzisiaj, w środę rano, na moje pytanie odpowiedział: „nie". Jaki dziś dzień, — środa?

— Zdaje się, że środa, *maman* — odpowiedziała Adelajda.

— Nigdy nie wiedzą, co za dzień. A którego? — pytała jenerałowa.

— Dwudziestego siódmego — odpowiedział Gania.

— Dwudziestego siódmego? To dobrze z pewnych względów. Żegnam pana, pan jest, zdaje się, bardzo zajęty, a i na mnie czas: trzeba się przygotować do wyjazdu; niech pan weźmie swoją fotografję. Proszę się kłaniać nieszczęśliwej Ninie Aleksandrównie. Do widzenia, miły książę! Niech pan częściej przychodzi, pojadę umyślnie do starej Biełokońskiej, żeby jej o panu opowiedzieć. I jeszcze jedna rzecz: mój drogi, wierzę, że to pana właśnie Pan Bóg sprowadził z Szwajcarji dla mnie. Być może, że pan będzie też miał i inne sprawy, ale przedewszystkiem jest pan tu dla mnie, Bóg tak postanowił. Do widzenia, moje drogie. Aleksandro, zajdź do mnie, moja droga.

Jenerałowa wyszła. Gania, upokorzony, zmieszany, zły, wziął ze stołu fotografję i ze sztucznym uśmiechem zwrócił się do księcia.

— Książę, ja idę do domu. Jeśli pan trwa w zamiarze mieszkania u nas, to zaprowadzę pana, bo nawet adresu pan nie wie.

— Niech pan poczeka — powiedziała Agłaja do księcia, podnosząc się nagle z fotelu — pan mi jeszcze coś w albumie napisze. Papa powiedział, że pan jest kaligrafem. Zaraz panu przyniosę...

I wyszła.

— Do widzenia, książę, i ja wychodzę — powiedziała Adelajda. Ścisnęła mocno rękę księcia, mile się do niego uśmiechnęła i wyszła. Na Ganię nawet nie spojrzała.

— To pan — powiedział, zgrzytając zębami Gania i rzucając się nagle na księcia — to pan narobił plotek, że ja się żenię! — bełkotał prędko, nawpół szeptem, ze wściekłą twarzą i gniewnie błyszczącemi oczami — bezwstydny plotkarz.

— Zapewniam pana, że się pan myli — spokojnie i grzecznie odpowiedział książę — nie wiedziałem nawet, że się pan żeni.

— Słyszał pan dopiero co, jak mówił Jan Teodorowicz, że dziś wieczorem wszystko się zdecyduje u Nastazji Filipowny i zaraz pan to powtórzył! Kłamie pan! Skądżeby one

mogły się dowiedzieć? Któżby do djabła mógł im to powtórzyć oprócz pana? Czyż mi stara nie wspominała?

— Pan musi lepiej wiedzieć, kto powtórzył, jeśli, jak pan twierdzi, wspomniano panu o tem; ja nie mówiłem ani słowa.

— Oddał pan bilecik? Gdzie jest odpowiedź? — przerwał mu Gania ostro i z niecierpliwością. Ale w tej samej chwili wróciła Agłaja i książę nie zdążył nic odpowiedzieć.

— Oto jest, książę — powiedziała Agłaja, położywszy na stoliku swój album — niech książę wybierze kartkę i cośkolwiek napisze. Oto jest pióro i to nawet nowe. Nic nie szkodzi, że stalowe? Słyszałam, że kaligrafowie nie piszą stalowemi piórami.

Rozmawiała z księciem, jakgdyby nie widząc Gani. Ale podczas, gdy książę próbował pióra, wybierał stronę i zabierał się do pisania, Gania podszedł do kominka, przy którym stała Agłaja, tuż przy księciu, po prawej jego stronie i drżącym, przerywanym głosem powiedział jej prawie do ucha:

— Jedno słowo, jedno jedyne pani słowo... i będę uratowany.

Książę odwrócił się prędko i spojrzał na nich. Na twarzy Gani wyryta była rozpacz; zdawało się, że wymówił te dwa słowa bezmyślnie, że stracił głowę. Agłaja patrzała na niego przez chwilę z zupełnie takiem samem spokojnem zdziwieniem, z jakiem dopiero co patrzała na księcia, i widocznie to jej spokojne zdziwienie, to nieporozumienie, wypływające jakby z zupełnego niepojmowania tego, co do niej mówią, było teraz dla Gani straszniejszem od najsilniejszej pogardy.

— Co mam napisać? — zapytał książę.

— Zaraz panu podyktuję — powiedziała Agłaja, zwracając się do niego — czy pan już gotów? Niech pan napisze: „W żadne targi się nie wdaję". Teraz niech pan podpisze datę i miesiąc. Niech pan pokaże.

Książę podał album.

— Doskonale! Ślicznie to pan napisał; cudowne pan ma pismo. Dziękuję panu. Do widzenia, książę. Niech pan poczeka — dodała, jakby sobie coś nagle przypominając —

niech pan ze mną pójdzie, chcę panu coś ofiarować na pamiątkę.

Książę poszedł za nią; nie wchodząc do stołowego pokoju, Agłaja zatrzymała się.

— Niech pan przeczyta — powiedziała, podając mu bilecik Gani.

Książę wziął kartkę i zdziwiony spojrzał na Agłaję.

— Przecież ja wiem, że pan tego nie czytał i że pan nie może być powiernikiem tego człowieka. Niech pan przeczyta, chcę, żeby pan przeczytał.

Bilecik był widocznie skreślony naprędce:

„Dzisiaj decydują się moje losy, pani wie, w jaki sposób. Dzisiaj powinienem dać słowo bezpowrotnie. Nie mam żadnego prawa do pani współczucia, nie śmiem żywić najmniejszej nadziei; jednak kiedyś wypowiedziała pani jedno słowo, jedno jedyne słowo, i słowo to rozjaśniło czarną noc mego życia i stało się dla mnie pełną blasku pochodnią. Niech pani wymówi i teraz takie słowo... a wybawi mnie pani. Niech pani tylko powie: zerwij wszystko, a dziś jeszcze wszystko zerwę. O, coby pani szkodziło to powiedzieć. W tem słowie chciałbym tylko widzieć objaw pani współczucia i litości nade mną i nic więcej, tylko to. Nic więcej, nic. Nie śmiem myśleć o jakiejkolwiek nadziei, gdyż nie jestem jej godzien. Skoro pani wypowie to słowo, przyjmę znów moją biedę i radośnie znosić będę moje rozpaczliwe położenie. Poddam się walce, będę z niej rad, zmartwychwstanę z niej z nowemi siłami!

Niechże mi pani przyśle to słowo współczucia (tylko współczucia, przysięgam na Boga!). Niech się pani nie gniewa na zuchwałość zrozpaczonego, na tonącego, za to, że się ośmielił zrobić ostatni wysiłek, aby się wyratować od zguby. *G. J.*“

— Ten człowiek zapewnia — powiedziała ostro Agłaja, kiedy książę skończył czytać — że słowo: „zerwij wszystko“ mnie nie skompromituje i do niczego mnie nie zobowiąże i sam daje mi do tego, jak pan widzi, piśmienną gwarancję, przez ten właśnie bilecik. Niech pan zauważy, jak on naiwnie pośpieszył z podkreśleniem pewnych słówek i jak ordynarnie widoczna jest jego właściwa myśl. Zre-

sztą on wie, że gdyby wszystko zerwał, ale sam ze siebie, nie czekając na moje ostatnie słowo i nawet nic mi o tem nie mówiąc, nie mając co do mnie żadnych nadziei, zmieniłyby się wtedy moje uczucia dla niego i zostałabym może jego przyjacielem. On o tem wie na pewno! Ale on ma brudną duszę: wie, i nie decyduje się; wie, a jednak żąda gwarancji. Zdecydować się bez gwarancji nie jest w stanie: chce, ażebym mu wzamian za sto tysięcy, dała nadzieję co do siebie. Co zaś do poprzednio wypowiedzianego słowa ,o którem mówi w tej kartce i które jakby rozjaśniło jego życie, bezczelnie kłamie. Poprostu litowałam się kiedyś nad nim. Ale on jest zuchwały i bezwstydny: jemu wtedy zaraz przyszła na myśl możliwość jakiejś nadziei, natychmiast to zrozumiałam. Odtąd zaczął mnie łapać: łapie i teraz. Ale dosyć tego: niech pan weźmie i odda mu zpowrotem jego bilecik natychmiast; rozumie się, jak stąd wyjdziecie, nie prędzej.

— A jakąż mu dać odpowiedź?

— Żadnej, rozumie się. To będzie najlepsza odpowiedź. Więc pan chce mieszkać u niego?

— Jan Teodorowicz sam mi to polecił — powiedział książę.

— Niech się pan go strzeże, uprzedzam pana; teraz on panu nie przebaczy tego, że pan mu oddał jego bilet.

Agłaja ścisnęła lekko rękę księciu i wyszła. Twarz jej była poważna i nachmurzona; nie uśmiechnęła się nawet, gdy kiwnęła księciu głową na pożegnanie.

— Ja w tej chwili... wezmę tylko moje zawiniątko — powiedział książę do Gani — i zaraz wyjdziemy.

Gania tupnął nogą z niecierpliwości .Twarz jego aż zczerniała z wściekłości. Wkońcu wyszli obaj na ulicę, książę ze swojem zawiniątkiem w ręku.

— Odpowiedź? Odpowiedź? — rzucił się na niego Gania — cóż panu powiedziała? Czy pan oddał list?

Książę w milczeniu oddał mu jego bilecik.

Gania osłupiał.

— Co? Moja kartka! — krzyknął — to on jej nie oddał! O, powinienem się domyślić!... O przekl... Teraz jasne, dlaczego nie rozumiała! Więc jakże, wcale jej pan nie oddał, o przekl...

— Przepraszam pana, udało mi się oddać odrazu, prawie w tej samej chwili, kiedy ją od pana dostałem i zupełnie tak, jak sobie pan życzył. Znalazła się ona znów w moich rękach z tego powodu, że Agłaja Iwanowna dopiero co oddała mi ją zpowrotem.

— Kiedy? Kiedy?

— Kiedy skończyłem pisać w albumie i gdy mnie prosiła, abym za nią poszedł. (Słyszał pan). Weszliśmy do stołowego pokoju, dała mi kartkę, kazała mi ją przeczytać i oddać panu.

— Prze-e-czy-tać! — krzyknął Gania prawie na cały głos — przeczytać! Czytał pan? — I znów stanął w osłupieniu na środku chodnika tak zdziwiony, że aż otworzył usta.

— Tak, czytałem, dopiero co.

— I ona sama dała ją panu do przeczytania? — pytał Gania.

— Tak, niech pan wierzy, że nie czytałbym bez jej upoważnienia.

Gania milczał przez chwilę i zastanawiał się. Nagle krzyknął:

— To niemożliwe. Nie mogła kazać panu przeczytać. Pan kłamie. Pan sam czytał!

— Mówię prawdę — odpowiedział książę tym samym spokojnym głosem — niech pan mi wierzy: bardzo mi jest przykro, że to robi na panu nieprzyjemne wrażenie.

— Ależ do stu djabłów; musiała przecież panu przynajmniej cośkolwiek powiedzieć? Cośkolwiek przecież odpowiedziała?

— Tak, ma się rozumieć...

— Więc niechże pan mówi, do djab...

Gania tupnął dwa razy o chodnik prawą nogą, obutą w kalosz.

— Kiedy przeczytałem, powiedziała mi, że pan chciałby ją tak skompromitować, żeby jej wyrwać słowo nadziei i żeby, opierając się na tej nadziei zerwać bez straty dla siebie z inną nadzieją, nadzieją na sto tysięcy. Że, jeżeliby pan to zrobił, nie targując się z nią, gdyby pan zerwał sam, nie żądając od niej żadnej gwarancji, to niemożliwe, że zostałaby

pańskim przyjacielem. Zdaje mi się, że to wszystko. A jeszcze jedno: kiedy się jej spytałem, już po wzięciu karteczki, jaka będzie odpowiedź?... wtedy powiedziała, że „bez odowiedzi“ będzie najlepszą oodpowiedzią; tak, zdaje mi się, że tak powiedziała; pan wybaczy, jeśli dokładnie jej słów powtórzyć nie umiem, powtarzam tak, jak zrozumiałem.

Niezmierna złość i wściekłość niepohamowana ogarnęły Ganię.

— A! to tak! — zgrzytnął — moje kartki wyrzuca się za okno! Aha! Ona się w targi nie wdaje... to ja się potarguję. Zobaczymy, z kim się ma do czynienia!... W kozi róg zapędzę!

Krzywił się, bladł, unosił się, groził pięścią. Szli tak parę kroków. Na księcia ani trochę nie zwracał uwagi, tak, jakby był sam w swoim pokoju, uważał go w najwyższym stopniu za zero. Wtem przyszło mu coś na myśl i uspokoił się.

— Ale jakimże sposobem — zwrócił się nagle do księcia — jakimże sposobem (idjota — mruknął między zębami) — naraz obdarzono pana takiem zaufaniem, w dwie godziny po poznaniu? Jakże to?...

Do wszystkich jego męczarni brak jeszcze było zazdrości. Ukąsiła go nagle w samo serce.

— Tego już panu objaśnić nie potrafię — odpowiedział książę.

Gania spojrzał na niego ze złością.

— Czy to czasem nie dlatego zawołała pana do stołowego pokoju, aby panu podarować swoje zaufanie? Wszak miała zamiar coś panu podarować?

— I ja to w ten sposób rozumiem.

— Więc za cóż, do stu djabłów! Cóż pan takiego zrobił? Z czego się pan podobał? — gorączkował się Gania (wszystko w nim teraz kipiało, nawet myśli zebrać nie mógł) — posłuchaj pan, czy nie mógłby pan w jakiś sposób przypomnieć sobie szczegółowo o czem państwo wtedy mówili, wszystko, wyraz po wyrazie, od samego początku? nie zauważył pan czego, nie pamięta pan?

— Ależ owszem, mogę — odpowiedział książę — z początku, kiedy wszedłem i zapoznaliśmy się... mówiliśmy o Szwajcarji.

— Ach, do djabła z Szwajcarją!
— Potem o karze śmierci...
— O karze śmierci?
— Tak, wynikło z rozmowy...: potem opowiadałem im jak tam przeżyłem trzy lata i mówiłem o pewnej biednej wieśniaczce...
— Do djabła z biedną wieśniaczką! Cóż dalej — niecierpliwił się Gania.
— Potem, o tem, że Schneider wypowiedział swoje zdanie o moim charakterze i skłonił mnie...
— Do stu djabłów ze Schneiderem i gwiżdżę na jego zdanie! Cóż dalej?
— Później jakoś się tak złożyło, że zacząłem mówić o twarzach, to jest o wyrazach twarzy i powiedziałem, że Agłaja Iwanowna jest prawie tak ładna, jak Nastazja Filipowna. I wtedy właśnie wygadałem się o fotografji...
— Ale przecież pan nie wypaplał tego, co pan dopiero co słyszał w gabinecie? Nieprawdaż?
— Powtarzam panu, że nie.
— Więc skądże do licha... Ba! Czy aby Agłaja kartki nie pokazała starej?
— Za to już z pewnością ręczyć panu nie mogę. Byłem ciągle w pokoju. Zresztą czasu nie miała.
— Ale może pan sam nic nie zauważył... O przeklęty idjota, prze-klę-ty idjota! — krzyknął, już zupełnie wyprowadzony z równowagi — opowiedzieć nawet nie umie.

Gania, raz zacząwszy kląć i nie znajdując oporu, powoli stracił do reszty zimną krew. Jeszcze trochę i możeby pluć zaczął, tak już był rozwścieczony. Wściekłość ta go zaślepiła; w przeciwnym razie byłby już dawno spostrzegł, że ten „idjota", którego w ten sposób traktował, czasem jakoś zbyt prędko i dokładnie wszystko potrafił zrozumieć i opowiedzieć. Nagle zaszło coś niespodziewanego.

— Muszę panu zwrócić uwagę, Gabrjelu Ardaljonowiczu — odezwał się nagle książę — że dawniej byłem istotnie tak chory, że byłem rzeczywiście prawie idjotą, ale teraz oddawna już wyzdrowiałem i trochę mi nieprzyjemnie, kiedy mnie w oczy nazywają idjotą. Jakkolwiek pańskie niepo-

wodzenia poczęści pana usprawiedliwiają, niemniej w rozdrażnieniu dwa razy mi pan dziś nawymyślał. To mi się bardzo niepodoba, szczególniej w taki sposób, jak to miało miejsce teraz, tak ni stąd, ni zowąd; czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy się rozeszli? Pan pójdzie na lewo, do siebie, a ja na prawo. Mam jeszcze dwadzieścia pięć rubli i z pewnością znajdę sobie jakiś *hotêl-garni.*

Gania zmieszał się strasznie i zaczerwienił się ze wstydu.

— Wybacz mi, książę — powiedział gorąco, przechodząc nagle od tonu impertynenckiego do nadzwyczaja grzecznego — na miłość Boską niech mi książę wybaczy. Widzi pan przecież w jakich jestem opałach. Pan jeszcze prawie nic nie wie, ale gdyby pan wszystko wiedział, byłbym pewno trochę wytłumaczony, choć naturalnie uniewinnić mnie nie można.

— Ależ ja wcale nie wymagam takich przeprosin — pośpieszył z odpowiedzią książę. — Rozumiem przecież, że musi panu być bardzo nieprzyjemnie i dlatego pan wymyśla. Chodźmy. Z całą przyjemnością...

„Nie, tak go teraz puścić nie mogę — myślał Gania, idąc i patrząc zpodełba na księcia — ten nicpoń wszystko ze mnie wyciągnął, a potem nagle zdjął maskę. W tem coś jest. Ha, zobaczymy. Wszystko się wyjaśni, wszystko. wszystko, wszystko! I to dziś jeszcze“.

Stali już przed samym domem.

VI

Mieszkanie Gani znajdowało się na trzeciem piętrze, ale schody prowadzące do niego nie były bardzo czyste i szerokie, a samo mieszkanie składało się z sześciu, czy siedmiu pokojów i pokoików, zresztą zupełnie zwykłych, w każdym razie jednak nie odpowiadających kieszeni urzędnika z rodziną, chociażby mające dwa tysiące rubli pensji. Mieszkanie to jednak przeznaczone było w części na odnajęcie z całodziennem utrzymaniem i usługą, a zajęte zostało przez Ganię i jego rodzinę nie dawniej, jak dwa miesiące temu, ku wielkiemu niezadowoleniu samego Gani, a naskutek próśb

i nalegań Niny Aleksandrowny i Barbary Ardałjonowny, chcących choć w części powiększyć dochody rodziny. Gania marszczył brwi i nazywał odnajmowanie pokojów nieprzyzwoitością; jakoś wstyd mu było potem w towarzystwie, gdzie zwykł był występować jako młody człowiek z przyszłością. Ta konieczność poddania się losowi i ciasnota były jego najgłębszemi ranami. Od pewnego czasu wpadał w rozdrażnienie z najbłahszych powodów i jeśli jeszcze od czasu do czasu zgadzał się na ustępstwa i cierpliwie je znosił, to tylko dlatego, że postanowił wszystko to zmienić i przerobić w najbliższej przyszłości. Tymczasem jednak ta zmiana, sam sposób rozwiązania, który wybrał, były zadaniem niemałem, zadaniem, którego rozwiązanie kto wie czy nie było połączone z większemi kłopotami i nieprzyjemnościami niż wszystkie poprzednie.

Mieszkanie dzielił korytarz, wychodzący wprost z przedpokoju. Po jednej stronie znajdowały się trzy pokoje przeznaczone na odnajęcie lokatorom szczególnie poleconym. Prócz tego, po tej samej stronie przy końcu korytarza, przy kuchni, był jeszcze czwarty pokoik, mniejszy od poprzednich, w którym mieścił się sam dymisjonowany jenerał Iwołgin, głowa domu: sypiał na kanapie, a wychodzić musiał z mieszkania przez kuchnię, tylnem wejściem. W tym samym pokoju znajdował przytułek i trzynastoletni brat Gabrjela Ardałjonowicza, uczeń gimnazjum, Kola; tutaj także musiał on się uczyć, spać na długiej wąskiej i krótkiej kanapce, na dziurawem prześcieradle, a co ważniejsza, chodzić i doglądać ojca, który już coraz częściej obejść się bez niego nie mógł. Dla księcia przeznaczono środkowy z trzech pokojów, w pierwszym na prawo mieszkał Fierdyszczenko, a trzeci, po lewej stronie, stał jeszcze pusty. Gania przedewszystkiem zaprowadził księcia do części mieszkania, zajmowanego przez rodzinę. Składała się ona z salonu, zamieniającego się w razie potrzeby na stołowy, z buduaru, który był zresztą buduarem tylko rano, a wieczorem stawał się Gabinetem Gani i jego sypialnią, wreszcie z trzeciego pokoju, ciasnego i zawsze zamkniętego: była to sypialnia Niny Aleksandrowny i Barbary Ardałjonowny. Jednem słowem w całem mieszkaniu strasznie było ciasno, przedmioty leżały

nawalone jedne na drugie. Gania zgrzytał zębami i chociaż był i chciał być z należytym szacunkiem dla matki, odrazu można było, patrząc na nich, zauważyć, że jest w rodzinie wielkim despotą.

Nina Aleksandrowna nie była sama w buduarze, przy niej była Barbara Ardałjonowna, robiły robótki szydełkowe i rozmawiały z gościem, Janem Piotrowiczem Pticynem. Nina Aleksandrowna wyglądała na lat pięćdziesiąt; miała chudą, osuniętą twarz i silnie podkrążone oczy. Robiła wrażenie osoby chorej i nieco smutnej, ale rysy jej i spojrzenie dosyć było przyjemne ,od pierwszej chwili widać było charakter poważny i pełen prawdziwej godności. Pomimo przygnębionego wyrazu twarzy, odczuwało się w niej hart i stanowczość. Ubrana była bardzo skromnie, w suknię ciemną, odpowiednią dla starszego wieku, ale zachowanie się jej, rozmowa i ułożenie znamionowały kobietę, obracającą się też i w lepszem towarzystwie.

Barbara Ardałjonowna mogła liczyć około dwudziestu trzech lat; była średniego wzrostu, chudawa, z twarzą niebardzo piękną, ale zawierającą w sobie tajemnicę podobania się i coś, co mogło pociągać do szaleństwa. Była bardzo podobna do matki, nawet ubrana była prawie tak samo; znać w niej było zupełną niechęć do strojów. Spojrzenie jej szarych oczu mogło być czasem bardzo wesołe i miłe, gdyby nie bywało najczęściej poważne i zamyślone, zwłaszcza w ostatnich czasach. Hart i stanowczość odbijały się i na jej twarzy, ale czuło się, że stanowczość ta mogła wystąpić nawet energiczniej i ostrzej, niż u matki. Barbara Ardaljonowna dosyć łatwo się unosiła i nawet brat jej obawiał się niekiedy tej zapalczywości. Bał jej się również siedzący teraz u nich gość, Jan Piotrowicz Pticyn. Był to jeszcze dosyć młody człowiek, w wieku około lat trzydziestu, skromnie, ale wykwintnie ubrany, zachowujący się miło, choć nieco sztucznie. Ciemno-ruda bródka znamionowała człowieka nie zajmującego żadnego urzędu. Umiał rozmawiać rozumnie i zajmująco, ale przeważnie milczał. Wogóle sprawiał wrażenie dodatnie. Widać było, że nie był obojętny względem Barbary Ardałjonowny i nie taił przed nią swych uczuć. Barbara zachowywała się względem niego

po przyjacielsku, ale na pewne jego pytania ociągała się z odpowiedzią i nawet ich nie lubiła. Pticyn zresztą bynajmniej nie tracił odwagi. Nina Aleksandrowna była dla niego uprzejma, a w ostatnich czasach nawet mu ufała. Wiadomem było zresztą, że jego właściwym zarobkiem było wypożyczanie pieniędzy na wysokie procenty. Względem Gani zachowywał się jak bardzo bliski przyjaciel.

Na szczegółowe, ale krótkie polecenie Gani (który zupełnie sucho przywitał się z matką, wcale nie przywitał się z siostrą i natychmiast gdzieś wyprowadził Pticyna) Nina Aleksandrowna powiedziała do księcia kilka uprzejmych słów i kazała stojącemu na progu Koli zaprowadzić go do środkowego pokoju. Kola był to chłopiec o wesołej i dosyć miłej twarzy, z obejściem szczerem i prostem.

— Gdzie pańskie rzeczy? — zapytał, wprowadzając księcia do pokoju.

— Moje zawiniątko zostało w przedpokoju.

— Zaraz je panu przyniosę. Cała nasza służba to kucharka i Matrena, tak, że i ja pomagam. Basia wszystkiego dogląda i ciągle się gniewa. Mówił Gania, że pan dziś przyjechał z Szwajcarji?

— Tak.

— A ładnie w Szwajcarji?

— Bardzo.

— Góry?

— Tak.

— Zaraz tu panu dostawię pańskie rzeczy.

Weszła Barbara Ardaljonowna.

— Zaraz panu Matrena łóżko pościele. Ma pan kufer?

— Nie, zawiniątko. Brat pani poszedł po nie; jest w przedpokoju.

— Żadnego tam pakunku niema, jest tylko to zawiniątko; gdzie pan położył? — zapytał Kola, wchodząc do pokoju.

— Ale ja nic nie mam oprócz tego zawiniątka — oznajmił książę, odbierając swój węzełek.

— Aha! A ja myślałem, czy go nie ściągnął Fierdyszczenko.

— Nie pleć głupstw — surowo powiedziała Basia, która i do księcia mówiła sucho i zaledwie grzecznie.

— *Cher Babette*, ze mną możnaby się grzecznie obchodzić, nie jestem przecież Pticynem.

— Tobie, Kolu, jeszczeby w skórę dać można, taki jeszcze jesteś głupi. Po wszystko, czego pan będzie potrzebował, niech się pan zwraca do Matreny; obiad o wpół do szóstej. Może pan jadać razem z nami, lub też w swoim pokoju; jak się panu podoba. Chodźmy, Kolu, nie przeszkadzajmy panu.

— Chodźmy, stanowczy charakterze!

Wychodząc, spotkali się z Ganią.

— Ojciec w domu? — zapytał Gania Kolę i na twierdzącą odpowiedź, powiedział mu coś pocichu do ucha.

Kola kiwnął głową i wyszedł za Barbarą Ardaljonowną.

— Słówko, książę, zapomniałem jeszcze o jednej rzeczy z panem pomówić przy tych tam wszystkich... kłopotach. Malutka prośba: niech pan będzie tak dobry... jeżeli to nie będzie wymagało z pana strony wielkiego wysiłku... niech pan nie gada ani tutaj o sprawach moich z Agłają, ani tam, o tem, co pan tutaj zauważy: bo i tu dosyć rozmaitych spraw. Zresztą, niech djabli porwą... Niechże się pan chociaż dzisiaj powstrzyma.

— Zapewniam pana, że gadałem dużo mniej, niż pan przypuszcza — powiedział książę z pewnem rozdrażnieniem wobec wymówek Gani.

Wzajemny ich stosunek stawał się coraz gorszy.

— No, już ja dziś dosyć przez pana zniosłem. Jednem słowem bardzo pana proszę...

— Jeszcze niech pan, Gabrjelu Ardaljonowiczu, i to weźmie pod uwagę, że przedtem niczem nie byłem związany, dlaczegoż więc nie miałem mówić o fotografji? Przecież mnie pan nie prosił.

— Fe, jaki wstrętny pokój — zauważył Gania, z obrzydzeniem spoglądając dokoła — ciemno i okna na podwórze. Pod każdym względem pan do nas nie wporę... No, ale to do mnie nie należy, nie ja wynajmuję pokoje.

Zajrzał Pticyn i wywołał Ganię. Gania natychmiast

rzucił księcia i wyszedł, pomimo to, że właściwie chciał z nim jeszcze pomówić, ale widać było, że był zmieszany i jakby wstydzić się zaczął. I wszystko to, co powiedział o pokoju, było tak powiedziane, jakby chciał ukryć zmieszanie.

Zaledwie książę zdążył się umyć i choć trochę poprawił odzież, otworzyły się drzwi i ukazała się nowa postać.

Był to mężczyzna lat trzydziestu, średniego wzrostu, barczysty, z ogromną, kędzierzawą, rudą brodą. Twarz miał pełną i rumianą, wargi grube, nos szeroki i spłaszczony, oczy maleńkie i szydercze, jakgdyby ciągle dawały jakieś znaki porozumiewawcze. Wogóle cała ta postać wyglądała dosyć bezczelnie. Ubrany był brudnawo.

Z początku otworzył drzwi tylko na tyle, żeby przesunąć głowę. Przesunięta głowa rozglądała się przez pięć sekund po całym pokoju; potem zaczęły się drzwi powoli otwierać, cała postać zarysowała się na progu, ale gość jeszcze nie wchodził, i tylko z progu w dalszym ciągu, przymrużywszy oczy, przypatrywał się ciekawie księciu. Wkońcu zamknął ostrożnie za sobą drzwi, przysunął się, usiadł na krześle, uścisnął mocno rękę księcia i posadził go na kanapie, naprzeciwko siebie.

— Fierdyszczenko — powiedział, uważnie i badawczo patrząc księciu w oczy.

— Więc cóż z tego? — odpowiedział książę prawie ze śmiechem.

— Lokator — powiedział znów Fierdyszczenko, patrząc na księcia tak, jak przedtem.

— Chce się pan zaznajomić?

— E-ech! — powiedział gość z westchnieniem i wpatrując się w przeciwległy kąt. — Ma pan pieniądze? — zapytał nagle, zwracając się do księcia.

— Niedużo.

— Ile mianowicie?

— Dwadzieścia pięć rubli.

— Niechno pan pokaże.

Książę wyjął dwudziestopięciorublowy papierek z kieszeni kamizelki i podał Fierdyszczence. Fierdyszczenko rozwinął go, popatrzał na niego, następnie przewrócił na drugą stronę, wreszcie wziął go pod światło.

— To dosyć dziwne — powiedział jakby w zamyśleniu — dlaczego one tak szarzeją? Te dwudziestorublówki czasem szarzeją, a inne przeciwnie, zupełnie płowieją. Niech pan weźmie.

Książę odebrał swój papierek. Fierdyszczenko wstał z krzesła.

— Przyszedłem pana uprzedzić: przedewszystkiem niech mi pan pieniędzy nie pożycza, bo ja na pewno prosić o nie będę.

— Dobrze.

— Ma pan zamiar tu płacić?

— Mam zamiar.

— A ja nie mam zamiaru; dziękuję. Mieszkam tu obok pana, pierwsze drzwi na prawo, widział pan? Niech pan mnie często nie odwiedza; ja do pana przyjdę, niech pan będzie spokojny. Widział pan jenerała?

— Nie.

— I nie słyszał go pan?

— Rozumie się, że nie.

— No, to go pan zobaczy i usłyszy; a przytem on nawet ode mnie pożycza pieniądze. *Avis au lecteur.* Do widzenia. Czyż można żyć z nazwiskiem Fierdyszczenko? Co?

— Dlaczegożby nie?

— Do widzenia.

I skierował się ku drzwiom. Później dowiedział się książę, że człowiek ten uważał za swój święty obowiązek zdumiewać wszystkich swoją oryginalnością i wesołością, ale jakoś mu to nie szło. Na niektórych ludzi wywierał nawet niemiłe wrażenie, czem się bardzo martwił, ale nie zmieniał sposobu postępowania. Już kiedy był w drzwiach, udało mu się trochę usunąć przy spotkaniu nowej wchodzącej osoby; przepuściwszy tego nowego i nieznajomego księciu gościa do pokoju, mrugnął kilka razy znacząco na księcia, wskutek czego wyszedł pewniejszy siebie.

Nowy gość był wysokiego wzrostu, mógł liczyć około pięćdziesięciu pięciu lat, lub nawet więcej, dosyć otyły, z purpurowo-czerwonemi i obwisłemi policzkami, obramowanemi gęstemi, siwem faworytami, wąsaty, z dużemi, tro-

chę wybałuszonemi oczami. Wogóle byłby dosyć postawny, gdyby nie miał w sobie czegoś zaniedbanego, nawet zbrukanego. Ubrany był w tużurek stary, prawie dziurawy na łokciach; bieliznę miał też zasmoloną... po domowemu. Zblizka czuć było od niego trochę wódkę, ale zachowanie jego było sztuczne trochę wyuczone i z widocznem, gorącem pragnieniem pysznienia się swą godnością. Gość zbliżył się do księcia, wolno, z nader uprzejmym uśmiechem, wziął go za rękę i zatrzymując ją w swojej, wpatrywał się przez chwilę w twarz księcia, jakby poznając znajome rysy.

— To on! To on! — powiedział głosem cichym, ale uroczystym — jak żywy. Słyszę, wymawiają ze wszystkich stron znajome i drogie mi nazwisko i przypomniała mi się bezpowrotna moja przeszłość... Książę Myszkin?

— Tak jest.

— Jenerał Iwołgin, dymisjonowany i nieszczęśliwy. Imię pańskie i imię ojca, jeśli można wiedzieć?

— Lew Mikołajewicz.

— Tak, tak! Syn mojego przyjaciela, że tak powiem, przyjaciela lat dziecinnych, Mikołaja Piotrowicza?

— Mój ojciec nazywał się Mikołaj Lwowicz.

— Lwowicz — poprawił się jenerał, ale bez pośpiechu i z zupełną pewnością, jakgdyby wcale nie zapomniał, lecz tylko przypadkiem się omylił. Usiadł i wziąwszy księcia za rękę, posadził go również obok siebie. — Na rękach pana nosiłem.

— Czyżby? zapytał książę — mój ojciec umarł już dwadzieścia lat temu?

— Tak; dwadzieścia lat; dwadzieścia lat i trzy miesiące. Uczyliśmy się razem. Ja odrazu wstąpiłem do wojska.

— I ojciec pełnił służbę wojskową, był podporucznikiem w pułku Wasylkowskim.

— W Białomirskim. Przeniesienie do Białomirskiego nastąpiło prawie w przeddzień śmierci. Stałem przy nim i błogosławiłem go na wieki. Pańska mateczka...

Jenerał wstrzymał się jakby pod wpływem smutnych wspomnień.

— A i ona umarła pół roku później wskutek przeziębienia — powiedział książę.

— Nie wskutek przeziębienia. Nie wskutek przeziębienia, niech pan wierzy staremu. Byłem przy tem i ją też pochowałem. Z żalu po swoim księciu, a nie wskutek przeziębienia. Ta-ak, pamiętam i księżnę! Młodość! Dzięki niej, obaj my z księciem, przyjaciele z lat dziecinnych, o mało nie pozabijaliśmy się.

Książę zaczynał słuchać z pewnem niedowierzaniem.

— Strasznie byłem zakochany w pańskiej rodzicielce, jeszcze kiedy była narzeczoną... narzeczoną mego przyjaciela. Książę zauważył i uderzyło go to. Przychodzi do mnie rano o godzinie siódmej, budzi mnie. Zdumiony ubieram się; milczenie z obu stron; wszystko zrozumiałem. Wyjmuje z kieszeni dwa pistolety. Przez chustkę. Bez świadków. Poco świadkowie, kiedy za pięć minut jeden z nas ma paść trupem? Nabiliśmy, wyciągnęliśmy chustkę, przyłożyliśmy jeden drugiemu pistolety do serca i patrzymy jeden na drugiego. Nagle łzy polały się strumieniem z naszych oczu, zadrżały ręce. U obu, u obu jednocześnie. No, wtedy naturalnie uściski i z obu stron walka szlachetności. Książę woła: twoja, ja krzyczę: twoja! Jednem słowem... jednem słowem... pan do nas... na mieszkanie?

— Tak, może na pewien czas — powiedział książę, jąkając się trochę.

— Książę, mama pana prosi — zawołał, stojąc na progu, Kola.

Książę wstał, aby iść, ale jenerał położył prawą dłoń na jego ramieniu i po przyjacielsku posadził go znów na kanapie.

— Jako prawdziwy przyjaciel pańskiego ojca chcę uprzedzić... — powiedział jenerał — ja, widzi pan, cierpiałem wskutek tragicznej katastrofy; ale bez sądu! Bez sądu! Nina Aleksandrowna... kobieta wyjątkowa. Barbara Ardałjonowna, córka moja... wyjątkowa córka. Wskutek pewnych okoliczności wynajmujemy pokoje... upadek niesłychany! Ja, który miałem zostać jenerał gubernatorem?... Ale panu zawsze jesteśmy radzi. A tymczasem w moim domu tragedja!

Książę patrzał na jenerała pytająco i z dużem zaciekawieniem.

— Zapowiada się małżeństwo, wyjątkowe małżeństwo. Małżeństwo dwuznacznej kobiety i młodzieńca, który mógł zostać kamerjunkrem. Kobietę tę wprowadza do domu, w którym jest moja córka, i w którym jest moja żona! Ale dopóki ja oddycham, ona nie wejdzie. Położę się na progu i niech przejdzie przeze mnie!... Z Ganią teraz prawie nie rozmawiam, unikam nawet spotykania się z nim. Umyślnie pana uprzedzam; mieszkając u nas, wszystko jedno, i tak będzie pan świadkiem. Ale pan jest synem mego przyjaciela i mam prawo się spodziewać...

— Książę, niech pan będzie tak dobry i zajdzie do mnie, do buduaru — zawołała Nina Aleksandrowna, która się już sama zjawiła na progu.

— Wystaw sobie, moja duszko — zawołał jenerał — okazuje się, że niańczyłem księcia na rękach!

Nina Aleksandrowna spojrzała z wyrzutem na jenerała i badawczo na księcia, ale nie powiedziała ani słowa. Książę poszedł za nią; ale zaledwie przyszli do buduaru i usiedli, zaledwie zaczęła Nina Aleksandrowna coś pośpiesznie półgłosem księciu wyjaśniać, do buduaru nagle wszedł jenerał. Nina Aleksandrowna natychmiast umilkła i z widocznym gniewem schyliła się nad robotą. Jenerał może i zauważył ten gniew, ale mu to nie przeszkodziło być w dalszym ciągu w doskonałem usposobieniu.

— Syn mojego przyjaciela! — zawołał zwracając się do Niny Aleksandrowny — i tak niespodzianie! Dawno już marzyć przestałem. Ale czy ty, duszko, nie pamiętasz nieboszczyka Mikołaja Lwowicza? Jeszcześ go zastała... W Twerze?

— Nie pamiętam Mikołaja Lwowicza. To pański ojciec? — zapytała księcia.

— Ojciec; ale on, zdaje się, umarł nie w Twerze, lecz w Elizawetgradzie — zwrócił książę nieśmiało uwagę jenerałowi. — Słyszałem od Pawliszczewa...

— W Twerze — potwierdził jenerał — przed samą jego śmiercią nastąpiło przeniesienie do Tweru i nawet jeszcze przed rozwinięciem się choroby. Pan był jeszcze za mały i pamiętać pan nie może ani przeniesienia, ani podróży;

Pawliszczew zaś mógł się omylić, chociaż to bardzo sympatyczny człowiek.

— Znał pan i Pawliszczewa?

— Wyjątkowy człowiek, ale ja byłem naocznym świadkiem. Błogosławiłem na łożu śmierci...

— Przecież mój ojciec umarł pod sądem — zauważył znów książę — chociaż nigdy dowiedzieć się nie mogłem za co mianowicie; umarł w szpitalu.

— O, to w sprawie szeregowca Kołpakowa i bezwątpienia byłby książę uniewinniony.

— Tak? pan to wie na pewno? — zapytał książę ze szczególnem zaciekawieniem.

— Też pytanie! — zawołał jenerał.. — Sąd rozszedł się, nic nie postanowiwszy. Sprawa niemożliwa! Sprawa, że tak powiem, tajemnicza: umiera sztabskapitan Łarjonow, dowódca roty; książę czasowo naznaczony pełniącym obowiązki; dobrze. Szeregowiec Kołpakow popełnia kradzież... szewcki towar kolegi... i przepija go; dobrze. Książę... i niech pan dobrze zwróci uwagę, że to się działo w obecności feldfebla i kaprala... wymyśla Kołpakowi i grozi mu rózgami. Bardzo dobrze. Kołpakow idzie do koszar, kładzie się na narach i po kwadransie umiera. Ślicznie, ale wypadek niespodziewany, prawie niemożliwy. Tak, czy owak, Kołpakowa grzebią; książę składa raport, w następstwie czego wykreślają Kołpakowa z listy. Zdaje się, że nie może być lepiej. Ale w pół roku, podczas przeglądu brygady, zjawia się, jakgdyby nic, szeregowiec Kołpakow, w trzeciej rocie drugiego bataljonu Nowoziemlańskiego pułku piechoty, tej samej brygady i tej samej dywizji.

— Jakto? — zawołał książę z ogromnem zdziwieniem.

— To nie tak, to omyłka! — zwróciła się do niego nagle Nina Aleksandrowna, prawie ze smutkiem patrząc na niego. *Mon mari se trompe.*

— Nie, duszko, łatwo ci mówić, *se trompe*, ale rozstrzygnij sama taki wypadek. Wszyscy osłupieli. Jabym pierwszy powiedział *qu'on se trompe*. Ale na nieszczęście byłem świadkiem i brałem udział w komisji. Wszystkie sprawdzania dowiodły, że to ten sam ,zupełnie ten sam szeregowiec Kołpakow, który przed pół rokiem był pochowany

ze zwykłą paradą i z waleniem w bębny. Wypadek rzeczywiście niezwykły, prawie niemożliwy, zgadzam się, ale...

— Papo, nakryli już ojcu do stołu — oznajmiła Barbara Ardałjonowna, wchodząc do pokoju.

— A to ślicznie, doskonale! Przegłodziłem się... Ale wypadek, że tak powiem, nawet psychologiczny.

— Znów zupa wystygnie — niecierpliwie powiedziała Basia.

— Zaraz, zaraz — mruczał jenerał, wychodząc z pokoju — i pomimo wszelkich zeznań... — słychać go było jeszcze w korytarzu.

— Musi pan dużo wybaczyć Ardałjonowi Aleksandrowiczowi, jeśli pan u nas zostanie — powiedziała Nina Aleksandrowna do księcia — on zresztą bardzo nie będzie panu przeszkadzał, on nawet sam jada. Przyzna pan, że każdy ma swoje i swoje... szczególne cechy, inni może jeszcze bardziej, niż ci, których przywykliśmy wytykać palcami. O jedno pana proszę; jeżeli mój mąż w jakikolwiek bądź sposób zwróci się do pana w sprawie należności za pokój, niech mu pan powie, że pan już mnie oddał. To jest to, co pan wręczy Ardaljonowi Aleksandrowiczowi, wszystko jedno, i takby się panu policzyło, ale ja tak pana proszę, dla porządku... Co to jest, Basiu?

Basia wróciła do pokoju i milcząc podała matce fotografję Nastazji Filipowny. Nina Aleksandrowna drgnęła i z początku jakby ze strachem, a potem z przygnębiająco ciężkiem wrażeniem przypatrywała się przez pewien czas fotografji. Wkońcu spojrzała pytająco na Basię.

— To jest podarunek od niej dla niego — powiedziała Basia — a dziś wieczorem wszystko się tam decyduje.

— Dziś wieczorem! — jakby w rozpaczy powtórzyła półgłosem Nina Aleksandrowna — co takiego? Tutaj nie może być najmniejszej wątpliwości i ostatnia nadzieja stracona: fotografją wszystko wyznała... Czy on ci sam pokazał? — dodała ze zdziwieniem.

— Wie mama, że my już blisko od miesiąca ze sobą nie rozmawiamy. Pticyn powiedział mi to wszystko, a fotografja leżała na podłodze, pod stołem, podniosłam ją.

— Książę — zwróciła się nagle do niego Nina Alek-

sandrowna — chciałam się pana zapytać (i w tym celu właśnie prosiłam pana tutaj), czy pan już dawno zna mojego syna? Mówił, o ile mi się zdaje, że pan dopiero dzisiaj skądciś przyjechał?

Książę opowiedział o sobie w krótkich słowach, opuściwszy większą część. Nina Aleksandrowna i Basia wysłuchały.

— Nie badam pana co do Gabrjela Ardaljonowicza— zauważyła Nina Aleksandrowna niech się pan co do tego nie myli. Jeżeli zachodzi cośkolwiek, czego on sam wyznać mi nie może, o tem ja z boku dowiadywać się nie chcę. Mówię tylko dlatego, że dopiero co przy panu, i potem, kiedy pan wyszedł, na zapytanie moje co do pana, odpowiedział mi Gania: „On wszystko wie, nie potrzeba z nim robić ceregieli!" Co to ma znaczyć? To jest, chciałabym wiedzieć, w jakim stopniu...

Wszedł nagle Gania z Pticynem; Nina Aleksandrowna natychmiast umilkła. Książę siedział w dalszym ciągu przy niej na krześle, a Basia odeszła na bok; fotografja Nastazji Filipowny leżała na najbardziej widocznem miejscu, przed Niną Aleksandrowną, na jej stoliczku od roboty. Gania, ujrzawszy ją, zmarszczył brwi, wziął ją ze złością ze stołu i rzucił na swoje biurko, stojące w drugim końcu pokoju.

— Dzisiaj, Ganiu? — zapytała nagle Nina Aleksandrowna.

— Co dzisiaj? — zmieszał się Gania i rzucił się nagle na księcia. — A, rozumiem, to jest pańska robota!... Cóż u licha, czy to jaka choroba? Powstrzymać się pan nie może. A niechże wkońcu jaśnie oświecony książę zrozumie...

— To ja jestem winien, Ganiu, a nie kto inny — przerwał Pticyn.

Gania spojrzał na niego pytająco.

— Przecież tak lepiej, Ganiu, tem bardziej, że z jednej strony sprawa już załatwiona — mruknął Pticyn i odchodząc na bok, usiadł przy stole, wyjął z kieszeni jakąś kartkę, zapisaną ołówkiem, i zaczął jej się uważnie przyglądać.

Gania stał zachmurzony i z niepokojem oczekiwał sceny rodzinnej. O przeproszeniu księcia nawet nie pomyślał.

— Jeżeli wszystko skończone, to Jan Piotrowicz ma

naturalnie słuszność — powiedziała Nina Aleksandrowna— nie chmurz się, proszę cię, i nie rozdrażniaj, Ganiu, ja o nic pytać nie będę, czego ty mi sam powiedzieć nie chcesz, i zapewniam cię, że się zupełnie poddałam, bądź tak dobry, nie niepokój się.

Powiedziała to, nie odrywając się od roboty i zdawało się, że jest rzeczywiście spokojna. Gania był zdziwiony, ale przezornie milczał i patrzał na matkę, czekając, aby się wypowiedziała jaśniej. Sceny domowe już go zbyt dużo kosztowały. Nina Aleksandrowna zauważyła tę ostrożność i dodała z gorzkim uśmiechem:

— Ty jeszcze ciągle wątpisz i nie dowierzasz mi; nie bój się, nie będzie ani łez, ani próśb, tak jak przedtem, przynajmniej z mojej strony. Jedyna rzecz, której pragnę, to, żebyś był szczęśliwy, wiesz o tem dobrze; ja się poddałam losowi, ale moje serce będzie zawsze z tobą, czy zostaniemy razem, czy się rozejdziemy. Naturalnie odpowiadam tylko za siebie; nie możesz żądać tego samego od siostry...

— Ach, znów ona! — zawołał Gania, szyderczo i z nienawiścią patrząc na siostrę — mamo! Przysięgam ci znów na to, na co ci już dałem słowo: nikt się nigdy nie ośmieli tobie ubliżyć, dopóki ja tu jestem, dopóki ja żyję. O kimkolwiek teraz jest mowa, wymagam najgłębszego dla mamy szacunku, ktokolwiek przestąpi próg naszego domu...

Gania tak się ucieszył, że prawie pojednawczo, prawie czule patrzał na matkę.

— Ja się wcale o siebie nie bałam, Ganiu, wiesz o tem dobrze; nie o siebie byłam niespokojną i męczyłam się przez cały ten czas. Mówią, że dzisiaj wszystko się u was zdecyduje?

— Dziś wieczór obiecała mi dać u siebie odpowiedź: czy zgadza się, czy nie — odpowiedział Gania.

— Prawie całe trzy tygodnie unikaliśmy rozmowy o tem i tak było lepiej. Teraz, kiedy się już wszystko skończyło, pozwolę sobie zadać ci jedno pytanie: jak ona mogła się zgodzić i dać ci swoją fotografję, kiedy ty jej nie kochasz? Czyżbyś ty ją... taką... taką...

— No, doświadczoną, tak?

— Inaczej chciałam się wyrazić. Czyż ty do tego stopnia mogłeś się otumanić?

W pytaniu tem uczuło się nagle niezwykłe rozdrażnienie. Gania postał, pomyślał przez chwilę i nie ukrywając szyderstwa, powiedział:

— Uniosła się mama i znów nie wytrzymała i oto jak u nas zawsze wszystko się zaczynało i rozogniało. Mówiła mama, że nie będzie ani pytań, ani wymówek, a już się zaczynają. Dajmy spokój; doprawdy dajmy spokój, przynajmniej taki miała mama zamiar... Ja mamy nigdy i za nic nie opuszczę; kto inny uciekłby od takiej siostry... o, jak to ona teraz na mnie patrzy! Dajmy temu spokój! A ja już tak się cieszyłem... I skąd mama wie, że ja oszukuję Nastazję Filipownę? A co do Basi, jak jej się podoba i... basta. O, teraz, mam już tego zupełnie dosyć!

Gania coraz bardziej się rozdrażniał i krążył bez celu po pokoju. Te i tym podobne rozmowy bardzo były bolesne dla wszystkich członków rodziny.

— Powiedziałam, że jeżeli ona tu wejdzie, ja stąd wyjdę i także słowa dotrzymam — powiedziała Basia.

— Przez upór! — zawołał Gania. — Przez upór też zamąż nie wychodzisz! Czego się na mnie pienisz? Gwiżdżę sobie, Barbaro Ardaljonówno; jak ci się podoba... choćby zaraz. Dojadłaś ty mi już tęgo. Co? Zdecydował się książę nareszcie zostawić nas samych — zawołał do księcia, widząc, że wstaje z miejsca.

W głosie Gani czuć już było ten stopień rozdrażnienia, w którym się człowiek prawie cieszy z niego; poddaje mu się zupełnie, nieomal, że z rozkoszą, chociażby go do niemożebnych granic doprowadzał. Książę odwrócił się w drzwiach, żeby coś odpowiedzieć, ale zauważywszy, po chorobliwym wyrazie twarzy Gani, że brak w nim jednej jedynej kropelki, aby przepełnić naczynie, odwrócił się i wyszedł w milczeniu. Po kilku minutach wywnioskował z odgłosów dochodzących z buduaru, że rozmowa stała się po jego wyjściu jeszcze bardziej donośna i bez żenady.

Poszedł przez salę do przedpokoju, żeby wyjść na korytarz, a stamtąd do swego pokoju. Przechodząc koło drzwi frontowych, usłyszał i zauważył, że ktoś ze wszystkich sił

starał się zadzwonić, ale dzwonek musiał być zepsuty; drgał tylko lekko, a dźwięku nie było. Książę odsunął zasuwę, otworzył drzwi i... cofnął się zdumiony, zatrząsł się nawet cały: przed nim stała Nastazja Filipowna. Poznał ją zaraz po fotografji. Oczy jej błysnęły gniewem, kiedy go ujrzała; przeszła prędko do przedpokoju, zepchnąwszy go z drogi ramieniem i powiedziała z gniewem, zrzucając z siebie okrycie:

— Jeżeli się lenisz z naprawieniem dzwonka, mógłbyś chociaż, kiedy stukają, siedzieć w przedpokoju. Masz tobie, teraz znów okrycie upuścił, bałwan!

Okrycie leżało istotnie na podłodze; Nastazja Filipowna, nie doczekawszy się, aż je książę z niej zdejmie, rzuciła mu je sama na ręce, nie patrząc, z tyłu, ale książę nie zdążył go schwycić.

— Wygnać takiego. Idź, zamelduj.

Książę chciał coś powiedzieć, ale do tego stopnia stracił głowę, że nic nie powiedział i z okryciem, które podniósł z ziemi, poszedł do buduaru,

— Jest, teraz idzie z okryciem! Pocóż niesiesz okrycie? Ha! ha! ha! Cóżeś ty zwarjował, czy co?

Książę wrócił i patrzał na nią jak skamieniały; kiedy się ona roześmiała, uśmiechnął się i on, ale nie mógł wymówić ani słowa. W pierwszej chwili, kiedy jej otworzył drzwi, blady był bardzo, teraz nagle krew zalała mu twarz?

— A cóż to za idjota? — krzyknęła ze złością, tupiąc na niego nogą Nastazja Filipowna. — No, gdzież ty idziesz? Kogo będziesz meldował?

— Nastazję Filipownę — wyjąkał książę.

— Skądże ty mnie znasz? — zapytała — nigdzie cię nie widziałam. Idź, melduj... Co to za krzyki?

— Kłócą się — odpowiedział książę i poszedł do buduaru.

Wszedł w dosyć decydującej chwili; Nina Aleksandrowna była już na drodze do zapomnienia, że się „wszystkiemu poddała“; zresztą stawała w obronie Basi. Przy Basi stał również Pticyn, porzuciwszy nareszcie swoją karteczkę, zapisaną ołówkiem. Basia i sama się nie bała, nie należała do rzędu bojaźliwych dziewcząt, ale ordynarności brata stawały się z każdem słowem ostrzejsze i trudniejsze

do zniesienia. W takich razach przestawała zwykle mówić i tylko milcząc, patrzała szyderczo na brata, nie spuszczając z niego oczu. Ten manewr, jak zresztą dobrze o tem wiedziała, wystarczył, ażeby go doprowadzić do ostatniej złości. W tej samej chwili wszedł do buduaru książę i zawołał:

— Nastazja Filipowna!

IX

Zapanowało ogólne milczenie; wszyscy patrzyli na księcia, jakby go nie rozumieli, lub nie chcieli go rozumieć. Gania skamieniał ze strachu.

Przybycie Nastazji Filipowny, zwłaszcza w danej chwili, było dla wszystkich dziwną i kłopotliwą niespodzianką. Wystarczał sam fakt, że przychodziła po raz pierwszy. Dotychczas zachowywała się z taką dumą, że w rozmowach z Ganią nie wyrażała nawet życzenia zapoznania się z jego rodziną, a w ostatnich czasach zupełnie nawet o niej nie wspominała, jakgdyby ich nie było na świecie. Gania, chociaż poczęści był rad, że chwila tak przykrej dla niego rozmowy została przesunięta na później, to jednak dobrze sobie zanotował tę jej dumę. W każdym razie spodziewał się od niej raczej szyderstwa i przycinków pod adresm swojej rodziny, niż obecnej wizyty; wiedział na pewno, że jest dokładnie powiadomiona o tem, co się dziej u niego z powodu tego małżeństwa i jak jego bliscy na nią się zapatrują. Wizyta jej, teraz, po ofiarowaniu fotografji i w dniu jej urodzin, w dniu, w którym miała zdecydować jego losy, czyż nie była już samą decyzją?

Osłupienie, z jakiem wszyscy patrzyli na księcia, nie trwało długo. Nastazja Filipowna zjawiła się sama w drzwiach buduaru i znów, wchodząc, lekko odepchnęła księcia.

— Nareszcie udało mi się wejść... dlaczego państwo przywiązujecie dzwonek? — powiedziała wesoło, podając rękę Gani, który rzucił się na jej spotkanie. — Cóż pan ma taki przygnębiony wyraz twarzy? Niechże mnie pan z łaski swojej przedstawi...

Gania zupełnie stracił głowę: przedstawił ją najprzód Basi, i obie kobiety, zanim sobie podały ręce, obrzuciły się dziwnem spojrzeniem. Nastazja Filipowna śmiała się zresztą i udawała wielką wesołość; ale Basia nic nie chciała udawać, patrzała ponuro i uważnie; nawet cień uśmiechu, jakiego wymagała prosta grzeczność, nie zjawił się na jej twarzy. Gania skamieniał. Na perswazje nie miał czasu ani możności; rzucił więc tylko na Basię tak groźne spojrzenie, że zrozumiała z siły tego spojrzenia, czem dla brata była ta chwila. Wtedy widocznie postanowiła mu choć trochę ustąpić i uśmiechnęła się lekko do Nastazji Filipowny. (Zanadto się oni jeszcze wszyscy w tej rodzinie kochali!) Poprawiła nieco sprawę Nina Aleksandrowna, którą Gania, doreszty zmieszany, przedstawił po siostrze i nawet pierwszą przyprowadził do Nastazji Filipowny. Ale zaledwie zaczęła Nina Aleksandrowna mówić swoje: „bardzo mi przyjemnie", gdy Nastazja Filipowna, nie dosłuchaswzy do końca, odwróciła się szybko w stronę Gani i siadając (bez zaproszenia) na małej kanapce, w kącie, pod oknem, zawołała:

— Gdzież pana gabinet? I... gdzie lokatorowie? Przecież państwo trzymacie lokatorów?

Gania strasznie się zaczerwienił i zaczął coś bąkać, ale Nastazja Filipowna zaraz dodała:

— Gdzież tu pomieścić lokatorów? Przecież pan i gabinetu niema. A czy to korzystne? — zwróciła się nagle do Niny Aleksandrowny.

— Dosyć kłopotliwe — odpowiedziała ta ostatnia — ma się rozumieć, powinienby być pewien zysk. Zresztą, my dopiero co...

Ale Nastazja Filipowna znów nie słuchała; patrzała ze śmiechem na Ganię i zawołała:

— Jakiś pan ma dziwny wyraz twarzy! Boże drogi, jaki dziwny wyraz!

Upłynęło parę sekund tego śmiechu i twarz Gani rzeczywiście bardzo się zmieniła: jego osłupienie, zabawne zmieszanie zupełnie go opuściły, ale strasznie zbladł; usta skrzywiły mu się kurczowo; milcząc, patrzał uważnie i złem spojrzeniem na swego gościa, ani na chwilę oczu nie odrywając; nie przestawała się śmiać.

Był tu jeszcze jeden obserwator, który też się jeszcze nie wyrwał zupełnie ze stanu ogłupienia, w jaki wpadł na widok Nastazji Filipowny; jednak, chociaż stał jak „słup“ na poprzedniem swojem miejscu, w drzwiach buduaru, zdołał zauważyć bladość i złowrogą zmianę w twarzy Gani. Tym obserwatorem był książę. Wystraszony, postąpił parę kroków naprzód.

— Niech się pan napije wody — szepnął do Gani. — I niech pan tak nie patrzy...

Widać było, że powiedział to bez żadnego wyrachowania, bez żadnej szczególnej myśli, a tak wprost odruchowo, ale słowa jego wywołały ogólne zamieszanie. Zdawało się, że cała złość Gani zwróciła się nagle na księcia: schwycił go za ramię i patrzał na niego w milczeniu, mściwie i z nienawiścią, jakgdyby nie mógł wymówić ani słowa. Nastąpiło ogólne przerażenie; Nina Aleksandrowna nawet zlekka krzyknęła, zaniepokojony Pticyn przysunął się bliżej, Kola i Fierdyszczenko, zjawiający się w drzwiach, stanęli jak wryci, jedna tylko Basia, tak jak i przedtem, patrzała zpodełba, ale uważnie wszystkiemu się przyglądając. Nie siadała, stała z boku, przy matce, z rękami skrzyżowanemi na piersiach.

Gania prędko, prawie że odrazu się opamiętał i nerwowo się roześmiał. Wrócił do zupełnej równowagi.

— Cóż to książę, doktór, czy co? — zawołał jak tylko mógł najweselej i najdobroduszniej — nawet mnie pan przestraszył; Nastazjo Filipowno, pozwoli pani przedstawić sobie... to znakomity osobnik, chociaż i ja go znam dopiero od rana.

Nastazja Filipowna ze zdumieniem patrzała na księcia.

— Książę? To książę?... Niech sobie państwo wyobrażą, że dopiero co w przedpokoju wzięłam go za lokaja i kazałam mu się zameldować. Ha! ha! ha!

— Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi — podchwycił Fierdyszczenko, pośpiesznie podchodząc, uradowany, że nareszcie zaczęli się śmiać — nic nie szkodzi: *se non è vero*...

— I przecież o mało panu nie nawymyślałam. Niech pan wybaczy, proszę. Fierdyszczenko, co pan tu robi o tej godzinie? Myślałam, że chociaż pana tu nie zastanę. Kto?

Jaki książę? Myszkin? — zapytała Gani, który tymczasem, trzymając ciągle księcia za ramię, zdążył go przedstawić.

— Nasz lokator — powtórzył Gania.

— Przedstawiali księcia widocznie jako coś niezwykłego (i dogadzającego wszystkim jako wyjście z fałszywego położenia), prawie że go podsuwali Nastazji Filipownie; książę usłyszał nawet wyraźnie słowo „idjota", szepnięte z tyłu, zdaje się przez Fierdyszczenkę, jako objaśnienie dla Nastazji Filipowny.

— Panie, dlaczego mnie pan przedtem nie wyprowadził z błędu, kiedy ja tak strasznie... się co do pana omyliłam? — mówiła dalej Nastazja Filipowna, oglądając księcia od stóp do głowy w sposób zupełnie bezceremonjalny; czekała niecierpliwie odpowiedzi, jakgdyby była najmocniej przekonaną, że odpowiedź będzie bezwarunkowo tak głupią, że nie będzie można się nie śmiać.

— Zdziwiłem się, widząc panią tak nagle — wybełkotał książę.

— A jak pan poznał, że to ja? Gdzie mnie pan przedtem widział? Co to takiego? może ja go rzeczywiście już gdzieś widziałam? I niech mi pan pozwoli się zapytać, dlaczego pan przed chwilą tak osłupiał? Co we mnie jest takiego zdumiewającego?

— No, odpowiedzże pan! — błaznował dalej Fierdyszczenko — gadajże pan! O Boże, ileż jabym rzeczy na takie pytanie odpowiedział! No, gadajże pan... O, niedorajda z ciebie, mój książę!...

— Jabym także na pana miejscu dużo opowiedział — roześmiał się książę do Fierdyszczenki — przed chwilą bardzo mnie uderzyła pani fotografja — zwrócił się do Nastazji Filipowny — następnie dużo o pani mówiłem z Jepanczynami... a dziś rano, zanim jeszcze przyjechałem do Petersburga, w pociągu, opowiadał mi dużo o pani Parfen Rogożyn... I w chwili, kiedy pani drzwi otwierałem, myślałem także o pani, a tu nagle pani...

— A jak pan poznał że to ja?

— Po fotografji!...

— I jak?

— I jeszcze z tego, że właśnie tak sobie panią wyobrażałem... Ja panią też gdzieś widziałem.

— Gdzie? gdzie?

— Oczy pani musiałem gdzieś widzieć... choć to niemożliwe! Ja tylko tak... Ja tu nigdy nie byłem... Chyba we śnie.

— Brawo, książę! — zawołał Fierdyszczenko. — Nie cofam mego: *se non è vero.* Zresztą, zresztą, przecież on tylko w świętej naiwności! — dodał ze współczuciem.

Książę powiedział tych kilka zdań głosem nie równym i ciężko oddychając. Wszystko znamionowało w nim niezwykłe wzruszenie. Nastazja Filipowna patrzała na niego z ciekawością, ale się już nie śmiała. W tej samej chwili nowy, donośny głos dał się nagle słyszeć z poza tłumu, cisnącego się dokoła księcia i Nastazji Filipowny, rozsunął niejako ten tłum i rozdzielił go na dwie części. Przed Nastazją Filipowną stał sam ojciec rodziny, jenerał Iwołgin. Był we fraku i w czystej koszuli; wąsy miał uczernione.

Tego już Gania znieść nie mógł.

Próżny aż do podejrzliwości, do hipochondrji, szukał przez całe te dwa ostatnie miesiące jakiegokolwiek punktu, na którym mógłby się oprzeć przyzwoicie i wystawić w jak najlepszem świetle; czuł się jeszcze nowicjuszem na nowo wybranej drodze i myślał, że chyba na niej nie wytrzyma; zrozpaczony, zdecydował się wkońcu w swoim własnym domu, w którym był despotą, na zupełną bezczelność, ale nie śmiał się na nią zdecydować wobec Nastazji Filipowny, która go zawsze zbijała z tropu, aż do ostatniej chwili i bez miłosierdzia okazywała mu zawsze swoją wyższość. „Niecierpliwy żebrak", jak go nazywała sama Nastazja Filipowna, co mu już zresztą powtórzono, przysiągł sobie na wszystkie świętości w następstwie odpłacić jej to sowicie, a jednocześnie marzył jak dziecko o pogodzeniu w sobie tych wszystkich sprzeczności... teraz musiał jeszcze wychylić tę ostatnią straszną czarę i to w takiej chwili. I jeszcze jedna nieprzewidziana, ale straszna męczarnia dla próżnego człowieka... męczarnia wstydu za swoją rodzinę, we własnym domu... i ta również przypadła mu w udziale. „Czyż warte tego samo wynagrodzenie"! — przeszło mu w tej chwili przez głowę.

Odbywało się teraz to, co przez ostatnie dwa miesiące jak zmora dławiło go po nocach i przejmowało strachem, na myśl o czem palił się ze wstydu: miało w tej chwili miejsce spotkanie jego ojca z Nastazją Filipowną. Czasem, drażniąc i rozdrażniając się, próbował sobie przedstawić jenerała podczas ceremonji ślubnej, ale nigdy nie był w stanie domyślić do końca tego męczącego obrazu i rzucał go. Być może, iż nadmiernie przesadzał położenie, ale to z ludźmi próżnymi zawsze ma miejsce. Przez te dwa miesiące zdążył się namyślić i zdecydować i dał sobie słowo, że za jakąkolwiek bądź cenę usunie jenerała, chociażby tylko na pewien czas i jeśli się uda, wyśle go z Petersburga, bez względu na to, czy jego matka się zgodzi. Przed dziesięciu minutami, kiedy wchodziła Nastazja Filipowna, tak był zdumiony, tak oszołomiony, że zupełnie zapomniał o możliwości zjawienia się na scenie Ardałjona Aleksandrowicza i nie wydał żadnych rozporządzeń. I oto jest jenerał wobec wszystkich i w dodatku uroczyście nastrojony i we fraku i to w tej samej chwili, kiedy Nastazja Filipowna „szuka tylko sposobności, żeby się wyśmiać z niego i z całej rodziny". (Co do tego nie miał wątpliwości). I rzeczywiście, co ma znaczyć jej wizyta, jeżeli nie to właśnie? Czy przyjechała, ażeby się zaprzyjaźnić z jego matką i z jego siostrą, czy żeby je obrazić w jego własnym domu? Samo spojrzenie na obie strony nie zostawiało wątpliwości: matka i siostra siedziały z boku jak oplute, a Nastazja Filipowna, zdaje się, zapomniała, że siedzą w tym samym pokopu... Więc, jeżeli się ona tak zachowuje, musi w tem mieć swój cel.

Fierdyszczenko zbliżył się do jenerała i podprowadził go.

— Ardałjon Aleksandrowicz Iwołgin — powiedział jenerał, skłoniwszy się z godnością i z uśmiechem — stary, nieszczęśliwy żołnierz i ojciec rodziny, szczęśliwej w nadziei posiadania tak przepięknej...

Nie dokończył; Fierdyszczenko śpiesznie podsunął mu krzesło, i jenerał, w chwili sjesty nieco słaby w nogach, osunął się, lub raczej upadł na krzesło, ale to go zresztą zupełnie nie zmieszało. Usiadł wprost Nastazji Filipowny i z uprzejmym uśmiechem, wolno, podniósł jej paluszki do ust.

Wogóle trudno było wytrącić jenerała z równowagi. Jego powierzchowność poza pewnem zaniedbaniem była jeszcze dosyć przyzwoita, o czem on sam bardzo dobrze wiedział. Dawniej bywał i w dobrych towarzystwach; ostatecznie wykluczony z nich został dopiero w ostatnich dwóch, czy trzech latach. Od tej pory poddał się już zupełnie pewnym swoim słabostkom; ale dobre i eleganckie ułożenie zachował nadal. Nastazja Filipowna nadzwyczaj się ucieszyła z pojawienia się Ardałjona Aleksandrowicza, którego już zresztą znała ze słyszenia.

— Słyszałem, że syn mój... — zaczął Ardałjon Aleksandrowicz.

— Tak, syn pański! I pan także dobry sobie... papa! Dlaczegoż to ja nigdy pana u siebie nie widzę? Cóż to, sam się pan ukrywa, czy też syn pana ukrywa? Przecież pan chyba może do mnie przyjechać, nikogo nie kompromitując.

— Dzieci dziewiętnastego stulecia i ich rodzice... — zaczął znów jenerał.

— Nastazjo Filipowno! Niech pani z łaski swojej pozwoli na chwilę odejść Ardałjonowi Aleksandrowiczowi, wołają go — powiedziała głośno Nina Aleksandrowna.

— Pozwolić odejść! Na miłość Boską, ja tyle słyszałam, tak dawno chciałam poznać! I jakież on ma interesy? Przecież jest dymisjonowany? Nie opuści mnie pan, jenerale, nie odejdzie pan?

— Daję pani słowo, że on sam do pani przyjedzie, ale teraz potrzebuje odpoczynku.

— Ardałjonie Aleksandrowiczu, mówią, że pan potrzebuje odpoczynku! — zawołała Nastazja Filipowna z miną skwaszoną i niezadowoloną, jak pusta gąska, której odbierają zabawkę. Jenerał, jak na złość, starał się pogorszyć położenie.

— Moja duszko! Moja duszko! — powiedział z wyrzutem, zwracając się uroczyście do żony i kładąc rękę na swem sercu.

— Czy mama stąd nie wyjdzie? — zapytała głośno Basia.

— Nie, Basiu, dosiedzę do końca.

Nastażja Filipowna nie mogła nie słyszeć pytania i odpowiedzi, ale wesołość jej jakby jeszcze bardziej wskutek tego wzrosła. Natychmiast zasypała jenerała nowemi pytaniami i po pięciu minutach jenerał był w jak najbardziej uroczystem usposobieniu i perorował ku wielkiej uciesze obecnych.

Kola pociągnął księcia za połę.

— Niechże go pan w jakikolwiek sposób wyprowadzi! Czy nie można! Niech pan będzie łaskaw! — I łzy oburzenia zakręciły się w oczach biednego chłopczyka. — O, przeklęty Gańka! — dodał pocichu.

— Z Janem Teodorowiczem Jępanczynem byłem rzeczywiście w wielkiej przyjaźni — wynurzał się jenerał w odpowiedzi na pytania Nastazji Filipowny. — Ja, on i nieboszczyk książę Lew Mikołajewicz Myszkin, którego syna dziś uścisnąłem po dwudziestoletniem rozłączeniu, byliśmy trzej nierozłączni, jak, że tak powiem: Atos, Portos i Aramis. Ale niestety, jeden w grobie, zabity oszczerstwem i kulą, drugi, tu obecny, boryka się jeszcze z oszczerstwem i z kulami...

— Z kulami! — zawołała Nastazja Filipowna.

— Tkwią tutaj, w mojej piersi, dostałem je pod Karsem i przy złej pogodzie odczuwam je zawsze. Pod każdym innym względem żyję jak filozof, chodzę, spaceruję, gram w mojem *café* jak *rentier bourgeois* w szachy i czytam *Indépendance*. Ale z naszym Portosem, Jepanczynem, po zaprzeszłorocznej historji w pociągu z suczką bolońską, zerwałem zupełnie.

— Suczką bolońską! Co to takiego? — zapytała ze szczególnem zaciekawieniem Nastazja Filipowna. — Z suczką bolońską? Przepraszam, i to w pociągu?... — jakgdyby sobie coś przypominała.

— O, głupia sprawa, nie warto nawet powtarzać: szło o guwernantkę księżnej Białokońskiej, mistress Schmidt, ale... niema co opowiadać.

— Koniecznie musi pan opowiedzieć! — zauważył Fierdyszczenko — *c'est du nouveau.*

— Ardałjonie Aleksandrowiczu! — rozległ się znów błagalny głos Niny Aleksandrowny.

— Tatusiu, wołają tatusia — zawołał Kola.

— Głupia sprawa, można ją streścić w dwóch słowach — zaczął jenerał z zadowoleniem. — Przed dwoma laty, tak! mniej więcej, zaraz po otwarciu nowej ...skiej drogi (byłem już w cywilnem ubraniu), zajęty nadzwyczaj ważnemi dla mnie sprawami, dotyczącemi zdawania papierów służbowych, kupiłem bilet do pierwszej klasy: wszedłem, siedzę, palę. To jest palę w dalszym ciągu, zacząłem wcześniej. Jestem sam jeden w przedziale. Palenie nie jest wzbronione, ale i nie jest dozwolone; jest tak nawpół dozwolone, jak zwykle, zależnie od osoby. Okno otwarte. Nagle, przed samym gwizdkiem, siadają dwie damy z bolonką, wprost naprzeciw mnie; spóźniły się, jedna, wspaniale ubrana, w jasno-niebieskiej sukni; druga skromniej, w czarnej, jedwabnej, z pelerynką. Niebrzydkie, patrzą dumnie, rozmawiają po angielsku. Ja, ma się rozumieć, nic; palę dalej. Właściwie, przeszło mi przez głowę, ale palę dalej, okno otwarte, palę w samo okno. Bolonka układa się na kolanach jasno-niebieskiej pani; jest maleńka, zmieściłaby się cała na mojej dłoni, czarna, łapki bielutkie, prawdziwy unikat. Obróżka srebrna z napisem. Ja nic. Widzę tylko, że damy gniewają się widocznie o moje cygaro. Jedna patrzy przez lornetkę szyldkretową. Ja znów nic: bo przecież nic nie mówią. Gdyby co powiedziały, uprzedziły, poprosiły, istnieje przecież język ludzki! A one milczą... nagle... i to bez najmniejszego, powiadam paniom, uprzedzenia, ale to bez najmniejszego w świecie, zupełnie, jakgdyby zwarjowała... blado-niebieska wyrywa mi z rąk cygaro i za okno. Wagon pędzi. Patrzę jak ogłupiały. Dzika kobieta, dzika, zupełnie w dzikim stanie; a zresztą, dorodna, tęga, wysoka, blondynka, rumiana (nawet za rumiana), z oczu iskry się sypią. Nie mówiąc ani słowa, z niezwykłą grzecznością, z wyrafinowaną, że tak powiem, przybliżam się do bolonki, biorę ją dwoma palcami delikatnie i marsz za okno szukać cygara! Ledwo zaskowyczała. Wagon pędzi dalej.

— Potwór z pana! — krzyknęła Nastazja Filipowna, śmiejąc się i klaszcząc w ręce jak mała dziewczynka.

— Brawo, brawo! — krzyczał Fierdyszczenko. Uśmiechnął się również Pticyn, któremu pojawienie się jenerała również sprawiło przykrość; nawet Kola się roześmiał i również krzyknął: „brawo!“.

— I miałem słuszność, miałem słuszność, miałem po trzykroć słuszność! — ciągnął dalej z ogniem, triumfujący jenerał — gdyż, jeżeli w wagonach nie wolno palić, to tem bardziej psów wprowadzać nie wolno.

— Brawo, tatusiu, — zawołał z zachwytem Kola — wspaniale! Jabym absolutnie tak samo postąpił!

— No, a cóż ta pani? wypytywała się niecierpliwie Nastazja Filipowna.

— Ona? A właśnie w tem leży cała nieprzyjemność — mówił dalej zachmurzony jenerał — nie mówiąc ani słowa i bez najmniejszego, że tak powiem, uprzedzenia, uderzyła mnie w twarz! Dzika kobieta; zupełnie w dzikim stanie!

— A pan?

Jenerał spuścił oczy, podniósł brwi, wzruszył ramionami, zaciął usta, złożył ręce, pomilczał chwilę i nagle powiedział:

— Uniosłem się.

— I bardzo? Bardzo?

— E, słowo daję, nie bardzo! Głupio wyszło, ale nie bardzo. Ja tylko raz się zamierzyłem, tak, żeby się odczepić. Ale tu się już jakieś licho wdało: okazało się, że blado-niebieska, to była Angielka, guwernantka, czy nawet jakaś przyjaciółka księżnej Biełokońskiej, a ta, która była w czarnej sukni, to starsza z księżniczek Biełokońskich, stara panna, trzydziestopięcioletnia. Wiadomo zaś, w jakich żyje stosunkach jenerałowa Jepanczynowa z domem Biełokońskich. Wszystkie księżniczki mdleją, łzy, żałoba po faworytce bolonce, lament sześciu księżniczek, lament Angielki... koniec świata! Ma się rozumieć, jeździłem przepraszać, prosiłem o przebaczenie, pisałem list, nie przyjęli ani mnie, ani listu, a z Jepanczynem kłótnia, wypędzenie, wygnanie!

— Ale przepraszam, jakże to? — zapytała nagle Nastazja Filipowna — przed pięciu, czy sześciu dniami czytałam w *Independance*... a ja stale czytuję *Independance*... zupełnie taką samą historję! Ale zupełnie taką samą! Zdarzyło się to na jednej z nadreńskich kolei żelaznych, w wagonie, pomiędzy pewnym Francuzem i Angielką; zupełnie tak samo wyrzucono przez okno bolonkę i zupełnie tak samo skończyło się, jak u pana. Nawet suknia blado-niebieska!

Jenerał strasznie się zaczerwienił. Kola również się zaczerwienił i złapał się za głowę; Pticyn odwrócił się szybko. Śmiał się tylko, tak jak przedtem, jeden Fierdyszczenko O Gani niema nawet co mówić; stał, znosząc przez cały czas mękę niewypowiedzianą i nie do zniesienia.

— Zapewniam panią — mruczał jenerał — że i ze mną się zdarzyło zupełnie to samo..

— Papa miał rzeczywiście nieprzyjemność z mistress Schmidt, guwernantką Biełokońskich — zawołał Kola — ja pamiętam.

— Jakto? Zupełnie tak samo! Jedna i ta sama historja na dwóch końcach Europy i zupełnie to samo we wszystkich szczegółach, aż do blado-niebieskiej sukni! — nalegała niemiłosiernie Nastazja Filipowna — przyślę panu *Independance Belge*!

— Ale niech pani weźmie pod uwagę — nalegał dalej jenerał — że ze mną to miało miejsce dwa lata temu.

— A, chyba tak!

Nastazja Filipowna śmiała się, jak w napadzie histerji.

— Papo, proszę ojca na chwilkę — powiedział Gania drżącym i zmęczonym głosem, chwytając machinalnie ojca za ramię. Bezgraniczna nienawiść gorzała w jego spojrzeniu.

W tej samej chwili rozległo się w przedpokoju niezwykle głośne szarpnięcie dzwonka. Takiem szarpnięciem można było zerwać dzwonek. Zapowiadała się niezwykła wizyta. Kola pobiegł otworzyć.

X

W przedpokoju zrobiło się nagle niezwykle gwarno i ludno; z buduaru wydawało się, że weszło kilkunastu ludzı i że wchodzi ich coraz więcej. Kilkanaście głosów mówiło i krzyczało razem; mówili i krzyczeli i na schodach, na które, jak słychać było, drzwi z przedpokoju nie były zamknięte. Wizyta była niezwykle dziwna. Wszyscy spojrzeli po sobie; Gania rzucił się do salonu, ale tam weszło już kilkunastu ludzi.

— Otóż i Judasz! — krzyknął znajomy księciu głos — jak się masz, Gańka, ty łotrze!...

— To on, to on! — potakiwał drugi głos.

Książę nie miał już wątpliwości: jeden głos był Rogożyna, a drugi Lebiediewa.

Gania stał jak skamieniały na progu buduaru i patrzał milcząc, nie przeszkadzając wejściu do salonu jednego za drugim dziesięciu czy dwunastu ludzi, idących za Parfenem Rogożynem. Kompanja to była wielce różnoraka i nader bezceremonjalna. Niektórzy wchodzili tak, jak byli na ulicy, w płaszczu, lub w futrze. Zupełnie pijanych zresztą nie było; zato wszyscy wyglądali dobrze podchmieleni. Wszyscy, jak się zdawało, potrzebowali jedni drugich, żeby razem wejść; ani jeden nie miałby oddzielnie dosyć śmiałości, ale podtrzymywali się wzajemnie między sobą. Nawet Rogożyn szedł ostrożnie na czele bandy, ale widać miał jakiś swój cel, wyglądał pochmurny, rozdrażniony i zakłopotany. Inni zaś tworzyli tylko chór, lub raczej szajkę pomocniczą. Oprócz Lebiediewa był tu także i ufryzowany Zależew, który w przedpokoju zrzuciwszy futro, wszedł swobodny i elegancki, byli również podobni do niego dwaj czy trzej panowie, najwidoczniej subjekci. Wchodził jakiś w napół wojskowem ubraniu, jakiś maleńki i niezwykle tęgi jegomość, śmiejący się bezustannie; inny, olbrzymi, dwanaście werszków wysoki i widocznie mocno ufający swoim pięściom. Był pewien student medycyny; był jakiś uwijający się Polaczek. Ze schodów zaglądały do przedpokoju jakieś dwie damy, ale nie odważyły się wejść; Kola zatrzasnął im drzwi przed nosem i spuścił zatrzask.

— Jak się masz, Gańka, łajdaku! Cóż, nie spodziewałeś się Parfena Rogożyna? — powtórzył Rogożyn, dochodząc do buduaru i stając w drzwiach naprzeciw Gani. Ale w tej samej chwili spostrzegł nagle w buduarze, naprzeciwko siebie, Nastazję Filipownę. Widocznie przez myśl mu nawet nie przeszła możliwość spotkania jej tutaj, gdyż widok jej wywarł na nim niezwykle silne wrażenie; zbladł do tego stopnia, że nawet usta mu zsiniały. — A więc to prawda! — powiedział cicho i jakby sam do siebie, z zupełnie przygnębionym wyrazem twarzy. — Koniec!... No... Zapłacisz ty mi za to! — zgrzytnął nagle z niewysłowioną złością patrząc na Ganię. — No... ach!...

Tracił oddech i mówił z trudem. Machinalnie podchodził do buduaru, ale przeszedłszy przez próg, spostrzegł nagle Ninę Aleksandrównę i Basię i stanął nieco zmieszany pomimo swego wzruszenia. Za nim wszedł Lebiediew, idący jak cień i już mocno pijany, następnie student, pan z silnemi pięściami, Zależew, kłaniający się w prawo i w lewo i wkońcu przecisnął się mały tłuścioch. Obecność dam wszystkich ich jeszcze krępowała i najwidoczniej bardzo im przeszkadzała, naturalnie tylko do chwili r o z p o c z ę c i a, do pierwszej sposobności krzyknięcia i r o z p o c z ę c i a... Wtedyby już żadne damy nie przeszkodziły.

— Jakto? I książę tutaj? — w roztargnieniu przemówił Rogożyn, trochę zdziwiony tem spotkaniem z księciem — i ciągle jeszcze w tych kamaszkach, o-e-ch! — westchnął, zapomniawszy już o księciu i znów przenosząc wzrok na Nastazję Filipownę, posuwał się do niej, przyciągany jak przez magnes.

Nastazja Filipowna patrzała również na gości z niepokojem i z ciekawością.

Gania wkońcu przyszedł do siebie.

— Ależ za pozwoleniem, cóż to wkońcu ma znaczyć? — powiedział głośno, patrząc surowo na wchodzących i zwracając się głównie do Rogożyna — zdaje się, żeście nie do stajni weszli, panowie, tutaj jest moja matka i moja siostra...

— Widzimy, że matka i siostra — potakiwał Lebiediew dla dodania sobie powagi.

Pan z pięściami, przypuszczając zapewne, że nadeszła chwila, zaczął coś mruczeć.

— Ale jednakże! — nagle jakoś nadmiernie podniósł głos Gania — po pierwsze, proszę, ażeby wszyscy wyszli do salonu, a następnie pozwolę sobie zapytać...

— Widzisz go, nie poznaje! — uśmiechnął się złośliwie Rogożyn, nie ruszając się z miejsca — Rogożyna nie poznał...

— Zdaje mi się, że pana gdzieś widziałem, ale...

— Widzisz go, gdzieś widziałem! A to niema trzech miesięcy, jak przegrałem do ciebie ojcowskich dwieście rubli i stary umarł, nie dowiedziawszy się o tem; tyś mnie zacią-

gnał, a Knif oszukiwał. Nie poznajesz? Pticyn jest świadkiem! A niech ja ci trzy ruble pokażę, wyjmę je tylko z kieszeni, a powleczesz się za niemi na czworakach, choćby na Wasiljewską... oto jaki ty jesteś! Taka jest twoja dusza! A i teraz przyjechałem, aby cię kupić za pieniądze. Nie patrz, że ja w takich butach wszedłem, ja mam, mój bracie, pieniędzy dużo, całego ciebie i z całym twoim domem kupię! — rozpalał się Rogożyn i jakby coraz więcej się upijał. — E-ech! — krzyknął — Nastazjo Filipowno! Niech mnie pani nie wypędza, niech pani powie jedno słówko: poślubia go pani, czy nie?

Rogożyn zadał swoje pytanie jak człowiek stracony, jakby przemawiał do jakiegoś bóstwa, ale ze śmiałością skazanego na śmierć, który już nic nie ma do stracenia. W śmiertelnym niepokoju wyczekiwał odpowiedzi.

Nastazja Filipowna zmierzyła go szyderczym i dumnym wzrokiem, ale spojrzała na Basię i Ninę Aleksandrównę, spojrzała na Ganię i nagle zmieniła ton.

— Ależ wcale nie, cóż pan? I skąd panu przyszło do głowy o to się pytać? — odpowiedziała cicho i poważnie i jakby z pewnem zdziwieniem.

— Nie? Nie! — krzyknął Rogożyn, jakby tracąc przytomność z radości — więc nie? A mnie mówili... Ach! No... Nastazjo Filipowno! Oni mówią, że pani zaręczona z Gańką! Z nim? Czyż to możebne? (Wszystkim to mówię!). Ależ ja go całego za sto rubli kupię, dam mu tysiąc, no, niechby trzy tysiące, żeby się cofnął, a w przeddzień ślubu ucieknie, a narzeczoną mnie zostawi. Prawda, Gańka, łajdaku! Wziąłbyś trzy tysiące! Oto są, masz! Poto jechałem, żeby wziąć od ciebie takie zobowiązanie; powiedziałem sobie: kupię... i kupię!

— Wynoś się stąd, jesteś pijany! — krzyknął Gania, to czerwieniejąc, to blednąc.

W odpowiedzi na jego okrzyk rozległo się nagle kilkanaście głosów; cała banda Rogożyna czekała tylko na to pierwsze wyzwanie. Lebiediew szeptał coś z nadzwyczajną troskliwością Rogożynowi do ucha.

— Prawda, urzędniczyno! — odpowiedział Rogożyn— prawda, pijanico! E, co tam! Nastazjo Filipowno! — zawo-

łał, patrząc na nią jak oszalały, to tracąc odwagę i śmiałość, to znów je odzyskując i stając się bezczelny — oto osiemnaście tysięcy! — I rzucił przed nią na stolik paczkę owiniętą w biały papier i owiązaną sznurkiem. — Oto są! I... i jeszcze będzie!

Nie odważył się powiedzieć, o co mu właściwie szło.

— Ni-ni-ni! — szepnął znów Lebiediew, z wystraszonym wyrazem twarzy: można było odgadnąć, że się przeląkł wysokością sumy i proponował, aby spróbować od dużo mniejszej.

— Nie bracie, już co do tego jesteś zupełnie głupi, nie wiesz, co gadasz... ale widzę, że i ja przy tobie zgłupiałem!— spostrzegł się Rogożyn i zadrżał nagle pod gniewnem spojrzeniem Nastazji Filipowny.

— E-ech! Wpadłem, słuchając ciebie — dodał, silnie rozdrażniony.

Nastazja Filipowna, spojrzawszy na przygnębiony wyraz twarzy Rogożyna, roześmiała się nagle.

— Osiemnaście tysięcy, dla mnie? Zaraz znać chama! — dodała nagle z bezczelną poufałością i wstała z kanapy, jakgdyby chciała odejść. Gania przyglądał się tej scenie z rozpaczą w sercu.

— Więc czterdzieści tysięcy, a nie osiemnaście — zawołał Rogożyn. — Wańka Pticyn i Biskup obiecali dostarczyć na godzinę siódmą czterdzieści tysięcy. Czterdzieści tysięcy! Gotówką!

Scena stawała się coraz obrzydliwszą, ale Nastazja Filipowna w dalszym ciągu się śmiała i nie wychodziła, jakgdyby celowo wszystko przedłużała. Nina Aleksandrowna i Basia również wstały ze swoich miejsc, i wystraszone, milcząc, czekały do czego to dojdzie; oczy Basi rzucały błyskawice, a i na Ninę Aleksandrównę podziałało to w sposób wstrząsający; drżała i zdawało się, że lada chwila zemdleje.

— A więc, jeśli tak... sto! Dziś jeszcze dostawię sto tysięcy! Pticyn ratuj, zarobisz!

— Tyś oszalał! — szepnął nagle Pticyn, podchodząc szybko do niego i chwytając go za rękę — tyś pijany. Pośle się po stójkowego. Gdzie ty jesteś?

— Gada po pijanemu — powiedziała Nastazja Filipowna, jakgdyby chciała go drażnić.

— Ale nie po pijanemu; będą! do wieczora będą! Pticyn ratuj, lichwiarska duszo, skąd chcesz, bierz, dostarcz przed wieczorem sto tysięcy; przekonam wszystkich, że się nie cofnę! — uniósł się Rogożyn.

— Ależ cóż to jest wkońcu? — krzyknął nagle groźnie rozgniewany Ardałjon Aleksandrowicz, podchodząc do Rogożyna. — To niespodziane wystąpienie milczącego dotychczas starca dodało sytuacji dużo komizmu.

Rozległ się śmiech.

— A to co nowego? — roześmiał się Rogożyn — chodźmy, stary, upijesz się.

— Jakież to podłe! — zawołał Kola, zupełnie już płacząc ze wstydu i ze złości.

— Czyż nikt się między wami nie znajdzie, żeby wyprowadzić stąd tę bezwstydnicę! — krzyknęła nagle Basia, trzęsąc się z gniewu.

— To mnie bezwstydnicą nazywają! — odcięła się Nastazja Filipowna z pełną pogardy wesołością — a ja jak głupia przyjechałam, żeby ich do siebie na wieczór zaprosić! Oto, jak mnie traktuje pańska siostrunia, Gabrjelu Ardałjonowiczu!

Przez chwilę stał Gania jak piorunem rażony po odezwaniu się siostry; ale widząc, że Nastazja Filipowna tym razem rzeczywiście wychodzi, rzucił się jak nieprzytomny na Basię i z wściekłością schwycił ją za rękę.

— Coś ty zrobiła? — zawołał, patrząc na nią, jakby ją chciał spojrzeniem swem zdruzgotać. Zupełnie już stracił głowę i nie wiedział, co robi.

— Co zrobiłam? Dokąd ty mnie ciągniesz? Czy może mam ją prosić o przebaczenie za to, że ona twoją matkę obraziła i przyjechała, aby twój dom zhańbić, ty, człowieku bez ambicji? — krzyknęła znów Basia, triumfująco i wyzywająco patrząc na brata.

Przez kilka sekund stali tak jedno naprzeciw drugiego, oko w oko. Gania trzymał jeszcze ciągle jej rękę w swoim ręku. Basia szarpnęła raz i drugi ze wszystkich swoich sił, ale

nie wytrzymała i nagle, zupełnie już nad sobą nie panując, plunęła bratu w twarz.

— Śliczna panienka—zawołała Nastazja Filipowna.— Brawo, Pticyn, winszuję panu!

Gani pociemniało w oczach i nieprzytomny, zamierzył się na siostrę. Byłaby z pewnością uderzona w twarz. Nagle inna ręka schwyciła rękę Gani.

Między nim i siostrą stał książę.

— Za pozwoleniem, dosyć tego! — powiedział z naciskiem, ale też trzęsąc się cały, jakby pod silnem wrażeniem.

— Cóż to, czy ty zawsze na drodze stać mi będziesz!— wrzasnął Gania, puszczając rękę Basi i doprowadzony do ostatniej pasji, wymierzył księciu policzek.

— Ach! — załamał ręce Kola — ach, Boże!

Ze wszystkich stron rozległy się krzyki. Książę zbladł. Dziwnie i z wyrzutem spojrzał Gani prosto w oczy; usta jego drżały, jakgdyby chciał coś powiedzieć; dziwnie też i nieprzyjemnie krzywiły się do uśmiechu.

— No, niech tam mnie... a jej... nie pozwolę!... — powiedział wkońcu cicho, ale nagle, nie wytrzymał, rzucił Ganię, zakrył twarz rękami, odszedł w kąt pokoju, odwrócił się do ściany i powiedział przerywanym głosem:

— O, jak się pan tego będzie wstydził!

Gania stał rzeczywiście jak osłupiały. Kola rzucił się do księcia, zaczął go ściskać i całować; dokoła nich kręcili się Rogożyn, Basia, Pticyn, Nina Aleksandrowna, wszyscy, nawet stary Ardaljon Aleksandrowicz.

— Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi! — mruczał książę na wszystkie strony, ciągle z tym samym nieprzyjemnym uśmiechem.

— I będzie żałował — zawołał Rogożyn — będziesz się wstydził, Gańka, żeś taką... owcę (nie mógł znaleźć innego słowa) obraził! Książę, przyjacielu mój, rzuć ty ich, pluń na nich, jedź ze mną! Przekonasz się, jak kocha Rogożyn!

Nastazja Filipowna była również bardzo zdumiona, zarówno postępowaniem Gani, jak odpowiedzią księcia. Blada zazwyczaj jej twarz, tak nie harmonizująca z jej poprzednim przymuszonym śmiechem, była najwidoczniej zmieniona pod

wpływem jakiegoś nowego uczucia; a ona jakby nie chciała się z tem zdradzić, starała się usilnie zatrzymać uśmiech na swej twarzy.

— Naprawdę, gdzież ja widziałam jego twarz! — powiedziała nagle już poważnie, przypominając sobie poprzednie swoje pytanie.

— A pani nawet nie wstyd! Czyż pani jest taką, za jaką się pani podaje. Czyż to możliwe? — krzyknął książę z głębokim, serdecznym wyrzutem.

Nastazja Filipowna zdziwiła się, uśmiechnęła, ale jakby ukrywając coś pod swoim uśmiechem, z pewnem zmieszaniem spojrzała na Ganię i wyszła z buduaru. Ale nie dochodząc do przedpokoju, nagle zawróciła, prędko podeszła do Niny Aleksandrowny, wzięła jej rękę i podniosła ją do ust.

— Rzeczywiście, nie jestem taką, zgadł — wyszeptała prędko, cała nagle zarumieniona, i odwróciwszy się, wyszła tym razem tak prędko, że nikt nie zdążył się zorjentować. Zauważono jedynie, że coś szepnęła Ninie Aleksandrownie i, zdaje się, pocałowała ją w rękę. Ale Basia widziała i słyszała wszystko i ze zdziwieniem patrzyła na nią.

Gania spostrzegł się i pobiegł odprowadzać Nastazję Filipownę, lecz ona tymczasem wyszła. Dognał ją na schodach.

— Niech mnie pan nie odprowadza! — krzyknęła. — Do widzenia! do wieczora! koniecznie!

Wrócił zamyślony, zmieszany, trudna zagadka ciężyła mu jeszcze bardziej, niż dawniej. Przypomniał mu się książę... Do tego stopnia zatopił się w swoich myślach, że zaledwie zauważył, jak cała banda Rogożyna przechodziła koło niego i nawet potrąciła go w drzwiach, wychodząc pośpiesznie za Rogożynem. Wszyscy głośno o czemś mówili. Sam Rogożyn szedł z Pticynem i nalegająco polecał mu coś ważnego, widocznie nie cierpiącego zwłoki.

— Przepadłeś, Gańko! — krzyknął, przechodząc koło niego.

Gania trwożliwie popatrzył na nich.

XI

Książę wyszedł z buduaru i zamknął się w swoim pokoju. Natychmiast przyszedł go pocieszać Kola. Biedny chłopiec nie mógł już, jak się zdawało, rozstać się z nim.

— Dobrze pan zrobił, że pan wyszedł — powiedział— tam będzie jeszcze większa awantura; u nas tak codzień, i to wszystko dzięki tej Nastazji Filipownie.

— Dużo tu u was nagromadziło się bolączek, Kolu — zauważył książę.

— Tak, dużo. Ale o nas niema co mówić. Wszystkiemu sami jesteśmy winni. Ale mam jednego wielkiego przyjaciela, to ten jest jeszcze nieszczęśliwszy. Chce pan, zaznajomię pana.

— I owszem. To pański kolega?

— Prawie, jak kolega. Potem panu wszystko to objaśnię. Ładna ta Nastazja Filipowna, co, jak pan myśli? Jeszcze jej nigdy do dziś dnia nie widziałem, a strasznie się starałem. Poprostu oślepiła. Wszystkobym Gańce przebaczył, gdyby to z miłości; ale poco on bierze pieniądze!

— Tak, pański brat nie bardzo mi się podoba!

— Ja myślę! Ja panu później... A wie pan, nie mogę znosić tych wszystkich przesądów. Jakiś warjat, albo głupiec, albo nawet łajdak, udający głupca, da w twarz i już się jest na całe życie zhańbionym, i trzeba to zmyć krwią, albo, żeby na kolanach prosili przebaczenia. Według mnie to jest głupie i despotyczne. Na tem polega dramat Lermontowa „Maskarada“, i... to jest głupie, według mnie. To jest, chciałem powiedzieć, nienaturalne. Ale przecież on pisał ten dramat jeszcze będąc dzieckiem.

— Bardzo mi się siostra pana podobała.

— Jak ona w twarz Gańce plunęła. Dzielna Basia! A pan nie plunął, i pewien jestem, że nie z braku odwagi. Otóż i ona, o wilku mowa... Wiedziałem, że przyjdzie; ona jest szlachetna, choć ma i wady.

— Nie masz tu nic do roboty — zwróciła się do niego Basia — idź do ojca. Nudzi pewno pana?

— Wcale nie, przeciwnie.

— O, już się rozpędziła. To właśnie jest u niej brzyd-

kie. Ale, myślałem, że ojciec na pewno pojedzie z Rogożynem. Korzy się teraz zapewne. Trzeba zobaczyć, co się z nim dzieje — powiedział Kola, wychodząc.

— Bogu chwała, położyłam do łóżka mamę i już nic się nowego nie stało. Gania jest zmieszany i bardzo zamyślony. No, ma o czem myśleć. Co za nauka! Przyszłam panu jeszcze raz podziękować i zapytać: pan dotychczas nie znał Nastazji Filipowny?

— Nie, nie znałem.

— A więc, skądże jej pan w oczy powiedział, że ona nie jest „taką". I zdaje się, zgadł pan. Okazało się, że rzeczywiście, być może, iż nie jest taką. Zresztą, nie rozumiem jej. Że miała zamiar obrazić, to jest jasne. Już przedtem dużo dziwnych rzeczy o niej słyszałam. Ale, jeżeli przyjechała nas prosić, to jakżeż poczynała sobie z mamą? Pticyn ją doskonale zna i mówi, że nie mógł jej zrozumieć. A z Rogożynem? Nie można tak rozmawiać, jeżeli się ma poczucie godności, w domu swojego... Mama także się o pana niepokoi.

— Niema o co! — powiedział książę i machnął ręką.

— I jak ona pana usłuchała?

— Jakto usłuchała?

— Pan jej powiedział, że powinna się wstydzić i ona nagle się zmieniła. Pan na nią ma wpływ — dodała Basia, uśmiechnąwszy się zlekka.

Drzwi się otworzyły i zupełnie niespodziewanie wszedł Gania.

Nawet się nie zawahał, zobaczywszy Basię; małą chwilę stał w progu i nagle zbliżył się do księcia.

— Książę, postąpiłem podle, niech mi pan wybaczy — powiedział nagle, silnie wzruszony. Twarz jego zdradzała silny ból. Książę patrzył na niego ze zdziwieniem i nie zaraz odpowiedział. — No, niech pan wybaczy, niechże pan wybaczy! — niecierpliwie nalegał Gania — chce pan, pocałuję pana w rękę!

Książę był niesłychanie zdumiony i, milcząc, obydwoma rękami objął Ganię; ucałowali się szczerze.

— Nigdy nie myślałem, że pan jest taki! — powiedział nareszcie książę, z trudnością chwytając oddech — myślałem, że pan... nie jest zdolny...

— Przeprosić? I skąd mi się to wzięło, że pan jest idjota! Pan spostrzega to, czego inni nie zauważają. Możnaby z panem porozmawiać, ale... lepiej nie mówić.

— Oto jeszcze kogo powinien pan przeprosić — powiedział książę, wskazując na Basię.

— Nie, to już moi wrogowie. Niech mi pan wierzy, dużo prób było; tutaj szczerze nie przebaczają! — wydarło się Gani i odwrócił się od Basi.

— Nie, przebaczę — powiedziała nagle Basia.

— I do Nastazji Filipowny wieczorem pójdziesz?

— Jeżeli każesz, pojadę, ale tylko sam pomyśl: czy teraz jest możliwe, abym pojechała?

— Ona przecież nie jest taką. Ona, uważasz, daje zagadki do rozwiązania! Sztuki! — i Gania roześmiał się ze złością.

— Sama wiem, że ona nie taka i że to są sztuki, ale jakie? I jeszcze, uważasz, Ganiu, za kogo cię ona ma? Cóż, że pocałowała mamę w rękę. Cóż z tego, że to są jakieś sztuki, kiedy ona śmieje się przecież z ciebie! To nie warte siedemdziesięciu pięciu tysięcy, naprawdę, bracie! Możesz przecież zdobyć się na szlachetne uczucia i dlatego ci to mówię. Nie jedź i ty także! Strzeż się! To się nie może dobrze skończyć!

Powiedziawszy to, Basia wzburzona wyszła szybko z pokoju.

— Wszystkie one takie! — powiedział Gania z uśmiechem — czyż one rzeczywiście myślą, że ja sam tego nie wiem? Przecież wiem daleko lepiej, niż one.

Wypowiedziawszy to, Gania usiadł na kanapie, chcąc widocznie przedłużyć wizytę.

— Jeżeli pan sam to wie — zapytał dosyć nieśmiało książę — to pocóż pan zdecydował się na takie męczarnie, wiedząc, że nie warte one, rzeczywiście, siedemdziesięciu pięciu tysięcy?

— Nie o tem mówię — mruknął Gania — niech mi pan powie, jak pan sądzi, chcę wiedzieć pana zdanie: czy warte są te „męczarnie" siedemdziesięciu pięciu tysięcy, czy też nie warte?

— Według mnie, nie warte.

— Było do przewidzenia. I wstyd tak się żenić? — pytał dalej Gania.

— Wielki wstyd.

— No, więc niech pan wie, że się ożenię, i teraz, to już na pewno. Przedtem się jeszcze wahałem, a teraz już nie! Niech pan nic nie mówi! Wiem, co pan chce powiedzieć...

— Zupełnie nie o tem, o czem pan myśli, mnie bardzo dziwi pana nadzwyczajna pewność.

— Co do czego? Jaka pewność?

— Co do tego, że Nastazja Filipowna na pewno wyjdzie za pana, i że cała sprawa już jest ułożona; a po drugie, że choćby nawet wyszła, to siedemdziesięciu pięciu tysięcy nie dostanie pan do kieszeni. Zresztą, rozumie się, ja wielu rzeczy tutaj nie wiem.

Gania zrobił gwałtowny ruch w stronę księcia.

— Rozumie się, pan wszystkiego nie wie — powiedział — pocobym brał na siebie ten cały ciężar?

— Zdaje mi się, że to się ciągle zdarza: żenię się w nadziei pieniędzy, a tu pieniądze u żony...

— N-nie, tutaj tego nie będzie... Tutaj... tutaj... są okoliczności... — mruknął Gania w trwożnem zamyśleniu. — A co się tyczy jej odpowiedzi, to co do tego niema już wątpliwości — dodał szybko. — Skąd pan wnioskuje, że ona mi odmówi?

— Ja nic nie wiem poza tem, co widziałem; ot, Barbara Ardaljonowna mówiła przed chwilą...

— E! to one tak, nie wiedzą już co powiedzieć.. A z Rogożyna, to ona kpiła, niech mi pan wierzy, zauważyłem. To było widoczne. Przedtem się bałem, a teraz dobrze to zauważyłem. A może pan sądzi z tego, jak się zachowywała względem matki, i ojca, i Basi?...

— I pana.

— Być może; ale tutaj jest tylko zwykła babska zemsta, i nic więcej. To jest strasznie rozdrażniona, nieufna i próżna kobieta. Zupełnie, jak pominięty przy awansie urzędnik. Zachciało się jej postawić i okazać całą swoją pogardę względem nich... no, i względem mnie; to prawda, nie przeczę... A mimo to wyjdzie za mnie. Pan nie podejrzewa, na jakie sztuczki zdobywa się próżność ludzka: ona uważa

mnie za łajdaka dlatego, że biorę ją, kochankę innego, zupełnie jawnie dla pieniędzy, a tego nie wie, że inny by ją jeszcze podlej oszukał; kręciłby się koło niej i kładł jej w uszy liberalno-postępowe rzeczy i wyciągałby różne kwestje kobiece, tak, żeby ją, jak nitkę, przez ucho od igły przeciągnął. Zapewniłby próżną gęś (i z łatwością!), że bierze ją tylko „dla szlachetności duszy i nieszczęść", a w rzeczywistości ożeniłby się dla pieniędzy. Ja się nie podobam, bo nie chcę kręcić, a to potrzebne. A cóż ona robi? Czy nie to samo? Więc za cóż mną pogardza i te wszystkie sztuki wyprawia? Czy za to, że nie jestem zbyt ustępliwy i za dumny? No, ale zobaczymy jeszcze!

— Czyżby pan ją przedtem kochał?

— Początkowo kochałem. Ale dość już... Są kobiety, które mogą być tylko kochankami i więcej niczem. Nie mówię, że ona była moją kochanką. Jeżeli zechce siedzieć spokojnie, to i ja będę siedział spokojnie; jeżeli zaś pokaże fochy, to ją w tej chwili rzucę i pieniądze wezmę ze sobą. Nie chcę być śmieszny, przedewszystkiem nie chcę być śmieszny.

— Zdaje mi się — ostrożnie zauważył książę — że Nastazja Filipowna jest mądra. Poco, przewidując te męczarnie, miałaby dobrowolnie leźć w pułapkę. Przecież mogłaby wyjść za kogo innego. To mnie dziwi.

— O ,tutaj właśnie jest wyrachowanie. Pan nie wie wszystkiego... tutaj.... i oprócz tego, ona jest przekonana, że ja ją kocham do szaleństwa. Przysięgam panu, i wie pan, bardzo ją podejrzewam, że i ona mnie kocha po swojemu; zna pan przysłowie „kto się lubi, ten się czubi". Całe życie będzie mnie uważała za wydrwigrosza (być może, że tego jej właśnie potrzeba) i mimo to będzie mnie po swojemu kochała; przygotowuje się do tego, taki charakter. Ona jest niesłychanie rosyjską kobietą, powiem panu: ja jej ze swej strony szykuję niespodziankę. Ta scena z Basią zdarzyła się przypadkowo, ale wypadła bardzo na moją korzyść: widziała teraz i przekonała się o mojem przywiązaniu i że ja dla niej wszelkie związki zerwę. To znaczy, że i ja nie jestem głupcem, niech pan będzie przekonany. Czy aby pan nie myśli, że jestem paplą? Być może, drogi mój księciu, źle robię, że zwierzam się panu. Ale właśnie dlatego, że pan jest pierw-

szym szlachetnym człowiekiem, którego spotkałem, rzuciłem się na pana, to jest „rzuciłem się", niech pan nie bierze dwuznacznie. Pan się przecież nie gniewa za poprzednie rzeczy? Po raz pierwszy, bodaj, od dwóch lat szczerze mówię. Tutaj strasznie mało jest uczciwych ludzi; uczciwszych od Pticyna niema. Co, zdaje się, że pan się śmieje, czy też nie? Łajdacy lubią uczciwych ludzi... pan o tem nie wiedział? A ja przecież... A zresztą, dlaczegóż mam być łajdakiem, niech pan szczerze powie? Że oni, naśladując ją, nazywają mnie łajdakiem? I, wie pan, za nimi i za nią ja sam nazywam siebie łajadakiem. I to jest podłe, podłe!

— Ja teraz już nigdy nie będę pana uważał za łajdaka — powiedział książę. — Przedtem uważałem pana za zupełnego zbrodniarza, a nagle mnie pan ucieszył... stąd nauka: nie należy sądzić, nie mając doświadczenia. Teraz widzę, że nie można pana uważać nietylko za nikczemnika, ale nawet za zbyt zepsutego człowieka. Pan, według mnie, jest sobie poprostu najzwyklejszym człowiekiem, jaki tylko może istnieć, przytem bardzo słabym i zupełnie nieoryginalnym.

Gania zjadliwie się uśmiechnął, ale nic nie odpowiedział.

Książę, spostrzegłszy, że jego odezwanie nie podobało się, zmieszał się i także zamilkł.

— Prosił pana ojciec o pieniądze? — zapytał nagle Gania.

— Nie.

— Będzie prosił, niech pan nie daje. A to był przecież przyzwoity człowiek, pamiętam. Przyjmowano go u porządnych ludzi. I jak prędko się zmieniają wszyscy ci starzy, przyzwoici ludzie! Ledwo się trochę zmienią okoliczności i już nic dawnego nie zostaje, jakby kto proch spalił. Dawniej on tak nie kłamał, zapewniam pana: dawniej był tylko za bardzo egzaltowany i... oto, czem się to skończyło. Rozumie się, wódka winna. Czy pan wie, że on utrzymuje kochankę? To już coś więcej, niż być nieszkodliwym blagierzyną. Nie mogę zrozumieć cierpliwości mamy. Czy on opowiadał panu o oblężeniu Karsu? Albo o tem, jak koń do niego zagadał? Przecież on do tego nawet dochodzi.

I Gania nagle aż się zatoczył ze śmiechu.

— Co pan się tak na mnie patrzy? — zapytał.

— Dziwię się, że pan się tak szczerze roześmiał. Pan ma, doprawdy, zupełnie dziecinny śmiech. Przed chwilą przyszedł pan się godzić i powiedział pan: „Chce pan, pocałuję pana w rękę...' zupełnie, jakby się dzieci godziły. To znaczy, stać pana jeszcze na takie słowa i ruchy. I nagle zaczyna pan cały wykład o tych ponurych rzeczach i o tych siedmdziesięciu pięciu tysiącach. Doprawdy, to wszystko jakieś głupie i nie może być, żeby tak było.

— Jakiż wniosek pan chce stąd wyciągać? — zapytał Genia.

— Taki wniosek, czy pan nie postępuje zbyt lekkomyślnie, czy nie lepiej byłoby namyślić się jeszcze? Być może, że Barbara Ardaljonowna ma słuszność.

— A moralność! Że jestem jeszcze dzieckiem, to sam wiem — gorąco przerwał Gania — choćby dlatego, że zacząłem z panem taką rozmowę. Nie z wyrachowania, książę, wchodzę w te wszystkie okropności — ciągnął, zdradzając się, jak dotknięty w swej próżności młodzieniec — z wyrachowania napewno bym się pomylił, gdyż ani głowy, ani charakteru nie mam jeszcze silnego. Mnie gna namiętność, mnie coś ciągnie, bo mam cel wielki przed sobą. Pan sobie myśli, że ja wezmę siedmdziesiąt pięć tysięcy i zaraz sobie karetę kupię. Nie, wtedy to będę dodzierał zaprzeszłoroczny surdut i zerwę wszystkie znajomości klubowe. Mało jest u nas wytrzymałych ludzi, chociaż wszyscy są lichwiarzami, a ja chcę wytrzymać. Główna rzecz doprowadzić do końca. Pticyn, mając siedmnaście lat, sypiał na ulicy, sprzedawał scyzoryki i zaczął od kopiejki; teraz ma sześćdziesiąt tysięcy, ale po jakiej gimnastyce! Tę oto gimnastykę przeskoczę i zacznę odrazu od kapitału; za piętnaście lat powiedzą: „oto Iwolgin, król żydowski". Pan mi mówi, że nie jestem człowiekiem oryginalnym. Niech pan zauważy; miły książę, że niema nic bardziej obraźliwego dla człowieka naszych czasów i naszego pokolenia, jak powiedzieć mu, że nie jest oryginalnym, ma słaby charakter, nie ma szczególnych zdolności i jest zwykłym człowiekiem. Pan nie raczy mnie nawet za dobrego łajdaka uważać i wie pan, przed chwilą gotów by-

łem roztrząść pana za to. Pan mnie obraził bardziej, niż Jepanczyn, który mnie uważa (bez żadnych rozmów, w prostocie ducha, niech pan to zauważy) za zdolnego do sprzedania mu żony. To już oddawna mnie wścieka i chcę mieć pieniądze! Mając pieniądze, niech pan wie o tem, będę człowiekiem w wysokim stopniu oryginalnym. Pieniądze dlatego są najpodlejszą inajbardziej nienawistną rzeczą, że one nawet zdolności dają. I będą dawały aż do skończenia świata. Pan powie, że to wszystko dzieciństwo, albo może poezja? Cóż z tego, tem bardziej będzie mi wesoło i sama rzecz się mimo to zrobi. Doprowadzę i wytrzymam. *Rira bien, qui rira le dernier!* Dlaczego Jepanczyn mnie tak obraża? Czy ze złości? Ale gdzie tam. Poprostu dlatego, że jestem zbyt nieznaczącą osobą. No, a wtedy,.. Jednakowoż już dosyć i już czas. Kola już dwa razy nos tu wsuwał; prosi pana na obiad. A ja wychodzę z domu. Przyjdę tu czasem do pana. Panu u nas nie będzie źle; teraz przyjmą pana odrazu do rodziny. Ale niech pan pamięta, niech mnie pan nie zdradzi. Mnie się zdaje, że będziemy albo wrogami, albo przyjaciółmi. A jak pan myśli, gdybym pana wtedy w rękę pocałował (jak się szczerze ofiarowałem), czybym się stał później pana nieprzyjacielem?

— Napewno, tylko nie na zawsze, potem nie wytrzymałby pan i wybaczył — zdecydował książę, namyśliwszy się i uśmiechnąwszy.

— Ehe! Z panem trzeba być ostrożniejszym. Tam do djabła, i tu pan szpilkę wsadził. A któż może wiedzieć, może pan jest moim wrogiem? Ale, cha, cha, cha! Zapomniałem się zapytać: zdawało mi się, że panu Natazja Filipowna coś za bardzo się podoba, czy tak jest?

— Tak,.. podoba się.

— Zakochany pan jest?

— N-nie.

— A zaczerwienił się pan. No, nic wielkiego, nie będę się śmiał; do widzenia. A wie pan, że ona jest kobietą cnotliwą; czy może pan w to uwierzyć? Pan myśli, że ona żyje z tym, z Tockim? Ani mowy, i już oddawna. A czy pan zauważył, że ona jest bardzo nieśmiała i że wtedy chwilami

strasznie się mieszała. Naprawdę. Takie właśnie lubią panować. No, do widzenia!

Gania wyszedł daleko swobodniejszy, aniżeli wszedł, i w dobrem usposobieniu.

Książę przez jakieś dziesięć minut nie ruszał się z miejsca i myślał.

Kola znów wsunął głowę do pokoju.

— Nie chce mi się jeść, Kolu; jadłem dobre śniadanie u Jepanczynów.

Kola wszedł do pokoju i podał księciu karteczkę. Była to kartka od jenerała, złożona i zapieczętowana. Z twarzy Koli można było widzieć, jak ciężko mu ją oddawać.

Książę przeczytał, wstał i wziął kapelusz.

— To dwa kroki stąd — mówił zmieszany Kola. — On tam teraz siedzi przy butelce. I skąd sobie tam kredyt zdobył, nie mogę pojąć. Najmilszy książę, niech pan nie mówi u nas w domu, że oddałem panu kartkę. Tysiąc razy przysięgałem, że nie będę oddawał tych kartek, ale cóż, litość bierze; tylko z nim niech pan sobie ceremonji nie robi: niech mu pan da trochę drobnych i skończona sprawa.

— Ja sam, Kolu, chciałem; muszę widzieć pańskiego ojca z powodu... tu jest jedna taka rzecz... No, chodźmy.

XII

Kola zaprowadził księcia niedaleko, do Litiejnej, do jakiejś kawiarenki, na dole, z wejściem od ulicy. Tam, po prawej stronie, w kącie, w oddzielnym pokoiku, jako stary i stały gość, zajął miejsce Ardaljon Aleksandrowicz; przed nim na stoliku stała butelka, a w rękach miał rzeczywiście *Indépendance Belge*. Czekał na księcia; zaledwie go spostrzegł, natychmist odłożył gazetę i zaczął dawać jakieś gorące i długie wyjaśnienie, z którego książę zresztą nic nie zrozumiał, gdyż jenerał był już dobrze pijany.

— Dziesięciu rubli nie mam — przerwał mu książę — mam dwudziestopięciorublówkę, niech pan zmieni i zwróci mi piętnaście, gdyż ja sam zostaję bez grosza.

— O, ma się rozumieć i może pan być zupełnie pewny, że ja natychmiast....

— Poza tem, mam do pana prośbę, jenerale. Czy pan nigdy nie bywał u Nastazji Filipowny?

— Ja? Ja nie bywałem? I pan mi to mówi? Nieraz, panie drogi, nieraz! — zawołał jenerał z pełną zarozumiałości triumfującą ironją — ale wkońcu sam zaprzestałem, gdyż nie chcę zachęcać do nieprzyzwoitego związku. Widział pan sam, był pan dziś rano świadkiem: zrobiłem wszystko, co mógł zrobić ojciec, ale ojciec łagodny i pobłażliwy; teraz wystąpi na widownię ojciec innego pokroju i wtedy... zobaczymy, będziemy widzieli: zasłużony, stary wojak przezwycięży intrygę, albo bezwstydna kamelja wejdzie do najszlachetniejszej z rodzin.

— A ja właśnie chciałem pana prosić, czy nie mógłby pan, jako znajomy, wprowadzić mnie dziś wieczorem do Nastazji Filipowny? Zależy mi na tem dzisiaj właśnie; mam pewien interes, ale zupełnie nie wiem, jak wejść. Przed chwilą byłem przedstawiony, ale mnie nie zaproszono: dziś jest tam proszony wieczór. Jestem gotów zaniedbać pewne zwyczaje towarzyskie i niech mnie nawet wyśmieją, bylebym mógł się tam dostać.

— I wpadł pan zupełnie, ale to zupełnie na mój pomysł, drogi mój przyjacielu — zawołał jenerał z zachwytem — ja pana przecież nie dla tych drobnych wzywałem!— mówił dalej, chwytając zresztą pieniądze i chowając je do kieszeni — wzywałem pana, żeby pana prosić na towarzysza w wyprawie do Nastazji Filipowny, lub raczej w pochodzie na Nastazję Filipownę! Jenerał Iwolgin i książę Myszkin! Jakie to na niej zrobi wrażenie! Ja zaś pod pozorem uprzejmości w dniu urodzin wypowiem nareszcie swoją wolę... pośrednio, nie wprost ,ale będzie zupełnie tak, jakby wprost. Wtedy Gania sam się przekona, jak rzeczy stoją: ojciec zasłużony i... że tak powiem.... i tak dalej, czy też... No, jak będzie, tak będzie. Pański pomysł jest wyśmienity. Pojedziemy o dziewiątej, mamy jeszcze czas.

— Gdzie ona mieszka?

— Daleko stąd: przy Wielkim Teatrze, w domu Mytowcowej, prawie na samym rynku, na parterze... Wielkiego

u niej zebrania nie będzie, chociaż to są jej urodziny i rozejdą się wcześnie...

Wieczór już dawno zapadł: książę wciąż jeszcze siedział, słuchał i czekał na jenerała, który rozpoczynał niezliczoną ilość anegdot i żadnej z nich nie kończył. Po przybyciu księcia zażądał nowej butelki i po godzinie była już próżna, potem poprosił o drugą i tę również wychylił. Należy przypuszczać, że jenerał zdążył przez ten czas opowiedzieć całe swoje życie. Wkońcu książę wstał i powiedział, że dłużej już czekać nie może. Jenerał wypił resztki z butelki wstał i wyszedł z pokoju, stąpając bardzo niepewnie. Książę był w rozpaczy. Zrozumieć nie mógł, jakim sposobem tak głupio oddał się w ręce jenerała. Coprawda, nigdy się w ręce nie oddawał, liczył na jenerała, żeby w jakikolwiek sposób wejść do Nastazji Filipowny, choćby nawet z pewnym skandalem, ale znów nie nadzwyczajnym: jenerał, jak się okazało, był zupełnie pijany, w napadzie ogromnego krasomówstwa, i mówił bez przerwy, ze łzą w głosie. Ciągle była mowa o tem, że dzięki złemu sprawowaniu się wszystkich członków jego rodziny wszystko się rozbiło, że nadszedł nareszcie czas położyć temu kres. Wyszli wreszcie na Litiejną. Ciągle jeszcze trwała odwilż; smętny, ciepły, zgniły wiatr hulał po ulicach, powozy nurzały się w błocie, konie głośno uderzały podkowami o bruk. Przechodnie ponurym i mokrym tłumem tłoczyli się na chodnikach. Trafiali się też i pijani.

— Czy pan widzi te oświetlone okna — mówił jenerał — tu wszędzie mieszkają moi koledzy, a ja, który służyłem najdłużej i najwięcej wycierpiałem, idę na piechotę w stronę Wielkiego Teatru, do mieszkania podejrzanej kobiety! Człowiek, mający w piersi trzynaście kul... pan nie wierzy? A przecież to dla mnie jedynie Pirogow telegrafował do Paryża i opuścił na pewien czas oblężony Sewastopol, a Netaton, nadworny lekarz francuski, wyrobił sobie w imię nauki wolny przejazd i przyjechał do oblężonego Sewastopola oglądać mnie. To jest znane najwyższej władzy: „A, to ten Iwołgin, co ma trzynaście kul“... Ot, jak mówią! Czy pan widzi ten dom? Tu, na pierwszem piętrze, mieszka mój stary kolega, jenerał Sokołowicz, otoczony przezacną i liczną rodziną. Otóż ten dom i jeszcze trzy domy na New-

skim i dwa na Morskiej... oto wszyscy obecni moi znajomi, to jest właściwie moi osobiści znajomi. Nina Aleksandrowna dawno poddała się okolicznościom. Ja żyję jeszcze obecnie wspomnieniami dobrych czasów... i odpoczywam w inteligentnem towarzystwie moich dawnych kolegów i podkomendnych, którzy do dziś dnia ubóstwiają mnie. Ten jenerał Sokołowicz (bardzo dawno nie byłem u niego i nie widziałem się z Anną Teodorówną)... tak, drogi książę, jak człowiek przestanie przyjmować u siebie, to mimowoli przestaje i bywać... zresztą, dlaczegobym nie miał wprowadzić do tego czarującego domu rodzinnego, syna mojego najlepszego przyjaciela i towarzysza lat dziecinnych? Jenerał Iwołgin i książę Myszkin! Pozna pan nadzwyczajną panienkę, nawet nie jedną, ale dwie, nawet trzy, ozdoba stolicy i towarzystwa: piękno, wykształcenie, kierunek,... kwestja kobieca, poezje, wszystko to połączone w szczęśliwą, urozmaiconą całość, nie licząc osiemdziesięciu tysięcy posagu, brzęczącą monetą, który nigdy nie zawadza, przy żadnych kwestjach społecznych, kobiecych.... słowem, uważam za swój najświętszy obowiązek wprowadzić pana. Jenerał Iwołgin i książę Myszkin!

— Jakto? Zaraz? Pan zapomniał — rozpoczął książę.

— Ależ nie, o niczem nie zapomniałem, chodźmy! Tutaj na te wspaniałe schody. Dziwne, że niema szwajcara, ale... święto i szwajcar wziął sobie urlop. Jeszcze nie wypędzili tego pijaka. Ten Sokołowicz mnie zawdzięcza całe swoje powodzenie na służbie i w życiu. Ale... otóż jesteśmy.

Książę już nie protestował przeciwko wizycie i szedł posłusznie za jenerałem, by go nie drażnić, będąc przekonany, że jenerał Sokołowicz i cała jego rodzina znikną, jak miraż i okażą się nieistniejącemi, tak, że najspokojniej zejdą po tychże schodach. Lecz z przerażeniem zauważył, że oczekiwania jego były płonne: jenerał prowadził go po schodach, jak człowiek rzeczywiście mający tu znajomych, i co chwila opowiadał z matematyczną ścisłością różne biograficzne i topograficzne szczegóły. Gdy się znaleźli na pierwszem piętrze przed drzwiami bogatego mieszkania i jenerał dotknął dzwonka, książę postanowił uciec; lecz pewna szczególna okoliczność zatrzymała go na chwilę.

— Panie jenerale, pan zbłądził, na drzwiach napisane Kułakow, a pan dzwoni do Sokołowicza.

— Kułakow... to nic nie znaczy. Mieszkanie Sokołowicza, i ja do niego idę; pluję na Kułakowa... właśnie otwierają.

Rzeczywiście, drzwi się otworzyły. Wyjrzał lokaj, i oświadczył, że „państwa niema w domu".

— Co za szkoda, jaka szkoda, jakby naumyślnie! — z głębokim żalem powtórzył kilkakrotnie Ardaljon Aleksandrowicz. — Proszę powiedzieć państwu, mój przyjacielu, że jenerał Iwołgin i książę Myszkin przyszli osobiście złożyć swoje uszanowanie i niezmiernie żałowali...

W tej chwili z bocznych drzwi wyjrzała jeszcze jakaś postać, pokojówka, a może nawet guwernantka, czarno ubrana, czterdziestoletnia pani. Podeszła z zaciekawieniem i nieufnością, słysząc nazwiska jenerała Iwołgina i księcia Myszkina.

— Marja Aleksandrowna jest nieobecną — rzekła, badawczo spoglądając na jenerała — wyjechała z panienką Aleksandrą Michajłowną, do babki.

— Aleksandra Michajłowna również, o Boże, co za los! I niech pani sobie wyobrazi, zawsze mam takie szczęście! Raczy pani załączyć ukłony w mojem imieniu i przypomnieć pannie Aleksandrze... słowem, raczv pani złożyć moje serdeczne życzenia, aby spełniły się jej pragnienia z owego wieczoru czwartkowego, przy dźwiękach ballady Chopina; ona pamięta... Moje serdeczne życzenie! Jenerał Iwołgin i książę Myszkin!

— Nie zapomnę — mówiła owa pani już z większą ufnością.

Schodząc, jenerał nie przestawał żałować z niestygnącym zapałem, że nie zastali ich w domu, i że książę stracił sposobność zawarcia tak miłej znajomości.

— Ja, panie drogi, jestem trochę poetą w duszy... czy pan to zauważył? Zresztą... zdaje się, żeśmy się naprawdę pomylili — niespodziewanie zauważył jenerał. — Sokołowiczowie, przypominam sobie, gdzie indziej mieszkają, nawet, zdaje się, są teraz w Moskwie. Tak, trochę się pomyliłem ,ale... to nic nie szkodzi.

— Chciałbym się tylko dowiedzieć — ze smutkiem zauważył książę — czy ja już wcale nie mogę liczyć na pana i czy nie lepiej pójść samemu?

— Przestać liczyć? Samemu? Dlaczegóż, kiedy to stanowi dla mnie sprawę żasadniczą, od której zależy nieledwie los mojej rodziny? Ależ, młody przyjacielu, mało znasz Iwołgina. Jak się mówi „Iwołgin“, to znaczy „skała“; można polegać na Iwołginie, jak na skale, tak mówili w moim szwadronie, gdzie służbę rozpocząłem. Chciałbym tylko zajść po drodze na chwileczkę do pewnego domu, gdzie duch mój odpoczywa od lat kilku, po różnych trudach i przejściach....

— Chce pan zajść do siebie?

— Ależ nie! Chciałem... do kapitanowej Ferentjew, wdowie po moim dawnym podkomendnym... a nawet przyjacielu, kapitanie Ferentjew. Tutaj u kapitanowej ,odradzam się na duchu, tutaj znoszę moje życiowe i rodzinne troski... A ponieważ dzisiaj właśnie dźwigam wiele wątpliwości moralnych, więc...

— Zdaje mi się, że zrobiłem już dostateczne głupstwo, zwracając się do pana — mruknął książę. — Przytem pan obecnie.... Do widzenia!

— Ależ nie mogę, w żadnym razie nie mogę pozwolić, byś mnie opuścił, młody przyjacielu! — zawołał z ożywieniem jenerał — wdowa, matka rodziny, a potrafi wydobywać z serca swego te dźwięki, które rozbrzmiewają w całej mej istocie. Wizyta u niej nie potrwa dłużej nad pięć minut, w tym domu nie robię ceremonji, prawie, że mieszkam tutaj, umyję się, uporządkuję zlekka moją toaletę, i wówczas pojedziemy szybko do Wielkiego Teatru. Bądź pan pewien, żeś mi bardzo na ten wieczór potrzebny... Ten oto dom, już jesteśmy... A, Kola, już jesteś tutaj? Cóż tam, Marta Borysowna w domu, czy też dopiero przyszedłeś?

— O, nie — odpowiedział Kola, spotkawszy się z nimi w bramie — ja tu już jestem dość dawno z Hipolitem, gorzej się czuje, leżał dziś rano. Teraz wybiegłem do sklepiku po karty. Marta Borysowna oczekuje ojca. Tylko ojciec jakoś bardzo... — rzucił Kola, zatrzymując wzrok na ruchach i postawie jenerała. — Ale już chodźmy!

Spotkanie Koli zdecydowało księcia do towarzyszenia jenerałowi do Marty Borysówny, lecz tylko na kilka chwil. Księciu potrzebny był Kola, jenerała zaś postanowił opuścić w każdym razie i nie mógł sobie przebaczyć, że pokładał w nim jakiekolwiek nadzieje. Wchodzili długo, aż na czwarte piętro i do tego po kuchennych schodach.

— Chcesz przedstawić księcia? — zapytał Kola po drodze.

— Tak, mój drogi, przedstawić: jenerał Iwołgin i książę Myszkin, no cóż... jakże... Marta Borysowna...

— Wiesz, ojcze, lepiejbyś wcale nie szedł! Nawymyśla! Trzy dni nie pokazujesz się, a ona czeka na pieniądze. Pocoś jej obiecywał pieniądze? Zawsze to samo! Radź sobie teraz.

Na czwartem piętrze zatrzymali się przed niskiemi drzwiami. Jenerał widocznie tracił odwagę i wypychał naprzód księcia.

— Ja tutaj pozostanę — mruczał — chcę zrobić niespodziankę....

Kola wszedł pierwszy. Jakaś pani, wypudrowana i wyróżowana, w pantoflach, kaftaniku, o włosach splecionych w warkoczyki, około lat czterdziestu, wyjrzała przez drzwi, i niespodzianka jenerała nie udała się. Ujrzawszy go, dama niezwłocznie krzyknęła:

— Oto ów człowiek nikczemny i kłamliwy, czuła to dusza moja!

— Wejdźmy, to tylko tak sobie — mruczał jenerał do księcia, uśmiechając się wciąż niewinnie.

Lecz to nie było tak sobie. Zaledwie znaleźli się w ciemnym i niskim przedpokoju, następnie w wąziutkim saloniku, zastawionym półtuzinem plecionych krzeseł i dwoma stolikami do kart ,gospodyni niezwłocznie ciągnęła dalej jakimś wyuczonym, płaczliwym głosem:

— Nie wstyd, nie wstyd ci, poganinie i tyranie mej rodziny, człowieku bez czci i wiary! Ograbiłeś mnie doszczętnie, doprowadziłeś do nędzy i jeszcześ niezadowolony! Dokądże mam cię znosić, bezwstydniku jeden!

— Marto Borysowno, Marto Borysowno! Oto... ksią-

żę Myszkin. Jenerał Iwołgin i książę Myszkin — mruczał drżący i zdetonowany jenerał.

— Czy pan uwierzy — zwróciła się nagle kapitanowa do księcia — czy pan uwierzy, że ten bezwstydnik nie ulitował się nad mojemi osieroconemi dziećmi! Wszystko zagarnął, wszystko sponiewierał, nic nie pozostawił. Cóż ja mogę zrobić z twojemi kwitami, przebiegły i nieuczciwy człowieku? Odpowiedz, oszuście, odpowiedz mi, nienasycona duszo: czem ja nakarmię moje osierocone dzieci? Oto przychodzi pijany, nie mogąc utrzymać się na nogach... Czem ja Pana Boga obraziłem, nędzniku, oszuście, odpowiedz?

Lecz jenerał czuł się bardzo niewyraźnie.

— Marto Borysówno, oto dwadzieścia pięć rubli... wszystko, com mógł, z pomocą najszlachetniejszego przyjaciela! Książę! Pomyliłem się strasznie. Takie życie... A teraz... przepraszam, jestem słaby — ciągnął jenerał, stojąc pośrodku pokoju i kłaniając się na wszystkie strony... —jestem słaby, wybaczcie! Lenoczka! poduszkę... moja droga!

Lenoczka, ośmioletnia dziewczynka, pobiegła natychmiast po poduszkę i położyła ją na odrapanej, twardej, ceratowej kanapie. Jenerał usiadł, chcąc jeszcze wiele powiedzieć, lecz zaledwie znalazł się na kanapie, w tej chwlii pochylił się w bok, odwrócił do ściany i zasnął snem sprawiedliwych. Marta Borysowna ceremonjalnie i ze smutkiem wskazała księciu krzesło przy stoliku do kart, usiadła naprzeciwko, oparła głowę na ręku i zaczęła wzdychać, w milczeniu spoglądając na księcia. Troje małych dzieci, dwie dziewczynki i chłopczyk, z których Lenoczka była najstarszą, podeszło do stołu, wszystko troje położyło ręce na stół i zaczęło bacznie przyglądać się księciu.

Z drugiego pokoju wyjrzał Kola.

— Cieszy mnie bardzo, Kolu, żem pana tu spotkał — zwrócił się do niego książę — czy nie mógłbyś mi pan pomóc? Muszę być koniecznie u Nastazji Filipowny. Prosiłem przedtem Ardaljona Aleksandrowicza, lecz oto zasnął. Zaprowadź mnie pan, bo nie znam ani ulic, ani drogi. Adres zresztą mam: koło Wielkiego Teatru, dom Mytowcowej.

— Nastazja Filipowna? Ależ ona nigdy nie mieszkała koło Wielkiego Teatru, a ojciec mój nigdy nie był u Nas-

tazji Filipowny, jeśli o to chodzi; dziwne, że pan od niego czegokolwiek bądź oczekiwał. Ona mieszka w pobliżu Włodzimierskiej, na placu Pięciu Rogów, to daleko bliżej stąd. Chce pan pójść zaraz? Teraz wpół do dziesiątej. Proszę, ja pana zaprowadzę.

Książę i Kola wyszli natychmiast. Książę nie miał nawet na dorożkę, trzeba było pójść piechotą.

— Miałem zamiar poznać pana z Hipolitem — rzekł Kola — to najstarszy syn owej kapitanowej w kaftaniku i był w sąsiednim pokoju ;niezdrów, leżał dziś cały dzień. Ale on taki dziwny, okropnie drażliwy i zdawało mi się, że będzie mu przykro, żeś pan przyszedł w takiej chwili:.. Mnie jednak nie jest tak przykro, jak jemu, bo to mój ojciec, a dla niego matka; jest jednak różnica i mężczyzny to nie hańbi. Zresztą może to tylko przesąd, że w tym przypadku ma miejsce przewaga płci. Hipolit... zacny chłop, lecz jest niewolnikiem różnych przesądów.

— Pan mówi, że on ma suchoty!

— Tak, zdaje się, byłoby lepiej, żeby umarł prędzej. Na jego miejscu chciałbym umrzeć koniecznie. Żal mu braci i sióstr, tego drobiazgu. Gdyby to było możliwe, gdyby były pieniądze ,wynajęlibyśmy razem z nim oddzielne mieszkanie i wyrzeklibyśmy się naszych rodzin. To nasze marzenie. A wie pan, gdym mu opowiedział przed chwilą o pańskiem zajściu, on się nawet rozzłościł, mówił, że ten, kto daruje policzek i nie wyzwie na pojedynek, jest podły. Zresztą, jest on bardzo rozdrażniony i przestałem sprzeczać się ź nim. Więc to tak, Nastazja Filipowna zaprosiła zaraz pana do siebie?

— W tem sęk, że nie.

— Jakże pan może iść! — zawołał Kola i nawet stanął na chodniku — przytem... w takim ubraniu, a tam proszony wieczór?

— Jak Boga kocham, nie wiem, jak wejdę. Przyjmą... to dobrze, a nie... sprawa chybiona. Co zaś do ubrania.... co tu robić?

— A pan za interesem? czy też tak tylko, *pour passer le temps*, w „dobrem towarzystwie“.

— Nie, ja właściwie... to jest, za interesem... trudno mi powiedzieć, ale....

— Mnie to mało obchodzi; grunt, że pan nie wprasza się zwyczajnie na wieczór, do czarującego towarzystwa kamelji, jenerałów i lichwiarzy. Gdyby tak było, wybacz książę, wyśmiałbym pana i zaczął panem pogardzać. Tu bardzo mało ludzi uczciwych, nawet niema kogo szanować. Mimowoli spogląda się na nich z góry, a oni wszyscy żądają szacunku. Basia pierwsza. I czy książę zauważył, w naszych czasach wszyscy szukają przygód! I właśnie u nas w Rosji, w naszej miłej ojczyźnie. Jak się to wszystko stało, nie rozumiem. Zdawało się, że sprawy były na takiej trwałej drodze, a teraz cóż? O tem wszyscy mówią i piszą. Sypią się zewsząd oskarżenia. Rodzice pierwsi cofają się i wstyd im dawnych zasad moralnych. W Moskwie, naprzykład, ojciec namawiał syna, by się nie cofał przed niczem dla zdobycia pieniędzy, pisano o tem. A spójrz pan na mojego jenerała. Co się z niego zrobiło? Zresztą, wie pan, mnie się zdaje, że mój jenerał jest człowiekiem uczciwym; tak mi się zdaje, jak Boga kocham. To tylko nieład i wódka, słowo daję. Żal mi go nawet, ale boję się odezwać, bo wszyscy się śmieją; a żal mi, słowo daję. A cóż owi mądrzy? Wszyscy bez wyjątku lichwiarze! Hipolit broni lichwy, powiada, że tak być powinno, wahania ekonomiczne, jakieś przypływy i odpływy, djabli wiedzą. Przykro mi, ale on ogromnie rozdrażniony. Niech pan sobie wyobrazi, matka jego, kapitanowa, dostaje pieniądze od jenerała i pożycza mu na wysoki procent; haniebna sprawa! A wie pan, że matka moja, jenerałowa Nina Aleksandrowna pomaga Hipolitowi, dając mu pieniądze, ubrania, bieliznę, a nawet dzieciom przez Hipolita, bo są wszystkie rozpaczliwie opuszczone. A i Basia również im pomaga.

— Widzisz pan, mówiłeś, że niema ludzi silnych, i uczciwych, że wszyscy są lichwiarzami, a oto znaleźli się ludzie dzielni, pańska matka i Basia. Czyż okazywanie pomocy w takich warunkach nie ujawnia siły moralnej?

— Baśka robi to tylko z próżności, dla chluby, żeby nie być gorszą od matki, co zaś do matki, to naprawdę, muszę przyznać. Tak, ja to szanuję i usprawiedliwiam. Nawet

Hipolit to rozumie, choć tyle w nim zakamieniało. Z początku kpił z tego i nazywał to brakiem ambicji u matki; lecz teraz czasami odczuwa. Tak! Więc pan nazywa to siłą? Zapamiętam to sobie. Gania nie wie o tem, bo nazwałby to pochlebstwem.

— A, Gania nie wie? Gania, zdaje się, nie wie jeszcze wielu rzeczy — wyrwało się zamyślonemu księciu.

— A wie książę, bardzo mi się pan podoba. Nie mogę wybić sobie z głowy ostatniego zajścia.

— Pan również mi się bardzo podoba.

— Niech pan powie, jak pan ma zamiar urządzić się tutaj? Ja dostanę wkrótce robotę i będę trochę zarabiał... możebyśmy tak we troje, pan, ja i Hipolit wynajęli mieszkanie i razem zamieszkali; będziemy przyjmowali u siebie jenerała.

— Z największą przyjemnością. Zresztą, zobaczymy. Jestem teraz bardzo... zdenerwowany. Co? już jesteśmy? W tym domu.... co za wspaniała brama! Nawet szwajcar! No, Kolu, nie wiem co z tego wyniknie.

Książę stanął zmieszany.

— Jutro pan opowie! Odwagi! Życzę powodzenia, bo jestem we wszystkiem tego samego, co pan, zdania. Do widzenia! Wracam, skąd przyszedłem, i opowiem Hipolitowi! Co zaś do tego, że pana przyjmą, nie wątpię, niema się pan czego obawiać! Ona jest bardzo oryginalna. Na tych schodach, na pierwszem piętrze; szwajcar panu pokaże.

XIII

Wchodząc, był książę bardzo niespokojny i wszelkiemi sposobami starał się dodać sobie otuchy. „Co najwyżej — myślał sobie — nie przyjmą mnie i coś niedobrego pomyślą o mnie; albo zostanę przyjęty i będą kpili ze mnie prosto w oczy... Zresztą, głupstwo!“ I rzeczywiście, to wszystko jeszcze go zbyt nie przerażało; ale pytanie: „co on tam ma robić i poco idzie“, pozostawało bez odpowiedzi zadawalniającej. Gdyby nawet udało mu się upatrzyć odpowiednią chwilę i powiedzieć Nastazji Filipownie: „Niech pani nie

wychodzi za tego człowieka i nie gubi się, on pani nie kocha, poluje tylko na pani posag, sam mi o tem mówił, mówiła również Agłaja Jepanczynówna, i przyszedłem, by panią uprzedzić"... niewiadomo, jakby to wyglądało i czyby to było stosowne. Pozostawało jeszcze jedno pytanie i tak zasadnicze, że książę bał się nawet o niem pomyśleć, nie odważał się go postawić i rumienił się na samo wspomnienie. Jednakże pomimo tych wszystkich wątpliwości i niepokojów, książę wszedł i zapytał o Nastazję Filipownę.

Nastazja Filipowna zajmowała niewielkie, lecz wykwintne mieszkanko. W ciągu pięciu lat pobytu w Petersburgu była chwila z samego początku, gdy Atanazy Iwanowicz szczególnie był dla niej rozrzutny. Liczył jeszcze wówczas na jej miłość i myślał zdobyć ją przedewszystkiem zbytkiem i przepychem, gdyż wiedział, jak łatwo przyzwyczaja się człowiek do życia wystawnego i jak trudno potem wyrzec się tego wszystkiego, co stało się poniekąd koniecznością. W danym przypadku Tocki pozostał wierny starym dobrym obyczajom, nie zmieniając ich wcale, ceniąc ponad wszystko siłę chęci użycia. Nastazja Filipowna nie wyrzekała się tego przepychu, lubiła go nawet, lecz zgoła.. co co zdawało się bardzo dziwne... nie poddawała się mu, jakgdyby każdej chwili mogła się bez niego obejść; kilka razy nawet starała się dać to do zrozumienia Tockiemu, co go bardzo niemile raziło. Zresztą, w Nastazji Filipownie wiele było rzeczy takich, które budziły w Atanazym Iwanowiczu niechęć, dochodzącą z biegiem lat aż do pogardy. Nie mówiąc o braku wytworności u tego gatunku ludzi, którymi się ona otaczała... ujawniała ona pewne, bardzo szczególne upodobania: ujawniała się w niej barbarzyńska mieszanina dwóch smaków, zdolność zadawalniania się takiemi rzeczami, o których człowiek porządny i cywilizowany nie powinienby, zdaje się, nawet wiedzieć. Rzeczywiście, gdyby, naprzykład, Nastazja Filipowna zdradziła kiedykolwiek bądź miłą i wytworną nieświadomość, że chłopki nie mogą nosić batystowej bielizny, jaką ona nosi, Atanazy Iwanowicz byłby z tego prawdopodobnie bardzo zadowolony. Do takich wyników dążyło początkowo całe wychowanie Nastazji Filipowny według programu Tockiego, który miał wielkie

pod tym względem doświadczenie; lecz, o dziwo! wyniki okazały się trochę niespodziewane. Pomimo to jednakże, w Nastazji Filipownie było coś takiego, co czasami zdumiewało nawet Atanazego Iwanowicza swoją nadzwyczajną i pociągającą oryginalnością, pewną siłą, zachwycało go niekiedy, nawet teraz, gdy runęły wszystkie jego rachuby na Nastazję Filipownę.

Księciu otworzyła dziewczyna (służbę Nastazja Filipowna miała kobiecą) i, ku jego zdumieniu, wysłuchała jego prośby bez najmniejszego zdziwienia. Ani zabłocone buty, ani szeroki kapelusz, ani płaszcz bez rękawów, ani zakłopotanie nie wywarły na niej żadnego wrażenia. Pomogła mu zdjąć płaszcz, zaprosiła do pokoju i zaraz poszła go zameldować.

Zebrane u Nastazji Filipowny towarzystwo składało się ze zwykłych i codziennych jej znajomych. Zebranie było nawet nieliczne w porównaniu z podobnemi zebraniami z lat poprzednich. Wśród obecnych byli przedewszystkiem i co najważniejsze, Atanazy Iwanowicz Tocki i Jan Teodorowicz Jepanczyn; obydwaj byli uprzejmi, lecz dziwnie niespokojni w źle ukrywanem oczekiwaniu na oświadczenie co do Gani. Prócz nich był oczywiście i Gania... też dosyć ponury, bardzo zamyślony i prawie zupełnie „nieuprzejmy"... trzymał się przeważnie zdala i milczał. Nie odważył się on przywieźć Basi, lecz Nastazja Filipowna nie wspomniała nawet o niej; zato witając się z nim, przypomniała mu o jego niedawnem zajściu z księciem. Jenerał, który nic jeszcze o tem nie wiedział, bardzo się tą sprawą zainteresował. Wówczas Gania zimno i z opanowaniem, lecz zupełnie szczerze opowiedział, jak było i że był u księcia, by go przeprosić. Gorąco przytem wypowiedział swoje przekonanie, że księcia, Bóg wie za co, nazwano „idjotą"... że on jest wprost przeciwnego zdania i że książę ma bezwarunkowo swój rozum. Nastazja Filipowna wysłuchała tego oświadczenia z wielką uwagą i obserwowała Ganię z zaciekawieniem; zaczęto wszakże mówić o Rogożynie, wybitnym uczestniku rannego zajścia, i zarówno Atanazy Iwanowicz, jak i Jan Teodorowicz zaczęli się o niego dopytywać z wielkiem zajęciem okazało się, że szczególnych wiadomości o Rogoży-

nie mógł dostarczyć Pticyn, który załatwiał jego interesy niemal do dziewiątej wieczór. Rogożyn stanowczo domagał się, by mu dostarczono jeszcze dzisiaj sto tysięcy rubli. „Prawda, że był pijany... zauważył Pticyn... lecz sto tysięcy, choć to i trudno, dostarczą mu niewątpliwie, nie wiem tylko, czy dziś i czy całe; kręci się koło tego wielu: Kinder, Trepałow, Biskup; daje on oczywiście taki procent, jakiego kto zażąda, ale tylko po pijanemu i pod wpływem pierwszej radości"... zakończył Pticyn. Wszystkie te wiadomości zostały przyjęte z zaciekawieniem nieco ponurem; Nastazja Filipowna milczała, nie chcąc widocznie o tem mówić; Gania również. Jenerał był, zdaje się, najwięcej ze wszystkich rozdrażniony; przyniesiona przez niego z samego rana perła została przyjęta z bardzo zimną uprzejmością i nawet z jakimś szczególnym uśmiechem. Z pośród wszystkich gości jeden Fierdyszczenko był w bardzo wesołym i świątecznym nastroju, śmiał się głośno, niewiadomo z czego, i tylko dlatego, że sam przyjął na siebie rolę błazna. Nawet Atanazy Iwanowicz, uchodzący za dowcipnego i wytwornego narratora, który dawniej zwykle kierował rozmową na tych zebraniach, był widocznie nie w humorze i nawet w niezwykły dla siebie sposób zakłopotany. Pozostali goście, zresztą nieliczni, (pożałowania godny stary nauczyciel, zaproszony Bóg wie poco, jakiś nieznany i bardzo młody, młody człowiek, nieśmiały i ciągle milczący, żwawa czterdziestoletnia aktorka i wybitnie piękna, bogato i gustownie ubrana, lecz wcale nie rozmowna młoda dama), nietylko nie mogli ożywić rozmowy, lecz niekiedy nie wiedzieli nawet wprost o czem mówić.

W ten sposób książę przybywał nawet bardzo w porę. Zaanonsowanie go wywołało ogólne zdumienie i nieco dziwnych uśmiechów, zwłaszcza gdy ze zdziwienia Nastazji Filipowny wywnioskowano, że wcale księcia nie zaprosiła. Jednakże po opanowaniu zdziwienia Nastazja Filipowna okazała nagle takie zadowolenie, że większość obecnych gotowa była przyjąć nieoczekiwanego gościa wesołym śmiechem.

— Dajmy na to, że przywiodła go tu święta naiwność — zauważył Jan Teodorowicz Jepanczyn — i w każdym razie byłoby niezbyt bezpieczną rzeczą popierać tego

rodzaju pomysły; w danej jednak chwili nieźle się stało, że przyszło mu do głowy przyjść tutaj, choćby nawet w tak niezwykły sposób: o ile go poznałem może nas nawet rozweselić.

— Tem bardziej, że sam się zaprosił — dodał Fierdyszczenko.

— Więc cóż z tego? — zapytał sztywno jenerał, który nie znosił Fierdyszczenki.

— A no będzie musiał zapłacić za wejście — wyjaśnił tamten.

— Trzeba panu wiedzieć, że książę Myszkin, to nie Fierdyszczenko — rzucił jenerał, który dotychczas nie mógł pogodzić się z myślą, że znajduje się w jednem towarzystwie i na równej stopie z Fierdyszczenką.

— Ej, panie jenerale, niech pan oszczędza Fierdyszczenkę — odpowiedział tamten. — Przecież ja korzystam ze szczególnych praw.

— Cóż to znowu za szczególne prawa?

— Poprzednim razem miałem zaszczyt wyjaśnić to szczegółowo całemu towarzystwu; powtórzę jeszcze raz dla waszej ekscelencji. Raczy wasza ekscelencja zauważyć, że wszyscy są dowcipni, ja zaś tego daru nie posiadam. W nagrodę za to wyprosiłem sobie pozwolenie mówienia prawdy, ponieważ jak to wszystkim wiadomo, prawdę mówią tylko ci, którzy nie są dowcipni. Prócz tego jestem bardzo mściwy i to znów dlatego, że nie jestem dowcipny. Znoszę z pokorą każdą obelgę, lecz tylko do pierwszego poślizgnięcia się mego przeciwnika; przy pierwszej zaś sposobności przypominam moją krzywdę, mszczę się, wierzgam, jak wyraził się o mnie Jan Piotrowicz Pticyn, który oczywiście nigdy nie wierzga. Czy wasza ekscelencja zna bajkę Kryłowa „Lew i Osioł"? Otóż to właśnie pan i ja, o nas pisano.

— Zagalopował się pan znowu — uniósł się jenerał.

— Co też wasza ekscelencjo — podjął znowu Fierdyszczenko, licząc, że będzie można jeszcze bardziej rozwałkować dowcip — niech się wasza ekscelencja nie obawia, ja wiem, gdzie moje miejsce: jeżelim powiedział, że „Lew i Osioł" w bajce Kryłowa, to pan i ja, oczywiście przyjmuję

rolę osła na siebie, wasza ekscelencja zaś jest lwem, jak powiedziano w bajce Kryłowa:

Potężny lew, pogromca lasów,
„Na starość stracił siły".

— Ja zaś, wasza ekscelencjo, jestem osłem.

— To, to prawda — wyrwało się niebacznie jenerałowi.

Wszystko to było zrobione w sposób grubjański i z rozmysłem, lecz przyjęło się już, że Fierdyszczenko występował w roli błazna.

— Przecież mnie dlatego tylko znoszą i wpuszczają tutaj — zawołał Fierdyszczenko — abym się w ten sposób zachowywał. Bo, rzeczywiście, czy można przyjmować takiego człowieka, jak ja? Przecież ja to znakomicie rozumiem. Czy wypada takiego Fierdyszczenkę sadzać obok tak wykwintnego dżentelmana, jak Atanazy Iwanowicz? Pozostaje jedno wytłumaczenie: dlatego sadzają, że trudno sobie coś podobnego wyobrazić.

Choć to wszystko było dość nieprzyjemne, jednak czasami objawiało dużo zjadliwości, i dlatego, zdaje się, bawiło Nastazję Filipownę. Tym, którzy koniecznie chcieli u niej bywać, nie pozostawało nic innego, jak tylko znosić cierpliwie Fierdyszczenkę. On może nawet i zgadł, przypuszczając, że go przyjęto dlatego, że od pierwszej chwili stał się nieznośnym dla Tockiego. Gania musiał również znosić wiele przykrości od Fierdyszczenki i w tym przypadku było to bardzo na rękę Nastazji Filipownie.

— Książę zaśpiewa nam pewno na początek modną aryjkę — rzekł Fierdyszczenko, uważając, co na to powie Nastazja Filipowna.

— Nie sądzę, Fierdyszczenko, i radzę panu zbytnio się nie hazardować — zauważyła szorstko.

— A-a... jeżeli jest pod szczególną opieką, to i ja będę wyrozumiały...

Lecz Nastazja Filipowna wstała, nie słuchając go i sama poszła przyjąć księcia.

— Żałowałam bardzo — rzekła, stając przed nim —

że w pośpiechu zapomniałam prosić pana do siebie i rada jestem bardzo, że mi pan daje możność podziękowania panu i pochwalenia za odwagę...

Mówiąc to, przyglądała się pilnie księciu, chcąc odgadnąć, co go sprowadziło.

Książę możeby i odpowiedział cośkolwiek na jej uprzejme powitanie, lecz był tak oszołomiony, że nie mógł wymówić ani słowa. Nastazja Filipowna zauważyła to z zadowoleniem. Tego wieczora ubrana była bardzo strojnie i robiła duże wrażenie. Wzięła księcia za rękę i zaprowadziła do gości. Przed samym progiem salonu, książę nagle przystanął i pośpiesznie, z widocznem wzruszeniem wyszeptał:

— W pani wszystko jest doskonałe... nawet szczupłość i bladość twarzy... nie chciałbym sobie inaczej pani wyobrażać... Tak zapragnąłem przyjść do pani... pani mi wybaczy...

— Niech pan nie prosi o przebaczenie — roześmiała się Nastazja Filipowna — unicestwiłoby to całą oryginalność sytuacji. A widać, to prawda, co o panu mówią, że z pana bardzo dziwny człowiek. A zatem pan uważa mnie za doskonałość, tak?

— Tak.

— Choć jest pan bardzo spostrzegawczy, jednak się pan pomylił. Przypomnę to panu jeszcze dzisiaj...

Przedstawiła księcia gościom, z których połowa go już znała. Tocki powiedział natychmiast coś uprzejmego. Wszyscy się jakby ożywili trochę, roześmieli się i wszyscy razem zaczęli mówić. Nastazja Filipowna posadziła księcia obok siebie.

— Cóż w tem jednak dziwnego, że książę przyszedł?— zawołał głośno Fierdyszczenko — sprawa jasna, mówi sama za siebie.

— Sprawa aż nadto wyraźna i aż nadto mówi sama za siebie — dorzucił milczący dotychczas Gania. — Obserwowałem dzisiaj księcia niemal bez przerwy, od chwili, gdy po raz pierwszy spojrzał na portret Nastazji Filipowny u Jana Teodorowicza. Pamiętam dobrze, że już wówczas pomyślałem to, o czem jestem obecnie zupełnie przekonany, zresztą książę sam mi się do tego przyznał.

Całe to zdanie wypowiedział Gania bardzo poważnie, bez cienia żartu, nawet ponuro, co wydało się trochę dziwnem.

— Nie zwierzałem się panu z niczego — odpowiedział książę — odpowiadałem tylko na pytania.

— Brawo, brawo! — zawołał Fierdyszczenko — przynajmniej szczerze; i przebiegle i szczerze.

Wszyscy wybuchnęli głośny mśmiechem.

— Fierdyszczenko, niechże pan nie krzyczy — ze wstrętem zauważył półgłosem Pticyn.

— Takich niespodzianek ze strony księcia nie oczekiwałem — odezwał się Jan Teodorowicz — czy pan wie, komu to będzie na rękę? A ja uważałem pana za filozofa! Cicha woda!...

— Sądząc z tego, że niewinne żarciki wywołują rumieńce na twarzy księcia, jak u niewinnej młodej dziewczyny, wnioskuję, że jako szlachetny młodzian, jeno chlubne zamiary ma w sercu — zupełnie niespodziewanie powiedział, a raczej wyszeptał bezzębny, siedemdziesięcioletni nauczyciel, dotychczas bardzo wytrwale milczący.

Nastąpił jeszcze silniejszy wybuch śmiechu.

Staruszek, przypuszczając widocznie, że śmieją się z jego dowcipu, zaczął również się śmiać, spoglądając na wszystkie strony, zakaszlał się przytem rozpaczliwie i Nastazja Filipowna, która bardzo lubiła wszelkiego rodzaju oryginalnych starców, staruszki, a nawet głupkowatych, zaczęła go głaskać, pocałowała go i kazała mu jeszcze podać herbaty. Poprosiła następnie służącą o przyniesienie szala, okryła się i kazała dołożyć drewek do kominka. Na zapytanie, która godzina, służąca odpowiedziała, że już wpół do jedenastej.

— A możebyście się państwo napili szampana — zaproponowała nagle Nastazja Filipowna — wszystko przygotowane. Może będzie weselej! Proszę bardzo, bez ceremonji.

Zaproszenie to, tak naiwnie wypowiedziane, wydało się bardzo niezwykłe w ustach Nastazji Filipowny. Wszyscy wiedzieli, jak wiele na poprzednich przyjęciach zwracała uwagi na formy. Wogóle wieczór stawał się coraz weselszy, inaczej jednak niż zwykle. Szampan znalazł uznanie, przedewszystkiem jenerała, następnie energicznej damy, staruszka,

Fierdyszczenki, a następnie i pozostałych gości. Tocki również wziął swój kieliszek w nadziei, że uda mu się przystosować do nowego tonu, obracając wszystko w miły żart. Tylko Gania nic nie pił. Nic zaś nie można było zrozumieć z niespodziewanych wystąpień Nastazji Filipowny, która oświadczyła, że tego wieczora wypije trzy kieliszki, z jej histerycznego, nieusprawiedliwionego śmiechu, gwałtownie przerywanego milczącą i ponurą zadumą. Podejrzewano, że ma gorączkę; zauważono ostatecznie, że i ona jakby czegoś oczekuje, często spogląda na zegarek, staje się niecierpliwą, roztargnioną.

— Pani ma, zdaje się, trochę gorączki? — zapytała energiczna dama.

— Nie tylko trochę, ale nawet dużo, i dlatego okryłam się szalem — odpowiedziała Nastazja Filipowna, blednąc coraz więcej i jakby wstrzymując chwilami silne dreszcze.

Nastąpiło ogólne poruszenie i zaniepokojenie.

— Czy nie byłoby lepiej pozostawić gospodynię w spokoju? — powiedział Tocki, spoglądając na Jana Teodorowicza.

— Ależ nigdy, panowie! Proszę was bardzo, zostańcie! Obecność wasza jest dla mnie dzisiaj szczególnie pożądana — przekonywująco oświadczyła Nastazja Filipowna.

Ponieważ zaś prawie wszyscy goście wiedzieli, że tego dnia miano powziąć bardzo doniosłe postanowienie, słowa te wydały się bardzo ważne.

Jenerał i Tocki spojrzeli na siebie, Gania drgnął nerwowo.

— Dobrze byłoby urządzić jakąś grę towarzyską — powiedziała energiczna dama.

— Znam wspaniałą i nową grę — podchwycił Fierdyszczenko — raz jeden tylko odbyła się na świecie i nawet wtedy się nie udała.

— Cóż to takiego? — spytała energiczna dama.

— Byliśmy razu pewnego w zacnej kompanji, podpiliśmy sobie rzecz prosta i ktoś zaproponował, aby każdy z nas, nie wstając od stołu, głośno opowiedział o sobie coś takiego, co on naprawdę uważa za największą podłość swego życia; oczywiście z warunkiem mówienia prawdy, nie kłamiąc!

— Dziwny pomysł — powiedział jenerał.

— Bardzo dziwny, wasza ekscelencjo, lecz właśnie tem lepiej.

— Śmieszny pomysł — zauważył Tocki — zresztą zrozumiałe: było to przechwalanie się w swoim rodzaju.

— Może właśnie tego było potrzeba, Atanazy Iwanowiczu.

— Cóż to za zabawa, będzie więcej płaczu, niż śmiechu — zauważyła energiczna dama.

— Rzecz zupełnie niemożliwa — odezwał się Pticyn.

— A czy udało się? — zapytała Nastazja Filipowna.

— Właśnie, że nie, wynik był nędzny; każdy z nas rzeczywiście coś opowiedział, wielu mówiło prawdę, wyobraźcie sobie państwo, niektórym sprawiało to nawet przyjemność, lecz potem każdemu było wstyd, nie wytrzymali. Zresztą wogóle bardzo było wesoło, coś zupełnie oryginalnego.

— Toby rzeczywiście było dobre! — zauważyła Nastazja Filipowna, nagle się ożywiając. — Możebyśmy spróbowali. Nie jest jakoś zbyt wesoło. Gdybyśmy wszyscy zgodzili się opowiedzieć coś... w tym rodzaju... oczywiście, o ile kto zechce, bez przymusu. Może się uda? Przynajmniej będzie coś oryginalnego.

— Genjalny pomysł! — dorzucił Fierdyszczenko. — Panie są zresztą wyłączone, rozpoczną panowie; kolej ustanowimy losowaniem, jak wówczas, koniecznie, koniecznie! Kto nie zechce, ten oczywiście nic nie opowie, lecz byłoby to wyjątkowo niegrzecznie. Dajcie, panowie, kartki tutaj, do mnie, książę będzie je wyjmował pokolei z kapelusza. Zadanie bardzo proste, opowiedzieć największe łajdactwo swego życia... przecież to takie łatwe, panowie! Zaraz zobaczycie! Jeżeli zaś kto zapomni, to ja obowiązuję się mu przypomnieć.

Pomysł był niezwykle dziwny i nikomu prawie się nie spodobał. Jedni byli źli, inni chytrze się uśmiechali. Niektórzy się sprzeciwiali, lecz niezbyt stanowczo, jak np. Jan Teodorowicz, który nie chciał się sprzeciwiać Nastazji Filipownie, widząc, jak jej się spodobał ten dziwaczny pomysł. Nastazja Filipowna była niepohamowana i bezwzględna w swych zachciankach, jeżeli tylko je wyrażała, nawet gdy

były to kaprysy bez żadnej wartości dla niej samej. I teraz robiła wrażenie histeryczki, kręciła się, śmiała się nerwowo, szczególnie z uwag przerażonego Tockiego. Jej ciemne oczy roziskrzyły się, na policzki wystąpiły czerwone plamy. Strapiony wyraz twarzy niektórych gości wzbudzał w niej może jeszcze więcej zapału; spodobały jej się może szczególnie cynizm i okrucieństwo pomysłu. Niektórzy byli nawet przekonani, że ma ona w tem specjalne wyrachowanie. Zresztą zaczęto się zgadzać; w każdym razie było to ciekawe, dla wielu nawet pociągające. Fierdyszczenko nie mógł usiedzieć na miejscu.

— A jeżeli tego nie można mówić... przy paniach — zauważył nieśmiało milczący młodzieniec.

— No to nie opowiadaj pan tego! jakgdyby i bez tego mało było plugawych czynów — odpowiedział Fierdyszczenko — młody pan jesteś.

— Ja zaś nie wiem, co z pośród moich czynów uważać za największą podłość — dodała energiczna dama.

— Panie są zwolnione od opowiadania — powtórzył Fierdyszczenko — lecz tylko są zwolnione; dobra wola będzie przyjęta z uznaniem. Panowie zaś zwolnieni są tylko, jeżeli im bardzo na tem zależy.

— Ale jakże udowodnić, że ktoś nie skłamie? — zapytał Gania — a jeżeli skłamie, to cały sens gry przepadnie. Przecież każdy będzie kłamał.

— To samo już będzie bardzo ciekawe, jak tu ludzie będą kłamać. Ty zaś, Ganieczku, nie masz się czego obawiać, że skłamiesz, bo twoja największa podłość wszystkim jest znana. Pomyślcie tylko, panowie — zawołał nagle z zapałem Fierdyszczenko — pomyślcie, jak my będziemy potem patrzyli na siebie, jutro, naprzykład, po tych opowiadaniach.

— Czyż to możliwe? Czy to naprawdę, Nastazjo Filipowno — z godnością zapytał Tocki.

— Kto się boi wilków, nie chodzi do lasu — ironicznie zauważyła Nastazja Filipowna.

— Ależ, przepraszam, panie Fierdyszczenko, czyż można urządzać taką grę towarzyską — ciągnął dalej Tocki

z wzrastającym niepokojem — ręczę wam, że takie rzeczy nigdy się nie udają; pan sam mówi, że się już raz nie udało.

— Jakto, nie udało się! Przecież ja przeszłym razem opowiedziałem, jak ukradłem trzy ruble, zdobyłem się na odwagę i opowiedziałem.

— Przypuśćmy. Niemożliwą jest jednak rzeczą, aby pan tak opowiedział, żeby to wyglądało na prawdę i żeby panu uwierzono. A Gabrjel Ardaljonowicz słusznie zauważył, że cały sens zabawy przepada, jeżeli odczujemy choć trochę fałszu. Prawda byłaby możliwa tylko przypadkowo, przy szczególnie pyszałkowatem usposobieniu w złym tonie, co tutaj byłoby wprost nieprzyzwoite.

— Ale jakiż z pana delikatny człowiek, Atanazy Iwanowiczu, budzi pan we mnie wprost podziw — zawołał Fierdyszczenko. — Uwagą, że nie mogłem opowiedzieć o mojej kradzieży tak, aby to wyglądało na prawdę, daje Atanazy Iwanowicz delikatnie do zrozumienia, że przecież ja nie mogłem ukraść (mówić o tem głośno byłoby w każdym razie nieprzyzwoicie), choć może w duszy jest przekonany, że Fierdyszczenko mógłby bardzo dobrze ukraść. Ale do rzeczy, panowie, kartki zebrane, a i pan, Atanazy Iwanowiczu, położył swoją, nikt więc się nie cofa. Niechże książę wyjmuje.

Książę, nic nie mówiąc, włożył rękę do kapelusza i wyjął kolejno kartki: Fierdyszczenki, Pticyna, jenerała, Atanazego Iwanowicza, swoją, Gani i t. d. Panie swych kartek nie podały.

— Mój Boże, co za nieszczęście! — zawołał Fierdyszczenko — myślałem, że kolej wypadnie naprzód na księcia, potem na jenerała. Ale, dzięki Bogu, przynajmniej Jan Piotrowicz idzie po mnie i będę sowicie wynagrodzony. Otóż, panowie, muszę dać dobry przykład; lecz w danej chwili przykro mi bardzo, że jestem taką nędzotą i tak mało jestem ciekawy; nawet rangę mam bardzo niziutką; cóż rzeczywiście ciekawego, że Fierdyszczenko popełnił coś haniebnego? I co jest w mojem życiu ową największą podłością! Tutaj już *embarras de richesse*. Chyba opowiedzieć jeszcze raz o tej kradzieży, aby przekonać Atanazego Iwanowicza, że można ukraść, nie będąc złodziejem.

— Panie Fierdyszczenko, przekonałeś mnie pan nawet,

że można odczuwać niepomierną rozkosz, opowiadając o swoich wstrętnych czynach, gdy nikt o to nie pyta... Zresztą... przepraszam, panie Fierdyszczenko.

— Czas zacząć, Fierdyszczenko, wiele rzeczy mówi pan zupełnie zbytecznie i nigdy się to nie skończy — rozkazała z rozdrażnieniem Nastazja Filipowna.

Wszyscy zauważyli, że po chorobliwych wybuchach śmiechu stała się nagle ponura, rozdrażniona i kapryśna, despotycznie jednak i uparcie trwała nadal przy swojej zachciance. Atanazy Iwanowicz cierpiał okropnie. Drażnił go również Jan Teodorowicz; popijał sobie najspokojniej szampana i może nawet miał zamiar coś opowiedzieć, kiedy na niego przyjdzie kolej.

XIV.

Nie jestem dowcipny, Nastazjo Filipowno i dlatego gadam bez sensu! — zawołał Fierdyszczenko, rozpoczynając swoje opowiadanie. — Gdybym był tak dowcipny, jak Atanazy Iwanowicz, albo Jan Piotrowicz, siedziałbym teraz i milczał, tak jak Atanazy Iwanowicz i Jan Piotrowicz. Książę, jak pan myśli, mnie się ciągle zdaje, że na świecie dużo więcej złodziei niż nie złodziei i że nawet niema tak uczciwego człowieka, któryby chociaż raz w życiu czegokolwiek bądź nie ukradł. Takie jest moje przekonanie, z którego zresztą zupełnie nie wnioskuję, że wszyscy ludzie, jeden w drugiego, to sami złodzieje. Czasem jednak strasznieby się chciało dojść i do takiego wniosku. No, jakże pan myśli?

— Fe, jakże pan głupio opowiada — odezwała się Darja Aleksiejewna — i co za głupstwa. Nie może być, żeby wszyscy kradli; ja nigdy nic nie ukradłam.

— Pani, Darjo Aleksiejewno, nigdy nic nie ukradła, ale co na to powie książę, który nagle tak się zarumienił?

— Zdaje mi się, że pan ma słuszność, lecz bardzo pan przesadza — powiedział książę, który rzeczywiście bardzo się zaczerwienił.

— A książę sam nigdy nic nie ukradł?

— Fe! Jakież to śmieszne! Niechże się pan opamięta — wdał się w to jenerał.

— Prosta rzecz, jak co do czego przyszło, wstyd panu opowiadać i chce pan księcia do siebie przyczepić, korzystając z jego łagodności — zawołała Darja Aleksiejewna.

— Fierdyszczenko, albo pan opowiada, albo niech pan milczy. Wyprowadza pan wszystkich z cierpliwości — powiedziała ostro i z gniewem Nastazja Filipowna.

— W tej chwili, Nastazjo Filipowno; ale skoro się już książę przyznał, a ja twierdzę, że tak jakby się przyznał, to cóżby naprzykład powiedziała pewna osoba (nikogo nie wymieniając), gdyby zechciała kiedykolwiek bądź powiedzieć prawdę? Co zaś do mnie, proszę państwa, niema co dalej opowiadać: sprawa prosta, głupia i brudna. Zapewniam tylko, że nie jestem złodziejem; sam nie wiem, jak ukradłem. Było to przed trzema laty, w willi Siemiona Iwanowicza Iszczenki, w niedzielę. Miał gości na obiedzie. Po obiedzie mężczyźni zostali przy winie. Przyszło mi na myśl poprosić Marję Siemionównę, córeczkę, panienkę, ażeby zagrała na fortepianie. Przechodzę przez narożny pokój, na stoliku do roboty Marji Iwanowny leży zielony trzyrublowy papierek. Wyjęła go, żeby załatwić jakąś sprawę gospodarską. W pokoju puściuteńko. Wziąłem papierek i schowałem do kieszeni, dlaczego, nie wiem. Co mi się stało... nie rozumiem. Wróciłem czem prędzej i zasiadłem do stołu. Siedziałem długo i czekałem, silnie wzruszony, gadałem bez przerwy, opowiadałem anegdoty, śmiałem się; następnie przysiadłem się do pań. Po upływie pół godziny spostrzegli się i zaczęli badać służbę. Posądzenie padło na pokojówkę, Darję. Udałem wielkie zainteresowanie i zaciekawienie i pamiętam nawet, że kiedy Darja zupełnie się zmieszała, zacząłem ją namawiać, ażeby się przyznała, ręczyłem jej za dobroć Marji Iwanowny i to głośno i przy wszystkich. Wszyscy patrzyli, a ja byłem niezwykle zadowolony właśnie dlatego, że takie mam kazanie, a papierek leży spokojnie w mojej kieszeni. Tego samego wieczora przepiłem te trzy ruble w restauracji. Wszedłem i poprosiłem o butelkę Lafitte; nigdy dotychczas nie prosiłem tak o jedną tylko butelkę, bez niczego innego, chciałem czem prędzej wydać. Wyrzutów sumienia nie czułem ani wtenczas, ani potem. Drugi raz nie zrobiłbym tego sa-

mego, niech mi państwo wierzą, albo też nie wierzcie, wszystko mi jedno. No, to już wszystko.

— Tak, tylko nie może być, żeby to był najgorszy pański czyn — powiedziała ze wstrętem Darja Aleksiejewna.

— To jest psychologiczny wypadek, ale nie czyn — zauważył Atanazy Iwanowicz.

— A służąca? — zapytała Nastazja Filipowna, nie ukrywając wstrętu, a nawet pogardy.

— Służącą, ma się rozumieć, zaraz na drugi dzień wypędzili, to surowy dom.

— I pan na to pozwolił?

— Masz tobie! A czyż ja miałem pójść i powiedzieć, że to ja? — zachichotał Fierdyszczenko, zresztą dosyć dotknięty zbyt niemiłem wrażeniem, jakie wywarło jego opowiadanie.

— Jakież to brudne! — zawołała Nastazja Filipowna.

— Ba! Chce pani usłyszeć jaki był najobrzydliwszy czyn jakiegoś człowieka, a jednocześnie wymaga pani czegoś jasnego. Najobrzydliwsze czyny są zawsze bardzo brudne, jak nam to zaraz powie Jan Piotrowicz; cóż z tego, że ktoś powierzchownie błyszczy i chce wykazać, że jest cnotliwy, bo ma własną karetę. Niewielu ludzi ma swoją własną karetę... A jak do niej dochodzą...

Jednem słowem, Fierdyszczenko nie wytrzymał, rozzłościł się nagle, zapomniał się zupełnie, przekroczył wszelkie granice; twarz mu się nawet wykrzywiła. Dziwne to, lecz bardzo możliwe, że on się jednak spodziewał zupełnie innego wrażenia po swojem opowiadaniu. Te „pomyłki" w złym tonie i pewna „chełpliwość, jedyna w swoim rodzaju", jakby to nazwał Tocki, zdarzały się nieraz Fierdyszczence i leżały w jego charakterze.

Nastazja Filipowna zatrzęsła się z gniewu i spojrzała uważnie na Fierdyszczenkę; przeląkł się i umilkł, zlodowaciał niemal ze strachu: za daleko się posunął.

— A może dać temu spokój? — podstępnie zapytał Atanazy Iwanowicz.

— Kolej teraz na mnie, ale korzystam z upoważnienia i opowiadać nie będę — powiedział stanowczym głosem Pticyn.

— Nie chce pan?

— Nie mogę, Nastazjo Filipowno; i wogóle uważam, że takie *petits jeux* nie mają sensu.

— Zdaje się, że teraz kolej na pana, panie jenerale — zwróciła się do niego Nastazja Filipowna. — Jeśli i pan odmówi, to na nic cała zabawa i będzie mi przykro, gdyż miałam zamiar opowiedzieć na zakończenie pewien czyn „z mojego własnego życia“, ale chciałam mówić po panu i po Atanazym Iwanowiczu, gdyż wy powinniście dodać mi odwagi — dodała ze śmiechem.

— O, jeśli i pani obiecuje coś opowiedzieć — zawołał gorąco jenerał — to gotów jestem choćby całe życie opowiedzieć; ale ja, coprawda, czekając na moją kolej, już przygotowałem swoje opowiadanie...

— I wystarczy jedno spojrzenie na jego ekscelencję, żeby widzieć, z jakim specjalnym, literackim smakiem je przygotował — ośmielił się zauważyć wciąż jeszcze trochę zmieszany Fierdyszczenko, jadowicie się uśmiechając.

Nastazja Filipowna spojrzała ukradkiem na jenerała i też się uśmiechnęła. Znać jednak było, że ogarniał ją coraz bardziej smutek i rozdrażnienie.

Atanazy Iwanowicz zadrżał, słysząc obietnicę opowiadania.

— Mnie, proszę państwa, zdarzało się, jak i każdemu, robić rzeczy niezbyt piękne, niezbyt wytworne — zaczął mówić jenerał — ale co jest najdziwniejsze, to że ja sam uważam króciutkie zdarzenie, które zaraz państwu opowiem, za najobrzydliwszy występek z całego mego życia. Tymczasem miało to miejsce przeszło trzydzieści pięć lat temu, a nigdy nie mogłem przygłuszyć, myśląc o tym fakcie, pewnego, że tak powiem, jątrzącego mi duszę... uczucia. Sprawa zresztą zupełnie głupia. Byłem jeszcze wtedy tylko chorążym i ciężką miałem pracę. Wiadomo, co to jest chorąży: krew... wre, a kieszeń wiecznie pusta; trafił mi się wtedy ordynans, Nikifor, i strasznie się troszczył o moją chudobę; gromadził różności, zeszywał, sprzątał, czyścił i nawet kradł, gdzie mu się tylko udało, byle tylko bogactwo moje powiększyć, najwierniejszy i najpoczciwszy z ludzi. Ja byłem, ma się rozumieć, surowy, ale sprawiedliwy. Wypadło nam stanąć w pewnem

miasteczku. Wyznaczono mi kwaterunek na przedmieściu, u żony dymisjowanego podporucznika i w dodatku wdowy. Staruszka miał lat osiemdziesiąt, czy też coś koło tego. Domek jej był stary, drewniany i służącej nawet nie trzymała, taka była biedna. Kiedyś, dawniej miała bardzo liczną rodzinę, ale jedni pomarli, drudzy się rozjechali, inni o staruszce zapomnieli, a męża swego pochowała już przed czterdziestu pięciu laty. Mieszkała z nią doniedawna kuzynka jej, garbata i zła, jak wiedźma, tak że nawet raz ugryzła staruszkę w palec, ale i ta umarła, a stara już od trzech lat była samiuteńka jedna. O, jakże się u niej nudziłem, a przytem taka była głupia, że słówka z niej wydobyć nie mogłem. Wkońcu ukradła mi koguta. Sprawa ta do dziś dnia jest jeszcze ciemna, ale prócz niej nikogo innego nie było. Pokłóciliśmy się o tego koguta, a jednocześnie tak się jakoś złożyło, że przeniesiono mnie na skutek mej prośby na inny kwaterunek, na przeciwległem przedmieściu, do licznej rodziny jakiegoś kupca z długą brodą; pamiętam go, jak dziś. Przenosimy się z Nikiforem z wielką radością i z gniewem żegnamy staruszkę. Parę dni później wracam z musztry, melduje mi Nikifor: „niepotrzebnie Wasza Wielmożność zostawiła naszą miskę u poprzedniej gospodyni, niema w czem podać zupy". Zdumienie moje nie znało granic. „Jakto, w jaki sposób została nasza miska u gospodyni?" Zdziwiony Nikifor w dalszym ciągu melduje, że kiedyśmy wyjeżdżali, gospodyni nie oddała mu naszej miski dlatego, że ja stłukłem jej własny garnek, więc wzamian za niego zatrzymuje naszą miskę, i że ja jej to sam zaproponowałem. Ma się rozumieć, że taka podłość wyprowadziła mnie z równowagi; krew zawrzała, zerwałem się i pobiegłem. Przychodzę do starej zupełnie już nieprzytomny; patrzę, siedzi w sieni, samiuteńka jedna, w kącie, jakgdyby się chowała przed słońcem, ręką podparła głowę. Wtedy wywaliłem na nią całe morze wymysłów, „a ty taka, owaka!" wiedzą państwo, tak po rosyjsku. Nagle coś mnie tknęło: siedzi, wpatrzona we mnie, oczy wybałuszone, ani słowa odpowiedzi i patrzy tak jakoś dziwnie, dziwnie, jakgdyby się chwiała. Wkońcu umilkłem, przypatruję jej się, zadaję pytania, ani słowa odpowiedzi. Postałem chwilę, nie wiedząc, co robić; muchy brzęczą, słońce zachodzi, cisza;

wkońcu odchodzę, zupełnie zmieszany. Zanim doszedłem do domu, wezwano mnie do majora, potem musiałem zajść do koszar, tak, że do domu wróciłem późno. Pierwsze słowa Nikifora: „a wie wasza wielmożność, że nasza gospodyni umarła"... „Kiedy?" „A dziś wieczorem, z półtorej godziny temu". A więc umierała wtedy, kiedy ja jej wymyślałem. Przyznam się państwu, że mnie to tak nieprzyjemnie uderzyło, że nie mogłem przyjść do siebie. Ciągle o tem myślałem i nawet w nocy mi się to śniło. Nie bawię się w przesądy, jednak bez wahania poszedłem na pogrzeb. Jednem słowem coraz więcej o tem myślałem. Nie ciągle, coprawda, ale często przychodziło mi to na myśl i robiło mi się wtedy nieprzyjemnie. I co przedewszystkiem w tej sprawie zauważyłem? Przedewszystkiem kobieta, że tak powiem, istota ludzka, jak się to mówi w naszych humanitarnych czasach, żyła, żyła długo, wkońcu przestała żyć. Kiedyś miała dzieci, męża, rodzinę, krewnych, wszystko to koło niej się kręciło, wszystkie te, że się tak wyrażę, uśmiechy, a nagle wszystko się urwało, wszystko się rozleciało, została sama, jak... mucha, nosząc na sobie przekleństwo wieków. I wkońcu przywołał ją Bóg do siebie. O zachodzie słońca, w cichy, letni wieczór opuszcza świat i moja staruszka... ma się rozumieć, nie jest to bez pouczającego znaczenia; i w tej samej chwili zamiast pogrzebowej, że tak powiem, łzy, młody, rozzłoszczony chorąży, podparłszy się pod boki i pewny siebie, żegna ją podczas opuszczania przez nią tej ziemi jak najgorszemi rosyjskiemi wymysłami i to za zgubioną miskę! Bezwarunkowo jestem winny i choć badam dziś ten wypadek po tylu latach, choć zdążyłem zmienić się wewnętrznie, więc patrzę jak na czyn kogoś, zupełnie innego, niemniej bardzo mi on przykry. Tak, że, powtarzam, nawet mnie to dziwi, tem bardziej, że jeśli jestem winny, to przecież niezupełnie: bo i dlaczego ona właśnie wtedy musiała umierać? Ma się rozumieć, mogę powiedzieć na moje usprawiedliwienie, że był to do pewnego stopnia psychologiczny wypadek, ale w każdym razie nie mogłem się uspokoić, dopóki nie umieściłem dwóch chorych staruszek w zakładzie dobroczynnym, ażeby im uprzyjemnić przyzwoitem utrzymaniem ostatnie dni ich życia. Mam zamiar ofiarować pewną sumę jako wieczystą darowiznę. Oto wszystko.

Powtarzam, że bardzo być może, iż nieraz w życiu zawiniłem, ale ten wypadek uważam za najobrzydliwszy z całego mego życia.

— I zamiast obrzydliwego, opowiada wasza ekscelencja jeden z dobrych swych uczynków — zauważył Fierdyszczenko.

— Rzeczywiście, jenerale, nie przypuszczałam, żeby pan miał takie dobre serce; aż przykro — powiedziała niedbale Nastazja Filipowna.

— Przykro? A to dlaczego? — zapytał jenerał z uśmiechem i z miną pewną siebie napił się szampana.

Przyszła kolej na Atanazego Iwanowicza, który miał też coś przygotowanego. Wszyscy wiedzieli, że on się nie wymówi, tak jak się nie wymówił Jan Piotrowicz i wszyscy czekali na jego opowiadanie z ciekawością, a jednocześnie spoglądali na Nastazję Filipownę. Z niezwykłą godnością, najzupełniej odpowiadającą jego okazałej postaci, cichym, miłym głosem zaczął Atanazy Iwanowicz jedną ze swoich „miłych opowieści". (Mówiąc nawiasem: był to człowiek okazały, wspaniały, wysoki, trochę łysy, trochę szpakowaty i dosyć tęgi, z rumianą i trochę obwisłą twarzą, ze sztucznemi zębami. Nosił ubrania obszerne, wytworne i wspaniałą bieliznę. Na jego tłuste, białe ręce można się było zapatrzeć. Na wskazującym palcu lewej ręki miał kosztowny pierścień z brylantem). Nastazja Filipowna przez cały czas jego opowiadania przyglądała się uważnie koronce przy swoim rękawie i skubała ją dwoma palcami lewej ręki, ani razu więc nie spojrzała na opowiadającego.

— Co mi najbardziej ułatwia moje zadanie — zaczął Atanazy Iwanowicz — to bezwarunkowa konieczność powiedzenia prawdy, opowiedzenia najgorszego czynu mego życia. W tym wypadku nie może być naturalnie najmniejszych wątpliwości: sumienie i dobra pamięć podsuną mi natychmiast, co mianowicie mam wyznać. Przyznaję z żalem, że pomiędzy wszystkiemi, niezliczonemi, może lekkomyślnemi i... nierozważnemi czynami mojego życia, jest jeden czyn, który aż zanadto chyba ciąży mi na sercu. Zdarzyło się to, mniej więcej, dwadzieścia lat temu; pojechałem na wieś do Platona Ordyncewa. Był on świeżo wybrany na marszałka i przyje-

chał, aby z młodą żoną spędzić na wsi zimowe miesiące. Zbliżały się właśnie urodziny Anfizy Aleksiejewny i były zapowiedziane dwa bale. Była wtedy w modzie, i dopiero co przebrzmiała, świetna powieść Dumasa syna: *La dame aux camélias*, poemat, któremu, podług mnie, nie jest sądzonem ani starzeć się, ani umierać. Na prowincji wszystkie panie były w zachwycie, przynajmniej te, które to czytały. Wdzięk w opowiadaniu, oryginalny sposób przedstawienia głównej postaci, ten powabny świat, zanalizowany tak subtelnie, i wkońcu wszystkie te czarujące szczegóły, rozrzucone w całej książce (naprzykład fakt używania bukietów białych i różowych kamelij, jednych po drugich), jednem słowem wszystkie te cudowne szczegóły i wszystko to razem wzięte, wstrząsnęło niemal czytelnikami. Kwiaty kamelji stały się niezwykle modne. Wszyscy żądali kamelij, wszyscy ich szukali. A teraz, niech mi państwo powiedzą: czy dużo można dostać kamelij w powiatowem mieście, kiedy wszyscy żądają ich na bale, chociażby nawet tych balów było bardzo niedużo? Pietia Worchowski kochał się wtedy biedota w Anfizie Aleksiejewnie. Nie wiem ,doprawdy, czy tam co było między nimi, to jest, chcę przez to powiedzieć, czy naprawdę mógł się on czego spodziewać? Biedny chłopiec wyrabiał szaleństwa, byleby dostać kamelje na wieczór dla Anfizy Aleksiejewny. Hrabina Socka z Petersburga, przyjeżdżając do gubernatorowej, i Zofja Biezpałowa miały przybyć, jak to wszystkim było wiadomo, z bukietami z białych kamelij. Chcąc wywołać pewne wrażenie, zapragnęła Anfiza Aleksiejewna czerwonych. Biedny Platon o mało się nie zamęczył; wiadomo... zwykła rola męża; zapewnił, że bukiet dostanie, więc... cóż robić? W wigilję tego dnia zdobyła kamelje Mytiszczewa Katarzyna Aleksandrowna, straszna rywalka na każdem polu Anfizy Aleksiejewny: były ze sobą na noże. Ma się rozumieć, napoczekaniu napad histerji, zemdlenie. Platon stracił głowę. Łatwo zrozumieć, że gdyby się Pietia w takiej chwili wystarał gdzie o bukiet, jego sprawa bardzoby na tem zyskała, wdzięczność kobiet niema granic w podobnych wypadkach. Kręci się, jak oparzony, ale niema o czem mówić. Nagle spotykam się z nim już o jedenastej wieczór, w przeddzień urodzin i balu, u Marji Piotrowny Zubkowej, sąsiadki

Ordyncewa. Promienieje z radości. „Co się stało?"... „Znalazłem! Eureka!"... „Co ty mówisz? Gdzie? W jaki sposób?".... „W Jekszajsku (jest tam takie miasteczko oddalone stąd o dwadzieścia wiorst i już nie w naszym powiecie), jest tam kupiec Trepałow, bogaty brodacz, mieszka ze swoją żoną, staruszką, i zamiast dzieci chowają kanarki. Mają oboje namiętność do kwiatów, mają kamelje"... „Na miłość Boską, co ty mówisz, no, a jak nie da?"... „Padnę na kolana i będę klęczał, aż dopóki się nie zmiłuje i nie da, nie ruszę się przedtem"... „Kiedy jedziesz?"... „Jutro o świcie, o godzinie piątej"... „No, jedź z Bogiem"... Cieszę się z nim razem;; wracam do Ordyncewa ;nadchodzi godzina druga, a ja wciąż jeszcze o tem myślę. Chciałem się już położyć, wtem powstaje mi w głowie oryginalny pomysł! Idę natychmiast do kuchni, budzę stangreta Sawelego; daję mu piętnaście rubli, „zajedź za pół godziny!" Ma się rozumieć, pół godziny później stoi wózek przy bramie; mówią, że Anfiza Aleksiejewna ma migrenę, gorączkę i jest w malignie... siadam i jadę. O piątej staję w Jekszajsku przed karczmą; w karczmie przeczekałem do świtu i ani chwili dłużej; o godzinie siódmej zjawiam się u Trepałowa. „Tak i tak, czy są kamelje? Panie drogi, niech się pan zmiłuje, ojcze kochany, ratuj mnie, do nóg ci padnę, ratuj"... Stary wysoki, siwy, surowy... straszny starzec. „Ani mowy, ani rozmowy! Nie zgadzam się". Padam mu do nóg! Leżę, jak długi! „A to co nowego? Cóż pan!"... przestraszył się nawet... „A przecież tu idzie o życie ludzkie!"... krzyczę na całe gardło... „No, to niech pan bierze i niech pana Bóg prowadzi". Naciąłem tych czerwonych kamelij, ile się tylko dało! Cud świata, rozkosz... Miał stary całą oranżeryjkę. Wzdycha staruszek. Wyjmuję sto rubli... „No, nie, niechże mnie pan w ten sposób nie obraża"... „A, jeżeli tak, mówię, pozwoli szanowny pan ofiarować sobie te sto rubli na tutejszy szpital, dla poprawienia utrzymania i jedzenia"... „A, to co innego, panie drogi, to jest czyn dobry, szlachetny i Bogu się podobający; zapiszą to na pana intencję"... I, wiedzą państwo, podobał mi się ten staruszek, ten, że tak powiem, rdzenny Rus... *de la vraie souche*. Uszczęśliwiony, że się tak udało, pędzę natychmiast z powrotem; wróciliśmy boczną drogą, żeby nie spotkać Pie-

ti. Jak tylko przyjechałem, posłałem bukiet Anfizie Aleksiejewnie na przywitanie. Mogą sobie państwo wyobrazić zachwyt, wdzięczność, łzy wdzięczności! Platon, jeszcze wczoraj nawpół żywy Platon... szlocha na mojem łonie. Niestety. Wszyscy mężowie tacy, odkąd istnieje... przyzwoity ślub prawny? Nic więcej o tem powiedzieć nie mogę, w każdym razie sprawa biednego Pieti zachwiała się już ostatecznie. Z początku myślałem, że mnie zamorduje, jak się dowie, przygotowałem się już nawet na spotkanie z nim, ale tymczasem zaszły rzeczy, którychbym się nie spodziewał: zemdlenie, wieczorem majaczenie, a rano gorączka; szlocha jak dziecko, konwulsje... Po paru tygodniach, jak tylko wyzdrowiał, podał się o wyjazd na Kaukaz: zupełnie jak w powieści! Skończyło się na tem, że na Krymie został zabity. Wtedy też odznaczył się brat jego, Stiepan Worohowski, dowódca pułku. Przyznam się, że długo jeszcze potem męczyły mnie wyrzuty sumienia: dlaczego, poco ja go tak zgnębiłem. Jeszcze, gdybym ja sam był wtedy zakochany! A przecież to zwykła psota, prosty flirt, nic więcej. I gdybym mu nie był zdmuchnął tego bukietu, kto wie, możeby był szczęśliwy, miałby powodzenie i nie przyszłaby mu na myśl wyprawa na Turków.

Atanazy Iwanowicz zamilkł z tą samą poważną godnością, z jaką rozpoczął swoje opowiadanie. Zauważono, że oczy Nastazji Filipowny jakoś dziwnie zabłysły i nawet usta jej zadrżały, kiedy Atanazy Iwanowicz mówić przestał. Wszyscy patrzyli na nich z ciekawością.

— Nabrali Fierdyszczenkę! O, jakże nabrali! Nie, teraz to już tak nabrali! — zawołał płaczliwym głosem Fierdyszczenko, widząc, że można i że należy wtrącić słóweczko.

— A któż panu winien, że pan nie zrozumiał, o co chodzi? A niech się pan uczy od ludzi mądrych! — odcięła się, prawie że triumfująca Darja Aleksiejewna (stara i wierna przyjaciółka i wspólniczka Tockiego).

— Ma pan słuszność, Atanazy Iwanowiczu, *petits jeux* bardzo są nudne i dosyć już tego wszystkiego — powiedziała niedbale Nastazja Filipowna — opowiem jeszcze to, co obiecałam i zagramy w karty.

— Ale przedewszystkiem obiecane opowiadanie! — upominał się gorąco jenerał.

— Książę — zwróciła się ostro i niespodzianie do niego Nastazja Filipowna — oto starzy moi przyjaciele, jenerał i Atanazy Iwanowicz chcą mnie koniecznie wydać zamąż. Niech mi pan powie, jak pan myśli: iść zamąż, czy nie? Zrobię tak, jak pan powie.

Atanazy Iwanowicz zbladł, jenerał osłupiał; wszyscy wybałuszyli oczy i podnieśli głowy. Gania jakby skamieniał.

— Za... za kogo? — zapytał książę mdlejącym głosem.

— Za Gabrjela Ardaljonowicza Iwołgina—odpowiedziała Nastazja Filipowna, tak jak przedtem ostro, twardo i dobitnie.

Upłynęło kilka sekund w głębokiem milczeniu; książę nie mógł jakoś pomimo wysiłków wymówić ani słowa, jakgdyby okropny ciężar dławił mu piersi.

— Nie... niech pani nie idzie zamąż! — wyszeptał wkońcu i z trudem zaczerpnął powietrza.

— A więc tak też i będzie! Gabrjelu Ardaljonowiczu! — zwróciła się nagle do niego, jakby z triumfem — słyszał pan, co książę postanowił? To jest moja odpowiedź; i niech ta sprawa będzie raz na zawsze skończona!

— Nastazjo Filipowno! — powiedział drżącym głosem Atanazy Iwanowicz.

— Nastazjo Filipowno! — zawołał przekonywującym, ale i przestraszonym głosem jenerał.

Wszyscy się poruszyli i przelękli.

— Cóż to, panowie? — mówiła dalej, patrząc jakby ze zdziwieniem na swoich gości — cóżeście tacy zatrwożeni! I jaki macie dziwny wyraz twarzy!

— Ale... niech sobie pani, Nastazjo Filipowno, przypomni — mruknął Tocki — pani obiecała... zupełnie dobrowolnie i mogłaby pani choć trochę mieć wzgląd... Ja tracę głowę i... ma się rozumieć, jestem wzruszony, ale.... Jednem słowem, teraz i w takiej chwili i przy... przy obcych i wszystko jakoś tak... zakończyć przez *petits jeux* sprawę poważną, sprawę honoru i serca... od rozwiązania której zależy...

— Nie rozumiem pana, Atanazy Iwanowiczu; rzeczywiście pan trochę stracił głowę. Po pierwsze, co to znaczy: „przy obcych?“ Czyż nie jesteśmy w miłem, zażyłem kółku? I co tu mają do czynienia *petits jeux?* Ja naprawdę chciałam opowiedzieć swoją anegdotę i opowiedziałam ją; a czy nie ładna? I dlaczego pan mówi, że to „nie poważnie?“ Czyż to nie poważnie? Słyszał pan: powiedziałem księciu: „będzie tak, jak pan powie“; gdyby powiedział tak, zgodziłabym się natychmiast ale on powiedział nie, więc odmówiłam. Życie moje wisiało na włosku; cóż może być bardziej poważnego?

— Ale książę, dlaczego książę? Czemże wkońcu jest ten książę? — mruknął znów jenerał, który już prawie nie był w stanie zapanować nad sobą i powstrzymać swego oburzenia wobec tak obrażającego wynoszenia autorytetu księcia.

— Książę jest pierwszym człowiekiem, spotkanym przezemnie w życiu, któremu wierzę, że jest mi serdecznie oddany. Uwierzył mi przy pierwszem na mnie spojrzeniu i ja mu też wierzę.

— Pozostaje mi podziękować Nastazji Filipownie za niezwykłą delikatność, z jaką ona... ze mną postąpiła — powiedział wkońcu drżącym głosem i z wykrzywionemi ustami śmiertelnie blady Gania — rozumie się, tak być powinno... Ale... książę... Książę w tej sprawie....

— Chce się dorwać do siedemdziesięciu pięciu tysięcy, nieprawdaż? — przerwała mu nagle Nastazja Filipowna — to pan chciał powiedzieć? Niech się pan nie zapiera, na pewno chciał pan to powiedzieć? Atanazy Iwanowiczu, zapomniałam to dodać: niech sobie pan zabierze te siedmdziesiąt pięć tysięcy i niech pan o tem wie, że zupełnie bezinteresownie obdarzam pana wolnością! Dość już tego! I panu należy się wypoczynek! Dziewięć lat i trzy miesiące! Jutro... rozpocznie się nowe życie, a dziś... jestem solenizantką i sama o sobie stanowię po raz pierwszy w całem mojem życiu! Jenerale, niech i pan weźmie swoją perłę, niech ją pan podaruje żonie, służę panu; a od jutra wyprowadzam się zupełnie z tego mieszkania. I już wieczorów więcej nie będzie, proszę państwa!

Powiedziawszy to, wstała, jakgdyby się zabierała do wyjścia.

— Nastazjo Filipowno! Nastazjo Filipowno! — dało się słyszeć ze wszystkich stron. Wszyscy się poruszyli ,zerwali się z miejsc; wszyscy skupili się dokoła niej, wszyscy słuchali z niepokojem tych porywczych, gorączkowych, szalonych słów; wszyscy wyczuwali, że coś jest nie w porządku, ale nikt nie mógł dojść, o co właściwie chodzi, nikt nic nie mógł pojąć. Nagle rozległ się dźwięczny i silny odgłos dzwonka, zupełnie tak samo jak przedtem w mieszkaniu Gani.

— A! a-a! Oto jest rozwiązanie zagadki! Nareszcie! Wpół do dwunastej! — zawołała Nastazja Fiilpowna — niechże panowie siadają, będzie zaraz rozwiązanie zagadki.

Powiedziawszy to, usiadła. Dziwny uśmiech drżał na jej ustach. Siedziała w milczeniu, w gorączkowem wyczekiwaniu i patrzała na drzwi.

— Rogożyn i jego sto tysięcy, nie ulega wątpliwości — mruknął Pticyn.

XV.

Wbiegła mocno przerażona pokojówka, Katia.

— Nastazjo Filipowno, Bóg wie co się tu dzieje, wpakowało się dziesięciu ludzi, wszyscy podchmieleni, chcą wejść tutaj, mówią coś o Rogożynie i że pani wie o co chodzi.

— To prawda, Katiu, wpuść ich zaraz wszystkich.

— Jakto, wszystkich, Nastazjo Filipowno? Przecież to okropne, taką hołotę.

— Nie bój się, Katiu, wpuść wszystkich bez wyjątku, inaczej wejdą bez twego pozwolenia. Słyszysz, jaki gwałt robią. Państwa może to obraża — zwróciła się do gości — że przyjmuję przy was takie towarzystwo? Przykro mi bardzo i proszę o przebaczenie, lecz tak być musi, a jabym bardzo, bardzo chciała, żeby wszyscy byli świadkami przy tem rozwiązaniu, zresztą, jak się państwu podoba...

Goście wciąż się dziwili, mówili półgłosem, spoglądali na siebie, lecz było widoczne, że całe zajście było obmyślone i ułożone poprzednio i że postanowienia Nastazji Filipowny która, oczywiście, dostała pomieszania zmysłów, nic nie zmieni. Zaciekawienie wzrosło do najwyższego stopnia. Zresztą nie miał się kto obawiać. Były tylko dwie panie: Darja Aleksiejewna, kobieta energiczna, z życiem aż nadto otrzaskana, którą trudno byłoby czemkolwiek zmieszać, i piękna lecz milcząca nieznajoma. Ta wszakże i tak nic nie mogła zrozumieć: była to przyjezdna Niemka, nie umiała ani słowa po rosyjsku; prócz tego była, jak się zdawało, równie głupia, jak piękna. Była ona nowością i przyjęło się zapraszanie jej na wieczory, aby w spaniałej sukni, uczesana jak na wystawę, jak się to robi z obrazami, urnami lub posągami, wypożyczanemi od znajomych na dzień przyjęcia, była ozdobą salonu. Co zaś do mężczyzn, to Pticyn, naprzykład, był przyjacielem Rogożyna, Fierdyszczenko czuł się jak ryba w wodzie; Gania nie mógł wrócić do równowagi duchowej, jednak odczuwał niewyraźną, lecz bardzo silną potrzebę pozostania do końca pod pręgierzem swojej hańby; stary nauczyciel nie rozumiał ,o co chodzi, płakał nieledwie i drżał ze strachu, widząc niezwykły niepokój wszystkich wokoło i Nastazji Filipowny, którą ubóstwiał jak wnuczkę rodzoną; on wszakże wolałby umrzeć, niż opuścić ją w takiej chwili. Co zaś do Atanazego Iwanowicza, to oczywiście nie mógł on się kompromitować, zbyt był jednak osobiście zainteresowany w całej sprawie — choć tak niespodziewany przybierała obrót; zresztą Nastazja Filipowna rzuciła co do niego kilka takich słów, że nie było można odejść przed wyjaśnieniem sprawy. Postanowił pozostać do końca, nic już nie mówić i być niemym obserwatorem, co jedynie odpowiadało jego godności. Jeden tylko jenerał Jepanczyn, urażony przed chwilą obcesowem i śmiesznem zwróceniem mu podarunku, musiał czuć się jeszcze więcej obrażony wszystkiemi temi dziwactwami lub, naprzykład, pojawieniem się Rogożyna; zresztą dla takiego człowieka, jak on, już i tak zbyt wielką ujmą było pozostawanie obok Pticyna i Fierdyszczenki; to, do czego jednak mogła doprowadzić siła namiętności, mogło być nakoniec zwyciężone przez poczucie obo-

wiązku, pamięć o zajmowanem stanowisku, o randze i szacunku dla siebie, tak, że Rogożyn i jego banda były w każdym razie nie do zniesienia dla jego ekscelencji.

— Ach, jenerale — przerwała mu natychmiast Nastazja Filipowna, gdy się do niej zwrócił — zapomniałam! Niech pan jednak będzie przekonany, że już pomyślałam o panu. Jeżeli to pana tak bardzo razi, to pana nie zatrzymuję, choć bardzobym chciała właśnie pana widzieć obecnie przy sobie. W każdym razie dziękuję panu bardzo za pańską przychylność, ale jeżeli się pan boi...

— Przepraszam, Nastazjo Filipowno — zawołał jenerał z rycerskim gestem —do kogo pani mówi? Pozostanę teraz przy pani, by okazać moje przywiązanie i jeżeli jest, naprzykład, jakieś niebezpieczeństwo... Prócz tego, przyznam się pani, niezmiernie jestem ciekaw. Chciałem tylko zauważyć, że oni zniszczą dywan i mogą co potłuc... I wogóle, podług mnie, nie są tu potrzebni, Nastazjo Filipowno.

— Sam Rogożyn! — głośno oświadczył Fiederszczenko.

— Atanazy Iwanowiczu, jak pan myśli — szepnął do niego jenerał — czy ona nie zwarjowała? Ale bez przenośni, w znaczeniu lekarskiem, co?

— Mówiłem panu przecież, że zawsze była do tego skłonna — odszepnął chytrze Atanazy Iwanowicz.

— I jeszcze ta gorączka...

Banda Rogożyna była prawie w tym samym składzie, co i rano; przyłączyli się tylko: jakiś stary włóczęga, były redaktor nędznego brukowego pisemka, o którym krążyła plotka, że zastawił i przepił swoje sztuczne zęby, osadzone w złocie, i dymisjonowany podporucznik, stanowczy rywal z fachu i przeznaczenia owego pana z kułakami, nieznany nikomu z bandy Rogożyna, lecz zabrany zulicy, na słonecznej stronie Newskiego Prospektu, gdzie zatrzymywał przechodniów i prosił stylem Marlińskiego o jałmużnę, zapewniając, że sam „po piętnaście rubli swego czasu dawał żebrakom“. Obydwaj rywale zajęli odrazu wrogie względem siebie stanowiska. Dawny pan z kułakami po przyjęciu do bandy „proszącego“ czuł się nawet obrażony i będąc z usposobienia małomówny, ryczał od czasu do czasu jak niedźwiedź i spo-

glądał z głęboką pogardą na zaczepki i dowcipy „proszącego“, człowieka widocznie światowego i grzecznego. Sądząc z powierzchowności, można się było spodziewać, że podporucznik będzie zwyciężał „w robocie“ raczej zwinnością i zręcznością, niż siłą, gdyż był nawet niższy od pana z kułakami. Delikatnie, bez otwartej kłótni, lecz przechwalając się niepomiernie, napomknął już kilkakrotnie o wyższości angielskiego „boksowania“; jednem słowem był to zachodnio-europejski człowiek. Pan z kułakami pogardliwie się uśmiechał przy słowie „boks“ i ze swej strony, nie zaszczycając rywala otwartą kłótnią, od czasu do czasu pokazywał jakby nieumyślnie, lub raczej wysuwał na widok publiczny rzecz wybitnie narodową... ogromny kułak, żylasty, węzłowaty, pokryty jakimś rudym puchem, i dla wszystkich stawało się jasne, że jeżeli owa rzecz celnie upadnie na przedmiot, to będzie z nim bardzo krucho.

Zupełnie „zdecydowanych“ jednak nie było, jak i poprzednio, dzięki staraniom samego Rogożyna, który przez cały dzień miał na uwadze wizytę u Nastazji Filipowny. On sam zdążył już prawie zupełnie wytrzeźwieć, lecz zato o mało nie zwarjował ze wszystkich wrażeń tego dnia skotłowanego, wyjątkowego w całem jego życiu. Jedno tylko trwało wciąż w jego myśli, w sercu, nieustannie, w każdej chwili. Dla tego jednego spędził on w bezbrzeżnej tęsknocie i trwodze cały czas, od piątej po południu do jedenastej, uporawszy się z Kinderami i Biskupami, którzy również o mało nie zwarjowali, uganiając się dla niego bez wytchnienia.

I jednak owe sto tysięcy w zwykłej monecie, o których Nastazja Filipowna powiedziała mimochodem, dla kpin i zupełnie niewyraźnie, zdołali zebrać na procent, o którym nawet Biskup z Kinderem rozmawiał nie głośno, lecz szeptem.

Podobnie jak i przedtem, Rogożyn był na czele, inni posuwali się za nim, choć w zupełnem poczuciu swych wartości, jednak trochę onieśmieleni. Co najważniejsze, bali się oni, Bóg wie czemu, Nastazji Filipowny. Niektórzy nawet myśleli, że ich zaraz „spuszczą ze schodów“. Tak myślał, między innymi, elegant i pogromca serc, Zależew. Inni wszakże, przedewszystkiem pan z kułakami, traktowali Nastazję Filipownę, choć nie głośno, lecz w duszy pogardliwie

i nawet z nienawiścią i szli do niej, jak na oblężenie. Wspaniałe jednak umeblowanie pierwszych dwóch pokoi, rzeczy nieznane i niewidziane, rzadkie meble, obrazy, ogromny posąg Wenery... Wszystko to napoiło ich respektem i nieledwie bojaźnią. Nie przeszkadzało to jednak, by powoli wszyscy z bezczelną ciekawością, pomimo strachu, wepchnęli się do salonu za Rogożynem; lecz kiedy pan z kułakami, ów „proszący" i paru innych zauważyli wśród gości jenerała Jepanczyna, to w pierwszej chwili tak osłupieli, że powoli zaczęli się cofać do sąsiedniego pokoju. Jeden tylko Lebiediew był bardzo śmiały i zdecydowany; stawał niemal obok Rogożyna, rozumiejąc, co w rzeczy samej znaczy miljon czterykroć gotowego grosza i sto tysięcy tu na miejscu w ręku. Trzeba zresztą zauważyć, że wszyscy, nie wyłączając znawcy Lebiediewa, gubili się niekiedy w rozpoznaniu granic i kresów swej potęgi; czy im naprawdę teraz już wszystko wolno, czy nie? Lebiediew czasami gotów był przysiąc, że wszystko, w innych wszakże chwilach odczuwał niespokojną konieczność, przypomnienia sobie, na wszelki przypadek, niektórych, szczególnie dodających otuchy i uspakajających paragrafów kodeksu karnego.

Na samym Rogożynie salon Nastazji Filipowny wywarł wręcz odwrotne wrażenie, niż na jego towarzyszach. Zaledwie uchyliła się portjera i ujrzał Nastazję Filipownę, wszystko inne przestało dla niego istnieć tak, jak i rano, a nawet daleko silniej, niż rano. Zbladł i na chwilę przystanął; można było odgadnąć, że strasznie mocno biło mu serce. Przez kilka sekund, nie odwracając wzroku, patrzył trwożliwie i niespokojnie na Anastazję Filipownę. Nagle jakby tracąc zmysły i zataczając się nieledwie, podszedł do stołu; po drodze potrącił krzesło Pticyna i nadepnął zabłoconemi buciskami na koronkową falbankę pysznej niebieskiej sukni milczącej pięknej Niemki; nie zauważył tego i nie przeprosił. Zbliżywszy się do stołu, położył jakiś dziwny przedmiot, z którym wszedł do salonu, trzymając go przed sobą obydwiema rękami. Była to duża paczka papieru, trzy cale wysoka i cztery długa, mocno owinięta w Birżewyje Wiedomosti i obwiązana ze wszystkich stron dwa razy na krzyż sznurem tej grubości, jakiego zwykle używają do związy-

wania główcukru. Potem stanął, nie mówiąc ani słowa, z opuszczonemi rękoma, jakby w oczekiwaniu wyroku. Ubranie miał to samo, co przedtem, z wyjątkiem zupełnie nowej jedwabnej chustki na szyi o barwach jasnozielonej i czerwonej, z ogromną szpilką brylantową w kształcie chrabąszcza i masywnego pierścienia brylantowego na brudnym palcu parwej ręki. Lebiediew zatrzymał się w oddaleniu trzech kroków od stołu; inni, jak mówiliśmy, powoli zapełniali salon. Katia i Pasza, pokojówki Nastazji Filipowny, przyglądały się ze zdumieniem i trwogą z poza uchylonych kotar.

— Co to takiego? — zapytała Nastazja Filipowna, przyjrzawszy się uważnie i ciekawie Rogożynowi i wskazując oczami na „przedmiot"'.

— Sto tysięcy! — odpowiedział prawie szeptem.

— Słowa dotrzymał, widzisz go! Proszę usiąść tutaj, na tem krześle;potem coś panu powiem. Kto to z panem? To samo towarzystwo co przedtem? Niechaj wejdą i usiądą; można tam na kanapie, tu jeszcze jedna kanapa. Tam dwa fotele... cóż to nie chcą, czy co?

Rzeczywiście, niektórzy stracili odwagę, cofnęli się i czekali w sąsiednim pokoju, inni jednak pozostali i porozsiadali się zgodnie z zaproszeniem, ale dalej od stołu, raczej po kątach, jedni wciąż z zamiarem zatuszowania swej obecności, inni zaś jakoś dziwnie i nienaturalnie szybko nabierając śmiałości. Rogożyn usiadł również na wskazanem krześle, lecz niedługo na niem siedział; wkrótce wstał i więcej już nie siadał. Powoli zaczął rozpoznawać i oglądać gości. Zauważywszy Ganię, uśmiechnął się jadowicie i mruknął: „widzisz go". Na jenerała i Atanazego Iwanowicza spojrzał śmiało i bez szczególnej ciekawości. Lecz gdy zauważył obok Nastazji Filipowny księcia, nie mógł długo oderwać od niego wzroku, niepomiernie zdumiony i nie mogąc zdać sobie sprawy z tego spotkania. Można było przypuszczać, że chwilami był naprawdę bez przytomności. Prócz wszystkich wstrząśnień dnia tego, spędził całą poprzednią noc w pociągu i nie spał już prawie dwie doby.

— To jest sto tysięcy — powiedziała Nastazja Filipowna, zwracając się do wszystkich z gorączkowo niecierpliwem wyzwaniem. — W tej oto brudnej paczce. Niedaw-

no krzyknął, jak warjat, że wieczorem przyniesie mi sto tysięcy, i wciąż go oczekiwałam. On mnie targował: zaczął od osiemnastu tysięcy, skoczył potem do czterdziestu, a potem do tych stu. Słowa jednak dotrzymał. Fe, jaki on blady!... Działo się to niedawno u Gani: przyjechałam z wizytą do jego matki, do mej przyszłej rodziny, a tam jego siostra krzyknęła mi w oczy: „Czy naprawdę nie wygonią stąd tej bezwstydnicy", a bratu swemu Gani plunęła w twarz. Panienka z charakterem!

— Nastazjo Filipowno! — z wymówką powiedział jenerał. Zaczynał trochę rozumieć wypadki, po swojemu.

— Co takiego, panie jenerale? Może nieprzyzwoicie? Poco się nadymać? Że siedziałam we francuskim teatrze, w loży, jak cnota wcielona, uciekałam jak dzika od wszystkich, którzy mnie przez pięć lat ścigali i spoglądałam jak dumne niewiniątko, to wszystko z głupoty. Wobec was przecież, państwo, przyszedł i położył sto tysięcy na stół, po pięciu latach niewinności, i na pewno tam stoją konie i na mnie czekają. Ocenił mnie na sto tysięcy! Ganiu, widzę, że ty wciąż jeszcze gniewasz się na mnie? Czyś ty naprawdę chciał mnie do swojej rodziny wprowadzić? Mnie, taką dla Rogożyna! — A cóż to książę powiedział niedawno?

— Nie powiedziałem, że pani jest taką dla Rogożyna, pani wcale nie dla Rogożyna! — drżącym głosem powiedział książę.

— Nastazjo Filipowno, poco to, pani moja droga, kochana, — nie wytrzymała nagle Darja Aleksiejewna — jeżeli ci już tak bardzo dokuczyli, to poco patrzeć na nich. I czy naprawdę chcesz pójść z tym tam, choćby i za sto tysięcy! Prawda, sto tysięcy, to coś warte! Ale ty weź sto tysięcy, a jego wygoń... tak z nim trzeba postąpić; jabym ich wszystkich na twojem miejscu... bo i co się krępować!

Darja Aleksiejewna rozgniewała się nawet. Była to kobieta zacna i bardzo wrażliwa.

— Nie gniewaj się, Darjo Aleksiejewno — uśmiechnęła się Nastazja Filipowna — przecież mówiłam do niego bez gniewu. Czy ja go obraziłam? Wogóle zrozumieć nie mogę, skąd mi strzeliło do głowy pchać się do uczciwej rodziny. Widziałam jego matkę, w rękę ją pocałowałam. A że ostat

ni raz u ciebie, Ganiu, kpiłam, to uczyniłam to umyślnie, chciałam zobaczyć, do czego można cię doprowadzić? I zadziwiłeś mnie, naprawdę. Oczekiwałam wiele, ale nie tego! I czy naprawdę mógłbyś mnie wziąć, wiedząc, że ten mi podarował taką perłę ,nieledwie w przeddzień twego ślubu, a ja ją przyjęłam? A Rogożyn, przecież on mnie targował w twoim domu, przy twojej matce i siostrze, i ty jednak przyjechałeś z oświadczynami i siostry o mało nie przywiozłeś? Czyż to prawda, co Rogożyn o tobie powiedział, że za trzy ruble zaczołgasz się na czworakach na Wyspę Wasiljewską?

— Zaczołga się — powiedział nagle Rogożyn cicho, lecz z najgłębszem przeświadczeniem.

— Żebyś jeszcze z głodu przymierał, ale masz podobno dobrą pensję! I w dodatku, chciałeś prócz hańby, wprowadzić do domu znienawidzoną żonę! (bo ty mnie przecież nienawidzisz, jestem tego pewna!). Nie, teraz wierzę, że taki człowiek może zarżnąć dla pieniędzy. Taka przecież żądza ogarnęła teraz wszystkich, tak lecą na pieniądze, że chyba powarjowali. Ma mleko pod nosem ,a już chce być lichwiarzem! Okręci brzytwę jedwabiem, umocuje i z tyłu cichutko zarżnie przyjaciela, jak barana, jak niedawno czytałam. Bezwstydnik jesteś! Ja bezwstydnica, ale tyś gorszy! A o tym panu od bukietów mówić nawet mi się nie chce...

— Co pani jest, Nastazjo Filipowno? — załamał ręce jenerał z prawdziwym żalem — pani, taka delikatna, o tak subtelnych uczuciach, i patrzcie! Co za mowa! Co za styl!

— Jestem teraz podchmielona, panie jenerale — zaśmiała się nagle Nastazja Filipowna — chcę używać! Dzisiaj mój dzień, mój galowy dzień, dawno go oczekiwałam. Darjo Aleksiejowno, widzisz tego bukieciarza, tego *Monsieur aux camélias*, siedzi sobie i śmieje się z nas...

— Ja się nie śmieję, Nastazjo Filipowno, słucham tylko w największem skupieniu — odciął się z największą godnością Tocki.

— Widzicie państwo, za co go męczyłam pięć długich lat i nie puszczałam od siebie? Czy on zasłużył na to? On poprostu taki, jakim być powinien... Będzie jeszcze uważał, że zawiniłam wobec niego: dał mi przecież wychowanie,

utrzymywał jak hrabiankę, pieniędzy nie szczędził, wyszukał mi uczciwego męża jeszcze tam, a tutaj Ganię; i pomyśleć, że przez te pięć lat z nim nie żyłam, a pieniądze brałam i myślałam, że wszystko w porządku! Przecież zupełnie straciłam sens w głowie! Mówisz, weź sto tysięcy, a jego wygoń, jeżeli to takie ohydne... Że ohyda, to prawda... Dawno już mogłabym wyjść zamąż, i to nietylko za Ganię, ale przecież to taka ohyda! I poco straciłam pięć lat w rozgoryczeniu! Cztery lata temu myślałam czasami, czyby nie wyjść wprost za mego Atanazego Iwanowicza? Wówczas myślałam o tem ze złości; co mi się też wtedy nie kołatało wierzysz, Darjo Aleksiejewno, czy nie? Prawda, on kłamał, ogromnie łapczywy, nie mógł wytrzymać. Ale potem, dzięki Bogu, pomyślałam: zasługujesz na tę złość! takiego wówczas nabrałam wstrętu do niego, że gdyby sam się oświadczył, nie poszłabym za niego. Pięć długich lat tak przetrzymałam! Nie, już lepiej na ulicę, tam moje miejsce. Albo puścić się z Rogożynem, albo odrazu zostać praczką. Bo przecież nie mam na sobie nic własnego; pójdę... wszystko mu cisnę, zostawię ostatni gałgan, a wtedy kto mnie weźmie bez niczego, spytajno się Gani, czy weźmie? mnie nawet Fierdyszczenko nie weźmie!

— Fierdyszczenko może nie weźmie, Nastazjo Filipowno, ja jestem człowiekiem szczerym — wtrącił Fierdyszczenko — ale książę weźmie! Pani tu siedzi i lamentuje, a niechno pani spojrzy na księcia, już ja go dawno obserwuję....

Nastazja Filipowna z zaciekawieniem odwróciła się do księcia.

— Prawda? — spytała.

— Prawda — wyszeptał książę.

— Weźmie pan, jak stoję, bez niczego?

— Wezmę, Nastazjo Filipowno...

— Nowy figiel! — mruknął jenerał. — Można się było tego spodziewać.

Książę smutnym, surowym i przenikliwym wzrokiem patrzał na twarz przyglądającej mu się Nastazji Filipowny.

— No, masz — powiedziała, zwracając się ponownie do Darji Aleksiejewny — przecież to poprostu z dobrego

serca, znam go. Znalazłam dobroczyńcę! Zresztą, może i prawdę o nim mówią, że on... nie tego... Z czegóż ty żyć będziesz, jeżeliś już tak zakochany, że wydać chcesz za siebie, za księcia, taką „dla Rogożyna“?

— Ja panią biorę uczciwą, Nastazjo Filipowno, a nie „od Rogożyna“ — powiedział książę.

— To ja jestem uczciwa!

— Pani.

— No, to tak... w powieści! To są, kochany książę, stare bajki, a teraz świat zmądrzał, i to wszystko głupstwo! I cóż z żoną zrobisz, kiedy sam niańki potrzebujesz.

Książę wstał i drżącym, trwożliwym głosem, lecz także jakby z najgłębszem przeświadczeniem powiedział:

— Ja nic nie wiem, Nastazjo Filipowno, nic nie widziałem, pani ma słuszność, ale... uważam, że pani mnie robi zaszczyt, a nie ja pani. Ja jestem niczem, a pani cierpiała i wyszła czystą z takiego piekła... to bardzo wiele. Czego się pani wstydzi i chce z Rogożynem jechać ?To gorączka... Pani oddała Tockiemu siedmdziesiąt pięć tysięcy i mówi, że wyrzeknie się wszystkiego, co tu jest ,tego nikt tutaj nie zrobi. Ja panią... Nastazjo Filipowno, kocham. Życie oddam za panią. Nikomu nie pozwolę złego słowa o pani powiedzieć. Nastazjo Filipowno. Jeżeli będziemy biedni, będę pracował.

Przy tych słowach dał się słyszeć chichot Fierdyszczenki, Lebiediewa i nawet jenerał jakoś chrząknął z pewnem niezadowoleniem. Pticyn i Tocki nie mogli się nie uśmiechnąć, ale zamilkli: Inni poprostu otworzyli szeroko usta ze zdumienia....

— ..Ale my może będziemy nie biedni, a bardzo bogaci, Nastazjo Filipowno — ciągnął dalej książę tym samym trwożliwym głosem. — Zresztą nie wiem na pewno i szkoda, że przez cały dzień nic nie mogłem się dowiedzieć, ale otrzymałem w Szwajcarji list z Moskwy, od niejakiego pana Sałazkina, który mnie zawiadamia ,że mogę jakoby otrzymać bardzo duży spadek. Oto jest list...

Książę rzeczywiście wyjął list z kieszeni.

— Czy on czasami nie bredzi? — mruknął jenerał — istny dom warjatów.

Na chwilę zapanowała cisza.

— Pan, zdaje się, powiedział, że list pochodzi od Sałazkina — zapytał Pticyn — to bardzo znana osobistość w pewnych kołach; poważna firma w interesach, i jeżeli on pana zawiadamia, to śmiało można mu ufać. Na szczęście znam jego charakter pisma, bo niedawno miałem z nim interesa... Jeżeli pan pozwoli spojrzeć na list, to może panu coś o tem powiem.

Książę, milcząc, drżącą ręką podał list.

— Co takiego, co takiego? — zawołał jenerał, spoglądając na wszystkich nieprzytomnie — czyż to naprawdę spadek?

Wszyscy skierowali spojrzenie na Pticyna, który czytał list. Ogólne zaciekawienie otrzymało nowy i nadzwyczajny kierunek. Fiederszczenko nie mógł usiedzieć; Rogożyn spoglądał pytająco i rzucał niespokojne spojrzenia to na księcia, to na Pticyna. Darja Aleksiejewna siedziała jak na szpilkach. Nawet Lebiediew nie wytrzymał, wyszedł ze swego kąta i zgięty w pałąk, zaglądał do listu przez ramię Pticyna z miną człowieka, obawiającego się, że lada chwila coś oberwie.

XVI.

Sprawa zupełnie pewna — oznajmił wkońcu Pticyn, składając list i podając go księciu. — Otrzymuje pan bez żadnych kłopotów, podług niezaprzeczonego testamentu pańskiej ciotki, olbrzymi kapitał.

— Niemożebne! — zawołał jenerał.

Wszyscy osłupieli.

Pticyn wytłumaczył, zwracając się głównie do Jana Teodorowicza, że przed pięciu miesiącami umarła księciu ciotka, której on nigdy osobiście nie znał, rodzona i starsza siostra matki księcia, córka moskiewskiego kupca trzeciej gildji, Papuszyna, który umarł w nędzy i jako bankrut. Starszy wszakże rodzony brat tego Papuszyna, też niedawno pochowany, był znanym, bogatym kupcem. Przed rokiem umarli prawie że w jednym i tym samym miesiącu dwaj jego jedyni synowie. To nim tak wstrząsnęło, że wkrótce potem staruszek sam zachorował i umarł. Był wdowcem, nie miał zupeł-

nie spadkobierców, oprócz ciotki księcia, rodzonej siostrzenicy Papuszyna, zupełnie biednej kobiety i mieszkającej w cudzym domu. W chwili otrzymania spadku, owa ciotka już prawie umierała na wodną puchlinę, ale natychmiast zaczęła poszukiwać księcia, powierzywszy tę sprawę Sałazkinowi i zdążyła zrobić testament. Jak się zdaje, ani księciu, ani doktorowi, u którego mieszkał w Szwajcarji, nie chciało się czekać na urzędowe zawiadomienie, lub też zasięgnąć wiadomości co do tej sprawy i książę, z listem Sałazkina w kieszeni, zdecydował się wyjechać sam.

— Mogę panu tylko to jedno powiedzieć — dodał Pticyn, zwracając się do księcia — że wszystko to jest najzupełniej niezaprzeczone i prawne i wszystko to, co panu pisze Sałazkin o niezaprzeczalności i o legalności pańskiej sprawy, może pan uważać za czysty kapitał. Winszuję panu! Dostanie pan z pół miljona, a może i więcej. Papuszyn był bardzo bogatym kupcem.

— Niech żyje ostatni z rodu Myszkinów! — ryknął Fierdyszczenko.

— Hurra! — wybełkotał pijanym głosem Lebiediew.

— A ja mu dopiero co pożyczyłem dwadzieścia pięć rubli, biedocie, ha! ha! ha! Czysta fantasmagorja — powiedział jenerał, prawie osłupiały ze zdziwienia — no, winszuję! winszuję! — i wstając, poszedł do księcia, aby go uścisnąć. Za jego przykładem wstali i inni i też cisnęli się do księcia. Nawet ci, którzy się ukryli za kotarą, zaczęli się wsuwać do salonu. Rozległ się gwar, dały się słyszeć okrzyki, a nawet żądania szampana; zaczęto się tłoczyć, kręcić. O mało na chwilę nie zapomnieli o Nastazji Filipownej i o tem, że ona jest przecież panią domu. Powoli jednak przypomnieli sobie wszyscy prawie jednocześnie, że dopiero co książę jej się oświadczył. Sprawa przedstawia się teraz po trzykroć bardziej bezsensowną i niezwykłą, niż przedtem. Mocno zdziwiony Tocki wzruszał ramionami; on jeden tylko siedział, reszta towarzystwa tłoczyła się w nieładzie dokoła stołu. Później twierdzili wszyscy, że w tej właśnie chwili Nastazja Filipowna zwarjowała. Siedziała tak jak i przedtem i przez pewien czas przyglądała się wszystkim dziwnym i jakimś zdziwionym wzrokiem, jakgdyby nic nie rozumiała

i siliła się pojąć. Potem odwróciła się nagle w stronę księcia i przypatrywała mu się uważnie ze zmarszczonemi brwiami; trwało to tylko chwilkę; może jej się nagle wydało, że wszystko to... żart, drwiny; wyraz twarzy księcia przekonał ją, że tak nie jest. Zamyśliła się, potem uśmiechnęła się, jakgdyby sama nie wiedząc dlaczego...

— A więc, rzeczywiście, księżna! — szepnęła sama do siebie jakby szyderczo i spojrzawszy przypadkiem na Darję Aleksiejewnę, roześmiała się. — Dziwne rozwiązanie.... takiego się nie spodziewałam... No, cóż wy, panowie, stoicie, bądźcie łaskawi, usiądźcie, powinszujcie mnie i księciu. Ktoś, zdaje mi się, dopominał się o szampana; Fierdyszczenko, niech pan zejdzie, każe przynieść. Katiu, Pasza — spostrzegła nagle we drzwiach swoje służące — chodźcie, ja zamąż wychodzę, słyszałyście? za księcia; ma półtora miljona, książę Myszkin i mnie bierze!

— I dobrze, już czas! Nie można takiej sposobności pominąć! — zawołała Darja Aleksiejewna, głęboko wstrząśnięta tem, co zaszło.

— Niechże książę przy mnie usiądzie — mówiła dalej Nastazja Filipowna — o tak, a już i niosą wino, niechże mi panowie powinszują!

— Hurra! — krzyknęło mnóstwo głosów. Wielu z obecnych zaczęło się tłoczyć dokoła stolika z winem, a przedewszystkiem prawie wszyscy rogożyńczycy. Jednakże chociaż krzyczeli i gotowi byli dalej krzyczeć, wielu z nich poczuło niezależnie od dziwnych okoliczności i zdumiewającego położenia, że dekoracja stanowczo się zmienia. Inni byli zmieszani i czekali nieufnie. Jeszcze inni szeptali między sobą, że przecież sprawa jest zupełnie zwykła, że książęta nieraz się tak żenią i nawet Cyganki z taboru poślubiają. Jeden tylko Rogożyn stał i patrzał, skrzywiwszy usta w stężałym powątpiewającym uśmiechu.

— Książę, mój drogi, niechże się pan opamięta! — szepnął z przestrachem jenerał, podchodząc z boku i chwytając księcia za rękaw.

Nastazja Filipowna zauważyła to i roześmiała się.

— Nie, jenerale! Ja teraz sama jestem księżną, słyszał pan, książę nie pozwoli mi ubliżyć. Atanazy Iwanowiczu,

niechże mi pan powinszuje; ja teraz wszędzie obok żony pańskiej siadać będę; jak się panu zdaje, wszak to wygodnie takiego mieć męża? Półtora miljona, przytem książę, a w dodatku podobno idjota, czegoż więcej żądać? Dopiero teraz zacznie się prawdziwe życie! Spóźnił się pan, panie Rogożyn! Zabieraj swoją paczkę, poślubiam księcia i jestem sama bogatsza od ciebie!

Rogożyn wszakże zrozumiał jak rzeczy stoją. Niewypowiedziane cierpienie odbiło się na jego twarzy. Klasnął w ręce i jęk wyrwał się z jego piersi.

— Wyrzeknij się — zawołał do księcia.

Roześmieli się wszyscy.

— Dla ciebie ma się wyrzec? — podchwyciła triumfująco Darja Aleksiejewna: — ech ty, rzucił pieniędze na stół, jak cham! Książę bierze ją za żonę, a ty przyszedłeś się tu awanturować!

— I ja biorę! Zaraz biorę, natychmiast! Wszystko oddam...

— Widzisz go, karczemny pijanico, powinno się ciebie przepędzić! — powtórzyła z oburzeniem Darja Aleksiejewna.

Rozległ się śmiech jeszcze głośniejszy.

— Słyszycz, książę — zwróciła się do niego Nastazja Filipowna — jak cham kupuje twoją narzeczoną.

— On pijany — powiedział książę. — On panią bardzo kocha.

— A nie będziesz się później wstydził, że twoja narzeczona o mało nie wyjechała z Rogożynem?

— Była pani nieprzytomna; i teraz ma pani gorączkę, jak w malignie.

— I nie będziesz się wstydził, gdy ci później powiedzą, że twoja żona była utrzymanką Tockiego?

— Nie, nie będę się wstydził... Pani nie dobrowolnie była u Tockiego.

— I nigdy mi tego nie wymówisz?

— Nie wymówię.

— Uważaj, nie ręcz za całe życie!

— Anastazjo Filipowno — powiedział książę cicho i jakby ze współczuciem — mówiłem pani już przedtem, że

zgodę pani będę uważał za zaszczyt i że to pani mnie robi zaszczyt, a nie ja pani. Pani się na to uśmiechnęła i słyszałem, że dokoła nas też się śmieli. Być może, że ja się śmiesznie wyraziłem i że sam byłem śmieszny, ale zdawało mi się, że ja.. rozumiem na czem polega zaszczyt i przekonany jestem, że powiedziałem prawdę. Pani przed chwilą chciała się zgubić... bezpowrotnie, gdyż później nigdyby sobie pani tego nie wybaczyła, a pani tu zupełnie niewinna. To nie może być, żeby pani życie było już zupełnie stracone. Więc cóż z tego, że przyszedł do pani Rogożyn i że Gabrjel Ardałjonowicz chciał panią oszukać? Poco pani ciągle o tem wspomina? Powtarzam pani, że nie każdy zdobyłby się na to, co pani zrobiła, a to, że pani chciała jechać z Rogożynem, to tylko tak, w chorobliwym paroksyzmie decydowała się pani na to. Pani i teraz chora i lepiej, żeby się pani położyła. Pani poszłaby jutro za praczkę, a nie zostałaby pani z Rogożynem. Pani jest dumna, Nastazjo Filipowno, ale może pani już jest do tego stopnia nieszczęśliwa, że się pani naprawdę uważa za winną. Pani, Nastazjo Filipowno, bardzo trzeba pilnować. Ja będę pani pilnował. Kiedy zobaczyłem pani fotografję, zdawało mi się, że znajomą twarz mam przed sobą. Miałem już wtedy wrażenie, że mnie pani ku sobie wzywa... Ja... całe życie szanować panią będę — zakończył nagle książę ,jakgdyby się nagle opamiętał; zaczerwieniwszy się, zrozumiał wobec jakich ludzi on to mówił.

Pticyn, jakby zawstydzony, schylił głowę i patrzał uparcie w ziemię. Tocki pomyślał: „idjota, a jednak wie, że pochlebstwem najłatwiej ją weźmie!“ Książę zauważył również palące spojrzenie Gani, którem jakgdyby go chciał spiorunować.

— Oto dobry człowiek — powiedziała wzruszona Darja Aleksiejewna.

— Człowiek wykształcony, ale stracony! — szepnął półgłosem jenerał.

Tocki wziął kapelusz i zabrał się do wyjścia, chciał się w jakiś sposób ukryć. Zamienili spojrzenie z jenerałem; lepiej było wyjść razem.

— Dziękuję ci, książę, ze mną nikt jeszcze dotychczas

tak nie mówił — powiedziała Nastazja Filipowna — mnie chcieli kupować, ale o moją rękę nikt jeszcze z porządnych ludzi nie prosił. Słyszał pan, Anatazy Iwanowiczu? Jakże się pan zapatruje na to, co mówił książę? Przecież to nawet nieprzyzwoicie... Rogożyn! Poczekaj chwilę, nie odchodź. Zresztą, ja wiem, że ty nie odejdziesz. Może ja jeszcze z tobą pójdę. A dokąd ty mnie chcesz zawieźć?

— Do Jekaterynhofu — oznajmił z kąta pokoju Lebiediew, a Rogożyn zatrząsł się cały i patrzał, jakby oczom własnym nie wierząc. Do reszty osłupiał, jakgdyby od silnego uderzenia w głowę.

— A to co, a to co! To chyba jakiś atak, oszalałaś, czy co? — krzyknęła wystraszona Darja Aleksiejewna.

— Toś ty rzeczywiście myślała? — ze śmiechem zerwała się z kanapy Nastazja Filipowna — takiego dzieciaka mam zgubić? A to byłoby na rękę Anatazemu Iwanowiczowi, on lubi dzieci! Rogożyn, jedziemy! Przygotuj swoją paczkę! Bardzo pięknie, że się chcesz żenić, ale tymczasem dawaj pieniądze. Zresztą być może, że ja jeszcze za ciebie nie wyjdę. Myślałeś, że ponieważ sam się chcesz żenić, paczka zostanie u ciebie. Figa! A ja jestem bezwstydna. Byłam kochanką Tockiego... Książę! dla ciebie odpowiednia Agłaja Jepanczyn, a nie Nastazja Filipowna, bo cię jeszcze Fierdyszczenko palcami wytykać będzie! Ty się nie boisz, ale ja się będę bała tego, że cię zgubiłam i że mi to później wymówisz! A co do tego, że jak twierdzisz, ja tobie zaszczyt zrobię, to już Tocki wie, co o tem myśleć. A Agłaję Jepanczynównę prześlepiłeś, Ganieczku, czyś chociaż o tem wiedział? Gdybyś się z nią nie był targował, byłaby na pewno za ciebie wyszła! Tak i wy wszyscy: czy macie do czynienia z uczciwemi, czy z nieuczciwemi kobietami... wszystko wam jedno! Na pewno zabrniecie... O, jak to jenerał patrzy, usta otworzył.....

— Sodoma! Sodoma! — powtarzał jenerał, wzruszając ramionami. On również wstał z kanapy; wszyscy wstali z miejsc. Nastazja Filipowna była jak nieprzytomna.

— Czy to możliwe! — jęknął książę, załamując ręce.

— A tyś myślał, że niemożliwe? A może ja jestem bezgranicznie dumna, chociaż bezwstydna! Nazwałeś mnie

doskonałością; ładna doskonałość, która dla próżnej chwały, że miljon i tytuł książęcy podeptała, idzie do jaskini. I jaką byłabym dla ciebie żoną? Atanazy Iwanowiczu, przecież ja naprawdę miljon za okno wyrzuciłam! A pan myślał, że będę uważała za szczęście wyjść za Ganieczkę, zwłaszcza z dodatkiem pańskich siedmdziesięciu pięciu tysięcy? Zabierz je sobie, te twoje siedmdziesiąt pięć tysięcy, Atanazy Iwanowiczu (i do stu nie doszedłeś, Rogożyn cię przewyższył!), a Ganieczkę pocieszę sama, już wiem w jaki sopsób. Teraz chcę iść pohulać, przecież ja jestem ulicznicą! Dziesięć lat przesiedziałam w więzieniu, teraz sobie użyję... No cóż, Rogożyn? Gotów jesteś? Jedziemy!

— Jedziemy! — ryknął Rogożyn, prawie nieprzytomny z radości — dalejże... wy wszyscy... wina! Aach!...

— Przygotuj wina, będę piła. A muzyka będzie?

— Będzie, będzie! Nie zbliżaj się! — zawołał Rogożyn z wściekłością, widząc, że Darja Aleksiejewna podchodzi do Nastazji Filipowny. — Moja! Cała moja! Królowa! Koniec tego dobrego!

Z radości ciężko oddychał; chodził koło Nastazji Filipowny i krzyczał wszystkim: „nie podchodź!" Cała banda zgromadziła się już w salonie. Jedni pili, drudzy krzyczeli i śmiali się, wszyscy byli podnieceni i aż zanadto swobodni. Fierdyszczenko starał się do nich dostroić. Jenerał i Tocki znów wyglądali, jakgdyby chcieli się ukryć. Gania trzymał również kapelusz w ręku, ale milczał, nie mógł się oderwać od sceny odgrywającej się przed nim.

— Nie zbliżaj się! — krzyczał Rogożyn.

— A cóż tak wrzeszczysz! — śmiała się z niego Nastazja Filipowna — ja tu jeszcze jestem panią; jak mi się spodoba, to cię za dziesiątą granicę wypędzę! Nie wzięłam jeszcze twoich pieniędzy, oto są; dawaj je, dawaj całą paczkę! Więc w tej paczce jest całe sto tysięcy. Fe, cóż to za obrzydliwość! O cóż ci chodzi, Darjo Aleksiejewno? Czyż ja go miałam gubić? (Wskazał na księcia). Gdzież jemu myśleć o małżeństwie? On powinien mieć niańkę; o, jenerał będzie jego niańką, widzicie jak się przy nim uwija! Patrz, książę, twoja narzeczona wzięła pieniądze, bo jest nierządnicą, a ty ją za żonę brać chciałeś! I czego ty płaczesz? Przykro ci,

co? Podług mnie, śmiać się powinieneś — mówiła dalej Nastazja Filipowna, chociaż i po jej twarzy płynęły dwie ciężkie łzy. — Ufaj czasowi... wszystko przeminie! Lepiej się teraz rozmyśleć, niż później... Czegóż wy ciągle płaczecie?... o, i Katia płacze! A ty czego, Katiu, duszko? Ja wam obu z Paszą dużo zostawiam, już wydałam rozporządzenia, a teraz, bywajcie zdrowe! Kazałam, abyś ty, uczciwa dziewczynka, mnie nierządnicy, usługiwała... Książę, tak będzie lepiej, naprawdę, lepiej; potem mógłbyś mną pogardzać i nie bylibyśmy szczęśliwi. Nie przysięgaj, nie wierzę! I jakież byłoby to głupie!... Nie, lepiej żebyśmy się rozstali przyjaciółmi, przecież i ze mnie marzycielka, nicby z tego nie wyszło .A czyż ja o tobie nie marzyłam? Masz słuszność, dawno już marzyłam, jeszcze na wsi, u niego, pięć lat tam przemieszkałam samiuteńka jedna; myślę, myślę, nieraz marzę, marzę... i zawsze myślałam o takim, jak ty, o dobrym, uczciwym, pięknym i takim głupiutkim, myślałam, że nagle się zjawi i powie: „Pani niewinna, Nastazjo Filipowno, i ja panią ubóstwiam!" Czasem tak się rozmarzyłam, że dochodziłam wprost do pomieszania zmysłów... A wtem przyjeżdża ten tam: bawi przez dwa miesiące w roku, zhańbi, skrzwydzi, roznamiętni, nauczy rozpusty i wyjedzie... niezliczone razy chciałam się rzucić do stawu ,ale byłam podła, zabrakło odwagi, no, a teraz... Rogożyn, gotów jesteś?

— Gotów! Nie zbliżaj się!

— Gotowi! — rozległo się kilka głosów.

— Czekają konie z dzwonkami.

Nastazja Filipowna wzięła w rękę paczkę.

— Gańka, przyszła mi pewna myśl do głowy; chcę cię wynagrodzić, bo dlaczego ty masz wszystko tracić? Rogożynie, czy on się zaczołga na Wasiljewską za trzy ruble?

— Zaczołga się.

— Więc posłuchaj, Ganiu, chcę po raz ostatni spojrzeć na twoją duszę, męczyłeś mnie przez trzy miesiące; teraz na mnie kolej. Widzisz tę paczkę, jest w niej sto tysięcy! Za chwilę rzucę ją na kominek, w ogień, tu przy wszystkich, wszyscy są świadkami! Jak tylko ogień całą ogarnie... podejdź do kominka, i bez rękawiczek, gołemi rękami, wyciągnij paczkę z ognia! Wyciągniesz... twoje, całe sto tysięcy

twoje! Odrobinkę poparzysz sobie paluszki... ale przecież to sto tysięcy, pomyśl tylko! Czyż to trudno wyciągnąć! A ja duszą twoją się nacieszę ,jeśli ty po moje pieniądze w ogień pójdziesz. Wszyscy są świadkami, że paczka będzie twoja! A jeśli nie pójdziesz po nią, wszystko się spali; nikogo nie puszczę. Precz! Wszyscy precz! Moje pieniądze! Wzięłam je od Rogożyna za noc dzisiejszą. Rogożyn, czy moje te pieniądze?

— Twoje, pociecho! Twoje, królowo!

— Więc wszyscy precz, robię, co mi się podoba! Fierdyszczenko, niech pan poprawi ogień!

— Nastazjo Filipowno, ręce odmawiają posłuszeństwa — odpowiedział oszołomiony Fierdyszczenko.

— E-ech! — krzyknęła Nastazja Filipowna, schwyciła szczypce, poruszyła dwa tlejące polana i jak tylko wybuchnął płomień, wrzuciła weń paczkę.

Głośny krzyk rozległ się dokoła; wielu przeżegnało się nawet.

— Oszalała, oszalała! — wołano dokoła.

— Czy... czy.. nie powinnibyśmy jej związać? — szepnął jenerał do Pticyna — Przecież ona zwarjowała, zwarjowała! Zwarjowała!

— N-nie, to może nie zupełne warjactwo — szepnął blady jak płótno i trzęsący się Pticyn, nie mogąc oczu oderwać od tlejącej paczki.

— Warjatka? Przecież to warjatka? — nalegał jenerał na Tockiego.

— Mówiłem panu, że to kobieta z „kolorytem" — mruknął też trochę blady Atanazy Iwanowicz.

— Ależ przecież to sto tysięcy!....

— Boże, Boże! — słychać było dokoła. Wszyscy skupili się dokoła kominka, wszyscy chcieli patrzeć, wszyscy krzyczeli... Niektórzy weszli nawet na krzesła, żeby patrzeć ponad głowami. Piękna Niemka uciekła.

— Pani! Królewno! Wszechpotężna! — jęczał Lebiedew, czołgając się na kolanach przed Nastazją Filipowną i wyciągając ręce do kominka — sto tysięcy. Sto tysięcy! Widziałem na własne oczy; przy mnie pakowali! Pani! Miłosierdzia! Każ mi iść w komin: cały wejdę, całą moją siwą

głowę w ogień włożę!... Chora, kulawa żona, trzynaścioro dzieci... głodny jestem, Nastazjo Filipowno! — i wyjęczawszy to wszystko, czołgał się do kominka.

— Precz! — krzyknęła Nastazja Filipowna, odpychając go — rozejdźcie się wszyscy! Ganiu, cóż ty tak stoisz! Nie wstyd ci? Dalejże! Twoje szczęście!

Ale Gania zbyt już dużo wycierpiał tego dnia i tego wieczoru i do tej ostatniej i niespodziewanej próby nie był zupełnie przygotowany. Tłum rozstąpił się przed nim i Gania stanął oko w oko z Nastazją Filipowną, o trzy kroki od niej. Stała przy samym kominku i czekała, nie spuszczając z niego ognistego , przejmującego spojrzenia. Gania we fraku, z kapeluszem w ręku i w rękawiczkach stał przed nią w milczeniu, nie odpowiadając ani słowa, ze skrzyżowanemi rękami i wpatrzony w ogień. Warjacki uśmiech widniał na jego twarzy bladej, jak płótno. Prawda, nie mógł oderwać oczu od tlejącej paczki, ale zdawało się, że teraz coś nowego wdarło się do jego duszy; jakgdyby sobie przysiągł wytrzymać próbę; nie ruszał się z miejsca; po kilku chwilach stało się dla wszystkich jasnem, że on nie pójdzie po paczkę, nie chce iść po nią.

— Ej, spalą się i będzie ci wstyd — krzyczała Nastazja Filipowna — a potem przecież się powiesisz, ja nie żartuję!

Ogień, żarzący się między dwoma tlejącemi polanami, przygasł z początku, gdy upadła na niego paczka i przydusiła go. Mały, niebieski płomyk czepiał się jednak od spodu kawałka drewna. Wkońcu cienki, długi, ognisty języczek objął i paczkę, przylgnął do niej i przeleciał po wierzchniej części papieru; nagle zapaliła się cała paczka i jasny płomień uniósł się nad nią. Wszyscy westchnęli.

— Pani droga! — narzekał dalej Lebiediew, rzucając się znów w stronę kominka, ale Rogożyn odciągnął go znów i odepchnął.

I sam Rogożyn zmienił się w jedno nieruchome spojrzenie. Nie mógł się oderwać od Nastazji Filipowny, upajał się, był w ósmym niebie.

— A to królowa! — powtarzał co chwila, zwracając się do otoczenia — to po naszemu! —krzyczał, sam nie wie-

dząc, co mówi. — No, któż z was, złodzieje, na coś takiego się zdobędziecie, co?

Książę przyglądał się temu wszystkiemu smutny i milczący.

— Zębami wyciągnę za jeden jedyny tysiąc — zaproponował Fierdyszczenko.

— Zębami, to i jabym potrafił! — odezwał się pan z kułakami, z poza pleców sąsiadów, w przystępie prawdziwej rozpaczy. — Do d-j-abła! Pali się, wszystko się spali! — zawołał, ujrzawszy płomień.

— Pali się, pali! — krzyczeli wszyscy razem i prawie wszyscy rzucili się w stronę kominka.

— Ganiu, nie udawaj, po raz ostatni ci mówię!

— Dalejże! — ryknął Fierdyszczenko, rzucając się na Ganię z wściekłością i chwytając go za rękaw — dalejże, fanfaronie! Spali się! O prz-e-e-klęty!

Gania odepchnął z całej siły Fierdyszczenkę, odwrócił się i skierował się ku drzwiom, ale nie zdążył przejść paru kroków, zatoczył się i runął na podłogę.

— Zemdlał! — krzyknęli wszyscy.

— Pani droga, spalą się! — biadał Lebiediew.

— Napróżno się spalą! — wołali dokoła.

— Katiu, Pasza, dajcie mu wody, octu! — krzyknęła Nastazja Filipowna, schwyciła szczypce i wyciągnęła paczkę. Cały papier, będący nazewnątrz, spalił się, ale znać było, że wnętrze paczki zostało nietknięte. Wszystko było owinięte w potrójnie złożoną gazetę i pieniądze były nienaruszone. Wszyscy odetchnęli swobodniej.

— Chyba z jeden tylko tysiączek się zepsuł, reszta uratowana — powiedział, przymilając się Lebiediew.

— Wszystko jest jego! Cała paczka jest jego! Słyszycie, panowie! — oznajmiła Nastazja Filipowna, kładąc paczkę przy Gani — jednak nie poszedł, wytrzymał! Widocznie miłość własna silniejsza od chciwości: Nic mu nie będzie, odzyska przytomność. A przecieżby zarżnął... o, już przychodzi do siebie. Jenerale, Janie Piotrowiczu, Darjo Aleksiejewno, Katiu, Pasza, Rogożyn, słyszeliście? Paczka należy do niego, do Gani. Oddaję mu ją na własność, w nagrodę... no, mniejsza o to, za co! Powiedzcie mu to. Niech

tu przy nim leży... Rogożyn, jazda! Bądź zdrów, książę, po raz pierwszy widziałam człowieka! Żegnam pana, Atanazy Iwanowiczu, *merci!*

Cała banda rogożyńska rzuciła się ku drzwiom z hałasem i z krzykiem, idąc za Rogożynem i za Nastazją Filipowną. W salonie służące podały jej futro, przybiegła z kuchni kucharka Marta. Nastazja Filipowna ucałowała je wszystkie.

— Jakto, czy pani droga nas już ze wszystkiem opuszcza? A gdzież pani pójdzie? I jeszcze w dniu urodzin, w tak uroczysty dzień! — pytały zapłakane dziewczęta, całując ją po rękach.

— Na ulicę pójdę, Katiu, tam moje miejsce, słyszałaś przecież, a nie, to zgodzę się za praczkę. Dosyć już Atanazego Iwanowicza! Kłaniajcie mu się ode mnie i nie miejcie do mnie żalu...

Książę skoczył co tchu przed ganek, przed którym sadowili się już w czterech trójkach z dzwonkami. Jenerał dogonił go jeszcze na schodach.

— Na miłość Boską, niechże się książę opamięta! — zawołał, chwyciwszy go za rękę — daj spokój! Przecież widzisz, co to za jedna! Mówię do ciebie jak ojciec...

Książę spojrzał na niego, ale nie powiedziawszy ani jednego słowa, wyrwał się i pobiegł na dół.

Przed gankiem, skąd dopiero co odjechały trójki, widział jenerał, że książę zawołał pierwszego z brzegu dorożkarza i kazał mu jechać do Jekaterynpola, tam, dokąd się skierowały trójki. Następnie zajechały konie jenerała i zawiozły go do domu, z nowemi nadziejami i projektami i z perłą, której naturalnie nie zapomniał. Dwa razy stanął mu przed oczami ponętny obraz Nastazji Filipowny; westchnął.

— Szkoda! Wielka szkoda! Stracona na zawsze! Warjatka!... A dla księcia potrzeba teraz kogo innego, nie Nastazji Filipowny...

W tym samym sensie wypowiedzieli parę pocieszających i pożegnalnych słów i dwaj inni goście Nastazji Filipowny, postanawiając pójść pieszo.

— Wie pan, Atanazy Iwanowiczu, mówią, że u Japończyków podobne się dzieją rzeczy — mówił Jan Piotro-

wicz Pticyn — obrażony zwraca się podobno do obrażającego i mówi mu: „tyś mnie obraził, za to ja w twoich oczach rozpruję sobie brzuch“, i przy tych słowach rzeczywiście rozpruwa sobie brzuch w oczach obrażającego i podobno czuje niezwykłe zadowolenie, jakgdyby się rzeczywiście na nim zemścił. Dziwne bywają na świecie charaktery, Atanazy Iwanowiczu!

— Więc pan sądzi, że tu miało miejsce to samo — odpowiedział z uśmiechem Atanazy Iwanowicz — hm! Jednak to porównanie pańskie dowcipne... i piękne. Ale, kochany Janie Piotrowiczu, przecież pan sam widział, że zrobiłem, co tylko mogłem; więcej ponad to nie mogłem, zgodzi się pan ze mną? Ale zgodzi się pan również i na to, że ta kobieta miała pierwszorzędne zalety... wspaniałe cechy. Chciałem nawet dopiero co krzyknąć, gdybym sobie mógł na to pozwolić przy całej tej Sodomie, że ona sama jest najlepszym usprawiedliwieniem na wszystkie stawiane mi zarzuty. Kogo nie oczarowałaby ta kobieta aż do utraty rozsądku i... wszystkiego? Widział pan, ten cham, Rogożyn, rzucił jej sto tysięcy! Przypuśćmy, że wszystko to, co się tam teraz stało... romantyczne, nieprzyzwoite, ale zato barwne... zato oryginalne... zgodzi się pan, nieprawdaż? Boże, coby to mogło być z takim charakterem i z taką urodą! Ale pomimo wszelkich starań, nawet pomimo wykształcenia... wszystko przepadło! Nieszlifowany brylant... nieraz to mówiłem...

I Atanazy Iwanowicz głęboko westchnął.

XVII

W dwa dni po owem dziwnem zajściu u Nastazji Filipowny, książę Myszkin wyjechał do Moskwy w sprawie swego niespodziewanego spadku. Mówiono wtedy, że mogły być i inne powody takiego przyśpieszonego wyjazdu, ale tam o tem, jak i o przygodach księcia w Moskwie i wogóle przez cały czas jego nieobecności w Petersburgu, bardzo mało możemy powiedzieć. Książę był nieobecny przez całe sześć miesięcy i nawet ci, którzy dla tych, lub innych powodów mogli się interesować jego losami, niewiele o nim przez ten przeciąg

czasu wiedzieli. Dochodziły coprawda, chociaż i to rzadko, to do jednych to do drugich pewne niejasne pogłoski, ale po większej części jakieś dziwne i prawie zawsze sprzeczne. Najwięcej, ma się rozumieć, interesowano się księciem w domu Jepanczynych, z którymi on nawet, wyjeżdżając, nie zdążył się pożegnać. Jenerał widział się z nim wtedy coprawda i to niejednokrotnie; bardzo poważnie o czemś rozmawiali, ale chociaż sam Jepanczyn się z nim widział, rodzinie nic o tem nie mówił. I wogóle w pierwszych czasach, to jest prawie cały miesiąc po odjeździe księcia, w domu Jepanczynych nie było przyjęte, aby w jakikolwiek bądź sposób wspominać o księciu. Jedna tylko jenerałowa, Elżbieta Prokofjewna, powiedziała na samym początku, „że się okrutnie co do księcia pomyliła". Po dwóch, czy trzech dniach dodała, ale już nie wymieniając księcia, a wyrażając się ogólnie, że „głównym rysem w jej życiu był ciągły zawód co do spotykanych ludzi". I wkońcu, już po dziesięciu dniach, wypowiedziała w formie aforyzmu, zirytowawszy się o coś na córki, że „dosyć tych pomyłek! Już ich więcej nie będzie". Trudno przytem nie zauważyć, że w ich domu panował dosyć długo pewien nieprzyjemny nastrój. Jenerał był dzień i noc zatroskany i czynny, zwłaszcza w sprawach służbowych. Domowi prawie go nie widywali. Co zaś do panien Jepanczyn, głośno, ma się rozumieć, nic nie wypowiedziały. Bardzo być może, że i między sobą, na osobności nie wiele o tem mówiły. Były to dziewczyny dumne, pyszne i nawet w swojem kółku nieraz wstydliwe, a przytem rozumiały jedna drugą nietylko z jednego słówka, ale nawet z jednego spojrzenia, tak że, doprawdy, często mówić nie potrzebowały.

Postronny obserwator, nota bene, gdyby się taki znalazł, mógłby jedno tylko wywnioskować, a mianowicie, że sądząc z tego wszystkiego, książę zdążył wywrzeć w domu Jepanczynych szczególne wrażenie, chociaż zjawił się u nich raz tylko jeden i to na krótko. Bardzo być może, że było to tylko wprost zaciekawienie, dające się wytłumaczyć pewnemi dziwacznemi właściwościami księcia. Jakkolwiekbądź, wrażenie to zostało.

Z czasem i te pogłoski, które po mieście się rozniosły, poszły w zupełne zapomnienie. Mówiono coprawda o pew-

nym księciu, idjocie (nikt nie wiedział dokładnie jego nazwiska), który niespodzianie otrzymał olbrzymi spadek i żenił się z przejezdną Francuzką, znaną tancerką *Château des fleurs* w Paryżu. Inni znów mówili, że spadek odziedziczył jakiś jenerał, a żenił się z przejezdną Francuzką i znaną tancerką rosyjski kupczyk i niezrównany bogacz, który podczas ślubu dla prostej chełpliwości i po pijanemu spalił przy świecy za siedemset tysięcy biletów ostatniej pożyczki premjowej. Wkrótce jednak wszystkie te pogłoski ucichły, do czego się zresztą niemało przyczyniły okoliczności. Cała, naprzykład, banda Rogożyna, z której wielu mogłoby cośkolwiek opowiedzieć, udała się całą gromadą, z Rogożynem na czele, do Moskwy, w tydzień mniej więcej po strasznej orgji w Jekaterynhofie, w której wzięła udział i Nastazja Filipowna. Ten i ów z pośród interesujących się sprawą, słyszał, że Nastazja Filipowna, zaraz nazajutrz po Jekaterynhofie, uciekła, zniknęła i że jakoby wkońcu wyśledzono, że wyjechała do Moskwy; to też i w wyjeździe Rogożyna do Moskwy zaczęto upatrywać pewnego związku z owemi pogłoskami.

Słyszano również rozmaite pogłoski co do Gabrjela Ardaljanowicza, który w swojem kółku dosyć dobrze był znany. Lecz i z nim zaszła pewna okoliczność, łagodząca, a później zupełnie nawet niwecząca wszystko niedobre, któreby mu przypisywano: ciężko się rozchorował i nie mógł bywać nietylko nigdzie w towarzystwie, ale nawet i w biurze. Chorował miesiąc, potem wyzdrowiał, ale przestał zupełnie pracować w akcyjnem towarzystwie i miejsce jego zajął inny urzędnik. W domu jenerała Jepanczyna też nie zjawił się ani razu, tak, że i to miejsce zajął kto inny. Nieprzyjaciele Gabrjela Ardaljonowicza mogliby wnioskować, że on tak się wstydzi tego, co z nim zaszło, że na ulicy nie śmie się już pokazać; ale on rzeczywiście nie domagał; wpadł nawet w chorobliwy nastrój, zamyślał się, bywał rozdrażniony. Barbara Ardaljonowna wyszła tejże samej zimy za Pticyna; bliżsi znajomi przypisywali to małżeństwo tej okoliczności, że Gania nie chciał powrócić do swych zajęć i nietylko przestał utrzymywać rodziców, ale nawet sam potrzebował pomocy i niemal opieki.

Nawiasem mówiąc i o Gabrjelu Ardaljonowiczu nie

wspominało się już nawet w domu Jepanczynych, jakgdyby zupełnie zniknął ze świata, nietylko z ich domu. A tymczasem doszła do ich uszu wiadomość (i to dosyć prędko) o pewnej ważnej okoliczności, a mianowicie, że w ową fatalną dla niego noc, po nieprzyjemnem zajściu u Nastazji Filipowny, Gania, powróciwszy do domu, nie poszedł spać, lecz z gorączkową niecierpliwością wyczekiwał powrotu księcia. Książę wrócił z Jekaterynhofu o godzinie szóstej rano. Wtedy Gania wszedł do jego pokoju i położył przed nim na stole osmoloną paczkę pieniędzy, podarowaną mu przez Nastazję Filipownę, podczas, gdy leżał zemdlony. Nalegał i prosił, ażeby książę przy pierwszej sposobności zwrócił ten podarunek Nastazji Filipownie. Wchodząc do pokoju księcia, był Gania usposobiony wrogo i prawie doprowadzony do rozpaczy, podobno jednak zamieniwszy z księciem parę słów, przesiedział u niego dwie godziny i przez cały czas gorzko szlochał. Rozstali się jak przyjaciele.

Wiadomość ta, która doszła do Jepanczynych, była, jak się później okazało, zupełnie prawdziwa. Rzeczywiście, bardzo to dziwne, że tego rodzaju wiadomości mogły się tak prędko rozchodzić; o wszystkiem, naprzykład, co miało miejsce u Nastazji Filipowny, wiedziano w domu Jepanczynych już nazajutrz i to dosyć dokładnie i szczegółowo. Co do wiadomości o Gabrjelu Ardaljonowiczu, możnaby przypuścić, że doniosła je Jepanczynom Barbara Ardaljonowna, która nagle pojawiła się u panien Jepanczyn i nawet bardzo prędko stanęła na przyjacielskiej stopie z niemi, co niezmiernie dziwiło Jepanczynową. Jednak Barbara Ardaljonowna, która niewiadomo z jakich powodów, uważała za stosowne tak się zbliżyć do Jepanczynych, o bracie nie powiedziałaby na pewno ani słowa. Była to również kobieta dumna, pomimo to, że się zaprzyjaźniła z domem, z którego jej brat prawie został wyrzucony. Przedtem, chociaż znała panny Jepanczynówny, widywała je bardzo rzadko. Zresztą i teraz w salonie prawie się nie pokazywała i wpadała kuchennemi drzwiami. Jenerałowa nigdy jej nie zapraszała ani przedtem, ani teraz, chociaż bardzo ceniła Ninę Aleksandrownę, matkę Barbary Ardaljonowny. Dziwiła się i gniewała, przypisywała znajomość z Basią kaprysom i chęci przewodzenia swoich córek,

które „już nie wiedzą, co wymyślić, byle jej dokuczyć", a Barbara Ardałjonowna w dalszym ciągu do nich przychodziła tak przed zamążpójściem, jak i po niem.

W miesiąc mniej więcej po wyjeździe księcia, otrzymała jenerałowa Jepanczyn list od starej księżnej Biełokońskiej, która przed dwoma tygodniami wyjechała do Moskwy, do swojej starszej, zamężnej córki; list ten wywarł na jenerałowej silne wrażenie. Coprawda nic nie powiedziała ani córkom, ani Janowi Teodorowiczowi, ale po wielu objawach zauważono w rodzinie, że jest jakoś niezwykle podniecona, a nawet wzruszona. Zaczęła dziwnie zagadywać do córek i zawsze na jakieś niezwykłe tematy; widać było, że chce się wypowiedzieć, ale się powstrzymywała. W dniu odebrania listu dla wszystkic była czulsza, pocałowała nawet Agłaję i Adelajdę, za coś je szczególniej przepraszała, ale za co mianowicie, nie mogły odgadnąć. Nawet dla Jana Teodorowicza, dla którego przez cały ten miesiąc nie była łaskawa, stała się nagle uprzejma. Ma się rozumieć, na drugi dzień żałowała już swojej wczorajszej czułostkowości i jeszcze przed obiadem zdążyła się ze wszystkimi pogniewać, ale wieczorem znów się horyzont rozjaśnił. Wogóle przez cały tydzień była dosyć pogodnie usposobiona, co się już dawno nie zdarzało.

W tydzień później dostała drugi list od Biełokońskiej i tym razem postanowiła się wygadać. Uroczyście oznajmiła, że „stara Biełokońska" (nigdy poza plecami księżnej inaczej o niej nie mówiła), donosi jej zupełnie pocieszające rzeczy o tym... „dziwaku, no o tym... o... księciu!" Staruszka wyszukała go w Moskwie, wypytywała się o niego i dowiedziała się wiele dobrego; wkońcu sam książę zjawił się u niej i wywarł na niej niezwykle silne wrażenie. „Widać to chociażby z tego, że go prosiła, aby codzień rano u niej bywał; przyłazi codziennie i dotychczas się jej nie sprzykrzył" — zauważyła jenerałowa, dodając — że przez „starą" książę został przyjęty do kilku porządnych domów. To bardzo dobrze, że nie siedzi w domu i nie wstydzi się, jak głupiec.

Panny, którym to wszystko oznajmiono, zauważyły natychmiast, że mama bardzo dużo z listu musiała przemilczeć. Być może, że się o tem dowiedziały przez Barbarę Ardałjonownę, która mogła coś wiedzieć i na pewno wiedziała to

wszystko, co wiedział Pticyn o pobycie księcia w Moskwie. Do Pticyna zaś mogło dojść dużo więcej, niż do wszystkich innych, ale był to człowiek niezwykle milczący w tem, co dotyczyło interesów, chociaż Basi, ma się rozumieć, mówił wszystko. Dlatego też jenerałowa zaczęła jeszcze mniej lubić Barbarę Ardałjonownę.

Jakkolwiekbądź, lody zostały przełamane i od tej pory można już było mówić o księciu. Przytem znów się ujawniło, jak silne wywarł książę wrażenie i jakie bezgraniczne zainteresowanie wywołał w domu Jepanczynych. Jenerałowa zdumiona była wrażeniem, jakiego doznały jej córeczki po otrzymaniu wiadomości z Moskwy. A córeczki też ze zdziwieniem patrzały na mamę, która z jednej strony uroczyście im oznajmiła, że „głównym rysem w jej życiu, to ciągły zawód co do spotykanych ludzi“, a jednocześnie polecała księcia łaskawej pamięci „potężnej“ starej Biełokońskiej w Moskwie, przyczem nie obeszło się bez błagania o tę łaskawą pamięć, z zaklinaniem na imię Boga, gdyż stara była w pewnych okolicznościach bardzo sztywna.

Skoro tylko lody zostały przełamane i zapanował nowy nastrój, wypowiedział się również i jenerał. Okazało się, że i on niezwykle się tą sprawą interesował. Mówił zresztą jedynie o „faktycznej stronie przedmiotu“. Okazało się, że w interesie księcia polecił dwom dobrze myślącym i wpływowym panom w Moskwie ,aby mieli na oku zarówno jego, jak i jego opiekuna, Sałazkina. Wszystko, co mówiono o spadku, okazało się najzupełniejszą prawdą, to jest właściwie „sam fakt spadku“, ale nie jest on ostatecznie tak wielki, jak rozpowiadano. Położenie niezupełnie jasne; okazały się długi, zjawili się pretendenci, a książę, pomimo rozciągniętej nad nim opieki, zachowywał się zupełnie niepraktycznie. Ma się rozumieć, daj mu Boże jaknajlepiej: teraz, kiedy już pękły „lody milczenia“, jenerał cieszy się, że może o tem „zupełnie szczerze mówić, gdyż chociaż „chłopiec trochę tego“, ale w każdym razie to mu się należy. Tymczasem zdążył już narobić głupstw: zjawili się naprzykład wierzyciele nieboszczyka kupca, opierając się na wątpliwej wartości dowodach, a inni, przewąchawszy charakter księcia, zupełnie nawet bez dowodów, no i co? Książę prawie wszystkich zaspokoił, po-

mimo twierdzeń przyjaciół, że wszyscy ci ludzie, wszyscy ci wierzyciele nie mają do niczego najmniejszego prawa; on zaś dlatego tylko zaspokoił ich żądania, że się rzeczywiście przekonał, iż wielu z nich poniosło straty.

Jenerałowa odezwała się na to, że mniej więcej to samo pisze jej Biełokońska i że „to głupio, bardzo głupio; na głupotę niema lekarstwa", dodała szorstko, ale znać było z wyrazu jej twarzy, jak się cieszyła z czynów tego „głupca". W dodatku do wszystkiego zauważył jenerał, że jego żona interesuje się księciem jak rodzonym synem i że zaczęła jakoś strasznie pieścić Agłaję; widząc to, przyjął na pewien czas obojętny wyraz twarzy.

Niedługo jednakże panował ten przyjemny nastrój. Po dwóch tygodniach znów się coś nagle zmieniło, jenerałowa się zasępiła, a jenerał, wzruszywszy kilkakrotnie ramionami, poddał się „lodom milczenia". Szło mianowicie o to, że przed dwoma tygodniami otrzymał poufnie pewną wiadomość, treściwą i dlatego niezbyt jasną, ale jak się okazało prawdziwą, że Nastazja Filipowna, która z początku zniknęła gdzieś w Moskwie, została później tam przez Rogożyna odnaleziona, potem znów zginęła i znów ją odnalazł Rogożyn i wkońcu dała mu słowo, że na pewno za niego wyjdzie. I oto po dwóch tygodniach dostaje jego ekscelencja nagle wiadomość, że Nastazja Filipowna uciekła po raz trzeci, prawie że z przed ołtarza i tym razem zniknęła gdzieś w gubernji, a jednocześnie zniknął również z Moskwy i książę Myszkin, przekazawszy swoje interesy opiece Sałazkina, „z nią, czy też wprost za nią... niewiadomo, ale w tem coś jest" — wnioskował jenerał. Elżbieta Prokofjewna ze swej strony otrzymała jakieś niemiłe wiadomości. Ostatecznie, w dwa miesiące po wyjeździe księcia prawie już wcale o nim mowy nie było, a w domu Jepanczynych już nie pękały „lody milczenia". Barbara Ardałjonowna odwiedzała zresztą panny tak jak i przedtem.

Chcąc skończyć z wszystkiemi temi wypadkami i wiadomościami, dodamy jeszcze, że u Jepanczynych zaszło na wiosnę tyle zmian, że trudno było nie zapomnieć o księciu, który sam o sobie nic nie donosił, bo nie chciał donosić. Przez zimę, powoli, zdecydowano wyjazd na lato zagranicę; wyje-

chać miała Elżbieta Prokofjewna z córkami; jenerał nie mógł, ma się rozumieć, tracić czasu na „błahą rozrywkę". Postanowienie to wywołało bezustanne i uparte naleganie panien, które doszły do wniosku, że rodzice nie chcą ich zabrać zagranicę z powodu ciągłej troski i starań o wydanie ich zamąż i wyszukanie starających się o ich rękę. Być może, że i rodzice przekonali się wkońcu, że konkurenci mogą się znaleźć i zagranicą i że wyjazd na jedno lato nietylko niczemu nie przeszkodzi, ale kto wie, może nawet „się przydać". Wypada tutaj nadmienić, że projektowane małżeństwo Atanazego Iwanowicza Tockiego ze starszą z panien Jepanczyn zupełnie upadło i nawet do formalnych oświadczyn nie doszło. Ułożyło się to jakoś samo przez się, bez wielkich omawiań i kłótni rodzinnej. Od chwili wyjazdu księcia, z obu stron wszystko nagle ucichło. Okoliczność ta przyczyniła się również do ówczesnego ponurego nastroju w rodzinie Jepanczynych, chociaż jenerałowa nie omieszkała wypowiedzieć, jak bardzo się z tego cieszy i jak gotowa „podpisać się pod tem obiema rękami". Jenerał zaś, chociaż sam był w opałach i czuł się winny, na długo się jednak rozgniewał; żal mu było Atanazego Iwanowicza; „taki majątek i taki zręczny człowiek!" Wkrótce potem dowiedział się jenerał, że Atanazy Iwanowicz jest oczarowany pewną Francuzeczką z wyższych sfer towarzystwa, markizą i legitymistką, że ślub ma się odbyć i że Atanazego Iwanowicza zabiorą do Paryża, a potem gdzieś do Bretanji. — „Z Francuzeczką przepadnie" — zadecydował jenerał.

Tymczasem Jepanczynowie przygotowywali się do wyjazdu. Nagle zaszła okoliczność, która znów wszystko zmieniła i wyjazd został odłożony ku wielkiej radości jenerała i jenerałowej. Przybył z Moskwy do Petersburga pewien książę, książę S., znany zresztą z jak najlepszej strony. Był to jeden z tych ludzi, lub nawet można powiedzieć, z działaczy ostatnich czasów, uczciwych, skromnych, którzy szczerze i świadomie pragną dobra i pożytku, zawsze pracują i odznaczają się tą rzadką i szczęśliwą właściwością, że zawsze znajdują robotę. Nie wysuwając się na pierwszy plan, unikając rozjątrzenia i gadaniny partyjnej, nie stając w pierwszych szeregach, zrozumiał ów książę gruntownie to, co się

dokonywało w ostatnich czasach. Z początku był urzędnikiem, potem przyjął udział w samorządzie ziemskim. Poza tem był pożytecznym korespondentem kilku rosyjskich naukowych towarzystw. W porozumieniu z pewnym znajomym technikiem, dopomagał zebranemi wiadomościami i badaniami do nadania odpowiedniejszego kierunku jednej z najważniejszych projektowanych dróg żelaznych. Miał trzydzieści pięć lat. Był to człowiek z „najwyższych sfer towarzystwa" i przytem z majątkiem „ładnym, niezaprzeczenie poważnym", jak się wyraził jenerał, mając sposobność w pewnej, dosyć poważnej sprawie poznać się z księciem i zbliżyć z nim u hrabiego, swego naczelnika. Książę wskutek pewnej szczególnej ciekawości nie unikał nigdy znajomości z rosyjskimi wysokimi urzędnikami. Zapoznał się też przypadkiem z rodziną jenerała. Adelajda Iwanowna, średnia z trzech sióstr, wywarła na nim dość silne wrażenie. Na wiosnę oświadczył jej się książę. Adelajdzie spodobał się bardzo, spodobał się i jenerałowej. Jenerał był niezwykle uradowany. Rozumie się samo przez się, że wyjazd został odłożony. Ślub miał się odbyć na wiosnę.

Podróż mogła się zresztą odbyć i w połowie i w końcu lata, chociażby tylko jako przejażdżka jedno lub dwumiesięczna Elżbiety Prokofjewny z dwiema pozostałemi córkami dla ukojenia żalu po wyjeździe Adelajdy. Tymczasem znów coś wypadło: już pod koniec wiosny (ślub Adelajdy trochę się opóźnił, odłożono go do połowy lata) książę S.... wprowadził do domu Jepanczynych jednego ze swych dalekich krewnych. Był to niejaki Eugenjusz Pawłowicz R., człowiek jeszcze młody, lat dwudziestu ośmiu, fligel-adjutant, bardzo przystojny, ze „znakomitej rodziny", dowcipny, wspaniały, „nowy", „niezwykle wykształcony" i... z niesłychanym majątkiem. Co do tego ostatniego punktu jenerał był zawsze ostrożny. Zasięgnął wiadomości: „rzeczywiście jest coś podobnego... chociaż zresztą trzeba sprawdzić". Pozycję owego młodego i z „przyszłością" fligel-adjutanta niezwykle umocniła opinja, jaka nadeszła od starej Biełokońskiej z Moskwy. Pod jednym tylko względem jego konduita była nieco wątpliwa: mówiono o kilku miłostkach i, jak się wyrażano, o „zwycięstwie" nad pewnemi nieszczęśliwemi sercami. Od

chwili, gdy zobaczył Agłaję, stał się bardzo częstym gościem w domu Jepanczynych. Prawda, że nic jeszcze nie było wyraźnego, nawet mowy o niczem nie było, ale rodzice doszli do wniosku, że niema co tego lata myśleć o wyjeździe zagranicę. Być może, że sama Agłaja była innego zdania.

Zdarzyło się to mniej więcej w tym samym czasie, kiedy nasz bohater zjawił się po raz drugi w toku naszego opowiadania. Wtedy to, sądząc z pozorów, zdążyli w Petersburgu już zupełnie zapomnieć o biednym księciu Myszkinie. Gdyby się teraz nagle pojawił pomiędzy znajomymi, mieliby wrażenie, że spadł z nieba. A tymczasem opowiemy jeszcze jeden fakt i na tem zakończymy nasz wstęp.

Kola Iwołgin, po wyjeździe księcia, z początku prowadził dalej swój poprzedni tryb życia, to jest chodził do gimnazjum, do swego przyjaciela Hipolita, pilnował jenerała i pomagał Basi przy gospodarstwie, a właściwie był u niej na posyłkach. Lokatorowie wszakże prędko zniknęli: Fierdyszczenko wyjechał w trzy dni po zajściu u Nastazji Filipowny i prędko się gdzieś zawieruszył, tak że nawet nic o nim nie było słychać; mówili, że pije, ale nikt na pewno nie wiedział. Książę wyjechał do Moskwy; w ten sposób zakończyło się wynajmowanie pokojów. Później, kiedy już Basia wyszła zamąż, Nina Aleksandrowna i Gania przenieśli się z nią do Pticyna, na ulicę Izmajłowskiego pułku; co zaś do jenerała Iwołgina, zaszła w nim mniej więcej w tym samym czasie pewna bardzo nieprzyjemna okoliczność: został zamknięty w więzieniu za długi. Przyczyniła się do tego jego przyjaciółka, kapitanowa, na mocy wydanych jej w różnych okresach czasu dowodów na ogólną sumę dwóch tysięcy rubli. Wszystko to było dla niego zupełną niespodzianką i biedny jenerał był „rzeczywiście ofiarą swojej niepohamowanej wiary w szlachetność ludzkiego serca, w ogólnem tego słowa znaczeniu". Przyzwyczaiwszy się do podpisywania weksli, nie przypuszczał nawet, aby można było z nich kiedykolwiek bądź korzystać; myślał, że wszystko było tylko t a k s o b i e. Okazało się, że było inaczej. „I wierz tu potem ludziom, okazuj im szlachetne zaufanie!"... wołał rozgoryczony, siedząc z nowymi przyjaciółmi, w domu Tarasowa, przy butelce wina i opowiadając i anegdoty o oblężeniu Karsu i o zmar-

twychwstałym żołnierzu. Życie zresztą ułożyło mu się przyjemnie. Pticyn i Basia mówili, że to jest właśnie jego właściwe miejsce; Gania potwierdził to w zupełności. Jedna tylko biedna Nina Aleksandrowna pokryjomu gorzko płakała (ku wielkiemu zdziwieniu wszystkich) i wiecznie chora, wlokła się, jak tylko mogła najczęściej na widzenia z mężem.

Od chwili „wypadku z jenerałem", jak się wyrażał Kola, i wogóle od ślubu siostry, Kola oddalił się od nich prawie zupełnie i doszło nawet do tego, że w ostatnich czasach rzadko się zjawiał i rzadko nocował w domu. Chodziły pogłoski, że nawiązał dużo nowych znajomości; przytem stał się bardzo znany i w więzieniu za długi. Nina Aleksandrowna obejść się tam bez niego nie mogła; w domu zaś już go nawet nie męczyli zbytnią ciekawością. Basia, która przedtem tak surowo się z nim obchodziła, nie badała go już teraz co do jego wędrówek; a Gania, ku wielkiemu zdziwieniu domowych, „rozmawiał z nim po przyjacielsku, pomimo swej hipohondrji, co się nigdy przedtem nie zdarzało, gdyż dwudziestosiedmioletni Gania nie zwracał najmniejszej uwagi na swego piętnastoletniego brata, obchodził się z nim ordynarnie, wymagał dla niego od całej rodziny bezwzględnej surowości i bezustannie groził „dobraniem się do jego uszu", co naturalnie doprowadzało Kolę do ostatnich granic cierpliwości. Teraz można było przypuszczać, że Kola stawał się nieraz wprost niezbędny dla brata. Uderzyło go to bardzo, że Gania zwrócił wtedy pieniądze; za to jedno gotów był mu dużo przebaczyć.

Upłynęły trzy miesiące od wyjazdu księcia i dowiedziano się w rodzinie Iwołginych, że Kola zapoznał się nagle z Jepanczynami i został przez panny bardzo dobrze przyjęty. Basia prędko się o tem dowiedziała; Kola nie przez nią się zresztą zapoznał, lecz „sam przez siebie". Z czasem polubili go u Jepanczynych. Jenerałowa była z początku bardzo z niego niezadowolona, ale wkrótce zaczęła go cenić „za szczerość i za to, że nie pochlebia". Że Kola nie pochlebiał, to zupełna prawda; umiał postawić się u nich na równej z nimi stopie, chociaż czytywał czasem jenerałowej książki i gazety... ale on zawsze był usłużny. Dwa razy strasznie się pokłócił z Elżbietą Prokofjewną, oznajmił jej, że jest de-

spotką i że noga jego więcej w jej domu nie postanie. Za pierwszym razem pogniewali się o „kwestję kobiecą“, a za drugim razem o to, w jakiej porze najlepiej łapać czyżyki? Jakkolwiek się to wydaje nieprawdopodobne, jednak za trzecim razem po sprzeczce przysłała mu jenerałowa przez lokaja bilecik, z prośbą, aby się do niej pofatygował; Kola nie był uparty i przyszedł. Jedna tylko Agłaja nie była dla niego dobrze usposobiona i traktowała go z góry. A właśnie ją miał do pewnego stopnia wprowadzić w zdumienie. Któregoś dnia... w tygodniu wielkanocnym... korzystając, że są chwilkę sami, wręczył Kola Agłai list, mówiąc jedynie, że polecono oddać jej samej. Agłaja obrzuciła groźnem spojrzeniem „zarozumiałego chłopca“, ale Kola nie czekał dłużej i wyszedł. Rozwinęła kartkę i przeczytała:

„Zaszczyciła mnie pani kiedyś swojem zaufaniem. Być może, już mnie pani teraz zupełnie zapomniała. Jak się to stało, że ja do pani piszę? Nie wiem: ale zjawiło się we mnie niepohamowane pragnienie przypomnieć się pani i właśnie pani. Nieraz potrzebowałem pań wszystkich trzech, ale z was trzech widziałem tylko panią. Jest mi pani potrzebna, bardzo potrzebna. Nie mam nic do powiedzenia pani o sobie, nic do napisania. I nie o to mi szło; strasznie bym pragnął, żeby pani była szczęśliwa. Czy pani jest szczęśliwa? To tylko chciałem pani powiedzieć.

Brat *Ks. L. Myszkin*“.

Przeczytawszy tę króciutką i dość niezrozumiałą kartkę, Agłaja zaczerwieniła się i zamyśliła. Trudno byłoby określić bieg jej myśli. Między innemi zadawała sobie pytanie; „pokazać komu, czy nie pokazać?“ Była jakaś zawstydzona. Skończyło się na tem, że z kpiącym i dziwnym uśmiechem rzuciła list do szuflady. Nazajutrz znów go wyjęła i włożyła do grubej książki, w mocnej oprawie (robiła tak zawsze ze swemi papierami, aby je łatwo znaleźć, gdy jej będą potrzebne). Dopiero w tydzień później zobaczyła przypadkiem co to za książka. — Był to Don Kichot z Lamanchy. Agłaja roześmiała się serdecznie... dlaczego, niewiadomo.

Niewiadomo również, czy pokazała ów list siostrom.

Lecz kiedy znów wzięła się do czytania go, przyszło jej

na myśl: czyżby ten chłopiec i fanfaron był rzeczywiście wybrany przez księcia na korespondenta i może jest nawet jedynym jego tutaj korespondentem? Z wyrazem niezwykłej pogardy zaczęła badać Kolę. Jednak obraźliwy zwykle „chłopiec“ nie zwrócił tym razem najmniejszej uwgai na jej powagę; krótko i dosyć sucho wytłumaczył Agłai, że chociaż podał księciu na wszelki wypadek stały swój adres i to przed samym jego wyjazdem z Petersburga i jednocześnie ofiarował mu swoje usługi, jest to pierwsze polecenie, jakie od niego odbiera i pierwsza jego kartka. Jednocześnie na dowód swej prawdomówności pokazał list, który sam odebrał. Agłaja nie powstydziła się i przeczytała. W liście do Koli było:

„Miły Kola, niech pan będzie tak dobry oddać załączoną, zapieczętowaną kartkę Agłai Iwanownie. Bądź zdrów.

Kochający pana *Ks. L. Myszkin.*

— Zawsze to śmieszne powierzać takie rzeczy bębnowi — powiedziała z obrazą w głosie Agłaja, oddając Koli kartkę i z pogardą odeszła.

Tego już Kola nie mógł znieść: przecież on dziś umyślnie w tym celu wyprosił u Gani, nie mówiąc mu po co, aby mógł włożyć jego nowy jeszcze, zielony krawat. Był strasznie obrażony.

XVIII

Było to w pierwszych dniach czerwca; przez cały tydzień pogoda w Petersburgu była wyjątkowo ładna. Jepanczynowie mieli w Pawłowsku bogatą willę. Elżbieta Prokofjewna postanowiła nagle wyjechać; nie minęły dwa dni, jak wyjechali.

Na drugi czy trzeci dzień po wyjeździe Jepanczynych, rannym pociągiem z Moskwy przyjechał książę Lew Mikołajewicz Myszkin. Nikt nie wyszedł na jego spotkanie, ale gdy książę wychodził z wagonu, przywidziało mu się dziwne, przejmujące spojrzenie pary oczu w tłumie, przyjmującym przyjezdnych. Spojrzawszy uważniej, nic więcej nie spostrzegł. Widocznie było to przywidzenie, ale wrażenie

zostało nieprzyjemne. Przytem i tak był książę smutny i zamyślony i wyglądał jakby zakłopotany.

Dorożkarz zawiózł go do hotelu, niedaleko od Litiejnej. Był to marny hotelik. Książę zajął dwa nieduże pokoje, ciemne i źle umeblowane, umył się, ubrał, niczego nie zażądał i czem prędzej wyszedł, jakgdyby nie chciał tracić czasu, lub bał się, że kogoś w domu nie zastanie.

Gdyby teraz spojrzał na niego ktokolwiek bądź z poprzednio znających go ludzi w Petersburgu, za czasów pierwszego jego przyjazdu, doszedłby pewno do wniosku, że powierzchowność jego zmieniła się na lepsze. Czyż jednak tak było w istocie. W ubraniu tylko była zupełna zmiana: całe ubranie było inne, uszyte w Moskwie przez dobrego krawca, lecz i tu były różne braki: wszystko było jakoś zanadto modne (tak, jak zawsze szyją sumienni, lecz niezbyt zdolni krawcy), zwłaszcza dla człowieka tem się nie interesującego, tak że przy uważnem wejrzeniu na księcia, ludzie pochopni do śmiechu, mogliby się uśmiechnąć. Z czegoż się jednak nie śmieją!

Książę wziął dorożkę i pojechał na Piaski. Na jednej z Rożdiestwienskich ulic odnalazł z łatwością pewien nieduży, drewniany domek. Ku wielkiemu jego zdziwieniu, domek ten był napozór zupełnie ładny, czyściutki, utrzymany w wielkim porządku, z ogrodzeniem, za którem rosły kwiaty. Okna ze strony ulicy były otwarte i słychać było przez nie głosy ludzkie, nieomal że okrzyki i tak jakby głośno czytano, lub nawet wypowiadano mowę; głos mówiącego przerywały od czasu do czasu wybuchy śmiechu kilku dźwięcznych głosów. Książę wszedł na podwórze, potem na ganek i zapytał o pana Lebiediewa.

— Oto jest — odpowiedziała, otwierając mu drzwi, kucharka z zawiniętemi do łokcia rękawami i wskazując palcem „salon". W salonie tym, obitym ciemno-niebieską tapetą i urządzonym czysto i nieco pretensjonalnie, to jest z okrągłym stołem i z kanapą, z bronzowym zegarem pod kloszem, z wąskiem lustrem pomiędzy oknami i ze starym niedużym kryształowym żyrandolem, zwieszającym się od sufitu na bronzowym łańcuchu, stał na samym środku pokoju sam pan Lebiediew, zwrócony tyłem do wchodzącego

księcia, w kamizelce, ale bez marynarki, po letniemu, i bijąc się w piersi, głośno przemawiał. Słuchaczami byli: piętnastoletni chłopczyk, z dosyć wesołą i niegłupią twarzą, z książkę w ręku, młoda dwudziestoletnia panienka w żałobie i z niemowlęciem na rękach, trzynastoletnia dziewczynka, też w żałobie, śmiejąca się głośno i strasznie przytem otwierająca usta, i wkońcu pewien bardzo dziwny słuchacz, leżący na kanapie, mały, dwudziestoletni, niebrzydki brunecik, z długiemi, gęstemi włosami, z czarnemi, dużemi oczami, z lekkiemi zarysami faworytów i bródki. Słuchacz ów często przerywał mówcy i sprzeczał się z nim; z tego się też jawnie śmiała reszta publiczności.

— Lucjanie Tymofieiczu, no, Lucjanie Tymofieiczu! Widział to kto? Niechże pan patrzy! Wstydziłby się pan!...

I kucharka wyszła, machnąwszy ręką i taka zła, że aż poczerwieniała ze złości.

Lebiediew obejrzał się i zobaczywszy księcia, stał przez chwilę jakby rażony piorunem, następnie rzucił się ku niemu z uniżonym uśmiechem, lecz w drodze znów jakby skamieniał, wypowiadając:

— Ja-ja-śnie oświecony książę!

Nagle, jakgdyby jeszcze nie mógł odzyskać równowagi, odwrócił się i ini stąd ni zowąd rzucił się nagle ku panience w żałobie, trzymającej dziecko na rękach, tak, że zaskoczona, cofnęła się nawet trochę, ale zostawił ją w spokoju, rzucił się ku trzynastoletniej dziewczynce, siedzącej na progu sąsiedniego pokoju i uśmiechającej się jeszcze resztkami dawnego śmiechu. Ta nie zniosła krzyku i dała zaraz nura do kuchni; Lebiediew tupnął nawet za nią nogą, żeby ją bardziej nastraszyć, ale spotkawszy się ze spojrzenim księcia, patrzącego z zakłopotaniem, powiedział:

— Przez... uszanowanie, he! he! he!

— Poco pan to wszystko — zaczął książę.

— Zaraz, zaraz, zaraz... w mgnieniu oka!

I Lebiediew znikał w pokoju. Książę spojrzał ze zdziwieniem na dziewczynkę, na chłopca i na leżącego na kanapie; wszyscy się śmieli. Roześmiał się i książę.

— Poszedł włożyć frak — powiedział chłopczyk.

— Jakież to wszystko przykre — zaczął mówić książę — a ja myślałem... powiedzcie, on...

— Myśli pan, że on pijany? — zawołał głos z kanapy: — ani odrobinki. No tam zaledwie trzy, cztery, pięć kieliszeczków, cóż to wielkiego — tak, żeby nie wyjść z wprawy.

Książę zwrócił się w stronę mówiącego, ale odezwała się dziewczynka i z wyrazem szczerości na swej miłej twarzyczce, powiedziała:

— On rano nigdy dużo nie pije; jeśli pan ma jaki interes, niech pan go teraz załatwi. Najlepsza pora. Wieczorem wraca do domu pijany; chociaż teraz raczej płacze i czyta nam głośno Pismo Święte, bo przed pięciu tygodniami umarła nasza mama.

— Pewno dlatego uciekł, że trudno mu panu odpowiadać — roześmiał się młody człowiek, siedzący na kanapie. — Założę się, że on chce pana oszukać i już teraz coś obmyśla.

— Tylko pięć tygodni! Zaledwie pięć tygodni! — podchwycił Lebiediew, wracając już we fraku, mrugając oczami i wyciągając z kieszeni chustkę dla otarcia łez. — Sieroty!

— Jakże można tak w dziurach chodzić? — powiedziała dziewczynka — za drzwiami wisi przecież nowiuteńki tużurek, nie widział ojciec, czy co?

— Milcz, dudku! — krzyknął na nią Lebiediew. — Och, ty! — tupnął na nią nogą, lecz tym razem roześmiała się tylko.

— Czegoż mnie ojciec straszy, ja przecież nie Tania, nie ucieknę. Jeszcze się Luboczka rozbudzi i może dostać ataku konwulsyj... czego ojciec krzyczy?

— Nie-nie-nie! Ci-i-cho! Ci-i-cho — przestraszył się nagle okropnie Lebiediew, i rzucając się ku dziecku, śpiącemu na rękach córki, przeżegnał je kilkakrotnie. — Niech Pan Bóg broni! Niech Pan Bóg broni! To moje własne niemowlę, córka Lubow—zwrócił się do księcia—urodzona z jak najbardziej prawnego małżeństwa z nieboszczki żony mojej, Heleny, która umarła przy połogu. A ta pigwa, to moja córka, Wiara, w żałobie... A ten, ten, ten o, ten ..

— Cóżeś stanął? — zawołał młody człowiek! — mów dalej, nie wstydź się.

— Jaśnie oświecony książę! — krzyknął nagle z zapałem Lebiediew — czytał pan w gazetach o zabójstwie rodziny Zemarinych?

— Czytałem — powiedział książę z lekkiem zdziwieniem.

— No więc jest to istotny morderca rodziny Zemarinych, sam, we własnej osobie.

— Co pan mówi? — powiedział książę.

— To znaczy, że mówiąc w przenośni, jest to przyszły drugi morderca przyszłej rodziny Zemarinych, jeśli taka rodzina istnieć będzie. Na to się zanosi.

Wszyscy się roześmieli. Księciu przyszło do głowy, że Lebiediew może naprawdę kręci i zagaduje, gdyż przeczuwa jego pytania, nie wie, jak na nie odpowiedzieć i chce zyskać na czasie!

— Podburza! Spiskuje! — krzyczał Lebiediew, jakgdyby nie mogąc nad sobą zapanować — no, czy ja mogę, czy ja mam prawo takiego potwarcę, takiego, że tak powiem, wszetecznika i potwora uważać za mego bliskiego krewnego, za jedynego syna siostry mojej, Anisji, nieboszczki?

— Dajże spokój, ty pijaku! Czy książę uwierzy, że on teraz postanowił zostać adwokatem, zajmować się sprawami sądowemi; zrobił się teraz wymowny i w domu z dziećmi rozmawia kwiecistym stylem. Mówił przed pięciu dniami wobec sędziów pokoju. I kogoż on to bronił? Nie staruszkę, która go błagała, prosiła, i którą podły lichwiarz ograbił, pięćset rubli, całe jej mienie sobie przywłaszczył, lecz tego właśnie lichwiarza, Zajdlera, Żyda, za to, że mu obiecał pięćdziesiąt rubli...

— Pięćdziesiąt rubli, jeśli wygram, a tylko pięć, jeśli przegram — objaśnił nagle Lebiediew, zupełnie innym głosem, niż dotychczas, i tak jakgdyby nigdy nie krzyczał.

— I wkopał się, ma się rozumieć, teraz już nie te dawne czasy, tylko go tam wyśmieli. Ale on strasznie ze siebie zadowolony; przypomnijcie sobie, powiada, bezstronni panowie sędziowie, że pożałowania godny starzec, kaleka,

utrzymujący się z uczciwej pracy, wyrzeka się ostatniego kęsa chleba; przypomnijcie sobie mądre słowa prawodawcy: „Miłosierdzie niechaj panuje w sądach". I czy pan da wiarę: dzień w dzień powtarza nam tutaj tę samą mowę, dosłownie tak, jak ją tam mówił; dziś słyszymy ją po raz piąty; o, i teraz recytował, przed samem pana przyjściem, tak mu się to podobało. Na samą myśl o tem oblizuje się. I znów ma zamiar kogoś bronić. Pan, zdaje się, książę Myszkin? Mówił mi Kola, że ludzi równie mądrych, jak pan, w życiu swojem nie spotykał...

— A nie! A nie! Niema na świecie mądrzejszych! — podchwycił natychmiast Lebiediew.

— Co do tego, przypuśćmy, że zełgał. Jedni pana lubią, a drudzy się podlizują; a ja zupełnie nie mam zamiaru panu pochlebiać, niech pan o tem wie. Ale przecież ma pan olej w głowie; niechże pan rozsądzi naszą sprawę. No, chcesz, książę rozsądzi sprawę? — zwrócił się do starego. — Wie książę, cieszę się nawet, że się pan nawinął.

— Chcę — krzyknął stanowczym głosem Lebiediew i mimowoli obejrzał się za publicznością, która znów zaczęła się gromadzić.

— A o cóż to chodzi? — powiedział książę, zmarszczywszy brwi.

Bolała go rzeczywiście głowa, przytem dochodził coraz bardziej do przekonania, że Lebiediew go nabiera i cieszy się, że może odwlec sprawę.

— Treść sprawy. Jestem jego krewnym, tego nie zełgał, chociaż łże ciągle. Nauk nie kończyłem, ale chcę kończyć i postawię na swojem, bo mam charakter. Tymczasem zaś muszę żyć, więc biorę na kolei posadę za dwadzieścia pięć rubli. Przyznaję poza tem, że on mi dwa, czy trzy razy już pomógł. Miałem dwadzieścia rubli i przegrałem je w karty. Czy książę uwierzy, tak byłem podły, tak niski, że przegrałem te pieniądze!

— Do szubrawca, do szubrawca, któremu nie potrzebowałeś nawet płacić — krzyknął Lebiediew.

— Tak, szubrawca, ale któremu musiałem zapłacić — mówił dalej młody człowiek. A, że szubrawiec, mogę poświadczyć, i to nietylko dlatego, że cię pobił... Jest to, widzi

książę, wykolejony oficer, dymisjonowany porucznik z poprzedniej rogożyńskiej bandy i wykłada sztukę boksu. Wszyscy się oni teraz tułają, odkąd ich Rogożyn rozpędził. Ale co jest najgorsze, to, że ja wiedziałem, iż to szubrawiec, łajdak i złodziej, a jednak usiadłem do gry i rzucając ostatniego rubla, myślałem sobie: przegram, to pójdę do wuja Łukjana, poproszę, nie odmówi. To już jest podłość, ach, jaka to podłość. To już jest rozmyślna podłość!

— Tak, to już jest świadoma podłość! — powtórzył Lebiediew.

— No, nie ciesz się, poczekaj jeszcze — zawołał urażony siostrzeniec. — On już się cieszy. Przyszedłem do niego, książę, i do wszystkiego się przyznałem; postąpiłem szlachetnie, nie oszczędzałem się; wymyślałem przed nim na siebie, jak tylko mogłem, wszyscy tu mogą poświadczyć. Żeby móc objąć tę posadę na kolei, muszę się jakkolwiek wyekwipować, chodzę przecież w łachmanach. Niechże pan spojrzy na trzewiki! Inaczej przedstawić się nie mogę, a jeśli się nie stawię na naznaczony termin, miejsce zajmie kto inny, ja znów zostanę na koszu i Bóg wie kiedy znajdę co nowego. Proszę go teraz tylko o piętnaście rubli i obiecuję ,że już nigdy prosić go nie będę i w dodatku przez pierwsze trzy miesiące spłacę go do ostatniej kopiejki. Dotrzymam słowa. Umiem żyć całemi miesiącami chlebem i kwasem, gdyż mam charakter. Przez trzy miesiące dostanę siedmdziesiąt pięć rubli. Z poprzednim długiem będę mu wszystkiego winien trzydzieści pięć rubli, więc będę miał z czego zapłacić. A niech wymaga procentu, jakiego mu się podoba; niech go djabli wezmą! Czyż on mnie nie zna? Niech go książę zapyta: czy przedtem, kiedy mi pomagał, nie spłacałem go; czy nie? Dlaczegóż on teraz nie chce? Rozzłościł się o to, że zapłaciłem temu porucznikowi: innego powodu niema! Oto co to za człowiek: ani dla siebie, ani dla innych!

— I nie rusza się stąd! — zawołał — Lebiediew — położył się i nie odchodzi.

— Powiedziałem ci: nie wyjdę, dopóki nie dasz. Czego się książę uśmiecha? Uważa pan, że nie jestem w swojem prawie?

— Nie uśmiecham się, ale podług mnie, pan rzeczywiście trochę nie ma słuszności — odezwał się książę niechętnie.

— Niechże pan powie, że zupełnie nie mam słuszności, niech pan nie kręci; co to jest „trochę".

— Jeśli pan chce, to powiem: zupełnie nie ma pan słuszności.

— Jeśli ja chcę! Zabawne! A czyż pan myśli, że ja sam nie wiem, że to nieładnie tak postępować, że pieniądze są jego i jego wola, a zmojej strony jest tylko gwałt. Ale książę... pan życia nie zna. Jeśli się takich uczyć nie będzie, do ładu nie dojdziemy. Trzeba uczyć. Ja mam czyste sumienie; sumienie mi mówi, że mu krzywdy nie zrobię, zwrócę wszystko z procentami. Miał również moralne zadowolenie: widział moje poniżenie. Czegóż mu więcej potrzeba? I cóż on sam jest wart, co z niego za pożytek? Niechże się pan zlituje, cóż on takiego robi? Niech go się pan zapyta, czem się on zajmuje, on i jemu podobni, i jak on ludzi nabiera? W jaki sposób ten dom nabył? Tak, głowę daję, że on już pana nabrał i obmyślił, jak pana dalej nabierać. Uśmiecha się pan, nie wierzy pan?

— Zdaje mi się, że to z pańską sprawę nie ma nic wspólnego — zauważył książę.

— Trzeci dzień już tu leżę i czego ja się tu nie napatrzyłem! — krzyczał młody człowiek, nie zwracając na księcia uwagi — niech sobie pan wyobrazi, że on teraz tego anioła, tę oto dziewczynkę, dziś już sierotę, córkę swoją, podejrzewa i co noc kochanków u niej szuka! Przychodzi tu do mnie po cichutku, i szuka też pod moją kanapą. Zwarjował już zupełnie z podejrzliwości; w każdym kącie widzi złodzieja. W nocy ciągle się zrywa, biegnie do okna, patrzy, czy dobrze zamknięte, próbuje drzwi, zagląda do pieca, i to po siedm razy wprzeciągu jednej nocy. W sądzie staje w obronie oszustów, a sam po nocach się modli, tu w tym pokoju, na kolanach, po pół godziny głową o ziemię wali, i za kogo on się nie modli, kogo do tych modłów po pijanemu nie miesza! Modli się za spokój duszy hrabiny du Barry, słyszałem sam, na własne uszy; Kola również słyszał; zupełnie oszalał!

— Widzi książę, słyszy książę, jak on mnie oczernia! — krzyknął czerwony i rzeczywiście nieprzytomny ze złości Le-

biediew. — A tego to on nie wie, że ja jestem pijak i łotr, zbój i szkodliwiec, a choćby dlatego jestem coś wart, żem tego szydercę, kiedy był niemowlęciem, powijał, mył w korycie, i u biedaczki, owdowiałej siostry mojej Anisji, ja, taki sam biedak, po nocach przesiadywałem, oka nie zmrużyłem, ich oboje chorych doglądałem, u stróża na dole drwa kradłem, piosenki mu śpiewałem, klaskałem w ręce i to wszystko z pustym żołądkiem, no, i wyniańczyłem go, a teraz on ze mnie szydzi! I co tobie do tego, jeślibym naprawdę za duszę hrabiny du Barry się przeżegnał? Widzi książę, ja przed czterema dniami, po raz pierwszy w życiu, przeczytałem w encyklopedji jej życiorys. A czy ty wiesz kto to taka du Barry? Mów, wiesz, czy nie?

— Ty tylko jeden wiesz? — szyderczo, ale niechętnie mruknął młody człowiek.

— Była to taka hrabina, która, sądząc z pozorów, rządziła zamiast królowej i do której pewna wielka monarchini napisała w liście własnoręcznie *ma cousine*. Kardynał, nuncjusz papieski, oświadczył się z gotowością włożenia jej na *levée du roi* (wiesz, co tobyło *levée du roi?*) pończoszek jedwabnych na obnażone jej nóżki i w dodatku uważał to za zaszczyt, taka to była wysoko postawiona osoba! Czy ty o tem wiesz? Widzę z twojej twarzy, że nic nie wiesz. No, w jaki sposób umarła? Mów, jeśli wiesz!

— Idź precz! A to się przyczepił!

— Umarła tak że, po takiem uwielbieniu, taką była władczynią, że zaciągnął ją na gilotynę kat Sanson, niewinnie, na pociechę poissardek paryskich, i ze strachu nie wiedziała nawet, co się z nią dzieje. Widzi, że jej kat szyję pod nóż przechyla i popycha ją, tamte się śmieją, zaczęła wołać: *Encore un moment, monsieur le bourreau, encore un moment!* To znaczy: „Niech pan jeszcze chwileczkę poczeka, panie kacie, jedną tylko chwileczkę". I za tę właśnie jedną chwileczkę może jej Bóg wybaczy, bo więcej takiej *misèry* w duszy ludzkiej wyobrazić sobie można. A czy ty wiesz, co znaczy słowo *misère?* Ach, ty sam jesteś *misère*. Kiedy przeczytałem o tym okrzyku hrabiny i o tej jednej chwileczce, to jakgdyby mi kto serce rozrywał kleszczami. I co ci do tego, robaku, że ja, kładąc się spać, wspomniałem przy modlitwie tę wielką

grzesznicę. A może ją dlatego wymieniłem, że za nią od stworzenia świata nikt się nawet może nie przeżegnał, nikomu to na myśl nie przyszło. A przyjemnie jej będzie na tamtym świecie, gdy zobaczy, że znalazł się taki grzesznik, jak i ona, który i za nią choć raz jeden się pomodlił. Czego ty się śmiejesz? Nie wierzysz, ateuszu. A skąd ty wiesz? I zełgałeś, jeśliś mnie już podsłuchał: nietylko za hrabinę du Barry się modliłem; powiedziałem tak: „daj Boże wieczny odpoczynek wielkiej grzesznicy hrabinie du Barry i wszystkim jej podobnym“, a to jest zupełnie co innego. Dużo jest takich wielkich grzesznic i przykładów zmiany fortuny, i takich, które dużo cierpiały, i teraz jęczą i czekają; ja i za ciebie się modliłem i za takich jak ty, tobie podobnych zuchwalców i natrętów, jeśli się już bierzesz do podsłuchiwania, jak ja się modlę...

— No, dosyć, dosyć, módl się za kogo ci się podoba i idź do djabła! A to się rozkrzyczał! — przerwał mu z gniewem siostrzeniec. — Przecież on jest bardzo oczytany, książę nie wiedział? — dodał z uśmiechem. — Ciągle teraz czyta różne takie książki i pamiętniki.

— Pański wuj nie jest jednak takim... bez serca człowiekiem — zauważył książę z niechęcią. (Ten młody człowiek stał się dla niego zupełnie wstrętny).

— A to go pan zachwala! Widzi pan, już przykłada rękę do serca, usta układa w dzióbek, zaraz mu zasmakowało. Bez serca on nie jest, ale oszust, to gorzej; w dodatku pijany, cały się rozklekotał, jak zwykle pijacy w pewnym wieku. Dzieci, dajmy na to, kocha, ciotkę nieboszczkę cenił... Mnie też kocha i w testamencie przecież mi tam coś zostawił.

— N-nic a nic nie zostawię! — powiedział ze złością Lebiediew.

— Lebiediew, niech pan posłucha — powiedział ostro kisążę ,odwracając się od młodego człowieka — wiem z doświadczenia, że kiedy pan chce, ma pan głowę do interesów... Ja mam teraz bardzo mało czasu i jeśli pan... Przepraszam, jakie jest imię pana i imię ojca, zapomniałem.

— T.... ti... Timofiej.

— I?

— Łukjanowicz.

Wszyscy obecni w pokoju znów się roześmieli.

— Zełgał! — krzyknął siostrzeniec — i tutaj skłamał! On, proszę księcia, wcale się nie nazywa Timofiej Łukjanowicz, tylko Łukjan Timofiejewicz! No, powiedz, dlaczegoś ty skłamał? Czy to nie wszystko jedno Łukjan czy Timofiej i co to księcia obchodzi? Z przyzwyczajenia kłamie, słowo panu daję!

— Naprawdę? — zapytał niecierpliwie książę.

— Łukjan Timofiejewicz, rzeczywiście — potwierdził zmieszany Lebiediew, pokornie spuszczając oczy i znów kładąc rękę na sercu.

— Więc dlaczego pan... ach, Boże drogi!

— Przez pokorę — szepnął Lebiediew, coraz niżej i coraz pokorniej chyląc głowę.

— Jaka tam pokora! Gdybym ja tylko wiedział, gdzie Kolę znaleźć można! — powiedział książę i zabrał się do wyjścia.

— Ja panu powiem, gdzie jest Kola — odezwał się znów młody człowiek.

— N... n... nie! — zawołał Lebiediew czem prędzej.

— Kola tu nocował, ale rano poszedł na poszukiwanie swojego jenerała, którego książę, Bóg święty raczy wiedzieć poco, wykupił. Jenerał obiecał jeszcze wczoraj, że raczy tu przenocować, ale nie raczył. Nocował pewno w hotelu „Wiesy", niedaleko stąd. Kola jest zapewne tam, albo w Pawłowsku u Jepanczynych! Miał pieniądze i jeszcze wczoraj chciał tam jechać. Jest więc w „Wiesach" albo w Pawłowsku.

— W Pawłowsku, w Pawłowsku!... A my tutaj, tutaj, do ogródka i... kawki...

I Lebiediew zaciągnął księcia za rękę. Wyszli z pokoju, przeszli przez podwórze i przez furtkę. Był tu rzeczywiście bardzo maleńki i bardzo milutki ogródek, w którym dzięki ślicznej pogodzie, wszystkie drzewa były już rozwinięte. Lebiediew wskazał księciu miejsce na zielonej, drewnianej ławeczce, przy zielonym stole, osadzonym w ziemi i sam usiadł naprzeciw niego. Po chwili zjawiła się rzeczywiście i kawa. Książę nie odmówił. Lebiediew patrzył mu w oczy chytrze i zarazem służalczo.

— Nie wiedziałem, że pan tak zagospodarowany — po-

wiedział książę z wyrazem twarzy człowieka, który myśli zupełnie o czem innem.

— Sie... sieroty — zaczął Lebiediew, ale zatrzymał się nagle.

Książę patrzał przed siebie z rozstargnieniem, nie wiedząc już, o co właściwie pytał. Upłynęła chwila milczenia; Lebiediew czekał.

— Więc cóż? — zapytał książę, budząc się z zadumy — ach tak! Lebiediew, przecież pan sam wie, o co chodzi, przyjechałem tutaj na skutek pańskiego listu. Mów pan nareszcie.

Lebiediew zmieszał się, chciał coś powiedzieć, ale tylko coś bąknął: nie wypowiedział się. Książę poczekał chwilę i uśmiechnął się smutnie.

— Zdaje się, ja pana, Łukjanie Timofiejewiczu, bardzo dobrze rozumiem: pan się mnie pewno nie spodziewał. Myślał pan, że ja się nie ruszę z mojego pustkowia na pierwsze pana zawołanie i napisał pan tylko dla spokoju sumienia. Tymczasem ja przyjechałem. No, daj pan spokój, nie oszukuj panu. Dosyć tego siedzenia na dwóch stołkach. Rogożyn jest tu od trzech tygodni, ja wszystko wiem. Udało się panu mu ją sprzedać, tak jak wtedy, czy nie? Powiedz pan prawdę.

— Ten potwór sam się dowiedział, sam.

— Niech pan na niego nie wymyśla; naturalnie, źle się z panem obszedł...

— Zbił, zbił! — podchwycił czemprędzej Lebiediew— i w Moskwie psami mnie wyszczuł, gończemi psami, strasznemi psami!

— Mówi pan do mnie jak do małego dziecka. Niech pan powie poważnie, czy ona go teraz w Moskwie rzuciła?

— Naprawdę, naprawdę, prawie, że przed ołtarzem. On już tylko sekundy liczył, a tymczasem ona wpadła do Petersburga i wprost do mnie: „Łukjanie, ratuj mnie, ratuj i nic księciu nie mów“... Ona się pana boi jeszcze bardziej, niż jego — w tem sęk!

I Lebiediew przyłożył z obłudnym śmiechem palec do czoła.

— A teraz pan ich znów pogodził?

— Jaśnie oświecony książę, jakże ja mogłem... jakże ja mogłem przeszkodzić?

— No, daj pan spokój, sam dowiem się o wszystkiem. Niech pan tylko powie, gdzie ona teraz jest? U niego?

— O, nie! Nie, nie! Jeszcze jest sama. Jeszcze jest wolna, i wie książę, mówi to z pewnym naciskiem, jest jeszcze zupełnie wolna. Jest jeszcze na Petersburskiej, w domu mojej bratowej, jak to zresztą panu pisałem.

— I teraz tam jest?

— Tak, o ile nie korzysta z pięknej pogody i nie jest w Pawłowsku w willi Darji Aleksiejewny. „Ja, powiada, jestem zupełnie wolna"; nie dalej jak wczoraj chwaliła się swoją wolnością przed Mikołajem Ardałjonowiczem. Kiepska oznaka!

I Lebiediew uśmiechnął się.

— Kola często u niej?

— Lekkomyślny, nieobliczalny papla.

— Dawno tam pan był?

— Codziennie, codziennie.

— A więc i wczoraj?

— N-nie; przed czterema dniami.

— Co za szkoda, że pan trochę za dużo wypił, panie Lebiediew! Chciałbym się pana o coś zapytać.

— N-nie, n-nie, n-nie, ani odrobinki.

Lebiediew nastawił uszu.

— Niech mi pan powie, w jakim stanie ją pan zostawił?

— Szukającą.

— Szukającą?

— Tak, jakgdyby ciągle czegoś szukała, jakgdyby coś zgubiła. Myśl o bliskim ślubie stała się dla niej wstrętna, czuje się tem dotknięta. O nim zaś myśli tyle, co o pomarańczowej skórce, nie więcej, to jest właściwie więcej, gdyż myśli z przerażeniem i ze strachem, mówić nawet o nim nie pozwala, a widują się tylko tyle, ile koniecznie potrzeba... i on to doskonale odczuwa. Ale go to nie minie!... Niespokojna, urągliwa, fałszywa i złośnica...

— Fałszywa i złośnica?

— Złośnica; o mało mi włosów nie powyrywała przy ostatniej naszej rozmowie. Zacząłem czytać Apokalipsę.

— Jakto? — zapytał książę, myśląc, że się przesłyszał.

— Czytałem Apokalipsę. Dama z wyobraźnią niespokojną ,he! he! he! I przytem zauważyłem, że ma jakąś dziwną skłonność do tematów poważnych, chociażby zupełnie obcych. Lubi, lubi i uważa nawet, że jej się w ten sposób szacunek okazuje. Tak. Ja zaś jestem mocny w objaśnianiu Apokalipsv, piętnasty rok już objaśniam. Zgodziła się ze mną, że jesteśmy przy trzecim koniu, karym, i przy jeźdźcu, trzymającym w ręku miarę, ponieważ teraz wszystko się opiera na miarce i na umowie i wszyscy ludzie 'dobijają się o swoje prawa: „miara pszenicy za denar i trzy miary jęczmienia za denar"... i przy tem duch swobodny i serce czyste i ciało zdrowe i wszystkie dary Boże chcą zachować. Ale samem prawem nie zachowają i nadejdzie potem koń blady i ten, któremu na imię Śmierć , a po nim już piekło... Rozmawiamy o tem, spotykając się i... to silnie podziałało.

— Pan sam w to wierzy? — zapytał książę, dziwne spojrzenie rzucając na Lebiediewa.

— Wierzę i wykładam, gdyż nędzny i nagi jestem i atom w kołowrocie ludzkim. I kto uszanuje Lebiediewa? Każdy znęca się nad nim i prawie że kopnięciem go wita. A tam przy tem objaśnieniu jestem równy magnatom. Gdyż mam rozum! I magnat zadrżał... na swoim fotelu, dostrzegając to umysłem swoim. Jego ekscelencja, Nit Aleksiejewicz, przed dwoma laty, przed samą Wielkanocą, raczył się dowiedzieć... kiedy jeszcze byłem podwładnym mu urzędnikiem w departamencie... i raczył wezwać mnie z pokoju dyżurnych do swego gabinetu przez Piotra Zacharycza i raczył zapytać mnie w cztery oczy: czy to prawda, że jesteś profesorem Antychrysta?" I nie ukryłem: „oto jestem"... mówię, i wyłożyłem i przedstawiłem i nie zmniejszyłem okropności, ale owszem, rozwinąwszy alegoryczny zwój, spotęgowałem i dodałem liczby. I raczył się uśmiechnąć, ale przy liczbach i przy figurach raczył się trząść i prosił, abym zamknął książkę i wyszedł ,a na Wielkanoc raczył mi dać nagrodę i w Niedzielę Przewodnią raczył ducha wyzionąć.

— Co pan, panie Lebiediew?

— Mówię, jak było. Wypadł z powozu zaraz po obiedzie... główką o słupek i jak dzieciątko, zupełnie jak dzieciątko zaraz raczył skonać. Stan służby mówił o siedmdziesięciu trzech latach: czerwoniuteńki, siwiuteńki, cały oblany perfumami i ciągle raczył się uśmiechać, uśmiechać jak dziecko. Przypomniał wetedy Piotr Zacharycz: „toś ty przepowiedział", mówi.

Książę zaczął wstawać.

Zdziwił się Lebiediew i nawet był zdumiony, że książę już wstaje.

— Zobojętniał pan, he, he! — ośmielił się zauważyć z przymileniem.

— Tak, czuję się niezdrów, po drodze ociężałą mam głowę, cóż robić — odpowiedział książę, marszcząc brwi.

— Możeby na letnie mieszkanie — nieśmiało podsunął Lebiediew.

Książę był zamyślony.

— I ja za trzy dni, razem ze wszystkimi domownikami przenoszę się na letnie mieszkanie dla ratowania nowonarodzonego dzieciątka, a przez ten czas przyprowadzi się domek do porządku. I ja też do Pawłowska.

— I pan też do Pawłowska? — zapytał nagle książę.— A to co? Czy tutaj wszyscy wyjeżdżają do Pawłowska? I mówi pan, że macie tam swoją własną willę?

— Nie wszyscy do Pawłowska. Jan Piotrowicz Pticyn odstąpił mi jeden ze swych domów, gdyż tanio mu się jakoś dostał. I dobrze i wysoko i zielono i tanio i w dobrym tonie i muzykalnie i oto dlaczego jadą wszyscy do Pawłowska. Ja właściwie w oficynce, ja właściwie willę...

— Wynajął pan?

— N-nie! Nie... nie zupełnie.

— Niech mi ją pan wynajmie — zaproponował mu książę.

Zdaje się, że tego właśnie pragnął Lebiediew. Myśl ta powstała w jego umyśle przed trzema minutami. Wprawdzie nie potrzebował już szukać lokatora; amator na jego willę powiedział, że „może" willę jego weźmie. Lebiediew wiedział napewno, że nie „może", a stanowczo ją weźmie. Teraz jednak powstała w jego głowie myśl, wynajęcia willi

księciu, korzystając z tego, że poprzedni amator wyraził się w sposób nieokreślony. „Całe spotkanie i cały nowy obrót sprawy“ zarysowały się nagle w jego wyobraźni. Propozycję księcia przyjął prawie z zachwytem, do tego stopnia, że gdy książę wprost zapytał o cenę, machnął niedbale ręką.

— No, jak pan uważa; dowiem się; nie straci pan na tem.

Wychodzili już obaj z ogrodu.

— A jabym panu... gdyby pan chciał, jabym panu coś bardzo ciekawego, jaśnie oświecony książę, jabym mógł powiedzieć rzeczy odnoszące się do tej sprawy — bełkotał Lebiediew, kręcąc się uradowany dokoła księcia.

Książę zatrzymał się.

— Darja Aleksiejewna ma też w Pawłowsku willę.

— Więc?

— A wiadoma osoba jest jej przyjaciółką i ma pewno zamiar często ją w Pawłowsku odwiedzać. I to celowo.

— Więc?

— Agłaja Iwanowna...

— Ach, dosyć już tego, Lebiediew! — przerwał mu książę z pewnem nieprzyjemnem uczuciem, jakgdyby dotknięto w nim jakiejś bolesnej struny. — Wszystko to... do niczego. Niech pan raczej powie, kiedy się pan przenosi? Dla mnie im prędzej, tem lepiej, gdyż mieszkam w hotelu...

Rozmawiając, wyszli z ogrodu, i nie wracając do mieszkania, przeszli przez podwórze do furtki.

— A więc tem lepiej — powiedział wkońcu Lebiediew — niech się pan dziś jeszcze przeniesie z hotelu tu do mnie, a pojutrze pojedziemy wszyscy razem do Pawłowska.

— Zobaczę jeszcze — powiedział książę w zamyśleniu i wyszedł za bramę.

Lebiediew spojrzał za odchodzącym. Uderzyło go nagłe roztargnienie księcia. Zapomniał nawet powiedzieć „dowidzenia“, głową nawet nie kiwnął, co się zupełnie nie zgadzało ze znaną Lebiediewowi grzecznością i uprzejmością księcia.

XIX

Była już godzina dwunasta. Książę wiedział, że u Jepanczynych w mieście może zastać samego tylko jenerała w biurze, czego też nie można było być pewnym. Przyszło mu na myśl, że może go jenerał zechce zaraz zawieźć do Pawłowska, a tymczasem miał wielką ochotę złożyć przedtem jeszcze jedną wizytę. Ryzykując ewentualne spóźnienie się do Jepanczynych i odłożenie do następnego dnia wyjazdu swego do Pawłowska, książę postanowił udać się na poszukiwanie domu, w którym taką miał ochotę złożyć wizytę.

Miał zresztą co do tej wizyty wątpliwości. Wahał się i namyślał. Wiedział, że ów dom znajduje się na Grochowej, niedaleko Sadowej, i zdecydował się tam iść, w nadziei, że dochodząc do samego domu, zdąży ostatecznie coś postanowić.

Zbliżając się do krzyżujących się ulic Grochowej i Sadowej, zdziwił się swemu niezwykłemu wzruszeniu; nie przypuszczał nawet, że tak boleśnie bić mu będzie serce. Jeden z domów, o szczególnym wyglądzie, już z pewnej odległości zwrócił jego uwagę i książę przypominał sobie później swoje własne słowa: „To na pewno ten dom“. Zbliżał się z wielką ciekawością, aby sprawdzić swój domysł ·czuł, że będzie mu do pewnego stopnia nieprzyjemnie, jeśli odgadł naprawdę. Dom ten był duży, ponury, trzypiętrowy, bez specjalnego charakteru, koloru brudno-zielonego. Kilka, bardzo zresztą niewiele, domów w tym rodzaju, budowanych w końcu przeszłego stulecia, ocalało właśnie na tych ulicach Petersburga (w którym wszystko tak prędko się zmienia) prawie bez zmiany. Budowane są mocno, z grubemi ścianami i z bardzo rzadkiemi oknami; na pierwszem piętrze są one często okratowane. Na dole mieści się zwykle kantor wymiany. Kupiec, który siedzi w tym kantorze wymiany, wynajmuje górę. Tak z zewnątrz, jak i nawewnątrz jakoś niegościnnie i sztywno, wszystko jakgdyby się kryło i taiło, a dlaczego takie wrażenie robi sam wygląd zewnętrzny domu, trudno byłoby powiedzieć. Wiązania linij architektonicznych mają, rozumie się, swoją tajemnicę. W tych domach mieszkają prawie wyłącznie sami tylko kupcy. Podchodzac do bramy, książę spoj-

rzał na napis i przeczytał: „Dom dziedzicznego, honorowego obywatela Rogożyna“.

Przestał się wahać, otworzył szklane drzwi, które z hałasem się za nim zatrzasnęły i poszedł frontowemi schodami na drugie piętro. Schody były ciemne, kamienne, solidnie, ale zgruba stawiane, ściany zaś były malowane na czerwono. Wiedział, że Rogożyn zajmuje z matką i z braćmi całe drugie piętro tego nudnego domu. Służący, który otworzył księciu, wpuścił go bez anonsowania i długo prowadził; przechodzili przez wspaniałą salę, której ściany imitowały marmur; posadzka była z dębowych tafli, a meble z lat dwudziestych, niekształtne i ciężkie. Przechodzili przez różne maleńkie komórki, robiąc zakręty i zygzaki, to wchodzili po dwóch lub trzech schodkach wyżej, to znów schodzili niżej, aż wkońcu zastukali do drzwi. Otworzył sam Parfen Siemionycz; zobaczywszy księcia, do tego stopnia zbladł i osłupiał, że przez chwilę podobny był do kamiennego posągu, ze spojrzeniem znieruchomiałem i wystraszonem, z ustami wykrzywionemi do uśmiechu w wysokim stopniu niepewnego, jakgdyby w wizycie księcia widział coś wprost niemożebnego i prawie cudownego. Książę zdumiał się, chociaż coprawda spodziewał się czegoś podobnego.

— Parfen, może ja nie w porę... to wyjdę — powiedział wkońcu zupełnie zmieszany.

— W porę, w porę! — opamiętał się wreszcie Parfen— proszę cię bardzo, wejdź!

Mówili do siebie ty. W Moskwie widywali się często i długo, w spotkaniach ich było nawet kilka takich chwil, które aż za dobrze wraziły się w ich pamięć i serce. Teraz z górą trzy miesiące nie widzieli się wcale.

Bladość i lekkie drgawki nie schodziły jeszcze z twarzy Rogożyna. Zaprosił gościa, ale nie mógł ukryć niezwykłego pomieszania. Podczas gdy wskazywał księciu krzesło i miejsce przy stole, książę odwrócił się nagle ku niemu i zatrzymał się pod silnem wrażeniem jego niezwykle dziwnego i ciężkiego spojrzenia. Przypomniały mu się rzeczy niedawne, ciężkie i ponure. Nie usiadł, stał nieruchomo i patrzył Rogożynowi prosto w oczy; przez sekundę oczy te jakby bar-

dziej jeszcze zajaśniały. Wkońcu Rogożyn uśmiechnął się, ale był tak jak przedtem bardzo zmieszany.

— Co ty tak badawczo patrzysz? — mruknął—siadaj.

Książę usiadł.

— Parfenie — powiedział — powiedz mi otwarcie, wiedziałeś, że ja dziś do Petersburga przyjadę, czy też nie?

— Myślałem, że przyjedziesz i jak widzisz, nie omyliłem się — dodał, jadowicie się uśmiechając — ale skąd mogłem wiedzieć, że ty dziś przyjedziesz?

Pewna szorstka popędliwość i dziwne rozdrażnienie zawarte w odpowiedzi bardziej jeszcze uderzyły księcia.

— A gdybyś nawet wiedział, że to dziś, poco się tak rozdrażniać? — powiedział książę cicho i z trwogą w głosie.

— Dlaczego o to pytasz?

— Niedawno, gdy wychodziłem z wagonu, zobaczyłem parę takich oczu, jakiemi ty dopiero co na mnie spojrzałeś.

— Aha! A czyje to były oczy? — mruknął podejrzliwie Rogożyn.

Księciu zdawało się, że zadrżał.

— Nie wiem; w tłumie, zdawało mi się nawet, że to przywidzenie; ja mam teraz ciągle jakieś przywidzenia. Czuję się teraz mniej więcej tak, jak przed pięciu laty, kiedy jeszcze miewałem paroksyzmy tej choroby...

— Cóż, może ci się przywidziało; nie wiem... — bełkotał Parfen.

Uprzejmy uśmiech nie nadawał się w tej chwili do jego twarzy, jakgdyby w tym uśmiechu coś zamarło i Parfen pomimo wszelkich usiłowań nie był w stanie tego skleić.

— Cóż, znów zagranicę? — zapytał i nagle dodał. — A pamiętasz, jakeśmy na jesieni razem z Pskowa jechali, ja tutaj, a ty... w takim płaszczu, pamiętasz, w sztylpach?

I Rogożyn roześmiał się nagle, tym razem z nieukrywaną złośliwością i jakby uradowany, że w jakiś sposób udało mu się ją wyrazić.

— Na dobre tu już zamieszkałeś? — zapytał książę, oglądając gabinet.

— Tak, jestem tu u siebie. Gdzież mam być?

— Dawno już nie widzieliśmy się. Słyszałem o tobie takie rzeczy, jakgdyby się nie ciebie tyczyły.

— Czego tam ludzie nie opowiadają — zauważył sucho Rogożyn.

— A jednak rozpędziłeś całą tę bandę; sam mieszkasz w domu rodzicielskim, nie hulasz. Cóż, ślicznie. Czy to twój własny dom, czy wszystkich spadkobierców?

— Matki dom; idzie się do niej tędy, przez korytarz.

— A gdzie twój brat mieszka?

— Brat Siemion Siemionycz w oficynie.

— Żonaty?

— Wdowiec. Poco ci te wiadomości?

Książę spojrzał na niego i nie odpowiedział; zamyślił się nagle i zdawało się, że nie słyszy pytania. Rogożyn nie nalegał i czekał. Nastała chwila milczenia.

— O sto kroków stąd, poznałem, że to twój dom.

— Dlaczegoż tak?

— Nie mam pojęcia. Twój dom ma pewne podobieństwo z całą waszą rodziną i z całem waszem rogożyńskiem życiem, ale gdy zapytasz skąd ja to wywnioskowałem... zupełnie wytłumaczyć ci tego nie mogę. Obłęd, ma się rozumieć. I nawet się boję, dlaczego mnie to tak niepokoi? Przedtem na myśl by mi nie przyszło, że ty w takim domu mieszkasz, a jak tylko go zobaczyłem, zaraz pomyślałem: „przecież on właśnie taki powinien mieć dom!"

— Patrzcie go! — uśmiechnął się niepewnie Rogożyn, nie zdając sobie jasno sprawy z właściwej myśli księcia. — To jeszcze dziad mój stawiał ten dom — zauważył. — Mieszkali tu zawsze skopcy, Chłudiakowy, i teraz również u nas odnajmują.

— Jak tu ciemno! W ciemnościach siedzisz — powiedział książę, rozglądając się po gabinecie.

Był to pokój duży, wysoki, ciemny, zastawiony najróżnorodniejszemi meblami... po większej części ogromnemi stołami, biurkami, szafami, w których chowano księgi kasowe i różne papiery. Czerwona, szeroka, safjanowa kanapa służyła widocznie Rogożynowi za łóżko. Książę zauważył na stole, przy którym wskazał mu miejsce Rogożyn, parę książek; jedna z nich, historja Sołowjewa, była otwarta i zało-

żona kawałkiem papieru. Na ścianach wisiało w wytartych złoconych ramach kilka olejnych obrazów, ciemnych, zakopconych, i na których trudno już było coś rozpoznać. Jeden z portretów, wyobrażający postać wielkości naturalnej, zwrócił na siebie uwagę księcia; przedstawiał człowieka pięćdziesięcioletniego, w tużurku o kroju niemieckim, ale z długiemi połami, z dwoma orderami na piersiach, z bardzo rzadką, króciutką i siwawą bródką, z pomarszczoną i żółtą twarzą, z podejrzliwem, skrytem i smutnem spojrzeniem.

— Czy to twój ojciec? — zapytał książę.

— Ojciec — odpowiedział z nieprzyjemnym uśmiechem Rogożyn, jakby miał zamiar pozwolić sobie na jakiś nieodpowiedni żart o swoim ojcu nieboszczyku.

— Przecież on nie należał do staroobrzędowców?

— Nie, chodził do cerkwi; twierdził jednak, że dawny obrządek prawidłowszy. Skopców również cenił bardzo. To był jego gabinet. A dlaczego pytasz, czy należał do starego obrządku?

— Wesele tutaj wyprawisz?

— T-tutaj — odpowiedział Rogożyn, prawie ze drżeniem wobec tak niespodziewanego pytania.

— Prędko to będzie?

— Wiesz o tem przecież sam, że to nie ode mnie zależy.

— Parfen, nie jestem wcale twoim wrogiem i nie mam zamiaru ci szkodzić. Powtarzam to teraz, tak jak powiedziałem ci to przedtem, w podobnej mniej więcej chwili. Kiedy w Moskwie miał się odbyć twój ślub, nie przeszkadzałem ci, wiesz o tem dobrze. Za pierwszym razem o n a sama do mnie przybiegła, prawie że z przed ołtarza, prosząc, abym ją od ciebie „wybawił". Powtarzam ci jej własne słowa. Potem uciekła i ode mnie, znalazłeś ją i prowadziłeś do ślubu i oto mówią, że znów tutaj od ciebie uciekła. Czy to prawda? Dał mi o tem znać Lebiediew i dlatego tu przyjechałem. O tem zaś, żeście się znów pogodzili, dowiedziałem się po raz pierwszy wczoraj w wagonie od jednego z twoich poprzednich przyjaciół; od Zależewa, jeśli ci o to chodzi. Jadąc tutaj, miałem pewien cel: chciałem ją wkońcu namówić na wyjazd zagranicę, dla ratowania jej bardzo zniszczonego zdrowia. Jest bardzo roozstrojona, tak na ciele jak i na duszy,

myśli ma rozbite i podług mnie bardzo potrzebuje odpoczynku. Ja sam towarzyszyć jej zagranicę nie chciałem, miałem zamiar urządzić to wszystko bez swego współudziału. Mówię ci najzupełniejszą prawdę. Jeżeli rzeczywiście pogodziliście się, to więcej jej się na oczy nie pokażę i do ciebie nigdy więcej nie przyjdę. Wiesz dobrze, że cię nie oszukuję, gdyż zawsze byłem z tobą szczery. Nigdy ci nie ukrywałem, co o tem myślę i zawsze mówiłem, że przy tobie o n a napewno zginie. I ty zginiesz... z tobą będzie może jeszcze gorzej, niż z nią. Gdybyście się znów rozstali, byłbym bardzo zadowolony, ale nie mam najmniejszego zamiaru różnić was, ani w czemkolwiek przeszkadzać. Bądź więc spokojny i o nic mnie nie podejrzewaj. Sam przecież wiesz, czy ja kiedy byłem p r a w d z i w y m twoim rywalem, nawet wtedy, gdy do mnie uciekła. Śmiejesz się; wiem dobrze dlaczego się uśmiechasz. Tak, mieszkaliśmy tam oddzielnie i w innych byliśmy miastach i ty to wszystko wiesz n a p e w n o. Przedtem ci już przecież tłomaczyłem, że ja ją „kocham nie miłością, lecz litością". Zdaje mi się, że ja to dobrze określam. Mówiłeś wtedy, że rozumiesz, o co mi chodzi; czy to prawda? Zrozumiałeś? O, z jaką ty patrzysz nienawiścią! Przyszedłem cię uspokoić, bo i ty jesteś mi drogi. Parfen, ja ciebie bardzo kocham. Teraz wyjdę i nigdy już więcej nie przyjdę. Bądź zdrów.

Książę wstał.

— Posiedź ze mną — powiedział cicho Parfen, nie wstając z miejsca i opierając głowę na dłoni — dawno cię już nie widziałem.

Książę usiadł. I znów umilkli.

— Gdy cię tu niema, zaraz czuję do ciebie złość, Lwie Mikołajewiczu. Przez te trzy miesiące, podczas których cię nie widziałem, ciągle się na ciebie złościłem, słowo daję. Nieraz chciałoby się ciebie czemkolwiek otruć. Tak jest. Zaledwie kwadrans jak ze mną siedzisz, a już cała moja złość przechodzi, więc kochaj mnie tak jak dawniej. Posiedź ze mną...

— Wierzysz mi, dopóki jestem przy tobie, a jak tylko wyjdę, przestajesz mi wierzyć i znów mnie podejrzewasz.

Ech ty! — zawołał książę, uśmiechając się przyjaźnie i starając się ukryć swoje uczucia.

— Wierzę twemu głosowi, kiedy jesteśmy razem. Przecież ja doskonale rozumiem, że nie można nas porównywać; mnie z tobą...

— Dlaczegoś to dodał? I znów jesteś tak rozdrażniony — powiedział książę, patrząc ze zdumieniem na Rogożyna.

— Tylko, że nas, bracie, o zdanie nie pytają — odpowiedział Rogożyn — bez nas zdecydują. I każdy z nas inaczej kocha, we wszystkiem zatem jest różnica — mówił dalej Rogożyn cicho i po chwili milczenia. — Ty, jak mówisz, kochasz ją z litości. Ona mnie nienawidzi więcej, niż wszystko na świecie. Od pewnego czasu co noc widzę ją we śnie: zdaje mi się, że ciągle wyśmiewa ze mnie się z innymi. Tak, bracie, takie są sprawy. Ze mną idzie do ołtarza, a nawet o mnie nie pomyśli, tak, jakgdyby trzewiki zmieniała. Czy dasz wiarę, że ja jej od pięciu dni nie widziałem, gdyż jechać do niej nie mam odwagi; zapyta: „co za interes?“ Nieraz mnie ona już zhańbiła...

— Jakto zhańbiła? Cóż ty?

— Niby to nie wiesz! A przecież z tobą ode mnie uciekła „z przed ołtarza“, jak się sam wyraziłeś.

— Sam przecież temu nie wierzysz, że...

— A czy mnie w Moskwie nie zhańbiła z oficerem, z Ziemtiuszkinowym? Na pewno wiem, że zhańbiła i to już wtedy, kiedy sama dzień ślubu naznaczyła.

— Niemożliwe! — zawołał książę.

— Na pewno wiem — powtórzył z przekonaniem Rogożyn. — Cóż, czy ona nie jest z tych? Niema, bracie, co mówić, ona już taka. I to wszystko głupstwo. Z tobą ona nie będzie taka, sama się może nawet tego przerazi, a ze mną właśnie będzie taka. Tak to już jest. Patrzy na mnie, jak na ostatnie bydlę. Z Kellerem, z tym oficerem, który się boksował, wiem napewno, że zrobiła tak tylko dlatego, żeby się ze mnie wyśmiać... Ależ ty nie masz pojęcia, co ona ze mną w Moskwie wyrabiała! A ile ja pieniędzy, ile ja tam pieniędzy wyszastałem...

— Tak... więc jakże ty się teraz możesz żenić!... Jakże potem będzie? — zapytał książę z przestrachem.

Rogożyn rzucił na księcia ciężkie i straszne spojrzenie i nic nie odpowiedział.

— Już piąty dzień jak u niej nie byłem — mówił dalej po chwili milczenia. — Boję się, że mnie wypędzi. Ja, mówi, jestem tu jeszcze panią; jeśli zechcę, wypędzę cię stąd ze wszystkiem, a sama wyjadę zagranicę (ona mi już to mówiła, że pojedzie zagranicę, zauważył jakby nawiasem i jakoś dziwnie spojrzał na księcia); czasem, to prawda, tylko mnie tak straszy; ciągle ją coś we mnie bawi. Innym znów razem rzeczywiście się nachmurzy, zasępi i ust nie otwiera; tego się najwięcej boję. Wziąłem się na sposób: sprobuję, pomyślałem, nie przyjeżdżać z pustemi rękami, tylko się ze mnie uśmiała, a później rozzłościła się nawet. Pokojówce, Kaśce, podarowała taki piękny szal, który miała ode mnie, że chociaż i dotychczas opływała w rozkoszach, czegoś podobnego chyba w życiu swojem nie widziała. O tem zaś kiedy będzie ślub, nawet myśleć nie można. Co ze mnie za narzeczony, kiedy ja nawet boję się tam pojechać? Oto siedzę, nagle zbraknie mi cierpliwości, i lecę do jej domu ukradkiem i łażę dokoła po ulicy, albo chowam się gdzie za ścianą. Przedwczoraj sparła mnie podejrzliwość i przesterczałem pod jej bramą do świtu. Ona zaś widocznie spojrzała przez okno: „cóżbyś ty ze mną, mówi, zrobił, gdybyś zobaczył, że cię zdradzam?“ Nie wytrzymałem i mówię: „wiesz dobrze sama“.

— Co wie?

— A dlaczego i ja to wiem! — roześmiał się Rogożyn. — W Moskwie z nikim jej wtedy złapać nie mogłem, choć długo szukałem. Kiedyś przychodzę i mówię do niej: „obiecałaś, że za mnie wyjdziesz, wchodzisz do uczciwej rodziny, a czy ty wiesz, co ty teraz za jedna? Ty, mówię, jesteś taka...

— Powiedziałeś jej?

— Powiedziałem.

— A ona?

— „Ja ciebie, mówi, i za lokaja może już teraz nie przyjmę, nietylko że nie zechcę być twoją żoną“. — „A ja się stąd nie ruszę, dosyć już tego dobrego!“ — „A ja, mówi,

zaraz zawołam Kellera, powiem mu, żeby cię stąd za kark wyrzucił". Rzuciłem się na nią i zbiłem ją tak, że była sińcami pokryta.

— Nie może być!

— Było tak — potwierdził Rogożyn cicho, ale z błyskiem w oczach. — Przez półtorej doby nie spałem, nie jadłem, nie piłem, na krok z pokoju się nie ruszałem, na kolana przed nią padałem. „Umrę, mówię, ale nie wyjdę, dopóki mi nie przebaczysz, a jeśli każesz mnie wyrzucić, utopię się; ja już bez ciebie żyć nie mogę!" Przez cały dzień była jak oszalała, to płakała, to chciała mnie nożem przebić, to mi wymyślała. Zależewa, Kellera, Ziemtiurznikowa i wszystkich sprowadziła, pokazywała mnie, hańbiła. „Pojedziemy dziś" panowi, wszyscy do teatru, niech on sobie tu siedzi, kiedy wyjść nie chce, mnie tu nic nie trzyma. Panu, Parfenie Siemionyczu, herbaty podadzą i beze mnie, musiał się pan wygłodzić". Wróciła z teatru sama: „Tchórze podli, mówi, boją się ciebie i mnie straszą; mówią, on tak nie odejdzie, jeszcze kogo zarżnie. A ja, idąc spać, drzwi za sobą nie zamknę; oto jak ja się ciebie boję! Żebyś to wiedział raz na zawsze! Piłeś herbatę?" — „Nie, mówię, i pić nie będę". — „Rób jak chcesz — ja ci proponowałam. Ale jakoś nie pasuje do ciebie to wszystko". — I zrobiła tak, jak powiedziała, drzwi nie zamknęła. Rano wyszła, śmieje się: „Cóżeś ty zwarjował, czy co? Przecież z głodu umrzesz!" — „Przebacz" — mówię. — „Nie chcę przebaczyć, powiedziałam już, że nie wyjdę za ciebie".—Czyś ty całą noc przesiedział na tem krześle, nie spałeś?"—„Nie, mówię, nie spałem".— „Jaki mądry! A herbaty pić i obiadu jeść znów nie będziesz? — „Powiedziałem, że nie będę... przebacz!" — „Żebyś ty wiedział, jak ci z tem nie do twarzy... Czy sobie wyobrażasz, że mnie tem przestraszysz? Dużo mnie to obchodzi, że sobie tu głodny posiedzisz; dopiero mnie przestraszysz!" — Rozgniewała się, lecz nie na długo i znów zaczęła mi docinać. I zdziwiłem się bardzo, że ona wcale się nie gniewa. A przecież jest zawzięta i innym długo krzywdy pamięta! Przyszło mi wtedy do głowy, że ona mnie tak nisko ceni i gniewać się bardzo na mnie nie może. I to prawda. — „Czy ty wiesz, mówi, kto to jest papież rzymski?" — „Słyszałem",

mówię. — „Ty, mówi, Parfenie Siemionyczu, z historji powszechnej niczego się nie uczyłeś?“ — „Ja, mówię, niczego się nigdy nie uczyłem“. — „To ja ci, mówi, dam do przeczytania: był taki jeden papież, który rozgniewał się na pewnego cesarza i przez trzy dni cesarz ten nic nie jedząc, nie pijąc, boso przeklęczał przed jego gankiem, dopóki mu papież nie przebaczył; jak ci się zdaje, o czem sobie ten cesarz przez te trzy dni rozmyślał i co sobie poprzysiągł?... Ale poczekaj, mówi, sama ci to przeczytam“! Pobiegła, przyniosła książkę: „to wiersze“, mówi i zaczęła mi czytać o tem, jak ten cesarz przez te trzy dni rozmyślał nad zemstą nad papieżem: „Czy ci się to, mówi, Parfenie Siemionyczu, nie podoba?“— „Więc to wszystko, mówię, prawda, coś ty przeczytała“. — „Aha, sam mówisz, że prawda, więc może i ty sobie myślisz, że „wyjdzie za mnie, to jej to wszystko przypomnę, wtedy odpłacę sobie to wszystko sowicie!“ — „Nie wiem, mówię, może i myślę“. — „Jakto nie wiesz?“ — „Tak, mówię, nie wiem, nie o tem ja teraz ciągle myślę“. — „A o czemże ty teraz myślisz?“ — „Kiedy wstaniesz, przejdziesz koło mnie, patrzę na ciebie i śledzę za tobą; zaszeleści twoja suknia, zamiera mi serce, a gdy wyjdziesz z pokoju, rozmyślam nad każdem twojem słówkiem i o tem, jakim głosem je wypowiedziałaś; a przez całą noc nie myślałem zupełnie o niczem, tylko słuchałem twego oddechu i słyszałem, jakeś się dwa razy poruszyła“... — „Ależ ty, roześmiała się, o tem, żeś mnie zbił zupełnie nie myślisz i nie pamiętasz?“ — „Może, mówię, myślę, nie wiem“. — A jeśli ci nie przebaczę i za ciebie nie wyjdę?“ — „Powiedziałem, że się utopię“.— „A może jeszcze przedtem zabijesz“... Powiedziawszy to, zamyśliła się. Potem rozgniewała się i wyszła. W godzinę później wychodzi do mnie ponura i zasępiona: „Wyjdę, mówi, za ciebie, Parfenie Siemionyczu i nie dla tego, że się ciebie boję, lecz wszystko jedno i tak trzeba zginąć. I gdzież mi będzie lepiej? Usiądź, mówi, zaraz ci obiad podadzą. I kiedy za ciebie wyjdę,—dodała—będę ci wierna, co do tego bądź zupełnie pewny, nie bój się“. Chwilę pomilczała i mówiła dalej: „Swoją drogą ty nie masz lokajskiej duszy; myślałam przedtem, że z ciebie zupełny, ale to zupełny lokaj“. Naznaczyła dzień ślubu, a w tydzień później uciekła

ode mnie tutaj do Lebiediewa. Kiedy przyjechałem, powiedziała: „Ja się ciebie zupełnie nie wypieram; chcę tylko jeszcze poczekać, tak długo, jak będę chciała, bo jeszcze jestem panią swojej woli. Czekaj i ty, jeśli ci się podoba". I na tem stanęło... Co ty o tem wszystkiem myślisz, Leonie Mikołajewiczu?

— A ty co myślisz? — zapytał książę, patrząc ze smutkiem na Rogożyna.

— A czyż ja mogę myśleć!—wyrwało się Rogożynowi. Chciał jeszcze coś dodać, ale umilkł, bezgranicznie smutny.

Książę wstał i znów chciał odejść.

— Ja ci jednak przeszkadzać nie będę — powiedział cicho, zamyślony, jakgdyby odpowiadał swojej własnej ukrytej myśli.

— Wiesz, co ci powiem! — ożywił się nagle Rogożyn i oczy jego błysnęły — nie rozumiem, co ty mi tak ustępujesz. Czyś ją zupełnie kochać przestał? Przedtem się jednak martwiłeś, widziałem przecież. Więc dlaczego przyleciałeś tutaj na złamanie karku? Z litości? (I twarz jego wykrzywiła się w złośliwym uśmiechu) Ha! ha!

— Myślisz, że cię oszukuję! — zapytał książę.

— Nie, ja ci wierzę, ale nic z tego wszystkiego nie rozumiem. W każdym razie twoja litość jest jeszcze gorsza od mojej miłości!

Myśl zła i dążąca koniecznie do wypowiedzenia się, zapłonęła na jego twarzy.

— Cóż, ty swojej miłości od gniewu nie odróżnisz — uśmiechnął się książę — a kiedy miłość przejdzie, będzie może jeszcze gorzej. Ja ci to, bracie, mówię...

— Zamorduję, czy co?

Książę zadrżał.

— Nienawidzieć będziesz bardzo za tę dzisiejszą miłość, za całą tę mękę, którą teraz znosisz. Co mnie zaś najbardziej zdumiewa, to to, że ona może teraz wyjść za ciebie? Słysząc o tem wczoraj, uwierzyć nie mogłem i przykre zrobiło to na mnie wrażenie. Przecież ona już dwa razy się ciebie wyrzekała i z przed ołtarza uciekała, ma więc widocznie jakieś przeczucie!... Co ona teraz w tobie widzi? Czyżby pieniądze? Głupstwo. Zresztą ty już i pieniędzy ma-

sę natraciłeś. Czyżby tylko poto, żeby mieć męża? Przecież i poza tobą mogłaby go znaleźć. Każdy poza tobą będzie lepszy, bo ty ją przecież zamordujesz i ona to już dzisiaj aż za dobrze rozumie. Czemuż ty ją tak bardzo kochasz? Chyba, że to... Słyszałem, że są tacy ludzie, którzy właśnie takiej miłości szukają... tylko...

Książę zatrzymał się zamyślony.

— Cóżeś się znów uśmiechnął, patrząc na portret ojca! — zapytał Rogożyn, obserwujący bardzo uważnie każdą zmianę, każdy rys na twarzy księcia.

— Czemu się uśmiechnąłem? Przyszło mi na myśl, że gdyby cię to nie było napadło, gdyby cię nie opanowała ta miłość, stałbyś się zupełnie takim, jakim był twój ojciec, i to w bardzo krótkim przeciągu czasu. Zamieszkałbyś w tym domu sam jeden z żoną, posłuszną i milczącą, sam mówiąc rzadko i poważnie, nikomu nie wierząc i wcale tego nie potrzebując i tylko, milczący i pochmurny, gromadziłbyć pieniądze. Czasem, od czasu do czasu, pochwaliłbyś jakie stare księgi, zastanowiłbyś się nad żegnaniem dwoma palcami, ale i to chyba w późnej starości...

— Kpij sobie. I ona mówiła mi niedawno słowo w słowo to samo, przyglądając się temu portretowi! Dziwna rzecz, jak wy we wszystkiem jesteście teraz jednego zdania.

— A czyż ona już u ciebie była? — zapytał książę z ciekawością.

— Była. Patrzała długo na portret, wypytywała o nieboszczyka. „Byłbyś zupełnie taki sam“, uśmiechnęła się wkońcu, „ty, Parfenie Siemionyczu, mówi, strasznie jesteś namiętny, tak że namiętności te zaprowadziłyby cię na Sybir, zagnałyby cię w katorgę, gdybyś ty też i rozumu nie miał, ale ty jesteś bardzo mądry“, mówi (tak powiedziała, wierz, lub nie wierz, jak ci się podoba. Pierwszy raz w życiu mówiła mi takie rzeczy)! „Prędkobyś rzucił całą tą dzisiejszą zabawę. A ponieważ jesteś człowiekiem bez wykształcenia, zacząłbyś gromadzić pieniądze i osiadłbyś tak jak twój ojciec, w tym domu razem z twoimi skopcami; możebyś jeszcze wkońcu na ich wiarę przeszdł i takbyś te swoje pieniądze polubił, że jużbyś nie dwa miljony, a dziesięć miljonów nagromadził i na worach z pieniędzmi umarłbyś z głodu, bo

ty we wszystko kładziesz namiętność, wszystko doprowadzasz do szaleństwa". Oto co mi powiedziała, powtarzam ci prawie dosłownie. Do tej pory nigdy tak ze mną nie mówiła! Przecież ona ze mną mówi tylko o głupstwach, albo się ze mnie wyśmiewa; i tym razem zaczęła mówić ze śmiechem, a potem tak jakoś sposępniała; chodziła po całym domu, oglądała i jakgdyby się czegoś lękała. „Wszystko to zmienię, mówi, i uporządkuję, a może do ślubu inny dom kupię". — „Nie, nie, mówi, nic tu zmieniać nie trzeba, tak będziemy mieszkali. Ja chcę przy twojej matce, mówi, mieszkać, jak twoją żoną zostanę". Zaprowadziłem ją do mamy, była dla niej z wielkim szacunkiem, jakby rodzona córka. Mama już od dwóch lat niezupełnie jest przytomna (chora kobieta), a od śmierci ojca zrobiła się zupełnie jak dziecko, ust nawet nie otwiera; zupełnie nie chodzi i wszystkim się tylko ze swego miejsca kłania; zdaje się, że gdyby się jej nie karmiło, przez jakie trzy dni nie zauważyłaby tego wcale. Wziąłem prawą rękę mamy, złożyłem ją: „pobłogosław, mówię, mamo, idzie ze mną do ołtarza", wtedy ona czule pocałowała mamę w rękę, „dużo, mówi, musiała matka twoja cierpieć". Zobaczyła u mnie tę oto książkę, „cóż to, czytasz historję Rosji? (Sama mi kiedyś w Moskwie powiedziała: „kształciłbyś się choć trochę, żebyś chociaż Sołowiewa historję Rosji przeczytał, przecież ty nic nie umiesz"). Dobrześ zrobił, mówi, czytaj, czytaj. Ja ci sama przygotuję spis książek, które przedewszystkiem trzebaby przeczytać; chcesz, czy nie?" Nigdy, ale to nigdy przedtem tak ze mną nie mówiła i zdziwiłem się niezmiernie, pierwszy raz odkąd żyję.

— Ależ ja bardzo się z tego cieszę, Parfenie — powiedział książę gorąco — bardzo się cieszę. Kto wie, może Bóg da, że się jakoś ze sobą zgodzicie.

— Nigdy! — zawołał porywczo Rogożyn.

— Słuchaj Parfenie, jeśli ty ją tak bardzo kochasz, czy nie chciałbyś zasłużyć na jej szacunek? A jeślibyś chciał na niego zasłużyć, czy już zupełnie straciłeś nadzieję? Powiedziałem przed chwilą, że jest to dla mnie zagadką, dlaczego ona za ciebie wychodzi. Rozwiązać tej zagadki nie mogę, ale w każdym razie nie wątpię, że musi być powód

wystarczający, rozsądny. Miłości twojej jest pewna, jest również przekonana o niektórych twoich zaletach. Inaczej być nie może! To, coś mi przed chwilą powiedział, potwierdza moje słowa. Sam przecież mówisz, że znalazła sposób mówienia do ciebie zupełnie inaczej, niż mówiła dotychczas. Jesteś podejrzliwy i zazdrosny, dlatego też przesadziłeś to, co uważasz za złe. Z pewnością nie ma o tobie tak złego przekonania, jak ci się zdaje. W przeciwnym razie znaczyłoby to, że ona świadomie rzuca się do wody, lub też idzie pod nóż, wychodząc za ciebie. Czyż to możebne? Kto idzie świadomie pod nóż, lub rzuca się do wody?

Parfen wysłuchał gorących słów księcia z gorzkim uśmiechem. Znać było, że przekonanie jego w tej sprawie stałe jest i niewzruszone.

— Jak ty ponuro teraz na mnie patrzysz, Parfenie — wyrwało się księciu.

— Do wody, lub pod nóż — powiedział wkońcu Rogożyn. — Hm. Dlatego wychodzi za mnie, że pewna jest noża. Czy ty, książę, naprawdę dotychczas nie połapałeś się o co tu chodzi?

— Nie rozumiem.

— Hm. Może on naprawdę nie rozumie, ha, ha, ha! Mówią przecież, żeś ty trochę... t e g o. Kocha innego — zrozumże to nareszcie! Zupełnie tak, jak ja ją teraz kocham, ona kocha innego. A czy wiesz, kto to jest ten drugi? To t y! Co, nie wiedziałeś o tem?

— Ja?

— Ty. Ona cię wtedy zaraz, w dniu swoich imienin, pokochała. Tylko jej się zdaje, że wyjść za ciebie nie może, bo podług niej to zhańbiłoby i zwichnęłoby ci życie. „Wiadomo przecież, co ja za jedna“. Ciągle to sama powtarza. Wszystko to powiedziała mi sama w oczy. Ciebie boi się zgubić i zhańbić, a za mnie wyjść można, cóż to szkodzi, masz, jak bardzo mnie ona ceni, zauważ to sobie!

— Więc jakże ona od ciebie uciekła do mnie, a... ode mnie...

— A od ciebie znów do mnie! Ha! Niejedno jej przecież strzeli do głowy. Jest teraz ciągle jakby w gorączce. To woła do mnie: „Wychodzę za ciebie, jakgdybym

się rzucała do wody. Prędzej ślub!" Sama nagli, naznacza dzień, a jak tylko nadejdzie ta chwila... boi się, albo jej co nowego strzeli do głowy; albo ja wiem, widziałeś przecież sam; płacze, śmieje się, rzuca się, jak w gorączce. I co w tem dziwnego, że ona od ciebie uciekła? Ona i wtedy uciekła, gdyż spostrzegła, jak bardzo cię kocha. To przechodziło jej siły. Powiedziałeś przed chwilą, że ja jej wtedy w Moskwie szukałem; nieprawda, ona sama do mnie od ciebie przybiegła: „naznacz dzień, mówi, ja jestem gotowa! Daj szampana! Jedziemy do cyganek!"... krzyczy!... Gdyby mnie nie było, dawno byłaby się już do wody rzuciła; słowo ci daję. Nie rzuciła się, bo ja może jestem jeszcze straszniejszy od wody. Ze złości wychodzi za mnie... jeżeli wyjdzie, to już napewno tylko ze złości.

— Więc jakże ty... jakże ty... — zawołał książę i nie dokończył, patrząc z przestrachem na Rogożyna.

— Czemuż nie kończysz — dodał Rogożyn z niepewnym uśmiechem — jeśli chcesz, powiem ci, co ty w tej chwili myślisz: „jakże ona może wyjść teraz za niego? Jak można jej na to pozwolić?" Jasne jak słońce, co ty myślisz...

— Mówię ci, Parfenie, że ja nie poto tu jechałem, co inego mam w głowie...

— Możliwe, że nie poto i że co innego masz w głowie, ale teraz już na pewno powstało ci to w głowie, he, he! No, dosyć tego dobrego! Cóżeś taki oburzony? Czyś ty naprawdę tego nie wiedział? Zdumiewasz mnie!

— Wszystko to z zazdrości, Parfenie, wszystko to wskutek choroby, wszystko to bezgranicznie przesadzasz... — mruknął książę, nadzwyczaj wzruszony. — Cóż ty znów?...

— Daj spokój — rzekł Parfen; wyrwał prędko z rąk księcia nożyk, który książę wziął ze stołu, i położył go znów przy książce na poprzednie miejsce.

— Jakgdybym wiedział, wyjeżdżając do Petersburga, jakgdybym przeczuwał — mówił dalej książę — nie chciałem tu jechać! Chciałem o tem wszystkiem zapomnieć, wyrwać to wszystko z serca. No, bądź zdrów... Ale cóż ty...

Książę wziął znów w roztargnieniu do ręki nożyk, leżący na stole i znów wyrwał mu go Rogożyn i rzucił na poprzednie miejsce. Nożyk ten był dosyć prosty, z rękojeścią

z jeleniego rogu, nieskładany, z ostrzem na pół werszka szerokiem i trzy i pół werszka długiem.

Widząc, że książę baczną uwagę zwrócił na to, że już dwa razy wyrwano mu z rąk nożyk, Rogożyn chwycił ze złością, włożył nożyk do książki i cisnął książkę na inny stół.

— Listy nim przecinasz, czy co? — zapytał książę, ale jakby z roztargnieniem, jakby pod ciężarem swych myśli.

— Tak, listy...

— Przecież to ogrodowy nóż?

— Tak, ogrodowy. Czy ogrodowym nożem nie można przecinać listów?

— Ale on... zupełnie nowy.

— Więc cóż z tego, że nowy? Czyż mnie teraz nie wolno nowych noży kupować? — zawołał wkońcu w uniesieniu Rogożyn, coraz bardziej rozdrażniony.

Książę drgnął i spojrzał uważnie na Rogożyna.

— Ach! cóż znowu! — roześmiał się nagle, odzyskując przytomność umysłu. — Wybacz mi, bracie, głowa mi ciąży i choroba... jestem zupełnie... zupełnie roztargniony i śmieszny. I zupełnie nie o to chciałem zapytać... nie pamiętam już nawet o co. Do widzenia...

— Nie tędy — powiedział Rogożyn.

— Zapomniałem!

— Tędy, tędy, chodź, pokażę ci drogę.

XX

Przeszli przez te same pokoje, przez które już książę przechodził; Rogożyn szedł pierwszy, książę za nim. Weszli do dużego salonu. Na ścianach było kilka obrazów, portrety archijerejów i krajobrazy, na których trudno było coś rozróżnić. Nad drzwiami do następnego pokoju wisiał obraz, dosyć dziwacznego kształtu, około dwóch arszynów długości i nie więcej jak sześć cali wysokości. Był to obraz Zbawiciela, zdjętego z krzyża. Książę rzucił na niego okiem, jakgdyby sobie coś przypominając, ale chciał iść dalej bez za-

trzymania się. Był przybity i chciał jak najprędzej opuścić ten dom. Rogożyn wszakże stanął nagle przed obrazem.

— Wszystkie te obrazy — mówił — kupował nieboszczyk ojciec na licytacjach za rubla, za dwa; lubił kupować. Przeglądał je wszystkie jeden znawca; o wszystkich mówił, że to marnota, ale o tym obrazie nad drzwiami, choć również kupiony za dwa ruble, mówił, że to wcale niezła rzecz. Jeszcze ojcu dawano za niego trzysta pięćdziesiąt rubli, a Iwan Dymitrycz Sawieljew, wielki amator, do czterystu dochodził i w zeszłym tygodniu proponował bratu Siemionowi Siemionyczowi nawet pięćset rubli. Zostawiłem go sobie.

— To przecież kopja Hansa Holbeina — powiedział książę, obejrzawszy obraz dokładniej — i choć nie jestem znawcą, kopja wydaje mi się znakomita. Widziałem ten obraz zagranicą i nie mogę go zapomnieć. Ale... co tobie...

Rogożyn rzucił nagle obraz i poszedł dalej. Roztargnienie i szczególne rozdrażnienie, występujące tak nagle u Rogożyna, nie mogłyby tłomaczyć takiego zachowania, dziwnem się jednak wydało księciu, że tak nagle przerwała się rozmowa, którą nie on przecież rozpoczął, i że Rogożyn nic mu nawet nie odpowiedział.

— Ale powiedzno, Leonie Mikołajewiczu, dawno chciałem cię o to zapytać, czy ty wierzysz w Boga, czy nie? — zaczął znów Rogożyn po przejściu kilku kroków.

— Jak ty się dziwnie pytasz i... patrzysz — mimowoli zauważył książę.

— Lubię patrzeć na ten obraz — mruknął po chwili milczenia Rogożyn, jakby znów zapominając o swem pytaniu.

— Na ten obraz! — zawołał nagle książę, pod wpływem nowej myśli — na ten obraz! Od tego obrazu niejeden może wiarę utracić!

— Tak, utraca — potwierdził niespodziewanie Rogożyn.

Doszli już do samych drzwi mieszkania.

— Jakto? — zatrzymał się nagle książę — co tobie! Ja prawie, że żartowałem, a ty tak zaraz poważnie! I pocóż pytałeś, czy ja w Boga wierzę?

— Tak sobie. Już dawniej o tem myślałem. Przecież teraz wielu nie wierzy. A czy to prawda (mieszkałeś długo zagranicą) — mnie jeden człowiek po pijanemu opowiadał, że u nas w Rosji niewierzących daleko więcej, niż w innych krajach? „Nam, mówił, lżej to idzie, niż im, bośmy dalej od nich zaszli“...

Rogożyn zjadliwie uśmiechnął się, nagle otworzył drzwi i trzymając rękę na klamce, czekał, aż książę wyjdzie. Książę zdziwił się, lecz wyszedł. Tamten wyszedł za nim na schody i przymknął drzwi za sobą. Stali obydwaj naprzeciw siebie, jakby zapominając, gdzie są i co mają robić.

— Żegnaj — powiedział książę, podając rękę.

— Do widzenia — rzekł Rogożyn, zupełnie odruchowo, mocno ściskając rękę księcia.

Książę zeszedł jeden stopień i obejrzał się.

— A co do wiary — rzekł z uśmiechem (nie chciał widocznie tak zostawić Rogożyna), ożywiając się pod wpływem jakichś wspomnień — co do wiary, to w przyszłym tygodniu w przeciągu dwóch dni miałem aż cztery zdarzenia. Rano jechałem nową koleją i ze cztery godziny rozmawiałem w wagonie z niejakim panem S-em, poznałem go w pociągu. Dawniej już wiele o nim słyszałem i między innemi, jako o ateuszu. Rzeczywiście bardzo uczony człowiek i ucieszyło mnie, że będę rozmawiał z prawdziwym uczonym. Prócz tego jest to człowiek niezwykle dobrze wychowany, rozmawiał ze mną, jak z równym sobie pod względem wykształcenia i pojęć. On w Boga nie wierzy. Jedna wszakże okoliczność zwróciła moją uwagę: on jakby cały czas wcale nie o tem mówił, i dlatego to zwróciło moją uwagę, że i przedtem, kiedykolwiek rozmawiałem z niewierzącymi, lub czytałem takie książki, zawsze zdawało mi się, że i mówią i w książkach piszą, jakby wcale nie o tem, choć w pierwszej chwili wydaje się, że rzeczywiście o tem. Powiedziałem mu wówczas moje zdanie, ale widocznie niewyraźnie, lub nie potrafiłem się wysłowić, bo nic nie mógł zrozumieć... Wieczorem zatrzymałem się na noc w hotelu; poprzedniej nocy zdarzyło się tam morderstwo, tak, że wszyscy o tem mówili, gdy przyjechałem. Dwaj włościanie, już niemłodzi, i nie pijani, przyjaciele, zdawiendawna znajomi,

napili się herbaty i chcieli położyć się razem w jednym pokoiku. Jeden z nich zauważył jednak w ostatnich dwóch dniach u drugiego na łańcuszku z żółtych paciorków zegarek srebrny, którego widocznie dawniej u niego nie widział! Nie był to złodziej, był to nawet człowiek uczciwy i jak na chłopa, wcale nie biedny. Zegarek wszakże tak mu się spodobał i tak go nęcił, że nakoniec nie wytrzymał; wziął nóż i gdy przyjaciel się odwrócił, podszedł do niego ostrożnie z tyłu, zamierzył się, wzniósł oczy do nieba, przeżegnał się, powtórzył w myśli z goryczą: „Panie Boże, odpuść na rany Chrystusa!", zarżnął przyjaciela od jednego razu, jak barana i zabrał mu zegarek.

Rogożyn zatoczył się ze śmiechu. Śmiał się, jak w obłędzie. Dziwnie było patrzeć na ten śmiech po niedawnym ponurym nastroju.

— To lubię! Nie, to rzeczywiście znakomite! — krzyczał konwulsyjnie, tracąc prawie oddech: — jeden wcale w Boga nie wierzy, a drugi tak wierzy, że nawet ludzi zarzyna z modlitwą na ustach. Nie, bracie, trudno lepiej wymyśleć. Ha, ha, ha! Nie, to znakomite!

— Rano wyszedłem na miasto — mówił dalej książę, gdy tylko Rogożyn się uspokoił, choć śmiech wciąż jeszcze konwulsyjnie wstrząsał jego twarzą — widzę zataczającego się na drewnianym chodniku pijanego żołnierza, w zupełnie rozpaczliwym stanie. Podchodzi do mnie: „niech pan kupi krzyżyk srebrny, oddaję go za dwadzieścia kopiejek, srebrny!" Widzę w jego ręku krzyżyk, który widocznie zdjął ze siebie przed chwilą, na bardzo znoszonej niebieskiej wstążeczce, ale prawdziwy cynowy, widać z pierwszego wejrzenia, dużych rozmiarów, ośmioramienny, według typowego wzoru bizantyjskiego. Wyjąłem dwudziestokopiejkówkę i dałem mu, a krzyżyk zaraz włożyłem na siebie... z twarzy jego było widać, jak był zadowolony, że oszukał głupiego pana, i zaraz poszedł przepić swój krzyżyk, to nie ulega wątpliwości. Byłem wówczas pod bardzo silnem wrażeniem wszystkiego, co uderzyło mnie w Rosji; niczego przedtem w niej nie rozumiałem, jakbym wzrastał niemową, i zagranicą w ciągu tych pięciu lat wspominałem o niej w sposób fantastyczny. Idę sobie i myślę: nie mogę jeszcze

potępiać tego zdrajcy Chrystusowego. Przecież Bóg wie co siedzi w tych pijanych i słabych sercach. Po godzinie, wracając do hotelu, spotkałem kobietę z dzieckiem u piersi. Kobieta jeszcze młoda, dziecko miało ze sześć tygodni. Dzieciak uśmiechnął się do niej według jej spostrzeżeń po raz pierwszy od urodzenia. Patrzę, a ona się nagle bardzo pobożnie przeżegnała. „Cóż ty, mówię, gosposiu?“ (Rozpytywałem wówczas o wszystko). „A tak, powiada, tak samo, jak matka się raduje, gdy zauważy pierwszy uśmiech na twarzy swego maleństwa, tak również i Pan Bóg się cieszy, gdy widzi z wysokości niebios, że grzesznik z całego serca modlić się poczyna“. Powiedziała mi w tych mniej więcej słowach myśl tak głęboką, tak subtelną i prawie religijną, myśl, w której wyraziła się cała istota chrześcijaństwa, to całe pojęcie o Bogu, jako o naszym Ojcu i o radości Boga z ludzi, jako Ojca z dziecka rodzonego... najważniejsza myśl Chrystusa! Prosta kobieta! Prawda, matka... i kto wie, może ta kobieta była żoną tego żołnierza. Słuchaj, Parfenie pytałeś mnie niedawno, oto moja odpowiedź: istota uczuć religijnych nie pokrywa się z żadnem rozumowaniem, z żadnem przewinieniem, z żadną zbrodnią, z żadnym ateizmem, tu wcale nie o to chodzi, i — nigdy o to nie będzie chodziło; jest tu coś takiego, z czego wiecznie ześlizgiwać się będą wszelkie ateizmy i nie o tem będzie się wiecznie mówiło. Ale co najważniejsze, to to, że najwyraźniej i najprędzej zauważyć się to daje w rosyjskiem sercu, i do tego właśnie zmierzam! To jedno z pierwszych przeświadczeń, jakie w naszej Rosji zdobyłem. Jest co robić, Parfenie! Wierz mi, jest robota w naszym rosyjskim świecie! Przypomnij sobie, jak spotykaliśmy się w Moskwie i rozmawialiśmy przez pewien czas... Nie chciałem wcale tu wracać! I nie o tem spotkaniu z tobą myślałem!... No, ale cóż!... Żegnaj, do widzenia! Zostań z Bogiem!...

Odwrócił się i zeszedł na dół po schodach.

— Leonie Mikołajewiczu! — zawołał z góry Parfen, gdy książę doszedł do pierwszego podestu — czy masz przy sobie ten krzyżyk, kupiony od żołnierza?

— Tak, mam.

I książę znowu stanął.

— Pokażno.
— Daj mi go — rzekł Rogożyn.
Znowu jakieś dziwactwo! Pomyślał chwilę, wszedł na górę i pokazał mu krzyżyk, nie zdejmując go z szyi.
— Daj mi go — rzekł Rogożyn.
— Poco? Czyś ty...
Książę nie bardzo chciał się rozstawać z tym krzyżykiem.
— Będę go nosił, a mój oddam tobie, ty go noś!
— Chcesz zrobić zamianę krzyżyków? Owszem, Parfenie, jak tak, to dobrze; pobratamy się.
Książę zdjął swój cynowy krzyżyk, Parfen swój złoty i zrobili zamianę. Parfen milczał. Ze zdumieniem zauważył książę, że dawna nieufność, dawny gorzki i prawie drwiący uśmiech, wciąż jeszcze błąkał się po twarzy jego brata przybranego, chwilami przynajmniej silnie występował. Nakoniec Rogożyn w milczeniu wziął księcia za rękę i stał tak jakiś czas, jakby nie mając na coś odwagi; nagle pociągnął go za sobą, ledwie dosłyszalnie mówiąc, „chodźmy". Przeszli przez podest pierwszego piętra i zadzwonili do drzwi naprzeciwko tych, z których wyszli. Otworzono im prędko. Zgarbiona staruszka, czarno ubrana, z chustką na głowie, nisko w milczeniu ukłoniła się Rogożynowi; ten szybko spytał ją o coś i nie czekając na odpowiedź, poprowadził księcia dalej przez pokoje. Znów ciągnęły się ciemne pokoje, jakiejś niezwykłej zimnej czystości, umeblowane ponuro i zimno starożytnemi meblami, z białemi, czystemi pokrowcami. Nie meldując się, Rogożyn odrazu wprowadził księcia do niewielkiego pokoju, podobnego do salonu, rozdzielonego błyszczącym parawanem z czerwonego drzewa, z dwoma drzwiami po bokach, za którym prawdopodobnie znajdowała się sypialnia. W kącie salonu, przy piecu, ciedziała na fotelu mała staruszka, z wyglądu nie tak znów bardzo stara, z twarzą nawet dosyć zdrową i okrągłą, ale zupełnie siwa i (widać to było z pierwszego wejrzenia) zupełnie zdziecinniała. Miała na sobie czarną, wełnianą suknię, dużą, czarną chustkę na szyi, czysty, biały czepek z czarnemi wstążkami. Nogi opierała na stołeczku. Obok niej znajdowała się druga czyściutka staruszka, starsza od niej, też w żałobie i w białym czepku, prawdopodobnie jakaś rezydentka i w milczeniu robiła pończo-

chę. Obie widocznie cały czas milczały. Pierwsza staruszka, widząc Rogożyna i księcia, uśmiechnęła się do nich i kilka razy pochyliła łaskawie głowę na znak zadowolenia.

— Matko — powiedział Rogożyn, całując ją w rękę — oto mój serdeczny przyjaciel, książę Leon Mikołajewicz Myszkin: zamieniliśmy z nim krzyżyki; on był mi bratem rodzonym przez pewien czas w Moskwie, wiele dla mnie zrobił. Pobłogosław go, matko, jak syna rodzonego. Poczekaj staruszko, ot tak, złożę twoją rękę...

Ale staruszka, przedtem niż Parfen zdążył wziąć jej rękę, podniosła prawą rękę, złożyła palce i pobożnie przeżegnała księcia. Potem jeszcze raz łaskawie i czule kiwnęła mu głową.

— No, chodźmy, Leonie Mikołajewiczu, — rzekł Parfen — tylko poto cię przyprowadziłem...

Gdy znów wyszli na schody, dodał:

— Ona przecież nic nie rozumie, co mówią i wcale nie rozumiała moich słów, i pobłogosławiła cię; widocznie sama chciała... Żegnaj i na mnie już czas i na ciebie.

I otworzył drzwi.

— Ależ pozwól choć uściskać cię na pożegnanie, z ciebie dziwny człowiek! — zawołał książę, spoglądając na niego z serdeczną wymówką i chciał go uściskać. Zaledwie jednak Parfen podniósł ręce, opuścił je. Nie śmiał; odwracał się, aby nie patrzeć na księcia. Nie chciał go obejmować.

— Nie bój się, choć wziąłem twój krzyżyk, nie zarżnę cię za zegarek! — mruknął niewyraźnie, śmiejąc się jakoś dziwnie. Nagle jednak cała jego twarz zmieniła się; zbladł okropnie, wargi mu się zatrzęsły, oczy rozgorzały. Podniósł ręce, mocno uścisnął księcia i wzdychając, powiedział:

— No, to bierz ją, jeżeli taki los! Twoja! Ustępuję!... Pamiętaj o Rogożynie!

I opuszczając księcia, nie patrząc na niego, wszedł szybko do siebie i zatrzasnął drzwi.

XXI

Było już późno, prawie wpół do trzeciej, i Jepanczyna książę w domu nie zastał. Zostawiwszy bilet, postano-

wił zajść do hotelu „Wiesy“ i zapytać tam o Kolę; w razie zaś, gdyby go nie zastał, zostawić dla niego kartkę. W „Wiesach“ powiedziano mu, że Mikołaj Ardałjanowicz „raczył wyjść z samego rana, ale wychodząc, zawiadomił, że może koło trzeciej raczy powrócić i kazał to powiedzieć w razie, gdyby ktoś o niego pytał. Gdyby go zaś nie było do wpół do czwartej, znaczyłoby, że pojechał do Pawłowska, do willi jenerałowej Jepanczyn i tam już, ma się rozumieć, zje kolację“. Książę postanowił czekać, a tymczasem kazał sobie podać obiad.

Kola nie zjawił się ani o wpół do czwartej, ani nawet o czwartej. Książę wyszedł i skierował się machinalnie tam, gdzie go oczy poniosą. Na początku lata zdarzają się czasem w Petersburgu cudowne dni, jasne, gorące, ciche. Jakby umyślnie, był to właśnie jeden z tych wyjątkowych dni. Przez pewien czas błąkał się książę bez celu. Miasto znał bardzo mało. Przystawał na krzyżujących się ulicach, przed niektóremi domami, na placach, na mostach; raz zaszedł do cukierni odpocząć. Czasem wpatrywał się z wielką ciekawością w przechodniów; ale przeważnie ani nie zauważył nikogo, ani nie wiedział, dokąd idzie. Był dziwnie podniecony i niespokojny, ale jednocześnie odczuwał potrzebę samotności. Chciał być sam i poddać się temu całemu stanowi zupełnie biernie, nie starając się z niego wyrwać. Nie chciał za nic w świecie rozwiązać zagadnień cisnących się do jego duszy i serca. „Cóż ja jestem temu winien?“... mruczał sam do siebie, własnych słów nieomal nie rozumiejąc.

Około szóstej znalazł się na dworcu Carskosielskiej drogi żelaznej. Samotność prędko mu dokuczyła; nowe uczucie opanowało jego serce i na chwilę rozjaśniło ciemności, gnębiące jego duszę. Kupił bilet do Pawłowska i chciał czem prędzej wyjechać; ale coś go najwidoczniej prześladowało i była to rzeczywistość nie urojenie, jakże mogłoby mu się zdawać. Wsiadając już do wagonu, rzucił nagle kupiony bilet i wyszedł z dworca zmieszany i zamyślony. Niedługo potem, gdy już był na ulicy, nagle jakby sobie coś przypomniał, jakby sobie coś nagle uświadomił, coś bardzo dziwnego, coś, co oddawna nie dawało mu spokoju. Przyłapał się na pewnem zajęciu, któremu się oddawał już od pewnego

czasu, ale którego do tej pory nie zauważył; oto już od kilku godzin, i w „Wiesach“ i nawet przed przyjściem do „Wiesów“ ni stąd ni zowąd zaczynał nagle czegoś dokoła siębie szukać. Chwilami zapominał, nawet na dość długo, na pół godziny i nagle znów się obejrzy niespokjnie i znów dokoła szuka.

Ledwo jednak zauważył w sobie to chorobliwe i dotychczas zupełnie nieświadome wzruszenie, któremu tak dawno już ulegał, gdy nagle uprzytomniło mu się inne wspomnienie, bardzo go zajmujące; przypomniał sobie, że w chwili, kiedy zauważył, że ciągle czegoś szuka, stał na chodniku przed oknem sklepu i z wielką ciekàwością przyglądał się towarowi, wystawionemu w oknie. Zachciało mu się koniecznie sprawdzić: czy on czego nie poplątał? Czy rzeczywiście istnieje ten sklep i ten towar? Przecież on czuje się dziś istotnie w dziwnie chorobliwym nastroju, prawie w takim samym, w jakim bywał przedtem, na początku poprzedniej swej choroby. Wiedział, że w okresie przed atakiem bywa zwykle roztargniony i często plącze przedmioty i osoby, jeśli patrzy, nie zwracając na nie szczególnej uwagi. Był zresztą jeszcze jeden powód, dla którego chciał koniecznie przekonać się, czy naprawdę stał wtedy przed sklepem; pomiędzy rzeczami rozłożonemi na pokaz w oknie sklepu był pewien przedmiot, któremu się przyglądał i który nawet ocenił na sześćdziesiąt kopiejek, pamiętał to dobrze pomimo swego zmieszania i przestrachu. Zatem, jeśli ten sklep istnieje i przedmiot ten jest rzeczywiście wystawiony pomiędzy innemi towarami, zatrzymywał się właśnie z powodu tego przedmiotu. Z tego wynika, że ów przedmiot przedstawiał dla niego tak wielkie zainteresowanie, że zwrócił jego uwagę nawet w chwili, kiedy był silnie zmieszany, zaraz po wyjściu z dworca kolejowego. Szedł, prawie ze smutkiem, patrząc na prawo i serce mu biło z niepokoju i niecierpliwości. Oto jest ten sklep, znalazł go nareszcie! Stał o jakie pięćset kroków od niego, gdy nagle postanowił się cofnąć. Oto jest i ten przedmiot za sześćdziesiąt kopiejek, „na pewno sześćdziesiąt kopiejek, nie wart więcej!“ — powtórzył i roześmiał się. Ale roześmiał się, jak histeryk; zrobiło mu się ciężko na duszy. Przypomniał sobie dobitnie,

że właśnie tutaj, stojąc przed tem oknem, nagle odwrócił się tak, jak poprzednio, gdy poczuł na sobie wzrok Rogożyna. Przekonawszy się, że się pomylił (o czem zresztą i przed sprawdzeniem był przekonany), porzucił sklep i czem prędzej odszedł. Wszystko to trzeba koniecznie przemyśleć; teraz, było to dla niego jasne, że mu się nic nie przywidziało i na dworcu, że rzeczywiście coś się z nim stało, coś ściśle związanego z całym jego poprzednim niepokojem. Wtem pewien wewnętrzny, nieprzezwyciężony wstręt znów wziął górę: nie chciał już nic przemyślać, nic już nie obmyślał; zamyślił się nad zupełnie innemi sprawami.

Zamyślił się między innemi i nad tem, że w jego epileptycznym stanie była pewna chwila, prawie przed samym atakiem (jeżeli ów atak nie przychodził we śnie), kiedy nagle, wśród smutku, ciemności duchowych, przygnębienia, jakby rozpromieniał się jego mózg, i z niezwykłą mocą wytężały się jednocześnie wszystkie jego siły życiowe. Odczuwanie życia, samopoczucie, wzrastały niemal w dziesięćkroć w takich chwilach, krótkich jak błyskawica. Rozum, serce gorzały niezwykłym błyskiem; wszystkie wzruszenia, wszystkie wątpliwości jego, wszystkie niepokoje jakby się koiły, przechodziły w jakiś wyższy nastrój, pełen jasnej, harmonijnej radości i nadziei. Lecz te chwile, te błyski były jeszcze tylko zapowiedzią tej ostatniej sekundy (nigdy dłużej nad sekundę), w której rozpoczynał się atak. Ta sekunda była, rozumie się, nie do zniesienia. Rozmyślając nad tą chwilą później, już kiedy był zdrów, mówił często sam do siebie, że przecież te wszystkie przebłyski wyższego samopoczucia, a może i „doskonalszego bytu", nie są niczem innem, jak naruszeniem normalnego stanu, a jeśli tak jest, w takim razie wcale to nie jest doskonalszy byt, a przeciwnie, trzeba to uważać za coś niższego. W ten sposób doszedł w końcu do zupełnie paradoksalnego wniosku; „więc cóż z tego, że to natężenie nienormalne, jeżeli sam wynik, jeżeli chwila odczuwania, którą sobie przypomina i którą rozpatruje już będąc zdrowym, jest w najwyższym stopniu harmonją, pięknem, daje niesłychane i niewysłowione dotychczas uczucie pełności, miary, pojednania i lękliwego, modlitewnego zlania się z najwyższą syntezą życia?" Te mgliste wyrażenia

wydały się jemu samemu bardzo zrozumiałe, chociaż jeszcze zbyt słabe. Co do tego zaś, że to naprawdę „piękno i modlitwa“, że to rzeczywiście „wyższa synteza życia“, wątpić o tem nie mógł, nie mógł mieć nawet cienia wątpliwości. Przecież nie wizje miał wtedy, jak od haszyszu, opjum, lub wódki; wizje poniżające rozsądek i plugawiące duszę, nienormalne i nieistniejące. O tem mógł doskonale sądzić po skończonym, chorobliwym ataku. Chwile te były niezwykłym wzmożeniem świadomości, gdyby można określić ten stan jednem słowem, samopoczucia, w najwyższym stopniu bezpośredniego. Jeżeli w danej sekundzie, to jest w ostatniuteńkiej chwilce przytomności przed atakiem, udało mu się jasno i świadomie powiedzieć sobie: „Tak, za tę jedną chwilę możnaby oddać życie“! to, na pewno, chwila ta sama w sobie warta całego życia. Zresztą o djalektyczną część swego wniosku nie dbał: przytępienie umysłu, duchowe ciemności, idjotyzm... był to jasny skutek tych „najwyższych chwil“. Na serjo, ma się rozumieć, by się nie spierał. W samym wniosku, to jest w ocenie tej chwili, bezwątpienia leżała pomyłka, ale rzeczywistość wrażenia zawsze go trochę zatrważała. Bo cóż zrobić z rzeczywistością? Przecież to wszystko miało miesce, przecież jemu samemu udawało się powiedzieć sobie w takiej chwili, że chwila ta, dla nieskończonego szczęścia, które on w pełni odczuwa, mogłaby doprawdy być wartą całego życia. „W chwili tej“... jak mówił kiedyś w Moskwie do Rogożyna, podczas ich ówczesnych rozmów... „w chwili tej staje się dla mnie zupełnie zrozumiałem, że c z a s u j u ż w i ę c e j n i e b ę d z i e. Zapewne... dodał z uśmiechem... to ta sama chwila, w której nie zdążył się wylać przewracający się dzban z wodą epileptyka Mahometa, który jednak zdążył przez tę samą sekundę obejrzeć wszystkie Ałłachowe mieszkania“. Tak, w Moskwie często widywał się z Rogożynem i o wielu rzeczach rozmawiali. „Rogożyn powiedział przed chwilą, że byłem wtedy dla niego bratem; pierwszy raz dziś to powiedział“... pomyślał książę.

Myślał o tem, siedząc na ławce, pod drzewem, w Letnim Ogrodzie. Było około godziny siódmej. Ogród był pusty; mrok pokrył na chwilę zachodzące słońce. Było duszno;

czuć było jakby daleką zapowiedź burzy. W obecnym jego stanie rozmyślania wszystko było dla niego bardzo ponętne. Przywiązywał się wspomnieniami i rozumem do każdego zewnętrznego przedmiotu i podobało mu się to: chciał koniecznie zapomnieć o czemś rzeczywistem, powszedniem, ale przy pierwszem spojrzeniu rzuconem dokoła, poznawał znów swoją ponurą myśl, od której tak pragnął się oderwać. Przypomniał sobie, że dopiero co rozmawiał podczas obiadu z kelnerem o pewnem, nadzwyczaj dziwnem morderstwie, które niedawno narobiło dużo hałasu i wywołało dużo rozmów. Lecz zaledwie sobie to przypomniał, gdy znów zaszło z nim coś dziwnego.

Niezwykłe, nieprzezwyciężone pragnienie, prawie pokusa, opanowała nagle jego wolę. Wstał z ławki i poszedł z ogrodu prosto na Petersburską stronę. Niedawno, gdy był na brzegu Newy, poprosił jakiegoś przechodnia, żeby mu pokazał przez Newę Petersburską stronę. Pokazano mu drogę, ale wtedy on tam nie poszedł. I w każdym razie dziś nie miał tam poco chodzić; wiedział o tem dobrze. Adres miał oddawna; mógł łatwo znaleźć dom siostrzenicy Lebiediewa; wiedział prawie napewno, że jej nie zastanie w domu. „Bezwarunkowo wyjechała do Pawłowska, inaczej byłby Kola zostawił cośkolwiek w „Wiesach", według umowy". Więc, jeśli szedł teraz, to na pewno nie dla tego, żeby ją widzieć. Inna, ponura, męcząca i przytłaczająca ciekawość nęciła go. Nowa, niespodziewana myśl przyszła mu teraz nagle do głowy...

Lecz dla niego aż za dużo było, że poszedł i wiedział dokąt idzie; minutę później znów szedł, nie widząc prawie swojej drogi. Dalsze rozmyślanie nad „nową jego myślą" stało się dla niego wstrętne i prawie niemożebne. Z męcząco wytężoną uwagą wpatrywał się we wszystko, co mu wpadało w oczy, patrzył na niebo, na Newę. Zagadał do małego dziecka, które spotkał. Możebne, że jego stan epileptyczny coraz bardziej się wzmagał. Burza rzeczywiście się zbliżała, chociaż bardzo powoli.Słychać już było oddalone grzmoty. Robiło się bardzo duszno...

Przychodził mu teraz ciągle na myśl, tak jak przychodzi czasem na myśl natrętny muzyczny motyw, od

którego oderwać się nie można... siostrzeniec Lebiediewa, którego dopiero co widział. Dziwna rzecz, że stawał ciągle w jego pamięci, jako ów morderca, o którym przedtem wspominał sam Lebiediew, przedstawiając mu siostrzeńca. Tak, bardzo niedawno temu czytał o owym mordercy. Dużo czytał i słyszał o tych rzeczach, odkąd wjechał w granice Rosji; wszystko to śledził uważnie. Przed chwilą aż zanadto się ożywił, rozmawiając z kelnerem właśnie o takiem zabójstwie Zemarinych. Kelner był jego zdania, pamiętał to dobrze. Przypomniał sobie i tego kelnera; był to niegłupi chłopak, solidny i ostrożny, a „zresztą Bóg święty raczy wiedzieć, co on za jeden. Trudno w nowym kraju rozpoznawać nowych ludzi". O, dużo, dużo zniósł on rzeczy zupełnie dla niego nowych przez te sześć miesięcy; rzeczy niewypowiedzianych, o których nigdy nie słyszał i których nigdy nie oczekiwał! Lecz cudza dusza mrokiem pokryta i rosyjska dusza w ciemnościach, dla wielu mrokiem pokryta. Oto długo widywał się z Rogożynem, żyli ze sobą blisko, „po bratersku" — a czyż on zna Rogożyna? A zresztą jakiż w tem wszystkiem panuje niekiedy chaos, jakie zamieszanie, jaki bezład! I jaki to jednak wstrętny i zarozumiały jegomość ten siostrzeniec Lebiediewa? A zresztą, cóż ja?... (rozmyślał dalej książę) czyż on zabił te istoty, tych pięcioro ludzi? Ja coś plączę... jakie to dziwne! W głowie mi się kręci... A jaką miłą, jaką sympatyczną twarz ma starsza córka Lebiediewa, ta, która stała z dzieckiem na ręku; jaki niewinny, jaki prawie dziecinny wyraz i jaki prawie dziecinny uśmiech! Dziwna rzecz, że on jakby zapomniał o jej twarzy i dopiera teraz ją sobie przypomina. Lebiediew, który tupie nogami na swoje dzieci, z pewnością je wszystkie ubóstwia. Lecz co jest równie prawdziwe, jak dwa razy dwa jest cztery, to to, że Lebiediew ubóstwia swojego siostrzeńca!

A zresztą, cóż on ich tak wszystkich sądzi; on, który dopiero co się tu zjawił, takie wypowiada sądy? A Lebiediew dziś go zastanowił; czyż on się spodziewał takiego Lebiediewa? Czy on przedtem takiego Lebiediewa znał? Lebiediew i du Barry — Boże drogi! Przytem, jeśli Rogożyn zabije, to w każdym razie nie tak nieporządnie zabije. Za-

mieszania tego nie będzie. Przyrząd zamówiony podług rysunku... on... ale... czyż to pewne, że Rogożyn zabije?! — drgnął nagle książę. „Czy to nie zbrodnia, czy to nie podłość z mojej strony w ten sposób cyniczny i otwarty czynić podobne przypuszczenie“ — zawołał i rumieniec wstydu pokrył jego twarz. Był przerażony, stał jak skamieniały, jak wryty w ziemię. Przypomniał sobie w jednej chwili dworzec Pawłowski i dworzec Mikołajewski i pytanie zadane wprost Rogożynowi o o c z a c h i krzyż Rogożyna, który ma teraz na szyi i bgołosławieństwo jego matki, do której sam go zaprowadził i ostatnie, konwulsyjne uściśnienie, ostatnie wyrzeczenie się Rogożyna, wtedy, na schodach... i po tem wszystkiem łapać się na ciągłem szukaniu czegoś dokoła siebie, i ta ławka, ten przedmiot... co za podłość. I po tem wszystkiem on teraz idzie „ze szczególnym celem“, ze szczególną „nagłą myślą!“ Rozpacz i cierpienie owładnęły jego duszą. Książę chciał natychmiast wrócić do siebie, do hotelu; zawrócił nawet i poszedł, ale po chwili znów się zatrzymał, pomyślał i wrócił w tę samą stronę.

Tak, był już na Petersburskiej, był blisko domu; przecież on nie idzie tam w tym celu, jaki miał dawniej, nie idzie „ze szczególną myślą!“ I jak to się mogło stać! Tak, choroba jego powraca, co do tego niema wątpliwości; dziś jeszcze może atak nastąpi. Wskutek tego ataku cały ten mrok, wskutek tego ataku i ta „myśl“. Teraz mrok rozwiany, demon wygnany, wątpliwości niema, w sercu jego radość! I... tak już dawno j e j nie widział, musi ją zobaczyć, i... tak, chciałby teraz spotkać Rogożyna, wziąłby go za rękę i poszliby razem... Sumienie ma czyste; czyż on jest rywalem Rogożyna? Jutro sam pójdzie i powie Rogożynowi, że ją widział; leciał tu przecież na złamanie karku, jak powiedział dopiero co Rogożyn, byle ją tylko zobaczyć! Może ją zresztą zastanie, przecież to nie jest pewne, że ona jest w Pawłowsku!

Tak, trzeba teraz to wszystko wyjaśnić; trzeba, żeby się wszyscy rozumieli, żeby nie było tych ponurych i namiętnych wyrzekań się, jak niedawno wyrzekał się Rogożyn, i niech się to wszystko zakończy swobodnie i... jasno. Czyż Rogożyn nie jest w stanie ujrzeć światło? Mówi, że ją nie

tak kocha, że w nim niema współczucia, „żadnej takiej litości“. Prawda, że później dodał: „twoja litość jest jeszcze gorsza od mojej miłości“, ale on się sam obmawia. Hm... Rogożyn przy książce, to nie „litość“, nie początek „litości?“ Czyż sama obecność tej książki nie dowodzi, że on zupełnie zdaje sobie sprawę z ich wzajemnego stosunku? A to jego opowiadanie? Nie, to jest coś głębszego od prostej namiętności. I czyż tylko namiętność budzi jej twarz? I czy ta twarz może teraz budzić namiętność? Budzi cierpienie, opanowuje całą duszę, jest ona... i palące, męczące wspomnienie przeszyło nagle księcia.

Tak, męczące. Przypomniał sobie, jak się niedawno temu męczył, kiedy po raz pierwszy zauważył u niej objawy pomieszania zmysłów. Doszedł wtedy prawie do rozpaczy. I jak on mógł ją porzucić, kiedy ona wtedy uciekła od niego do Rogożyna? Powinien był jechać za nią, a nie czekać na wiadomości od niej. Ale... czyżby Rogożyn nie zauważył jeszcze u niej dotychczas pewnego obłąkania? Hm... Rogożyn widzi we wszystkiem inne przyczyny, namiętności! I jaka głupia zazdrość. Co on chciał powiedzieć przez to swoje przypuszczenie- (Książę zaczerwienił się nagle i drgnął nerwowo).

Poco on zresztą myśli o tem wszystkiem? Oboje są szaleni. A dla niego, księcia, kochać tę kobietę, byłoby wprost niemożliwe, byłoby to wprost okrucieństwem, czemś nieludzkiem. Tak, tak! Nie! Rogożyn sam się obmawia; on ma wzniosłe serce, które może cierpieć i współczuć. Kiedy się dowie całej prawdy i kiedy się przekona, jaka to litości godna istota, ta obłąkana i chora, czyż on jej wtedy nie przebaczy tego, co było, i tych męczarni swoich? Czyż nie zostanie jej sługą, bratem, przyjacielem? Współczucie otworzy oczy Rogożynowi. Współczucie przedewszystkiem, a może jedynie, daje ludzkości prawo istnienia.. Ach, jakże on ciężko i nieuczciwie zawinił przed Rogożynem! Nie, to nie w „rosyjskiej duszy ciemności“, a w jego własnej duszy mrok straszny, jeśli coś podobnego mogło mu przyjść na myśl. Za kilka gorących i serdecznych słów, wypowiedzianych w Moskwie, Rogożyn nazywa go swoim bratem, a on... Ależ to choroba i szaleństwo! Wszystko to się rozstrzygnie. Dlaczego on znów drży,

dlaczego ten zimny pot, ten mrok i chłód w sercu? Czy dlatego, że on znów teraz zobaczył te o c z y? Ale przecież wyszedł z Letniego Ogrodu tylko poto, żeby je zobaczyć! Na tem przecież polegała jego „nagła myśl". Zachciało mu się koniecznie zobaczyć te „oczy", gdyż chciał się nareszcie przekonać, że je bezwarunkowo spotka t a m, w tym domu. Było to pragnienie konwulsyjne wprost, więc dlaczego on teraz taki zgnębiony i przerażony tem, że je rzeczywiście zobaczył? Jakgdyby się tego nie spodziewał! Tak, były to t e s a m e oczy (i co do tego, że to t e s a m e, niema już teraz najmniejszej wątpliwości!), które mignęły mu się rano, w tłumie, kiedy wychodził z wagonu Mikołajewskiej drogi żelaznej; te same (zupełnie te same!), których spojrzenie poczuł niedawno za swojemi plecami, siedząc u Rogożyna. Rogożyn się wtedy wyparł: zapytał z wykrzywioną twarzą i z lodowatym uśmiechem: „czyjeż to oczy? I księciu zachciało się koniecznie, jeszcze niedawno, na dworcu kolei Carskosielskiej... kiedy siadał do wagonu, ażeby jechać do Agłai, i nagle znów zobaczył te oczy już trzeci raz tego samego dnia... podejść do Rogożyna i powiedzieć mu, czyje to były oczy!" Ale wybiegł z dworca i oprzytomniał dopiero przed sklepem nożownika, w chwili, kiedy stojąc przed wystawą, oceniał na sześćdziesiąt kopiejek pewien przedmiot, z rękojeścią z jeleniego rogu. Dziwny i straszny demon przyczepił się do niego i już go nie opuszczał. Demon ów szepnął mu w Letnim Ogrodzie, kiedy siedział zamyślony pod lipą, że jeżeli Rogożyn tak go chciał pilnować od samego rana i tak go chciał łapać na każdym kroku, to dowiedziawszy się, że on nie pojedzie do Pawłowska (co, ma się rozumieć, było fatalną dla Rogożyna wiadomością), on sam, Rogożyn, na pewno pójdzie t a m, do tego domu, na Petersburskiej i na pewno będzie tam pilnował jego, księcia, który mu dał rano słowo honoru, że „jej nie zobaczy", i że „nie poto do Petersburga przyjechał". I oto książę konwulsyjnie dąży do tego domu i cóż z tego, że on tam rzeczywiście spotyka Rogożyna? Zobaczył tylko człowieka nieszczęśliwego, którego nastrój duchowy ponury jest, lecz bardzo zrozumiały. Ten nieszczęśliwy człowiek nawet się teraz nie ukrywał. Tak, Rogożyn zaparł się przedtem i skłamał, ale w Pawłowsku stał, prawie się nie ukrywając.

Prędzej nawet on, książę, ukrywał się, a nie Rogożyn. A teraz, przy tym domu, stał po drugiej stronie ulicy, w odległości w prostej linji pięćdziesięciu kroków, na przeciwległym chodniku i czekał ze skrzyżowanemi na piersiach rękami. Tutaj był on zupełnie widoczny i zdawało się, że chciał, aby go widziano. Stał, jak oskarżyciel i jak sędzia, a nie jak... A nie jak kto?

A dlaczegoż on, książę, sam teraz do niego nie podszedł! Odszedł, jakgdyby nic nie zauważył, chociaż oczy ich się spotkały. (Tak, oczy ich się spotkały! i spojrzeli na siebie wzajemnie). Przecież on sam chciał wziąć go za rękę i pójść tam razem z nim. Przecież on sam chciał pójść nazajutrz do niego i powiedzieć, że u niej był. Przecież wyparł się sam swojego demona, jeszcze kiedy tu szedł, w połowie drogi, kiedy radość napełniła nagle jego duszę. Czy też rzeczywiście było coś takiego w Rogożynie, to jest w całem d z i s i e j s z e m wyobrażeniu tego człowieka, w zjednoczeniu jego słów, ruchów, postępków, spojrzeń, co mogło usprawiedliwiać straszne przeczucia księcia i oburzające podszepty jego demona? Coś takiego, co się rzuca w oczy, lecz co trudno jest analizować i opowiedzieć, czego nie można udowodnić dostatecznie przyczynami, ale co jednak wywiera pomimo tej trudności i niemożebności, zupełne, całkowite i niezatarte wrażenie, przechodzące mimowoli w jak najsilniejsze przekonanie?...

Przekonanie o czem? (O, jakże księcia męczyła potworność, „podłość" tego przekonania, „tego podłego przeczucia" i jakże on sam siebie oskarżał!) Powiedz, jeśli się odważysz, o czem? — mówił ciągle sam do siebie, z wymówką i wyzywająco — formułuj, ośmiel się wypowiedzieć całą swoją myśl, jasno, dokładnie, bez wahania! O, jakiż ja podły, — powtarzał z oburzeniem i z rumieńcem na twarzy — jakże ja teraz patrzeć będę na tego człowieka przez całe moje życie? Ach, jakiż to dzień! Ach Boże, co to za zmora!

Była chwila pod koniec tej męczącej i długiej drogi z dzielnicy Petersburskiej, kiedy nagle opanowało księcia nieprzezwyciężone pragnienie pójść natychmiast do Rogożyna, doczekać się go, uścisnąć go ze wstydem, ze łzami, wypowiedzieć mu wszystko i raz na zawsze z tem skończyć.

Lecz stał już przed swoim hotelem... Jakże bardzo mu się przedtem nie spodobał ten hotel, te korytarze, cały ten dom, jego numer, nie spodobały mu się od pierwszego wejrzenia; kilka razy w ciągu dnia przypominał sobie ze wstrętem, że trzeba tu będzie powrócić... „Cóż to, czyż ja, jak chora kobieta, wierzę dziś w każde przeczucie!“ — pomyślał szyderczo i z rozdrażnieniem, stając na chwilę w bramie. Nowy, nie do zniesienia przypływ wstydu, prawie rozpaczy, przykuł go do ziemi, kiedy wchodził do bramy. Zatrzymał się. Czasem się to zdarza; nieznośne, nagłe wspomnienia, zwłaszcza związane ze wstydem, zmuszają zwykle do zatrzymania się na chwilę. „Tak, jestem tchórzem i człowiekiem bez serca!“ — powtórzył zasępiony i porywczo posunął się naprzód, ale... znów się zatrzymał.

W bramie tej i tak ciemnej, w tej chwili bardzo było ciemno: nadchodząca groźna chmura pochłonęła światło wieczorne i kiedy książę zbliżał się do domu, chmura rozwarła się nagle i spadł ulewny deszcz. W chwili, gdy po krótkiem zatrzymaniu się, porywczo posunął się naprzód, znajdował się na samym początku bramy, u samego wejścia z ulicy. I nagle zobaczył w głębi bramy, w półmroku, przy samem wejściu na schody, jakiegoś człowieka. Człowiek ten jakgdyby na coś czekał, ale mignął się tylko i zniknął. Książę nie mógł dobrze mu się przyjrzeć i ma się rozumieć nie mógłby w żaden sposób powiedzieć co to za jeden. Przytem tak dużo mogło tędy przechodzić ludzi; był to przecież hotel i bezustannie chodzili i wbiegali na korytarze tam i nazad. Nagle nabrał silnego przekonania, że poznał tego człowieka i że tym człowiekiem jest na pewno Rogożyn. Chwilę potem rzucił się książę za nim na schody. Serce bić mu przestało. „Zaraz się wszystko wyjaśni!“ z dziwną pewnością powiedział sam do siebie.

Schody, po których biegł książę, wychodząc z bramy, prowadziły do korytarzy pierwszego i drugiego piętra, na których znajdowały się numery hotelowe. Schody te, jak we wszystkich starych domach, były kamienne, ciemne, wąskie i wiły się dokoła grubego, kamiennego słupa. Na pierwszym podeście było w tym słupie zagłębienie, coś w rodzaju niszy, mniej więcej na jeden krok szerokie i na pół kroka głębokie.

Człowiek mógłby się tu jednak zmieścić. Chociaż było bardzo ciemno, jednak gdy książę wpadł na podest, odrazu wyczuł, że tu w tej niszy, kryje się jakiś człowiek. Zapragnął nagle przejść obok niszy i nie patrzeć na prawo. Postąpił nawet jeden krok naprzód, ale nie wytrzymał i obejrzał się.

Para oczu, tych samych, co przedtem, spotkała się nagle z jego oczami. Człowiek, kryjący się w niszy, również zdążył postąpić jeden krok naprzód. Przez jedno okamgnienie stali tak jeden naprzeciw drugiego. Nagle schwycił go książę za ramię i pociągnął w tył, bliżej światła, do schodów: chciał się lepiej przyjrzeć jego twarzy.

Oczy Rogożyna błysnęły i djabelski uśmiech wykrzywił jego usta. Podniósł prawą rękę, w której błysnął jakiś przedmiot; książę nie myślał jej wstrzymywać. Pamiętał tylko, że krzyknął: — Parfen, nie wierzę!...

Nagle, jakby się coś przed nim rozwarło: niezwykłe, w e w n ę t r z n e światło opromieniło jego duszę. Trwało to może pół sekundy, lecz on pamiętał jasno i wyraźnie początek i pierwszy dźwięk swego strasznego jęku, który wyrwał mu się z piersi i którego żadną siłą nie byłby mógł powstrzymać. Potem w jednej chwili stracił przytomność i zemdlał.

Dostał ataku epilepsji, która go już oddawna nie męczyła. Wiadomo, że ataki epilepsji, zwłaszcza sama w i e l k a c h o r o b a, przychodzą w jednej chwili. W momencie tym wykrzywia się cała twarz, a zwłaszcza oczy. Całe ciało i wszystkie rysy twarzy drgają konwulsyjnie. Straszny, nieopisany i jedyny w swoim rodzaju jęk wyrywa się z piersi; w jęku tym ginie poniekąd wszystko, co ludzkie, i postronny widz nie może wcale, albo przynajmniej bardzo mu trudno wyobrazić sobie, że to ten sam człowiek krzyczy. Wydaje się nawet, że krzyczy zupełnie kto inny, znajdujący się wewnątrz tego człowieka. Wielu ludzi przynajmniej określało w ten sposób swoje wrażenie, u wielu widok epilepsji budzi tylko strach, mający w sobie nawet coś mistycznego. Prawdopodobnie właśnie uczucie takiego niespodziewanego strachu, również jak inne straszne wrażenia tej chwili przykuły nagle Rogożyna na miejscu, i przez to uratowały księcia od nieuniknionego pchnięcia nożem, wzniesionym już ponad nim. Następnie, zanim zdążył się domyśleć, że to atak konwulsyj,

i widząc, że książę odsunął się od niego i nagle upadł w tył, spadając na dół po schodach i uderzywszy karkiem o kamienne stopnie, Rogożyn rzucił się przed siebie na łeb na szyję, wyminął leżącego i prawie nieprzytomny wybiegł z hotelu.

Wskutek konwulsyj, drgań i kurczów ciało chorego opuściło się po schodach, których było około piętnastu, aż na sam dół. Bardzo prędko, gdyż już po paru minutach zauważono leżącego, zebrał się tłum gawiedzi. Duża kałuża krwi dokoła głowy budziła podejrzenie: czy ten człowiek sam się rozbił, czy też „popełniono tu zbrodnię". Wkrótce jednak ktoś z obecnych orzekł, że to konwulsje; jeden z numerowych poznał w księciu gościa. Sprawę rozstrzygnęła wreszcie pewna szczęśliwa okoliczność.

Kola Iwołgin, który zapowiedział na godzinę czwartą powrót swój do hotelu i tymczasem pojechał do Pawłowska, nagle się tam rozmyślił, odmówił kolacji u jenerałowej Jepanczyn, wrócił do Petersburga i poszedł czemprędzej do „Wiesów", gdzie zjawił się około godziny siódmej wieczór. Dowiedziawszy się z pozostawionej mu przez księcia karteczki, że książę wyszedł na miasto, udał się do niego według wskazanego w kartce adresu. Dowiedziawszy się zaś w hotelu, że książę wyszedł, zeszedł na dół, do sali restauracyjnej i czekał, pijąc herbatę i słuchając muzyki. Przypadkiem usłyszał o czyimś ataku, rzucił się na schody, wiedziony przeczuciem i poznał księcia. Użyto wtedy odpowiednich środków ratunkowych. Przeniesiono księcia do numeru, odzyskał przytomność, ale długo jeszcze nie wracał do sił. Doktór wezwany dla zbadania rozbitej głowy, kazał kłaść zimne okłady i powiedział, że stłuczenia nie przedstawiają żadnego niebezpieczeństwa. Kiedy zaś, w godzinę później, książę zaczął trochę zdawać sobie sprawę z okoliczności, Kola przewiózł go w karecie z hotelu do Lebiediewa. Lebiediew przyjął chorego niezwykle gorąco i z ukłonami. Przyśpieszył dla niego swój wyjazd na wieś; w trzy dni później wszyscy już byli w Pawłowsku.

XXII

Willa Lebiediewa była nieduża, ale wygodna i nawet ładna. Zwłaszcza wyróżniała się część willi, przeznaczona do wynajęcia. Na tarasie, dosyć przestronnym, pomiędzy ulicą i wejściem do mieszkania, poustawiano kilka pomarańczowych i cytrynowych drzew i jaśminów, w dużych, zielonych, drewnianych wazonach, co przedstawiało według Lebiediewa jaknajrozkoszniejszy widok. Kilka z tych drzew nabył z willą i tak go olśniły, że postanowił skorzystać ze sposobności i dokupić na licytacji parę takich drzew w wazonach. Kiedy wreszcie wszystkie zwieziono do willi i poustawiano je, Lebiediew zbiegał kilka razy na dzień po schodkach na ulicę i stamtąd rozkoszował się swoją własnością, za każdym razem dodając w myśli coś do sumy, którą miał zamiar zażądać od swego przyszłego lokatora.

Osłabionemu, smutnemu i potłuczonemu księciu bardzo się willa spodobała. Zresztą, na trzeci dzień po ataku, to jest w dzień wyjazdu do Pawłowska, książę miał wygląd człowieka prawie zdrowego, chociaż wewnętrznie czuł się jeszcze chory. Cieszył się wszystkimi, kogo widział dokoła siebie przez te trzy dni, cieszył się z Koli, który prawie na krok go nie odstępował, cieszył się z całej rodziny Lebiediewa (bez siostrzeńca, który gdzieś zniknął), cieszył się z samego Lebiediewa; przyjął nawet z przyjemnością odwiedzającego go jeszcze w mieście jenerała Iwołgina. W sam dzień wyjazdu, już przed wieczorem, zebrało się na tarasie dokoła księcia dosyć dużo znajomych: pierwszy przyszedł Gania, którego książę ledwo poznał, tak przez cały ten czas zmienił się i wychudł; następnie zjawili się Basia i Pticyn, też w Pawłowsku mieszkający. Jenerał Iwołgin zaś mieszkał u Lebiediewa prawie bez przerwy, zdaje się, że nawet razem z nim przyjechał. Lebiediew starał się nie dopuszczać go do księcia i trzymał go przy sobie; obchodził się z nim przyjaźnie; widocznie dawno się już znali. Książę zauważył, że nieraz przez te trzy dni wszczynali długie rozmowy, kłócili się i krzyczeli, dyskutowali nawet o mądrych rzeczach, co Lebiediewowi dużą sprawiało przyjemność. Można było nawet przypuszczać, że potrzebował jenerała. Te same ostrożności, które Lebiediew

zarządził w stosunku do księcia, aplikował również i dla całej swej rodziny od chwili przyjazdu do willi; pod pozorem, żeby nie przeszkadzać księciu, nie puszczał do niego nikogo, tupał nogami, rzucał się i wypędzał córki, nie wyłączając Wiary z dzieckiem, jeżeli tylko podejrzewał, że idą na taras, gdzie się znajdował książę, a czynił to pomimo wielokrotnych próśb księcia, aby nikogo nie odpędzał.

— Po pierwsze, nie będzie żadnego uszanowania, jeżeli ich się tak rozpuści; a po drugie, nawet nie wypada — wytłumaczył wkońcu, kiedy książę przyparł go do muru.

— Ale dlaczego? — upominał go książę — naprawdę pan mnie tylko zamęcza tem ciągłem pilnowaniem i zachowywaniem ostrożności. Tyle razy już panu mówiłem, że się sam nudzę, a pan mnie jeszcze bardziej drażni tem ciągłem machaniem rękami i chodzeniem na palcach.

Książę chciał dać do zrozumienia, że chociaż Lebiediew rozpędzał wszystkich domowników pod pozorem spokoju, koniecznego dla człowieka chorego, sam zachodził do księcia prawie co chwila przez te trzy dni i za każdym razem naprzód otwierał drzwi, wsuwał głowę, rozglądał się po pokoju, jakgdyby się chciał przekonać, czy on tu jest? czy nie uciekł? i potem już na palcach, wolno, ukradkiem podchodził do fotelu, tak że czasem straszył nawet swego lokatora. Ciągle się dowiadywał, czy czego nie potrzebuje, i gdy książę zwracał mu wkońcu uwagę, aby mu dał święty spokój, odwracał się posłusznie i w milczeniu odchodził cichutko na palcach do drzwi i przez cały czas idąc, machał rękami, jakgdyby chciał powiedzieć, że on tylko tak sobie, że on nie powie ani słowa i że przecież już wyszedł, już go niema i więcej nie przyjdzie, co nie przeszkadzało, że po dziesięciu minutach, a najwyżej po kwadransie zjawiał się z powrotem. Kola, który, kiedy chciał, wchodził do księcia, budził przez to samo w Lebiediewie głęboką gorycz i nawet oburzenie. Kola zauważył, że Lebiediew po pół godziny wystaje pod drzwiami i podsłuchuje ich rozmowy, o czem, ma się rozumieć, zawiadomił księcia.

— Trzyma mnie pan pod kluczem, jakgdybym był pana własnością — protestował książę — tutaj, w willi przynaj-

mniej, chcę, żeby było inaczej i zapewniam pana, że będę przyjmował kogo mi się podoba i chodził, dokąd będę chciał.

— Bez najmniejszej wątpliwości — machał rękami Lebiediew.

Książę obejrzał go uważnie od stóp do głowy.

— Cóż to, Łukjanie Timofiejewiczu, czy pan przewiózł tutaj tę szafkę, która wisiała nad pana łóżkiem?

— Nie, nie przywiozłem.

— Tam ją pan zostawił?

— Nie można przewozić, trzeba wyłamywać ze ściany. Ciężko, ciężko.

— A może tu jest zupełnie taka sama?

— Nawet lepsza, nawet lepsza, kupiłem ją razem z willą.

— Aha. A kogo to pan teraz do mnie nie wpuścił? Mniej więcej przed godziną.

— To był... jenerał. Rzeczywiście nie wpuszczałem i nic on u pana nie ma do roboty. Ja, książę, bardzo tego człowieka cenię; to... wielki człowiek; nie wierzy pan? No, zobaczy pan, ale w każdym razie... lepiej, jaśnie oświecony książę, żebyś go u siebie nie przyjmował.

— A to dlaczego, jeśli wolno spytać? I dlaczego chodzi pan ciągle na palcach i podchodzi pan do mnie tak, jakgdyby pan chciał zwierzyć mi jaką tajemnicę?

— Podły jestem, podły, czuję to — odpowiedział niespodzianie Lebiediew, uderzając się mocno w piersi — a czy jenerał nie będzie dla pana zbyt gościnny?

— Zbyt gościnny?

— Gościnny. Po pierwsze chce on już u mnie zamieszkać, mniejsza zresztą o to, ale staje się zaraz natrętny, uważa się za krewnego. Już nieraz szukaliśmy między sobą pokrewieństwa, okazało się, żeśmy powinowaci. Pan też jest podobno jego ciotecznym siostrzeńcem ze strony matki, tłumaczył mi to, nie dalej, jak wczoraj. Jeśli tak jest, to i między nami, jaśnie oświecony książę, jest pewne powinowactwo. Nic zresztą wielkiego, mała słabostka, ale jednocześnie zapewniał mnie, że przez całe życie, od czasu, kiedy został chorążym, aż do jedenastego czerwca przeszłego roku dzień w dzień siadało u niego do stołu nie mniej, niż dwieście osób. Doszedł nawet

tak daleko, że podług niego już nie wstawali, ale jedli obiad i kolację, pili herbatę po piętnaście godzin na dobę i tak przez trzydzieści lat zrzędu bez najmniejszej przerwy, zaledwie miała służba czas zmienić nakrycie. Jedni wstają, wychodzą, drudzy przychodzą, a w dni galowe i dworskie dochodziło nieraz do trzystu osób. W dzień zaś jubileuszu tysiącletniego istnienia Rosji wyliczył do siedmiuset osób. Przecież to prawdziwa namiętność; to zupełnie smutny objaw; zdaje mi się, że nawet strach bierze przed tak gościnnymi ludźmi; czy nie dokuczy panu i mnie tak gościnny człowiek?

— Ale zdaje mi się, że pan z nim jest w bardzo dobrych stosunkach?

— Wbraterskich i wszystko uważam za żart; przypuśćmy nawet, że jesteśmy krewni, cóż, dla mnie to tylko zaszczyt. Umiem w nim rozróżnić znakomitego człowieka nawet na tle dwustu osób i tysiącletniego jubileuszu Rosji. Mówię to zupełnie szczerze. Mówił książę przed chwilą o tajemnicach, że niby ja podchodzę, jakgdybym miał się zwierzyć z jakiejś tajemnicy, a właśnie, że jest tajemnica: wiadoma osoba dała przed chwilą znać, że chciałaby bardzo mieć z panem tajemną rozmowę.

— Dlaczegóż tajemną? Ależ nie. Ja sam u niej będę, chociażby dzisiaj.

— Ależ nie, nie — machnął ręką Lebiediew — jej nie o to chodzi, co pan przypuszcza. *A propos:* dzień w dzień przychodzi potwór dowiadywać się o pańskie zdrowie, czy pan o tem wie?

— Jakoś za często nazywa go pan potworem, zaczyna mi to być podejrzane.

— Nie może pan mieć najmniejszego podejrzenia, ani nawet najmniejszego—zaprzeczył czem prędzej Lebiediew— chciałem tylko powiedzieć, że wiadoma osoba nie jego się obawia, lecz kogo innego, zupełnie kogo innego.

— Ale o co chodzi, mówże pan prędzej — wypytywał się książę z niecierpliwością, patrząc na tajemniczy wyraz twarzy Lebiediewa.

— W tem leży cała tajemnica.

I Lebiediew uśmiechnął się.

— Czyja tajemnica?

— Pańska tajemnica. Sam mi pan, jaśnie oświecony książę, zabronił o tem mówić... — mruknął Lebiediew i uradowany, że mu się udało doprowadzić swego słuchacza do chorobliwej niecierpliwości, powiedział nagle: — Boi się Agłai Iwanowny.

Książę zmarszczył brwi i chwilę milczał.

— Słowo daję, Lebiediew, ja się stąd wyprowadzę — odezwał się nagle. — Gdzież jest Gabrjel Ardaljonowicz, gdzie są Pticynowie? U pana? Ich także pan do siebie przeciągnął?

— Idą, idą. Idzie również i jenerał. Wszystkie drzwi pootwieram i wszystkie córki zawołam, wszystkie, zaraz, zaraz — szeptał przerażony Lebiediew, machając rękami i rzucając się od jednych drzwi do drugich.

W tej samej chwili zjawił się Kola na tarasie od strony ulicy i oznajmił, że idą za nim goście, Elżbieta Prokofjewna z trzema córkami.

— Wpuszczać, czy nie wpuszczać Pticynych i Gabrjela Ardaljonycza? Wpuszczać, czy nie wpuszczać jenerała?— zerwał się Lebiediew, uderzony wiadomością.

— Dlaczegóżby nie? Wszystkich, kto tylko wejść zechce. Zapewniam pana, panie Lebiediew, że pan od samego początku fałszywie mnie zrozumiał; pan się ciągle myli. Nie mam zupełnie powodu przed kimkolwiek bądź się ukrywać— roześmiał się książę. Patrząc na niego, roześmiał się również Lebiediew, uważając to za swój święty obowiązek. Wogóle Lebiediew, pomimo swego wielkiego wzruszenia, był również widocznie bardzo zadowolony.

Wiadomość, przyniesiona przez Kolę, okazała się prawdziwa; wyprzedził Jepanczynów na kilka tylko kroków, ażeby zawiadomić o ich przyjściu, tak, że goście zjawili się jednocześnie z obu stron, z tarasu weszli Jepanczynowie a od strony pokoju Pticynowie, Gania i jenerał Iwołgin.

Jepanczynowie dowiedzieli się o chorobie księcia i o tem, że jest w Pawłowsku, dopiero teraz od Koli; dotychczas była jenerałowa bardzo zdziwiona. Przed trzema dniami jenerał pokazał rodzinie bilet księcia, bilet ten zdawał się zapowiadać, że i sam książę przyjedzie do Pawłowska, ażeby się z nimi jaknajprędzej zobaczyć. Napróżno zapewniały pa-

nienki, że człowiek, który przez pół roku się nie odezwał, prawdopodobnie i teraz śpieszyć się nie będzie i że i bez nich ma dosyć kłopotów w Petersburgu, czyż my co wiemy o jego interesach? Jenerałową rozgniewały te uwagi i gotowa była się założyć, że książę zjawi się przynajmniej nazajutrz, chociaż „i to już będzie należało uważać za spóźnienie". Na drugi dzień czekała całe rano; czekali do obiadu, czekali wieczorem i gdy już zupełnie się ściemniło, Elżbieta Prokofjewna rozgniewała się o to wszystko i ze wszystkimi się pokłóciła, nie wspominając naturalnie ani słowa o księciu, jako o przyczynie gniewu. Nie wspomniano o nim i na trzeci dzień ani jednego słowa. Kiedy Agłai wyrwało się nagle podczas obiadu, że *maman* gniewa się dlatego, że nie widać księcia, na co jenerał czem prędzej zauważył, że „przecież to nie jego wina", Elżbieta Prokofjewna wstała od stołu i natychmiast wyszła. Wkońcu wieczorem zjawił się Kola, przyniósł paczkę wiadomości i opowiedział wszystko, co wiedział o księciu. W rezultacie Elżbieta Prokofjewna triumfowała, ale w każdym razie dostało się tęgo i Koli: „Kręci się tu po całych dniach, że ani się go pozbyć, a tymczasem teraz żeby chociaż dał o czem znać, jeśli już sam nie raczył się pofatygować". Kola o mało się nie obraził, ale dał spokój i prawie że usprawiedliwił jenerałową, tak mu się spodobało jej wzruszenie i niepokój na wiadomość o chorobie księcia. Nalegała na konieczność niezwłocznego wyprawienia umyślnego posłańca do Petersburga, ażeby zawezwać kogo ze znanych sław lekarskich i sprowadzić pierwszym pociągiem. Córki odradziły jej to; poza tem nie chciały puścić jej samej, kiedy ubrawszy się prędko, pośpieszyła odwiedzić chorego.

— Leży na łożu śmiertelnem — mówiła Elżbieta Prokofjewna, — a my tu jeszcze w ceremonje bawić się będziemy? Czy on jest przyjacielem naszym, czy nie?

— Ale tak iść, o nic nie pytając, nie wypada — zauważyła Agłaja.

— A to nie chodź i nawet dobrze zrobisz: Eugenjusz Pawłowicz przyjedzie i nie będzie miał go kto przyjąć.

Ma się rozumieć, że po tych słowach Agłaja wybrała się razem ze wszystkimi, co zresztą oddawna zdecydowana była uczynić. Książę S., na prośbę Adelajdy, zgodził się natych-

miast paniom towarzyszyć. Przedtem już, na początku znajomości z Jepanczynami, bardzo się księciem zainteresował, słysząc o nim od całej rodziny. Okazało się, że się już znali, zaznajomili się niedawno i spędzili razem dwa tygodnie w jakiemś miasteczku. Było to przed trzema miesiącami. Książę S. dużo nawet o księciu opowiadał i wogóle odzywał się o nim w sposób bardzo sympatyczny, tak, że teraz szedł z prawdziwą przyjemnością odwiedzić starego znajomego. Jenerała Jana Teodorowicza nie było właśnie w domu. Eugenjusz Pawłowicz też jeszcze nie przyjechał.

Od Jepanczynych do willi Liebiedjewa nie było więcej nad trzysta kroków. Pierwsze nieprzyjemne wrażenie, jakie odczuła Elżbieta Prokofjewna, wchodząc do księcia, było to, iż zastała u niego całe towarzystwo, nie mówiąc już o tem, że w towarzystwie tem były dwie czy trzy osoby wprost jej nienawistne; drugiem wrażeniem było zdziwienie na widok zupełnie napozór zdrowego młodzieńca, wychodzącego na ich spotkanie, zamiast umierać na łożu boleści, na którem spodziewała się go zastać. Przystanęła nawet ze zdumienia, ku wielkiej radości Koli, który mógł coprawda powiedzieć, jeszcze kiedy jenerałowa nie ruszyła się ze swej willi, że nikt nie umiera i nikt na łożu śmiertelnem nie leży, lecz tego nie powiedział, chytrze przewidując przyszły komiczny gniew jenerałowej, kiedy podług jego przypuszczeń bezwarunkowo rozgniewa się o to, że zastanie księcia, swego serdecznego przyjaciela, zupełnie zdrowym. Kola okazał się nawet do tego stopnia niedelikatny, że wypowiedział głośno swoje domysły, żeby ostatecznie wyprowadzić z granic cierpliwości Elżbietę Prokofjewnę, z którą ciągle i czasem bardzo ostro się spierał, pomimo ich serdecznej przyjaźni.

— Poczekaj, kochanie, nie śpiesz się, nie psuj sobie triumfu! — odpowiedziała Elżbieta Prokofjewna, siadając na fotelu, przysuniętym jej przez księcia.

Lebiediew, Pticyn, jenerał Iwołgin, rzucili się, aby podać krzesła paniom. Agłai podał krzesło jenerał, Lebiediew przysunął również krzesło księciu S., przytem w zgięciu karku starał się wyrazić niezwykłe uszanowanie. Basia, jak zwykle z zachwytem i cichutko witała się z paniami.

— Prawda, książę, myślałam, że zastanę cię w łóżku

i ze strachu cokolwiek przesadziłam; kłamać nie będę, strasznie się teraz zirytowałam, widząc twoją uszczęśliwioną fizjonomję, lecz przysięgam ci, że to tylko przez chwilę, dopóki się nie zastanowiłam. Zawsze, kiedy się zastanowię, postępuję i mówię o wiele mądrzej; sądzę, że i ty tak samo. W rzeczywistości, z wyzdrowienia rodzonego syna, gdybym go miała, mniejbym się cieszyła, niż z twego, i jeśli ty w to nie wierzysz, to dla ciebie wstyd, nie dla mnie. A ten złośliwy chłopak na gorsze jeszcze żarciki ze mną sobie pozwala. Zdaje mi się, że ty go popierasz, uprzedzam cię zatem, że pierwszego lepszego poranka, wierzaj mi, wyrzeknę się dalszej przyjemności korzystania z jego miłego towarzystwa.

— Ale cóżem ja winien? — krzyczał Kola — gdybym panią nie wiem jak zapewniał, że książę już prawie wyzdrowiał, nie chciałaby mi pani wierzyć, dlatego choćby, że wystawić go sobie na łożu śmierci jest o wiele bardziej interesujące.

— Na długo do nas? — zwróciła się do księcia Elżbieta Prokofjewna.

— Na całe lato, a może na dłużej.

— Sam jesteś? Nie ożeniłeś się?

— Nie, nie ożeniłem się — uśmiechnął się książę z naiwności tego ukłucia.

— Niema się czego uśmiechać; to się zdarza. Ja mówię o willi; dlaczegoś nie do nas zajechał? U nas cała oficyna stoi pustkami, zresztą, jak ci się podoba. Wynajmujesz od niego? od tego? — dodała półgłosem, wskazując na Liebiediewa. — Co on się tak wykrzywia?

W tej samej chwili wyszła na taras Wiara, jak zwykle z dzieciątkiem na ręku. Lebiediew, kręcący się dokoła krzeseł, nie wiedział zupełnie, gdzie się podziać i co zrobić ze swoją osobą, a chciał koniecznie się wydostać. Widząc Wiarę, rzucił się nagle ku niej, zaczął na nią machać rękami, wypędzać ją z tarasu i nawet, straciwszy głowę, tupnął nogą.

— Zwarjował? — dodała nagle jenerałowa.

— Nie, on...

— A może pijany? Nieciekawe masz towarzystwo — rzuciła, obejmując spojrzeniem resztę gości — chociaż, jaka to miła dziewczynka! Co to za jedna?

— To jest Wiara Łukjanowna, córka tego Lebiediewa.

— A!... Bardzo milutka. Muszę się z nią zaznajomić.

Lecz Lebiediew, usłyszawszy pochwały Elżbiety Prokofjewny, sam już ciągnął córkę, ażeby ją przedstawić.

— Sieroty, sieroty! — bełkotał, zbliżając się — i to dziecko na jej rękach, sierota, jej siostra, córka moja, Liubow, urodzona z jaknajbardziej prawego małżeństwa, z Heleny, żony mojej, która umarła przed sześciu tygodniami, podczas połogu, z woli Pana nad Pany... tak... zastępuje matkę, chociaż jest tylko siostrą, jedynie siostrą... nic więcej, nic więcej...

— A ty, mój drogi, jesteś zwyczajny dureń. No, dosyć tego dobrego, sam to chyba rozumiesz — odcięła się Elżbieta Prokofjewna, mocno zirytowana.

— Święta prawda! — skłonił się Lebiediew niziutko i z uszanowaniem.

— Niech pan posłucha, panie Lebiediew, czy to prawda, co o panu mówią, że pan objaśnia Apokalipsę? — zapytała Agłaja.

— Święta prawda... od piętnastu lat.

— Słyszałam o panu. Zdaje się nawet, że pisano coś o panu w gazetach?

— Nie, to o kim innym, który już umarł, a ja zostałem — powiedział Lebiediew nieprzytomny z radości.

— Niech pan będzie tak dobry wytłomaczyć mi co kiedy, jako sąsiad. Ja nic z Apokalipsy nie rozumiem.

— Nie mogę nie uprzedzić pani, Agłajo Iwanowno, że to z jego strony czyste oszustwo, niech mi pani wierzy—wtrącił nagle z pośpiechem jenerał Iwołgin, który siedział jak na rozżarzonych węglach, gdyż z całej siły pragnął w jakikolwiek bądź sposób rozpocząć rozmowę; usiadł więc obok Agłai Iwanowny. — Ma się rozumieć, letnie mieszkanie ma swoje prawa — mówił dalej — i swoje przyjemności i przyjmowanie takiego nieprzyzwoitego intruza do wykładania Apokalipsy jest kaprysem równie dobrym, jak każdy inny i nawet kaprysem bardzo rozumnym, lecz ja... Zdaje mi się, że pani patrzy na mnie ze zdumieniem? Mam zaszczyt się przedsta-

wić, jenerał Iwołgin. Na rękach panią nosiłem, Agłajo Iwanowno.

— Bardzo mi przyjemnie. Znam Barbarę Ardałjonownę i Ninę Aleksandrownę — mruknęła Agłaja, dokładając wszelkich sił, żeby się nie roześmiać.

Elżbieta Prokofjewna uniosła się. Coś, oddawna gromadzącego się w jej duszy, potrzebowało ujścia. Ścierpieć nie mogła jenerała Iwołgina, którego dawniej znała, ale już bardzo dawno.

— Kłamiesz, mój drogi, jak zwykle, nigdy na rękach jej nie nosiłeś — odcięła mu ze złością.

— Zapomniałaś, *maman*, słowo daję, że nosił w Twerze — potwierdziła nagle Agłaja. — Mieszkaliśmy wtedy w Twerze. Miałam sześć lat, pamiętam. Zrobił mi strzałę i łuk i strzelać mnie nauczył i gołębia zabiłam. Pamięta pan, zabiliśmy razem gołębia?

— A mnie przyniósł wtedy hełm z kartonu i szpadę drewnianą... i ja pamiętam! — zawołała Adelajda.

— I ja pamiętam — potwierdziła Aleksandra. — Jeszcze wtedy pokłóciłyście się o tego rannego gołębia i posadzili was do kąta; Adelajda stała cały czas w hełmie i ze szpadą.

Jenerał, oznajmiając Agłai, iż ją nosił na rękach, powiedział to tylko t a k, dla podtrzymania rozmowy i tylko dlatego, że prawie zawsze w ten sposób zaczynał rozmowę ze wszystkimi młodymi ludźmi, jeżeli uważał za stosowne zawrzeć z nimi znajomość. Tym razem zdarzyło się jednak, jakby umyślnie, że powiedział prawdę i dziwnym trafem sam o tej prawdzie zapomniał. Tak, że kiedy niespodzianie Agłaja teraz potwierdziła, że razem zabili gołębia, w pamięci zupełnie mu się rozjaśniło i przypomniał sobie wszystko z najdrobniejszemi szczegółami, jak się to często zdarza w starości, że przypomina się sobie różne rzeczy z dawnej, minionej przeszłości. Trudno zdać sobie sprawę, co w tem wspomnieniu tak silnie podziałało na biednego i zwykle trochę pijanego jenerała, lecz nagle niezwykle się rozczulił.

— Pamiętam, wszystko pamiętam! — zawołał. — Byłem wtedy sztabs-kapitanem. Pani była jeszcze taka mała

kruszynka, ładniutka. Nina Aleksandrowna... Gania... Przyjęto mnie... u państwa. Jan Teodorowicz...

— I widzisz, do czegoś teraz doszedł — podchwyciła jenerałowa. — Widocznie nie przepiłeś wszystkich swych szlachetnych uczuć, skoro tak podziałało. A żonę zamordowałeś. Zamiast dzieci wychowywać, siedzisz w więzieniu za długi. Odejdź stąd, mój drogi, idź, gdzie ci się podoba, stań pod drzwiami i popłacz trochę, wspominając, jak to byłeś człowiekiem, a może ci Bóg przebaczy. Idź, idź, ja mówię poważnie. Niema lepszej drogi do poprawy, jak przeszłość ze skruchą wspominać.

Lecz zapewniać o tem, że się mówi poważnie, było zupełnie zbyteczne; jenerał, jak wszyscy stale pijani ludzie, bardzo był wrażliwy, i jak wszyscy nisko upadli pijacy, niełatwo znosił wspomnienia szczęśliwej przeszłości. Wstał i pokornie skierował się ku drzwiom, tak, że Elżbiecie Prokofjewnie zaraz zrobiło się bardzo przykro.

— Ardaljonie Aleksandryczu, ależ mój drogi—zawołała — zatrzymaj się chwilkę; wszyscy jesteśmy grzeszni; jak tylko poczujesz, że sumienie mniej ci wyrzuca, przyjdź do mnie, posiedzimy razem i pogadamy o przeszłości. Ja przecież sama może jestem pięćdziesiąt razy grzeszniejsza od ciebie; a teraz bądź zdrów, idź, nie masz tu nic do roboty — przelękła się nagle, że on znów powróci.

— Niech pan tymczasem do niego nie chodzi — zatrzymał książę Kolę, gdy już wybiegał za ojcem, — bo za chwilę się pogniewa i wszystko będzie na nic.

— Prawda, daj mu spokój; pójdziesz za pół godziny— zdecydowała Elżbieta Prokofjewna.

— Co to znaczy choć raz jeden w życiu prawdę powiedzieć, aż do łez podziałało! — ośmielił się wtrącić Lebiediew.

— No, i z ciebie, mój drogi, musi być ładny ptaszek, jeśli to prawda, co o tobie słyszałam — osadziła go natychmiast Elżbieta Prokofjewna.

Wzajemny stosunek wszystkich gości, zebranych u księcia, coraz bardziej się wyjaśniał. Książę umiał naturalnie należycie ocenić stopień współczucia, jaki mu objawiała jenerałowa wraz ze swemi córkami i powiedział im też szczerze, że miał sam dziś jeszcze zamiar, zanim nadeszły, odwiedzić je,

pomimo swej choroby i spóźnionej pory. Elżbieta Prokofjewna, patrząc na jego gości, odpowiedziała, że można to zaraz uczynić. Pticyn, człowiek grzeczny i niezwykle miły w pożyciu, wstał czemprędzej i usunął się do oficyny do Lebiediewa, starając się zabrać ze sobą i samego Lebiediewa, który obiecał, że wkrótce za nim podąży. Tymczasem Basia rozgadała się z panienkami i zatrzymała się z niemi. Oboje z Ganią bardzo byli radzi z odejścia jenerała; sam zresztą Gania wyszedł prędko za Pticynem. Przez te kilka chwil, które przebył na tarasie z Jepanczynami, zachowywał się skromnie, z godnością i zupełnie się nie mieszał pod stanowczemi spojrzeniami Elżbiety Prokofjewny, która parę razy zmierzyła go od stóp do głowy. Ci, którzy znali go przedtem, mogli przypuszczać, że bardzo się zmienił. Bardzo się to spodobało Agłai.

— Czy to Gabrjel Ardaljonowicz wyszedł — zapytała nagle, jak to zwykła czynić, głośno, ostro, przerywając swojem pytaniem rozmowę innych osób i do nikogo wprost się nie zwracając.

— Tak — odpowiedział książę.

— Ledwo go poznałam. Bardzo się zmienił i... na lepsze.

— Bardzo się cieszę za niego — powiedział książę.

— Ciężko chorował — dodała Basia z wesołem współczuciem.

— W czemże się tak zmienił na lepsze? — zapytała z gniewem i prawie z przestrachem Elżbieta Prokofjewna — skąd ci to do głowy przyszło? Niema nic lepszego. Co mianowicie wydaje ci się lepsze?

— Nic niema lepszego od „biednego rycerza“ — odezwał się nagle Kola, który przez cały czas stał przy krześle Elżbiety Prokofjewny.

— I ja tak myślę — powiedział książę S. i roześmiał się.

— Jestem zupełnie tego samego zdania — oznajmiła z triumfem Adelajda.

— Jakiego „biednego rycerza“? — zapytała jenerałowa, ze zdziwieniem i gniewnie spoglądając na mówiących, ale zobaczywszy wzburzenie Agłai, dodała z irytacją: — Cóż to za głupstwa! co to za „biedny rycerz“?

— Czy to po raz pierwszy zdarza się temu chłopakowi, temu mamy faworytowi cudze słowa przekręcać? — odpowiedziała Agłaja pogardliwem oburzeniem.

W każdym wybuchu gniewu u Agłai (gniewała się bardzo często), prawie za każdym razem, pomimo jej powagi i zaciętości, przebijało coś dziecięcego, coś pensjonarskiego, zupełnie źle maskowanego i nieraz nie było sposobu, patrząc na nią, nie roześmiać się, ku wielkiej zresztą złości Agłai, która nie rozumiała, dlaczego się śmieją i „jak oni mogą, jak ośmielają się śmiać"? I tym razem roześmiały się siostry, roześmiał się książę S., uśmiechnął się nawet sam książę Lew Mikołajewicz, który niewiadomo dlaczego bardzo się zaczerwienił. Kola śmiał się i triumfował. Agłaja rozgniewała się nie na żarty, przez co o wiele wyładniała..

— Nieraz on przecież słowa mamy przekręcał. — dodała.

— Opieram się na własnych pani słowach! — zawołał Kola. — Miesiąc temu, przerzucając Don Kichota, sama pani zawołała, że niema nic lepszego od „biednego rycerza". Nie wiem, o kim pani wtedy mówiła: o Don Kichocie, czy o Eugenjuszu Pawłowiczu, czy też jeszcze o kim innym, wiem tylko, że o kimś to pani mówiła i rozmowa była długa...

— Widzę, że już sobie za dużo tu pozwalasz, mój drogi, z temi twojemi domysłami — powstrzymała go z gniewem Elżbieta Prokofjewna.

— Czy tylko ja?—nie przerywał sobie Kola.—Wszyscy wtedy mówili i teraz jeszcze mówią; oto teraz oznajmił książę S. i Adelajda Iwanowna i wszyscy inni, że są po stronie „biednego rycerza", zatem „biedny rycerz" istnieje i napewno jest, i podług mnie, gdyby nie Adelajda Iwanowna, dawnobyśmy wszyscy wiedzieli, kto to taki ten „biedny rycerz".

— Cóż ja temu winna? — śmiała się Adelajda.

— Portretu nie chciała pani narysować, oto pani wina! Agłaja Iwanowna prosiła, aby pani narysowała portret „biednego rycerza" i nawet opowiedziała treść obrazu, który sama ułożyła; pamięta pani? Pani nie chciała...

— Bo jakże miałam narysować, kogo? Z treści tej wynika, że ów „biedny rycerz"

„Stalowej z twarzy przyłbicy
„Nigdy przed nikim nie zdejmował".

— Cóż to za twarz mogła z tego wyjść? Co narysować? Przyłbicę? Anonim?

— Nic a nic nie rozumiem, co za przyłbica? — irytowała się jenerałowa, która w gruncie rzeczy zaczynała doskonale rozumieć, kogo rozumieją pod tą nazwą (pewno oddawna już umówioną) „biednego rycerza". Przedewszystkiem jednak drażniło ją to, że książę Leon Mikołajewicz również się zmieszał i wkońcu zupełnie się stropił, jak dziesięcioletni chłopiec. — Cóż to, czy te głupstwa dziś się nie skończą? Wytłumaczycie mi, czy nie, tego „biednego rycerza"? Czyż to tak straszna tajemnica, że mówić o tem nie można?

Lecz wszyscy dalej się śmieli.

— Krótko i węzłowato: jest jeden taki dziwny rosyjski wiersz — odezwał się wkońcu książę S., pragnąc najwidoczniej czem prędzej zatrzeć wrażenie i zmienić temat rozmowy — wiersz o „biednym rycerzu", fragment bez początku i końca. Mniej więcej miesiąc temu śmieliśmy się wszyscy któregoś dnia po obiedzie i szukaliśmy według zwyczaju tematu do przyszłego obrazu Adelajdy Iwanowny. Pani wie, że oddawna zadaniem rodziny jest szukać treści do obrazu Adelajdy Iwanowny. Przyszedł nam na myśl „biedny rycerz". Komu naprzód, nie pamiętam...

— Agłai Iwanownie! — zawołał Kola.

— Być może, zgoda, lecz coprawda, nie pamiętam — mówił dalej książę S. — Jedni śmieli się z tego pomysłu, drudzy twierdzili, że nie może być nic lepszego, niż przedstawić „biednego rycerza", w każdym razie konieczna była jakaś twarz; zaczęliśmy rozpatrywać twarze wszystkich znajomych, żadna się nie nadawała i na tem stanęło, oto wszystko; nie rozumiem, skąd przyszło na myśly Mikołajowi Ardałjonowiczowi wszystko to teraz wyciągać i przypominać. Co było śmiesznem i właściwem dawniej, dziś już nikogo zajmować nie może.

— A to dlatego, że ma się nowe głupstwa na myśli — złośliwie i obraźliwie odcięła się Elżbieta Prokofjewna.

— Niema tu mowy o głupstwach, jest tylko najgłębszy szacunek — powiedziała nagle, niespodzianie poważnym i surowym głosem Agłaja, której udało się zupełnie odzyskać równowagę i opanować poprzednie wzruszenie. Przytem, patrząc na nią, można było z niektórych objawów wywnioskować, że ona sama się teraz cieszy, iż żart ciągnie się dalej i cała ta zmiana odbywała się w niej właśnie wtedy, kiedy już aż nadto widoczne się stało coraz bardziej rosnące i dochodzące do niemożebnych granic pomieszanie księcia.

— To się śmieją, jak warjaci, to znów ni stąd ni zowąd najgłębszy okazują szacunek! Powarjowali! Dlaczego szacunek? Powiedz w tej chwili, skąd się ten szacunek tak nagle u ciebie zjawił?

— Dlatego najgłębszy szacunek — mówiła dalej poważnie i z godnością Agłaja w odpowiedzi na prawie złośliwe zapytanie matki — dlatego, że w tym wierszu mowa o człowieku, który może mieć ideały, po drugie, gdy już raz wybierze swe ideały, wierzy w nie, i uwierzywszy, z zamkniętemi oczami poświęca im całe swoje życie. To dzisiaj często się nie zdarza. Tam, w tym wierszu nie jest powiedziane, na czem właściwie polegał ideał „biednego rycerza", lecz widać, że był to jakiś jasny obraz, „obraz prawdziwego piękna", i zakochany rycerz zamiast szarfy, różaniec zawiesił na swej szyi. Prawda, jest tam jeszcze jakaś niejasna, niedopowiedziana dewiza, litery A, N, B, które nakreślił na tarczy...

— A, N, D — poprawił Kola.

— A ja mówię A, N, B i tak mówić będę — przerwała mu ze złością Agłaja—jakkolwiek bądź jasną jest rzeczą, że dla tego biednego rycerza stało się obojętnem kim była i jaką się stała ta kobieta, jego dama. Wystarcza to, że on ją wybrał i uwierzył w jej „najwyższe piękno", ukląkł więc przed nią na wieki; na tem polega cała jego zasługa, że chociażby ona potem została złodziejką, on pomimo to powinien był w nią wierzyć i kruszyć kopje za jej „najwyższe piękno". Poeta chciał widocznie połączyć w jednym obrazie całe olbrzymie pojęcie średniowiecznej rycerskiej, platonicznej miłości jakiegoś czystego i wielkiego rycerza; ma się rozumieć, to tylko ideał. W „biednym rycerzu" uczucie to doszło do

najwyższego stopnia, do ascetyzmu; trzeba przyznać, iż zdolność do takiego uczucia dużo znaczy i że takie uczucia zostawiają po sobie ślad głęboki i z jednej strony zupełnie chwalebny, nie mówiąc już o Don Kichocie. „Biedny rycerz" to jest Don Kichot, tylko poważny, nie komiczny. Z początku nie rozumiałam i śmiałam się, a teraz lubię „biednego rycerza" i cenię jego czyny.

Agłaja przestała mówić i patrząc na nią, trudno było zrozumieć, czy żartuje, czy mówi poważnie.

— E, głupiec pierwszy lepszy, i on i jego czyny! — zadecydowała jeneralowa. — A i ty, kochanie, zagalopowałaś się, przecież to cały odczyt; podług mnie to z twojej strony niewłaściwe. W każdym razie niedopuszczalne. Co to za wiersze? Powiedz je, z pewnością umiesz napamięć. Chcę koniecznie usłyszeć te wiersze. Przez całe życie nie mogłam znosić wierszy, jakgdybym coś przeczuwała. Na miłość Boską, niechże książę będzie cierpliwy, widocznie powiedziane jest, że razem mamy cierpieć — zwróciła się nagle do księcia Lwa Mikołajewicza. Oboje byli bardzo zirytowani.

Książę Lew Mikołajewicz chciał coś powiedzieć, lecz nie mógł nic wymówić wskutek gwałtownego zakłopotania. Jedna tylko Agłaja, która na tak dużo pozwoliła sobie w swoim „odczycie", bynajmniej się nie zmieszała, nawet była jakby uradowana. Wstała, jak i przedtem poważna, z surowym wyrazem twarzy, jakgdyby się już do tego przygotowywała i tylko czekała zachęty, wyszła na środek tarasu i stanęła naprzeciwko księcia, który w dalszym ciągu siedział na swoim fotelu. Wszyscy patrzyli na nią z pewnem zdziwieniem i prawie wszyscy, książę S., siostry, matka, patrzyli z nieprzyjemnem uczuciem na ten nowy przygotowujący się żart, w każdym razie trochę już za daleko posunięty. Lecz widać było, że Agłai bardzo się właśnie spodobała ta przesada, z jaką się zabierała do wypowiedzenia wierszy. Elżbieta Prokofjewna o mało nie kazała jej wrócić na miejsce, lecz w tej samej chwili, zaledwie zaczęła Agłaja deklamować znaną balladę, dwóch nowych gości, głośno rozmawiając, weszło z ulicy na taras. Był to jenerał Jan Teodorowicz Jepanczyn z jakimś młodym człowiekiem. Wywołało to małe zamieszanie.

XXIII

Młody człowiek, towarzyszący jenerałowi, mógł liczyć lat dwadzieścia osiem; był to wysoki, zgrabny mężczyzna, o twarzy pięknej i rozumnej, z pełnem ognia, dowcipu i sarkazmu spojrzeniem dużych, czarnych oczu. Agłaja nawet nie spojrzała na niego i dalej deklamowała wiersze, patrząc z afektacją na księcia i zwracając się jedynie do niego. Dla księcia stało się widoczne, że wszystko to jest przez nią zrobione z jakiemś specjalnem wyrachowaniem. Nowi goście ułatwili mu wszakże trochę jego niezręczne położenie. Ujrzawszy ich, powstał, grzecznie skinieniem głowy przywitał jenerała, dał znak, żeby nie przerywano deklamacji, sam zaś zdążył wycofać się za fotele i tam oparł się lewą ręką o poręcz i słuchał ballady w bardziej już wygodnej i nie tak „śmiesznej" pozycji, jak siedząc w fotelu. Elżbieta Prokofjewna ze swej strony rozkazującym ruchem dała dwa razy znak wchodzącym, żeby się zatrzymali. Księcia bardzo zainteresował nowy gość, towarzyszący jenerałowi; odgadł w nim odrazu Eugenjusza Pawłowicza Radomskiego, o którym wiele słyszał i nieraz myślał. Dziwiło go tylko ubranie cywilne gościa; słyszał bowiem, że Eugenjusz Pawłowicz służy w wojsku. Na ustach nowego gościa błąkał się szyderczy uśmiech przez cały czas deklamacji, jakgdyby i on słyszał już coś niecoś o „biednym rycerzu".

„Możliwe, że to on jest autorem" — pomyślał książę.

Ale inaczej rzecz się miała z Agłają. Początkową afektację i przesadę, z jaką zabierała się do deklamacji, pokryła taką powagą, takiem wniknięciem w ducha i znaczenie utworu poetyckiego, z takiem zrozumieniem wymawiała każdy wyraz, i z taką prostotą deklamowała, że przy końcu nietylko przykuła ogólną uwagę, lecz także oddaniem głębokiego znaczenia ballady usprawiedliwiła poczęści tę sztuczną powagę, z jaką tak uroczyście wyszła na środek tarasu. W powadze tej można było widzieć teraz tylko bezmiar i, być może, naiwność szacunku jej dla tego, co chciała wyrazić. Oczy jej błyszczały i lekki, ledwie dostrzegalny dreszcz natchnienia i zachwytu przeszedł po jej prześlicznej twarzy. Zaczęła mówić:

Żył przed laty rycerz prawy,
Cichy, prosty, silnej ręki —
Szedł przez świat, jak idą zjawy,
W chmurach smutku i udręki.
Raz, gdy leżał w krzyż, w rozterce,
Niepojęty blask-widziadło —
Oplątało lękiem serce,
W piersi głąb, jak cierń, zapadło.
Odtąd, uczuć ogniem zżarty,
Miał dla niewiast mowę twardą,
Milczał — i na płoche żarty
Odpowiadał chłodną wzgardą.
I różaniec czarnych pereł,
Zamiast szarfy, wdział na szaty —
I przed nikim nie otwierał
W hełm wprawionej, czarnej kraty.
Wiedząc, że na przyszłość jasną
Miłość czysta mu wystarczy —
Znaki A. M. D. krwią własną
Na herbowej skreślił tarczy.
A na piaskach Palestyny,
Gdy po skałach i kurhanach
Szły rycerskie w bój drużyny,
Z imionami ukochanych:
— „Lumen coeli, Sancta Rosa!"
Krzyczał, krwią pijany, dziki.
A od słów tych, jak mimoza,
Drżały muzułmańskie szyki.
Potem wrócił w zamku mury,
Przez baszt otoczone wieniec.
Zawsze cichy i ponury —
Żył i skonał — jak szaleniec.

Rozpamiętując potem całą tę chwilę, długo męczył się książę nierozwiązalną dla siebie zagadką: jak można było połączyć w sobie tak prawdziwe, piękne uczucie z takiem widocznem i złośliwem szyderstwem? Że to było szyderstwo, nie wątpił ani na chwilę; dobrze to odczuł i miał ku temu swoje powody: podczas deklamacji Agłaja zmieniła litery A. M. D. na N. F. B. Że nie była to omyłka, lub, że się nie przesły-

szał, pod tym względem nie mógł mieć wątpliwości (później się to okazało). Tak czy inaczej wystąpienie Agłai... rozumie się był to żart, chociaż żart zbyt drażliwy i lekkomyślny... uplanowany. O „biednym rycerzu“ mówili wszyscy (i „śmieli się“) jeszcze miesiąc temu. A tymczasem, chociaż książę z całym wysiłkiem przypominał sobie tę scenę, jasnem było, że Agłaja wymówiła te litery nietylko bez cienia uśmiechu lub żartobliwości, ale wprost bez specjalnego akcentowania ich ukrytego znaczenia, przeciwnie, wypowiadała je z taką powagą, z taką niewinną i naiwną prostotą, że można było mniemać, że te właśnie litery znajdują się w balladzie i że tak jest wydrukowane w książce. Coś ciężkiego i niemiłego dotknęło księcia. Elżbieta Prokofjewna, oczywiście, nie zrozumiała i nie zauważyła ani zmiany liter, ani aluzji. Jenerał, Jan Teodorowicz, zrozumiał tyle tylko, że deklamowano wiersze. Z pozostałych słuchaczów bardzo wielu zrozumiało i zdziwiło się śmiałości wystąpienia i samej intencji, ale wszyscy zmilkli i starali się niczem nie zdradzić. Eugenjusz Pawłowicz jednakże (książę był gotów nawet założyć się) nietylko zrozumiał, ale nawet starał się to okazać: nazbyt szyderczo się uśmiechnął.

— Jakież to śliczne! — wykrzyknęła jenerałowa w prawdziwym zachwycie, skoro Agłaja skończyła — czyje to wiersze?

— Puszkina, *maman*, niech nas *maman* nie kompromituje! — krzyknęła Adelajda.

— Przy was i bardziej jeszcze można zgłupieć! — odezwała się z goryczą Elżbieta Prokofjewna. — Wstyd! Zaraz po przyjeździe dacie mi te wiersze Puszkina!

— U nas, zdaje się, niema zupełnie Puszkina.

— Od niepamiętnych czasów — dodała Aleksandra— są tylko jakieś dwa, podarte tomy.

— Natychmiast posłać po nie do miasta Teodora lub Aleksieja, pierwszym pociągiem... lepiej Aleksieja. Agłaja, chodź do mnie! Pocałuj mnie, ślicznieś to wypowiedziała, ale... jeżeliś szczerze deklamowała — dodała prawie szeptem — to mi cię żal; jeżeli zaś dla wyśmiania się z niego, to nie pochwalam twoich uczuć i w każdym razie lepiej byłoby,

gdybyś nie deklamowała wcale. Rozumiesz? No, idź sobie, moja droga, jeszcze pomówimy, zasiedzieliśmy się tutaj.

Tymczasem książę witał się z jenerałem Janem Teodorowiczem, a jenerał przedstawiał mu Eugenjusza Pawłowicza Radomskiego.

— W drodze go złapałem, dopiero co przyjechał; dowiedział się, że ja i wszyscy nasi są tutaj...

— Dowiedziałem się, że i pan tutaj — przerwał Eugenjusz Pawłowicz — a ponieważ oddawna już i koniecznie obiecywałem sobie ubiegać się nietylko o znajomość z panem, lecz i o pańską przyjaźń, nie chciałem tracić czasu. Pan jest niezdrów? Dopiero co dowiedziałem się...

— Jestem zupełnie zdrów i bardzo mi miło pana poznać, dużo o panu słyszałem i nawet mówiłem o panu z księciem S. — odpowiedział Leon Mikołajewicz, podając rękę.

Po wymianie wzajemnych grzeczności i uścisków dłoni, uważnie spojrzeli sobie w oczy. W jednej chwili rozmowa stała się ogólną. Książę zauważył (a zauważał on teraz wszystko prędko i łapczywie, a nawet, być może i to, czego nie było zupełnie), że cywilne ubranie Eugenjusza Pawłowicza wywoływało ogólne i jakieś niezwykle silne zdziwienie, do tego stopnia, że nawet wszystkie inne wrażenia zostały chwilowo jakby zapomniane i zatarte. Można było pomyśleć, że ta zmiana stroju była wyrazem czegoś bardzo ważkiego. Aleksandra i Adelajda badały Eugenjusza Pawłowicza ze zdziwieniem. Książę S., jego krewny, z wielkim nawet niepokojem. Jenerał mówił prawie ze wzruszeniem. Jedna tylko Agłaja ciekawie, ale zupełnie spokojnie patrzyła przez chwilę na Eugenjusza Pawłowicza, jakby chciała tylko porównać czy w wojskowem, czy też w cywilnem ubraniu jest mu bardziej do twarzy, ale po chwili odwróciła się i już więcej nie patrzyła na niego. Elżbieta Prokofjewna także nie chciała o nic pytać, chociaż, być może, że trochę się niepokoiła. Księciu zaś wydało się, że Eugenjusz Powłowicz nie jest u niej w łaskach.

— Dziwne, bardzo dziwne! — odpowiadał Jan Teodorowicz na wszystkie pytania. — Wierzyć nie chciałem, kiedy jeszcze przedtem spotkałem go w Petersburgu. I dlaczegoż tak nagle?

Z prowadzonych rozmów okazało się, że Eugenjusz Pawłowicz mówił o swojej dymisji już dawno; za każdym razem mówił jednak tak mało poważnie, że nie można było dać temu wiary. Zresztą i o poważnych nawet rzeczach mówił zawsze żartobliwie, że nie można było po nim nic poznać, zwłaszcza wtedy, kiedy sam chciał, żeby nie poznano.

— Przecież ja tylko czasowo, na kilka miesięcy, najwyżej na rok pozostanę w dymisji — śmiał się Radomski.

— Potrzeby niema żadnej, o ile, przynajmniej znam pańskie sprawy — gorączkował się ciągle jenerał.

— A objechać majątki? sam pan radził; w dodatku chciałbym jechać zagranicę...

Rozmowa zresztą wkrótce przeszła na inny temat, lecz dziwny jakiś, trwający nadal niepokój był, według księcia, niezwykły i coś w tem na pewno zachodziło szczególnego.

— A więc „biedny rycerz" znów na scenie? — zagadnął Eugenjusz Pawłowicz, podchodząc do Agłai.

Ku wielkiemu zdziwieniu księcia, spojrzała na niego badawczo i pytająco, jakgdyby chciała powiedzieć, że między nimi nawet mowy o „biednym rycerzu" być nie może i że nawet nie rozumie pytania.

— Ależ za późno, za późno już teraz posyłać do miasta po Puszkina, za późno! — spierał się Kola z Elżbietą Prokofjewną, wytężając wszystkie siły — po raz setny mówię, że zapóźno.

— Tak, rzeczywiście, posyłać teraz do miasta zapóźno — wtrącił się Eugenjusz Pawłowicz, opuszczając czem prędzej Agłaję — przypuszczam, że i sklepy w Petersburgu pozamykane, już godzina dziewiąta — dodał, wyjmując zegarek.

— Czekaliśmy już tyle, że można poczekać do jutra — dorzuciła Adelajda.

— I nawet nie wypada — dodał Kola — ażeby ludzie z wielkiego świata tak gorączkowo zajmowali się literaturą. Niech panie zapytają Eugenjusza Pawłowicza. O wiele właściwiej jest zajmować się żółtym tarantasem z czerwonemi kołami.

— Znów pan mówi jak z książki — zauważyła Adelajda.

— Przecież on inaczej nie mówi, tylko z książek — podchwycił Eugenjusz Pawłowicz — cytuje zdania z przeglądów krytycznych. Mam przyjemność znać oddawna sposób przemawiania Mikołaja Ardałjonowicza, lecz tym razem nie mówi z książki. Mikołaj Ardałjonowicz ma wyraźnie na myśli mój żółty tarantas z czerwonemi kołami. Ale spóźnił się pan, już go zmieniłem.

Książę przysłuchiwał się temu, co mówił Radomski... Wydało mu się, że Eugenjusz Pawłowicz zachowuje się doskonale, wesoło, skromnie i szczególnie mu się spodobało, że mówił do zaczepiającego go Koli po przyjacielsku i jak do równego.

— Cóż to takiego? — zwróciła się Elżbieta Prokofjewna do Wiary, córki Lebiediewa, która stała przed nią z kilkoma książkami dużego formatu, doskonale oprawionemi i prawie nowemi.

— Puszkin — powiedziała Wiara. — Nasz Puszkin. Papa kazał mi go pani ofiarować.

— Jakże to? Jak to tak można? — zdziwiła się Elżbieta Prokofjewna.

— Nie jako prezent, nie jako prezent! Nie ośmieliłbym się! — wyskoczył z poza pleców córki Lebiediew — za odpowiednią cenę. Jest to nasz własny, rodzinny, familijny Puszkin, wydanie Annienkowa, którego teraz znaleźć zupełnie nie można... za odpowiednią cenę. Ofiaruję ze czcią, chcąc sprzedać i w ten sposób zaspokoić szlachetną niecierpliwość najszlachetniejszych uczuć literackich waszej ekscelencji.

— No, jeżeli sprzedajesz, to ci dziękuję. Nic na tem nie stracisz, nie bój się; tylko, mój drogi, nie błaznuj tak z łaski swojej. Słyszałam o tobie, że podobno, jesteś taki oczytany, kiedyś o tem porozmawiamy; sam mi chyba przyniesiesz te książki?

— Ze czcią i... z szacunkiem! — błaznował niezwykle zadowolony Lebiediew, wyrywając córce książki z ręki.

— Tylko nie pogub, przynieś, chociażby i bez szacunku, ale pod warunkiem — dodała, patrząc na niego badawczo — tylko do progu dojdziesz, nie mam zamiaru dziś

cię przyjmować. Córkę Wiarę możesz przysłać choćby zaraz, bardzo mi się podoba.

— Dlaczego ojciec nic nie mówi o tamtych? — niecierpliwie zwróciła się Wiara do ojca — przecież inaczej, sami wejdą; zaczęli już hałasować. Leonie Mikołajewiczu — zwróciła się do księcia, który już wziął kapelusz — tam do pana już dawno jakichś czterech ludzi przyszło, czekają u nas i wymyślają, a papa do pana nie wpuszcza.

— Co za goście? — zapytał książę.

— Mówią, że z interesem, ale to tacy ludzie, że, jak ich się teraz nie wpuści, w drodze zatrzymają. Lepiej, Leonie Mikołajewiczu, wpuścić i pozbyć ich się. Tam ich Gabrjel Ardałjonowicz i Pticyn uspakajają, ale oni nie chcą słuchać.

— Syn Pawliszczewa! Syn Pawliszczewa! Nie warto, nie warto! — machał ręką Lebiediew. — Nawet słuchać ich nie warto; a zaprzątać sobie nimi głowę, to, jaśnie oświecony książę, nawet niestosowne. Nie warci oni tego...

— Syn Pawliszczewa! Mój Boże! — krzyknął książę, bardzo zmieszany — wiem... ale przecież... poruczyłem tę sprawę Gabrjelowi Ardałjonowiczowi. Przed chwilą mówił mi on...

Ale Gabrjel Ardałjonowicz wyszedł już z mieszkania na taras, za nim szedł Pticyn. W sąsiednim pokoju dał się słyszeć hałas i donośny głos jenerała Iwołgina, jakby chcącego przekrzyczeć kilka głosów. Kola, usłyszawszy hałas, pobiegł tam w tej chwili.

— To bardzo ciekawe! — zauważył głośno Eugenjusz Pawłowicz.

„Znaczy się, zna sprawę“ — pomyślał książę.

— Jaki syn Pawliszczewa? I... jaki może być syn Pawliszczewa? — ze zdziwieniem pytał jenerał Jan Teodorowicz, ciekawie patrząc na otaczających i spostrzegając ku wielkiemu swemu zdziwieniu, że tylko on jeden sprawy tej nie zna.

Rzeczywiście, ożywienie i oczekiwanie było ogólne. Książę bardzo się zdziwił, że jego zupełnie osobista sprawa zdążyła już tak silnie wszystkich zainteresować.

— Będzie bardzo dobrze, jeżeli pan zaraz **sam** tę sprawę załatwi — powiedziała Agłaja, z jakąś niezwykłą powagą zbliżając się do księcia — a nam wszystkim pozwoli pan być świadkami. Pana chcą oczernić, książę, pan musi się uroczyście usprawiedliwić i zgóry cieszę się z tego bardzo.

— Ja też chcę, żby się te obrzydliwe pretensje już skończyły — krzyknęła jenerałowa — nie żałuj ich, książę! Mnie już uszy spuchły od tej sprawy, i dużo już krwi napsułam sobie za ciebie. Ciekawa jestem zresztą. Zawołaj ich, a my siądziemy. Agłaja dobrze to obmyśliła. Czy pan co o tem słyszał? — zwróciła się do księcia S.

— Rozumie się, słyszałem u państwa. Ale głównie chciałbym na tych młodych ludzi popatrzeć — odpowiedział książę S.

— To to są właśnie nihiliści?

— Nie, to nie nihiliści — odpowiedział trzęsący się prawie ze wzruszenia Lebiediew, przysuwając się bliżej — to inni, różni od tamtych, mój siostrzeniec mówił, że oni jeszcze dalej poszli. Waszej ekscelencji się zdaje, że pan ich swoją obecnością zawstydzi; oni się nie zawstydzą. Nihiliści, bądź co bądź, czasami są ludźmi wykształconymi, czasami uczonymi, a ci... dalej poszli, ponieważ przedewszystkiem są ludźmi interesu. Właściwie mówiąc, jest to wynikiem nihilizmu, ale nie w prostej linji, lecz pośrednio, z opowiadań, i dają znać o sobie nie jakiemiś artykulikami dziennikarskimi, a wprost czynami; nie chodzi tam np. o głupotę jakiegoś tam Puszkina i nie o konieczność np. rozpadnięcia się Rosji; o nie, teraz to uważa się wprost za prawo, że jeżeli się bardzo czegoś chce, to można nie zważać na żadne przeszkody, choćby się nawet przytem wyprawiło na tamten świat z osiem osób. Ale, książę, jabym jednakowoż panu nie radził...

Ale książę szedł już drzwi otwierać.

— Panie Lebiediew, pan ich spotwarza — powiedział z uśmiechem — pana bardzo rozgoryczył pański siostrzeniec. Elżbieto Prokofjewno, niech mu pani nie wierzy. Zapewniam panią, że Górscy i Daniłowowie to wyjątki, a ci się tylko... mylą... Nie chciałbym tylko tutaj, przy

wszystkich. Niech pani, Elżbieto Prokofjewno, wybaczy, oni wejdą, pokażę ich pani, a potem wyprowadzę. Niech panowie wejdą!

Dręczyła go bardziej inna męcząca myśl: Czy nie naumyślnie sprawa ta jest wywołana przez kogoś teraz, o tej mianowicie godzinie, przy tych mianowicie świadkach i, być może, dla oczekiwanego pohańbienia go, a nie triumfu. Zmartwiła go jednak jego „potworna i złośliwa podejrzliwość". Umarłby chyba, gdyby ktokolwiek dowiedział się, że taka myśl snuje mu się po głowie, i w chwili, gdy weszli jego goście, zupełnie szczerze gotów był uważać się za najostatniejszego z ostatnich pod względem moralnym.

Weszło pięciu ludzi; czterech nowych gości i piąty, zaraz za nimi, jenerał Iwołgin, rozgorączkowany, wzburzony i w silnym ataku krasomówstwa. „Ten jest na pewno po mojej stronie!" — pomyślał książę. Kola prześlizgnął się razem ze wszystkimi: z ożywieniem rozmawiał z Hipolitem, który też był w liczbie gości: Hipolit słuchał i uśmiechał się.

Książę prosił gości by usiedli. Byli to wszystko bardzo młodzi chłopcy, tak, że coraz dziwniejszy wydawał się cały wypadek i związane z nim okoliczności. Jan Teodorowicz Jepanczyn np., który zupełnie nie znał tej „nowej sprawy" i nic jej nie rozumiał, nawet się uniósł, patrząc na taką młodzież i na pewnoby w jakiś sposób zaprotestował, gdyby go nie powstrzymało dziwne dla niego zainteresowanie się sprawami prywatnemi księcia, okazane przez jego małżonkę. Został zresztą, poczęści z ciekawości, poczęści z dobroci serca, w nadziei, że będzie mógł pomóc i na coś się przydać; ukłon wszakże, złożony mu zdaleka przez jenerała Iwołgina znów go zirytował; zachmurzył się i postanowił milczeć uporczywie.

W liczbie czterech młodziutkich gości był zresztą jeden trzydziestoletni, dymisjonowany „porucznik z bandy rogożyńskiej, bokser, który kiedyś sam rozdawał po piętnaście rubli żebrakom". Łatwo było odgadnąć, że towarzyszył on pozostałym dla dodania im odwagi, w charakterze szczerego przyjaciela i, w razie gdyby tego zaszła potrzeba, jako pomoc. Pomiędzy pozostałymi pierwsze miejsce zajmował i główną odgrywał rolę ten, którego nazywano „synem Pa-

wliszczewa", chociaż przedstawiał się, jako Antyp Burdowski. Był to młody człowiek, ubrany ubogo i nieporządnie, w tużurku z zasmolonemi i wyświeconemi rękawami, z zatłuszczoną, zapiętą do samej góry kamizelką, jakby bez bielizny, która gdzieś się zapodziała, z czarnym, jedwabnym, brudnym do niemożliwości i skręconym w węzeł krawatem, z brudnemi rękami, z niesłychanie wągrowatą twarzą, o blond włosach i spojrzeniu, jeżeli się tak można wyrazić, niewinnie-aroganckiem. Był to wysoki, szczupły, dwudziestodwuletni młody człowiek. Na twarzy jego nie było ani cienia ironji, ani śladu myśli; przeciwnie, malowało się na niej zupełnie tępe upojenie się własnem prawem i jednocześnie uczucie ciągłej potrzeby uważania się za pokrzywdzonego. Mówił z podnieceniem, śpiesząc się i jąkając, jakby nie wymawiając całych słów, zupełnie, jakgdyby był jąkałą lub cudzoziemcem, choć zresztą był pochodzenia rosyjskiego. Towarzyszył mu, po pierwsze, znany czytelnikom siostrzeniec Lebiediewa, po drugie, Hipolit. Hipolit był zupełnie młodym chłopcem, lat siedmnastu, może ośmnastu, o rozumnym i ciągle rozdrażnionym wyrazie twarzy, na której choroba wyryła straszne ślady. Chudy był jak szkielet, blado-żółty, oczy jego błyszczały i na policzkach jego widniały duże czerwone plamy. Ciągle kaszlał; każdemu jego słowu, każdemu prawie odetchnięciu towarzyszyło krztuszenie się. Znać było suchoty w ostatniem stadjum. Zdawało sie, że pozostało mu nie więcej, jak dwa, trzy tygodnie życia. Był bardzo zmęczony i prędzej od innych osunął się na krzesło. Inni, wchodząc, trochę się zmieszali, patrzeli jednak z góry i najwidoczniej nie chcieli na szwank narazić swej godności, co dziwnie nie harmonizowało z wyrażoną o nich opinją, jako o ludziach, odrzucających wszelkie niepotrzebne światowe głupstwa, przesądy i prawie wszystko na świecie, z wyjątkiem własnych interesów.

— Antyp Burdowski—pośpiesznie i jąkając się oświadczył „syn Pawliszczewa".

— Włodzimierz Doktorenko — głośno, wyraźnie i jakby nawet chełpiąc się tem, że jest Doktorenką, przedstawił się siostrzeniec Lebiediewa.

— Keller! — mruknął dymisjonowany porucznik.

— Hipolit Terentjew — niespodziewanie piskliwym głosem zapiszczał ten ostatni. Wszyscy nareszcie zasiedli rzędem na krzesełkach naprzeciwko księcia; przedstawiwszy się, zaraz się zachmurzyli i dla dodania sobie odwagi, przełożyli czapki z jednej ręki do drugiej, wszyscy czterej byli gotowi mówić, lecz wszyscy jednakowoż milczeli, oczekując na coś z wyzywającym wyrazem twarzy, który dobitnie mówił: „nie bratku, kłamiesz, nie oszukasz!" Było widocznem, że wystarczy, aby ktokolwiek powiedział jedno tylko słowo, a odrazu wszyscy czterej zaczną mówić razem, przerywając jeden drugiemu.

XXIV

— Panowie — rzekł książę — nikogo z was nie oczekiwałem, sam do dziś dnia byłem chory, a sprawę pańską (zwrócił się do Antypa Burdowskiego) przed miesiącem jeszcze poruczyłem Gabrjelowi Iwołginowi, o czem pana już wtedy zawiadomiłem. Zresztą nie odmawiam wyjaśnień, tylko zgodzicie się, że o takiej godzinie możebyśmy przeszli do drugiego pokoju, jeżeli nie na długo... Tutaj teraz moi przyjaciele i wierzajcie...

— Przyjaciele... być może, jednakże pozwoli książę,— przerwał nagle pouczającym tonem, choć jeszcze bez podnoszenia głosu, siostrzeniec Lebiediewa — pozwoli książę zauważyć, że możnaby grzeczniej z nami postąpić i nie kazać nam czekać dwie godziny w przedpokoju...

— Tak, pewno... to po książęcemu! I to pan... a więc jenerał! A ja nie jestem pańskim sługą! Ja, ja... — mruknął nagle niezwykle wzburzony Antyp Burdowski, z drżącemi ustami, z drżeniem w głosie, ze śliną, spływającą z ust, jakgdyby pękł, lecz tak się nagle zaczął śpieszyć, że po dziesięciu słowach nie można go już było zrozumieć.

— To było po książęcemu! — zawołał Hipolit piskliwym, trzęsącym głosem.

— Gdyby ze mną była sprawa — wybąkał bokser — to jest, gdyby się wprost do mnie odnosiła, jako do człowieka szlachetnego, to jabym na miejscu Burdowskiego...

— Panowie — odezwał się książę — ja przed minutką dopiero dowiedziałem się, że tu jesteście.

— My, książę, nie obawiamy się twoich przyjaciół, gdyż mamy prawo za sobą — odezwał się ponownie siostrzeniec Lebiediewa.

— Pozwoli też pan zapytać — zaskowyczał znów Hipolit, bardzo już zgorączkowany — jakiem prawem mógł pan oddawać sprawę Burdowskiego pod sąd swoich przyjaciół? My może sądu ich nie pragniemy; co taki sąd ma dla nas za znaczenie?

— Wszakże — udało się wreszcie księciu wtrącić — jeżeli pan, panie Burdowski, nie chce się tutaj rozmówić, to powtarzam, przejdźmy do mego pokoju. Co do was wszystkich, powtórnie zapewniam, nie wiedziałem, iż czekacie...

— Ale nie ma pan prawa, żadnego prawa... pańskich przyjaciół — bąknął znów Burdowski, dziko i bojaźliwie oglądając się wokoło. — Nie ma pan prawa! — Przerwał rozgorączkowany; wytrzeszczył krótkowzroczne oczy, pocięte grubemi czerwonemi żyłkami i całym korpusem pochylił się ku księciu, który, zdziwiony, umilkł także i wpatrywał się w niego.

— Lwie Mikołajewiczu! — zawołała nagle Elżbieta Prokofjewna. — Przeczytaj to natychmiast, nie tracąc ani chwilki. Odnosi się to wprost do twojej sprawy.

I podsunęła mu śpiesznie humorystyczny tygodnik, wskazując ustęp palcem. Gdy jeszcze goście wchodzili, Lebiediew podskoczył do Elżbiety Prokofjewny, o łaski której się ubiegał, i nie mówiąc ani słowa, podał jej ten tygodnik z zakreśloną szpaltą. To, co już zdążyła przeczytać, strasznie ją wzburzyło.

— Czy może lepiej nie głośno — wyszeptał książę bardzo zmieszany — jabym potem sam odczytał.

— To ty raczej przeczytaj, ale zaraz i głośno — zwróciła się Elżbieta Prokofjewna do Koli — wyrywając gazetę z rąk księcia, który ledwo zdążył jej dotknąć — głośno, żeby każdy dobrze słyszał!

Elżbieta Prokofjewna była kobietą gorącą i porywczą, tak, że niespodzianie i bez dłuższego namysłu podnosiła nieraz kotwicę i puszczała się na pełne morze, nie licząc się

z pogodą. Jan Teodorowicz poruszył się niespokojnie. Lecz podczas, gdy wszyscy się zatrzymali i czekali w niepewności, Kola rozłożył tygodnik i zaczął głośno czytać ustęp wskazany mu przez Lebiediewa:

„Proletarjusze i ich latorośle; epizod z codziennych i powszednich rabunków! Postęp! Reforma! Sprawiedliwość!

„Dziwne rzeczy dzieją się w naszej, tak zwanej, świętej Rosji, w naszym wieku reform i stowarzyszeń społecznych, w wieku nacjonalizmu i setek miljonów wywożonych corocznie zagranicę, w wieku zachęty dla przemysłu, a sparaliżowania rąk pracujących! i t. d. i t. d." — Wszystkiego nie przeczytamy, panowie, przechodzę do rzeczy. — „Zdarzył się dziwny fakt z jedną z obywatelskich latorośli naszego państwa (de profundis), z tych zresztą, których dziadowie potracili majątki na ruletkach, ojcowie zmuszeni byli służyć w niższych stopniach i najczęściej ginęli pod wyrokiem za niewinną pomyłkę przy rządowych funduszach, dzieci ich zaś podobnie do bohatera naszego, albo wyrastają na idjotów, albo kończą sprawą kryminalną, lub wreszcie popełniają coś takiego, co zadziwia publiczność, a hańbi i tak już dość sromotne czasy nasze. Nasza latorość powróciła przed pół rokiem z Szwajcarji, gdzie leczył się na idjotyzm (sic!), do Rosji, w zimie, w sztylpach, po zagranicznemu i trzęsąc się z zimna w letnim płaszczyku. Przyznać należy, że tak mu szczęście sprzyjało, iż, nie mówiąc o interesującej chorobie, na jaką się leczył w Szwajcarji (pomyślcie jednak czyż można leczyć się z idjotyzmu?!) mógł on osobą swoją stwierdzić przysłowie: Bóg czuwa nad warjatami! Osądźcie bowiem sami: Zostawszy jako niemowlę po śmierci ojca, jak mówią, porucznika zmarłego pod sądem za nagłe zniknięcie pułkowych funduszów, a może po zbytniej ilości rózeg (pamiętajmy, że to dawniejsze czasy), baranka naszego bierze na wychowanie pewien bardzo bogaty obywatel. Pan ten — nazwijmy go P. — posiadał w owych złotych czasach cztery tysiące dusz poddanych (poddana dusza! czy rozumiecie panowie takie określenie? Ja go nie rozumiem. Trzebaby się zapoznać z dobrym słownikiem), a był, jak się zdaje, jednym z tych rosyjskich leniuchów i darmozjadów, którzy wiedli życie zagranicą, latem u wód, zimą w paryskim *Chateau des*

fleurs, gdzie pozostawiali ogromne naówczas sumy. Powiedzieć stanowczo można, że conajmniej trzecią część dochodów obywatelskiego majątku dostawał właściciel paryskiego *Chateau des fleurs* (jakiż to szczęśliwy człowiek!). Jakkolwiek bądź, obojętny p. P. wychował sierotkę panicza po książęcemu; opłacał mu guwernerów i guwernantki (oczywiście bardzo ładne), które zresztą sam przywoził z Paryża. Ale ostatnia z rodu pańskiego latorośl była idjotą. Nie pomogły guwernantki z *Chateau des fleurs*, i do dwudziestego roku życia nie nauczył się nasz młodzieniec żadnego języka, nie wyłączając rosyjskiego. To ostatnie można mu zresztą wybaczyć. Nareszcie do obywatelskiej głowy pana P. strzeliła fantazja, logiczna zresztą, że idjotę nauczą rozumu w Szwajcarji. Darmozjad i bogacz mógł istotnie wyobrazić sobie, że za pieniądze można na rynku i rozum kupić, zwłaszcza w Szwajcarji. Zeszło więc tam lat pięć na tej kuracji u znanego profesora i wydano na to tysiące. Idjota oczywiście rozumu nie nabył, lecz od biedy za człowieka mógł uchodzić. Wtem, nagle umiera pan P. Naturalnie nie zostawia testamentu, zato interesa w największym nieładzie. Chciwych spadkobierców chmara, lecz nie obchodzi ich wcale leczona w Szwajcarji ostatnia latorośl pańskiego rodu. Ten jednak, choć idjota, potrafił naciągnąć i oszukać swego profesora, bo utaiwszy śmierć swego dobroczyńcy, darmo — jak mówią — leczył się jeszcze u niego lat dwa. Ale sam profesor był porządnym szarlatanem, przestraszywszy się wkońcu braku pieniędzy, a bardziej jeszcze apetytu swego dwudziestopięcioletniego darmozjada, obuł go w swoje stare sztylpy, dał mu swój podarty płaszcz i wyprawił go z łaski, trzecią klasą *nach Russland*, ażeby się go pozbyć ze Szwajcarji. Zdawało się, że szczęście odwróciło się od naszego bohatera. Tak jednak nie było: los, skazujący na śmierć głodową całe gubernje, obsypuje swemi darami tego arystokratę, jak Kryłowska Chmura, która przechodzi nad wyschłem polem i spada deszczem nad oceanem. Prawie w tej samej chwili, gdy zjawił się w Petersburgu ze Szwajcarji, umiera w Moskwie jeden z krewnych jego matki (pochodzący, rzecz prosta, z kupców), stary bezdzietny kawaler, kupiec, brodacz i raskolnik i zostawia kilkanaście miljonów niewątpliwego, czystego

spadku (gdyby nam się taka gratka — czytelniku — przytrafiła!) i wszystko to dla naszego młodzieńca, to wszystko dla naszego barona, który się na idjotyzm leczył w Szwajcarji! Z innego teraz wszakże zaśpiewano tonu. Około naszego barona w sztylpach, zakochanego w znanej piękności, nierządnicy, zebrał się nagle cały tłum przyjaciół, znaleźli się nawet krewni, a w dodatku całe tłumy szlachetnych panien, pożądających i pragnących legalnego związku; cóż bowiem może być lepszego: arystokrata, miljoner, idjota — wszystkie potrzebne zalety, takiego męża i ze świecą się nie znajdzie i na obstalunek się nie dostanie!"

— Tego... tego już nie rozumiem! — krzyknął Jan Teodorowicz w najwyższem oburzeniu.

— Przestań, Kola! — krzyknął książę błagalnym głosem. Rozległy się ze wszystkich stron wykrzykniki.

— Czytać! Czytać za jakąkolwiek bądź cenę — zawołała Elżbieta Prokofjewna, powstrzymując się od wybuchu z widocznym wysiłkiem. — Książę! jeżeli przerwą czytanie, pokłócimy się.

Cóż było robić. Kola, rozgorączkowany, czerwony, wzburzony, znów zaczął czytać:

„Ale podczas, gdy nasz świeżo upieczony miljoner bujał, że się tak wyrażę, w siódmem niebie, zaszła zupełnie niespodziewana okoliczność. Pewnego pięknego poranku zjawia się u niego gość, ze spokojnym i surowym wyrazem twarzy, o sposobie mowy uprzejmym, ale nie pozbawionym godności, ubrany skromnie i porządnie, o widocznym postępowym kierunku przekonań, i w dwóch słowach objaśnia przyczynę swych odwiedzin: jest on znanym adwokatem: została mu przez pewnego młodego człowieka powierzona sprawa; zjawia się w jego imieniu. Ten młody człowiek jest ni mniej, ni więcej, tylko synem nieboszczyka P., chociaż nazywa się inaczej. Lubieżny P., uwiódłszy w młodości pewną uczciwą biedną dziewczynę folwarczną, lecz wychowaną po europejsku (do czego zresztą dopomogły baronowskie prawa z czasów minionej pańszczyzny), i zauważywszy nieunikniony, ale bliski skutek swego stosunku, wydał ją czem prędzej zamąż za pewnego kupca, a właściwie nawet urzędnika, o szlachetnym charakterze, który już oddawna kochał tę dziewczynę.

Z początku dopomagał nowożeńcom; wkrótce jednak szlachetny małżonek odmówił przyjmowaniu jakiejkolwiek pomocy. Upłynęło sporo czasu i pan P. zapomniał powoli i o dziewczynie i o synku, którego z nią miał, jak wiadomo, umarł bez testamentu. Tymczasem jego syn, który przyszedł na świat już po ślubie swojej matki, wychowywał się pod nowem nazwiskiem i został najlegalniej adoptowany przez swego nowego ojca, który zkolei również umarł, syn więc znalazł się nagle pozostawiony swemu losowi, bez środków do życia, z chorą matką, w jednej z bardziej oddalonych gubernij; sam zaś utrzymywał się w stolicy ciężką pracą, z lekcyj u kupców; tak przszedł gimnazjum i tak żył, uczęszczając na pożyteczne wykłady i mając na widoku wyższe cele. Ale czy dużo też dostaje się od rosyjskiego kupca, po jakie dziesięć kopiejek za lekcję, tak, że schorowana, bez nóg matka, nawet swoją śmiercią w dalekiej gubernji prawie, że zupełnie mu nie ulżyła. Teraz pytanie: jak według sprawiedliwości powinien był postąpić nasz młodzieniec? Ty, czytelniku, myślisz, że tak sobie powiedział: „Całe życie korzystałem z darów P., na moje wychowanie, na guwernantki i na wyleczenie z idjotyzmu poszły do Szwajcarji dziesiątki tysięcy; i oto teraz, ja mam miljony, a szlachetny syn P., najzupełniej nie odpowiadający za postępowanie swego lekkomyślnego i nie pamiętającego o nim ojca, umiera z głodu, uganiając się za lekcjami. Wszystko to, co mnie przypadło, po sprawiedliwości, powinno było być jego. Te olbrzymie sumy, które tracono dla mnie, w rzeczywistości wcale mi się nie należą. Była to tylko ślepa pomyłka losu; wszystko to należało się synowi P. Dla niego powinny były być użyte, nie dla mnie, jako fantastycznego kaprysu lekkomyślnego i niestałego P. Gdybym naprawdę był szlachetny, delikatny, sprawiedliwy, powinienbym oddać jego synowi połowę mojego spadku; ale ponieważ jestem przedewszystkiem człowiekiem wyrachowanym i zbyt dobrze rozumiem, że to nie jest sprawa nadająca się do sądu, więc połowy miljonów nie dam. Ale zbyt podłą i bezwstydną rzeczą (młodzieniec zapomniał, że przytem i niepraktyczną) byłoby niezwrócenie teraz przeze mnie tych dziesiątków tysięcy, które poszły na mój idjotyzm. Jest to sprawa sumienia i sprawiedliwości. Cóżby się bowiem stało, gdyby P. nie wy-

chowywał mnie, a zamiast tego, opiekował się swoim synem?"

„Ale nie, panowie! Nasi młodzieńcy tak nie rozumują. Jakkolwiek bądź przekładał mu adwokat (młodego człowieka), który podjął się sprawy li tylko z uczucia przyjaźni i prawie wbrew jego woli, prawie gwałtem, w jakikolwiek bądź sposób wystawiał mu obowiązki honoru, szlachetności, sprawiedliwości i nawet prostego wyrachowania, wychowanek szwajcarski był niewzruszony, i cóż? Toby jeszcze nic nie było, ale co już jest rzeczywiście rzeczą nie do darowania i nie da się żadną chorobą usprawiedliwić, to fakt, że ów miljoner, który dopiero co zdjął sztylpy swojego profesora, nie mógł nawet tego zrozumieć, że nie o łaskę i nie o jałmużnę prosi szlachetny młody człowiek, zabijający się lekcjami, ale o swoje prawa i o to, co mu się należy, choć nie na zasadzie prawa i nawet nie on prosi, lecz starają się za niego jego przyjaciele. Ze wspaniałą miną, upojony możnością gnębienia ludzi miljonami, młodzieniec nasz wyjmuje papierek pięćdziesięciorublowy i posyła szlachetnemu młodemu człowiekowi jako bezczelną jałmużnę. Nie wierzycie, panowie? Jesteście wzruszeni, zmartwieni, podnosicie głosy oburzenia, on jednak to zrobił! — Rozumie się, że pieniądze zostały mu zaraz zwrócone, rzec można, rzucone w twarz. Jakże rozwiązać tę sprawę? Nie jest to rzecz prawników; pozostaje więc tylko rozgłos! Podajemy więc fakty do wiadomości publicznej, zaręczając za ich prawdziwość. Powiadają, że jeden z głośniejszych naszych humorystów, wsławił się przy tem zachwycającym epigramem, któryby godne mógł zająć miejsce, nietylko w gubernjalnych ale i w stołecznych naszych obyczajowych szkicach.

Pięć lat Lwa [1]) Sznajdera [2]) szynel
Świecił mu na grzbiecie.
Gwizdał, pluł jak poliszynel,
Włócząc się po świecie.
Wrócił lordem — i w kalecie
Miljonik zaciążył.
Po rosyjsku pacierz plecie, a studentów okraść przecie
Zdążył".

---

[1]) Imię zdrobniałe.
[2]) Nazwisko profesora szwajcarskiego.

Gdy Kola skończył, podał prędko gazetę księciu i ani słowa nie rzekłszy, skrył się w kąt pokoju i twarz zakrył rękami. Wstyd mu było nieznośnie i jego dziecinna wrażliwość, która nie zdążyła jeszcze przywyknąć do brudu, dotknięta została ponad miarę. Zdawało mu się, że zaszło coś niezwykłego i zarazem niszczącego i zapytywał sam siebie, czy on się do tego nie przyczynił, choćby tylko głośnem odczytaniem artykułu.

Zdawało się, że wszyscy coś podobnego odczuwali.

Pannom było bardzo nieprzyjemnie. Elżbieta Prokofjewna tłumiła niezwykły gniew i także, być może, żałowała, że się wdała w tę sprawę; teraz milczała. Z księciem nastąpiło to, co często bywa w podobnych przypadkach ze zbyt nieśmiałymi ludźmi; do tego stopnia wstydził się cudzego postępku, do tego stopnia zrobiło mu się wstyd za gości, że w pierwszej chwili bał się nawet na nich spojrzeć. Pticyn, Basia, Gania nawet Lebiediew, wszyscy byli nieco zmieszani. Ale najdziwniejsze było to, że Hipolit i „syn Pawliszczewa" także byli jakby zdziwieni; siostrzeniec Lebiediewa też był widocznie niezadowolony. Jeden bokser siedział zupełnie spokojnie, podkręcając wąsa, z poważnym wyrazem twarzy, spuściwszy nieco oczy, ale nie ze zmieszania, lecz przeciwnie, jakby w szlachetnej skromności i ze zbyt widocznym triumfem.

Widoczne było, że artykuł ten nadzwyczaj mu się spodobał.

— Djabli wiedzą, co to takiego — mruknął półgłosem Jan Teodorowicz — jakby pięćdziesięciu lokai wzięło się do pisania i napisało.

— Przepraszam pana, łaskawy panie, jak pan może obrażać podobnemi przypuszczeniami — powiedział, drżąc cały, Hipolit.

— To, to, to dla szlachetnego człowieka... niech się pan sam zgodzi, jenerale, jeżeli się jest szlachetnym człowiekiem, to jest już obrazą! — wybełkotał bokser, jakby ocknąwszy się nagle, podkręcając wąsy i wzruszając ramionami i całem ciałem.

— Po pierwsze, dla pana nie jestem „łaskawym panem", a po drugie, żadnych wyjaśnień nie mam zamiaru pa-

nu dawać — ostro odpowiedział strasznie wzburzony Jan Teodorowicz, wstał z miejsca i nie mówiąc ani słowa, odszedł ku wyjściu z tarasu i stanął na górnym stopniu, plecami do publiczności, i w najwyższem oburzeniu na Elżbietę Prokofjewnę, która nawet i teraz ani myślała ruszyć się z miejsca.

— Panowie, panowie, niechże panowie pozwolą nareszcie mówić — wołał zakłopotany i wzruszony książę — i bądźcie tak dobrzy, będziemy tak mówili, żebyśmy się wzajemnie rozumieli. Co do artykułu, ja nic, niech go tam, tylko to przecież wszystko nieprawda, panowie, co tam wydrukowano; mówię dlatego, że sami przecież to wiecie; to nawet wstyd. Stanowczo dziwię się, jeżeli to który z was napisał.

— Do tej chwili nic nie wiedziałem o tym artykule — oświadczył Hipolit — nie pochwalam tego artykułu.

— Chociaż wiedziałem, że jest napisany, ale... też nie byłbym radził drukować, gdyż to zawcześnie — dodał siostrzeniec Lebiediewa.

— Wiedziałem, ale ja mam prawo... ja... — mruknął „syn Pawliszczewa".

— Jakto! Pan sam to wszystko ułożył? — zapytał książę, patrząc z ciekawością na Burdowskiego — to nie może być!

— Można jednak nie uznawać pańskiego prawa do zadawania podobnych pytań, — ujął się siostrzeniec Lebiediewa.

— Ja przecież tylko się zdziwiłem, że się panu Burdowskiemu udało... ale... chciałem powiedzieć, że jeżeli panowie oddali tę sprawę pod sąd opinji publicznej, to dlaczegoście się przed chwilą tak obrazili, kiedy zacząłem mówić o tej sprawie przy moich przyjaciołach?

— Nareszcie! — mruknęła w oburzeniu Elżbieta Prokofjewna.

— I nawet, książę raczył zapomnieć — prześlizgnął się nagle między krzesłami Lebiediew, nie mogąc już się powstrzymać i będąc prawie w gorączce — pan raczył zapomnieć, że pan ich przyjął i wysłuchał li tylko z dobrej swej woli i niezmiernej dobroci swego serca i że oni nie mają prawa niczego żądać, tem bardziej, że pan tę sprawę poruczył już Gabrjelowi Ardaljonowiczowi, co zresztą też pan robił

z niezmiernej swej dobroci i że teraz, jaśnie oświecony książę, pozostając w gronie wybranych przyjaciół swoich, nie może pan poświęcać takiego towarzystwa dla tych panów i że mógłbyś wszystkich tych panów, że tak powiem, natychmiast wyrzucić za drzwi, co ja w charakterze gospodarza domu, z niesłychaną wprost przyjemnością...

— Zupełnie słusznie! — zagrzmiał nagle z głębi pokoju jenerał Iwołgin.

— Dosyć, Lebiediew, dosyć, dosyć — zaczął książę, ale wybuch oburzenia zagłuszył jego słowa.

— Nie, książę, przepraszam, przepraszam, teraz to już tego dosyć! — przekrzykiwał wszystkich prawie siostrzeniec Lebiediewa. — Trzeba teraz sprawę wyraźnie postawić, gdyż najwidoczniej jej nie rozumieją. Przyplątały się tu kruczki prawne i na zasadzie tych kruczków grożą nam wyrzuceniem za drzwi. Ale, książę, czyż pan nas już za takich głupców uważa, żeśmy nie rozumieli do jakiego stopnia sprawa nasza nie jest prawną, i że, jeżeli rozpatrywać wszystko z prawnego punktu widzenia, to ani jednego rubla nie mamy prawa od pana żądać? Ale właśnie rozumiemy, że, jeżeli tu niema prawa pisanego, to jest zato prawo ludzkie, naturalne: prawo zdrowego rozsądku i głosu sumienia, i chociaż to nasze prawo nie jest zapisane w żadnym zgniłym ludzkim kodeksie, to jednak szlachetny i uczciwy człowiek, to jest to samo, co rozsądny człowiek, obowiązany jest być szlachetnym i uczciwym nawet w tych przypadkach, które nie są zapisane w kodeksie. Dlatego też przyszliśmy tutaj, nie bojąc się, że nas wyrzucą za drzwi (jak pan groził przed chwilą) zato jedynie, że nie *prosimy*, lecz *żądamy*, i za niewłaściwość wizyty o tak późnej porze (chociaż właściwie myśmy wcześniej przyszli, ale sam pan kazał nam czekać w przedpokoju), dlatego, powtarzam, przyszliśmy, nie bojąc się niczego, gdyż uważaliśmy pana właśnie za człowieka ze zdrowym rozsądkiem, to jest z honorem i sumieniem. Tak, to prawda, weszliśmy nie pokornie, jak pańscy pochlebcy i zausznicy, lecz z podniesioną głową, jak wolni ludzie, i bynajmniej nie z prośbą, lecz ze swobodnem i dumnem żądaniem (czy pan słyszy, nie z prośbą, lesz z żądaniem, niech pan to sobie zapamięta!). Z godnością i otwarcie stawiamy

panu pytanie: czy pan uważa się za czystego, czy też nieczystego w sprawie z Burdowskim? Czy pan uważa się za obsypanego dobrodziejstwami i nawet, być może, za ocalonego od śmierci przez Pawliszczewa? Jeżeli tak (co zresztą jest oczywiste), to czy pan ma zamiar, lub też czy pan w sumieniu swojem uważa za rzecz sprawiedliwą, otrzymawszy miljony, wynagrodzić ze swej strony ubogiego syna Pawliszczewa, choćby on nawet nosił nazwisko Burdowskiego? Tak, czy nie? Jeżeli t a k, to jest innemi słowami, jeżeli w panu jest to, co pan w swoim języku nazywa honorem i sumieniem i co my dokładniej nazywamy zdrowym rozsądkiem, to niech pan nas zaspokoi, i sprawa będzie skończona. Niech pan nas zaspokoi bez próśb i wdzięczności z naszej strony, niech pan ich od nas nie oczekuje, gdyż robi pan to nie dla nas, lecz dla sprawiedliwości. Jeżeli zaś pan nie zechce nas zaspokoić, to jest, odpowie pan: n i e, to zaraz wychodzimy, i sprawa upada; panu zaś w oczy mówimy, przy wszystkich pańskich świadkach, że pan jest o umyśle ordynarnym i niskiego rozwoju; że nazywać się nadal człowiekiem, posiadającym honor i sumienie, panu nie wolno i nie ma pan do tego prawa, że prawo to zbyt tanio chce pan kupić. Skończyłem. Postawiłem pytanie. Niech pan nas teraz za drzwi wyrzuca, jeżeli się pan ośmieli. Pan może to zrobić, po pańskiej stronie siła. Ale niech pan pamięta, że mimo wszystko, my żądamy, nie prosimy. Żądamy, nie prosimy!...

Siostrzeniec Lebiediewa silnie podniecony zatrzymał się.

— Żądamy, żądamy, żądamy, nie prosimy! — wyjąkał Burdowski i zaczerwienił się jak rak.

Po słowach siostrzeńca Lebiediewa nastąpiło ogólne poruszenie i dały się nawet słyszeć głosy oburzenia, chociaż w całem towarzystwie wszyscy widocznie chcieli unikać mieszania się do sprawy, z wyjątkiem jednego tylko Lebiediewa, który był prawie w gorączce. (Dziwna rzecz: Lebiediew, stojący, jak się zdawało, po stronie księcia, jakby uczuwał teraz pewne zadowolenie dumy rodzinnej po mowie swego siostrzeńca; przynajmniej z pewnym szczególnym wyrazem zadowolenia rozglądał się po obecnych).

— Według mnie — zaczął książę dość cicho — według mnie, pan, panie Doktorenko, we wszystkiem tem, co pan

przed chwilą powiedział, ma do połowy słuszność, zgadzam się nawet, że więcej niż do połowy i zgodziłbym się całkowicie z panem, gdyby pan czegoś nie opuścił. Co mianowicie pan opuścił, nie jestem w stanie dokładnie wyrazić, ale do zupełnej słuszności pańskich słów, rzecz prosta, czegoś brakuje. Ale wróćmy lepiej do sprawy; powiedzcie mi panowie, pocoście wydrukowali ten artykuł. Przecież tu co słowo, to oszczerstwo; tak, że według mnie, panowie, popełniliście podłość.

— Przepraszam!...

— Łaskawy panie!...

— To... to... to... — dało się łsyszeć ze strony wzburzonych gości.

— Co się tyczy artykułu — piskliwie zaczął Hipolit — co się tyczy tego artykułu, to już panu powiedziałem, że ani ja, ani inni, nie pochwalamy go. Napisał go ten oto (wskazał siedzącego obok siebie boksera), napisał nieprzyzwoicie, zgoda, napisał niegramatycznie i językiem, którym piszą tacy sami, jak on, dymisjonowani porucznicy. Jest on głupi i prócz tego aferzysta, zgoda, ja mu to wprost w oczy codziennie mówię, jednak miał prawo do pewnego stopnia tak zrobić: jawność jest prawem każdego, a więc i Burdowskiego. Za swoje głupstwa niech sam odpowiada. Co się zaś tyczy tego, że w imieniu wszystkich protestowałem przed chwilą przeciw obecności pańskich przyjaciół, to poczuwam się do obowiązku, łaskawi panowie, wyjaśnić, że protestowałem jedynie dla zaznaczenia naszego prawa, lecz że w gruncie rzeczy chcemy nawet tego, ażeby byli świadkowie, i uprzednio, przed wejściem tutaj, wszyscy czterej zgodziliśmy się na to. Kimkolwiek będą pańscy świadkowie, choćby pańskimi przyjaciółmi, to z chwilą, gdy nie mogą nie uznać praw Burdowskiego (gdyż są one oczywiście matematycznie dowiedzione), lepiej nawet będzie, że ci świadkowie są pańskimi przyjaciółmi;; jeszcze oczywistszą okaże się prawda.

— To prawda, takeśmy się umówili — potwierdził siostrzeniec Lebiediewa.

— Więc czegoż panowie zaraz od początku rozmowy tak krzyczeć zaczęli, gdyście sami tego chcieli!—zdziwił się książę.

— A co się tyczy artykułu, książę — wtrącił bokser,

który chciał strasznie swoje słówko też dorzucić i przyjemnie się ożywił (można było podejrzewać, że na niego silnie działa obecność pań) — co się tyczy artykułu, to wyznaję, że rzeczywiście ja jestem jego autorem ,chociaż schorowany mój przyjaciel, któremu przywykłem przebaczać z powodu jego osłabienia, skrytykował go przed chwilą. Ułożyłem i pomieściłem pod postacią korespondencji w dzienniku szczerego przyjaciela. Jedne tylko wiersze istotnie nie są moje i istotnie wyszły z pod pióra znanego humorysty. Burdowskiemu tylko przeczytałem, ale nie wszystko i zaraz otrzymałem od niego zgodę na wydrukowanie, ale przyzna pan, że mogłem drukować i bez zgody. Jawność jest prawem ogólnem, szlachetnem i dobroczynnem. Ufam, że pan sam, książę, jest na tyle postępowy, by temu nie przeczyć...

— Niczemu nie będę przeczył, ale zgodzi się pan, że w pańskim artykule...

— Ostro, chce pan powiedzieć? Ale przecież w tym, że tak powiem, jest pożytek społeczny, musi pan przyznać, i wreszcie, czy można pominąć milczeniem oburzający przypadek? Tem gorzej dla winowajców, lecz pożytek ogółu przedewszystkiem. Co się tyczy niektórych niedokładności, że tak powiem, hiperbol, to musi się pan zgodzić, że ważna jest przedewszystkiem inicjatywa, cel i życzenie; ważny jest dobroczynny przykład, potem już będziemy analizowali poszczególne wypadki, wreszcie ten styl, jakby powiedzieć, humorystyczne opracowanie, i ostatecznie wszyscy tak piszą; przyzna pan! ha! ha!

— Tak, całkiem fałszywa droga! Zapewniam was panowie — wołał książę — wydrukowaliście artykuł w tem przypuszczeniu, że ja za nic się nie zgodzę zadowolnić pana Burdowskiego, a zatem, żeby mnie przestraszyć i zemścić się na mnie. Ale czyż panowie wiedzieli, może ja właśnie postanowiłem zaspokoić Burdowskiego. Otwarcie przy wszystkich teraz oświadczam, że go zadowolnię...

— Otóż, nareszcie rozumne i szlachetne słowo, rozumnego i szlachetnego człowieka! — wygłosił teraz bokser.

— Boże! — wyrwało się Elżbiecie Prokofjewnie.

— To nie do wytrzymania — bąknął jenerał.

— Przepraszam, panowie, pozwólcie mi wyłożyć całą

sprawę — błagał książę — pięć tygodni temu zjawił się u mnie w Z. pełnomocnik pana, panie Burdowski, Czebarow. Pan go bardzo pochlebnie opisał, panie Keller, w swoim artykule — zwrócił się książę, roześmiawszy się nagle w stronę boksera — lecz mnie zupełnie się on nie spodobał. Zrozumiałem z pierwszego słowa, że on to właśnie namówił pana panie Burdowski, korzystając z pańskiej prostoduszności, by rozpocząć całą tę sprawę, jeżeli mam mówić szczerze.

— Pan nie ma prawa... ja... nie jestem prostoduszny... to... — jąkał wzburzony Burdowski.

— Pan nie ma prawa czynić takich przypuszczeń — pouczająco wdał się siostrzeniec Lebiediewa.

— To jest w wysokim stopniu obrażające! — zapiszczał Hipolit — przypuszczenie obrażające, fałszywe i nie tyczące się sprawy!

— Przepraszam, panowie, przepraszam — pośpiesznie usprawiedliwiał się książę — proszę bardzo, wybaczcie, a to dlatego, że myślałem, czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy byli zupełnie szczerzy ze sobą, zresztą, jak panowie chcecie. Czebarowowi powiedziałem, że, ponieważ nie jestem w Petersburgu, natychmiast upoważniam przyjaciela mego do prowadzenia tej sprawy, a pana, panie Burdowski, o tem zawiadomię. Wprost panom powiem, że ta sprawa wydała mi się oszukańczą, właśnie dlatego, że brał w niej udział Czebarow... Och, nie obrażajcie się panowie! Na miłość Boską nie obrażajcie się! — krzyknął w przerażeniu książę, widząc znów oznaki obrazy ze strony Burdowskiego, oburzenie i protest jego przyjaciół — to nie może się panów tyczyć osobiście, jeśli mówię, że uważałem tę sprawę za oszukańczą! Przecież nikogo z panów wtedy nie znałem osobiście, nawet nazwisk panów nie wiedziałem; sądziłem według Czebarowa; mówię ogólnie, gdyż... gdybyście panowie wiedzieli, jak strasznie mnie oszukiwano, od czasu, gdy otrzymałem spadek!

— Książę, pan jest strasznie naiwny — szyderczo zauważył siostrzeniec Lebiediewa.

— I w dodatku... książę i miljoner! Przy pańskim, być może, rzeczywiście dobrem i prostodusznem sercu, nie może pan jednak, rzecz prosta, wyłamać się z pod ogólnego prawa — rzekł Hipolit.

— Być może, bardzo być może, panowie — śpieszył się książę — choć nie rozumiem, o jakiem ogólnem prawie pan mówi; no, mówię dalej, tylko niech się panowie nie obrażają bez powodu; przysięgam, nie mam najmniejszego zamiaru panów obrażać! Doprawdy, co to ma znaczyć: ani słowa szczerze nie można powiedzieć, bo zaraz się obrażacie. Ale, po pierwsze, bardzo mnie zdziwiło, że istnieje „syn Pawliszczewa" i jest w takiem strasznem położeniu, jak mi to mówił Czebarow. Pawliszczew był moim dobroczyńcą i przyjacielem mego ojca. (Ach, poco pan takie kłamstwa pisał, panie Keller, w pańskim artykule o moim ojcu? Żadnego roztrwonienia wojskowych pieniędzy, ani żadnego znęcania się nad podwładnymi nie było, o tem jestem zupełnie przekonany i jak pan mógł takie oszczerstwa napisać?). A to, co pan napisał o Pawliszczewie, to już zupełnie przekracza granice: pan nazywa tego najszlachetniejszego człowieka lubieżnym i lekkomyślnym z taką odwagą, jakgdyby pan rzeczywiście mówił prawdę, a tymczasem to był najczystszy z ludzi. Był to wybitny uczony; utrzymywał stosunki z wieloma szanownymi uczonymi i dużo pieniędzy poświęcił na cele naukowe. Co się tyczy jego serca, jego dobrodziejstw, to, rozumie się, pan słusznie napisał, że byłem wtedy prawie idjotą i nic nie rozumiałem (chociaż po rosyjsku mówiłem i rozumiałem), ale teraz przecież mogę ocenić to wszystko, co sobie przypominam.

— Przepraszam — piszczał Hipolit — czy to nie będzie zbyt czułostkowe? Nie jesteśmy dziećmi. Pan chciał odrazu mówić o sprawie, niech pan pamięta, że już dziesiąta.

— I owszem, panowie, i owszem — odrazu zgodził się książę — po pierwszej chwili niedowierzania postanowiłem, że mogę się mylić i że Pawliszczew rzeczywiście mógł mieć syna. Ale co mnie strasznie dotknęło, to to, że syn ten z taką łatwością, to jest chciałem powiedzieć, tak publicznie zdradza tajemnicę swego urodzenia i, co najgłówniejsze, że hańbi swoją matkę; gdyż Czebarow już wtedy groził mi jawnością.

— Co za głupota! — krzyknął siostrzeniec Lebiediewa.

— Pan nie ma prawa... nie ma pan prawa — krzyczał Burdowski.

— Syn nie odpowiada za rozpustę ojca, a matka niewinna — gorąco powiedział Hipolit.

— Tem bardziej, zdawałoby się, należało oszczędzać... — nieśmiało przemówił książę.

— Pan jest nietylko naiwny, lecz być może czemś więcej jeszcze — ze złością uśmiechnął siostrzeniec Lebiediewa.

— I jakie pan miał prawo! — piszczał zupełnie nienaturalnym głosem Hipolit.

— Żadnego, żadnego! — pośpiesznie przerwał mu książę — pod tym względem pan ma słuszność, przyznaję to, ale to było mimo woli i zaraz powiedziałem sobie, że moje osobiste uczucia nie powinny mieć wpływu na sprawę, gdyż z chwilą, gdy uznam się za zobowiązanego do zaspokojenia żądań pana Burdowskiego, w imię uczucia, jakie żywię dla pamięci Pawliszczewa, to obowiązany jestem do zaspokojenia ich w każdym przypadku, to jest niezależnie od tego, czy szanuję, czy też nie szanuję pana Burdowskiego. Dlatego tylko, panowie, zacząłem mówić o tem, że mimo wszystko wydało mi się nienaturalne, że syn tak publicznie zdradza tajemnicę swej matki... Jednem słowem, dlatego właśnie przekonałem się, że Czebarow musi być kanalją i sam namówił pana Burdowskiego, nabierając go na takie oszukaństwo.

— To już nie do zniesienia! — rozległo się ze strony jego gości, z których część wstała nawet z krzeseł.

— Panowie! Dlatego właśnie przypuszczałem, że nieszczęśliwy pan Burdowski musi być człowiekiem prostodusznym, niezaradnym, łatwo poddającym się oszustom, że więc tem bardziej obowiązany jestem mu pomóc, jako „synowi Pawliszczewa“, po pierwsze, działając przeciw panu Czebarowowi, po drugie, powodując się moją życzliwością, przyjaźnią i gotowością zaopiekowania się nim, żeby nim kierować, a po trzecie, postanowiłem mu wypłacić dziesięć tysięcy rubli, to jest wszystko, co podług moich obliczeń, mógł Pawliszczew wydać na mnie gotówką...

— Jakto? Tylko dziesięć tysięcy! — zawołał Hipolit.

— No, książę, nie bardzo pan jest mocny w arytmetyce, lub też zbyt pan jest w niej mocny, chociaż się pan podaje za prostaka — krzyknął siostrzeniec Lebiediewa.

— Na dziesięć tysięcy się nie zgadzam — powiedział Burdowski.

— Antyp! Zgódź się! — szepnął bokser porywczo i pośpiesznie, przechylając się przez poręcz krzesła Hipolita — zgódź się, a potem zobaczymy!

— Po-o-słuchaj pan, panie Myszkin — piszczał Hipolit — niech pan zrozumie, że nie jesteśmy głupcami, za jakich nas na pewno mają wszyscy pańscy goście, również jak i te damy, które z takiem oburzeniem śmieją się z nas, a w szczególności ten wielkoświatowy pan (wskazał Eugenjusza Pawłowicza), którego ja, rozumie się, nie mam zaszczytu znać, lecz o którym, jak się zdaje, coś niecoś słyszałem...

— Pozwólcie panowie — zwrócił się do nich wzburzony książę — pozwólcie, boście mnie znów nie zrozumieli! Po pierwsze, pan, panie Keller, niedokładnie określił w swym artykule stan mojej fortuny: żadnych miljonów nie dostałem ;mam, być może, ósmą lub dziesiątą część tego, co przypuszczacie; powtóre, żadnych dziesiątków tysięcy na mnie w Szwajcarji nie wydano: Schneider pobierał po sześćset rubli rocznie i to tylko przez pierwszych lat trzy; po żadne zaś wyborowe guwernantki nigdy Pawliszczew do Paryża nie jeździł; to znów oszczerstwo. Według mego zdania, wydano na mnie razem daleko mniej, niż dziesięć tysięcy; przyjąłem taką sumę, a przyznajcie mi sami, że oddając ją jako dług, nie mogłem w żaden sposób proponować więcej panu Burdowskiemu, nawet gdybym go strasznie kochał; nie mogłem też przez samą już delikatność, właśnie dlatego że spłacałem dług, posyłać tej sumy jako jałmużny. Nie pojmuję, dlaczego panowie tego nie rozumieją! I to wszystko chciałem uzupełnić potem moją przyjaźnią, moim czynnym udziałem w losach pana Burdowskiego, oczywiście oszukanego, bo przecież on sam nie mógł, bez wprowadzenia go w błąd, zgodzić na taką nikczemność, jak naprzykład dzisiejsza publikacja w artykule p. Kellera o jego matce... Ale czemu panowie znów się unoszą! Więc my wreszcie nigdy się wzajemnie nie zrozumiemy! Więc wyszło na moje!... Przekonałem się teraz na własne oczy, że mój domysł był słuszny — przekonywał książę rozgorączkowany, chcąc uśmierzyć wzburzenie, a nie zauważając, że tylko je powiększał.

— Jak? o czem się pan przekonał? — przyskoczyli do niego prawie z wściekłością.

— Ależ zmiłujcie się; po pierwsze ja sam zdołałem doskonale poznać pana Burdowskiego i widzę przecież co on za jeden... To człowiek naiwny,przez wszystkich oszukiwany! Człowiek bezbronny... i dlatego muszę go oszczędzać; powtóre Gabrjel Ardaljonowicz, któremu sprawa była poruczona i od którego dawno nie otrzymałem wiadomości, był bowiem w drodze przez trzy dni, potem chorował w Petersburgu, dopiero przed godziną powrócił i przy pierwszem naszem spotkaniu doniósł mi, że przejrzał wszystkie zamiary Czebarowa, oraz posiada dowody ,że jest on właśnie takim, jakim mi się wydał. A wszakże ja wiem panowie, że mnie wielu poczytuje za idjotę, i Czebarow myślał, sądząc z mojej reputacji, iż ja łatwo pieniądze wydaję, że z łatwością mnie okpi, a liczył także na moje uczucia dla Pawliszczewa! Co zaś najważniejsze, słuchajcież panowie, słuchajcie! najważniejsze jest to, iż pokazuje się teraz, że pan Burdowski wcale nie jest synem Pawliszczewa! Gabrjel Ardaljonowicz zaraz mnie o tem zawiadomił i zapewnia, że otrzymał niezbite dowody. No, jakże wam się to podoba, trudno wprost uwierzyć, niemożliwe po tem wszystkiem, co już nabroiliście. I słuchajcie: niezbite dowody! Ja jeszcze nie dowierzam, zapewniam was, ja jeszcze wątpię, bo Gabrjel Ardaljonowicz nie zdążył dotąd podać mi wszystkich szczegółów; że jednak Czebarow to kanalja, to żadnej już nie ulega wątpliwości! On i nieszczęśliwego pana Burdowskiego i was wszystkich panowie, którzyście szlachetnie przyszli popierać przyjaciela (istotnie potrzebującego poparcia, co dobrze rozumiem), wszystkich was oszukał i wszystkich zaplątał w szalbierstwo, boć to wszakże istotne oszustwo!

— Jakto szalbierstwo!... Jakto, nie „syn Pawliszczewa?“ Jakże to... — rozległy się wołania. Cała kompanja Burdowskiego niesłychanie była wzburzona.

— Naturalnie, że szalbierstwo! Wszakże, jeśli teraz zostanie dowiedzione, że pan Burdowski nie jest „synem Pawliszczewa“, to przecież w takim razie, wymagania jego wychodzą wprost na szalbierstwo (naturalnie, jeżeliby znał istotną prawdę); lecz w tem cała rzecz, że jego oszukali i dlatego ja

tak nastaję na to, by go usprawiedliwić, dlatego mówię, że on godzien pożałowania w swojej naiwności i nie może pozostać bez poparcia; w przeciwnym razie i on wyszedłby z tej sprawy jak oszust. Ja sam przekonany jestem, że on tego nie rozumie. Przecież sam byłem w podobnem położeniu przed wyjazdem do Szwajcarji, także bąkałem słowa bez związku — chce się coś powiedzieć — nie można. Ja to rozumiem, ja mogę bardzo współczuć, gdyż sam jestem prawie taki sam i wolno mi tak się wyrazić! A wreszcie, pomimo to, że niema teraz „syna Pawliszczewa" i że wszystko to jest szalbierstwem, nie zmieniam mego postanowienia i gotów jestem, dla pamięci Pawliszczewa, zwrócić dziesięć tysięcy. Przeznaczyłem tę sumę na szkoły, lecz teraz to wszystko jedno, bo jeśli p. Burdowski nie jest „synem Pawliszczewa", to prawie tak jakby nim był, skoro go tak złośliwie oszukano; on sam siebie szczerze uważał za syna Pawliszczewa. Wysłuchajcież więc panowie Gabrjela Ardaljonowicza i nie gniewajcie się, nie oburzajcie i siadajcie. Gabrjel wszystko nam wyjaśni, a i ja, przyznaję, sam nadzwyczajnie pragnę poznać bliższe szczegóły. Mówi on, że jeździł nawet do Pskowa, do pańskiej matki, panie Burdowski, która nigdy nie umierała, jak to panu kazano w artykule napisać. Niech panowie siadają!

Książę usiadł i zdołał usadowić wszystkich przyjaciół pana Burdowskiego. Przez ostatnie dziesięć lub dwadzieścia minut mówił rozgorączkowany, głośno, niecierpliwie i pośpiesznie, starając się wszystkich przekrzyczeć, i rozumie się, żałował później niektórych słów i podejrzeń, które mu się wyrwały. Gdyby go nie rozgniewali i nie wyprowadzili z równowagi, nie pozwoliłby sobie nigdy tak otwarcie i pośpiesznie wypowiadać głośno niektórych swoich domysłów i zbytecznych wynurzeń. Ale odrazu, gdy usiadł, paląca skrucha aż do bólu przeszyła jego serce; oprócz tego, że „obraził" Burdowskiego, podejrzewając go tak głośno o tę samą chorobę, na którą sam się leczył w Szwajcarji; oprócz tego, ofiarowanie mu dziesięciu tysięcy, zamiast na szkołę, było uczynione, według jego zdania, ordynarnie i nieostrożnie, jak jałmużna, zwłaszcza dlatego, że było powiedziane głośno i przy obcych. „Trzeba było przeczekać i jutro w cztery oczy ofiarować — pomyślał natychmiast książę —

a teraz już trudno będzie poprawić. Tak, jestem idjota, prawdziwy idjota!“ — zadecydował w napadzie wstydu i ogromnego zmartwienia.

Tymczasem Gabrjel Ardaljonowicz, trzymający się dotychczas na uboczu i milczący uporczywie, wystąpił na zaproszenie księcia naprzód, stanął przy nim i spokojnie, a jasno zaczął sprawozdanie z poruczonej mu przez księcia sprawy. Wszystkie rozmowy odrazu ucichły. Wszyscy słuchali z niesłychaną ciekawością, szczególniej zaś cała kompanja Burdowskiego.

XXV

Nie będzie pan, rozumie się przeczył — zaczął Gabrjel Ardaljonowicz, zwracając się wprost do słuchającego go uważnie Burdowskiego, który ze zdziwieniem wytrzeszczył na niego oczy i był najwidoczniej bardzo zmieszany — nie będzie pan, i nie zechce pan, rozumie się, przeczyć, że urodził się pan w dwa lata po ślubie szanownej matki pana z kolegjalnym sekretarzem, panem Burdowskim, ojcem pańskim. Datę pańskich urodzin można bardzo łatwo ustalić faktami, tak więc zbyt obrażające pana i pańską matkę przekręcenie faktów w artykule pana Kellera można objaśnić li tylko bujnością wyobraźni pana Kellera, chcącego wzmocnić prawność pańskich żądań i w ten sposób pomóc pańskim interesom. Pan Keller mówi, że uprzednio czytał panu artykuł, ale niecały... bezwątpienia, nie doczytał go panu do tego miejsca...

— Rzeczywiście, nie doczytałem — przerwał bokser— ale wszystkie fakty były mi podane przez osobę kompetentną, i ja...

— Przepraszam pana, panie Keller — powstrzymał go Gabrjel Ardaljonowicz — proszę pozwolić mi mówić. Zapewniam pana, że przyjdzie kolej i na pański artykuł, wtedy złoży pan swoje wyjaśnienia, a teraz będziemy rozpatrywali według kolejności. Zupełnie przypadkowo, przy pomocy siostry mojej Barbary Ardaljonowny Pticynowej dostałem od dobrej jej przyjaciółki, Wiary Aleksiejewny Zubkowoj,

wdowy i obywatelki ziemskiej, list nieboszczyka Mikołaja Andrzejewicza Pawliszczewa, pisany do niej z zagranicy dwadzieścia cztery lat temu. Poznawszy się bliżej z Wiarą Aleksiejewną, zwróciłem się, stosownie do jej wskazówek, do dymisjonowanego pułkownika Tymoteusza Teodorowicza Wiazowkina, dalekiego krewnego i wielkiego, w swoim czasie, przyjaciela pana Pawliszczewa. Od niego udało mi się dostać jeszcze dwa listy Mikołaja Andrzejewicza, także pisane z zagranicy. Te trzy listy, dzięki datom i faktom w nich zawartym, dowodzą matematycznie bez możliwości jakiegokolwiek bądź zaprzeczenia i bez cienia wątpliwości, że Mikołaj Andrzejewicz wyjechał zagranicę (i bawił tam bez przerw trzy lata) na półtora roku przed pańskiemi urodzinami, panie Burdowski. Pańska matka, jak panu wiadomo, nigdy z Rosji nie wyjeżdżała... Nie będę teraz czytał tych listów. Już późno; w każdym razie podkreślam ten fakt na wszelki wypadek. Ale ,jeżeli pan sobie tego życzy, panie Burdowski, możemy spotkać się, choćby jutro u mnie, pan może przyprowadzić świadków (w jakiej pan chce liczbie) i biegłych dla porównania charakteru pisma; nie wątpię, żeby pan mógł nie przekonać się o prawdziwości przytoczonych tu przezemnie szczegółów. A w takim razie, rzecz prosta, cała sprawa upada i sama przez się staje się wyczerpaną.

Nastąpiło znów ogólne poruszenie i głębokie wzruszenie. Sam Burdowski wstał nagle z krzesła.

— Jeżeli to prawda, to byłem oszukany, oszukany, ale nie przez Czebarowa, a dawno już, dawno; nie chcę biegłych, nie chcę spotkania, wierzę... zrzekam się... nie zgadzam się na dziesięć tysięcy... żegnam...

Wziął czapkę i odsunął krzesło, żeby wyjść.

— Jeżeli pan może, panie Burdowski — cicho i łagodnie zatrzymał go Gabrjel Ardaljonowicz — to niech pan jeszcze zostanie choć pięć minut. Dzięki tej sprawie wyjaśniło się kilka nadzwyczaj ważnych faktów ,w każdym razie szczególnie ciekawych dla pana. Podług mnie, nie może pan ich nie poznać i bardzo być może, że i panu będzie przyjemniej, jeżeli sprawa będzie zupełnie wyjaśniona.

Burdowski usiadł w milczeniu, spuściwszy nieco głowę,

jakby w zamyśleniu. Usiadł też siostrzeniec Lebiediewa, który wstał, aby mu towarzyszyć; nie stracił on coprawda głowy ani śmiałości, lecz był mocno zakłopotany. Hipolit zaś był zachmurzony, smutny i jakby bardzo zdziwiony. W tej chwili przytem tak silnie zakaszlał, że krwią powalał chustkę. Bokser zaś był niemal przerażony.

— Eh, Antyp! — krzyknął z goryczą. — Mówiłem ci przecież wtedy... onegdaj, że może ty rzeczywiście nie jesteś synem Pawliszczewa!

Rozległ się dyskretny śmiech, dwie czy trzy osoby roześmiały się głośniej niż inne.

— Fakt podany w tej chwili przez pana, panie Keller — podchwycił Gabrjel Ardaljonowicz — jest bardzo cenny. Tem niemniej, mam zupełne prawo na zasadzie najdokładniejszych danych twierdzić, że chociaż panu Burdowskiemu była, rozumie się, znana data jego urodzin, to jednak nic nie wiedział o pobycie Pawliszczewa zagranicą, gdzie pan Pawliszczew przepędził większą część życia, przyjeżdżając do Rosji zawsze na bardzo krótki okres czasu. Poza tem sam fakt ówczesnego wyjazdu jest sam przez się zbyt małoważny, aby o nim można było pamiętać po upływie dwudziestu z górą lat, nawet w razie, gdyby się było w bliskich stosunkach z Pawliszczewem, nie mówiąc już o panu Burdowskim, którego wtedy nie było jeszcze na świecie. Oczywiście dowiedzieć się teraz o tem wszystkiem nie było rzeczą niemożliwą, ale wyznać muszę, że wiadomości, które posiadam, otrzymałem zupełnie przypadkowo i bardzo łatwo mogłem ich nie otrzymać; dla pana Burdowskiego więc i nawet dla Czebarowa otrzymanie tych wiadomości było prawie niepodobieństwem, nawet gdyby chcieli się o nie starać. Ale przecież mogło im to nawet nie przyjść do głowy.

— Przepraszam pana, panie Iwołgin — przerwał mu nagle w rozdrażnieniu Hipolit — poco cały ten galimatjas (wybaczy pan?) Sprawa się wyjaśniła, zgadzamy się na prawdziwość głównego faktu, po co przedłużać tę ciężką i obraźliwą gadaninę? Może się pan chce pochwalić zręcznością swoich poszukiwań, pokazać księciu i nam, jaki to z pana zręczny sędzia śledczy, wywiadowca? A może pan

ma zamiar przedsięwziąć usprawiedliwienie i uniewinnienie Burdowskiego, wykazując, że tylko przez nieświadomość wplątał się w tę sprawę? Ależ to zuchwalstwo, łaskawy panie! Niech pan wie, że Burdowski nie potrzebuje pańskich uniewinnień i usprawiedliwiań. On już jest i bez tego w ciężkiem położeniu, w fałszywej sytuacji, powinien był pan się tego domyślić i zrozumieć...

— Dosyć, panie Terentjew, dosyć — udało się Gabrjelowi Ardaljonyczowi przerwać — niech się pan uspokoi, niech się pan nie rozdrażnia, pan zdaje się jest bardzo niezdrów? Współczuję panu. W takim razie, jeżeli pan tak chce, skończyłem, to jest właściwie zmuszony będę tylko pokrótce dopowiedzieć te szczegóły, które, według mnie, należałoby poznać dokładniej — dodał, zauważywszy poruszenie obecnych, zdradzających pewne zniecierpliwienie. — Chcę tylko powiedzieć, na zasadzie dowodów, i podać do wiadomości wszystkich zainteresowanych w tej sprawie, że pańska matka, panie Burdowski, tylko dlatego cieszyła się życzliwością i opieką Pawliszczewa, że była rodzoną siostrą tej dziewczyny folwarcznej, w której Mikołaj Andrzejewicz Pawliszczew kochał się w najwcześniejszej młodości do tego stopnia, że napewnoby się z nią ożenił, gdyby nie umarła tak młodo. Mam dowody, że to rodzinne wspomnienie, zupełnie pewne i wiarogodne, jest nawet zupełnie zapomniane. Dalej, mógłbym powiedzieć, jak matka pańska, jeszcze jako dziesięcioletnie dziecko, była wzięta na wychowanie, że był dla niej przeznaczony znaczny posag, że cała ta opieka wywołała ogromny popłoch między licznymi krewnymi Pawliszczewa, myśleli nawet, że się ożeni ze swoją wychowanką, ale skończyło się na tem, że wyszła z miłości (i na to także mam dowody) za geometrę, pana Burdowskiego, mając dwadzieścia lat. Zebrałem także kilka niewątpliwych szczegółów, jak ojciec pański, pan Burdowski, człowiek zupełnie nie stworzony do interesów ,otrzymawszy posag żony, piętnaście tysięcy, rzucił służbę, wdał się w handlowe przedsiębiorstwa, został oszukany, stracił majątek, nie zniósł nieszczęścia, zaczął pić, z czego zachorował i wkońcu przedwcześnie umarł w ósmym roku pożycia z pańską matką. Potem zgodnie z osobistem zeznaniem pańskiej matki znalazła się

ona w zupełnej nędzy i zginęłaby bez stałej i szlachetnej pomocy Pawliszczewa, który jej wypłacał rocznie sześćset rubli zapomogi. Są bardzo liczne dowody, że pana, wówczas jeszcze dziecko, bardzo pokochał. Na zasadzie tych dowodów, potwierdzonych przez pańską matkę, okazuje się, że pokochał pana głównie dlatego, że pan w dzieciństwie miał wygląd kaleki, nieszczęśliwego dziecka (a Pawliszczw, jak to wiem na zasadzie dokładnych danych, miał przez całe życie jakąś słabość do wszystkiego, co było poniżone i unieszczęśliwione przez naturę, szczególnie dzieci; szczegół, według mnie, niesłychanie ważny dla naszej sprawy). Nakoniec mogę się pochwalić jak najdokładniejszem zbadaniem tego głównego faktu, jak to niezwykłe przywiązanie Pawliszczewa do pana (za jego staraniem wstąpił pan do gimnazjum i kształcił się pod jego nadzorem) wywołało wkońcu, powoli między krewnymi i domownikami Pawliszczewa myśl, że pan jest jego synem, i że pański ojciec był tylko zdradzonym mężem. Ale najważniejsze jest to, że myśl ta zakorzeniła się u wszystkich dopiero w ostatnich latach życia Pawliszczewa, kiedy wszyscy bali się o testament, i kiedy zapomniano o tych dawniejszych faktach, a zebranie wiadomości było niemożliwe. Bezwątpienia myśl ta doszła też do pana, panie Burdowski, i zupełnie opanowała pana. Pańska matka, z którą miałem zaszczyt poznać się osobiście, chociaż wiedziała o tych wszystkich pogłoskach, nawet do dziś dnia nie wie (ja też to przed nią ukrywałem), że pan, jej syn, daje im też wiarę. Szanowną matkę pana, panie Burdowski, zastałem w Pskowie chorą, w ogromnej biedzie, w którą wpadła po śmierci Pawliszczewa. Ze łzami wdzięczności powiedziała mi, że żyje tylko dzięki panu i pańskiej pomocy; oczekuje wiele od pana w przyszłości i gorąco wierzy w przyszłe pana powodzenie...

— To wkońcu, nie do zniesienia! — głośno i niecierpliwie oświadczył nagle siostrzeniec Lebiediewa. — Poco ten cały romans?

— Wstrętne, nieprzyzwoite! — silnie obruszył się Hipolit. Ale Burdowski nic nie zauważył i nawet się nie poruszył.

— Poco? Naco? — chytrze zdziwił się Gabrjel Arda-

łjonowicz, gotując się jadowicie do wypowiedzenia swego wniosku. — Po pierwsze, pan Burdowski może być teraz zupełnie pewny, że pan Pawliszczew kochał go tylko ze szlachetności, a nie jako syna. Już choćby tylko ten jeden fakt powinien był poznać pan Burdowski, który dawniej, po przeczytaniu artykułu, podtrzymał i pochwalił pana Kellera. Mówię to dlatego, że uważam pana za szlachetnego człowieka, panie Burdowski. Po drugie, okazuje się, że nie było tu żadnego oszustwa nawet ze strony Czebarowa: jest to ważny punkt nawet dla mnie, gdyż poprzednio książę, uniósłszy się, wspomniał, jakobym i ja był tego samego zdania o oszustwie w tej nieszczęsnej sprawie. Przeciwnie, wszyscy byli głęboko przekonani, i chociaż Czebarow jest, być może, rzeczywiście, wielkim oszustem, to jednak w tej sprawie jest on jedynie krętaczem, aferzystą-spryciarzem. Spodziewał się, że zarobi dużo jako adwokat, i obliczenia jego były nietylko subtelne i mistrzowskie, lecz także najzupełniej pewne; opierał się na tej łatwości, z jaką książę daje pieniądze i na uczuciu wdzięczności i szacunku, jakie żywi względem nieboszczyka Pawliszczewa; opierał się wreszcie (co jest najważniejsze) na znanych z rycerskości poglądach księcia co do obowiązków honoru i sumienia. Co się tyczy osobiście pana Burdowskiego, można nawet powiedzieć, że działał on, dzięki pewnym swoim poglądom, tak był nastrojony przez Czebarowa, oraz otaczające go towarzystwo, że rozpoczął sprawę zupełnie nie dla zysku, a prawie jakby w imię prawdy, postępu i ludzkości. Teraz, po tych faktach, wszyscy widzą jasno, że pan Burdowski, mimo pozorów, jest człowiekiem czystym, i może teraz książę prędzej, oraz chętniej niż poprzednio ofiarować mu pomoc przyjacielską, o jakiej dopiero co wspominał, mówiąc o szkołach i Pawliszczewie.

— Niech pan da pokój, Gabrjelu Ardałjonowiczu! — krzyknął książę prawdziwie przerażony, ale było już zapóźno.

— Powiedziałem, trzy razy już oświadczyłem — krzyknął zirytowany Burdowski — że nie chcę pieniędzy. Nie przyjmę ich... poco... precz...

I o mało nie wybiegł z tarasu. Siostrzeniec Lebiediewa

zatrzymał go czem prędzej i szepnął mu coś do ucha. Wrócił, wyjął z kieszeni niezapieczętowaną kopertę większego formatu i rzucił ją na stół, stojący obok księcia.

— Oto pieniądze!... Jak pan śmiał!... Pieniądze!...

— Dwieście pięćdziesiąt rubli, które ośmielił się pan przesłać mu jako jałmużnę za pośrednictwem Czebarowa — wyjaśnił Doktorenko.

— W artykule jest mowa o pięćdziesięciu — zawołał Kola.

— Zawiniłem — rzekł książę, podchodząc do Burdowskiego — zawiniłem wobec pana, lecz niech pan wierzy, że nie posyłałem jako jałmużnę. Jestem i poprzednio byłem winny. (Książę był mocno rozstrojony, znużony i blady; plątał się w wyrażeniach). — Wspomniałem o oszustwie... ale nie o panu, omyliłem się. Mówiłem, że pan... tak jak ja... niezdrów. Ale pan nie taki jak ja... pan daje lekcje, pan utrzymuje matkę. Powiedziałem, że pan ją skompromitował, ale pan ją kocha; sama to mówi... ja nie wiedziałem. Gabrjel Ardaljonowicz przedtem mi tego nie powiedział... Winny jestem: ośmieliłem się proponować panu dziesięć tysięcy; nie tak powinienem był postąpić,.. a teraz... nie można, bo pan mną pogardza....

— Ależ to dom warjatów! — zawołała głośno Elżbieta Prokofjewna.

— Istotnie, dom warjatów! — nie wytrzymała i szorstko się odezwała Agłaja. Słowa jej wszakże zagłuszyło ogólne zamieszanie. Wszyscy głośno mówili; jedni się kłócili, inni się śmiali. Jan Teodorowicz Jepanczyn był w najwyższym stopniu oburzony i dotknięty w swojej godności. Siostrzeniec Lebiediewa wtrącił ostatnie słówko:

— Tak, książę, trzeba panu oddać sprawiedliwość, że umie pan zużytkować swoją... słabość (żeby się przyzwoicie wyrazić), tak zręcznie zaofiarował pan przyjaźń swą i pieniądze, że teraz człowiek porządny nie może ich przyjąć. Jest to albo zbyt niewinnie, albo zbyt sprytnie... Pan sam zresztą wie najlepiej...

— Pozwólcie, panowie — krzyknął Gabrjel Ardaljonowicz, otworzywszy tymczasem kopertę z pieniędzmi — tu jest wszystkiego sto rubli, a nie dwieście pięćdziesiąt!

Podnoszę to, książę, dlatego, żeby nie zaszło jakie nieporozumienie.

— Niech pan da spokój — odrzekł książę Gabrjelowi Ardałjonowiczowi, dając znak ręką.

— Nie, wcale nie spokój! — wtrącił siostrzeniec Lebiediewa — krzywdzi nas to pańskie: „Niech pan da spokój", książę. My się nie kryjemy, działamy otwarcie; tu jest rubli sto, nie dwieście pięćdziesiąt, ale czy to nie wszystko jedno...

— Nie jest wszystko jedno — dodał naiwnie Gabrjel.

— Niech mi pan nie przerywa — my nie tacy głupi, jak się panu zdaje, panie adwokacie — zawołał złośliwie siostrzeniec Lebiediewa. — Rozumie się, że sto rubli, to nie dwieście pięćdziesiąt, i że to nie wszystko jedno, ale tu ważniejsza jest zasada: Burdowski nie przyjmuje pańskiej jałmużny, jaśnie oświecony, rzuca ją panu w twarz; i w tem znaczeniu wszystko jedno, czy sto, czy więcej. Burdowski i dziesięciu tysięcy nie przyjął! Nie przyjąłby i sto rubli gdyby był nieuczciwy. Widział pan. Te sto pięćdziesiąt rubli poszły na drogę Czebarowa do księcia. Wyśmiewajcie naszą niezręczność w interesach i bez tego ośmieszacie nas wszelkiemi siłami ,ale nie ośmielajcie się mówić, żeśmy podli. My, łaskawy panie, wszyscy razem oddany księciu te sto pięćdziesiąt rubli; będziemy zwracali choćby po rublu, a oddamy z procentami. Burdowski biedny, nie posiada miljonów, a Czebarow przedłożył rachunek podróży. Myśleliśmy, że wygramy... ktoby inaczej postąpił?

— Aniżeli kto? — krzyknął książę S.

— Ja tu zwarjuję! — zawołała Elżbieta Prokofjewna.

— Przypomina mi to — roześmiał się Eugenjusz Pawłowicz, obserwujący dotąd wszystko w milczeniu — przypomina mi to znakomitą obronę adwokata, który, tłómacząc ubóstwem swego kljenta ,sądzonego za morderstwo sześciu osób naraz dla rabunku, w ten sposób zakończył: „Istotnie— mówił — z biedy przyszło memu kljentowi do głowy, by zamordować tych sześciu ludzi; ale komuż na jego miejscu nie przyszłoby to samo do głowy?" Mamy tu coś podobnego ,tylko coś o wiele zabawniejszego.

— Dosyć! — odezwała się Elżbieta Prokofjewna drżącym z gniewu głosem — czas przerwać ten galimatjas!

Była niezwykle wzburzona; groźnie podniosła głowę i niecierpliwem, przeszywającem spojrzeniem objęła wszystkich dokoła, jakby rozróżniając pomiędzy obecnymi wrogów od przyjaciół. Był to moment długo powstrzymywanego, lecz w końcu wybuchającego gniewu, kiedy głównym wyrazem staje się natychmiastowa walka i bezzwłoczna konieczność wywarcia oburzenia na innych. Znający bliżej Elżbietę Prokofjewnę odczuli, że zachodzi coś niezwykłego. Jan Teodorowicz mówił nazajutrz księciu S., że „bywa tak z nią, ale nie w tym stopniu".

— Dosyć, Janie Teodorowiczu! — zawołała Elżbieta — zostaw mnie w spokoju; naco ty mi teraz rękę podajesz? Nie mogłeś mnie wprzód wyprowadzić, ty mężczyzna i głowa rodziny; należało mnie głupią za uszy chwycić, gdybym nie usłuchała i nie wyszła. Choćby dla córek mogłeś się potrudzić! A teraz bez ciebie drogę znajdziemy, starczy nam wstydu... Poczekajcie, chcę jeszcze księciu podziękować!... Dziękuję ci, książę, za gościnność! A ja sobie zasiadłam, młodych posłuchać... To chaos, obrzydliwość! Co za nikczmność! Tego i we śnie nie ujrzysz! Czyż ich wielu takich? Milcz Agłaja! Milcz Aleksandro! To nie wasza rzecz!... Nie kręć się koło mnie, Eugenjuszu Pawłowiczu, dokuczyłeś mi!... A ty, mileńki — zwróciła się do księcia — prosisz ich o przebaczenie!... A ty czego fanfaroniku raczysz się śmiać? — zapytała siostrzeńca Lebiediewa... — My żądamy kapitału, ale nie prosimy! A któż wie czy ten idjota jutro znów nie wyruszy do nich, by proponować przyjaźń i pieniądze! Pójdziesz? Co? Pójdziesz? Tak, czy nie?

— Pójdę — odrzekł książę cichym głosem.

— Słyszycie! — Niewątpliwie pan na to liczy, panie Doktorenko; teraz pieniądze jakby już w kieszeni; fanfaronujesz tu, by nas otumanić. Nie gołąbku; szukaj sobie innych głupców; ja was nawskroś przejrzałam... Całą waszą grę widzę.

— Elżbieto Prokofjewno! — krzyknął książę.

— Chodźmy stąd, Elżbieto Prokofjewno — spokojnie i z uśmiechem odezwał się książę S. — już na nas czas; a i księcia zabierzemy ze sobą.

Panny stały na uboczu niemal przerażone; jenerał był

również niespokojny; wszyscy wogóle mocno byli zdziwieni. Niektórzy, stojący dalej, uśmiechali się ukradkiem, szepcąc pomiędzy sobą. Twarz Lebiediewa wyrażała najwyższy stopień uniesienia.

— Chaos i rzeczy obrzydliwe trafiają się wszędzie — rzekł zakłopotany siostrzeniec Lebiediewa.

— Ale nie takie! Nie takie, mój panie — opryskliwie, jakby histerycznie odparła Elżbieta Prokofjewna. — Nie takie, jak teraz u was! czy wy mi dacie spokój? — krzyknęła. — Jeśli pan już sam, Eugenjuszu Pawłowiczu, opowiada, że obrońca w sądzie oświadczył, że niema nic naturalniejszego jak zabójstwo sześciu ludzi naskutek biedy, to już chyba koniec świata nadchodzi. Dotąd o tem nie słyszałam. A czy ten jąkała (wskazała Burdowskiego) nie będzie zarzynał? Założę się, że tak! On, dajmy na to, twoich dziesięciu tysięcy nie weźmie i dajmy na to sumiennie ich nie przyjmie, ale w nocy przyjdzie, zarznie i pieniądze sumiennie ze szkatuły zabierze. To dla niego nie jest nieuczciwe! Tfu! co za przewrotność! wszystko do góry nogami. Chowa się w domu panienka; naraz, na środku ulicy, skok do dorożki: „Mamo, wyszłam w tych dniach zamąż za Karolycza lub Iwanycza, bywaj zdrowa!“ Po waszemu, to tak jest dobrze! Istotnie, godne szacunku! Sprawa kobieca. Ten tu oto chłopczyk (wskazując Kolę), i ten już dyskutuje nad sprawą kobiecą“. Jeżeli nawet matką była głupia, traktuj ją jak człowiek!... Czemużeście weszli z podniesionemi głowami? Nie zbliżajcie się, bo my idziemy naprzód.

„Wszelkie prawa dla nas. Ty obchodź się z nami z szacunkiem, a my z tobą gorzej, niż z ostatnim lokajem“. Prawdy szukają ,opierają się na prawie, a sami w artykule poszarpali go jak bisurmani. „Żądamy, nie prosimy i żadnej wdzięczności od nas nie doznacie, bo działacie dla zaspokojenia własnego sumienia“! Co za moralność: wszakże, jeśli nie okażecie się wdzięczni, to i książę może powiedzieć, że nie odczuwa wdzięczności dla Pawliszczewa, który także dla spokoju sumienia działał; tyś zaś właśnie liczył na tę jego wdzięczność dla Pawliszczewa: nie pożyczał przecież od ciebie pieniędzy, nic ci nie jest winien, na cóżeś liczył, jeśli nie na wdzięczność? Dlaczego więc sam się od niej uchy-

lasz? Warjaci! Uważają, że społeczeństwo jest dzikie, nieludzkie, gdy piętnuje uwiedzioną dziewczynę. Jeżeli uznajesz społeczeństwo za nieludzkie, uznajesz ,że ono dziewczynę krzywdzi. A jeśli ją to boli, w jakim celu sam opisujesz ją w gazetach przed tem społeczeństwem i chcesz, żeby ją to nie bolało. Próżniaki! W Boga i w Chrystusa nie wierzą! Ta próżność i pycha doprowadzi was do tego, że się wzajemnie pozagryzacie; ja wam to powiadam. I czy to nie głupstwo, nie chaos, nie obrzydliwość? A po tem wszystkiem, ten bezwstydnik jeszcze prosi o przebaczenie! Czy wielu was takich? Czego się uśmiechasz? Nie uśmiechaj się do mnie (zwróciła się do Hipolita) ty smarkaczu; sam ledwie dyszy, a drugich gorszy. Tyś mi tego chłopca zepsuł (wskazała na Kolę); on przez ciebie bredzi; ateizmu go uczysz, w Boga nie wierzysz, a mógłbyś jeszcze w skórę brać! Tfu z wami! Więc pójdziesz książę Leonie Mikołajewiczu jutro do nich? Pójdziesz? — zapytała niemal zadyszana.

— Pójdę.

— To potem znać ciebie nie będę! — Wstała szybko, by wyjść z pokoju, lecz nagle znów powróciła, i wskazując Hipolita, zapytała. — Czy i do tego ateusza też pójdziesz? Czego ty się uśmiechasz! — zawołała nienaturalnie i rzuciła się w stronę Hipolita, nie mogąc znieść jego zjadliwego uśmiechu.

— Elżbieto Prokofjewno ,Elżbieto Prokofjewno! — dało się słyszeć ze wszystkich stron.

— Wstydź się mamo! — zawołała Agłaja.

— Niech się pani nie niepokoi, Agłaja Iwanowno — spokojnie odezwał się Hipolit, którego Elżbieta Prokofjewna chwyciła za rękę i stojąc przed nim, wpiła w niego wściekłe spojrzenie — niech się pani uspokoi, mama pani opamięta się, iż nie należy napadać na umierającego człowieka... Ja gotów jestem śmiech mój usprawiedliwić... rad będę z pozwolenia....

Nagle napadł go silny kaszel, którego czas jakiś nie mógł uśmierzyć.

— Ledwie, że nie umiera, a bawi się w oratora! — zawołała Elżbieta Prokofjewna, puszczając jego rękę i z przestrachem niemal patrząc, jak zakrwawioną chustkę od ust

odejmował. Nie tobie brać się do rozmów. Poprostu powinieneś się położyć...

— Tak się też i stanie — odrzekł Hipolit cichutko, prawie szeptem — zaraz powrócę i pójdę do łóżka... a za dwa tygodnie, wiem, że umrę... Mówił to sam B. przed tygodniem. Jeśli więc pozwolicie, to parę słów powiem na pożegnanie.

— Czyś rozum postradał, czy co?! Co za głupstwo! Leczyć się trzeba, a nie rozprawiać. Idź, idź, połóż się! — krzyknęła przerażona Elżbieta Prokofjewna.

— Położę się i już do samej śmierci nie wstanę — z uśmiechem odrzekł Hipolit. — Wczoraj już na dobre położyć się miałem, lecz odłożyłem to do jutra, żeby... gdy nogi noszą jeszcze... przyjść tu z nimi... ale teraz, bardzom już osłabł...

— To siadaj, siadaj, czego stoisz! Masz krzesło — zawołała Elżbieta Prokofjewna, sama podając mu krzesło.

— Dziękuję pani — cicho przemówił Hipolit — ale niech pani usiądzie naprzeciw mnie, to pomówimy... koniecznie pomówić musimy, Elżbieto Prokofjewno, teraz już od tego nie odstąpię — uśmiechnął się znów do niej. — Niech pani pomyśli, że ja dziś po raz ostatni jestem na świeżem powietrzu i z ludźmi, a za dwa tygodnie będę pod ziemią. Będzie to zatem rodzaj pożegnania i z ludźmi i z przyrodą. Nie jestem czułostkowy, lecz bardzo jestem rad, że się to dzieje w Pawłowsku, zawsze tu choć na zielone liście drzew patrzę.

— Cóż to znów teraz za rozmowa? — wpadała w coraz większą obawę Elżbieta Prokofjewna — masz przecież gorączkę. Przedtem piszczałeś i szeptałeś, a teraz ledwie dyszysz.

— Zaraz odetchnę. I dlaczego chce pani odmówić mojej ostatniej prośbie? A wie pani, że już dawno marzyłem o tem, żeby się gdzieś jakoś zejść z panią, Elżbieto Prokofjewno; dużo o pani słyszałem... od Koli; wszakże on jeden mnie nie opuszcza... Z pani oryginalna kobieta, ekscentryczna kobieta, sam to widzę... a czy pani wie, że ja panią nawet trochę lubiłem.

— Boże, a ja o mało go nie uderzyłam.

— Powstrzymała panią Agłaja Iwanowna; przecież nie mylę się? Wszakże to pani córka? Ona taka piękna, że ja z pierwszego wejrzenia domyśliłem się, choć nigdy jej nie widziałem. Pozwólcie mi po raz ostatni w życiu popatrzeć na tę piękność — uśmiechnął się Hipolit jakimś niezręcznym, przymuszonym uśmiechem.

— Krzesło! — zawołała Elżbieta Prokofjewna, lecz sama je wzięła i usiadła naprzeciwko Hipolita.

— Kola — rozkazała — pójdziesz z nim zaraz i odprowadzisz go do domu; ja jutro sama niezawodnie...

— Jeśli pani pozwoli, to poproszę księcia o filiżankę herbaty... Osłabłem bardzo. Wie pani co, Elżbieto Prokofjewno, pani ,zdaje się, chciała zabrać księcia do siebie na herbatę; zostańcie tutaj, spędzimy czas razem, a książę nas pewnie wszystkich poczęstuje. Przebaczcie, że się tak rozporządzam.... Ale znam przecież panią; pani jest tak dobra, a książę także... myśmy wszyscy aż śmiesznie dobrzy ludzie...

Książę się poruszył, Lebiediew wybiegł pędem z izby, a Wiara podążyła za nim.

— I prawda — ostro zadecydowała jenerałowa — mów tylko cicho i nie unoś się; rozczuliłeś mnie... Książę! nie dbasz o to, abym u ciebie piła herbatę, a ja i tak zostaję, choć nikogo nie proszę o przebaczenie! Nikogo! Głupstwo! Zresztą, jeżeli cię uraziłam, książę, to wybacz, jeżeli wogóle chcesz. Ja zresztą nikogo nie zatrzymuję — zwróciła się nagle z wyrazem niezwykłego gniewu do męża i córek, tak jakby oni czemkolwiek bardzo wobec niej zawinili. — Ja i sama trafię do domu...

Nie dali jej mówić; wszyscy podeszli i z gotowością ją otoczyli. Książę poprosił, by wszyscy zostali na herbacie i przepraszał, że mu to do tej chwili nie przyszło na myśl. Nawet jenerał okazał się tak miły, że wybąkał uprzejme zapytanie do Elżbiety Prokofjewny „czy jej nie za chłodno na tarasie?“ Omal, że nie zapytał Hipolita „jak dawno jest na uniwersytecie“, ale nie zapytał. Eugenjusz Pawłowicz i książę S. stali się obydwaj uprzejmi i weseli, a na twarzach Adelajdy i Aleksandry przebijało się poprzez ciągle trwające zdziwienie pewne zadowolenie; jednem słowem, wszyscy byli najwyraźniej radzi, że już minął kryzys z Elżbietą Pro-

kofjewną. Jedna tylko Agłaja była zachmurzona i w milczeniu usiadła zdala od wszystkich. Całe towarzystwo pozostało; nikt nie chciał wyjść, nawet jenerał Iwołgin, któremu szepnął coś do ucha mimochodem Lebiediew i prawdopodobnie coś niebardzo przyjemnego, gdyż jenerał zamilkł i usunął się w sam kąt tarasu. Książę podszedł do Burdowskiego i jego bliższych towarzyszów, bo nikogo w zaproszeniu nie chciał pominąć. Bąknęli z wydłużonemi twarzami, że poczekają na Hipolita i cofnęli się pod ściany tarasu, gdzie rzędem zasiedli. Prawdopodobnie herbata była już dawno przygotowana przez Lebiediewa, gdyż zaraz się z nią zjawił.

Wybiła godzina jedenasta.

XXVI

Hipolit zwilżył usta herbatą, podaną mu przez Wiarę Lebiediew, postawił filiżankę na stole i nagle wyraźnie zmieszany, niemal strwożony, rozejrzał się dokoła.

— Niech pani patrzy, Elżbieto Prokofjewno, — filiżanki te — pośpiesznie zaczął mówić — filiżanki te, jak się zdaje, z doskonałej porcelany, stoją zawsze u Lebiediewa pod szkłem, zamknięte w szafce, nie są nigdy używane... to, jak mówią, posag jego żony... oni tak mówią... a oto je nam podał, dla uczczenia pani, oczywiście, tak się ucieszył...

Chciał jeszcze coś dodać, ale słów mu zabrakło.

— Zmieszał się jednak, spodziewałem się tego — szepnął Eugenjusz Pawłowicz księciu na ucho. — Przecież to nawet niebezpieczne, czy nie tak? Ale to znak, że teraz wystąpi z takiem jakiemś dziwactwem, że, nie daj Boże, sama Elżbieta Prokofjewna nie wytrzyma.

Książę badawczo spojrzał na niego.

— Pan się nie boi dziwactw? — dodał Eugenjusz Pawłowicz. — Ja również, a nawet życzę sobie tego; chodziłoby mi o to, żeby nasza miła Elżbieta Prokofjewna została ukarana i to koniecznie dzisiaj, zaraz, bez tego się stąd nie ruszę. Pan, zdaje się, ma gorączkę.

— O tem, potem, niech pan nie przeszkadza. Tak, nie-

zdrów jestem — z roztargnieniem, a nawet z niecierpliwością odpowiedział książę.

Usłyszał bowiem swoje nazwisko, mówił o nim Hipolit.

— Pani nie wierzy? — śmiał się histerycznie Hipolit. — Tak być powinno, a książę odrazu uwierzy i wcale się nie zdziwi.

— Słyszysz, książę? — zwróciła się do niego Elżbieta Prokofjewna, — słyszysz?

Dokoła śmiali się. Lebiediew niespokojnie wysuwał się naprzód i kręcił się przed samą Elżbietą Prokofjewną.

— On mówi, że ten twój gospodarz... poprawiał artykuł, który o tobie dopiero co odczytywali.

Książę spojrzał ze zdziwieniem na Lebiediewa.

— Czemuż ty milczysz? — tupnęła nawet nogą Elżbieta Prokofjewna.

— Cóż, — mruknął książę, nie przestając patrzeć na Lebiediewa, — już widzę, że poprawiał.

— Czy to prawda? — zwróciła się ostro Elżbieta Prokofjewna do Lebiediewa.

— Najświętsza prawda, ekscelencjo — odpowiedział Lebiediew twardo i bez wahania, przykładając rękę do serca.

— Jakgdyby się szczycił! — skoczyła niemal na krześle.

— Podły jestem, podły, — bąknął Lebiediew, bijąc się w piersi i coraz niżej opuszczając głowę.

— A cóż mnie to obchodzi, żeś ty podły! Myśli, że gdy powie: podły jestem, to już wszystko skończone. I czy ci, książę ,nie wstyd obcować z takimi ludźmi, raz cię jeszcze o to pytam. Nigdy ci tego nie daruję.

— Mnie książę daruje! — rzekł Lebiediew z przekonaniem i ze wzruszeniem.

— Jedynie ze szlachetności, — przemówił nagle głośno Keller, zwracając się wprost do Elżbiety Prokofjewny. — Jedynie ze szlachetności, łaskawa pani, i żeby nie wydać skompromitowanego przyjaciela, przemilczałem przedtem o poprawkach, pomimo, że radził zrzucić nas ze schodów ,jak to pani sama słyszała. W celu stwierdzenia prawdy przyznaję, że istotnie zwróciłem się do niego, nie dla stylu, a jedynie dla poznania faktów, przeważnie mi nieznа-

nych, jako do osoby świadomej rzeczy. Sprawa sztylp, sprawa apetytu u szwajcarskiego profesora, sprawa pięćdziesięciu rubli, zamiast dwustupięćdziesięciu, jednem słowem, całe ugrupowanie, wszystko to jego, za opłatą sześciu rubli, stylu jednak nie poprawiał.

— Muszę zaznaczyć — z gorączkowem zniecierpliwieniem i jakimś płaszczącym się głosem przerwał mu Lebiediew, przy coraz bardziej szerzącym się śmiechu — że poprawiałem mu jedną tylko, pierwszą połowę artykułu, ale ponieważ w samym środku artykułu nie zgodziliśmy się i o pewną myśl poróżniliśmy się, drugiej połowy już nie poprawiałem tak, że wszystko to, co tam jest nieumiejętnie napisane (a jest tam tego dużo!), tego już mnie proszę nie przypisywać...

— Oto ,czem on się zajmuje! — zawołała Elżbieta Prokofjewna.

— Pozwoli pan, że zapytam — zwrócił się Eugenjusz Pawłowicz do Kellera — kiedy miało miejsce poprawianie artykułu?

— Wczoraj rano wyrecytował Keller — spotkaliśmy się i daliśmy sobie słowo honoru wzajemnego dochowania tajemnicy.

— I to wtedy ,gdy czołgał się przed tobą i zapewniał cię o przywiązaniu. Słyszał kto co podobnego? Nie potrzebuję twego Puszkina i niech twoja córka do mnie nie przychodzi!

Elżbieta Prokofjewna chciała wstać, lecz nagle zwróciła się rozdrażniona do śmiejącego się Hipolita:

— Cóż ty, mój drogi, chcesz mnie tu na śmiech wystawić?

— Niech Bóg broni — uśmiechnął się Hipolit — mnie tylko najwięcej ze wszystkiego zdumiewa pani ekscentryczność, Elżbieto Prokofjewno; przyznam się, że umyślnie naprowadziłem na Lebiedewa, wiedziałem, jak to na panią podziała, na panią jedną tylko, gdyż książę istotnie wybaczy i z pewnością już wybaczył... może nawet sobie przebaczenie to wyrozumował, wszak prawda, książę?

Dusił się, podniecenie jego potęgowało się z każdą chwilą.

— A więc?! — odezwała się ze złością Elżbieta Prokofjewna, coraz bardziej zdziwiona jego tonem. — Więc?!..

— Dużo już rzeczy w podobnym rodzaju słyszałem o pani... i z wielką radością... nauczyłem się panią cenić wysoko — mówił dalej Hipolit.

Mówił pewne rzeczy w ten sposób, jakgdyby temi samemi słowami chciał wyrazić zupełnie co innego. Mówił z odcieniem szyderstwa ,a jednocześnie niezmiernie się podniecał, rozglądając się podejrzliwie, plątał się niewątpliwie i przy każdym wyrazie tracił wątek, tak, że wszystko to, łącznie z jego suchotniczym wyglądem i z dziwnem migotliwem i jakby nieprzytomnym spojrzeniem, z konieczności przyciągało ogólną uwagę.

— Dziwi mnie przytem, tak, jak nie znam świata (przyznaję się do tego), że nietylko pani sama pozostała w towarzystwie naszej paczki, zupełnie dla pani niewłaściwem, lecz pozwoliła pani również panienkom słuchać sprawy skandalicznej, choć one o takich czytały już w romansach. Może ja zresztą nie wiem... gdyż sam już plączę, lecz w każdym razie któż, prócz pani mógłby tu pozostać... na prośbę chłopaka (no tak, chłopaka, przyznaję to, przyznaję), spędzić z nim wieczór i wziąć... we wszystkiem udział i... przytem, że na drugi dzień będzie się pani tego wstydziła... (zresztą, wiem dobrze, że się źle wyrażam), ja wszystko to nadzwyczaj pochwalam i wysoko cenię, chociaż już po twarzy jgo ekscelencji, małżonka pani, widzę, jakie mu to jest niemiłe... Hi-hi! — roześmiał się, zupełnie już zmieszany i znów tak się zakaszlał, że przez parę minut nie mógł mówić.

— Nawet zabrakło mu tchu — chłodno i szorstko rzekła Elżbieta Prokofjewna, przyglądając mu się z surową ciekawością. — No, chłopaczku, dosyć tego dobrego. Czas już na ciebie!

— Niechże i pan mnie pozwoli, mój łaskawy panie, zwrócić uwagę — odezwał się nagle z rozdrażnieniem Jan Teodorowicz, tracąc doreszty cierpliwość — że żona moja bawi tu u księcia Lwa Mikołajewicza ,naszego wspólnego przyjaciela i sąsiada i że w każdym razie nie pańską, młodzieńcze, jest rzeczą, sądzić postępowanie Elżbiety Proko-

fjewny, jak również mówić mi głośno i w oczy, co pan czyta na mojej twarzy. Tak, mój panie. A jeżeli żona moja tu pozostała — mówił dalej, rozdrażniając się za każdem słowem coraz więcej — to raczej, mój panie, ze zdumienia i ze zrozumiałej dla każdego ciekawości popatrzenia na dziwnych młodych ludzi. Ja sam pozostałem, tak, jak niekiedy zatrzymuję się na ulicy, gdy widzę coś takiego, na co można spojrzeć, jak... jak... jak...

— Jak na osobliwość — podpowiedział Eugenjusz Pawłowicz.

— Wybornie i dokładnie — ucieszył się jego ekscelencja, zaplątawszy się nieco w porównaniu — właśnie, jak na osobliwość. Lecz w każdym razie, co mnie najbardziej dziwi i rozgorycza, to że pan i tego nawet nie zdołał pojąć, iż Elżbieta Prokofjewna dlatego tu z panem teraz pozostała, że pan jest chory — jeżeli tylko pan istotnie jest umierający — a zatem, że tak powiem, ze współczucia, wskutek pańskich żałośliwych słów, mój panie i że żaden brud, w żadnym przypadku, nie może dotknąć jej imienia, jej zalet i znaczenia.... Elżbieto Prokofjewno — zakończył zaczerwieniony jenerał — jeżeli chcesz już iść, pożegnajmy się z naszym kochanym księciem i...

— Dziękuję panu jenerałowi za naukę — poważnie i w sposób nieoczekiwany przerwał Hipolit ,patrząc na jenerała w zamyśleniu.

— Chodźmy, maman, długo to jeszcze będzie trwało? — odezwała się niecierpliwie i z gniewem Agłaja, wstając z krzesła.

— Jeszcze dwie minutki, drogi Janie Teodorowiczu, jeśli pozwolisz — zwróciła się z godnością do swego małżonka Elżbieta Prokofjewna. — Zdaje się, że on ma gorączkę i wprost bredzi; przekonana jestem o tem, sądząc po jego oczach; nie można go tak zostawić. Lwie Mikołajewiczu! Czy mógłby on u ciebie przenocować, żeby go już dziś nie wozić do Petersburga? Cher prince, nie nudzi się pan? — zwróciła się nagle ni stąd ni zowąd do księcia S. — Chodź tutaj, Aleksandro, popraw sobie włosy, moje dziecko.

Poprawiła jej włosy, których nie potrzeba było poprawiać i pocałowała ją: poto ją tylko wezwała.

— Uważałem panią za zdolną do rozwoju.... — odezwał się znów Hipolit ,wychodząc ze swej zadumy. — Tak! To właśnie chciałem powiedzieć — ucieszył się, jakgdyby sobie to nagle przypomniał. — Oto Burdowski szczerze pragnie obronić swoją matkę, nieprawdaż? A wychodzi na to, że ją bezcześci. Oto książę chce dopomóc Burdowskiemu, czystem sercem ofiarowuje mu serdeczną przyjaźń i pieniądze i, być może, on jeden z pośród nas wszystkich nie czuje do niego wstrętu, a oto stoją przed sobą, jak dwaj wrogowie... Cha... cha—cha! Nienawidzicie wszyscy Burdowskiego za to, że on podług was, nieładnie i niewytwornie odnosi się do swej matki, nieprawdaż? Czy tak? Tak? Przecież wy wszyscy strasznie lubicie piękno i wytworność form, o nie tylko dbacie, nieprawdaż? (Dawno już podejrzewałem, że tylko o nie dbacie!). No, to wiedzcie o tem, że nikt może wśród was nie kochał tak swej matki, jak Burdowski! Książę, wiem o tem, że posłał pan pokryjomu, przez Ganieczkę, pieniądze matce Burdowskiego, a założę się (chi — chi — chi! — znów histerycznie się roześmiał), założę się, że Burdowski oskarży pana teraz o niedelikatność form i brak szacunku dla jego matki, słowo daję, cha—cha—cha!

I znów się zadyszał i rozkaszlał.

— No i czy wszystko już? Jużeś wszystko, wszystko powiedział? No, to idź teraz spać, masz gorączkę — przerwała mu niecierpliwie Elżbieta Prokofjewna, nie odrywając od niego niespokojnego wzroku.

— Ach, Boże! On znów mówi!

— Zdaje mi się, że pan się śmieje? Dlaczego pan się ciągle ze mnie śmieje? Zauważyłem, że pan się ciągle ze mnie śmieje — niespokojnie i z rozdrażnieniem zwrócił się nagle do Eugenjusza Pawłowicza.

Śmiał się istotnie.

— Chciałem tylko zapytać, panie... Hipolicie... przepraszam, zapomniałem pańskiego nazwiska.

— Pan Terentjew — rzekł książę.

— Tak, Terentjew, dziękuję księciu, mówiono niedawno, lecz wyszło mi z pamięci... Chciałem pana zapytać, panie Terentjew, czy to prawda, co słyszałem, że pan jest zdania, iż wystarczyłoby panu przez kwadrans przemawiać przez

okno do ludu i że ten natychmiast we wszystkiem się z panem zgodzi i zaraz za panem pójdzie?

— Bardzo być może, iż tak mówiłem... — odpowiedział Hipolit, jakgdyby sobie coś przypominał. — Z pewnością mówiłem! — dodał nagle, znów się ożywiając, patrząc nieustępliwie na Eugenjusza Pawłowicza. — Więc cóż z tego?

— Nic zupełnie; potrzebne mi to było do wiadomości, dla uzupełnienia.

Eugenjusz Pawłowicz umilkł, lecz Hipolit dalej uparcie na niego patrzał w niecierpliwem oczekiwaniu.

— No cóż, już pan skończył? — zwróciła się Elżbieta Prokofjewna do Eugenjusza Pawłowicza.

— Kończ pan prędzej, czas, aby już szedł spać. A może nie umiesz?

Strasznie była rozgniewana.

— Cóż, nic nie mam przeciwko temu, żeby dodać — uśmiechnąwszy się, mówił dalej Eugenjusz Pawłowicz — że wszystko to, czego wysłuchałem od pańskich towarzyszów, panie Terentjew, i to, co pan dopiero co oświadczył z takim niewątpliwym talentem ,sprowadza się, według mnie, do teorji triumfu prawa przedewszystkiem i pomimo wszystko i z wyłączeniem wszystkiego innego i nawet, może, przed stwierdzeniem na czem to prawo polega? Może się mylę?

— Z pewnością pan się myli, nawet pana nie rozumiem... Cóż dalej?

W kącie również rozległo się szemranie. Siostrzeniec Lebiediewa bąknął coś półgłosem.

— Właściwie nic dalej — mówił dalej Eugenjusz Pawłowicz — chciałem tylko zaznaczyć, że stąd łatwo rzecz sprowadzić do prawa siły, to jest do prawa poszczególnego kułaka i osobistych zachcianek, jak to zresztą nieraz kończyło się na świecie. Czy Prudhon nie zatrzymał się na prawie siły? Podczas wojny amerykańskiej wielu z najwybitniejszych liberałów wypowiedziało się na rzecz plantatorów, wychodząc z założenia, że murzyni to są murzyni, stoją niżej, niż białem plemiona, a więc prawo siły jest za białymi...

— A zatem?

— Czyli, że pan nie zaprzecza prawa siły?

— Co dalej?

— Jaki pan konsekwentny; chciałem tylko zauważyć, że od prawa siły do prawa tygrysów i krokodyli i nawet do Daniłowa i Gorskiego droga niedaleka.

— Nie wiem, a cóż dalej?

Hipolit ledwo słuchał Eugenjusza Pawłowicza, i jeżeli mówił do niego no i co dalej, to raczej wskutek dawnego swego w rozmowach przyzwyczajenia, lecz nie z uwagą i z ciekawości.

— Nic więcej... to wszystko.

Ja się zresztą na pana nie gniewam — zupełnie niespodzianie dodał nagle Hipolit, i, ledwo sobie z tego zdając sprawę, wyciągnął rękę, nawet z uśmiechem.

Eugenjusz Pawłowicz z początku się zdziwił, lecz z najpoważniejszą w świecie twarzą dotknął wyciągniętej ręki, jakgdyby przyjmował przebaczenie.

— Nie mogę nie dodać — rzekł tym wątpliwej powagi tonem — mojej dla pana wdzięczności za uwagę, z jaką pozwolił mi pan mówić, gdyż, według moich licznych spostrzeżeń, liberali nasi nie są w stanie dopuścić, aby ktokolwiek bądź miał swoje własne przekonanie i bezzwłocznie odpowiadają swemu przeciwnikowi grubjaństwem, jeżeli nie czemś gorszem.

— Ma pan zupełną słuszność — zauważył jenerał Jan Teodorowicz i założywszy ręce w tył, skierował się ku wyjściu z jaknajbardziej znudzonym wyrazem twarzy.

— No, dosyć tego dobrego — oświadczyła nagle Eugenjuszowi Pawłowiczowi Elżbieta Prokofjewna. — Dokuczył mi już pan...

— Już czas! — zafrasowany i niemal ze strachem podniósł się nagle Hipolit, patrząc, zmieszany, dokoła.— Zatrzymałem państwa; chciałem wszystko wam wypowiedzieć... myślałem, że wszyscy... po raz ostatni... była to fantazja...

Widać było, że się chwilami ożywiał, z prawdziwej nieomal maligny wychodził nagle, na kilka chwil, zupełnie przytomnie coś sobie nagle przypominał i mówił, po większej części urywanemi zdaniami, rzeczy dawno już może wyuczone i przemyślane w długie, nudne godziny choroby, na łożu boleści, w osamotnieniu, i podczas bezsennych nocy.

— No, żegnam was! — odezwał się nagle ostro. — Czy myślicie ,że mi jest łatwo powiedzieć: żegnam was? Cha—cha! — nieprzyjemnie się sam uśmiechnął ze swego *niezręcznego* pytania i jakgdyby rozgniewany, że mu się ciągle nie udaje powiedzieć tego, co chce, głośno i z rozdrażnieniem zawołał: — Ekscelencjo! Mam zaszczyt prosić pana na swój pogrzeb, jeżeli tylko zechce mi pan uczynić ten zaszczyt i... wszyscy, państwo, przyjdźcie wraz z jenerałem!....

Znów się roześmiał; lecz był to już śmiech warjata. Elżbieta Prokofjewna rzuciła się nagle ku niemu i schwyciła go za rękę. Patrzał na nią uważnie, z tym samym ciągle śmiechem, lecz który się już nie rozlegał, ale jakby zatrzymał się i zastygł na jego twarzy.

— Wiecie, że dlatego tu przyjechałem, żeby widzieć drzewa? Te tutaj... (wskazał na drzewa w parku), czy to nie zabawne?... Przecież w tem niema nic śmiesznego? — zapytał z całą powagą Elżbiety Prokofjewny i nagle się zamyślił; następnie, po chwili podniósł głowę i z ciekawością zaczął kogoś szukać w tłumie. Szukał Eugenjusza Pawłowicza, który stał bardzo blisko, z prawej strony ,na tem samem miejscu, co poprzednio — lecz on już o tem zapomniał i szukał dokoła. — A, pan nie wyszedł! — znalazł go nareszcie, pan się dopiero co śmiał ,że ja chciałem przez kwadrans mówić przez okno... A czy pan wie, że ja nie mam ośmastu lat: ja tyle przeleżałem na tej poduszce i tyle się napatrzyłem przez to okno i tyle przemyślałem... o wszystkich... że... Nieboszczyk nie ma lat, wie pan... Przyszło mi to na myśl jeszcze w zeszłym tygodniu, gdy się w nocy przebudziłem... A wie pan, czego się pan najwięcej obawia? Boi się pan naszej szczerości, choć pan nami pogardza! Elżbieto Prokofjewno, pani myśli, że ja chciałem się przedtem wyśmiewać? Nie ,nie śmiałem się z pani, chciałem pani tylko wyrazić uznanie... Mówił mi Kola, że książę nazwał panią dzieckiem... to dobrze... Ale cóż to ja jeszcze... chciałem powiedzieć... — Zakrył twarz rękoma i zamyślił się. — Aha: gdyście się przedtem żegnali, pomyślałem nagle: oto ci ludzie są i nigdy już ich więcej nie będzie, nigdy! Również i drzewa, — jedna tylko zostanie ta ściana ceglana, czerwona, z Mejerowego domu... wprost mojego okna... no powiedz im o tem wsz yst-

kiem... spróbuj, powiedz; oto ślicznota... przecież ty jesteś nieboszczyk, przedstaw się jako trup, powiedz, że „nieboszczykowi wszystko mówić wolno“... i że księżna Marja Aleksiejewna nie zabroni, cha, cha! Nie śmiejecie się? — rozejrzał się dokoła podejrzliwie. — A wiecie, mnie na poduszce wiele myśli do głowy przychodziło... wiecie, przekonałem się, że przyroda jest szydercza... Mówiliście przedtem, że jestem ateuszem, a wiecie, że ta przyroda... I czegoż wy się znów śmiejecie? Strasznie jesteście okrutni! — powiedział nagle z oburzeniem, pełnem goryczy, wszystkim się przyglądając. — Ja nie gorszyłem Koli — zakończył w innym zupełnie tonie, poważnym i pełnym przekonania, jakgdyby też nagle sobie przypomniał...

— Nikt, nikt się tutaj z ciebie nie śmieje, uspokój się! — męczyła się niemal Elżbieta Prokofjewna. — Przyjdzie jutro inny lekarz; ten się omylił; ależ siadaj, na nogach się przecież nie trzymasz! Głupstwa gadasz... Ach, co tu z nim robić! — troszczyła się, sadzając go na krześle...

Na twarzy jej błysnęła łezka.

Hipolit przystanął, jak zdrętwiały, podniósł rękę trwożliwie ją wyciągnął i dotknął małej łzy. Uśmiechnął się dziecinnym jakimś uśmiechem.

— Ja... panią — przemówił radośnie, — pani nie wie, jak ja panią... on z takim zachwytem mówił mi zawsze o pani, on, Kola... lubię jego zachwyt. Ja jego nie psułem! Zostawiam go w spokoju... wszystkich chciałem pozostawić w spokoju, wszystkich — lecz ich nie było... Chciałem być działaczem, miałem do tego prawo... O, ileż ja rzeczy chciałem! Teraz niczego nie chcę, nic nie chcę chcieć, dałem sobie słowo, żeby już niczego nie chcieć; niechaj szukają, niech beze mnie szukają prawdy! Tak, przyroda jest urągliwa! Dlaczego ona — odezwał się nagle z uniesieniem — dlaczego ona stwarza jaknajdoskonalsze istoty poto, by potem z nich szydzić? Zrobiła tak, że jedyna istota, którą na ziemi uznano za doskonałość... zrobiła tak, że pokazawszy ją ludziom, kazała jej powiedzieć to, za co przelało się tyle krwi, że gdyby jednocześnie się przelała, ludzie napewnoby się zadławili! O, dobrze, że ja umieram! Jabym też mógł wypowiedzieć jakieś takie straszne kłamstwo, przyroda by oszukała!... Ja

nikogo nie gorszyłem... Chciałem żyć dla szczęścia wszystkich ludzi, dla odnalezienia i ogłoszenia prawdy... Patrzałem przez okno na Mejerową ścianę i chciałem przemawiać tylko przez kwadrans, i wszystkich, wszystkich przekonać, a raz w życiu spotkałem się... z wami, jeśli już nie z ludem! i cóż z tego wyszło? Nic! To, że mną pogardzacie! A zatem jestem głupcem, a zatem jestem niepotrzebny, a zatem już czas! I nic po sobie nie potrafiłem zostawić! Ani dźwięku, ani śladu, ani jednego czynu, nie rozpowszechniłem ani jednego poglądu!... Nie śmiejcie się z szaleńca! Zapomnijcie! Zapomnijcie o wszystkiem... proszę was, zapomnijcie, nie bądźcie tak okrutni! Czy wiecie, że gdyby nie przyszły te suchoty, sam palnąłbym sobie w łeb...

Zdawało się, że dużo jeszcze ma do powiedzenia, lecz nie dopowiedział, upadł na krzesło, zakrył twarz rękami i zapłakał, jak maleńkie dziecko.

— No, i co tu teraz z nim robić! — zawołała Elżbieta Prokofjewna, podskoczyła do niego, schwyciła jego głowę i gorąco, z całej siły przytuliła ją do piersi. Szlochał konwulsyjnie. — No-no-no! No, nie płacz, no już dosyć, dobry z ciebie chłopiec. Bóg ci wybaczy, dla twojej nieświadomości; no, dosyć ,bądź mężny... Bo będzie ci wstyd...

— Mam, — mówił Hipolit, starając się podnieść głowę, — mam brata i siostry, dzieci maleńkie, biedne, niewinne... O n a je zepsuje! Pani jest święta, pani... sama jak dziecko — niech je pani ratuje! Niech je pani wybawi od tej... ona... wstyd... O, niech im pani pomoże, niech pani pomoże, Bóg to stokrotnie pani zapłaci, na miłość Boską, na rany Chrystusowe!...

— Mówże nakoniec, Janie Teodorowiczu, co teraz robić! — krzyknęła rozdrażniona Elżbieta Prokofjewna. — Zrób mi tę łaskę,, przerwij swe majestatyczne milczenie! Jeśli nic nie postanowisz, wiedz o tem, że sama tu na noc zostanę; dosyć już swoją władzą tyranizowałeś mnie!

Elżbieta Prokofjewna pytała z gniewem i z uniesieniem i oczekiwała bezzwłocznej odpowiedzi. Lecz w podobnych wypadkach, po większej części, obecni, chociaż nawet jest i dużo, odpowiadają milczeniem i biernem zaciekawieniem, nie chcąc brać na siebie odpowiedzialności i dopiero znacz-

nie później wypowiadają swe myśli. Wśród obecnych byli i tacy, którzy gotowi byli przesiedzieć tu choćby do rana, nie wymówiwszy ani jednego słowa, naprzykład Barbara Ardałjonówna, siedząca opodal przez cały wieczór, w milczeniu i która przez cały czas przysłuchiwała się z niezwykłem zaciekawieniem, a może i miała w tem jakieś osobiste przyczyny.

— Podług mnie, moja droga, — odezwał się jenerał, — potrzebniejsza tu teraz, że tak powiem, pielęgniarka, niż nasze wzruszenie i raczej jakiś przyzwoity, przytomny człowiek na noc. W każdym razie trzeba poprosić księcia i... natychmiast dać spokój. A jutro znów można będzie wziąć udział...

— Dochodzi dwunasta, jedziemy. Czy on jedzie z nami, czy zostaje u księcia? — rozdrażniony i z gniewem zwrócił się do księcia Doktorenko.

— Jeśli pan chce — niech i pan przy nim zostanie, — rzekł książę, — miejsce się znajdzie.

— Ekscelencjo, — niespodziewanie i uroczyście podskoczył do jenerała pan Keller, — jeśli potrzebny ktoś odpowiedni na noc, gotów jestem poświęcić się dla przyjaciela... to taka dusza! Ja już oddawna, ekscelencjo, uważam go za wielkiego człowieka! Ja, oczywiście, nie mam wykształcenia, lecz, jeśli on mnie gani, to przecież perły się sypią, perły, ekscelencjo!...

Jenerał odwrócił się z rozpaczą.

— Bardzo się cieszę, jeśli on tu zostanie, ma się rozumieć, trudno mu jechać, — oświadczył książę na drażliwe pytania Elżbiety Prokofjewny.

— Cóż to, czy ty śpisz? Jeśli nie chcesz, mój drogi, to ja go zabiorę do siebie! Boże drogi, przecież on sam ledwo na nogach się trzyma. Cóż to, chory jesteś?

Poprzednio, Elżbieta Prokofjewna, nie widząc księcia na łożu boleści, istotnie mocno przesadziła zadawalający stan jego zdrowia, opierając się na powierzchownym wyglądzie, jednakże niedawna choroba, ciężkie wspomnienia o tem, co ją wywołało, zmęczenie obecnym wieczorem, przypadek z „synem Pawliszczewa“, zajście z Hipolitem — wszystko to istotnie rozdrażniło chorobliwą drażliwość księcia i dopro-

wadziło go niemal do stanu gorączkowego. Lecz poza tem w oczach jego znać było inne jeszcze zakłopotanie, a nawet lęk; z przerażeniem patrzał na Hipolita, jakgdyby jeszcze się czegoś od niego spodziewając.

Nagle zerwał się Hipolit, przerażający blady i z wyrazem strasznego, dochodzącego do rozpaczy wstydu na zmienionej twarzy. Objawiało się to głównie w jego wzroku, nienawistnie i lękliwie patrzącym na zebranych, i w niewyraźnym, błagającym na wykrzywionych, drżących ustach uśmiechu. Natychmiast opuścił oczy i skierował się, chwiejąc na nogach i ciągle się uśmiechając, w stronę Burdowskiego i Doktorenki, którzy stali przy wyjściu z tarasu; wyjeżdżał z nimi.

— Tego się właśnie obawiałem! — zawołał książę. — Można się było tego spodziewać.

Hipolit szybko odwrócił się do niego z wściekłą wprost złością, a każdy rys w jego twarzy zdawał się drgać i coś wyrażać.

— A, tego się książę obawiał! „Można się było tego spodziewać", podług pana. Więc niech pan wie, że jeśli ja tu kogo nienawidzę, — ryknął chrapliwie, piskliwie, parskając śliną dokoła — (wszystkich was nienawidzę, wszystkich!), to pana, pana, jezuicka, słodka duszo, idjoto, miljonerze - dobroczyńco, nienawidzę więcej, niż wszystkich i niż wszystko na świecie. Dawno już pana poznałem i znienawidziłem, gdy tylko o panu usłyszałem, znienawidziłem pana całą nienawiścią mej duszy... To pan tego wszystkiego narobił! To pan mnie doprowadził do wybuchu! Pan naraził umierającego człowieka na wstyd, pan, pan, pan jest winien mojej małoduszności! Zabiłbym pana, gdybym został przy życiu! Niepotrzebne mi pańskie dobrodziejstwa, od nikogo nic nie przyjmę, słyszy pan, nic od nikogo. Byłem nieprzytomny, nie wolno panu triumfować!... Przeklinam was wszystkich raz na zawsze!

Zadyszał się.

— Zawstydził się swych łez! — szepnął Lebiediew do Elżbiety Prokofjewny, — „można się tego było spodziewać!!" Tak jest, książę. Przejrzałeś go nawskroś!...

Elżbieta Prokofjewna nie raczyła nawet na niego spojrzeć. Stała, dumnie wyprostowana i z pogardliwą ciekawo-

ścią przyglądała się „tym ludziom". Gdy Hipolit przestał mówić, jenerał wzruszył ramionami; rozgniewana, zmierzyła go wzrokiem od stóp do głowy, jakby żądała usprawiedliwienia z tego ruchu i natychmiast zwróciła się do księcia.

— Dziękuję ci książę, dziwaczny przyjacielu naszego domu, za miły wieczór, jaki nam wszystkim zgotowałeś. Niezawodnie raduje się teraz serce twoje, że udało ci się i nas wciągnąć w twe cudactwa... Dosyć już tego, miły przyjacielu domu naszego, dziękuję ci, że wkońcu nam się dałeś poznać.

I z oburzeniem zaczęła poprawiać swe okrycie, czekając, aż „ci" się wyniosą. W tej samej chwili po „tych" zajechały dorożki, po które przed kwadransem posłał Doktorenko syna Lebiediewa, ucznia gimnazjum. Jenerał natychmiast po małżonece swej dodał od siebie:

— Istotnie, książę, nawet się nie spodziewałem... po tem wszystkiem, po naszych stosunkach i, wreszcie Elżbieta Prokofjewna...

— Ale jakżeż, ale jakże tak można! — zawołała Adelajda, podeszła prędko do księcia i podała mu rękę.

Książę, zmieszany, uśmiechnął się do niej. Nagle do uszu jego doszedł gorący, gwałtowny szept:

— Jeśli pan natychmiast nie porzuci tych nędzników, to ja przez całe życie nienawidzieć pana będę! — szepnęła Agłaja.

Była jak nieprzytomna, lecz odwróciła się, zanim książę zdążył na nią spojrzeć. Zresztą nie miał on już kogo porzucać: chorego Hipolita zdołali jakoś tymczasem wsadzić do dorożki, która odjechała.

— No cóż, długo jeszcze tego dobrego, Janie Teodorowiczu? Jak ci się zdaje? Długo jeszcze będę musiała znosić tych złośliwych malców?

— Ależ ja, moja droga... ja, oczywiście, gotów jestem i... książę...

Jan Teodorowicz wyciągnął jednak rękę do księcia, lecz nie zdążył jej uścisnąć i pobiegł za Elżbietą Prokofjewną, która hałaśliwie i mocno zagniewana schodziła z tarasu. Adelajda, narzeczony jej i Aleksandra serdecznie i szczerze po-

żegnali się z księciem. Przyłączył się do nich Eugenjusz Pawłowicz i on jeden tylko był wesoły.

— Stało się, jak przewidywałem, przykro mi tylko, że biedny książę na tem ucierpiał, — szepnął z najrozkoszniejszym uśmiechem.

Agłaja wyszła bez pożegnania.

Lecz zdarzenia tego wieczoru na tem się nie skończyły; Elżbieta Prokofjewna została narażona na jedno jeszcze zupełnie nieoczekiwane spotkanie.

Nie zdążyła jeszcze zejść ze schodów na drogę (ciągnącą się dokoła parku), gdy nagle wspaniały ekwipaż, pojazd, zaprzężony w dwa białe konie, pomknął obok willi księcia. W powozie siedziały dwie wytworne panie. Przejechawszy nie więcej, niż dziesięć kroków, powóz zatrzymał się jednak i jedna z pań szybko się odwróciła, spostrzegłszy zapewne nagle kogoś znajomego.

— Eugenjuszu Pawłyczu? To ty? — rozległ się dźwięczny, prześliczny głos, na który drgnął książę, a może i ktoś jeszcze oprócz niego. No, jakże się cieszę, żem cię nareszcie znalazła! Posłałam po ciebie, do miasta, umyślnego, nawet dwóch. Szukają cię już cały dzień.

Eugenjusz Pawłowicz stał na stopniach schodów, jak gromem rażony. Elżbieta Prokofjewna również nie ruszyła się z miejsca, lecz nie z przerażenia i osłupiała, jak Eugenjusz Pawłowicz; patrzała na zuchwałą kobietę tak dumnie i z taką zimną pogardą, jak przed pięciu minutami na „tych ludzi" i natychmiast skierowała swój wzrok na Eugenjusza Pawłowicza.

— Powiem ci nowinę! — mówił dalej dźwięczny głos. — Nic się nie bój o weksel Kupferowa; Rogożyn wykupił za trzydzieści, namówiłam go. Możesz mieć spokój choćby przez trzy miesiące. Z Biskupem zaś i z całą tą hołotą ułożymy się na pewno, po znajomości. A więc wszystko jak najlepiej. Bądź wesół. Do jutra!

Powóz ruszył i prędko zniknął.

— To warjatka! — krzyknął wkońcu Eugenjusz Pawłowicz, czerwony z oburzenia i niepewnie rozglądając się dokoła. — Nie mam pojęcia, co ona mówiła! Co za weksle! Co ona za jedna?

Przez dwie sekundy przyglądała mu się jeszcze Elżbieta Prokofjewna; wreszcie skierowała się szybko i ostro ku swej willi i wszyscy poszli za nią. Nim upłynęła minuta, zjawił się na tarasie zpowrotem u księcia Eugenjusz Pawłowicz, niezwykle wzburzony.

— Czy książę naprawdę nie wie, co to znaczy?

— Nic nie wiem — odpowiedział książę, sam będąc silnie, wprost chorobliwie podniecony.

— Nic?

— Nic.

— I ja nic nie wiem, — roześmiał się nagle Eugenjusz Pawłowicz. — Słowo daję, nie miałem nic do czynienia z temi wekslami, niech mi pan wierzy!... Ale co panu jest, czy panu słabo?

— O, nie, nie, zapewniam pana, że nie...

XXVII

Dopiero na trzeci dzień dali się Jepanczynowie przebłagać. Chociaż książę o wiele rzeczy sam się oskarżał, według swego zwyczaju i szczerze oczekiwał kary, jednakże z początku głęboko był przekonany, że Elżbieta Prokofjewna nie mogła na niego poważnie się rozgniewać, a raczej gniewała się sama na siebie. W ten sposób tak długi okres nieprzyjaźni wprowadził go już na trzeci dzień w duży kłopot. Przyczyniły się do tego i inne okoliczności, a zwłaszcza jedna z nich. Przez całe trzy dni rozrastała się ona stopniowo w podejrzliwości księcia, — (a książę od pewnego czasu obwiniał się sam w dwóch krańcowych rzeczach: „w bezmyślnej i zuchwałej“ łatwowierności, a jednocześnie w „ponurej i niskiej“ podejrzliwości). Jednem słowem, pod koniec trzeciego dnia przypadek z ekscentryczną damą, przemawiającą ze swego powozu do Eugenjusza Pawłowicza, przybrał w jego umyśle straszne i nieprawdopodobne rozmiary. Istota zagadki poza wszystkiem polegała dla księcia w bolesnem pytaniu: czy on sam jest winien wydarzeniu się tego nowego „cudactwa“, czy też tylko... Lecz nie dopowiadał, kto także. Co zaś do liter N. F. B., to, wdług niego, był to tylko nie-

winny figiel, tak, że byłoby nawet wstyd nad tem się zastanawiać, a nawet pod pewnym względem prawie nikczemnie.

Zresztą nazajutrz po tym „nieznośnym“ wieczorze i zamieszaniu, którego on był główną „przyczyną“, książę miał przyjemność z samego rana przyjąć u siebie księcia S. z Adelajdą: „wstąpili *przedewszystkiem* dlatego, żeby się dowiedzieć o jego zdrowie“, przyszli we dwoje, wracając z przechadzki. Adelajda zaraz zauważyła w ogrodzie jakieś drzewo, prześliczne, stare drzewo, rozłożyste, z długiemi konarami, całe w świeżej zieleni, z dziuplą; postanowiła koniecznie, koniecznie je narysować. Tak, że przez cały czas półgodzinnych odwiedzin prawie o niczem innem nie mówiła. Książę S. był, jak zwykle, miły i uprzejmy, wypytywał księcia o jego przeszłość, przypominał okoliczności pierwszego ich spotkania, tak, że o wypadkach z poprzedniego dnia prawie wcale nie było mowy. Wkońcu Adelajda nie wytrzymała i uśmiechnąwszy się, oświadczyła, że wstąpili incognito; na tem się jednak oświadczenia skończyły, choć już z samego incognito można było wywnioskować, że rodzice, a zwłaszcza Elżbieta Prokofjewna, są w bardzo złem usposobieniu. Jednakże ani o niej, ani o Agłai, ani nawet o Janie Teodorowiczu Adelajda i książę S. nie powiedzieli podczas swych odwiedzin ani jednego słowa. Idąc na dalszą przechadzkę, księcia nie zaprosili. O tem zaś, aby go do siebie zaprosić, mowy nawet nie było; w związku z tem, charakterystyczne nawet powiedzenie wymknęło się Adelajdzie: opowiadając o jednej swej akwareli, zapragnęła nagle ją pokazać. „Jakby się to dało jaknajprędzej zrobić? Poczekajcie. Albo ją księciu przyślę dziś przez Kolę, jeśli do nas wstąpi, albo ją jutro sama przyniosę, idąc z księciem na spacer“, wybrnęła wreszcie ze swych wątpliwości, ciesząc się, że jej się udało tak łatwo i ku ogólnemu zadowoleniu sprawę załatwić.

Wkońcu, żegnając się już, książę S. jakgdyby sobie przypomniał:

— Ach, prawda, — rzekł, — drogi Leonie Mikołajewiczu, może choć pan wie, kto to była ta osoba, która z powozu mówiła wczoraj do Eugenjusza Pawłowicza.

— To była Nastazja Filipowna, — powiedział ksią-

żę, — czy pan jeszcze się nie dowiedział, że to ona? Kto zaś był z nią, tego nie wiem.

— Owszem, słyszałem! — odparł książę S. — Lecz co miał znaczyć ten krzyk? To taka, przyznam się, dla mnie zagadka, nietylko zresztą dla mnie.

Książę S. mówił z niezwykłem i widocznem zdumieniem.

— Mówiła o jakichś wekslach Eugenjusza Pawłowicza, — odpowiedział książę z dużą prostotą, — przeszły dzięki niej od jakiegoś lichwiarza do Rogożyna, który poczeka na Eugenjusza Pawłowicza.

— To słyszałem, słyszałem, mój książę drogi, ależ to niemożliwe. Nie mogło być żadnych weksli Eugenjusza Pawłycza! Przy takim majątku... Prawda, wskutek jego lekkomyślności zdarzało się to dawniej i nawet ręczyłem za niego... Ale, żeby przy takim stanie majątkowym dawał weksle lichwiarzowi i niepokoił się o nie — to niemożliwe. I nie może on być na ty i w takich przyjacielskich stosunkach z Nastazją Filipowną — to dla mnie najważniejsza zagadka. Przysięga, że nic z tego nie rozumie i najzupełniej mu wierzę. Ale chodzi o to, miły książę, że chciałem księcia zapytać, czy nic o tem wszystkiem nie wie? To znaczy, czy nie doszła do księcia jakakolwiek bądź o tem wiadomość?

— Nie, nic, o niczem nie wiem i zapewniam pana, że żadnego w tem nie brałem udziału.

— Ach co się z księciem zrobiło... Zupełnie pana dziś nie rozumiem. Czyż mogłem przypuszczać, aby książę w takiej sprawie brał udział?... Ależ pan dziś jest rozstrojony.

Objął go i ucałował.

— Co to znaczy, abym w „takiej“ sprawie brał udział? Ja tu nie widzę żadnej „takiej“ sprawy.

— Bezwątpienia osoba ta chciała w jakikolwiek bądź sposób i w czemkolwiek bądź dokuczyć Eugenjuszowi Pawłyczowi, przypisując mu wobec świadków cechy, jakich nie ma i mieć nie może, — odpowiedział dosyć sucho książę S.

Książę Leon Mikołajewicz zmieszał się, lecz nie przestał patrzeć badawczo na księcia, ten jednak milczał.

— A czy to nie chodzi wprost o weksle? Czy nie jest to dosłownie tak, jak wczoraj? — mruknął wkońcu książę, jakby zniecierpliwiony.

— Właśnie o tem mówię, niechże książę sam osądzi co może być wspólnego między Eugenjuszem Pawłyczm i... nią i w dodatku z Rogożynem? Powtarzam panu, majątek jest olbrzymi, doskonale o tem wiem; drugi majątek otrzyma od wuja. Poprostu Nastazja Filipowna...

I znów nagle zamilkł książę S., gdyż nie chciał widocznie mówić z księciem o Nastazji Filipownie.

— A zatem, w każdym razie, musi ją znać, — zapytał nagle, po chwili milczenia, książę Leon Mikołajewicz.

— Właśnie, coś tam musiało być; rozpustnik jeden! Lecz, zresztą, jeśli się znali, to bardzo dawno temu, ze dwa albo trzy lata. Przecież znali się jeszcze z Tockim. Teraz nic podobnego nie mogło mieć miejsca, nie mogli oni nigdy być na ty! Sam książę wie, że i jej tu nie było. Wielu ludzi nie wie jeszcze, że się znów pojawiła. Zauważyłem powóz jej przed trzema dniami, nie wcześniej.

— Wspaniały powóz! — powiedziała Adelajda.

— Tak, wspaniały powóz.

Odeszli, usposobieni dla księcia jak najserdeczniej, z uczuciem przyjaznem, a nawet braterskiem.

Dla naszego zaś bohatera odwiedziny te miały wielkie znaczenie. Przypuśćmy, że on sam wiele rzeczy podejrzewał, począwszy od poprzedniej nocy (a może i wcześniej), lecz do chwili ich odwiedzin, nie mógł się zdobyć na usprawiedliwienie swych obaw. Teraz sprawa była jasna: książę S. fałszywie rzecz całą ujmował, krążąc dokoła istoty rzeczy, lecz w każdym razie szukał w tem intrygi. (Może on zresztą sam dla siebie dobrze rozumie, o co chodzi, — pomyślał książę, — a tylko nie chce się wypowiedzieć i dlatego umyślnie ujmuje to błędnie). Jasną jest rzeczą, że wstępowali teraz do niego (i to właśnie książę S.) w nadziei otrzymania pewnych wyjaśnień; jeśli tak jest, to posądzają go wprost o udział w intrydze. Poza tem, jeżeli to istotnie tak ważne, musiała ona mieć w tem jakiś cel, ale jaki? Okropność! „I jak ją powstrzymać? kiedy jest przekonana o konieczności dopięcia celu! Niema

żadnej możliwości powstrzymania!" Wiedział to już książę z doświadczenia. „Szalona! Szalona!"

Nadmiernie jednak dużo nagromadziło się tego dnia i innych jeszcze nierozwiązanych zagadnień i to wszystkie jednocześnie i wszystko wymagało bezzwłocznego rozstrzygnięcia, tak że książę bardzo posmutniał. Rozruszała go nieco Wiara Lebiediewa, która przyszła z Luboczką i śmiejąc się, długo mu coś opowiadała. Za nią zjawiła się i jej siostra, z otwartą buzią, potem syn Lebiediewa, uczeń gimnazjalny, który zapewniał, że „Gwiazda" z Apokalipsy, spadająca na ziemię, na źródła wód, to, według objaśnienia jego ojca, sieć dróg żelaznych, rozsianych po Europie. Książę nie uwierzył, aby Lebiediew w ten sposób rzecz tę objaśniał, postanowiono tedy sprawdzić to, przy pierwszej nadarzającej się sposobności. Dowiedział się też książę od Wiary Lebiediew, że Keller jeszcze poprzedniego dnia sprowadził się do nich i, jak się zdaje, długo u nich pozostanie, gdyż zaprzyjaźnił się z jenerałem Iwołginem; oświadczył zresztą, że zostaje w tym jedynie celu, aby uzupełnić swe wykształcenie. Wogóle dzieci Lebiediewa coraz bardziej się księciu podobały. Kola całemi dniami był nieobecny: wyjechał do Petersburga z samego rana (Lebiediew również wyjechał skoro świt, we własnych sprawach). Lecz książę z niecierpliwością oczekiwał odwiedzin Gabrjela Ardaljonowicza, który powinien był tegoż dnia do niego wstąpić.

Przyszedł o godzinie siódmej po południu, zaraz po obiedzie. Z pierwszego wejrzenia, przyszło księciu na myśl, że w każdym razie ten człowiek mógł znać dokładnie wszystkie tajniki sprawy, mając takich pomocników, jak Barbara Ardaljonowna i jej małżonek. Lecz stosunki księcia z Ganią były jednak jakieś dziwne. Książę powierzył mu naprzykład prowadzenie sprawy Burdowskiego i bardzo go o to prosił; lecz niezależnie od zaufania i wszystkich dawniejszych okoliczności, istniały pewno takie punkty, których jakby się umówili nigdy nie poruszać. Wydawało się księciu niekiedy, że Gania, ze swej strony, pragnąłby może pełnej, przyjacielskiej szczerości; teraz naprzykład, gdy tylko wszedł, wydało się księciu, że Gania żywi mocne prze-

konanie, iż właśnie nadeszła chwila przełamania lodów między nimi. (Gabrjel Ardaljonowicz śpieszył się jednak; u Lebiediewa czekała na niego siostra; śpieszyli się, by załatwić pilne jakieś sprawy).

Jeżeli jednak Gania istotnie oczekiwał całego szeregu niecierpiących zwłoki zapytań, mimowolnych oświadczeń, przyjacielskich wynużeń, bardzo się omylił. Przez całe dwadzieścia minut jego wizyty, książę był nawet mocno zamyślony, nieomal roztargniony. Oczekiwanych pytań lub, ściśle mówiąc, jednego zasadniczego pytania, jakiego spodziewał się Gania, być nie mogło. Wtedy i Gania postanowił mówić z większą oględnością. Nie zamilkł ani na chwilę, opowiadał coś przez całe dwadzieścia minut, śmiał się, paplał bez przerwy, zasadniczego jednak tematu nie poruszył.

Opowiadał między innemi, że Nastazja Filipowna bawi w Pawłowsku dopiero cztery dni, a już ogólną na siebie zwróciła uwagę. Mieszka gdzieś tutaj, na jakiejś ulicy Marynarskiej, w niewielkim, niepozornym domku u Darji Aleksiejewny, a powóz jej jest chyba najpierwszym w Pawłowsku. Dokoła niej zebrała się już cała gromada starych i młodych konkurentów; powozowi towarzyszą niekiedy jeźdźcy. Jest jednak, tak jak i dawniej, mocno wybredna, dopuszcza do siebie jedynie wybranych. A pomimo to utworzyła się dokoła niej cała grupa, w razie potrzeby więc licznych miałaby obrońców. Jeden formalny konkurent, właściciel willi, poróżnił się z powodu niej z narzeczoną i pewien staruszek, jenerał, przeklął nieomal swego syna. Często bierze ze sobą na przechadzkę pewną rozkoszną dziewczynkę, w wieku zaledwie lat szesnastu, daleką krewną Darji Aleksiejewny; dziewczynka ta ślicznie śpiewa — tak, że wieczorami dom ich zwraca ogólną uwagę. Nastazja Filipowna zachowuje się zresztą bardzo przyzwoicie, ubiera się bez przesady, raczej z wielkim smakiem i wszystkie panie zazdroszczą jej „dobrego smaku, urody i powozu".

— Wczorajsze dziwaczne zdarzenie — odezwał się nieostrożnie Gania — niewątpliwie nie jest przypadkowe i oczywiście nie powinno być brane w rachubę. Chcąc się do niej w czemkolwiek bądź przyczepić, trzeba specjalnie ją śledzić, lub ją oczernić, co jej zresztą nie minie, — za-

kończył Gania, oczekując, że książę bezwarunkowo zapyta: „dlaczego wczorajsze zdarzenie nie jest przypadkowe? I dlaczego jej to nie minie?"

Lecz książę o to nie zapytał.

W sprawie Eugenjusza Pawłowicza Gania sam się również rozgadał, nie czekając na żadne pytania, co było bardzo dziwne, gdyż zaczął o nim mówić bez powodu. Podług Gabrjela Ardaljonowicza Eugenjusz Pawłowicz nie znał Nastazji Filipowny i teraz zaledwie ją zna i to dlatego, że przed czterema dniami ktoś go jej przedstawił na przechadzce, a u niej w domu był może jeden raz i to w towarzystwie. Z wekslami to możliwe (Gania wie o tem na pewno); majątek Eugenjusza Pawłowicza jest istotnie duży, ale „niektóre sprawy, dotyczące majątku, są w pewnym nieładzie". Na tym ciekawym szczególe Gania nagle urwał. W sprawie wczorajszego wystąpienia Nastazji Filipowny nie powiedział ani jednego słowa, poza tem, co podaliśmy powyżej. Wreszcie przyszła po Ganię Barbara Ardaljonowna, posiedziała chwilkę, oświadczyła (również niepytana), że Eugenjusz Pawłowicz dzień dzisiejszy, a może i jutrzejszy spędzi w Petersburgu, i że mąż jej (Jan Piotrowicz Pticyn) również znajduje się w Petersburgu i kto wie, czy nie w sprawach Eugenjusza Pawłowicza, i że tam istotnie coś zaszło. Wychodząc, dodała, że Elżbieta Prokofjewna jest dzisiaj w piekielnym nastroju, ale, co jeszcze dziwniejsze, że Agłaja pokłóciła się z całą rodziną, nietylko z ojcem i z matką, ale z obiema siostrami i „że to wcale nie dobrze". Wypowiedziawszy, jakby przypadkiem, tę ostatnią wiadomość (posiadającą dla księcia niemałe znaczenie), brat i siostra wyszli. O sprawie z „synem Pawliszczewa" Ganieczka również nie wspomniał ani jednego słowa, może z fałszywej skromności, może „przez poszanowanie dla uczuć księcia", książę jednak i tak podziękował raz jeszcze za staranne przeprowadzenie sprawy.

Książę ucieszył się bardzo, kiedy go nareszcie pozostawiono samego, zeszedł z tarasu, przeszedł przez drogę i udał się do parku; chciał przemyśleć i zdecydować pewien krok. Lecz „krok" ten nie należał do rzędu rzeczy, możliwych do obmyślenia, a raczej do tych, na które się należy zde-

cydować wprost; zapragnął silnie wszystko to opuścić i wyjechać zpowrotem, skąd przyjechał, aby jak najdalej, wyjechać zaraz do jakiego odludzia i z nikim się nawet nie żegnając. Przeczuwał, że jeżeli tylko pozostanie tu, choćby na kilka dni, niewątpliwie wciągnie się w ten świat bezpowrotnie, a życie w nim stanie się jego udziałem. Nie namyślał się jednak nawet dziesięciu minut, jak natychmiast doszedł do wniosku, że uciekać „nie można", że byłoby to niemal tchórzostwem, że ma przed sobą takie zadania, iż nie ma on teraz nawet prawa ich nie rozwiązać, lub przynajmniej nie zużyć wszelkich sił dla ich rozwikłania. Pogrążony w tych myślach, powrócił do domu, nie zużywszy chyba, nawet kwadransa czasu na przechadzkę. Był w tej chwili bardzo nieszczęśliwy.

Lebiediewa ciągle jeszcze nie było w domu, tak, że pod wieczór zdołał się wkręcić do księcia Keller, nie po pijanemu, ale z wynurzeniami. Oświadczył wprost, że w tym celu został w Pawłowsku. Niepodobieństwem było wyrzucić go za drzwi: nie wyszedłby za nic na świecie. Przygotował się do dłuższego i bardzo niezdarnego przemówienia, lecz nagle, po pierwszych niemal słowach, przeskoczył do samego zakończenia i oświadczył, że do tego stopnia utracił „wszelkie pozory moralności" (jedynie wskutek niewiary we Wszechmogącego), że nawet kradł.

— Proszę sobie to wyobrazić!

— Niechno pan posłucha, panie Keller, jabym na pana miejscu nie przyznawał się do tego bez konieczności, — odezwał się książę, — a zresztą może pan to umyślnie o sobie rozpowiada?

— Tylko księciu, księciu jednemu i jedynie dlatego, żeby wpłynąć na swój rozwój. Więcej nikomu, umrę i pod śmiertelną koszulą ukryję swą tajemnicę! Ale gdyby książę wiedział, gdyby tylko książę wiedział, jak trudno w dzisiejszych czasach o pieniądze? Skąd je brać, proszę mi powiedzieć. Jedna na to odpowiedź: „przynieś złoto i brylanty, damy w zastaw", czyli mam dać to, czego właśnie nie posiadam. Czy może sobie książę to wyobrazić? Wkońcu rozgniewałem się i postawiłem na swojem... „A na szmaragdy dacie?" — „I na szmaragdy, mówi, dam". — „No,

to doskonale", powiadam, włożyłem kapelusz i wyszedłem; niech was licho weźmie, szelmy jedne!

— A czy pan miał szmaragdy?

— Jakie ja mogłem mieć szmaragdy! O, jakże książę jasno jeszcze i niewinnie, a nawet, powiedziałbym, po pastersku patrzy na świat!

Zrobiło się księciu wkońcu nie tyle może przykro, ile wstyd. Przyszło mu nawet do głowy: „Czy dobrym jakim wpływem nie dałoby się czego zrobić z tego człowieka?" Własny swój wpływ uważał z pewnych względów za zupełnie niewłaściwy, — nie ze skromności, lecz wskutek szczególnego swego poglądu na sprawy. Stopniowo tak się rozgadali, że nie chciało im się rozstać. Keller ze zdumiewającą gotowością przyznał się do takich spraw, że trudno było sobie wyobrazić, jak można o takich rzeczach opowiadać. Przystępując do każdej z tych opowieści, upewniał z całą stanowczością, że pełen jest żalu i „wewnętrznych łez", a tymczasem opowiadał tak, jakgdyby się szczycił swym postępkiem — i jednocześnie mówił niekiedy w tak zabawny sposób, że obaj z księciem pokładali się ze śmiechu, jak warjaci.

— Najważniejsze jest to, że pan posiada jakąś dziecięcą wiarę w ludzi i niezwykłą prawość, — powiedział wkońcu książę. — Wie pan, że już przez to samo dużo pan odkupuje.

— Dziękuję, dziękuję, po rycersku dziękuję! — odrzekł rozczulony Keller. — Ale wie książę, to wszystko tylko w snach i, że tak powiem, w ramach osobistej odwagi, w istocie nic z tego nie wychodzi! A dlaczego tak jest? Sam tego zrozumieć nie mogę.

— Niech się pan nie zraża. Można teraz stanowczo stwierdzić, że pan mi odkrył wszystkie tajniki swego serca; zdaje mi się przynajmniej, że do tego, co pan opowiedział, nic już teraz dodać nie można, nieprawdaż?

— Nie można! — jakby z żalem zawołał Keller. — O, do jakiegoż stopnia książę jeszcze po szwajcarsku, że tak powiem, pojmuje człowieka.

— A czyż można jeszcze coś dodać? — powiedział książę z jakiemś nieśmiałem zdziwieniem. — Czegoż się

więc pan ode mnie spodziewał, panie Keller, proszę, niech mi pan powie, poco pan przyszedł z tą swoją spowiedzią.

— Od księcia? Czego się spodziewałem? Przedewszystkiem miło popatrzeć na księcia szczerość; przyjemnie z księciem posiedzieć i porozmawiać; wiem przynajmniej, że mam do czynienia z jak najszlachetniejszym człowiekiem, a po drugie, po drugie...

Zmieszał się.

— Może pan chciał pożyczyć pieniędzy? — podpowiedział książę poważnie, a nawet poniekąd trochę nieśmiało.

Kellera aż coś poderwało; spojrzał bystro i ze zdumieniem księciu w oczy i uderzył silnie pięścią w stół.

— Otóż tem właśnie wytrąca książę człowieka z równowagi! Niechże się książę zmiłuje: to już tak daleko idąca prostota, taka niewinność, o jakiej w złotym wieku nie słyszano, a jednocześnie nagle przeszyje książę człowieka jak strzałą, tą swoją głęboką psychologją obserwacji. Ale niechże książę pozwoli, to wymaga wyjaśnienia, gdyż ja... jestem wprost zmieszany!Ma się rozumieć, że ostatecznie celem moim było pożyczenie pieniędzy, ale książę tak mnie o te pieniądze zapytał, jakgdyby nie widział w tem nic nagannego, jakgdyby tak być powinno.

— Tak... z pana strony tak być powinno.

— I książę się nie oburza?

— A czemu?

— Niech książę posłucha, zostałem tu od wczoraj, po pierwsze ze szczególnej czci dla francuskiego arcybiskupa Burdalu (u Lebiediewa popijaliśmy do godziny trzeciej), a po drugie i przedewszystkiem (przysięgam na wszystkie świętości, że mówię prawdę!), zostałem dlatego, że chciałem księciu dać pełną, szczerą spowiedź z mego życia, a w ten sposób wpłynąć na mój własny rozwój; z tą myślą zasnąłem o godzinie czwartej, zalany łzami. Czy książę teraz uwierzy najszlachetniejszemu człowiekowi: w tej samej chwili, kiedy zasypiałem, przepełniony wewnętrznemi, że tak powiem, łzami (gdyż wkońcu szlochałem, doskonale to pamiętam!), przyszła mi do głowy piekielna myśl: „No cóż, czy nie pożyczyćby od niego ostatecznie, po tej spowiedzi,

trochę pieniędzy?" W ten sposób przygotowałem spowiedź, że tak powiem, skropioną łzami, z tą myślą, żeby łzami temi zmiękczyć grunt i żeby książę, pod tem wrażeniem, wyliczył mi sto pięćdziesiąt rubelków. No cóż, nie jestże to podłe?

— Ależ to z pewnością nieprawda i tylko tak się jakoś złożyło. Zbiegły się dwie myśli, to się bardzo często zdarza. U mnie to tak ciągle. Myślę, że to jednak nie jest dobrze i wie pan, panie Keller, jak najbardziej sobie to wyrzucam. Zupełnie, jagdyby mi pan teraz o mnie samym opowiedział. Myślałem nawet nieraz o tem, — mówił dalej książę z wielką powagą, szczerze i głęboko sprawą zainteresowany, — że to się zdarza wszystkim ludziom, zacząłem więc nawet się usprawiedliwiać, gdyż bardzo jest trudno walczyć z temi p o d w ó j n e m i myślami; sam tego doświadczyłem. Bóg święty raczy wiedzieć, w jaki sposób one powstają. A pan to wprost nazywa podłością! Teraz znów zacznę się tych myśli obawiać. Wkażdym razie nie mam prawa pana sądzić. A jednak zdaje mi się, że nie należy tego wprost nazywać podłością, jak pan myśli? Użył pan podstępu, żeby łzami wyłudzić pieniądze, ale sam pan przysięga, że wyznanie pana miało jeszcze inny szlachetny cel, nietylko zdobycie pieniędzy; co zaś do pieniędzy, potrzebne panu są na hulankę, prawda? A to po takiej spowiedzi jest już oczywiście słabością ducha. Lecz jakże tu tak odrazu, odmówić sobie hulanki? Przecież to niemożliwe. Cóż robić? Pozostawić to już chyba pańskiemu sumieniu, jak pan myśli?

Książę patrzał na Kellera z nadzwyczajnem zaciekawieniem. Zagadnienie podwójnych myśli dawno go już widocznie zajmowało.

— Ale dlaczego księcia nazywają przytem idjotą, nie rozumiem! — zawołał Keller.

Książę zarumienił się zlekka.

— Kaznodzieja Burdalu i ten nie oszczędziłby człowieka, a książę mnie oszczędził i osądził po ludzku. Za karę dla mnie i, żeby okazać moje wzruszenie, nie chcę stu pięćdziesięciu rubli, niech mi książę da dwadzieścia pięć i dosyć! Tyle mi potrzeba, przynajmniej na dwa ty-

godnie. Wcześniej, niż za dwa tygodnie po pieniądze nie przyjdę. Chciałem się pobawić z Agatką, ale nie warto. O, książę drogi, niech pana Bóg błogosławi!

Wszedł nareszcie Lebiediew, który dopiero co powrócił i zobaczywszy dwudziestopięciorublowy banknot w rękach Kellera, zmarszczył się. Ten wszakże, czując się już przy pieniądzach, wyszedł pośpiesznie i wkrótce zniknął. Lebiediew zaraz zaczął na niego wygadywać.

— Pan jest niesprawiedliwy, on naprawdę szczerze był wzruszony, — zauważył wkońcu książę.

— E, taka tam skrucha! Jota w jotę, jak i ja wczoraj: „podły, podły", a przecież to tylko słowa!

— Więc u pana były to tylko słowa? A ja myślałem...

— No, więc ja księciu jednemu wyjawię prawdę, gdyż książę przenika człowieka: i słowa i czyn i kłamstwo i prawda — wszystko to u mnie razem i najzupełniej szczerze. Prawda i czyn istnieją u mnie w istotnej skrusze, niech książę wierzy, czy nie wierzy, ja na to przysięgam, a słowa i kłamstwo wyrażają się u mnie stale w piekielnej (i zawsze obecnej) myśli, jakby i w tym przypadku kogoś nabrać, i jakby przez łzy dostąpić miłosierdzia. Przysięgam na Boga, że tak jest. Komu innemu nie powiedziałbym tego — roześmiałby się lub splunął; lecz książę osądzi rzecz po ludzku.

— Otóż to, przed chwilą jota w jotę i on mi mówił to samo, — zawołał książę, — i obydwaj chwalicie się! Pan mnie nawet zdumiewa, on jest od pana szczerszy, a pan już sobie z tego zrobił rzemiosło. No, dosyć już, niech się pan nie marszczy, panie Lebiediew i nie przykłada ręki do serca. Czy pan nie ma mi czego do powiedzenia? Nie wstępowałby pan przecież napróżno!...

Lebiediew skrzywił się i skurczył.

— Przez cały dzień oczekiwałem pana, chcąc panu zadać pewne pytanie; niechże pan choć raz w życiu odrazu powie prawdę; czy pan brał wczoraj w jakikolwiek bądź sposób udział w tym powozie, czy nie?

Lebiediew ponownie się skrzywił, zaczął się śmiać, zacierał ręce, kichał, lecz nie mógł się zdecydować na odpowiedź.

— Już ja widzę, że pan brał udział.

— Ale ubocznie, jedynie tylko ubocznie! Mówię najświętszą prawdę! W ten tylko sposób brałem udział, że dałem jednocześnie znać wiadomej osobie, że zebrało się u mnie takie towarzystwo i że będą obecne pewne osoby.

— Wiem, że pan t a m posyłał swojego syna, sam mi to mówił, ale cóż to znów za intryga! — zawołał zniecierpliwiony książę.

— Nie moja to intryga, nie moja, — bronił się Lebiediew, innych, i raczej, że tak powiem, jest to fantazja, nie intryga.

— Ale o co chodzi, na miłość Boską, niechże mi pan to wytłumaczy? Czy pan nie rozumie, że mnie to wprost dotyczy? Przecież tu oczerniają Eugenjusza Pawłowicza.

— Książę! Jaśnie oświecony książę! — skurczył się znów Lebiediew. Pan mi nie daje wyjawić całej prawdy; zaczynałem już przecież mówić księciu prawdę; i to nie raz; książę nie pozwolił mi mówić dalej...

Książę przemilczał chwilę i zamyślił się.

— No, dobrze, niech pan mówi prawdę, — wyrzekł z trudem, po ciężkiej widocznie walce.

— Agłaja Iwanowna... — zaczął tedy Lebiediew.

— Milcz pan, milcz pan! — zawołał książę z wściekłością, czerwony z oburzenia, a może i ze wstydu. — To niemożliwe, to niedorzeczność! Sam pan to wymyślił lub podobni panu warjaci. I żebym ja tego więcej od pana nie słyszał!

— Późnym wieczorem, już koło godziny jedenastej, zjawił się Kola z całym worem wiadomości. Były dwojakiego pochodzenia: z Petersburga i z Pawłowska. Opowiedział pokrótce ważniejsze wiadomości petersburskie (zwłaszcza o Hipolicie i o wczorajszem zajściu), z tem, że jeszcze do nich powróci i czem prędzej przeszedł do spraw z Pawłowska. Przed trzema godzinami powrócił z Petersburga i, nie wstępując do księcia, udał się wprost do Jepanczynych. „Aż strach, co się tam dzieje!“ Ma się rozumieć, że na pierwszym planie powóz, ale tam na pewno coś takiego jeszcze się zdarzyło, o czem oni obydwaj z księciem nic nie wiedzą. „Ja, oczywiście, nie szpiegowałem i nie chciałem nikogo wypytywać; zresztą, przyjęli mnie dobrze,

tak dobrze, jak się tego spodziewać nie mogłem, ale o księciu ani jednego słowa!“ Najważniejszą i najciekawszą rzeczą jest to, że Agłaja poróżniła się z rodziną o Ganię. W jakich okolicznościach to się stało, niewiadomo, ale, że o Ganię (niech sobie książę wyobrazi!) i strasznie się kłócą, musi być coś ważnego. Jenerał przyjechał późno, przyjechał zachmurzony, przyjechał z Eugenjuszem Pawłowiczem, którego doskonale przyjęli, a sam Eugenjusz Pawłowicz zdumiewająco wesół i miły. Najparadniejszą wiadomością jest to, że Elżbieta Prokofjewna, najspokojniej w świecie wezwała do siebie Barbarę Ardałjonownę, bawiącą u panien i raz na zawsze wypędziła ją z domu, w sposób zresztą jak najprzyzwoitszy, — „słyszałem z własnych ust Basi“. Gdy zaś Basia wyszła od Elżbiety Prokofjewny i pożegnała się z pannami, nie wiedziały one, że raz na zawsze wymówiono jej dom i że żegna się z niemi po raz ostatni.

— Przecież Barbara Ardałjonowna była u mnie o godzinie siódmej?

— A wypędzili ją o godzinie ósmej. Bardzo mi żal Basi, żal Gani... oni mają, bezwątpienia, wieczne intrygi, bez tego nie mogą żyć! I nigdy nie mogłem się dowiedzieć, jakie są ich zamiary i nie chcę się dowiadywać. Upewniam jednakże drogiego, kochanego księcia, że Gania ma serce. Jest to, oczywiście, pod wielu względami człowiek stracony, ale są w nim cechy, których warto się doszukać i warto odnaleźć, i ja nigdy sobie nie daruję, że go dawniej nie rozumiałem... Nie wiem, czy mam dalej bywać po tej sprawie z Basią. Prawda, że od pierwszej chwili zupełnie się uniezależniłem, ale w każdym razie trzeba się zastanowić.

— Niepotrzebnie pan tak żałuje brata, — zauważył książę. — Jeśli już tak daleko rzeczy poszły, widać, że Gabrjel Ardałjonowicz jest niebezpieczny w oczach Elżbiety Prokofjewny, a zatem pewne jego nadzieje potwierdzają się.

— Co, jakie nadzieje! — zawołał zdumiony Kola. — Chyba książę nie przypuszcza, że Agłaja... to niemożliwe...

Książę milczał.

— Straszny z księcia sceptyk, — dodał po chwili Kola. — Uważam, że od pewnego czasu staje się książę wiel-

kim sceptykiem; zaczyna książę niczemu nie wierzyć i ciągle się czegoś domyślać... czy dobrze w tym przypadku użyłem wyrazu „sceptyk“?

— Zdaje mi się, że dobrze, choć sam już zresztą nie wiem.

— Ale ja sam cofam wyraz „sceptyk“, gdyż znalazłem nowe określenie, — zawołał nagle Kola, — książę jest nie sceptyk, lecz zazdrośnik! Książę piekielnie zazdrości Gani pewnej dumnej panny!

Powiedziawszy to, Kola zerwał się z miejsca i tak się roześmiał, jak mu się to nigdy może nie przytrafiło. Widząc, że książę się zarumienił, jeszcze bardziej zaczął się Kola śmiać; niezmiernie spodobała mu się myśl, że książę zazdrosny jest o Agłaję, umilkł wszakże natychmiast, zauważywszy, iż książę szczerze się zmartwił. Następnie porozmawiali jeszcze bardzo poważnie z godzinę, czy półtorej.

Nazajutrz spędził książę w pilnej sprawie cały ranek w Petersburgu. W powrotnej drodze do Pawłowska, już około godziny piątej wieczorem, spotkał się na dworcu z Janem Teodorowiczem. Jenerał schwycił go gwałtownie za rękę, rozejrzał się dokoła, jakby w strachu i pociągnął księcia za sobą do wagonu pierwszej klasy, aby razem jechać. Gorąco pragnął o czemś ważnem porozmawiać.

— Po pierwsze, książę drogi, nie gniewaj się na mnie i jeżeli co zaszło z mojej strony — zapomnij. Byłbym sam wczoraj wieczór do ciebie wstąpił, ale nie wiedziałem, coby o tem Elżbieta Prokofjewna... U mnie w domu... czyste piekło, osiedlił się jakiś zagadkowy sfinks, a ja chodzę i nic nie rozumiem. A co do ciebie, tyś według mnie najmniej winien z nas wszystkich, choć oczywiście dużo się stało przez ciebie. Widzisz, książę, przyjemnie jest być filantropem, ale nie za bardzo. Jużeś sam może pokosztował owoców. Ja, ma się rozumieć, lubię dobroć i cenię Elżbietę Prokofjewnę, ale...

Długo jeszcze w ten sposób mówił jenerał, słowa jego jednak dziwnie się jakoś nie łączyły. Znać było, że jest wstrząśnięty i wzburzony czemś zupełnie dla niego niezrozumiałem.

— Nie mam najmniejszej wątpliwości, że nie masz

z tem wszystkiem nic wspólnego, — wyraził się wreszcie nieco jaśniej, — ale nie przychodź do nas przez pewien czas, daję ci taką przyjacielską radę, niech się wiatr trochę odmieni. Co zaś do Eugenjusza Pawłowicza, — zawołał z niezwykłem uniesieniem, — to wszystko jest bezmyślnem oszczerstwem, oszczerstwem nad oszczerstwami. To potwarz, intryga i chęć poróżnienia nas. Widzisz, książę, powiem ci w wielkiej tajemnicy: słowo jeszcze między nami nie padło, rozumiesz? Niczem nie jesteśmy związani, — a słowo to może być wypowiedziane i to nawet bardzo prędko! Więc, żeby zaszkodzić! A dlaczego, poco, nie rozumiem! Dziwna kobieta, ekscentryczna kobieta, ja się jej tak boję, że ledwo sypiam. I co za powóz, białe konie, przecież to szyk, przecież to właśnie to, co Francuzi nazywają szykiem? Od kogo? Od kogoż to? Słowo daję, zgrzeszyłem, przed trzema dniami myślałem, że to Eugenjusz Pawłowicz. Okazuje się jednak, że to niemożliwe, a jeśli niemożliwe, to czemu ona chce tu bróździć? Oto zagadka! Żeby utrzymać przy sobie Eugenjusza Pawłowicza? Ale powtarzam, że oni się nie znają i że te weksle — to wymysł! I żeby tak bezczelnie mówić mu „ty" na całą ulicę! Zupełny spisek! Jasną jest rzeczą, iż trzeba odrzucić to z pogardą, a dla Eugenjusza Pawłowicza zwiększyć szacunek. Mówiłem to Elżbiecie Prokofjewnie. A teraz powiem ci moją poufną myśl: jestem mocno przekonany, że ona robi to przez osobistą zemstę dla mnie, pamiętasz, za dawne czasy, chociaż ja nigdy i w niczem wobec niej nie zawiniłem. Rumienię się na samo wspomnienie. I znów się zjawiła, a ja myślałem, że zniknęła zupełnie. Gdzież ten Rogożyn mieszka, niechże mi książę powie? Myślałem, że już oddawna jest panią Rogożyn.

Jednem słowem, był silnie wytrącony z równowagi. Przez całą prawie godzinę wspólnej drogi mówił sam, zadawał pytania, sam na nie odpowiadał, ściskał rękę księcia i przynajmniej w tem go przekonał, że nie myśli go o nic podejrzewać. Było to dla księcia rzeczą ważną. Zakończył opowiadaniem o rodzonym wuju Eugenjusza Pawłowicza, naczelniku jakiejś kancelarji w Petersburgu — „na świeczniku, siedemdziesiąt lat, viveur, gastronom i wogóle nałogowy starowina"... Ha — ha! Wiem, że słyszał o Nastazji

Filipownie i nawet chciał się do niej dostać. Zajeżdżałem do niego niedawno; nie przyjmuje, niezdrów, ale bogaty, bogaty, ma znaczenie i... daj mu Boże zdrowie, ale znów wszystko się przecież dostanie Eugenjuszowi Pawłowiczowi... Tak, tak... a ja się jednak boję!... Nie rozumiem czego, a boję się... W powietrzu jakgdyby coś się unosiło, jakgdyby nietoperz, nieszczęście idzie i boję się, boję!...

I wreszcie, dopiero na trzeci dzień, jak już pisaliśmy wyżej, nastąpiło właściwe pogodzenie się Jepanczynych z księciem Leonem Mikołajewiczem.

XXVIII.

Była godzina siódma wieczorem; książę wybierał się do parku. Nagle Elżbieta Prokofjewna sama jedna zjawiła się na tarasie.

— P o p i e r w s z e, niech ci nawet na myśl nie przychodzi, — rzekła, — że przyszłam cię prosić o przebaczenie. Też sens! Ty jesteś wszystkiemu winien.

Książę milczał.

— Jesteś winien, czy nie?

— Tyle, co i pani. Zresztą, ani ja, ani pani nie jesteśmy winni świadomie. Przed trzema dniami uważałem się za winnego, a teraz doszedłem do wniosku, że tak nie można.

— Jakto? No dobrze; słuchaj więc i siadaj, gdyż ja nie mam zamiaru stać.

Usiedli.

— Po drugie, ani słowa o tych złośliwych zmysłach! Posiedzę tu dziesięć minut i porozmawiam z tobą; przyszłam przeprowadzić u ciebie pewne śledztwo (a ty już Bóg wie co myślałeś?), a jeżeli choćby jedno słówko bąkniesz o tych zuchwałych chłopakach, wstaję i wychodzę i już raz na zawsze zrywam z tobą stosunki.

— Dobrze, — odpowiedział książę.

— Pozwól, że cię zapytam: czy dwa lub dwa i pół miesiąca temu raczyłeś przesłać list do Aglai?

— Pi—pisałem.

— W jakim celu? Co było w liście? Pokaż mi ten list!

Oczy Elżbiety Prokofjewny pałały, trzęsła się niemal z niecierpliwości.

— Nie mam listu, — zdziwił się i zmieszał książę, — jeśli on jeszcze istnieje, jest u Agłai Iwanowny.

— Nie kręć! O czem pisałeś?

— Nie kręcę i niczego się nie obawiam. Nie widzę najmniejszej przyczyny, dla której miałbym nie pisać...

— Milcz. Później będziesz mówił. Co było w liście? Czemu się zaczerwieniłeś?

Książę pomyślał chwilę.

— Nie znam myśli pani, Elżbieto Prokofjewno. Widzę tylko, że list ten bardzo się pani nie podoba. Przyzna pani, że mógłbym odmówić odpowiedzi na takie pytanie, chcąc jednak dowieść pani, że się nie boję o ten list i nie żałuję, że go napisałem i bynajmniej za niego się nie rumienię (poczerwieniał przytem niemal dwa razy więcej), powiem pani treść tego listu, gdyż chyba pamiętam go na pamięć.

To powiedziawszy, wygłosił książę treść listu niemal dosłownie.

— Cóż za galimatjas! Cóż te bzdury według ciebie mogą oznaczać? — zapytała szorstko Elżbieta Prokofjewna, wysłuchawszy treści listu z niezwykłą uwagą.

— Sam dobrze nie wiem; wiem tylko, że uczucie moje było szczere. Miewałem tam chwile pełni życia i nadzwyczajnych nadziei.

— Jakich nadziei?

— Trudno wytłumaczyć, ale nie tych, o jakich pani może teraz myśli. Nadziei... no, jednem słowem, nadziei na przyszłość i radości z tego, że może ja t a m nie jestem obcy. Ogromnie mi się nagle w ojczyźnie spodobało W pewien słoneczny ranek wziąłem za pióro i napisałem do niej; dlaczego do niej — nie wiem. Pragnie się niekiedy mieć przy sobie przyjaciela; widać i ja zapragnąłem przyjaciela... — dodał książę po chwili milczenia.

— Zakochany jesteś, czy co?

— N—nie. Ja... pisałem, jak do siostry; podpisałem: brat.

— Hm. Naumyślnie; rozumiem.

— Bardzo mi ciężko odpowiadać pani na te pytania, Elżbieto Prokofjewno.

— Wiem, że ciężko, ale mnie to nic a nic nie obchodzi, że tobie jest ciężko. Posłuchaj, powiedz prawdę, jak przed Bogiem: kłamiesz, czy nie?

— Nie kłamię.

— Więc to prawda, że nie jesteś zakochany?

— Zdaje mi się, że zupełna prawda.

— Ach z tem twojem „zdaje się"! Przez malca posyłałeś?

— Prosiłem Mikołaja Ardaljonowicza...

— Malec! Malec! — przerwała gwałtownie Elżbieta Prokofjewna. — I wiedzieć nic nie chcę o jakimś tam Mikołaju Ardaljonowiczu! To malec!

— Mikołaj Ardaljonowicz...

— Malec, mówię ci!

— Nie, nie malec, a Mikołaj Ardaljonowicz,—twardo, choć dosyć cicho wyrzekł wkońcu książę.

— No dobrze już, dobrze! Niech i tak będzie.

Przez chwilę starała się opanować swe wzruszenie i milczała.

— A co to jest ten „Biedny rycerz?"

— Zupełnie nie wiem; to już poza mną; jakiś żart.

— Przyjemnie mi się dowiedzieć! Tylko czyż ona mogła się tobą zainteresować? Sama przecież nazwała cię „potworkiem" i idjotą.

— Mogłaby mi pani tego nie opowiadać, — z wyrzutem choć prawie szeptem zauważył książę.

— Nie gniewaj się. Dziewczyna samowolna, szalona zepsuta, — polubi, to znów głośno nauràga i w oczy wyśmieje; ja byłam zupełnie taka sama. Tylko proszę cię bardzo, mój drogi, nie triumfuj, nie jest twoja; nie mogę w to uwierzyć i nigdy twoją nie będzie! Mówię to, żebyś wiedział czego się trzymać. Słuchaj, przysięgnij, żeś się z t a m t ą nie ożenił.

— Elżbieto Prokofjewno, co pani, na miłość Boską! — o mało nie podskoczył książę ze zdumienia.

— Przecież o mało co się nie ożeniłeś!

— O mało co się nie ożeniłem, — szepnął książę, schylając głowę.

— Więc cóż — w n i e j jesteś więc zakochany? Dla n i e j teraz przyjechałeś? Dla t e j?

— Nie poto przyjechałem, żeby się żenić, — odpowiedział książę.

— Czy jest na świecie coś dla ciebie świętego?

— Jest.

— Przysięgnij, że nie poto, aby się z t ą żenić.

— Przysięgam, na co pani chce.

— Wierzę; pocałuj mnie. Nareszcie odetchnęłam swobodnie; ale żebyś wiedział: Agłaja cię nie kocha i, dopóki ja żyję, za ciebie nie wyjdzie. Słyszałeś?

— Słyszałem.

Książę tak się rumienił, że wprost nie mógł patrzeć na Elżbietę Prokofjewnę.

— Zapamiętaj to sobie. Czekałam na ciebie, jak na Opatrzność (nie jesteś tego wart), poduszka moja w nocy mokra była od łez, — nie o ciebie mi chodziło, mój aniołku, nie bój się, mam swoje własne, inne zmartwienie, wiecznie to samo. Ale dlaczego ja z tąką niecierpliwością na ciebie czekałam; ciągle jeszcze nie tracę wiary, że sam Bóg mi cię zesłał jako przyjaciela i jak rodzonego brata. Nie mam przy sobie nikogo poza Starą Biełokońską, a i ta się gdzieś podziała, a w dodatku zupełnie na starość zbaraniała. A teraz odpowiedz mi jasno t a k albo n i e: czy wiesz dlaczego o n a przed trzema dniami krzyczała, siedząc w powozie?

— Słowo honoru daję, że udziału w tem nie brałem i nic o niczem nie wiem!

— Dosyć, wierzę ci. Teraz zapatruję się już na to inaczej, ale jeszcze wczoraj rano oskarżałam o wszystko Eugenjusza Pawłycza. Całą przedwczorajszą dobę i dzisiejszy ranek. Teraz, rzecz prosta, nie mogę się z nimi nie zgodzić; jasnem jest, że go jak błazna wyśmieli, dlaczego, poco, naco, (już to samo jest podejrzane! i nieładne!), — ale Agłaja za niego nie wyjdzie, ja ci to mówię! Może to i dobry

człowiek, ale tak już będzie. I przedtem się wahałam, a teraz już ostatecznie postanowiłam: „Włóż mnie do trumny, zakop w ziemi i wtedy wydaj córkę zamąż", oto co ja dziś wyrąbałam Janowi Teodorowiczowi.

— Widzę i rozumiem.

Elżbieta Prokowjewna przenikliwym wzrokiem wpatrywała się w księcia; bardzo może pragnęła się dowiedzieć, jakie wrażenie wywarła na nim wiadomość o Eugenjuszu Pawłyczu.

— O Gabrjelu Iwolginie nic nie wiesz?

— Waściwie... wiem dużo.

— Wiedziałeś, czy nie, jest on w stosunkach z Agłają?

— Zupełnie nie wiedziałem, — zdziwił się książę i nawet zadrżał. — Jakto, pani mówi, że Gabrjel Ardaljonowicz jest w stosunkach z Agłają Iwanowną? To niemożliwe.

— Od niedawna. To siostra przez całą zimę torowała mu drogę, pracowała jak szczur.

— Nie wierzę, — powtórzył książę z uporem po chwili namysłu. — Gdyby tak było, na pewno wiedziałbym o tem.

— Pewno, przyszedłby sam i na piersiach twoich przyznałby się z płaczem. Ach ty, głuptasie, głuptasie! Wszyscy cię oszukują, jak... jak... I czy ci nie wstyd jemu dowierzać? Czy ty nie widzisz, że on cię całkowicie wystrychnął na dudka?

Wiem dobrze, że że on mnie niekiedy oszukuje, — powiedział niechętnie książę półgłosem, — i on wie, że ja o tem wiem... — dodał i nie dokończył.

— Wiedzieć i ufać! Tego jeszcze brakowało. Zresztą po tobie można było się tego spodziewać. Nie mam się czemu dziwić. Boże! Czyś ty był kiedy innym człowiekiem! Tfu, a czy ty wiesz, że ten Gańka, czy też ta Baśka zaznajomili ją z Nastazją Filipowną.

— Kogo?! zawoła książę.

— Agłaję.

— Nie wierzę! To niemożliwe! w jakim celu!

Zerwał się z krzesła.

— I ja nie wierzę, choć są dowody. Dziewczyna samowolna, dziewczyna kapryśna, dziewczyna szalona. Dziewczyna zła, zła, zła! Przez tysiące lat mówić będę, że zła.

Wszystkie one teraz takie, nawet ta zmokła kura, Aleksandra, ale ta już przynajmniej z pod moich skrzydeł wyleciała. Ale ja również nie wierzę! Być może, że dlatego, iż wierzyć nie chcę, — dodała jakby do siebie samej. — Czemużeś nie przychodził przez te całe trzy dni? — krzyknęła niecierpliwie po raz drugi.

Książę zaczął wyłuszczać przyczyny, ale znów mu przerwała.

— Wszyscy uważają cię za głupca i oszukują. Jeździłeś wczoraj do miasta; założyłabym się żeś na klęczkach prosił tego nikczemnika, aby przyjął od ciebie dziesięć tysięcy rubli!

— Bynajmniej, na myśl mi to nie przyszło. Nawet go na oczy nie widziałem, a poza tem to nie jest człowiek nikczemny. Miałem od niego list.

— Pokaż ten list.

Książę wyjął z pugilaresu kartkę i podał ją Elżbiecie Prokofjewnie. Na kartce były następuje słowa:

Szanowny panie, w oczach ludzkich nie mam oczywiście najmniejszego prawa do miłości własnej. Według przekonań ludzkich jestem na to zbyt marny. Ale to w oczach ludzkich nie w oczach pana. Przekonałem się dostatecznie, że szanowny pan jest może lepszy od innych. Nie godzę się z Doktorenką i różnimy się pod tym względem. Nie przyjmę od pana nigdy ani jednej kopiejki, ale pan pomógł mojej matce i za to powinienem być panu wdzięczny, choćby przez słabość. W każdym razie inaczej się na pana zapatruję i uważałem za właściwe pana o tem zawiadomić. Poza tem przypuszczam, że nie może być między nami żadnych dalszych stosunków.

Antyp Burdowski.

P. S. Brakująca suma do dwustu rubli będzie panu z biegiem czasu na pewno spłacona.

— Co za gmatwanina! — oświadczyła Elżbieta Prokofjewna, rzucając kartkę. — Nie warto było czytać. Czegóż ty się uśmiechasz?

— Przyzna pani, że i pani przyjemnie było przeczytać.

— Co! Ten galimatjas przesiąknięty próżnością! Czyż nie widzisz, że oni wszyscy głowy potracili z pychy i próżności?

— Tak, ale jednak się upokorzył, zerwał z Doktorenką i im bardziej nawet byłby próżny, tem więcej musiałby poświęcić ze swej próżności. O, jakież z pani maleńkie dziecko, Elżbieto Prokofjewno!

— Cóż to, chcesz wkońcu, bym cię spoliczkowała?

— Nie, bynajmniej tego nie chcę. Mówię to dlatego, że pani podoba się ta kartka, a kryje się pani z tem. Czemu się pani uczuć swoich wstydzi? I z panią to tak zawsze.

— Żebyś na krok się już do mnie nie zbliżył, — zerwała się Elżbieta Prokofjewna, blada z gniewu, — żebym cię odtąd u siebie w domu na lekarstwo nawet nie zobaczyła!

— A za trzy dni sama pani przyjdzie i wezwie do siebie... Jak pani nie wstyd? To pani najlepsze uczucia, czemu się pani ich wstydzi? Przecież sama się pani tem męczy.

— Umrę — a nigdy cię nie zawezwę! Zapomnę twego imienia! Już je zapomniałam!!

Wybiegła.

— Mnie i bez pani zakazano do państwa przychodzić! — krzyknął za nią książę.

— Co — co? kto ci zabronił?

— Odwróciła się w jednej chwili, jakby ukłóta szpilką. Książę zawahał się z odpowiedzią; poczuł, że niechcący się wygadał.

— Kto ci zakazywał? — zawołała w wściekłością Elżbieta Prokofjewna.

— Agłaja Iwanowna mi nie pozwala.

— Kiedy? No mówże!!!

— Dziś z samego rana przysłała, żebym się nigdy nie ważył do państwa przychodzić.

Elżbieta Prokofjewna stała, jakby skamieniała; zastanawiała się.

— Co przysłała? Kogo przysłała? Przez malca? Ustnie? — znów nagle zawołała.

— Otrzymałem kartkę — rzekł książę.

— Gdzie jest? Dawaj! W tej chwili!

Książę pomyślał przez chwilę, jednakże wyjął z kieszeni kamizelki świstek papieru, na którym było napisane:

„Książę Leonie Mikołajewiczu! Jeżeli potem wszystkiem, co zaszło, zamierza pan wprowadzać mnie w zdumienie, odwiedzając naszą willę, może pan być przekonany, że nie znajdzie mnie pan w liczbie osób zadowolonych z tego. Agłaja Jepanczynówna".

Elżbieta Prokofjewna pomyślała chwilę, potem nagle rzuciła się ku księciu, schwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą.

— Natychmiast! Chodź! Umyślnie teraz, w tej chwili! — zawołała pod wpływem niezwykłego wzburzenia i zniecierpliwienia.

— Ależ pani mnie naraża...

— Na co? Niewinny z ciebie gluptas! Zupełnie jakby nie mężczyzna. No, teraz to ja widzę wszystko sama, na własne oczy.

— Niechże mi pani chociaż pozwoli wziąć kapelusz...

— Masz tu twoje szkaradne kapelusidło, idziemy! Nie mógł nawet fasonu gustownego wybrać! Ona... ona to po dawnemu, ona to wskutek gorączki, — szeptała Elżbieta Prokofjewna, ciągnąc za sobą księcia i ani na chwilę nie wypuszczając jego ręki. — Ja dopiero co cię broniłam, powiedziała głośno, żeś głupi, że nie przychodzisz... inaczej nie byłaby napisała takiej niedorzecznej kartki! Nieprzyzwoitej kartki. Niewłaściwej dla szlachetnej, dobrze wychowanej, mądrej, mądrej dziewczynki! Hm! — mówiła dalej, — albo.... albo... może... może, sama się rozgniewała, że nie przychodzisz, nie wzięła tylko w rachubę, że tak do idjoty pisać nie można, gdyż on weźmie to dosłownie, jak się też i stało. Czego ty podsłuchujesz? — zawołała, spostrzegłszy, że się wygadała.

— Potrzeba jej takiego błazna, jak ty, dawno takiego nie widziała, oto dlaczego cię prosi! I bardzo, bardzo się cieszę, że ona cię teraz weźmie na kawał, bardzo się cieszę! Tegoś właśnie wart. A ona to potrafi, o, i jak potrafi!...

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

TEODOR DOSTOJEWSKI

DZIEŁA

Serja 2. Tom III i IV

POD REDAKCJĄ
MELCHJORA WAŃKOWICZA
POPRZEDZONE STUDJUM
ANDRZEJA STRUGA

TEODOR DOSTOJEWSKI

IDJOTA



1928

Towarzystwo Wydawnicze „Rój"

PRZEŁOŻYŁA Z ORYGINAŁU
HELENA GROTOWSKA

Drukarnia „Rola" J. Buriana, Warszawa, Mazowiecka 11

CZĘŚĆ DRUGA

I

Uskarżają się ciągle, że brak nam ludzi praktycznych; że polityków, naprzykład, jest dużo, jenerałów również sporo; zarządców wszelkiego rodzaju znaleźć można w każdej chwili i jakich się tylko zapragnie.. a ludzi praktycznych niema. Tak przynajmniej wszyscy się uskarżają. Mówią nawet, że na niektórych kolejach brak porządnej obsługi; mówią, że niemożliwą jest rzeczą, utworzenie znośnej administracji jakiegoś chociażby towarzystwa żeglugi parowej. To znów słyszy się, że na moście jakiejś tam świeżo otwartej linji kolejowej, nastąpiło zderzenie się wagonów; gdzie indziej znów piszą, że pociąg o mało co nie przezimował wśród śnieżnych pól; wyjechali na kilka godzin, a pięć dni stali w śniegu. Albo też opowiadają, że towar gnije tysiącami pudów, oczekując na jednem miejscu po dwa lub trzy miesiące na wysyłkę; tam znów, jak mówią (zresztą trudno uwierzyć), jakiś zarządzający, czy też nadzorca, dał w twarz subjektowi handlowemu, który natarczywie domagał się wysłania towaru; przyczem tłumaczył swój czyn „administracyjny" tem, „że się trochę uniósł". Zdawałoby się, że tyle jest stanowisk na urzędach państwowych, że aż strach ogarnia; wszyscy zajmowali, zajmują, lub mają zamiar zająć jakiś urząd państwowy... więc, czyż nie możnaby stworzyć z takiego materjału przyzwoitego personelu administracyjnego dla jakiegoś towarzystwa żeglugi parowej?

Niekiedy dają na to odpowiedź bardzo prostą.... tak prostą, że wierzyć się nie chce podobnemu wyjaśnieniu. Prawda, mówią, że u nas wszyscy urzędowali lub urzędują, trwa to już od dwustu lat i to według najlepszych wzorów niemieckich, od pradziadów do prawnuków, ale ludzie na urzędach są najmniej praktyczni i doszło do tego, że jeszcze

doniedawna pewna abstrakcyjność lub brak umiejętności i zmysłu do życia praktycznego, uchodziły nieomal za cnotę najwyższą i najlepszą rekomendację pośród samych urzędników. Zresztą, niepotrzebnie zajęliśmy się sferą urzędników, chcieliśmy raczej mówić o ludziach praktycznych. Niema wątpliwości, że nieśmiałość i zupełny brak własnej inicjatywy uważany był u nas za najważniejszą cechę człowieka praktycznego... nawet i teraz tak się myśli. Ale pocóż obwiniać tylko siebie, jeżeli wogóle mamy uważać opinję za oskarżenie? Brak oryginalności wszędzie, na całym świecie i od wieków, uważano zawsze za pierwszą zaletę i najlepszą oznakę człowieka pracowitego, oddanego pracy i praktycznego, i przynajmniej dziewięćdziesiąt dziewięć setnych ludzkości (co najmniej) miało to przekonanie, a tylko jakby jedna setna zawsze patrzyła i patrzy inaczej.

Wynalazcy i ludzie genjalni prawie zawsze na początku swojej karjery (a często i przy końcu) byli uważani przez społeczeństwo za głupców, co jest już zupełnie utartem i aż zanadto wszystkim znanem przekonaniem. Jeżeli, naprzykład, wszyscy w przeciągu dziesiątków lat, znosili swoje pieniądze do lombardu i złożyli tam miljardy na cztery procent, to rozumie się, że gdyby lombardu nie było i każdy był pozostawiony własnej inicjatywie, większość owych miljonów musiałaby koniecznie utonąć w gorączce akcyjnej i w rękach oszustów... wymagała tego nawet pewna przyzwoitość. Właśnie przyzwoitość; jeżeli przyzwoita bojaźliwość i przyzwoity brak oryginalności, według utartego mniemania, stanowiły dotąd u nas niezbędną zaletę człowieka porządnego i dzielnego, byłoby rzeczą nieporządną i nieprzyzwoitą tak się nagle zmienić. Która, naprzykład, matka, serdecznie przywiązana do swego dziecka, nie przerazi się i nie rozchoruje ze strachu, jeżeli syn lub córka choć trochę zboczą z utartej drogi: „Nie, niech już lepiej będzie szczęśliwe i żyje w dostatku i bez oryginalności", myśli każda matka, kołysząc swe dziecko. A niańki nasze, kołysząc dzieci, od wieków przyśpiewują „będziesz w złocie chodził, generalskie szlify nosił!" W ten sposób nawet dla nianiek naszych ranga generała była szczytem rosyjskiego szczęścia i najpopularniejszym ideałem pięknego, spokojnego błogostanu. I rzeczy-

wiście; po przeciętnem złożeniu egzaminu i odbyciu trzydziestu pięciu lat służby... Kto nie mógł u nas stać się nakoniec jenerałem i nie uskładać sobie pewnego kapitału w lombardzie? Tym sposobem Rosjanin, bez żadnych niemal wysiłków, osiągał ostatecznie nazwę człowieka dzielnego i praktycznego. W rzeczy samej, nie zostać jenerałem mógł u nas tylko człowiek oryginalny, inaczej mówiąc niespokojnego ducha. Może tu jest pewne nieporozumienie; ale przeciętnie biorąc tak jest, i społeczeństwo nasze było najzupełniej sprawiedliwe, zakreśliwszy własny ideał człowieka praktycznego. Niemniej przeto wypowiedzieliśmy wiele rzeczy zbytecznych; właściwie bowiem chcieliśmy powiedzieć kilka wyjaśniejących słów o znanej nam rodzinie Jepanczynych. Ci ludzie, a przynajmniej najwięcej myślący członkowie tej rodziny posiadali wspólną rodzinną cechę, biegunowo przeciwną tym cnotom, o których przed chwilą mówiliśmy. Nie zdając sobie całkowicie sprawy z tego faktu (bo wogóle trudno go zrozumieć), podejrzewali niekiedy, że w ich rodzinie coś nie tak się dzieje, jak u innych. U wszystkich gładko, u nich chropowato, wszyscy idą równą drogą... oni wciąż od niej odbiegają, wszyscy co chwila i przyzwoicie czegoś się boją, oni nie. Elżbieta Prokofjewna, rzeczywiście, aż za często się bała, jednakże nie była to owa przyzwoita światowa bojaźliwość, do której zawsze tęsknili. Zresztą chyba tylko jedna Elżbieta Prokofjewna niepokoiła się; panny były jeszcze młode... aczkolwiek bardzo spostrzegawcze i złośliwe, a jenerał, choćby nawet co zauważył (zresztą nie bez trudu), w kłopotliwych sytuacjach mawiał tylko: „hm!“ i ostatecznie pokładał wszystkie nadzieje w Elżbiecie Prokofjewnie. Na niej więc, rzecz prosta, ciążyła odpowiedzialność. Nie można powiedzieć, żeby naprzykład rodzina wyróżniała się własną inicjatywą i odbiegała od utartej drogi wskutek świadomego dążenia do oryginalności, co byłoby już zupełnie nieprzyzwoite. O, nie! W rzeczywistości nic podobnego nie miało miejsca, to jest nie było żadnego świadomie postawionego celu, a jednak ostatecznie wynik był taki, że rodzina Jepanczynych, choć zewszechmiar godna szacunku, nie była taką, jaką winna być każda szanowna rodzina. W ostatnich czasach Elżbieta Prokofjewna za-

częła uważać, że wszystkiemu winna ona sama i jej „nieszczęśliwe“ usposobienie... Co, naturalnie, tylko powiększyło jej cierpienia. Co chwila sama nazywała się „głupią, nieprzyzwoitą, dziwaczką“ i męcząc się różnemi wątpliwościami, gubiła się ciągle, nie znajdując wyjścia z najzwyklejszego zbiegu okoliczności i przesadnie oceniała nieszczęście.

Jeszcze na początku naszego opowiadania, wspomnieliśmy, że Jepanczynowie cieszyli się rzeczywiście ogólnem poważaniem. Nawet sam jenerał Jan Teodorowicz, człowiek niewyraźnego pochodzenia, był niewątpliwie wszędzie i z szacunkiem przyjmowany. Na szacunek zasługiwał, przedewszystkiem jako człowiek zupełnie przyzwoity, aczkolwiek niezbyt wybitny. Pewna jednak tępota umysłu jest, zdaje się, konieczną zaletą jeżeli nie każdego działacza, to przynajmniej każdego człowieka poważnie ciułającego kapitały. Zresztą, jenerał był dobrze ułożony, skromny, umiał zachować milczenie, a jednocześnie nie pozwolić deptać sobie po nogach.... i nie tylko ze względu na swój tytuł jeneralski, ale również jako człowiek uczciwy i szlachetny. Najważniejszem było to, że miał silne poparcie. Co do Elżbiety Prokofjewny, to, jak mówiliśmy poprzednio, pochodziła z dobrej rodziny, choć niewielką na to zwracają u nas uwagę, jeżeli się nie ma przytem odpowiednich stosunków. Ostatecznie jednak znalazłaby i ona stosunki; poważały ją i polubiły takie osobistości, że ze względu na nie, wszyscy, naturalnie, musieli ją szanować i przyjmować. Bez wątpienia, wszystkie jej kłopoty rodzinne były nieuzasadnione, nie miały przyczyny poważnej i wyolbrzymione były do śmieszności; ale kiedy kto ma brodawkę na nosie lub na czole, to zawsze zdaje mu się, że cały świat wciąż tylko patrzy na tę brodawkę, śmieje się z niej i za nią potępia, choćby się nawet poza tem odkryło Amerykę. Nie ulega również wątpliwości, że w towarzystwie uważano Elżbietę Prokofjewnę istotnie za „dziwaczkę“; ale szanowano ją bezsprzecznie: ona zaś przestała ostatecznie wierzyć nawet w to, że ją szanują... i to było całe jej nieszczęście. Patrząc na swoje córki, męczyła się podejrzeniem, że wciąż szkodzi ich karjerze, że charakter jej jest śmieszny, nieprzyzwoity i nieznośny... o co znów bez przerwy obwiniała córki swe i Jana Teodoro-

wicza, i po całych dniach kłóciła się, kochając je jednocześnie bez pamięci i niemal namiętnie.

Najwięcej męczyło ją podejrzenie, że córki stają się takiemi samemi „dziwaczkami", jak ona, i że takich panien, jak one, niema na świecie i być nie powinno. „Nihilistek się dochowam", powtarzała co chwila. W ciągu ostatniego roku, a szczególniej w ostatnich czasach, myśl ta coraz mocniej się w niej zakorzeniła. „Przedewszystkiem czemu one zamąż nie wychodzą", pytała sama siebie co chwila. „Żeby matce dokuczyć, to jest celem ich życia, i dzieje się tak niezawodnie naskutek tej nowej idei, tej przeklętej kwestji kobiecej". Nie dalej, jak pół roku temu, czyż nie strzeliła Agłai myśl obcięcia swych wspaniałych włosów! („Boże, ja nawet nigdy takich włosów nie miałam!"). Miała już przecież nożyczki w ręku, na kolanach uprosiłam ją, by tego nie robiła!... No ta, przypuśćmy, robiła to ze złości, żeby matce dokuczyć, bo to dziewczyna zła, samowolna, rozpieszczona, ale przedewszystkiem zła, okropna złośnica! A ta grubaska Aleksandra, czyż nie chciała za jej przykładem również kosmyków swych obcinać, już nie ze złości, nie dla kaprysu, a szczerze, przez naiwność, bo ją Agłaja przekonała, że bez włosów śpi się lepiej i głowa nie boli? A iluż, iluż... w przeciągu pięciu lat... miały narzeczonych? Ludzie byli zacni, niektórzy nawet dużej wartości!" Na co czekają, czemu nie wychodzą zamąż? Tylko żeby matce dokuczyć... żadnej innej przyczyny niema! żadnej! żadnej!

Nakoniec rozchmurzyło się trochę niebo i dla jej matczynego serca; przynajmniej jedna córka, przynajmniej Adela będzie już na swojem... „Przynamniej jednego kłopotu mniej, mówiła Elżbieta Prokofjewna, ale tylko na głos (bo pocichu daleko czulej się o tem odzywała). I jak ładnie, jak przyzwoicie się wszystko odbyło, nawet w towarzystwie mówiono o tem z szacunkiem. Człowiek znany, książę, z majątkiem, człowiek dobry w dodatku i spodobał się jej; trudno lepiej wymarzyć. Lecz o Adelę i dawniej mniej się obawiała niż o inne córki, choć artystyczne jej upodobania bardzo nieraz trapiły gubiące się ciągle w wątpliwościach serce Elżbiety Prokofjewny. „Za to usposobienie wesołe i dużo rozsądku... więc dziewczyna nie zginie", pocieszała się wkońcu. Naj-

bardziej bała się o Agłaję. Co do Aleksandry, to Elżbieta Prokofjewna nie była zdecydowana: czy obawiać się o nią, czy nie? Czasem zdawało się, że „dziewczyna stracona“; dwudziestu piąty rok minął, więc będzie starą panną. „I z taką urodą!“... Elżbieta Prokofjewna nawet po nocach o nią płakała, podczas gdy Aleksandra Iwanowna spała najspokojniej w świecie. „Co ona sobie myśli... nihilistka, czy taka naiwna?“ Że nie była głupią, co do tego sama Elżbieta Prokofjewna żadnych wątpliwości nie miała; szanowała bardzo zdania Aleksandry Iwanowny i lubiła się jej radzić. Ale, że „zmokła kura“... to nie ulega wątpliwości: „spokojna, aż trudno zrozumieć! Zresztą i „zmokłe kury“ nie są spokojne! Straciłam już przy nich głowę!“ Elżbieta Prokofjewna miała jakiś niewytłumaczony pociąg do Aleksandry Iwanowny, większy nawet niż do Agłai, którą ubóstwiała. Ale przykre uwagi (które właśnie były przejawem jej matczynej troskliwości i sympatji), przyczepki, takie miana, jak „zmokła kura“, rozśmieszały tylko Aleksandrę. Bywały przypadki, że najmniejsze błahostki okropnie gniewały Elżbietę Prokofjewnę i wyprowadzały z równowagi. Aleksandra Iwanowna lubiła, naprzykład, długo sypiać i miewała zazwyczaj wiele snów; jej sny odznaczały się niewinnością... odpowiednią dla siedmioletniej dziewczynki; otóż niewiadomo czemu, nawet ta naiwność snów bardzo matkę irytowała. Pewnego razu Aleksandra Iwanowna widziała we śnie dziewięć kur, co doprowadziło do formalnej kłótni z matką... dlaczego? Trudno zrozumieć. Raz tylko dało się jej zobaczyć we śnie coś bardziej oryginalnego... ujrzała mnicha samotnego w głębi ponurego pokoju, do którego bała się wejść. Sen powtórzyły Elżbiecie Prokofjewnie zaraz i uroczyście roześmiane siostry Aleksandry; lecz matka znów się rozgniewała i nazwała wszystkie trzy głupiemi. „Hm! spokojna, jak dziecko i rzeczywiście „zmokła kura“, nie można jej rozruszać, a smutna, czasem tak smutnie patrzy! Czem się ona martwi, czem?“ I kiedy zadawała to pytanie Janowi Teodorowiczowi, i jak zwykle, w sposób groźny, histeryczny, w oczekiwaniu niezwłocznej odpowiedzi, Jan Teodorowicz, chmurzył się, wzruszał ramionami i mówił ostatecznie, rozkładając ręce:

— Potrzeba męża!

— Tylka daj jej Boże nie takiego, jak ty, Janie Teodorowiczu — wybuchnęła nakoniec jak bomba, Elżbieta Prokofjewna. — Nie takiego w swych zdaniach i postanowieniach, jak ty, Janie Teodorowiczu...

Jan Teodorowicz ratował się niezwłocznie ucieczką, a Elżbieta Prokofjewna wracała po „wybuchu" do siebie. Naturalnie, pod wieczór stawała się bardzo poważającą, cichą i miłą dla Jana Teodorowicza, gdyż całe życie kochała i była nawet zakochana w Janie Teodorowiczu, o czem znakomicie wiedział sam Jan Teodorowicz i nieskończenie szanował swoją Elżbietę Prokofjewnę.

Lecz głównym i stałym przedmiotem jej zmartwień była Agłaja.

— Zupełnie do mnie podobna, moja podobizna pod każdym względem — mówiła do siebie Elżbieta Prokofjewna — samowolne, nieznośne djablątko! Nihilistka, dziwaczka, warjatka, zła, zła, zła! O Boże, jaka ona będzie nieszczęśliwa!

Ale jak już mówiliśmy, rozchmurzone niebo złagodziło wszystko i na chwilę rozjaśniło. Prawie przez miesiąc Elżbieta Prokofjewna odpoczywała, zupełnie wolna od wszystkich kłopotów. Z powodu zbliżającego się ślubu Adeli, zaczęto w towarzystwie mówić i o Agłai, która zachowywała się wszędzie tak godnie, spokojnie, tak rozumnie, tak zwycięsko, trochę dumnie, ale tak jej z tem było do twarzy! Była miła i tak uprzedzająca dla matki przez cały miesiąc! („Prawda, trzeba się jeszcze dobrze przyjrzeć temu Eugenjuszowi Pawłowiczowi, rozgryźć go trzeba, zresztą i Agłaja, zdaje się, że nie wiele więcej zwraca na niego uwagi, niż na innych!"). Odrazu zrobiła się z niej taka zachwycająca panienka... i jaka ona ładna, Boże mój, jaka ładna, z dnia na dzień piękniejsza! I oto...

I oto zaledwie zjawił się ten marny książę, ten nędzny idjota, wszystko się znów popsuło, wszystko się w domu poprzewracało do góry nogami!

Cóż się jednak stało?

Dla kogokolwiek bądź innego, nie byłoby, napewno w tem nic nadzwyczajnego. Ale tem się właśnie wyróżniała

Elżbieta Prokofjewna, że wśród gwatwaniny najzwyklejszych w świecie rzeczy, przez pryzmat nigdy nie opuszczających ją obaw dostrzegała zawsze coś takiego, co doprowadzało ją do rozpaczy, napełniało urojonem, niewytłumaczonem, najstraszniejszem przerażeniem. Jakże miała się ona czuć obecnie, gdy wśród mnóstwa bezsensownych, śmiesznych i nieuzasadnionych obaw zaczęło występować coś rzeczywiście ważnego, coś jakby naprawdę zasługującego na obawy, wątpliwości i podejrzenia.

„Jak oni śmieli, jak miał ktoś czelność przysłać mi ten list anonimowy o tej istocie, że jest ona w stosunkach z Agłają?“ myślała Elżbieta Prokofjewna przez całą drogę, ciągnąc za sobą księcia, a w domu, kiedy usadowiła go przy okrągłym stole, gdzie zebrała się cała rodzina; jak mogło to komu przyjść na myśl? Umarłabym ze wstydu, gdybym mogła dać temu wiarę, lub pokazała ten list Agłai. Tak sobie kpić z nas, z Jepanczynych! A wszystko przez Jana Teodorowicza, przystko przez ciebie, Janie Teodorowiczu! Ach czemu nie pojechaliśmy na wyspę Jełagińską: mówiłam przecież, żeby tam jechać! To może Baśka list napisała, już wiem, albo, może... wszystkiemu, wszystkiemu winien Jan Teodorowicz! Z niego zakpiono sobie, z powodu dawnych stosunków żeby go wystawić na pośmiewisko, tak samo, jak wyśmiewała się dawniej z niego, jak z durnia, wodziła go na pasku, gdy jej jeszcze znosił perły... Ostatecznie jednak jesteśmy wmieszani, i tak, Janie Teodorowiczu, twoje córeczki są wmieszane, panny z dobrego towarzystwa, panny na wydaniu; one tu były, tutaj stały, wszystko słyszały i są wplątane w awanturę z urwisami, ciesz się, też tu byłeś i słyszałeś! Nie daruję, nie daruję temu księciu, nigdy nie daruję! I czemu Agłaja ma już od trzech dni ataki histeryczne, czemu o mało nie pokłóciła się z siostrami, nawet z Aleksandrą, którą zawsze, jak matkę, po rękach całowała... tak ją szanowała... Czemu od trzech dni wszystkim każe odgadywać zagadki? Co to za Gabrjel Iwołgin? Czemu ona dziś i wczoraj zaczęła chwalić Gabrjela Iwołgina i rozpłakała się? Czemu w tym liście anonimowym mówią o tych przeklętym „biednym rycerzu“, podczas gdy ona nawet siostrom listu księcia nie pokazała? I po-

co... naco, jak oparzona po niego pobiegłam i sama go tutaj sprowadziłam? Boże, zwarjowałam, com ja teraz narobiła! Mówić z młodym człowiekiem o tajemnicach córki, i nawet... i że o takich tajemnicach, które nieledwie jego samego dotyczą! Boże, dobrze jeszcze, że to idjota... i... i... przyjaciel domu! Ale czy naprawdę spodobał się Agłai taki potworek! Boże, co ja plotę! Tfu! Dziwacy jesteśmy... za szkłem należałoby nas pokazywać, mnie pierwszą, po dziesięć kopiejek za wejście. Nie przebaczę ci tego, Janie Teodorowiczu, nigdy nie przebaczę! I czemu ona mu teraz nie dokucza! Obiecała dokuczać, a milczy! Patrzy na niego szeroko rozwartemi oczyma, milczy, nie odchodzi, stoi, a sama nie kazała mu przychodzić... On siedzi blady, jak płótno. A ten przeklęty gaduła Eugenjusz Pawłowicz mówi za wszystkich? Rozpływa się, nikomu nie da przyjść do słowa. Zarazbym się o wszystkiem dowiedziała, żeby tylko naprowadzić rozmowę"...

Książę istotnie siedział przy okrągłym stole bardzo blady i zdawało się, że był jednocześnie okropnie przerażony, a chwilami, w niezrozumiałym dla niego samego porywającym zachwycie. O, jakże się bał spojrzeć w tę stronę kąta, skąd wytrwale patrzało na niego dwoje znanych mu czarnych oczu, a jednocześnie zamierał ze szczęścia, myśląc, że znów siedzi wśród nich, usłyszy znajomy głos... i po tem, co mu napisała, „Boże! co ona teraz powie!" Sam nie powiedział jeszcze ani słowa i z natężeniem słuchał gadaniny Eugenjusza Pawłowicza, który rzadko bywał w tak dobrem i podnieconem usposobieniu, jak tego wieczoru. Książę słuchał go długo i nie rozumiał ani słowa. Oprócz Jana Teodorowicza, który nie wrócił jeszcze z Petersburga, zebrali się wszyscy. Książę S. też był obecny. Zdaje się, że całe towarzystwo miało zamiar przed herbatą pójść posłuchać muzyki. Obecną rozmowę rozpoczęto, widocznie, przed przyjściem księcia. Wkrótce zjawił się na tarasie Kola. „Więc przyjmują go po dawnemu", pomyślał książę.

Willa Jepanczynych była przemiła, w stylu szwajcarskiej chaty, ubrana ze wszystkich stron drzewami i kwiatami. Ze wszystkich też stron otaczał ją niewielki, ale prześliczny

ogród kwiatowy. Wszyscy siedzieli na tarasie, tak jak u księcia; tylko że był trochę większy i wykwintniejszy.

Temat rozpoczętej rozmowy najwidoczniej nie wszystkim się podobał, i jak łatwo było się domyśleć, rozmowa zaczęła się od małej kłótni i naturalnie wszyscy woleli mówić o czem innnem, ale Eugenjusz Pawłowicz tem bardziej się upierał i nie zwracał uwagi na ogólny nastrój; przyjście księcia jakgdyby go jeszcze bardziej podnieciło. Elżbieta Prokofjewna marszczyła brwi, choć nie wszystko rozumiała. Agłaja, siedząc zboku, prawie w kącie, nie ruszała się, słuchała i milczała uparcie.

— Przepraszam pana — odpowiadał z zapałem Eugenjusz Pawłowicz — nic nie mam przeciwko liberalizmowi. Nie jest on grzechem; to raczej konieczny składnik całości, która bez niego rozpadnie się lub zamrze; liberalizm ma tyleż racji bytu, co i najprzyzwoitszy konserwatyzm; występuję tylko przeciwko rosyjskiemu liberalizmowi i znów powtarzam, że występuję przeciwko niemu dlatego, że rosyjski liberał nie jest rosyjskim liberałem, lecz nierosyjskim liberałem. Pokażcie mi rosyjskiego liberała, a zaraz go w waszej obecności ucałuję.

— Jeżeli tylko on się na to zgodzi — powiedziała niezwykle rozdrażniona Aleksandra Iwanowna. Policzki nawet miała bardziej niż zwykle zarumienione.

„Patrzcie no, pomyślała Elżbieta Prokofjewna, czasem śpi, i rozruszać jej nie można, a czasem znów wyrwie się raz do roku i tak się odezwie, że ręce opadają.“

Książę zauważył, że Aleksandrze Iwanownie bardzo się nie podoba, że Eugenjusz Pawłowicz mówi zbyt wesoło, mówi o rzeczach poważnych i jakby z zapałem, a jednocześnie jakby sobie podkpiwał.

— Twierdziłem dopiero co, przed samem pańskiem przyjściem, książę — ciągnął dalej Eugenjusz Pawłowicz — że dotychczas mieliśmy liberałów z dwóch tylko warstw społeczeństwa, z dawnej obywatelskiej (zniesionej ukazem) i z pośród seminarzystów. A ponieważ obydwa stany stały się ostatecznie kastami, czemś zupełnie odrębnem od narodu, i to się coraz bardziej potęguje z każdem nowem pokoleniem,

więc, naturalnie, wszystko co oni robili i robią, było zupełnie nie narodowe...

— Jakto? Więc wszystko, co zostało zrobione.. nie jest rosyjskie? — zapytał książę S.

— Nie narodowe; choć po rosyjsku, jednak nie narodowe; i liberałów mamy nierosyjskich i konserwatystów nierosyjskich, wszystkich... I może pan być pewny, że naród nie uzna nic z tego, co zostało zrobione przez obywatelstwo i seminarzystów, ani teraz, ani potem...

— Dobre sobie! Jak pan może mówić coś tak paradoksalnego, o ile pan nie żartuje? Nie mogę pozwolić na taką ocenę rosyjskiego obywatelstwa; pan sam jest obywatelem ziemskim — gorąco protestował książę S.

— Przecież ja nie w tem znaczeniu mówię o rosyjskiem obywatelstwie, jak pan myśli. Warte ono poważania, choćby dlatego, że ja do niego należę; szczególnie obecnie, gdy przestało istnieć jako stan...

— Czy i w literaturze nie było nic narodowego? — przerwała Aleksandra Iwanowna.

— Ja na literaturze się nie znam, lecz i literatura rosyjska, według mnie, cała nie rosyjska, z wyjątkiem chyba Łomonosowa, Puszkina i Gogola.

— Po pierwsze, to wcale nie mało, a po drugie tylko jeden z ludu, a dwaj pozostali... obywatele ziemscy — roześmiała się Adelajda.

— Nie przeczę, ale nie cieszcie się, państwo. Ponieważ tylko tym trzem z pośród wszystkich pisarzy rosyjskich udało się powiedzieć coś rzeczywiście swojego, swojego w ł a s n e g o, nie zapożyczonego u nikogo, więc dzięki temu stali się oni narodowymi. Kto z pośród ludzi rosyjskich powie, napisze lub zrobi coś zupełnie w ł a s n e g o, ten staje się bezwzględnie narodowym, choćby nawet źle mówił po rosyjsku. To dla mnie pewnik. Zaczęliśmy jednak mówić nie o literaturze, lecz o socjalistach, i stąd powstała rozmowa; otóż twierdzę, że nie mamy ani jednego rosyjskiego socjalisty; niema i nie było, bo wszyscy nasi socjaliści pochodzą również z pośród obywatelstwa lub seminarzystów. Wszyscy nasi zajadli, patentowani socjaliści, tak samo miejscowi, jak i zagraniczni, są tylko liberałami z pośród obywateli z czasów

poddaństwa. Czemu się państwo śmiejecie? Dajcie mi ich książki, ich nauki, ich pamiętniki i, choć nie jestem krytykiem literackim, podejmuję się napisać zupełnie przekonywującą krytykę literacką, w której dowiodę, jak na dłoni, że każdy wiersz ich książek, broszur, pamiętników został napisany przedewszystkiem przez dawnego obywatela ziemskiego. Ich złość, oburzenie, dowcip, zachwyty, łzy, są prawdziwe, może nawet szczere, ale... wszystko zatrąca obywatelem! Obywatelem lub seminarzystą... Znowu się śmiejecie, i książę się śmieje? Pan również nie zgadza się?

Rzeczywiście wszyscy się śmiali, i książę się uśmiechnął.

— Trudno mi tak odrazu powiedzieć, czy się zgadzam, czy nie — powiedział książę już bez uśmiechu i z wyrazem twarzy ucznia, złapanego na gorącym uczynku — upewniam tylko pana, że słucham z ogromną przyjemnością.

Mówiąc to, nieszczerze zakrztusił się tak, że zimny pot wystąpił mu na czoło. Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedział od chwili przyjścia. Chciał rzucić okiem wokoło, ale się nie odważył; Eugenjusz Pawłowicz zauważył ten ruch i uśmiechnął się.

— Powiem państwu pewien fakt — ciągnął dawnym tonem, to jest jakby z ogromnym zapałem i porywem, a jednocześnie śmiejąc się niemal, z własnych być może słów — fakt, spostrzeżenie a nawet odkrycie, które mam zaszczyt przypisać sobie; przynajmniej nikt o tem jeszcze nie mówił, nie pisał. W fakcie tym streszcza się cała istota rosyjskiego liberalizmu w rodzaju tego, o którym mówię. Przedewszystkiem czemże jest wogóle liberalizm, jeśli nie wystąpieniem (rozumnem czy błędnem, to inna sprawa) przeciwko istniejącym stosunkom? Czyż nie tak? Otóż moje odkrycie polega na tem, że rosyjski liberalizm jest wystąpieniem nie przeciwko istniejącemu układowi stosunków, ale przeciwko samej istocie naszych stosunków, nie przeciwko porządkowi rzeczy, nie przeciwko rosyjskim porządkom, ale przeciwko samej Rosji. Taki liberał doszedł do tego, że odrzuca samą Rosję, nienawidzi i bije matkę swoją. Każde nieszczęście, niepowodzenie Rosji wzbudza w nim uśmiech i nieledwie zachwyt. Nienawidzi obyczajów ludowych, dziejów ojczystych, wszystkiego. Co można powiedzieć na jego obronę?

chyba to, że nie rozumie, co czyni, i swoją nienawiść do Rosji uważa za najpłodniejszy liberalizm (często można u nas spotkać liberała, któremu potakują inni, a który w rzeczywistości jest może najbezmyślniejszym, tępym i bardzo niebezpiecznym konserwatystą, ale sam o tem nie wie!). Tę nienawiść do Rosji do niedawna jeszcze niektórzy z pośród liberałów uważali za prawdziwą miłość ojczyzny i chlubili się, że lepiej od innych rozumieją, na czem ona powinna polegać; teraz wszakże stali się szczersi i wstydzą się nawet słów „Miłość ojczyzny!" usunęli samo jej pojęcie, jako szkodliwe i bezwartościowe. To jest fakt niezbity, od tego nie odstąpię i... trzaba było raz powiedzieć całą prawdę, prosto i otwarcie; ale jednocześnie jest to fakt, który się nigdy i nigdzie, od najdawniejszych czasów i w żadnym narodzie nie zdarzał, a więc fakt przypadkowy, i może minąć, z tem się zgadzam. Nigdzie nie może być takich liberałów, którzy nienawidzą własnej ojczyzny. Czem się to da u nas wytłumaczyć? Tem samem, co i przedtem... mianowicie, że liberał rosyjski nie jest jeszcze rosyjskim liberałem; przynajmniej według mego zdania.

— Wszystko, co powiedziałeś, uważam za żart, Eugenjuszu Pawłowiczu — odpowiedział poważnie książę S.

— Nie znam wszystkich liberałów, więc sądzić o nich nie chcę — powiedziała Aleksandra Iwanowna — lecz wysłuchałam pańskich wywodów z oburzeniem. Wziął pan poszczególny wypadek i uznał go pan za prawo ogólne a więc jest to potwarz.

— Poszczególny przypadek? Ta-ak! — podchwycił Eugenjusz Pawłowicz. — Jak książę myśli, czy poszczególny przypadek, czy nie?

— Ja również muszę powiedzieć, że mało widziałem i mało się spotykałem... z liberałami — powiedział książę — ale zdaje mi się, że pan ma poczęści słuszność i że rosyjski liberalizm, o którym pan mówił, jest rzeczywiście poniekąd skłonny do nienawidzenia samej Rosji, a nietylko obecnego układu stosunków. Naturalnie, tylko poniekąd... i oczywiście w żadnym razie nie można tego stosować do wszystkich...

Zmieszał się i nie dokończył. Pomimo wzruszenia, książę nadzwyczajnie był zajęty rozmową. Posiadał szcze-

gólną cechę, polegającą na niezwykłej naiwności uwagi, z jaką zawsze słuchał czegoś dla siebie ciekawego jak również na naiwności odpowiedzi, które dawał, kiedy się zwracano do niego z zapytaniem. W twarzy jego, a nawet w pochyleniu ciała zadziwiająco ujawniała się ta naiwność, i ta ufność, nie podejrzewająca drwin lub ironji. Ale chociaż Eugenjusz Pawłowicz oddawna już nie zwracał się do niego inaczej, jak z pewnym szczególnym uśmieszkiem, tym razem jednak spojrzał poważnie na księcia, jakby zupełnie nie oczekiwał takiej od niego odpowiedzi.

— Więc... pan jednak tak dziwnie... powiedział; czy naprawdę książę poważnie mi odpowiedział?

— A czy pan nie pytał poważnie? — odpowiedział zdumiony książę.

Wszyscy się roześmieli.

— Niech mu pan nie wierzy—powiedziała Adelajda— Eugenjusz Pawłowicz zawsze blaguje! Gdyby pan wiedział o czem on niekiedy mówi najpoważniej w świecie.

— Podług mnie, ciężka to rozmowa i lepiej było wcale jej nie zaczynać — zauważyła szorstko Aleksandra— chcieliśmy pójść na spacer...

— Ależ chodźmy, cudowny wieczór!—zawołał Eugenjusz Pawłowicz. — Lecz, żeby dowieść państwu, że tym razem mówiłem zupełnie poważnie, a zwłaszcza, aby przekonać o tem księcia (pan wzbudził we mnie duże zaciekawienie i, słowo daję, nie jestem człowiekiem tak marnym, jak się to bezwarunkowo wydaje... choć w gruncie rzeczy jestem mało poważnym człowiekiem!) i... jeżeli państwo pozwolą, zadam księciu jeszcze jedno pytanie, dla mojej własnej ciekawości i na tem skończymy. Pytanie to, jakby naumyślnie przyszło mi do głowy dwie godziny temu (widzi książę, i ja również niekiedy myślę o poważnych rzeczach); odpowiedź znalazłem, ale posłuchajmy, co powie książę. Mówiono dopiero co o „poszczególnym przypadku". Charakterystyczne wyrażenie... Często się je słyszy. Niedawno wszyscy mówili i pisali o tem okropnem zamordowaniu sześciu osób przez... młodego człowieka, i o dziwnej obronie adwokata, który powiedział, że myśl zamordowania sześciu osób zupełnie n a t u r a l n i e musiała powstać w głowie

przestępcy, wobec rozpaczliwych jego warunków materjalnych. Przytaczam nie dosłownie, ale taka zdaje się była treść przemówienia. Według mego zdania, adwokat, wypowiadający taką dziwną myśl był głęboko przekonany, że mówi rzecz najbardziej liberalną, humanitarną i jak na nasze czasy postępową. No, a pan, Lwie Mikołajewiczu, jak pan myśli: czy to zwyrodnienie pojęć i przekonań i ta zdolność do tak spaczonego i zdumiewającego poglądu na sprawę, jest przypadkiem poszczególnym, czy też ogólnym.

Wszyscy się roześmieli.

— Poszczególnym, oczywiście poszczególnym — zawołały ze śmiechem Aleksandra i Adelajda.

— I pozwól zwrócić sobie uwagę, Eugenjuszu Pawłowiczu — dodał książę S. — że dowcip twój już jest za bardzo utarty.

— Co książę myśli?—nie dosłyszał Eugenjusz Pawłowicz, spostrzegłszy skierowane na siebie zainteresowanie i poważne spojrzenie Lwa Mikołajewicza. — Jak się panu zdaje: czy to przypadek poszczególny, czy ogólny? Przyznam się, że specjalnie dla pana obmyśliłem to pytanie.

— Nie, nie poszczególny — cicho, ale twardo powiedział książę.

— Zlituj się Leonie Mikołajewiczu — z pewną złością zawołał książę S. — czy pan nie widzi, że on chce pana złapać; on sobie kpi i upatrzył sobie w panu ofiarę.

— Myślałem, że Eugenjusz Pawłowicz mówi poważnie — zarumienił się książę i spuścił wzrok.

— Kochany książę — ciągnął dalej książę S. — niech sobie pan przypomni, o czem rozmawiliśmy ze trzy miesiące temu; mówiliśmy właśnie o tem, że w naszych młodych i świeżo otwartych sądach wyróżniło się już tylu utalentowanych i wybitnych obrońców! Ileż nadzwyczajnie ciekawych postanowień przysięgłych? Jakże się pan sam cieszył. I z jaką przyjemnością widziałem wówczas pańską radość. Mówiliśmy, że możemy być dumni... A ta niezdarna obrona, ten dziwaczny argument jest, oczywiście, tylko przypadkiem, jednym na tysiąc.

Książę Leon Mikołajewicz pomyślał chwilę, ale z głębokiem przekonaniem, choć cicho i jakby nieśmiało, odrzekł:

— Chciałem tylko zaznaczyć, że zwyrodnienie idei i pojęć (jak się wyraził Eugenjusz Pawłowicz) zdarza się bardzo często, jest na nieszczęście raczej ogólnem niż poszczególnem zjawiskiem. Do takiego nawet stopnia, że gdyby to zwyrodnienie nie było tak ogólnem zjawiskiem, to może nie zdarzyłyby się zbrodnie tak nieprawdopodobne, jak te...

— Nieprawdopodobne zbrodnie? Ależ upewniam pana, że takie same zbrodnie, a może i ohydniejsze zdarzały się i dawniej; nietylko u nas, ale i wszędzie, i podług mnie długo jeszcze będą się zdarzać. Cała różnica polega na tem, że dawniej nie dochodziły do wiadomości publicznej, a teraz mówią i piszą o nich otwarcie, więc wydaje się, że tacy zbrodniarze dopiero teraz się pojawili. Na tem polega pańska pomyłka, bardzo naiwna pomyłka, książę, upewniam pana — uśmiechnął się ironicznie książę S.

— Wiem bardzo dobrze, że równie ohydne zbrodnie zdarzały się często i dawniej; niedawno byłem w więzieniu karnem i udało mi się zawrzeć znajomość z niektórymi zbrodniarzami i oskarżonymi. Są zbrodniarze nawet i gorsi od tych, którzy zabili po dziesięć osób bez skruchy. Ale oto, co przytem zauważyłem: najwięcej nawet zatwardziały zbrodniarz wie jednak, że jest zbrodniarzem, uważa w swojem sumieniu, że postąpił źle; choć nie żałuje. Takimi są wszyscy; a przecież ci, o których mówił Eugenjusz Pawłowicz, nie chcą nawet uważać się za zbrodniarzy i myślą, że mieli prawo i... nawet dobrze zrobili. Na tem właśnie polega, według mnie, ogromna różnica. I proszę zauważyć, że to wszystko młodzież; ten właśnie wiek, kiedy najłatwiej ulec można zwyrodnieniu pojęć.

Książę S. już się nie śmiał i wysłuchał księcia ze zdumieniem. Aleksandra Iwanowna, która już dawno chciała coś zauważyć, zamilkła, jakby pod wrażeniem jakiejś szczególnej myśli. Eugenjusz Pawłowicz zaś spoglądał na księcia niezmiernie zdziwiony i tym razem bez żadnych uśmiechów.

— Cóż się pan tak dziwi — wystąpiła niespodziewanie Elżbieta Prokofjewna — czy on od pana głupszy, że inaczej rzecz bierze?

— No, nie o to mi chodzi, — powiedział Eugenjusz Pawłowicz — ale jakże pan (przepraszam za pytanie), je-

żeli pan to widzi i spostrzega, jakim sposobem (znów przepraszam) w tej dziwnej sprawie... przed kilku dniami... w sprawie Burdowskiego, zdaje się... nie zauważył pan takiego samego zwyrodnienia moralnego? Ale to zupełnie takiego samego! Zdawało mi się wówczas, że pan wcale tego nie zauważył?

— A widzisz, mój panie — uniosła się znów Elżbieta Prokofjewna — myśmy wszyscy zauważyli, zebraliśmy się i chwalimy się przed nim, a on dzisiaj dostał list od jednego z nich, od najważniejszego, tego dziobatego, pamiętasz, Aleksandro? Prosi go w liście o przebaczenie, choć na swój sposób, i zawiadamia, że porzucił tego przyjaciela, który wtedy go podburzał pamiętasz, Aleksandro?...I, że teraz więcej ufa księciu. A do nas przecież nikt takiego listu nie napisał i niema co tutaj przed nim nosa zadzierać.

— Hipolit również dopiero co przyjechał do naszej willi! — krzyknął Kola.

— Jakto! Już tutaj? — zaniepokoił się książę.

— Zaledwie pan wyszedł z Elżbietą Prokofjewną... stanął na miejscu; ja go przewiozłem!

— Ręczę — wybuchnęła nagle Elżbieta Prokofjewna, zapominając, że przed chwilą chwaliła księcia — założę się, że on wczoraj chodził do niego na facjatkę i błagał go na kolanach o przebaczenie, żeby ten złośnik raczył tu przyjechać? Jeździłeś wczoraj? Sam przyznawałeś się niedawno. Tak, czy nie? Upadłeś na kolana, czy nie?

— Wcale nie padał — zawołał Kola — wprost przeciwnie: Hipolit chwycił wczoraj księcia za rękę i dwa razy pocałował, sam widziałem, na tem się cała sprawa skończyła, poza tem książę wprost mu powiedział, że lepiej mu będzie na letniem mieszkaniu, i on bez wahania zgodził się przyjechać, gdy tylko będzie się czuł lepiej.

— Kola, poco to... — mruknął książę, podnosząc się i biorąc kapelusz — poco pan opowiada, ja...

— Dokąd? — zatrzymała go Elżbieta Prokofjewna.

— Niech się książę nie kłopocze — ciągnął Kola z zapałem — niech książę nie chodzi i nie przeszkadza mu, usnął po podróży; i wie książę, podług mnie, będzie daleko lepiej, jeżeli się dzisiaj nie będziecie widzieli, a dopiero jutro,

bo on znów będzie czuł się skrępowany. Mówił nawet dziś rano, że już pół roku nie czuł się tak dobrze i tak silny, dużo nawet mniej kaszle.

Książę zauważył, że Agłaja wstała nagle ze swego miejsca i zbliżyła się do stołu. Nie śmiał spojrzeć na nią, ale czuł całą istotą, że ona w tej chwili patrzy na niego, i może patrzy groźnie, że jej ciemne oczy patrzą napewno z oburzeniem, i twarz mu rozgorzała.

— A mnie się zdaje, Mikołaju Ardałjonowiczu, że niepotrzebnie pan go tutaj przywiózł, jeżeli to ten sam młody suchotnik, który wczoraj płakał i zapraszał na swój pogrzeb — zauważył Eugenjusz Pawłowicz. — Tak wymownie mówił wówczas o ścianie sąsiedniego domu, że bezwarunkowo będzie tęsknił do tej ściany, upewniam pana.

— Prawdę powiedział; pokłóci się z tobą i odjedzie, taka będzie historja!

I Elżbieta Prokofjewna z godnością przysunęła sobie koszyczek z robótką, zapominając, że wszyscy wybierali się już na przechadzkę.

— Przypominam, że on był ogromnie dumny z tej ściany — dorzucił znowu Eugenjusz Pawłowicz. — Bez tej ściany nie będzie mógł pięknie umrzeć, a chciałby tak bardzo umierać ładnie.

— Więc cóż z tego? — wymruczał książę. — Jeżeli pan mu nie zechce przebaczyć, to on i tak umrze... Teraz przyjechał dla drzew.

— Co do mnie, to mu wszystko przebaczam; może mu pan to powiedzieć.

— To nie w ten sposób trzeba rozumieć — cicho i jakby odniechcenia odpowiedział książę, patrząc wciąż w jeden punkt podłogi i nie podnosząc oczu — trzeba, żeby i pan zgodził się przyjąć od niego przebaczenie.

— A cóż to ma do mnie? Czemże wobec niego zawiniłem?

— Jeżeli pan nie rozumie, to... ale pan chyba rozumie; chciał wówczas... wszystkich was pobłogosławić i otrzymać wasze błogosławieństwo, to wszystko...

— Kochany książę — z pewnym niepokojem podchwycił nagle książę S., spojrzawszy porozumiewawczo doko-

ła — raj na ziemi niełatwo zdobyć, a pan trochę na to liczy; raj jest rzeczą trudną, książę, daleko trudniejszą, niż się pańskiemu dobremu sercu wydaje. Dajmy lepiej spokój, bo znów się wszystko poplącze a wówczas...

— Chodźmy na muzykę — szorstko powiedziała Elżbieta Prokofjewna, gniewnie powstając z miejsca.

Za nią powstali wszyscy.

II

Książę zbliżył się nagle do Eugenjusza Pawłowicza.

— Eugenjuszu Pawłowiczu — powiedział z dziwnem przejęciem, chwytając go za rękę — niech pan będzie pewien, że uważam pana za najszlachetniejszego i najlepszego człowieka, pomimo wszystko; niech pan będzie przekonany...

Eugenjusz Pawłowicz aż się cofnął ze zdumienia. Przez chwilę musiał się hamować, by nie wybuchnąć śmiechem; ale przyjrzawszy się bliżej, zauważył, że książę był jakiś nieswój, przynajmniej w jakiemś niezwykłem usposobieniu.

— Założyłbym się, — zawołał, — że książę wcale nie to chciał powiedzieć, i może wcale nie do mnie... Ale co panu jest? Czy panu nie jest niedobrze?

— Możliwe, bardzo możliwe, i bardzo dowcipnie pan zauważył, że może nie do pana chciałem podejść!

Mówiąc to, dziwnie jakoś a nawet zabawnie się uśmiechnął, ale nagle, wpadając znów w zapał, zawołał:

— Niech mi pan nie przypomina tego, co się stało trzy dni temu. Bardzo byłem zawstydzony przez te trzy dni... Wiem, że to moja wina...

— Ależ... co pan takiego okropnego zrobił?

— Widzę, że panu może najwięcej wstyd za mnie, Eugenjuszu Pawłowiczu; pan się rumieni, a to cecha dobrego serca. Ja zaraz sobie pójdę, upewniam pana.

— Co mu jest? Czy to ataki tak się u niego zaczynają? — z przerażeniem zwróciła się Elżbieta Prokofjewna do Koli.

— Niech pani będzie spokojna, Elżbieto Prokofjewno, to nie atak; ja zaraz pójdę. Wiem, że jestem... upośledzony

od natury. Dwadzieścia cztery lata byłem chory, dwudziestego czwartego roku od urodzenia. Niechaj to i tym razem będzie zwalone na karb choroby. Ja zaraz sobie pójdę, niech państwo będą pewni. Nie rumienię się... bo przecież trudno się tego wstydzić, nieprawdaż?... ale w towarzystwie jestem zbyteczny... To nie zarozumiałość... Przemyślałem wiele przez te trzy dni i doszedłem do przekonania, że przy najbliższej sposobności powinienem szczerze i szlachetnie zawiadomić państwa. Są takie pojęcia, podniosłe pojęcia, o których nie powinienem zaczynać mówić, bo bezwarunkowo wszystkich rozśmieszę; książę S., zwrócił mi na to przed chwilą uwagę... Nie mam przyzwoitego gestu, nie mam poczucia miary; słowa nie odpowiadają myślom, a to poniżenie dla samych myśli. I dlatego nie mam prawa... poza tem jestem podejrzliwy... jestem przekonany, że w tym domu nikt mnie nie obrazi i lubią mnie więcej, niż na to zasługuję, ale wiem (wiem z całą pewnością), że po dwudziestu latach choroby, z konieczności musiało coś pozostać, tak, że trudno niekiedy nie śmiać się ze mnie, nieprawdaż?

Oczekiwał jakby odpowiedzi i wyroku, spoglądając wokoło. Wszyscy byli zupełnie zmieszani tem niespodziewanem, chorobliwem wystąpieniem, niczem, zdawałoby się, nie wywołanem. Ale wystąpienie to dało powód do bardzo szczególnego zdarzenia.

— Poco pan to mówi? — zawołała nagle Agłaja — dlaczego pan to im mówi? — Im! Im!

Zdawało się, że była w najwyższym stopniu wzburzona; oczy jej rzucały iskry. Książę stał przed nią jak oniemiały i nagle zbladł.

— Tu niema nikogo, ktoby był wart takich słów! — wybuchnęła Agłaja. — Tutaj wszyscy, wszyscy bez wyjątku nie warci są pańskiego małego palca, ani umysłu, ani serca pańskiego! Pan ze wszystkich najuczciwszy, najszlachetniejszy, najlepszy, najmądrzejszy!... Tu są tacy, co nie są godni schylenia się i podniesienia chustki, którą pan przed chwilą upuścił... Więc poco się pan poniża i stawia niżej od wszystkich? Dlaczego pan wszystko powykręcał w sobie, dlaczego w panu niema dumy?

— Boże mój, ktoby to pomyślał! — zawołała Elżbieta Prokofjewna.

— Biedny rycerz! Hurra! — krzyknął Kola z zapałem.

— Milczeć! Jak śmią obrażać mnie tutaj w mamy domu! — rzuciła się nagle Agłaja w stronę Elżbiety Prokofjewny, w takim stanie rozdrażnienia, w jakim się na nic uwagi nie zwraca i obala każdą przeszkodę. — Dlaczego wszyscy, wszyscy bez wyjątku mnie tutaj męczą! Czemu oni, książę, przez trzy dni czepiają się mnie za pana? Ja za nic w świecie nie wyjdę za pana! Niech pan wie, za nic i nigdy! Niech pan o tem wie! Czy można wyjść za tak śmiesznego człowieka, jak pan? Niech pan spojrzy w lustro, jak pan wygląda!... Czemu oni mnie drażnią, że ja za pana wyjdę zamąż? Pan powinien to wiedzieć! Pan też z nimi spiskuje!

— Nikt nigdy jej nie drażnił! — mruknęła w przerażeniu Adelajda.

— Nikomu nawet na myśl nie przyszło, nikt takiego słowa nie powiedział! — zawołała Aleksandra Iwanowna.

— Kto ją drażnił? kiedy ją drażnili? Kto mógł jej to powiedzieć? Bredzi, czy co? — ze złością zwróciła się do wszystkich Elżbieta Prokofjewna.

— Wszyscy mówili, wszyscy bez wyjątku, w ciągu całych prawie trzech dni! Nigdy, nigdy nie wyjdę za niego!

Agłaja wybuchnęła głośnym płaczem, zakryła twarz chustką i upadła na krzesło.

— On wcale się jeszcze o ciebie nie oświad...

— Nie oświadczałem się wcale, Agłajo Iwanowno — wyrwało się nagle księciu.

— Co-o? — ze zdziwieniem, oburzeniem i przestrachem przerwała nagle Elżbieta Prokofjewna. — Co takiego?

Uszom własnym wierzyć nie chciała.

— Chciałem powiedzieć... chciałem powiedzieć — drgnął książę — chciałem tylko wyjaśnić Agłai Iwanownie... mieć zaszczyt wyjaśnić, że wcale nie miałem zamiaru... mieć zaszczyt prosić o jej rękę... nawet nigdy... Agłajo Iwanowno, jak Boga kocham, nic nie winienem! Nigdy nie chciałem nic podobnego mi w głowie nie powstało, nigdy nie zechcę, zobaczy pani; upewniam panią! Jakiś zły człowiek musiał mnie wobec pani oczernić! Niech pani będzie spokojna!

Mówiąc to, podszedł do Agłai. Ona odsunęła chustkę, którą zakrywała sobie twarz, szybko spojrzała na niego i na całą jego przerażoną postać; zrozumiała jego słowa i nagle wybuchnęła mu prosto w oczy głośnym śmiechem — wesołym, niepohamowanym śmiechem, tak rozradowanym i drwiącym śmiechem, że Adelajda pierwsza nie wytrzymała, szczególnie rzuciwszy okiem na księcia, rzuciła się do siostry, objęła ją i wybuchnęła takim samym jak ona niepohamowanym, dziecinnie rozradowanym śmiechem. Patrząc na nie, zaczął się i książę uśmiechać i z uradowanym, szczęśliwym wyrazem twarzy zaczął powtarzać:

— Dzięki Bogu, dzięki Bogu!

Tego już i dla Aleksandry było za wiele i roześmiała się z całego serca. Zdawało się, śmiech ten nie będzie miał końca.

— Eh, warjatki! — mruknęła Elżbieta Prokofjewna — to przerażą człowieka, to...

Ale śmiał się już i książę S., śmiał się i Eugenjusz Pawłowicz, śmiał się i Kola bez wytchnienia i książę także się uśmiechal, spoglądając na wszystkich.

— Chodźmy na spacer, chodźmy na spacer! — zawołała Adelajda. — Wszyscy razem i książę bezwarunkowo z nami; poco ma pan odchodzić, taki pan miły! Jaki to miły człowiek, Agłaja? Nieprawda, mamo? Przytem muszę koniecznie, koniecznie go wycałować i uściskać... za to wytłumaczenie się wobec Agłai. Mamo kochana, niech mi mama pozwoli go pocałować? Agłaja! pozwól mi pocałować *twojego księcia!* — zawołała, jak rozpieszczony dzieciak i rzeczywiście podskoczyła do księcia i pocałowała go w czoło. Ten wziął ją za ręce, uścinął mocno, tak, że Adelajda o mało nie krzyknęła, spojrzał na nią z bezgraniczną radością i nagle szybko podniósł jej rękę do ust i pocałował trzy razy.

— Chodźmy! — wołała Agłaja. — Ja pójdę z księciem. Czy można, mamo? Z młodym człowiekiem, który mi dał kosza? Przecież już na zawsze się mnie wyrzekł? Przecież nie tak się damie rękę podaje, czy pan nie wie, jak się damę bierze pod rękę? Ot tak, chodźmy, pójdziemy naprzód; czy pan chce iść przed wszystkimi, *tête à tête*.

Mówiła bez ustanku, śmiejąc się jeszcze od czasu do czasu.

— Dzięki Bogu! Dzięki Bogu! — mówiła Elżbieta Prokofjewna, ciesząc się, sama nie wiedząc z czego.

„Nadzwyczajnie dziwni ludzie!" — pomyślał książę S., może już setny raz od chwili, gdy ich poznał, ale... podobali mu się ci dziwni ludzie. Co zaś do księcia, ten mu się może zbytnio nie podobał; książę S. był trochę nachmurzony i jakby zmartwiony, gdy wyszli na spacer.

Eugenjusz Pawłowicz był, zdaje się, w najlepszym humorze, przez całą drogę do dworca rozśmieszał Aleksandrę i Adelajdę, które z taką gotowością śmiały się z jego żartów, że zaczął trochę wątpić, czy one wogóle go słuchają. Wskutek tej myśli, nie tłumacząc się, parsknął wkońcu śmiechem (takie miał już usposobienie!). Siostry, będące zresztą w zupełnie świątecznym nastroju, spoglądały wciąż na idących na przodzie Agłaję i księcia; widać było, że młodsza siostra była dla nich trudną do rozwiązania zagadką. Książę S. starał się wciąż nawiązać z Elżbietą Prokofjewną rozmowę o rzeczach postronnych, prawdopodobnie, aby ją rozerwać, i strasznie jej dokuczył. Była rzeczywiście roztargniona, odpowiadała niedorzecznie, a czasem wcale nie odpowiadała. Zagadkowe postępowanie Agłai Iwanowny jeszcze się na ten wieczór nie wyczerpało. Ostatni wybryk przypadł już samemu księciu w udziale. Gdy oddalili się ze sto kroków od willi, Agłaja szeptem rzuciła do swego uparcie milczącego kawalera:

— Niech pan spojrzy na prawo.

Książę spojrzał.

— Niech pan patrzy uważniej. Czy pan widzi tę ławkę w parku, tam, gdzie te trzy wielkie drzewa... zielona ławka?

Książę odpowiedział, że widzi.

— Podoba się panu położenie? Czasem rano, około siódmej, gdy wszyscy jeszcze śpią, chodzę tam sama jedna.

Książę mruknął, że położenie bardzo ładne.

— A teraz niech się pan wynosi, nie chcę dłużej iść z panem pod rękę. Albo lepiej idźmy pod rękę, ale niech pan nie mówi do mnie ani słowa. Chcę sobie sama pomyśleć!...

Zakaz był o tyle zbyteczny, że książę i bez rozkazu nie powiedziałby ani słowa przez całą drogę. Serce mu mocniej zabiło, gdy usłyszał o ławce. Opamiętał się po chwili i ze wstydem odrzucił niedorzeczną myśl.

Jak wiadomo i jak wszyscy przynajmniej twierdzą, w dni powszednie na dworcu w Pawłowsku zbiera się publiczność więcej „dystyngowana", niż w niedziele i święta, kiedy „najrozmaitsi ludzie" z miasta przyjeżdżają. Tualety nie świąteczne, ale wytworne. Jest rzeczą przyjętą powszechnie przychodzić na muzykę. Orkiestra, być może jedna z najlepszych orkiestr sezonowych, grywa nowe utwory. Przyzwoitość i wytworność nadzwyczajna, choć nie brak pewnego ogólnego tonu serdeczności i zażyłości. Znajomi, wszystko letnicy, przychodzą wzajemnie się obserwować. Wielu oddaje się tej czynności z prawdziwą przyjemnością i przychodzi tylko poto; ale są i tacy, których jedynie muzyka przyciąga. Skandale niesłychanie rzadkie, choć bywają i w dni powszednie; ale bez tego przecież trudno się obejść.

Tym razem wieczór był cudowny i publiczności sporo. Wszystkie miejsca koło orkiestry były zajęte. Nasze towarzystwo rozsiadło się na krzesłach, trochę zboku, niedaleko lewego wyjścia z dworca. Tłum, muzyka ożywiły trochę Elżbietę Prokofjewnę i panny; zdążyły one spostrzec paru znajomych i przyjaźnie kiwnąć im głową; obejrzały tualety, zauważyły różne braki, pomówiły o nich i uśmiechnęły się drwiąco. Eugenjusz Pawłowicz również często się witał. Na Agłaję i księcia, którzy wciąż jeszcze byli razem, zwrócono już uwagę. Wkrótce do mamy i do panien podeszło paru znajomych młodych ludzi; dwaj czy trzej pozostali na małą pogawędkę; wszyscy byli przyjaciółmi Eugenjusza Pawłowicza. Wśród nich znajdował się młody i bardzo przystojny oficer, wesoły i bardzo rozmowny; zaczął zaraz rozmawiać z Agłają i wszelkiemi sposobami starał się zwrócić jej uwagę na siebie. Była dla niego bardzo łaskawa i śmiała się. Eugenjusz Pawłowicz prosił księcia o pozwolenie przedstawienia mu tego oficera; książę z trudem zrozumiał, o co chodzi, ale zapoznali się, przywitali i podali sobie ręce. Przyjaciel Eugenjusza Pawłowicza zadał jakieś pytanie, ale książę, zdaje się, nic nie odpowiedział, czy też tak niewyraźnie zamruczał coś pod no-

sem, że oficer spojrzał na niego uważnie, potem na Eugenjusza Pawłowicza, zrozumiał zaraz poco tamten wymyślił tę znajomość, lekko się uśmiechnął i zwrócił się znowu do Agłai. Jeden Eugenjusz Pawłowicz spostrzegł, że Agłaja nagle się zarumieniła.

Książę nawet nie zauważył, że inni rozmawiają i flirtują z Agłają, chwilami niemal zapominał nawet, że siedzi obok niej. Niekiedy chciał pójść sobie gdziekolwiek bądź, zniknąć stąd zupełnie, odpowiadałoby mu nawet ciemne, ponure pustkowie, byle tylko pozostać samemu z własnemi myślami i żeby nikt nie wiedział, gdzie on się znajduje. Albo, przynajmniej, być u siebie w domu, na tarasie, ale tak, żeby nikogo przytem nie było, ani Lebiediewa, ani dzieci; rzucić się na kanapę, utknąć twarzą w poduszkę i przeleżeć tak dzień noc i jeszcze dzień. Chwilami znowu majaczyły mu się góry, a mianowicie jedno znajome miejsce w górach, które zawsze lubił wspominać i gdzie lubił chodzić, kiedy jeszcze tam mieszkał, i lubił spoglądać stamtąd wdół, na wioskę, na ledwie widoczną białą nitkę wodospadu, na białe obłoki, na stary, opuszczony zamek. O, jakby chciał teraz znaleźć się tam i myśleć tylko o tem — o! całe życie o tem — starczyłoby i na tysiąc lat! I niech zupełnie tutaj o nim zapomną. To nawet potrzebne, nawet lepiej, gdyby go wcale byli nie znali, i całe dotychczasowe ich widywanie się byłoby tylko snem. Czy nie wszystko jedno zresztą, czy sen, czy rzeczywistość! Czasami znowu zaczynał przyglądać się Agłai i w ciągu pięciu minut nie odrywał od niej wzroku; ale spojrzenie jego było zbyt dziwaczne: zdawało się, że spogląda na nią, jak na przedmiot bardzo oddalony, albo jak na jej portret, lecz nie na nią samą.

— Co książę tak na mnie patrzy? — powiedziała nagle, przerywając wesołą rozmowę i śmiech z otaczającymi. — Ja się pana boję; wciąż mi się zdaje, że pan chce wyciągnąć rękę i dotknąć palcem mej twarzy. Prawda, Eugenjuszu Pawłowiczu, że on tak patrzy?

Książę wysłuchał, zdawało się, ze zdumieniem, że zwrócono się do niego, zrozumiał, choć może niezupełnie dokładnie, nie odpowiedział, ale widząc, że się ona ze wszystkimi śmieje, otworzył nagle usta i również zaczął się śmiać. Śmiech

się wokoło spotęgował; oficer zaś poprostu parsknął ze śmiechu. Agłaja nagle mruknęła z gniewem:

— Idjota!

— Boże mój! Czy ona tak... czy ona naprawdę zupełnie zwarjuje! — szepnęła ze złością Elżbieta Prokofjewna.

— To żart. Taki sam żart, jak wówczas z „biednym rycerzem“ — szepnęła jej do ucha Aleksandra — i nic więcej. Zakpiła sobie znów z niego na swój sposób. Tylko już za daleko zaszła; trzeba temu kres położyć, maman! Niedawno wyprawiała takie hece, jak aktorka, dla żartów nas przeraziła...

— Dobrze jeszcze, że na takiego idjotę trafiła — odszepnęła Elżbieta Prokofjewna. Uwaga córki ulżyła jej jednak.

Książę słyszał jednak, jak go nazwano idjotą i drgnął, ale nie dlatego, że go tak nazwano. O „idjocie“ zaraz zapomniał. Ale w tłumie, niedaleko od miejsca gdzie siedział, gdzieś zboku, nie mógłby wskazać gdzie mianowicie i w jakim punkcie, mignęła znajoma twarz, blada twarz, otoczona ciemnemi kędzierzawemi włosami, z dobrze znanym uśmiechem; mignęła i zniknęła. Możliwe, że tylko mu się zdawało; zapamiętał tylko skrzywiony uśmiech, oczy i ciemno-zielony elegancki krawat na szyi tego pana. Również trudnoby było księciu powiedzieć, czy ten pan zagubił się w tłumie, czy przemknął się na dworzec .

Po chwili jednak zaczął szybko i niespokojnie rozglądać się dokoła; to pierwsze pojawienie się, mogło być zapowiedzią powtórnego. Tak musiało być napewno. Czyż zapomniał, idąc na dworzec, o możliwem spotkaniu? Prawda, że gdy szedł na dworzec, nie wiedział wcale, zdaje się, że tu idzie, w takim był stanie. Gdyby potrafił albo mógł być uważniejszym spostrzegłby, że od kwadransa Agłaja od czasu do czasu i również niespokojnie rozgląda się, jakby czegoś szukając dokoła siebie. Teraz, gdy niepokój jego łatwo było zauważyć, wzrósł również niepokój Agłai, i gdy tylko on się odwracał, odwracała się zaraz i ona. Rozwiązanie nie kazało na siebie czekać.

Z tego samego bocznego wejścia na dworzec, koło którego znajdował się książę wraz z całem towarzystwem Je-

panczynych, wyszła nagle grupa złożona przynajmniej z dziesięciu osób. Na przodzie szły trzy kobiety! dwie były zdumiewająco piękne i nic w tem nie było dziwnego, że szło za niemi tylu wielbicieli. Ale zarówno mężczyźni, jak i kobiety, wszystko to było jakieś osobliwe, jakieś inne niż zebrana publiczność. Wszyscy zaraz ich zauważyli, lecz przeważnie udawali, że wcale ich nie widzą, i tylko niektórzy z pośród młodzieży znacząco się uśmiechnęli, coś sobie wzajemnie szepcąc. Nie widzieć ich zupełnie nie można było: zachowywali się wyzywająco, mówili głośno, śmiali się. Można było przypuszczać, że wśród nich wielu jest pijanych, choć na oko niektórzy wyglądali elegancko i wytwornie; ale byli również ludzie bardzo szczególnego wyglądu, dziwnie ubrani, z rozgorzałemi twarzami; było wśród nich i kilku wojskowych; byli i ludzie niemłodzi; niektórzy mieli bardzo bogate i ładne ubrania, pierścionki na palcach, czarne peruki i bokobrody, i szczególnie szlachetny, choć nieco drwiący wyraz twarzy, lecz byli właśnie takimi, od których ludzie stronią jak od morowej zarazy. Wśród naszych letnisk bardzo wiele wyróżnia się dobrym tonem i znakomitą opinją; ale najostrożniejszy człowiek nie może się zabezpieczyć od cegły niespodziewanie spadającej z sąsiedniego domu. Ta cegła właśnie zawisła teraz nad zebraną przy muzyce wytworną publicznością.

Chcąc przejść z dworca na placyk, na którym grała orkiestra, trzeba zejść kilka stopni. Przy samych schodkach zatrzymała się owa grupa; zejść nie śmieli, ale jedna z kobiet wysunęła się naprzód; za nią odważyło się pójść tylko dwóch osobników z pośród jej świty. Jeden był już człowiekiem niemłodym o wyglądzie skromnym, powierzchowności zupełnie nie rażącej, a wyglądał na takiego, którego nigdy nikt nie zna i który nikogo nie zna. Drugi, nie odchodzący na krok od swej damy, był oberwańcem o bardzo dwuznacznym wyglądzie. Więcej nikt nie podążył na oryginalną damą; schodząc nadół, nawet nie obejrzała się poza siebie, jakgdyby jej było zupełnie wszystko jedno, czy kto za nią idzie, czy nie. Śmiała się i w dalszym ciągu głośno mówiła; ubrana była bardzo gustownie i bogato, ale trochę przesadniej, niż należało. Przeszła obok orkiestry na drugą stronę placyku, gdzie przy drodze stał jakiś powóz.

Książę nie widział jej więcej, niż od trzech miesięcy. Przez cały czas po powrocie do Petersburga wybierał się do niej, ale powstrzymywało go może jakieś przeczucie. W każdym razie nie mógł odgadnąć, jakie wrażenie wywoła spotkanie się z nią, a czasem z przerażeniem starał się je sobie wyobrazić. Jedno było jasne, a mianowicie, że spotkanie będzie bardzo przykre. Parę razy w ciągu tych sześciu miesięcy przypominał sobie pierwsze wrażenie, jakie wywarła na niego twarz tej kobiety, gdy ujrzał ją tylko na fotografji; ale nawet i w tem wrażeniu było coś bardzo przykrego. Ten miesiąc na prowincji, kiedy widywał się z nią prawie codziennie, pozostawił mu bardzo przykre wrażenie, do tego stopnia, że książę unikał niekiedy nawet wspomnienia o tych niedawnych czasach. W samej twarzy tej kobiety widział coś przygnębiającego; mówiąc z Rogożynem, określił to jako uczucie bezgranicznej litości, i tak było rzeczywiście: widok tej twarzy nawet na fotografji wywoływał w nim bezmierną litość; współczucie to a nawet uczucie bólu za tę istotę nigdy go nie opuszczało, nie opuściło go i teraz. O, nie, spotężniało nawet. Ale to, co powiedział Rogożynowi, nie zadawalało go; i dopiero teraz, w chwili jego nagłego pojawienia się, zrozumiał, może bezpośredniem przeczuciem, braki tamtego określenia. Brakowało słów, które mogłyby wyrazić przerażenie; tak, przerażenie! Teraz, w tej chwili, wyraźnie je odczuwał; był pewien, był zupełnie przekonany, na zasadzie wewnętrznego przeświadczenia, że ta kobieta nie jest przy zdrowych zmysłach. Jeżeliby, kochając kobietę ponad wszystko, lub wyobrażając sobie taką miłość, ujrzeć ją nagle w kajdanach, za kratą, pod knutem nadzorcy, to takie uczucie byłoby cokolwiek podobne do tego, które teraz książę odczuwał.

— Co panu? — szepnęła Agłaja, patrząc na niego i naiwnie ciągnąc go za rękę.

Zwrócił ku niej głowę, spojrzał, zajrzał w jej czarne, w niezrozumiałe dla niego w owej chwili błyszczące oczy, spróbował uśmiechnąć się, ale nagle, jakby zapominając o niej, znów zwrócił wzrok na prawo i dalej zaczął śledzić owo nadzwyczajne zjawisko. Nastazja Filipowna przechodziła w tej chwili koło krzeseł samych pań. Eugenjusz Pa-

włowicz w dalszym ciągu opowiadał coś widocznie bardzo ciekawego i zabawnego Aleksandrze Iwanownie, mówił prędko i z ożywieniem. Książę pamiętał, że Agłaja rzuciła nagle półszeptem: „Jaka“...

Słowo nieokreślone i niedomówione; zatrzymała się odrazu i nic więcej nie dodała, to jednak wystarczyło. Nastazja Filipowna, która przechodziła, nie zwracając na nikogo szczególnej uwagi, zwróciła się nagle w ich stronę i jakby teraz dopiero zauważyła Eugenjusza Pawłowicza.

— B-ba! Mamy go !— zawołała, zatrzymując się nagle: — albo go i stu posłańców odszukać nie może, albo jak naumyślnie tam siedzi, gdzie się go człowiek zupełnie nie spodziewa... Myślałam, żeś ty przecież tam... u stryja?

Eugenjusz Pawłowicz zarumienił się, z wściekłością spojrzał na Nastazję Filipownę, ale szybko znów się od niej odwrócił.

— Co?! Nie wiesz? Patrzcie państwo, on jeszcze nie wie! Przecież zastrzelił się! Dzisiaj rano twój stryj palnął sobie w łeb! Już o drugiej po południu mówiono mi o tem; a teraz już całe miasto o tem wie; mówią, że brak trzystu pięćdziesięciu tysięcy skarbowych pieniędzy, a inni, że pięciuset. A ja zawsze liczyłam, że on ci jeszcze spadek zostawi; puścił wszystko. Zepsuty był starowina... No, do widzenia, *bonne chance!* Więc naprawdę nie pojedziesz? Mądry byłeś, w samą porę się do dymisji podałeś! Ale blaga, wiedziałeś, wiedziałeś o tem wcześniej: może, jeszcze wczoraj wiedziałeś...

Choć bezczelne zaczepianie, afiszowanie się ze znajomością i zażyłością, których nie było, bezwarunkowo miały jakiś cel i nie ulegało to już teraz wątpliwości, jednak Eugenjusz Pawłowicz za wszelką cenę nie chciał zwrócić uwagi na całą scenę. Słowa jednak Nastazji Filipowny raziły go jak piorun; dowiedziawszy się o śmierci stryja, zbladł jak płótno i zwrócił się do mówiącej. W tej chwili Elżbieta Prokofjewna szybko się podniosła i wszystkich za sobą pociągnęła, nieledwie, że stamtąd wybiegła. Tylko książę Leon Mikołajewicz, jakby niezdecydowany, pozostał chwilę na miejscu i Eugenjusz Pawłowicz stał jeszcze zupełnie oszoło-

miony. Nie zdążyli wszakże Jepanczynowie ujść dwudziestu kroków, gdy stał się okropny skandal.

Oficer, serdeczny przyjaciel Eugenjusza Pawłowicza, ten, który rozmawiał z Agłają, oburzony był do najwyższego stopnia:

— Tu poprostu bata potrzeba, inaczej z tem stworzeniem nie poradzisz! — powiedział prawie głośno. (Był on, zdaje się, już poprzednio zaufanym człowiekiem Eugenjusza Pawłowicza).

Nastazja Filipowna w jednej chwili odwróciła się w jego stronę. Oczy jej zabłysły i rzuciła się do stojącego wpobliżu zupełnie nieznajomego młodego człowieka, który trzymał w ręku cienką, plecioną szpirutę, wyrwała mu ją z rąk i z całej siły uderzyła oficera w twarz. Wszystko to stało się w jednej chwili... Oficer rzucił się na nią, jak nieprzytomny; przy Nastazji Filipownie nie było już jej świty; przyzwoity stary pan zniknął zupełnie, a drugi podchmielony, stał zboku i śmiał się do rozpuku. Za chwilę, naturalnie, zjawiłaby się policja, a wówczas drogoby za to zapłaciła Nastazja Filipowna, gdyby nie znalazła się nieoczekiwana pomoc: książę, oddalony o kilka kroków, zdążył schwycić z tyłu oficera za ręce. Wyrywając się oficer silnie uderzył księcia w piersi; książę odleciał na parę kroków i upadł na krzesło. Ale zjawiło się, jeszcze dwóch obrońców Nastazji Filipowny. Przed napadającym oficerem stał bokser, autor znanego czytelnikowi artykułu i członek dawnej rogożyńskiej bandy.

— Keller! dymisjonowany oficer — przedstawił się. — Kapitan chce na kułaki, więc do usług w zastępstwie słabej płci; znam dobrze angielski boks. Ostrożniej, panie kapitanie; współczuję k r w a w e j obeldze, ale nie mogę pozwolić na prawo pięści w stosunku do kobiety i to w oczach publiczności. Jeżeli zaś, jak przystoi szlachetnej osobie, w inny sposób, to... pan mnie naturalnie rozumie, panie kapitanie...

Ale kapitan już się uspokoił i nie słuchał go. W tej chwili z tłumu wyszedł Rogożyn, wziął szybko Nastazją Filipownę pod rękę i pociągnął za sobą. Rogożyn ze swej strony wydawał się bardzo wzburzony, blady był i trząsł się cały. Uprowadzając Nastazję Filipownę, zdążył jednak ro-

ześmiać się złośliwie oficerowi w twarz i z miną triumfującego czeladnika szepnąć:

— Fju! Ale co wziął! Cała gęba we krwi! Fju!

Oprzytomniawszy i domyślając się z kim ma do czynienia, oficer grzecznie (zakrywając zresztą twarz chustką) zwrócił się do księcia, który już wstał z krzesła.

— Książę Myszkin, z którym miałem zaszczyt się poznać?

— To warjatka! Nie przy zdrowych zmysłach! Upewniam pana! — odpowiedział książę drżącym głosem, wyciągając do niego, niewiadomo poco, drżące swe ręce.

— Ja, oczywiście, nie mogę się pochwalić takiemi wiadomościami; ale muszę wiedzieć pańskie nazwisko.

Kiwnął głową i odszedł. Policja przybyła w pięć sekund po odejściu ostatnich uczestników zajścia. Zresztą, cały skandal trwał nie więcej niż dwie minuty. Niektórzy z publiczności powstali z miejsc i oddalili się; inni przeszli tylko z jednych miejsc na drugie; byli i tacy, którzy byli bardzo radzi temu zajściu; jeszcze inni rozmawiali z zapałem i zaciekawieniem. Jednem słowem, wszystko się skończyło, jak zwykle. Orkiestra znów zaczęła grać. Książę poszedł za Jepanczynymi. Gdyby się domyślił, lub zdążył spojrzeć w lewą stronę, kiedy upadał na krzesło, odepchnięty przez oficera, ujrzałby Agłaję, która pomimo nawoływań matki i sióstr, pozostała w oddaleniu dwudziestu kroków od niego, przyglądając się skandalicznej scenie. Nakoniec udało się księciu S. namówić ją, by prędko odeszła. Elżbieta Prokofjewna zauważyła, że Agłaja wróciła do nich tak wzburzona, że nie mogła słyszeć ich nawoływań. Ale nie dalej, jak po dwóch minutach, gdy weszli do parku, Agłaja powiedziała swoim zwykłym, obojętnym i kapryśnym tonem:

— Chciałam zobaczyć, czem się ta komedja skończy.

III

Wypadek na dworcu napełnił matkę i córki przerażeniem. W trwodze i wzruszeniu Elżbieta Prokofjewna omal, że biegła z córkami prawie że przez całą drogę z dworca do domu. Według jej pojęć i poglądów zbyt wiele stało się

i wyszło na jaw w tem zdarzeniu, tak, że w jej głowie, pomimo całego zamętu i przestrachu, rodziły się już myśli stanowcze. Wszyscy zresztą zrozumieli, że stało się coś szczególnego, i że, może nawet i na szczęście, zaczyna wychodzić na jaw jakaś nadzwyczajna tajemnica. Pomimo poprzednich zapewnień i wyjaśnień księcia S. co do Eugenjusza Pawłowicza „wydało się teraz wszystko", był on obwiniony, odkryty i „zdemaskowany formalnie co do swoich stosunków z tą ladacznicą". Tak myślała Elżbieta Prokofjewna, a nawet obydwie starsze córki. Wynik tego wniosku był taki, że liczba zagadkowych sytuacyj jeszcze wzrosła. Panny, chociaż w duchu były poczęści oburzone zbytnim przestrachem i tak jawną ucieczką matki, ale w pierwszej chwili zamętu, nie decydowały się niepokoić jej pytaniami. Oprócz tego, niewiadomo dlaczego, zdawało im się, że ich siostrzyczka, Agłaja Iwanowna, wie może więcej w tej sprawie, aniżeli one z matką razem. Książę S. był również ponury jak noc i także mocno zamyślony. Elżbieta Prokofjewna nie zamieniła z nim przez całą drogę ani jednego słowa, a on, zdaje się, nawet tego nie zauważył. Adelajda próbowała dowiedzieć się od niego: „O jakim to wuju była dopiero co mowa i co się tam takiego stało w Petersburgu?" On jednak w odpowiedzi wybąkał z najbardziej kwaśną miną coś nieokreślonego o jakiemś sprawdzaniu wiadomości i że wszystko to jest, oczywiście, głupstwo. „Co do tego niema wątpliwości", odrzekła Adelajda i więcej już o nic nie pytała. Agłaja zaś zrobiła się jakoś niezwykle spokojna i zauważyła tylko w drodze, że znów zanadto szybko uciekają. Raz się obejrzała i zobaczyła księcia, który ich doganiał. Spostrzegłszy jego wysiłki, żeby ich dogonić, uśmiechnęła się drwiąco i więcej już nie oglądała się za nim.

Wreszcie, prawie przed samą willą, spotkali idącego naprzeciwko Jana Teodorowicza, który przed chwilą wrócił z Petersburga. Zaraz, od pierwszego słowa, zapytał o Eugenjusza Pawłowicza. Małżonka przeszła wszakże obok niego groźnie, nie odpowiadając, nawet nie spojrzawszy na niego. Z oczu córek i księcia S. odgadł odrazu, że w domu jest burza. Ale i na jego własnej twarzy odbijał się jakiś niezwykły niepokój. Wziął zaraz księcia S. pod rękę, zatrzy-

mał go przed wejściem do domu i prawie szeptem zamienił z nim kilka słów. Ze wzburzonych twarzy obydwóch, gdy weszli potem na taras i poszli do Elżbiety Prokofjewny, można było sądzić, że obydwaj usłyszeli jakąś nadzwyczajną wiadomość. Powoli wszyscy zgromadzili się u Elżbiety Prokofjewny na górze, a na tarasie został wkońcu sam tylko książę. Siedział w kącie, jakgdyby na coś czekając, i zresztą nawet sam nie wiedział na co; nawet mu do głowy nie przychodziło odejść wobec takiego w domu zamieszania; zdawało się, że zapomniał o całym świecie i gotów był przesiedzieć choćby dwa lata, gdziekolwiekby go nie posadzili. Z góry dochodziły go niekiedy odgłosy wzburzonej rozmowy. Sam nie mógłby powiedzieć, jak długo tu przesiedział. Robiło się późno i już się zupełnie ściemniło. Nagle wyszła na taras Agłaja; napozór była spokojna, choć cokolwiek blada. Ujrzawszy księcia, którego „oczywiście nie spodziewała się zastać tutaj na krześle, w kącie", Agłaja uśmiechnęła się, jakgdyby zdumiona.

— Co pan tu robi? — podeszła do niego.

Książę zmieszany coś tam wybąkał i zerwał się z krzesła; ale Agłaja usiadła zaraz obok niego, i on także usiadł. Wtedy szybko, ale uważnie obejrzała go, potem spojrzała przez okno, jakgdyby bez żadnej myśli, potem znów na niego. „Może ona ma ochotę się roześmiać", pomyślał książę, „ależ nie, przecież natychmiastby się roześmiała".

— Może pan chce herbaty, każę podać — powiedziała po chwili milczenia.

— N-nie... Nie wiem...

— Jak można o tem nie wiedzieć! Ach, prawda, niech książę posłucha: jeżeliby pana kto wyzwał na pojedynek, coby pan zrobił? Ja już dawniej chciałam się pana o to spytać.

— Ale... któż?... mnie nikt nie wyzwie na pojedynek.

— No, ale jeżeliby wyzwał? Bardzoby się pan przestraszył?

— Ja myślę, że bardzo... bym się bał.

— Naprawdę? to pan jest tchórz?

— N-nie: może i nie. Tchórzem jest ten, co się boi i ucieka, a kto się boi i nie ucieka, ten jeszcze nie jest tchórzem— uśmiechnął się książę, pomyślawszy przez chwilę.

— A pan nie ucieknie?

— Może i nie ucieknę — roześmiał się nakoniec z zapytań Agłai.

— Ja chociaż jestem kobietą, a za nicbym nie uciekła, — zauważyła prawie że z obrazą. — A zresztą pan się ze mnie śmieje i gra pan komedję, według swego zwyczaju, żeby się wydać bardziej interesującym; niech pan powie: strzela się zwykle na dwanaście kroków? Czasem i na dziesięć? A zatem napewno jest się zabitym albo rannym?

— W pojedynkach, podobno, rzadko się trafia.

— Jakto rzadko? Puszkina przecież zabili.

— To może wypadkiem.

— Wcale nie wypadkiem; pojedynek był na śmierć, więc go zabili.

— Kula trafiła tak nisko, że pewnie Dantes celował gdzieś wyżej, w piersi albo w głowę; a tak, jak trafiła nikt nie celuje, zatem musiała kula trafić Puszkina przypadkiem, już wskutek chybienia. Mówili mi to ludzie kompetentni.

— A mnie mówił jeden żołnierz, z którym raz rozmawiałam, że im umyślnie, według regulaminu, każą, kiedy się rozsypują w tyraljerkę, celować „wpół człowieka", tak właśnie mają powiedziane: „wpół człowieka". Widzi pan więc, że nie w piersi i nie w głowę a wpół człowieka każą im strzelać. Pytałam potem jednego oficera, ten mi powiedział, że właśnie tak należy.

— To prawda, dlatego że z większej odległości.

— A pan umie strzelać?

— Nigdy nie strzelałem.

— To nawet pistoletu pan nie umie nabić?

— Nie umiem. To jest, ja wiem, jak to trzeba zrobić, ale nigdy sam nie nabijałem.

— No, to znaczy, że pan nie umie, bo tutaj potrzebna jest praktyka! Niechże pan słucha i zapamięta: po pierwsze, niech pan kupi dobrego prochu do pistoletów, nie mokrego (powiadają, że potrzebny jest nie wilgotny, a bardzo suchy), jakiegoś dobrego, pan już takiego zażąda, ale nie takiego, jakim się z armat strzela. Kule, podobno, samemu się jakoś leje. Pan pistolety ma?

— Nie mam i nie potrzebuję ich — zaśmiał się nagle książę.

— Ach, co za głupstwo! Koniecznie niech pan kupi, dobre, francuskie, albo angielskie, mają być najlepsze. Potem niech pan weźmie mniej więcej naparstek, może dwa naparstki prochu i niech pan wsypie. Lepiej już więcej. Niech pan przybije wojłokiem(podobno trzeba koniecznie wojłokiem), to można skądkolwiek bądź wydobyć, z jakiego materaca, albo nawet drzwi czasem obijają wojłokiem. Potem, kiedy pan wepchnie wojłok, niech pan włoży kulę; słyszy pan, kulę potem, a najpierw proch, inaczej nie wystrzeli. Z czego się pan śmieje? Ja chcę, żeby pan codzień strzelał kilka razy i koniecznie nauczył się trafiać do celu. Zrobi pan to?

Książę się śmiał; Agłaja, zagniewana, tupnęła nogą, Poważny wyraz jej twarzy, przy takiej rozmowie zdziwił księcia. Czuł on poniekąd, że powinien był czegoś się dowiedzieć o coś zapytać, w każdym razie o coś poważniejszego, niż to, jak się nabija pistolet. Ale wszystko to wyszło mu z głowy, oprócz tego jednego że przed nim siedzi ona, a on na nią patrzy, i o czemkolwiekby mówiła, było mu w tej chwili mniej więcej wszystko jedno.

Z góry zeszedł wreszcie na taras sam Jan Teodorowicz; wybierał się gdzieś z miną pochmurną, zmartwioną i zdecydowaną.

— A, Leonie Mikołajewiczu, ty... Dokąd teraz? — zapytał, pomimo, że Leon Mikołajewicz ani myślał ruszać się z miejsca — chodźmy więc razem, powiem ci coś.

— Do widzenia — rzekła Agłaja i wyciągnęła rękę do księcia.

Na tarasie było już dość ciemno, i książę nie mógłby widzieć jej twarzy zupełnie wyraźnie. Po chwili, kiedy już z jenerałem wychodzili z willi, okropnie się nagle zarumienił i mocno ścisnął swą prawą rękę.

Okazało się, że Jan Teodorowicz szedł w tę samą stronę. Jan Teodorowicz, pomimo późnej godziny, śpieszył się z kimś tam o czemś pomówić. Tymczasem jednak zaczął nagle rozmawiać z księciem szybko, niespokojnie i dosyć bez związku, często w rozmowie wspominając Elżbietę Prokof-

jewnę. Gdyby książę mógł być w tej chwili uważniejszy, toby się może domyślił, że Jan Teodorowicz ma między innemi ochotę coś z niego także wyciągnąć, albo raczej poprostu i otwarcie o coś zapytać, ale jakoś mu się nie udaje dotrzeć do najgłówniejszego punktu. Ku swemu wstydowi, książę był do tego stopnia roztargniony, że z początku nawet nic nie słyszał, i kiedy jenerał zatrzymał się przed nim z jakiemś palącem pytaniem, zmuszony był przyznać się, że nic nie rozumie.

Jenerał wzruszył ramionami.

— Dziwni jacyś ludzie z was się porobili, wszyscy dokoła — zaczął znowu. — Mówię ci, że ja zupełnie nie pojmuję myśli i obaw Elżbiety Prokofjewny. Dostała ataku nerwowego, płacze i powiada, że okryli nas wstydem i hańbą. Kto? Jak? Z kim? Kiedy i dlaczego? Ja, przyznam się, jestem winien (do tego się przyznaję), bardzo winien, ale pretensje tej... niespokojnej kobiety (i źle się prowadzącej w dodatku) mogą być wreszcie ukrócone przez policję i mam nawet zamiar zobaczyć się dziś z kim należy i uprzedzić. Wszystko można załatwić cicho, miękko, łagodnie nawet, przez znajomość i najzupełniej bez skandalu. Zgadzam się również, że przyszłość jest brzemienna w wypadki, i że wiele jest rzeczy niewyjaśnionych; mamy tu i intrygę; ale jeżeli tu nic nie wiedzą, tam znów nic nie umieją objaśnić; jeżeli ja nie słyszałem, ty nie słyszałeś, tamten nie słyszał, piąty także nic nie słyszał, to któż nareszcie słyszał, uytam? Czemże się to da według ciebie wytłumaczyć, jeżeli nie tem, że sprawa ta jest w połowie... mirażem; nie istnieje, tak jak naprzykład, światło księżyca... albo inne przywidzenia.

— O n a jest obłąkana — wybąkał książę, nagle przypomniawszy sobie z bólem wszystko, co było.

— Mnie też taka sama poniekąd myśl nawiedzała i zasypiałem spokojnie. Ale teraz widzę, że tam myślą normalnie i nie wierzę w obłąkanie. Kobieta niedorzeczna, dajmy na to, ale przytem nawet subtelna, nietylko nie obłąkana. Dzisiejszy jej wybryk co do Kapitona Aleksieicza zanadto dobrze tego dowodzi. Łajdacka sprawa z jej stro-

ny, to jest przynajmniej jezuicka, w jakimś szczególnym celu.

— Jakiego Kapitona Aleksiejewicza?

— Ach, mój Boże, nic a nic nie słuchasz, Leonie Mikołajewiczu. Od tego przecież zacząłem, że mówiłem ci o Kapitonie Aleksiejewiczu: rozbity jestem taki, że od tego czasu ręce i nogi mi się trzęsą. Dlatego też w mieście zmarudziłem dzisiaj. Kapiton Aleksieicz Radomski, dla Eugenjusza Pawłowicza...

— Ach! — zawołał książę.

— Zastrzelił się rano, o świcie, o godzinie siódmej. Staruszek, czcigodny, siedemdziesięcioletni, epikurejczyk... i słowo w słowo tak, jak ona mówiła: suma rządowa, znaczna suma!

— Skądże ona...

— Dowiedziała się? Cha! cha! Przecież już się koło niej cały sztab utworzył, ledwie się zjawiła. Wiesz jakie osoby ją teraz odwiedzają i starają się o „zaszczyt" poznania jej. Naturalnie, że przedtem mogła się czegośkolwiek dowiedzieć od tych co przychodzili, bo teraz już wie cały Petersburg i tutaj pół Pawłowska albo już i cały Pawłowsk. A jaka to subtelna uwaga co do munduru, jak mi opowiadali, to jest, co do tego, że Eugenjusz Pawłowicz w sam czas zdążył wystąpić ze służby! Co za piekielna aluzja! Nie, to nie dowodzi pomieszania zmysłów. Ja, naturalnie, nie wierzę, że Eugenjusz Pawłowicz mógł wiedzieć wcześniej o katastrofie, to jest, że takiego to dnia, o siódmej godzinie i t. d. Ale mógł to wszystko przeczuwać. A ja tutaj, i my wszyscy i książę S. liczyliśmy, że tamten mu jeszcze spadek zostawi! Okropność! Okropność! Zrozum, zresztą, że ja w niczem nie winię Eugenjusza Pawłowicza i śpieszę cię o tem zapewnić, ale zawsze jest to, bądź co bądź, podejrzane. Książę S. niezwykle zdumiony. Wszystko się jakoś dziwnie zbiegło.

— Ale cóż jest podejrzanego w zachowaniu się Eugenjusza Pawłowicza?

— Nic! Zachowywał się w sposób jak najbardziej szlachetny. Ja też nie robiłem żadnych aluzyj. Osobisty majątek ma, zdaje się, nietknięty. Elżbieta Prokofjewna, ro-

zumie się, słuchać nawet nie chce... Ale przedewszystkiem... wszystkie te katastrofy rodzinne, albo raczej, wszystkie te brednie, nawet niewiadomo, jak to nazwać... Ty, właściwie mówiąc, jesteś przyjacielem domu, Leonie Mikołajewiczu, i wystaw sobie, w tej chwili się okazuje, choć zresztą nawet niedokładnie, że Eugenjusz Pawłowicz jakoby już więcej niż przed miesiącem miał się oświadczyć o Agłaję, a ona, jakoby, odmówiła mu najformalniej.

— Nie może być! — z wielkiem przejęciem zawołał książę.

— A czy ty co wiesz? Widzisz, kochanie — przestraszył się i zdziwił jenerał, stając jak wryty — ja może niepotrzebnie i nieprzyzwoicie się wygadałem, ale to przecież dlatego, że ty... że ty... można powiedzieć, taki już z ciebie człowiek. Może ty wiesz co szczególnego.

— Ja nic nie wiem... o Eugenjueszu Pawłowiczu—wybąkał książę.

— I ja nie wiem! Mnie... mnie, bracie, chcą zakopać w ziemi i pochować, i nie chcą przytem zauważyć, że to nie jest dla człowieka przyjemne, i że ja tego wszystkiego nie wytrzymam. Przed chwilą była taka scena, że to coś okropnego! Mówię do ciebie, jak do rodzonego syna. Główna rzecz, że Agłaja zupełnie jakby się śmiała z matki. O tem, że ona, jak się zdaje, dała kosza Eugenjuszowi Pawłowiczowi przed jakimś miesiącem, i że były oświadczyny dosyć formalne, opowiadały siostry jako domysł... zresztą, zupełnie pewny domysł. A przecież to takie samowolne i fantastyczne stworzenie, że nawet opowiedzieć trudno! Wszystkie doskonałości, wszystkie świetne zalety serca i umysłu... wszystko to może posiada, ale przytem kaprysy, drwiny... słowem, charakter djabelski i w dodatku z fantazjami. Matkę przed chwilą wyśmiała w oczy, siostry i księcia S. również; o mnie nawet niema co mówić, ze mnie ona rzadko kiedy się nie śmieje, no ale cóż ja, ja, wiesz, lubię ją, lubię nawet, że się śmieje... i, zdaje się, ten djabełek szczególnie mnie za to lubi, to jest, zdaje się więcej od innych. Założę się, że ona i ciebie z jakiegokolwiek bądź powodu już wyśmiewała. Ja was przed chwilą zastałem zajętych rozmową po niedawnej burzy na górze; siedziała z tobą, jakby nigdy nic.

Książę zaczerwienił się okropnie i ścisnął prawą rękę, ale się nie odezwał.

— Mój miły, zacny Leonie Mikołajewiczu! — serdecznie i gorąco powiedział nagle jenerał — ja... i nawet sama Elżbieta Prokofjewna (która, zresztą, zaczęła cię znów cenić, a razem z tobą i mnie, dzięki tobie, nie wiem tylko za co), my cię jednakże kochamy, kochamy szczerze i poważamy, pomimo wszystko, to jest pomimo wszystkie pozory. Ale zgodzisz się, drogi przyjacielu, zgodzisz się sam, co za zagadka odrazu, i co za przykrość słyszeć, kiedy nagle ten zimny djablik (gdyż stała przed matką z wyrazem najgłębszej pogardy dla wszystkich naszych pytań, a zwłaszcza dla moich, dlatego, że ja głupstwo zrobiłem, do djabła, chciałem się popisać surowością, że to niby jestem głową rodziny... no i głupio wyszło), ten zimny czarcik oznajmia nagle z uśmiechem, że ta „obłąkana“, (tak się wyraziła, i dziwi mnie, że ona tak dosłownie jak ty: „czyż nie mogliście, powiada, dotychczas się domyśleć“), że ta obłąkana „wbiła sobie w głowę, że mnie za wszelką cenę wyda zamąż za księcia Leona Mikołajewicza i dlatego Eugenjusza Pawłowicza od nas z domu wygryza“... tyle tylko powiedziała; żadnego więcej wyjaśnienia nie dała, zaśmiała się, myśmy gęby pootwierali, trzasnęła drzwiami i wyszła. Potem opowiedzieli mi o tem zajściu z nią i z tobą... i... i... posłuchaj, drogi książę, ty jesteś człowiek nieobraźliwy i rozsądny, ja to u ciebie zauważyłem, ale... nie gniewaj się, daję słowo, ona się z ciebie śmieje. Śmieje się, jak dzieciak i dlatego ty się na nią nie gniewaj, stanowczo jednak to tak jest. Nie myśl, żeby w tem było coś takiego... ona poprostu drwi sobie z ciebie i z nas wszystkich, w braku innego zajęcia. No, bądź zdrów! Znasz nasze uczucia? Szczere uczucia, jakie żywimy dla ciebie? Są one niezmienne, nigdy i w niczem... no... ja teraz muszę iść tędy, do widzenia! Dawno już nie byłem w tak nieswoim sosie (jakże się to mówi?... czy tak?), jak dzisiaj... Oj, to letnie mieszkanie!...

Zostawszy sam na rozdrożu, książę obejrzał się wokoło, szybko przeszedł na ulicę, zbliżył się do oświetlonego okna jednej z willi, rozwinął małą kartkę papieru, którą

mocno ściskał w prawej ręce przez cały czas rozmowy z Janem Teodorowiczem, i przeczytał, chwytając słabe światło:

„Jutro o siódmej rano będę na zielonej ławce w parku i będę czekała na pana. Postanowiłam pomówić z panem o pewnej niesłychanie ważnej sprawie, która nas bezpośrednio dotyczy.

„P. S. Mam nadzieję, że pan nikomu nie pokaże tej kartki. Chociaż mi styd, że muszę panu dawać takie nauki, ale osądziłam, że pan jest tego wart, i napisałam... rumieniąc się ze wstydu za pana i pański śmieszny charakter.

„P.P. S.S. To ta sama zielona ławka, którą panu wtedy pokazywałam. Niech się pan wstydzi. Bo i to musiałam dopisać".

Bilecik napisany był z pośpiechem i złożony byle jak, najprawdopodobniej przed samem wyjściem Agłai na taras. Z nieopisanem wzruszeniem, podobnem do przestrachu, książę znów mocno ścisnął w ręku kartkę i czem prędzej odskoczył od okna i od światła, zupełnie, jak nastraszony złodziej; ale w ruchu tym silnie i nagle się zderzył z pewnym panem, który znalazł się tuż za jego plecami.

— Ja księcia śledzę — powiedział tamten.

— To pan, Keller? — zawołał książę zdziwiony.

— Szukam księcia. Czekałem na pana przed willą Jepanczynych, rozumie się, nie mogłem wejść. Szedłem za panem, dopóki pan szedł z jenerałem. Jestem na księcia usługi, niech książę rozporządza Kellerem. Gotów jestem ponieść ofiarę i nawet umrzeć, jeżeli będzie potrzeba.

— Ale... pocóż?

— No, już napewno nastąpi wyzwanie. Ten porucznik Mołowcow, ja go znam, to jest nie osobiście... on nie zniesie obrazy. Nas jednego z drugim, to jest mnie i Rogożyna, on, rozumie się, skłonny będzie uważać za hołotę i być może, zasłużenie, w ten sposób, pan jeden zostaje, jako odpowiedzialny. Trzeba będzie za wszystko zapłacić, proszę księcia. On się o pana dowiadywał, ja słyszałem i już napewno jutro jego przyjaciel pofatyguje się do pana, a może już teraz czeka. Jeżeli mi pan zrobi ten zaszczyt i wybierze mnie na sekundanta, to za pana gotów jestem nawet głowę położyć; poto właśnie księcia szukałem.

— Więc i pan także o pojedynku! — roześmiał się nagle książę ku wielkiemu zdziwieniu Kellera. Śmiał się do rozpuku. Keller, który rzeczywiście był niemal jak na igłach, dopóki się nie uspokoił i nie ofiarował na sekundanta, prawie, że się obraził, patrząc na tak szalony śmiech księcia.

— Przecież książę chwycił go wtedy za ręce. Człowiek szlachetny i przy ludziach z trudnością zniesie coś podobnego.

— A on mnie w pierś uderzył! — śmiejąc się zawołał książę. — Nie mamy się o co bić! Ja go przeproszę, ot i wszystko. A jeżeli się bić, to się bić! Niech strzela; chcę nawet tego. Cha! cha! Ja już teraz umiem nabić pistolet. Wie pan, że mnie uczono, jak nabijać pistolet? Pan umie nabijać pistolet, panie Keller? Trzeba najprzód kupić prochu, takiego do pistoletów, nie mokrego i nie takiego grubego, jak ten do armat; a potem najpierw włożyć proch, wojłoku skąd tam albo z pod drzwi wydobyć, a potem dopiero kulę wpakować, a nie kulę przed prochem, bo nie wystrzeli. Słyszy pan, panie Keller, bo nie wystrzeli! Cha! cha! czyż to nie najwspanialsza racja, przyjacielu Kellerze? Ach, panie Keller, wie pan, że ja zaraz pana uściskam i pocałuję. Cha! cha! cha! Jak to pan wtedy znalazł się tak nagle przed nim? Przyjdź pan kiedy do mnie, jak najprędzej na szampana. Spijemy się wszyscy. A wie pan, że ja mam dwanaście butelek szampana u Lebiediewa w piwnicy! Lebiediew mi „okazyjnie“ przed trzema dniami sprzedał, zaraz nazajutrz, jak się do niego sprowadziłem, ja też wszystkie kupiłem! Zgromadzę całą kompanję! A co, będzie pan dzisiaj spał?

— Jak zawsze, książę.

— No, więc miłych marzeń! Cha! cha!

Książę przeszedł przez drogę i znikł w parku, zostawiwszy zamyślonego i cokolwiek zaskoczonego tem wszystkiem Kellera. Nie widywał on jeszcze księcia w takiem dziwnem usposobieniu, a nawet wyobrazić sobie tego dotychczas nie mógł.

„Gorączka może, bo to człowiek nerwowy, i to wszystko podziałało, ale już naturalnie nie stchórzy. Tacy właśnie nie tchórzą, jak Boga kocham!“ myślał sobie Keller. „Hm,

hm! szampan! ciekawa jednakże wiadomość. Dwanaście butelek, proszę państwa; tuzinek; niezła baterja, niema co mówić. A założę się, że Lebiediew przyjął od kogoś ten szampan pod zastaw. Hm, hm... on jednakże jest dosyć miły, ten książę; lubię bardzo takich, słowo daję; niema co tracić czasu, jednakże i... jeżeli szampan, to będzie właśnie najlepsza pora“...

Że książę był jak w gorączce, miał do tego, rozumie się, powody.

Długo włóczył się po ciemnym parku i wreszcie spostrzegł, że chodzi wciąż po jednej alei. W jego świadomości pozostało wspomnienie, że po tej alei przeszedł już, zaczynając od ławki do pewnego starego drzewa, wysokiego i widocznego, wszystkiego jakieś sto kroków, ze trzydzieści albo czterdzieści razy tam i zpowrotem. Przypomnieć sobie, co myślał przez tę co najmniej godzinę w parku, nie potrafilby w żaden sposób, gdyby nawet chciał. Pochwycił się zresztą na pewnej myśli, od której zatoczył się nagle ze śmiechu, chociaż nie było nawet z czego sie śmiać, miał jednak ciągłą do śmiechu ochotę. Przywidziało mu się, że przypuszczenie o pojedynku mogło powstać nietylko w głowie Kellera i że wobec tego, opowieść o tem, jak się nabija pistolet, mogła być i nie przypadkowa... „Ba! zatrzymał się nagle, gdyż błysnęła mu inna myśl: zeszła na taras wtedy, gdy ja siedziałem w kącie, i strasznie się zdziwiła, gdy mnie tam znalazła i... tak się śmiała... zaczęła mówić o herbacie; a przecież wówczas miała tę kartkę w ręku, a zatem doskonale wiedziała, że siedzę na tarasie, więc pocóż się zdziwiła? Cha! cha! cha!“

Wyjął kartkę z kieszeni i pocałował ją, ale natychmiast się zatrzymał i zamyślił.

„Jakie to dziwne! jakie to dziwne?“ wymówił po chwili z pewnym nawet smutkiem: w chwilach silnego odczuwania radości zawsze robiło mu się smutno, sam nie wiedział dlaczego. Uważnie rozejrzał się wokoło i zdziwił się, że tutaj zaszedł. Był bardzo zmęczony, podszedł do ławki i usiadł. Dokoła była ogromna cisza. Muzyka na dworcu już się skończyła. W parku może już nie było nikogo; naturalnie, było przynajmniej wpół do dwunastej. Noc cicha, ciepła,

jasna... petersburska noc z początku czerwca, ale w gęstym, cienistym parku, w alei, gdzie się znajdował, było już prawie zupełnie ciemno.

Gdyby mu kto w tej chwili powiedział, że się zakochał, że się kocha namiętnie, to odrzuciłby tę myśl ze zdziwieniem. A gdyby kto do tego dodał, że liścik Agłai jest liścikiem miłosnym, wyznaczeniem miłosnej schodzki, to spaliłby się ze wstydu za tego człowieka i być może, wyzwałby go na pojedynek. Wszystko to było zupełnie szczere i on ani razu nie zawahał się i nie dopuścił do siebie najmniejszej „dwojakiej" myśli co do możliwości, że się w nim ta dziewczyna kocha, jak również co do prawdopodobieństwa, że on kocha się w tej dziewczynie. Możliwość zakochania się w nim, „ w takim człowieku, jak on", uważałby za rzecz potworną. Przychodziło mu do głowy, że to poprostu zabawa z jej strony, jeżeli rzeczywiście tutaj cośkolwiek jest, ale sama ta zabawa była mu jakoś najzupełniej obojętna i traktował ją, jako będącą najzupełniej w porządku rzeczy; sam zaś był zakłopotany i zajęty czemś zupełnie innem. Słowom, które się niedawno wymknęły wzburzonemu jenerałowi na temat że ona się śmieje ze wszystkich, a z niego, księcia, szczególnie, uwierzył całkowicie. Najmniejszej obrazy z tego powodu nie odczuł; według jego zdania, tak właśnie powinno było być. Dla niego wszystko sprowadzało się głównie do tego, że jutro ją znów zobaczy, wczesnym rankiem, że będzie siedział obok niej na zielonej ławce, będzie słuchał, jak się nabija pistolet i będzie na nią patrzał. Nic więcej nie było mu potrzeba. Zapytanie—cóż ona takiego zamierzała mu powiedzieć i co to za ważna sprawa, dotycząca go bezpośrednio? — raz, czy dwa, także przemknęło mu przez głowę. Poza tem, o rzeczywistem istnieniu „ważnej sprawy", z powodu której był wzywany, nie wątpił ani na chwilę, ale wcale prawie o niej teraz nie myślał, do tego stopnia, że nawet nie czuł najmniejszej ochoty zastanawiania się nad nią.

Skrzypienie cichych kroków po piasku alei zmusiło go do podniesienia głowy. Człowiek, twarz którego trudno było rozróżnić w ciemności, podszedł do ławki i usiadł obok. Książę szybko się do niego przysunął i rozpoznał bladą twarz Rogożyna.

— Wiedziałem, że się gdzieś tutaj włóczysz, niedługo też szukałem — wyrzucił przez zęby Rogożyn.

Pierwszy raz zeszli się oni od czasu spotkania w korytarzu hotelu. Uderzony nagłem zjawieniem się Rogożyna, książę przez jakiś czas nie mógł zebrać myśli i męczące uczucie odżyło w jego sercu. Rogożyn, jak się zdaje, rozumiał wrażenie, jakie wywierał; ale choć się nawet z początku zbił nieco z tropu, mówił jakby z wyrazem pewnego wymuszonego niedbalstwa, i książę szybko przyszedł do przekonania, że nie było w nim nic wymuszonego i nawet żadnego szczególnego zakłopotania; jeżeli była jaka niezręczność w jego ruchach i mowie, to chyba nie zewnętrzna; w duszy ten człowiek nie mógł się zmienić.

— Jakim sposobem... odnalazłeś mnie tutaj? — zapytał książę, żeby cośkolwiek powiedzieć.

— Keller mi mówił (wstępowałem do ciebie); „do parku, powiada, poszedł"; no. myślę sobie, tak właśnie musiało być.

— Co „musiało być?" — zaniepokojony podchwycił książę słowo, które się tamtemu wyrwało.

Rogożyn uśmiechnął się, ale nic mu nie wytłumaczył.

— Otrzymałem list od ciebie, Lwie Mikołajewiczu; ty to wszystko niepotrzebnie... i chce ci się też!... A teraz przyszedłem do ciebie w jej imieniu: bezwarunkowo zaraz kazała cię prosić; koniecznie potrzebuje ci coś tam powiedzieć. Prosiła, żeby jeszcze dzisiaj.

— Przyjdę jutro. Teraz idę do domu; ty... do mnie?

— Poco? Powiedziałem ci już wszystko; do widzenia.

— Więc nie wstąpisz? — cicho zapytał książę.

— Dziwny z ciebie człowiek, Lwie Mikołajewiczu, podziwiam cię, doprawdy.

Rogożyn złośliwie się uśmiechnął.

— Dlaczego? Skąd ty masz teraz taką złość do mnie? — smutnie i gorąco podchwycił książę. — Przecież sam wiesz teraz, że to co myślałeś... to nieprawda. Chociaż, zresztą, ja też tak sądziłem, że cię złość do mnie nie minęła dotychczas, i wiesz dlaczego? Dlatego, że to ty właśnie rękę na mnie podniosłeś, dlatego cię złość nie mija. Powiadam ci, że pamiętam tylko jednego Parfena Rogożyna,

z którym się wówczas zbratałem, zamieniając krzyże; pisałem ci to we wczorajszym liście, żebyś przestał myśleć o całem tem szaleństwie i nie zaczynał nawet mówić o tem ze mną. Dlaczego ty się boczysz na mnie? Dlaczego rękę przede mną chowasz? Powiadam ci, że wszystko to, co było wtedy, uważam tylko za malignę: ciebie, takiego jak byłeś tego dnia, poznałem już tak gruntowie, jak siebie samego. To, coś sobie wyobraził, nie istniało i nie mogło istnieć. Dlaczego ma istnieć złość pomiędzy nami?

— Jaka tam też może być twoja złość! — roześmiał się Rogożyn w odpowiedzi na gorące przemówienie księcia. On rzeczywiście boczył się, stał odsunięty od księcia o jakie dwa kroki i wciąż chował ręce.

— Nie będę ja do ciebie teraz wcale chodził, Lwie Mikołajewiczu — wolno i uroczyście dodał na zakończenie.

— Tak mnie już nienawidzisz, czy co?

— Ja ciebie nie lubię, Lwie Mikołajewiczu, więc pocóż ja do ciebie pójdę? Aj, książę, zupełnie jesteś jak dzieciak jaki, zachciało ci się zabawki... i dawaj zaraz, a na rzeczy się nie znasz. Wszystko przecież tak samo w liście napisałeś, co teraz mówisz; a bo to ja ci nie wierzę? W każde twoje słowo wierzę i wiem, że mnie nie oszukiwałeś nigdy, i na przyszłość nie oszukasz; a jednak ja ciebie nie lubię. Piszesz oto, że zapomniałeś o wszystkiem, że tylko tego brata Rogożyna, który się z tobą zamienił na krzyże, pamiętasz, a nie tego Rogożyna, który się wtedy nożem na ciebie zamierzył. A skąd ty znasz moje uczucia? (Rogożyn znów się uśmiechnął). Może ja ani razu tego dotychczas nie żałowałem, a tyś mi już braterskie przebaczenie przysłał. Może ja tego samego wieczoru zupełnie już o czem innem myślałem, a o tem...

— Pomyśleć nawet zapomniałeś! — podchwycił książę — jeszczeby też! Założę się, żeś wtedy prosto na kolej poleciał i tutaj do Pawłowska na muzykę zawitał, żeby ją zupełnie tak, jak dzisiaj, w tłumie śledzić i wypatrywać. Miałeś mnie też czem zadziwić! Toż gdybyś wtedy nie był w takiem położeniu, że o jednem tylko i tem samem zdolny byłeś myśleć, tobyś może i noża na mnie nie podnosił... Przeczucie miałem wtedy już od rana, patrząc na ciebie; czy

wiesz, jakiś ty był wtedy? Kiedyśmy zamieniali krzyże, wtedy może powstała we mnie ta myśl. Dlaczegoś ty mnie do staruszki wtedy prowadził? Rękę sobie tam chciałeś związać? zresztą nie może być, żebyś pomyślał, a tak tylko poczułeś, jak i ja... Dosłownie to samo poczuliśmy wtedy obydwaj. Gdybyś ty był wtedy nie podniósł na mnie ręki (którą uchylił Bóg), jakieżbym ja czoło miał teraz wobec ciebie? Ja cię już przecież i tak podejrzewałem, jeden grzech, twój i mój, kubek w kubek! (Nie krzyw się! No i z czegóż ty się śmiejesz?) „Nie żałowałeś!" Ba, gdybyś nawet chciał, to możebyś i nie mógł żałować, bo mnie jeszcze i nie lubisz w dodatku. I gdybym nawet był niewinny jak anioł w stosunku do ciebie, ty mnie jednak nie będziesz mógł znosić, dopóki będziesz sądził,że ona nie ciebie, lecz mnie kocha. To właśnie nie jest nic innego, tylko zazdrość. A oto, co ja sobie myślałem przez ten tydzień, Parfenie, teraz ci powiem: czy ty wiesz, że ona ciebie teraz może najwięcej kocha, i tak nawet, że im więcej dręczy, tem więcej właśnie kocha. Ona ci tego nie powie, ale trzeba umieć patrzeć. Dlaczegóż ona, koniec końców, za ciebie jednak zamąż idzie? Kiedyś ona ci to sama powie. Niektóre kobiety nawet chcą, żeby je tak kochali, a ona właśnie ma taki charakter! A twój charakter i twoja miłość powinny ją chyba przywieść do zastanowienia? Czy ty wiesz, że kobieta zdolna jest zamęczyć człowieka okrucieństwem i drwinami, i ani razu nie poczuć wyrzutów sumienia, dlatego, że za każdym razem będzie myślała, patrząc na ciebie: „ot teraz ja go śmiertelnie udręczę, a potem mu to miłością wynagrodzę"...

Wysłuchawszy księcia, Rogożyn zaczął się śmiać.

— A co, książę, czyś ty sam jakoś na taką nie trafił? Ja cośkolwiek słyszałem o tobie, jeżeli to prawda?

— Co, coś ty mógł słyszeć? — drgnął nagle książę i zatrzymał się ogromnie zmieszany.

Rogożyn śmiał się w dalszym ciągu. On nie bez ciekawości i może nie bez przyjemności wysłuchał księcia; radosny i gorący zapał księcia bardzo go uderzył i dodał mu otuchy.

— Ba, nietylko słyszałem, ale i sam teraz widzę, że prawda — dodał; — toż kiedyś ty tak mówił, jak teraz?

Przecież taka rozmowa... to jakby kto inny, a nie ty. Niechbym ja o tobie tego nie słyszał, tobym tu i nie przyszedł; a jeszcze do parku, o północy.

— Ja ciebie wcale nie rozumiem, Parfenie.

— Ona mi to dawno jeszcze tłumaczyła, a teraz ja niedawno sam się przyjrzałem, kiedyś ty z tamtą siedział na muzyce. Przysięgała się na Boga, wczoraj i dzisiaj się na Boga przysięgała, że jesteś jak kot zakochany w Agłai Jepanczynej. Mnie to, książę, jest wszystko jedno, i nie moja to rzecz: jeżeli ty ją przestałeś kochać, to ona ciebie jeszcze nie przestała. Wiesz przecież, że ona cię chce z tamtą koniecznie ożenić, ślub taki zrobiła, che! che! Mówi do mnie: „bez tego ja za ciebie nie wyjdę, oni do kościoła, i my do kościoła". Co w tem jest takiego, tego nie mogę zrozumieć i nigdy nie rozumiałem: albo cię kocha bez granic, albo... jeżeli kocha, to jakże ciebie chce z drugą żenić? Powiada: „chcę go widzieć szczęśliwym", a więc, znaczy się, że kocha.

— Mówiłem ci i pisałem, że ona... nie jest przy zdrowych zmysłach — powiedział książę, z męką wysłuchawszy Rogożyna.

— Bóg wie! Może się i mylisz... ona mi, zresztą, dzisiaj dzień naznaczyła, kiedy ją z muzyki odprowadziłem: za trzy tygodnie, a może i wcześniej, napewno, powiada, pójdziemy do ołtarza; przysięgła, zdjęła obraz święty, pocałowała. Na ciebie więc, książę, teraz czekamy, che! che!

— Wszystko to szaleństwo! Tego, co ty mówisz o mnie, nigdy, nigdy nie będzie! Jutro ja z pewnością do was przyjdę...

— Jaka ona tam warjatka? — zauważył Rogożyn — jakże, dla wszystkich ma zdrowy rozum, a dla ciebie jednego ma pomieszanie zmysłów? Jakże więc ona tam te listy pisze? Jeżeli warjatka, toby przecie i tam po listach poznali.

— Jakie listy? — zapytał książę z przestrachem.

— Tam pisze, do tamtej, a tamta czyta. Bo to nie wiesz? No, to się dowiesz; napewno sama ci pokaże.

— Ech! To ty, Lwie Mikołajewiczu, widać niedaleko jeszcze na tej dróżce zaszedłeś, jak widzę, a tylko zaczynasz. Poczekaj nieco; będziesz swoją własną policję utrzy-

mywał, sam dzień i noc dyżurował, i każdy krok znał, kiedy tylko...

— Przestań i nie mów o tem nigdy! — zawołał książę. — Słuchaj, Parfen, ja oto teraz chodziłem tutaj przed tobą i nagle zacząłem się śmiać, z czego, nie wiem, jedynie z przyczyny, że przypomniałem sobie, iż dzień jutrzejszy... jest jakby naumyślnie dniem moich urodzin. Teraz prawie dwunasta godzina. Chodźmy, powitamy ten dzień! Mam wino, napijemy się wina, będziesz mi życzył tego, czego ja sam sobie teraz życzyć nie umiem, ale właśnie ty mi będziesz życzył, a ja ci będę życzył zupełnego szczęścia. A nie, to oddawaj krzyż zpowrotem! Przecież nie odesłałeś mi krzyża zaraz na drugi dzień! Przecież go masz na sobie? Masz i teraz?

— Mam — wymówił Rogożyn.

— No, więc chodźmy. Ja bez ciebie nie chcę witać nowego życia, bo zaczęło się moje nowe życie! Ty nie wiesz, Parfen, że od dzisiaj zaczęło się moje nowe życie?

— Teraz sam widzę i sam wiem, że się zaczęło, tak też i jej powiem. Dziwnie jesteś podniecony, Lwie Mikołajewiczu!

IV.

Z ogromnem zdziwieniem zauważył książę, podchodząc do swojej willi z Rogożynem, że na jasno oświetlonym tarasie zgromadziło się szumne i liczne towarzystwo. Wesoła kompanja śmiała się głośno i rozmawiała; zdaje się nawet, że sprzeczano się burzliwie; od pierwszego rzutu oka można było przypuścić, iż spędzano czas w sposób najbardziej wesoły. Istotnie, wszedłszy na taras, zobaczył, że wszyscy pili, pili szampana, i zdaje się, już dość dawno, tak że wielu z ucztujących zdążyło już wpaść w bardzo przyjemne ożywienie. Wszyscy goście byli znajomymi księcia, ale dziwnem było to, że zebrali się odrazu wszyscy, zupełnie jakby na wezwanie, chociaż książę nikogo nie zapraszał, a o dniu urodzin sam przypomniał sobie dopiero przed chwilą i przypadkiem.

— Powiedziałeś, widocznie, komuś, że postawisz szampana, więc się zlecieli — mówił pod nosem Rogożyn, wchodząc za księciem na taras — znamy się na tem; na nich wystarczy gwizdnąć... — dodał prawie ze złością, przypominając sobie, oczywiście swoją niedawną przeszłość.

Wszyscy powitali księcia krzykiem i życzeniami i otoczyli go. Niektórzy bardzo hałaśliwi, inni znacznie spokojniejsi, ale wszyscy śpieszyli winszować, dowiedziawszy się o urodzinach i każdy czekał na swoją kolej. Obecność niektórych osób, naprzykład Burdowskiego, zainteresowała księcia; ale najdziwniejsze było to, że wśród tej kompanji znalazł się nagle i Eugenjusz Pawłowicz; książę prawie oczom wierzyć nie chciał i ujrzawszy go, przestraszył się nieomal.

Tymczasem Lebiediew, zaczerwieniony i prawie zachwycony, podbiegł z wyjaśnieniami; był on dość wyraźnie podcięty. Z jego gadaniny okazało się, że wszyscy zgromadzili się zupełnie samorzutnie a nawet przypadkowo. Pierwszy, przed wieczór, przyjechał Hipolit, a ponieważ czuł się daleko lepiej, więc chciał oczekiwać księcia na tarasie. Umieścił się na kanapie; potem przyszedł do niego z góry Lebiediew, następnie cała jego rodzina, to jest jenerał Iwołgin i córki. Burdowski przyjechał z Hipolitem, odprowadzając go. Gania i Pticyn wstąpili, zdaje się, niedawno, przechodząc obok willi (ich pojawienie się miało związek z wypadkiem na dworcu); następnie zjawił się Keller, oznajmił o urodzinach i zażądał szampana. Eugenjusz Pawłowicz wstąpił dopiero może pół godziny temu. Na szampana i na to, żeby urządzić uroczystość nalegał ze wszystkich sił również i Kola. Lebiediew z ochotą podał wino.

— Ale swoje, swoje! — szczebiotał do księcia — na koszt własny, żeby uczcić i powitać, i poczęstunek będzie, przekąska, około tego już się córka krząta; no, ale żeby książę wiedział co za temat jest w obiegu. Pamięta książę Hamleta „być albo nie być". Współczesny temacik, współczesny! Pytania i odpowiedzi... I pan Terentjew w wysokim stopniu... nie jest śpiący! A szampana tylko łyknął, łyknął; nie zaszkodzi... Niech się książę zbliży i rozstrzygnie! Wszyscy na księcia czekali, wszyscy tylko czekali na szczęśliwy w swych sądach umysł księcia...

Książę spostrzegł miłe i łagodne wejrzenie Wiery Lebiediew, która także śpieszyła przecisnąć się do niego poprzez tłum. Omijając wszystkich, do niej pierwszej wyciągnął rękę; zapłoniła się z radości i życzyła mu „szczęśliwego życia, poczynając o d t e g o w ł a ś n i e d n i a“. Poczem pędem pobiegła do kuchni; przygotowywała tam przekąski; ale i przed przyjściem księcia, jak tylko na chwilę mogła się oderwać od roboty, przychodziła na taras i z całem natężeniem przysłuchiwała się gorącym sporom o najbardziej oderwanych i dziwnych dla niej tematach, sporom, niemilknącym pomiędzy gośćmi, którzy już sobie podpili. Młodsza jej siostra, otworzywszy usta, zasnęła w sąsiednim pokoju na kufrze, ale chłopiec, syn Lebiediewa, stał obok Koli i Hipolita, i sam już wyraz jego ożywionej twarzy wskazywał, że gotów był stać tutaj na jednem miejscu, rozkoszować się i słuchać chociażby jeszcze dziesięć godzin zrzędu.

— Czekałem specjalnie na księcia i bardzo jestem rad, że książę przyszedł taki uszczęśliwiony — rzekł Hipolit, kiedy książę, zaraz po przywitaniu się z Wierą, podszedł uścisnąć mu rękę.

— A skąd pan wie, że ja jestem „taki uszczęśliwiony?“

— Z wyrazu twarzy widać. Niech się książę przywita z panami i przysiądzie się tutaj do nas jak najprędzej. Specjalnie na księcia czekałem — dodał, kładąc szczególny nacisk na to, że czekał. Na uwagę księcia: „czy mu nie zaszkodzi tak późne siedzenie?“ — odpowiedział, że sam się sobie dziwi, że przed trzema dniami chciał umierać i że nigdy nie czuł się lepiej, niż tego wieczoru.

Burdowski zerwał się i wybełkotał, że on „tylko tak...“, że on z Hipolitem, że „odprowadzał“, i że także jest rad; że w liście „napisał brednie“, a teraz jest poprostu „rad...“ Nie dopowiadając, silnie uścisnął rękę księcia i usiadł na krześle.

Przywitawszy się ze wszystkimi, książę podszedł i do Eugenjusza Pawłowicza. Ten go zaraz wziął pod rękę.

— Ja mam tylko dwa słowa do powiedzenia — wyszeptał półgłosem — i w bardzo poważnej sprawie; oddalmy się na chwilę.

— Dwa słowa — wyszeptał inny głos do drugiego ucha

księcia i inna osoba wzięła go z drugiej strony pod rękę. Książę ze zdziwieniem spostrzegł bardzo nastraszoną, zaczerwienioną, mrugającą znacząco i śmiejącą się figurę i poznał w tej chwili Fierdyszczenkę, który Bóg wie skąd się tutaj wziął.

— Fierdyszczenkę książę pamięta? — zapytał ten.

— Skąd się pan wziął? — zawołał książę.

— On żałuje tego co zrobił! — zawołał podbiegając Keller — on się skrył, nie chciał wychodzić do księcia, on się tam w kącie skrył, żałuje tego co zrobił, proszę księcia, on czuje swą winę.

— Ale w czemże, w czemże jego wina?

— To ja go spotkałem, proszę księcia, ja go dopiero co spotkałem i przprowadziłem; to jest mój wyjątkowy przyjaciel; ale on żałuje tego co zrobił.

— Bardzo rad jestem, panowie; idźcie, siadajcie tam ze wszystkimi — pozbvł się ich nareszcie książę, śpiesząc do Eugenjusza Pawłowicza.

— Ciekawie tutaj u pana — zauważył tenże z ożywieniem — i z przyjemnością czekałem na pana jakieś pół godziny. Ot co jest, najmilszy Leonie Mikołajewiczu, wszystko już załatwiłem z Kurmyszewym i wstąpiłem pana uspokoić, on bardzo, bardzo rozsądnie patrzy na sprawę, tem bardziej, że podług mnie, on raczej sam jest winien.

— Z jakim Kurmyszewym?

— No z tym, którego pan wtedy za ręce schwycił... On był taki wściekły, że już chciał jutro przysłać panu świadków.

— Dajże pan spokój, co za głupstwo!

— Rozumie się, że głupstwo i na głupstwie by się z pewnością skończyło; ale u nas ci ludzie...

— Pan może jeszcze w jakiej sprawie przyszedł, Eugenjuszu Pawłyczu?

— O rozumie się, jeszcze w jednej sprawie — roześmiał się. — Miły książę, jutro skoro świt jadę w tej nieszczęsnej sprawie (no tam, z tym wujem) do Petersburga; wszystko to prawda, i wszyscy o tem wiedzą, oprócz mnie. Wszystko to tak na mnie spadło, że nawet nie zdążyłem t a m zajść (do Jepanczynów); jutro także nie będę ponieważ będę w Petersburgu, rozumie pan? Może ze trzy dni

tu nie będę, jednem słowem sprawy moje kuleją. Chociaż sprawa nie jest tak nieskończenie poważna, to jednak zdecydowałem, że muszę z panem pomówić o pewnej rzeczy nazupełniej szczerze i bez straty czasu, to znaczy, przed wyjazdem. Teraz posiedzę i poczekam, jeśli pan pozwoli, dopóki się towarzystwo nie rozejdzie; tem bardziej, że nawet nie mam gdzie się podziać; jestem tak wzburzony, że spać nie pójdę. Wreszcie, chociaż to jest bezwstydnie i nieuczciwie tak się wprost narzucać człowiekowi, ale ja panu wprost powiem: przyszedłem szukać pańskiej przyjaźni, miły książę; pan jest człowiekiem zupełnie nieporównanym, to jest nie kłamiącym na każdym kroku, a może nawet i wcale, a ja w pewnej sprawie potrzebuję przyjaciela i doradcy, ponieważ stanowczo należę teraz do liczby nieszczęśliwych...

Znów się roześmiał.

— Nie wiem, jak zrobić — zamyślił się na chwilę książę — pan chce poczekać, dopóki się oni nie rozejdą, a przecież Bóg wie, kiedy to nastąpi. Nie lepiejby było teraz zejść do parku; oni przecież poczekają; ja ich przeproszę.

— Nie, nie! ja mam swoje powody, żeby nas nie podejrzewali o nadzwyczajną rozmowę w interesie; tutaj są ludzie, których bardzo interesują nasze stosunki, czy książę o tem nie wie? I daleko lepiej będzie, jeśli zobaczą, że my i tak jesteśmy w jak najbardziej przyjacielskich, a nietylko w jakichś szczególnych stosunkach, rozumie pan? Oni za jakie dwie godziny się rozejdą; ja panu zajmę jakieś dwadzieścia minut, no... pół godziny...

— Ależ proszę pana bardzo, niech pan będzie łaskaw; jestem niezmiernie rad i bez wyjaśnień; a za pańskie dobre słowo o przyjacielskich stosunkach bardzo panu dziękuję. Pan wybaczy, że jestem dzisiaj roztargniony; wie pan, wcale jakoś w tej chwili nie mogę skupić uwagi.

— Widzę, widzę — wybąkał Eugenjusz Pawłowicz z lekkim uśmiechem.

Bardzo łatwo śmiał się tego wieczoru.

— Co pan widzi? — nastraszył się książę.

— A czy pan nie podejrzewa, mój miły książę —

uśmiechał się w dalszym ciągu Eugenjusz Pawłowicz, nie odpowiadając wprost na pytanie — pan nie podejrzewa, że ja poprostu przyszedłem pana wyprowadzić w pole i mimochodem cośkolwiek z pana wyciągnąć, co?

— Że pan przyszedł coś wyciągnąć, to nie ulega żadnej wątpliwości — zaśmiał się wreszcie i książę — a może nawet postanowił mnie pan cokolwiek oszukać. No, ale cóż, ja się pana nie boję; poza tem jest mi jakoś teraz wszystko jedno, uwierzy pan? I... i... i ponieważ przedewszystkiem jestem przekonany, że z pana jest, bądź co bądź, nieoceniony człowiek, a więc chyba istotnie skończymy na tem, że zostaniemy przyjaciółmi. Pan mi się bardzo spodobał Eugenjuszu Pawłyczu, pan jest... bardzo, bardzo, podług mnie, porządnym człowiekiem!

— No, ale z panem mieć do czynienia jest w każdym razie niesłychanie przyjemnie, o cokolwiek bądź by nawet chodziło — oświadczył Eugenjusz Pawłowicz; — chodźmy, ja za pańskie zdrowie wypiję kieliszek; strasznie jestem zadowolony z tego, że się panu narzuciłem. A! — zatrzymał się nagle — ten pan Hipolit przeprowadził się do pana.

— Tak.

— On chyba nie umrze zaraz, myślę?

— A bo co?

— Tak sobie nic; ja tu z nim pół godziny spędziłem.

Hipolit przez cały ten czas czekał na księcia i bezustannie spoglądał na niego i na Eugenjusza Pawłowicza, podczas kiedy rozmawiali na uboczu. Ożywił się gorączkowo, kiedy podeszli do stołu. Był niespokojny i podniecony; pot mu występował na czole. W błyszczących jego oczach odbijała się, oprócz błędnego ciągłego niepokoju, jeszcze jakaś nieokreślona niecierpliwość; spojrzenie jego przeskakiwało bez celu z przedmiotu na przedmiot, z jednej osoby na drugą. Chociaż w ogólnej hałaśliwej rozmowie przyjmował dotychczas dość znaczny udział, jednak ożywienie jego było tylko gorączkowe, właściwie nie słuchał rozmowy uważnie, spierał się w sposób pozbawiony związku, drwiący, i lekceważąco paradoksalny; nie kończył, urywał, a za chwilę o tem samem mówił z gorączkowym zapałem. Książę ze zdziwieniem i przykrością dowiedział się, iż pozwolono

mu tego wieczoru wypić bez przeszkody dwa pełne kieliszki szampana, i że ten zaczęty, który stał przed nim, był już trzeci. Ale dowiedział się o tem dopiero później, w obecnej chwili niewiele co zauważał.

— A wie pan, że ja strasznie rad jestem z tego, że to dzisiaj właśnie pańskie urodziny — zawołał Hipolit.

— Dlaczego?

— Zobaczy pan; niech pan siada, po pierwsze już dlatego, że zgromadził się cały pański... ludek. Ja właśnie na to liczyłem, że tak będzie; pierwszy raz w życiu udaje mi się rachuba! A szkoda, że nie wiedziałem o pańskich urodzinach, byłbym przyjechał z podarunkiem... Cha! cha! A może ja właśnie z podarunkiem przyjechałem! Czy daleko jeszcze do świtu?

— Do świtu jeszcze niecałe dwie godzniy — zauważył Pticyn, spojrzawszy na zegarek.

— Pocóż teraz świt, kiedy na dworze i bez tego możnaby czytać? — zauważył ktoś.

— Poto, że ja muszę zobaczyć kawałeczek słońca. Czy można pić zdrowie słońca, jak książę myśli?

Hipolit pytał ostro, zwracając się do wszystkich bez ceremonji, jakgdyby komenderował, ale sam, zdaje się tego nie spostrzegał.

— Wypijemy, owszem; ale pan powinienby się uspokoić, panie Hipolicie.

— Książę wciąż o spaniu; książę jest moją niańką! Jak tylko słońce się pokaże i „zadzwoni" na niebie (kto to powiedział w poezji „na niebie zadzwoniło słońce?" bez sensu powiedziane ,ale ładnie!), zaraz pójdziemy spać. Panie Lebiediew! Wszak słońce jest „źródłem życia" w Apokalipsie? Książę słyszał o „gwieździe Połyń"?

— Słyszałem, że Lebiediew uważa „gwiazdę Połyń" za sieć dróg żelaznych, która się po Europie rozpostarła.

— Nie, pózwólcie panowie, tak nie można! — zawołał Lebiediew, zrywając się i machając rękami, jakgdyby chciał zatrzymać budzący się śmiech ogólny — pozwólcie panowie! Z tymi panami... wszyscy ci panowie — zwrócił się on nagle do księcia — przecież to na niektórych punktach

ot co — i bez ceremonji uderzył dwa razy w stół, wskutek czego śmiech jeszcze bardziej się wzmógł.

Lebiediew, chociaż był wprawdzie w zwykłym swoim „wieczorowym“ stanie, ale tym razem był już zanadto podniecony i rozdrażniony poprzednią długą „uczoną“ dysputą, a w takich wypadkach dla oponentów swoich miał bezgraniczną i w wysokim stopniu szczerą pogardę.

— To nie tak, panowie! Myśmy, książę, przed pół godziną zawarli umowę, żeby nie przerywać, żeby się nie śmiać głośno, dopóki jeden mówi, żeby pozwolić mu swobodnie wszystko wypowiedzieć, a potem już niech ateiści, jeżeli chcą, oponują; jenerała zrobiliśmy przewodniczącym, ot co! A tak to cóż? Tak to każdego można zbić z tropu, przy najwyższej, przy nagłębszej myśli...

— Ale mówże pan, mów: nikt panu nie przerywa! — rozległy się głosy.

— Mów pan, ale się pan nie upajaj tem, co pan mówi.

— Cóż to znów za gwiazda Połyń — zainteresował się ktoś.

— Pojęcia nie mam! — odrzekł jenerał Iwołgin zajmując znów, z całą godnością, miejsce przewodniczącego.

— Ja dziwnie lubię wszystkie te spory i podniecenia, proszę księcia, naukowe, rozumie się — mówił tymczasem Keller, stanowczo upojony tem wszystkiem i niecierpliwie kręcąc się na krześle — naukowe i polityczne — zwrócił się nagle i niespodziewanie do Eugenjusza Pawłowicza, który siedział prawie, że obok niego. — Wie pan, ja strasznie lubię czytać w gazetach o angielskich parlamentach, to jest nie w tem znaczeniu, o czem oni tam mówią (ja, wie pan, nie jestem politykiem), tylko, jak oni ze sobą rozmawiają; zachowują się, że tak powiem, jak politycy: „szlachetny wicehrabia, siedzący vis-à-vis“, „szlachetny hrabia, który podziela mój pogląd“, „szlachetny mój oponent, który swoim projektem zadziwił Europę“, wszystkie te słóweczka, cały ten parlamentaryzm wolnego narodu, ot co nas musi nęcić! Ja jestem zachwycony książę. Ja zawsze byłem artystą w głębi duszy, przysięgam panu, Eugenjuszu Pawłyczu.

Więc jakże wobec tego — gorączkował się w drugim

kącie Gania — wychodzi na to, według pana, że drogi żelazne są przeklęte, że są zgubą dla ludzkości, że są zarazą, która spadła na ziemię, żeby zamącić „źródła życia?“

Gabrjel Ardałjanowicz był tego wieczoru w usposobieniu szczególnie podnieconem, w usposobieniu wesołem, triumfującem nieomal, jak się zdawało księciu. Z Lebiediewem on naturalnie żartował, podżegając go, ale wkrótce i sam się zapalił.

— Nie drogi żelazne, nie! — odpowiadał Lebiediew, który wpadał w uniesienie i jednocześnie odczuwał niepomierną rozkosz — właściwie same drogi żelazne nie zamącą źródeł życia, a wszystko to ogółem jest przeklęte, cały ten nastrój ostatnich naszych wieków, w jego sumie ogólnej, naukowej i praktycznej, być może, istotnie jest przeklęty.

— Czy na pewno jest przeklęty, czy tylko może być? To przecież jest ważne w tym wypadku — zapytał Eugenjusz Pawłowicz.

— Przeklęty, przeklęty, na pewno przeklęty! — gorąco potwierdził Lebiediew.

— Nie śpiesz się pan, panie Lebiediew, pan z rana jest daleko łagodniejszy — zauważył z uśmiechem Pticyn.

— A wieczorem zato bardziej szczery! Wieczorem zacniejszy i bardziej szczery; — z ogniem zwrócił się do niego Lebiediew — bardziej dobroduszny i bardziej wyraźny, bardziej uczciwy i bardziej szanowny, i chociaż wam tem słabą stronę odsłaniam, ale kpię sobie z tego; ja was wszystkich wyzywam teraz, wszystkich ateistów: czem wy zbawicie świat i gdzie odnaleźliście dla niego normalną drogę... wy, ludzie nauki, przemysłu, asocjacji, płacy zarobkowej i tak dalej. Czem? kredytem? Cóż to jest kredyt? Dokąd was zaprowadzi kredyt?

— E, to u pana prosta ciekawość! — zauważył Eugenjusz Pawłowicz.

— A mnie się zdaje, że kogo takie pytania nie zajmują ten jest fircykiem salonowym.

— A doprowadzi choćby do powszechnej solidarności i równowagi interesów — zauważył Pticyn.

— Tylko, tylko! Bez żadnej podstawy moralnej, oprócz zaspokojenia egoizmu osobistego i konieczności materjalnej?

Czy dobrze, ośmielę się zapytać, zrozumiałem łaskawego pana.

— To przecież powszechna konieczność życia, picia i jedzenia, i zupełne, naukowe, wreszcie, przekonanie o tem, że nie zaspokoi pan koniecznych potrzeb bez powszechnej asocjacji i solidarności interesów, to są, zdaje się, dość mocne myśli, żeby mogły wystarczyć za punkt oparcia i „źródło życia" dla przyszłej ludzkości — zauważył już na serjo podniecony Gania.

— Konieczna potrzeba picia i jedzenia, to jest sam tylko popęd samozachowawczy...

— Albo to mało? Przecież popęd samochowawczy jest normalnym prawem ludzkości...

— Kto to panu powiedział? — zawołał nagle Eugenjusz Pawłowicz; — prawo... to prawda, ale tak samo normalne, jak i prawo niszczenia, a może i samoniszczenia. Czyż w samem tylko samozachowaniu zawiera się całe normalne prawo ludzkości?

— Ehe! — wykrzyknął Hipolit, szybko zwróciwszy się do Eugenjusza Pawłowicza i oglądając go z dziką ciekawością; ale spostrzegłszy, że ten się śmieje, roześmiał się sam, trącił stojącego obok Kolę i znowu zapytał go która godzina, a nawet sam przysunął do siebie srebrny zegarek Koli i chciwie spojrzał na wskazówki. Poczem, jakgdyby zapomniawszy o wszystkiem, wyciągnął się na kanapie, ręce zarzucił na tył głowy i jął patrzeć na sufit; po upływie pół minuty znów już siedział przy stole, wyprostowany i zasłuchany w gadaninę podnieconego do ostatnich granic Lebiediewa.

— Jest to myśl podstępna i urągliwa, jest to myśl drażniąca — chciwie podchwycił Lebiediew paradoks Eugenjusza Pawłowicza — jest to myśl, wypowiedziana w celu podbechtania przeciwników, ale jest to myśl słuszna! O bo pan, żartowniś salonowy i kawalerzysta (chociaż i nie bez zdolności), pan sam nie wie do jakiego stopnia pańska myśl jest głęboka, do jakiego stopnia pańska myśl jest trafna! Tak. Prawo samoniszczenia i prawo samozachowania jednakową siłę posiadają w ludzkości. Djabeł jednakowo panować będzie nad ludzkością, aż do końca świata, o którym

jeszcze nic nie wiemy. Pan się śmieje! Pan nie wierzy w djabła? Niewiara w djabła... jest to myśl francuska, jest to myśl płocha. A czy pan wie, kto to jest djabeł? Wie pan jak mu na imię? I nie znając nawet jego imienia, śmieje się pan z jego postaci, za przykładem Woltera, z kopyt, ogona, i rogów, które pan sam wymyślił; albowiem duch nieczysty jest to duch wielki i groźny, a nie z kopytami i z rogami, które pan sam dla niego wymyślił. Nie o niego jednak teraz chodzi...

— Skąd pan wie, że nie o niego teraz chodzi? — krzyknął nagle Hipolit i zaczął się śmiać do rozpuku.

— Myśl bystra i zręczna! — pochwalił Lebiediew — ale znów nie o to teraz chodzi, tylko o to, czy nie osłabły „źródła życia“ wraz ze wzmocnieniem...

— Kolei żelaznych? — krzyknął Kola.

— Nie żelaznych środków lokomocji, młody, lecz zapalczywy chłopcze, ale całego tego kierunku, dla którego drogi żelazne mogą służyć, że tak powiem, jako obraz, jako wyraz artystyczny. Śpieszą się, grzmią, huczą i pędzą dla szczęścia, powiadają, ludzkości! „Zanadto hałaśliwie i fabrycznie zaczyna mi się robić na świecie, za mało spokoju duchowego“ skarży się pewien samotny myśliciel. „Niech tam, ale turkot wozów, wiozących chleb dla głodnej ludzkości, jest może lepszy od spokoju duchowego“ zwycięsko odpowiada tamtemu inny rozbijający się wszędzie myśliciel, i dumnie się od niego oddala. Nie dowierzam ja, nikczemny Lebiediew, wozem, wiozącym chleb dla ludzkości! Albowie mwozy, wiozące chleb dla ludzkości, bez moralnej podstawy działania, mogą z najzimniejszą krwią usunąć znaczną część ludzkości od rozkoszowania się ich zawartością, co już nawet było...

— Wozy mogą z najzimniejszą krwią usunąć? — podchwycił ktoś.

— Co już nawet było — potwierdził Lebiediew, nie racząc zwrócić uwagi na pytanie — już był Malthus, przyjaciel ludzkości. Ale przyjaciel ludzkości o chwiejnych podstawach moralnych jest ludożercą ludzkości, nie mówiąc już o jego próżności: albowiem podrażnijcie próżność którego z tych niezliczonych przyjaciół ludzkości, a on natychmiast gotów będzie podpalić świat z czterech końców dla mizernej

zemsty; zresztą, tak samo jak i każdy z nas, mówiąc sprawiedliwie, jak i ja, najnikczemniejszy ze wszystkich, albowiem ja właśnie pierwszybym może drwa nanosił, a sambym uciekł precz. Ale nie o to znów chodzi!

— A o cóż nareszcie?

— A to nudziarz;

— Chodzi o następującą anegdotę z wieków minionych, albowiem koniecznie muszę opowiedzieć anegdotę z wieków minionych. Za naszych czasów, w naszej kochanej ojczyźnie, którą, mam nadzieję, panowie kochacie, równie jak i ja, gdyż ja, ze swej strony, gotów jestem wylać wszystką krew...

— Dalej! Dalej!

—W naszej ojczyźnie, zarówno jak w Europie, ogólny, powszechny i okropny głód nawiedza ludzkość, według prawdopodobnego obliczenia i o ile mogę spamiętać nie częściej teraz jak raz na ćwierć wieku, innemi słowami raz jeden na każde dwudziestopięciolecie. Nie sprzeczam się o ścisłość liczby, ale nader rzadko stosunkowo.

Stosunkowo do czego?

— Do dwunastego wieku i do wieków sąsiednich z jednej i z drugiej strony. Albowiem wtedy, jak piszą i utrzymują pisarze, powszechny głód nawiedzał ludzkość raz na dwa lata, albo przynajmniej, raz na trzy lata, że wobec takiego stanu rzeczy, człowiek uciekał się nawet do antropofagji, zachowując wprawdzie tajemnicę. Jeden z takich pasorzytów, wobec zbliżającej się starości, wyznał z własnej inicjatywy i bez żadnego przymusu, że w przeciągu swego długiego i skąpego żywota zamordował i zjadł osobiście i w nagłębszym sekrecie sześćdziesięciu mnichów i kilka świeckich niemowląt, ze sześć sztuk, ale nie więcej, to jest niezwykle mało w porównaniu do ilości zjedzonego przez niego duchowieństwa. Dorosłych zaś ludzi świeckich nigdy w tym celu nie używał.

— To jest niemożliwe! — zawołał przewodniczący, jenerał, nieomal obrażonym głosem — ja, panowie, często z nim dyskutuję i spieram się i zawsze o podobne rzeczy; ale najczęściej wygłasza on takie bzdurstwa, że uszy więdną, ani za grosz prawdopodobieństwa!

— Jenerale! Przypomnij sobie oblężenie Karsu, a wy panowie, wiedzcie, że opowieść moja... jest to czysta prawda. Od siebie zaś zwrócę uwagę na to, że każda prawie rzeczywistość, chociaż i ma swoje nieugięte prawa, jednak prawie zawsze jest nieprawdopodobna i trudna do uwierzenia. I nawet im bardziej jest rzeczywista, tem jest niekiedy bardziej nieprawdopodobna.

— Czyż można zjeść sześćdziesięciu mnichów? — śmiali się wszyscy naokoło.

— Przecież zjadł ich nie odrazu, co jest oczywiste, a być może, w przeciągu lat piętnastu albo dwudziestu, co jest już zupełnie zrozumiałe i naturalne.

— I naturalne?

— I naturalne! — z pedantycznym uporem powtarzał Lebiediew — i chociaż przedewszystkiem, mnich katolicki już z istoty swojej jest wścibski i ciekawy, i niesłychanie łatwo jest znęcić go do lasu lub w inne jakieś ustronie, a tam obejść się z nim w wyżej wymieniony sposób... to jednakże ja się nie spieram, że ilość zjedzonych osób okazała się nadzwyczajna, dochodząca do nieumiarkowania.

— Może to i prawda, panowie — zauważył nagle książę.

Dotychczas stał on w milczeniu i nie wtrącał się do rozmowy; często śmiał się serdecznie, jak tylko wybuchał śmiech ogólny. Było widoczne, iż jest strasznie rad z tego, że jest tak wesoło i tak głośno; a nawet z tego, że tak wiele piją. Możeby nawet przez cały wiczór nie powiedział ani słowa, ale nagle jakoś zachciało mu się mówić. Zaczął zaś mówić z nadzwyczajną powagą, tak iż nagle wszyscy zwrócili się do niego zaciekawieni.

— Ja, panowie, chciałem właściwie powiedzieć, że wtedy bywał często taki głód. O tem i ja słyszałem, chociaż słabo znam historję. Ale, zdaje się, iż musiało tak być; kiedy się znalazłem pośród gór Szwajcarji, dziwiły mnie straszne ruiny starych zamków rycerskich, zbudowanych na stokach górskich, na spadzistych skałach, i przynajmniej na wysokości pół wiorsty, licząc pionowo (to znaczy kilka wiorst ścieżką). Wiadomo przecież, co to jest zamek; cała góra kamieni. Robota okropna, niemożliwa! i to przecież, na-

turalnie, wybudowali wszystko ci biedni ludzie, wasale. Oprócz tego, musieli oni płacić wszelkie podatki i utrzymywać duchowieństwo. Jakże to można było wyżywić się i ziemię obrobić! Było ich zaś wtedy mało, pewnie strasznie marli z głodu, a jeść literalnie może nie było co. Ja czasem nawet myślałem sobie o tem, jak się to stało, że nie wymarł ten wszystek lud, jak on to mógł zdzierżyć i przetrwać to wszystko? Że byli ludożercy i może bardzo liczni, Lebiediew ma bezwątpienia, słuszność; nie wiem tylko, dlaczego właśnie wtrącił tutaj mnichów i co chce przez to powiedzieć?

— Na pewno to, że w dwunastym wieku tylko zakonników można było jeść, tylko bowiem zakonnicy byli wypasieni — zauważył Gabrjel Ardaljonowicz.

— Doskonała i niesłychanie trafna myśl!—zawołał Lebiediew — albowiem świeckich on nie tknął nawet. Ani jednego świeckiego na sześćdziesiąt egzemplarzy duchowieństwa, to jest myśl straszna, myśl historyczna, myśl statystyczna, wreszcie, i z takich to właśnie faktów buduje się historja w oczach mędrca; albowiem z matematyczną ścisłością można ustanowić, iż duchowieństwo żyło przynajmniej sześćdziesiąt razy szczęśliwiej i wygodniej, niż cała reszta ówczesnej ludzkości. I być może, przynajmniej sześćdziesiąt razy było tłuściejsze, niż cała reszta ludzkości...

— Przesada, przesada, panie Lebiediew! — śmiali się dokoła.

— Zgadzam się, że to jest myśl historyczna, ale do czego pan prowadzi? — pytał w dalszym ciągu książę. (Mówił z taką powagą i z takim wyłączeniem wszelkiego żartu i drwin w stosunku do Lebiediewa, z którego się wszyscy śmiali, że ton jego, wśród ogólnego tonu całego towarzystwa, mimowoli stawał się komiczny; jeszcze trochę, a zaczętoby się śmiać i z niego, ale on tego nie spostrzegał).

— Czyż książę nie widzi, że to jest warjat? — pochylił się do niego Eugenjusz Pawłowicz. — Mówiono mi tu niedawno, że on zwarjował na punkcie adwokatury i mów adwokackich, i że chce zdawać egzamin. Spodziewam się wyśmienitej parodji.

— Prowadzę do olbrzymiego wniosku — grzmiał tymczasem Lebiediew. Zbadajmy jednak przedewszystkiem psy-

chologiczny i prawny stan przestępcy. Widzimy, że przestępca, czyli że tak powiem, mój klijent, nie bacząc na całą niemożliwość znalezienia innych artykułów jadalnych, kilka razy, w przeciągu ciekawej swojej karjery, zdradza chęć pokuty i żalu i odpycha od siebie duchowieństwo. Wynika to jasno z faktów: jest tam wzmianka, że zjadł on jednakże pięć czy sześć niemowląt, cyfra stosunkowo znikoma, ale zato pod innym względem, pełna znaczenia. Widać, iż męczyły go straszne wyrzuty sumienia (albowiem klijent mój jest człowiekiem religijnym i człowiekiem o drażliwym sumieniu, czego dowiodę w dalszym ciagu) i aby zmniejszyć, o ile możności, swój grzech, zmieniał on, w charakterze próby, kilka razy pokarm mniszy na pokarm świecki. Że w charakterze próby, to nie ulega również żadnej wątpliwości! albowiem gdyby tylko dla gastronomicznego urozmaicenia, to liczba sześć byłaby zbyt znikoma: dlaczego tylko sześć a nie trzydzieści? (Biorę pół na pół). Ale jeżeli to była próba, wynikająca z rozpaczliwego strachu przed świętokradztwem i obrazą Kościoła, to wtedy liczba sześć staje się aż zanadto zrozumiałą; albowiem sześć prób, przedsięwziętych dla uspokojenia wyrzutów sumienia, jest to więcej niż potrzeba, ponieważ wynik tych prób nie mógł przecież być zadawalający. Gdyż, po pierwsze, według mego zdania, niemowlę jest zbyt małe, to jest nieduże, tak że w pewnym określonym przeciągu czasu potrzebna byłaby świeckich niemowląt ilość trzy albo albo pięć razy większa, aniżeli osób duchownych, tak że i grzech, jeżeli się z jednej strony zmniejszał, to zato wkońcu zwiększał się z drugiej strony, jeżeli nie pod względem jakości, to pod względem ilości. Rozumując, tak, jak panowie, ja naturalnie, wnikam w serce przestepcy wieku dwunastego. Co się zaś mnie tyczy, człowieka wieku dziewiętnastego, to ja, być może, osądziłbym inaczej, co też panom komunikuję, tak że nie macie panowie co zębów do mnie szczerzyć, a już panu, jenerale, zupełnie nie wypada. Po drugie, niemowlę, według mego osobistego mniemania, nie jest pożywne, może nawet za słodkie i mdłe, tak że nie odpowiadając potrzebie pozostawia więc same tylko wyrzuty sumienia. Teraz zakończenie, finał, panowie, finał, w którym zawiera się rozwiązanie jednego z największych problematów ówczesnej

i naszej epoki! Przestępca kończy na tem, że idzie i oskarża się przed duchowieństwem, oraz oddaje się w ręce sprawiedliwości. Pytanie teraz, co za męki oczekiwały go w owych czasach, co za łamanie kołem, stosy i płomienie? Któż go zmuszał aby szedł i oskarżał siebie? Dlaczego poprostu nie zatrzymać się przy liczbie sześćdziesiąt, zachowując tajemnicę aż do ostatniego swego tchu? Dlaczego poprostu nie dać spokoju mnichom i żyć na pokucie jako pustelnik? Dlaczego, wreszcie, sam nie miałby zostać mnichem? Oto tutaj właśnie jest rozwiązanie! A zatem, było coś silniejszego od stosów i płomieni, a nawet od dwudziestoletniego nałogu! A zatem była myśl silniejsza od wszystkich nieszczęść, nieurodzajów, tortur, dżumy, zarazy i całego tego piekła, któregoby chyba nie wytrzymała ludzkość bez tej myśli wiążącej, kierującej sercami i zapładniającej źródła życia! Pokażcie mi coś, podobnego do tej siły w naszym wieku występków i kolei żelaznych... to jest należałoby powiedzieć: w naszym wieku wynalazków i kolei żelaznych, ale ja mówię: w naszym wieku występków i kolei żelaznych, ponieważ jestem pijany, ale sprawiedliwy! Pokażcie mi myśl, któraby spajała ludzkość współczesną i któraby miała chociaż połowę tej siły, co w tamtych czasach. I kto się ośmieli powiedzieć wreszcie, że nie osłabły, że nie zmąciły się źródła życia pod tą „gwiazdą", pod tą siecią, która oplątała ludzi? I nie straszcie mnie waszą zamożnością, waszem bogactwem, rzadkością głodu i szybkością komunikacji! Bogactwa więcej, ale siły mniej; myśli, któraby spójnią była, zabrakło; wszystko rozmiękło, wszystko zgniło i wszyscy zgnili! Wszyscy, wszyscyśmy zgnili!... Ale dosyć, i nie o to teraz chodzi, tylko o to, czy nie należałoby nam, książę, kazać podać przekąski, przygotowane dla gości?

Lebiediew, który omało co nie doprowadził niektórych słuchaczy do szczerego oburzenia (trzeba zwrócić uwagę na to, że przez ten czas nie ustawało odkorkowywanie butelek), nieoczekiwanem zakończeniem swej mowy, dotyczącem przekąsek zjednał sobie natychmiast wszystkich przeciwników. Sam on nazywał takie zakończenie „zręcznem, adwokackiem skierowaniem sprawy". Znów się zerwał wesoły śmiech, goście się ożywili; wszyscy wstali od stołu, żeby

wyprostować członki i przejść się po tarasie. Tylko Keller był niezadowolony z mowy Lebiediewa i był ogromnie wzburzony.

— Napada na oświatę, przemawia za barbarzyństwem dwunastego wieku, robi z siebie małpę i to nie z niewinności serca, a sam w jaki sposób domu się dorobił, jeżeli wolno zapytać? — mówił głośno, zatrzymując każdego zosobna.

— Ja widziałem prawdziwego interpretatora Apokalipsy — mówił jenerał w innym kącie do innych słuchaczy, a między innymi do Pticyna, którego chwycił za guzik — świętej pamięci Grzegorza Szymonowicza Burmistrowa: ten przenikał serca do głębi, że się tak wyrażę. A, po pierwsze, kładł okulary, rozkładał wielką starą księgę w czarnej skórzanej oprawie, no i przytem siwa broda, dwa medale za ofiary na dobroczynność. Zaczynał surowo i groźnie, jenerałowie skłaniali głowy, damy mdlały, no... a ten kończy na przekąskach! Do czego to podobne!

Pticyn, słuchając jenerała, uśmiechał się i zdawało się, że miał zamiar wziąć kapelusz i wyjść, ale jakgdyby nie mógł się zdecydować, czy też nieustannie zapominał o tym swoim zamiarze. Gania, zanim jeszcze wszyscy wstali od stołu, nagle przestał pić i odsunął od siebie kieliszek; jakiś mroczny cień przeszedł po jego twarzy. Kiedy wszyscy wstali od stołu, podszedł do Rogożyna i usiadł obok niego. Można było pomyśleć, że są w najbardziej przyjacielskich stosunkach. Rogożyn, który z początku także kilka razy zamierzał wyjść pocichu, siedział teraz nieruchomo, zwiesił głowę i jakgdyby także zapomniał o tem, że chciał wyjść. Przez cały wieczór nie wypił ani kropli wina i był bardzo zamyślony; zrzadka tylko podnosił oczy i przyglądał się każdemu zosobna. Teraz zaś można było pomyśleć, że on na coś tutaj oczekuje, na coś ogromnie ważnego i do czasu postanowił nie odchodzić.

Książę wypił wszystkiego dwa czy trzy kieliszki i był jedynie wesół. Kiedy tylko wstał od stołu, spotkał wejrzenie Eugenjusza Pawłowicza, przypomniał sobie rozmowę, która miała między nimi nastąpić i uśmiechnął się uprzejmie. Eugenjusz Pawłowicz dał mu znak głową i nagle pokazał mu Hipolita, którego w tej samej chwili uważnie obserwował. Hipolit spał, wyciągnąwszy się na kanapie.

— Poco, powiedz książę, przyplątał się tutaj ten smarkacz? — powiedział on nagle z tak wyraźną niechęcią, i nawet złością, że książę się zdziwił. — Założę się, że on coś niedobrego zamierza.

— Zauważyłem — rzekł książę — miałem takie wrażenie przynajmniej, jakby on pana dzisiaj bardzo interesował, Eugenjuszu Pawłowiczu; czy to prawda?

— I dodaj pan: przy moich własnych sprawach, mam chyba o czem myśleć, tak, że sam się sobie dziwię, że przez cały wieczór nie mogę się oderwać od tej wstętnej fizjonomji!

— On ma ładną twarz...

— O, o, patrz pan! — krzyknął Eugenjusz Pawłowicz, pociągnąwszy księcia za rękę: — O!...

Książę jeszcze raz ze zdziwieniem spojrzał na Eugenjusza Pawłowicza.

V

Hipolit, który pod koniec dysertacji Lebiediewa nagle zasnął na kanapie, teraz obudził się odrazu, zupełnie jakgdyby go kto trącił w bok, nagle drgnął, uniósł się nieco, rozejrzał się wokoło i zbladł, z jakimś nawet przestrachem obejrzał się naokoło; ale przerażenie odbiło się w jego twarzy, gdy sobie wszystko przypomniał i zrozumiał:

— Co, rozchodzą się? Skończone? Wszystko skończone? Słońce wzeszło? — pytał trwożnie, chwytając księcia za rękę — która godzina? Na miłość Boga: godzina? Zaspałem. Długo spałem? — dodał niemal z wyrazem rozpaczy, zupełnie jakgdyby przespał coś takiego, od czego zależał przynajmniej cały jego los.

— Pan spał siedem albo osiem minut — odrzekł Eugenjusz Pawłowicz.

Hipolit chciwie wpatrzył się w niego i przez kilka chwil starał się zrozumieć.

— A... tylko!... A zatem, ja...

I odetchnął głęboko i chciwie, jakgdyby zrzucił z siebie ogromny ciężar. Domyślił się wreszcie, że nic nie jest „skoń-

czone", że jeszcze nie świtało, że goście wstali od stołu tylko z powodu przekąsek, i że skończyła się jedynie tylko gadanina Lebiediewa. Uśmiechnął się i suchotniczy rumieniec, w postaci dwóch plam czerwonych, zabarwił jego policzki.

— A pan już nawet minuty liczył przez ten czas, co ja spałem, Eugenjuszu Pawłyczu — podchwycił drwiąco — pan się przez cały wieczór nie oderwał ode mnie, ja widziałem... A! Rogożyn! Widziałem go przed chwilą we śnie — szepnął on do księcia, zachmurzywszy się i wskazując siedzącego przy stole Rogożyna; — ach, prawda — przeskoczył znowu — gdzież jest orator, gdzież Lebiediew? A zatem Lebiediew skończył? O czem on mówił? Prawda, książę, że książę raz mówił, iż świat będzie zbawiony przez „piękno"? Panowie — zawołał głośno do wszystkich — książę twierdzi, że świat będzie zbawiony przez piękno! A ja twierdzę, iż on dlatego ma takie figlarne pomysły, że jest teraz zakochany. Panowie, książę jest zakochany; przed chwilą, jak tylko wszedł, zaraz się o tem przekonałem. Niech się książę nie rumieni, bo mi księcia będzie żal. Jakie piękno zbawi świat? Mnie to Kola powtórzył... książę jest żarliwym chrześcijaninem? Kola powiada, że książę sam siebie nazywa chrześcijaninem.

Książę przyglądał mu się uważnie i nie odpowiadał.

— Książę mi nie odpowiada? Książę może sądzi, że ja księcia bardzo kocham? — dodał nagle Hipolit, jakgdyby mu się to wyrwało.

— Nie, nie sądzę. Ja wiem, że mnie pan nie lubi.

— Co? Nawet po tem, co wczoraj było? Wczoraj ja byłem szczery z księciem?

— Ja i wczoraj wiedziałem, że mnie pan nie lubi.

— To jest, dlatego, że księciu zazdroszczę, co, zazdroszczę? Książę zawsze to myślał i teraz myśli, ale... ale poco ja księciu o tem mówię? Ja chcę napić się jeszcze szampana; panie Keller, niech mi pan naleje.

— Pan nie powinien już pić więcej, panie Hipolicie, ja panu nie pozwolę...

I książę odsunął od niego kieliszek.

— Słusznie — zgodził się on natychmiast, jakgdyby w zamyśleniu — jeszczeby powiedzieli... a djabli mi do tego,

coby powiedzieli! Nieprawdaż, nieprawdaż? Niechże sobie potem mówią, no nie? I co nam wszystkim do tego, co będzie p o t e m!... Zresztą, jeszcze się nie zupełnie przebudziłem. Jaki okropny miałem sen, teraz mi się dopiero przypomniało... Nie życzę księciu takich snów, chociaż ja księcia istotnie może nie lubię. Zresztą, jeżeli się kogo nie lubi, to dlaczego mu zaraz źle życzyć, nieprawdaż? Cóż to ja się ciągle pytam; ciągle się pytam! Daj mi książę swoją rękę; ja ją mocno uścisnę, o tak... Jednak wyciągnął książę rękę do mnie? A zatem, książę wie, że ją ściskam szczerze?... A zresztą, nie będę już pił więcej. Która godzina? Zresztą, nie trzeba, wiem która godzina. Nadeszła godzina! Teraz jest właśnie sam czas. Co to, tam w kącie ustawiają przekąski? A zatem, ten stół jest wolny? To ślicznie! Panowie, ja... jednakże wszyscy ci panowie nawet nie słuchają... ja mam zamiar przeczytać pewną rzecz, książę; przekąski są oczywiście ciekawsze, ale...

I nagle, zupełnie niespodziewanie, wyciągnął z górnej bocznej kieszeni wielką kopertę, formatu kancelaryjnego, z wielką czerwoną pieczęcią. Położył ją na stole przed sobą.

Ta niespodzianka wywołała wrażenie w nieprzygotowanem lub raczej w przygotowanem, ale nie na to towarzystwie. Eugenjusz Pawłowicz aż podskoczył na krześle; Gania szybko przysunął się do stołu; Rogożyn także, ale z jakąś opryskliwą złością, jakgdyby wiedział, o co chodzi. Lebiediew, który się znalazł w pobliżu, podszedł i ciekawemi oczkami patrzał na kopertę, starając się zgadnąć o co chodzi.

— Co to jest? — zapytał z niepokojem książę.

— Jak tylko się pokaże rąbek słońca, ja sie położę, książę, powiedziałem; słowo daję: zobaczy książę! — zawołał Hipolit — ale... ale... myślicie może, że ja nie jestem w stanie odpieczętować tej koperty? — dodał, wyzywająco jakoś wodząc oczami po wszystkich i jakgdyby zwracając się do wszystkich bez różnicy.

Książę spostrzegł, że on drżał na całem ciele.

— Nikt z nas tego nie myśli — odpowiedział książę za wszystkich — i dlaczego pan sądzi, że u kogokolwiek bądź powstała taka myśl, i co... co za dziwna myśl panu przyszła z tem czytaniem? Co pan tu ma, panie Hipolicie?

— Co to takiego? Co jemu się znów stało? — pytano zewsząd. Wszyscy się zbliżali, niektórzy nawet jeszcze jedząc; koperta z czerwoną pieczęcią przyciągała wszystkich jak magnes.

— Napisałem to wczoraj, zaraz po tem, jak dałem księciu słowo, że sprowadzę się do księcia na stałe. Pisałem to wczoraj przez cały dzień, całą noc i skończyłem dzisiaj rano; w nocy, nad ranem, miałem sen...

— Czy nie lepiejby jutro? — nieśmiało przerwał mu książę.

— Jutro „już nie będzie czasu"! — zaśmiał się nerwowo Hipolit. — Zresztą, proszę się nie niepokoić, przeczytam to w przeciągu czterdziestu minut, no... w przeciągu godziny... Widzi książę, jak wszyscy są zaciekawieni; wszyscy się tu przysunęli; wszyscy patrzą na moją pieczęć... a niechbym ja nie zapieczętował tej koperty, nie byłoby żadnego wrażenia! Cha! Cha! Co to znaczy tajemniczość! Panowie, odpieczętować czy nie? — krzyknął, śmiejąc się swym dziwnym śmiechem i błyskając oczami. — Tajemnica! Tajemnica! A pamięta książę, kto to zapowiedział, że „już nie będzie czasu?" Zapowiada to olbrzymi i potężny anioł w Apokalipsie.

— Lepiej nie czytać! — krzyknął raptem Eugenjusz Pawłowicz, ale z takim niezwykłym u niego wyrazem niepokoju, iż niektórym wydało się to dość dziwne.

— Niech pan nie czyta! — zawołał i książę, kładąc rękę na kopercie.

— Co za czytanie? teraz przekąski!—zauważył ktoś.— Artykuł? Do gazety, czy co? — pytał drugi. — Może nudne? — dodał trzeci. — Cóż tam znów? — dopytywali się inni. Lękliwy jednak ruch księcia jakgdyby wzbudził przestrach i w samym Hipolicie.

— Więc... nie czytać? — wyszeptał on jakoś lękliwie z wymuszonym uśmiechem na posiniałych wargach — nie czytać? — wybełkotał, tocząc wzrokiem po całej publiczności, po wszystkich oczach i twarzach, i jakgdyby znów czepiając się wszystkich z dawną, zupełnie jakby narzucającą się wszystkim gwałtownością — książę się boi? — zwrócił się znów do księcia.

— Czego? — zapytał książę, coraz bardziej i bardziej mieniąc się na twarzy.

— Czy ma kto czterdziestówkę, dwadzieścia kopiejek! — zerwał się nagle Hipolit z krzesła, jakby go kto podrzucił; — jakikolwiek pieniążek?

— Oto jest! — podał natychmiast Lebiediew; przemknęła mu przez głowę myśl, że chory Hipolit zwarjował.

— Wiara Łukjanowna! — pośpiesznie wezwał ją Hipolit — niech pani weźmie, niech pani to rzuci na stół :orzeł czy reszka? Jeżeli orzeł... to odczytać!

Wiera z przestrachem spojrzała na pieniążek, na Hipolita, potem na ojca i jakoś niezręcznie, podniósłszy głowę do góry, jakgdyby w przekonaniu, że już jej nie wolno patrzeć na ten pieniądz, rzuciła go na stół. Wypadł orzeł.

— Czytać! — szepnął Hipolit, jakgdyby przybity do ziemi postanowieniem losu; nie zbladłby chyba więcej, gdyby mu przeczytano wyrok śmierci. — A zresztą — drgnął nagle, budząc się z milczenia, które trwało jakieś pół minuty — co to jest? Czyż ja przed chwilą próbowałem loterji? — z tą samą narzucającą się wszystkim otwartością obejrzał wszystkich dookoła. — Ale przecież to jest zadziwiający rys psychologiczny! — krzyknął nagle szczerze zdumiony, zwracając się do księcia. — To... to jest niepojęty rys, książę! — powtórzył, ożywiając się i jakgdyby przychodząc do siebie — niech to książę sobie zapisze, zapamięta, książę przecież zbiera, zdaje się, materjały, dotyczące kary śmierci... Tak mi mówiono, cha! cha! O, Boże, co za bezsensowna niedorzeczność! — Usiadł na kanapie, oparł się obydwoma łokciami na stole i chwycił się za głowę. — Przecież to nawet wstyd!... A djabli mi do tego, że wstyd — podniósł głowę prawie natychmiast. — Panowie! Panowie, ja otwieram kopertę — wygłosił z jakąś nagłą stanowczością — ja... ja, zresztą, nie przymuszam nikogo do słuchania!...

Drżącemi ze wzruszenia rękami odpieczętował kopertę, wyjął z niej kilka arkusików drobno zapisanego listowego papieru, położył je przed sobą i zaczął je rozprostowywać.

— Cóż tam znów? Cóż tam znów takiego? Co będą czytali? — chmurnie bąkali niektórzy; inni milczeli.

Wszyscy jednak usiedli i patrzyli z ciekawością. Może

istotnie oczekiwali czegoś niezwykłego. Wiara uczepiła się ojcowskiego krzesła i z przestrachu o mało nie płakała; prawie tak samo przestraszony był i Kola. Lebiediew, który już usiadł, nagle wstał, złapał świece i przysunął je bliżej do Hipolita, żeby mu było jaśniej czytać.

— Panowie, to... panowie zobaczą zaraz co to takiego — dodał Hipolit i odrazu zaczął czytać — „Niezbędne wyjaśnienie". Motto: *Après moi le déluge*"... Fe, do diabła! — krzyknął jak oparzony — czyż ja mogłem poważnie napisać takie głupie motto?... Słuchajcie panowie! Zapewniam was, że wszystko to są może najstraszniejsze głupstwa! Tutaj są tylko niektóre moje myśli... Jeżeli panowie sądzicie, że tutaj jest... co tajemniczego, albo... zakazanego... jednem słowem...

— Czytałby pan bez wstępów — przerwał mu Gania.

— Kręci bez końca — dodał ktoś.

— Za dużo gadania — wtrącił milczący dotychczas Rogożyn.

Hipolit spojrzał nagle na niego i gdy spotkały się ich oczy, Rogożyn gorzko i niechętnie się uśmiechnął i wolno wymówił dziwne słowa:

— Nie tak się takie rzeczy robi, chłopie, nie tak...

Co chciał powiedzieć Rogożyn, tego nikt, oczywiście, nie zrozumiał, ale słowa jego na wszystkich wywarły dość dziwne wrażenie; wszystkich jakgdyby uderzyła rąbkiem jakaś jedna wspólna myśl. Na Hipolicie zaś słowa te zrobiły wrażenie okropne: zadrżał tak, iż książę już rękę wyciągnął, aby go podtrzymać, i krzyknąłby na pewno, gdyby nie to, że głos najwyraźniej zamarł mu w gardle. Przez całą minutę nie mógł wymówić ani słowa i, dysząc ciężko, wciąż patrzał na Rogożyna. Nareszcie z trudnością łapiąc oddech, wymówił z nadzwyczajnym wysiłkiem:

— Więc to był pan... pan był.. pan?

— Co był? Co ja? — odrzekł, nie rozumiejąc, o co chodzi, Rogożyn, ale Hipolit uniósł się i prawie z wściekłością, która go nagle ogarnęła, krzyknął ostro i głośno:

— P a n był u mnie w przeszłym tygodniu, w nocy, o drugiej, tego dnia, kiedy ja do pana chodziłem rano, p a n!! Przyznaj się pan, pan?

— W przeszłym tygodniu, w nocy? Czyś ty, chłopie — naprawdę bzika nie dostał?

„Chłop“ znów zamilkł na jakąś minutę, przytknąwszy wskazujący palec do czoła i jakgdyby starając się zrozumieć, ale w bladym, ciągle jeszcze przestrachem wykrzywionym jego uśmiechu, ukazało się na chwilę jakgdyby coś chytrego, a nawet jakby triumf.

— To był pan! — powtórzył wreszcie, niemal szeptem, ale z zupełnem przekonaniem — p a n przyszedł do mnie i siedział w milczeniu u mnie na krześle, pod oknem, przez całą godzinę; więcej, po dwunastej i po pierwszej w nocy; potem pan wstał i wyszedł już po drugiej... To był pan, pan! Poco mnie pan straszył, poco pan przyszedł mnie dręczyć, tego nie rozumiem, ale to był pan!

I w spojrzeniu jego odbiła się nagle bezgraniczna nienawiść, niezależnie od wstrząsającego nim jeszcze ciągle dreszczu przerażenia.

— Zaraz, panowie, dowiecie się wszystkiego, ja... ja... słuchajcie. — I znów, strasznie się śpiesząc — zabrał się do swoich kartek; rozlazły mu się one, rozsypały, a on usilnie starał się je ułożyć; drgały w jego drżących rękach; długo nie mógł dojść do ładu.

— Zwarjował, czy w malignie? — mruknął ledwo dosłyszalnym głosem Rogożyn.

Nareszcie zaczęło się czytanie. Z początku, przez jakie pięć minut, autorowi nieoczekiwanego artykułu ciągle jeszcze brakowało tchu i czytał źle i nierówno; ale głos jego nabrał mocy i zaczął dobrze malować treść tego, co było czytane. Niekiedy tylko przerywał mu dość silny kaszel; od połowy artykułu zachrypł silnie; ogromne ożywienie, które opanowywało go coraz bardziej i bardziej w miarę czytania, pod koniec doszło do najwyższego stopnia, zarówno jak i niezdrowe wrażenie, któremu podlegali słuchacze. A oto cały ten „artykuł“:

„Moje niezbędne wyjaśnienie“.

„Après moi le dèluge!“

„Wczoraj rano był u mnie książę; między innemi, namówił mnie, żebym się przeprowadził do niego na letnie mie-

szkanie. Wiedziałem z góry, że będzie na to nalegał, i byłem pewien, że tak właśnie poprostu wypali, że mi na letniem mieszkaniu będzie „lżej umierać wśród ludzi i drzew", jak on się wyraża. Ale dzisiaj nie powiedział u m r z e ć, a powiedział „łatwiej będzie życie spędzić", co jednakże w mojem położeniu jest dla mnie równoznaczne. Spytałem go, co rozumie przez swoje wieczne „drzewa", i dlaczego tak mi te „drzewa" narzuca, i ze zdziwieniem dowiedziałem się, że ja sam jakoby wyraziłem się tego wieczoru, że przyjechałem do Pawłowska ostatni raz spojrzeć na drzewa. Kiedy zwróciłem mu uwagę na to, że przecież jest wszystko jedno, gdzie się umiera, czy pod drzewami, czy też patrząc przez okno na moje cegły, i że dla dwóch tygodni nie warto robić takich ceremonij, natychmiast się ze mną zgodził; ale zieleń i czyste powietrze, według jego zdania, bezwarunkowo spowodują we mnie pewne zmiany fizyczne, i mój niepokój i moje sny się zmienią, i być może, będą mniej ciężkie. Ja mu znów, śmiejąc się, zwróciłem uwagę, że mówi jak materjalista. Odrzekł mi ze śmiechem, że zawsze był materjalistą. Ponieważ on nigdy nie kłamie, więc te słowa muszą mieć pewne znaczenie. Jego uśmiech jest ładny; ja mu się teraz uważniej przyjrzałem. Nie wiem, czy ja go teraz lubię; nie mam teraz czasu zawracać sobie tem głowy. Trzeba zaznaczyć, że pięć miesięcy trwająca moja nienawiść do niego, w ostatnim miesiącu zaczęła gasnąć zupełnie. Kto wie, może ja przyjechałem do Pawłowska głównie poto, żeby go zobaczyć. Ale w takim razie... dlaczego opuściłem swój pokój? Skazany na śmierć nie powinien opuszczać swego kąta; i gdybym teraz nie był powziął ostatecznego postanowienia, a przeciwnie, zdecydowałbym się czekać do otatniej chwili, to oczywiście nie opuściłbym swego pokoju za nic, i nie przyjąłbym zaproszenia, żeby się przeprowadzić do niego, dlatego tylko, aby „umierać" w Pawłowsku.

„Muszę się śpieszyć i skończyć całe to „wyjaśnienie" koniecznie do jutra. A zatem, nie będę miał czasu na odczytanie i poprawienie tego co napiszę; odczytam jutro, kiedy będę to czytał księciu i dwom, trzem świadkom, których spodziewam się, że u niego zastanę. Ponieważ tutaj nie będzie ani jednego słowa fałszu, a wszystko wyłącznie sama praw-

da, ostateczna i uroczysta, więc jestem z góry ciekawy, jakie to wywrze na mnie wrażenie wówczas, w tej chwili, kiedy będę odczytywał? Zresztą, niepotrzebnie napisałem wyrazy: „prawda ostateczna i uroczysta“; dla dwóch tygodni i tak kłamać niewarto, dlatego, że nie warto żyć dwa tygodnie; to jest najlepszy dowód, że napiszę tylko prawdę. (NB. Nie zapomnieć myśli: czy nie mam pomieszania zmysłów w tej chwili, to jest chwilami? Słyszałem z całą pewnością, że suchotnicy w ostatniem stadjum dostają niekiedy chwilami pomieszania zmysłów. Sprawdzić to jutro przy czytaniu, na podstawie wrażenia słuchaczy. To pytanie koniecznie rozwiązać najzupełniej dokładnie; w przeciwnym razie nie można brać się do niczego).

„Zdaje mi się, że napisałem w tej chwili straszne głupstwo; ale poprawiać nie mam czasu, jak mówiłem; poza tem, daję sobie słowo umyślnie nie poprawiać w tym rękopisie ani jednego wiersza, nawet gdybym sam spostrzegł, że przeczę sobie co pięć wierszy. Chcę właśnie przekonać się jutro przy czytaniu, czy w mojej myśli jest prawidłowy logiczny bieg; czy spostrzegam swoje omyłki i czy, zatem słuszne jest to wszystko, co sobie tu w tym pokoju, przez sześć miesięcy przemyślałem, czy też jest to tylko maligna.

„Gdybym jeszcze przed dwoma miesiącami miał, tak jak teraz, porzucić swój pokój i pożegnać sią z Mejerową ścianą, to jestem pewien, że byłoby mi markotno. Teraz zaś nic nie czuję, a tymczasem jutro opuszczam i pokój i ścianę, n a w i e k i! A zatem, moje przekonanie, że dla dwóch tygodni niewarto już niczego żałować, ani wogóle poddawać się jakimkolwiek wrażeniom, opanowało moją naturę i może już teraz rządzić mojemi uczuciami. Czy to jednak prawda? Czy to prawda, że moja natura jest teraz zupełnie zwyciężona? Gdyby mnie teraz wzięli na tortury, tobym napewno krzyczał i nie mówiłbym, że nie warto krzyczeć i odczuwać ból, ponieważ zostały się tylko dwa tygodnie życia.

„Ale czy to prawda, że zostały mi tylko dwa tygodnie życia, a nie więcej? Wtedy w Pawłowsku skłamałem: B...n nic mi nie mówił i nigdy mnie nie oglądał; ale jakiś tydzień temu przyprowadzili do mnie studenta Kisłorodowa; z przekonania jest on materjalistą, ateistą i nihilistą, i dlatego

jego prosiłem: potrzebowałem właśnie takiego człowieka, jak on, który mi powie nareszcie, czystą prawdę, nie czuląc się i bez ceremonji, a nawet z widoczną przyjemnością (co już jest, podług mnie, zbyteczne). On mi poprostu wypalił, że został mi jeszcze jakiś miesiąc, może cokolwiek więcej, jeżeli będą sprzyjające okoliczności; ale może nawet umrę daleko wcześniej. Według jego mniemania, ja mogę umrzeć i nagle, nawet, naprzykład, jutro: takie fakty już bywały, i nie dalej, jak onegdaj, pewna młoda pani, suchotnica, w stanie podobnym do mojego, w Kołomnie, wybierała się na targ po produkty, ale nagle zrobiło jej się niedobrze, położyła się na kanapie, westchnęła i umarła. Wszystko to Kisłorodow zakomunikował mi z pewnego rodzaju chęcią popisania się nieczułością i bezwzględnością, i jakgdyby robiąc mi tem zaszczyt, to jest, dając do zrozumienia, że i mnie bierze za taką samą negującą wszystko, wyższą istotę, jak on, dla której śmierć nie jest, oczywiście, niczem wielkiem. Koniec końców fakt jest niewątpliwy: w żaden sposób nie więcej, niż miesiąc! Że on się w tem nie omylił, jestem najzupełniej pewien.

„Zdziwiło mnie bardzo, jakim sposobem książę tak odgadł wtedy, że ja miewam „niedobre sny"; powiedział dosłownie, że w Pawłowsku „mój niepokój i moje s n y" się zmienią. Dlaczegoż sny? Albo jest medykiem, albo też w samej rzeczy człowiekiem niezwykłego rozumu i może wiele rzeczy odgadywać. (Ale, że jest on koniec końców „idjotą", to nie ulega żadnej wątpliwości). Jakgdyby umyślnie, przed samem jego przyjściem miałem śliczny sen (zresztą jeden z tych, których teraz miewam setki). Usnąłem... przypuszczam że na godzinę przed jego przyjściem... i ujrzałem się w pewnym pokoju (ale nie w moim). Pokój większy i wyższy od mojego, lepiej umeblowany, jasny; szafa, komoda, kanapa i moje łóżko, duże, szerokie, pokryte zieloną jedwabną pikowaną kołdrą. Ale w tym pokoju spostrzegłem straszne zwierzę, jakiegoś potwora. Było to coś w rodzaju skorpjona, ale nie skorpjon, tylko coś brzydszego i daleko straszniejszego, zdaje się dlatego właśnie, że takich zwierząt na świecie niema, i że ono u m y ś l n i e do mnie się zjawiło, i że w tem właśnie jakoby zawiera się jakaś tajemnica. Przyjrzałem mu

się bardzo dobrze: jest to brunatny skorupiak, pełzający gad, długości ze cztery werszki, u głowy gruby na dwa palce, w kierunku ogona coraz cieńszy, tak, że sam koniuszek ogona ma grubości nie więcej niż dziesiątą część werszka. W odległości jakiegoś werszka od głowy, wychodzą z tułowia, pod kątem 45 stopni, dwie łapy, po jednej z każdej strony, długości po jakie dwa werszki, tak, że całe zwierzę, jeżeli patrzeć z góry, ma wygląd trójzęba. Głowie się nie przyjrzałem, ale widziałem dwa wąsiki, niedługie, w postaci dwóch mocnych igieł, także brunatne. Takie same dwa wąsiki na końcu ogona i na końcu każdej łapy, wszystkiego, zatem, osiem wąsików. Zwierzę biegało po pokoju bardzo szybko, opierając się na łapach i na ogonie, i kiedy biegło, to i tułów i łapy wiły się jak żmijki, z niezwykłą szybkością, pomimo skorupy, i obrzydliwie było na to patrzeć. Okropnie się bałem, że mnie ukąsi; powiedzieli mi, że jest ono jadowite, ale mnie najwięcej męczyło pytanie, kto mi je przysłał do mojego pokoju, co mi chcą zrobić i jaka tu jest tajemnica? Chowało się ono pod komodę, pod szafę, kryło się po kątach. Usiadłem z nogami na krześle, podwinąwszy nogi pod siebie. Wtem ono szybko przebiegło pokój naukos i zniknęło gdzieś koło mojego krzesła. Oglądałem się w strachu, ale że siedziałem podwinąwszy nogi, więc miałem nadzieję, że ono nie wdrapie się na krzesło. Nagle usłyszałem poza sobą, prawie tuż obok głowy, jakiś suchy szelest; odwróciłem się i zobaczyłem, że gad pełznie po ścianie i już jest narówni z moją głową, dotyka nawet moich włosów ogonem, który wiercił się i wił z nadzwyczajną szybkością. Zerwałem się, i zwierzę zniknęło. Na łóżku bałem się położyć, żeby nie wpełzło pod poduszkę. Do pokoju przyszła moja matka i jakiś jej znajomy. Zaczęli łapać gadzinę, ale byli spokojniejsi ode mnie i nawet się nie bali. Nic jednak nie rozumieli. Nagle gad znów się ukazał, pełznął tym razem bardzo cicho, jakgdyby miał jakiś szczególny zamiar, wijąc się wolno, co było jeszcze obrzydliwsze, znów naukos przez pokój, do drzwi. Wtedy matka moja otworzyła drzwi i zawołała Normę, naszą sukę, olbrzymiego *ternewa*, czarnego i kosmatego; zdechła przed pięciu laty. Wpadła ona do pokoju i stanęła przed gadziną jak wryta. Zatrzymał się i gad, ale ciągle jeszcze wił się i stukał po podłodze końcami

łap i ogona. Zwierzęta nie mogą odczuwać mistycznego strachu, jeżeli się nie mylę; ale w tej chwili zdawało mi się, że w przerażeniu Normy było coś niezwykłego, coś jakgdyby także prawie mistycznego, i że ona, zatem, także przeczuwa, że w zwierzęciu zawiera się coś fatalnego i jakaś tajemnica. Wolno cofała się przed gadem, który cicho i ostrożnie posuwał się prosto na nią; chciał, widocznie, rzucić się na nią nagle i ukąsić. Ale pomimo całego przerażenia, Norma patrzyła z wielką złością, chociaż drżała na całem ciele. Wtem powoli wyszczerzyła swoje straszne zęby, rozwarła swoją ogromną czerwoną paszczę, przywarowała, przyczaiła się i nagle chwyciła gada zębami. Prawdopodobnie gad silnie się szarpnął, żeby się wyrwać, tak, że Norma jeszcze raz chwytała go, już w powietrzu, i dwa razy poprawiła go w paszczy, ciągle w powietrzu, jakgdyby łykając. Skorupa zatrzeszczała w jej zębach; ogonek zwierzęcia i łapy, sterczące z paszczy, poruszały się ze straszną szybkością. Nagle Norma zaskowyczała żałośnie: gadzina jednakowoż ukąsiła ją w język. Ze skowytem i wyciem otworzyła ona mordę z bólu, i zobaczyłem, że rozgryziona gadzina jeszcze poruszała się, leżąc wpoprzek mordy i wypuszczając ze swego napół-zgniecionego tułowia na język suki mnóstwo białego soku, podobnego do soku zdeptanego karalucha... Tu się obudziłem ,i wszedł książę".

— Panowie — rzekł Hipolit, nagle odrywając się od czytania i nawet prawie zawstydzony — ja nie odczytywałem sobie tego, ale zdaje się, że ja rzeczywiście napisałem dużo rzeczy niepotrzebnych. Ten sen...

— Aha. — wtrącił pośpiesznie Gania.

— Tutaj jest za wiele rzeczy osobistych, zgadzam się z tem, właściwie za wiele o sobie...

Mówiąc to, Hipolit chustką ocierał pot z czoła i wyglądał, jakgdyby był zmęczony i osłabiony.

— Tak, już zanadto pan się sobą interesuje, — zasyczał Lebiediew.

— Ja, panowie, powtarzam, że nikogo nie przymuszam; kto nie chce, może odejść.

— Wypędza... z cudzego domu — zamruczał ledwie dosłyszalnym głosem Rogożyn.

— A jak my wszyscy odrazu wstaniemy i pójdziemy

sobie? — odezwał się nagle Fierdyszczenko, który, zresztą, dotychczas nie ośmielał się mówić głośno.

Hipolit nagle opuścił oczy i zabrał się do rękopisu; ale już w tej samej sekundzie znów podniósł głowę i, z błyszczącemi oczami, z dwiema czerwonemi plamami na policzkach, wyrzekł zwrócony wprost do Fierdyszczenki i patrząc mu prosto w oczy:

— Pan mnie wcale nie lubi!

Rozległ się śmiech; zresztą, większość się nie śmiała. Hipolit strasznie się zaczerwienił.

— Panie Hipolicie — rzekł książę — niech pan zamknie swój rękopis i odda mi go, i niech się pan położy spać tutaj, w moim pokoju. Pogadamy przed spaniem i jutro; ale pod warunkiem, żeby już nigdy nie otwierać tych arkuszy. Chce pan?

— Czyż to możliwe? — spojrzał na niego Hipolit ogromnie zdziwiony. — Panowie! — krzyknął, znów gorączkowo się ożywiając — głupi epizod, podczas którego nie umiałem się znaleźć. Więcej już nie będę przerywał czytania. Kto chce słuchać... niech słucha...

Szybko łyknął wody ze szklanki, czem prędzej oparł łokcie na stole, żeby się zasłonić od spojrzeń i z uporem zaczął czytać dalej. Zawstydzenie szybko zresztą minęło.

„Myśl o tem (czytał dalej), że nie warto żyć kilka tygodni, zaczęła opanowywać mnie na serjo, może przed miesiącem, kiedy mi zostawały tylko cztery tygodnie życia, ale całkowicie opanowała mnie dopiero przed trzema dniami, kiedy wróciłem po tym wieczorze, spędzonym w Pawłowsku. Pierwsza chwila zupełnego, bezpośredniego przejęcia się myślą wypadła na tarasie u księcia, właśnie w tej samej chwili, kiedy mi się zachciało zrobić ostatnią próbę życia, kiedy chciałem widzieć ludzi i drzewa (niechże będzie, że ja to sam powiedziałem), zapalałem się, nalegałem prawie na Burdowskiego, „mojego bliźniego", i marzyło mi się, że oni wszyscy otworzą ramiona i przyjmą mnie w swoje objęcia, że będą mnie prosić, żebym im coś tam przebaczył, a ja ich o to samo poproszę; jednem słowem, skończyłem jak niedołężny dureń. I wtedy właśnie zapłonęło we mnie nagle „ostatnie przekonanie". Dziwię się teraz, jakim sposobem mogłem żyć

przez całe sześć miesięcy bez tego „przekonania“! Wiedziałem wybornie, że mam suchoty, przytem nieuleczalne; nie oszukiwałem się i jasno pojmowałem sprawę; ale im jaśniej ją pojmowałem, tem rozpaczliwiej chciało mi się żyć; czepiałem się życia i chciałem żyć za wszelką cenę. Zgadzam się, że mogłem się wtedy złościć na ponury i głuchy los, który postanowił zgnieść mnie jak muchę, i naturalnie, bez celu; ale dlaczegoż nie poprzestałem na złości? Dlaczego naprawdę z a c z y n a ł e m żyć, choć wiedziałem, że już nie mogę zaczynać; próbowałem, choć wiedziałem, że już nie mam poco próbować? A tymczasem nawet książki nie mogłem przeczytać i przestałem czytać; poco czytać, poco się dowiadywać na sześć miesięcy? Ta myśl kazała mi nieraz rzucać książkę.

„Tak, ta Mejerowa ściana mogłaby dużo opowiedzieć! Dużo na niej napisałem... Nie było plamy na tej brudnej ścianie, którejbym nie umiał na pamięć. Przeklęta ściana! A jednak jest mi ona droższa od wszystkich pawłowskich drzew, to jest byłaby droższa, gdyby teraz nie było mi wszystko jedno.

„Przypominam sobie teraz, z jaką chciwą ciekawością zacząłem się wtedy przyglądać ich życiu; dawniej nie bywałem taki ciekawy. Z niecierpliwością i wymyślaniem czekałem nieraz na Kolę, wtedy, kiedy sam zaczynałem być tak chory, że nie mogłem wychodzić z pokoju. Do tego stopnia wnikałem we wszystkie drobiazgi, interesowałem się wszystkiemi pogłoskami, że, zdaje się, zrobiłem się plotkarzem. Nie pojmowałem, naprzykład, jak ci ludzie, mając tyle życia, nie umieją stać się bogaczami (zresztą, nie pojmuję i teraz). Znałem pewnego biedaka, o którym mi potem opowiadali, że umarł z głodu, i pamiętam, że to mnie doprowadziło do wściekłości: gdyby można było wrócić życie temu biedakowi, to jabym go chyba skazał na śmierć. Niekiedy było mi lepiej całemi tygodniami i mogłem wychodzić na ulicę; ulica zaczęła wreszcie budzić we mnie taką zaciętą złość, że całemi dniami umyślnie siedziałem zamknięty w mieszkaniu, chociaż mogłem chodzić tak, jak wszyscy. Nie mogłem znieść widoku tych ludzi, wiecznie zatroskanych, zakłopotanych, ponurych i zaniepojonych, którzy się snuli obok mnie po chodniku. Poco ta ich wieczna zgryzota ,wieczny niepokój i troska; ich

wieczna i ponura złość? (bo oni są źli, źli, źli!) kto im winien, że są nieszczęśliwi i nie umieją żyć, mając przed sobą po sześćdziesiąt lat życia? A każdy z nich pokazuje swój łachman, swoje spracowane ręce, złości się i krzyczy: „my robimy, jak woły, my pracujemy i jesteśmy głodni, jak psy, i biedni! Inni nie robią i nie pracują i są bogaci!“ (Wieczna piosenka!). Obok nich biega i krząta się od rana do nocy jakiś tak nieszczęśliwy fujara „ze szlachty“, Jan Tomicz Surikow (w naszym domu, nad nami mieszka) z wiecznie dziurawemi łokciami, oberwanemi guzikami, jest u różnych ludzi na posyłkach, załatwia jakieś tam polecenia i to od rana do nocy. Pomówić z nim: „biedny, nędzny i ubogi, żona umarła, lekarstwa nie było za co kupić, a dziecko w zimie zmarzło; starsza córka poszła na utrzymanie...“ wiecznie chlipie, wiecznie się maże! O, żadnej, żadnej nie miałem litości dla tych durniów, ani teraz, ani przedtem... z dumą to mówię! Dlaczego on sam nie jest Rotszyldem? Kto mu jest winien, że on nie ma miljonów, jak Rotszyld, że nie ma góry złotych imperjałów i napoleondorów, takiej góry, takiej wysokiej góry, jak ta, która bywa pod budami jarmarcznemi w karnawale! On żyje, a zatem, wszystko jest w jego mocy! Kto mu jest winien, że on tego nie rozumie?

„O, teraz jest mi już wszystko jedno, teraz już nie mam czasu się złościć, ale wtedy, wtedy, powtarzam, literalnie gryzłem poduszkę po nocach i darłem kołdrę z wściekłości. O, jak marzyłem wtedy, jak chciałem, jak umyślnie chciałem, żeby mnie, osiemnastoletniego, ledwie ubranego, ledwie okrytego, wygnali odrazu na ulicę i zostawili zupełnie samego, bez mieszkania, bez roboty, bez kawałka chleba, bez krewnych, bez jednego znajomego człowieka w olbrzymiem mieście, głodnego, zbitego (tem lepiej!), ale zdrowego, wtedybym dopiero pokazał...

„Cobym pokazał?

„O, czy wy myślicie, że ja nie wiem, jak się i bez tego upokarzam swojem „Wyjaśnieniem“! No, któż mnie nie weźmie za smarkacza, nie znającego życia, zapominając, że ja już nie mam ośmnastu lat; zapominając, że tak żyć, jak ja żyłem przez te sześć miesięcy, to znaczy dożyć już do siwych włosów! Ale niech się śmieją i mówią, że to wszystko bajki.

Ja sobie naprawdę opowiadałem bajki. Wypełniałem sobie tem całe noce i teraz pamiętam wszystkie.

„Ale czy mamże je teraz znów opowiadać ,teraz, kiedy minął już dla mnie czas bajek? I komuż to! Przecież zabawiałem się niemi wtedy, kiedy jasno widziałem, że nie dla mnie już nawet grecka gramatyka, i kiedy mi raz przyszło do głowy: „„„jeszcze do składni nie dojdę, jak umrę", tak pomyślałem przy pierwszej stronicy i rzuciłem książkę pod stół. Ona dotychczas tam leży; zabroniłem bowiem Matrenie ją podnosić.

„Niech ten, komu wpadnie w ręce moje „Wyjaśnienie", i komu starczy cierpliwości, aby je przeczytać uzna mnie za warjata, albo nawet za sztubaka, a najpewniej za skazanego na śmierć, któremu siłą rzeczy się zdaje, że wszyscy ludzie, oprócz niego, za mało cenią życie, że zbyt marnie je trwonią, za leniwie i zanadto niesumiennie korzystają z niego, a zatem wszyscy, co do jednego, niewarci są życia! To cóż? Twierdzę, że czytelnik mój będzie w błędzie, gdyż przekonanie moje jest zupełnie niezależne od wiszącego nade mną wyroku śmierci. Zapytajcie, zapytajcie ich tylko, w czem oni wszyscy, wszyscy, co do jednego, widzą szczęście? O, bądźcie pewni, że Kolumb był szczęśliwy nie wtedy, kiedy odkrył Amerykę, ale wtedy, kiedy ją odkrywał; bądźcie pewni, że najdroższa chwila jego szczęścia była może właśnie na trzy dni przed odkryciem Nowego Świata, kiedy zbuntowana załoga o mało w rozpaczy nie zawróciła okrętu zpowrotem do Europy! Nie o Nowy Świat tutaj chodzi, niech go wszyscy djabli wezmą. Kolumb umarł, nie ujrzawszy go prawie i właściwie nie wiedząc, co dkrył? Chodzi o życie, o samo tylko życie, o odkrycie! Ale co tu gadać. Podejrzewam, że wszystko, co teraz mówię, jest tak podobne do najbardziej ogólnikowych frazesów, że mnie z pewnością wezmą za ucznia z niższej klasy, przedstawiającego ćwiczenie na temat „wschodu słońca", albo powiedzą, że ja może i chciałem coś takiego powiedzieć, ale pomimo szczerych chęci, nie umiałem... „rozwinąć swej myśli". Jednakże dodam, że w każdej genjalnej, albo w każdej poważnej ludzkiej myśli, która się rodzi w czyjejś głowie, zawsze zostaje coś takiego, czego w żaden sposób nie można poddać bliźniemu, choćby pan zapisał całe

tomy i wykładał swoją myśl przez trzydzieści pięć lat; zawsze zostanie coś, co za nic nie zechce wyjść z pod pańskiej czaszki i zostanie u pana na wieki; z tem pan też umrze, nie przekazawszy nikomu, być może, najważniejszej rzeczy ze swojej idei. Ale jeżeli i ja teraz nie potrafiłem wyłożyć wszystkiego tego, co mnie męczyło przez te sześć miesięcy, to przynajmniej wszyscy zrozumieją, że doszedłszy do teraźniejszego swego „ostatniego przekonania", ja może zbyt drogo za nie zapłaciłem. To właśnie uważałem za niezbędne, dla wiadomych mi celów zaznaczyć w swojem „Wyjaśnieniu".

„Jednakże, ciągnę dalej.

VI

Nie chcę skłamać: w ciągu tych sześciu miesięcy rzeczywistość i mnie chwytała na haczyk i nieraz do tego stopnia pociągała, żem całkiem zapominał o swoim wyroku, czyli raczej nie chciałem myśleć o nim i nawet zajęty byłem przeróżnemi sprawami. Przy sposobności kilka słów o mojem otoczeniu. Kiedym przed ośmiu miesiącami zaczynał być poważnie chory, pozrywałem wszystkie stosunki i porzuciłem wszystkich moich byłych kolegów. Ponieważ zawsze byłem człowiekiem dość ponurym, więc koledzy rychło o mnie zapomnieli, rzecz prosta i bez tej okoliczności zapomnieliby również. Położenie moje w domu, czyli „w rodzinie", też było odosobnione. Od pięciu miesięcy raz na zawsze zamknąłem się od wewnątrz i zupełnie izolowałem od mieszkania rodziny. Życzenia moje spełniano stale, i nikt nie ważył się wejść do mego pokoju, chyba dla posprzątania o określonej godzinie, lub przyniesienia obiadu. Matka drżała przed mojemi rozkazami i nie miała nawet odwagi popłakiwać w mojej obecności, gdym decydował się czasami wpuszczać ją do siebie. Dzieci wciąż tłukła za mnie, żeby nie dokazywały i nie zakłócały mi spokoju, coprawda, tom nieraz uskarżał się na ich hałasy; muszą mnie one teraz lubić; „Wiernego Kolę", jakem go sam nazywał, też pewnie męczyłem niezgorzej. W ostatnich czasach coprawda i on mnie męczył, wszystko to było zresztą całkiem naturalne, bo

ludzie na to właście są stworzeni, aby zamęczać się nawzajem. Zauważyłem jednak, że on w taki sposób znosi moje rozdrażnienie, jakgdyby zawczasu dał sobie słowo oszczędzać chorego. Drażniło mnie to, rzecz prosta; ale on zdaje się postanowił sobie naśladować księcia w „chrześcijańskiej pokorze", co już było śmieszne. To chłopak młody i gorący, więc oczywiście wszystko małpuje, ale nieraz myślałem sobie, że czasby już był wielki, aby zaczął żyć podług własnego rozumu.

„Lubię go bardzo. Męczyłem także i Surikowa, który mieszkał nad nami i od rana do nocy latał z czyjemiś poleceniami; ciągle mu dowodziłem, że on sam jest sprawcą swojej biedy, tak iż zląkł się wkońcu i przestał mnie odwiedzać. To strasznie pokorny człeczyna, najpokorniejsza istota w świecie; (Nb. powiadają, że pokora jest ogromną potęgą; trzeba co do tego wybadać księcia, bo to jego własne zdanie) ale kiedym w marcu wstąpił do niego na górę zobaczyć, jak tam oni „zamrozili" jak on sam się wyraził, dziecko, mimowoli uśmiechnąłem się nad trupem jego niemowlęcia, ponieważ zacząłem znowu tłumaczyć Surikowi, że to on „sam winien"; wówczas temu mazgajowi zadrgały wargi, schwycił mnie jedną ręką za ramię, drugą drzwi mi pokazał i cicho t. j. prawie szeptem rzekł do mnie: „Proszę wyjść!" Wyszedłem i bardzo mi się to spodobało; spodobało wtedy właśnie, nawet w tej samej chwili, kiedy on mnie wyrzucał; ale słowa jego długo jeszcze potem wywoływały we mnie przy wspominaniu przykre wrażenie jakiejś dziwnej pogardliwej względem niego litości, którejbym wcale nie chciał doświadczać. Nawet w chwili takiego znieważenia (ja przecież czuję, żem go obraził, choć nie miałem tego zamiaru), nawet w takiej chwili ten człowiek nie mógł się rozgniewać! Usta zadrżały mu wtedy wcale nie ze złości, mogę na to przysiąc: złapał mnie za rękę i wymówił swoje wspaniałe „proszę wyjść!" zupełnie bez gniewu. Poczucie godności było, a jakże, nawet dużo go było i nawet wcale nie do twarzy mu z niem było (tak, że naprawdę było w tem sporo komizmu), ale gniewu nie było. Być może, że on nagle zaczął mną pogardzać. Od tej chwili, kiedym go raz i drugi spotkał na schodach, zaczął ni stąd, ni zowąd zdejmować przede mną ka-

pelusz, czego przedtem nigdy nie czynił, ale już się nie zatrzymywał jak dawniej, lecz zmieszany, przemykał się prędko. Jeżeli mną gardził rzeczywiście, to czynił to na swój sposób: „p o k o r n i e gardził“. A może kapelusz zdejmował wprost ze strachu, jako przed synem swej wierzycielki, bo matce mojej był ciągle coś winien i ani rusz nie mógł wyleźć z długów. I to nawet najprawdopodobniej. Chciałem się przed nim wytłomaczyć, i pewien jestem, że po dziesięciu minutach on zacząłby prosić mnie o przebaczenie; alem się rozmyślił, że lepiej nie zaczepiać go wcale. W tym samym czasie, t. j., mniej więcej, kiedy Surikow „zamroził“ dziecko, około połowy marca, nie wiem dlaczego zaczęło mi być nagle znacznie lepiej i tak trwało ze dwa tygodnie. Zacząłem wychodzić, najczęściej o zmierzchu; lubiłem marcowe zmierzchy, kiedy brał mróz i kiedy zapalano gaz; chodziłem czasem daleko. Pewnego razu na Szestiławocznej minął mnie w ciemnościach ktoś „z lepszego towarzystwa“, nie przyjrzałem mu się dobrze; miał w ręku coś zawiniętego w papier i ubrany był w jakiś wyświechtany, nędzny paltocik, jak na daną porę roku za lekko. Kiedy się zrównał z latarnią, na dziesięć kroków przede mną zauważyłem, że coś mu wypadło z kieszeni. Podniosłem czem prędzej i zrobiłem to w samą porę, gdyż już podskoczył jakiś jegomość w długiej kurcie, ale zobaczywszy przedmiot w moich rękach, dał za wygraną; przelotnie zajrzał mi do rąk i pomknął dalej. Przedmiotem owym był wielki safjanowy staroświeckiego kształtu, mocno wypchany pugilares; nie wiem jednak dlaczego od pierwszego wejrzenia domyśliłem się, że zawierał wszystko, co kto chciał, prócz pieniędzy. Właściciel zguby był już o czterdzieści kroków przede mną i wkrótce w tłumie zniknął mi z oczu. Pobiegłem za nim i zacząłem wołać, ale ponieważ nie mogłem nic innego krzyknąć, prócz „hej“, więc się nawet wcale nie obejrzał. Nagle skręcił na lewo do bramy jakiegoś domu. Kiedym wpadł za nim do bramy, w której było bardzo ciemno, nie znalazłem już tam nikogo. Była to ogromna kamienica, jeden z tych olbrzymów, które budują spekulanci na drobne mieszkania; czasem w takim domu bywa ze sto numerów. Kiedym dobiegł do końca bramy, wydało mi się, że w głębi na prawo, w rogu

olbrzymiego podwórza, jakgdyby posuwa się ludzka postać, chociaż po ciemku trudno było rozpoznać. Dobiegłszy do rogu, zauważyłem wejście na schody, które były wąskie, nadzwyczaj brudne i zupełnie nieoświetlone; ale słychać było, że w górze biegł jeszcze ktoś po stopniach, więc rzuciłem się na schody, licząc na to, że go dopędzę, zanim mu gdziekolwiek otworzą. Tak się też stało. Stopnie były króciuteńkie, było ich bez liku, tak, żem się strasznie zasapał; drzwi się otworzyły i znów zamknęły na czwartem piętrze domyśliłem się tego, będąc o trzy piętra niżej. Zanim się wdrapałem, zanim odsapnąłem na półpiętrze, zanim znalazłem dzwonek, upłynęło kilka minut. Nareszcie otworzyła mi jakaś baba, która dmuchała w samowar w maleńkiej kuchence; w milczeniu wysłuchała moich pytań, naturalnie, nic nie zrozumiawszy, i milcząc otworzyła mi drzwi do następnego pokoju, równie malutkiego, okropnie niskiego z ohydnem nieodzownem umeblowaniem i olbrzymiem szerokiem łóżkiem z firankami, na którem spoczywał Terentjicz (tak zawołała baba), jak się wydawało, pijany. Na stole dogasał ogarek w cynowym lichtarzu i stała butelka wódki prawie opróżniona. Terentjicz, leżąc zamamrotał coś do mnie i machnął na następne drzwi, baba zaś odeszła tak, że nic innego mi nie pozostało, jak drzwi te otworzyć. Tak też zrobiłem i wszedłem do następnego pokoju. Był on jeszcze węższy i ciaśniejszy od poprzedniego, tak, iż nie wiedziałem gdzie się obrócić; wąskie pojedyńcze łóżko w kącie zajmowało okropnie dużo miejsca; reszta mebli składała się tylko z trzech prostych krzeseł, zarzuconych wszelkiemi gałganami, i najzwyczajniejszego drewnianego stołu kuchennego przed starą ceratową kanapą, wskutek czego między stołem i łóżkiem prawie nie można było już przejść. Na stole paliła się w takim samym żelaznych lichtarzu łojówka, jak i w tamtym pokoju, a na łóżku piszczało maleńkie dziecko, sądząc po krzyku, najwyżej chyba trzytygodniowe; „zmieniała je“, t. j. przewijała chora i blada kobieta, młoda, zdaje się, w grubym negliżu i może tylko co zaczynająca wstawać po połogu; ale dziecko nie uspokajało się i krzyczało, czekając na wyschłą pierś: Na kanapie spało drugie dziecko, trzyletnia dziewczynka, przykryta zdaje się, frakiem. Przy stole stał właściciel zguby

w bardzo zniszczonym surducie (palto już zdjął, leżało ono na łóżku) i rozwinął niebieski papier, w którym było zawinięte ze dwa funty bułki i dwie maleńkie kiełbaski. Prócz tego, na stole stał imbryk z herbatą i walały się kawałki czarnego chleba. Z pod łóżka wychylała się niezamknięta waliza i sterczały dwa węzełki z jakiemiś łachmanami. Jednem słowem, był straszny nieporządek. Od pierwszego wejrzenia wydało mi się, że oboje, pan i pani, muszą być ludźmi porządnymi, tylko doprowadzonymi ubóstwem do tego poniżającego stanu, w jakim nieporządek zwycięża nakoniec wszelkie próby walczenia z nim i nawet doprowadza ludzi do gorzkiej potrzeby znajdowania w najgorszem coraz to zwiększającem się niechlujstwie, pewnego rodzaju gorzkiego i jakby mściwego uczucia zadowolenia. Gdy wszedłem, pan ów, który także tylko co przede mną wszedł i rozwijał swoje zapasy, rozprawiał o czemś prędko i gorączkowo z żoną; ona zaś, chociaż nie skończyła jeszcze przewijania, zdążyła już wziąć udział w rozmowie: wiadomości były widocznie, jak zwykle, niepomyślne. Twarz tego pana, wyglądającego na dwadzieścia osiem lat, smagła i chuda, okolona czarnemi bokobrodami, z wygolonym lśniącym podbródkiem, wydała mi się dosyć przyzwoitą i sympatyczną; była ponura, o ponurem wejrzeniu, ale z jakimś chorobliwym odcieniem dumy, zbyt łatwo ulegającej rozdraźnieniu. Gdy wszedłem, zaszła niezwykła scena. Są ludzie, którzy znajdują nadzwyczajną rozkosz w swojej drażliwej obraźliwości, a szczególniej wtedy, kiedy dochodzi w nich (co się staje zwykle bardzo prędko) do ostatecznych granic; w takiej chwil przyjemniej im nawet, zdaje się, czuć się obrażonymi, aniżeli nieobrażonymi. Tych ludzi nadmiernie drażliwych zawsze potem okropnie gnębi skrucha, jeżeli, naturalnie, są na tyle rozumni, żeby pojąć, iż wpadli w dziesięć razy większe podniecenie, niż było warto. Pan ten przez jakiś czas patrzył na mnie ze zdumieniem, a żona z przerażeniem, jakgdyby to było strasznie dziwne, że i do nich ktoś mógł wejść; nagle jednak rzucił się on na mnie niemal z furją; nie zdążyłem jeszcze wybąknąć dwóch słów, a on, spostrzegłszy, zwłaszcza, że jestem porządnie ubrany, poczuł się widocznie strasznie dotnięty tem, że ośmieliłem się tak bez ceremonji zajrzeć do

jego kąta i zobaczyć całe to ohydne otoczenie, którego sam tak się wstydził. Naturalnie, ucieszył się, że znalazł się ktoś, na kogo mógłby zwalić gniew za wszystkie swoje niepowodzenia. Myślałem nawet przez chwilę, że weźmie się do bicia. Zbladł, jak kobieta w ataku histerji, i okropnie przeląkł żonę. „Jak pan śmiał tak wejść? Precz“! krzyczał, drżąc i z trudem wymawiając wyrazy. Ale nagle spostrzegł w moich rękach swój pugilares. „Zdaje się, że pan zgubił“ powiedziałem, jak mogłem najspokojniej i sucho. (Zresztą, tak właśnie trzeba było). Tamten stał przede mną w zupełnem przerażeniu i zdawał się przez jakiś czas nic nie rozumieć; potem prędko złapał się za swoją boczną kieszeń, roztworzył usta z przestrachem i uderzył ręką po czole. „Boże! Gdzie pan znalazł? Jakim sposobem?“ Objaśniłem mu w jak najkrótszych wyrazach i o ile można było jeszcze oschlej, jak podniosłem pugilares, jak biegłem za nim i wołałem i jak wreszcie, wiedziony domysłem, na chybi trafi, wbiegłem za nim po schodach. „O Boże! — zawołał, zwracając się ku żonie — tu wszystkie nasze dokumenty, tu moje ostatnie instrumenty, tu wszystko... o, łaskawy panie, czy pan się domyśla, co pan dla mnie zrobił! Byłbym zgubiony“. Schwyciłem tymczasem za klamkę od drzwi, chcąc wyjść bez odpowiedzi, ale sam traciłem oddech i nagle wzruszenie moje wybuchło w takim silnym ataku kaszlu, żem ledwie mógł ustać. Widziałem, jak ów pan rzucał się na wszystkie strony, żeby znaleźć dla mnie wolne krzesło, jak porwał wreszcie z jednego krzesła łachmany, rzucił je na podłogę i podał mi śpiesznie krzesło, sadowiąc mnie ostrożnie. Kaszel mój jednak nie ustawał i trwał jeszcze ze trzy minuty. Gdym przyszedł do siebie, tamten już siedział przy mnie na drugiem krześle, z którego także prawdopodobnie zrzucił łachmany na podłogę, i wpatrywał się we mnie badawczo. „Pan jest cierpiący, zdaje się?“ przemówił takim tonem, jakim zwykle mówią doktorzy, zabierając się do chorego. „Ja sam jestem medykiem“ (nie powiedział: doktorem), i powiedziawszy to, nie wiem dlaczego wskazał mi ręką pokój, jakby protestując przeciw swojemu teraźniejszemu położeniu „widzę, że pan“... „Ja mam suchoty“ rzekłem jak najzwięźlej i wstałem. Zerwał się i on. „Pan pewnie przesa-

dza i zastosowawszy środki...“ Ogromnie był zbity z tropu i wciąż jeszcze nie mógł przyjść do siebie; pugilares sterczał w jego lewej ręce. „O, niech pan się nie trudzi“, przerwałem znowu, chwytając za klamkę od drzwi, „w przeszłym tygodniu oglądał mnie B...n (znowu wkręciłem tu B...na) i sprawa moja zdecydowana. Wybaczy pan...“ Znowu chciałem otworzyć drzwi i opuścić mojego skonfudowanego, wdzięcznego i przytłoczonego wstydem doktora, lecz przeklęty kaszel na nowo mnie napadł. Tu mój doktór zmusił mnie znów, bym usiał i odpoczął, poczem zwrócił się ku żonie, która, nie wstając z miejsca, powiedziała do mnie kilka wdzięcznych i uprzejmych słów, zawstydziwszy się przytem tak mocno, że nawet rumieniec wykwitł na jej bladożółtych, chudych policzkach. Zostałem, ale z miną, która wyrażała okropną obawę przed krępowaniem ich (to było konieczne). Skrucha nareszcie zgnębiła do reszty mojego doktora, co było dla mnie widoczne. „Jeżeli ja — zaczął, przerywając nieustannie i przeskakując — ja tak panu jestem wdzięczny i tak zawiniłem względem pana... ja... widzi pan... — znowu pokazał pokój — w obecnej chwili znajduję się w takiem położeniu...“ „O — powiedziałem — niema co patrzeć, wiadomo rzecz: pan pewno stracił posadę i przyjechał się wytłumaczyć i znowu starać się o miejsce.

— Skąd... pan wie? — zapytał ze zdziwieniem.

— To widać od pierwszego rzutu oka — odrzekłem mimowoli z pewną ironją — tu wielu z prowincji przyjeżdża, mając jakąś nadzieję, biegają po mieście i tak, jak państwo, mieszkają.

„Zaczął mówić nagle z zapałem, drżącemi ustami, począł się skarżyć, opowiadać i wyznaję, porwał mnie; prawie całą godzinę tam przesiedziałem. Opowiedział mi całe swoje przejście, dość zresztą znane. Był lekarzem w mieście gubernjalnem, zajmował rządową posadę, ale tu zaczęły się jakieś intrygi, do których wmieszano nawet jego żonę. Duma go uniosła, postąpił zbyt porywczo; w administracji guberanjalnej nastąpiły zmiany na korzyść jego przeciwników; zaczęto pod nim kopać dołki, skarżono się nań, stracił wkońcu miejsce i z resztą pieniędzy przyjechał do Petersburga, aby się wytłumaczyć; w Petersburgu, znana rzecz, długi czas

nie chciano go słuchać, potem wysłuchano, potem odpowiedziano odmową, potem łudzono obietnicami, potem odpowiedziano surowością, potem kazano mu coś tam napisać dla wyjaśnienia, następnie nie przyjęto tego, co on napisał, kazano mu podać prośbę, słowem, kręcił się już piąty miesiąc wszystko przejadł, ostatnie kiecki żonine były zastawione, a tu urodziło się jej dziecko i, i... „dziś ostateczna odmowa na podaną prośbę, a chleba już prawie niema, żona po połogu, ja... ja..." Zerwał się z krzesła i odwrócił. Jego żona płakała w kącie, dziecko zaczęło znów kwilić. Wyjąłem swój notes i zacząłem w nim zapisywać. Gdym skończył i z krzesła się podniosłem, doktór stał przede mną i patrzał z trwożnem zaciekawieniem.

— Zapisałem sobie pańskie nazwisko — rzekłem mu— no, i tamto wszystko, miejsce służby, nazwisko pańskiego gubernatora, daty. Mam pewnego kolegę ze szkół jeszcze, Bachmutowa, stryj jego, Piotr Matwiejewicz Bachmutow, rzeczywisty radca stanu, jest dyrektorem...

Piotr Matwiejewicz Bachmutow! — zawołał doktór prawie ze drżeniem — ale przecież to od niego właśnie prawie wszystko zależy!

„Doprawdy, w całej historji mego doktora i w jej zakończeniu, do którego mimowoli się przyczyniłem, tak się złożyło, jakgdyby umyślnie wszystko było z góry uplanowane, zupełnie, jak w powieści. Powiedziałem tym nieszczęśliwym ludziom, żeby się postarali nie liczyć na mnie wcale, że ja jestem biednym uczniem (umyślnie przesadziłem w skromności; kursy skończyłem dawno i nie jestem wcale uczniem), że mego nazwiska nie mają poco się dowiadywać, ale że ja pójdę zaraz do mego kolegi, na wyspę Wasiljewską, i ponieważ wiem na pewno, że stryj jego, rzeczywisty radca stanu, kawaler i bezdzietny, literalnie uwielbia swego synowca i kocha go wprost do niepamięci, widząc w nim ostatnią latorośl swego rodu, to „możliwe, iż mój kolega będzie mógł coś niecoś zrobić dla pana, no, i dla mnie, naturalnie"...

— „Gdybyż mi tylko pozwolono złożyć wyjaśnienie jego ekscelencji! Gdyby mi tylko dano możność dostąpić zaszczytu wytłumaczenia się osobiście! — zawołał, drżąc, jak w febrze, z błyszczącemi oczyma. Tak się, mianowicie, wy-

razil: „gdyby mi dano możność“. Powtórzywszy jeszcze, że sprawa na pewno zrobi klapę i wszystko okaże się głupstwem, dodałem że jeżeli jutro rano nie przyjdę do nich, to znaczy, że sprawa skończona i nie mają na co czekać. Odprowadzili mnie do drzwi z ukłonami, byli prawie nieprzytomni. Nie zapomnę wyrazu ich twarzy. Wsiadłem w dorożkę i natychmiast pojechałem na wyspę Wasiljewską. Stosunek nasz z Bachmutowem w gimnazjum w ciągu kilku lat był stale wrogi. Bachmutow uchodził u nas za arystokratę, przynajmniej ja go tak nazywałem: ślicznie się ubierał, przyjeżdżał swojemi końmi, nie był fanfaronem, zawsze był jak najlepszym kolegą, zawsze był niezwykle wesoły i nawet czasem bardzo dowcipny, choć nie obdarzony umysłem wybitnym ,pomimo że był zawsze prymusem w klasie, ja znów nigdy w niczem nie byłem pierwszym .Wszyscy koledzy go lubili, prócz mnie jednego. Parę razy w ciągu tych kilku lat zbliżał się do mnie, ale za każdym razem odwracałem się od niego ponuro i z rozdrażnieniem. Teraz nie widziałem go już z rok, był na uniwersytecie. Gdy o dziewiątej wieczorem wszedłem do niego (z wielkiemi ceremonjami zanonsował mnie lokaj), wyszedł na moje spotkanie zrazu ze zdziwieniem, nawet wcale nieuprzejmie, ale zaraz potem poweselał i nagle patrząc na mnie, roześmiał się.

— „Cóż to wam do głowy strzeliło przyjść do mnie, Terentjew? — zawołał ze swoją zwykłą miłą nonszalancją, czasem arogancką, ale nigdy nie obraźliwą, którą tak w nim lubiłem i za którą tak go nienawidziłem. — Ale cóż to — krzyknął nagle, przestraszony — wyście chorzy!

„Kaszel znów mnie zaczął męczyć, upadłem na krzesło i ledwo mogłem złapać oddech.

— „Głupstwo, mam suchoty — powiedziałem — ja do was z prośbą.

„Usiadł zdziwiony, a ja natychmiast opowiedziałem mu całą historję doktora i oznajmiłem, że on sam przy swoim nadzwyczajnym wpływie na stryja mógłby może coś zrobić.

— „Zrobię, stanowczo zrobię i jutro zaatakuję stryja; cieszę się nawet, żeście mi to wszystko tak dokładnie opowiedzieli... Ale skądżeż wam jednak, Terentjew, przyszło do głowy zwrócić się do mnie?

— „Tak dużo w tej sprawie zależy od waszego stryja, a przytem myśmy, Bachmutow, zawsze byli wrogami, a ponieważ jesteście człowiekiem szlachetnym, więc pomyślałem, że wrogowi nie odmówicie — dodał z ironją.

— „Jak Napoleon zwrócił się do Anglji! — zawołał, śmiejąc się. — Zrobię, zrobię! Nawet zaraz pójdę, jeżeli można! — dodał śpiesznie, widząc, że z miną poważną i surową wstaję z krzesła.

„I rzeczywiście, sprawa ta nieoczekiwanie zakończyła się jak najlepiej. Po upływie półtora miesiąca medyk nasz otrzymał znów miejsce w innej gubernji, dostał na podróż, a nawet zaliczkę. Podejrzewam, że Bachmutow, który przywykł często do nich chodzić (podczas gdy ja dlatego umyślnie przestałem u nich bywać i doktora, gdy wstępował do mnie, przyjmowałem prawie zimno), Bachmutow, jak podejrzewam, skłonił nawet doktora do przyjęcia od niego pożyczki. Podczas tych sześciu tygodni widziałem się z Bachmutowem dwa razy, a trzeci raz zeszliśmy się przy odprowadzaniu doktora. Pożegnanie Bachmutow urządził u siebie w domu, w formie obiadu z szampanem, na którem była obecna i żona doktora, choć wkrótce odjechała do dziecka. Było to na początku maja, wieczór był jasny, ogromna tarcza słoneczna opuszczała się w zatokę; Bachmutow odprowadził mnie do domu; poszliśmy przez most Mikołajewski; obaj byliśmy podcięci. Bachmutow wyrażał swój zachwyt z powodu pomyślnego zakończenia tej sprawy, dziękował mi za coś, dowodził, jak mu teraz miło po spełnieniu dobrego uczynku, zapewniał, że cała zasługa po mojej stronie i że daremnie wielu uczy i głosi, że pojedyńczy dobry uczynek nic nie znaczy. Mnie również bardzo zachciało się porozmawiać.

— „Kto napada na pojedyńczy (dobry uczynek) — zacząłem — ten czyni zamach na naturę człowieka i pogardza jego godnością osobistą. Ale organizacja społecznych dobrych uczynków a zagadnienie wolności osobistej, to dwa zagadnienia odrębne, nie wykluczające się nawzajem. Dobro pojedyńcze trwać będzie zawsze, bo jest ono potrzebą indywidualną, żywą potrzebą bezpośredniego wpływu jednego indywiduum na drugie. W Moskwie mieszkał pewien staru-

szek, „jenerał", czyli rzeczywisty radca stanu, o niemieckiem nazwisku; całe życie włóczył się po więzieniach i po przeróżnych przestępcach; każda partja zesłanych na Sybir wiedziała naprzód, że na Wróblich górach odwiedzi ją „staruszek jenerał". Pełnił swoją czynność w wysokim stopniu poważnie i nabożnie; pojawiał się, chodził między rzędami zesłańców, którzy go otaczali, zatrzymywał się przed każdym, każdego rozpytywał o jego potrzeby, nauk moralnych nie mówił nigdy prawie nikomu, nazywał ich wszystkich „kochankami". Dawał pieniądze, przysyłał niezbędne rzeczy: onucze, szaliki ,płótno, przynosił kiedy niekiedy nabożne książeczki i obdarzał niemi każdego umiejącego czytać, ponieważ był pewien ,że oni je będą w drodze czytali i że ten, co umie czytać, przeczyta takiemu, co nie umie. O przestępstwa rzadko zapytywał, co najwyżej słuchał, gdy przestępca sam zaczynał opowiedać. Wszystkich przestępców traktował narówni, różnicy nie robił. Rozmawiał z nimi, jak z braćmi, ale sami zaczęli go uważać wkońcu za ojca. Gdy zauważył jaką kobietę zesłaną z dzieckiem na ręku, to podchodził, i pieścił dziecko, trzaskał palcami, żeby się śmiało. Tak czynił w ciągu wielu lat aż do śmierci, doszło do tego, że go znali w całej Rosji i w całej Syberji, to znaczy wszyscy przestępcy. Opowiadał mi pewien pan, który był na Syberji, że sam był kiedyś świadkiem, jak najzatwardzialsi przestępcy wspominali jenerała, chociaż jenerał, odwiedzając partję, mógł rozdać zaledwie dwadzieścia kopiejek na osobę. Coprawda nie można powiedzieć, aby wspominali go ze zbytnim zapałem, albo z jakiemś niezwyklem nabożeństwem. Ten lub ów „nieszczęśliwy", co zamordował ze dwanaście osób, lub zarżnął ze sześcioro dzieci, ot tak sobie dla rozrywki (bo i tacy bywają) raptem, ni stąd, ni zowąd, w pewnej chwili i to tylko raz jeden przez całe lat dwanaście, westchnie nagle i powie: „a co też tam porabia nasz staruszek jenerał, czy żyje jeszcze?" Przytem może nawet i uśmiechnie się i... na tem koniec. A skąd pan wie, jakie ziarno w duszy jego zostało na wieczne czasy posiane przez tego staruszka-jenerała, którego on nie zapomniał w ciągu lat dwunastu. Jakże możecie wiedzieć, Bachmutow, o doniosłości, jaką będzie miało takie przyłączenie jednej jednostki

do drugiej w losach tej jednostki przyłączonej?... W tem jest przecież całe życie i niezmierne mnóstwo niewidocznych dla nas powikłań. Najlepszy, najbardziej przenikliwy szachista, może przewidzieć zaledwie kilka posunięć; o pewnym szachiście Francuzie, który potrafił wykombinować naprzód dziesięć posunięć, pisano w swoim czasie, jak o jakimś cudownem zjawisku. A ileż tu jest posunięć, ile nieznanych kombinacyj? Gdy wrzucacie swe ziarno i dajecie swoją „jałmużnę", swój dobry uczynek w jakiejkolwiek formie, dajecie z siebie część swej istoty i przyjmujecie w siebie część innej; wzajemnie się dopełniacie; jeszcze trochę skupienia, a będziecie już wynagrodzeni przez wiedzę, przez najbardziej niespodziewane odkrycia. Zaczniecie wkońcu na pewno patrzeć na własny uczynek, jak na naukę, która pochłonie w sobie całe życie, a może i wypełni całe życie. Z drugiej znów strony, wszystkie myśli wasze, wszystkie rzucone przez was, a może już i zapomniane ziarna, ciałem się staną i wyrosną; obdarzony przez was zwróci innemu. Skąd wiecie, jaki będziecie mieli udział w przyszłem rozwiązaniu losów ludzkości? A jeżeli wiedza i całe życie tej pracy wyniosą was wreszcie na taką wysokość, iż będziecie w stanie rzucić olbrzymie ziarno, światu w spuściźnie pozostawić myśl olbrzymią, to... i tak dalej. — Dużom tedy mówił.

„— pomyśleć przytem, że wam żyć nie dano! — jakby z gorącym do kogoś wyrzutem rzekł Bachmutow.

„W tej chwili staliśmy na moście, oparłszy się o balustradę, zapatrzeni w Newę.

„— A wiecie, co mi przyszło do głowy, — powiedziałem, jeszcze bardziej pochyliwszy się nad balustradą.

„— Czyby nie rzucić się do wody? — zawołał Bachmutow, prawie przerażony. Być może, iż z mojej twarzy wyczytał ten zamiar.

„—Nie, tymczasem pewne rozumowanie, takie mianowicie: oto zostało mi teraz jakieś dwa — trzy miesiące życia, no, dajmy na to, cztery; ale kiedy naprzykład zostanie już tylko dwa miesiące, i gdybym strasznie zapragnął spełnić jaki dobry uczynek, któryby wymagał pracy, zachodu i biegania, naprzykład, jak sprawa naszego doktora, to

wszak wówczas jabym musiał zaniechać tego uczynku wobec niewielkiego przeciągu czasu, który mi do życia pozostał, i wynaleźć sobie jakiś inny „dobry uczynek“ mniejszego kalibru, na któryby mnie stać było (jeżeli już tak mnie będzie „rozbierało“ na dobre uczynki). Przyznajecie, że to zabawna myśl!

„Bachmutow nieborak był za mnie do żywego poruszony; odprowadził mnie do samego domu i tak był delikatny, że ani razu nie puścił się na pocieszanie i cały czas milczał. Na pożegnanie serdecznie uścisnął moją rękę i prosił, abym mu pozwolił odwiedzać mnie. Odpowiedziałem mu, że jeżeli ma przychodzić do mnie jako „pocieszyciel“ (bo choćby nawet milczał, to zawsze jednak przychodziłby jako pocieszyciel, wytłumaczyłem mu to), to w ten sposób przecież on mi będzie za każdym razem jeszcze bardziej o śmierci przypominał. Wzruszył ramionami, ale przyznał mi słuszność rozstaliśmy się dość grzecznie, czegom się nawet nie spodziewał.

Ale tego wieczoru i tej nocy zostało rzucone ziarno mojego „ostatniego przekonania.“ Chciwie uczepiłem się tej nowej myśli, chciwie ją analizowałem we wszelkich jej załamaniach, we wszelkich jej odcieniach, (przez całą noc oka nie zmrużyłem) i im bardziej w niej się zagłębiałem, tem więcej w siebie ją przyjmowałem, tem większego doznawałem lęku. Wkońcu owładnęło mną okropne przerażenie, trzymając mnie w swych uściskach i dni następnych. Chwilami rozmyślając o tym nieustannym moim lęku, drętwiałem naraz w nowem przerażeniu; wszak po tym przestrachu mogłem sądzić, że moje „ostatnie przekonanie“ zbyt się we mnie rozpanoszyło i nieodwołalnie doprowadzi do swego rozwiązania. Ale do tego rozwiązania brakło mi stanowczości. Po trzech tygodniach wszystko było skończone, zjawiła się stanowczość, lecz wywołana niezwykłą okolicznością.

„Tu w wyjaśnieniu swem zaznaczam wszystkie te cyfry i daty. Naturalnie, będzie mi wszystko jedno, ale t e r a z (i, być może, tylko w danej chwili) pragnę, aby ci, którzy będą wydawali sąd o moim postępku, jasno wiedzieli, ja-

kiego łańcucha logicznych następstw jest wynikiem moje „ostatnie przekonanie".

„Napisałem powyżej, że ostateczne zdecydowanie, którego brak mi było do wykonania mojego „ostatniego przekonania", narodziło się we mnie, zdaje się, całkiem nie z logicznego wniosku, lecz z jakiegoś dziwnego impulsu, z pewnej dziwnej okoliczności, może nawet niemającej związku z biegiem sprawy. Dziesięć dni temu wstąpił do mnie Rogożyn w pewnym interesie, o którym tu niema się co rozpisywać. Nigdy poprzednio nie widziałem Rogożyna, ale bardzo dużo o nim słyszałem. Dałem mu wszelkie potrzebne informacje, a ponieważ przyszedł tylko po te wiadomości, więcby się na tem między nami skończyło. Zbyt mnie jednak zaciekawił i tak przez cały dzień byłem pod wpływem dziwnych myśli, że zdecydowałem się pójść do niego nazajutrz z rewizytą. Rogożyn był mi najwidocznej nierad i nawet „delikatnie" dał do zrozumienia, że nie mamy poco podtrzymywać stosunków; jednakże spędziłem u niego bardzo zajmującą godzinę, zarówno, jak i on, prawdopodobnie. Między nami był taki kontrast, że nie mogliśmy go nie zauważyć, a szczególniej ja; byłem człowiekiem, którego dni już policzono, a on... żyjąc pełnią bezpośredniego życia, chwilą bieżącą, bez żadnej troski co do „ostatnich wniosków", cyfr, czy czegośkolwiek innego, nie mającego związku z tem, na punkcie czego... no, chociażby na punkcie czego on był zwarjowany; niech pan Rogożyn wybaczy to wyrażenie, choćby jako marnemu literatowi, który nie umie wyrazić swojej myśli. Pomimo braku uprzejmości z jego strony, wydało mi się, że jest to człowiek rozumny i bystry, choć mało interesują go rzeczy postronne. Nie wspominałem mu o swojem „ostatniem przekonaniu", ale, nie wiem dlaczego, zdawało mi się, że je odgadł, słuchając mnie. Przemilczał to; jest okropnie milczący. Napomknąłem mu, wychodząc, że pomimo całej różnicy i przeciwieństwa między nami, *les extremités se touchent* (wytłumaczyłem mu to po rosyjsku) tak, że i on sam, być może, nie tak daleki jest od mojego „ostatniego przekonania", jak się zdaje. Odpowiedział mi na to posępnym i kwaśnym grymasem, wstał, sam odnalazł moją czapkę,

udając, że niby to ja sam wychodzę, i poprostu wyprowadził mnie ze swojego ponurego domu pod pretekstem odprowadzenia mnie przez uprzejmość. Uderzył mnie wygląd jego domu, który choć podobny do cmentarza, jemu jednak podoba się najwidoczniej, co zresztą jest zrozumiałe: takie pełne, bezpośrednie życie, jakiem on żyje, zanadto jest wypełnione samo w sobie, ażeby potrzebować odpowiedniego otoczenia.

„Wizyta u Rogożyna ogromnie mnie zmęczyła. Prócz tego, od samego rana czułem się niedobrze; nad wieczorem strasznie osłabłem i położyłem się do łóżka, a od czasu do czasu czułem silną gorączkę i nawet chwilami bredziłem. Kola siedział przy mnie do jedenastej. Pamiętam jednakże wszystko, co on mówił i o czem obaj mówiliśmy. Ale gdy czasem przymykały mi się oczy, to ciągle ukazywał mi się Iwan Fomicz, niby to otrzymujący miljony pieniędzy. Ciągle nie wiedział, gdzie je podziać, łamał sobie nad tem głowę, trząsł się ze strachu, że je ukradną, i nareszcie jakoby postanowił zakopać je w ziemię. Poradziłem mu wreszcie, żeby zamiast niepotrzebnie zakopywać w ziemi taką kupę złota, ulał z tej całej złotej masy złotą trumienkę dla „zamrożonego" dziecka i żeby w tym celu dziecko wykopał. Surikow przyjął moje kpiny nibyto ze łzami wdzięczności i natychmiast przystąpił do wykonania planu. Ja niby plunąłem i odszedłem od niego. Kola zapewniał mnie, kiedym się zupełnie ocknął, że wcale nie spałem i że cały ten czas rozmawiałem z nim o Surikowie. Chwilami czułem się nadzwyczajnie smutny i niespokojny, tak, że Kola odszedł zatrwożony. Kiedy sam wstałem, żeby zamknąć za nim drzwi na klucz, przypomniał mi się nagle obraz, który widziałem u Rogożyna w jednej z najciemniejszych sal jego domu, ponad drzwiami. On sam pokazał mi go mimochodem, o ile sobie przypominam, przypatrywałem mu się przez chwilę. Pod względem artystycznym nie było w nim nic ładnego, ale wywołał on we mnie jakiś dziwny niepokój. Obraz przedstawia Chrystusa, który tylko co został zdjęty z krzyża. Zdaje mi się, że malarze zmanjerowali się w malowaniu Chrystusa bądź na krzyżu, bądź po zdjęciu z krzyża zawsze jeszcze z odcieniem niezwykłej piękności

w twarzy; tę piękność usiłują zachować Mu nawet w najstraszniejszych męczarniach. Na obrazie Rogożyna niema ani śladu piękności; to najzupełniejszy trup człowieka, który jeszcze przed ukrzyżowaniem zniósł nieskończone męki, rany, znęcanie się, bicie straży, razy tłumu, kiedy niósł na sobie krzyż i upadł pod krzyżem, wreszcie mękę krzyżową w ciągu sześciu godzin (przynajmniej według mojego obliczenia). Prawda, że to twarz człowieka dopiero co zdjętego z krzyża, to znaczy twarz, która zachowała w sobie bardzo dużo życia, ciepła; nic jeszcze nie zdążyło zesztywnieć, tak iż w obliczu Umarłego przebija nawet cierpienie, jakby jeszcze teraz przez Niego odczuwane (wszystko artysta doskonale uchwycił); ale zato twarz sama nieoszczędzona wcale, ta sama natura i zaprawdę, taki właśnie powinien być trup człowieka po takich mękach, kimkolwiek był ów człowiek. Wiem, że Kościół czrześcijański ustanowił jeszcze w pierwszych wiekach, że Chrystus cierpiał nie w przenośni, ale w istocie i że wobec tego ciało Jego musiało podlegać na krzyżu całkowicie i najzupełniej prawu natury. Na obrazie twarz ta nosi ślady okropnych uderzeń, spuchnięta, pokryta strasznemi, nabrzmiałemi i skrwawionemi sińcami, oczy otwarte, źrenice wykrzywione; wielkie odsłonięte białka oczów świecą jakimś martwym, szklanym odblaskiem. Dziwna rzecz; gdy patrzy się na trupa tego zamęczonego człowieka, to narzuca się pewne osobliwe i ciekawe pytanie: jeżeli takiego trupa (a na pewno musiał być taki sam) widzieli wszyscy Jego uczniowie, Jego główni przyszli apostołowie, widziały kobiety, chodzące za Nim i stojące pod krzyżem, wszyscy, co w Niego wierzyli i ubóstwiali Go... to jakim sposobem mogli oni uwierzyć, patrząc na takiego trupa, że ten męczennik zmartwychwstanie? Tu mimowoli nasuwa się pojęcie, że jeżeli śmierć jest tak okropna i prawa natury tak silne, to jakżeż je przemóc? Jak je przemóc, jeżeli ich nie zwyciężył teraz nawet Ten, który życiem swem zwyciężał naturę, któremu ona ulegała, który zawołał: *Thalita Kumi!... i* dziewica wstała, „Łazarzu, wstań!“ i wyszedł umarły. Kiedy się patrzy na ten obraz, natura wydaje się jakąś ogromną, nieubłaganę i niemą bestją, albo, że określę właściwiej, znacznie właściwiej, choć nię-

zwykle... w postaci jakiejś, naprzykład, olbrzymiej maszyny najnowszej konstrukcji, która bezmyślnie schwytała, zmiażdżyła i pochłonęła w sobie, niema i obojętna, wielką i nieocenioną Istotę... taką Istotę, która sama jedna byłaby warta całej przyrody i wszystkich jej praw, ziemi całej, która może właśnie stworzona była jedynie poto, by się ta Istota zjawiła. Obraz ten jakgdyby wyobraża właśnie to pojęcie ciemnej, zuchwałej i bezmyślnie-wiekuistej siły, której się wszystko poddaje... i to pojęcie mimowoli się udziela. Ci ludzie, co otaczali umarłego, których tu zresztą niema wcale na obrazie, musieli odczuć straszny smutek i niepokój w ów wieczór, za jednym zamachem obracający w niwecz wszystkie ich nadzieje i nieomal wiarę.

„Musieli się rozejść w największem przerażeniu, choć każdy z nich unosił ze sobą olbrzymią myśl, której już przenigdy nic im wydrzeć nie zdołało. Gdyby sam Nauczyciel mógł był ujrzeć Siebie samego w przeddzień stracenia, to czy takby On Sam na krzyż wstąpił i czy takby umarł, jak teraz? To pytanie, które mimowoli się majaczy, gdy się patrzy na ów obraz.

„Wszystko to majaczyło się i mnie urywkami, być może, rzeczywiście, podczas maligny, nawet chwilami w obrazach, w przeciągu całej godziny po odejściu Koli. Czy może przybierać postać to, co nie ma postaci? Ale mnie się jakgdyby zdawało chwilami, że dostrzegam, w jakiejś dziwnej i niepomyślanej formie, tę niezwykłą moc, tę tajemniczą niemą Istotę. Pamiętam to tak, jakby mnie ktoś ze świecą powiódł za rękę, pokazał jakąś olbrzymią i ohydną tarantulę i zaczął upewniać, że to ta sama tajemnicza, niema i wszechwładna Istota, i śmiał się z mego oburzenia. W moim pokoju na noc zawsze przed obrazem zapalają lampkę, blade i nikłe światło, wszystko można jednak rozpoznać, a pod samą lampką można nawet czytać. Sądzę, że już było po dwunastej; nie spałem wcale i leżałem z otwartemi oczami: wtem otworzyły się drzwi i wszedł Rogożyn.

„Wszedł, zamknął drzwi, w milczeniu przyjrzał mi się i bez szmeru poszedł przez pokój do krzesła w rogu, które stoi pod samą lampką. Zdziwiłem się ogromnie i pa-

trzyłem oczekująco; Rogożyn podparł się na stoliku i począł w milczeniu patrzeć na mnie. Tak upłynęło ze trzy minuty, i pamiętam, że milczenie jego dotknęło mnie bardzo i rozzłościło. Czemuż to mówić nie chce? Że tak późno przyszedł, wydało mi się dziwnem, rzecz prosta, ale pamiętam, że mianowicie tem nie byłem tak bardzo zdumiony. Przeciwnie, choć nie wypowiedziałem mu swej myśli z rana, ale wiem, że ją zrozumiał; a myśl ta była tego rodzaju, że wynikało z niej, że można było przyjść porozmawiać nawet i o jeszcze bardziej późnej porze. Tak właśnie myślałem, że poto przyszedł. Rozstaliśmy się z rana w nieco wrogim nastroju, pamiętam nawet, że on ze dwa razy popatrzał na mnie całkiem ironicznie. Tę właśnie ironję wyczytałem w jego wzroku i ona to właśnie mnie dotknęła. Co do tego zaś, że to rzeczywiście jest sam Rogożyn, a nie halucynacja, nie miałem z początku żadnej wątpliwości. Ani mi to na myśl przyszło.

„A ten tymczasem siedział w dalszym ciągu i wciąż tak samo uśmiechnięty patrzał na mnie. Ze złością obróciłem się na łóżku, podparłem się także na poduszce i umyślnie postanowiłem także milczeć, choćbyśmy mieli tak cały czas siedzieć. Nie wiem, dlaczego chciałem koniecznie, żeby on pierwszy zaczął. Przeszło tak chyba ze dwadzieścia minut. Nagle przemknęła mi myśl: a jeśli to nie Rogożyn, tylko mara?

„Ani podczas choroby, ani kiedykolwiek bądź przedtem nie widziałem jeszcze ani razu żadnego ducha; ale mi się zawsze zdawało, kiedym jeszcze był mały, a i teraz nawet, to jest niedawno, że gdy choć raz ujrzę ducha, to skonam odrazu, pomimo iż w żadne duchy nie wierzę. Ale kiedym pomyślał, że to nie Rogożyn, tylko halucynacja, to pamiętam, żem się wcale nie zląkł. Niedość na tem, byłem nawet zły. Dziwne jeszcze i to, że rozstrzygnięcie kwestji: czy to halucynacja, czy sam Rogożyn, jakoś mnie wcale nie tak zajmowało i niepokoiło, jakby się należało spodziewać; zdaje mi się, że myślałem wtedy o czem innem. Daleko więcej mnie, naprzykład, zajmowało, dlaczego Rogożyn, który przedtem był w domowym szlafroku i pantoflach, teraz jest we fraku, białej kamizelce i białym krawacie?

Błysnęła mi taka myśl: jeżeli to halucynacja i ja jej się nie obawiam, to dlaczegożbym nie miał wstać, pdojść ku niemu i samemu się przekonać? Bardzo być może, zresztą, żem się bał i nie śmiałem. Zaledwiem jednak zdążył pomyśleć, że się boję, doznałem uczucia, jakby nagle przeciągnięto lód po całem mojem ciele; poczułem mróz w plecach i zadrżały mi kolana. W tej samej chwili Rogożyn, jakby zgadując, że się boję, odjął rękę, na której był oparty, wyprostował się i zaczął otwierać usta, jakby do śmiechu; patrzył na mnie oko w oko. Taka wściekłość mnie ogarnęła, że stanowczo chciałem się na niego rzucić, ale ponieważ przysiągłem, że nie przemówię pierwszy, pozostałem więc na łóżku, tem bardziej, że w dalszym ciągu nie byłem pewien, czy to sam Rogożyn, czy nie?

„Nie pamiętam dokładnie, ile czasu to trwało; nie pamiętam także, czy traciłem chwilami przytomność, czy nie? Tylko wkońcu Rogożyn wstał, tak samo powoli i uważnie obejrzał mnie, jak przedtem, gdy wszedł, ale przestał się uśmiechać i bez szmeru, prawie na palcach, poszedł do drzwi, otworzył je, przymknął i wyszedł. Nie wstałem z łóżka i nie pamiętam, ile czasu przeleżałem jeszcze z otwartemi oczami i wciąż myślałem; Bóg wie, o czem myślałem; nie pamiętam również, jak straciłem przytomność. Nazajutrz obudziłem się, gdy zastukano do moich drzwi, o godzinie dziesiątej. Umówione było, że jeżeli ja sam nie otworzę drzwi do dziesiątej i nie zawołam, żeby mi podali herbatę, to Matrena ma sama do mnie zapukać. Gdy jej otworzyłem drzwi, odrazu przyszło mi na myśl, jakim sposobem mógł on wejść, kiedy drzwi były zamknięte? Sprawdziłem to i przekonałem się, że właściwy Rogożyn nie mógł wejść, ponieważ wszystkie nasze drzwi zamyka się na noc na zatrzask.

„Ten to osobliwy wypadek, który tak szczegółowo opisałem, był przyczyną, że się zupełnie „zdecydowałem". Do ostatecznej decyzji przyczyniła się więc widocznie nie logika, nie logiczne wyrozumowanie, lecz wstręt. Nie można pozostawać przy życiu, które przybiera takie dziwne, ubliżające formy. Ta halucynacja upokorzyła mnie. Nie jestem w stanie poddawać się ślepej sile, ukazującej się w postaci

tarantuli. Dopiero wówczas, o zmierzchu, kiedym odczuł w sobie wreszcie ostateczną chwilę zupełnego zdecydowania się, doznałem ulgi. To była dopiero pierwsza chwila; po drugą taką jeździłem do Pawłowska, ale to już objaśniłem dostatecznie.

VII

Miałem mały kieszonkowy pistolecik; sprawiłem go sobie wówczas, gdy jeszcze byłem dzieckiem, w owym pociesznym wieku, kiedy to nagle zaczyna się nabierać upodobania do opowieści: o pojedynkach, o napadach rozbójniczych, o tem, jak to i mnie wyzwą na pojedynek, i jak to ja po rycersku stanę wobec lufy pistoletu. Przed miesiącem obejrzałem go i przygotowałem. W skrzynce, w której leżał pistolet, znalazłem dwie kule, a w rogu ze trzy miarki prochu. Pistolet ten to straszna tandeta, bije w bok i bije zaledwie na piętnaście kroków; gdyby go jednak przyłożyć do skroni, nie ulega wątpliwości, że może czaszkę rozwalić.

„Postanowiłem umrzeć w Pawłowsku, o wschodzie słońca w parku, aby nikomu z letników nie zakłócać spokoju. Moje „Wyjaśnienie" dostatecznie objaśni policji całą sprawę. Domorośli psychologowie i ci,, którzy zechcą, mogą zeń wywnioskować, co im się będzie żywnie podobało. Nie chciałbym jednak, żeby ten rękopis był ogłoszony. Proszę, aby książę zachował jeden egzemplarz da siebie, a drugi dostarczył Agłai Iwanownie Jepanczyn. Taka jest moja wola. Szkielet mój zapisuję Akademji Medycznej dla celów naukowych.

„Nie uznaję nad sobą sędziów i wiem, że jestem teraz poza wszelką władzą sądu. Niedawno jeszcze ubawiło mnie pewne przypuszczenie: coby było, gdyby mi nagle przyszła chęć zabić tego i owego, choćby dziesięć osób odrazu, albo popełnić coś co jest uważane za coś najokropniejszego na świecie; w jakiem głupiem położeniu znalazłby się wobec mnie sąd przy moich dwóch lub trzech tygodniach życia i przy zniesieniu inkwizycyjnych środków i znęcania

się? Umarłbym wygodnie w szpitalu, otoczony troską doktora i prawdopodobnie w daleko większych wygodach, niż u siebie w domu. Nie rozumiem, dlaczego ludziom w takiem samem, jak ja, położeniu, nie przychodzi podobna myśl do głowy, choćby na żarty? Zresztą, być może, że także przychodzi, wesołych ludzi bowiem u nas nie brak.

„Aczkolwiek nie uznaję nad sobą żadnego sądu, wiem jednak, że będę sądzony, kiedy się stanę głuchym i niemym. Nie chcę odchodzić, nie zostawiając ani słowa odpowiedzi... słowa wolnego a nie wymuszonego... nie w celu usprawiedliwienia... o nie! nie mam ani kogo ani za co prosić o przebaczenie... ale tak sobie, dlatego, że sam tak chcę.

„Tu nasuwa się dziwna myśl: po pierwsze komu, w imię jakiego prawa, w imię jakich pobudek przyszłoby do głowy podawać w wątpliwość moje prawa teraz, na te dwa do trzech tygodni prekluzyjnego terminu? Jaki sąd może to obchodzić? Komu mianowicie zależałoby na tem, żebym był nietylko skazany, ale i żebym cnotliwie wytrwał do chwili wyroku? Czyżby rzeczywiście komuś na tem zależało? Ze względów etycznych? Rozumiem jeszcze, że gdybym w kwiecie sił i zdrowia targnął się na życie, które „mogłoby być dla mojego bliźniego pożyteczne“ i t. d., to moraliści mogliby mnie potępić w myśl zbutwiałej rutyny za to, żem się rozporządził swojem życiem bez pytania, albo za coś, co sami uznają za słuszne. Ale teraz, teraz, kiedy mi już odczytano termin wyroku? O jakiej tu etyce może być mowa, poza waszem życiem i ostatniem rzężeniem, w którem postradacie ostatni atom życia, wysłuchując pocieszeń księdza, który na pewno dojdzie w swych chrześcijańskich dowodzeniach do zbawiennej myśli, że w gruncie rzeczy nawet lepiej, że umieracie. (Chrześcijanie tacy, jak on, zawsze dochodzą do tej idei; to ich ulubiony konik). I czegoż im się zachciewa z ich śmiesznemi „Pawłowskiemi drzewami?“ Osłodzenia ostatnich godzin mojego życia? Czyżby nie rozumieli, że im bardziej pogrążę się w zapomieniu, im bardziej oddam się temu ostatniemu złudzeniu życia i miłości, którem chcą zasłonić przede mną moją Mejerową ścianę i wszystko, co na niej tak szczerze i otwarcie wyryto tem bardziej uczynią mnie nieszczęśliwym. Co mi wasza przyroda, wasz park

Pawłowski, wasze wschody i zachody słońca, wasze niebo błękitne i wasze arcyzadowolone oblicza, jeżeli cała ta nieskończona uczta zaczęła się od tego, że jednego mnie uznano za zbędnego? Co mi po tej całej piękności, kiedy w każdej minucie, w każdej sekundzie powinienem i zmuszony jestem teraz wiedzieć, że ot nawet ta drobniutka muszka, która brzęczy teraz oto koło mnie w promieniu słońca, i ta nawet jest uczestniczką powszechnej uczty i chóru, wie, gdzie jest jej miejsce, lubi je i jest szczęśliwa, tylko ja jeden jestem wyrzutkiem i dzięki swej małoduszności nie chciałem tego dotychczas zrozumieć! O, wiem przecież, jak książę i wszyscy chcieliby mnie doprowadzić do tego, iżbym zamiast tych wszystkich podstępnych i zjadliwych słów zaśpiewał im dla triumfu cnoty i moralności znakomitą i klasyczną strofę Milleroix:

„O, puissent voir votre beauté sacrée
Tant d'amis, sourds à mes adieux!
Qu'ils meurent pleins de jours, que leur mort soit pleurée,
Qu'un ami leur ferme les yeux!"

„Ale wierzcie, wierzcie, zacni ludzie, że i w tej moralnej strofie, w tem akademickiem błogosławieństwie francuskich wierszy tkwi tyle tajonej żółci, tyle nieprzejednanej złości, osłodzonej rymami, że może nawet sam poeta wpadł w matnię i wziąwszy złość za łzy rozczulenia, z tem przekonaniem umarł; pokój jego prochom! Wiedzcie, że w poczuciu własnej nędzy i słabości jest taka granica hańby, poza którą człowiek wyjść dalej już nie może i poczynając od której poczyna znajdować niesłychaną rozkosz we własnej hańbie... No, rzecz prosta, pokora w tem znaczeniu jest olbrzymią siłą, uznaję to, choć nie w tem znaczeniu, w jakiem religja uważa pokorę za siłę.

„Religja! Godzę się na życie wieczne i może zawsze się godziłem. Niech będzie, że świadomość wzbudzona wolą siły wyższej, że ta świadomość rozejrzawszy się po świecie wyrzekła „jestem", że nagle ta sama siła wyższa każe jej zniknąć, dlatego, że tak trzeba dla jakichś tam niewyjaśnionych przyczyn, niech tak będzie, na to wszystko mogę się zgodzić; ale znów to wieczne pytanie: na co przytem po-

trzebna była moja pokora? Czyż nie możnaby mnie było poprostu zjeść, nie żądając ode mnie pochwał dla tej siły, która mnie pochłonęła? Czyż rzeczywiście może się ktoś obrazić za to, że ja nie chcę przeczekać tych dwóch tygodni? Nie wierzę w to; daleko prawdziwsze jest przypuszczenie, że tu poprostu potrzebne było moje nędzne życie, życie atomu, dla dopełnienia jakiejś wszechharmonji całej budowy, dla jakiegoś plusu lub minusu, dla jakiegoś kontrastu i tak dalej, i tak dalej, tak samo, jak codzień potrzeba ofiary z życia wielu istot, bez śmierci których reszta świata nie może istnieć (chociaż trzeba zauważyć, że to myśl niezbyt szlachetna sama przez się). Ale niech tam! Zgadzam się, że w inny sposób, czyli że bez nieustannego wzajemnego pożerania się, nie można było stworzyć świata; gotów jestem nawet przyznać, że nic nie rozumiem w tem całem ustroju, ale zato wiem na pewno jedno: Skoro mi już dano uświadomić sobie, że „jestem", to co mi do tego, że świat jest zbudowany po partacku i że inaczej istnieć nie może? Kto i za co będzie mnie potem sądził? Jak uważacie, ale to wszystko jest niemożliwe i nieusprawiedliwione.

„Tymczasem jednak, pomimo najlepszych chęci nigdy nie mogłem wyobrazić sobie, że niema przyszłego życia i Opatrzności. Najprawdopodobniej wszystko to istnieje, tylko my nic nie rozumiemy z przyszłego życia i jego praw. Ale jeżeli jest to tak trudne i nawet niemożliwe do pojęcia, to czyż będę odpowiadał za to, żem nie był w stanie ująć Niepojętego? Prawda, oni mówią i, naturalnie, książę razem z nimi, że tu właśnie trzeba być posłusznym, że słuchać trzeba bezkrytycznie, powodując się samą cnotą, i że za moją uległość będę napewno nagrodzony na tamtym świecie, Ze złości, że nie możemy pojąć, poniżamy Opatrzność przypisywaniem jej naszych pojęć. Ale jeżeli ogarnięcie Jej umysłem jest niemożliwe, to powtarzam, trudno odpowiadać za to, czego człowiekowi nie dano pojąć. A jeżeli tak, to jakże mnie sądzić będą za to, że nie mogłem pojąć właściwej woli i praw Opatrzności? Nie, dajmy już raczej spokój religji.

„Tak, dość już tego dobrego. Gdy dojdę do tych wierszy, na pewno wzejdzie już słońce i „zabrzmi na niebie"

i olbrzymia, niezmierna potęga zaleje świat cały. Niech tam! Umrę, patrząc prosto na źródło siły i życia i nie zapragnę tego życia! Gdyby było w mej władzy nie urodzić się, tobym na pewno nie przyjął istnienia na tak szyderczych warunkach. Mam jeszcze jednak władzę umrzeć, choć zwracam to, co już policzone. Niewielka władza, niewielki i bunt.

„Ostatnie wyjaśnienie: nie dlatego umieram, że nie mam siły znieść tych trzech tygodni; o, wystarczyłoby mi sił i gdybym zechciał, byłbym dostatecznie pomszczony poczuciem wyrządzonej mi krzywdy, ale nie jestem francuskim poetą i nie chcę takich pociech. Wreszcie pokusa: przyroda do tego stopnia skrępowała moją działalność swoim trzytygodniowym terminem, że może samobójstwo jest jedynym jeszcze czynem, który zdążę zacząć i skończyć zgodnie z własną wolą. Cóż, może i zechcę wykorzystać ostatnią możność czynu? Protest czasem nie jest byle czem...“

„Wyjaśnienie“ było skończone; Hipolit zatrzymał się wreszcie....

W przypadkach pewnych krańcowości występuje ów stopień najwyższej cynicznej szczerości, kiedy człowiek nerwowy, podrażniony i wyprowadzony z równowagi, niczego już się nie boi i gotów jest na wszelkiego rodzaju skandale, nawet jest im rad; rzuca się na ludzi, mając przytem niejasny, lecz niezłomny zamiar za chwilę popełnić czyn szalony i w ten sposób odrazu rozstrzygnąć wszelkie wątpliwości, jeśliby one w kimkolwiek powstały. Cechą takiego stanu bywa prócz tego zbliżające się wyczerpanie sił fizycznych. Nadzwyczajne, prawie nadnaturalne naprężenie, które dotychczas podtrzymywało Hipolita, doszło do tego ostatniego stopnia. Ten osiemnastoletni, wycieńczony przez chorobę chłopak, wydawał się tak słaby, jek zerwany z drzewa, drżący listek; skoro jednak obrzucił wzrokiem słuchaczy (po raz pierwszy w ciągu całej ostatniej godziny), natychmiast odbił się w jego wzroku i śmiechu jak najbardziej pogardliwy i obelżywy wstręt. Pilno mu było do wyzwania Ale i słuchacze byli pełni oburzenia; wszyscy hałaśliwie i gniewnie wstali od stołu. Zmęczenie, wino, naprężenie,

zwiększały jeszcze chaos i jakgdyby, jeśli można się tak wyrazić, brudnawość wrażeń.

Nagle Hipolit zerwał się prędko z krzesła, jakgdyby go kto zepchnął z miejsca.

— Słońce wzeszło! — zawołał, zobaczywszy błyszczące wierzchołki drzew i ukazując je księciu, jak jaki cud.— Wzeszło!

— A cóż pan myślał, że nie wzejdzie, czy co? — zauważył Fierdyszczenko.

— Znów na cały dzień upalisko — niedbale i ze złością mruczał Gania, z czapką w ręku, przeciągając się i ziewając. — No, jak na miesiąc takiej suszy!... Idziemy, czy nie, Pticyn?

Hipolit przysłuchiwał się ze zdziwieniem, dochodzącem do odrętwienia; nagle zbladł strasznie i zatrząsł się cały.

— Pan bardzo nieudolnie robi obojętność, aby mnie obrazić — zwrócił się do Gani, patrząc mu prosto w twarz— pan jest szubrawiec!

— No, to już djabli wiedzą co, żeby się tak wywnętrzać! — zaryczał Fierdyszczenko — cóż za fenomenalna bezsilność!

— Poprostu bałwan — rzekł Gania.

Hipolit zapanował nieco nad sobą.

— Ja rozumiem panowie — zaczął, wciąż drżąc i zacinając się na każdem słowie — żem mógł zasłużyć na waszą osobistą zemstę, i... żałuję, żem was wymęczył temi bredniami (wskazał rękopis), a zresztą żałuję, żem was na dobre nie zamęczył... (tu uśmiechnął się głupio) czy zamęczyłem, Eugenjuszu Pawłowiczu? — przerzucił się nagle ku niemu z pytaniem — zamęczyłem, czy nie? Mów pan!

— Nieco rozwlekłe, a zresztą...

— Mów pan wszystko! Nie łżyj choć raz w swojem życiu — trząsł się i rozkazywał Hipolit.

— O, mnie jest zupełnie wszystko jedno! Proszę pana, niech pan będzie łaskaw zostawić mnie w spokoju — z odrazą odwrócił się Eugenjusz Pawłowicz.

— Dobranoc, książę — podszedł do księcia Pticyn.

— Ależ on się zaraz zastrzeli, cóż wy! Spojrzyjcie na niego! — wykrzyknęła Wiara i rzuciła się w okropnym

przerażeniu do Hipolita i nawet za ręce go schwyciła — przecież powiedział, że o wschodzie słońca się zastrzeli! Cóż wy!

— Nie zastrzeli się! — mruknęło złośliwie kilka głosów, i wśród nich Gania.

— Panowie, strzeżcie się — krzyknął Kola, schwyciwszy również Hipolita za rękę — spójrzcie tylko na niego! Książę! książę! czy pan nie widzi?

Koło Hipolita skupili się Wiara, Kola, Keller i Burdowski; wszyscy czworo uczepili się go rękoma.

— On ma prawo... prawo! — mamrotał Burdowski, zresztą również jak nieprzytomny.

— Za pozwoleniem, mości książę, jakie są pańskie rozkazy? — podszedł do księcia Lebiediew pijany i rozwścieczony do nieprzytomności.

— Co za rozkazy?

— Nie, za pozwoleniem, ja jestem gospodarzem, choć nie mam zamiaru uchybiać panu w szacunku... przypuśćmy, że i pan jest gospodarzem, ale nie chcę, żeby tak w moim własnym domu... Tak.

— Nie zastrzeli się; zawraca smarkacz głowę! — z oburzeniem i pewnością siebie krzyknął niespodziewanie jenerał Iwołgin.

— Ho, ho, jenerał! — podchwycił Fierdyszczenko.

— Ja wiem, że się nie zastrzeli, jenerale, najszanowniejszy jenerale, ale zawsze... Albowiem ja jestem gospodarzem.

— Słuchaj pan, panie Terentjew — rzekł nagle Pticyn, pożegnawszy się z księciem i wyciągając rękę do Hipolita — pan w swoim zeszycie wspomina, zdaje się, o swoim szkielecie i zapisuje go Akademji? To chodzi o pański szkielet, pański własny szkielet, to jest pan zapisuje własne kości?

— Tak, moje kości...

— Otóż to. Bo przecież może zajść pomyłka; jak słyszałem, był już taki przypadek.

— Czemu wy go drażnicie? — zawołał nagle książę.

— Do łez go doprowadzili — dodał Fierdyszczenko.

Ale Hipolit nie myślał płakać. Usiłował ruszyć się

z miejsca, ale ci czworo, co go otoczyli, nagle jednocześnie schwycili go za ręce. Rozległ się śmiech.

— Do tego właśnie chciał doprowadzić, aby go za ręce trzymano; poto czytał swój zeszyt — zauważył Rogożyn. Do widzenia, książę. Ależ zasiedzieliśmy się, aż kości bolą.

— Jeżeli pan rzeczywiście chciał się zastrzelić, panie Terentjew — zaśmiał się Eugenjusz Pawłowicz — to jabym już na pańskiem miejscu, po takich komplementach, umyślnie się nie zastrzelił, żeby im na złość zrobić.

— Strasznie im się chce widzieć, jak się zastrzelę! — rzucił się nań Hipolit.

— Mówił, jakby się na kogo rzucał.

— Źli są że nie zobaczą.

— Więc i pan myśli, że nie zobaczą?

— Ja pana nie podburzam; przeciwnie, ja myśle, że bardzo możliwe, że się pan zastrzeli. Główna rzecz, niech się pan nie gniewa... — wycedził Eugenjusz Pawłowicz, protekcjonalnie rozciągając wyrazy.

— Teraz dopiero widzę, żem okropny błąd popełnił, przeczytawszy im ten zeszyt! — rzekł Hipolit, patrząc na Eugenjusza Pawłowicza z takim ufnym nagle wyrazem, jakgdyby zwracał się do przyjaciela po przyjacielską radę.

— Zabawna sytuacja, ale... naprawdę, nie wiem, co mam panu poradzić — odrzekł z uśmiechem Eugenjusz Pawłowicz.

Hipolit surowo patrzał mu w twarz, oko w oko, nie odrywając spojrzenia, i milczał. Można było pomyśleć, że chwilami tracił zupełnie świadomość.

— Nie, za pozwoleniem, co za wychowanie przytem— zabrał głos Lebiediew — „zastrzelę się“, powiada, „w parku, żeby nikomu nie zrobić kłopotu!“ Myśli, że nikomu nie zrobi kłopotu, jak zejdzie po schodach trzy kroki do ogrodu.

— Panowie... — chciał przemówić książę.

— Nie, za pozwoleniem, najszanowniejszy książę — z wściekłością uczepił się Lebiediew — ponieważ sam pan raczy uważać, że to nie żart i ponieważ połowa przynajmniej naszych gości jest tego samego zdania i pewna jest, że teraz po słowach, które tu zostały wymówione, on się już ko-

niecznie powinien z poczucia honoru zastrzelić, to ja, ponieważ jestem gospodarzem przy świadkach oznajmiam, że zapraszam pana do współdziałania.

— Cóż trzeba robić, Lebiediew? gotów jestem panu pomóc.

— Oto co: po pierwsze, żeby on natychmiast oddał pistolet, którym się przed nami chwalił, ze wszystkiemi przyborami. Jeżeli wyda, to zgadzam się na to, aby mu pozwolić tę noc w tym domu przenocować, a to z powodu chorobliwego stanu, w jakim się znajduje, pod warunkiem, naturalnie, że pod moim nadzorem. Ale jutro niech stanowczo wynosi się, dokąd mu się podoba; wybacz, mości książę! Jeżeli zaś nie wyda broni, to ja go niezwłocznie odrazu za ręcę biorę, ja za jedną, a jenerał za drugą i natycmiast poślę zawiadomić policję i wtedy już sprawa pójdzie pod rozwagę policji. Pan Fierdyszczenko, jako znajomy, pójdzie tam.

Powstał hałas; Lebiediew był coraz więcej podniecony i począł już przekraczać granicę; Fierdyszczenko wybierał się już na policję; Gania z wściekłością obstawał przy tem, że się nikt nie zastrzeli. Eugenjusz Pawłowicz milczał.

— Książę, czy panu nie zdarzyło się kiedy spadać w przepaść? — wyszeptał doń nagle Hipolit.

—N-nie... — odrzekł książę naiwnie.

— Czy rzeczywiście myślał pan, że ja nie przewidziałem tej całej nienawiści! — wyszeptał znów Hipolit z błyskiem w oczach, patrząc na księcia tak, jakgdyby naprawdę czekał na jego odpowiedź. — Dość! — zagrzmiał nagle na całe zgromadzenie — ja jestem winien... ze wszystkich najwięcej! Panie Lebiediew, masz pan klucz (wyjął portmonetkę, a z niej kółko stalowe z kilkoma małemi kluczykami), ten przedostatni... Kola panu wskaże... Kola! gdzie jest Kola? — zawołał, patrząc na Kolę, ale nie widząc go — tak... on panu wskaże; on razem ze mną niedawno pakował kufer. Kola, niech go pan zaprowadzi; u księcia w gabinecie, pod stołem, mój kufer... tym kluczykiem, na dole w szkatułce... mój pistolet i rożek z prochem. On sam kiedyś pakował, Panie Lebiediew, on panu pokaże, ale pod tym warunkiem, że jutro rano, kiedy będę wyjeżdżać do Pe-

tersburga, pan mi zwróci pistolet. Rozumie pan? Ja to robię dla księcia; nie dla pana.

— O, tak to rozumiem! — Lebiediew porwał klucz i ze zjadliwym śmiechem podbiegł do sąsiedniego pokoju. Kola zatrzymał się w niepewności, chciał coś powiedzieć, ale Lebiediew pociągnął go za sobą.

Hipolit spoglądał na śmiejących się gości. Książę zauważył, że mu zęby szczękają, jak w najsilniejszej febrze.

— Jacy oni wszyscy podli! — wyszeptał znów Hipolit do księcia w pasji. Kiedy mówił do księcia, nachylał się wciąż i szeptał.

— Daj im pan spokój; pan jest bardzo słaby...

— Zaraz, zaraz... zaraz odejdę.

Wtem uścisnął księcia.

— Pan może myśli, żem warjat — popatrzał na niego, śmiejąc się dziwnie.

— Nie, ale pan...

— Zaraz, zaraz, cicho; niech pan nic nie mówi; niech pan zaczeka... ja chcę popatrzeć panu w oczy... niech pan tak stoi, ja będę patrzał. Chcę się pożegnać z człowiekiem.

Stał i przez chwilę w milczeniu nieruchomo patrzył na księcia, okropnie, blady, z wilgotnemi od potu skroniami i jakoś dziwnie kurczowo chwytając księcia, jakgdyby bał się go wypuścić.

— Hipolicie, Hipolicie, co panu jest? — zawołał książę.

— Zaraz... dosyć... ja się położę. Za zdrowie słońca wypiję jeden haust... chcę, ja chcę, dajcie mi spokój!

Schwycił prędko ze stołu kielich, zerwał się z miejsca i w mgnieniu oka rzucił się ku schodom werandy. Książę z początku pobiegł za nim, ale zdarzyło się tak, że, jakgdyby naumyślnie, w tej samej chwili Eugenjusz Pawłowicz wyciągnął doń rękę na pożegnanie. Upłynęła jedna sekunda i wtem ogólny krzyk rozległ się na werandzie. Potem nastąpiła chwila strasznego zamieszania. Oto, co się stało:

Zbliżywszy się do samych schodów werandy, Hipolit zatrzymał się, z kielichem w lewej ręce, prawą zaś ręką sięgając do prawej bocznej kieszeni palta. Keller zapewniał potem, że Hipolit przedtem jeszcze wciąż trzymał tę rękę

w prawej kieszeni, kiedy jeszcze z księciem rozmawiał i chwytał go lewą za ramię i za kołnierz, i że dzięki tej prawej ręce w kieszeni zrodziło się w nim, jak zapewniał Keller, pierwsze podejrzenie. Tak, czy owak, pewien niepokój zniewolił i jego do podążenia za Hipolitem. Ale i on nie zdążył. Widział jedynie, jak nagle zabłysło coś w prawej ręce Hipolita i jak w tym samym momencie malutki kieszonkowy pistolecik znalazł się tuż przy jego skroni. Keller rzucił się ku niemu, chcąc go schwycić za cyngiel. Rozległ się ostry, suchy trzask kurka, lecz wystrzał nie nastąpił. Kiedy Keller schwycił Hipolita w ramiona, ten padł mu na ręce, jakby bez przytomności, prawdopodobnie wyobrażając sobie, że już jest zabity. Pistolet znalazł się w rękach Kellera. Hipolita przychwycono, podsunięto mu krzesło, posadzono i wszyscy skupili się dokoła niego, wszyscy krzyczeli, wszyscy zarzucali pytaniami. Wszyscy słyszeli trzask kurka i widzieli człowieka żywego, nawet nie draśniętego. Sam Hipolit siedział, nie zdając sobie sprawy z tego, co się dzieje, wodząc po wszystkich bezmyślnem spojrzeniem. W tej chwili wbiegł Lebiediew z Kolą.

— Spaliło na panewce? — pytano wkoło.

— Może wcale nie nabity? — domyślali się inni.

— Nabity! — oznajmił Keller, oglądając pistolet — ale...

— Czyżby spaliło na panewce?

— Nie było wcale kapiszonu — zadecydował Keller.

Trudno opowiedzieć przykrą scenę, która potem nastąpiła. Pierwotny ogólny strach począł się szybko zamieniać w śmiech, niektórzy nawet zaczęli śmiać się do rozpuku, znajdując w tem zjadliwą rozkosz. Hipolit szlochał, jak w histerycznym ataku, załamywał ręce, rzucał się na wszystkich, nawet na Fierdyszczenkę, schwycił go oburącz i zaklinał się na wszystko, że zapomniał, „zapomniał całkiem mimowoli, a nie umyślnie“ założyć kapiszon, że „te kapiszony tu są wszystkie, z dziesięć sztuk, w kieszonce od kamizelki“ (wszystkim wkoło pokazywał), że on przedtem nie nałożył, bo się bał nieumyślnego wystrzału w kieszeni, że liczył na to, iż zawsze zdąży nałożyć, gdy zajdzie potrzeba, i raptem zapomniał. Rzucał się w stronę księcia i Eugenjusza Pawło-

wicza, Kellera błagał, aby mu zwrócono pistolet, że zaraz dowiedzie wszystkim, że „jego honor, honor...", że on teraz „zhańbiony jest na wieki!..."

Padł wreszcie istotnie nieprzytomny. Zaniesiono go do gabinetu księcia, a Lebiediew, całkiem już wytrzeźwiony posłał niezwłocznie po doktora, sam zaś razem z córką, synem, Burdowskim i jenerałem pozostał przy łóżku chorego. Gdy wyniesiono omdlałego Hipolita, Keller stanął pośrodku pokoju i oznajmił wszem wobec, dzieląc i podkreślając każdy wyraz, w prawdziwem natchnieniu:

— Panowie, jeżeli kto z was jeszcze raz, głośno, przy mnie, wyrazi powątpiewanie, co do tego, że kapiszon był umyślnie zapomniany, i zacznie twierdzić, że nieszczęśliwy młodzieniec tylko grał komedję, ten będzie miał ze mną do czynienia.

Ale mu nie odpowiedziano. Goście wreszcie gromadnie i pośpiesznie rozeszli się. Pticyn, Gania i Rogożyn poszli razem.

Książę był mocno zdziwiony, że Eugenjusz Pawłowicz zmienił swój zamiar i odchodzi bez wyjaśnień.

— Pan przecież miał ze mną do pomówienia po rozejściu się wszystkich? — spytał go.

— A tak — rzekł Eugenjusz Pawłowicz, siadając nagle na krześle i sadowiąc przy sobie księcia — ale teraz chwilowo zmieniłem zamiar. Przyznam się panu, żem trochę zdenerwowany pan też zresztą. Myśli mi się poplątały; przytem to, o czem chciałem z panem pogadać, zbyt ważne jest dla mnie i dla pana także. Widzi książę, jabym choć raz w życiu chciał spełnić czyn całkiem szlachetny, to jest bez wszelkich ukrytych myśli, no a myślę, że w danej chwili niezupełnie jestem zdolny do bezwzględnie szlachetnego czynu, a przytem i pan może również... również... i... no, zresztą pomówimy później. Być może, i sprawa zyska na jasności, zarówno dla mnie, jak i dla pana, jeżeli zaczekamy te trzy dni, które mam spędzić w Petersburgu.

I znów powstał z krzesła, tak że właściwie niewiadomo poco siadał. Księciu wydało się również, że Eugenjusz Pawłowicz jest niezadowolony i rozdrażniony i patrzy nań

wrogo, że wzrok jego wyraża już zupełnie co innego, niż przedtem.

— *A propos*, pan teraz pójdzie do chorego?

— Tak... jestem niespokojny — rzekł książę.

— Niech się pan nie obawia; pożyje jeszcze na pewno ze sześć tygodni, a może tu jeszcze się i wyleczy. A najlepiej wyrzuć go pan jutro.

— Może ja naprawdę pchnąłem jego rękę tem, że... nic nie mówiłem, on może pomyślał, że ja mam wątpliwości co do tego, czy on się zastrzeli? Jak pan myśli, Eugenjuszu Pawłyczu?

— Ale gdzież tam. Pan jest zbyt dobry, i żeby jeszcze sobie głowę zaprzątać. Zdarzyło mi się słyszeć o czemś podobnem, alem nigdy naprawdę nie widział, jak człowiek umyślnie zabija się dlatego, aby go pochwalono, albo ze złości, że go za to nie chwalą. Przedewszystkiem nie wierzyłbym w tę szczerość niedołęstwa. A pan swoją drogą powinien go jutro wyrzucić.

— Czy pan myśli, że on jeszcze raz będzie do siebie strzelał?

— Nie teraz to się już nie zastrzeli. Ale niech się pan strzeże tych naszych domorosłych *Lassenèrów!* Powtarzam panu, że przestępstwo jest zbyt praktykowaną ucieczką dla takiej chybionej, burzliwej i chciwej nicości!

— Czy to *Lassenère?*

— Istota rzeczy jest ta sama, choć może *emplois* różnią się. Przekona się książę, czy ten pan nie jest zdolny zamordować z dziesięć osób, choćby dla samego „kawału“, właśnie tak, jak on sam nam niedawno przeczytał w swojem „wyjaśnieniu“. Teraz te jego słowa spać mi nie dadzą.

— Pan chyba już zanadto się obawia.

— Książę jest zadziwiający; pan nie wierzy, że on jest zdolny zabić t e r a z dziesięciu ludzi.

— Ja boję się panu odpowiedzieć; wszystko to jest bardzo dziwne, ale....

— No, jak się panu podoba! — zakończył z rozdraźnieniem Eugenjusz Pawłowicz — przytem, pan taki odważny; niech się pan tylko nie znajdzie wśród tych dziesięciu.

— Najprawdopodobniej nikogo nie zabije — rzekł książę, patrząc w zamyśleniu na Eugenjusza Pawłowicza.

Ten zaśmiał się zjadliwie.

— Do widzenia, już czas! A pan zauważył, że on kopję swojej spowiedzi przeznaczył dla Agłai Iwanowny.

— Tak, zauważyłem i... i myślę o tem.

— Otóż to, w związku z temi dziesięcioma osobami— zaśmiał się znów Eugenjusz Pawłowicz i wyszedł.

W godzinę potem, o czwartej, książę zeszedł do parku. Usiłował przespać się w domu, lecz nie mógł wskutek silnego bicia serca. W domu zresztą wszystko było już doprowadzone do porządku i możliwego spokoju; chory zasnął, a przybyły doktór oświadczył, że niema żadnego niebezpieczeństwa. Lebiediew, Kola i Burdowski położyli się spać w pokoju chorego, aby się kolejno zmieniać; obawiać się zatem nie było czego. Lecz niepokój księcia wzrastał z każdą chwilą. Błądził po parku, z roztargnieniem patrząc wkoło siebie i zatrzymał się zdziwiony, gdy doszedł do placyku przed dworcem i zobaczył rząd pustych ławek i pulpitów przeznaczonych dla orkiestry. Miejsce to uderzyło go i wydało mu się niewiadomo dlaczego wstrętne i okropne. Zawrócił, i drogą, którą wczoraj szedł z Jepanczynami na dworzec, dotarł do zielonej ławki, którą wskazano mu na *rendez-vous*, siadł i nagle roześmiał się na cały głos, naskutek czego wpadł natychmiast w nadzwyczajne oburzenie. Przygnębienie nurtowało go wciąż, chciałby gdzieś pójść... dokąd, nie wiedział. Ponad nim śpiewał ptaszek na drzewie, i książę począł go szukać oczyma pośród liści; wtem ptak sfrunął z drzewa i tej samej chwili niewiadomo dlaczego przypomniała mu się „muszka, w palącym promieniu słońca“ o której napisał Hipolit, że i ona wie, gdzie jej miejsce, i jest uczestniczką powszechnego chóru, a on sam tylko jest wyrzutkiem. To zdanie jeszcze przedtem go uderzyło, teraz mu się to przypomniało. Poruszyły się w nim pewne wspomnienia zapomniane dawno, i nagle odrazu stały się jasne.

Było to w Szwajcarji, w pierwszym roku jego kuracji, nawet w pierwszych miesiącach. Był wówczas zupełnie jeszcze jak idjota, nawet porządnie mówić nie umiał, czasem nie mógł nawet zrozumieć, czego odeń chciano. Pewnego

razu poszedł w góry, w dzień jasny, słoneczny, i chodził długo, niepokojony pewną myślą, którą w żaden sposób nie mógł sformułować. Przed nim roztaczało się wspaniałe niebo, w dole jezioro, wkoło niezmierny jasny widnokrąg, nie mający granic. Patrzał długo i czuł mękę w duszy. Przypomniał sobie teraz, jak wyciągał ręce do tego jasnego nieskończonego błękitu i płakał. Dręczyło go to, że temu wszystkiemu jest tak całkiem obcy. Cóż to za uczta, cóż to za nieustanne uroczyste święto, któremu nie masz końca i do którego ciągnie go oddawna, ciągnie od niemowlęctwa, i do którego w żaden sposób przyłączyć się nie może. Co rano wschodzi takie samo jasne słońce, każdego poranku nad wodospadem zawisa tęcza; każdego wieczoru najwyższa śnieżysta góra tam, woddali, na skraju niebios, pali się purpurowym ogniem; każda „muszka malutka co wkoło niego brzęczy w palącym promieniu słońca jest powszechnego chóru uczestniczką: wie, gdzie jest jej miejsce, kocha je i jest szczęśliwa"; i każda trawka rośnie i jest szczęśliwa! wszystko ma wytkniętą drogę i zna tę drogę, z pieśnią się oddala i z pieśnią przychodzi; on jeden nic nie wie, nic nie rozumie, ani ludzi, ani dźwięków, wszystko mu jest obce, dla wszystkich jest wyrzutkiem. O, on wówczas nie mógł oczywiście mówić takiemi słowami i wypowiedzieć swych pytań; męka jego była głucha i niema; ale teraz zdawało mu się, że wszystko to on wypowiadał wtedy, temi samemi wyrazami i że o tej muszce Hipolit ściągnął od niego z jego własnych ówczesnych słów i łez. Był tego pewien i pod wpływem tej myśli dygotało mu serce...

Zdrzemnął się na ławce, lecz jego niepokój trwał i we śnie. Przed samem zaśnięciem przypomniał sobie, że Hipolit ma zabić dziesięć osób i uśmiechnął się do tego niedorzecznego przypuszczenia. Dokoła niego panowała głęboka cisza, tylko liście szemrały, a z szelestu ich budziła się jeszcze większa cisza i samotność. Przyśniło mu się bardzo wiele snów, a wszystkie były niespokojne i wszystkie co chwila wprawiały go w drżenie. Wreszcie zbliżyła się doń kobieta; znał ją, ale rzecz dziwna... miała teraz jakgdyby całkiem inną twarz, niż ta, która mu tak była znana, więc nie chciał uznać jej za tamtą kobietę. W twarzy jej było tyle skruchy i prze-

rażenia, że zdawać się mogło, iż to jakaś straszna zbrodniarka, która tylko co popełniła okropne przestępstwo. Po wybladłych jej policzkach spływały łzy; skinęła na niego ręką i przytknęła palec do ust, jakby uprzedzając, by szedł za nią wolniej. Serce w nim zamarło; za nic w świecie nie chciał uznać jej za zbrodniarkę; ale czuł, że lada chwila stanie się coś okropnego, na całe jego życie. Ona, zdaje się, chciała pokazać mu coś, gdzieś niedaleko w parku. Wstał, by za nią pójść, i nagle zabrzmiał obok czyjś jasny świeży śmiech; jakaś dłoń znalazła się nagle w jego dłoni; schwycił tę dłoń, ścisnął mocno i ocknął się. Przed nim stała, śmiejąc się głośno, Agłaja.

VIII

Śmiała się, lecz była oburzona zarazem.

— Śpi! Pan spał! — zawołała z pogardliwem zdziwieniem.

— To pani! — wybąknął książę, jeszcze niezupełnie przytomny, ze zdziwieniem poznając Agłaję. — Ach! Prawda! to umówione spotkanie... Ja tu spałem.

— Widziałam.

— Czy nikt mnie prócz pani nie budził? Nie było tu nikogo prócz pani? Zdawało mi się, że tu była... inna kobieta...

— Tu była inna kobieta...

Wreszcie oprzytomniał całkiem.

— To był tylko sen — wyrzekł w zamyśleniu — dziwne, w takiej chwili taki sen... Proszę usiąść.

Wziął ją za rękę i posadził na ławce; sam usiadł przy niej i zamyślił się. Agłaja nie rozpoczynała rozmowy, lecz uważnie przypatrywała się swemu towarzyszowi. Książę również spoglądał na nią, ale chwilami tak, jakgdyby jej wcale przed sobą nie widział. Agłaja poczęła się rumienić.

— Ach, prawda! — wzdrygnął się książę — Hipolit się strzelał.

— Kiedy? u pana — zapytała, lecz bez większego zdziwienia — przecież wczoraj wieczór, zdaje się żył jeszcze?

Jakżesz pan mógł spać tutaj po tem wszystkiem? — zawołała, raptem.

— Ależ przecież on nie umarł, pistolet wcale nie wystrzelił.

Na żądanie Agłai musił książę natychmiast i nawet ze wszelkiemi szczegółami opowiedzieć całą przygodę ubiegłej nocy. Agłaja podczas opowiadania nagliła go co chwila, lecz sama przerywała mu ciągle pytaniami nie mającemi prawie żadnego związku. Między innemi z wielką ciekawością wysłuchała o tem, co mówił Eugenjusz Pawłowicz i kilkakrotnie kazała to sobie powtarzać.

— No, dość tego, trzeba się śpieszyć — oświadczyła po wysłuchaniu wszystkiego — możemy tu być tylko godzinę, do ósmej, ponieważ o ósmej muszę koniecznie być w domu, żeby się nie dowiedzieli, żem tu siedziała, a przyszłam w interesie; mam panu dużo do powiedzenia. Tylko wytrącił mnie pan teraz zupełnie z równowagi. Co do Hipolita, myślę, że pistolet jego tak właśnie powinien był nie wystrzelić, to do niego więcej pasuje. Czy pan jest pewny, że on się chciał koniecznie zastrzelić i że w tem nie było oszukaństwa?

— Żadnego oszukaństwa.

— To jest prawdopodobniejsze. Czy on rzeczywiście napisał, żeby mi pan przyniósł jego spowiedź? Dlaczego pan mi nie przyniósł.

— Przecież on nie umarł. Ale poproszę go o tę spowiedź.

— Niech pan koniecznie przyniesie, nawet nie ma o co pytać. Sprawi mu to na pewno wielką przyjemność, bo on, być może, poto właśnie strzelał do siebie, żebym ja potem jego spowiedź przeczytała. Mój panie, proszę pana, niech pan się nie śmieje z tego, co ja mówię, bo to jest bardzo możliwe.

— Ja się z tego nie śmieję, bo sam jestem przekonany, że poniekąd tak być może.

— Pan jest przekonany? Doprawdy pan także tak myśli, zdziwiła się Agłaja.

Szybko zadawała pytania, mówiła prędko, ale czasem jakgdyby się plątała i często nie domawiała; ciągle pośpiesz-

nie o czemś uprzedzała; wogóle, była zdenerwowana niezwykle i choć jakby odważnie i jakby wyzywająco patrzyła, odczuwała, być może, nieco lęku. Miała na sobie najcodzienniejszą prostą sukienkę, w której było jej bardzo do twarzy. Często drżała, czerwieniła się, i siedziała na brzegu ławki. Potwierdzająca odpowiedź księcia, że Hipolit zastrzelił się w tym celu, aby ona przeczytała jego spowiedź, zdziwiła ją bardzo.

— Rzecz prosta — tłumaczył książę — miał ochotę, żebyśmy wszyscy także go pochwalili... nietylko pani.

— Jakto pachwalili?

— To jest.. jakby to pani powiedzieć? to bardzo trudno określić. Ale na pewno miał ochotę, aby go wszyscy otoczyli i powiedzieli mu, że go kochają i szanują, i aby wszyscy zaczęli go błagać, żeby pozostał przy życiu. Bardzo być może, że najbardziej panią miał na myśli, ponieważ w takiej chwili wspomniał o pani... choć może i sam nie wiedział, że ma panią na myśli.

— Tego już nie rozumiem wcale: miał na myśli i nie wiedział, że miał na myśli. A zresztą, zdaje się, że rozumiem: czy pan wie, że ja sama co najmniej ze trzydzieści razy, kiedy byłam jeszcze trzynastoletnią dziewczynką, miałam zamiar się otruć i wszystko to napisać w liście do rodziców i także myślałam, że jak będę leżała w trumnie, wszyscy będą nade mną płakali, zarzucali sobie, że byli tacy bez serca... Czego się pan znów śmieje? — dodała prędko, marszcząc brwi — a pan o czem myśli sobie, kiedy marzy w samotności? Może pan sobie wyobraża, że jest feldmarszałkiem i że pan pobił Napoleona.

— A co, daję słowo, myślę o tem zwłaszcza, wtedy kiedy zasypiam, — zaśmiał się książę — Nie Napoleona jednak, a Austrjaków wciąż biję.

— Wcale nie mam ochoty do żartów Leonie Mikołajewiczu. Z Hipolitem sama się zobaczę, proszę go uprzedzić. A co do pana, to znajduję, że to bardzo nieładnie z pańskiej strony i wogóle jest to bardzo niedelikatnie tak zaglądać do duszy ludzkiej i sąd o niej wydawać tak, jak pan względem Hipolita. Niema w panu delikatności uczuć; sama tylko naga prawda, to jest niesprawiedliwe.

Książę zamyślił się.

— Mnie się zdaje, że pani jest względem mnie niesprawiedliwa — rzekł — ja przecież nic złego w tem nie widzę, że on tak myślał, ponieważ wszyscy są skłonni do podobnych myśli; przytem, być może, że on tego wcale nie myślał, a tylko chciał tego... Chciał się po raz ostatni spotkać z ludźmi, zasłużyć na ich szacunek i miłość; to są przecież bardzo piękne uczucia, tylko tu wszystko jakoś inaczej się stało; grała tu rolę choroba i jeszcze coś! Przytem, jednym się zawsze wszystko udaje, a innym wszystko się nie wiedzie.

— Ten dodatek to pewnie dotyczy pana? — zauważyła Agłaja.

— Tak, mnie — odrzekł książę, nie zauważywszy wcale złośliwości w jej pytaniu.

— W każdym razie ja na miejscu pana tu nie zasnęłabym; jednak gdziekolwiek się pan tylko przyłoży, zaraz pan zasypia; to bardzo nieładnie z pańskiej strony.

— Ale ja przecież całą noc nie spałem, a potem chodziłem, chodziłem, byłem przy muzyce.

— Przy jakiej muzyce?

— Tam, gdzie grano wczoraj, a potem tu przyszedłem, usiadłem, zacząłem myśleć, myśleć, zasnąłem.

— A więc to tak? to zmienia sytuację na pańską korzyść... A poco pan chodził do muzyki?

— Nie wiem, tak sobie...

— Dobrze, dobrze, to potem; pan mi wciąż przerywa, co mi do tego, że pan chodził do muzyki? O jakiej to kobiecie się panu śniło?

— To... o... pani ją widziała...

— Rozumiem, doskonale rozumiem. Pan ją bardzo... Jak ona się panu przyśniła, w jakiej postaci? A zresztą, nie chcę nic wiedzieć — ucięła nagle z urazą. — Niech pan mi nie przerywa...

Poczekała trochę, jakby nabierając odwagi, albo starając się stłumić urazę.

— Oto, o co mi chodzi, poco ja pana wezwałam, chcę panu zaproponować, aby pan był moim przyjacielem. Cóż

pan pan tak nagle wytrzeszczył na mnie oczy? — dodała prawie ze złością.

Książę istotnie wpatrywał się w nią w tej chwili usilnie, zauważywszy, że znów się zaczęła strasznie czerwienić. W takich razach, im więcej się czerwieniła, tem więcej się na siebie złościła, co ujawniało się w jej błyszczących oczach; zazwyczaj w chwilę potem przenosiła swój gniew na tego, z którym rozmawiała, bez względu na to, czy był winien lub nie, i zaczynała się z nim kłócić jeszcze bardziej. Znając i czując swoją dzikość i nieśmiałość, rzadko wdawała się w rozmowy i była więcej małomówna od swoich sióstr, czasem nawet zbyt małomówna. Kiedy zaś, zwłaszcza w drażliwych wypadkach, trzeba było koniecznie przemówić, zaczynała rozmowę z niezwykłą pewnością siebie i jakgdyby wyzywająco i zawsze zawczasu przeczuwała, kiedy zaczynała, albo miała zacząć się rumienić.

— Pan może nie chce przyjąć mojej propozycji? — spojrzała z góry na księcia.

— Ależ nie, chcę, tylko to zupełnie zbyteczne... to jest, ja wcale nie myślałem, że trzeba robić takie propozycje — zmieszał się książę.

— A cóż pan sobie myślał? pocóżbym ja tu pana sprowadzała? co się panu zdaje? pan może zresztą uważa mnie za głupiutką kozę, za jaką mnie w domu wszyscy uważają.

— Nie wiedziałem, że panią uważają za kozę, ja... ja nie uważam.

— Nie uważa pan? to bardzo dowcipnie z pańskiej strony. Nadzwyczaj dowcipnie powiedziane.

— Podług mnie pani może czasem nawet bardzo jest mądra — ciągnął książę — pani mi niedawno powiedziała niespodziewanie pewne bardzo mądre zdanie. Pani powiedziała o moich wątpliwościach co do Hipolita; „w tem jest sama prawda, a więc to niesprawiedliwe". Ja to sobie zapamiętam i przemyślę.

Agłaja zajaśniała wielką radością. Wszystkie te zmiany zachodziły w niej nadzwyczaj otwarcie i niezwykle szybko. Książę ucieszył się także i nawet, patrząc na nią, roześmiał się z radości.

— Więc niech pan słucha — odezwała się znów — czekałam długo na pana, żeby to wszystko panu opowiedzieć, czekałam już od tej chwili, gdy pan do mnie ten list stamtąd napisał i nawet jeszcze przedtem... Połowy pan się wczoraj ode mnie dowiedział: ja pana uważam za najszlachetniejszego, najporządniejszego człowieka i jeżeli kto o panu mówi, że pan ma umysł... to jest, że pan jest czasem chory na umyśle, to jest niesłuszne; doszłam do tego wniosku i sprzeczałam się o pana, bo choć pan jest rzeczywiście chory na umyśle (pan, naturalnie się nie rozgniewa, ja to mówię z wyższego punktu widzenia), ale zato rozum pan ma lepszy, niż oni wszyscy, nawet taki, o jakim im się wcale nie śniło, bo rozum bywa dwojaki: główny i nie główny. Tak? prawda, że tak?

— Może być, że tak — ledwo wymówił książę; serce strasznie mu drżało i biło.

— Wiedziałam, że pan to zrozumie — mówiła dalej z powagą. — Książę S. i Eugenjusz Pawłowicz nic a nic z tego nie pojmują, Aleksandra także, a mama, niech pan sobie wyobrazi, zrozumiała.

— Pani jest bardzo podobna do Elżbiety Prokofjewny.

— Jakto? czy rzeczywiście? — rzekła ze zdziwieniem Agłaja.

— Daję słowo, tak.

— Dziękuję panu — rzekła, zastanowiwszy się — bardzo się cieszę, że jestem podobna do mamy. Więc pan ją bardzo ceni? — dodała, nie spostrzegłszy wcale naiwności własnego pytania.

— Bardzo, bardzo, i cieszę się, że pani to tak poprostu zrozumiała.

— I ja się cieszę, ponieważ zauważyłam, jak się z niej czasem wyśmiewają. Ale niech pan słucha najważniejszej rzeczy, myślałam długo i nareszcie wybrałam pana. Nie chcę, żeby się ze mnie w domu wyśmiewano, nie chcę, żeby mnie uważano za głupią kozę; nie chcę, żeby mi dokuczano... wszystko to odrazu zrozumiałam i stanowczo odmówiłam Eugenjuszowi Pawłowiczowi, bo nie chcę, żeby mnie ciągle zamąż wydawano! chcę... no, ja chcę uciec z domu, a pana wybrałem, żeby mi pan dopomógł.

— Uciec z domu! — zawołał książę.

— Tak, tak, uciec z domu! — zawołała nagle wpadając w niezwykły gniew — ja nie chcę, żeby mnie tam ciągle zmuszano piec raki. Przed nikim nie chcę się rumienić, ani przed księciem S., ani przed Eugenjuszem Pawłyczem, ani przed nikim, i dlatego wybrałam pana. Z panem chcę o wszystkiem, o wszystkiem mówić, nawet, jak mi się zechce, to o najpoważniejszych rzeczach; swoją drogą i pan nic nie powinien przedemną ukrywać. Chciałabym choć z jednym człowiekiem, jak sama ze sobą, mówić o wszystkiem. Oni raptownie zaczęli mówić, że na pana wyczekuję, i że pana kocham. Było to jeszcze przed przyjazdem pańskim, a listu im nie pokazywałam; a teraz wszyscy już mówią. Chcę być odważna i niczego się nie bać. Nie chcę jeździć po ich balach, chcę być pożyteczna. Dawno już chciałam uciec. Od dwudziestu lat trzymają mnie w hermetycznem zamknięciu i wciąż wydają zamąż. Kiedy miałam dopiero czternaście lat, już wtedy chciałam im uciec, chociaż byłam głupia. Teraz już sobie wszystko rozważyłam i czekałam na pana, żeby dowiedzieć się wszystkiego o zagranicy. Nie widziałam ani jednego gotyckiego kościoła, chcę być w Rzymie, chcę obejrzeć wszystkie muzea, chcę studjować w Paryzu; przez cały ostatni rok przygotowywałam się i uczyłam, i ogromną ilość książek przeczytałam; Wszystkie zakazane książki przeczytałam. Aleksandra i Adelajda wszystkie książki czytają, im wolno, a mnie nie wszystkie dają, i pilnują. Z siostrami nie chcę się kłócić, ale ojcu i matce oświadczyłam już dawno, że chcę zupełnie zmienić swoje społeczne stanowisko. Postanowiłam poświęcić się wychowaniu i liczyłam na pana, ponieważ pan mówi, że pan lubi dzieci. Czybyśmy nie mogli razem zająć się wychowaniem, jeżeli nie zaraz, to przynajmniej w przyszłości? Moglibyśmy razem pożytecznie pracować; nie chcę być „córką jenerała“... Proszę mi powiedzieć, czy pan jest bardzo uczony?

— O, wcale nie.

— Szkoda, bo ja myślałam... Jak to ja myślałam? Ale pan zawsze będzie mną kierował, ponieważ ja pana wybrałam.

— Ależ to niema sensu, Agłajo Iwanowno.

— Chcę, ja chcę uciec z domu! — zawołała Agłaja, a oczy jej znów zabłysły — jak pan się nie zgodzi, to wyjdę za Gabrjela Ardaljonowicza. Nie chcę, żeby uważano mnie w domu za upadłą kobietę i oskarżano Bóg wie o co.

— Czy pani przy zdrowych zmysłach? — zerwał się nieomal książę. — O co panią oskarżają, kto oskarża?

— Wszyscy w domu: matka, siostry, ojciec, książę S., nawet ten podły pański Kola! Jeżeli otwarcie tego nie mówią, to jednak tak myślą. Ja im to wszystkim w oczy powiedziałam, i mamie, i ojcu. Mama cały dzień chorowała, a nazajutrz Aleksandra i tatko powiedzieli mi, że sama nie rozumiem tego, co plotę i jakich używam wyrazów. A ja im wtedy rąbnęłam wprost, że już wszystko rozumiem, wszyściutkie słowa, że już nie jestem smarkatą, że jeszcze dwa lata temu przeczytałam dwa romansy *Paul de Coq'a*, żeby się wszystkiego dowiedzieć. Mama jak to usłyszała, o mało nie zemdlała.

Księciu przemknęła nagle dziwna myśl. Badawczo się spojrzał na Agłaję i uśmiechnął się. Nawet nie chciało się wierzyć, że siedzi przy nim ta sama harda dziewczyna, co z taką dumą i pychą przeczytała mu niegdyś list Gabrjela Ardaljonowicza. Nie mógł zrozumieć, jak w tej pyszałkowatej, wyniosłej piękności mogło objawić się takie dziecko, które może i teraz nawet nie rozumiało wszystkich słów.

— Czy pani stale w domu przebywała, Agłajo Iwanowno? — zapytał — chcę powiedzieć, czy pani do żadnej szkoły nie chodziła, nie była na pensji?

— Nigdy do żadnej szkoły nie chodziłam; siedziałam wciąż w domu, jak w zakorkowanej butelce i wprost z butelki pójdę zamąż; czemu pan się znów uśmiecha? Widzę, że pan, zdaje się, też się ze mnie wyśmiewa i trzyma ich stronę — dodała, chmurząc się groźnie — niech pan mnie nie doprowadza do złości, i tak nie wiem, co się ze mną dzieje... Jestem pewna, że pan tu przyszedł mocno przekonany, że się w panu kocham i żem pana zaprosiła na *rendez vous* — ucięła z rozdrażnieniem.

— Rzeczywiście wczoraj bałem się tego — dobrodusznie wygadał się książę (strasznie był zmieszany); ale dziś jestem przekonany, że pani...

— Jakto! — zawołała Agłaja, a warga dolna nagle jej zadrżała — pan bał się, że ja... pan śmiał myśleć, że ja... Boże! Pan może podejrzewał, że ja tu pana ściągnęłam w tym celu, żeby pana złapać w sidła i żeby potem nas tu zastano i zmuszono pana do ożenienia się ze mną...

— Agłajo Iwanowno! Jak pani nie wstyd? Jak w pani czystem i niewinnem sercu mogła zrodzić się taka brudna myśl? Założę się, że pani sama ani na chwilę własnym słowom nie wierzy i... sama nie wie, co mówi!

Agłaja siedziała ze spuszczoną głową, jakby sama przerażona tem, co powiedziała.

— Wcale mi nie wstyd — wybąkała — skąd pan wie, że ja mam niewinne serce? Jak pan śmiał napisać wówczas do mnie list miłosny?

— List miłosny? Mój list... miłosny! Ten list jest pełen szacunku, ten list wypłynął z mego serca w najcięższych chwilach mojego życia. Przypomniałem sobie wówczas o pani, jak o jasności jakiej... Ja...

— No, dobrze, dobrze — przerwała nagle, ale już zupełnie innym tonem, w największej skrusze i z przestrachem niemal, pochyliła się nawet nad nim, usiłując jeszcze nie patrzyć mu w oczy, i chciała dotknąć jego ramienia, aby jeszcze bardziej przekonywująco prosić go, by się nie gniewał; — dobrze — dodała, zmieszawszy się okropnie — ja czuję, żem się strasznie głupio wyraziła. To ja tak... żeby pana wypróbować. Niech panu się zdaje, że ja tego wcale nie mówiłam. A jeżeli pana obraziłam, to proszę mi wybaczyć. Niech pan tak nie patrzy na mnie, proszę, niech się pan wprost odwróci. Powiedział pan, że to bardzo brudna myśl; ja tak umyślnie powiedziałam, żeby pana ukłuć. Czasem ja sama się boję tego, co mam ochotę powiedzieć i właśnie to mi się nagle wyrywa. Pan przed chwilą powiedział, że pan ten list napisał w najcięższej chwili swego życia. Ja wiem, w jakiej to chwili — rzekła cicho, znów patrząc w ziemię.

— O, gdyby pani mogła wszystko wiedzieć!

— Ja wiem wszystko! — zawołała poruszona znów do żywego — pan wtedy przez cały miesiąc mieszkał w jednem mieszkaniu z tą nędzną kobietą, z którą pan uciekł...

Przy tych słowach nie zaczerwieniła się już, lecz zbladła i nagle, jakby zapomniawszy się, zerwała się z miejsca, ale natychmiast, opamiętawszy się, znów usiadła; usteczka jej długo jeszcze nie przestawały drżeć. Przez chwilę trwało milczenie. Książę był strasznie zaskoczony tym nagłym zwrotem i nie wiedział, czemu go przypisać.

— Ja pana wcale nie kocham — rzekła nagle, jakby tnąc nożem.

Książę nic nie odpowiedział; znów milczeli przez chwilę.

— Ja kocham Gabrjela Ardaljonowicza... — bardzo prędko, lecz ledwie dosłyszalnie wymówiła Agłaja i jeszcze bardziej pochyliła głowę.

— To nieprawda — wyrzekł książę, także prawie szeptem.

— Więc ja kłamię? Nie, to jest prawda; onegdaj na tej samej ławce dałam mu słowo.

Książę się zląkł i zamyślił się na chwilę.

— To nieprawda — powtórzył stanowczo — pani to wszystko zmyśliła.

— Zadziwiająca uprzejmość. Trzeba panu wiedzieć, że on się poprawił; kocha mnie nad życie. On w mojej obecności oparzył sobie rękę, żeby mi tylko dowieść, że mnie kocha nad życie.

— Oparzył sobie rękę. Niech pan wierzy, czy nie wierzy... wszystko mi jedno.

Książę znów zamilkł. W słowach Agłai nie było żartu; była zagniewana.

— Jakże to? Więc on tu z sobą świecę przynosił, skoro to tutaj się działo? Inaczej sobie nie wyobrażam...

— Tak... świecę. Cóż w tem nieprawdopodobnego?

— Samą, czy w lichtarzu?

— No tak... nie... pół świecy... ogarek... całą świecę... wszystko jedno, niech pan mi da spokój!... I zapałki, jeżeli o to chodzi, przyniósł. Zapalił świecę i całe pół godziny trzymał palec nad świecą, czyż to nie jest możliwe?

— Ja go wczoraj widziałem; palce ma zupełnie zdrowe.

Wtem Agłaja nagle, zupełnie jak dziecko, parsknęła śmiechem.

— Wie pan, dlaczego ja teraz skłamałam? — zwróciła się nagle do księcia z najbardziej dziecinnem zaufaniem i ze śmiechem, który drgał jeszcze na jej wargach — bo kiedy się kłamie, to skoro się wstawi coś całkiem niezwykłego, coś ekscentrycznego, no, wie pan, coś takiego, co już jest zbyt rażące, albo nawet nigdy się nie zdarza, to kłamstwo wówczas staje się znacznie prawdopodobniejsze. Mnie się tylko nie udało, bom nie potrafiła...

Wtem znów się zachmurzyła, jakgdyby się opamiętała.

— Jeżeli ja wówczas — zwróciła się do księcia, patrząc nań z powagą, a nawet ze smutkiem — jeżeli ja wówczas zadeklamowałam panu o „Ubogim rycerzu", to chociaż chciałam w ten sposób... pochwalić pana za jedną rzecz, ale zarazem chciałam napiętnować pana za pańskie zachowanie się i pokazać panu, że ja wiem wszystko...

— Pani jest względem mnie bardzo niesprawiedliwa... względem tej nieszczęśliwej, o której pani tak okropnie się wyraziła, Agłaja.

— Dlatego, że ja wiem wszystko, wszystko, dlatego tak się wyraziłam! Wiem o tem, jak pan pół roku temu przy wszystkich ofiarował jej swoją rękę. Niech mi pan nie przerywa, pan widzi, że mówię bez komentarzy. Następnie ona uciekła z Rogożynem; potem pan mieszkał z nią w jakiejś wsi, czy też mieście, i ona od pana uciekła do kogoś (Agłaja bardzo się zaczerwieniła). Następnie znów wróciła do Rogożyna, który jest w niej zakochany, jak... jak warjat. Następnie pan, także bardzo mądry człowiek, przybiegł pan tu za nią, jak tylko się pan dowiedział, że powróciła do Petersburga. Wczoraj wieczorem rzucił się pan w jej obronie, a teraz widział ją pan we śnie... Widzi pan, że ja wiem wszystko; przecież pan dla niej, dla niej tu przyjechał?

— Tak, dla niej — cicho odrzekł książę, w smutnem zamyśleniu opuściwszy głowę, ani podejrzewając, jakim rozognionym wzrokiem spojrzała nań Agłaja — dla niej, żeby się tylko dowiedzieć... ja nie wierzę w jej szczęście z Rogożynem, chociaż... słowem, nie wiem, co tu mógłbym dla niej zrobić i czem jej dopomóc, ale przyjechałem.

Drgnął i spojrzał na Agłaję; słuchała go z nienawiścią.

— Jeżeli pan przyjechał, nie wiedząc poco, to, ogromnie musi ją pan kochać — wyrzekła wreszcie.

— Nie — odpowiedział książę — nie, nie kocham. O, gdyby pani wiedziała, z jakiem przerażeniem wspominam te chwile, które z nią spędziłem! — Wzdrygnął się nawet przy tych słowach.

— Niech pan wszystko mówi — rzekła Agłaja.

— Tu niema nic takiego, czegoby pani nie mogła usłyszeć. Dlaczego właśnie tylko pani chciałem to wszystko opowiedzieć i tylko pani jednej, sam nie wiem; być może dlatego, że panią rzeczywiście bardzo polubiłem. Ta nieszczęsna kobieta jest głęboko przekonana, że jest najbardziej upadłą, najbardziej grzeszną ze wszystkich istot na świecie. O, niech jej pani nie poniża, nie rzuca na nią kamieniem! Ona zbyt się sama zadręczyła uświadamianiem własnej niezasłużonej hańby! I cóż jest winna, o Boże! O, ona nieustannie woła w uniesieniu, że nie uznaje żadnej swojej winy, że jest ofiarą ludzi, ofiarą rozpustnika i szubrawca; ale cokolwiekby mówiła, niech pani wie, że przedewszystkiem sama sobie nie wierzy, i że przeciwnie całem swem sumieniem jest przekonana, że... tylko sama jest winna. Kiedy usiłowałem tę mgłę rozproszyć, dochodziła jednak do takich cierpień, że moje serce nie zagoi się nigdy, dopóki w mej pamięci będą żyły te okropne chwile. Tak jakby mi serce przewiercono raz na zawsze. A wie pani, dlaczego ode mnie uciekła? Właśnie tylko dlatego, żeby mi dowieść, że jest podła. Najokropniejsze jest jednak to, że może nawet sama nie zdawała sobie sprawy z tego, że to tylko mnie jednemu chce tego dowieść, a uciekła dlatego, że w głębi duszy pragnęła koniecznie popełnić jaki czyn hańbiący, aby móc samej sobie powiedzieć potem: „otóż, popełniłaś nową podłość, więc jesteś nędznem stworzeniem!“ O, pani może tego nie zrozumie, Agłaja! Czy pani wie, że w tem nieustannem uświadamianiu hańby ona właśnie może znajduje jakąś okropną i zwyrodniałą rozkosz, jakby dokonywanej na kimś zemsty. Czasem udawało mi się dopiąć tego, iż poczynała znowu widzieć świat naokoło siebie; ale wkrótce znów powracała do dawnego stanu i do tego dochodziła, że właśnie

mnie oskarżała z goryczą o to, iż się nad nią wywyższam (chociaż mi to wcale na myśl nie przychodziło) i w rezultacie na propozycję małżeństwa oświadczyła wprost, że nie wymaga od nikogo ani wyniosłego współczucia, ani pomocy, ani „podnoszenia ku sobie". Pani wczoraj ją widziała, czy pani myśli, że w tem towarzystwie ona dobrze się czuje, cóż to za towarzystwo? Pani nie wie, jaka ona jest inteligentna i jak wiele rzeczy może zrozumieć! Wprawiała mnie nawet nieraz w podziw!

— Czy pan i tam mówił jej... takie kazania?

— O nie — w zamyśleniu ciągnął książę, nie zauważywszy tonu zapytania — ja prawie ciągle milczałem. Chciałem nieraz do niej przemawiać, ale doprawdy, nie wiedziałem, co powiedzieć. Czy pani wie, że w niektórych przypadkach lepiej nic nie mówić. O, ja ją kochałem; kochałem bardzo... lecz potem... potem... ona domyśliła się wszystkiego.

— Czego się domyśliła?

— Że mi jej żal tylko, i że ja... już jej nie kocham.

— A skąd pan wie, może ona rzeczywiście zakochała się w tym... obywatelu, z którym uciekła?

— Nie, ja wiem wszystko; tylko sobie z niego zakpiła.

— A z pana czy nigdy się nie wyśmiewała?

— N-nie. Wyśmiewała się w złości; o, wówczas robiła mi straszne wymówki w uniesieniu i sama cierpiała! ale... potem... o, niech mi pani tego nie przypomina, nie przypomina!

Zasłonił sobie twarz rękami.

— A czy pan wie, że ona prawie codzień do mnie pisuje?

— A więc to prawda! — z trwogą zawołał książę — słyszałem już o tem, ale jeszcze wierzyć nie chciałem.

— Od kogo pan to słyszał? — poruszyła się niespokojnie Agłaja.

— Rogożyn mówił mi to wczoraj, tylko niezbyt wyraźnie.

— Wczoraj? Wczoraj rano? O jakiej porze wczoraj? Przed koncertem, czy po?

— Po koncercie; wieczorem, o godzinie dwunastej.

— Aa, no, jeśli to Rogożyn... A czy pan wie, o czem ona do mnie w tych listach pisuje?

— Ja się niczemu nie dziwię; ona jest szalona.

— Oto są te listy (Agłaja wydobyła z kieszeni trzy listy w trzech kopertach i rzuciła je księciu), już cały tydzień zaklina mnie, namawia i kusi, żebym za pana wyszła. Ona... no tak,, ona jest mądra, chociaż szalona i pan ma słuszność, że ona jest znacznie mądrzejsza ode mnie... Pisze do mnie, że jest we mnie zakochana, że codzień szuka sposobności, aby mnie ujrzeć choć zdaleka. Pisze, że pan mnie kocha, że ona o tem wie, że to dawno zauważyła, że pan tam z nią o mnie rozmawiał, chce pana widzieć szczęśliwym; jest pewna, że ja jedna dam panu szczęście... Ona tak dziko pisze... tak dziwnie... nie pokazywałam tych listów nikomu, czekałam na pana; czy pan wie, co to znaczy? czy pan się niczego nie domyśla?

— To obłęd; dowód jej szalonego usposobienia—rzekł książę i wargi mu zadrgały.

— Czy pan czasem nie płacze?

— Nie, Agłajo, nie, ja nie płaczę — rzekł, spojrzawszy na nią, książę.

— Cóż ja mam robić? co mi pan radzi? Przecież nie mogę odbierać takich listów!

— O, niech ją pani zostawi w spokoju, zaklinam panią! — zawołał książę — co pani ma do roboty w tych ciemnościach; dołożę wszelkich starań, żeby więcej do pani nie pisała.

— Jeżeli tak, to pan jest człowiekiem bez serca! — zawołała Agłaja — czyż pan nie widzi, że ona nie we mnie, ale w panu jest zakochana, że ona tylko pana kocha! Czyż pan, który w niej wszystko zauważył, tego nie spostrzegł? Czy pan rozumie, co to jest, co znaczą te listy? To zazdrość! Ona... pan myśli, że ona naprawdę wyjdzie za Rogożyna, tak, jak w swoich listach pisze? Ona się zabije nazajutrz po naszym ślubie!

Książę zadrżał; serce w nim zamarło. Ale ze zdumieniem patrzał na Agłaję: wydawało mu się niepojętem, że to dziecko oddawna jest już kobietą.

— Bóg widzi, Agłaja, że oddałbym życie swoje, aby

jej spokój przywrócić i uczynić szczęśliwą, ale... już nie mogę jej kochać, i ona o tem wie!

— Więc niech pan się poświęci, to przecież tak pasuje do pana! Z pana przecież taki wielki dobroczyńca. I niech mi pan nie mówi „Agłaja"... Pan i przedtem powiedział do mnie poprostu: „Agłaja"... Pan powinien, pan ma obowiązek wskrzesić ją, pan powinien z nią wyjechać znów, aby koić i uspakajać jej serce. I zresztą pan ją przecież kocha!

— Nie mogę tak się poświęcić, choć już raz chciałem to uczynić... I teraz możebym chciał. Lecz wiem na pewno, że przy mnie ona zginie, i dlatego ją porzucam. Miałem dziś widzieć się z nią o siódmej; a teraz pewnie już nie pójdę. Duma nie pozwoli jej nigdy wybaczyć mi mojej miłości, i zginiemy oboje! To jest nienaturalne, ale tu wszystko jest nienaturalne. Pani twierdzi, że ona mnie kocha, ale czyż to jest miłość? Czy możliwa jest taka miłość po tem, co ja przeniosłem! Nie, tu już jest co innego, nie miłość!

— Jak pan zbladł! — zatrwożyła się nagle Agłaja.

— To nic, jestem niewyspany, osłabiony, ja... my rzeczywiście wtedy mówiliśmy o pani, Agłaja...

— Więc to prawda? Pan rzeczywiście mógł z nią o mnie mówić i... jak pan mógł mnie polubić, kiedyśmy się wszystkiego raz jeden widzieli?

— Nie wiem. W ówczesnym mroku mej duszy marzyła mi się... majaczyła mi się nowa jutrzenka. Nie wiem, w jaki sposób pomyślałem przedewszystkiem o pani. Prawdą było, to com pani wtedy napisał, że nie wiem. Wszystko to było tylko marzeniem wskutek ówczesnej grozy... Potem zacząłem pracować; i byłbym tu w ciągu trzech lat wcale nie przyjeżdżał...

— Więc przyjechał pan tu dla niej? — I drgnęło coś w głosie Agłai.

— Tak, dla niej.

Przez parę minut milczeli oboje. Agłaja podniosła się.

— Jeśli pan mówi — zaczęła niepewnym głosem — jeśli pan sam wierzy, że ta... pańska kobieta... jest szaloną, to mnie przecież jej szalone fantazje nic a nic nie obchodzą... Ja pana proszę, Leonie Mikołajewiczu, aby pan wziął ze sobą te trzy listy i zwrócił je w mojem imieniu! I jeśli ona się

ośmieli — krzyknęła nagle Agłaja — jeżeli się ośmieli choć raz jeszcze napisać do mnie choćby jedno słowo, to niech pan jej powie, że ja się ojcu poskarżę, i że ją oddadzą do domu poprawy...

Książę zerwał się i patrzył ze strachem na ten nagły wybuch wściekłości u Agłai i nagle jakby mu mgła przesłoniła oczy...

— Takich uczuć pani w sobie mieć nie może... to nieprawda! — wybąkał.

— To prawda! prawda — krzyczała Agłaja, prawie nieprzytomna.

— Co prawda? Jaka prawda? — zabrzmiał obok nich wylękniony głos.

Stała przy nich Elżbieta Prokofjewna.

— To prawda, że ja za Gabrjela Ardaljonowicza wychodzę, że kocham Gabrjela Ardaljonowicza i zaraz jutro z nim uciekam z domu! — rzuciła Agłaja. — Czy mama słyszała, czy ciekawość mamy zaspokojona? Czy jest mama z tego zadowolona?

I pobiegła do domu.

— Nie, niech pan już teraz tak nie odchodzi — zatrzymała księcia Elżbieta Prokofjewna — niech pan będzie łaskaw pofatygować się do mnie na wyjaśnienie... Cóż to za męki; i tak całą noc nie spałam...

I książę poszedł z nią.

IX.

Wszedłszy do mieszkania, Elżbieta Prokofjewna zatrzymała się zaraz w pierwszym pokoju; iść dalej nie była w stanie i zupełnie rozbita osunęła się na kanapkę, zapominając nawet poprosić księcia, aby usiadł. Był to spory pokój z okrągłym pośrodku stołem, z kominkiem, z mnóstwem kwiatów na półkach pod oknami i z drugą parą drzwi oszklonych na ogród od strony tylnej ściany. W tej samej prawie chwili weszły Adelajda i Aleksandra, pytająco i ze zdumieniem patrząc na księcia i na matkę.

Na letniem mieszkaniu panny wstawały zazwyczaj około godziny dziesiątej; jedna tylko Agłaja w ciągu ostatnich dni kilku nabrała zamiłowania do cokolwiek wcześniejszego wstawania i chodziła na spacer do ogrodu, ale w każdym razie nie o siódmej rano, lecz o ósmej, a nawet nieco później. Elżbieta Prokofjewna, która rzeczywiście całą noc nie spała wskutek przeróżnych niepokojów, wstała koło ósmej, aby się w ogrodzie spotkać z Agłają, w tem mniemaniu, że ta już wstała; ale ani w ogrodzie, ani w sypialni jej nie znalazła. Wówczas do reszty się wystraszyła i obudziła córki. Dowiedziano się od służącej, że Agłaja Iwanowna jeszcze o godzinie siódmej poszła do parku. Panny poczęły się śmiać z tej nowej fantazji narwanej siostrzyczki i zwróciły matce uwagę, że Agłaja może się rozgniewać, jeżeli pójdzie do parku szukać jej i że Agłaja na pewno teraz siedzi z książką na zielonej ławce, na tej zielonej ławce, o której sama jeszcze onegdaj opowiadała i o którą o mały włos nie pokłóciła się z księciem S., gdyż nie znalazł w położeniu tej ławki nic nadzwyczajnego. Zastawszy schadzkę i słysząc dziwne słowa córki, Elżbieta Prokofjewna z wielu przyczyn bardzo się przestraszyła; przyprowadziwszy teraz ze sobą księcia, przestraszyła się znów z tego powodu, że wszczęła tę sprawę: „Dlaczegożby Agłaja nie mogła spotkać się i rozmówić z księciem w parku, nawet gdyby to była z góry uplanowana przez nich schadzka?“

— Niech pan czasem nie pomyśli, mój miły książę — zdobyła się wreszcie na odwagę — że ja pana tu na śledztwo ściągnęłam... Ja, kochanku, po wczorajszym wieczorze, możebym nawet chętnie przez czas dłuższy nie widywała się z tobą...

Tu się nieco zacięła.

— A jednak chciałaby pani bardzo dowiedzieć się, jak odbyło się nasze dzisiejsze spotkanie z Agłają Iwanowną?— zupełnie spokojnie dokończył książę.

— No więc tak, chciałabym!—wybuchnęła natychmiast Elżbieta Prokofjewna. — Otwartych słów też się nie zlęknę, bo nie obrażam nikogo i nie chciałam nikogo obrazić...

— Ależ, proszę pani, i bez żadnej obrazy, rzecz przedstawia się prosto, chęć dowiedzenia się; pani jest matką.

Spotkaliśmy się dziś z Agłają Iwanowną punkt o siódmej rano przy zielonej ławce, wskutek jej wczorajszego wezwania. Wczoraj wieczorem przysłała mi kartkę, że musi się ze mną zobaczyć i pomówić o pewnej ważnej sprawie. Spotkaliśmy się więc i całą godzinę przegadaliśmy o sprawach, dotyczących właściwie tylko Agłai Iwanowny; to wszystko...

— Naturalnie, że wszystko, mój panie, i bezwątpienia wszystko — z godnością odparła Elżbieta Prokofjewna.

— Doskonale, książę! — rzekła Agłaja, wchodząc nagle do pokoju — całem sercem jestem panu wdzięczna, że pan i mnie uznał za niezdolną do poniżenia się do kłamstwa. Czy mama ma już dosyć, czy też ma zamiar badać dalej?

— Wiesz, że przed tobą nie potrzebowałam jeszcze ani razu rumienić się z jakiegokolwiek bądź powodu... choć może tybyś się z tego cieszyła — odrzekła pouczająco Elżbieta Prokofjewna. — Żegnaj, książę, i wybacz, żem cię trudziła. Mam nadzieję, że pan i nadal będzie przekonany o moim niezmiennym szacunku.

Książę złożył natychmiast ukłon na prawo i na lewo i wyszedł w milczeniu. Aleksandra i Adelajda uśmiechnęły się i zaczęły coś między sobą szeptać. Elżbieta Prokofjewna surowo na nie spojrzała.

— My z tego tylko, mamo — zaśmiała się Adelajda — że książę tak bajecznie się ukłonił: czasem taki niedźwiedziowaty, a nagle jakby... jakby Eugenjusz Pawłowicz.

— Dobrego wychowania i delikatności uczy samo serce, a nie nauczyciel tańców — wyrzekła uroczyście Elżbieta Prokofjewna i skierowała się do siebie na górę, nie spojrzawszy nawet na Agłaję.

Kiedy książę wrócił do siebie około dziewiątej, zastał już na werandzie Wiarę Łukjanownę i służącą, które razem sprzątały po wczorajszym nieładzie.

— Chwała Bogu, zdążyłyśmy przed pańskiem przyjściem — rzekła wesoło Wiara.

— Dzień dobry; trochę mi się w głowie kręci; jestem niewyspany; przespałbym się chętnie.

— Tu na werandzie, tak, jak wczoraj? Dobrze. Powiem wszystkim, żeby pana nie budzili. Tatko gdzieś wyszedł.

Służąca odeszła; Wiara chciała pójść za nią, lecz wróciła i z zakłopotaniem podeszła do księcia.

— Niech książę ulituje się nad tym... biedakiem; niech pan go dziś nie wypędza.

— Ale gdzież tam, nie wypędzam; niech robi, co chce.

— On teraz nic nie robi i... niech się pan z nim ostro nie obchodzi.

— Ależ nie, skądże?

— I... niech się pan z niego nie śmieje; to najważniejsze...

— Ależ bynajmniej!

— Jaka ja jestem głupia, że to mówię takiemu, jak pan, człowiekowi — rzekła Wiara i zaczerwieniła się. — A choć pan i zmęczony — zaśmiała się, wpół odwrócona do odejścia — oczy ma pan w tej chwili takie ładne... takie szczęśliwe.

— Czyż szczęśliwe? — podjął żywo książę i zaśmiał się wesoło.

Ale Wiara, taka prosta i swobodna jak chłopiec, nagle się czegoś zmieszała, jeszcze mocniej się zarumieniła i, wciąż się śmiejąc, wyszła prędko z pokoju.

„Jaka... miła..." pomyślał książę i natychmiast o niej zapomniał; doszedł do rogu werandy, w którym stała kanapka ze stolikiem, usiadł, zakrył twarz rękami i z dziesięć minut tak przesiedział; nagle z pośpiechem i niepokojem wsunął rękę do bocznej kieszeni i wyjął trzy listy.

Ale znów drzwi się otworzyły i wsunął się Kola. Książę ucieszył się, że trzeba było listy napowrót włożyć do kieszeni i oddalić chwilę.

— A to kawał! — rzekł Kola, siadając na kanapce i, jak wszyscy jemu podobni, bezpośrednio przystąpił do właściwego tematu. — Jak pan się teraz odnosi do Hipolita? Bez szacunku?

— A to dlaczego?... Ale, Kola, zmęczony jestem, a przytem zbyt jest przykro znów o tem mówić... Jakże on się miewa?

— Śpi i jeszcze będzie spał ze dwie godziny. Rozumiem, nie spał pan w domu, chodził pan po parku... naturalnie... Jeszczeby też!

— Skąd pan wie, że chodziłem po parku i nie spałem w domu?

— Mówiła mi przed chwilą Wiara. Prosiła, żeby nie wchodzić, ale nie wytrzymałem; ja tylko na chwilkę. Dyżurowałem przez te dwie godziny przy łóżku chorego; teraz posadziłem na zmianę Kostka Lebiediewa. Burdowski poszedł sobie. Więc niech się książę kładzie: dobrej no... dobrego dnia! Ale wie pan, ogromnie się przejąłem.

— Oczywiście... wszystko to...

— Nie, książę, nie; jestem pod wrażeniem spowiedzi. Zwłaszcza tego miejsca, w którem on mówi o Opatrzności i o życiu przyszłem. Tam jest jedna ol-brzymia myśl!

Książę życzliwie spojrzał na Kolę, który oczywiście poto właśnie przyszedł, żeby jak najprędzej pomówić o olbrzymiej myśli.

— Ale istota rzeczy tkwi nietyle w tej myśli, co w okolicznościach, które jej towarzyszyły! Gdyby tak napisał był Voltaire, Rousseau, Proudhon, tobym przeczytał, zauważył, lecz to nie uderzyłoby mnie w tym stopniu. Ale człowiek, który wie na pewno, że mu dziesięć minut pozostało, i w ten sposób się odzywa, składa dowód dumy. Jest to najwyższe uniezależnienie się osobistej godności, to wprost brawura... Nie, to potężna siła ducha! I utrzymywać potem, że on umyślnie nie założył kapiszonu... to nędzne i nieetyczne. A wie pan, przecież, że on nas wczoraj nabrał, użył podstępu: ja wcale z nim nigdy nie pakowałem kufra i żadnego pistoletu nie widziałem; wszystko on sam pakował, tak, że znienacka zbił mnie z tropu. Wiara mówi, że pan go tutaj pozostawia; przysięgam, że niebezpieczeństwa niema, tem bardziej, że wszyscy przy nim czuwamy bez przerwy.

— A który z was był tam w nocy?

— Ja, Kostek Lebiediew, Burdowski; Keller posiedział trochę, a potem poszedł spać do Lebiediewa, bo u nas nie było na czem. Fierdyszczenko także spał u Lebiediewa i o siódmej poszedł sobie. Jenerał, jak zawsze, u Lebiediewa, teraz również poszedł... Lebiediew prawdopodobnie zaraz do pana przyjdzie; nie wiem poco szukał pana, ale dwa razy pytał o pana. Puścić go, czy nie puścić, jak się pan położy? Ja też pójdę spać. Ach, prawda, powiedziałbym panu pew-

ną rzecz; jenerał niedawno wprowadził mnie w podziw; Burdowski obudził mnie na dyżur o siódmej, nawet prawie o szóstej; wszedłem na chwilkę, wtem spotykam jenerała i przytem tak pijanego, że nie poznał mnie; stoi przede mną, jak słup, gdy się ocknął, rzucił się wprost na mnie: „a cóż tam chory? Właśnie idę dowiedzieć się się o niego...“ Zdałem mu relację... to i owo. „To wszystko dobrze, powiada, ale ja poto głównie szedłem i potom nawet wstał, żeby cię uprzedzić, mam podstawy do przypuszczenia, że przy panu Fierdyszczence wszystkiego mówić nie można i... trzeba być powściągliwym“. Rozumie książę?

— Nie może być? Zresztą... dla nas to wszystko jedno.

— Tak, wszystko jedno, bezwątpienia, masonami nie jesteśmy! Tak, że zdziwiłem się nawet, że jenerał przyszedł umyślnie z tego powodu obudzić mnie w nocy.

— Pan mówi, że Fierdyszczenko poszedł?

— O siódmej; przechodząc, wstąpił do mnie, a ja właśnie dyżurowałem! Powiedział mi, że idzie dospać u Wiłkina... jest taki pijak, Wiłkin. No, idę! Otóż i Lucjan Tymofieicz... Książę chce spać, Lucjanie Tymofieiczu; jazda zpowrotem!

— Jedynie na chwileczkę, wielce szanowny książę, w pewnym ważnym w moich oczach interesie — ze sztuczną afektacją mówił półgłosem Lebiediew, wchodząc z poważnym ukłonem.

On dopiero co powrócił i nawet nie zdążył jeszcze wstąpić do siebie, tak że kapelusz miał jeszcze w ręku. Na twarzy jego malował się wyraz zakłopotania oraz specjalny niezwykły odcień poczucia własnej godności. Książę prosił go, żeby usiadł.

— Pan się o mnie dwukrotnie pytał? Czy pan wciąż niepokoi się co do wczorajszego...

— Z powodu tego wczorajszego malca, przypuszcza książę? O, nie, wczoraj moje myśli były w nieporządku... ale dziś ja już nie pozwolę sobie na kontrekaryrowanie w czemkolwiek bądź pańskich wniosków.

— Na kontreka... jak pan powiedział?

— Ja powiedziałem: kontrekaryrowanie; wyraz fran-

cuski, jak i wiele innych wyrazów, które weszły w skład języka rosyjskiego; ale przy nim nie obstaję.

— Cóż to, Lebiediew, jest pan dziś taki uroczysty i urzędowy i tak niezwykle się pan wysławia — rzekł z uśmiechem książę.

— Mikołaju Ardaljonowiczu! — nieomal rozrzewnionym tonem zwrócił się Lebiediew do Koli — pragnę zakomunikować księciu o sprawie, tyczącej się właściwie...

— Ależ tak, ma się rozumieć, ma się rozumieć, to nie do mnie należy! Do widzenia, książę! — oddalił się Kola niezwłocznie.

— Lubię małego za pojętność — wyrzekł Lebiediew, odprowadzając go wzrokiem — chłopak sprytny, chociaż natrętny. Nadzwyczajnym ciosem zostałem dotknięty, mój najszanowniejszy książę, wczoraj wieczorem, albo dziś o świcie... Waham się jeszcze co do dokładnego określenia czasu.

— Cóż takiego?

— Zniknięcie czterystu rubli z bocznej kieszeni, czcigodny książę; to mnie ubrali! — dodał Lebiediew z kwaśnym uśmiechem.

— Stracił pan czterysta rubli? To przykre.

— Zwłaszcza dla ubogiego, szlachetnie z pracy swej utrzymującego się człowieka.

— Bezwątpienia, bezwątpienia; jakże to?

— Wskutek trunku. Ja tu do pana, jak do Opatrzności, najszanowniejszy książę. Wczoraj wieczorem, o godzinie piątej po południu otrzymałem od pewnego dłużnika sumę czterystu rubli srebrem i wróciłem tu pociągiem. Pugilares miałem w kieszeni. Zmieniwszy mundur na surdut, przełożyłem pieniądze do surduta, pragnąc je mieć przy sobie, licząc na to, że tego samego wieczoru wydam je na skutek pewnego podania... spodziewając się adwokata.

— Przy sposobności, Lucjanie Tymofieiczu, czy to prawda, że pan w gazetach ogłaszał, iż daje pan pieniądze na zastaw złotych i srebrnych przedmiotów?

— Za pośrednictwem adwokata; moje nazwisko ani adres nie zostały wskazane. Posiadając nędzny kapitalik i mając na widoku przyrost rodziny, sam pan się zgodzi, że uczciwy procent...

— No tak, no tak; ja tylko w celu poinformowania się; wybacz pan, żem przerwał.

— Adwokat się nie zjawił. Tymczasem przywieziono tego nieszczęśliwego; ja już byłem w przymusowem położeniu po obiedzie; wstąpili ci goście, wypili... herbaty, i... rozweseliłem się... na własną zgubę. A kiedy późno już przyszedł ten Keller i oznajmił o pańskim dniu uroczystym i o poleceniu co do szampana, to ja, kochany i szanowny książę, posiadając serce (co pan już prawdopodobnie zauważył, albowiem na to zasługuję), mając serce, nie powiem czułe, lecz wdzięczne, czem się właśnie szczycę... w celu nadania większej uroczystości urządzanemu obchodowi i w oczekiwaniu złożenia panu życzeń osobiście, umyśliłem pójść zmienić mój stary łachman na zdjęty przeze mnie po powrocie wice-mundur, co też i uczyniłem, jak zapewne książę raczył zauważyć, widząc mnie w wice-mundurze przez cały wieczór. Zmieniając ubiór, zapomniałem o pugilaresie... W istocie, kiedy Bóg zapragnie ukarać, to najprzód rozumu pozbawia. I dopiero dziś, już o godzinie wpół do ósmej, obudziwszy się, jak półwarjat, przedewszystkiem schwyciłem się za surdut, — pusta kieszeń! Pugilares zniknął bez śladu.

— Ach, to nieprzyjemnie!

— Właśnie nieprzyjemnie; i z prawdziwym taktem użył pan odpowiedniego określenia — z pewną przewrotnością dodał Lebiediew.

— Jakże to jednak... — zaniepokoił się książę, zastanowiwszy się — to przecież poważna rzecz.

— A tak, właśnie poważna rzecz... oto i drugi wynaleziony przez pana wyraz stosowny jako określenie...

— Ach, daj pan spokój, Lucjanie Tymofieiczu, cóż tu wynajdywać? Tu nie o wyrazy chodzi... Czy pan przypuszcza, że pan mógł po pijanemu wytrząsnąć z kieszeni?

— Mogłem; wszystko jest możliwe po pijanemu, jak się pan szczerze wyraził, najszanowniejszy książę. Ale proszę rozważyć: jeżeli przebierając się wytrząsnąłem pugilares z kieszeni, to wytrząśnięty przedmiot powinienby leżeć w tem samem miejscu na podłodze. Gdzież jest ten przedmiot?

— Czy nie włożył go pan czasem do jakiej szuflady, albo do biurka?

— Przeszukałem wszędzie, przerzuciłem wszystko do góry nogami, tem bardziej, żem nigdy nie chował i nie otwierałem żadnej szuflady, co doskonale pamiętam.

— A do szafki pan zajrzał?

— Przedewszystkiem, i dzisiaj już nawet kilka razy... A zresztą, jakbym ja mógł włożyć do szafki, wielce szanowny książę?

— Przyznam się, Lebiediew, że mnie to niepokoi. Więc znalazł ktoś na podłodze?

— Albo wyciągnął z kieszeni! Są dwie alternatywy.

— Mnie to ogromnie niepokoi... Bo któż to taki, oto pytanie!

— Nie ulega wątpliwości, że to jest najważniejsze pytanie; pan z zadziwiającą dokładnością dobiera wyrazy i myśli i określa sytuację, najoświeceńszy książę.

— Ach, Lucjanie Tymofieiczu, niech pan da spokój kpinom, tu...

— Kpinom! — zawołał Lebiediew, klasnąwszy w dłonie.

— No, no, no, dobrze, ja przecież się nie gniewam; tu chodzi o zupełnie co innego... O innych się obawiam. Kogo pan podejrzewa?

— To najtrudniejsze pytanie i najbardziej zawiłe. Służącej podejrzewać nie mogę, gdyż siedziała u siebie w kuchni. Własnych dzieci również nie...

— No, o tem niema mowy.

— A więc kogoś z gości.

— Ale czyż to możliwe?

— Zupełnie i w najwyższym stopniu niemożliwe, ale bezwarunkowo tak być musi. Skłaniam się jednak do przypuszczenia, a nawet jestem przekonany, że jeżeli miała miejsce kradzież, została popełniona nie wieczorem, kiedy wszyscy byli razem, ale już w nocy albo nad ranem, przez kogoś z nocujących.

— Ach, mój Boże!

— Burdowskiego i Michała Ardaljonowicza, naturalnie, wyłączam; wcale do mnie nie wchodzili.

— Ja myślę, a gdyby nawet i wchodzili! Kto u pana nocował?

— Licząc ze mną, nocowało nas czterech, w dwóch sąsiednich pokojach: ja, jenerał, Keller i pan Fierdyszczenko. A więc ktoś z nas czterech!

— To jest, trzech; ale kto?

— Ja doliczyłem i siebie w imię sprawiedliwości i porządku; ale zgodzi się książę, że sam siebie okraść nie mogłem, choć zdarzały się na świecie podobne wypadki...

— Ach, Lebiediew, jakże to nudne! — zawołał zirytowany książę — do rzeczy, czemu pan rozwałkowuje!...

— A więc pozostaje trzech i przedewszystkiem pan Keller, człowiek lekkomyślny, oddający się trunkom i w pewnych przypadkach wolnomyślny, to jest pod względem kieszeni. Zresztą ze skłonnościami, że tak powiem, bardziej starożytno rycerskiemi, niż liberalnemi. Położył się spać z początku tutaj, w pokoju chorego, i w nocy dopiero przeniósł się do nas pod pretekstem, że na gołej podłodze jest twardo spać.

— Pan go podejrzewa?

— Podejrzewałem. Kiedym o godzinie ósmej z rana zerwał się, jak napół przytomny i stuknąłem się ręką w czoło, natychmiast zbudziłem jenerała, który spał snem niewinnego. Przyjąwszy pod uwagę zagadkowe zniknięcie Fierdyszczenki, co już samo przez się obudziło w nas podejrzenie, niezwłocznie postanowiliśmy zrewidować Kellera, leżącego jak... jak... nieprzymierzając drewno. Zrewidowaliśmy go dokładnie: w kieszeniach ani pół centa, a nawet nie znaleźliśmy ani jednej całej kieszeni. Chustka do nosa niebieska w kratki, perkalowa, w stanie godnym pożałowania. Następnie kartka miłosna od jakiejś pokojówki z żądaniem pieniędzy i groźbami, oraz strzępki znanego panu feljetonu. Jenerał uznał go za niewinnego. W celu pozyskania bardziej szczegółowych informacyj zbudziliśmy go; ledwo pojął, o co chodzi, gęba rozdziawiona, wygląd pijanego, wyraz twarzy bezmyślny i niewinny, nawet idjotyczny... nie, to nie on!

— Ach, jakże się cieszę! — wesoło zawołał książę, westchnąwszy z ulgą — bałem się o niego!

— Bał się pan? a więc pan już miał do tego podstawy? — zmrużył oczy Lebiediew.

— Ależ nie, ja tak tylko — wyjąkał książę — strasznie się głupio wyraziłem, że się bałem. Proszę bardzo pana, panie Lebiediew, niech pan tego nikomu nie powtarza...

— O książę, książę! pańskie słowa są w mem sercu... w głębi mojego serca! Tam grób — rzekł z uniesieniem Lebiediew, przyciskając do serca kapelusz.

— Dobrze, dobrze!... A więc, Fierdyszczenko? To jest, chciałem powiedzieć, pan podejrzewa Fierdyszczenkę?

— A kogóż więcej?—wyrzekł cicho Lebiediew, wpatrując się badawczo w księcia.

— No tak, ma się rozumieć... kogóż więcej... To jest właściwie, jakie są poszlaki?

— Poszlaki są. Po pierwsze, zniknięcie o godzinie ósmej, a może nawet i o siódmej z rana.

— Wiem, mówił mi Kola, że on wstępował do niego i powiedział, że idzie na resztę nocy do... zapomniałem do kogo, do swego przyjaciela.

— Wiłkina. A więc Mikołaj Ardaljonowicz już panu mówił?

— O kradzieży nic nie wspominał.

— On nic nie wie, gdyż ja całą sprawę trzymam w tajemnicy. A więc, poszedł do Wiłkina; cóż w tem napozór dziwnego, że pijak idzie do takiego samego, jak on, pijaka, choćby nawet o świcie i bez żadnego powodu? Ale tu właśnie trafiamy na ślad: odchodząc, pozostawia adres... Teraz, niech książę uważa, nasuwa się pytanie: poco on zostawił adres? poco on wstępuje umyślnie do Mikołaja Ardaljonowicza, i oznajmia mu, że „idę oto do Wiłkina dospać". A któż jest tego ciekaw, że on wychodzi i to właśnie do Wiłkina? Pocóż to ogłaszać? Nie, to jest dowcip, dowcip złodziejski! To znaczy: „oto macie, umyślnie nie ukrywam swoich śladów, więc czyż możecie mnie o złodziejstwo posądzić? czyżby złodziej ogłaszał, dokąd wychodzi?" To taka zbytnia troskliwość o odwrócenie podejrzeń i, że tak powiem, zatarcie śladów na piasku... Czy pan mnie zrozumiał, szanowny książę?

— Zrozumiałem, doskonale zrozumiałem, ale to jeszcze mało.

— A druga poszlaka: ślad, jak się okazało, jest fałszywy, wskazany zaś adres niedokładny. Po upływie godziny, czyli o ósmej, stukałem już do drzwi Wiłkina; on mieszka tutaj, na ulicy Piątej i znam go nawet. Żadnego Fierdyszczenki nie znalazłem, chociaż wydusiłem ze służącej głuchej zupełnie, że godzinę temu ktoś dobijał się rzeczywiście, nawet dość mocno, tak, że aż dzwonek urwał. Ale służąca nie otworzyła, nie chcąc budzić pana Wiłkina, a może i jej samej nie chciało się pofatygować. To się zdarza.

— I to już wszystkie pańskie poszlaki? To jeszcze mało.

— Więc, książę, według pana kogo należy podejrzewać? — słodziutko zapytał Lebiediew i coś chytrego wyjrzało z jego uśmieszku.

— Pan powinien jeszcze przeszukać pokoje i szuflady! — wyrzekł książę z troską i po chwili zamyślenia.

— Przeszukiwałem! — z większą jeszcze słodyczą westchnął Lebiediew.

— Hm!... i poco, poco panu było zdejmować ten surdut! — zawołał książę, uderzając z irytacją w stół.

— Pytanie z pewnej staroświeckiej komedji. Ale, najzacniejszy książę! pan już zbytnio do serca bierze moje nieszczęście! Jam tego nie wart, to jest, ja sam nie jestem tego wart, ale pan i za przestępcę cierpi... za nędznego pana Fierdyszczenkę?

— No tak, tak, pan mnie rzeczywiście wprawił w zakłopotanie — z roztargnieniem i niechęcią przerwał mu książę. — No więc co ma pan zamiar czynić... jeśli pan jest tak pewien, że to Fierdyszczenko?

— O książę, najszanowniejszy książę, a któżby inny? — z wzrastającą słodyczą wykręcał się Lebiediew. — Brak przecież kogokolwiek innego, o kim możnaby pomyśleć i, że się tak wyrażę, zachodzi zupełna niemożliwość podejrzewania kogo innego prócz pana Fierdyszczenki, przecież to jest, że tak powiem, jeszcze jedna poszlaka przeciw panu Fierdyszczence, trzecia już poszlaka! Albowiem któż

inny, znów zapytam? Nie mogę wszak pana Burdowskiego podejrzewać, he, he, he!

No, cóż znowu za niedorzeczność!

— I nie jenerała wreszcie, he! he! he ! Ale mnie ten człowiek ubawił, właśnie jenerał! Idziemy razem z nim po świeżym tropie do Wiłkina... a trzeba panu wiedzieć, że jenerał był więcej jeszcze, niż ja, przejęty, kiedym, spostrzegłszy stratę, przedewszystkiem jego obudziłem do tego stopnia nawet, że zmienił się na twarzy, poczerwieniał, potem zbladł i wreszcie wpadł nagle w tak zajadłe i szlachetne oburzenie, żem się nawet nie spodziewał. Wysoce szlachetny człowiek! Łże bezustanku z powodu słabości charakteru, ale jest człowiekiem najwyższych uczuć, przytem niezbyt pojętny, wzbudzający najzupełniejsze zaufanie swoją niewinnością. Mówiłem już raz, wielce szanowny książe że mam do niego nietylko słabość, lecz nawet gorące uczucie. Zatrzymuje się nagle pośrodku ulicy, rozpina surdut, odsłania pierś i mówi: „zrewiduj mnie. Rewidowałeś Kellera, dlaczegoż mnie nie rewidujesz? Tego“, powiada‘ „wymaga sprawiedliwość!“ Ręce zaś i nogi wprost mu się trzęsły, nawet pobladł cały, mina taka jakaś groźna. Zaśmiałem się i powiadam: „Słuchaj“, powiadam, „jenerale, gdyby mi to kto inny o tobie powiedział, tobym zaraz własnemi rękoma zdjął sobie głowę, położyłbym ją na wielkim półmisku i sam na półmisku podałbym tym wszystkim wątpiącym: Oto, rzekłbym, widzicie tę głowę, otóż ja tą własną moją głową ręczę za niego, i nietylko głową, ale nawet gotów jestem w ogień. Oto, jak, powiadam, ręczyć za ciebie mogę!“ Tu rzucił mi się w objęcia, było to wciąż na środku ulicy, łzy mu trysnęły z oczu, trzęsie się cały i tak mocno przyciska mnie do piersi, żem ledwie odsapnął: „ty, powiada, jesteś jedynym przyjacielem, który mi pozostał w mojem nieszczęściu!“ Uczuciowy człowiek! No i rozumie się, przy sposobności opowiedział mi po drodze okolicznościową anegdotę o tem, że jakoby i jego także, jeszcze w młodości, posądzili o kradzież pięciuset tysięcy rubli, ale że on na drugi dzień rzucił się w płomienie palącego się domu i wyciągnął z ognia posądzającego go hrabiego i Ninę Aleksandrownę, wówczas jeszcze pannę. Hrabia uściskał go i takim sposo-

bem skojarzyło się małżeństwo jego z Niną Aleksandrowną, a na drugi dzień w gruzach po pożarze znaleźli i szkatułkę z zaginionemi pieniędzmi; była ona żelazna, angielskiego wyrobu, z zamkiem sekretnym i jakimś sposobem wpadła pod podłogę tak, że nikt tego nie zauważył i dopiero dzięki pożarowi domu odnalazła się. Jest to najzupełniejsze łgarstwo. Ale kiedy wspomniał Ninę Aleksandrowne, to nawet zachlipał. Nina Aleksandrowna, najszlachetniejsza osoba, choć na mnie niełaskawa.

— Państwo się nie znają?

— Prawie że nie, ale z całego serca pragnąłbym, choćby dlatego, żeby się przed nią usprawiedliwić. Nina Aleksandrowna ma do mnie pretensję, jakobym ja znieprawiał jej męża pijaństwem. A ja nietylko go nie znieprawiam, ale nawet powściągam; może nawet odciągam go od najzgubniejszej kompanji. Przytem jest on przecież moim przyjacielem i wyznam panu, że już go teraz nie opuszczę, a nawet tak: gdzie on, tam i ja, albowiem można go sobie zaskarbić jedynie uczuciem. Teraz on nawet zupełnie nie odwiedza swojej kapitanowej, choć go pokryjomu ciągnie i nawet niekiedy wzdycha do niej, szczególniej rano, kiedy wstaje i kładzie buty, nie wiem dlaczego właśnie w tym czasie. Całe nieszczęście, że pieniędzy nie ma, a do niej bez pieniędzy ani rusz. Czy nie prosił pana o pieniądze, najszanowniejszy książę?

— Nie, nie prosił.

— Wstydzi się. Chciał to zrobić, nawet mnie się przyznawał, że chce pana trudzić, ale jest wstydliwy, bo niedawno pan mu pożyczył pieniędzy, a poza tem przypuszcza, że pan mu nie da. Wynurzył mi się z tem, jako przyjacielowi.

— A pan mu nie daje pieniędzy?

— Książę! najszanowniejszy książę! Nietylko pieniądze, ale za tego człowieka ja, że tak powiem, nawet życiem... nie, zresztą, nie chcę przesadzać, nie życiem, ale gdyby tak, że tak powiem, jakaś febra, wrzód jakiś, albo nawet kaszel, to, dalibóg, gotów jestem znieść, gdyby tylko zaszła wielka tego potrzeba, albowiem uważam go za wielkiego, lecz zgubionego człowieka! Tak; nietylko pieniądze!

— Więc pan daje pieniądze?

— N-nie; pieniędzy nie dawałem i on sam wie, że nie dam, ale jedynie w celu powstrzymania i poprawienia go. Teraz przyczepił się, żeby jechać ze mną do Petersburga; jadę bowiem do Petersburga po najświeższym tropie, żeby zastać pana Fierdyszczenkę, bo wiem na pewno, że on już tam jest. Mój jenerał aż kipi; ale podejrzewam, że w Petersburgu da nura, żeby odwiedzić kapitanową. Przyznaję się, że nawet umyślnie go puszczę od siebie; zresztą, tak już umówiliśmy się, aby po przyjeździe rozejść się w różne strony, żeby łacniej nakryć pana Fierdyszczenkę. Otóż puszczę go, a potem spadnę mu nagle na łeb, jak śnieg i zastanę go u kapitanowej, właściwie dlatego, żeby go zawstydzić, jako człowieka familijnego i jako człowieka w ogólnem tego słowa znaczeniu.

— Tylko niech pan nie robi awantur, Lebiediew, na miłość Boską, niech pan nie robi awantur — wyrzekł półgłosem silnie zaniepokojony książę.

— O, nie, jedynie w tym celu, aby go zawstydzić i zobaczyć, jaką on minę zrobi, albowiem wiele można z miny wywnioskować, wielce szanowny książę, a zwłaszcza u takiego człowieka! Ach! książę! Jakkolwiek wielkie jest moje własne nieszczęście, nie mogę jednak nawet teraz nie pomyśleć o nim i o poprawieniu jego moralności. Mam ogromną prośbę do pana, najszanowniejszy książę, nawet wyznaję, żem właściwie poto tylko przyszedł; pan bywa w ich domu i nawet pan dawniej u nich mieszkał; więc gdyby pan, najzacniejszy książę, zdecydował się mi w tem pomóc, mając na względzie właściwie tylko samego jenerała i jego szczęście...

Lebiediew aż złożył ręce, jak do modlitwy.

— Cóż? jakże pomóc? Niech pan będzie przekonany, że chciałbym bardzo zrozumieć pana w zupełności, Lebiediew.

— W tem tylko przekonaniu przyszedłem do pana! Możnaby coś niecoś zrobić przez Ninę Aleksandrownę, obserwując, że tak powiem, i śledząc bezustannie jego ekscelencję w jego własnem rodzinnem gnieździe. Ja, na nieszczęście, nie znam ich... przytem i Mikołaj Ardaljonowicz, ubóst-

wiający pana, że tak powiem, całą głębią swej młodocianej duszy, mógłby tu może pomóc.

— N-nie... Ninę Aleksandrownę do tej sprawy... Broń Boże! I Kolę też... A zresztą, ja nawet może pana jeszcze nie rozumiem, Lebiediew.

— Ależ tu niema co rozumieć! — Lebiediew aż podskoczył na krześle — jedynie, jedynie uczciwość i tkliwość... oto lekarstwo dla naszego chorego. Książę mi pozwala uważać go za chorego?

— To nawet dowodzi pańskiej delikatności i rozumu.

— Objaśnię to panu na przykładzie, wziętym z praktyki. Widzi pan, jaki to człowiek: on ma teraz słabość do tej kapitanowej, u której nie może się pokazać bez pieniędzy i u której mam zamiar przyłapać go dla jego dobra; ale przypuśćmy, że nietylko ta kapitanowa, a gdyby nawet popełnił jakieś rzeczywiste przestępstwo, no, jakiś najbardziej hańbiący postępek (choć do tego zupełnie nie jest zdolny), to i wówczas, powiadam, zapomocą samej tylko szlachetnej, że tak powiem, tkliwości można z nim wszystko zrobić, bo to jest najbardziej uczuciowy w świecie człowiek! Niech pan wierzy, że pięciu dni nie wytrzyma, sam się wygada, wypłacze i przyzna się do wszystkiego, a zwłaszcza, gdy się będzie działało zręcznie i szlachetnie, zapomocą obserwacyj rodziny i pana nad wszystkiemi jego, że tak powiem, krokami i przejawami jego usposobienia. O, najzacniejszy książę! — zerwał się Lebiediew niemal w natchnieniu — ja przecież nie twierdzę, że to na pewno o... Ja, że się tak wy-
przecież nie twierdzę, że to na pewno on... Ja, że się tak wyrażę, wszystką krew moją za niego gotów jestem przelać choćby zaraz, choć zgodzi się pan, że niewstrzemięźliwość i pijaństwo, i kapitanowa i wszystko razem wzięte może do wszystkiego doprowadzić.

— W takim celu gotów jestem zawsze, rzecz prosta, współdziałać — rzekł książę, wstając — tylko wyznaję panu, Lebiediew, że jestem ogromnie zaniepokojony; niech pan powie, przecież pan ciągle jeszcze... jednem słowem, sam pan przecież mówi, że podejrzewa pan Fierdyszczenkę.

— A kogóż więcej? Kogóż więcej, najszczerszy książ-

żę? — znów z rozczuleniem złożył ręce Lebiediew, słodko się uśmiechając.

Książę zachmurzył się i wstał.

— Widzi pan, Lucjanie Tymofieiczu, omyłka to straszna rzecz. Ten Fierdyszczenko... nie chciałbym powiedzieć o nim nic złego... ale ten Fierdyszczenko... to jest, kto wie, może to i on!... Chcę powiedzieć, że on może w istocie zdolniejszy jest do tego, niż... niż kto inny.

Lebiediew wytężył wzrok i słuch.

— Widzi pan — plątał się i coraz bardzej pochmurniał książę — dano mi znać... mówiono mi o panu Fierdyszczence, jakoby on poza wszystkiem był tego rodzaju człowiekiem, iż przy nim trzeba być powściągliwym i nie mówić nic... niepotrzebnego, rozumie pan? Dlatego też mówię, że może on rzeczywiście mógł to zrobić prędzej, niż kto inny... żeby się nie omylić, to główna rzecz, rozumie pan?

— A kto panu to mówił o panu Fierdyszczence? — poprostu rzucił się Lebiediew.

— Tak, ktoś mi to szepnął; sam w to zresztą nie wierzę... strasznie mi przykro, że musiałem to powiedzieć, ale upewniam pana, że sam w to nie wierzę... to nonsens... Fe, jakże głupio zrobiłem!

— Widzi książę, — zatrząsł się cały Lebiediew, — to jest ważne, to jest teraz bardzo ważne, to jest nie co do pana Fierdyszczenki, lecz w jaki sposób ta wiadomość do pana doszła. (Mówiąc to, Lebiediew biegał tam i zpowrotem, tuż za księciem, starając się dotrzymać mu kroku). Oto, co ja księciu teraz powiem: przed chwilą jenerał, gdyśmy szli razem do tego Wilkina, już po opowieści o pożarze i, ma się rozumieć, trzęsąc się z gniewu, zaczął mi nagle to samo wspominać o panu Fierdyszczence, ale tak bez ładu i składu, że z konieczności zadałem mu parę pytań, po których doszedłem do przekonania, że cała ta wiadomość wyrosła w bujnej wyobraźni jego ekscelencji... Właściwie, że tak powiem, jedynie z jego dobroduszności. Przecież on tylko dlatego łże, że nie może się powstrzymać od rozczulenia. Teraz niech pan będzie łaskaw zwrócić uwagę; jeżeli on zełgał, a jestem tego pewny, to w jakiż sposób mógł i książę o tem usłyszeć? Niechże książę zrozumie, przecież

to było w nim natchnieniem chwili, — któż więc księciu o tem doniósł? To jest ważne, to... bardzo ważne i... że tak powiem...

— Powiedział mi to Kola, a jemu dopiero co powiedział ojciec, którego spotkał o godzinie szóstej, czy siódmej, w przedpokoju, gdy po coś tam wyszedł.

I książę szczegółowo mu wszystko opowiedział.

— No, jest to co się nazywa pewien ślad! — zacierając ręce, śmiał się cichutko Lebiediew. — Domyślałem się tego. A więc jego ekscelencja umyślnie przerwał o godzinie szóstej swój sen sprawiedliwego, ażeby zbudzić ukochanego syna i oznajmić mu o nadzwyczajnem niebezpieczeństwie, wynikającem z sąsiedztwa z panem Fierdyszczenką! Jakiż to więc niebezpieczny człowiek ten pan Fierdyszczenko i jakiż to ojcowski niepokój u jego ekscelencji, ha-ha-ha!...

— Niech pan posłucha, panie Lebiediew, — zmieszał się wkońcu książę, — niechże pan posłucha, niech pan działa pocichu! Niech pan nie robi hałasu! Proszę pana, panie Lebiediew, błagam pana... Będę wtedy z panem współdziałał, ale, żeby nikt nie wiedział; żeby nikt nie wiedział!

— Niech książę będzie tego pewien, mój najlepszy, najserdeczniejszy i najszlachetniejszy książę, — zawołał Lebiediew z uniesieniem, — niech książę będzie pewien, że wszystko to zachowane będzie w mojem szlachetnem sercu! Cichemi krokami, razem! Cichemi krokami razem! Ja nawet własną moją krew... Jaśnie oświecony książę, mizerny jestem i duszą i umysłem, ale niech książę każdego zapyta, nawet łajdaka, nietylko człowieka mizernego: z kim woli mieć do czynienia, z takim samym łajdakiem, jak on, czy też z najszlachetniejszym z ludzi, jakim jest najserdeczniejszy książę? Odpowie księciu, że z najszlachetniejszym z ludzi i w tem tkwi triumf cnoty! Do widzenia, wielce szanowny książę! Cichemi krokami... cichemi krokami i... razem.

X.

Książę zrozumiał nareszcie, dlaczego zimny dreszcz go przebiegał, ile razy dotykał tych trzech listów, i dlaczego oddalał chwilę przeczytania ich aż do samego wieczoru. Kiedy jeszcze z rana pogrążył się w głębokim śnie na sofie, nie mogąc zdecydować się na otwarcie którejkolwiek z tych trzech kopert, przyśnił mu się znów przykry sen i znów przychodziła do niego ta sama „zbrodniarka". Znów patrzyła na niego ze łzami, błyszczącemi na długich rzęsach, znów go przywoływała i znów przebudził się, jak wówczas, z męką przypominając sobie jej twarz. Chciał natychmiast iść do niej, lecz nie mógł, wreszcie, prawie w rozpaczy, otworzył list i zaczął czytać.

Listy te również podobne były do snu. Czasem śnią się dziwne sny, niemożliwe i nienaturalne; po przebudzeniu, przypominają się jasno i dziwnie nieprawdopodobne fakty, pamięta się przedewszystkiem, ze rozsądek zachował całą władzę przez cały długi przeciąg czasu, kiedy się było okrążonym zbójcami, oni uciekali się do wybiegów, ukrywali swoje zamiary, zachowywali się po przyjacielsku, podczas gdy mieli już przygotowaną broń i oczekiwali tylko na sygnał; przypomina się, jak sprytnie ich się oszukało, ukryło przed nimi; potem jak się spostrzeżono, że oni nawylot widzą wszystkie wybiegi i udają tylko, że nie znają kryjówki, ale znów się ich oszukało; wszystko to przypomina się zupełnie dokładnie. Ale jakim sposobem w tej samej chwili rozsądek mógł się pogodzić z takiemi oczywistemi bzdurstwami i niemożliwościami, któremi, między innemi, był przepełniony sen? Jeden z zabójców zamienił się w kobietę, a z kobiety w małego, chytrego obrzydliwego karzełka... i wszystko to przyjmowało się, prawie że bez najmniejszego zdziwienia i właśnie w chwili, kiedy z drugiej strony rozsądek był w niesłychanem napięciu, wykazywał olbrzymią moc, spryt, domyślność, logikę? Dlaczego też po przebudzeniu i po zupełnem wejściu w rzeczywistość czuje się za każdym prawie razem, a czasem z niezwykłą siłą, że równocześnie ze snem opuszcza nas coś dla nas nieodgadnionego, niedocieczonego. Bawi nas nieprawdopodobieństwo snu, lecz

w tej samej chwili czujemy, że w połączeniu tych nieprawdopodobieństw zawiera się jakaś myśl, lecz myśl rzeczywista, coś należącego do naszego rzeczywistego życia, coś, co istnieje i istniało w naszem sercu; jakby ten sen obrazował coś nowego, proroczego, oczekiwanego; wrażenie jest silne, radosne lub męczące, ale na czem ono polega i co było powiedziane... tego wszystkiego nie można ani zrozumieć ani też sobie przypomnieć.

Prawie to samo było i po tych listach. Jeszcze przed ich otworzeniem książę poczuł, że sam fakt istnienia i możliwości jest jak zmora. Jakim sposobem o n a zdecydowała się do n i e j pisać, zapytywał, przechadzając się bez celu wieczorem (niekiedy nie orjentował się nawet dokąd idzie). Jak mogła o t e m pisać i jak mogło tak warjackie urojenie powstać w jej głowie? Lecz urojenie to było już urzeczywistnione i co było najdziwniejsze, że dopóki czytał te listy, sam nawet wierzył w możliwość i nawet spełnienie tego urojenia. Tak, rozumie się, to był sen,zmora, warjactwo; lecz było tutaj coś takiego, co było męcząco rzeczywistem i aż do bólu sprawiedliwem, co usprawiedliwiało i sen i zmorę i warjactwo. Kilkanaście godzin zrzędu jakby w majaczeniu przypominał sobie to, co przeczytał, przypominał sobie co chwila ustępy, zatrzymywał się na nich, wnikał w nie. Czasem nawet miał ochotę powiedzieć sobie, że to wszystko przeczuwał i zgóry zgadywał; zdawało mu się nawet, że czytał to już wszystko, kiedyś dawno, dawno, i to, co go gnębiło od tego czasu, wszystko, co go męczyło i czego się bał... to wszystko zawierało się w tych dawno już przeczytanych przez niego listach.

„Kiedy pani otworzy ten list (tak się zaczynał list pierwszy), przedewszystkiem spojrzy pani na podpis. Podpis powie pani wszystko i wszystko wyjaśni, tak, że nie mam potrzeby usprawiedliwiać się przed panią i cośkolwiek pani objaśniać. Gdybym w czemkolwiek była pani równą, mogłaby pani się obrazić o podobną zuchwałość; lecz kim jestem ja a kim pani? Jesteśmy dwiema przeciwnościami, w żaden sposób nie mogę pani obrazić, choćbym chciała".

Dalej w innem miejscu pisała:

„Niech pani nie uważa słów moich za wybryki cho-

rego umysłu, pani jest dla mnie doskonałością! Widziałam panią, widzę panią codziennie. Ja pani nie analizuję; nie rozumowaniem doszłam do przekonania, że jest pani doskonałością; wprost uwierzyłam. Ale poczuwam się do grzechu przed panią: kocham panią. Doskonałości nie można przecież nie kochać; na doskonałość można tylko patrzeć jak na doskonałość, czy nie? A tymczasem jestem w pani zakochana. Chociaż miłość równa ludzi, to jednak niech się pani nie niepokoi, nie porównywałam się z panią nawet w najtajnieszych mych myślach. Napisałam pani: „niech się pani nie niepokoi"; a czyż pani może się niepokoić? Gdyby było można, całowałabym ślady nóg pani. O, nie równam się z panią... Niech pani spojrzy na podpis, niech pani prędko spojrzy na podpis!"

„Zauważyłam jednak (pisała w innym liście), że łączę panią z nim, i ani razu jeszcze nie spytałam, czy pani go kocha? On panią pokochał po pierwszem ujrzeniu pani. Wsominał o pani jako o „świetle", to są jego własne słowa, słyszałam je od niego. Lecz bez słów zrozumiałam, że pani jest dla niego światłem. Cały miesiąc przyżyłam obok niego i wtedy zrozumiałam, że i pani go kocha, pani i on jesteście jednem dla mnie".

„Cóż to (pisze jeszcze)? Przeszłam wczoraj obok pani, i pani jakby poczerwieniała? To niemożliwe, chyba mi się zdawało. Jeżeliby panią zaprowadzono do najobrzydliwszej nory i pokazano pani jakiś rażący występek, to nawet wtedy nie powinna pani się czerwienić; pani w żaden sposób nie może się oburzać z powodu obrazy. Pani może nienawidzieć wszystkich podłych i nikczemnych, ale nie za siebie, lecz za innych, za tych, kogo oni obrażają. Pani nikt nie może obrazić. Wie pani, zdaje mi się, że pani nawet powinna mnie kochać. Dla mnie jest pani tem samem, co i dla niego: jasnym duchem; anioł nie może nienawidzieć, nie może też nie kochać. Czy można kochać wszystkich, wszystkich ludzi, wszystkich swoich bliźnich; często zadawałam sobie to pytanie? Rozumie się, że nie i że byłoby to nawet nienaturalne. W oderwanej miłości do ludzkości kocha się prawie zawsze samego siebie. Ale to jest niemożliwe dla nas, a pani to co innego; w jaki

sposób mogłaby pani kogokolwiek bądź nie kochać, kiedy pani się z nikim nie może porównać i kiedy pani wyżej stoi ponad wszelką obrazę, ponad osobiste uniesienie? Pani jedna może kochać bez egoizmu, pani jedna może kochać nie dla samej siebie, lecz dlatego, że pani kocha. O, jak straszne byłoby się dowiedzieć, że pani dzięki mnie uczuwa wstyd lub gniew! Tam byłaby pani zguba: odrazu znównałaby się pani ze mną"...

„Wczoraj, spotkawszy panią, przyszłam do domu i wymyśliłam jeden obraz. Chrystusa przedstawiają malarze zawsze według ewangelji; ja namalowałabym inaczej: wyobraziłabym Go samego; uczniowie pozostawiali Go przecież czasem samego. Zostawiłabym z Nim tylko jedno maleńkie dziecko. Dziecko bawiłoby się koło Niego; być może, żeby Mu coś opowiadało w swoim dziecinnym języku. Chrystus słucha, lecz teraz się zamyślił; ręka Jego mimowoli, przez zapomnienie pozostała na jasnej głowie dziecka. Patrzy wdal, na widnokrąg; myśl, wielka jak cały świat, ukrywa się w Jego spojrzeniu, twarz smutna. Dziecko zamilkło, oparło się o Jego kolana i podparłszy twarz ręką, podniosło główkę i w zamyśleniu, jak to dzieci czasem się zamyślają, badawczo patrzy na Niego. Słońce zachodzi... Oto mój obraz! Pani jest niewinnną i w pani niewinności jest pani cała doskonałość. O, niech pani tylko zapamięta. Co panią obchodzi moja ku pani skłonność! Pani już jest teraz moją, przez całe życie będę przy pani... Wkrótce umrę".

Nareszcie w ostatnim liście było:

„Na miłość Boską, niech pani nic o mnie nie myśli; niech pani też nie myśli, że poniżam się, pisząc tak do pani lub, że należę do takich istot, dla których rozkoszą jest poniżanie się, choćby nawet przez dumę. Nie, mam swoje radości, ale to trudno pani objaśnić. Trudnoby mi było nawet sobie dokładnie to wyjaśnić, chociaż mnie to męczy. Ale wiem, że nie mogłabym się poniżyć nawet z dumy. A do poniżenia się z rozczulenia jestem niezdolna. A więc, zupełnie się nie poniżam. Dlaczego chcę was połączyć: dla was czy dla siebie? Dla siebie, rozumie się, tutaj są wszystkie moje postanowienia, tak sobie już dawno powiedziałam...

Słyszałam, że siostra pani, Adelajda, powiedziała wtedy o moim portrecie, że z taką urodą można świat do góry nogami przewrócić. Ale wyrzekłam się świata, pani wydaje się to śmiesznem, że słyszy to ode mnie, spotykając mnie w koronkach i brylantach, z pijakami i łajdakami? Niech pani nie zwraca uwagi, ja prawie już nie istnieję, i wiem o tem; Bóg wie, co zamiast mnie żyje we mnie. Widzę to codziennie w dwóch strasznych oczach, które ciągle na mnie patrzą, nawet wtedy, gdy ich niema przede mną. Te oczy m i l c z ą (one ciągle milczą), ale ja znam ich tajemnicę. Jego dom jest mroczny, nudny, i w nim jest tajemnica. Przekonana jestem, że w jego kuferku jest schowana brzytwa, owinięta w jedwab, jak u tego zabójcy moskiewskiego; tamten także mieszkał z matką w jednym domu i także obwiązał brzytwę jedwabiem, żeby przeciąć pewne gardło. Przez czas, gdy byłam w ich domu, zdawało mi się ciągle, że gdzieś, pod podłogą jeszcze przez jego ojca, być może, jest schowany umarły i przykryty ceratą, jak tamten moskiewski, i też jest obstawiony dookoła szklankami z płynem Zdanowa, pokazałabym nawet pani miejsce. On ciągle milczy, wiem przecież, że mnie do tego stopnia kocha, że nie mógł nie znienawidzić mnie. Pani ślub i mój ślub... razem: takeśmy z nim postanowili. Nie mam przed nim tajemnic. Zabiłabym go ze strachu... Ale on mnie wcześniej zabije... roześmiał się dopiero co i mówi, że majaczę; wie, że do pani piszę".

I wiele, wiele, majaczeń było w tych listach. Jeden z nich, drugi, zrzędu był na dwóch arkuszach dużego formatu gęsto zapisanych.

Książę wyszedł nareszcie z ciemnego parku, po którym długo błądził, tak, jak i wczoraj. Jasna, przejrzysta noc wydała mu się jeszcze jaśniejszą, niż zwykle; „czyż jest jeszcze tak wcześnie?" pomyślał. (Zegarka zapomniał wziąć ze sobą). Gdzieś jakby usłyszał oddaloną muzykę; „na dworcu, pewno", pomyślał znów; „rozumie się, nie poszli tam dzisiaj". Zauważywszy to, zobaczył, że stoi przed samą ich willą; wiedział, że musi koniecznie się znaleźć wkońcu tutaj i, drżąc, wszedł na taras. Nikt go nie spotkał, taras był pusty. Poczekał i otworzył drzwi do sali.

„Te drzwi nigdy nie były zamknięte“, błysnęła myśl, lecz salon też był pusty; było w nim zupełnie prawie ciemno. Zatrzymał się niepewny na środku pokoju. Nagle otworzyły się drzwi i weszła Aleksandra Iwanowna ze świecą w ręku. Zobaczywszy księcia, zdziwiła się i zatrzymała przed nim, jakby pytając. Najwidoczniej przechodziła tylko przez ten pokój z jednych drzwi do drugich, nie myśląc zupełnie o tem, że kogokolwiek bądź zastanie.

— Jakim sposebm się pan tu znalazł? — powiedziała nakoniec.

— Tak... wstąpiłem...

— *Mamam* niezupełnie zdrowa, Agłaja też. Adelajda kładze się spać, ja też idę. Myśmy dzisiaj cały wieczór same przesiedziały. Papa i książę są w Petersburgu.

— Przyszedłem... wstąpiłem do państwa... teraz...

— Wie pan, która godzina?

— N-nie...

— Wpół do pierwszej. Zawsze o pierwszej spać chodzimy.

— Ah, a ja myślałem, że wpół do dziesiątej.

— A to dobre! — roześmiała się. — A dlaczego pan przedtem nie przyszedł? Być może, że oczekiwano pana.

— Ja... myślałem... — bąkał wychodząc.

— Do widzenia! jutro wszystkich ubawię.

Poszedł drogą, otaczającą park, ku swojej willi. Serce mu biło, myśli plątały się i wszystko, co go otaczało, było raczej podobne do snu. Nagle, tak jak wówczas, kiedy dwukrotnie obudził się przy jednem i tem samem zjawisku, to samo zjawisko znowu mu się ukazało. Ta sama kobieta wyszła z parku i stanęła przed nim, jakgdyby go tutaj oczekiwała. Drgnął i zatrzymał się; złapała go za rękę i silnie ją uścisnęła. „Nie, to nie jest zjawisko“!

Oto nareszcie, stanęła przed nim twarz w twarz, po raz pierwszy od ich rozstania; coś mu mówiła, ale on milcząc patrzył na nią, serce jego było przepełnione i jęknęło bólem. O, nigdy później nie mógł zapomnieć tego spotkania i wspominał zawsze z jednakowym cierpieniem. Upadła przed nim na kolana, tam na ulicy, jak warjatka; cofnął się w strachu, a ona chwytała go za rękę, żeby ją całować,

i zupełnie tak samo, jak wówczas we śnie, łzy błyszczały teraz na jej długich rzęsach.

— Wstań, wstań! mówił przerażonym szeptem, podnosząc ją — wstań prędzej!

— Tyś szczęśliwy? Szczęśliwy? — pytała. — Powiedz mi tylko jedno słowo, czyś teraz szczęśliwy? Dzisiaj, teraz? U niej? Co powiedziała?

Nie podnosiła się, nie słuchała go; pytała pośpiesznie i mówiła prędko, jakgdyby jakaś pogoń ją ścigała.

— Jadę jutro, jakeś kazał. Nie będę... Ostatni przecież raz cię widzę, ostatni! Teraz to już przecież zupełnie ostatni raz!

— Uspokój się, wstań! — powiedział w rozpaczy.

Chciwie wpatrywała się w niego, schwyciwszy go za ręce.

— Żegnaj — powiedziała wkońcu, wstała i prędko odeszła od niego, prawie pobiegła. Książę widział, że nagle zjawił się obok niej Rogożyn, wziął ją pod rękę i poprowadził.

— Poczekaj, książę — krzyknął Rogożyn — za pięć minut wrócę na chwilę.

Po pięciu minutach przyszedł istotnie; książę czekał go na tem samem miejscu.

— Do powozu wsadziłem — powiedział — tam na rogu od dziesiątej godziny czekał powóz. Ona wiedziała, że ty u tamtej przepędzisz cały wieczór. To, coś mi napisał, w całości powtórzyłem. Pisać ona do tamtej więcej nie będzie; obiecała; i stamtąd, według twego życzenia, jutro wyjedze. Chciała cię na ostatku widzieć, chociażeś odmówił; tutaj na tem miejscu czekaliśmy, gdy będziesz szedł zpowrotem, ot tam na tamtej ławce.

— Sama cię z sobą wzięła?

— I cóż? — szyderczo powiedział Rogożyn — zobaczyłem to, o czem wiedziałem. Przeczytałeś pewno listy?

— A czyś ty naprawdę je czytał? — spytał książę, uderzony tą myślą.

— Ma się rozumieć; każdy list sama mi pokazywała. O brzytwie pamiętasz, he, he!

— Szalona! — krzyknął książę, załamując ręce.

— Kto to wie, może nie — cicho powiedział Rogożyn, jakby do siebie.

Książę nie odpowiedział.

— No, żegnaj — powiedział Rogożyn — przecież ja też jutro pojadę, nie wspominaj mnie źle! A cóż bracie — dodał, prędko się oglądając — dlaczegóżeś nic jej nie odpowiedział? Szczęśliwy jesteś czy nie?

— Nie, nie, nie! — zawoła książę z bezgranicznym smutkiem.

— Tybyś powiedział „tak“ — jadowicie roześmiał się Rogożyn i poszedł, nie oglądając się.

XI

Minął tydzień od chwili spotkania dwóch osób naszego opowiadania przy zielonej ławce. W jasny, pogodny dzień, wyszła koło godziny jedenastej Barbara Ardałjonowna Pticin, w odwiedziny do kogoś ze znajomych, a powróciła do domu smutna, strapiona i zamyślona.

Są ludzie, o których trudno powiedzieć cośkolwiek takiego, coby odrazu i całkowicie przedstawiło ich typową i charakterystyczną istotę; ludzie tacy, których powszechnie nazywają „zwyczajnymi“ albo „większością“, stanowią rzeczywiście znaczną większość każdego społeczeństwa. Autorzy, w swoich powieściach i romansach, starają się przeważnie brać typy społeczne i przedstawić je obrazowo oraz artystycznie, typy, nader rzadko spotykane w całości i które przez to są mniej rzeczywiste, niż rzeczywistość. Podkolesin, w typowej swojej postaci, może jest przesadzony, ale wcale nie zmyślony. Jakież zaś mnóstwo ludzi rozumnych znajdowałoby, że dziesiątki i setki ich dobrych znajomych oraz przyjaciół podobnych jest do Podkolesina, tylko że się tak nie nazywają. W rzeczywistości, bardzo rzadko narzeczeni wyskakują przez okna przed swoim ślubem, gdyż nie mówiąc już o innych powodach, nie wypada im tak postąpić; nie mniej jednak wielu z nich, ludzi zacnych i rozumnych, gotowych byłoby przyznać się do podobieństwa z Podkolesinami. Nie wszyscy też mężowie krzyczą na każdym

kroku *Tu l'as voulu Georges Dandin!* Ale, ileż, o Boże, miljonów i biljonów razy powtórzyli ten okrzyk serdeczny mężowie na całym świecie, po swych miodowych miesiącach, a kto wie czy i nie nazajutrz po ślubie.

A zatem, nie wdając się dłużej w bliższe wyjaśnienia, powiemy tylko, że w rzeczywistości typowość osobista jest jakby rozwadniana, a wszystkie „Żorż-Dandeny i Podkolesiny" istnieją na świecie, snują się i biegają między nami codziennie, lecz są jakoby w stanie rozrzedzenia. Wyjaśniwszy wreszcie i to w imię prawdy, że i Geoges Dandin w całości, tak, jak stworzył go Moljer, może istnieć w rzeczywistości, zakończymy na tem nasz wywód, który zaczyna być podobny do krytyki gazeciarskiej. Nie mniej jednak pozostaje przed nami pytanie, co ma robić powieściopisarz z ordynarnymi ludźmi, z zupełnie „zwykłymi", i jak ma ich przedstawić czytelnikowi, ażeby choć cokolwiek zainteresował się nimi? Nie można ich całkiem pomijać w opowieści, gdyż ludzie tacy stanowią bezustanne nieodzowne ogniwo w łańcuchu ziemskich wydarzeń pomijając ich, naruszymy prawdopodobieństwo. Wypełnianie powieści i romansów jednemi tylko typami lub wprost dla interesu ludźmi dziwacznymi i nieistniejącymi, pozbawiałoby prawdopodobieństwa a ponadto i nie byłoby zajmujące. Autor powinien, według nas, odnajdywać odcienie interesujące i pouczające także i wśród rzeczy brutalnych. Kiedy np. sama istota niektórych osób pospolitych zamyka się w ich niezmienności, albo gdy pomimo ich usiłowań wyjścia z powszechności i szablonu, zawsze skończą na tem, iż pozostają przy szablonie, wtedy tacy ludzie zyskują pewnego rodzaju typowość, zarówno jak i ordynarność, która za nic nie chce pozostać tem czem jest, chcąc być oryginalną i samoistną, nie mając wcale środków po temu.

„Do tej liczby kategorji „powszednich i pospolitych" ludzi należą także niektóre osoby naszego opowiadania, dotąd (przyznać to muszę) mało czytelnikom wyjaśnione. Takiemi mianowicie są: Barbara Ardałjonówna Pticina, jej mąż, pan Pticyn, i Gabrjel Ardałjonowicz, jej brat.

Niema w samej rzeczy nic przykrzejszego, jak być np. bogatym, z porządnej rodziny, przyjemnej powierzchowno-

ści, nieźle wychowanym, niegłupim, nawet dobrym i jednocześnie nie posiadać w sobie żadnego talentu, nic szczególnego, żadnego dziwactwa, ani jednej własnej myśli, być stanowczo „tak jak wszyscy“. Bogactwo jest, choć nie rotszyldowskie; rodzina zacna, lecz niczem się nie odznaczająca; powierzchowność miła, lecz nic nie mówiąca; wykształcenie nieostatnie, lecz bez zastosowania; rozum, bez pomysłów i idej własnych, serce nie bijące szlachetnie i t. d. i t. d. we wszystkich kierunkach. Świat posiada nadzwyczajną mnogość takich ludzi i to nawet daleko więcej, niż się wydaje; dzielą się oni, jak i wszyscy, na dwie kategorje; na ograniczonych i na „o wiele mądrzejszych“. Pierwsi są szczęśliwsi.

Ograniczonemu „zwykłemu“ człowiekowi najłatwiej przychodzi wyobrazić sobie, że jest niezwykłym oryginałem, i cieszy się tem bez żadnych wątpliwości. Jeśli która z pań naszych ostrzyże włosy, nosić zacznie niebieskie okulary i nazwie się nihilistką, już jej się natychmiast wydaje, że ma własne „przekonania“. Niechby ktokolwiek doznał w sercu swojem nieco lepszego uczucia, zaraz przekonany będzie, że nikt tak żywo nie czuje jak on, że jest on przodownikiem w powszechnym rozwoju. Gdy znów kto inny usłyszy jakąśkolwiek myśl lub przeczyta coś bez początku i końca, wnet uwierzy, że to „własne jego myśli“, w jego mózgu zrodzone. Szybkość naiwności, jeśli się tak wyrazić wolno, dochodzi w takich przypadkach do zadziwiających granic; zdaje się to być nieprawdopodobnem, a jednak daje się co chwila spotykać. Naiwność taka, pewność siebie w głupim człowieku i wyobrażenia o talentach znakomicie są przedstawione przez Gogola w zdumiewającym typie porucznika Pirogowa. Nie wątpi on wcale że jest genjuszem i to wyższym od innych; do tego stopnia nie ma co do tego wątpliwości, że nawet ani razu nie zadaje sobie w tej sprawie pytania; zresztą pytania dla niego nie istnieją. Wielki pisarz musiał go nareszcie wychłostać, dla uspokojenia obrażonego moralnego uczucia swego czytelnika, ale spostrzegłszy, że wielki człowiek tylko się otrząsnął i dla wzmocnienia sił po przebytej męce zjadł francuskie ciastko, rozłożył ze zdumieniem ręce i tak już zostawił swoich czytelników. Martwi-

łem się zawsze, że wielki Pirogow przedstawiony jest przez Gogola w takim niskim stopniu służbowym, aczkolwiek bohater ten tak jest z siebie zadowolony, że nic dla niego łatwiejszego, jak wyobrazić sobie siebie, z biegiem lat, w miarę przyrostu epoletów wyższego stopnia, że jest on naprzykład znakomitym dowódcą pułku, on zresztą nietylko to sobie będzie wyobrażał, ale nie będzie miał wątpliwości co do tego: otrzymał stopień jenerała, nie jestże więc dowódcą pułku? I wielu z pośród takich ludzi spotyka potem niesłychane fiasko na polu bitwy? A iluż było Pirogowów między naszymi literatami, uczonymi i robiącym propagandę! Mówię „było“ ale są oczywiście i teraz...

Czynna osobistość w naszej powieści, Gabrjel Ardałjonowicz Iwołgin, należał do drugiej kategorji; należał do rzędu ludzi „uczeńszych“, aczkolwiek cały, od stóp do głowy, zarażony był żądzą oryginalności. Kategorja ta zaś, jak powiedzieliśmy wyżej, jest znacznie mniej szczęśliwa od pierwszej. A to dlatego, że rozumny „zwykły“ człowiek, gdyby nawet uważał się mimochodem (a choćby przez całe swoje życie) za człowieka genjalnego i oryginalnego, żywi w sercu swem robaczka zwątpienia, który doprowadza do tego, że człowiek rozumny kończy często całkowitą rozpaczą; jeżeli się nawet upokorzy, zatruje się całkowicie przytłumioną próżnością. Zresztą, w każdym razie, wzięliśmy rzecz krańcowo: w olbrzymiej większości tej uczonej kategorji ludzi nie dzieje się tak tragicznie; zaledwie pod koniec życia psuje się nieco wątroba. Zawsze jednak zanim się uspokoją i upokorzą, ludzie ci zazwyczaj karleją, a wszystko z żądzy oryginalności. Zdarzają się także dziwne przypadki: dążąc do odznaczenia się, niejeden zacny człowiek gotów jest zdobyć się na czyn poniżający; bywa nieraz i tak, że ten i ów z tych nieszczęsnych, nietylko zacny lecz i dobry, opatrzność rodziny, karmi swojemi kłopotami nietylko swoich lecz i obcych i przez całe życie uspokoić się nie może; Nie uspakaja i nie cieszy go myśl, że dobrze spełnił obowiązki, a przeciwnie, rozdraźnia go. „Oto, na co roztrwoniłem życie całe, oto co mi skrępowało ręce i nogi, oto co mi przeszkodziło dokonać wynalezienia prochu. Gdyby nie to... byłbym może na pewno wynalazł proch, lub byłbym

odkrył Amerykę; nie wiem dokładnie co, lecz byłbym niezawodnie odkrył!“ Charakterystyczne właśnie jest w tych ludziach, że przez całe swe życie w żaden sposób nie mogą stwierdzić na pewno, co właściwie mają odkryć, i co przez całe życie gotowi są odkryć: proch, czy Amerykę! Cierpienia ich wszakże i tęsknoty do odkrycia starczyłoby dla Kolumba lub Galileusza.

Gabrjel Ardaljonowicz zaczynał podobnie, lecz dopiero zaczynał. Miał on karłowacieć jeszcze przez długi czas. Głębokie i nieprzerwane odczucie braku talentu i jednocześnie nieprzeparta chęć przekonania się, że jest człowiekiem samoistnym, silnie zraniły mu serce i to badaj od najmłodszych jego dni. Był to młody człowiek o zawistnych i porywczych pragnieniach, zdaje się, z rozdraźnionemi nerwami. Gwałtowność żądań poczytywał za siłę. Przy namiętnem pragnieniu odznaczenia się, gotów był nieraz do najnierozsądniejszego kroku, ale gdy już był tego bliski, bohater nasz okazywał się zawsze zbyt mądry aby na ów krok się zdecydować. To go zabijało. Być może, iż przy sposobności byłby się także zdecydował na czyn niski, byleby osiągnąć coś wymarzonego, lecz jakby naumyślnie, gdy już dochodził do kresu, okazywał się zbyt uczciwym dla popełnienia niskiego czynu. (Na jakiś maleńki niski czyn był zresztą zawsze gotów się zgodzić). Z odrazą i nienawiścią patrzał na biedę i upadek swojej rodziny. Nawet z matką obchodził się pogardliwie, nie bacząc na to, co sam dobrze pojmował, że reputacja i charakter jej stanowiły główny punkt oparcia w jego karjerze. Zbliżywszy się do Jepanczyna, powiedział sobie odrazu: „Kiedy się upadlać, to już do końca, byle wygrać“, i prawie nigdy nie upadlał się do końca. Bo i dlaczego wyobrażał sobie, że bezwzględnie będzie musiał się upodlić? Agłai wprost bał się wtenczas, lecz nie porzucał z nią sprawy, przeciągał ją na wszelki wypadek, choć wcale nie wierzył, żeby Agłaja chciała się do niego zniżyć. Potem, podczas swoich przygód z Nastazją Filipowną przyszedł do przekonania, że osiągnięcie w s z y s t k i e g o zależy od... pieniędzy. „Upadlać się, to upadlać“ powtarzał sobie codziennie z pewnem zadowoleniem,, ale i ze strachem; „jak już się spodlić, to

dojść do szczytu; szablon tchórzy, lecz my nie stchórzymy", zachęcał się co chwila. Utraciwszy Agłaję i przygnębiony przeszkodami, upadł istotnie na duchu i istotnie zaniósł księciu pieniądze, rzucone mu przez zwarjowaną kobietę, a dane jej także przez warjata. Niezliczone razy potem żałował zwrotu tych pieniędzy, chociaż bezustannie się tem chwalił. Płakał istotnie przez trzy dni pobytu księcia w Peterburgu, ale go też przez ten czas znienawidził, bo patrzał na niego zbyt litościwie, chociaż na taki zwrot pieniędzy „nie każdy byłby się zdobył". Szlachetne jednak przyznanie się przed samym sobą, że cały jego smutek jest bezustannie dławiącą go próżnością, męczyło go bardzo. W długi czas potem zauważył i przekonał się, jak poważny obrót mogły dla niego przyjąć sprawy z tak niewinnem i dziwnem stworzeniem, jak Agłaja. Żal go pożerał; porzucił służbę i pogrążył się w smutku. Mieszkał u Pticyna z ojcem i matką, na jego utrzymaniu, jawnie nim pogardzał, chociaż wówczas rad jego słuchał i był na tyle rozumny, że się o nie ciągle dopraszał. Gabrjel Ardaljanowicz gniewał się np. o to, że Pticyn nie zamierza zostać Rotszyldem, i że sobie tego za cel nie wytknął. „Kiedyś już lichwiarzem, to idź do końca, wyciskaj z ludzi pieniądze, pokaż charakter, stań się królem żydowskim!" Pticyn był cichym i skromnym; uśmiechał się tylko, lecz raz uznał za potrzebne rozmówić się z Ganią poważnie i spełnił to z godnością. Dowiódł Gani, że nie popełnia nic nieuczciwego i że niesłusznie nazywa go Żydem; on temu nie winien, że pieniądz ma wartość, że jako agend działa prosto i prawo, a dzięki całemu swemu postępowaniu, znany jest z jak najlepszej strony wybitniejszym ludziom przez co i interesa jego rozszerzają się „Rotszyldem nie będę, dodał z uśmiechem, ale dom na Litiejnej osiągnę, może i dwa i na tem zakończę". „A kto wie, może i trzy!" pomyślał sobie, ale głośno nie wyrażał tego marzenia. Los lubi i głaszcze takich ludzi; wynagrodzi też Pticyna nie trzema, lecz czterema domami, i właśnie za to, iż od najmłodszych lat uznawał, że nie będzie Rotszyldem. Poza cztery domy jednak losy nie pójdą i na tem zakończą się sprawy Pticyna.

Zupełnie inną osobą była siostra Gabrjela Ardaljono-

wicza. Ona także żywiła silne pragnienia, lecz były one więcej stałe, niż dorywcze. Miała dużo rozsądku w doprowadzaniu spraw do końca, o ile je do końca doprowadzała. Prawda, że i ona należała do kategorji „zwykłych" ludzi, marzących o oryginalności, lecz rychło uznała, iż nie ma po temu zdolności i niezbyt się tem trapiła; być może, iż ze szczególnego rodzaju dumy. Postawiła swój pierwszy krok praktyczny z nadzwyczajną stanowczością, wychodząc zamąż za pana Pticyna; ale wcale sobie nie powiedziała: „jak się upodlić, to się upodlić, byle dojść do celu", jak nie omieszkałby przy takiej sposobności wyrazić się Gabrjel Ardaljonowicz (o mało się z tem nie wyrwał jako starszy brat, dowiedziawszy się o jej postanowieniu). Wprost przeciwnie: Barbara Ardaljonowna wyszła zamąż przekonawszy się, że przyszły jej mąż jest człowiekiem skromnym, przyjemnym, niemal wykształconym i do większej podłości niezdolnym. O mniejszych niewiele Barbara myślała, bo gdzież niema takich drobnostek? Ideałów szukać nie trzeba! Wiedziała przytem, że wychodząc zamąż, daje przez to przytułek swoim rodzicom i braciom. Widząc brata nieszczęśliwym, zapragnęła mu dopomóc, zapominając o przeszłości. Pticyn pędził Ganię po przyjacielsku do jakiej służby. „Ty oto gardzisz i generałami i generalstwem", mówił mu żartem, — „a popatrz! wszyscy „oni" zostają wkońcu generałami; pożyjesz, przekonasz się o tem". „Skąd im do głowy przychodzi, że gardzę generałami i generalstwem? — rozmyślał Gania. Chcąc dopomóc bratu, Barbara Ardaljonowna postanowiła rozszerzyć zakres swych czynności; wcisnęła się do Jepanczynów, do czego dopomogły jej wspomnienia z lat dziecinnych. Oboje z bratem bawili się wtedy z Jepanczynami. Zauważyć należy, że gdyby Barbara Ardaljonowna zamierzała spełnić jakiś nieprzyzwoity zamiar, to tem samem spadłaby do rzędu tych ludzi, pomiędzy którymi dobrowolnie się uwięziła; ona jednak miała pewne swoje wyrachowanie: oparła się na charakterze tej rodziny, a Agłaję przeniknęła bez trudu. Postanowiła zbliżyć ją z bratem i zaprzyjaźnić. Być może, iż jako tako dopięła celu; może się też myliła, za wiele licząc na brata i oczekując od niego tego, do czego wcale nie był zdolny. W każ-

dym razie działalność jej w domu Jepanczynych była bardzo zręczna: nie mówiła często o bracie; okazywała się szczerą, prostą, lecz zawsze z godnością. Sumienie własne nic jej nie wyrzucało, co jej dodawało sił. Jedną tylko rzecz zauważała w sobie niekiedy, a mianowicie, że i ona nieraz się złości, że i w niej dużo jest samolubstwa, a bodaj że i dławiącej próżności; spostrzegała to zwłaszcza po każdej niemal swej bytności u Jepanczynych.

Ot i teraz wracała od nich i jak wspomnieliśmy, smutnie zadumana. W smutku tym przebijało coś gorzko szyderczego. Pticyn zajmował w Pawłowsku niepozorny, ale obszerny drewniany dom, przy ulicy pełnej kurzu, mający wkrótce przejść na jego własność, tak, że już zamyślał go sprzedać. Wchodząc na ganek, usłyszała Barbara Ardałjonowna niezwykły hałas na górze i rozpoznała podniesione bardzo głosy ojca i brata. Wszedłszy do pokoju i spostrzegłszy Ganię biegającego wzdłuż i wszerz, bladego i rwącego sobie włosy z głowy, usiadła, milcząc, na kanapie. Rozumiejąc bardzo dobrze, że jeśli jeszcze przez minutę milczeć będzie i nie zapyta brata, dlaczego tak biega, na pewno się on rozgniewa, Basia odezwała się wkońcu w formie pytania:

— Znów dawne rzeczy?

— Jakie dawne! — krzyknął Gania. — Czort wie, co tu teraz się dzieje, ale nie dawne! Stary już zanadto warjuje... matka ryczy. Dalibóg Basiu, albo jego z domu wypędzę... albo sam was opuszczę — dodał, zmiarkowawszy, że nie może nikogo wypędzać z cudzego domu.

— Trzeba być pobłażliwym — rzekła Basia.

— Jakto pobłażliwym? Dla kogo? — uniósł się Gania. — Dla jego obrzydliwości? Rób, co chcesz, ale tak być nie może! Nie, nie! Ale coś ty taka jakaś? Byłaś tam?

— Byłam.

— Co za hańba... i to w tym czasie!...

— Co za czas? Nie widzę nic szczególnego.

Gania jeszcze baczniej siostrze się przyglądał.

— Dowiedziałaś się czego?

— Nieczego nieoczekiwanego. Dowiedziałem się, że to wszystko prawda. Mąż miał słuszność; tak jest, jak przepowiedział od początku. Gdzie on jest?

— Niema go w domu. A bo co?

— Książę formalnie zaręczony; rzecz postanowiona. Agłaja zgodziła się, i już przestali się z tem ukrywać. (Przecież dotąd utrzymywali tajemnicę). Ślub Adelajdy odroczony, żeby się razem obydwa odbyły; co za poezja! Masz temat do wierszy o związku małżeńskim, zamiast napróżno biegać po pokoju. Dziś wieczór będzie u nich Biełokońska, przybywa umyślnie; będą goście. Przedstawią go Biełokońskiej, chociaż się już znają. Mają rzecz ogłosić, tylko się boją, żeby on czego nie upuścił, lub nie rozbił, kiedy przy gościach wejdzie do pokoju.

Gania uważnie słuchał siostry, ale ku jej zdziwieniu, przerażająca dlań wiadomość, nie wywarła na nim piorunującego wrażenia.

— Cóż, to było jasne — odezwał się. — A zatem koniec! — dodała z dziwnym jakimś uśmiechem, patrząc zpodełba na siostrę i nie przestając chodzić po pokoju, lecz o wiele spokojniej.

— Dobrze, że to tak filozoficznie przyjmujesz, bardzo z tego jestem rada, — powiedziała Basia.

— Ubywa kłopot z głowy; przynajmniej z twojej.

— Sądzę, żem sprzyjała ci szczerze, bez sądów i dokuczania i nie pytałam, jakiego szczęścia w Agłai chcesz szukać.

— A czyż ja... szczęścia u Agłai szukałem?

— No, proszę cię, nie filozofuj; dosyć tego... dobrego. Przyznaję, żem nigdy na serjo rzeczy nie brała; ale zabrałam się do tego „na wszelki wypadek“, licząc na dziwny jej charakter i chcąc tobie zrobić przyjemność. A dotąd sama nawet nie wiem czego chciałeś.

— Teraz zaczniesz mnie z mężem pędzić do służby; będziecie mi czytali nauki o sile woli i uporze, małem się zadowolić i t. d. i t. d.; umiem to już napamięć — roześmiał się Gania.

„Coś mu nowego przyszło do głowy“ — pomyślała Basia.

— A jakże tam, rodzice zadowoleni? — zapytał Gania.

— Zdaje się, że niebardzo. Zresztą sam wywnioskuj.

Jan Teodorowicz zadowolony; matka boi się; wiadomo, że i przedtem ze wstrętem patrzała na niego, jako na konkurenta.

— Nie o to chodzi. Niemożliwy narzeczony. Ale pytam, jak tam teraz, czy ona dała formalne słowo?

— Dotąd nie wypowiedziała „nie“, to i wszystko; ale inaczej postąpić nie mogła. Wiesz do jakiego stopnia niedorzeczności jest nieśmiała i wstydliwa; będąc dzieckiem, zamykała się do szafy i przesiadywała w niej po dwie i trzy godziny, byle się gościom nie pokazać; wyrosła na drągala, a nie zmieniła się. Myślę jednak, że to tak już na serjo, również i z jej strony. Mówią, że się z księcia śmieje od rana do nocy, żeby się nie zdradzić, ale potrafi na pewno codziennie mu coś szepnąć, bo on podobno chodzi jak w niebie, cały promieniejący... Mówią, że strasznie śmieszny. Wydało mi się również, że te starsze, wprost się ze mnie wyśmiewały.

Gania zaczął się wreszcie chmurzyć; Basia może rozmyślnie zagłębiała się tak szczegółowo w ten przedmiot, żeby przeniknąć, o czem on teraz myśli. Ale z góry dał się znów słyszeć donośny krzyk.

— Ja go wygonię! — syknął Gania, jakby rad, że może przerwać zgryzotę.

— Nato, by zaraz poszedł hańbić nas po całem mieście, tak jak wczoraj.

— Co, jak wczoraj? Co to było? Wszakże... — przestraszył się okropnie Gania.

— Ach, Boże! czyż ty nie wiesz? — podchwyciła Basia.

— Jakto... Więc to prawda?... On tam był? — zawołał Gania wściekły ze wstydu. — Boże mój! Co wiesz? Czy był tam stary? był czy nie był?

I rzucił się Gania ku drzwiom, ale Basia pośpieszyła za nim i wstrzymała go za obie ręce.

— Coś ty? Dokąd pędzisz? — wołała. — Przepędzisz go, to jeszcze gorszego skandalu narobi; pójdzie do wszystkich!

— Cóż on narobił? Co mówił?

— Oni sami nie umieli mi powtórzyć i nie rozumieli;

wszystkich tylko nastraszył. Przyszedł do Jana Teodorowicza, ale go nie zastał; zażądał Elżbiety Prokofjewny i z początku prosił ją o służbę; potem żalił się na nas, na mnie, na męża, a najwięcej na ciebie wygadywał.

— A nie mogłaś się wywiedzieć? — trząsł się Gania jak w napadzie histerji.

— Ale gdzież tam! on sam pewnie nie rozumiał co mówił; a może wszystkiego mi nie powtórzono.

Gania złapał się za głowę i pobiegł do okna; Basia usiadła przy drugim oknie.

— Śmieszna ta Agłaja — zauważyła nagle — zatrzymuje mnie i mówi: „niech pani złoży szczególne moje uszanowanie swym rodzicom; będę miała na pewno wkrótce sposobność widzenia się z pani ojcem". I mówi to tak poważnie. Dziwna...

— Czy nie na kpiny? Żeby wyśmiać?

— Właśnie że nie i to jest dziwne.

— Czy ona wie, czy nie wie o starym? Jak myślisz?

— Że u nich w domu nie wiedzą, to nie ulega dla mnie wątpliwości; ale poddajesz mi myśl: Agłaja może i wie. Może ona jedna, bo siostry były również zdziwione, kiedy ojcu przesyłała ukłony. I dlaczego właśnie jemu. Jeśli wie, to przez księcia.

— Nie sztuka poznać kto powiedział! Złodziej! Tego jeszcze brakowało. Złodziej w naszej rodzinie, „głowa rodziny!"

— No, głupstwo! — krzyknęła Basia rozgniewana. — Historja pijaństwa i nic więcej. I kto to wymyślił? Lebiediew, książę... obydwaj doskonali: wielki rozum.

— Stary złodziej i pijanica — z goryczą mówił dalej Gania — ja nędzarz; mąż siostry lichwiarz! Było komu ubiegać się o Agłaję! Niema co mówić: prześlicznie!

— Ten siostry mąż, lichwiarz, ciebie...

— Utrzymuje! Pozwól sobie, proszę cie.

— Czego się złościsz — przerwała Basia. — Nic nie rozumiesz, jak smarkacz. Myślisz, że tobie to mogło zaszkodzić w oczach Agłai? Nie znasz jej charakteru, odwróci się od najlepszego konkurenta a poleci za studentem, by głodem mrzeć na poddaszu; takie to są jej urojenia! Nie zdo-

łałeś nigdy pojąć, jakbyś stanął w jej oczach, gdybyś z godnością znosił nasze położenie. Książę tem ją wziął na wędkę, że najprzód jej wcale nie łapał, a potem, że wobec wszystkich uchodzi za idjotę. Już to samo jest jej teraz miłe, że dla niego próżniła rodzinę. Ech, niczego nie rozumiecie.

— To się jeszcze pokaże, czy pojmujemy, czy nie, — zagadkowo odparł Gania — ale jabym bardzo pragnął, żeby ona nie wiedziała o starym. Myślałem, że książę powstrzyma się i nie opowie. Powstrzymał Lebiediewa; on i mnie nie chciał wszystkiego wypowiedzieć, gdym nalegał...

— A zatem sam widzisz, że pomimo to, już wszystko jest wiadome. I o cóż ci teraz chodzi? Czego się jeszcze spodziewasz? A gdyby jeszcze pozostawała nadzieja, to dodałoby ci tylko w jej oczach pozoru męczeństwa.

— Skandalu zlękłaby się, pomimo całego swego romantyzmu. Wszystko tylko do pewnych granic i wszystkie do pewnych granic! Wy wszystkie jednakowe.

— Agłaja by się zlękła? — uniosła się Basia, patrząc na brata szyderczo. — Jakże jesteś słabego ducha! Nic nie jesteście warci. Niech ona będzie śmieszną i dziwaczką, ale zato szlachetniejszą jest od nas wszystkich tysiąc razy.

— No, no, nie gniewaj się—zarozumiale znów mruknął Gania.

— Mnie tylko żal matki — rzekła Basia, — boję się, żeby ta historja ojca do niej nie doszła; ach, boję się!

— I na pewno już doszła — zauważył Gania.

Basia wstała, aby pójść na górę do Niny Aleksandrowny, ale zatrzymała się i uważnie spojrzała na brata.

— Któż mógł jej powiedzieć?

— Hipolit niezawodnie. Z zadowoleniem zaraportował to matce, gdy tylko przybył.

— Ale powiedz mi, skąd on wiedział? Książę i Lebiediew postanowili nikomu nie mówić; Kola nawet nic nie wie.

— Hipolit sam się dowiedział. Nie wyobrażasz sobie jakie to bystre stworzenie i jaki z niego plotkarz; ma nos do przewąchania każdego głupstwa, każdego skandalu. Wierz albo nie wierz, ale pewien jestem, że on zdołał Agłaję

wziąć w swoje ręce, albo też uczyni to jeszcze. Rogożyn również ma z nim stosunki. Jak tego książę nie widzi! Teraz zachciewa mu się mnie podejść. Uważa mnie za osobistego wroga, dawno to już rozgryzłem, poco mu to, przecież umrze, — nie mogę tego zrozumieć! Ale ja jego podejdę, zobaczysz, nie on mnie!

— Dlaczegoś go więc przyciągał, skoro go tak nienawidzisz! I czy on tego wart, by go podchodzić?

— Tyś poradziła przyciągnąć go do nas.

— Myślałam, że będzie nam przydatny; a czy wiesz, że on się teraz sam zakochał w Agłai i pisał do niej? Pytali mnie... on o mało do Elżbiety Prokofjewny nie napisał.

— W tem to nie jest niebezpieczny! — zawołał Gania, uśmiechając się złośliwie. — Zresztą, że się zakochał, to bardzo możliwe, bo to smarkacz! Ale... pisać anonimów do starej nie będzie; to taka zła, nikczemna, samolubna miernota! Pewien jestem, że on mnie przedstawił przed nią jako intryganta, od tego zaczął. Przyznaję, że jak głupiec zwierzałem mu się z początku; myślałem, że wejdzie w moje sprawy, choćby przez zemstę nad księciem, a to takie chytre stworzenie. O, teraz przejrzałem go nawskroś. O tej zaś kradzieży, słyszał od swojej matki, kapitanowej. Stary dla niej zdecydował się na to. Zaraz, ni stąd ni zowąd, donosi mi, że „generał" obiecał jego matce czterysta rubli, i to tak bez powodu, bez ceremonji. Wtedy wszystko zrozumiałem. I tak mi słodko w oczy patrzy z pewną jakby rozkoszą; mamie także na pewno powiedział, jedynie aby sobie zrobić przyjemność rozdarcia jej serca. I powiedz mi, czemu on nie umiera? Obowiązał się umrzeć w przeciągu trzech tygodni, a tymczasem przytył jeszcze! Przestaje kaszleć, sam mówił mi wczoraj wieczór, że już nie pluje krwią.

— Przepędź go.

— Ja nienawidzę go, pogardzam nim — wyrzekł Gania z dumą. — No, dobrze, dobrze, niechże będzie że go nienawidzę! — zawołał nagle z niezwykłą wściekłością. — I powiem mu to w oczy, gdy już na swej poduszce umierać będzie! a wypowiem mu to w ostatniej godzinie! Żebyś ty przeczytała jego spowiedź; Boże, cóż to za naiwna bezczelność. To porucznik Pirogow, to Nozdrew w tragedji, a prze-

dewszystkiem smarkacz. Z jakąż lubością bym go wychłostał... właśnie, żeby go zadziwić. Teraz on się na wszystkich mści za to, że się wtedy nie udało... Ale co to? tam znów hałas? To wreszcie nie do wytrzymania! Pticyn! — krzyknął do wchodzącego Pticyna — co to znaczy; do czegóż to u nas dojdzie... To... to...

Lecz hałas szybko się zbliżał, drzwi nagle się rozwarły i stary Iwołgin, zły, czerwony, przejęty czemś, rzucił się nagle również w stronę Pticyna. Za starym szła Nina Aleksandrowna, Kola i wtyle, za wszystkimi, Hipolit.

XII

Hipolit od dni pięciu już przeniósł się do Pticyna. Stało się to całkiem naturalnie, bez żadnej wymiany słów i bez kłótni między nim a księciem; nietylko się nie pogniewali, lecz pozornie rozstali się jak przyjaciele. Gabrjel Ardałjonowicz tak nieprzyjaźnie dla Hipolita usposobiony owego wieczoru, sam go w trzy dni później zaprosił, prawdopodobnie kierowany jakąś nową myślą. Niewiadomo dlaczego i Rogożyn zaczął również odwiedzać chorego. Księciu zdawało się z początku, że nawet lepiej będzie dla „biednego malca“ jeśli się z jego domu wyniesie.

Ale i podczas swojej przeprowadzki mówił Hipolit, że przenosi się do Pticyna, „który tak jest dobry, że mu daje kąt“, ani razu zaś, jakby umyślnie, nie powiedział, że przyjeżdża do Gani, chociaż to Gania nalegał, żeby go przyjęli do domu. Gania już wtedy to zauważył i urażony, ukrył to w swem sercu.

Słusznie oświadczył on siostrze, że choremu jest lepiej. Hipolit był istotnie zdrowszy, co było widoczne na pierwszy rzut oka. Wszedł do pokoju zwolna poza wszystkimi, i złośliwie się uśmiechał. Nina Aleksandrowna weszła bardzo wystraszona. (Przez ostatnie pół roku zmieniła się bardzo i schudła; wydawszy córkę zamąż i sprowadziwszy się do niej, przestała prawie mieszać się do spraw swych dzieci). Kola był zafrasowany i niepewny; nie pojmował wielu rzeczy z „warjactw generała“, jak się wyrażał, nie znając oczywi-

ście nowego powodu tego zamieszania w domu. Jasną było rzeczą, że ojciec tak już ciągle i wszędzie się kłóci i tak się nagle zmienił, że jest jakby innym człowiekiem.

Niepokoiło go to również, że stary w ostatnich dniach przestał pić. Wiedział, że się rozszedł i poróżnił Lebiediewem i księciem. Kola tylko co powrócił do domu z półgarncówką wódki, którą nabył za własne pieniądze.

— Doprawdy, mamo — zapewniał jeszcze na górze Ninę Aleksandrownę — lepiej niech się napije. Już trzy dni nie pił; ze smutku widać. Nosiłem mu i do więzienia...

Generał otworzył drzwi z łoskotem i stanął na progu, jakby drżący z oburzenia.

— Miłościwy panie — krzyknął grubym głosem do Pticyna. — Jeżeli pan istotnie postanowił poświęcić dla młokosa i ateusza, ojca pańskiego, to jest właściwie ojca żony pańskiej, żony waszej, ojca zasłużonego u monarchy, to noga moja nie postanie więcej w waszym domu. Wybieraj mości panie i to bezwłocznie: albo ja, albo ten... świder... Tak, świder! On bowiem prześwidrował moją duszę, bez żadnych względów!...

— Czy nie korkociąg? — wtrącił Hipolit.

— Nie, nie korkociąg, bo stoi przed tobą generał, a nie butelka. Ja mam odznaczenia, a ty masz... figę. Albo on, albo ja! Decyduj zaraz, natychmiast! — krzyczał wściekły do Pticyna.

Kola podsunął mu krzesło, na które ten opadł wyczerpany.

— Lepiejby się pan przespał — wyszeptał oszołomiony Pticyn.

— On jeszcze grozi! — rzekł Gania półgłosem do siostry.

— Spać! — krzyknął jenerał — nie jestem pijany, mości panie; i pan mnie obraża. Widzę — mówił dalej, wstając z krzesła — że tu wszystko przeciw mnie; wszystko i wszyscy. Dosyć! odchodzę, lecz wiedz, mości panie... wiedz...

Nie dali mu dokończyć i posadzili zpowrotem; proszono by się uspokoił. Gania wściekły usunął się do kąta, Nina Aleksandrowna trzęsła się od płaczu.

— Co ja jemu zrobiłem? Na co on się żali? — zawołał Hipolit zaciskając zęby.

— Jakto nic nie zrobiłeś? — zapytała Nina Aleksandrowna — czy panu nie wstyd... nieludzko męczyć staruszka... i to jeszcze na pańskiem miejscu...

— Przedewszystkiem co to za moje miejsce, proszę pani? Ja bardzo panią poważam, szczególniej panią, ale...

— To świder! — krzyczał generał — przewierci mi duszę i serce! On chce bym został ateuszem! Wiedz o tem, młokosie, żeś jeszcze nie był na świecie, gdy mnie obsypano odznaczeniami; tyś tylko robak zazdrosny, złamany kaszlem... umierasz w złości i niedowiarstwie... I poco cię tu Gabrjel przyprowadził? Wszyscy przeciw mnie, od obcych, aż do rodzonego syna!

— Gotowa tragedje! — krzyknął Gania. — lepiej było nie hańbić nas po całem mieście!

— Co, jam ciebie, młokosie, zhańbił? Ciebie? Mogę ci tylko przynieść zaszczyt, a nie zhańbić.

Zerwał się i już go nie mogli powstrzymać; ale zerwał się i Gabrjel Ardałjonowicz.

— Jaki tam zaszczyt! — zawołał ze złością.

— Coś ty powiedział? — zagrzmiał generał, blednąc i idąc ku niemu.

— A to, że wystarczyłoby mi otworzyć usta, żeby...— zaczął Gania, lecz nie dokończył. Stali obydwaj naprzeciw siebie, nadzwyczaj rozdrażnieni, zwłaszcza Gania.

— Gania, co ty wyrabiasz! — krzyknęła Nina Aleksandrowna, rzucając się, aby syna powstrzymać.

— Cóż to za głupstwa — odezwała się Basia z oburzeniem. — Niechże mama da spokój.

— Tylko dla matki oszczędzę go — rzekł Gania głosem dramatycznym.

— Mów! — zaryczał generał z wściekłością — mów pod groźbą ojcowskiego przekleństwa... mów!

— Jakbym ja się bał waszego przekleństwa! A któż temu winien, że ojciec od ośmiu dni jak warjat? Ósmy dzień, widzi ojciec, wiem według dat. Nie doprowadzajcie mnie do ostatnich granic, bo wszystko wypowiem... Poco ojciec

łaził wczoraj do Jepanczynych? I staruszkiem się nazywa... siwizna... głowa rodziny! Dobry sobie!

— Milcz Gania!—krzyknął Kola — milcz głupcze!

— Ale czem, czemże ja go obraziłem? — nastawał Hipolit, ciągle jednak jakby urągliwym tonem. — Zaco on mnie nazywa świdrem? Sam się zbliżył do mnie z opowieścią o jakimś kapitanie Jeropiegowie. Jenerale, ja wcale nie pragnę pańskiego towarzystwa, unikałem go i przedtem sam pan wie. Co mnie może obchodzić kapitan Jeropiegow. Sam pan przyzna. Nie dla niego tu przyjechałem. Wyraziłem tylko moje zdanie, że może taki kapitan nigdy nie istniał. Robi pan z igły widły.

— Bez wątpienia nie istniał! — zawołał Gania.

Jenerał stał jak oszołomiony i tylko bezmyślnie oglądał się wkoło. Słowa syna uderzyły go swą nadzwyczajną szczerością. W pierwszej chwili nie mógł słowa wypowiedzieć. A wreszcie, gdy Hipolit wybuchnął śmiechem po odpowiedzi Gani i rzekł: „Słyszy pan, własny syn pański utrzymuje, że żaden kapitan Jeropiegow nie istniał".

— Kapitona Jeropiegowa, nie kapitana... Kapiton, podpułkownik w odstawce Jeropiegow... Kapiton.

— Ale i Kapitona nie było! — zupełnie się już rozzłościł Gania.

— Dla... dlaczego nie było! — mruczał jenerał i rumieniec wystąpił mu na twarz.

— Dajcie już spokój! — prosili Pticyn i Basia.

— Milcz Gańka — krzyknął ponownie Kola.

Lecz obrona jakgdyby podniecała jenerała.

— Jakto, nie było? Dlaczego nie istniał? — wołał jenerał groźnie do syna.

— Dlatego, że nie było. Nie było i już, i nie może być.

— Ma ojciec. Niech ojciec da spokój, mówię ojcu.

— I to mój syn... rodzony syn, którego ja... O Boże! Jeropiegowa, Jeroszki Jeropiegowa nie było!

— Otóż to, to Jeroszka, to Kapitoszka — wtrącił Hipolit.

— Kapitoszki, mości panie, Kapitoszki, a nie Jeroszki! Kapiton, Aleksiejewicz, Kapiton... podpułkownik... w odstawce... ożenił się z Marją... Pietrowną Su... Su... przyjaciel

i towarzysz... Sutugow... z junkrów. Ja go zasłoniłem... ja za niego krew przelałem. I Kapitoszki Jeropiegowa nie było... nie istniał!

Jenerał krzyczał w uniesieniu, ale tak, że można było myśleć, że chodzi o co innego, niż to, o co krzyczał. Prawda, że kiedyindziej zniósłby z pewnością coś dużo bardziej obraźliwego, niż wiadomość o zupełnem nieistnieniu Kapitona Jeropiegowa, pokrzyczałby, zmyśliwszy jakąś historję, uniósłby się, ale jednak wkońcu poszedłby do siebie na górę spać. Teraz wszakże dzięki dziwnemu ustrojowi serca ludzkiego stało się tak, że właśnie podobna obraza, jak powątpiewanie co do Jeropiegowa, musiała przepełnić miarę.

Starzec zaczerwienił się, wzniósł ręce i zawołał:

— Dosyć! Przekleństwo!... precz z tego domu! Mikołaj, zabieraj moją torbę, idę... precz!

Wyszedł, trzęsąc się z silnego gniewu. Za nim podążyli: Nina Aleksandrowna, Kola i Pticyn.

— Cóżeś teraz narobił! — rzekła Basia do brata. — Zobaczysz on tam znów polezie. Wstyd!

— A nie kradnij! — krzyknął Gania, zachłysnąwszy się niemal z gniewu. Nagle spojrzenie jego spotkało się z Hipolitem. — Pan zaś, mój panie, powinien pamiętać, że jakkolwiek bądź jest pan w cudzym domu i korzysta pan z gościnności, więc nie należało drażnić starca, który najwyraźniej zwarjował.

Żachnął się Hipolit, lecz w jednej chwili opanował się.

— Niezupełnie się z panem zgadzam, że pański ojciec stracił rozum; — odrzekł spokojnie — zdaje mi się właśnie, że mu w ostatnich czasach przybyło rozumu. Stał się ostrożny, podejrzliwy i ważący każde słowo... O owym Kapitoszce rozmyślnie ze mną mówić zaczął, chciał mnie bowiem naprowadzić...

— Djabli mi tam do tego, na co pana chciał naprowadzić! Ze mną proszę się nie wykręcać, mój panie! — wrzasnął Gania. — Jeśli zaś pan zna powody obecnego stanu starca (a tak mnie pan szpiegował przez te pięć dni, że musi pan je znać), to całkiem nie wypadało panu rozdrażniać... nieszczęsnego i męczyć moją matkę, przesadzając sprawę,

gdyż jest to głupstwo i historja pijaństwa... nic innego. Ale pan musi szpiegować i znieważać, bo pan...

— Świder — uśmiechnął się Hipolit.

— Boś pan nędznik; pół godziny męczył pan ludzi, myśląc ich nastraszyć nienabitym pistoletem, którym pan tak bezwstydnie sfuszerował: chybiony samobójca, chodząca rozlana żółć. Dałem panu gościnę, utył pan, przestał kasłać i nic pan nie płaci...

— Dwa słowa tylko; jestem u Barbary Ardałjonowny a nie u pana; nie dał mi pan wcale gościny, a sądzę, że jej sam pan używa u Pticyna. Przed czterema dniami prosiłem matkę, by mi znalazła w Pawłowsku mieszkanie i sama przybyła, ponieważ rzeczywiście jest mi tu lepiej, chociaż wcale nie tyję i kasłać nie przestaję. Dostałem wczoraj wieczór wiadomość, że mieszkanie jest, więc oświadczam, że podziękowawszy matce pańskiej i siostrze, dziś jeszcze przenoszę się do siebie, jak to już wczoraj wieczór postanowiłem. Ale przepraszam, przerwałem panu, a pan, zdaje się, chciał dużo jeszcze powiedzieć.

— O, jeżeli tak — zadrżał Gania.

— A jeżeli tak, to pozwólcie mi usiąść — rzekł Hipolit, spokojnie siadając na krześle, na którem siedział jenerał— ja przecież jednak jestem chory; gotów teraz jestem pana słuchać, tem bardziej, że to ostatnia nasza rozmowa, a nawet może i ostatnie nasze spotkanie.

Zawstydził się Gania.

— Niech mi pan wierzy — rzekł — że ja się nie zniżę do obrachunków z panem i jeżeli pan...

— Niepotrzebnie z tak wysoka — przerwał Hipolit. — Ja ze swej strony, dałem sobie słowo jeszcze w dzień mego przybycia tutaj, nie odmówić sobie przyjemności przed naszem pożegnaniem, wypowiedzenia panu wszystkiego całkiem szczerze i to właśnie teraz zamierzam spełnić, ale po panu, ma się rozumieć.

— A ja proszę, aby pan opuścił ten pokój.

— Lepiej niech pan mówi, bo będzie pan żałował, że się pan nie wygadał.

— Niechże pan da spokój, Hipolicie — odezwała się Basia — wstyd! Niechże pan będzie łaskaw przestać.

— Chyba tylko dla damy — roześmiał się Hipolit, wstając z miejsca. — Dla pani, Barbaro Ardałjonowno, gotów jestem skrócić, ale tylko skrócić, albowiem niektóre wyjaśnienia między mną a pani bratem stały się nieuniknione i za nic nie odejdę, pozostawiając wątpliwości.

— Słusznie — zawołał Gania — jako plotkarz, nie odejdzie pan bez plotek.

— Otóż widzi pan — chłodno zauważył Hipolit — już pan nie wytrzymał. Będzie pan żałował, że się pan nie wygadał. Jeszcze raz ustępuję panu. Poczekam.

Gabrjel Ardałjonowicz milczał i patrzał urągliwie.

— Nie chce pan. Postanowił pan wytrzymać — dobrze. Ja z mojej strony będę możliwie treściwy. Dwa czy trzy razy usłyszałem dziś wyrzut co do gościny, to niesłusznie. Zapraszając mnie do siebie, sam zarzucał pan sieci na mnie; zdawało się panu, że pragnę zemsty na księciu. Dowiedział się pan potem, że Agłaja Iwanowna okazała mi współczucie i przeczytała moją spowiedź. Licząc na to, że ja się oddam pańskim sprawom, miał pan nadzieję, że może będę panu pomocny. Bliższych szczegółów nie potrzeba! Nie potrzebne mi też ani pańskie przyznanie się ,ani potwierdzenie; dosyć, że pana pozostawiam pańskiemu sumieniu i że teraz doskonale się nawzajem rozumiemy.

— Ależ, Bóg wie — zawołała Basia — w co wy najzwyklejsze rzeczy obracacie!

— Już ci powiedziałem „plotkarz i smarkacz“ — rzekł Gania.

— Niech pani pozwoli, Barbaro Ardałjonowno, niech ja skończę. Księcia naprawdę nie mogę ani lubić, ani poważać; jest to człowiek stanowczo dobry, chociaż i... dosyć śmieszny. Nienawidzieć go jednak nie byłoby za co; bratu zaś pani nie objawiałem żadnych zamiarów, kiedy mnie buntował przeciw księciu; chciałem się uśmiać przy rozwiązaniu sprawy. Wiedziałem, że pani brat wygada się przede mną i w najwyższym stopniu spudłuje. Tak się też stało... Dla pani jednak, Barbaro Ardałjonowno, gotów jestem go oszczędzać. Przedstawiwszy, że nie tak łatwo mnie wziąć na wędkę, wyjaśnię jeszcze dlaczego zapragnąłem odsłonić głupotę pani brata. Niech pani wie, że spełniam to z niena-

wiści, otwarcie przyznaję. Umierając (gdyż jednak umrę, pomimo pańskiego twierdzenia, że tyję), umierając, odczuję większy spokój, jeśli zdążę wyszydzić choćby jednego przedstawiciela tego niezliczonego rodzaju ludzi, którzy całe życie mnie prześladowali i których całe życie nienawidziłem, a którego wybitnym wyobrazicielem jest pani brat. Ja pana, Gabrjelu Ardaljonowiczu, nienawidzę za to — pana to może zadziwi — jedynie dlatego, że pański typ i uosobienie, jest szczytem najpospolitszej, najszkaradniejszej ordynarności! Jest pan samą ordynarnością. Jest pan ordynarnością pewną siebie, a olimpijsko spokojną: szablonem nad szablonami! Żadna najdrobniejsza własna myśl nie znajdzie się nigdy ani w pańskiej głowie, ani w sercu. Ale także jest pan nieskończenie zawistny; ponadto przekonany o swoim genjuszu; a gdy czasem sumienie się odezwie w czarną godzinę, wpada pan w złość i zazdrość. O, są jeszcze ciemne plamy na pańskim horyzoncie; przejdą, gdy pan ostatecznie zgłupieje, do tego zaś już niedaleko; jednakże czeka pana długa i różnorodna droga, ale wcale nie wesoła, z czego się cieszę. Po pierwsze, przepowiadam panu, że pan nie zdobędzie wiadomej osoby...

— To już nie do wytrzymania! — krzyknęła Basia.— Niechże pan już raz skończy, nieznośny złośniku!

Gania pobladł, trząsł się i milczał. Hipolit zatrzymał się, uważnie i z radością popatrzył na niego, przeniósł wzrok na Basię, uśmiechnął się, ukłonił i wyszedł, nie przemówiwszy więcej ani słowa.

Gabrjel Ardaljonowicz mógłby słusznie użalać się na los i niepowodzenia. Basia przez pewien czas nie odważyła się mówić do niego, nie spojrzała nawet na niego, podczas gdy on chodził koło niej ciężkiemi krokami; nareszcie podszedł do okna, odwracając się do niej tyłem. Basia uprzytomniła sobie przysłowie o „kiju z dwoma końcami“. Na górze znów dał się słyszeć hałas.

— Wychodzisz? — zapytał. — Poczekaj i popatrz na to.

Zbliżył się i cisnął przed nią na stół maleńki świstek, złożony nakształt listu.

— Boże! — krzyknęła Basia, klaszcząc w ręce.

Na kartce było równo siedem wierszy:

„Gabrjelu Ardaljonowiczu! Przekonawszy się o pańskiem dobrem dla mnie usposobieniu, postanowiłam prosić pana o radę w pewnej ważnej dla mnie sprawie: Pragnęłabym przeto spotkać się z panem jutro o siódmej rano, przy zielonej ławce, niedaleko od naszej willi. Barbara Ardaljonowna, która bezwarunkowo musi panu towarzyszyć, zna dobrze to miejsce. A. J.“

— I jak się potem z nią liczyć — rozłożyła ręce Barbara Ardaljonowna.

Pomimo, że nie chciało się Gani w tej chwili fanfaronować, czyż nie mógł on okazać swego triumfu, po tak poniżających wróżbach Hipolita. Uśmiech pełen zarozumiałości wystąpił mu na usta, a i Basia zajaśniała radością.

— I to tego samego dnia, w którym głoszą o zaręczynach! Jakże na nią liczyć?

— Jak myślisz? — spytał Gania. — O czem ona chce jutro ze mną mówić?

— Wszystko jedno o czem, najważniejsze jest to, że po sześciu miesiącach, pierwszy raz zapragnęła cię widzieć. Słuchajże mnie, Gania: cokolwiek bądź by było i jakkolwiekby się sprawy obróciły, pamiętaj, że to ważne i to bardzo ważne! Nie fanfaronuj teraz, nie spudłuj znów, ale się i nie lękaj! Uważaj! Czy mogła ona nie rozpoznać, poco ja się tu włóczyłam przez pół roku? I wyobraź sobie; nie powiedziała mi dziś ani słowa, nic mi nie dała poznać. Ja przecież kontrabandą zaszłam do nich; stara nie wiedziała, że ja tam siedzę, byłaby mnie wypędziła. Dla ciebie, na ryzyko chodziłam, dowiedzieć się za wszelką cenę...

Znów dał się słyszeć na górze krzyk i hałas; kilka osób schodziło ze schodów.

— Za nic nie można teraz do tego dopuścić! — krzyknęła Basia z przestrachem. — Żeby nie było cienia skandalu! Idź i proś o przebaczenie!

Ale ojciec rodziny był już na ulicy. Kola niósł za nim torbę. Nina Aleksandrowna stała zapłakana na ganku; chciała biec za nim, lecz Pticyn jej nie puszczał.

— Pani go tylko jeszcze bardziej drażni — mówił jej. — Niema dokąd pójść, za pół godziny przyprowadzą

go zpowrotem, mówiłem już z Kolą; niech sobie podokazuje.

— Co ojciec udaje, dokąd ojciec, gdzie ojciec pójdzie? — zawołał Gania przez okno. — Nie ma ojciec dokąd pójść!

— Wróć, tatusiu! — krzyknęła Basia. — Sąsiedzi słyszą.

Jenerał stanął, odwrócił się, podniósł rękę w górę i zawołał:

— Przeklęty mój dom rodzinny!

— I koniecznie w tonie teatralnym! — wyszeptał Gania i zamknął okno.

Sąsiedzi istotnie słuchali. Basia wybiegła z pokoju.

Kiedy Basia wyszła Gania porwał ze stołu kartkę, przycisnął ją do ust i schował.

XIII

Zamieszanie z generałem kiedyindziej skończyłoby się na niczem. I dawniej zdarzały się wybryki nagłych jego dziwactw w tym rodzaju, choć dosyć rzadko, gdyż naogół był to człowiek bardzo spokojny i z dobremi niemal skłonnościami. Po sto razy występował przeciw opanowującym go w ostatnich czasach nerwom. Przypominał sobie nagle, że jest „głową domu", godził się z żoną, szczerze płakał. Do uwielbienia cenił Ninę Aleksandrownę za to, że tak dużo i milcząc wybaczała mu i kochała go nawet pomimo pozorów błazeńskich. Jednak szlachetna jego walka z narowami niedługo zazwyczaj trwała; jenerał był również człowiekiem „porywczym", choć była to szczególnego rodzaju porywczość; nie znosił naogół pokutniczego i próżniaczego życia na łonie rodziny i kończył buntem; wpadał w złość, a w tej samej chwili sam sobie może czynił wyrzuty, ale nie mógł wytrzymać: kłócił się, zaczynał przemawiać hardo i buńczucznie, żądał bezgranicznego i niemożliwego dla siebie szacunku i wkońcu znikał z domu, niekiedy nawet na długo. W ostatnich dwóch latach o losach swojej rodziny wiedział zaledwie coś ogólnikowo, lub tylko ze słyszenia; szczegóła-

mi przestał się interesować, nie czując do tych rzeczy najmniejszego pociągu.

Tym razem jednak w „zamieszaniu z jenerałem" ujawniło się coś niezwykłego; wszyscy jakgdyby o czemś wiedzieli i wszyscy jakgdyby się bali o tem mówić. Jenerał formalnie" zjawił się w rodzinie dopiero przed trzema dniami, ale jakoś niezbyt spokojnie i ze skruchą, jak to zwykle miało miejsce przy poprzednich „zjawianiach się", lecz przeciwnie — w jakiemś niezwykłem rozdrażnieniu. Rozmowny był, niespokojny, zagadywał do każdej napotkanej osoby gorączkowo i jakdyby się na człowieka rzucał, mówił wyłącznie o rzeczach różnorodnych i niezwykłych, tak, że w żaden sposób nie można było dociec, co właściwie tak go teraz niepokoi. Chwilami bywał wesół, ale częściej się zamyślał, sam zresztą nie wiedząc, o czem myśli; zaczynał nagle o czemś opowiadać, — o Jepanczynach, o księciu, o Lebiediewie, — i nagle przerywał i zupełnie przestawał mówić, a na dalsze pytania odpowiadał tylko bladym uśmiechem, zresztą, nie zdając sobie nawet sprawy, że zadają mu pytania, a on się uśmiecha. Ostatnią noc przepędził na westchnieniach i jękach i wymęczył Ninę Aleksandrownę, która, niewiadomo poco przez całą noc grzała dla niego kompresy; nad ranem nagle zasnął, przespał cztery godziny i rozbudził się w jeszcze silniejszym i ostrzejszym napadzie hipohondrji, który zakończył się kłótnią z Hipolitem i „przekleństwem temu domowi". Zauważono również, że w ciągu tych trzech dni był stale jakoś drażliwy, a wskutek tego niezwykle obraźliwy. Kola wciąż powtarzał swoje, zapewniając matkę, że to zwykła tęsknota do pijatyki, a może i do Lebiediewa, z którym jenerał w ostatnich czasach niezwykle się zaprzyjaźnił. Lecz przed trzema dniami nagle pokłócił się z Lebiediewem i rozeszli się w strasznej złości, a nawet i z księciem była jakaś scena. Kola prosił księcia o wyjaśnienie i zaczął wkońcu podejrzewać, że i on jakgdyby nie chciał mu czegoś powiedzieć. Jeżeli zaś zaszła, jak przypuszczał z wszelkiem prawdopodobieństwem Gania, jakaś szczególna rozmowa między Hipolitem i Niną Aleksandrowną, dziwna rzecz, że ten zły jegomość, którego Gania wprost nazwał plotkarzem, nie widział przyjemności w objaśnieniu również i Koli. Bar-

dzo być może, iż nie był to już taki zły „smarkacz", jakim go przedstawił Gania, jego złość była może innego rodzaju, a i Ninie Aleksandrownie czyż dlatego tylko powtórzył swoje spostrzeżenia, żeby „jej rozerwać serce"? Nie zapominajmy, że przyczyny działań ludzkich są zazwyczaj o wiele bardziej złożone i różnorodne, niż my je sobie potem wyobrażamy i rzadko dadzą się ściśle określić. Dlatego też niekiedy lepiej, aby opowiadający ograniczał się do prostego podania zdarzeń. Tak też zrobimy przy dalszem wyjaśnieniu obecnej katastrofy z jenerałem.

Wypadki te następowały jedne po drugich w takim mianowicie porządku.

Kiedy Lebiediew po wyprawie swej do Petersburga dla odszukania Fierdyszczenki powrócił tego samego dnia wraz z jenerałem, nic szczególnego księciu nie powiedział. Gdyby książę w owym czasie nie był tak roztargniony i pochłonięty innemi, ważnemi dla niego wrażeniami, mógłby łatwo zauważyć, że w ciągu następnych dwóch dni Lebiediew nietylko mu nie udzielił żadnych wyjaśnień, lecz nawet przeciwnie, jakgdyby niewiadomo dlaczego, sam unikał spotkania z nim. Zwróciwszy wreszcie na to uwagę, książę zdziwił się, że przez te dwa dni, w czasie przypadkowych spotkań z Liebiediewem, przypominał go sobie jako dziwnie promieniejącego i prawie zawsze w towarzystwie jenerała. Dwaj przyjaciele nie rozstawali się ani na chwilę. Książę słyszał niekiedy dochodzące do niego z góry głośne i ożywione rozmowy, wesołe śmiechy i kłótnie; raz nawet późnym wieczorem doszły do niego dźwięki nagle i niespodzianie rozlegającej się wojenno-bachicznej pieśni i z łatwością poznał ochrypły głos jenerała. Rozlegająca się pieśń nie trwała jednak długo i nagle umilkła. Potem z godzinę jeszcze ciągnęła się niezmiernie ożywiona i najwyraźniej pijacka rozmowa. Można się było domyślać, że zabawiający się na górze przyjaciele ściskali się i któryś z nich wkońcu się rozpłakał. Następnie znów wybuchła silna kłótnia, która również prędko i nagle się przerwała. Przez cały ten czas Kola był w jakiemś dziwnie frasobliwem usposobieniu. Książę po większej części nie siedział w domu i powracał niekiedy do siebie bardzo późno; mówiono mu zawsze, że Kola przez

cały dzień go szukał i pytał o niego. Gdy się jednak spotykali, Kola nie mógł powiedzieć nic osobliwego, prócz tego, że jest stanowczo „niezadowolony“ z jenerała i z obecnego jego postępowania: „włóczą się, hulają niedaleko tu w knajpie, ściskają się i wymyślają sobie na ulicy, podburzają się wzajemnie i rozstać się nie mogą“. Kiedy książę zwrócił mu uwagę, że i dawniej tak bywało i to niemal codziennie, Kola istotnie nie wiedział, co na to odpowiedzieć i jak wyjaśnić, na czem właściwie polega obecne jego zaniepokojenie.

Rano, po bachicznej pieśni i po kłótni, gdy książę około godziny jedenastej wychodził z domu, zjawił się nagle przed nim jenerał, niezwykle czemś wzruszony, niemal, że przejęty.

— Dawno już szukałem sposobności i zaszczytu spotkania pana, jaśnie oświecony Leonie Mikołajowiczu, dawno już, bardzo dawno, — mamrotał, nadzwyczaj usilnie, ściskając aż do bólu rękę księcia. — Bardzo, bardzo dawno.

Książę poprosił go, aby usiadł.

— Nie, nie usiądę, zwłaszcza, że zatrzymuję księcia, ja — kiedy indziej. Zdaje się, że mogę przytem powinszować księciu... spełnienia... pragnień serca.

— Jakich pragnień serca?

Książę zmieszał się. Wydawało mu się, tak, jak wielu innym w jego położeniu, że na pewno nikt nie widzi, niczego się nie domyśla i nic nie rozumie.

— Niech pan będzie spokojny, niech pan będzie spokojny! Nie dotknę delikatnych uczuć. Sam tego doświadczałem i sam wiem, gdy ktoś obcy... że tak powiem zgodnie z przysłowiem, ...nos wtyka, tam, gdzie nie proszą. Doświadczam tego co rano. W innej sprawie przyszedłem, w ważnej sprawie. W bardzo ważnej sprawie, proszę księcia.

Książę po raz drugi poprosił go, by usiadł i sam usiadł.

— Chyba, że na jedną sekundę... Przyszedłem po radę. Ja, oczywiście żyję bez praktycznych celów, ale szanując samego siebie i... zaradność, której, naogół biorąc, tak brak Rosjanom... pragnę zachować sobie i żonie mojej i dzieciom pewną pozycję... jednem słowem, książę, szukam rady.

Książę pochwalił gorąco jego zamierzenia.

— No, wszystko to głupstwo, — przerwał szybko jenerał, — właściwie ja nie o tem, o czemś innem, o czemś ważnem. I właśnie księciu, Leonie Mikołajewiczu, zdecydowałem się wyjaśnić, jako człowiekowi, w którego szczerość i szlachetność uczuć wierzę, jak... jak... Księcia nie dziwią moje słowa?

Książę śledził swego gościa, jeśli już nie ze szczególnem zdziwieniem, to z nadzwyczajną uwagą i ciekawością. Starzec był nieco blady, usta jego chwilami nieco drżały, ręce jakby nie zdołały znaleźć sobie miejsca. Siedział dopiero kilka minut a już dwa razy zdążył się podnieść niewiadomo poco, potem znów siadał, nie zwracając oczywiście najmniejszej uwagi na swe postępowanie. Na stole leżały książki; wziął jedną z nich, nie przestając mówić, zajrzał do niej, znów zamknął i położył na stole, złapał drugą książkę, której już nie otwierał, ale zato do końca trzymał w prawej ręce, bez przerwy machając nią w powietrzu.

— Dosyć! — zawołał nagle. — Widzę, że księcia mocno zaniepokoiłem.

— Ależ bynajmniej, proszę bardzo, przeciwnie, słucham uważnie i chciałbym się dowiedzieć...

— Książę. Chcę postawić samego siebie w godnem położeniu... chcę poważać samego siebie i prawa... swoje.

— Człowiek takich pragnień już przez to samo godzien jest szacunku.

Książę wypowiedział to zdanie, jakby z wzorku do kaligrafji, w mocnem przekonaniu, że wywrze jak najlepsze wrażenie. Domyślił się instynktownie, że tego rodzaju pustem, lecz miłem powiedzeniem, wypowiedzianem w porę, można nagle ukoić i uspokoić duszę takiego człowieka, a zwłaszcza w takiem położeniu, w jakiem znajdował się jenerał. W każdym razie trzeba było wypuścić takiego gościa z ukojonem sercem i to było księcia zadaniem.

Zdanie pochlebiło, wzruszyło i bardzo się spodobało; generał nagle się rozczulił, w mgnieniu oka zmienił ton i wdał się w długie objaśnienia. Książę jednak pomimo całego naprężenia umysłu i wsłuchiwania się nic dosłownie zrozumieć nie mógł. Generał mówił przez dziesięć minut gorączkowo, pośpiesznie, jakgdyby nie mógł nadążyć z wypowiadaniem

tłoczących się myśli; w końcu nawet łzy zabłysły w jego oczach, ale jednak były to zdania bez początku i końca, nieoczekiwane wyrazy i niespodziane myśli, szybko i nagle przerywane i skaczące jedne przez drugie.

— Dosyć! Zrozumiał mnie pan i jestem spokojny, — zakończył nagle, wstając z krzesła. — Serce takie, jak pana, nie może nie pojąć cierpiącego. Książę szlachetny jest, jak ideał. Co znaczą inni wobec pana? Ale książę młody, więc cię błogosławię. Koniec końców przyszedłem prosić księcia o wyznaczenie mi terminu na dłuższą rozmowę i w tem leży największa moja nadzieja. Ja, książę, szukam jedynie przyjaźni i serca; nigdy nie mogłem dojść do ładu z potrzebami mego serca.

— Ależ, czemu nie zaraz? Gotów jestem wysłuchać...

— Nie, książę, nie! — gorąco przerwał jenerał. — Nie teraz! Teraz jest marzenie! To zbyt ważne, zbyt ważne! Ta godzina rozmowy będzie godziną sądu ostatecznego! To będzie godzina *moja* i nie chciałbym, aby nam mógł przerwać pierwszy lepszy człowiek wchodzący, pierwszy natręt — pochylił się nagle ku księciu z dziwnym, tajemniczym i niemal wystraszonym szeptem, — taki natręt, który nie wart obcasa... od buta z nogi księcia, ukochany mój książę! O, ja nie mówię: z mojej nogi! Proszę szczególną na to zwrócić uwagę, że ja nie mówiłem o swojej nodze, zanadto bowiem się szanuję, aby to powiedzieć bez ogródek; ale tylko książę jeden jest w stanie zrozumieć, że odrzucając w danym przypadku i mój obcas, daję dowód nadzwyczajnego może poczucia godności. Poza księciem nikt inny tego nie pojmie, a przedewszystkiem *on* tego nie zrozumie. *On*, książę, nic nie rozumie; zupełnie, ale to zupełnie nie jest w stanie nic zrozumieć! Trzeba mieć serce, aby zrozumieć! Wkońcu książę niemal się przestraszył i wyznaczył generałowi spotkanie na dzień następny, o tej samej godzinie. Wyszedł tedy generał pewien siebie, niezwykle uradowany i prawie zupełnie spokojny. Wieczorem, o godzinie siódmej, książę wezwał na chwilę do siebie Lebiediewa.

Lebiediew zjawił się z wielkim pośpiechem, „uważając sobie za zaszczyt", jak to drazu oświadczył przy wejściu; jakgdyby i mowy o tem nie było, że przez trzy dni ponie-

kąd się ukrywał i najwidoczniej unikał spotkania z księciem. Usiadł na brzeżku krzesła, z grymasami, z uśmieszkami, ze śmiejącemi się wybałuszonemi oczkami, z zacieraniem rąk i z naiwnym wyrazem twarzy człowieka, spodziewającego się usłyszeć coś nadzwyczajnego, w rodzaju jakiegoś niezwykłego oświadczenia dawno oczekiwanego i przez wszystkich odgadywanego. Książę znów się zmieszał; stało się dla niego jasnem, że wszyscy nagle zaczęli czegoś się od niego spodziewać, że wszyscy patrzą na niego, jakgdyby chcąc mu czegoś powinszować, patrząc z uśmiechami i porozumiewawczo. Keller dwukrotnie już wpadał na chwilkę i też z widoczną chęcią złożenia życzeń; za każdym razem zaczynał mówić górnolotnie i niejasno, nic nie kończył i prędko znikał. (W ostatnich dniach porządnie się gdzieś zapijał i w salach bilardowych wyprawiał wrzaski). Nawet i Kola, pomimo swego smutku, dwa razy zaczynał jakąś niewyraźną z księciem rozmowę.

Książę zapytał Lebiediewa wprost i z pewnem rozdraźnieniem, co on myśli o obecnym usposobieniu generała i dlaczego jest taki niespokojny. Opowiedział mu w krótkich słowach poprzednią scenę.

— Każdy, proszę księcia, miewa swe niepokoje i... zwłaszcza w naszym dziwnym i niespokojnym wieku; tak, proszę księcia, — nieco sucho odpowiedział Lebiediew i, obrażony, umilkł, z wyrazem twarzy człowieka mocno zawiedzionego w swych oczekiwaniach.

— Cóż za filozofja! — uśmiechnął się książę.

— Filozofja potrzebna, proszę księcia, bardzoby się przydała w naszym wieku w praktycznem zastosowaniu, ale nią pogardzają, proszę księcia, tak. Z mojej zaś strony, wielce szanowny książę, chociaż bywałem zaszczycony zaufaniem księcia w pewnym wiadomym księciu, szczególe, lecz do wiadomego jedynie stopnia i nigdy poza okoliczności, będące w związku z tym właśnie punktem... Rozumiem to i bynajmniej się nie skarżę.

— Lebiediew, pan tak jakby się na mnie o coś gniewał?

— Bynajmniej, ani nawet... wielce szanowny i najpromienniejszy książę, ani nawet! — z uniesieniem zawołał

Lebiediew, przykładając rękę do serca. A przeciwnie, właśnie i wtedy pojąłem, że ani stanowiskiem w świecie, ani rozwojem umysłu i serca, ani nagromadzeniem bogactw, ani poprzedniem mojem życiem, ani wiadomościami, — niczem nie zasłużyłem na zaszczytne zaufanie księcia; a jeśli mogę służyć księciu, to jako niewolnik i najemnik, nie inaczej... ja się nie gniewam, lecz martwię.

— Lucjanie Timofiejewiczu, na miłość Boską!

— Ależ tak jest. Tak jest i teraz, w tym przypadku! Spotykając księcia i śledząc za księciem sercem i myślą, mówiłem sobie: przyjacielskich stosunków nie jestem godzien, ale w charakterze gospodarza domu mógłbym może otrzymać w odpowiedniej chwili, w oczekiwanym terminie, że tak powiem, polecenie lub może zawiadomienie w sprawie wiadomych i mających nastąpić zmian...

Mówiąc to, Lebiediew wpił się bystremi oczkami w patrzącego na niego ze zdumieniem księcia, nie tracąc jeszcze nadziei zaspokojenia swej ciekawości.

— Stanowczo nic z tego nie rozumiem — zawołał książę niemal z gniewem. — I... okropny z pana intrygant! — roześmiał się nagle jak najserdeczniej.

Natychmiast roześmiał się i Lebiediew a rozjaśnione jego spojrzenie dowodziło, że nadzieje jego się wzmocniły.

— I wie pan, co panu powiem, Lucjanie Timofieiczu? Niech się pan tylko na mnie nie gniewa, ale dziwię się pańskiej naiwności, i nietylko pańskiej. Pan teraz z taką naiwnością czegoś ode mnie oczekuje i to właśnie teraz, w tej chwili, że mi nawet wstyd przed panem, że nie znajduję nic takiego, czem mógłbym pana zadowolić; i przysięgam panu, że rzeczywiście, niech pan sobie wyobrazi!

Książę znów się roześmiał.

Lebiediew sposępniał. Prawda, że bywał niekiedy zbyt naiwny i natrętny w swej ciekawości; jednocześnie jednak był człowiekiem dość chytrym i przebiegłym, a w niektórych przypadkach nawet zbyt podstępnie milczącym; ciągłem odpychaniem książę wyrobił sobie w nim niemal wroga. Odpychał go jednak książę nie dlatego, żeby nim pogardzał, lecz ze względu na przedmiot zaciekawienia. Niektóre swoje marzenia rozpatrywał książę jeszcze przed kilku dniami jak

przestępstwo, a Lucjan Timofieicz przyjmował odprawę księcia jako osobisty wstręt do siebie i nieufność, odchodził z sercem zranionem i zazdrosny był w stosunku do księcia nietylko o Kolę i Kellera, lecz nawet i o rodzoną swą córkę, Wierę Łukjanownę. I w tej samej chwili byłby może szczerze chciał donieść księciu pewną ważną dla niego wiadomość, ale ponuro zamilkł i nic nie powiedział.

— Czemże właściwie mogę służyć wielce szanownemu księciu, gdyż jednak książę mnie teraz... wezwał? — wyrzekł nareszcie po chwili milczenia.

— A ja właśnie o jenerale, — wstrząsnął się książę, który również na chwilę się zamyślił, — i... w sprawie tej pańskiej kradzieży, o której mi pan doniósł...

— A więc to o tem?

— Masz tobie, czyż mnie pan znów teraz nie rozumie? Ach, Boże, Lucjanie Timofieiczu, jakąż pan odgrywa rolę? Pieniądze, pieniądze, czterysta rubli, które pan wtedy stracił, w pugilaresie i o których pan mi tu rano przyszedł opowiedzieć, wyjeżdżając do Petersburga — zrozumiał pan nareszcie?

— Ach, to książę o tych czterystu rublach! — odezwał się Lebiediew, jak gdyby dopiero teraz się tego domyślając. — Dziękuję księciu za to serdeczne współczucie; bardzo mi ono pochlebia, ale... ja je znalazłem i to oddawna.

— Znalazł pan! Ach, chwała Bogu!

— Okrzyk księcia jest jak najszlachetniejszy, gdyż czterysta rubli — to nie mała rzecz dla biednego, z trudem utrzymującego się człowieka, z liczną rodziną sierot...

— Ależ ja nie z tego powodu! Oczywiście i z tego się cieszę, że pan znalazł, — poprawił się pośpiesznie książę — ale... w jaki sposób pan znalazł?

— Nadzwyczaj prosto, znalazłem pod krzesłem, na którem wisiał surdut, tak że, ma się rozumieć, pugilares wyślizgnął się z kieszeni na podłogę.

— Jakto, pod krzesło? To niemożebne, przecież mi pan mówił, że przeszukał pan wszystkie kąty; jakże więc pan przeoczył to najważniejsze miejsce?

— Otóż to, że patrzałem! Znakomicie, znakomicie pamiętam, że patrzałem. Na czworakach pełzałem, obmacy-

wałem to miejsce rękami, odstawiwszy krzesło i własnym oczom nie wierząc; i widzę, że nic niema, puste i gładkie miejsce, ot tak, jak moja dłoń, a jednak nie przestawałem macać. Podobny brak inicjatywy występuje zawsze u człowieka, gdy się bardzo chce coś znaleźć... przy znacznych i ciężkich stratach, a tu widzi, że niema nic, puste miejsce, a jednak z piętnaście razy jeszcze zagląda.

— Tak, dajmy na to; ale jednak jakże to?... Nic nie rozumiem — mamrotał książę zmieszany. — Mówił pan przedtem, że nic tam nie było, pan to miejsce przeszukał i nagle się tam właśnie odnalazło?

— A tak, nagle się odnalazło.

Książę dziwnie spojrzał na Lebiediewa.

— A jenerał? — zapytał nagle.

— To jest, proszę księcia, co jenerał? — znów nie zrozumiał Lebiediew.

— Ach, Boże mój! Pytam, co powiedział jenerał, gdy pan pod krzesłem znalazł pugilares? Przecieżeście przedtem wspólnie szukali.

— Przedtem wspólnie, proszę księcia. Ale tym razem przyznam się, że przemilczałem i uznałem za właściwe nie mówić, że pugilares znalazłem sam.

— Ale... dlaczego tak? A pieniądze są wszystkie?

— Otwierałem pugilares; są wszystkie, nie brak ani jednego rubla.

— Trzeba było chociaż mnie donieść — zauważył książę w zamyśleniu.

— Bałem się osobiście niepokoić przy księcia osobistych i może niezwykłych wrażeniach; a poza tem udawałem, że nic nie odnalazłem. Pugilares otworzyłem, obejrzałem, zamknąłem zpowrotem i znów położyłem pod krzesłem.

— Ależ dlaczego?

— Tak sobie, proszę księcia, wprost dla ciekawości — zachichotał Lebiediew, zacierając ręce.

— Więc on i teraz tam leży, już od trzech dni.

— O nie, proszę księcia; poleżał tylko dwadzieścia cztery godziny. Widzi książę, chciałem potrosze, aby i jenerał go odnalazł. Dlatego, że, jeżeli ja wkońcu znalazłem,

to dlaczegóżby i jenerał nie miał zauważyć przedmiotu, że tak powiem, rzucającego się w oczy, sterczącego z pod krzesła. Kilkakrotnie podnosiłem to krzesło i przestawiałem je, tak, że pugilares leżał zupełnie na widoku, ale jenerał zupełnie go nie zauważał i tak było przez całe dwadzieścia cztery godziny. Bardzo już teraz jest roztargniony, nie można z nim dojść do ładu; mówi, opowiada, śmieje się, a to znów strasznie się na mnie rozgniewa, niewiadomo z jakiego powodu. Zaczęliśmy wkońcu wychodzić z pokoju, zostawiam przytem umyślnie drzwi otwarte; wahał się jakoś, chciał coś powiedzieć, pewno przestraszył się o pugilares z tylu pieniędzmi, ale nagle, okropnie się rozgniewał i nic nie powiedział; nie przeszliśmy dwóch kroków na ulicy, rzucił mnie i przeszedł na drugą stronę. Dopiero wieczorem spotkaliśmy się w restauracji.

— Ale wkońcu wziął pan pugilares z pod krzesła?

— Nie, proszę księcia; bo tejże samej nocy pugilares ulotnił się.

— Gdzież więc jest obecnie?

— Otóż tutaj, — roześmiał się Lebiediew, wstając z krzesła i prostując się na całą swoją wysokość i mile spoglądając na księcia. — Znalazł się nagle tutaj, w moim własnym surducie. O, niech książę będzie łaskaw sam zobaczyć, proszę pomacać.

Istotnie w lewej części surduta, z samego przodu, w miejscu widocznem,utworzył się jakby worek i za dotknięciem można było zaraz poznać, że jest to skórzany pugilares, który wypadł tu z podartej kieszeni.

— Wyjmowałem i patrzałem — wszystko było całe. Wpuściłem zpowrotem i tak chodzę od wczoraj, noszę go pod podszewką, że tłucze nawet po nogach.

— A pan na to nie zwraca uwagi?

— A ja na to nie zwracam uwagi, ha — ha! I niech pan sobie wyobrazi, wielce szanowny książę — chociaż sprawa nie zasługuje na szczególną uwagę księcia, — moje kieszenie są zawsze caluteńkie, a tu nagle, w przeciągu jednej nocy, taka dziura! Zacząłem się przypatrywać z coraz większą ciekawością, jakgdyby kto przeciął scyzorykiem, niemal nieprawdopodobne!

— A... jenerał?

— Cały dzień się gniewał i wczoraj i dziś; bardzo niezadowolony; to wesół i schlebiający, to uczuciowy aż do łez, a to się nagle rozzłości do tego stpnia, że ja się boję, proszę księcia; nie jestem człowiekiem wojowniczym. Wczoraj siedzimy w traktjerni, a tu poła mego surdutu jakby umyślnie wysunęła się naprzód, sterczy, on patrzy na nią zpodełba, gniewa się. Prosto w oczy dawno już mi nie patrzy, chyba, że jest już bardzo podchmielony, albo rozczulony; wczoraj jednak dwa razy tak spojrzał, że przeszedł mnie dreszcz. Ja zresztą mam zamiar jutro pugilares odnaleźć, a do jutra jeszcze się nim przez wieczór pobawię.

— Za co go pan tak męczy?! — zawołał książę.

— Nie męczę, książę, nie męczę, — gorąco podchwycił Lebiediew. — Ja go szczerze lubię i... cenię; a teraz, czy mi książę uwierzy, stał mi się on jeszcze droższy: jeszcze go bardziej cenię.

Lebiediew powiedział to wszystko tak poważnie i szczerze, że aż się książę oburzył.

— Lubi go pan, a tak go pan męczy! Na miłość Boską, już przez to samo, że on tak na widocznem miejscu położył panu zgubę, pod krzesłem i w surducie, już przez to samo chce panu wprost pokazać, że nie chce z panem używać wybiegów, lecz otwarcie prosić pana o przebaczenie. Słyszy pan: prosi o przebaczenie! On widocznie liczy na delikatność pańskich uczuć i wierzy w przyjaźń pana dla niego. A pan do takiego poniżenia doprowadza takiego... najpoczciwszego z ludzi.

— Najpoczciwszego, książę, najpoczciwszego! — podchwycił Lebiediew z błyszczącemi oczami. — I właśnie jeden tylko najszlachetniejszy książę był w stanie wyrzec tak pełne sprawiedliwości słowo! Za to samo oddany jestem księciu aż do ubóstwienia, choć jestem pełen ułomności! Zrobione! Odnajduję pugilares teraz zaraz, natychmiast, a nie jutro; oto wyjmuję go w oczach księcia; oto jest; oto i pieniądze; niechże je książę weźmie i przechowa do jutra. Odbiorę je jutro lub pojutrze; a wie książę, najwidocz-

niej przez pierwszą noc przeleżały one gdzieś w moim ogródku, pod kamykiem.

— Ale niech pan uważa, niechże mu pan tak nie mówi prosto w oczy, że pugilares się znalazł. Niech on sobie sam zauważy, że w surducie nic już nie wisi, to zrozumie.

— Tak? A czy nie lepiej powiedzieć, że znalazłem i udać, że się do tej chwili nie domyślałem?

— N-nie, — zamyśślił się książę — n-nie, teraz już za późno; to niebezpieczne; naprawdę, lepiej, niech pan nie mówi! A z nim niech pan będzie dobry, ale... niech pan zanadto nie udaje, i... i... wie pan...

— Wiem, książę, wiem, to jest wiem, ale tego nie zrobię; trzebaby mieć takie serce, jak książę. Przytem sam już jestem rozdrażniony, zbyt on już teraz niekiedy traktuje mnie z góry: to szlocha i ściska mnie, to znów zacznie mnie poniżać i pogardliwie ze mnie szydzić; kiedy tak, to ja naumyślnie wystawiam połę surduta, ha — ha! Do widzenia księciu, gdyż najwidoczniej zatrzymuję i przeszkadzam w ciekawszych, że tak powiem, zainteresowaniach.

— Ale na miłość Boską, poprzednia tajemnica!

— Cichemi krokami, cichemi krokami!

Ale chociaż sprawa była załatwiona, książę pozostał zakłopotany, bodaj jeszcze więcej, niż poprzednio. Oczekiwał z niecierpliwością jutrzejszego spotkania z jenerałem.

XIV

Naznaczona była godzina dwunasta, lecz najzupełniej niespodziewanie książę spóźnił się. Powróciwszy do domu, zastał u siebie oczekującego jenerała. Na pierwszy rzut oka zauważył jego niezadowolenie, wywołane, być może, koniecznością czekania. Wytłumaczywszy się, książę czem prędzej usiadł, ale dziwnie jakoś onieśmielony, jakgdyby gość jego był porcelanowy i zachodziła obawa rozbicia. Przedtem nigdy nie był tak onieśmielony z jenerałem, nie przychodziło mu to nawet do głowy. Wkrótce zdał sobie książę sprawę, że jest to zupełnie inny człowiek, niż wczoraj; zamiast zmieszania i roztargnienia wystąpiła jakaś niezwykła

powściągliwość, można było wnioskować, że jest to człowiek zdecydowany na coś zasadniczego. Spokój był zresztą raczej pozorny, niż istotny. W każdym razie gość był swobodny, choć zachowywał się z pewną dostojną powściągliwością; z początku nawet zwracał się do księcia z wyrazem twarzy, pełnym łaskawości — tak właśnie, jak to czynią niekiedy osoby dumne, niesprawiedliwie dotknięte. Przemawiał uprzejmie, choć nie bez pewnego żalu w głosie.

— Oto pańska książka, którą przedtem od pana wziąłem, — kiwnął głową w stronę przyniesionego przez siebie tomu, leżącego na stole. — Dziękuję.

— Ach tak; przeczytał pan ten artykuł, jenerale? Jak się panu podoba? Wszak ciekawy? — ucieszył się książę z możności rozpoczęcia rozmowy na inny temat.

— Ciekawy, i owszem, ale prostacki i, ma się rozumieć, głupi! A może nawet i łgarstwo na każdym kroku.

Jenerał mówił z pewnością siebie, rozciągając nawet nieco wyrazy.

— Ach, to takie naiwne opowiadanie i opowieść starego żołnierza, świadka pobytu Francuzów w Moskwie; niektóre ustępy — rozkoszne. Przytem wszelkie pamiętniki naocznych świadków to rzeczy cenne, niezależnie od tego, kto był tym naocznym świadkiem. Nieprawdaż?

— Na miejscu redaktora jabym tego nie ogłaszał; co się zaś tyczy wogóle pamiętników świadków naocznych, łatwiej dadzą wiarę ordynarnemu łgarzowi, niż człowiekowi szanownemu i zasłużonemu. Znam pewne pamiętniki z roku dwunastego, które... Ja, książę, postanowiłem opuścić ten dom, — dom pana Lebiediewa.

Jenerał porozumiewawczo spojrzał na księcia.

— Pan ma mieszkanie w Pawłowsku, u... u... swojej córki... — rzekł książę, nie wiedząc co powiedzieć.

Przypomniał sobie, że przecież jenerał przybył zasięgnąć rady w ważnej sprawie, od której zależą jego losy.

— U mojej żony; inaczej mówiąc u siebie i w domu mojej córki.

— Przepraszam, ja...

— Wyprowadzam się od Lebiediewa dlatego, miły mój książę, dlatego, że z człowiekiem tym zerwałem sto-

sunki; zerwałem je wczoraj wieczorem, żałując, że nie zrobiłem tego wcześniej. Wymagam szacunku, proszę księcia i chcę być szanowany również i przez te osoby, które, że tak powiem, darzę swem sercem. Książę, ja często obdarzam swem sercem i prawie zawsze zostaję oszukany. Człowiek ten nie jest godzien mojego daru.

— Dużo w nim przeróżnej gmatwaniny, — ostrożnie zauważył książę, — i niektóre rysy... ale w tem wszystkiem kryje się serce oraz przebiegły a niekiedy zabawny umysł.

Delikatność wyrażeń, ton pełen szacunku pochlebiły widocznie jenerałowi, choć ciągle jeszcze spoglądał z pewną podejrzliwością. Ton księcia był jednak tak naturalny i szczery, że nie można było mieć wątpliwości.

— Że posiada on i dodatnie cechy, — podchwycił jenerał, — pierwszy na to zwróciłem uwagę i o mało nie obdarzyłem tego jegomościa swoją przyjaźnią. Nie potrzebuję zarówno jego domu, jak i jego gościnności, mając własną rodzinę. Wad swych nie usprawiedliwiam; jestem niepowściągliwy; piłem z nim i teraz opłakuję to. Ale przecież nie dla samego picia (przepraszam księcia za tę ordynarną szczerość człowieka rozdrażnionego), nie dla samego picia się z nim związałem. Mnie właśnie pociągnęły te, jak je książę nazywa, dodatnie rysy. Ale i te są ograniczone; i jeżeli on nagle, w żywe oczy, ma czoło zapewnić, że w roku dwunastym, będąc jeszcze dzieckiem, odciął sobie lewą nogę i pogrzebał ją na cmentarzu Wagańkowskim, w Moskwie, to już przekracza wszelkie granice, zdradza brak szacunku, dowodzi bezczelności...

— Może to był żart tylko dla rozśmieszenia.

— Rozumiem. Niewinne łgarstwo dla śmiechu, choćby ordynarne, nie obraża serca ludzkiego. Niejeden, jeśli pan chce, kłamie wprost z przyjaźni, żeby zrobić przyjemność towarzyszowi; jeżeli jednak przebija się w tem brak poszanowania, jeżeli właśnie chcą przez to okazać, że pewne związki ciążą, to szlachetnemu człowiekowi nie pozostaje nic innego, jak odwrócić się i zerwać związki, wskazując w ten sposób obrażającemu jego właściwe miejsce.

Mówiąc to, nawet zaczerwienił się jenerał.

— Tak, Lebiediew nawet nie mógł być w Moskwie w roku dwunastym, jest nato za młody; to zupełnie śmieszne.

— Po pierwsze to; przypuśćmy jednak, że on się wtenczas mógł urodzić; jakże jednak można w kogoś wmawiać, że francuski strzelec nastawił na niego armatę i odstrzelił mu nogę, tak, dla zabawy; że on tę nogę podniósł i zaniósł do domu, a następnie pogrzebał ją na Wagańkowskim cmentarzu i twierdzi, że postawił nad nią pomnik z napisem po jednej stronie: „tu leży noga kolegjalnego sekretarza Lebiediewa", a z drugiej: „spoczywaj, miły prochu, do radosnego jutra" i nakoniec, że rok rocznie odprawia za nią nabożeństwo (co już jest świętokradztwem) i dlatego raz na rok jeździ do Moskwy. Chcąc tego dowieść, zaprasza do Moskwy dla pokazania mogiły i nawet tej samej francuskiej armaty na Kremlu, która dostała się tam jako zdobycz; zapewnia, że leży jedenasta od wejścia, francuski falkonet dawnego systemu.

— A przytem przecież on ma obie nogi całe, jak się zdaje — roześmiał się książę. — Zapewniam pana, że to niewinny żart, niech się pan nie gniewa.

— Pozwoli książę, że i ja to rozumiem; co się tyczy nóg, to jeszcze, napozór, dajmy na to niezupełnie nieprawdopodobne; zapewnia, że noga czernoswitowska...

— Ach tak, mówią, że z czernoswitowską nogą tańczyć można.

— Wiem o tem doskonale; kiedy bowiem Czernoswitow wynalazł tę nogę, przedewszystkiem przybiegł mi ją pokazać. Ale czernoswitowską nogę wynaleziono o wiele później... Zapewnia przytem, że nieboszczka żona jego, przez cały czas ich pożycia, nie wiedziała, że on, mąż jej, ma drewnianą nogę. „Jeśli ty, powiada, gdym mu wymówił wszystkie te niedorzeczności, — jeśli ty w roku dwunastym byłeś paziem Napoleona, to pozwól i mnie pogrzebać moją nogę na Wagańkowskim".

— A czy pan... — zaczął książę i zmieszał się.

Jenerał również jakby się trochę zmieszał, ale w tej samej chwili spojrzał na księcia z góry i niemal szyderczo.

— Niech książę dogaduje, — rzekł ze szczególnym

naciskiem, — niech książę dogaduje. Ja jestem pobłażliwy, niech książę mówi, co chce: niech pan przyzna, że wprost bawi pana myśl widzieć przed sobą człowieka w obecnem jego poniżeniu, i... bezużyteczności, a jednocześnie słyszeć, że ten człowiek był naocznym świadkiem... wielkich wydarzeń. Czy on nic jeszcze nie zdążył księciu naplotkować?

— Nie, nic nie słyszałem od Lebiediewa, — jeśli pan mówi o Lebiediewie...

— Hm!.. przypuszczałem, że było inaczej. Właściwie to i rozmowa zawiązała się wczoraj między nami z powodu tego... dziwnego artykułu w Archiwach. Zauważyłem jego niedorzeczność, a ponieważ sam byłem naocznym świadkiem... książę się uśmiecha, książę patrzy, jak ja wyglądam?

— N-nie, ja...

— Ja napozór młodo wyglądam, — przeciągał jenerał wyrazy, — lecz właściwie jestem starszy, niż na to wyglądam. W roku dwunastym miałem jakieś dziesięć, czy jedenaście lat. W wykazie stanu służby ujęto mi ich; ja sam miałem tę słabość, że przez całe życie ujmowałem sobie lata.

— Zapewniam pana, jenerale, że bynajmniej się nie dziwię, że pan w dwunastym roku był w Moskwie i... bezwątpienia może pan równie dobrze o tem mówić... jak i wszyscy inni, którzy tam byli. Jeden z naszych autobiografów zaczyna swą książkę właśnie od tego, że w roku dwunastym jego, jako dzieciątko przy piersi, w Moskwie, karmili chlebem francuscy żołnierze.

— No widzi pan — pobłażliwie potwierdził jenerał — mój przypadek wychodzi oczywiście poza ramy rzeczy zwykłych, nie zawiera jednak w sobie nic nadzwyczajnego. Bardzo często prawda wydaje się niemożliwą. Paź! Dziwne to, ma się rozumieć. Przypadek wszakże z dziesięcioletniem dzieckiem tłumaczy się może jego wiekiem. Z piętnastoletniem nie miałoby to miejsca i to z całą pewnością, gdyż, mając piętnaście lat, nie uciekłbym z naszego drewnianego domu na Starej Basmannej, w dniu wkroczenia Napoleona do Moskwy, od mojej matki, która nie zdążyła wyjechać z Mo-

skwy i drżała ze strachu. Mając piętnaście lat, byłbym stchórzył, a w dziesiątym roku życia niczego się nie zląkłem i przedostałem się poprzez tłum aż do samego ganku pałacu, w chwili, gdy Napoleon schodził z konia.

— Bez wątpienia, słusznie pan zauważył, że właśnie mając dziesięć lat, można było się nie bać... — potakiwał książę, coraz bardziej onieśmielony i umęczony myślą, że lada chwila się zaczerwieni.

— Tak jest i wszystko odbyło się w sposób tak prosty i naturalny, jak tylko być może; a niech się do tego weźmie powieściopisarz, naplecie bzdurstw i rzeczy nieprawdopodobnych.

— O tak! — zawołał książę. — Myśl ta uderzyła mnie również i to niedawno. Wiem o jednem istotnem zabójstwie o zegarek — pisali o tem już teraz w dziennikach. Niechby to wymyślił jaki autor — znawcy życia ludu i krytycy, krzyknęliby zaraz, że to nieprawdopodobne, a jeśli to się przeczyta w gazetach jako fakt, czuje się, że z takich właśnie faktów poznaje się rosyjską rzeczywistość. Doskonale to pan zauważył, jenerale — gorąco zakończył książę, niezmiernie uradowany, że mógł tym razem uniknąć rumieńca na twarzy.

— Nieprawdaż? Nieprawdaż? — zawołał jenerał, aż oczy jego błysnęły zadowoleniem. — Chłopczyk, dzieciak, nie rozumiejący niebezpieczeństwa, przeciska się przez tłum, żeby zobaczyć blask, mundury, świtę i wreszcie wielkiego człowieka, o którym tak dużo mu nagadali. Wtedy bowiem, przez kilka lat zrzędu, ciągle o nim krzyczeli. Świat pełen był tego imienia; wyssałem je, że tak powiem, z mlekiem matki. Napoleon, przechodząc w odległości dwóch kroków, przypadkowo zauważa moje spojrzenie; wyglądałem przecież jak paniczyk, ubierano mnie dobrze. W całym tym tłumie ja tylko jeden byłem taki, przyzna pan...

— Niewątpliwie, musiało go to uderzyć i dowiodło mu, że nie wszyscy wyjechali i że została i szlachta z dziećmi.

— Otóż to, otóż to! Chciał przyciągnąć panów. Gdy rzucił na mnie orlim wzrokiem, oczy moje widocznie, odbłysnęły mu w odpowiedzi: „Voilà un garçon bien éveillé! Qui est ton père?“ Natychmiast odpowiedziałem mu, tracąc niemal oddech ze wzruszenia: „jenerał, zginął na polu swej oj-

czyzny". „Le fils d'un boyard et d'un brave par dessus le marché! J'aime les boyards. M'aimes-tu petit?" Na to niespodziane pytanie również szybko odpowiedziałem: „rosyjskie serce jest w stanie nawet we wrogu swej ojczyzny uznać wielkiego człowieka!" To jest, ściśle mówiąc, nie pamiętam, czy dosłownie tak właśnie się wyraziłem... byłem dzieckiem... myśl jednak była na pewno taka! Napoleona uderzyło to, zamyślił się i rzekł do swojej świty: „podoba mi się duma tego dziecka! Ale jeżeli wszyscy Rosjanie tak myślą, jak to dziecię, to..." Nie dokończył i wszedł do pałacu. Ja wtedy przyłączyłem się do świty i pobiegłem za nim. W świcie rozstępowali się już przede mną i patrzyli na mnie, jak na faworyta. Wszystko to jednak było tylko jakby błysk... Pamiętam jedynie, że wchodząc do pierwszej sali, cesarz zatrzymał się nagle przed portretem cesarzowej Katarzyny, długo na niego patrzał w zamyśleniu i wkońcu powiedział: „To była wielka kobieta!" i odszedł. Po upływie dwóch dni wszyscy w pałacu i na Kremlu znali mnie już i nazywali „le petit boyard". Chodziłem do domu tylko na noc. W domu o mało nie powarjowali. Dwa dni później umiera paź Napoleona, baron de Bazaincourt, który nie przeniósł marszu. Napoleon przypomniał sobie mnie; wzięli mnie, przyprowadzili, nie mówiąc o co chodzi, przymierzyli mi mundur nieboszczyka, dwunastoletniego chłopca i gdy już byłem w mundurze zaprowadzili do cesarza i on łaskawie kiwnął mi głową, oznajmili, że dostąpiłem łaski i zaliczony zostaję do paziów jego cesarskiej mości. Ucieszyłem się, gdyż istotnie odczuwałem do niego i to oddawna gorącą sympatję... no, a poza tem, zgodzi się pan, że błyszczący mundur przedstawia dla dziecka dużo... Chodziłem w ciemno-zielonym fraku, z długiemi i wąskiemi połami; złote guziki, czerwone wypustki na rękawach ze złotym haftem, wysoki stojący, wykładany kołnierz, haftowany złotem, hafty na połach, białe obcisłe spodnie łosiowe, biała, jedwabna kamizelka, jedwabne pończochy, pantofle ze sprzączkami... a podczas spacerów konnych cesarza i jeżeli należałem do orszaku, wysokie sztylpy. Chociaż położenie nie było świetne i już dawały się przewidywać duże klęski, w miarę możności przestrzegano jednak etykiety i to tem ściślej, im bardziej przewidywano owe klęski.

— Tak, oczywiście... bąkał książę mocno zmieszany — pańskie pamiętniki byłyby... nadzwyczaj zajmujące.

Generał oczywiście opowiadał to samo, co jeszcze dnia poprzedniego opowiedział Lebiediewowi, mówił zatem płynnie; znów jednak podejrzliwie i zpodełba spojrzał na księcia.

— Moje pamiętniki, — wyrzekł z większą jeszcze pewnością siebie — mam napisać swe pamiętniki? Nie pociąga mnie to, książę! Jeśli o to chodzi, pamiętniki moje już są napisane, ale... leżą w moim pulpicie. Niechaj, gdy mi oczy przysypią ziemią, niechaj się wtedy pojawią i bezwątpienia zostaną przełożone na inne języki nie dla ich wartości literackiej, lecz z powodu wielkiej wagi faktów, których byłem naocznym świadkiem, chociaż jeszcze jako dziecko; tem bardziej, że jako dziecko, dotarłem do najintymniejszej, że tak powiem, sypialni „wielkiego człowieka"! Słyszałem po nocach jęki tego „olbrzyma w nieszczęściu", nie mógł on wstydzić się jęków i płaczu wobec dziecka, choć już rozumiałem, że przyczyną jego cierpień jest milczenie cesarza Aleksandra.

— A przecież pisał z propozycją pokoju... — nieśmiało odezwał się książę.

— Właściwie nie wiemy dobrze, co pisał, ale pisał dzień w dzień, co godzina, jeden list za drugim! Strasznie był wzburzony. Pewnego razu w nocy, gdy byliśmy sami, rzuciłem się ku niemu z płaczem (o, kochałem go!): „Trzeba, trzeba poprosić o przebaczenie cesarza Aleksandra!" zawołałem. Właściwie powinienem był powiedzieć: „Trzeba się pogodzić z cesarzem Aleksandrem", lecz, jako dziecko, naiwnie wypowiedziałem całą swoją myśl. „O, moje dziecko!— odpowiedział, chodził po pokoju tam i nazad, — o, moje dziecko! — on zupełnie wtedy nie zdawał sobie sprawy, że ja mam dziesięć lat i nawet lubił ze mną rozmawiać. — O, moje dziecko, gotów jestem całować po nogach cesarza Aleksandra, ale zato do króla pruskiego, ale zato do cesarza austrjackiego wieczną mam w sercu nienawiść i... wreszcie... ty się nie znasz na polityce!" Jakgdyby sobie nagle przypomniał z kim mówi i zamilkł, ale oczy jego długo jeszcze rzucały iskry. No, niechże ja teraz opiszę wszystkie te fakty, — a bywałem świadkiem i większych wydarzeń, —

niechże ja je teraz wydam, a wszyscy krytycy, wszystkie te literackie purchawki, wszystkie te zawiści, stronnictwa i... nie, Bóg zapłać za to!

— Co do stronnictw, słusznie to pan zauważył i zupełnie się z panem godzę, — cicho odparł książę po chwili milczenia. — O i teraz niedawno przeczytałem książkę Szarrasa o bitwie pod Waterloo. Książka, oczywiście, poważna i fachowcy zapewniają, że napisana z nadzwyczajną znajomością rzeczy. Ale na każdej stronicy przebija radość z poniżenia Napoleona i gdyby można było odmówić Napoleonowi choćby cienia talentu i w innych bitwach, to, zdaje się, że Szarras bardzoby się z tego cieszył; a to już nieładne w tak poważnem wydawnictwie, jest to już bowiem duch stronnictwa. Czy pan bardzo był wtedy zajęty służbą u... cesarza?

Jenerał był zachwycony. Uwaga księcia powagą swoją i prostotą rozproszyła resztki jego nieufności.

— Szarras! O, ja sam byłem oburzony! Pisałem wtedy do niego, ale... właściwie już teraz nie pamiętam... Pyta pan, czy byłem zajęty służbą? O, nie! Nazywali mnie paziem, ale i wtedy nie brałem tego poważnie. Przytem Napoleon bardzo prędko utracił nadzieję pozyskania Rosjan i, z konieczności zapomniałby i o mnie, którego przyjął przez politykę, gdyby... gdyby nie był mnie osobiście polubił, dziś śmiało powiedzieć to mogę. Mnie zaś pociągało ku niemu serce. Służby nie wymagano i trzeba było od czasu do czasu pokazać się w pałacu i... towarzyszyć cesarzowi na konnych przejażdżkach, to wszystko. Konno jeździłem porządnie. Wyjeżdżał przed obiadem, w świcie bywał zazwyczaj Davoust, byłem ja, mameluk Rustan...

— Constans, — wyrwało się nagle jakoś księciu.

— N-nie, Constansa wtedy nie było; jeździł wtedy z listem... do cesarzowej Józefiny; zamiast niego było dwóch ordynansów, kilku polskich ułanów... no, oto cała świta, poza generałami, rozumie się, i marszałkami, których Napoleon brał ze sobą, żeby wraz z nimi badać teren, rozmieszczenie wojsk, odbyć narady... Najczęściej przebywał przy nim Davoust, jak sobie to teraz przypominam: wysoki, tęgi, opano-

wany, w okularach, ze strasznem wejrzeniem. Z nim najczęściej naradzał się Napoleon. Cenił jego zdanie. Przypominam sobie, jak przez kilka dni się naradzali, Davoust przychodził i rano i wieczór, często się nawet spierali, wreszcie Napoleon jakgdyby zaczął się zgadzać. Byli w gabinecie we dwóch, ja trzeci, niemal przez nich nie zauważony. Nagle wzrok Napoleona przypadkowo pada na mnie, dziwna myśl zabłysła w jego oczach: „Słuchaj, dziecko!—mówi do mnie.— Jak ci się zdaje: jeśli ja przyjmę prawosławie i oswobodzę waszych niewolników, pójdą za mną Rosjanie, czy nie?“ — „Nigdy!“ — krzyknąłem oburzony. Napoleon był zdumiony. „W błyszczących patrjotyzmem oczach tego dziecka, rzekł, odczytałem przekonanie całego rosyjskiego ludu. Dosyć, Davoust! Wszystko to fantazja. Niech pan przedstawi inny projekt“.

— Tak, ale i ten projekt silną zawierał myśl! — rzekł książę, widocznie zainteresowany. — Więc pan przypisuje ten projekt Davoustovi?

— Przynajmniej razem się naradzali. Bez wątpienia była to myśl Napoleona, orla myśl, ale i w drugim projekcie też była myśl... Był to ów znakomity „conseil du lion“, jak sam Napoleon nazwał tę radę Davousta. Polegała ona na tem, żeby zamknąć się na Kremlu z całem wojskiem, pobudować baraki, zabezpieczyć się okopami, porozstawiać armaty, zarżnąć jak największą ilość koni i posolić ich mięso; dostać i jak najwięcej zarekwirować mąki i przezimować do wiosny, a na wiosnę przebić się przez Rosjan. Projekt ten mocno pociągnął Napoleona. Jeździliśmy codziennie dokoła murów kremlowskich, pokazywał, gdzie burzyć, gdzie budować lunetę, gdzie kazamaty, gdzie szereg blokhauzów, — spojrzenie, szybkość, uderzenie. Wszystko było nareszcie zdecydowane; Davoust nalegał na ostateczną decyzję. Znów byli sami we dwóch i ja trzeci. Znów Napoleon chodził po pokoju, ze skrzyżowanemi rękami. Nie mogłem oczy oderwać od jego twarzy, serce mi biło. „Idę“, rzekł Davoust. „Dokąd?“ zapytał Napoleon. „Solić konie“, rzekł Davoust. Napoleon zadrżał, los się przeważył. „A ty, dziecko, odezwał się do mnie nagle, — co myślisz o naszym projekcie?“ Ma się rozumieć, zapytał mnie tak, jak niekiedy człowiek

o wielkim umyśle, w ostatniej chwili, zwraca się do orła lub do reszki. Zamiast do Napoleona, zwracam sią do Davousta i mówię, jakby w natchnieniu: „Wynoś się pan, panie jenerale, pókiś cały!“ Projekt był obalony. Davoust wzruszył ramionami i wychodząc, powiedział szeptem: „Bah. Il devient superstitieux!“ A dnia następnego zarządzono odwrót.

— Wszystko to nadzwyczaj zajmujące, — rzekł książę niezmiernie cicho, — jeżeli wszystko to tak było... to jest, chciałem powiedzieć... poprawił się czem prędzej.

— O, książę! — zawołał jenerał, upojony swojem opowiadaniem do tego stopnia, że może, nie mógłby się już zatrzymać przed największą nawet nieostrożnością, — pan mówi: „wszystko to było!“ Ale było więcej, zapewniam pana, znacznie więcej! To wszystko mizerne fakty, polityczne. Ale powtarzam panu, że byłem świadkiem w nocy przelewanych łez i jęków tego wielkiego człowieka; a tego nikt prócz mnie nie widział! Pod koniec, prawda, on już nie płakał, nie stało łez, lecz tylko niekiedy jęczał; twarz jego jednak powlekały coraz ciemniejsze chmury. Jakgdyby wieczność go ocieniała ponurem skrzydłem swojem. Niekiedy w nocy spędzaliśmy całe godziny sami, w milczeniu — mameluk Rustan chrapał w sąsiednim pokoju; strasznie mocno spał ten człowiek. „Zato jest mi wierny i mojej dynastji“, mawiał o nim Napoleon. Pewnego razu czułem się bardzo źle i nagle spostrzegł łzy w moich oczach; spojrzał na mnie łaskawie: „Żałujesz mnie!“ zawołał: „ty dziecko, a może jeszcze pożałuje mnie inne dziecko, syn mój, le roi de Rome; wszyscy, wszyscy inni mnie nienawidzą, a bracia moi pierwsi sprzedadzą mnie w nieszczęściu!“ Rozpłakałem się i rzuciłem się ku niemu; wtedy i on nie wytrzymał; uściskał mnie i łzy nasze się połączyły. „Trzeba, trzeba napisać do cesarzowej Józefiny!“ ryczałem. Napoleon zadrżał, pomyślał chwilę i rzekł do mnie: „Przypomniałeś mi o trzeciem kochającem mnie sercu; dziękuję ci, mój przyjacielu!“ Natychmiast usiadł i napisał ów list do Józefiny, z którym nazajutrz wyprawił Constansa.

— Doskonale pan zrobił, — powiedział książę. — Oderwał go pan od złych myśli i wzbudził pan w nim dobre uczucia.

— Właśnie, książę i jak pan to ślicznie wyłożył zgodnie z pańskiem sercem! — zawołał jenerał z zachwytem i, rzecz dziwna, prawdziwe łzy zabłysły w jego oczach. — Tak, książę, tak, to był wielki widok! I wie pan, o mało nie wyjechałem za nim do Paryża i oczywiście dzieliłbym z nim pobyt na „upalnej wyspie wygnania", lecz — niestety, drogi nasze się rozeszły. Rozeszliśmy się: on — na upalną wyspę, gdzie może choć raz, w chwili okropnego smutku wspominał łzy biednego chłopczyka, ściskającego i żegnającego go w Moskwie; mnie zaś wysłano do korpusu kadetów, gdzie zetknąłem się jedynie z musztrą i z grubiaństwem kolegów i... Niestety! Wszystko się rozleciało! „Nie chcę cię rozłączyć z matką i nie zabieram ze sobą!" rzekł do mnie w dniu odwrotu, „chciałbym jednak coś dla ciebie zrobić". Siadał już wtedy na konia. „Proszę mi cośkolwiek napisać na papisać na pamiątkę w albumie mojej siostry", powiedziałem nieśmiało, gdyż był on bardzo rozdrażniony i ponury. Odwrócił się, poprosił o pióro, wziął album: „Ile ma lat siostra?" zapytał, trzymając już pióro w ręku. „Trzy lata" odpowiedziałem. „Petite fille alors". I napisał w albumie:

„*Ne mentez jamais*".
„*Napoléon, votre ami sincère*".

— Taka rada i w takiej chwili, przyzna książę.
— Tak, to bardzo ciekawe.

Kartka ta, oprawiona w złotą ramkę, za szkłem, przez całe życie mojej siostry wisiała u niej, w salonie, na widocznem miejscu. Siostra umarła przy porodzie. Gdzie kartka ta jest obecnie — nie wiem... ale... ach, Boże! To już druga godzina. Jakże ja księcia zatrzymałem! To nie do darowania.

Jenerał wstał z krzesła.

— O, przeciwnie! — bąknął książę. — Bardzo mnie to zajęło i... wreszcie to przecież bardzo ciekawe; bardzo panu jestem wdzięczny!

— Książę! — powiedział jenerał, znów aż do bólu ściskając jego rękę i błyszczącemi oczami patrząc na niego

uważnie, jakgdyby sam się opamiętał i jakby go olśniła nagła jakaś myśl. — Książę! Pan taki jest dobry, taki dobroduszny, że aż mi pana niekiedy żal. Patrzę na pana ze wzruszeniem; niech pana Bóg błogosławi! Niech życie pana pocznie się i rozwinie... w miłości. Moje — już skończone! O, proszę mi wybaczyć!

Wyszedł prędko, zakrywając twarz rękami. O szczerości jego wzruszenia książę nie mógł powątpiewać. Rozumiał również, że starzec wyszedł upojony swem powodzeniem; lecz wyczuwał jednocześnie, że był to jeden z tego rodzaju łgarzy, którzy, chociaż kłamią do namiętności niemal i do zapamiętania, to jednak u szczytu swego upojenia w głębi duszy podejrzewają, że przecież im nie wierzą i wierzyć nie mogą. W obecnem swem położeniu starzec mógł się opamiętać, nadmiernie zawstydzić — posądzić księcia o bezgraniczne dla niego współczucie, zmartwić się. „Czy ja źle nie postąpiłem, doprowadzając go do takiego natchnienia?“ niepokoił się książę i nagle nie wytrzymał i roześmiał się. I wnet zaczął sobie wyrzucać ów śmiech; natychmiast jednak zrozumiał, że nie ma sobie czego wyrzucać, gdyż niezmiernie było mu żal jenerała.

Przeczucia jego się sprawdziły. Wieczorem otrzymał dziwną kartkę, krótką, lecz stanowczą. Jenerał zawiadamiał, że i z nim rozstaje się na zawsze, ceni go i jest mu wdzięczny, ale i od niego nie przyjmie „oznak współczucia, poniżających godność i tak już nieszczęśliwego człowieka“. Gdy się książę dowiedział, że staruszek zamknął się u Niny Aleksandrowny, niemal że się o niego uspokoił. Widzieliśmy już jednak, że jenerał coś tam nabroił u Elżbiety Prokofjewny. Nie możemy na tem miejscu podawać szczegółów, wspominamy tylko pokrótce, że istota spotkania polegała na tem, iż jenerał przeraził Elżbietę Prokofjewnę, a gorzkiemi przymówkami o Ganię, wywołał jej oburzenie. Został sromotnie wyprowadzony. Oto dlaczego taką spędził noc i taki ranek, wykoleił się ostatecznie i wybiegł na ulicę, jak obłąkany.

Kola ciągle jeszcze nie rozumiał, o co chodzi i nawet miał nadzieję opanować go surowością.

— No, dokądże my się teraz powleczemy, jak pan

myśli, panie jenerale, — rzekł. — Do księcia pan nie chce, z Lebiediewem się pan pogniewał, pieniędzy pan nie ma, a ja ich nigdy nie miewam: tak i zostaliśmy na lodzie, na środku ulicy.

— Przyjemniej jest osiąść na lodzie, niż mieć z lodem do czynienia, — mruknął jenerał. — Kalamburem tym... wzbudziłem zachwyt... w gronie oficerów... czterdziestego czwartego... Tysiąc... osiemset... czterdziestego czwartego roku, tak!... Nie pamiętam...Ach, nie przypominaj, nie przypominaj! „Gdzie moja młodość, gdzie moja czerstwość!" Jak zawołał... kto tak zawołał, Kola?

— To u Gogola w „Martwych duszach", tatusiu, — odpowiedział Kola i bojaźliwie zukosa spojrzał na ojca.

— Martwe dusze! O, tak, martwe! Gdy mnie pochowasz, napisz na mogile: „Tu spoczywa martwa dusza!"

„Hańba mnie ściga!"

— Kto to powiedział Kola?

— Nie wiem, tatusiu.

— Jeropiegowa nie było? Jeroszki Jeropiegowa!... — zawołał nagle, jak szalony, zatrzymując się na ulicy. — I to syn, rodzony syn! Jeropiegow, człowiek, przez jedenaście miesięcy zastępujący mi brata, za którego ja na pojedynek... Do niego przy butelce mówił książę Wygoreckij: „Gdzieżeś ty, Grysza, dostał Annę, powiedz zaraz?" — „Na polach mej ojczyzny, tam ją dostałem!" — Ja krzyczę: „Brawo, Grysza!" No i z tego pojedynek, a potem ożenił się... z Marją Pietrowną Su... Sutuginą i został zabity na polu chwały... Kula odbiła się od mego krzyża, przypiętego na piersi i prosto jemu w łeb. „Na wieczne wieki pamiętać będę!" zawołał i padł nieżywy .Ja... ja uczciwie służyłem, Kolu; służyłem wiernie, ale hańba — „hańba mnie ściga!" Oboje z Niną przyjdziecie na moją mogiłę... „Biedna Nina!"... Tak ją dawniej nazywałem, Kola? dawniej, w pierwszych czasach i ona to lubiła... Nina... Nina!... Co ja zrobiłem z twoim losem! Za co ty mnie możesz kochać, dobra duszo! Matka twoja ma duszę anielską, Kola? słyszysz, duszę anielską!

— Wiem o tem tatusiu. Tatusiu, mój złoty, wróćmy

do domu, do mamusi! Ona za nami biegła! No, cóż znowu? Czyż ojciec nie rozumie... No, czegoż ojciec płacze?

Kola sam płakał i całował ojca po rękach.

— Całujesz mnie po rękach, mnie?

— No, tak, ojca, ojca. No, co w tem dziwnego? No, czemuż ojciec ryczy na środku ulicy i to ma być jenerał, wojskowy; no, chodźmy!

— Niech cię Bóg błogosławi, chłopcze drogi, za to, żeś uszanował zhańbionego... Tak, zhańbionego starca, ojca swego... Miejże i ty takiego chłopaczka... le roi de Rome... O „przekleństwo, przekleństwo temu domowi!“

— Ależ doprawdy, co się dzieje?! — zawołał nagle Kola. — Cóż się takiego stało? Dlaczego ojciec nie chce wrócić teraz do domu? Czy ojciec zwarjował?

— Tłumaczę ci przecież, tłumaczę ci... wszystko ci powiem; nie krzycz, usłyszą... le roi de Rome... O, duszno mi, smutno mi!

„Nianiu, gdzie twoja mogiła!“

— Kto tak zawołał Kola?

— Nie wiem, nie wiem, kto zawołał. Niech ojciec idzie do domu, zaraz, w tej chwili! Ja Gańkę, jeśli będzie trzeba... no, dokądże ojciec znów?

Lecz jenerał ciągnął go na ganek pobliskiego domu.

— Dokądże ojciec? To cudzy ganek!

Jenerał usiadł na ganku, ciągnąc Kolę za rękę.

— Nachyl się, nachyl się! — mamrotał. — Wszystko ci powiem... hańba... nachyl się... nachyl ucho, nachyl ucho; powiem ci do ucha...

— Co ojcu! — okropnie przeraził się Kola, nadstawiając jednak ucho.

— Le roi de Rome... — szepnął jenerał, również jakgdyby drżąc cały.

— Co takiego?... Skąd się tu wziął le roi de Rome? Co?

— Ja... ja... — zaszeptał znów jenerał, coraz silniej i silniej ściskając ramię „swojego chłopczyka“ — ja... chcę... ja tobie... wszystko, Marja, Marja... Pietrowna Su-su-su...

Kola wyrwał się, sam schwycił jenerała za ramiona

i jak nieprzytomny patrzał na niego. Starzec poczerwieniał, usta mu zsiniały, dreszcze przebiegały po jego twarzy. Nagle, pochylił się i zaczął zwolna opadać na ręce Koli.

— Apopleksja! — krzyknął na całą ulicę, zrozumiawszy nareszcie, o co chodzi.

XV

Prawdę powiedziawszy, Barbara Ardaljonowna trochę przesadziła, w rozmowie z bratem, ścisłość swoich wiadomości co do starań księcia o rękę Agłai Jepanczynowny. Być może, iż jako kobieta przenikliwa, odgadła to, co powinno było stać się w bliskiej przyszłości; być może, zmartwiona z powodu rozwianego jak dym marzenia (w które, coprawda, sama nie wierzyła), nie mogła, jako człowiek, odmówić sobie przyjemności przesadzenia nieszczęścia, wlania jeszcze więcej trucizny w serce brata, którego zresztą bardzo szczerze kochała. W każdym razie nie mogła otrzymać od swoich przyjaciółek Jepanczynowien takich dokładnych wiadomości; były tylko aluzje, niedopowiedziane słówka, przemilczenia, zagadki. Być może też, że siostry Agłai umyślnie też coś przesoliły, żeby w ten sposób dowiedzieć się ze swej strony czegoś od Barbary Ardaljonowny; być może, wreszcie, że i one nie chciały sobie odmówić kobiecej przyjemności podrażnienia trochę przyjaciółki, choćby nawet z lat dziecinnych: nie mogły przecież przez taki przeciąg czasu nie spostrzec choćby cienia jej usiłowań. Z drugiej strony i książę, chociaż miał najzupełniejszą słuszność, zapewniając Lebiediewa, że nic mu nie może donieść i że go nie spotkało nic nadzwyczajnego, także, być może, się mylił. W rzeczywistości ze wszystkimi jakby zaszło coś bardzo dziwnego: nic się nie stało, a jednocześnie, jakby bardzo dużo się stało. To właśnie odgadła Barbara Ardaljonowna, wiedziona trafnym kobiecym instynktem.

Jakim jednak sposobem w domu Jepanczynów wszyscy nagle zgodnie zaczęli myśleć, że zaszło coś bardzo ważnego i że waży się los Agłai... to bardzo trudno dokładnie wytłumaczyć. Ale zaledwie pojawiła się ta myśl, odrazu

u wszystkich, zaraz wszyscy oświadczyli, że to już dawniej zauważyli i dokładnie przewidzieli; że to już od chwili „biednego rycerza“, a nawet i wcześniej było jasne, tylko, że wtedy w takie głupstwa nie chcieli wierzyć. Tak twierdziły siostry: rozumie się, że Elżbieta Prokofjewna przed wszystkimi to zauważyła i przewidziała, i dawno już ją „bolało serce“ ale czy dawno, czy niedawno, dość, że teraz myśl o księciu nagle zaczęła nie być dla niej przyjemną, dlatego właśnie, że ją zbiła z tropu. Nasuwało się tutaj pytanie, które należało natychmiast rozwiązać; ale nietylko nie można go było rozwiązać, lecz nawet samego pytania, pomimo wszelkich starań, biedna Elżbieta Prokofjewna nie mogła sobie jasno uprzytomnić. Sprawa była trudna: „czy książę jest dobrym człowiekiem ,czy niedobrym? Czy dobrze, że to wszystko się stanie, czy niedobrze? Jeżeli niedobrze (co nie ulega wątpliwości), to dlaczego mianowicie niedobrze? A jeżeli dobrze (co jest również możliwe), to dlaczego dobrze?“ Sam ojciec rodziny Jan Teodorowicz przedewszystkiem, rozumie się, zdziwił się, lecz później nagle się przyznał, że „jak Boga kocha, jemu się coś w tym rodzaju majaczyło“. W tej chwili przerwał pod surowym wzrokiem małżonki, lecz wieczorem sam na sam z żoną, która go zmusiła, aby dalej mówił, nagle jakby z dziwną odwagą wypowiedział kilka niespodziewanych myśli: „Lecz cóż takiego w samej rzeczy?... (Milczenie). „Rzecz prosta, wszystko to jest bardzo dziwne, jeżeli tylko to prawda, i że nie przeczy, ale“... (Znowy milczenie). „Z drugiej strony, jeżeli patrzeć na sprawę bez uprzedzeń, to książę przecież bardzo miły chłopak, i... i... wreszcie, nazwisko, rodowe nasze nazwisko, to wszystko będzie wyglądało na, że tak powiem, podtrzymanie rodowego nazwiska, które podupadło trochę, w oczach świata, to jest, z tego punktu widzenia, to jest... rozumie się świat; świat jest światem; ale jednakowoż książę nie jest bez majątku, choćby nawet i nie tak bardzo dużego. On ma i... i... i... „(Długie milczenie i bezwarunkowa przerwa). Wysłuchawszy małżonka, Elżbieta Prokofjewna uniosła się.

Według jej zdania, wszystko to, co zaszło, było „głupstwem nie do darowania, a nawet zbrodniczym, fantastycznym obrazem, głupim i bez sensu!“ Przedewszystkiem choć-

by to, że „ten książę jest chorym idjotą, powtóre głupcem, ani świata nie zna, ani stanowiska żadnego w świecie nie ma; jakże go komu pokazać, gdzie go wetknąć? Jakiś wściekły demokrata, nawet rangi nie ma, i... i... i... co powie Białokońska? Czyż o takim, takim mężu marzyliśmy dla Agłai?“ Ostatni argument był, rzecz prosta, najgłówniejszy. Serce matki drżało na myśl o tem, krwią się zalewało i łzami, chociaż jednocześnie coś mówiło jej w głębi serca: „a dlaczegożby książę nie miał być tym, o jakim marzycie“. Ale, ten właśnie głos własnego serca sprawiał najwięcej kłopotu Elżbiecie Prokofjewnie.

Siostrom Agłai z jakiegoś powodu spodobała się myśl o księciu; nawet wydawała się niebardzo dziwną; jednem słowem, mogły się one nagle znaleźć po jego stronie. Ale obydwie postanowiły milczeć. Raz na zawsze zauważono w rodzinie, że im uporczywiej i silniej sprzeciwiała się w jakiejś ogólnej familijnej sprawie Elżbieta Prokofjewna, tem bardziej było widoczne dla wszystkich, że zaczyna się już zgadzać. Aleksandra Iwanowna nie mogła jednak zupełnie zamilknąć. Oddawna uważając ją za doradczynię, matka ciągle przywoływała ją teraz i pytała o zdanie, a głównie prosiła, aby jej przypomnieć, „jak się to wszystko stało? Dlaczego nikt tego nie widział? Dlaczego wtedy nie mówiono! Co znaczył wówczas ów obmierzły „biedny rycerz?“ Dlaczego to ona jedna, Elżbieta Prokofjewna, jest skazana na opiekowanie się wszystkimi, zwracanie uwagi na wszystko, przewidywanie wszystkiego, a inni myślą tylko o niebieskich migdałach? i t. d.“ Aleksandra Iwanowna z początku była ostrożna i zauważyła tylko, że wydaje jej się trafnym pogląd papy, że w oczach świata wyda się zupełnie stosownym wybór księcia Myszkina dla jednej z Jepanczynowien. Powoli unosząc się, dodała nawet, że książę zupełnie nie jest „głuptaskiem i nigdy nim nie był, a co się tyczy znaczenia, to przecież Bóg jeden wie, na czem się będzie opierało za kilkanaście lat znaczenie porządnego człowieka w Rosji: czy na koniecznem, jak dotychczas, powodzeniu w rządowej służbie, czy na czem innem?“ Na to wszystko mama rąbnęła, że Aleksandra jest „wolnomyślicielką, i że to wszystko to ta ich przeklęta kwestja kobieca“. Pół godziny później

pojechała do miasta, stamtąd zaś na Kamienną wyspę, żeby zastać Biełokońską, która właśnie była wtedy w Petersburgu, ale wkrótce wyjeżdżała. Biełokońska była chrzestną matką Agłai.

„Staruszka“ Biełokońska wysłuchała wszystkich gorączkowych i rozpaczliwych wyznań Elżbiety Prokofjewny i zupełnie nie była wzruszona łzami zbitej z tropu matki rodziny, a nawet spojrzała na nią urągliwie. Była to straszna despotka; przy całej przyjaźni, nawet tak zadawnionej, nie mogła znosić równości, i na Elżbietę Prokofjewnę patrzyła zupełnie jak na swoją *protegée*, zupełnie jak trzydzieści pięć lat temu i w żaden sposób nie mogła się pogodzić ze stanowczością i samodzielnością jej charakteru. Między innemi zauważyła, że „zdaje się, wszyscy tam, według swego zwyczaju, zbyt wyprzedzili wypadki i z muchy zrobili słonia; że, jakkolwiek się wsłuchiwała, nie przekonała się, żeby rzeczywiście tam zaszło coś poważnego; czyż nie lepiej poczekać, aż się coś okaże; że książę, według jej zdania, jest bardzo porządnym młodym człowiekiem, chociaż nieco chory, dziwny i zbyt nieznaczący. Najgorzej, że otwarcie zupełnie utrzymuje kochankę“. Elżbieta Prokofjewna bardzo dobrze zrozumiała, że Biełokońska trochę się gniewa za niepowodzenie Eugenjusza Pawłowicza, jej protegowanego. Wróciła do Pawłowska jeszcze bardziej rozdrażniona, aniżeli przedtem, i zaraz wszystkim się od niej dostało, głównie za to, że „zwarjowali“, że nikt tak nie postępuje, tylko oni jedni; „czegoście się pośpieszyli? Co się takiego stało? W żaden sposób nie mogę zauważyć, żeby się coś stało! Poczekajcie, aż się coś okaże? Cóż z tego, że Janowi Teodorowiczowi mogło się majaczyć nie trzeba przecież z muchy robić słonia? i t. d. i t. d.“

Wniosek więc z tego, zdawało się, był taki, że należy się uspokoić, patrzeć z zimną krwią i czekać. Ale, niestety, spokój nie trwał nawet dziesięć minut. Pierwszy cios zadały zimnej krwi wiadomości o tem, co zaszło w nieobecności mamy. (Wyjazd Elżbiety Prokofjewny na Kamienną wyspę miał miejsce na drugi dzień po tem, kiedy książę przyszedł o pierwszej godzinie, zamiast o dziesiątej). Siostry na niecierpliwe pytania matki odpowiadały bardzo szczegółowo,

że po pierwsze „nic, zdaje się nie zaszło podczas jej nieobecności", że książę przychodził, że Agłaja długo do niego nie wychodziła, z pół godziny, potem wyszła, zaraz zaproponowała księciu grę w szachy, że książę nawet posunięć nie zna i Agłaja zaraz go pobiła; była bardzo wesoła i strasznie śmiała się z księcia i jego nieumiejętności, tak, że przykro było na niego patrzeć. Potem zaproponowała grę w karty w durnia. Ale tu zupełnie sytuacja się zmieniła; książę grał w durnia, jak.. jak profesor; grał artystycznie; i chociaż Agłaja oszukiwała, zamieniała karty, jednakowoż za każdym razem zostawała durniem, pięć razy z rzędu. Agłaja strasznie się rozzłościła, a nawet uniosła się; nagadała księciu takich nieprzyjemności i obelg, że ten przestał się śmiać i pobladł zupełnie, kiedy powiedziała mu wkońcu, że „noga jej nie postanie w tym pokoju, dopóki on tutaj będzie siedział, i że to nawet nieuczciwe z jego strony przychodzić do nich w dodatku w nocy, o pierwszej godzinie, p o t e m w s z y s t k i e m c o z a s z ł o". Trzasnęła drzwiami i wyszła. Książę wyszedł jak po pogrzebie, mimo że starały się go pocieszyć. Nagle, w kwadrans potem, jak książę wyszedł, Agłaja przybiegła na taras i to tak pośpiesznie, że nawet oczu nie otarła, a miała oczy zapłakane: przybiegła dlatego, że przyszedł Kola i przyniósł jeża. Wszystkie one zaczęły się jeżowi przyglądać; na pytania ich Kola objaśnił, że to nie jego jeż i że on idzie teraz z kolegą, gimnazistą, Kostią Lebiediewem, który został na ulicy i wstydził się wejść, gdyż niesie topór; że jeża i topór kupili przed chwilą od spotkanego chłopa. Jeża chłop sprzedawał i wziął za niego pięćdziesiąt kopiejek, na sprzedaż zaś topora oni go namówili, ponieważ był to bardzo dobry topór. Nagle Agłaja zaczęła strasznie namawiać Kolę, żeby on sprzedał jej jeża zaraz, zapalała się, nazwała nawet Kolę „miłym". Kola przez długi czas się nie zgadzał, lecz wkońcu nie wytrzymał i zawołał Kostię Lebiediewa, który rzeczywiście wszedł z toporem i bardzo się zmieszał. Nagle okazało się, że jeż nie należy do nich, a stanowi własność jakiegoś trzeciego chłopca, Pietrowa, który dał im pieniędzy, żeby kupili mu od jakiegoś czwartego chłopca Historję Szlossera, którą tamten, potrzebując pieniędzy, sprzedawał na dogodnych warunkach;

poszli więc kupować Historję Szlossera, ale nie wytrzymali i kupili jeża, i w ten sposób, i jeż i topór należą do trzeciego chłopca, któremu teraz to odniosą zamiast Historji Szlossera. Ale Agłaja tak nalegała, że nareszcie ustąpili i jeża sprzedali. Gdy Agłaja dostała jeża, zaraz przy pomocy Koli włożyła go do koszyka, przykryła serwetką i zaczęła prosić Kolę, żeby zaraz, nigdzie po drodze nie wstępując, odniósł jeża księciu, ofiarowując mu go w jej imieniu „w dowód jej najgłębszego szacunku". Kola chętnie się zgodził i dał słowo, że odniesie, ale natychmiast zaczął się wypytywać: „Co znaczy jeż i podobny prezent?" Agłaja odpowiedziała, że to nie jego rzecz. On odpowiedział znów, że jest przekonany, że jest tu jakaś ukryta alegorja. Agłaja rozgniewała się i odcięła, że jest on smarkaczem i niczem więcej. Kola natychmiast jej odpowiedział, że gdyby nie szanował w niej kobiety i nie cenił swych przekonań,to dowiódłby, że umie odpowiadać na podobne obelgi. Skończyło się jednak na tem, że Kola z zachwytem poszedł odnieść jeża, a za nim biegł Kostia Lebiediew; Agłaja nie wytrzymała i, widząc, że Kola za bardzo wymachuje koszykiem, krzyknęła za nim z tarasu: „Proszę cię, Kolu, nie wyrzuć, mój drogi!" tak jakby się przed chwilą z nim nie kłóciła; Kola zatrzymał się i tak samo, jakgdyby się nigdy nie kłócił, krzyknął z zupełną gotowością: „Nie, nie wyrzucę, Agłajo Iwanowno. Niech pani będzie zupełnie spokojna!" i pobiegł pędem na złamanie karku. Agłaja po tem wszystkiem zaczęła się strasznie śmiać i pobiegła do siebie bardzo zadowolona i później przez cały dzień była bardzo wesoła.

Takie wiadomości zupełnie oszołomiły Elżbietę Prokofjewnę. Zdawałoby się, że cóż w tem strasznego? Ale taki już widać przyszedł nastrój. Zatrwożona była w najwyższym stopniu, i główna rzecz... jeż, co znaczy jeż? Co przez to należy rozumieć? Co to za znak? Na dobitek biedny Jan Teodorowicz, znajdujący się przypadkiem przy badaniu, zupełnie popsuł sprawę swoją odpowiedzią. Według jego zdania, coż jeż... „poprostu jeż i tyle, może pozatem oznacza przyjaźń, zapomnienie uraz, pogodzenie się, jednem słowem,to wszystko żart, w każdym razie niewinny i do darowania".

Zauważymy nawiasem, że odgadł zupełnie trafnie. Książę, wróciwszy do domu, wyśmiany i wygnany przez Agłaję, siedział już z pół godziny w najczarniejszej rozpaczy, kiedy nagle zjawił się Kola z jeżem. Zaraz się niebo rozjaśniło; książę jakby zmartwychwstał; wypytywał Kolę, zastanawiał się nad każdem jego słowem, kazał sobie opowiadać po dziesięć razy, śmiał się, jak dziecko i co chwila ściskał za ręce obydwóch śmiejących się chłopców. Jasnem było, że Agłaja przebacza i że książę znów może iść do niej dzisiaj wieczór, a to było dla niego główną rzeczą, jeżeli nie wszystkiem.

— Jakie z nas jeszcze dzieci, Kolu! i... i... jak to dobrze, żeśmy takie dzieci — zawołał wkońcu uradowany książę.

— Poprostu ona pana kocha, i nic więcej! — z pewnością siebie i przekonywająco odpowiedział Kola.

Dotknęło to księcia, ale tym razem nie powiedział ani słowa, a Kola śmiał się i klaskał w ręce; po chwili roześmiał się i książę, a potem do samego wieczora co pięć minut patrzył na zegarek, czy już dużo czasu przeszło i ile jeszcze zostaje do wieczora.

Nastrój jednak wziął górę: Elżbieta Prokofjewna wkońcu nie wytrzymała i poddała się chwili histerji. Nie zważając na przekładanie męża i córek, natychmiast posłała po Agłaję, żeby zadać jej ostateczne pytanie i otrzymać od niej ostateczną odpowiedź. „Żeby to już raz skończyć i później móc o tem nie myśleć! W przeciwnym razie nie dożyję do wieczora!“ oświadczyła. I teraz dopiero wszyscy się domyślili, do jakiego absurdu cała rzecz była doprowadzona. Poza sztucznem zdziwieniem, oburzeniem, śmiechem, żartami z księcia i z tych, co ją badali, niczego się od Agłai nie dowiedzieli. Elżbieta Prokofjewna położyła się i wstała dopiero do herbaty wtedy, kiedy oczekiwano księcia. Księcia oczekiwała ze drżeniem i gdy się zjawił, o mało nie dostała napadu histerji.

Książę sam wszedł nieśmiało, prawie chyłkiem, dziwnie się uśmiechając, patrząc wszystkim w oczy, jakgdyby wszystkim zadawał pytanie, ponieważ Agłai nie było w po-

koju, a czego on natychmiast się przeląkł. Tego wieczoru nie było nikogo obcego, sami tylko członkowie rodziny. Książę S. był jeszcze w Petersburgu z powodu sprawy wuja Eugenjusza Pawłowicza. „Niechby choć on był i coś powiedział", ubolewała Elżbieta Prokofjewna. Jan Teodorowicz siedział z bardzo zakłopotanym wyrazem twarzy; siostry były poważne i, jakby rozmyślnie, milczały. Elżbieta Prokofjewna nie wiedziała, od czego zacząć rozmowę. Nareszcie, energicznie zwymyślała koleje żelazne i popatrzyła na księcia ze stanowczym wyzwaniem.

Niestety, Agłaja nie wychodziła i książę był nieprzytomny. Prawie bełkocąc, zupełnie zmieszany, wypowiedział zdanie, że jest rzeczą bardzo pożyteczną naprawić kolej, ale Adelajda nagle się roześmiała i książę przepadł z kretesem. W tej samej chwili weszła Agłaja spokojna i poważna, ceremonjalnie ukłoniła się księciu i uroczyście zajęła pierwsze miejsce przy okrągłym stole. Pytająco spojrzała na księcia. Wszyscy zrozumieli, że nadeszła chwila rozwiązania wszystkich wątpliwości.

— Czy pan otrzymał mojego jeża? — ostro i prawie gniewnie zapytała.

— Otrzymałem — odpowiedział książę, czerwieniąc się z pomieszaniem.

— Niechże pan zaraz powie, co pan o tem myśli. Jest to konieczne dla spokoju matki i całej naszej rodziny.

— Słuchaj Agłaja... — zaniepokoił się nagle jenerał.

— To, to przechodzi wszelkie granice — przestraszyła się nagle czegoś Elżbieta Prokofjewna.

— Żadnych wszelkich granic tutaj nie ma, *maman* — surowo odpowiedziała córeczka. — Dzisiaj posłałam księciu jeża i chcę wiedzieć jego zdanie. No, cóż, książę?

— To jest, jakie zdanie, Agłaja Iwanowno?

— O jeżu.

— To jest... myślę, Agłaja Iwanowno, że chce pani wiedzieć, jak przyjąłem... jeża... albo, lepiej się wyrażając, jaki mam pogląd... na to przysłanie... jeża, to jest... w takim razie przypuszczam, że... jednem słowem...

Zadyszał się i umilkł.

— No, niewiele pan powiedział! — poczekała jakieś pięć sekund Agłaja. — Dobrze, zgadzam się zostawić jeża; ale jestem bardzo rada, że mogę nareszcie zakończyć wszystkie nagromadzone nieporozumienia. Pozwoli pan, że zapytam pana: czy pan się stara o mnie, czy nie?

— Ach, Boże! — wyrwało się z piersi Elżbiety Prokofjewny.

Książę drgnął i odsunął się; Jan Teodorowicz osłupiał, siostry się zachmurzyły.

— Niech pan nie kłamie, niech pan mówi prawdę. Dzięki panu prześladują mnie dziwnemi indagacjami; czy więc te indagacje mają jakąś podstawę? Proszę mi powiedzieć.

— Nie starałem się o panią, Agłajo Iwanowno — powiedział książę, ożywiając się nagle — ale... pani sama wie, jak ja panią kocham i jak w panią wierzę... nawet teraz...

— Pytałam pana: prosi pan o moją rękę, czy nie?

— Proszę — drżąco wymówił książę.

Nastąpiło ogólne poruszenie.

— To wszystko nie tak, miły przyjacielu — powiedział Jan Teodorowicz silnie wzburzony — to... to prawie niemożliwe, jeżeli ci tak, Głaszo... Wybacz, drogi książę!... Elżbieto Prokofjewno — zwrócił się o pomoc do żony — trzebaby... zgłębić...

— Odmawiam, odmawiam! — machała rękami Elżbieta Prokofjewna.

— Niech *maman* pozwoli mi mówić: przecież ja w takiej sprawie też coś znaczę: waży się decydująca chwila moich losów (Agłaja tak właśnie się wyraziła) i chcę sama się dowiedzieć i przytem rada jestem, że to przy wszystkich... Pozwoli książę, że go zapytam, jeżeli pan „żywi takie zamiary", to czem pan myśli zapewnić mi szczęście?

— Nie wiem doprawdy, Agłajo Iwanowno, jak pani odpowiedzieć; tutaj... tutaj, cóż można odpowiedzieć? I przytem... czy trzeba?

— Pan, zdaje się, zmieszał się; niech pan trochę odpocznie i zbierze siły; niech pan wypije szklankę wody; zresztą, zaraz panu dadzą herbaty.

— Ja panią kocham, Agłajo Iwanowno, ja panią bardzo kocham; jedną panią tylko kocham... i niech pani nie żartuje, bo ja panią bardzo kocham.

— To jest jednak ważną rzeczą; nie jesteśmy dziećmi i trzeba patrzeć na rzeczy trzeźwo... Niech mi pan z łaski swojej teraz wyjaśni, jaki jest pana majątek?

— No, no, Agłaja. Cóż znowu! To nie tak, to nie tak... — w przerażeniu bełkotał jenerał.

— Wstyd! — głośno powiedziała Elżbieta Prokofjewna.

— Zwarjowała! — również głośno powiedziała Aleksandra.

— Majątek... to jest, pieniądze? — zdziwił się książę.

— Właśnie.

— Mam... mam teraz sto trzydzieści pięć tysięcy — wybełkotał książę, rumieniąc się.

— Tylko tyle? — głośno i szczerze zdziwiła się Agłaja, zupełnie się nie rumieniąc — zresztą, to nic nie szkodzi; szczególnie, jeżeli oszczędnie... Masz pan zamiar starać się o posadę?

— Chciałem zdawać egzamin na domowego nauczyciela...

— Bardzo słusznie; to powiększy, rozumie się, nasze dochody. Czy pan myśli zostać kamerjunkrem?

— Kamerjunkrem? Nigdy o tem nie myślałem, ale...

Ale tutaj już obydwie siostry nie wytrzymały i parsknęły śmiechem. Adelajda dawno już zauważyła po drganiach twarzy Agłai oznaki rychłego niepowstrzymanego śmiechu, który ze wszystkich sił powstrzymywała. Agłaja groźnie spojrzała na śmiejące się siostry, ale sama nawet sekundy nie wytrzymała i zaczęła się śmiać jak warjatka, zupełnie jakby w ataku histerji; nareszcie wybiegła z pokoju.

— Wiedziałam, że to tylko żart i nic więcej! — krzyknęła Adelajda — od samego początku, od jeża.

— Nie, na to już nie pozwolę! — uniosła się nagle gniewem Elżbieta Prokofjewna i pośpieszyła za Agłają. Za nią pobiegły natychmiast siostry. W pokoju został książę i ojciec rodziny.

— To, to... czy pan mógł wystawić sobie coś podobnego, Leonie Mikołajewiczu? — ostro krzyknął jenerał, najwidoczniej nie rozumiejąc, co chce powiedzieć — nie, poważnie, poważnie mówiąc?

— Widzę, że Agłaja Iwanowna śmiała się ze mnie — ze smutkiem odpowiedział książę.

— Poczekaj, bracie; ja pójdę, a ty poczekaj... dlatego... wyjaśnijże mi, choć ty, Leonie Mikołajewiczu: jak się to wszystko stało, i co to wszystko oznacza w całej swojej, że tak powiem, rozciągłości? Musisz się, bracie, zgodzić... jestem ojcem; mimo wszystko, jestem ojcem, nic nie rozumiem; więc ty chociaż wyjaśnij!

— Kocham Agłaję Iwanownę; ona o tem wie... oddawna, zdaje się, że wie o tem.

Jenerał wzruszył ramionami.

— Dziwne, dziwne... i bardzo kochasz?

— Bardzo kocham.

— Dziwne mi się to wszystko wydaje. To jest taka niespodzianka i cios, że... Widzisz, mój drogi, nie co do majątku (chociaż myślałem, że masz więcej), ale... dla mnie szczęście córki... wreszcie, czy jesteś w stanie, że tak powiem, zapewnić jej... to szczęście? I... i... cóż to takiego; żart czy nie z jej strony? To jest nie z twojej, lecz z jej strony?

Za drzwiami dał się słyszeć głos Aleksandry Iwanowny; wołała na ojca.

— Poczekaj, bracie, poczekaj! Poczekaj i pomyśl, a ja zaraz... — powiedział pośpiesznie i prawie ze strachem podążył na wołanie Aleksandry.

Znalazł żonę i córeczkę w objęciach, zalewające się łzami. Były to łzy szczęścia, rozczulenia i harmonji. Agłaja całowała ręce matki, usta, policzki; obydwie gorąco się ściskały.

— No, popatrz na nią, Janie Teodorowiczu, teraz ona cała się zdradziła — powiedziała Elżbieta Prokofjewna.

Agłaja odwróciła od matki swoją szczęśliwą i zapłakaną twarzyczkę, popatrzyła na ojca, głośno się roześmiała, skoczyła do niego, mocno go objęła i kilka razy pocałowała. Potem znów rzuciła się ku matce i zupełnie ukryła twarz na jej piersiach, żeby nikt jej nie widział i natychmiast znów za-

płakała. Elżbieta Prokofjewna zakryła ją końcem swego szala.

— No, cóż, cóż ty z nami wyprawiasz, okrutna z ciebie właściwie dziewczyna, — powiedziała, ale już radośnie, jakby jej było lżej oddychać.

— Okrutna! Tak, okrutna! — podchwyciła nagle Agłaja. — Niegodziwa! Rozpieszczona! Niech mama to powie papie. Ah, jest on przecież tutaj. Jesteś tu papo? Słyszysz! — roześmiała się nagle przez łzy.

— Moja droga, moje bóstwo — całował jej rękę rozpromieniony jenerał. (Agłaja nie odbierała ręki). — Więc znaczy się, lubisz tego... młodego człowieka?...

— Ani, ani! Znosić nie mogę... tego młodego człowieka, znosić nie mogę! — uniosła się nagle Agłaja i podniosła głowę — i jeżeli papa jeszcze raz się ośmieli... poważnie mówię; czy papa słyszy: poważnie mówię!

I w rzeczywistości mówiła poważnie: cała poczerwieniała i oczy jej błyszczały. Papa zmilkł i wystraszył się, ale Elżbieta Prokofjewna dała mu znak za plecami Agłai i on zrozumiał: „nie wypytuj".

— Jeżeli tak, mój aniołku, to przecież, jak chcesz, twoja wola; on tam sam jeden czeka; może mu dać delikatnie do zrozumienia, żeby sobie poszedł?

Generał zkolei mrugnął w stronę Elżbiety Prokofjewny.

— Nie, nie, to już zbyteczne; szczególnie, jeżeli „delikatnie": niech rodzice do niego wyjdą sami; ja wyjdę potem, za chwilę. Chcę przeprosić tego... młodego człowieka, ponieważ go obraziłam.

— I bardzo obraziłaś — potwierdził poważnie Jan Teodorowicz.

— No więc... niech lepiej wszyscy tutaj zostaną, a ja naprzód pójdę sama, wy zaś zaraz po mnie; tak będzie lepiej.

Doszła już do drzwi, lecz nagle wróciła.

— Roześmieję się! Umrę ze śmiechu! — smutnie powiedziała.

Ale w tej chwili zawróciła i pobiegła do księcia.

— No, cóż to takiego? Jak myślisz? — pośpiesznie powiedział Jan Teodorowicz.

— Boję się wymówić — tak samo pośpiesznie odpowiedziała Elżbieta Prokofjewna — lecz według mnie, to jasne.

— Według mnie też jasne. Jasne, jak dzień... że go kocha.

— Nietylko kocha, zakochana! — odezwała się Aleksandra Iwanowna — tylko w kim?

— Niech ją Bóg błogosławi, jeżeli już taki jej los! — nabożnie przeżegnała się Elżbieta Prokofjewna.

— Znaczy się, los — potwierdził jenerał — przed losem się nie ucieknie!

Wszyscy weszli do salonu, gdzie ich znów czekała niespodzianka.

Agłaja nietylko się nie roześmiała, podszedłszy do księcia, jak się tego obawiano, lecz prawie nawet z nieśmiałością powiedziała:

— Niech pan daruje głupiej, złej, rozpieszczonej dziewczynie (wzięła go za rękę) i niech pan będzie przekonany, że my wszyscy bezgranicznie pana szanujemy. A jeżeli ośmieliłam się w żart obrócić pańską prześliczną... dobroduszność, to niech mi pan wybaczy, jak dziecku psotę się wybacza; niech pan wybaczy, że nalegałam na głupstwa, które, rozumie się, nie mogą mieć najmniejszych następstw...

Ostatnie słowa powiedziała Agłaja ze szczególnym naciskiem.

Ojciec, matka i siostry zdążyli na czas do salonu, żeby to wszystko widzieć i słyszeć i wszystkich uderzyły „głupstwa, które nie mogą mieć najmniejszych następstw“ i jeszcze bardziej poważny ton Agłai, z jakim powiedziała o tych głupstwach. Wszyscy spojrzeli pytająco jedni na drugich, lecz książę, zdaje się, nie zrozumiał tych słów i był u szczytu szczęścia.

— Poco pani tak mówi — bełkotał — poco pani... przeprasza?

— Chciał nawet powiedzieć, że jest niegodnym, żeby go przepraszano. Kto wie, być może, że zauważył znaczenie słów o „głupstwach, które nie mogą mieć najmniejszych następstw“, ale jako dziwny człowiek, możliwe, że się z nich nawet ucieszył. Bez wątpienia było dla niego szczytem szczę-

ścia już to jedno, że znów będzie bez przeszkód przychodził do Agłai, że pozwolą mu mówić z nią, siedzieć z nią, spacerować i kto wie, możeby tem jednem zadowolnił się na całe życie! (Tego właśnie zadowolenia, zdaje się, bała się Elżbieta Prokofjewna; odgadywała go; wielu rzeczy bała się, czego nawet sama nie umiała wypowiedzieć jasno i dokładnie).

Trudno wyobrazić sobie do jakiego stopnia książę ożywił się i nabrał ducha tego wieczoru. Był tak wesół, że patrząc na niego, każdy stawał się też wesołym... tak opowiadały później siostry Agłai. Rozgadał się, a to nie miało miejsca od owego ranka przed pół rokiem, kiedy zapoznał się z Jepanczynami; po powrocie do Petersburga był najwidoczniej i celowo milczący i bardzo niedawno, przy wszystkich, wygadał się przed księciem S., że powinien się powstrzymywać i milczeć, gdyż nie ma prawa poniżać myśli, przez wypowiadanie jej. Prawie tylko sam mówił tego wieczoru; dużo opowiadał; dokładnie, chętnie i szczegółowo odpowiadał na pytania. Ale nic zresztą przypominającego miłosną rozmowę nie ujawniało się w jego słowach. Wszystko to były poważne, często nawet zawiłe myśli. Książę wypowiedział kilka poglądów, swych własnych ukrytych spostrzeżeń, tak, że to wszystko byłoby nawet śmieszne, gdyby nie było tak „dobrze powiedziane", jak zgodzili się później wszyscy słuchacze. Chociaż jenerał lubił poważne tematy rozmów, jednak zarówno on jak i Elżbieta Prokofjewna znaleźli, że już za dużo uczoności, tak, że pod koniec wieczoru zaczęli być nawet smutni. Zresztą, książę do tego wkońcu doszedł, że opowiedział kilka bardzo zabawnych anegdotek, z których się pierwszy śmiał, tak, że inni śmieli się bardziej z jego radosnego śmiechu, aniżeli z samych anegdotek. Co się tyczy Agłai, to prawie wcale nie odzywała się przez cały wieczór; zato bez przerwy słuchała Leona Mikołajewicza, i nawet nie tyle słuchała, ile patrzyła na niego.

— Patrzy, oczu nie spuszcza, chwyta każde jego słóweczko; tak chwyta, chwyta! — mówiła później Elżbieta Prokofjewna do swojego męża — a powiedz jej tylko, że kocha, roztrzęsie na kawałki!

— Cóż robić... przeznaczenie! — wzruszył ramionami

jenerał i długo jeszcze powtarzał to słówko, które mu bardzo przypadło do smaku. Dodajmy, że, jako solidnemu człowiekowi, jemu także wiele rzeczy bardzo się nie podobało w obecnem położeniu, a głównie niejasność sprawy; ale do czasu też zdecydował się milczeć i patrzeć... w oczy Elżbiety Prokofjewny.

Radosny nastrój rodzinny trwał niedługo. Zaraz na drugi dzień Agłaja znów posprzeczała się z księciem i tak trwało to bez przerwy w ciągu następnych dni. Całemi godzinami narażała na śmieszność księcia i robiła z niego niemal błazna. Coprawda, siadywali czasami po godzinie lub dwie w ich domowym ogródku, w altance, ale zauważono, że przez ten czas książę prawie zawsze czyta Agłai gazety lub jakąś książkę.

— Czy pan wie — powiedziała mu raz Agłaja, przerywając czytanie — że pan jest strasznie niewykształcony; niczego dobrze pan nie wie, jeżeli pytać pana o co: ani kto mianowicie, ani w którym roku, ani na podstawie jakiego traktatu? Pan wzbudza politowanie.

— Powiedziałem pani, że niewielki ze mnie uczony — odpowiedział książę.

— Cóż więc pan wart wobec tego? Jakże ja mogę pana potem szanować? Niech pan czyta dalej; zresztą, nie trzeba, niech pan przestanie czytać.

I znowu tego wieczoru mignęło coś bardzo dla wszystkich zagadkowego z jej strony. Powrócił książę S., Agłaja była dla niego bardzo miła, wypytywała o Eugenjusza Pawłowicza. (Książę Leon Mikołajewicz jeszcze nie przyszedł). Nagle książę S. jakoś pozwolił sobie na aluzję o „bliskiem nowem zdarzeniu rodzinnem", po kilku słowach, które się wyrwały Elżbiecie Prokofjewnie, że, być może, trzeba będzie odłożyć ślub Adelajdy, żeby obydwa śluby wypadły razem. Nie można sobie było wystawić, jak uniosła się Agłaja gniewem na te „wszystkie głupie przypuszczenia"; między innemi, wyrwały jej się słowa, że „niema zamiaru zajmować miejsca niczyich kochanek".

Słowa te uderzyły wszystkich, ale głównie rodziców. Elżbieta Prokafjewna nalegała na poufnej naradzie z mężem, żeby rozmówić się z księciem co do Nastazji Filipowny.

Jan Teodorowicz przysięgał, że to tylko „wybryk“ i że miał miejsce tylko dzięki „wstydliwości“ Agłai; że, jeżeliby książę S. nie wspominał o ślubie, toby nie było wybryku, ponieważ Agłaja sama wie, wie dokładnie, że wszystko to jest oszczerstwem złych ludzi, i że Nastazja Filipowna wychodzi za Rogożyna; że książę zupełnie nie bierze w tem udziału i nie łączy ich żaden stosunek; nawet ich nigdy nie łączył, jeżeli już całą prawdę mówić.

Książę jednakowoż niczem nie był zbity z tropu i w dalszym ciągu był wniebowzięty. O, rozumie się, że on też zauważał czasami coś ponurego i niecierpliwego w spojrzeniu Agłai; lecz bardziej wierzył czemuś innemu i ponurość sama przez się znikała. Gdy raz uwierzył, nie mogło go nic zachwiać. Być może, zbytnio już był spokojny; tak przynajmniej wydawało się Hipolitowi, który go przypadkiem raz spotkał w parku.

— No, czyż nieprawdę panu powiedziałem wtedy, że pan zakochany — zaczął, podchodząc do księcia i zatrzymując go.

Książę wyciągnął do niego rękę i powinszował „dobrego wyglądu“. Chory zdawał się być też dobrej myśli, co jest tak właściwe suchotnikom.

Poto właśnie podszedł do księcia, żeby mu powiedzieć coś jadowitego o jego szczęśliwym wyglądzie, ale natychmiast poplątał się i zaczął mówić o sobie. Zaczął się skarżyć, skarżył się długo i dość bez związku.

— Nie uwierzy pan — zakończył — do jakiego stopnia oni wszyscy tam są rozdrażnieni, drobiazgowi, egoiści, próżni, ordynarni; czy pan uwierzy, że wzięli mnie pod tym warunkiem, żebym jak najprędzej umarł i teraz wszyscy się wściekli, że nie umieram, i że przeciwnie, jest mi lepiej. Komedja! Założę się, że pan mi nie uwierzy?

Książę nie miał ochoty przeczyć.

— Nawet czasami myślę znów przenieść się do pana — niedbale dodał Hipolit. — Więc pan jednakowoż nie uważa ich za zdolnych do przyjęcia człowieka pod tym warunkiem, żeby on koniecznie jak najprędzej umarł?

— Myślałem, że zaproszono pana w innym celu.

— Ehe! Pan, okazuje się, nie jest tak dobroduszny,

jak o panu mówią! Teraz nie czas, ale jabym panu opowiedział coś niecoś o Gani i o jego nadziejach. Pod panem dołki kopią, książę, bez litości kopią dołki i... nawet przykro, że pan jest taki spokojny. Ale niestety, pan nie może inaczej.

— Ma pan też czego żałować! — zaśmiał się książę — więc cóż, według pana, byłbym szczęśliwszy, gdybym nie był spokojny?

— Lepiej być nieszczęśliwym, lecz wiedzieć, aniżeli szczęśliwym i wyjść na... dudka. Pan zdaje się, nie wierzy, że z panem rywalizują też... z tamtej strony?

— Pańskie słowa o rywalizacji są trochę cyniczne, Hipolicie; przykro mi, że nie mam prawa panu odpowiedzieć. Co się tyczy Gabrjela Ardaljonowicza, to zgodzi się pan, że nie może on być spokojny po tem wszystkiem, co utracił, jeżeli pan choć cokolwiek wie o jego sprawach? Zdaje mi się, że lepiej patrzeć z tego punktu widzenia. Zdąży jeszcze się zmienić; długie jeszcze przed nim życie, a życie jest bogate... zresztą... zresztą... — zmieszał się nagle książę — co się tyczy kopania dołków... nawet nie rozumiem, o czem pan mówi: zmieńmy lepiej temat rozmowy, Hipolicie.

— Możemy do czasu zmienić; przytem nie mogło się obyć i tutaj bez szlachetności z pana strony. Tak, książę, pan musi sam palcem dotknąć, żeby znów nie uwierzyć, ha, ha! Bardzo pan mną teraz pogardza, jak pan myśli?

— Za co? Za to, że pan więcej od nas cierpiał i cierpi?

— Nie, lecz za to, że nie jestem godny swego cierpienia.

— Kto mógł cierpieć więcej, ten, znaczy się, bardziej godny cierpienia. Agłaja Iwanowna po przeczytaniu pańskiej spowiedzi chciała pana widzieć, ale...

— Odkłada... nie może, rozumiem, rozumiem... — przerwał Hipolit, jakby starając się jak najprędzej zmienić rozmowę. — Mówią, że pan sam czytał jej te bzdury głośno; rzeczywiście, w gorączce napisane i... zrobione. Nie rozumiem, do jakiego stopnia trzeba być, nie powiem okrutnym (to dla mnie poniżające), lecz dziecinnie próżnym i mściwym, żeby kłuć mnie tą spowiedzią i używać jej jako broni przeciwko mnie! Niech się pan nie boi, nie o panu mówię.

— Przykro mi, że się pan wypiera tego zeszytu, Hipolicie, jest on szczery, i, wie pan, że nawet najśmieszniejsze jego strony, a jest ich dużo (Hipolit silnie się zmarszczył), okupione są cierpieniem i... być może, dużą odwagą. Myśl podtrzymująca pana miała bezwarunkowo szlachetną podstawę, cokolwiekby się o tem myślało. Im dalej, tem jaśniej to widzę, przysięgam panu. Nie sądzę pana, mówię, żeby się wypowiedzieć, i żałuję, że wtedy milczałem...

Hipolit zaczerwienił się. Błysnęła mu myśl, że książę udaje i łapie go; ale wpatrzywszy się w jego twarz, nie mógł nie uwierzyć jego szczerości; twarz jego rozjaśniła się.

— A jednakowoż trzeba umierać! — powiedział, o mało co nie dodając: „taki człowiek, jak ja!" — Niech pan wyobrazi sobie, książę, jak mi dokucza pański Gania; wymyślił, jako przeciwny argument, że być może, z pomiędzy tych, którzy kiedykolwiek słuchali mojego zeszytu, trzech, czterech umrze jeszcze przede mną! Co! Myślą, że to pociecha, ha, ha! Po pierwsze jeszcze nie umarli; a nawet, jeżeliby ci ludzie umarli, to jakaż z tego dla mnie pociecha, niech pan powie! Gania widocznie po sobie sądzi; zresztą, jeszcze dalej poszedł, teraz poprostu wymyśla, mówi, że porządny człowiek umiera w takim razie w milczeniu i że w tem wszystkiem z mojej strony jest tylko egoizm! Co! Nie, lecz jaki to egoizm z mojej strony! Jakie wyrafinowanie, lub lepiej powiedzieć, bydlęca ordynarność ich egoizmu, którego jednakowoż nie mogą w sobie zauważyć! Czy pan czytał, książę o śmierci pewnego Stefana Glebowa, w ośmnastem stuleciu? Przypadkiem wczoraj przeczytałem...

— Jakiego Stefana Glebowa?

— Był wbity na pal za czasów Piotra.

— Ach, mój Boże, wiem! Przesiedział piętnaście godzin na palu, w mróz, w futrze, i umarł z ogromnem bohaterstwem; jakżeż, czytałem... więc cóż?

— Bóg zsyła takie zgony ludziom, a nam nie! Pan, być może, myśli, że niezdolny jestem umrzeć tak jak Glebow?

— O, zupełnie nie — zmieszał się książę — chciałem tylko powiedzieć, że pan... to jest nie to, że pan nie byłby podobny do Glebowa, ale... że pan... że pan prędzej byłby wtedy...

— Zgaduję; Ostermanem, nie Glebowem; pan to chciał powiedzieć?

— Jakim Ostermanem — zdziwił się książę.

— Ostermanem, dyplomatą Ostermanem, Piotrowskim Ostermanem — wybąknął Hipolit, zmieszawszy się nagle. Nastąpiło pewne zdziwienie.

— O, n... nie! Nie to chciałem powiedzieć — przeciągnął nagle książę po chwili milczenia — pan, zdaje mi się... nigdyby nie był Ostermanem.

Hipolit zachmurzył się.

— Zresztą, dlatego tak twierdzę — nagle podchwycił książę, chcąc się najwidoczniej poprawić — ponieważ ówcześni ludzie (przysięgam panu, zawsze mnie to dziwiło) nie byli zupełnie takimi ludźmi, jak my teraz, doprawdy, jakby inna rasa... Wtedy ludzie jakby mieli jedną tylko ideę, a teraz są bardziej nerwowi, rozwinięci, uczuciowi, mają jakby dwie, trzy idee odrazu... teraźniejszy człowiek jest szczerszy, i przysięgam, to przeszkadza mu właśnie być takim jednolitym człowiekiem, jak wtedy... Ja... ja tylko to jedynie powiedziałem, a nie...

— Rozumiem: wzamian naiwności, z jaką się pan zgodził ze mną, teraz stara się pan mnie pocieszać, ha, ha! Pan jest zupełnem dzieckiem, książę. Jednakowoż, uważam, że wy wszyscy traktujecie mnie... jak porcelanową filiżankę... Nic nie szkodzi, nie gniewam się. W każdym razie bardzo śmieszną zrobiła się nasza rozmowa, pan jest czasami zupełnem dzieckiem, książę. Niech pan wie, zresztą, że ja, być może chciałem być czemś lepszem od Ostermana; dla Ostermana nie warto było zmartwychwstawać... Zresztą, widzę, że trzeba, bym jak najprędzej umarł, gdyż inaczej ja sam... Niech pan mnie zostawi. Do widzenia! Więc dobrze, więc niech mi pan sam powie, jak podług pana: jak mi będzie najlepiej umierać? Żeby wyszło, o ile możliwe... najcnotliwiej? No, niech pan mówi!

— Niech pan przejdzie koło nas i wybaczy nam nasze szczęście! — powiedział książę cichym głosem.

— Ha, ha, ha! To samo myślałem! Z całą pewnością oczekiwałem czegoś podobnego w tym rodzaju! Jednakowoż

pan... Jednakowoż pan... No, no! Wymowni ludzie. Do widzenia, do widzenia.

XVI

O wieczornem zebraniu w domu Jepanczynów, na którem oczekiwano Biełokońskiej, Barbara Ardałjonowna również zupełnie dokładnie powiedziała bratu: gości oczekiwano właśnie tego samego dnia wieczorem; ale o tem też wyraziła się nieco jaskrawiej, niż należało. Coprawda, sprawa była prowadzona zbyt pośpiesznie i nawet z pewnem, zupełnie niepotrzebnem wzruszeniem, dlatego właśnie, że w tej rodzinie „wszystko było robione inaczej, jak we wszystkich innych". To wszystko tłumaczyło się niecierpliwością „nie chcącej mieć więcej wątpliwości" Elżbiety Prokofjewny i gorącym niepokojem o szczęście ukochanej córki obu rodzicielskich serc. Przytem Biełokońska w rzeczy samej wkrótce wyjeżdżała, a ponieważ jej protekcja miała w świecie wielkie znaczenie, i ponieważ spodziewano się, że będzie księciu przychylna, więc rodzice liczyli, że „świat" przyjmie narzeczonego Agłai wprost z rąk wpływowej „staruszki", i nawet gdyby było coś w tem dziwnego, to przy takiem poparciu wyda się znacznie mniej dziwne. W tem była cała trudność, że rodzice w żaden sposób nie mogli sami zdecydować, „czy jest coś w tem wszystkiem dziwnego i jeżeli jest, to w jakim stopniu? Czy też niema zupełnie nic dziwnego?" Przyjacielskie i szczere zdanie ludzi poważnych i kompetentnych przydałoby się w tej właśnie chwili, kiedy, dzięki Agłai, nic jeszcze ostatecznie nie było postanowione. W każdym razie wcześniej czy później, trzeba było księcia wprowadzić w świat, o którym nie miał najmniejszego pojęcia. Innemi słowy, zamierzano go „pokazać". Projektowano jednak zupełnie skromny wieczorek; oczekiwano tylko „przyjaciół domu", w bardzo ograniczonej liczbie. Oprócz Biełokońskiej, spodziewano się damy, żony bardzo wielkiego pana i dygnitarza. Z młodych ludzi oczekiwano Eugenjusza Pawłowicza; miał on towarzyszyć Biełokońskiej.

Że Biełokońska będzie, usłyszał książę coś na trzy dni przed owym wieczorem; o proszonym wieczorze dowiedział się dopiero w przeddzień. Zauważył, rozumie się, zakłopotanie członków rodziny i nawet, z pewnych napomknień i odezwań, odgadł, że obawiają się o wrażenie, jakie zrobi. Ale Jepanczynowie, wszyscy zresztą co do jednego, wyrobili sobie pogląd, że on, dzięki swej dobroduszności, w żaden sposób nie jest w stanie domyślić się, że o niego się tak niepokoją. Dlatego też wszyscy martwili się, patrząc na niego. Zresztą, rzeczywiście nie przypisywał on żadnego znaczenia tej uroczystości; zajęty był zupełnie czem innem: Agłaja z każdą chwilą stawała się bardziej ponurą i kapryśną... to go dobijało. Kiedy dowiedział się, że Eugenjusz Pawłowicz jest też oczekiwany, bardzo się ucieszył i powiedział, że dawno go chciał widzieć. Niewiadomo dlaczego słowa jego nikomu się nie spodobały; Agłaja wyszła z pokoju i dopiero późnym wieczorem, o dwunastej, kiedy książę już wychodził, znalazła sposobność powiedzenia mu paru słów na osobności, odprowadzając go.

— Chciałabym, żeby pan jutro przez cały dzień nie przychodził do nas, lecz przyszedł dopiero wieczorem, kiedy już zbiorą się ci... goście. Pan wie, że będą goście?

Zaczęła mówić niecierpliwie i ostro; po raz pierwszy zaczęła mówić o tym „wieczorze“. Dla niej także myśl o gościach była prawie nie do zniesienia; wszyscy to zauważyli. Być może, iż miałaby wielką ochotę pokłócić się o to z rodzicami, ale duma i wstydliwość nie pozwoliły jej zacząć o tem rozmowy. Książę odrazu zrozumiał, że boi się i o niego (i nie chce się przyznać, że się boi), i nagle sam się przeraził.

— Tak, jestem zaproszony — odpowiedział.

Agłaja najwidoczniej krępowała się mówić dalej.

— Czy z panem można o czem mówić poważnie? Choć raz w życiu? — rozgniewała się nagle w niezwykły sposób, nie wiedząc o co i nie będąc w stanie zapanować nad sobą.

— Można, słucham panią; bardzo mi przyjemnie — mruczał książę.

Agłaja milczała chwilę i zaczęła z widocznym wstrętem.

— Nie chciałam spierać się z nimi; w pewnych wypadkach nie można ich przekonać. Wstrętne mi były zawsze zasady, jakiemi czasami kieruje się *maman*. O papie nie mówię, od niego niczego nie można wymagać. *Maman*, rozumie się,jest szlachetną kobietą; niech się pan odważy jej zaproponować coś podłego, a zobaczy pan, A przed tą... hołotą drży! Nie mówię o Biełokońskiej: wstrętna staruszeczka i wstrętny charakter, ale mądra i umie ich wszystkich w garści trzymać... choć to dobre. O, podłości! Śmieszne przytem: zawsze byliśmy ludźmi ze średniej sfery; poco się piąć do tego wielkiego świata? Siostry też tam dążą; to książę S. wszystkim w głowie przewrócił. Dlaczego się pan cieszy, że Eugenjusz Pawłowicz będzie?

— Niech pani posłucha, Agłaja — powiedział książę — zdaje mi się, że pani się bardzo o mnie boi, żebym się nie ściął jutro... w tem towarzystwie?

— O pana? Boję się — oburzyła się Agłaja — skądże mam się bać o pana, choćby pan... choćby pan zupełnie był ośmieszony. Cóż mnie... I jak pan może takich słów używać? Co znaczy „ściął się?“ To wyraz wstrętny, ordynarny.

— To... uczniowskie wyrażenie.

— No, choćby nawet uczniowskie! Wstrętny wyraz! Pan ma zamiar, zdaje się, używać jutro tylko takich słów. Niech pan poszuka więcej takich słów w swoim słowniku w domu: wywoła pan wrażenie! Szkoda, że pan, zdaje się, umie wejść przyzwoicie, gdzie się pan tego nauczył? Czy pan potrafi wziąć i wypić przyzwoicie filiżankę herbaty, kiedy na pana wszyscy będą umyślnie patrzyli?

— Sądzę, że potrafię.

— To szkoda; uśmiałabym się. Niech pan przynajmniej stłucze wazon chiński w salonie. Drogo kosztuje: niech pan rozbije; to prezent; mama straci głowę i przy wszystkich się rozpłacze... tak o niego dba. Niech pan zrobi jaki ruch, jak to pan zawsze robi, uderzy i rozbije. Niech pan usiądzie naumyślnie obok niego.

— Przeciwnie, postaram się usiąść możliwie najdalej: dziękuję za uprzedzenie.

— A więc pan się z góry boi, że pan będzie robił

wielkie gesty. Założę się, że pan zacznie mówić o jakiemś „zagadnieniu", o czemś poważnem, uczonem, wzniosłem? Jakie to będzie... stosowne!

— Myślę, że to byłoby głupie... i nieodpowiednie.

— Niech pan wie raz na zawsze — nie wytrzymała wreszcie Agłaja — jeżeli pan zacznie mówić o czemś w rodzaju kary śmierci lub stanu ekonomicznego Rosji, lub o tem, że „świat zbawi piękno", to... ja... rzecz prosta, ucieszę się i uśmieję, ale... uprzedzam pana z góry: niech mi się pan na oczy potem nie pokazuje! Niech pan słucha: poważnie mówię! Tym razem już mówię poważnie!

Rzeczywiście poważnie powtórzyła swoją groźbę, tak, że nawet coś niezwykłego było w jej słowach i w jej spojrzeniu, czego nigdy przedtem nie zauważał książę i co, rozumie się, nie wyglądało na żart.

— No, teraz pani tak zrobiła, że na pewno „zacznę mówić" i nawet... być może... rozbiję wazon. Przedtem się niczego nie bałem, a teraz boję się wszystkiego. Na pewno się wsypię.

— Więc niech pan milczy. Niech pan siedzi i milczy.

— Niemożliwe; przekonany jestem, że zacznę mówić ze strachu, i ze strachu rozbiję wazon. Możliwe, że upadnę na gładkiej podłodze, lub coś w tym rodzaju; to już mi się zdarzało; będę całą noc o tem myślał; poco pani zaczęła tę rozmowę!

Agłaja ponuro spojrzała na niego.

— Wie pani co: lepiej żebym jutro nie przychodził. Podam się za chorego i sprawa załatwiona! — zadecydował wreszcie.

Agłaja tupnęła nogą i nawet zbladła z gniewu.

— Boże! Czy słyszał kto kiedy coś podobnego?! Nie przyjdzie, kiedy to umyślnie dla niego i... o, Boże! Przyjemnie mieć do czynienia z takim... nierozgarniętym człowiekiem, jak pan!

— Ależ, przyjdę, przyjdę! — czem prędzej przerwał książę — daję pani słowo honoru, że przesiedzę cały wieczór, nie mówiąc ani słowa. Tak zrobię.

— I dobrze pan zrobi. Dopiero co pan powiedział: „podam się za chorego"; skąd pan, doprawdy, czerpie takie

wyrażenia? Skąd się wzięła w panu chęć mówienia ze mną takiemi wyrazami? Czy pan się ze mną drażni, czy co?

— Przepraszam; to także uczniowskie wyrażenie; już więcej nie będę. Bardzo dobrze rozumiem, że pani się o mnie... boi (no, niech się pani nie gniewa!) i bardzo się z tego cieszę. Nie uwierzy pani, jak się teraz boję i... jak się cieszę z pani słów. Ale cały ten strach, przysięgam, to drobnostka i głupstwo. Naprawdę, Agłaja! Podczas gdy radość pozostanie. Wielką mi to sprawia przyjemność, że pani jest takiem dzieckiem, takiem dobrem i poczciwem dzieckiem. Ach, jak pani potrafi być piękną, Agłaja!

Agłaja, rozumie się, rozgniewała się i chciała już wybuchnąć, gdy nagle jakieś nieoczekiwane nawet przez nią samą uczucie opanowało w jednej chwili jej duszę.

— A pan mi nie wymówi moich niegrzecznych słów... kiedyś... później? — spytała nagle.

— Co pani, co pani! Dlaczego pani znów się zaczerwieniła? Ot, znów pani patrzy ponuro! Zbyt ponuro zaczęła pani patrzeć, Agłaja, jak nigdy przedtem. Wiem, skąd to pochodzi...

— Niech pan nic nie mówi!

— Nie, lepiej będzie powiedzieć! Dawno chciałem powiedzieć, powiedziałem już, ale... tego nie dość, gdyż pani mi nie uwierzyła. Między nami stoi jedna istota!...

— Niech pan milczy! — nagle przerwała Agłaja, mocno schwyciwszy go za rękę i prawie z przerażeniem patrząc na niego. W tej chwili zawołano ją. Jakby ucieszywszy się z tego, porzuciła go i uciekła.

Książę miał całą noc gorączkę. Dziwna rzecz, już przez kilka nocy z rzędu miał gorączkę. Tymczasem, napół w malignie, przyszła mu myśl: „cóż będzie, jeżeli jutro, przy wszystkich, będzie miał atak?“ Miewał przecież ataki na jawie? Lodowaciał na tę myśl; przez całą noc wyobrażał sobie, że jest w jakiemś dziwacznem i nieznanem towarzystwie, między jakimiś dziwnymi ludźmi. A najważniejsza rzecz w tem, że „zaczynał mówić“; wiedział, że nie trzeba mówić, ale cały czas mówił, przekonywał ich o czemś. Eugenjusz Pawłowicz i Hipolit byli także w liczbie gości i zdawało się, że są w niezwykłej przyjaźni.

Obudził się koło dziewiątej, z bólem głowy, z chaosem myśli, z dziwnemi wrażeniami. Niewiadomo dlaczego, zachciało mu się strasznie widzieć Rogożyna, widzieć i obszernie z nim pomówić; o czem mianowicie, sam nie wiedział; potem był już zupełnie zdecydowany iść po coś do Hipolita. Coś niejasnego działo się w jego sercu do tego stopnia, że choć wypadki, które zdarzyły mu się tego rana, wywarły na nim bardzo silne, jednakowoż nie całkowite wrażenie. Jednem z tych wydarzeń były odwiedziny Lebiediewa.

Lebiediew przyszedł dość wcześnie, przed dziesiątą, i prawie zupełnie pijany. Chociaż książę był w ostatnich czasach dość roztargniony, jednakowoż rzuciło mu się w oczy, że od czasu wyniesienia się od nich jenerała Iwołgina, przed trzema dniami, Lebiediew zaczął się bardzo źle prowadzić. Zrobił się nagle jakiś brudny i powalany, krawat miał przekręcony, i naderwany kołnierz surduta. W domu nawet się awanturował, co było słychać przez podwórko; Wiara przychodziła nieraz we łzach i coś opowiadała. Po przyjściu teraz, zaczął jakoś dziwnie mówić, bijąc się w piersi, i o coś się obwiniał.

— Otrzymałem... otrzymałem zapłatę za zdradę i podłość moją... Policzek otrzymałem! — zakończył tragicznie.

— Policzek! Od kogo?... I tak wczesnym rankiem?

— Wczesnym rankiem? — uśmiechnął się sarkastycznie Lebiediew. — Czas tu niema żadnego znaczenia... nawet dla zapłaty fizycznej... lecz ja moralny... moralny policzek dostałem, nie cielesny!

Nagle usiadł bez ceremonji i zaczął opowiadać. Opowiadanie jego było prawie bez związku; książę się zmarszczył i chciał wyjść, gdy nagle kilka słów go uderzyło. Osłupiał ze zdziwienia. Dziwne rzeczy opowiadał pan Lebiediew.

Z początku była mowa, najwidoczniej, o jakimś liście; było wymówione imię Agłai Iwanowny. Potem nagle Lebiediew z goryczą zaczął obwiniać samego księcia; można było się domyślić, że jest przez księcia pokrzywdzony. Z początku, jak mówił, książę zaszczycał go swojem zaufaniem w sprawie z wiadomą „osobistością“ (Nastazją Filipowną); ale potem zupełnie z nim zerwał i odpędził go od siebie

sromotnie i nawet w tak obraźliwy sposób, że ostatnim razem niegrzecznie jakoby uchylił się od odpowiedzi na „niewinne pytanie o bliskich zmianach w jego domu“. Ze łzami pijaka przyznał się Lebiediew, że „potem w żaden sposób nie mógł tego znieść, tem bardziej, że dużo wiedział... bardzo dużo... i od Rogożyna, i od Nastazji Filipowny, i od przyjaciółki Nastazji Filipowny, i od Barbary Ardałjonowny... od niej samej... i od... i nawet od samej Agłai Iwanowny, może pan to sobie wystawić, za pośrednictwem Wiary, ukochanej mej córki, Wiary, jedynaczki... tak... zresztą nie jedynaczki, gdyż mam trzy córki. A kto zawiadomił listami Elżbietę Prokofjewnę, i to w najgłębszej tajemnicy, he, he! Kto jej pisał o wszystkich stosunkach i... posunięciach Nastazji Filipowny, he! he! he! Kto, kto jest tym anonimem, pozwoli pan, że zapytam?“

— Czy to pan? — krzyknął książę.

— Tak jest — z godnością odpowiedział pijak — i dziś właśnie o wpół do dziewiątej, przed półgodziną... nie, przed trzema kwadransami zawiadomiłem szlachetną matkę, że mam jej zakomunikować pewną sprawę ważną... Zawiadomiłem kartką, przez dziewczynkę, od kuchni. Przyjęła.

— Pan widział teraz Elżbietę Prokofjewnę? — zapytał książę, ledwo dowierzając własnym uszom.

— Widziałem przed chwilą i dostałem policzek... moralny. Zwróciła list, nawet mi go rzuciła nierozpieczętowany... a mnie wypędziła... zresztą, tylko moralnie, nie fizycznie... zresztą, że prawie fizycznie, bo nie wiele brakowało!

— Jaki list rzuciła panu nierozpieczętowany?

— A czyż... he! he! he! Przecież rzeczywiście, jeszcze panu nie powiedziałem! A ja myślałem, żem już powiedział... Jeden taki list dostałem, do oddania...

— Od kogo? Do kogo?

Lecz pewne „wyjaśnienia“ Lebiediewa niezwykle trudno było zrozumieć i dojść w nich jakiegoś sensu. Książę jednakowoż domyślił się, o ile mógł, że list był oddany raniutko przez służącą Wiarze Lebiediew dla doręczenia według adresu... „tak samo, jak przedtem, tej samej osobistości i od tej samej osoby... (gdyż jedną z nich oznaczam słowem „osoba“, a drugą li tylko „osobistość“ dla pohańbienia i dla

różnicy, gdyż wielka jest różnica między niewinną i wysoce szlachetną panną z jeneralskiego rodu i... kamelją) a więc, list był od „osoby", zaczynającej się od litery A"...

— Czyż to możliwe? Do Nastazji Filipowny? Głupstwo! — krzyknął książę.

— Był, był, i jeżeli nie do niej, to do Rogożyna wszystko jedno, to do Rogożyna... nawet do pana Terentjewa był, dla wręczenia pewnego razu od osoby, zaczynającej się na literę A. — uśmiechnął się chytrze Lebiediew.

Ponieważ ciągle przeskakiwał z jednego tematu na drugi i zapominał, o czem zaczął mówić, więc książę zamilkł, żeby dać mu możność wypowiedzenia się. Jednakowoż było rzeczą bardzo niejasną, czy przez niego były oddawane listy czy przez Wiarę? Jeżeli sam zapewniał, że „do Rogożyna to to samo, co do Nastazji Filipowny", to znaczy, jest prawdopodobniejszem, że nie przez jego ręce szły listy, jeżeli jakie listy wogóle były. Jakim jednak sposobem wpadł mu w ręce teraz list, pozostawało zupełnie niewyjaśnione; najprawdopodbniejsze byłoby przypuszczenie, że w jakiś sposób pochwycił go Wiarze... ukradł i zaniósł w jakimś celu Elżbiecie Prokofjewnie. Tak to sobie książę wreszcie wyjaśnił.

— Pan zwarjował — krzyknął niezwykle wzburzony.

— Niezupełnie szanowny książę — nie bez złości odpowiedział Lebiediew. — Prawda, chciałem panu wręczyć, panu, do rąk własnych, żeby się przysłużyć... ale przyszedłem do wniosku, że lepiej tam się przysłużyć i zakomunikować o wszystkiem najszlachetniejszej matce... tak samo, jak przedtem już raz zawiadomiłem listownie anonimowo; i kiedy napisałem na karteczce, prosząc o przyjęcie, o ósmej minut dwadzieścia, też się podpisałem „pani tajny korespondent"; w tej chwili mnie dopuszczono, natychmiast, nawet z wielkim pośpiechem, kuchennem wejściem... do najszlachetniejszej z matek.

— Więc?...

— Tam, to już wiadomo, o mało nie pobiła; to jest ledwo... zaledwie tak, że nawet można uważać, że pobiła. A list mi rzuciła. Coprawda, chciała sobie zatrzymać; wi-

działem, zauważyłem, lecz rozmyśliła się i rzuciła; „kiedy takiemu jak ty, poruczono oddać, to oddaj!!"... Obraziła się nawet. Jeżeli już przede mną nie wstydziła się powiedzieć, to znaczy, że się obraziła. Charakter wybuchowy.

— Gdzie jest teraz ten list?

— Ciągle u mnie, oto jest.

I oddał księciu kartkę Agłai do Gabrjela Ardałjonowicza, którą ten z triumfem, tego samego rana, w dwie godziny potem pokazał siostrze.

— Ten list nie może pozostawać u pana.

— Panu, panu! Panu go odnoszę — gorąco odpowiedział Lebiediew. — Teraz znów jestem pańskim sługą, cały od głowy do serca, sługą po chwilowej zdradzie! Niech pan ukarze serce, oszczędzi brodę, jak powiedział Tomasz Morus.... w Anglji i Wielkiej Brytanji. *Mea culpa, mea culpa*, jak mówi rzymski papież.

Ten list powinien być zaraz odesłany — zaniepokoił się książę — ja go oddam.

— Czyż nie lepiej, czyż nie lepiej, najuprzejmiejszy książę, czyż nie lepiej... tego!

Lebiediew skroił dziwną, przymilającą się minę strasznie zaczął się kręcić na krzesełku, jakby go ktoś ukłuł szpilką, i chytrze migając oczami, coś pokazywał rękami.

— Co takiego? — groźnie zapytał książę.

— Uprzednio otworzyć! — wyszeptał przymilając się i jakby poufnie.

Książę skoczył w takim gniewie, że Lebiediew zaczął uciekać, ale po dobiegnięciu do drzwi, zatrzymał się, oczekując, czy książę nie przebaczy.

— Ech, Lebiediew! Czy można, czyż można dojść do takiego stanu, do jakiego pan doszedł? — krzyknął książę ze smutkiem.

Twarze Lebiediewa wyjaśniła się.

— Podły! Podły! — zbliżył się natychmiast, ze łzami bijąc się w piersi.

— Przecież to nikczemność!

— Właśnie nikczemność!... Zupełnie odpowiedni wyraz!

— I skąd się w panu chęć bierze... do takich postępków? Przecież pan... jest poprostu szpiegiem! Poco pan pisał anonim i niepokoił... taką szlachetną i dobrą kobietę? Dlaczego, wreszcie, Agłaja Iwanowna nie ma prawa pisać do kogo jej się podoba? Czy pan chciał się poskarżyć? Co pan myślał tam dostać? Co pana popchnęło do donosicielstwa?

— Jedynie przyjemna ciekawość i... chęć usłużenia szlachetnej duszy, tak! — mruczał Lebiediew — teraz znów jestem pańskim sługą. Choćby mnie pan powiesił!

— Pan w takim stanie, jak teraz, zjawił się u Eżbiety Prokofjewny? — z obrzydzeniem spytał książę.

— Nie... trzeźwiejszy... i nawet przyzwoitszy; to już po tem poniżeniu doszedłem... do tego stanu.

— Dobrze, niech mnie pan zostawi samego.

Zresztą, prośbę tę trzeba było powtórzyć kilka razy, zanim gość zdecydował się wyjść. Otworzywszy zupełnie drzwi, znów powrócił, doszedł do środka pokoju na palcach i znów zaczął dawać znaki rękoma, pokazując jak się otwiera list; powtórzyć swej rady głośno nie mając odwagi; potem wyszedł, cicho i przyjemnie się uśmiechając.

Tego wszystkiego ciężko było słuchać. Z wszystkiego uwidaczniał się tylko jeden główny i niezwykły fakt; to, że Agłaja była w wielkiej trwodze, bardzo niezdecydowana, męcząc się bardzo z jakiegoś powodu (z „zazdrości" — pomyślał książę). Uwidaczniało się także, że trwożyli ją, rzecz prosta, źli ludzie, że im tak ufała. Rzecz prosta, w tej niedoświadczonej, lecz zapalonej i dumnej główce, tworzyły się jakieś dziwne plany, być może że zgubne... i do niczego nie podobne. Książę był bardzo przerażony i w swem zakłopotaniu, nie wiedział, co zrobić. Trzeba było, nie zwlekając, coś uprzedzić, czuł to. Jeszcze raz spojrzał na adres zapieczętowanego listu; tutaj nie było dla niego wątpliwości i niepokojów, gdyż wierzył; co innego niepokoiło go w tym liście, nie wierzył Gabrjelowi Ardaljonowiczowi. Jednakowoż postanowił sam osobiście oddać ten list i wyszedł już w tym celu z domu, ale po drodze się rozmyślił. Prawie przed

samym domem Pticyna, jakby umyślnie, trafił się Kola, i książę polecił mu oddać list do rąk brata jakby wprost od Agłai Iwanowny. Kola nie dopytywał się i odniósł, tak że Gania nawet się nie domyślał, że list ten przeszedł przez tyle rąk. Po powrocie do domu, książę poprosił do siebie Wiarę Łucjanownę, opowiedział jej, co trzeba, i uspokoił ją, ponieważ dotychczas ciągle szukała listu i płakała. Przeraziła się, kiedy się dowiedziała, że list wziął ojciec. (Ksążę dowiedział się od niej już później, że nieraz już przysługiwała się w sekrecie Rogożynowi i Agłai Iwanownie, nawet jej do głowy nie przychodziło, że może w tem być co szkodliwego dla księcia).

Książę był do tego stopnia rozstrojony, że kiedy w dwie godziny potem przybiegł do niego posłaniec od Koli z wiadomością o chorobie ojca, to w pierwszej chwili prawie nie mógł zrozumieć o co chodzi. Ale ten przypadek oprzytomnił go, ponieważ odwrócił uwagę. Przesiedział u Niny Aleksandrowny (dokąd, rozumie się, przyniesiono chorego) prawie do samego wieczora. Nie przydał się tam na nic, ale są ludzie, których niewiadomo dlaczego przyjemnie jest widzieć przy sobie w ciężkiej chwili. Kola był strasznie przygnębiony, spazmatycznie płakał, jednakowoż przez cały czas był na posyłkach: pobiegł po doktora i przyprowadził trzech. Generała ocucono, ale nie przyprowadzono do przytomności; doktorzy mówili, „że w każdym razie pacjentowi grozi niebezpieczeństwo". Basia i Nina Aleksandrowna nie odchodziły od chorego; Gania był zmieszany i wstrząśnięty, ale nie chciał iść na górę i nawet bał się zobaczyć chorego; załamywał ręce i w rozmowie bez związku, jaką prowadził z księciem, wyrwało mu się, że ot „takie nieszczęście i, jakby umyślnie, w takiej chwili!" Księciu wydało się, że rozumie o jakiej mianowicie chwili Gania mówi. Hipolita książę już nie zastał w domu Pticyna. Przed wieczorem przybiegł Lebiediew, który po porannem „wyjaśnieniu" spał bez przerwy do tej pory. Teraz był prawie trzeźwy i płakał nad chorym szczeremi łzami, zupełnie jak gdyby szło o rodzonego brata. Oskarżał się głośno, nie mówiąc jednakowoż o co chodzi i zapewniał co chwila Ninę Aleksandrównę, że „to on, on jedynie jest przyczyną i nikt inny, jak tylko on...

popchnięty jedynie przyjemną ciekawością... i że „nieboszczyk“ (tak nazywał niewiadomo dlaczego żyjącego jeszcze jenerała) był nawet wysoce genjalnym człowiekiem“. Ze szczególną powagą kładł nacisk na genjalność, jakby to mogło przynieść w tej chwili jakąś niezwykłą korzyść. Nina Aleksandrowna, widząc jego szczere łzy, powiedziała mu wkońcu bez żadnego wyrzutu i nieomal życzliwie „no, Bóg z panem, no, niech pan nie płacze, no, Bóg panu przebaczy!“ Lebiediew był do tego stopnia uderzony temi słowami i ich tonem, że przez cały wieczór nie chciał na krok odejść od Niny Aleksandrowny (przez następne dni, do samej śmierci jenerała, prawie od rana do wieczora siedział u nich w domu). W ciągu dnia, dwa razy przysłała Elżbieta Prokofjewna do Niny Aleksandrowny dowiedzieć się o zdrowiu chorego. A kiedy wieczorem, o dziewiątej, książę zjawił się w salonie Jepanczynów, zapełnionym już gośćmi, Elżbieta Prokofjewna natychmiast zaczęła go ze współczuciem i szczegółowo wypytywać o chorego, i z powagą odpowiedziała Biełokońskiej na jej pytanie: „kto jest chory, i co to za jedna Nina Aleksandrowna?“ Księciu bardzo się to spodobało. On sam, rozmawiając z Elżbietą Prokofjewną, mówił „prześlicznie“, jak twierdziły potem siostry Agłai: „skromnie, cicho, bez zbytecznych wyrazów, bez gestów, z godnością; wszedł doskonale; ubrany był bez zarzutu“, i nietylko, że nie „upadł na gładkiej podłodze, jak się tego bał poprzedniego dnia, ale najwidoczniej wywarł na wszystkich wrażenie, nawet przyjemne.

Ze swej strony, gdy już usiadł i rozejrzał się, natychmiast zauważył, że całe to zebranie zupełnie nie było podobne do wczorajszych widziadeł, któremi nastraszyła go Agłaja, ani do zmór, które śniły mu się w nocy. Po raz pierwszy w życiu zobaczył kawałek tego, co nosi straszną nazwę „świata“. Już dawno, wskutek pewnych szczególnych zamiarów, poglądów i popędów, pragnął przeniknąć do tego zaczarowanego koła ludzi, i dlatego bardzo był ciekaw pierwszego wrażenia. To pierwsze wrażenie było nawet czarujące. Jakimś sposobem natychmiast i nagle wydało mu się, że wszyscy ci ludzie urodzili się jakby poto, żeby być razem; że u Jepanczynów niema żadnego „wieczoru“ i żadnych pro-

szonych gości, że to wszystko jak najbardziej „swoi ludzie“ i że on sam jakby już oddawna był ich oddanym przyjacielem i wrócił teraz do nich po chwilowej rozłące. Czar wykwintnych manier, prostoty i pozornej szczerości był prawie cudowny. Nawet do głowy mu nie mogło przyjść, że cała ta prostota i szlachetność, dowcip i wysoka godność osobista jest, być może, tylko wspaniałą artystyczną robotą. Większość gości stanowili nawet, mimo imponującej powierzchowności, ludzie dość płytcy, którzy zresztą, sami nawet nie wiedzieli o swej zarozumiałości, że wiele dobrego jest w nich wypracowane, zresztą zdobyte nieświadomie, gdyż dostało im się w spadku. Tego książę nawet nie chciał podejrzewać pod wpływem rozkosznego czaru pierwszego wrażenia. Widział, naprzykład, że ten starzec, ten wielki dygnitarz, który mógł być jego dziadkiem, nawet przerywa swoją rozmowę, żeby wysłuchać jego, tak młodego i niedoświadczonego człowieka, i nietylko go słucha, ale najwidoczniej ceni jego zdanie, tak jest z nim uprzejmy, tak szczerze dobroduszny, a przecież są dla siebie obcymi i widzą się po raz pierwszy. Być może, na gorącą wrażliwość księcia podziałała najwięcej subtelność tej grzeczności. Być może, już uprzednio był nazbyt nastrojony, zaagitowany co do miłego wrażenia.

Tymczasem wszyscy ci ludzie — chociaż, rozumie się, byli „przyjaciółmi domu“ i przyjaciółmi między sobą, — nie byli jednakowoż tak wielkimi przyjaciółmi domu ani też między sobą, za jakich ich wziął książę, gdy go przedstawiono i zapoznano. Byli tam ludzie, którzy nigdy i za nic w świecie nie uznaliby Jepanczynów za równych sobie. Nawet byli tam ludzie zupełnie się nienawidzący; staruszka Biełokońska przez całe życie „pogardzała“ żoną „staruszka-dygnitarza“, a tamta ze swej strony, bardzo nie lubiła Elżbiety Prokofjewny. Ten „dygnitarz“, jej mąż, protektor niewiadomo z jakiego powodu Jepanczynów od najmłodszych lat, był do tego stopnia olbrzymią osobistością w oczach Jana Teodorowicza, że ten prócz czci i strachu nic nie potrafił odczuwać w jego obecności, i nawet pogardzałby sobą szczerze, gdyby choć przez chwilę uważał się za równego mu i nie patrzył na niego jak na olimpijskiego Jowisza. Byli

tam ludzie, którzy nie spotykali się po kilkanaście lat i nie odczuwali względem siebie nic prócz obojętności, jeżeli nie wstrętu, ale którzy spotkali się tak, jakgdyby widzieli się wczoraj w najbardziej przyjacielskiem i wesołem towarzystwie. Zresztą zebranie było nieliczne. Oprócz Biełokońskiej i „staruszka-dygnitarza", w samej rzeczy wpływowej osoby, oprócz jego małżonki, był tam, po pierwsze, jeden bardzo solidny jenerał, baron czy hrabia, z niemieckiem nazwiskiem,— człowiek niesłychanie milczący mający opinję zdumiewającego znawcy spraw państwowych i nieomal że jeden z tych olimpijskich administratorów, którzy znają wszystko „oprócz chyba samej Rosji", człowiek, wypowiadający raz na pięć lat jeden, zadziwiający swą głębokością aforyzm, taki zresztą, który na pewno staje się przysłowiem, i o którym mówi się nawet w najwyższych sferach; jeden z tych rządzących urzędników, którzy zwykle po ogromnie długiem (nawet niezwykle długiem) urzędowaniu, umierają, mając wysokie rangi, doskonałe miejsca i duży majątek, jakkolwiek bez spełnienia i nawet z pewną nieprzyjaźnią do wielkich czynów. Ten jenerał był bezpośrednim zwierzchnikiem Jana Teodorowicza a ten, wskutek egzaltacji swego szlachetnego serca i nawet wskutek pewnego rodzaju zarozumiałości, uważał go również za swego dobroczyńcę, ale tamten wcale się nie uważał za dobroczyńcę Jana Teodorowicza, był z nim w zupełnie zwykłych stosunkach, i natychmiast zastąpiłby go przez innego urzędnika, gdyby tego wymagały jakieś inne względy, zresztą zupełnie nie wyższe. Był tam jeszcze jeden starszy poważny pan, coś w rodzaju krewnego Elżbiety Prokofjewny; człowiek posiadający dobrą rangę i stanowisko, bogaty, z dobrej rodziny, tęgi, bardzo dobrego zdrowia, dużo mówiący, i nawet mający opinję człowieka niezadowolonego (chociaż, zresztą, w najzupełniej lojalnem znaczeniu tego wyrazu), człowieka nawet żółciowego (ale i to było w nim przyjemne), a z manjerami angielskich arystokratów i z przyzwyczajeniami angielskiemi (w tem, co się tyczy np. krwawego roasbeefu, uprzęży na konie, lokai i t. p.). Był wielkim przyjacielem „dygnitarza", bawił go, i poza tem Elżbieta Prokofjewna, żywiła niewiadomo daczego dziwną nadzieję, że ten starszy pan (człowiek trochę lekkomyślny

i poczęści amator płci pięknej) nagle ni z tego ni z owego uszczęśliwi Aleksandrę swemi oświadczynami. Za tą, najwyższą i najpoważniejszą częścią towarzystwa, szli młodsi goście, odznaczający się również niezwykle wykwintnemi przymiotami. Oprócz księcia S. i Eugenjusza Pawłowicza, do tej kategorji należał znany, czarujący książę N., były uwodziciel i pogromca kobiecych serc w całej Europie, człowiek mający już koło czterdziestu pięciu lat, o pięknej ciągle jeszcze powierzchowności, umiejący zadziwiająco opowiadać, posiadający majątek trochę zresztą nadszarpnięty, i z przyzwyczajenia, przebywający prawie stale zagranicą. Byli tam wreszcie ludzie, którzy tworzyli jakby trzecią specjalną kategorję i nie należeli do „zaklętego koła" towarzystwa, ale których, tak samo jak Jepanczynów, można było czasem spotkać niewiadomo z jakiego powodu w tem „zaklętem" kółku. Kierując się pewnym taktem, przyjętym przez nich za prawidło Jepanczynowie lubili mieszać podczas rzadko odbywających się proszonych zebrań, wyższe towarzystwo z ludźmi z niższych warstw, z wybranymi przedstawicielami „średniej klasy". Jepanczynów nawet chwalono za to i mówiono o nich, że rozumieją swoje położenie i są ludźmi taktownymi, i Jepanczynowie dumni byli z takiej o sobie opinji. Jednym z przedstawicieli tej średniej klasy był tego wieczora technik, pułkownik, poważny człowiek, serdeczny przyjaciel księcia S. i przez niego wprowadzony do Jepanczynów, człowiek, zresztą, milczący w towarzystwie i noszący na wskazującym palcu prawej ręki duży, okazały pierścień, otrzymany, według wszelkiego prawdopodobieństwa, z najwyższych rąk. Był tam nawet wreszcie pewien literat-poeta, niemieckiego pochodzenia, ale piszący po rosyjsku i pozatem zupełnie przyzwoity, tak, że można go było bez obawy wprowadzić do najlepszego towarzystwa. Miał szczęśliwą powierzchowność, choć niewiadomo dlaczego trochę odpychającą, lat trzydzieści ośm, ubierał się bez zarzutu, należał do rodziny niemieckiej, w najwyższym stopniu mieszczańskiej, ale też w najwyższym stopniu szanownej. Umiał korzystać z rozmaitych okoliczności, aby postarać się o protekcję wpływowych ludzi i zachować dla siebie ich życzliwość. Kiedyś tam przetłumaczył z niemieckiego jakiś poważny

utwór, jakiegoś poważnego niemieckiego poety, wierszem, umiał zededykować odpowiednio swoje tłumaczenie, umiał pochwalić się przyjaźnią z jednym znakomitym, ale zmarłym poetą rosyjskim (jest cała kategorja pisarzy, niesłychanie lubiących przypisywać sobie w druku przyjaźń wielkich, lecz zmarłych pisarzy) i był wprowadzony do Jepanczynów przez żonę „staruszka-dygnitarza". Dama ta uchodziła za opiekunkę literatów i uczonych i rzeczywiście jednemu czy dwom pisarzom wystarała się o emeryturę za pośrednictwem wysoko postawionych osób, u których miała wpływy. A wpływ swego rodzaju miała. Była to osoba czterdziestopięcioletnia (znaczy się, bardzo młoda żona dla takiego staruszka, jakim był jej mąż), niegdyś piękność, lubiąca jeszcze teraz wskutek słabostki, właściwej wielu czterdziestopięcioletnim kobietom, ubierać się zbyt strojnie; umysłu niezbyt wielkiego, i o bardzo wątpliwej znajomości literatury. Ale opiekowanie się literatami było dla niej takąż samą słabostką, jak strojne ubieranie się. Poświęcano jej wiele utworów i tłumaczeń; dwóch czy trzech pisarzy, za jej pozwoleniem, wydrukowało swoje listy, pisane przez nich do niej o niesłychanie ważnych rzeczach... Otóż całe to towarzystwo książę wziął za dobrą monetę, za najczystsze złoto, bez domieszek. Zresztą, wszyscy ci ludzie byli też, jakby umyślnie w bardzo dobrem usposobieniu przez cały wieczór i bardzo z siebie zadowoleni. Wszyscy oni co do jednego wiedzieli że swoją obecnością robią zaszczyt Jepanczynom. Ale, niestety, książę nie podejrzewał tego wszystkiego. Nie domyślał się, naprzykład, że Jepanczynowie, mając na widoku tak ważny krok, jak zdecydowanie losu ich córki, nie odważyliby się nie pokazać jego, Leona Mikołajewicza, staruszkowi-dygnitarzowi, uznanemu za opiekuna ich rodziny. Staruszek-dynitarz, ze swej strony aczkolwiek zupełnie spokojnie zniósłby wiadomość o największem nieszczęściu, jakieby mogło spotkać Jepanczynów, na pewno obraziłby się, jeżeliby Jepanczynowie zaręczyli swą córkę bez jego rady i bez zapytania go. Książę N., ten miły, ten bezwątpienia dowcipny i szczery człowiek, był głęboko przekonany, że jest on czemś w rodzaju słońca, które wzeszło tej nocy ponad salonem Jepanczynów. Uważał ich za nieskończenie niżej sto-

jących od niego i właśnie ta naiwna i szlachetna myśl wywoływała w nim zadziwiająco miłą swobodę i przyjacielski stosunek z Jepanczynami. Wiedział bardzo dobrze, że tego wieczoru powinien koniecznie coś opowiedzieć dla oczarowania towarzystwa i przygotowywał się do tego nawet z pewnem natchnieniem. Książę Leon Mikołajewicz, wysłuchawszy później tego opowiadania, wyznał, że nie słyszał nigdy nic równego temu błyskotliwemu humorowi i takiej zadziwiającej wesołości i naiwności, prawie wzruszającej w ustach takiego Don Jouana, jakim był książę N. Tymczasem, gdyby był wiedział, jak to opowiadanie jest stare i wytarte; jak wyuczone jest napamięć i jak już spowszedniało i znudziło wszystkie salony i tylko u naiwnych Jepanczynów było znów nowością, nagłem, szczerem wspomnieniem świetnego, pięknego człowieka!

Nawet Niemczyk-poeta, choć zachowywał się bardzo grzecznie i skromnie, ale i on nieomal uważał, że robi zaszczyt temu domowi swemi odwiedzinami. Ale książę nie zauważył odwrotnej strony, nie zauważył tego, co było za kulisami. Tego Agłaja nie przewidziała. Była ona tego wieczoru zadziwiająco piękna. Wszystkie trzy panienki byby ubrane elegancko, choć nie bardzo strojnie i nawet jakoś specjalnie uczesane. Agłaja siedziała z Eugenjuszem Pawłowiczem i bardzo przyjaźnie rozmawiała z nim i żartowała. Eugenjusz Pawłowicz zachowywał się jakoś trochę poważniej niż zazwyczaj i również być może, przez szacunek dla dygnitarzy. Znano go, zresztą, choć był młodym człowiekiem. Tego wieczoru przyszedł do Jepanczynów z krepą na kapeluszu i Biełokońska pochwaliła go za tę krepę: inny siostrzeniec, być może, nie nosiłby po takim wuju żałoby. Elżbieta Prokofjewna też była z tego zadowolona, ale wogóle zdawała się zbyt zakłopotana. Książę zauważył, że Agłaja ze dwa razy spojrzała nie niego uważnie, i zdaje się była z niego zadowolona. Zaczynał być strasznie szczęśliwy. Poprzednie „fantastyczne“ myśli i obawy (po rozmowie z Lebiediewem) wydawały mu się teraz „przy nagłych lub częstych przypominaniach, takim niemożliwym, a nawet śmiesznym snem! (Bez tego także pierwszem, chociaż nieświadomem, jego życzeniem było... coś takiego zrobić,

żeby nie uwierzyć w ten sen). Mówił mało, odpowiadał tylko na pytania, wreszcie zupełnie zamilkł, siedział i słuchał, tonąc najwidoczniej w zadowoleniu wewnętrznem. Powoli przygotowało się w nim coś w rodzaju natchnienia, gotowego wybuchnąć przy pierwszej lepszej sposobności. Zaczął mówić przypadkowo, odpowiadając na pytania, i zdaje się, zupełnie bez szczególnego celu...

XVII

Podczas gdy z rozkoszą wpatrywał się w Agłaję, wesoło rozmawiającą z księciem N. i z Eugenjuszem Pawłowiczem, nagle starszy pan, angloman, zabawiający „dygnitarza" w drugim kącie i opowiadający mu o czemś z zapałem, wymówił nazwisko Mikołaja Andrzejewicza Pawliszczewa. Książę prędko zwrócił się w ich stronę i zaczął słuchać. Mowa była o obecnych porządkach i o jakichś zaburzeniach w szlacheckich majątkach w ...skiej gubernji. Opowiadania anglomana zawierały, jak należało przypuszczać, coś wesołego, gdyż staruszek zaczął się w końcu śmiać z żółciowego uniesienia opowiadającego. Opowiadał płynnie, jakoś dziwacznie rozciągając wyrazy, z delikatnie akcentowanemi samogłoskami, dlaczego był zmuszony, teraz właśnie, dzięki istniejącym porządkom, sprzedać wspaniały swój majątek w ...skiej gubernji, i nawet, nie potrzebując zbytnio pieniędzy, za pół ceny, i jednocześnie zostawić sobie majątek zniszczony, nie dający dochodu, zagrożony procesem, i nawet do niego dopłacić. „Żeby uniknąć procesu o udział Pawliszczewa, uciekłem od nich. Jeszcze jeden lub dwa takie spadki, i jestem zrujnowany. Tam, zresztą, należało mi się trzy tysiące dziesięcin znakomitej ziemi".

— Przecież to... Jan Piotrowicz jest krewny świętej pamięci Mikołaja Andrzejewicza Pawliszczewa. Szukałeś, zdaje się krewnych — powiedział półgłosem księciu Jan Teodorowicz, który znalazł się nagle przy nim i zauważył nadzwyczajną uwagę, z jaką książę słuchał rozmowy. Dotychczas bawił rozmową swego zwierzchnika jenerała, ale już dawno zauważył wyjątkowe osamotnienie Leona Mikołajewicza i zaczął się niepokoić; chciał go do pewnego

stopnia wciągnąć w rozmowę i tym sposobem po raz drugi pokazać i przedstawić „wysoko postawionym osobom“.

— Leon Mikołajewicz był po śmierci rodziców wychowankiem Mikołaja Andrzejewicza Pawliszczewa, — wtrącił, spotkawszy wzrok Jana Piotrowicza.

— Bar-dzo przy-jemnie — zauważył tamten — i nawet dobrze pamiętam. Już przedtem, gdy nas zapoznał Jan Teodorowicz, odrazu pana poznałem. Pan, doprawdy, mało się zmienił, chociaż widziałem pana, jako dziecko, miał pan wtedy dziesięć lub jedenaście lat. Coś takiego przypomina w rysach...

— Pan widział mnie dzieckiem? — zapytał książę z jakiemś niezwykłem zdziwieniem.

— O, już bardzo dawno — ciągnął Jan Piotrowicz,— W Złatowierchowie, gdzie pan mieszkał wtedy u moich kuzynek. Dawniej dosyć często przyjeżdżałem do Złatowierchowa; pan mnie nie pamięta? Bar-dzo możliwe, że pan nie pamięta... Pan był... wtedy jakoś chory, tak, że nawet teraz, patrząc na pana, zdziwiłem się...

— Nic nie pamiętam! — gorąco potwierdził książę.

Jeszcze kilka słów wyjaśnień, bardzo spokojnych ze strony Jana Piotrowicza i dziwnie wzburzonych ze strony księcia, i okazało się, że dwie stare panny, krewne nieboszczyka Pawliszczewa, mieszkające w jego majątku, Złatowierchowie, którym poruczono wychowanie księcia, były ze swej strony kuzynkami Jana Piotrowicza. Jan Piotrowicz, tak samo, jak wszyscy zresztą, prawie nic nie mógł powiedzieć o przyczynach, które skłoniły Pawliszczewa do tak troskliwego zaopiekowania się małym księciem, swoim chrzestnym synem. „Zapomniałem wtedy zapytać o to“, jednakowoż okazało się, że miał on doskonałą pamięć, gdyż przypomniał sobie, jak surowa dla małego wychowanka była starsza kuzynka, Marta Nikitowna, „tak że nawet raz pokłóciłem się z nią z powodu jej systemu wychowawczego; ciągłe rózgi i rózgi choremu dziecku, to przecież... sam pan przyzna“... i jaka serdeczna była dla biednego chłopczyka młodsza kuzynka, Natalja Nikitowna... — „Obiedwie one teraz — mówił dalej, mieszkają w ..skiej gubernji (tylko nie wiem, czy jeszcze żyją?), gdzie dostał im się w spadku po

Pawliszczewie bardzo, bardzo porządny mająteczek. Marta Nikitowna, zdaje się, chciała wstąpić do klasztoru; zresztą, nie upieram się, może to o kim innym słyszałem... tak, to o doktorowej onegdaj słyszałem...

Książę wysłuchał tego z oczyma błyszczącemi z zachwytu. Z niezwykłym ogniem oświadczył, on teraz z kolei, że nigdy sobie nie daruje, iż przez te sześć miesięcy podróży swojej do wewnętrznych gubernij, nie skorzystał ze sposobności, aby odszukać i odwiedzić byłe swe wychowawczynie. „Codziennie chciał jechać i ciągle go odrywały różne okoliczności... ale że teraz daje sobie słowo... koniecznie... choćby do ...skiej gubernji"... „Więc pan zna Natalję Nikitownę? Co za prześliczna, święta dusza! Ale i Marta Nikitowna... niech mi pan wybaczy, ale pan, zdaje mi się, myli się co do Marty Nikitowny. Była surowa, ale... przecież nie można było nie stracić wszelkiej cierpliwości... z takim idjotą, jakim wtedy byłem (hi, hi!). Przecież byłem wtedy zupełnym idjotą, pan mi nie wierzy (ha, ha!). Zresztą... zresztą, pan mnie widział wtedy i... Jakim to sposobem ja pana nie pamiętam, niech pan powie? Więc pan... ach, mój Boże, więc pan w samej rzeczy jest krewnym Mikołaja Andrzejewicza Pawliszczewa?"

— Zapewniam pana — uśmiechnął się Jan Piotrowicz, patrząc na księcia.

— O, przecież nie dlatego powiedziałem, żebym... wątpił... i, wreszcie, czyż można o tem wątpić (he, he!)... choć trochę? To jest choć trochę!! (he, he!). Ja tylko dlatego, że nieboszczyk Mikołaj Andrzejewicz Pawliszczew był takim nadzwyczajnym człowiekiem! Najszlachetniejszy człowiek, naprawdę, zapewniam pana!

Książę, nie to, żeby go zatchnęło, ale wprost „zachłystywał się, jeśli tak rzec można", jak wyraziła się o nim następnego dnia rano Adelajda, w rozmowie z narzeczonym swym, księciem S.

— Ach, mój Boże! — roześmiał się Jan Piotrowicz — dlaczegoż nie mogę być krewnym choćby najszlachetniejszego człowieka?

— Ach, mój Boże! — krzyknął książę, zmieszany, śpiesząc się i zapalając coraz bardziej. — Ja... ja znów powie-

działem głupstwo, ale... tak powinno być, gdyż ja... ja... ja, zresztą, znów nie o to chodzi! I cóż ja teraz jestem, niech pan powie, przy takich interesach... przy takich ogromnych interesach! I w porównaniu z takim szlachetnym człowiekiem, ponieważ on był przecież bardzo szlachetnym człowiekiem, czyż nie prawda? Czy nie prawda?

Książę nawet drżał cały. Dlaczego nagle tak się strwożył, dlaczego wpadł w taki zachwyt, zupełnie bez powodu, i zdawało się, zupełnie niewspółmiernie do tematu rozmowy... trudno było powiedzieć. W takim był już nastroju i nawet czuł niemal w tej chwili dla kogoś i za coś najgorętszą wdzięczność, może nawet dla Jana Piotrowicza i wogóle dla wszystkich gości. Zbyt już był uszczęśliwiony. Jan Piotrowicz wkońcu zaczął patrzeć na niego bardziej badawczo; badawczo przypatrywał mu się też „dygnitarz". Biełokońska rzuciła na księcia gniewne spojrzenie i zacisnęła usta. Książę N., Eugenjusz Pawłowicz, książę S., panny, wszyscy przerwali rozmowę i słuchali. Zdawało się, że Agłaja była przestraszona, Elżbieta Prokafjewna zaś poprostu stchórzyła. Dziwne też były one, córeczki z mamą; one to przecież postanowiły, że lepiejby było, gdyby książę przesiedział wieczór w milczeniu; lecz ledwo go ujrzały w kącie, w zupełnem osamotnieniu, i zupełnie zadowolonego ze swego losu, odrazu się zatrwożyły. Aleksandra chciała już podejść do niego i ostrożnie, przez cały pokój, przyłączyć się do ich towarzystwa, to jest towarzystwa księcia N., przy Biełokońskiej. A gdy książę sam zaczął mówić, jeszcze bardziej się zatrwożyły.

— Że to był zacny człowiek, to prawda — przekonywująco, i już bez śmiechu powiedział Jan Piotrowicz — tak, tak... to był zacny człowiek! Zacny i godny — dodał po chwili milczenia. — Godny nawet, można powiedzieć, pełnego szacunku — dodał jeszcze bardziej przekonywująco po trzeciej przerwie — i... i bardzo nawet przyjemnie widzieć z pańskiej strony...

— Czy to nie ten Pawliszczew miał jakiś zatarg... dziwny... z ojcem... z ojcem... zapomniałem, z jakim ojcem, ale to wszyscy wtedy coś opowiadali — powiedział, jakby coś sobie przypominając „dygnitarz".

— Z ojcem Goureau, jezuitą — przypomniał Jan Piotrowicz. — Tak, to najzacniejsi i najgodniejsi nasi ludzie! Był to przecież człowiek należący do arystokracji, majętny, szambelan i gdyby był dalej służył...

— Lecz on nagle porzuca służbę i wszystko, aby przejść na katolicyzm i zostać jezuitą, i to niemal otwarcie z jakimś entuzjazmem. Doprawdy, w porę umarł... tak; wszyscy wtedy mówili...

Książę był jak nieprzytomny.

— Pawliszczew... Pawliszczew przeszedł na katolicyzm? To nie może być! — zawołał z przerażeniem.

— No, „nie może być!" — z powagą wyseplenił Jan Piotrowicz — to już pan przesadza i zgodzi się pan sam, mój miły książę... Zresztą, pan tak nieboszczyka ceni... rzeczywiście, był to najlepszy człowiek, czemu też przypisuję w głównych zarysach powodzenie tego krętacza Goureau. Ale niech pan mnie zapyta, mnie, ile to ja potem miałem kłopotu i biegania w tej sprawie... i to z tym właśnie Goureau! Niech pan sobie wyobrazi — zwrócił się nagle do staruszka — oni nawet co do testamentu chcieli wystąpić z pretensjami, musiałem nawet wówczas uciekać się do najbardziej, że się tak wyrażę, energicznych środków... żeby im dać nauczkę... bo to majstry do takich rzeczy! Nad-zwy-czajni! Ale to się działo, chwała Bogu, w Moskwie, więc ja zaraz do hrabiego, i nauczyliśmy ich... rozumu...

— Pan nie uwierzy, jak mnie pan zmartwił i zdziwił! — zawołał znów książę.

— Żałuję bardzo! ale w gruncie rzeczy wszystko to jest, właściwie mówiąc, głupstwo i na niczemby się skończyło, jak i zawsze, jestem tego pewien. Ubiegłego lata — zwrócił się znów do staruszka — hrabina K. także, jak mówią, wstąpiła do jakiegoś katolickiego klasztoru zagranicą; nasi jakoś nie wytrzymują, gdy się już raz poddadzą tym... matactwom... zwłaszcza za granicą.

— Wszystko to, sądzę, dzięki naszej... obojętności — pouczająco wycedził staruszek. — Ale też i mają system nawracania... Taki wytworny, swoisty... i umieją zastraszyć. Wierzcie mi państwo, że mnie również w trzydziestym dru-

gim roku w Wiedniu zastraszyli; tylko nie uległem, a uciekłem od nich, ha! ha!

— Ja słyszałam, mój drogi, żeś ty wtedy z piękną hrabiną Lewicką uciekł z Wiednia do Paryża, rzucając swoje stanowisko, a nie od jezuity — wtrąciła nagle Biełokońska.

— No, to przecież właśnie od jezuity, czy tak, czy owak, wychodzi na to, że od jezuity! — podchwycił staruszek, śmiejąc się na wspomnienie miłych chwil. — Pan jesteś, zdaje się, bardzo religijny, co się tak rzadko w dzisiejszych czasach u młodych ludzi spotyka — zwrócił się życzliwie do księcia Leona Mikołajewicza, który słuchał z otwartemi ustami i jeszcze nie ochłonął ze zdumienia; staruszek widocznie chciał bliżej zaznajomić się z księciem, który na skutek pewnych przyczyn począł go mocno zaciekawiać.

— Pawliszczew był to umysł światły i chrześcijanin, prawdziwy chrześcijanin — wyrzekł nagle książę — jakże on mógł ulec wierze niechrześcijańskiej?... Katolicyzm... to to samo, co wiara niechrześcijańska! — dodał nagle z błyskiem w oczach, patrząc przed siebie, i jednocześnie jakby obejmując wzrokiem wszystkich naraz.

— No, tego już za wiele — bąknął staruszek i ze zdziwieniem spojrzał na Jana Teodorowicza.

— W jakiż to sposób katolicyzm jest wiarą niechrześcijańską? — poruszył się na krześle Jan Piotrowicz. — Jakaż więc?

— Po pierwsze jest to wiara niechrześcijańska!—w niezwykłem wzburzeniu i nad miarę ostro znów zaczął mówić książę. — To przedewszystkiem, a powtóre, katolicyzm rzymski jest nawet gorszy od samej niewiary w Boga; takie jest moje zdanie! Tak! takie jest moje zdanie! Ateizm wyznaje tylko nicość, religja zaś katolicka posuwa się dalej: głosi Chrystusa spaczonego, przez samą siebie okłamanego i zbezczeszczonego, Chrystusa odmiennego! Antychrysta głosi, przysięgam na to, wierzcie mi państwo! To jest moje osobiste, oddawna ugruntowane przekonanie, które mnie samego wymęczyło... Religja rzymsko-katolicka wierzy, że bez wszechświatowej władzy państwowej Kościół na ziemi się nie ostoi i woła: „*Non possumus!*“ Jestem zdania, że katolicyzm rzymski to nawet wcale nie wiara, a wprost dalszy

ciąg Zachodniego Państwa Rzymskiego i wszystko w nim jest podporządkowane tej idei, od wiary począwszy. Papież zagarnął ziemię, tron świata i ujął za miecz; do tego czasu tak też idzie, tylko do miecza dodano kłamstwo, matactwo, fałsze, fanatyzm, zabobony, łotrostwo, grano na najświętszych, najszczerszych, ufnych i płomiennych uczuciach ludu, wszystko, wszystko przefrymarczono za pieniądze, za podłą świecką władzę. Czyż to nie jest nauka antychrysta? Jakże nie miał wyjść od nich ateizm? Oni stworzyli ateizm, katolicyzm rzymski był źródłem ateizmu! Ateizm od nich samych przedewszystkiem się zaczął: bo czyż mogli samym sobie wierzyć? A wzmocnił się ze wstrętu do nich; jest on tworem ich kłamstwa i nędzy duchowej! Ateizm! U nas nie wierzą zaledwie niektóre klasy, jak się znakomicie wyraził niedawno Eugenjusz Pawłowicz, te, co korzenie potraciły, a tam, w Europie, już olbrzymie masy ludu samego zaczynają nie wierzyć; poprzednio z ciemnoty i kłamstwa, a teraz już z fanatyzmu, z nienawiści do Kościoła i do chrześcijaństwa!

Książę urwał, aby zaczerpnąć powietrza. Mówił strasznie prędko, blady był i zadyszany. Obecni porozumiewawczo spoglądali po sobie; ale wreszcie staruszek otwarcie się roześmiał.

Książę N. wyjął lornetkę i nie odejmując jej od oczu, przyglądał się księciu. Niemiaszek poeta wypełzł z kąta i przysunął się bliżej do stołu, uśmiechając się złowróżbnym uśmiechem.

— Pan bardzo prze-sa-dza — odezwał się przeciągle Jan Piotrowicz z pewnem znudzeniem i jakby krępując się czegoś — tamten Kościół posiada także godnych wielkiego szacunku i cnotliwych przedstawicieli...

— Nie mówiłem bynajmniej o poszczególnych przedstawicielach Kościoła. Mówiłem tylko o istocie wiary rzymsko-katolickiej, mówię o Rzymie. Czyż Kościół może zniknąć zupełnie? Tegom nigdy nie mówił!

— Zgadzam się na to, ale wszystko to już jest znane i nawet... zbyteczne i... należy do teologji...

— Ach, nie! nie! nietylko do teologji, zapewniam pana, że nie! To znacznie bliżej nas dotyczy, niż pan myśli. Na

tem właśnie błąd nasz polega, że my nie możemy jeszcze zdać sobie sprawy z tego, że to jest zagadnienie nietylko wyłącznie teologiczne! Wszak i socjalizm jest tworem katolicyzmu i jego istoty! On również, jak i brat jego, ateizm, wypłynął z rozpaczy, jako przeciwstawienie katolicyzmu w znaczeniu moralnem, aby zastąpić sobą utraconą moralną władzę religji, aby zaspokoić pragnienie duchowe łaknącej ludzkości, i wybawić ją nie przez Chrystusa, a także przemocą! Jest to także wolność przemocą zdobyta, jest to także zjednoczenie przez miecz i krew! „Nie waż się w Boga wierzyć, nie waż się posiadać, mieć indywidualne oblicze, *fraternité ou la mort*, dwa miljony głów!“ Po czynach ich... poznacie ich, tak powiedziano! I niech pan nie myśli, że to wszystko jest takie niewinne i niegroźne dla nas; o, musimy przeciwdziałać, i to jak najprędzej, jak najprędzej! Trzeba, by na poskromienie Zachodu zajaśniał nasz Chrystus, który przez nas został zachowany i którego tamci nawet nie znali! Winniśmy stanąć teraz przed nimi, nie łapiąc się niewolniczo na wędki jezuitów, lecz szerząc naszą własną rosyjską cywilizację, i niech nam nie mówią, jak to tylko co ktoś powiedział, że propaganda ich jest wytworna...

— Ale za pozwoleniem, za pozwoleniem — przerwał wielce zaniepokojony Jan Piotrowicz, oglądając się dokoła i zaczynając już być w strachu — wszystkie pańskie myśli są, oczywiście, godne uznania i pełne patrjotyzmu, ale w tem wszystkiem jest ogromna przesada i... nawet lepiej tego zaniechać...

— Nie, nie przesada, a raczej niedomówienie; niedomówienie właśnie, bo nie jestem w stanie wypowiedzieć się, ale..

— Za po-zwo-le-niem!

Książę zamilkł. Siedział wyprostowany na krześle i nieruchomo palącym wzrokiem wpatrywał się w Jana Piotrowicza.

— Mnie się zdaje, że pana zbytnio poruszył przypadek z pańskim dobroczyńcą — łagodnie, nie tracąc spokoju, zauważył staruszek. — Pan rozgorączkowany... jest skutkiem może pańskiego osamotnienia. Gdyby się pan więcej z ludźmi stykał, a w towarzystwie, mam nadzieję, będzie pan, ja-

ko młodzieniec interesujący, mile widziany, to, rzecz prosta, zapał pański ostygnie w znacznej mierze,, i pan się przekona, że wszystko to jest o wiele prostsze... i przytem, takie rzadkie przypadki... według mego zdania, zdarzają się poczęści wskutek naszego przesytu, a poczęści z... nudów...

— Właśnie, tak, właśnie — zawołał książę — genjalna myśl! Właśnie „z nudów", z tych, „naszych nudów", nie z przesytu, a przeciwnie z pragnienia... nie z przesytu, co do tego, pan się pomylił! Nietylko z pragnienia, lecz nawet ze stanu zapalnego, pragnienia w gorączce! I... i niech pan nie myśli, że to się dzieje w tak nieznacznym stopniu, że można się tylko śmiać; wybaczy pan, trzeba umieć przewidywać. Rodacy nasi, skoro tylko dorwą się do brzegu, skoro uwierzą, że to jest brzeg, to taka ich radość zaraz ogarnia, że niezwłocznie dochodzą do ostatnich granic; dlaczegoż to? Pan, naprzykład, dziwi się Pawliszczewowi, pan przypisuje wszystko jego obłąkaniu, czy też miękkości, ale tak nie jest! I nie nas tylko, lecz całą Europę w podziw wprawia w takich przypadkach nasza rodzima oryginalność; u nas, gdy już kto przejdzie na katolicyzm, to na pewno stanie się jezuitą i to najgorszego gatunku; a gdy się stanie ateuszem, to na pewno zacznie żądać wytępienia wiary w Boga przemocą, a więc i mieczem! Dlaczego, skąd zaraz taka zajadłość? Czy pan nie wie? Oto dlatego, iż ojczyznę znalazł, w tem ją dojrzał i ucieszył się; brzeg, ląd odkrył i rzucił się do całowania go! Rosyjscy bowiem ateusze i rosyjscy jezuici powstają nietylko z próżności,nietylko wskutek marnych ambicyjek, lecz i z bólu ducha, z pragnienia duszy, z tęsknoty za wielkim czynem, za mocnym brzegiem, z tęsknoty do ojczyzny, w którą wierzyć przestali, bo jej nigdy nie znali! Rosjanin zaś łatwo ateuszem się staje, znacznie łatwiej, niż wszyscy inni na całym świecie! I Rosjanie nie stają się zwyczajnie ateuszami, lecz muszą koniecznie w ateizm uwierzyć, niby w nową wiarę, nie widząc wcale, że uwierzyli w zero. Taka jest żądza nasza! „Kto gruntu pod sobą nie ma, ten nie ma i Boga". To nie moje zdanie. To powiedzenie jednego kupca, wyznawcy starych obrządków, którego spotkałem podczas swych podróży. Coprawda, on nie tak się wyraził, on powiedział: „Kto się rodzonej ziemi wy-

rzekł, ten i Boga swego się wyrzekł". I pomyśleć, że u nas ludzie najwykształceńsi puszczali się nawet na chłystowszczyznę... A zresztą, dlaczegoż w takim razie chłystowszczyzna ma być gorszą od nihilizmu, jezuityzmu, ateizmu? Może nawet jest głębsza! Oto, do jakich granic dochodziła rozterka duchowa! O, wskażcie łaknącym i pełnym gorączkowego oczekiwania towarzyszom Kolumba brzeg „Nowego świata", wskażcie Rosjaninowi rozyjski „świat", dajcie mu odnaleźć to złoto, ten skarb, ukryty przed nim w ziemi! Pokażcie mu przyszłe odrodzenie całej ludzkości i wskrzeszenie jej, być może, jedynie przez rosyjską myśl, przez rosyjskiego tylko Boga i Chrystusa, a zobaczycie, jaki mocarz potężny, jaki olbrzym, pełen prawdy, mądrości i łagodności, powstanie przed zdumionym światem, zdumionym i strwożonym, gdyż oni spodziewają się od nas tylko miecza, miecza i gwałtu, albowiem, po sobie sądząc, wyobrazić nas sobie nie mogą bez barbarzyństwa. I to aż do obecnej chwili, i to im dalej, tem gorzej! I...

Ale tu nagle zdarzył się pewien przypadek, wskutek którego cała przemowa została najniespodziewaniej przerwana.

Cały ten gorączkowy potok słów namiętnych i burzliwych i myśli wzniosłych, jakby się wzajemnie popychających w jakiemś zamieszaniu przeskakujących jedna przez drugą, wszystko to zapowiadało zbliżanie się jakiegoś niebezpieczeństwa, czegoś niezwykłego w nastroju młodzieńca, który się tak nagle uniósł bez widocznej przyczyny. Wśród obecnych w salonie wszyscy ci, co bliżej księcia znali, z pewnym lękiem (a niektórzy ze wstydem) dziwili się jego wystąpieniu, tak niezgodnemu z jego zwykłą aż nieśmiałą powściągliwością, z jego rzadko spotykanym i wyjątkowym taktem i z instynktownem odczuciem przyzwoitości. Nie mogli zrozumieć, skąd się to wzięło; nie wywołała tego przecież wiadomość o Pawliszczewie. W kółku pań patrzono na niego, jak na warjata, a Biełokońska przyznała się potem, że „jeszcze chwila, a jużby uciekła". „Staruszkowie" zdrętwieli prawie ze zdumienia; jenerał dowódca z surowem niezadowoleniem patrzał ze swego krzesła. Pułkownik technik siedział, jak zastygły. Niemiaszek zbladł nawet, ale wciąż jeszcze

uśmiechał się swym fałszywym uśmiechem, spoglądając na innych: jak się też tamci zachowają? To wszystko zresztą i „cały ten skandal“ mógłby się zakończyć najzwyczajniejszym sposobem, może nawet w ciągu minuty: Jan Teodorowicz, nadzwyczajnie zdziwiony, choć najprędzej się pomiarkował, kilkakrotnie już usiłował powściągnąć księcia; nie osiągnąwszy jednak pomyślnego skutku, przesuwał się teraz ku niemu ze zdecydowanym, stanowczym zamiarem. Jeszcze chwila i, gdyby zaszła potrzeba tego, zdecydowałby się pewnie po przyjacielsku wyprowadzić księcia pod pozorem jego choroby, co, być może, istotnie było prawdą i w co wierzył mocno w głębi duszy Jan Teodorowicz... Lecz sprawa przyjęła inny obrót.

Książę na początku jeszcze, gdy tylko wszedł do salonu, usiadł jak można najdalej od owego chińskiego wazonu, którym go tak nastraszyła Agłaja. Nie do uwierzenia wprost, że po wczorajszych słowach Agłai zagnieździło się w nim jakieś niezwyciężone przekonanie, jakieś dziwne i nieprawdopodobne przeczucie, że on nieodwołalnie i jutro właśnie ów wazon rozbije, jakkolwiek starałby się tego uniknąć, w jakikolwiek bądź sposób omijałby to nieszczęście. Ale tak się właśnie rzecz miała. Podczas wieczoru inne silne, lecz jasne wrażenia poczęły napływać mu do duszy; już o tem była mowa. Zapomniał o swem przeznaczeniu. Kiedy usłyszał o Pawliszczewie, a Jan Teodorowicz przyprowadził i znów go przedstawił Janowi Piotrowiczowi, przesiadł się bliżej do stołu i trafił wprost na krzesło obok olbrzymiego przecudnego wazonu chińskiego, stojącego na postumencie, niemal narówni z jego łokciem, cokolwiek z tyłu.

Przy ostatnich swych słowach książę wstał nagle z miejsca, nieostrożnie machnął ręką, wykonał jakiś nieokreślony ruch ramieniem i... rozległ się ogólny krzyk. Wazon zachwiał się z początku jakby z pewnem wahaniem: czy nie spaść na głowę któremu ze staruszków, lecz nagle przechylił się w przeciwną stronę, w kierunku przerażonego Niemiaszka, który ledwie zdążył w bok uskoczyć, i zwalił się na podłogę. Huk, wrzask, drogocenne skorupy rozrzucone po dywanie, przerażenie, zdumienie... o, co się działo z księciem, trudno, a nawet nie należy opisywać. Lecz niepodobna przemilczeć pew-

nego dziwnego uczucia, które ogarnęło go w tej samej właśnie chwili i nagle wyłoniło mu się z mnóstwa innych niejasnych i okropnych uczuć: nie wstyd, nie skandal, nie strach, nie nagłość wypadku uderzyła go najwięcej, lecz sprawdzenie się przepowiedni! Co mianowicie w tej myśli było takiego uderzającego, nie mógłby nawet uświadomić sobie; czuł tylko, że poruszony jest do głębi serca, i stał w trwodze niemal mistycznej. Chwila jeszcze, i naraz jakgdyby się wszystko przed nim rozwarło, z miast przestrzenie... światłość i wesele, zachwyt; tchu mu zabrakło i... lecz chwila przeszła. Chwała Bogu, to nie to! Odetchnął i spojrzał wkoło.

Przez czas dłuższy jakby nie zdawał sobie sprawy z zamieszania, które wrzało wkoło niego, a raczej zrozumiał dokładnie i widział wszystko, lecz stał, jakby jakiś wyjątkowy człowiek, który w niczem udziału nie bierze i który, jak niewidka w bajce, przedostał się do pokoju i obserwuje obcych lecz ciekawych dlań ludzi. Widział, jak sprzątano szczątki, słyszał gorączkowe djalogi, widział Agłaję bladą i patrzącą nań dziwnie, niezmiernie dziwnie; w oczach jej nie było wcale nienawiści, ani odrobiny gniewu; patrzyła na niego wylękłym, lecz takim sympatycznym wzrokiem, a na innych takim pełnym błysków wzrokiem... Serce jego nagle omdlało rozkosznie. Zobaczył nareszcie z dziwnem zdumieniem, że wszyscy usiedli i śmieją się nawet, jakgdyby nic sie nie stało! Jeszcze chwila, i śmiech się wzmógł: śmiano się już, patrząc na niego, na jego osłupiałe odrętwienie, lecz śmiano się przyjaźnie, wesoło; wielu zaczynało do niego przemawiać i mówili tak życzliwie, na czele zaś wszystkich Elżbieta Prokofjewna, która mówiła, śmiejąc się, coś bardzo, bardzo dobrego. Nagle poczuł, że Jan Teodorowicz przyjaźnie klepie go po ramieniu; Jan Piotrowicz śmiał się również; ale jeszcze zacniej, jeszcze milej i sympatyczniej zachowywał się staruszek; ujął księcia za rękę i zlekka ją ściskając, zlekka uderzając po niej dłonią drugiej ręki, przekładał mu, aby ochłonął, zwracając się doń, jak do małego wystraszonego chłopczyka, co się księciu strasznie spodobało, a wreszcie posadził go tuż przy sobie. Książę z zachwytem wpatrywał się w jego twarz i wciąż jeszcze niewiadomo dlaczego nie był w stanie

przemówić, oddech miał zatamowany; twarz starca tak mu się podobała.

— Jakto? — wybełkotał wkońcu — naprawdę mi przebaczacie? i... pani, Elżbieto Prokofjewno!

Śmiano się coraz głośniej, księciu zakręciły się łzy w oczach; własnym zmysłom nie wierzył i był olśniony.

— Oczywiście, wazon był prześliczny. Pamiętam go tu już z piętnaście lat, tak... piętnaście... — odezwał się Jan Piotrowicz.

— No, dopiero wielkie nieszczęście! I na człowieka przychodzi koniec, a tu jakiś tam gliniany garnek! — rzekła głośno Elżbieta Prokofjewna. — Czyżbyś się tak przeląkł, Leonie Mikołajewiczu? — dodała nawet z niepokojem.

— No, dosyć, mój drogi, dosyć; naprawdę, napędzasz mi strachu.

— I wszystko mi wybaczacie? wszystko, prócz wazonu? — zrywał się już książę z miejsca, lecz staruszek natychmiast znów go przyciągnął za rękę. Nie chciał już puszczać go od siebie.

— *C'est très curieux et c'est trè sérieux!* — szepnął przez stół do Jana Piotrowicza dość zresztą głośno. Może i książę usłyszał.

— Więc nie obraziłem nikogo z państwa? Nie uwierzycie, jak mnie ta myśl uszczęśliwia; ale właśnie tak być powinno! Czyż mogłem tu kogo obrazić? Ja znów obrażę was, jeśli tak pomyślę.

— Kochany panie, niech się pan uspokoi, to przesada. I nie ma pan za co być tak dalece wdzięcznym; jest to piękne uczucie, ale przesadzone.

— Ja państwu nie dziękuję, tylko... rozkoszuję się państwem, patrząc na was, czuję się szczęśliwy; być może, iż mówię głupstwa, lecz... mówić muszę, muszę wyjaśnić... choćby nawet przez szacunek dla samego siebie.

Wszystko w nim było dorywcze, gorączkowe i splątane; bardzo być może, że słowa, które wymawiał, często nie były temi, które chciał powiedzieć. We wzroku jego było jakby pytanie: czy mu wolno mówić? Wzrok jego zatrzymał się na Biełokońskiej.

— Nie, nie, kochanku, mów dalej, tylko nie zasapuj

się tak — zauważyła — tyś i przedtem zaraz na początku oddech stracił i ot, do czego doszedłeś, a mówić się nie bój; ci państwo widzieli nieraz większych, niż ty, dziwaków, nikogo nie zadziwisz, a w dodatku nie jesteś wcale taki znów mądry, tylko ot, rozbiłeś wazon i przestraszyłeś.

Książę słuchał jej z uśmiechem.

— To pan przecież — zwrócił się nagle do staruszka— to pan przecież studenta Podkumowa i urzędnika Szwabryna przed trzema miesiącami uratował od zesłania?

Staruszek aż się zaczerwienił i wybełkotał, że wypadałoby się uspokoić.

— Wszak to o panu ja słyszałem — zwrócił się natychmiast do Jana Piotrowicza — w...kiej gubernji, że pan dał uwłaszczonym już pogorzelcom chłopom, od których pan nawet podobno doznał przykrości, drzewa na pobudowanie się.

— No, to prze-sa-da — wybąkał Jan Piotrowicz, przybrawszy zresztą pozę pełną zadowolenia; ale tym razem miał zupełną słuszność, że to „przesada": była to tylko fałszywa pogłoska, która doszła do księcia.

— A pani, księżno — zwrócił się nagle do Biełokońskiej z jasnym uśmiechem — czyż to nie pani pół roku temu na skutek listu Elżbiety Prokofjewny przyjęła mnie w Moskwie, jak rodzonego syna i rzeczywiście, jak rodzonemu synowi udzieliła mi pewnej rady, której póki życia nie zapomnę. Czy pani pamięta?

— Cóż to za hece wyprawiasz? — ze złością odezwała się Biełokońska — dobry jesteś chłopak, ale śmieszny; dostaniesz dwa grosze i tak dziękujesz, jakby ci kto życie uratował. Myślisz, że to jest chwalebne, a to jest wstrętne.

Była już całkiem zagniewana, lecz nagle się roześmiała i tym razem poczciwym śmiechem. Rozjaśniła się również twarz Elżbiety Prokofjewny; zajaśniał i Jan Teodorowicz.

— Mówiłem, że Leon Mikołajewicz jest człowiekiem... jest człowiekiem... jednem słowem, żeby się tylko nie zasapywał, jak zauważyła księżna... — wybąkał jenerał w radosnem upojeniu, powtarzając słowa Biełokońskiej, które go uderzyły.

Jedna tylko Agłaja była jakaś smutna; lecz twarz miała jeszcze rozognioną, być może z oburzenia.

— On naprawdę jest bardzo miły — bąknął znów staruszek do Jana Piotrowicza.

— Przyszedłem tu z męką w sercu — ciągnął książę z rosnącem wzburzeniem, coraz prędzej, prędzej, coraz dziwaczniej, z coraz większem uniesieniem — ja... ja się was bałem, i siebie również się bałem. Najwięcej siebie. Gdym wracał tu do Petersburga, dałem sobie słowo za jaką bądź cenę zobaczyć przedstawicieli naszych najznakomitszych, najstarszych rodów, do których sam należę, pośród których sam jestem potomkiem jednego z najwybitniejszych rodów. Wszak teraz znajduję się pośród takich samych, jak ja, książąt, wszak tak? Pragnąłem was poznać, o, to było potrzebne, bardzo, bardzo potrzebne!... Zbyt wiele złego zawsze o was słyszałem, więcej niż dobrego, o drobiazgowości i wyłączności waszych dążeń, o waszem zacofaniu, o płytkiem wykształceniu, o śmiesznych nawyknieniach; o, tak przecież wiele o was piszą i mówią! Szedłem tu dziś z ciekawością, z niepokojem; musiałem sam zobaczyć i na własne oczy się przekonać: czy rzeczywiście ta górna warstwa Rosjan już na nic się nie zda, czy już całkiem jest przeżyta, czy pradawne życie już w niej zamarło i zdolne jest tylko do wymarcia, lecz w nieustannej, drobiazgowej, zawistnej walce z ludźmi... przyszłymi, którym drogę zagradza, nie spostrzegając, że sama ginie? Ja i przedtem niezupełnie zgadzałem się z tym poglądem, ponieważ u nas właściwie wyższej kasty nie było nigdy z wyjątkiem chyba umundurowanych dworaków, albo wyróżnionych, a teraz już nawet znikła zupełnie, wszak tak, czy nie tak?

— No, wcale nie tak — zaśmiał się zjadliwie Jan Piotrowicz.

— Znów zatrajkotał! — nie wytrzymała i palnęła Biełokońska.

— *Laissez le dire*, aż się trzęsie cały — rzekł ostrzegawczo półgłosem staruszek.

Książę był stanowczo niepoczytalny.

— I cóż? Ujrzałem ludzi wytwornych, otwartych, rozumnych; zobaczyłem starca, który przygarnia do siebie i wy-

słuchuje takiego młodzika, jak ja; widzę ludzi zdolnych do pojmowania i przebaczania, ludzi rosyjskiego pokroju i zacnych, takich samych prawie zacnych i serdecznych, jak ci, których tam spotykałem, nie gorszych prawie od nich. Osądźcie więc, jak byłem mile zdziwiony! O, pozwólcie mi to wypowiedzieć! Słyszałem o tem wiele i sam w to wierzyłem, że w świecie wszystko jest wymuszone, że panują wszędzie strupieszałe formy, a rdzeń uwiądł. Lecz przecież sam teraz widzę, że to u nas niemożliwe. Czyżbyście teraz wszyscy byli jezuitami i oszukańcami? Przed chwilą słyszałem opowiadanie księcia N.: czyż to nie jest płynący z duszy, natchniony humor, nie jest że to prawdziwa dobroduszność? Czyż takie słowa mogą wychodzić z ust człowieka... zmartwiałego, o wyschniętem sercu i talencie? Czyż trupy mogłyby się tak obejść ze mną, jak wy tutaj? Nie jest że to materjał... dla przyszłości, dla nadziei? Czy tacy ludzie mogą nie zrozumieć, pozostać w tyle?

— Mój panie kochany, jeszcze raz proszę, niech się pan uspokoi, my to wszystko innym razem, i ja z przyjemnością... uśmiechnął się „dygnitarz".

Jan Piotrowicz chrząknął i poprawił się na swoim fotelu; Jan Teodorowicz poruszył się niespokojnie; jenerał-dowódca zajęty był rozmową z małżonką dygnitarza i nie zwracał już najmniejszej uwagi na księcia; lecz małżonka dygnitarza nadstawiała często ucha i spoglądała.

— Nie, wie pan, lepiej, abym mówił! — w nowym zapale gorączkowym ciągnął książę z jakiemś szczególnem zaufaniem i nawet poufałością, zwracając się do staruszka.— Agłaja Iwanowna zabroniła mi wczoraj mówić i przytoczyła nawet tematy, których nie wolno poruszać; ona wie,, że wtedy staję się śmieszny. Mam rok dwudziesty siódmy, a wiem przecież, że jestem jak dziecko. Nie mam prawa wyrażać swej myśli, mówiłem to już dawno; ja tylko w Moskwie, z Rogożynem, mówiłem otwarcie... Czytaliśmy z nim Puszkina, całegośmy przeczytali; on nic z jego utworów nie znał, nawet nazwiska Puszkina nie słyszał... Boję się zawsze skompromitować swoim śmiesznym wyglądem myśl i zasadnicze pojęcie. Ja nie mam gestu. Ja mam zawsze opaczny gest, a to wywołuje śmiech i poniża ideę. Poczucia miary także nie

posiadam, a to grunt; to nawet rzecz najważniejsza... Wiem, żem powinien siedzieć i milczeć. Gdy zapanuję nad sobą i zamilknę, to się wydaję nawet bardzo rozsądnym a w dodatku przemyśliwam. Ale teraz lepiej bym mówił. Ja dlatego mówić zacząłem, że pan tak cudownie na mnie patrzy, pan ma prześliczną twarz! Wczoraj dałem słowo Agłai Iwanownie, że cały wieczór będę milczał.

— *Vraiment?* — uśmiechnął się staruszek.

— Lecz ja chwilami myślę, że nie mam słuszności, gdy tak myślę; że dla szczerości można gest poświęcić, czyż nie? czy nie?

— Niekiedy.

— Ja chcę wszystko wytłumaczyć, wszystko, wszystko, wszystko! O, tak! Pan myśli, że ja jestem utopistą? Ideologiem? O, nie, mam same takie proste myśli... pan nie wierzy? pan się uśmiecha? Wie pan, ja chwilami jestem podły, bo tracę wiarę; przed chwilą szedłem tu i myślałem: „no, jak ja do nich przemówię? od jakiego wyrazu mam zacząć, żeby mnie choć cokolwiek zrozumiano?“ Jak ja się bałem, lecz za was bałem się więcej, strasznie, strasznie! A tymczasem, czyż mogłem się obawiać? Cóż z tego, że na jednego przodownika jest taka masa zacofańców i marnych ludzi? Z tego wypływa właśnie moja radość, że jestem teraz przekonany, że wcale nie otchłań, a sam żywy materjał! Niema czego martwić się tem, żeśmy śmieszni, nieprawdaż? Przecież tak jest rzeczywiście, jesteśmy śmieszni, lekkomyślni, mamy złe nałogi, unosimy się, nie umiemy patrzeć, nie umiemy rozumieć, tacyśmy przecież wszyscy, wszyscy, i wy, i ja, i oni! Przecież pan się nie obrazi, że panu w oczy powiem, że pan jest śmieszny? A skoro tak, to czyż pan nie jest materjałem? Wie pan, podług mnie, nawet czasem dobrze być śmiesznym, nawet lepiej: prędzej można przebaczyć sobie wzajem, prędzej się ukorzyć; wszak odrazu nie można wszystkiego zrozumieć, niepodobna odrazu zacząć od doskonałości! Aby dojść do doskonałości, trzeba przedtem wielu rzeczy nie rozumieć. A gdy się zbyt prędko zrozumie, to kto wie, czy się dobrze zrozumie. Mówię to panu, który już tak wiele potrafił zrozumieć i... nie zrozumieć. Teraz już nie boję się o pana: pan się przecież nie gniewa, że panu takie rzeczy mówi taki

smarkacz? Na pewno nie! O, pan potrafi zapomnieć i wybaczyć tym, którzy pana obrazili i tym, którzy pana niczem nie obrazili, gdyż najtrudniej przecież wybaczyć tym, którzy nas niczem nie obrazili i właśnie dlatego, że nie obrazili, a więc nasz żal niesłuszny; oto czego oczekiwałem od ludzi wyższego rzędu, oto, co śpieszyłem, jadąc tutaj im powiedzieć i nie wiedziałem, jak powiedzieć... Pan się śmieje, Janie Piotrowiczu. Pan myśli, żem się bał o tamtych i żem ich obrońca, demokrata, głosiciel równości? — zaśmiał się histerycznie (co chwila śmiał się krótkim, pełnym zachwytu śmiechem). — Boję się o was, o was wszystkich i za was wszystkich razem. Ja sam przecież jestem księciem starożytnego rodu i z książętami siedzę. Ja mówię, żeby wybawić was wszystkich, aby nie zniknął stan nadaremnie w mroku, nie domyśliwszy się niczego, wszystkiemu złorzecząc, zgrany do nitki. Poco ginąć i innym ustępować miejsca, gdy można pozostać na czele i zachować starszeństwo? Gdy pozostaniemy na czele, to i starszeństwo zachowamy. Staniemy się sługami, aby być wyżej.

Zaczął się zrywać z krzesła, lecz staruszek wciąż go przytrzymywał, patrząc na niego, z rosnącym wszakże niepokojem.

— Słuchajcie! Ja wiem, że słowa nic nie znaczą; lepiej wprost dać przykład, lepiej wprost zacząć... Ja już zacząłem i... i czyż istotnie można być nieszczęśliwym! O, cóż znaczy mój smutek i moje nieszczęście, gdy jest w mojej mocy być szczęśliwym? Wiecie, nie rozumiem, jak można przechodzić koło drzewa i nie być szczęśliwym, że się je widzi? Rozmawiać z człowiekiem i nie czuć szczęście, że się go kocha! O, ja tylko tego nie umiem wyrazić... Ileż jest na każdym kroku takich cudownych rzeczy, które nawet najbardziej zgubiony człowiek może znajdować pięknemi? Spójrzcie na dziecko, spójrzcie na jutrzenkę Bożą, spójrzcie na trawkę, jak rośnie, popatrzcie w oczy, co patrzą na was i was miłują...

Stał oddawna, przemawiając. Staruszek patrzał nań już ze strachem. Elżbieta Prokofjewna, która się najwcześniej domyśliła, zawołała: „o, mój Boże!“ i klasnęła w dłonie. Agłaja podbiegła ku niemu szybko i zdążyła przyjąć go na

swoje ręce i w przerażeniu, z twarzą bólem wykrzywioną, usłyszała dziki krzyk „ducha, co wstrząsnął i powalił" nieszczęśliwego. Chory leżał na dywanie. Ktoś zdążył co prędzej podłożyć mu pod głowę poduszkę.

Takiego wyniku nikt się nie spodziewał. Po kwadransie książę N., Eugenjusz Pawłowicz, staruszek usiłowali znów ożywić zebranie, ale w pół godziny później już się wszyscy rozjechali. Wypowiedziano wiele współczujących wyrazów, wiele narzekań, kilka przypuszczeń. Jan Piotrowicz wyraził się między innemi, że „młodzieniec jest sło-wia-no-filem, albo czemś w tym rodzaju, lecz, że to zresztą nie jest niebezpieczne". Staruszek nic nie powiedział. Coprawda, potem już na drugi i trzeci dzień wszyscy nawet się nieco pogniewali; Jan Piotrowicz obraził się nawet, ale niebardzo. Jenerał-dowódca był przez pewien czas trochę sztywny względem Jana Teodorowicza. „Protektor" rodziny, dygnitarz, także ze swej strony wymamlał coś głowie rodziny, jako naukę moralną, przyczem wyraził się łaskawie, że go bardzo a bardzo zajmuje los Agłai. Był to człowiek rzeczywiście dość dobry; jednakże wśród przyczyn jego zaciekawienia względem księcia w ciągu wieczora była także poprzednia sprawa księcia z Nastazją Filipowną; o sprawie tej słyszał coś niecoś i nawet bardzo się nią interesował, miał nawet zamiar o nią wypytać.

Biełokońska, odjeżdżając do domu, rzekła do Elżbiety Prokofjewny:

— Cóż, i miły i niemiły; a jak chcesz wiedzieć moje zdanie, to więcej niemiły. Sama widzisz, co to za człowiek, chory i już!

Elżbieta Prokofjewna zdecydowała w duchu ostatecznie, że to „niemożliwy" narzeczony, i przez noc dała sobie słowo, że „póki ona żyje, nie dostanie książę jej Agłai". Z tem też wstała rano. Ale tego samego rana, o pierwszej, przy śniadaniu, popadła w zadziwiającą ze sobą sprzeczność.

Na pewne, nadzwyczaj zresztą ostrożne, pytanie sióstr, Agłaja odrzekła nagle zimno lecz wyniośle, jakby toporem rąbnęła:

— Ja nigdy mu słowa nie dawałam, nigdy w życiu nie

uważałam go za swego narzeczonego. On dla mnie jest takim samym obcym człowiekiem, jak i każdy inny.

Elżbieta Prokofjewna wybuchnęła nagle:

— Tego się po tobie nie spodziewałam — wyrzekła ze smutkiem. — Jako narzeczony jest niemożliwy, ja to wiem, i, dzięki Bogu, że się tak złożyło; ale takiego powiedzenia po tobie się nie spodziewałam! Sądziłam, że zachowasz się inaczej. Jabym tych wszystkich, co wczoraj byli, na cztery wiatry rozpędziła, a jego jednegobym zostawiła, oto, jaki to jest człowiek!...

Tu nagle urwała, sama przestraszona tem, co powiedziała. Lecz gdyby wiedziała, do jakiego stopnia była w tej chwili niesprawiedliwa względem córki? W głowie Agłai plan już dojrzał; ona również czekała na swoją godzinę, która o wszystkiem powinna była zadecydować, i wszelka wzmianka, wszelkie nieostrożne dotknięcie głęboko raniło jej serce.

XVIII

Dla księcia również zaczął się ów ranek pod wrażeniem posępnych przeczuć, które można było wytłumaczyć jego chorobliwym stanem, lecz zbyt nieokreślony smutek nurtował mu duszę, i to go najbardziej dręczyło. Coprawda, tłoczyły się przed nim zbyt jaskrawe fakty, ciężkie i dotkliwe, lecz smutek jego dalej sięgał, niż to wszystko, co mógł sobie przypomnieć i uświadomić; rozumiał, że nie będzie mógł się sam uspokoić. Stopniowo utrwaliło się w nim przekonanie, że dziś jeszcze stanie się z nim coś niezwykłego i ostatecznego. Atak, któremu wczoraj uległ, należał do lekkich; prócz hipohondrji, pewnej ociężałości w głowie i bólu w członkach nie doznawał innego rozstroju. Mózg jego pracował dość dokładnie, choć duszę miał chorą. Wstał dosyć późno i natychmiast przypomniał mu się jasno wczorajszy wieczór; i to również sobie przypomniał, choć niezbyt wyraźnie, jak w pół godziny po ataku przyprowadzono go do domu. Dowiedział się, że był już u niego posłaniec od Jepanczynych dowiedzieć się o jego zdrowie. O wpół do dwunastej nadszedł drugi; to mu sprawiło przyjemność. Jedna z pierwszych przyszła Wiara

Lebiediewna, by go dwiedzić i usłużyć mu. W pierwszej chwili, gdy go zobaczyła, rozpłakała się nagle, lecz gdy ją książę zaraz uspokoił, roześmiała się. Zastanowiło go jakoś nagle silne współczucie, okazywane mu przez tę dziewczynę; schwycił jej rękę i pocałował. Wiara okropnie się zmieszała.

— Ach, co pan robi! — zawołała przerażona, cofnąwszy szybko swą rękę.

Odeszła wkrótce w jakiemś dziwnem zmieszaniu. Między innemi zdążyła mu opowiedzieć, że ojciec jej dzisiaj o świcie pobiegł do „nieboszczyka", jak nazywał jenerała, dowiedzieć się, czy czasem przez noc nie umarł i, jak słychać, powiadają, że wkrótce umrze. O dwunastej przyszedł do domu i zjawił się u księcia sam Lebiediew, ale właściwie „tylko na chwilkę, żeby się dowiedzieć o szanowne zdrowie" i t. d. I prócz tego zajrzał do „szafki". On tylko achał i ochał, i książę go prędko pożegnał, usiłował jednak dowiedzieć się coś niecoś o wczorajszym ataku, choć widoczne było, że wie wszystko szczegółowo. Po nim wstąpił Kola również na chwilkę; ten się rzeczywiście śpieszył i był mocno zaniepokojony i posępny. Zaczął od tego, że wprost i usilnie poprosił księcia, by mu zechciał wyjaśnić to wszystko, co przed nim ukrywano, dodając, że już wczoraj wszystkiego prawie się dowiedział. Do głębi był poruszony.

Zcałem możliwem współczuciem, do jakiego tylko był zdolny, książę opisał mu całe zajście, jak najdokładniej przedstawiając mu szczegóły i niby piorunem raził biednego chłopaka. Nie mógł wymówić ani słowa i zaczął płakać w milczeniu. Książę poczuł, że to było jedno z tych wrażeń, które pozostają na zawsze i na wieczne czasy czynią przewrót w życiu młodzieńca. Pośpieszył podzielić się z nim swojem zapatrywaniem na tę sprawę, dodając, że według jego zdania, być może, sama śmierć starca jest skutkiem przeważnie tego przerażenia, które pozostawił po sobie występek, i że na to nie każdyby się zdobył. Oczy Koli błysnęły, gdy wysłuchał księcia.

— Podli są Gańka i Basia i Pticyn! Ja kłócić się z nimi nie będą, ale od tej chwili drogi nasze się rozejdą! Ach, książę, od wczoraj wiele nowych uczuć poznałem; to nauka dla mnie! Co do matki, uważam, że także jest teraz poprostu

na mojej głowie; choć ma kąt u Basi, ale zawsze to nie to...

Zerwał się, przypomniawszy sobie, że nań czekają, naprędce zapytał księcia o zdrowie i, wysłuchawszy odpowiedzi, nagle dorzucił pośpiesznie:

— Czy jest jeszcze co poza tem? Jak słyszałem, wczoraj... (nie mam zresztą prawa), ale jeżeli pan będzie kiedy do czego potrzebował wiernego sługi, to stoi on przed panem. Zdaje mi się, żeśmy obaj niezbyt szczęśliwi, czyż nie tak? Ale... ja się nie dopytuję, nie dopytuję.

Wyszedł, a książę zamyślił się jeszcze bardziej, wszyscy przepowiadają nieszczęście, wszyscy już wyciągnęli wnioski, wszyscy tak patrzą, jakgdyby coś wiedzieli, coś takiego, czego on nie wie; Lebiediew bada, Kola wprost napomyka, a Wiara płacze. Machnął wreszcie ręką ze złością: „przeklęta, chorobliwa podejrzliwość", pomyślał. Twarz mu się rozjaśniła, gdy o drugiej ujrzał Jepanczynych, którzy wchodzili odwiedzić go „na chwilkę". Ci, to już rzeczywiście wstąpili na chwilę. Elżbieta Prokofjewna po skończonem śniadaniu oświadczyła, że wszyscy razem pójdą na spacer i to wszyscy razem. Oświadczenie to było uczynione w formie rozkazu, zwięźle, sucho, bez wyjaśnień. Wyszli wszyscy, czyli mamusia, panny, książę S. Elżbieta Prokofjewna skierowała się odrazu w stronę zupełnie przeciwną tej, w którą codziennie się udawano. Wszysy zrozumieli, o co chodzi, i milczeli, nie chcąc drażnić mamy, a ona, jakgdyby unikając wyrzutów i protestów, szła pierwsza naprzód, nie oglądając się. Adelajda zrobiła wreszcie uwagę, że na spacerze niema co tak lecieć i że za mamą trudno zdążyć.

— Wiecie co — odwróciła się nagle Elżbieta Prokofjewna — my teraz obok niego przechodzimy. Cokolwiek tam sobie myśli Agłaja i cokolwiek ma się stać potem, nie jest on dla nas obcy, a teraz jeszcze w dodatku i nieszczęśliwy i chory; ja, przynajmniej, wstąpię go odwiedzić. Kto chce iść ze mną, niech idzie, a kto nie chce... niech idzie dalej; wolna droga.

Ma się rozumieć, wszyscy wstąpili. Książę, jak można się było spodziewać, nie omieszkał jeszcze raz prosić o przebaczenie za wczorajszy wazon i... skandal.

— No, to głupstwo — odrzekła Elżbieta Prokofjew-

na — wazonu nie szkoda, tylko ciebie szkoda. A więc sam teraz uważasz, że stał się skandal; ot, co znaczy „nazajutrz...“ Ale i to nic, bo teraz każdy widzi, że winić cię nie można. No, do widzenia jednak; a jeśli masz siły, przejdź się i znów się połóż, to moja rada. A gdy ci przyjdzie chęć, to przychodź, jak dawniej; bądź pewny raz na zawsze, że cokolwiekby się stało, zawsze będziesz przyjacielem naszego domu: moim przynajmniej. Za siebie przynajmniej zaręczyć mogę...

Na wezwanie wszyscy odpowiedzieli i potwierdzili uczucia mamy. Wyszli, lecz w tej skwapliwej i szlachetnej chęci powiedzenia czegoś życzliwego i dodającego otuchy ukrywało się sporo okrucieństwa, czego nie spostrzegła nawet Elżbieta Prokofjewna. W zaproszeniu, aby przychodził po dawnemu“ i w słowach „moim przynajmniej“ znów zabrzmiała jakaś przepowiednia. Książę zaczął przypominać sobie Agłaję; prawda że przedziwnie doń się uśmiechała i przy wejściu i przy pożegnaniu, lecz nie wyrzekła ani słowa, nawet i wtedy, gdy wszyscy czynili zapewnienia co do przyjaźni, choć dwukrotnie uważnie na niego spojrzała. Twarz miała bledszą, niż zwykle, jakgdyby źle spała w nocy. Książę postanowił zaraz wieczorem pójść do nich koniecznie, „jak dawniej“ i gorączkowo spojrzał na zegarek. Weszła Wiara, po upływie trzech minut po wyjściu Jepanczynych.

— Tylko co Agłaja Iwanowna poleciła mi pocichutku, bym panu kilka słów...

Książę aż zadrżał:

— Co, kartka?

— Nie, ustnie; i tak zaledwie zdążyła. Bardzo pana prosi, by pan przez cały dzień dzisiejszy ani na chwilę nie wychodził z mieszkania; aż do siódmej wieczorem, albo nawet do dziewiątej, nie dosłyszałam tego dobrze.

— Tak... dlaczego to? Co to znaczy?

— Nic a nic nie wiem; kazała tylko, żeby tam nie wiem co powtórzyć.

— Powiedziała tak: „żeby tam nie wiem co?“

— Nie, tak dosłownie nie powiedziała: ledwie zdążyła odwrócić się i powiedzieć, dobrze jeszcze, żem doskoczyła.

Ale już z twarzy było widać, czy kazała powtórzyć koniecznie, czy nie. Tak spojrzała na mnie, że mi się serce krajało...

Po kilku jeszcze pytaniach książę, choć nie dowiedział się niczego więcej, ale zato jeszcze bardziej się zatrwożył. Gdy został sam, położył się na otomanie i znów począł rozmyślać. „Może tam kto będzie u nich przed dziewiątą, i ona znów o mnie się boi, żebym jakiego kawału przy gościach nie zrobił", wymyślił wreszcie i znów zaczął z niecierpliwością wyczekiwać wieczoru i spoglądać na zegarek. Ale rozwiązanie nastąpiło znacznie wcześniej, niż wieczór, i również w formie nowych odwiedzin, rozwiązanie w formie nowej, męczącej zagadki: w pół godziny po odejściu Jepanczynych przyszedł do niego Hipolit, do takiego stopnia znużony i wycieńczony, że gdy wszedł, to, nie mówiąc ani słowa, literalnie padł na fotel jak bez przytomności i w tej samej chwili napadł go okrutny kaszel. Zakaszlał się aż do krwi. Oczy mu błyszczały i czerwone plamy wystąpiły na policzki. Książę coś tam wybąkał, lecz nie odpowiedział i, przez długi czas jeszcze nie odpowiadając, machał tylko ręką, żeby narazie dano mu spokój. Ocknął się wreszcie.

— Odchodzę! — wymówił z trudem zachrypniętym głosem.

— Chce pan, ja pana odprowadzę — rzekł książę, uniósłszy się nieco z krzesła, i uciął, przypomniawszy sobie otrzymany niedawno zakaz wydalania się z domu.

Hipolit się śmiał.

— Ja nie stąd odchodzę — ciągnął z nieustanną chrypką — przeciwnie, uznałem za konieczne przyjść tu do pana i to w interesie... bez któregobym pana nie trudził. Ja tam odchodzę, i tym razem, zdaje się, na serjo. *Caput!* Ja nie dla współczucia, niech mi pan wierzy... Ja nawet położyłem się dzisiaj o dziesiątej z tem, żeby już wcale nie wstawać aż do tej chwili, alem się rozmyślił i jeszcze raz wstałem, żeby pójść do pana... Potrzeba widocznie.

— Przykro patrzeć na pana: lepiej było mnie wezwać, niż samemu się trudzić.

— No, to i dosyć. Wyraził pan współczucie i stało się zadość salonowej uprzejmości... Prawda, zapomniałem: jakże pańskie zdrowie?

— Zdrów jestem. Wczoraj byłem... niebardzo...

— Słyszałem, słyszałem. Dostało się chińskiemu wazonowi; szkoda, że mnie tam nie było! Ja do pana w interesie. Po pierwsze, miałem dziś przyjemność widzieć Gabrjela Ardałjonowicza na schadzce z Agłają Iwanowną przy zielonej ławce. Nie mogłem wyjść z podziwu, do jakiego stopnia człowiek może mieć głupi wyraz twarzy. Podzieliłem się tem spostrzeżeniem z samą Agłają Iwanowną po odejściu Gabrjela Ardałjonowicza... Pan, zdaje się, niczemu się nie dziwi — dodał, z niedowierzaniem patrząc na spokojną twarz księcia. — Powiadają, że nie dziwić się niczemu jest cechą wielkiego rozumu; według mego zdania to w równym stopniu mogłoby być dowodem wielkiej głupoty... Zresztą nie pana mam na myśli, proszę mi wybaczyć... Niefortunnie się dziś wyrażam.

— Ja wczoraj jeszcze wiedziałem, że Gabrjel Ardałjonowicz — urwał książę w widocznem zmieszaniu, aczkolwiek Hipolit zły był, że książę się nie dziwi.

— Wiedział pan! A to nowina! A zresztą co tam, niech pan nie opowiada... A świadkiem dzisiejszego spotkania pan nie był?

— Widział pan, że mnie tam nie było, skoro pan tam był.

— No, może pan tam gdzie za krzakiem siedział. Cieszę się zresztą w każdym razie, za pana, ma się rozumieć, bom już myślał, że Gabrjel Ardałjonowicz został wyróżniony.

— Ja pana proszę, panie Hipolicie, aby pan ze mną o tem i w ten sposób nie mówił.

— Tem bardziej, że pan już wszystko wie.

— Pan się myli. Ja prawie o niczem nie wiem, i Agłaja Iwanowna na pewno wie, że ja o niczem nie wiem. Ja nawet o tem spotkaniu zupełnie nic nie wiedziałem... Pan mówi, że nastąpiło spotkanie? No, to dobrze i dajmy temu pokój...

— Więc jakże to... to pan wiedział, to nie wiedział? Pan mówi: „dobrze, i dajmy spokój?“ No, nie, niech pan nie będzie taki łatwowierny! Zwłaszcza, skoro pan nic nie wie. A czy pan wie, jakie wyrachowanie mają ci dwoje, bra-

ciszek i siostrzyczka? Tego to się pan pewnie domyśla?... Dobrze, dobrze, dam temu spokój... — dodał, spostrzegłszy zniecierpliwiony ruch księcia. — Ale przyszedłem we własnym interesie i co do tego... chcę dać wyjaśnienia. Do djabła, ani rusz nie można umrzeć bez wyjaśnień; strach, jak ja ciągle wyjaśniam. Chce pan posłuchać?

— Mów pan, słucham.

— Ja znów jednak zmieniam zdanie; pomimo wszystko, zacznę od Gani. Niech pan sobie wyobrazi, że i mnie również polecono przyjść do zielonej ławki. Zresztą, nie będę kłamał: sam nalegałem na to, abyśmy się spotkali, narzuciłem się, obiecałem wyjawić pewną tajemnicę. Nie wiem, czym przyszedł zawcześnie (zdaje się, rzeczywiście zbyt wcześnie przyszedłem), ale tylko com zajął swoje miejsce obok Agłai Iwanowny, patrzę, zjawiają się Gabrjel Ardaljonowicz i Barbara Ardaljonowna, pod rękę, niby spacerkiem. Oboje byli, zdaje się, mocno zdziwieni, gdy mnie spotrzegli, czego innego widać się spodziewali, zmieszali się nawet. Agłaja Iwanowna zaczerwieniła się i, wierz pan lub nie wierz, trochę się nawet zmieszała, czy dlatego, że ja tam byłem, czy poprostu na widok Gabrjela Ardaljonowicza, bo jest przecież ładny, dość, że cała stanęła w ogniu i załatwiła sprawę błyskawicznie, nadzwyczaj zabawnie: podniosła się nieco, odpowiedziała Gabrjelowi Ardaljonowiczowi na jego ukłon, Barbarze Ardaljonownie na jej przymilający uśmiech i nagle rąbnęła: „Ja tylko poto, żeby wyrazić państwu moje osobiste zadowolenie ze szczerych i przyjaznych uczuć państwa i gdy będę ich potrzebowała, to, wierzcie mi państwo..." Skłoniła się, a tamci oboje odeszli, nie wiem, czy wystrychnięci na dudków, czy z triumfem; Ganieczka oczywiście się zbłaźnił: nic nie skombinował, poczerwieniał, jak rak (zadziwiający miewa czasem wyraz twarzy!), lecz Barbara Ardaljowna zrozumiała, zdaje się, że trzeba czem prędzej brać nogi za pas i że Agłaja już sobie zanadto z nimi pozwala i pociągnęła za sobą brata. Ona jest mądrzejsza od niego i pewny jestem, że teraz triumfuje. A ja przyszedłem rozmówić się z Agłają Iwanowną, żeby się ułożyć co do spotkania z Nastazją Filipowną!

— Z Nastazją Filipowną! — zawołał książę.

— Aha! Pan, zdaje się, traci zimną krew i zaczyna się dziwić? Bardzo się cieszę, że pan chce być do człowieka podobny. Ja pana za to ubawię. Oto, co znaczy oddawać usługi młodym i szlachetnym pannom: ja dziś od niej otrzymałem policzek.

— Mo-ral-ny? — mimowoli jakoś zapytał książę.

— Tak, nie fizyczny. Zdaje mi się, że nikt nie podejmie ręki na takiego, jak ja, mnie nawet kobieta teraz nie uderzy; nawet Ganieczka nie uderzy! Chociaż wczoraj w pewnej chwili myślałem jednak, że się na mnie rzuci... Założę się, że wiem, o czem pan teraz myśli? Pan myśli: „dajmy na to, bić go nie można, zato można go udusić poduszką, albo podczas snu mokrym gałganem... nawet powinno się"... Ma pan wypisane na twarzy, że pan to myśli w tej chwili.

— Nigdym tego nie myślał — ze wstrętem wyrzekł książę.

— Nie wiem, śniło mi się dziś w nocy, że udusił mnie mokrym gałganem... pewien człowiek... no, powiem panu zresztą kto: niech pan sobie wyobrazi... Rogożyn! Jak pan sądzi, czy można udusić człowieka mokrym gałganem?

— Nie wiem.

— Słyszałem, że można. Dobrze, dajmy temu spokój.— Ale, z jakiego powodu jestem plotkarzem? Za cóż mi ona od plotkarzy dziś nawymyślała? I niech pan zważy, że wtedy dopiero, gdy już mnie do ostatniego słówka wysłuchała i nawet zadawała mi pytania... Ale takie są kobiety! A ja dla niej tylko wszedłem w stosunki z Rogożynem, ciekawym osobnikiem; w jej własnym interesie zorganizowałem jej osobiste widzenie się z Nastazją Filipowną. Czy to nie za to przypadkiem, żem jej miłość własną zadrasnął, że ona zadawalnia się „ogryzkami" Nastazji Filipowny? Ja to jej przez cały czas dla własnego jej dobra przekładałem, tego się nie zapieram, w tym duchu napisałem do niej dwa listy i oto dziś trzeci, spotkanie... Przed chwilą też od tego zacząłem, że to dla niej poniżające... A przytem i to określenie „ogryzki" jest właściwie nie moje, a czyjeś tam; tak przynajmniej u Ganieczki wszyscy mówili; zresztą, i ona sama to potwierdziła. No więc cóż ze mnie za plotkarz? Aha, widzę, widzę: ja

się panu wydaję bardzo śmiesznym i założę się, że pan ma chęć zastosowania do mnie tych głupich wierszy:

„Może o smutnym zachodzie życia mojego
Miłość mi błyśnie uśmiechem pożegnania".

— Ha! ha! ha! — zaniósł się od histerycznego śmiechu, a potem zakaszlał okropnie. — Zauważ pan tylko — wykrztusił w męczącym kaszlu — jaki jest ten Ganieczka: mówi o ogryzkach, a teraz sam się łasi?!

Długo milczał książę; ogarnęło go przerażenie.

— Pan mówi o spotkaniu z Nastazją Filipowną? — wymamrotał wreszcie.

— E, czyż pan naprawdę nic nie wie, że się dziś odbędzie spotkanie Agłai Iwanowny z Nastazją Filipowną, w którym to celu Nastazja Filipowna za pośrednictwem Rogożyna, na zaproszenie Agłai Iwanowny i dzięki moim staraniom, została umyślnie sprowadzona z Petersburga i razem z Rogożynem znajduje się obecnie bardzo blisko od pana, w dawnym domu, u tej pani, jakże tam... Darji Aleksiejewny, osoby wielce dwuznacznej, a jej przyjaciółki, i tam, do tego dwuznacznego domu ma się dziś udać Agłaja Iwanowna dla przyjacielskiej rozmowy z Nastazję Filipowną i dla rozwiązania różnych zagadnień. Pragnie się poświęcić arytmetyce. Pan nie wiedział? Słowo honoru?

— To niemożliwe!

— No, to i dobrze, jak niemożliwe; zresztą, skąd pan ma o tem wiedzieć? Zresztą, to takie miasteczko, że jak mucha przeleci, to już wszyscy wiedzą! Alem ja jednak pana uprzedził i może mi pan być wdzięczny. No, do widzenia... na tamtym świecie pewnie. Ale, jeszcze jedno: chociażem po świńsku względem pana postępował, bo... pocóżbym ja miał być stratny, sam pan powiedz z łaski swojej? Na pańską korzyść, czy co? Ja jej przecież swoją „spowiedź" poświęciłem (pan o tem nie wiedział?) i w jaki sposób jeszcze ją przyjęła! He! he! Ale co do niej, to już świństw jej nie robiłem; względem niej ani trochę nie zawiniłem; ona mnie ośmieszyła i oszukała... A zresztą i względem pana jestem niewinny; a że tam wspomniałem o tych „ogryzkach" lub o czemś takiem, to zato teraz panu komunikuję dzień, godzinę i adres

spotkania i wykrywam panu całą tę grę... Ma się rozumieć, ze złości, a nie ze wspaniałomyślności. Żegnam pana, jestem gadatliwy, jak jąkała, albo jak suchotnik; no, więc niech pan pamięta, trzeba przedsiębrać środki i to jak najprędzej, jeśli pan tylko zasługuje na miano człowieka. Spotkanie ma nastąpić dziś nad wieczorem, to pewne.

Hipolit skierował się ku drzwiom, lecz książę zawołał na niego, i zatrzymał we drzwiach pokoju.

— A więc powiada pan, że Agłaja Iwanowna sama dziś przyjdzie do Nastazji Filipowny? — zapytał książę. Czerwone plamy wystąpiły mu na policzki i czoło.

— Na pewno nie wiem, ale według wszelkiego prawdopodobieństwa tak — odrzekł Hipolit, napół odwrócony. — Zresztą, inaczej być nie może. Przecież nie Nastazja Filipowna do niej? a i nie u Ganieczki również; ma on w domu prawie nieboszczyka. Pan wie, jak jest z jenerałem?

— Dla tego samego to już jest niemożliwe! — podchwycił książę. — Gdyby nawet chciała, to jakim sposobem wyjdzie? Pan nie zna... zwyczajów w tym domu: ona nie może sama oddalić się do Nastazji Filipownej; to nonsens!

— No, widzi książę, nikt z okna nie wyskakuje, a niech wybuchnie pożar, to chyba i największy dżentelman i największa dama wyskoczy przez okno. Jak potrzeba przyciśnie, to niema co, nawet do Nastazji Filipowny nasza panna się wybierze. A czyż ich tam nigdzie nie puszczają, tych pańskich panienek?

— Nie, ja nie o tem...

— A jak nie o tem, to wystarczy jej zejść z ganku i pójść prosto, a potem może choćby wcale nie wracać do domu. Bywają przypadki, że nawet okręty można czasem palić; do domu można wcale nie wracać: życie składa się nietylko ze śniadań, obiadów i książąt S. Zdaje mi się, że pan uważa Agłają Iwanownę za jakąś panienkę, czy też pensjonarkę; mówiłem nawet z nią o tem; przyznała mi, zdaje się, słuszność. Niech pan czeka do siódmej albo do ósmej... Żebym był na pańskiem miejscu, tobym tam kogo posłał do pilnowania, żeby przyłapać tę chwilę, kiedy ona będzie z ganku schodziła. No, niech pan Kolę chociażby poślę;

niech pan będzie pewien, że on poszpieguje z przyjemnością, zrobi to dla pana, to jest... bo przecież wszystko jest względne... ha! ha!

Hipolit wyszedł. Książę nie miał poco prosić kogo o szpiegowanie, gdyby nawet był do tego zdolny. Rozkaz, dany mu przez Aglaję, aby siedział w domu, był dla niego teraz prawie jasny: chciała prawdopodobnie wstąpić po niego. Coprawda, to może właśnie nie chciała, żeby on się tam znalazł i dlatego właśnie kazała mu w domu siedzieć... I tak być mogło. Czuł zamęt w głowie, cały pokój wirował przed nim. Położył się na otomanie i zamknął oczy.

Czy tak, czy owak, sprawa musiała być rozstrzygnięta stanowczo, ostatecznie. Nie, książę nie uważał Agłai za panienkę albo za pensjonarkę; czuł teraz, że bał się już dawno czegoś właśnie w tym rodzaju, ale dlaczego ona chce ją widzieć? Dreszcz przebiegał po całem jego ciele; znów miał gorączkę.

Nie, on jej nie uważał za dziecko! Przerażały go niektóre jej poglądy w ostatnich czasach, niektóre wyrazy. Chwilami miał to wrażenie, jakgdyby już z wysiłkiem panowała nad sobą, jakby się zanadto powściągała, i przypomniał sobie, że go to napawało lękiem. Prawda, w ciągu ostatnich dni starał się o tem nie myśleć, odpędzał ciężkie myśli, ale co się kryło w tej duszy? To pytanie męczyło go już dawno, choć w tę duszę wierzył. I oto dziś, dziś jeszcze wszystko to miało się rozstrzygnąć i wykryć. Okropna myśl! I znów... „ta kobieta"! dlaczego zdawało mu się zawsze, że ta kobieta zjawi się właśnie w ostatniej chwili i zerwie mu los cały, jak zbutwiałą nic? Że mu się zawsze tak wydawało, na to teraz gotów był przysiąc, choć był napół w malignie. Jeżeli w ostatnich czasach usiłował zapomnieć o niej, to jedynie dlatego, że się jej bał. Więc cóż: kochał tę kobietę, czy nienawidził ją? Tego pytania dziś nie zadał sobie ani razu; tu serce miał czyste: wiedział, kogo kocha.... I nietyle obawiał się ich spotkania, nie niezwykłości, nie nieznanej przyczyny tego spotkania, nie zakończenia jego w ten lub inny sposób... ile bał się samej Nastazji Filipowny. Już potem, po upływie kilku dni, książę uświadomił sobie, że podczas tych gorączkowych godzin wciąż majaczyły mu się jej

oczy, jej spojrzenie, słyszał jej słowa... dziwne jakieś słowa; niewiele mu jednak potem zostało w pamięci z tych gorączkowych i przykrych chwil. Zaledwie pamiętał, naprzykład, jak Wiara przyniosła mu obiad, jak jadł obiad, nie pamiętał, czy spał po obiedzie, czy nie? Wiedział tylko, dopiero od tej chwili, że zupełnie jasno począł sobie zdawać sprawę z tego wszystkiego, co się działo tego wieczora, kiedy Agłaja ukazała się nagle na werandzie, i on zerwał się z otomany i wyszedł na środek pokoju na jej spotkanie: było kwadrans na ósmą. Agłaja była samiuteńka, ubrana skromnie i jakby naprędce w leciutkim płaszczyku. Twarz miała bladą, jak i przedtem, a oczy świeciły jasnym, suchym blaskiem; takiego wyrazu oczu nie widział nigdy u niej. Przyjrzała mu się uważnie.

— Pan jest gotów zupełnie — zauważyła cicho i napozór spokojnie — pan jest ubrany i kapelusz ma w ręku; więc pana uprzedzono, wiem nawet kto: Hipolit?

— Tak, on mi mówił...—wybąknął książę napół żywy.

— Tak, no to chodźmy: pan wie, że musi mi pan koniecznie towarzyszyć! Myślę, że się pan czuje na siłach do wyjścia?

— Czuję się na siłach, ale... czyż to możliwe?

W tej samej chwili urwał i już nic więcej nie mógł wymówić. To było jedyne z jego strony usiłowanie zatrzymania szalonej, a następnie sam za nią poszedł, jak niewolnik. Jakkolwiek mgliste były jego myśli, rozumiał wszakże, że ona i tak tam pójdzie, a zatem on w każdym razie powinien iść z nią. Domyślał się siły jej postanowienia; nie mógł marzyć nawet o opanowaniu tego dzikiego porywu. Szli milcząc, przez całą prawie drogę nie odezwali się słówkiem. Zauważył tylko, że ona dobrze zna drogę, i kiedy chciał obrać o jeden zaułek dalszą drogę, ponieważ była więcej odludna, i zaproponował jej to, wysłuchała tego, jakby wysilając uwagę i odrzekła krótko: „wszystko jedno!" Gdy już byli prawie przy samym domu Darji Aleksiejewny (był to wielki i stary drewniany dom), z ganku wyszła jakaś wspaniała dama, a z nią młoda panna; śmiejąc się i rozmawiając, siadły razem do wspaniałego ekwipażu, który na nie czekał przed gankiem, i nie spojrzały nawet ani razu

na zbliżających się, jakgdyby ich wcale nie zauważyły. Zaledwie ekwipaż odjechał, natychmiast drzwi się powtórnie otworzyły i oczekujący Rogożyn wpuścił księcia i Agłaję i zamknął za nimi drzwi.

— W całym domu niema teraz nikogo, prócz nas czworga — zauważył głośno i dziwnie popatrzył na księcia.

Zaraz w pierwszym pokoju czekała i Nastazja Filipowna, ubrana nadzwyczaj skromnie, całkiem czarno; wstała na przywitanie, lecz się nie uśmiechnęła i nawet księciu nie podała ręki.

Badawczy i niespokojny wzrok jej z niecierpliwością skierował się na Agłaję. Siadły obydwie, zdala jedna od drugiej, Agłaja na otomanie w rogu, a Nastazja Filipowna przy oknie. Książę i Rogożyn nie siadali, nie proszono ich zresztą o to. Książę ze zdumieniem i jakby z bólem spojrzał znów na Rogożyna, lecz ten uśmiechał się wciąż tak, jak poprzednio. Milczenie trwało jeszcze chwil kilka.

Jakieś złowróżbne uczucie przemknęło wreszcie przez twarz Nastazji Filipowny; wzrok jej stawał się uporczywy, nieugięty i prawie nienawistny i ani na chwilę nie odrywała go od przybyłej. Agłaja była widocznie zmieszana, lecz nie traciła odwagi. Wchodząc, zaledwie spojrzała na swą rywalkę i narazie siedziała wciąż ze spuszczonemi oczyma, jakby zamyślona. Ze dwa razy jakby nieumyślnie obrzuciła wzrokiem pokój; widoczny wstręt odmalował się na jej twarzy, jakby bała się tu zawalać. Machinalnie poprawiała suknię i raz nawet z niepokojem zmieniła miejsce, przysuwając się do rogu kanapy. Wątpliwe, czy zdawała sobie sprawę ze wszystkich swoich poruszeń; lecz ich nieświadomość zwiększała jeszcze ich obelżywość. Spojrzała wreszcie z mocą wprost w oczy Nastazji Filipowny i natychmiast wyraźnie przeczytała to wszystko, co błyskało w zagniewanem spojrzeniu jej rywalki. Kobieta zrozumiała kobietę; Agłaja drgnęła.

— Pani oczywiście wie, poco panią wezwałam — wymówiła wreszcie, lecz bardzo cicho i nawet zatrzymawszy się dwa razy w tem krótkiem zdaniu.

— Nie, nic nie wiem — odrzekła Nastazja Filipowna oschle i krótko.

Agłaja zaczerwieniła się. Być może, że jej się nagle wydało okropnie dziwnem i nieprawdopodobnem, że ona siedzi teraz z tą kobietą, w domu „tej kobiety" i musi mieć jej odpowiedź. Na pierwszy dźwięk głosu Nastazji Filipowny jakby dreszcz przeszedł po jej ciele. Wszystko to doskonale oczywiście zauważyła „ta kobieta".

— Pani rozumie wszystko... Ale pani udaje umyślnie, że nie wie, o co chodzi — rzekła prawie szeptem Agłaja, ponuro patrząc w ziemię.

— I pocóż by? — z niewidzialnym prawie uśmiechem rzekła Nastazja Filipowna.

— Pani chce skorzystać z mojej sytuacji... że jestem u pani w domu — śmiesznie i niezręcznie ciągnęła Agłaja.

— Tę sytuację wywołała pani, a nie ja! — uniosła się nagle Nastazja Filipowna. — Nie ja panią zaprosiłam, ale pani mnie, i nie wiem dotychczas poco?

Agłaja dumnie podniosła głowę.

— Niech pani powściągnie swój język; nie taką bronią przyszłam z panią walczyć...

— A! Więc pani jednak przyszła „walczyć?" Niech pani sobie wyobrazi, myślałam jednak, że pani jest... dowcipniejsza...

Patrzały jedna na drugą, nie ukrywając już nienawiści. Jedna z tych kobiet była tą samą, która jeszcze tak niedawno pisywała do drugiej takie listy. I oto pierwsze ich spotkanie i pierwsze ich słowa rozproszyły wszystko. I cóż? W tej chwili, zdaje się, nikt z tych czworga obecnych nie uważał tego za dziwne. Książę, który wczoraj jeszcze nie uwierzyłby w możność zobaczenia tego choćby we śnie, stał teraz, patrzał i słuchał, jakby to wszystko dawno już przeczuł. Najfantastyczniejszy sen zamienił się nagle w najjaskrawszą, ostro zaznaczoną rzeczywistość. Jedna z tych kobiet do tego stopnia pogardzała już w tej chwili drugą i tak pragnęła jej to wypowiedzieć (być może, iż poto tylko przyszła, jak nazajutrz wyraził się Rogożyn), że jakkolwiek nieobliczalną była ta druga ze swoim rozstrojonym umysłem i chorą duszą, zdawało się jednak, że żaden zgóry powzięty zamiar nie ostałby się wobec jadowitej i iście kobiecej pogardy jej rywalki. Książę był przekonany, że Nastazja Filipowna sa-

ma o listach nie zacznie mówić; z jej rozognionego wzroku mógł się domyślić, ile kosztują ją teraz te listy; lecz pół życia oddałby za to, aby i Agłaja tej kwestji nie poruszała. Lecz Agłaja jakby się nagle wzmocniła i naraz zapanowała nad sobą.

— Pani mnie źle zrozumiała — rzekła — ja nie przyszłam do pani na... kłótnię, choć pani nie lubię. Ja... ja przyszłam do pani na ludzką rozmowę. Wzywając panią byłam już zdecydowana co do treści naszej rozmowy, i od postanowienia tego nie odstąpię, choćby mnie pani miała wcale nie zrozumieć. Tem gorzej będzie dla pani, a nie dla mnie. Chciałam pani odpowiedzieć na to, co mi pani pisała, i odpowiedzieć osobiście, bo tak wydawało mi się lepiej. Więc niech pani posłucha mojej odpowiedzi na wszystkie pani listy; zrobiło mi się żal księcia Leona Mikołajewicza tego samego dnia, gdy go po raz pierwszy poznałam i kiedy się potem dowiedziałam wszystkiego, co zaszło na wieczorze u pani. Dlatego mi się go żal zrobiło, że to taki szlachetnie naiwny człowiek i w prostocie swego ducha uwierzył, że może być szczęśliwym... z kobietą... takiego pokroju. Stało się to, czego się dla niego obawiałam: pani nie była w stanie go pokochać, wymęczyła go pani i porzuciła. Pani dlatego nie mogła go kochać, że jest pani zbyt dumna... nie, nie dumna, omyliłam się, a dlatego, że jest pani zbyt próżna... nawet i nie to: pani jest samolubna do... szaleństwa, dowodem czego mogą służyć choćby listy do mnie. Pani jego, takiego prostego, nie mogła pokochać, i nawet, być może, gardziła nim w duchu i śmiała się z niego; mogła go pani pokochać tylko swą hańbą, nieustanną myślą o tem, żeś pani zhańbiona, i że panią skrzywdzono. Gdyby na pani nie ciążyło tyle hańby, albo gdyby jej wcale nie było, to pani czułaby się nieszczęśliwszą... (Agłaja z rozkoszą wymawiała te zbyt już pośpiesznie wylatujące, lecz dawno już przygotowane i obmyślone wyrazy, jeszcze wówczas obmyślone, gdy jej się nawet ani nie śniło o teraźniejszem spotkaniu; zjadliwym wzrokiem badała ich skutek na wykrzywionej od wzburzenia twarzy Nastazji Filipowny). Pamięta pani — ciągnęła dalej — on wtedy napisał do mnie list, który według słów jego jest pani znany i nawet go pani czytała? Z tego listu zrozu-

miałam wszystko i zrozumiałam właściwie; niedawno potwierdził mi to sam, to wszystko właśnie, co ja tu pani mówię, dosłownie nawet. Po tym liście zaczęłam oczekiwać. Domyśliłam się, że pani tu musi przyjechać, bo wszak bez Petersburga pani żyć nie może: na prowincję pani zbyt jeszcze jest młoda i ładna... Zresztą, to także nie moje zdanie — dodała, strasznie się czerwieniąc, i od tej chwili rumieniec nie schodził już z jej twarzy aż do samego końca przemówienia. — Gdym znów zobaczyła księcia, uczułam za niego ogromny ból i urazę. Niech się pani nie śmieje; jeśli pani będzie się śmiała, to nie jest pani godną zrozumienia tego...

— Pani widzi, że się nie śmieję — smutnie i surowo rzekła Nastazja Filipowna.

— Zresztą, wszystko mi jedno, jak się pani podoba, niech się pani śmieje. Kiedy zaczęłam go sama wypytywać, powiedział mi, że już dawno pani nie kocha, że samo wspomnienie o pani jest dlań męczące, lecz że żal mu pani i że kiedy wspomina panią, to jego serce jest niby „przeszyte na wieki". Muszę to pani powiedzieć, że nie spotkałam w życiu człowieka, któryby był do niego podobny ze szlachetnej prostoty ducha i bezgranicznej łatwowierności. Ze słów jego domyśliłam się, że może go każdy, kto chce, oszukać i ktokolwiekby go oszukał, on każdemu potem przebaczy... i za to właśnie go pokochałam.

Agłaja zatrzymała się na chwilę, jakby zdumiona, jakby samej sobie nie wierząc, że mogła wypowiedzieć taki wyraz; ale w tej samej prawie chwili bezgraniczna niemal duma zabłysła w jej wzroku; zdawało się, że było już jej teraz wszystko jedno, choćby nawet „ta kobieta" zaczęła śmiać się z wyznania, które się jej wyrwało.

— Powiedziałam pani wszystko i teraz już, oczywiście, zrozumiała pani, czego od pani żądam?

— Może zrozumiałam, ale niech pani powie sama — odrzekła cicho Nastazja Filipowna.

Gniew zapałał w twarzy Agłai.

— Chciałam się od pani dowiedzieć — rzekła z mocą, akcentując każdy wyraz — jakiem prawem pani się wtrąca do jego uczuć do mnie? Jakiem prawem ośmieliła się pani do mnie pisywać? Jakiem prawem pani oświadcza co chwila

i jemu i mnie, że pani go kocha, skoro go pani sama porzuciła i uciekła od niego w taki dotkliwy i hańbiący sposób?

— Nie oświadczałam ani jemu, ani pani, że go kocham — wymówiła z wysiłkiem Nastazja Filipowna—i... pani ma słuszność, uciekłam od niego... — ledwo dosłyszalnie dodała.

— Jakto nie oświadczała pani ani jemu, ani mnie? — zawołała Agłaja. — A listy pani? Kto panią prosił o swatanie nas i namawianie, bym za niego wyszła? Czyż to nie oświadczenie? Poco się pani nam narzuca? Myślałam z początku, że pani, przeciwnie, chce we mnie wstręt ku niemu wzbudzić przez to, że się pani do nas wtrąciła, i żebym go porzuciła; dopiero potem domyśliłam się o co chodzi: poprostu pani sobie wyobraziła, że popełnia pani bohaterski czyn przez te wszystkie łamańce... Ale czy mogła go pani kochać, będąc tak próżną? Dlaczego pani poprostu stąd nie wyjechała, zamiast pisać do mnie te śmieszne listy? Dlaczego pani nie wyjdzie teraz za tego szlachetnego człowieka, który panią tak kocha i który zrobił pani zaszczyt, ofiarowując pani swą rękę. Aż zbyt jasne dlaczego: jak pani wyjdzie za Rogożyna, to cóż się wtedy z krzywdą stanie? Nawet byłby to dla pani zbyt wielki zaszczyt! Eugenjusz Pawłycz powiedział, że pani za wiele poezji czytała i „zanadto jest wykształcona, jak na swoje... stanowisko"; że pani jest kobieta oczytana i wielka pani; niech pani do tego doda swoją próżność, będzie pani miała wszystkie przyczyny...

— A pani nie jest wielką damą?

Zbyt prędko i bez osłonek doszło do takiego niespodziewanego punktu, niespodziewanego, gdyż Nastazja Filipowna, udając się do Pawłowska, marzyła jeszcze o czemś, choć, naturalnie, prędzej się spodziewała czegoś złego, niż dobrego; Agłaję zaś stanowczo porwało chwilowe uniesienie, jakgdyby spadła z wysokości i nie mogła powstrzymać się od okropnej rozkoszy zemsty. Dla Nastazji Filipowny niespodzianką było zobaczyć Agłaję taką; patrzyła na nią i jakgdyby sobie nie wierzyła i poprostu nie wiedziała w pierwszej chwili, co począć. Czy była istotnie kobietą, która przeczytała dużo poezji, jak myślał Egenjusz Pawłowicz, czy też poprostu obłąkaną, o czem był przekonany ksią-

żę, w każdym razie kobieta ta, o tak chwilami cynicznym i zuchwałym sposobie bycia była w gruncie rzeczy znacznie wstydliwszą, delikatniejszą i ufniejszą, niż można było sądzić. Prawda, miała w sobie dużo literatury, marzycielstwa zamkniętego w sobie, i fantastyczności, lecz zato wszystko to u niej było silne i głębokie.. Książę to rozumiał; cierpienie odbiło się na jego twarzy. Agłaja to zauważyła i zadrżała z nienawiści.

— Jak pani śmie w ten sposób zwracać się do mnie? — wyrzekła z niewymowną pogardą, odpowiadając na uwagę Nastazji Filipowny.

— Pani się pewnie przesłyszała — zdziwiła się Nastazja Filipowna. — Ja się do pani zwracam?

— Jeżeli pani chciała być uczciwą kobitą, to dlaczego pani wprost nie porzuciła swego uwodziciela, Tockiego, bez komedji teatralnej? — ni stąd ni zowąd rzekła nagle Agłaja.

— A co pani wie o mojem położeniu, aby się ośmielać wydawać o mnie sądy? — drgnęła Nastazja Filipowna i okropnie zbladła.

— Wiem to, że pani nie poszła do pracy, tylko uciekła z bogaczem Rogożynem, aby udawać upadłego anioła. Nie dziwię się, że Tocki dzięki temu upadłemu aniołowi chciał się zastrzelić.

— Ach, niechże pani da spokój! — ze wstrętem i bólem wyrzekła Nastazja Filipowna. — Pani mnie tak samo zrozumiała, jak... pokojówka Darji Aleksiejewny, która niedawno u sędziego ze swoim narzeczonym się prawowała. Ta lepiejby od pani zrozumiała...

— Prawdopodobnie uczciwa dziewczyna i własną pracą się utrzymuje. Dlaczego to pani tak pogardza służącą?

— Ja nie pracą pogardzam, a panią, gdy się pani o pracy odzywa.

— Zachciało się uczciwości, to trzeba było na praczkę pójść.

Wstały obydwie i blade patrzały na siebie.

— Agłaja, proszę się opamiętać! Wszak to niesprawiedliwe — zawołał książę jakby tracąc głowę.

Rogożyn już się nie uśmiechał, lecz słuchał z zaciśniętemi ustami i skrzyżowanemi rękami.

— Ot, macie — rzekła Nastazja Filipowna, drżąc z wściekłości — patrzcie! A ja ją miałam za anioła! — Pani raczyła do mnie przyjść bez guwernantki. Agłajo Iwanowno?... A chce pani... chce pani, to pani powiem zaraz wprost, bez ogródek, poco pani do mnie przyszła? Zlękła się pani i dlatego przyszła.

— Pani się zlękłam? — zapytała Agłaja, nieprzytomna z naiwnego i hardego zdumienia, nie wierząc własnym uszom, że tamta śmiała do niej tak przemówić.

— Oczywiście mnie! Mnie się pani boi, skoro się pani zdecydowała do mnie przyjść. Nie pogardza się tym, przed kim się czuje strach. I pomyśleć, żem ja miała dla pani szacunek do ostatniej nawet chwili! A czy pani wie, dlaczego mnie pani się boi i jakie jest teraz główne pani zadanie? Chciała się pani sama, osobiście przekonać: czy on więcej mnie, niż panią kocha, bo pani jest strasznie zazdrosna...

— Powiedział mi już, że panią nienawidzi... — wybełkotała z trudem Agłaja.

— Bardzo być może; bardzo być może, ja go nawet nie jestem warta, tylko... tylko, zdaje mi się, że pani skłamała! Nie może on mnie nienawidzić i nie mógł tego powiedzieć. Gotowa jestem zresztą pani przebaczyć... przez wzgląd na pani położenie... ale jednak lepiej o pani myślałam; myślałam, że pani jest i mądrzejsza i lepsza w gruncie rzeczy, daję słowo... No, niech pani sobie swój skarb zabiera... oto on patrzy na panią, przyjść do siebie nie może, niech go sobie pani zabiera, ale pod warunkiem: wynoście się zaraz! Natychmiast!....

Padła na krzesło i zalała się łzami. Lecz nagle jakaś nowa myśl zabłysła w jej oczach; badawczo i uporczywie popatrzyła na Agłaję i wstała z miejsca.

— A chcesz, to ja zaraz... roz-ka-żę, czy słyszysz? roz-ka-żę mu tylko i zaraz rzuci ciebie i zostanie przy mnie na zawsze i ożeni się ze mną, a ty pójdziesz do domu sama? Chcesz, chcesz? — krzyknęła jak warjatka, nie wierząc pewno sama, że się na takie słowa zdobyć mogła.

Agłaja rzuciła się z początku z przerażeniem do drzwi, lecz zatrzymała się, jak przykuta i słuchała...

— Chcesz, to wypędzę Rogożyna? Tyś myślała że ja już dla twojej przyjemności pobrałam się z Rogożynem? Ot, zaraz przy tobie krzyknę: „Rogożyn, wynoś się!“ A do księcia powiem: „pamiętasz, coś mi obiecał?“ Boże! Pocom ja się tak przed nim poniżyła? Czyżeś to nie ty, książę, sam mnie zapewniał, że cokolwiekby się ze mną stało, pójdziesz za mną i nigdy mnie nie porzucisz; że mnie kochasz i wszystko mi przebaczasz i mnie sza... szanu... tak i to mówił! I ja, żeby cię tylko od siebie uwolnić, uciekłam od ciebie, a teraz nie chcę! Zaco ona ze mną, jak z ladacznicą postąpiła? Czy jestem ladacznicą, — spytaj Rogożyna, on ci powie! Teraz, gdy ona mnie hańbą okryła, w dodatku w twoich własnych oczach, czy się ode mnie odwrócisz, a ją ze sobą pod rękę zabierzesz? Kiedy tak, to bądź przeklęty za to, żem tobie jednemu wierzyła. Wynoś się, Rogożyn, niepotrzebny jesteś!— krzyczała prawie nieprzytomna, z wysiłkiem słów dobywając, z wykrzywioną twarzą i spiekłemi ustami, widocznie ani trochę nie wierząc własnej fanfaronadzie, ale jednocześnie pragnąc choć na sekundę przedłużyć tę chwilę i oszukać siebie. Wybuch tak był silny, że możeby nawet umarła, tak się przynajmniej wydało księciu. — To on, patrz! — zawołała wreszcie do Agłai, wskazując ręką na księcia. — Jeżeli on zaraz do mnie nie podejdzie, nie weźmie mnie, a ciebie nie rzuci, to go sobie bierz, ustępuję ci.

I ona i Agłaja stanęły jakby w oczekiwaniu i obie, jak obłąkane, patrzyły na księcia. Ale on prawdopodbnie nie rozumiał nawet całej siły tego wyzwania, nawet można to twierdzić na pewno. Widział jedynie przed sobą nieprzytomną, pełną rozpaczy twarz, z powodu której, jak mu się raz przy Agłai wyrwało, miał „na zawsze przeszyte serce“. Nie mógł już dłużej wytrzymać i błagalnie a z wyrzutem zwrócił się do Agłai wskazując na Nastazję Filipownę:

— Czyż tak można! Ona! jest przecież... taka nieszczęśliwa!

Lecz tyle tylko zdążył wymówić i oniemiał pod okropnym wzrokiem Agłai. We wzroku tym odmalowało się tyle cierpienia i tyle zarazem bezmiernej nienawiści, że załamał

dłonie, krzyknął i rzucił się ku niej, lecz już było za późno. Nie zniosła nawet chwili jego wahania, zasłoniła twarz rękami, zawołała: „ach! mój Boże!“ i rzuciła się do wyjścia, a za nią Rogożyn, aby odemknąć jej zatrzask od drzwi na ulicę.

Pobiegł i książę, lecz na progu objęły go czyjeś ręce. Udręczona, zmieniona twarz Natazji Filipowny patrzyła mu prosto w oczy, a zsiniałe jej usta poruszały się, pytając:

— Za nią? za nią...

Bez czucia padła mu na ręce. Podniósł ją, wniósł do pokoju, złożył na fotelu i stanął nad nią w tępem oczekiwaniu. Na stoliku stała szklanka z wodą: Rogożyn, który już powrócił, schwycił za szklankę i prysnął jej wodą w twarz. Otworzyła oczy i przez chwilę nic nie rozumiała; lecz nagle obejrzała się, drgnęła, krzyknęła i rzuciła się do księcia.

— Mój, mój, — zawołała. — Dumna panna poszła? Ha! ha! ha!—śmiała się w ataku histerycznym.—Ha! ha! ha! Ja go tej pannie oddawałam! I poco? naco? Warjatka, warjatka!... Rogożyn, idź precz, ha! ha! ha!

Rogożyn badawczo im się przyjrzał, ani słowa nie wyrzekł, wziął kapelusz i wyszedł. Po upływie dziesięciu minut książę siedział przy Nastazji Filipownie, nie spuszczał z niej oka i gładził ją po główce i po twarzy oburącz, jak małe dziecko. Śmiał się, kiedy się śmiała i gotów był płakać na widok jej łez. Nic nie mówił, lecz przysłuchiwał się bacznie jej urywanemu, egzaltowanemu bełkotaniu bez związku, wątpliwe, czy co rozumiał, lecz uśmiechał się w milczeniu i jak tylko mu się wydało, że znów zaczynała rozpaczać lub płakać, czynić wyrzuty lub skarżyć się, natychmiast znów ją zaczynał głaskać po główce i wodzić delikatnie dłońmi po jej policzkach, pocieszając i upominając jak dziecko.

XIX

Minęły dwa tygodnie od wypadku, opowiedzianego w poprzednim rozdziale, a sytuacja bohaterów naszej opowieści tak się zmieniła, że bardzo trudno byłoby przystępować do dalszego ciągu bez bliższych wyjaśnień. A jednak

czujemy, że musimy ograniczyć się do prostego opisania faktów wedle możności, bez szczególnych wyjaśnień, a to z bardzo prostej przyczyny: ponieważ w wielu razach sami nie jesteśmy w stanie wyświetlić tego zajścia. Tego rodzaju uprzedzenie z naszej strony wyda się zapewne czytelnikowi dziwnem i niejasnem: jak można opowiadać to, o czem niema się ani dokładnego pojęcia, ani własnego zdania? Aby się nie stawiać w jeszcze fałszywszem położeniu, postaramy się lepiej wyjaśnić rzecz zapomocą przykładu, a może łaskawy czytelnik zrozumie, jakie nam się przedstawiają trudności, tem bardziej, iż ów przykład nie będzie oddaleniem się od przedmiotu, a przeciwnie, prostem i bezpośredniem przedłużeniem opowieści.

Po upływie dwóch tygodni, czyli już na początku lipca, i w ciągu tych dwóch tygodni, losy naszego bohatera a zwłaszcza ostatnie zajście, zamieniają się w jakąś dziwną, wielce zabawną prawie, nieprawdopodobną i zarazem niemal oczywistą anegdotę, która się powoli rozchodziła po wszystkich ulicach, znajdujących się w sąsiedztwie z willami Lebiediewa, Pticyna, Darji Aleksiejewny, Jepanczynych, jednem słowem, prawie po całem mieście i nawet po jego okolicy. Całe prawie towarzystwo, miejscowi mieszkańcy, letnicy, zjeżdżający na koncerty, wszyscy zajęci byli opowiadaniem jednej i tej samej historji w tysiącznych, przeróżnych odmianach, jak pewien książę, urządziwszy skandal w znanym i uczciwym domu i wyrzekłszy się panny z tego domu, będącej już jego narzeczoną, uległ urokowi znanej kokoty, zerwał wszystkie dawne stosunki i nie zważając na nic, nie zważając na groźby, lekceważąc sobie ogólne oburzenie publiczności, ma zamiar w tych dniach poślubić ową upadłą kobietę, w tym samym Pawłowsku, otwarcie, publicznie, z podniesioną głową patrząc wszystkim w oczy. Anegdotę ową do tego stopnia zaczęto upiększać różnemi skandalami, tyle zamieszano do niej osób znanych i wpływowych, nadano jej takie mnóstwo różnych fantastycznych i zagadkowych odcieni, a z drugiej znów strony oparto na takich niezbitych i oczywistych faktach, że ogólna ciekawość i plotki zasługiwały, rzecz prosta na usprawiedliwienie. Najbardziej jednak subtelne, przemyślne i prawdopodobne zarazem tłumaczenie wychodziło z ust kilku

poważnych plotkarzy, należących do tej wastwy ludzi rozsądnych, którym zawsze, w każdem towarzystwie, pilno jest, przedewszystkiem wyjaśnić, reszcie osób wydarzenie, w czem znajdują swoje powołanie, a niejednokrotnie i pociechę. Podług ich komentarzy, młodzieniec z dobrej rodziny, książę, prawie bogaty, prawie głupkowaty, lecz demokrata, i zwarjowany na punkcie współczesnego nihilizmu, wykrytego przez pana Turgeniewa, nie umiejący prawie mówić po rosyjsku, zakochał się w córce jenerała Jepanczyna i dopiął tego, że go przyjęto do domu jako narzeczonego. Ale na podobieństwo owego seminarzysty Francuza, o którym niedawno była wydrukowana anegdota, i który umyślnie doprowadził do tego, iż go wyświęcono na kapłana, umyślnie sam o to wyświęcenie prosił, wykonał wszelkie obrządki, bicie pokłonów, całowania, przysięgi i t. p., aby już nazajutrz oświadczyć w liście do swego biskupa, że on, jako niewierzący w Boga, uważa za nieuczciwe oszukiwanie ludu i utrzymywanie się jego kosztem, a zatem, składa z siebie wczoraj otrzymaną godność, list swój zaś drukuje w gazetach postępowych; podobnież, jak ten bezbożnik, miał jakoby i książę użyć w swoim rodzaju podstępu. Opowiadano, jakoby on umyślnie doczekał się uroczystego proszonego wieczoru u rodziców swojej narzeczonej, podczas którego był przedstawiony bardzo wielu wpływowym osobistościom, aby na głos i przy wszystkich wystąpić ze swemi przekonaniami, zwymyślać czcigodnych dygnitarzy, odrzucić rękę swojej narzeczonej publicznie i w sposób ubliżający i, opierając się wyrzucającym go lokajom, rozbić prześliczny chiński wazon. Do tego dodawano jako chrakterystykę współczesnych obyczajów, że bezsensowny młodzieniec w gruncie rzeczy kochał swoją narzeczoną, córkę jenerała, lecz wyrzekł się jej jedynie z nihilizmu i dla ewentualnego skandalu, aby nie odmówić sobie przyjemności ożenienia się wobec całego świata z kobietą upadłą i udowodnienia w ten sposób, że według jego przekonań niema ani upadłych, ani cnotliwych kobiet, a jest tylko kobieta wolna; że on nie wierzy w utarty w świecie, stary podział, a wierzy jedynie w „kwestję kobiecą“. Że wreszcie kobieta upadła stoi nawet w jego oczach nieco wyżej, niż kobieta nieupadła. To wyjaśnienie wydało się wielce prawdopodobne i przez

większość letników zostało przyjęte, tem bardziej, iż je stwierdzały codzienne fakty. Prawda, że wiele szczegółów pozostało niewyjaśnionych: opowiadano naprzykład, że biedna dziewczyna do tego stopnia była zakochana w swoim narzeczonym, według niektórych „uwodzicielu", że przybiegła do niego zaraz na drugi dzień potem, jak on ją porzucił i kiedy siedział u swojej kochanki; inni, przeciwnie, zapewniali, że on zaciągnął ją umyślnie do swojej kochanki, tylko z nihilizmu, czyli na hańbę i obrazę uczuć. Czy tak, czy owak, zaciekawienie z powodu wydarzenia wzrastało z każdym dniem, tem bardziej, że nie pozostawało już najmniejszej wątpliwości co do tego, że skandaliczne wesele odbędzie się rzeczywiście.

I oto, gdyby nas proszono o wyjaśnienie, nie co do nihilistycznych pierwiastków wydarzenia, a poprostu tylko co do tego, w jakim stopniu wyznaczenie ślubu odpowiada rzeczywistym pragnieniom księcia, na czem mianowicie polegają w danej chwili te pragnienia, w jaki sposób określić można stan duszy naszego bohatera w dobie obecnej i t. d. i t. d. w tym rodzaju, to bylibyśmy, wyznajemy, w ogromnym kłopocie, jaką dać odpowiedź. Wiemy tylko jedno, że termin ślubu został rzeczywiście naznaczony i że sam książę upoważnił Lebiediewa, Kellera i jakiegoś jeszcze znajomego Lebiediewa, którego on polecił księciu specjalnie w tym celu— do wszelkich w tej sprawie zabiegów, zarówno cerkiewnych jak i gospodarczych; że pieniędzy miało się nie żałować, że naglila o przyśpieszenie wesela i upierała się przy niem Nastazja Filipowna; że na drużbę księcia wybrany był Keller, na jego własną, gorącą prośbę, a dla Nastazji Filipowny Burdowski, który tę nominację przyjął z zachwytem, i że dzień ślubu był naznaczony na początek lipca. Ale prócz tych bardzo dokładnych szczegółów wiadome nam są pewne, inne jeszcze, fakty, które nas zupełnie zbijają z tropu, dlatego właśnie, że przeczą poprzednim. Naprzykład podejrzewamy mocno, że po upoważnieniu Lebiediewa i innych do zajęcia się wszystkiemi przygotowaniami, książę o mało co tego samego dnia nie zapomniał, że ma i mistrza ceremonji, i drużbów i ślub, oraz, że jeżeli się z tem tak pośpiesznie załatwił, zwalając kłopot na innych, to tylko dlatego, aby już samemu nie potrzebować o tem myśleć, a może nawet dlatego, by jak

najprędzej o tem zapomnieć. Więc o czem w takim razie on sam myślał, o czem chciał pamiętać i do czego dążył? Niewątpliwem jest także, że tu nikt nie wywierał na niego nacisku (choćby Nastazja Filipowna, naprzykład), że Nastazja Filipowna koniecznie zapragnęła jak najprędszego ślubu, że to ona wymyśliła ślub, a bynajmniej nie książę; lecz książę sam się dobrowolnie zgodził; nawet z pewnem roztargnieniem i w taki sposób, jakgdyby poproszono go o jakąś dość zwykłą rzecz. Takich dziwnych faktów możemy przytoczyć bardzo wiele, lecz one, według naszego zdania, nietylko nie wyjaśniają sprawy, lecz przeciwnie, utrudniają jej tłumaczenie, chociażbyśmy ich jak najwięcej przytaczali; ale oto jeszcze jeden przykład.

Wiemy, naprzykład, doskonale, że w ciągu tych dwóch tygodni książę całe dnie i wieczory spędzał razem z Nastazją Filipowną, że brała go ze sobą na spacery, na koncerty; że codzień jeździł z nią powozem; że zaczynał niepokoić się o nią, gdy choć przez godzinę jej nie widział (więc według wszelkich oznak naprawdę ją kochał); że o czemkolwiek do niego mówiła, słuchał jej z cichym, łagodnym uśmiechem całemi godzinami, a sam się prawie nie odzywał. Lecz wiemy również, że w ciągu tych samych dni kilkakrotnie, a nawet wielokrotnie wybierał się nagle do Jepanczynych, nie ukrywając tego przed Nastazją Filipowną, która z tego powodu dochodziła prawie do rozpaczy. Wiadomo nam, że w domu Jepanczynych, dopóki byli w Pawłowsku, nie przyjmowano księcia wcale i stale odmawiano mu zobaczenia się z Agłają Iwanowną; że książę oddalał się, nie mówiąc ani słowa, a zaraz nazajutrz znów szedł do nich, jakgdyby zapomniał zupełnie o odmowie poprzedniego dnia, i, rzecz prosta, znów otrzymywał odmowę. Wiemy również o tem, że w godzinę potem, jak Agłaja Iwanowna wybiegła od Nastazji Filipowny, a może nawet przed upływem godziny, książę już był u Jepanczynych, będąc pewnym, że znajdzie tam Agłaję, i że zjawienie się jego u Jepanczynych wywołało wówczas nadzwyczajne zamieszanie i przerażenie w domu, bo Agłaja jeszcze do domu nie wróciła i właśnie dopiero od niego się dowiedziano, że poszła z nim do Nastazji Filipowny. Opowiadano, iż Elżbieta Prokofjewna, córki, a na-

wet książę S. obeszli się wtedy z księciem nadzwyczaj szorstko i wrogo i że wtedy już w ostrej formie wymówiono mu i znajomość i przyjaźń, zwłaszcza, gdy nagle przyszła do Elżbiety Prokofjewny Barbara Ardałjonowna i oświadczyła, że Agłaja Iwanowna już od godziny prawie znajduje się u niej i nie chce wracać do domu. Ta ostatnia wiadomość najmocniej poruszyła Elżbietę Prokofjewnę, a była całkiem prawdziwa: Agłaja po wyjściu od Nastazji Filipowny zgodziłaby się rzeczywiście raczej umrzeć, niż pokazać się teraz na oczy swoim bliskim i dlatego udała się do Niny Aleksandrowny. Barbara Ardałjonowna zaś uznała zaraz ze swej strony za konieczne bez zwłoki dać znać o tem wszystkiem Elżbiecie Prokofjewnie. I matka i córki natychmiast pobiegły do Niny Aleksandrowny, a za niemi sam ojciec rodziny, Jan Teodorowicz, który tylko co powrócił do domu; bez względu na wygnanie i szorstkie słowa powlókł się za nimi i książę Leon Mikołajewicz; lecz z polecenia Barbary Ardałjonowny i tam go do Agłai nie puszczono. Sprawa zresztą skończyła się na tem, że gdy Agłaja ujrzała matkę i siostry nad sobą płaczące, lecz wcale jej wyrzutów nie czyniące, rzuciła im się w objęcia i natychmiast wróciła z niemi do domu. Opowiadano, choć te pogłoski nie były zbyt dokładne, że Gabrjela Ardałjonycza i tu straszny pech spotkał; że, skorzystawszy z czasu, kiedy Barbara Ardałjonowna zajęta była zawiadamianiem Elżbiety Prokofjewny, zostawszy sam na sam z Agłają, powziął zamiar rozmówienia się z nią co do swojego uczucia; że słuchając go, Agłaja, pomimo całego swego przygnębienia i łez, roześmiała się nagle i zadała mu raptem dziwne pytanie: czy gotów jest na dowód swej miłości oparzyć sobie zaraz palec nad świecą? Gabrjel Ardałjonycz był, jak to powiadają, oszołomiony tą propozycją i tak się znaleźć nie potrafił, tak nadzwyczajne zdumienie na twarzy swej uwidocznił, że Agłaja, jak w ataku histerycznym, zaniosła się od śmiechu i uciekła od niego na górę do Niny Aleksandrowny, gdzie już znaleźli ją rodzice. Ta historyjka doszła nazajutrz do księcia przez Hipolita. Hipolit, który już z łóżka nie wstawał, umyślnie posłał do księcia, żeby mu donieść tę wiadomość. Jakim cudem Hipolit o tem się dowiedział, tego nie wiemy, lecz gdy książę

usłyszał o palcu i świecy, tak się roześmiał, że aż zdziwił Hipolita. Potem nagle się zatrząsł i zalał łzami. Wogóle w ciągu tych dni był strasznie zdenerwowany i w niezwykłej, nie dającej się określić, męczącej rozterce. Hipolit wprost twierdził, że uważa go za warjata; narazie jednak nie można było stanowczo tego potwierdzić.

Opisując te wszystkie fakty i uchylając się od ich wyjaśnienia, nie chcemy bynajmniej usprawiedliwić naszego bohatera w oczach naszych czytelników. Niedość na tem, gotowi jesteśmy najzupełniej podzielić i samo oburzenie, które on wywołał względem siebie nawet u swych przyjaciół. Nawet Wiara Lebiediew była nrzez pewien czas na niego oburzona; nawet Kola się oburzał; oburzał się nawet Keller, dopóki go nie wybrano na drużbę, że już pominiemy samego Lebiediewa, który zaczął nawet intrygować przeciwko księciu i to również z oburzenia i nawet wcale szczerego. Ale o tem będzie mowa później. W ogólności zaś zupełnie i w najwyższym stopniu piszemy się na niektóre bardzo mocne i nawet psychologicznie głębokie zdanie Eugenjusza Pawłowicza, które tak prosto i bez ceremonji wypowiedział księciu, w przyjacielskiej rozmowie na szósty, czy też na siódmy dzień po zajściu u NastazjiFilipowny. Nie od rzeczy będzie nadmienić, że nietylko sami Jepanczynowie, lecz i ci wszyscy, którzy wprost lub bezpośrednio należeli do ich domu, uznali za stosowne zupełnie zerwać z księciem wszelkie stosunki. Naprzykład, książę S. przy spotkaniu z księciem odwrócił sią od niego i nie odpowiedział na jego ukłon. Lecz Eugenjusz Pawłowicz nie bał się możliwej kompromitacji i odwiedził księcia, aczkolwiek stał się znów codziennym gościem Jepanczynych i był tam nawet przyjęty z widocznem sileniem się na życzliwość. Przyszedł do księcia nazajutrz po wyjeździe wszystkich Jepanczynych z Pawłowska. Wchodząc, wiedział już o wszystkich kursujących wśród publiczności pogłoskach, do których, być może, i sam się nieco przyczynił. Książę na jego widok ogromnie się ucieszył i zaraz zaczął mówić o Jepanczynych; tak otwarty i prosty wstęp rozkrochmalił i Eugenjusza Pawłowicza tak, że i on bez osłonek przystąpił wprost do rzeczy.

Książę nie wiedział nawet jeszcze, że Jepanczynowie

wyjechali; był tem mocno poruszony, zbladł; ale po chwili pokiwał głową, zmieszany i zamyślony i przyznał, że „tak się powinno było stać"; następnie zapytał prędko: „dokądże pojechali?"

Eugenjusz Pawłowicz przyglądał mu się tymczasem badawczo i wszystko to, to jest prędkość zapytań, ich naiwność, jego zmieszanie i zarazem jakaś dziwna otwartość, niepokój i podniecenie, wszystko to zadziwiło go niemało. Zresztą uprzejmie i szczegółowo udzielał księciu wszelkich informacyj, książę bowiem wielu rzeczy nie wiedział i Eugenjusz Pawłowicz przynosił mu pierwsze wieści stamtąd. Potwierdził, że Agłaja rzeczywiście była chora i trzy noce zrzędu prawie oka nie zmrużyła, trawiona gorączką, że teraz ma się lepiej i wszelkie niebezpieczeństwo minęło, lecz znajduje się w stanie silnego zdenerwowania, histerji... „Dobrze jeszcze, że w domu najzupełniejszy spokój! O tem, co było, starają się nie napomykać, już nietylko przy Agłai, ale nawet między sobą. Rodzice porozumieli się już między sobą, co do wyjazdu zagranicę w jesieni, zaraz po ślubie Adelajdy; Agłaja w milczeniu przyjęła pierwsze o tem wzmianki". Co do niego samego, to też może wyruszy zagranicę. Może nawet książę S., o ile mu interesy pozwolą, wybierze się z Adelajdą na jakie dwa miesiące. Sam jenerał zostanie. Wszyscy się teraz przenieśli do Kołmina, do ich majątku, o dwadzieścia wiorst od Petersburga, gdzie mają dość obszerną pańską siedzibę. Biełokońska nie wyjechała jeszcze do Moskwy i nawet umyślnie, zdaje się, pozostała. Elżbieta Prokofjewna silnie obstawała przy tem, że po tem co zaszło, w Pawłowsku zostać nie można; Eugenjusz Pawłowicz, zdawał jej codziennie sprawę o kursujących po mieście plotkach. W willi Jełagina nie uznali również za możliwe zamieszkać.

— Istotnie — dodał Eugenjusz Pawłowicz — zgodzi się pan, czy podobna wytrzymać... Zwłaszcza, gdy się wie, co się u pana w każdej chwili dzieje, w pańskim domu, książę, i wobec codziennych pańskich odwiedzin, pomimo zakazu.

— Tak, tak, tak, pan ma słuszność, chciałem się zobaczyć z Agłają Iwanowną... — pokiwał znów książę głową.

— Ach, kochany książę — zawołał nagle Eugenjusz Pawłowicz z żywym smutkiem — jak pan mógł doprowadzić... do tego wszystkiego, co zaszło? Oczywiście, oczywiście, wszystko to było dla pana taką niespodzianką... Zgadzam się, że pan musiał stracić głowę i... nie mógł pan przecież pohamować tej szalonej dziewczyny, to nie było w pańskiej mocy. Ale powinien pan był przecież zrozumieć, do jakiego stopnia poważnie i głęboko ta dziewczyna... się do pana odnosiła. Nie chciała dzielić się z inną, i pan... i pan mógł porzucić i zmarnować taki skarb!

— Tak, tak, ma pan słuszność; tak, jestem winien— zaczął znów mówić książę w okropnej męce — i wie pan, przecież to tylko ona, Agłaja tylko, patrzyła tak na Nastazję Filipownę... Z pośród innych nikt tak na nią nie patrzył.

— Ależ właśnie dlatego to wszystko jest oburzające, że tu nawet nic poważnego nie było! — zawołał Eugenjusz Pawłowicz, stanowczo zapalając się. — Wybaczy książę, lecz ja... ja o tem myślałem, książę; dużo przemyślałem, ja wiem o wszystkiem, co się przedtem działo, wiem wszystko, co było pół roku temu, wszystko, i... wszystko to nie było poważne! Wszystko to było tylko rozumowym popędem, obrazem, fantazją, dymem, i tylko przerażona zazdrość zgoła niedoświadczonej dziewczyny wziąć to mogła za coś poważnego!... — Tu już Eugenjusz Pawłowicz bez wszelkiej ceremonji dał folgę całemu swemu oburzeniu. Rozsądnie i jasno i, powtarzamy z psychologicznem poczuciem rozwinął przed księciem obraz całego poprzedniego stosunku księcia do Nastazji Filipowny. Eugenjusz Pawłowicz posiadał zawsze dar słowa; teraz zaś doszedł wprost do krasomówstwa. — Na samym wstępie — zawyrokował — zaczęliście od kłamstwa; a co się od kłamstwa zaczęło, to na kłamstwie również powinno się było skończyć; jest to prawo natury. Nie zgadzam się i oburzam się nawet, gdy kto pana, mniejsza o to kto, nazywa idjotą; na taką nazwę pan jest za mądry; lecz zarazem pan jest na tyle dziwaczny, aby być innym, niż wszyscy ludzie, na to sam się pan zgodzi. Doszedłem do wniosku, że podkładem tego wszystkiego, co się stało, było, po pierwsze, pańskie wrodzone, że

tak powiem niedoświadczenie (niech książę zwróci uwagę na to słowo: „wrodzone"), następnie pańska nadzwyczajna naiwność, dalej, fenomenalny brak w panu poczucia miary (do czego pan się sam już niejednokrotnie przyznawał), i wkońcu, ogromna ilość napływowych przekonań mózgowych, które pan przy całej swojej nadzwyczajnej uczciwości bierze dotychczas za prawdziwe, przyrodzone i bezpośrednie przekonania! Zgodzi się książę, że w pańskim stosunku do Nastazji Filipowny od samego początku tkwiło coś względnie demokratycznego (wyrażam się tak dla zwięzłości), że tak powiem, czar „kwestji kobiecej" (aby było jeszcze zwięźlej). Znam przecież dokładnie całą tę dziwną, skandaliczną scenę, która się odbyła u Nastazji Filipowny, gdy Rogożyn przyniósł swoje pieniądze. Chce pan, ja panu zanalizuję pana samego od a do zet, pokażę panu samego pana, jak w lustrze, tak dokładnie wiem, jak się rzecz miała, dlaczego taki wzięła obrót! Pan, młodzieniaszek, łaknął w Szwajcarji ojczyzny, pragnął pan się dostać do Rosji, jak do ziemi nieznanej, ale obiecanej; przeczytał pan sporo książek o Rosji, być może, znakomitych, lecz dla pana szkodliwych; zjawił się tu pan ze świeżym zapałem do działania, rzucił się pan, że tak powiem, do działania! I oto tego samego dnia opowiadają panu smutną i wzruszającą historję skrzywdzonej kobiety, opowiadają panu, rycerzowi, dziewiczemu młodzieńcowi — i o kobiecie! Tego samego dnia spotyka pan tę kobietę; jest pan oczarowany jej pięknością, fantastyczną, demoniczną pięknością (zgadzam się, że jest piękna). Niech pan do tego doda nerwy, niech pan doda swoją epilepsję, niech pan doda naszą petersburską denerwującą odwilż; niech pan doda cały ten dzień, spędzony w nieznanem i prawie fantastycznem dla pana mieście, dzień spotkań i scen, dzień niespodziewanych znajomości, dzień najbardziej nieoczekiwanej rzeczywistości, dzień trzech pięknych Jepanczynówien, w ich liczbie Agłaja, niech pan doda do tego swoje zmęczenie, zamęt w głowie; niech pan doda salon Nastazji Filipowny i nastrój tego salonu, i... czegóż mógł się pan po sobie samym wtedy spodziewać, jak pan myśli!

— Tak, tak; tak, tak — kiwał głową książę, poczynając się rumienić — tak, to prawie tak było, i wie pan, ja rze-

czywiście prawie całą noc poprzednią nie spałem w przeddzień tego dnia w wagonie i całą jeszcze poprzedzającą tamtą noc i strasznie byłem rozstrojony...

— No tak, rzecz prosta, do czegóż właśnie ja zmierzam — ciągnął, zapalając się, Eugenjusz Pawłowicz. — Jest to całkiem zrozumiałe, że pan w pewnem, że tak powiem upojeniu, chciwie skorzystał ze sposobności publicznego wystąpienia ze swoją wspaniałomyślną ideą, że pan, książę rodowity i człowiek czysty, nie uważa za nieuczciwą kobiety upadłej nie z własnej winy, a z winy wstrętnego arystokratycznego rozpustnika. O Boże, wszak to jest zrozumiałe! Ale nie o to chodzi, kochany książę, lecz o to, czy w tem była prawda, czy uczucie pańskie było prawdziwe, czy to było głosem przyrody, czy też tylko wyrozumowanym zachwytem? Jak pan myśli: w świątyni dostąpiła przebaczenia taka sama kobieta, lecz nie powiedziano jej przecież, że czyni dobrze i godna jest wszelkich honorów i szacunku? Czyż w ciągu tych trzech miesięcy zdrowy rozsądek panu nie podpowiedział, jak się rzecz ma? Przypuśćmy, że ona jest teraz niewinna, obstawać przy tem nie będę, bo nie chcę; czy mogą jednak te wszystkie jej przygody usprawiedliwić taką nieznośną, szatańską jej pychę, taki jej czelny, taki zachłanny egoizm? Wybaczy książę, ja się unoszę, lecz...

— Tak, to wszystko jest możliwe; może pan ma słuszność... — zamamrotał znów książę. — Rzeczywiście, jest bardzo rozdrażniona i naturalnie, pan ma słuszność, lecz...

— Jest godna współczucia? To pan chciał powiedzieć, mój dobry książę? Lecz czyż można było ze współczucia dla niej i dla jej przyjemności hańbą okryć inną szlachetną i czystą dziewczynę i tak ją w *tamtych* pysznych nienawistnych oczach poniżyć? Do czegóż, wobec tego, będzie dochodziło współczucie? Wszak to niemożliwa przesada! Czyż podobna poniżyć tak kochaną dziewczynę przed własną jej rywalką, porzucić ją dla innej w oczach tej właśnie innej po tem, jak się już samemu zrobiło jej uczciwą propozycję... A wszak pan jej zrobił propozycję, pan jej wypowiedział to przy rodzicach i siostrach! Więc pozwól zapytać, książę, czy po tem wszystkiem można pana uważać za człowieka uczci-

wego? I... czyż nie oszukałeś pan tej boskiej dziewczyny, zapewniwszy ją o swej miłości?

— Tak, tak, pan ma słuszność, ach, ja czuję, że jestem winien! — wyrzekł książę z niewysłowioną boleścią.

— Lecz czyż to wystarcza? — zawołał Eugenjusz Pawłowicz z oburzeniem. — Czyż dość wykrzyknąć tylko: „ach jestem winien!“ Jest pan winien, a sam trwa pan w uporze! Gdzie pan miał wtedy serce, to pańskie „chrześcijańskie“ serce! Wszak pan widział wówczas jej twarz: cóż, czy cierpiała mniej, niż t a m t a, niż ta inna p a ń s k a, ta rozłączycielka? Jakże to pan widział i dopuścił do tego? Jak?

— Ależ ja przecież właśnie nie chciałem dopuścić... — wybełkotał biedny książę.

— Jakto nie chciał pan dopuścić?

— Daję słowo, nie przyczyniłem się niczem do... Nie pojmuję dotychczas, jak się to wszystko stało... Ja... ja pobiegłem wtedy za Agłają Iwanowną, a Nastazja Filipowna zemdlała; a następnie nie pozwalano mi dotychczas widzieć się z Agłają.

— To wszystko jedno! Pan powinien był biec za Agłają, choćby tamta leżała zemdlona!

— Tak... tak, powinienem był... Onaby wszak umarła! Zabiłaby się, pan jej nie zna, i... wszystko jedno, jabym potem o wszystkiem opowiedział Agłai Iwanownie i... widzi pan, Eugenjuszu Pawłowiczu, ja widzę, że pan, zdaje się, wszystkiego nie wie. Niech mi pan powie, dlaczego mnie nie puszczają do Agłai Iwanowny? Jabym jej wszystko wytłumaczył. Widzi pan: one obiedwie mówiły wtedy zupełnie co innego, zupełnie co innego, i dlatego tak się to między niemi zakończyło... Ani rusz nie mogę panu tego wytłumaczyć; ale Agłai możebym to wytłumaczył... Ach, mój Boże! mój Boże! Pan mówi o jej twarzy w tej chwili, gdy rzuciła się do wyjścia... O, mój Boże, pamiętam!... Chodźmy, chodźmy! — pociągnął nagle za rękaw Eugenjusza Pawłowicza, szybko zrywając się z miejsca.

— Dokąd?

— Chodźmy do Agłai Iwanowny, chodźmy zaraz!...

— Ale przecież mówiłem już panu, że jej niema w Pawłowsku, i zresztą poco iść?

— Ona zrozumie, ona zrozumie! — bełkotał książę, błagalnie składając ręce. — Ona zrozumie, że wszystko to nie t o, a zupełnie co innego!

— Jakto zupełnie co innego? Wszak pan się jednak żeni? Więc pan trwa przy swojem... Żeni się pan, czy nie?

— No tak... żenię się; tak, żenię się!

— Więc jak nie to?

— O nie, nie to, nie to! To, że się żenię, to wszystko jedno, to nic!

— Jakto wszystko jedno i nic? Wszak i to nie byle co? Pan żeni się z kochaną kobietą, aby jej dać szczęście, a Agłaja Iwanowna widzi to i wie o tem, więc jakże to może być wszystko jedno?

— Szczęście? O, nie! Ja się tylko tak poprostu żenię; ona tego chce; i cóż zresztą z tego, że się żenię: ja... No, tak, to wszystko jedno! Tylko że ona na pewnoby umarła. Widzę teraz, że to wyjście za Rogożyna to było szaleństwo! Zrozumiałem teraz to wszystko, czegom przedtem nie rozumiał, i widzi pan: kiedy stały wtedy obydwie naprzeciwko siebie, tom wówczas nie mógł znieść wyrazu twarzy Nastazji Filipowny... Pan nie wie, Eugenjuszu Pawłowiczu (tu tajemniczo głos zniżył), bo ja tego nigdy nikomu nie mówiłem, nawet Agłai, ale ja nie mogę znieść widoku twarzy Nastazji Filipowny... To, co pan przed chwilą mówił o tym wieczorze u Nastazji Filipowny, to wszystko prawda; ale było tu jeszcze coś, co pan opuścił, ponieważ pan o tem nie wiedział: ja patrzyłem na jej t w a r z! Ja jej jeszcze rano na fotografji znieść nie mogłem... Naprzykład, Wiara Lebiediewa ma całkiem inne oczy; ja... ja się boję jej twarzy! — dodał w nadzwyczajnem przerażeniu.

— Boi się pan?

— Tak; ona jest obłąkana! — wyszeptał, blednąc...

— Pan tego jest pewien? — zapytał Eugenjusz Pawłowicz z ogromnem zaciekawieniem.

— Tak, jestem pewien; teraz już jestem pewien; teraz, podczas tych dni ostatnich, jużem się zupełnie przekonał!

— Cóż pan ze sobą wyprawia? — zawołał przerażony

Eugenjusz Pawłowicz. — Więc pan się żeni ze strachu? Nic z tego nie można zrozumieć... Może bez miłości nawet?

— O, nie, ja ją kocham całą duszą! Wszak to... dziecko; ona jest teraz, jak dziecko, zupełnie, jak dziecko! O, pan nic nie wie!

— I pan jednocześnie zapewniał Agłaję Iwanownę o swojej miłości?

— O, tak, tak!

— Jakto? Więc pan chce obiedwie kochać?

— O, tak, tak!

— Zmiłuj się, książę, cóż to pan mówi, opamiętaj się pan!

— Ja bez Agłai... ja koniecznie muszę się z nią widzieć! Ja... ja wkrótce umrę podczas snu; myślałem, że tej nocy umrę podczas snu. O gdyby Agłaja wiedziała, gdyby wszystko wiedziała... To jest koniecznie wszystko. Dlatego, że tu trzeba wszystko wiedzieć, to najważniejsza rzecz! Dlaczego my nigdy nie możemy dowiedzieć się wszystkiego o kimś innym, gdy to jest potrzebne, gdy ten ktoś inny jest winien!... Nie wiem zresztą, co mówię, zaplątałem się; pan mnie okropnie poruszył... I czyżby ona i teraz miała taką twarz, jak wówczas, gdy wybiegła. O, tak, jestem winien! Nie wiem jeszcze, dlaczego mianowicie, lecz jestem winien... Tu jest coś takiego, czego nie jestem w stanie panu wytłumaczyć, Eugenjuszu Pawłowiczu, i słów mi brak, ale... Agłaja Iwanowna zrozumie! O, ja zawsze wierzyłem, że ona zrozumie.

— Nie, książę, nie zrozumie! Agłaja Iwanowna kochała, jak kobieta, jak człowiek, a nie jak... oderwany duch. Wie pan co, mój biedny książę: najpewniej pan ani tej, ani tamtej nigdy nie kochał!

— Nie wiem... to możliwe, możliwe; pan co do wielu rzeczy ma słuszność, Eugenjuszu Pawłowiczu. Pan jest nadzwyczaj rozumny, Eugenjuszu Pawłowiczu; ach, znów mnie głowa zaczyna boleć, chodźmy do niej! Błagam pana, błagam pana!

— Mówię panu przecież, że w Pawłowsku jej niema, jest teraz w Kołminie.

— Jedźmy do Kołmina, jedźmy zaraz!

— To nie-moż-li-we! — przeciągle rzekł Eugenjusz Pawłowicz, podnosząc się z miejsca.

— Niech pan posłucha, ja napiszę list; niech pan list zawiezie!

— Nie, książę, nie! Niech pan mnie uwolni od takich zleceń, nie mogę!

Rozstali się. Eugenjusz Pawłowicz oddalił się w dziwnem przekonaniu: według jego zdania książę był nieco niepoczytalny. I co ma znaczyć ta twarz, której się tak boi i którą tak kocha! A jednocześnie on przecież rzeczywiście może umrzeć bez Agłai, tak iż Agłaja może nawet nigdy się nie dowie, że on tak strasznie ją kocha! Ha! ha! I jakże to można kochać obie naraz? Chyba jakiemis dwiema odmiennemi miłościami? To ciekawe... Biedny idjota! I co z nim teraz będzie?

XX

Książę wszakże nie umarł przed swym ślubem, ani na jawie, ani „podczas snu", jak przepowiadał Eugenjuszowi Pawłowiczowi. Być może, iż źle sypiał i miał przykre sny; ale w dzień w stosunku z ludźmi wydawał się dobry i nawet zadowolony, czasem tylko niezwykle był zamyślony, lecz to zdarzało się wtedy, gdy był sam. Śpieszono się ze ślubem; wypadł mniej więcej po odwiedzinach Eugenjusza Pawłowicza. Przy takim pośpiechu nawet najlepsi przyjaciele księcia, gdyby rzeczywiście ich miał, musieliby rozczarować się co do swoich wysiłków „wybawienia" nieszczęsnego szaleńca. Opowiadano sobie, jakoby do wizyty Eugenjusza Pawłowicza przyczynił się w pewnym stopniu jenerał Jan Teodorowicz, oraz małżonka jego, Elżbieta Prokofjewna. Ale gdyby nawet oni oboje wskutek niezmiernej dobroci swego serca mogli istotnie powziąć zamiar uratowania biednego obłąkańca od przepaści, to musieliby, rzecz prosta, ograniczyć się jedynie do tej słabej próby; ani ich sytuacja, ani nawet serdeczna może życzliwość (coby było całkiem naturalne) nie nadawały się do bardziej poważnych starań. Wzmiankowaliśmy, iż nawet bliżej otaczający księcia do pewnego stopnia wystąpili przeciw niemu. Wiara Lebiediew

zresztą poprzestała tylko na łzach, wylanych na osobności, oraz na tem, iż więcej przebywała u siebie w domu, a rzadziej, niż przedtem, zaglądała do księcia. Kola był przez ten czas zajęty pogrzebem swego ojca; starzec zmarł wskutek powtórnego ataku, któremu uległ po upływie ośmiu dni. Książę wziął żywy udział w żalu rodziny i podczas pierwszych dni spędzał po kilka godzin u Niny Aleksandrowny; był i na pogrzebie i w cerkwi. Wielu zauważyło, iż publiczność, zapełniając cerkiew, przyjmowała i przeprowadzała księcia mimowolnym szeptem. Zdarzało się to również i na ulicach i w ogrodzie; gdy szedł piechotą lub przejeżdżał przez ulicę, dolatywał go gwar rozmów o nim, wymawiano jego nazwisko, pokazywano go sobie wzajem, dawało się słyszeć imię Nastazji Filipowny. Szukano jej podczas pogrzebu, lecz na pogrzebie jej nie było. Nie było także na pogrzebie kapitanowej, którą jednak Lebiediew potrafił zatrzymać w sam czas i okiełznać. Egzekwje wywarły na księciu wrażenie mocne i chorobliwe; gdy się jeszcze w cerkwi znajdowali, szepnął do Lebiediewa w odpowiedzi na jakieś jego pytanie, że pierwszy raz jest obecny przy prawosławnych egzekwjach i tylko z czasów dzieciństwa pamięta inne egzekwje w jakiejś wiejskiej cerkiewce.

— Tak, jakgdyby nie ten sam człowiek leży w trumnie, pamięta pan, jak to my tak niedawno jeszcze wybraliśmy go sobie na prezesa? — odszepnął Lebiediew księciu.— Kogo to pan szuka?

— Tak, nie, wydało mi się...

— Czy nie Rogożyna?

— A czyż on tu jest?

— Jest w cerkwi.

— To też to; miałem wrażenie, jakbym dojrzał jego oczy — wybełkotał zmieszany książę. — Cóż to... poco on? Czy go zaproszono?

— Nawet na myśl nie przyszło. Nie był nawet znajomym. Ale tu są różni przecież, publiczność. Ale czego to się pan tak zdziwił? Ja go teraz często spotykam; już go tu w Pawłowsku w ostatnim tygodniu spotkałem ze cztery razy.

— Ja go jeszcze ani razu nie widziałem... od tego czasu — wybąkał książę.

Ponieważ Nastazja Filipowna także ani razu mu jeszcze nie wspominała o tem, aby „od tego czasu“ spotkała kiedy Rogożyna, książę wywnioskował teraz, że Rogożyn umyślnie stara się ich unikać! Przez cały ten dzień książę był bardzo zamyślony; Nastazja Filipowna zaś i tego dnia i tego samego wieczoru niezwykle była wesoła.

Kola, który jeszcze przed śmiercią ojca pogodził się z księciem, zaproponował mu na drużbów (bo to była paląca i pilna sprawa) Kellera i Burdowskiego. Za Kellera ręczył, że będzie się przyzwocie sprawował, a może „przyda się naco“, co zaś do Burdowskiego, to nawet niema co o nim mówić, jest to człowiek cichy i skromny. Nina Aleksandrowna i Lebiediew zwracali księciu uwagę, że skoro ślub został postanowiony, to dlaczego koniecznie w Pawłowsku, w dodatku podczas letniego modnego sezonu, nacóż tak publicznie? Czy nie lepiej wziąć go w Petersburgu, a nawet u siebie w domu? Książę zbyt dobrze rozumiał, do czego zmierzały te wszystkie strachy; lecz odpowiedział krótko i wyraźnie, że tego sobie stanowczo nie życzy Nastazja Filipowna.

Nazajutrz zjawił się u księcia i Keller, który otrzymał już zawiadomienie, że został drużbą. Zanim wszedł, zatrzymał się w drzwiach i jak tylko spostrzegł księcia, podniósł do góry prawą rękę z wyciągniętym palcem wskazującym i wykrzyknął, niby przysięgając:

— Nie piję!

Następnie podszedł do księcia, mocno uścisnął go i potrząsnął za obie ręce i oświadczył, iż z początku, gdy się dowiedział, był jego wrogiem, co też oznajmił przy bilardzie, i nie z jakiej innej przyczyny, a tylko dlatego, że szykował dla księcia i codziennie z niecierpliwością przyjaciela oczekiwał tej chwili, gdy ujrzy przy jego boku nie kogo innego, jak tylko księżniczkę De Rohan; lecz teraz sam widzi, że myśli księcia są przynajmniej dwanaście razy szlachetniejsze, niż myśli ich wszystkich „razem wziętych!“ Albowiem potrzeba mu nie wspaniałości, nie bogactwa i nawet nie zaszczytów, a tylko... prawdy! Sympatje osób do-

stojnych zbyt są wszystkim znane, książę zaś zbyt jest dostojny dzięki swemu wykształceniu, aby nie był, mówiąc w ogólności, osobą dostojną! „Lecz szuje i wszelka hołota sądzą inaczej; w mieście, po domach, na zebraniach, w willach, na koncertach, w knajpach, przy bilardach o niczem innem nie gadają, jak tylko o przyszłym fakcie". Słyszał, że nawet chcą urządzić kocią muzykę i to, że się tak wyrazić można, w pierwszą noc! „Jeżeli panu, książę, potrzebny jest pistolet uczciwego człowieka, to gotów jestem zamienić z pół tuzina szlachetnych wystrzałów, zanim raczy się książę nazajutrz z ślubnego łoża podnieść". Radził również, obawiając się nadmiernego ścisku ciekawych, po wyjściu z cerkwi postawić na podwórzu sikawkę ogniową, lecz Lebiediew sprzeciwił się temu: dom w razie sikawki, powiada, rozwalą ze szczętem.

— Ten Lebiediew przeciw księciu intryguje, daję słowo! Oni chcą pana, niech pan sobie wyobrazi, pod rządową opiekę oddać ze wszystkiem, z własną wolną wolą i pieniędzmi, to jest, z dwiema rzeczami, które każdego z nas od czworonogów odróżniają! Sam to słyszałem, na własne uszy słyszałem! Najsprawiedliwsza prawda!

Książę przypomniał sobie, że już niby sam coś w tym rodzaju słyszał, lecz, naturalnie, uwagi na to nie zwrócił. I teraz zresztą roześmiał się tylko i po chwili znów o tem zapomniał. Lebiediew istotnie przez pewien czas robił w tym kierunku starania; rachuby tego człowieka powstawały w nim zawsze, niby z natchnienia i wskutek zbytniego zapału stawały się bardziej złożone, rozgałęziały się i na wszystkie strony oddalały od pierwszego punktu; oto dlaczego niewielkiego doznawał w życiu powodzenia. Gdy potem, już niemal w dzień ślubu, przyszedł do księcia, by wyrazić mu swą skruchę (miał bowiem zwyczaj kajania się zawsze przed tymi, przeciwko którym intrygował, zwłaszcza, gdy mu się intryga nie powiodła), oświadczył księciu, że urodzony jest na Taleyranda, lecz niewiadomo jakim sposobem pozostał tylko Lebiediewem. Następnie odkrył przed nim całą swą grę, przyczem niezmiernie księcia zaciekawił. Według własnych słów zaczął od tego, iż począł szukać protekcji osób wpływowych, u których w razie czego mógłby znaleźć po-

parcie, i między innymi udał się do jenerała Jana Teodorowicza. Jenerał Jan Teodorowicz mocno był zdziwiony, szczerze pragnął dobra dla „młodzieńca", lecz oświadczył przytem, że „przy całej swojej chęci uratowania go, działać mu tu nie wypada". Elżbieta Prokofjewna ani słyszeć, ani widzieć go nie chciała; Eugenjusz Pawłowicz i książę S. machali tylko rękami. On wszakże, Lebiediew, nie upadł na duchu i zasięgał rady pewnego biegłego prawnika, szanownego staruszka, który ma dla niego wielką przyjaźń i jest niemal jego dobrodziejem; otóż ten zawyrokował, że to sprawa zupełnie możliwa, byle się tylko znaleźli kompetentni świadkowie rozstroju umysłowego i zupełnego pomieszania księcia, lecz najważniejsza rzecz przytem to protekcja osób wpływowych. Lebiediew i potem nie stracił fantazji i pewnego razu nawet doktora przyprowadził do księcia, także czcigodnego staruszka, letnika, z „Anną" na szyi, jedynie w tym celu, aby ten obejrzał, jeśli można się tak wyrazić, samą miejscowość, zaznajomił się z księciem i narazie nie w sposób oficjalny, lecz poniekąd po przyjacielsku zakomunikował mu swoje zdanie. Książę pamiętał tę wizytę doktora; pamiętał, że Lebiediew w przeddzień jeszcze wmawiał w niego, że jest niezdrów, i kiedy książę wymówił się stanowczo od kuracji, Lebiediew zjawił się nagle z doktorem pod tym pretekstem, że wracają właśnie od pana Terentiewa, z którym jest bardzo źle, i że doktór ma księciu coś zakomunikować o chorym. Książę wyraził Lebiediewowi uznanie i przyjął doktora z wielką życzliwością. Z punktu rozgadał się o chorym Hipolicie; doktór prosił księcia, aby mu możliwie szczegółowo opowiedział ową scenę samobójstwa, i książę porwał go zupełnie swojem opowiadaniem i objaśnieniem tego wydarzenia. Potem rozmowa zeszła na klimat petersburski, na chorobę samego księcia, na Szwajcarję, Schneidra. Wykładem leczniczego systemu Schneidra i różnemi opowiadaniami książę do tego stopnia zajął lekarza, że dwie godziny u niego przesiedział; palił przytem znakomite cygara księcia, Lebiediew zaś ze swej strony wystąpił z doskonałą nalewką, którą przyniosła Wiara, przyczem doktór, człowiek żonaty i familijny, pozwolił sobie na specjalnego rodzaju komplementy, czem wywołał w niej głębokie obu-

rzenie. Rozstali się z księciem, jak przyjaciele. Po wyjściu od księcia doktór oznajmił Lebiediewowi, że gdyby się samych takich brało pod opiekę, to kogóż należałoby mianować opiekunami? W odpowiedzi zaś na tragiczne odmalowanie przez Lebiediewa mającego się dokonać wkrótce faktu, doktór chytrze i przewrotnie kiwał głową i zauważył wreszcie, „że pomijając już to, „że różne bywają małżeństwa“, ta dama czarująca, o ile słyszał przynajmniej, prócz niepomiernej urody, która już sama jedna może porwać człowieka majętnego, posiada prócz tego i kapitały od Tockiego i Rogożyna, perły i brylanty, cenne szable i meble, dlatego też tego rodzaju wybór nietylko nie jest wyrazem wyjątkowej, bijącej w oczy głupoty drogiego księcia, lecz świadczy nawet o sprycie subtelnego, arystokratycznego rozumu i wyrachowania, a zatem przyczynia się do wniosku całkiem odmiennego i dla księcia zewszechmiar miłego“... Myśl ta uderzyła i Lebiediewa; na tem też poprzestał i teraz dodał, zwracając się do księcia: teraz, prócz oddania i przelewu krwi z mojej strony nic pan więcej nie ujrzy; z tem właśnie przyszedłem:“

W ciągu tych dni ostatnich i Hipolit zajmował księcia; bardzo często po niego przysyłał. Mieszkali niedaleko, w malutkim domku; małe dzieci, rodzeństwo Hipolita, były przynajmniej dlatego z letniego mieszkania zadowolone, że uciekały od chorego do ogrodu; biedna kapitanowa zaś, pozostając na pełnej łasce i niełasce Hipolita, stawała się jego ofiarą całkowicie; książę zmuszony był ich rozbrajać i godzić codziennie, i chory w dalszym ciągu nazywał go swą „niańką“, nie mając zarazem odwagi nie czuć względem księcia pogardy za jego rolę „anioła pokoju“. Miał ogromną urazę do Koli, za to, że prawie wcale go nie odwiedzał, siedząc z początku przy łożu konającego ojca, a potem z owdowiałą matką. Wreszcie wziął za cel swoich kpin rychły ślub księcia z Nastazją Filipowną i na tem się skończyło, że obraził księcia i wyprowadził go z cierpliwości; książę przestał go odwiedzać. Po upływie dwóch dni przyklokła się rano do niego kapitanowa i ze łzami błagała księcia, aby był łaskaw przyjść do nich, bo w przeciwnym razie t a m t e n ją zagryzie. Dodała, że Hipolit pragnie mu wyjawić jakąś wielką

tajemnicę. Książę poszedł. Hipolit chciał się pogodzić, rozpłakał się, a gdy się uspokoił, zawziął się jeszcze bardziej, tylko bał się okazać swoją nienawiść. Źle z nim było bardzo, i widać było ze wszystkiego, że teraz to już prędko umrze. Tajemnicy nie miał żadnej, prócz nadzwyczajnych, jeżeli się tak można wyrazić dławiących wzruszeniem (być może robionem) próśź o „wystrzeganie się Rogożyna". To taki człowiek, który od swego nie odstąpi; nie nam, książę, z nim się mierzyć!: ten, jak czego zechce, to już ani drgnie"... i tym podobne i tym podobne. Książę począł wypytywać go szczegółowiej, chcąc wydobyć zeń jakieś fakty; lecz faktów nie było żadnych, prócz osobistych spostrzeżeń i wrażeń Hipolita. Ku nadzwyczajnemu swemu zadowoleniu Hipolit dopiął tego, że wkońcu okropnie księcia nastraszył. Z początku książę nie chciał odpowiadać na niektóre jego szczególne pytania i tylko uśmiechał się na takie rady, jak: „uciekać, choćby nawet zagranicę; kapłani rosyjscy są wszędzie i można tam wziąć ślub". Lecz wreszcie Hipolit zakończył rozmowę następującą myślą: „ja się przecież boję tylko o Agłaję Iwanownę: Rogożyn wie, jak j ą pan kocha; miłość za miłość; pan mu zabrał Nastazję Filipownę, on zabije Agłaję Iwanownę; aczkolwiek do pana teraz nie należy, w każdym razie będzie panu jednak cieżko, nieprawdaż?" Dopiął celu; książę wyszedł od niego zupełnie nieswój.

Te przestrogi co do Rogożyna wypadły już w samą wigilję ślubu. Tego samego wieczoru, po raz ostatni przed ślubem, widział się książę z Nastazją Filipowną; lecz Nastazja Filipowna nie była w stanie go uspokoić, przeciwnie nawet, w ostatnich czasach coraz bardziej powiększała jego rozterkę. Przedtem, to jest przed kilku dniami, dokładała przy spotkaniu z nim wszelkich starań, aby go rozweselić; strasznie się bała jego zgnębionego widoku; próbowała mu nawet śpiewać; najczęściej zaś opowiadała wszystko, cokolwiek śmiesznego mogła zapamiętać. Książę prawie zawsze udawał, że się śmieje, a czasem śmiał się i cieszył istotnie z jej niepowszedniego rozumu i świetlanego uczucia, z jakiem opowiadała mu nieraz, gdy się zapalała, a zapalała się często. I widząc śmiech księcia, widząc uczynione na nim wrażenie, wpadała w zachwyt i poczynała być z siebie

dumną. Lecz teraz smutek jej i zaduma wzrastały prawie z każdą chwilą. Sąd o Nastazji Filipownie miał książę ustalony i gdyby nie to, toby mu się teraz wszystko w niej wydało zagadkowem i niepojętem. Lecz wierzył szczerze, że ona może się jeszcze odrodzić. Najzupełniejszą prawdę powiedział Eugenjuszowi Pawłowiczowi, że ją szczerze i prawdziwie kocha, i w jego miłości do niej krył się rzeczywiście jakby pewien pociąg do jakiegoś nędznego i chorego dziecka, które trudno i nawet niepodobna zostawić samemu sobie, Swoich uczuć do niej nie tłumaczył nikomu i niechętnie o tem mówił, gdy już rozmowy nie udało się uniknąć; z samą zaś Nastazją Filipowną nigdy, będąc sam na sam, nie rozprawiali o „uczuciu", jakby sobie oboje dali na to słowo. W ich niezwykłych, wesołych i ożywionych rozmowach każdy mógł brać udział. Darja Aleksiejewna opowiadała potem, że przez cały ten czas, obserwując ich, zachwycała się tylko i cieszyła nimi.

Lecz ten jego pogląd na stan duszy i umysłu Nastazji Filipowny wybawiał go poczęści i od wielu innych wątpliwości. Była to teraz zupełnie inna kobieta, niż ta, którą znał przed trzema miesiącami. Nie zastanawiała się już teraz, naprzykład, nad tem, dlaczego wówczas uciekła od ślubu z nim ze łzami, przekleństwami i wyrzutami, a teraz sama nalega, by jak najprędzej ślub wziąć? „A więc już nie boi się, jak wtedy, że swojem wyjściem za niego przyniesie mu nieszczęście", myślał książę. Tak nagle zrodzona pewność siebie nie mogła, jego zdaniem, być u niej naturalną. Bo wszakże pewności tej nie mogła w niej wywołać sama nienawiść do Agłai. Nastazja Filipowna umiała odczuwać nieco głębiej. I nie ze strachu przecież przed losem, jaki ją czekał z Rogożynem? Jednem słowem, mogły tu grać rolę te wszystkie przyczyny w połączeniu z resztą czynników; lecz najbardziej jasnem było dla niego, że tu jest właśnie to, co już odawna podejrzewał i że biedna chora dusza tego wszystkiego nie zniosła. Wszystko to, choć go poniekąd uwalniało od niespodziewanych spostrzeżeń, nie mogło mu wszakże zapewnić przez cały ten czas ani spokoju, ani odpoczynku. Chwilami jakgdyby usiłował nie myśleć o niczem; na małżeństwo, zdaje się, zapatrywał się w istocie, jak na ja-

kąś podrzędną formalność; swój własny los zbyt mało cenił. Co się zaś tyczy protestów i perswazyj, lub rozmów w rodzaju tej, jaką miał z Eugenjuszem Pawłowiczem, to tu literalnie na żadną odpowiedź zdobyć się nie mógł i czuł się zupełnie w tem niekompetentnym, więc też unikał tego.

Zauważył zresztą, że Nastazja Filipowna aż zbyt dobrze wiedziała i rozumiała, jakie znaczenie miała dla niego Agłaja. Nic nie mówiła, lecz widział jej twarz w chwilach, gdy zastawała go czasem, w początkach jeszcze, jak wybierał się do Jepanczynych. Gdy Jepanczynowie wyjechali, rozjaśniła się cała. Jakkolwiek był bardzo mało spostrzegawczy i niedomyślny, zaczęło go jednak niepokoić podejrzenie, że Nastazja Filipowna zdecyduje się na jakiś skandal, aby wygryźć Agłaję z Pawłowska. Wrzenie i gadaniny we wszystkich willach o ślubie były podsycane, ma się rozumieć, poczęści przez samą Nastazję Filipownę w celu dokuczenia rywalce. Ponieważ Jepanczynych trudno było spotkać, Nastazja Filipowna razu pewnego usadowiła przy sobie w powozie przy sobie księcia i kazała z nim jechać pod samemi oknami willi. Było to dla księcia okropną niespodzianką; spostrzegł się, swoim zwyczajem, gdy już tego, co się stało, niepodobna było naprawić, wtedy dopiero, gdy powóz przejeżdżał tuż koło samych okien. Nic nie powiedział, lecz przez dwa dni zrzędu był potem chory; Nastazja Filipowna już próby tej nie powtarzała więcej. W ciągu ostatnich dni przed ślubem popadała często w zamyślenie i choć kończyło się na tem, że przezwyciężała swój smutek i stawała się znów wesołą, lecz jakąś cichszą, nie tak głośną wesołością, nie taką szczęśliwą wesołością, jak przedtem, tak jeszcze niedawno. Książę podwoił swoją uwagę. Zaciekawiało go to, że nigdy nie zaczyna z nim rozmowy o Rogożynie. Raz jeden tylko, na pięć dni przed ślubem, przysłała po niego nagle Darja Aleksiejewna, aby przyszedł niezwłocznie, gdyż z Nastazją Filipowną jest bardzo źle. Znalazł ją w stanie podobnym do zupełnego obłąkania: wydawała jakieś okrzyki, trzęsła się cała, krzyczała, że Rogożyn schował się w ogrodzie, tu, pod ich domem, że go tylko co widziała, że on ją w nocy zabije... zarżnie! Przez cały dzień nie mogła się uspokoić. Lecz tego samego wieczoru, gdy książę wstąpił na chwilę do Hi-

polita, kapitanowa, która tylko co powróciła z miasta, gdzie była za jakiemiś swojemi sprawunkami, opowiedziała księciu, że w Petersburgu był dziś u niej w mieszkaniu Rogożyn i wypytywał o Pawłowsk. Na pytanie księcia, o jakiej porze mianowicie był Rogożyn, kapitanowa wskazała prawie tę samą godzinę, o której widziała go jakoby w ogrodzie Nastazja Filipowna. W ten sposób rzecz się wyjaśniła, jako prosta halucynacja; Nastazja Filipowna udała się sama do kapitanowej o bliższe szczegóły i to ją nadzwyczaj pocieszyło.

W przeddzień ślubu książę opuścił Nastazję Filipownę niezmiernie ożywioną; z Petersburga nadeszły od modniarki stroje na jutrzejszy dzień, suknia ślubna, przybranie na głowę it. d. Książę nie spodziewał się nawet, że ją stroje tak podniecą; sam wszystko chwalił i pochwały jego czyniły ją jeszcze szczęśliwszą. Wygadała się jednak: już doszło do jej uszu, że w mieście panuje oburzenie i że jakieś łobuzy rzeczywiście mają urządzić coś w rodzaju kociej muzyki, i zdaje się, nawet z okolicznościowemi wierszami i że wszystko to znajduje niemal uznanie ze strony reszty towarzystwa. I oto właśnie przyszła jej teraz chęć jeszcze bardziej podnieść wobec nich głowę, zaćmić wszystkich smakiem i przepychem swego stroju, „niechże krzyczą, niech gwiżdżą, jeśli się ośmielą!“ Na samą myśl o tem błyszczały jej oczy. Taiła jeszcze w sobie pewne marzenie, którego wszakże głośno nie wypowiadała: marzyło jej się, że Agłaja albo przynajmniej ktoś przez nią wysłany, będzie się znajdował pośród tłumu incognito, w cerkwi, będzie patrzył i widział, i w duchu przygotowywała się do tego. Rozstawała się z księciem, cała zajęta temi myślami, o jedenastej wieczorem; ale nie wybiła jeszcze dwunasta, gdy przybiegł posłaniec od Darji Aleksiejewny do księcia, aby „szedł czem prędzej, że jest bardzo źle“. Książę zastał narzeczoną, zamkniętą w sypialni, całą we łzach, w rozpaczy, w ataku histerycznym; przez długi czas nie słyszała, co mówiono do niej przez zamknięte drzwi, wreszcie je otworzyła, wpuściła tylko samego księcia, znów je za nim zamknęła i padła przed nim na kolana. (Tak przynajmniej opowiadała Darja Aleksiejewna, która zdążyła coś niecoś podpatrzeć).

— Co ja wyprawiam! Co ja wyprawiam! Co ja z tobą wyprawiam! — wykrzykiwała, konwulsyjnie obejmując jego nogi.

Książę spędził z nią całą godzinę; o czem rozmawiali, nie wiemy. Według słów Darji Aleksiejewny rozstali się po godzinie w zupełnej zgodzie i szczęściu. Tej samej nocy książę przysłał jeszcze po wiadomości, ale Nastazja Filipowna już spała. Nad ranem, zanim się jeszcze obudziła, zjawiło się jeszcze dwóch posłów od księcia do Darji Aleksiejewny i dopiero trzeciemu polecono donieść, że „przy Nasatzji Filipownie kręci się teraz cały rój szwaczek i fryzjerów z Petersburga, że po tem, co wczoraj było, już ani śladu niema, że jest obecnie tak zajęta, jak tylko może być zajęta taka piękność swoim ślubnym strojem, i że w tej chwili właśnie odbywa się nadzwyczajna narada, jakie mianowicie, i jak włożyć brylanty". Książę całkiem się uspokoił.

Całą poniżej przytoczoną opowieść o tem weselu opowiadali potem ludzie wtajemniczeni w sposób następujący i, zdaje się, prawdziwie:

Ślub naznaczony był na godzinę ósmą wieczorem o siódmej Nastazja Filipowna była gotowa. Już od szóstej zaczęły się potrochu zbierać tłumy gapiów poczęści koło willi Lebiediewa, lecz przeważnie przed domem Darji Aleksiejewny; od siódmej i cerkiew zaczęła się napełniać. Wiara Lebiediewa i Kola byli w okropnym strachu o księcia; mieli jednak dużo krzątaniny; zarządzali bowiem w mieszkaniu księcia przyjęciem i poczęstunkiem. Nie było zresztą w projekcie żadne poślubne zebranie; prócz osób, których obecność była niezbędna przy zawieraniu małżeństwa, Lebiediew zaprosił Pticynych, Ganię, doktora „z Anną" na szyi i Darję Alieksiejewnę. Kiedy książę z pewną ciekawością zapytał Lebiediewa, skąd mu do głowy przyszło zapraszać doktora, „zupełnie prawie nieznanego", Lebiediew z widocznem zadowoleniem z siebie odrzekł: „Order na szyi, człowiek szanowny, dobrze dla oka" i rozśmieszył księcia. Keller i Burdowski, we frakach i rękawiczkach, wyglądali wcale przyzwoicie; tylko Keller wciąż jeszcze niepokoił księcia i swoich zaufanych jawną skłonnością do bójki, ogromnie wrogo patrząc na gapiów, zbierających się koło domu. Wreszcie,

o wpół do ósmej, książę wsiadł do karety i pojechał do cerkwi. Nadmienić musimy, że on umyślnie nie chciał opuścić żadnej z form przyjętych w tego rodzaju uroczystościach; wszystko odbywało się rozgłośnie, publicznie, otwarcie i „jak się należy“. W cerkwi, przeszedłszy jako tako przez tłum przy bezustannym szepcie i krzykach publiczności, przy pomocy Kellera, rzucającego na prawo i na lewo groźne wejrzenia, książę ukrył się na jakiś czas przed ołtarzem, a Keller pojechał po narzeczoną, gdzie przed gankiem domu Darji Aleksiejewny zastał tłum nietylko dwa lub trzy razy większy, niż u księcia, ale może nawet trzy razy zuchwalszy. Wchodząc na ganek usłyszał takie okrzyki, że nie mógł wytrzymać i już nawet całkiem zwrócił się do publiczności z zamiarem odpowiedniego przemówienia, lecz, na szczęście, zatrzymał go Burdowski i sama Darja Aleksiejewna, która wybiegła na ganek; pochwycili go i siłą uprowadzili do pokojów .Keller był rozdrażniony i śpieszył się. Nastazja Filipowna podniosła się; spojrzała jeszcze raz w lustro, zauważyła, jak potem mówił Keller, ze „sztucznym“ uśmiechem, że jest „blada jak trup“, złożyła nabożny ukłon przed obrazem i wyszła na ganek. Powitał ją gwar głosów. W pierwszej chwili wprawdzie dały się słyszeć oklaski, śmiech, omal, że nie gwizdanie, ale po chwili rozległy się i inne głosy:

— Jaka śliczna — krzyczano w tłumie.

— Nie pierwsza ona i nie ostatnia!

— Ślub wszystko rozgrzesza, głupcy!

— Takiej drugiej nie znajdziecie, hura! — krzyczeli najbliżsi.

— Księżna, dalibóg, księżna! Za taką księżnę jabym duszę sprzedał! — zawołał jakiś kancelista. — „Za cenę życia jedną noc!...“

Nastazja Filipowna wyszła w istocie blada, jak chusta; ale jej ogromne czarne oczy gorzały, zwrócone na tłum, jak rozpalone węgle; tego wzroku nie zniósł tłum; oburzenie zamieniło się w okrzyki zachwytu. Już otworzono drzwiczki karety, już Keller podał narzeczonej rękę, gdy nagle Nastazja Filipowna krzyknęła i rzuciła się z ganku prosto w tłum. Cały orszak zastygł ze zdumienia, tłum rozstąpił się przed nią, a o pięć, czy sześć kroków od ganku ukazał się nagle Ro-

gożyn. Jego to wejrzenie pochwyciła w tłumie Nastazja Filipowna. Podbiegła ku niemu, jak szalona, i schwyciła go za obie ręce:

— Ratuj mnie! Wywieź mnie! Gdzie chcesz, natychmiast!

Rogożyn porwał ją prawie na ręce i zaniósł niemal do karety. Następnie w jednej chwili wyjął z portmonetki sturublowy papierek i podał go stangretowi.

— Na kolej, a jak zdążysz na pociąg, to dam jeszcze stówkę!

I sam z Nastazją Filipowną wskoczył do karety i zatrzasnął drzwiczki. Stangret nie namyślał się ani chwili i zaciął konie. Keller zwalał potem wszystko na raptowność tego, co zaszło: „jeszcze sekunda, a jużbym dał sobie z nimi radę, jużbym potrafił temu zapobiec!“ upewniał, opowiadając wydarzenie. W pierwszej chwili złapał z Burdowskim drugi pojazd, który się nawinął, i rzucił się w pogoń, lecz po drodze się rozmyślił, „jako, że w każdym razie było już za późno! siłą zawracać nie można!“

— Zresztą i książę już nie zechce! — zadecydował wstrząśnięty do głębi Burdowski.

Rogożyn zaś i Nastazja Filipowna dojechali do dworca w sam czas. Wyskoczywszy z karety, Rogożyn, już prawie wsiadając do pociągu, zdążył jeszcze zatrzymać jakąś mijającą ich dziewczynę w dość znoszonem, lecz wcale jeszcze porządnem okryciu i w fularowej chustce na głowie.

— Czy chcesz pięćdziesiąt rubli za twoje odkrycie? — podał nagle pieniądze.

Zanim dziewczyna zdążyła ochłonąć, zanim jeszcze usiłowała zrozumieć, Rogożyn wsunął jej w garść pięćdziesięciorublowy papierek, zdjął z niej okrycie wraz z chustką i zarzucił to wszystko na ramiona i na głowę Nastazji Filipowny. Jej strój zbyt wspaniały rzucał się każdemu w oczy i w wagonie musiałby zwrócić powszechną uwagę, i dziewczyna potem dopiero zrozumiała, poco od niej kupiono, z takim zyskiem dla niej, ten stary, nic nie warty łachman.

Wiadomość o zajściu doleciała do cerkwi z niesłychaną szybkością. Gdy się Keller przeciskał do księcia, moc ludzi całkiem nieznanych rzucała się do niego z zapytaniami. Ga-

wędzono głośno, kiwano głowami, śmiano się nawet; nikt z cerkwi nie wychodził, czekali wszyscy, jak przyjmie wiadomość pan młody. Książę zbladł, lecz przyjął wiadomość cicho, powiedziawszy ledwie dosłyszalne słowa: „bałem się; nie myślałem jednak, że tak się stanie“... i po krótkiej pauzie dodał: „zresztą... w jej położeniu... jest to zupełnie w porządku“. Takie odezwanie się księcia sam Keller nazywał potem „bezprzykładną filozofją“. Książę opuścił cerkiew spokojny i rześki napozór; tak przynajmniej wielu zauważyło i potem opowiadało. Prawdopodobnie pragnął jak najprędzej dotrzeć do domu i pozostać sam; ale do tego nie dopuścili. Zaraz po nim weszło do pokoju kilku z tych, co byli zaproszeni, między innymi Pticyn, Gabrjel Ardałjonycz, a wraz z nimi doktór, który także nie miał zamiaru wyjść. Prócz tego cały dom był poprostu oblężony przez próżniaczy tłum. Już na tarasie usłyszał książę, jak Keller i Lebiediew kłócili się zażarcie z kilku nieznajomymi, chociaż z pozoru zajmującymi urzędnicze stanowiska, osobnikami, którzy za wszelką cenę chcieli dostać się na taras. Książę podszedł do uczestników kłótni, dowiedział się o co chodzi, i grzecznie odsunąwszy Lebiediewa i Kellera, zwrócił się uprzejmie do jakiegoś siwego i korpulentnego jegomościa, który stał na stopniach ganku na czele kilku innych amatorów, i poprosił o zaszczycenie go swoją wizytą. Jegomość się zmieszał, wszedł jednak; po nim drugi, trzeci. W całym tłumie znalazło się ze siedmiu, ośmiu amatorów wizyt, którzy weszli, usiłując czynić to możliwie swobodnie, lecz więcej chętnych się nie znalazło i wkrótce w tym samym tłumie poczęto potępiać tych wścibskich. Przybyłych posadzono, zaczęła się rozmowa, podano herbatę, wszystko to w sposób nadzwyczaj przyzwoity, skromny, ku pewnemu zdziwieniu gości. Było, rzecz prosta, kilka prób ożywienia rozmowy i naprowadzenia jej na „właściwy“ temat; ten i ów zadał kilka niedyskretnych pytań, zrobił kilka „ciętych“ uwag. Książę na wszystkie pytania odpowiadał w sposób tak prosty i życzliwy i z taką zarazem godnością, z takiem zaufaniem do przyzwoitości swoich gości, że niedyskretne pytania ucichły same przez się. Rozmowa poczęła się stopniowo stawać poważną. Pewien jegomość, uczepiwszy się jakiegoś wyrazu, poprzysiągł nagle w strasznem oburzeniu,

że majątku nie sprzeda, cokolwiekby się stało; że przeciwnie, będzie czekał i doczeka się, i że „przedsiębiorstwa są lepsze, niż pieniądze"; „ot, mój szanowny panie, na czem polega mój system ekonomiczny, niech się pan dowie". Ponieważ zwracał się z tem do księcia, książę skwapliwie go pochwalił, pomimo iż Lebiediew szeptał mu do ucha, że ten pan nie ma ani złamanego szeląga, ani żadnej wsi nigdy nie miał. Minęła prawie godzina, herbatę wypito i po herbacie zaczęli nareszcie się wstydzić dłużej pozostawać u księcia. Doktór i siwy jegomość gorąco pożegnali się z księciem; wszyscy się zresztą żegnali gorąco i hałaśliwie. Wypowiadano życzenia i zdania w rodzaju tego, że „przejmować się niema czem, być może, że tak właśnie wyjdzie na lepsze", i tym podobne. Próbowano coprawda zażądać szampana, lecz starsi goście powściągnęli młodszych. Po rozejściu się wszystkich Keller nachylił się do Lebiediewa i oznajmił mu: mybyśmy z tobą podnieśli krzyk, pobili się, skompromitowali, ściągnęlibyśmy policję; a on zyskał sobie nowych przyjaciół i to jakich jeszcze; ja ich znam!" Lebiediew, który już był dosyć „podcięty" westchnął i rzekł: „Ukrył przed mędrcami ,a wyjawił niemowlętom, i dawniej jeszcze mówiłem to o nim, lecz teraz dodam, że i dziecię samo Pan zachował, od czeluści wybawił, On i wszyscy święci Jego".

Wreszcie, około wpół do jedenastej, pozostawiono księcia samego, bolała go głowa; najpóźniej wyszedł Kola, który mu pomagał zmienić strój ślubny na codzienne ubranie. Rozstali się z wielką serdecznością. Kola nie rozwałkowywał wydarzenia, ale obiecał przyjść nazajutrz i to najwcześniej. On też stwierdził potem, że książę przy tem ostatniem pożegnaniu w niczem go nie uprzedził, tak iż widocznie i przed nim ukrywał swe zamiary. Wkrótce w całym domu nikt prawie nie został: Burdowski poszedł do Hipolita, Keller i Lebiediew gdzieś wyszli. Jedna tylko Wiara Lebiediewa pozostawała jeszcze przez pewien czas w mieszkaniu, doprowadzając je naprędce ze świątecznego do codziennego wyglądu. Wychodząc zajrzała do księcia. Siedział przy stole, oparty na nim obydwoma łokciami i z głową ukrytą w dłoniach. Cichutko podeszła i dotknęła jego ramienia; książę spojrzał na nią ze zdziwieniem; ale przypomniawszy sobie

wszystko, wpadł nagle w nadzwyczajne wzruszenie. Wszystko zresztą skończyło się na silnej i gorącej prośbie do Wiary, żeby nazajutrz rano przed pierwszym pociągiem, o siódmej, zastukano do jego pokoju. Wiara przyrzekła; książę zaczął ją żarliwie prosić, aby nikomu o tem nie mówiła; obiecała mu i to i wreszcie, gdy już całkiem drzwi otworzyła do wyjścia, książę zatrzymał ją jeszcze po raz trzeci, ujął ją za ręce, ucałował je, następnie pocałował ją samą w czoło i z jakimś „niezwykłym“ wyrazem rzekł: „do jutra!“ Tak przynajmniej opowiadała potem Wiara. Oddaliła się w wielkim o niego lęku. Rano nabrała nieco otuchy, gdy o siódmej wedle umowy zastukała do jego drzwi i oznajmiła mu, że pociąg do Petersburga odejdzie za kwadrans; wydało jej się, iż otworzył jej z miną rzeźką, i nawet z uśmiechem. W nocy nie rozbierał się prawie, wcale, spał jednak. Według jego słów mógł wrócić dziś jeszcze. Można było zatem wywnioskować, że uznał za możliwe i niezbędne jej jednej tylko wyjawić, że w danej chwili udaje się do miasta.

XXI

Po upływie godziny był już w Petersburgu, a o dziesiątej dzwonił do Rogożyna. Wszedł wejściem frontowem i przez długi czas nie otwierano mu. Otworzyły się wreszcie drzwi do mieszkania staruszki Rogożynowej i ukazała się stara, schludna służąca.

— Parfena Sienionowicza niema w domu — oznajmiła mu z progu. — Kogo pan sobie życzy.

— Parfena Siemionowicza.

— Niema go w domu.

Służąca przypatrywała się księciu z dzikiem zaciekawieniem.

— Proszę mi przynajmniej powiedzieć, czy nocował w domu? i... czy sam wczoraj powrócił?

Służąca patrzyła na niego w dalszym ciągu, lecz nie odpowiadała.

— Czy tu nie była z nim wczoraj... wieczorem... Nastazja Filipowna?

— A pozwoli pan zapytać, jak pańska godność?
— Książę Leon Mikołajewicz Myszkin, znamy się bardzo dobrze.
— Pana niema w domu.
Służąca spuściła wzrok.
A Nastazji Filipowny?
— Nic ja o tem wszystkiem nie wiem.
— Zaraz, zaraz! Kiedyż wróci?
Tego też nie wiem.
Drzwi się zamknęły.
Książę postanowił wstąpić za godzinę. Zajrzał na podwórze i zobaczył stróża.
— Parfen Siemionowicz jest w domu?
— W domu.
— Cóż to mi powiedziano przed chwilą, że go niema w domu?
— W mieszkaniu panu powiedzieli?
— Nie, służąca od jego matki, a do Parfena Siemionowicza dzwoniłem, nikt mi nie otworzył.
— A może i wyszedł — zadecydował stróż — nie opowiada się przecież. A czasem to i klucz z sobą zabierze, i po trzy dni pokoje zamknięte stoją.
— A co do wczorajszego dnia wiesz na pewno, że był w domu?
— Był. Czasem to frontowemi drzwiami wejdzie, więc się go nie zobaczy.
— A Nastazja Filipowna z nim wczoraj nie była?
— Tego to już nie wiem. Rzadko kiedy do nas zajrzy; toćby przecież człowiek wiedział, gdyby przyszła.
Książę wyszedł i przez pewien czas w zamyśleniu krążył po chodniku. Wszystkie okna od mieszkania, zajmowanego przez Rogożyna, były zamknięte; okna zaś w mieszkaniu jego matki prawie wszystkie były otwarte; na dworze było jasno, gorąco; książę przeszedł przez ulicę na przeciwległy chodnik i zatrzymał się, aby raz jeszcze spojrzeć na okna; nietylko były zamknięte, ale prawie wszędzie zapuszczone były zasłony.
Stał prze chwilę i, rzecz dziwna, nagle wydało mu się, że brzeg jednej z zasłon uniósł się nieco, mignęła twarz Ro-

gożyna i natychmiast zniknęła. Poczekał jeszcze chwilę i był już prawie zdecydowany pójść i znów zadzwonić, lecz się rozmyślił i odłożył to na później: „kto wie, może mi tylko coś tak zamajaczyło“...

Przedewszystkiem śpieszył się teraz do pułku Izmajłowskiego, gdzie doniedawna mieszkała Nastazja Filipowna. Wiedział bowiem, że po przeprowadzeniu się przed trzema tygodniami na skutek jego prośby z Pawłowska, zamieszkała w pułku Izmajłowskim u pewnej swojej dawnej dobrej znajomej, wdowy po nauczycielu, szanownej damy, która odnajmowała pięknie umeblowane pokoje, z czego się niemal utrzymywała. Było wielce prawdopodobne, iż Nastazja Filipowna, przeprowadzając się znów do Pawłowska, mieszkanie to sobie zatrzymała; musiała tu, przynajmniej wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, przenocować, gdyż tu ją bez wątpienia przywiózł wczoraj Rogożyn. Książę wsiadł do dorożki. Po drodze przyszło mu na myśl, że właściwie stąd należało zacząć, trudno bowiem przypuścić, aby mogła wprost w nocy pojechać do Rogożyna. Przypomniały mu się też słowa stróża, że Nastazja Filipowna rzadko kiedy tam zaglądała. Jeżeli i tak rzadko kiedy bywała, to z jakiej racji teraz miałaby u Rogożyna się zatrzymywać? Dodając sobie otuchy takiemi pociechami, książę nawpół żywy dojechał nareszcie do pułku Izmajłowskiego.

Ku wielkiemu jego przerażeniu w mieszkaniu wdowy po nauczycielu o Nastazji Filipownie ani wczoraj, ani dziś nikt nic nie słyszał, na niego samego zaś patrzyli wszyscy, jak na jakieś zjawisko. Calutka, wielce liczna rodzina wdowy po nauczycielu — same dziewczynki i podlotki, od piętnastu do siedmiu lat — wysypały się za matką i otoczyły go, wpatrując się weń z otwartemi ustami. Po nich wyszła ich ciotka, wychudła i wyżółkła dama w czarnej chuście, wreszcie ukazała się babka rodziny, zgrzybiała staruszka w okularach. Nauczycielowa usilnie prosiła księcia, aby wszedł i spoczął, co też książę uczynił. Domyślił się zaraz, że wszyscy tu doskonale wiedzą, kim on jest, że wiedzą dobrze, iż wczoraj miało być jej wesele, i umierają z pragnienia wybadania go i co do szczegółów wesela i co do tego faktu, że oto on zapytuje ich o tę, która winna być teraz z nim razem w Pawłow-

sku, lecz że się krępują. Co do wesela, w krótkich zarysach zaspokoił ich ciekawość. Nastąpiło zdziwienie, „achy“ i wykrzykniki, tak iż był zmuszony opowiedzieć im resztę, ma się rozumieć, w ogólnych zarysach. Wkońcu rada bardzo mądrych i podnieconych dam zdecydowała, że trzeba koniecznie i przedewszystkiem dostukać się do Rogożyna i od niego samego wszystkiego dokładnie się dowiedzieć. Gdyby go zaś w domu nie było (co trzeba stwierdzić na pewno), albo, gdyby nie zechciał nic powiedzieć, to należy udać się do pułku Siemionowskiego, do pewnej damy, Niemki, znajomej Nastazji Filipowny, która tam mieszka ze swą matką: być może, iż Nastazja Filipowna, wzburzona pewnie i chcąc się ukryć, tam u nich przenocowała. Książę żegnał się w zupełnem przygnębieniu; opowiadały potem, że „coś strasznego, jak pobladł“; rzeczywiście, prawie się pod nim uginały nogi. Wreszcie, wśród okropnego trajkotania głosów wymiarkował, że umawiają się, aby wspólnie z nim działać i zapytują go o jego adres w mieście. Adresu nie miał; poradzono mu zatrzymać się w którymkolwiek hotelu. Książę podał adres swego dawnego hotelu, tego samego, w którym przed kilku tygodniami uległ atakowi. Następnie udał się znów do Rogożyna. Tym razem nietylko nie otworzono mu u Rogożyna, lecz nie otworzyły się nawet drzwi od mieszkania staruszki. Książę zbiegł do stróża i z trudem odnalazł go podwórzu; stróż był czemś zajęty i zaledwie mu odpowiadał, nie spojrzał nań prawie, lecz oświadczył kategorycznie, że Parfen Siemionowicz „wyszedł raniutko, pojechał do Pawłowska i do domu dziś nie wróci“.

— Poczekam, może nad wieczorem będzie.

— A może i cały tydzień nie będzie, kto go tam wie.

— Ale dziś jednak przecież nocował?

— Nocować to nocował...

Wszystko to było jakieś podejrzane i niejasne. Bardzo być może, iż przez ten czas stróż zdążył otrzymać nowe instrukcje: przedtem był nawet dość gadatliwy, a teraz wprost się odwracał. Lecz książę postanowił raz jeszcze wstąpić mniej więcej za dwie godziny i nawet popilnować koło domu, gdy zajdzie potrzeba, a teraz pozostawała jeszcze nadzieja na Niemkę, popędził więc do pułku Siemionowskiego.

Lecz u Niemki nie zrozumiano go nawet. A nawet z pewnych słów, które się pięknej Niemce wymknęły, mógł się domyślić, że dama ta przed dwoma tygodniami musiała się pokłócić z Nastazją Filipowną, tak iż przez cały ten czas nic o niej nie słyszała i wszelkiemi siłami dawała teraz do zrozumienia, że nie jest nawet wcale ciekawa, „chociażby nawet za wszystkich książąt świata wyszła“. Książę wyszedł pośpiesznie. Między innemi przyszło mu na myśl, że może, jak wówczas, pojechała do Moskwy, a Rogożyn, ma się rozumieć, za nią, a może i z nią. „Gdyby przynajmniej na jakikolwiek ślad wpaść!“ Przypomniał sobie jednak, że musi zatrzymać się w hotelu i pośpieszył na Litiejną. Tam dano mu natychmiast numer. Numerowy zapytał, czy nie zechce coś przekąsić; książę w roztargnieniu odrzekł, że i owszem i, spostrzegłszy się, wściekał się strasznie na siebie, że przekąska go zatrzymała nadprogramowe pół godziny, i potem dopiero zorjentował się, że nikt mu nie bronił nie jeść podanej przekąski. Dziwnego wrażenia doznał w pomroce tego pełnego zaduchu korytarza, wrażenia, które w sposób męczący usiłowało przyjąć kształt jakiejś myśli; lecz w żaden sposób nie mógł się domyślić, na czem polegała ta nowa, narzucająca się myśl. Wyszedł wreszcie z hotelu jakby nieswój; w głowie czuł zamęt; lecz... dokądże ma jednak jechać? Popędził znów do Rogożyna.

Rogożyn nie wracał; na dzwonek nikt nie otwierał; zadzwonił do staruszki Rogożynej, otworzono mu i oświadczono również, że Parfena Siemionowicza niema, i być może, ze trzy dni jeszcze nie będzie. Niepokoiła księcia ta dzika ciekawość, z jaką mu się przedtem przyglądano. Stróża tym razem nie znalazł wcale. Jak i poprzednio, przeszedł na przeciwległy chodnik, patrzał na okna i chodził tak z pół godziny, a może i więcej, po strasznej spiekocie, ale tym razem nic się nie poruszyło, żadne okno się nie otworzyło, białe rolety wisiały nieruchomo. Ostatecznie doszedł do wniosku, że z pewnością i przedtem coś tylko tak mu się przywidziało; że nawet okna te miały wygląd tak zamglonych i tak dawno nie mytych, iż byłoby trudno przez nie cośkolwiek rozpoznać, gdyby kto nawet istotnie przez szybę był wyjrzał. Ucieszony

tą myślą, pojechał znów do nauczycielowej w pułku Izmajłowskim.

Tam już na niego czekali. Nauczycielowa była już tu i owdzie, zajeżdżała nawet do Rogożyna: ani widu, ani słychu. Książę w milczeniu wysłuchał, wszedł do pokoju, usiadł na sofie i począł patrzeć na wszystkich, jakby nie rozumiejąc, co do niego mówią. Rzecz dziwna: to był nadzwyczaj spostrzegawczy, to naraz stawał się roztargniony do niemożliwości. Cała rodzina twierdziła potem, że był on tego dnia „nad podziw" dziwnym człowiekiem, tak iż pewnie „może już wtedy wszystko się uwidoczniło". Wstał wreszcie i poprosił, aby mu pokazano mieszkanie Nastazji Filipowny. Były to dwa wielkie, jasne, wysokie pokoje, bardzo porządnie umeblowane i wcale nie tanio odnajmowane. Wszystkie te damy opowiadały później, że książę w pokojach tych oglądał każdy przedmiot, zobaczył na stoliku otwartą książkę z czytelni, romans francuski *Madame Bovary*, zauważył, zagiął stronicę, na której książka była otwarta, poprosił, aby mu pozwolono wziąć ją ze sobą, i nie wysłuchawszy oświadczenia, że to książka z czytelni, włożył ją do kieszeni. Usiadł przy otwartem oknie i spostrzegłszy stolik do kart, zapisany kredą, zapytał: kto to grał? Powiedziały mu, że to Nastazja Filipowna grała co wieczór z Rogożynem w „durnia", w preferansa, w „młynarza", wista, — w przeróżne gry, i że karty zjawiły się pod sam koniec dopiero, po przeprowadzce z Pawłowska do Petersburga, bo Nastazja Filipowna wciąż skarżyła się, że się nudzi, i że Rogożyn po całych wieczorach przesiaduje, milczy i o niczem mówić nie potrafi, i często płakała; i raptem, następnego wieczora Rogożyn wyjmuje z kieszeni karty; Nastazja Filipowna roześmiała się i zaczęli grać. Książę spytał: gdzie są karty, któremi grali? Lecz pokazało się, że kart niema: przywoził je zawsze z sobą sam Rogożyn w kieszeni, codzień nowiutką talję, i potem zabierał z sobą.

Damy te poradziły księciu, aby raz jeszcze pojechał do Rogożyna i jeszcze raz z całych sił do drzwi zastukał, ale nie zaraz, a dopiero wieczorem: „a nuż co z tego będzie". Sama zaś nauczycielowa zaofiarowała się pojechać tymczasem przed wieczorem do Pawłowska, do Darji Aleksiejewny: czy czasem tam czego nie wiedzą? Księcia, na wszelki wypadek, za-

proszono na dziesiątą wieczór, aby się z nim na jutro umówić. Pomimo wszelkich pocieszań i dodawania otuchy, zupełna rozpacz owładnęła księciem. W niewymownej udręce doszedł piechotą do swego hotelu. Upalny, zakurzony, pełen zaduchu Petersburg dusił go; plątał się pomiędzy prostakami i pijakami, bezcelowo wpatrywał się w twarze; być może, zrobił znacznie dłuższą drogę, niż należało; był już prawie zupełny wieczór, gdy wszedł do swego numeru. Postanowił odpocząć nieco, a potem, jak mu radzono, pójść znów do Rogożyna; usiadł na sofie, wsparł się obydwoma łokciami na stole i zamyślił się.

Bóg wie, ile czasu i Bóg wie, o czem myślał. Bał się wielu rzeczy i czuł w bólu i męce, że boi się okropnie. Przyszła mu do głowy Wiara Liebiediewa; potem pomyślał sobie, że może Lebiediew wie właśnie coś o tej sprawie, a jeżeli nie wie, to się może dowiedzieć prędzej i łatwiej niż on. Następnie przypomniał sobie Hipolita i to, że Rogożyn do Hipolita jeździł. Potem przyszedł mu na myśl sam Rogożyn: niedawno, podczas egzekwji, następnie w parku, następnie... nagle w tym korytarzu, kiedy się schował wtedy w kącie i z nożem na niego czekał. Uprzytomnił sobie teraz jego oczy, oczy, patrzące na niego wtedy z ciemności. Drgnął nagle: poprzednia, nie dająca mu spokoju myśl przyszła mu teraz nagle do głowy.

Polegała ona poczęści na tem, że jeżeli Rogożyn jest w Petersburgu, to chociażby nawet przez pewien czas się ukrywał, stanowczo jednak skończy na tem, że do niego przyjdzie w dobrym albo złym zamiarze, choćby nawet tak, jak wówczas. Przynajmniej, gdyby Rogożyn musiał poco przyjść, to nawet nie miałby gdzie indziej iść, niż tu, na ten sam korytarz. Adresu nie zna, może więc pomyśleć, że książę się zatrzyma w dawnym hotelu; w każdym razie spróbuje poszukać... jeżeli już tak bardzo będzie mu na tem zależało. A kto wie, może mu właśnie będzie bardzo zależało?

Tak myślał, i myśl ta niewiadomo dlaczego wydała mu się całkiem możliwą. A gdyby się zaczął w myśl swoją zagłębiać, w żaden sposób nie mógłby zdać sobie z tego sprawy: „dlaczego, naprzykład, ma tak nagle Rogożynowi na spotkaniu się z nim zależeć, i dlaczego nawet mowy o tem

być nie może, aby się oni wreszcie nie „zeszli"? Ale myśl była ciężka: „jeżeli mu jest dobrze, to nie przyjdzie", myślał dalej książę, „on przyjdzie raczej, jeżeli mu jest źle, a jest mu przecież na pewno źle"...

Naturalnie, mając takie przekonanie, należało czekać na Rogożyna w domu, w numerze; lecz on, jakby nie będąc w stanie znieść tej swojej nowej myśli, zerwał się, schwycił za kapelusz i wybiegł. W korytarzu było już prawie zupełnie ciemno: „a co będzie, jeżeli on teraz nagle wysunie się z tamtego kąta i zatrzyma mnie przy schodach?" przemknęło mu przez głowę, gdy zbliżał się do znanego miejsca. Lecz nikt się nie pokazał. Zeszedł do bramy, wyszedł na chodnik, zdziwił się, że taka masa ludzi o zachodzie słońca wyległa na ulicę (jak zawsze bywa w Petersburgu podczas wakacyj), i udał się w kierunku Grochowej. O jakie pięćdziesiąt kroków od hotelu, przy pierwszym zbiegu ulic, ktoś w tłumie dotknął nagle jego łokcia i półgłosem odezwał mu się nad samem uchem:

— Leonie Mikołajewiczu, chodź bracie za mną, koniecznie.

Był to Rogożyn.

Rzecz dziwna: książę zaczął mu nagle, z radości bełkocząc i połykając sylaby, opowiadać w pośpiechu, jak to on przed chwilą czekał na niego w korytarzu, w hotelu.

— Byłem tam — niespodziewanie odrzekł Rogożyn — chodźmy.

Odpowiedź ta zdziwiła księcia, ale zdziwiła dopiero po upływie jakich dwóch minut, gdy ją zrozumiał. Zrozumiawszy odpowiedź, przeląkł się i począł przyglądać się Rogożynowi. Ten szedł już prawie o pół kroku naprzód, patrząc wprost przed siebie i nie patrząc na przechodniów, którym wszakże z odruchową ostrożnością ustępował z drogi.

— Dlaczegożeś do mnie do numeru nie wstąpił... kiedy byłeś w hotelu? — spytał nagle książę.

Rogożyn przystanął, popatrzał na niego, pomyślał i jakby wcale pytania nie pojąwszy, powiedział:

— Wiesz co, Leonie Mikołajewiczu, idź ty prosto aż do samego domu, rozumiesz? A ja pójdę po tamtej stronie. A spoglądaj od czasu do czasu ,abyśmy razem...

Powiedziawszy to, przeszedł na drugą stronę ulicy, stanął na przeciwległym chodniku, obejrzał się, czy książę idzie, i widząc, że stoi i patrzy nań uporczywie, machnął ręką w stronę Grochowej i poszedł, oglądając się co chwila na księcia i dając mu znaki, by za nim szedł. Najwidoczniej nabrał otuchy, widząc, że go książę zrozumiał i nie przechodzi do niego z tamtego chodnika. Księciu przyszło do głowy, że Rogożyn potrzebuje kogoś wypatrzeć i zajść mu drogę i że dlatego przeszedł na drugą stronę. „Tylko dlaczegóż nie powiedział, kogo trzeba wypatrywać?" W ten sposób uszli z pięćset kroków, i nagle książę zaczął niewiadomo dlaczego drżeć; Rogożyn, choć rzadziej, nie przestawał jednak się oglądać; książę nie wytrzymał i kiwnął na niego. Tamten natychmiast przeszedł przez ulicę.

— Czy Nastazja Filipowna u ciebie jest?

— U mnie.

— A czy to ty przedtem patrzyłeś na mnie przez okno z za firanki?

— Ja...

— Jakżeż ty...

Ale książę nie wiedział, o co dalej pytać i jak zakończyć pytanie; przytem tak silnie tłukło mu się serce, że z trudnością mówił. Rogożyn milczał także i patrzył na niego, jak poprzednio, to jest jakby w zamyśleniu.

— No, ja pójdę — rzekł nagle, zabierając się znów do przejścia — a ty idź sobie. Bądźmy na ulicy osobno... tak nam będzie lepiej... różnemi stronami... zobaczysz...

Kiedy wreszcie skręcili z dwóch różnych chodników na ulicę Grochową i zaczęli zbliżać się do domu Rogożyna, książę poczuł, że znów zaczynają mu drętwieć nogi, tak iż szedł prawie z trudem. Było już koło dziesiątej wieczorem. Okna w mieszkaniu staruszki były jak i poprzednio otwarte, u Rogożyna zaś zamknięte, a o zmroku białe opuszczone rolety jakby jeszcze bardziej się zaznaczały. Książę zbliżył się do domu z przeciwległego chodnika; Rogożyn zaś ze swego wszedł na ganek i kiwnął na niego. Książę przeszedł do niego na ganek.

— Nawet stróż teraz nie wie, że wróciłem do domu. Powiedziałem jeszcze przedtem, że jadę do Pawłowska,

i matce to samo powiedziałem — wyszeptał z chytrym i prawie zadowolonym uśmiechem. — Wejdziemy i nikt nie usłyszy.

W rękach miał już klucz. Wchodząc na schody, odwrócił się i pogroził księciu, żeby szedł ciszej, cicho otworzył drzwi do swych pokojów, wpuścił księcia, wszedł za nim ostrożnie, zamknął za sobą drzwi i włożył klucz do kieszeni.

— Chodźmy — wymówił szeptem.

Zaczął mówić szeptem już od chodnika na Litiejnej. Przy całym swoim pozornym spokoju, ulegał jakiejś głębokiej wewnętrznej rozterce. Gdy weszli do sali, przed samym gabinetem, podszedł do okna i kiwnął tajemniczo na księcia:

— Jakeś wtedy do mnie zadzwonił, zaraz się domyśliłem, że to właśnie ty jesteś, podszedłem do drzwi na palcach i słyszę, że rozmawiasz z Pafnutjewną, a ja jej już o świcie zapowiedziałem: jeżeli ty, albo ktoś od ciebie, albo ktokolwiek bądź zacznie do mnie stukać, żeby się nie wygadała pod żadnym pozorem; a szczególniej, jeśli ty sam przyjdziesz pytać o mnie... i imię twoje jej powiedziałem. A potem, jakeś ty wyszedł, przyszło mi do głowy: a nuż on tu teraz stoi i wypatruje, albo pilnuje z ulicy? Podszedłem do tego samego okna, odsunąłem firankę, patrzę, a ty tam stoisz, patrzysz prosto na mnie... Widzisz, jak to było.

— Gdzież... Nastazja Filipowna? — wymówił książę zdławionym głosem.

— Tutaj — rzekł Rogożyn, jakby ociągając się z odpowiedzią.

— Gdzie?

Rogożyn podniósł oczy na księcia i badawczo mu się przyjrzał.

— Chodźmy.

Mówił ciągle szeptem, bez pośpiechu i, jak przedtem, dziwnie zamyślony. Nawet gdy mówił o rolecie, to w taki sposób, jakby swem opowiadaniem wypowiedzieć chciał coś zgoła innego, choć opowiadał z całem wylaniem.

Weszli do gabinetu. W pokoju tym od czasu bytności księcia zaszły pewne zmiany: przez całą długość pokoju przeciągnięta była kotara z zielonej jedwabnej materji, z dwoma wejściami po obu końcach, oddzielająca od gabinetu alkowę,

która Rogożynowi służyła za sypialnię. Ciężka kotara była spuszczona i wejścia zasłonięte. Ale w pokoju było bardzo ciemno; letnie „białe“ petersburskie noce poczynały się już przyciemniać i gdyby nie księżyc w pełni, trudnoby tu było wobec zapuszczonych rolet cośkolwiek dojrzeć. Twarze wprawdzie, choć niezbyt wyraźnie, można było odróżnić. Rogożyn twarz miał bladą, jak zwykle; żarzące się oczy patrzyły na księcia badawczo, lecz jakoś dziwnie nieruchomo.

— Zapaliłbyś świecę — rzekł książę.

— Nie, nie trzeba — odrzekł Rogożyn i ująwszy księcia za rękę, przygiął go do krzesła, sam zaś usiadł naprzeciwko, przysunąwszy krzesło tak blisko, iż kolanami prawie dotykał księcia. Pomiędzy nimi, nieco z boku, stał mały, okrągły stolik. — Siadaj, posiedzimy tymczasem! — rzekł Rogożyn, jakby namawiając księcia, aby usiadł. Przez chwilę milczeli. — Pewien byłem, że ty w tym samym hotelu się zatrzymasz — zaczął mówić tak, jak to się czasem, przystępując do głównego tematu, zaczyna od ubocznych szczegółów, nie mających bezpośredniego ze sprawą związku. — Kiedy wszedłem na korytarz, przyszło mi na myśl: a może właśnie on siedzi i czeka na mnie tak, jak ja w tej samej chwili czekam na niego? A u nauczycielowej byłeś?

— Byłem — ledwo wykrztusił książę wskutek silnego bicia serca.

— I to mi także przyszło na myśl. Myślę sobie, może jeszcze zaczną gadać... A potem myślę sobie jeszcze: ja go tu na noc przyprowadzę, żeby już tę noc razem...

— Rogożyn, gdzie Nastazja Filipowna? — wyszeptał nagle książę i wstał, drżąc na całem ciele. Rogożyn także powstał.

— Tam, — szepnął, kiwnąwszy głową w stronę kotary.

— Śpi? — szepnął książę.

Rogożyn znów, jak przedtem, spojrzał na niego badawczo.

— No, to już chodźmy!... Tylko ty... no, zresztą chodźmy!...

Uniósł portjery, zatrzymał się i zwrócił się znów do księcia:

— Wejdź — rzekł, kiwając na księcia, by przeszedł za portjerę.

Książę przeszedł.

— Ciemno tu — zauważył.

— Widać! — wybełkotał Rogożyn.

— Ja ledwo widzę... łóżko.

— Bliżej podejdź — zaproponował cicho Rogożyn.

Książę postąpił kilka kroków i zatrzymał się.

Przez chwilę stał i patrzał; obydwaj przez cały czas przy łóżku nie odzywali się ani słowa; księciu tak tłukło się serce, że zda się, słychać było wśród martwego milczenia pokoju. Lecz wzrok jego już się oswoił tak, iż mógł rozróżnić całe posłanie; spał ktoś na niem snem zupełnie nieruchomym; nie słychać było najmniejszego szmeru, najlżejszego oddechu. Osoba śpiąca przykryta była z głową białem prześcieradłem, członki jednak zarysowały się mglisto; ze wzniesienia tylko można było sądzić, że to leży wyciągnięta postać ludzka. Wkoło, na posłaniu, u nóg, na poręczy samego łóżka, nawet na podłodze, rozrzucone były w nieładzie części toalety, wspaniała biała suknia jedwabna, kwiaty, wstążki. Na małym stoliku przy wezgłowiu iskrzyły się zdjęte i porozrzucane brylanty. W nogach leżały zmięte w kłębek jakieś koronki i na bielejących koronkach, wyglądając z pod prześcieradła, zarysowywał się koniuszek obnażonej nogi; zdawał się jakby utoczony z marmuru, i strasznie był nieruchomy. Książę patrzył i czuł, że im więcej patrzy, tem martwiej i ciszej robi się w pokoju. Nagle zabrzęczała obudzona mucha, przeleciała na dłóżkiem i ucichła u wezgłowia. Książę drgnął.

— Chodźmy stąd — pociągnął go za rękę Rogożyn.

Wyszli i znów usiedli na krzesłach, znów naprzeciw siebie. Książę dygotał coraz mocniej, nie spuszczając swego pytającego wzroku z twarzy Rogożyna.

— Ty, widzę, drżysz, Leonie Mikołajewiczu — wyrzekł wreszcie Rogożyn — prawie tak, jak podczas tych swoich ataków, pamiętasz, tak jak to w Moskwie było? Albo jak raz było przed atakiem. I nie wiem nawet, co tu teraz z tobą robić...

Książę słuchał, wytężając wszystkie siły, aby zrozumieć, i wciąż pytał spojrzeniem.

— To ty? — wyrzekł wreszcie, kiwnąwszy głową w stronę portjery.

— To... ja... — wyszeptał Rogożyn i spuścił głowę.

Z pięć minut milczeli.

— Bo jeżeli — zaczął nagle mówić dalej Rogożyn, jakby wcale nie był przerwał mówienia — bo jeżeli ma być ta twoja choroba i ten atak i zaczniesz krzyczeć teraz, to jeszcze kto z ulicy, albo z podwórza usłyszy i domyśli się, że ktoś w mieszkaniu nocuje, zaczną stukać, wejdą... bo oni wszyscy myślą, że mnie w domu niema. Ja nawet świecy nie zapalałem, żeby kto z ulicy albo z podwórza się nie domyślił. Bo jak mnie niema, klucze zawsze z sobą zabieram, i nikt beze mnie po trzy, cztery dni sprzątać nawet nie wchodzi, takem się już urządził. Więc żeby się nie dowiedzieli, że my przenocujemy...

— Zaczekaj — rzekł książę — ja wtedy i stróża i tej staruszki pytałem: czy nie nocowała tu Nastazja Filipowna? Więc ci już wiedzą.

— Ja wiem, żeś pytał. Powiedziałem Pafnutjewnie, że wczoraj zajeżdżała Nastazja Filipowna i zaraz wczoraj do Pawłowska pojechała, a że u mnie dziesięć minut była. Nawet nie wiedzą, że ona nocowała... nikt nie wie. A wczoraj tośmy tak samo zupełnie pocichutku weszli, jak dziś z tobą. Jeszcze po drodze pomyślałem sobie, że pewnie nie zechce pocichutku wejść... gdzie tam! Szepcze, przeszła na palcach, suknię ogarnęła, żeby nie szeleściła, w ręku ją niesie, na schodach sama mi palcem grozi; to tak się ciebie ciągle bała. W pociągu była zupełnie jak zwarjowana, tak z tego strachu, i to ona sama chciała tu u mnie przenocować; chciałem z początku zawieźć ją do mieszkania, do tej nauczycielowej... gdzie tam! „Tam on mnie, powiada, o świcie wynajdzie, a ty mnie schowasz i ja jutro nad ranem do Moskwy pojadę“, a potem chciała gdzieś tam do Orła. I kładąc się jeszcze, mówiła wciąż, że do Orła pojedziemy...

— Czekaj; cóż ty teraz, Parfenie, co chcesz?...

— A właśnie łamię sobie głowę nad tobą, że ty tak wciąż dygoczesz. Przenocujemy tu tę noc razem. Pościeli, prócz tamtej, niema tu żadnej, a ja tak wymyśliłem, że z obydwóch otoman zdejmie się poduszki i, o tu, przy portje-

rze, pościelę obok i sobie i tobie tak, żeby już razem. Bo jak wejdą, zaczną oglądać albo szukać, to zaraz ją zobaczą i wyniosą. Zaczną mnie wypytywać, ja opowiem, że to ja, i zaraz mnie wyprowadzą. Więc niech już ona teraz tu przy nas leży, przy mnie i przy tobie...

— Tak, tak! — z zapałem przytaknął książę.

— Więc nie przyznawać się i nie dawać wynosić.

— Za nic w świecie! — zadecydował książę. — Za nic, za nic!

— Takem właśnie, bracie, postanowił, żeby za nic i nikomu nie oddawać! W nocy cichutko przenocujemy. Ja dziś tylko na jedną godzinkę z domu wyszedłem rano, a tak, to ciągle byłem przy niej. A potem wieczorem, po ciebie poszedłem. Boję się też, czy nie czuć czasem. Czujesz zapach, czy nie?

— Może czuję, nie wiem. Do rana na pewno się rozejdzie.

— Ja ją ceratą przykryłem, doskonałą amerykańską ceratą, a na ceratę jeszcze prześcieradłem i cztery szklanki płynu Zdanowa postawiłem, i teraz tam stoją.

— Tak, jak tam... w Moskwie?

— Bo to widzisz, bracie, na ten zapach. A ona przecież, jak leży... nad ranem, jak się rozjaśni, zobacz. Cóż ty nawet wstać nie możesz? — z trwożnem zdziwieniem spytał Rogożyn, widząc, iż książę tak dygocze, że nawet wstać nie może.

— Nogi nie służą — wybełkotał książę. — To tak ze strachu, ja wiem... Strach przejdzie i ja wstanę...

— Czekajże, ja zaraz ci pościelę i żebyś ty się już położył... i ja z tobą... i będziemy słuchali... bo ja, chłopcze, nie wiem jeszcze... ja, chłopcze, jeszcze wszystkiego teraz nie wiem, więc i tobie zawczasu mówię, żebyś ty wszystko to zawczasu wiedział... — Bełkocząc te niejasne wyrazy, Rogożyn zaczął szykować posłania. Widać było, że te posłania on pewnie jeszcze z rana ułożył sobie. Przeszłej nocy położył się sam na otomanie. Lecz we dwóch na otomanie położyć się jeden obok drugiego nie mogli. A on koniecznie chciał obydwóm obok siebie posłać, więc też dlatego teraz z trudem wielkim przyciągnął przez cały pokój, aż do samego wejścia

za kotarę, dwie różnego kalibru poduszki z obydwóch otoman. Posłanie jakoś zostało urządzone; Rogożyn podszedł do księcia, delikatnie wziął go za rękę, pomógł mu wstać, doprowadził go do posłania; okazało się jednak, że książę o własnych siłach mógł chodzić; „strach" zatem „przechodził"; a jednak książę wciąż dygotał.

— Bo to widzisz, bracie — zaczął nagle Rogożyn, położywszy księcia na lewej, lepszej poduszce i wyciągnąwszy się z prawej strony, nie rozbierając się i zarzuciwszy obie ręce pod głowę — gorąco dziś i, ma się rozumieć, zapach... okna boję się otworzyć; a u matki to są doniczki z kwiatami, mnóstwo kwiatów i taki śliczny mają zapach, chciałem je tu poprzenosić, ale Pafnutjewna się zaraz domyśli, bo ciekawa.

— Ona jest ciekawa — potwierdził książę.

— Chyba kupić, obłożyć całą bukietami i kwiatami? Ale myślę, przykro będzie tak w kwiatach!

— Słuchaj... — zapytał książę, jakby plącząc się, jakby odszukując to, o co właśnie należało zapytać, i jakby natychmiast zapominając. — Słuchaj, powiedz mi: czem ty ją? Nożem? Tym samym?

— Tym samym...

— Poczekaj jeszcze! Ja, Parfenie, chcę się jeszcze spytać... Ja cię ciągle będę pytał, o wszystkiem... ale ty mi powiedz naprzód, na samym początku, żebym wiedział: czy chciałeś ją zabić przed mojem weselem, przed ślubem, na krużganku, nożem? Chciałeś, czy nie?

— Nie wiem, czy chciałem, czy nie... — sucho odrzekł Rogożyn, jakby nawet trochę tem pytaniem zdziwiony i jakgdyby go nie pojmując.

— A czyś nigdy noża z sobą do Pawłowska nie przywoził?

— Nigdy nie przywoziłem. Co do tego noża, to tylko to mogę ci powiedzieć, Leonie Mikołajewiczu — dodał po chwili milczenia. — Wyjąłem go dziś rano z zamkniętej szuflady, bo cała rzecz była rano, o czwartej. Był on zawsze w książce założony... I... wiesz co jeszcze mnie dziwi: tak zupełnie, jakby nóż na półtora... albo nawet na dwa cale przeszedł... pod samiutką lewą piersią... a krwi co najwyżej z pół łyżki wyciekło na koszulę; więcej nie było...

— To, to, to — uniósł się nagle książę w okropnem wzburzeniu — to ja wiem, ja to czytałem... to się nazywa krwotokiem wewnętrznym... Czasami zdarza się, że niema ani kropelki. To jak pchnięcie prosto w serce...

— Czekaj, słyszysz — prędko przerwał nagle Rogożyn i z przestrachem przykucnął na posłaniu. — Słyszysz?

— Nie! — równie prędko i ze strachem wyrzekł książę, patrząc na Rogożyna.

— Coś chodzi! Słyszysz? W sali...

Obydwaj zaczęli nadsłuchiwać.

— Słyszę — z mocą wyszeptał książę.

— Chodzi.

— Zamknąć drzwi, czy nie?

— Zamknąć...

Zamknęli drzwi i znów się położyli. Długo milczeli.

— Ach, tak! — zaczął nagle szeptać książę tym samym, co przedtem, wzburzonym i pośpiesznym szeptem, jakby znów uchwyciwszy jakąś myśl i bojąc się okropnie znów ją utracić, nawet zerwał się z posłania. — Tak... chciałem przecież... te karty! karty... Ty podobno z nią w karty grałeś?

— Grałem — rzekł Rogożyn po chwili milczenia.

— Gdzież są karty... karty?

— Tu są karty... — wyrzekł Rogożyn po jeszcze dłuższem milczeniu. — Masz...

Wyjął z kieszeni zgraną talję, zawiniętą w papierek i podał ją księciu. Ten wziął, lecz jakby nie wiedząc, o co chodzi. Nowe smutne i beznadziejne uczucie ścisnęło jego serce; pojął nagle, że i w tej chwili i oddawna już mówi wciąż nie to, co powinien mówić, i robi wciąż nie to, coby należało robić; i że oto te karty, które w ręku trzyma i które go tak ucieszyły, nic a nic już teraz nie pomogą. Wstał i uderzył w dłonie. Rogożyn leżał nieruchomo, jakby nie słysząc i nie widząc jego ruchów, lecz oczy jego iskrzyły się w mroku i były całkiem otwarte i nieruchome. Książę usiadł na krześle i począł ze strachem mu się przyglądać. Minęło z pół godziny; nagle Rogożyn głośno krzyknął i na cały głos się roześmiał, jakby zapomniawszy, że trzeba mówić szeptem:

— A tego oficera, oficera tego, co... pamiętasz jak ona

oficera tego na koncercie trzepnęła, pamiętasz, ha! ha! ha! A jeszcze ten junkier... junkier, junkier przyskoczył...

Książę zerwał się z krzesła w nowem przerażeniu. Gdy Rogożyn ucichł (a ucichł nagle), książę pochylił się nad nim ostrożnie, usiadł obok niego i z szalonem biciem serca, dysząc ciężko, począł się w niego wpatrywać. Rogożyn nie zwracał ku niemu głowy, jakby nawet o nim zapomniał. Książę patrzał i czekał; czas mijał, zaczynało świtać. Rogożyn rzadko i nagle zaczynał coś głośno mamrotać, ostro i bez związku; zaczynał wykrzykiwać i śmiać się, książę wyciągał wówczas do niego rękę i zlekka dotykał jego głowy, jego włosów, głaskał je, głaskał jego policzki... nic więcej zrobić nie mógł! Sam znów zaczął dygotać i jakby znów stracił władzę w nogach. Jakieś zupełnie nowe uczucie pryztłaczało jego serce niezmierną udręką. Tymczasem już się dzień zrobił, książę położył się wreszcie, jakby już zupełnie bezsilny i zrozpaczony i przytknął twarz swoją do bladej i nieruchomej twarzy Rogożyna, lecz już pewnie własnych łez swoich nie czuł i nic o nich nie wiedział...

Kiedy bowiem, już po wielu godzinach, drzwi się otwarły i weszli ludzie, zastali zabójcę zupełnie nieprzytomnego i w malignie. Książę nieruchomo siedział obok niego na posłaniu i za każdym razem, przy wybuchach krzyku lub bredzenia chorego, z cichym pośpiechem przeciągał ostrożnie drżącą ręką po jego policzkach i włosach, jakby z pieszczotą i ukojeniem. Lecz już nic nie rozumiał, o co go pytano, i nie poznawał przybyłych i otaczających go ludzi. I gdyby nawet sam Schneider zjawił się teraz ze Szwajcarji, aby zobaczyć swego dawnego pupila i pacjenta, to i on, przypomniawszy sobie ów stan, w którym znajdował się czasem książę w pierwszym roku swojej kuracji w Szwajcarji, machnąłby teraz ręką i rzekł, jak wówczas:

„Idjota!“

XXII

EPILOG

Nauczycielowa, dotarłszy do Pawlowska, udała się wprost do zdenerwowanej od dnia wczorajszego Darji Ale-

ksiejewny i opowiedziała jej wszystko, co wiedziała, czem ją do reszty nastraszyła. Obie te panie postanowiły natychmiast wejść w porozumienie z Lebiediewem, który również był poruszony i jako przyjaciel swego lokatora i jako gospodarz domu. Wiara Liebiediewna udzieliła im wszelkich wiadomości, jakie posiadała. Za radą Lebiediewa postanowiono, iż wszyscy troje pojadą do Petersburga, aby jak najprędzej zapobiec temu, „co najprawdopodobniej się stać mogło!“ Wskutek tego już nazajutrz rano, mniej więcej o jedenastej, mieszkanie Rogożyna zostało otwarte przy udziale policji, w obecności Lebiediewa, dam i brata Rogożyna, Siemiona Siemionowicza Rogożyna, mieszkającego w oficynie. Na powodzenie sprawy najwięcej wpłynęło zeznanie stróża, że wczoraj nad wieczorem widział Parfena Siemionowicza, wchodzącego z gościem od ganku i jakby skradającego się. Po tem zeznaniu nie wahano się już wyważyć drzwi, które się nie otwarły na dzwonek.

Rogożyn przeszedł dwa miesiące zapalenia mózgu, a gdy wyzdrowiał, oddany został pod śledztwo i sąd. Zeznania jego były proste, dokładne i całkiem zadawalające, tak iż dzięki nim książę odrazu był ze sprawy wyłączony. Rogożyn podczas procesu swego milczał. Nie przeczył swemu adwokatowi, zręcznemu i wymownemu, który w sposób jasny i logiczny dowodził, że przestępstwo dokonane było skutkiem zapalenia mózgu, które się zaczęło jeszcze na długi czas przed przestępstwem, naskutek zmartwień podsądnego. Lecz na potwierdzenie tego mniemania nic od siebie nie dodał, i jak przedtem, jasno i dowodnie potwierdził i przypomniał wszystkie, wszystkie najdrobniejsze szczegóły tego, co się stało. Podsądnego skazano z uwzględnieniem okoliczności łagodzących, na piętnaście lat zesłania na Syberję do katorgi. Skazany wyroku swego wysłuchał z powagą, w milczeniu i „zamyśleniu“. Cały jego olbrzymi majątek, prócz pewnej, stosunkowo bardzo małej części, którą roztrwonił w początkowych hulankach, przeszedł na własność jego brata, Siemiona Siemionowicza, ku wielkiemu zadowoleniu tegoż. Staruszka Rogożyna żyje na świecie w dalszym ciągu i czasem wspomina ukochanego syna Parfena, lecz niejasno: Bóg

uchronił jej rozum i serce od zrozumienia nieszczęścia, które nawiedziło jej smutny dom.

Lebiediew, Keller, Gania, Pticyn i wiele innych osób naszej opowieści żyją, jak dawniej, zmienili się mało i nic prawie do powiedzenia o nich nie mamy. Hipolit skonał w okropnym niepokoju i nieco wcześniej, niż się spodziewał, w dwa tygodnie po śmierci Nastazji Filipowny. Kola był tem do głębi poruszony; ostatecznie zbliżył się z matką. Nina Aleksandrowna obawia się o niego, że nad wiek jest poważny; może jeszcze być z niego porządny człowiek. Poczęści dzięki jego zabiegom ułożyły się dalsze losy księcia; Kola już dawno wyróżnił z pośród tych wszystkich, których w ostatnich czasach poznał, Eugenjusza Pawłowicza Radomskiego; pierwszy poszedł do niego i doniósł mu wszystkie szczegóły tego, co się stało, oraz dał mu wiadomości o obecnym stanie księcia. Nie omylił się: Eugenjusz Pawłowicz jak najserdeczniej zajął się losem biednego „idjoty“ i na skutek jego starań i zabiegów książę został znów przyjęty do zakładu Schneidra w Szwajcarji. Sam zaś Eugenjusz Pawłowicz, mając zamiar po upuszczeniu kraju przez długi czas mieszkać w Europie i otwarcie nazywając siebie „zupełnie zbytecznym w Rosji człowiekiem“, dość często, przynajmniej kilka razy do roku odwiedzał u Schneidra swego chorego przyjaciela; lecz Schneider marszczy się coraz bardziej i kiwa głową, przebąkując coś o zupełnem uszkodzeniu władz umysłowych; nie mówi jeszcze stanowczo o nieuleczalności, lecz pozwala sobie na najsmutniejsze uwagi. Eugenjusz Pawłowicz ogromnie bierze to do serca, a że ma serce, dowiódł tego, że odbierając listy od Koli, czasem na nie odpowiada. Oprócz tego wyszła najaw jeszcze pewna dziwna cecha jego charakteru; a że to cecha dodatnia, więc ją czem prędzej przytaczamy: po każdych swoich odwiedzinach w zakładzie Schneidra, Eugenjusz Pawłowicz, oprócz do Koli, wyprawia jeszcze jeden list do pewnej osoby w Petersburgu z najbardziej drobiazgowym opisem stanu choroby księcia w danej chwili. W listach tych, prócz pełnego szacunku wyrażenia swojej życzliwości, poczynają czasem się zjawiać (i to coraz częściej) pewnego rodzaju szczere zwierzenia co do przekonań, myśli, uczuć... sło-

wem, zaczyna się wyłaniać coś coś w rodzaju przyjaznego i bliskiego uczucia. Tą osobą, będącą, w (niezbyt jednak ożywionej) korespondencji z Eugenjuszem Pawłowiczem i w takim stopniu zaszczyconą jego uwagą i szacunkiem, jest Wiara Lebiediewa. Pomimo najszczerszych chęci nie mogliśmy się wywiedzieć dokładnie, w jaki sposób mógł powstać podobny stosunek; zawiązany został, naturalnie, dzięki tej całej historji z księciem, z powodu której Wiara Lebiediewa w takie popadła zgnębienie, że aż zachorowała; lecz w jakich okolicznościach powstała znajomość ich i przyjaźń, tego nie wiemy. Wspomnieliśmy zaś o tych listach z tego względu, że niektóre z nich zawierały wiadomości, dotyczące rodziny Jepanczynych i, co najważniejsze, Aglai Iwanowny Jepanczynowny. Donosił o niej Eugenjusz Pawłowicz w pewnym, dość nieskładnym liście z Paryża, że po krótkotrwałej i skandalicznej miłostce z pewnym emigrantem, hrabią z Polski, wyszła nagle za niego wbrew woli swoich rodziców, którzy, jeśli wkońcu wyrazili zgodę, to dlatego, iż sprawa groziła jakimś nadzwyczajnym skandalem. Następnie, prawie po półrocznem milczeniu Eugenjusz Pawłowicz w długim i szczegółowym liście doniósł swej korespondentce, że podczas ostatniej swej bytności u profesora Schneidra w Szwajcarji zjechał się u niego ze wszystkimi Jepanczynami (ma się rozumieć, prócz Jana Teodorowicza, którego interesy zatrzymują w Petersburgu) i księciem S. Dziwne to było spotkanie; przywitali wszyscy Eugenjusza Pawłowicza wprost z uniesieniem; Adelajda i Aleksandra poczuwały się nawet, niewiadomo z jakiego powodu, do obowiązków wdzięczności względem niego za „anielską opiekę nad tym biednym księciem". Elżbieta Prokofjewna, zobaczywszy, w jakim poniżającym stanie znajduje się chory, z całego serca się rozpłakała. Widocznie już mu wszystko przebaczono. Książę S. wypowiedział przytem kilka udatnych i mądrych aforyzmów. Eugenjusz Pawłowicz odniósł także wrażenie, że on i Adelajda niezupełnie się jeszcze zharmonizowali, ale na przyszłość wydawało się nieuniknionem zupełnie dobrowolne i serdeczne poddanie się zapalnej Adelajdy rozumowi i doświadczeniu księcia S. Prócz tego nauka, którą życie dało jej rodzinie, a szczególniej ostatnia

awantura Aglai z hrabią-emigrantem nadzwyczaj silnie na nią wpłynęła. To wszystko, czego się rodzina obawiała, powierzając hrabiemu Aglaję, sprawdziło się już po pół roku, z towarzyszeniem niespodzianek, których nawet nie przewidywano. Wykryło się, iż ten hrabia nie jest wcale hrabią, a o ile jest rzeczywiście emigrantem, to z jakąś brudną i dwuznaczną przeszłością. Wziął Aglaję na niesłychaną szlachetność swej duszy, skołatanej cierpieniami po stracie ojczyzny i do tego stopnia ją opanował, że jeszcze przed zamążpójściem została członkinią jakiegoś zagranicznego komitetu, mającego na celu odbudowanie Polski, a prócz tego dostała się pod wpływ jakiegoś słynnego katolickiego księdza, który zawładnął jej umysłem aż do szaleństwa. Kolosalny majątek hrabiego, co do którego dostarczył Elżbiecie Prokofjewnie i księciu S. prawie niezbitych wiadomości, jak się okazało, nie istniał. Niedość na tem, w jakieś pół roku po ślubie hrabia i ów znakomity kaznodzieja, jego przyjaciel, dopięli tego, iż stosunki Aglai z rodziną zostały całkowicie zerwane, tak iż Jepanczynowie już od kilku miesięcy nie widzieli się z nią... Słowem, było o czem opowiadać, lecz Elżbieta Prokofjewna, jej córki i nawet książę S. do tego stopnia byli wytrąceni z równowagi tym całym „terrorem", że obawiali się niektórych tematów w rozmowie nawet z Eugenjuszem Pawłowiczem, aczkolwiek wiedzieli, że on i tak zna już dobrze całą historję ostatnich uniesień Aglai Iwanowny. Biedna Elżbieta Prokofjewna miałaby już ochotę powrócić do kraju i zdaniem Eugenjusza Pawłowicza z żółcią i stronnie krytykowała przed nim wszystko, co zagraniczne: „nigdzie porządnie chleba nie potrafią upiec, w zimie siedzą zamknięci, jak myszy w piwnicy", mówiła, „przynajmniej, choć tutaj nad tym biedakiem po rosyjsku się wypłakałam", dodała, ze wzruszeniem wskazując na księcia, który wcale jej nie poznał. „Dość już tych zachwytów, trzeba się wreszcie rozsądkiem pokierować. Wszystko to, i ta cała zagranica, i cała ta wasza Europa, wszystko to jest tylko fantazją, i my wszyscy jesteśmy zagranicą tylko fantazją... Proszę sobie zapamiętać moje słowa, pan sam się kiedyś przekona!" nieomal z gniewem zakończyła, żegnając się z Eugenjuszem Pawłowiczem.

K O N I E C